Helena Mniszkówna



# Trędowata

oraz

# Ordynat Michorowski

dwie powieści razem

Helena Mniszkówna

# Trędowata

# oraz

# Ordynat Michorowski

dwie powieści razem

Armoryka
Sandomierz

Projekt okładki: Juliusz Susak

Na okładce: Леонид Фролович Жодейко (1827-1879), *Портрет молодой женщины* (1856), (licencja *public domain*), źródło: http://commons.wikimedia.org/wiki/Л._Жодейко_Портрет_молодой_женщины_jpg
(This file has been identified as being free of known restrictions under copyright law, including all related and neighboring rights).

Copyright © 2014 by Wydawnictwo „Armoryka”

Wydawnictwo ARMORYKA
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
tel +48 15 833 21 41
e-mail: wydawnictwo.armoryka@interia.pl
http://www.armoryka.pl/

ISBN 978-83-7950-208-0

# TRĘDOWATA

# tom pierwszy

## I.

Dniało. Wstawał świt.

Jasna smuga na wschodzie rozszerzała się dalej i dalej. Z różowej wpadała w tony blade, coraz świetlistsze, prawie przejrzyste, haftowane na tle złotogłowiu.

Powietrze, pełne surowych powiewów nocnych, wchłaniało słoneczne smugi, wilgocią mgły opadając na dół, z każdą chwilą było rzeźwiejsze, jak brylantowe.

Zbudzone ptaki dzwoniły niezliczoną ilością świergotów. Drzewa, otulone puchami zieleni majowej, szemrały na powitanie jutrzenki – przedniej straży słońca.

Pałac w Słodkowcach stał cichy, błyszcząc w różowych topielach wschodu białymi murami ścian i jaskrawą zielonością strzyżonych lip, które wieńcem stroiły fasadę.

Za ogrodem i parkiem przedźwięczał już dzwonek gospodarski. W ciszy poranku brzmiał donośnie, kołatał, roznosząc echo po izbach mieszkań folwarcznych. Ostrym głosem zrywał czeladź z pościeli do roboty.

Mieszkańców pałacu dźwięk ten nie obudził.

Po chwili jednak na lewym skrzydle parterowym otworzono weneckie okno. Świeży oddech wiosny dmuchnął na delikatne zasłony szyb, muskając puszyste sobolowozłote włosy Stefci Rudeckiej, ciekawie wychylonej na świat.

Była w bieliźnie, z warkoczem trochę roztarganym. Obudził ją odgłos dzwonka i kukułki wołającej w parku.

Dziewczyna podskoczyła do okna.

Ranek zachwycił ją, powietrze orzeźwiło, wciągała je w piersi z lubością.

Widok kwiatów, pokrytych blaskiem rosy, świergot ptaków oczarował ją, rozmarzył trochę.

Pąsowe usta uśmiechały się majowo jak poranek, ale w dużych fiołkowych oczach pozostał smutek, niezgodny z młodzieńczą postacią i wesołym głosem, jakim zawołała:

– Cudny świat! Już nie zasnę, pójdę do lasu!

Odbiegła od okna i zaczęła się ubierać.

Włosy splotła w warkocz i zwinęła w ciężki węzeł z tyłu głowy; z natury falowały puszysto, osłaniając miękkimi zwojami drobne uszy i kąty ładnie zarysowanego czoła. Narzuciła na siebie skromną suknię z szarego batystu, ozdabiając ją sznurem różowych korali, błyszczących jak duże czereśnie.

Ubrana, zajrzała do sąsiedniego pokoju. Ciemny od zapuszczonych firanek, wyglądał, jakby sam spał.

Stefcia szepnęła:

– Lucia śpi smacznie. Sama pójdę.

Na palcach przeszła parę pokoi bogato i gustownie urządzonych. W ogromnej sieni pałacowej zatrzymała się bezradnie, ujrzawszy ciężkie oszklone drzwi zamknięte na klucz.

Pomógł jej służący, który właśnie szedł po schodach ze szczotkami w ręku. Szeroko otworzył zaspane oczy na jej widok, ale uprzejmie pospieszył odkręcić zamek.

Po chwili wbiegła do parku.

Chodząc po żwirowanych uliczkach, zrywała białe smukłe narcyzy. Liliowy bez w bujnych kiściach opadał z krzaków, rozkołysany, pachnący. Kielichy narcyzów, przeczysto białe, wonne, pełne były chłodnej rosy; żółte oczy kwiatów w czerwonej rzęsie wyglądały jak załzawione.

Dziewczyna przychylała do ust białe czarki i piła te łzy ze swawolnym uśmiechem.

Pierwsza młodość jej życia i pierwsze poranne blaski słońca złożyły się w potężny hejnał szczęścia, spłynęły do duszy stubarwną tęczą.

Podskakiwała do większych bukietów bzu, strząsając z pachnących pióropuszów kroplisty deszcz na swe lśniące włosy. W świetle słonecznych jaśni głowa jej migotała niby w srebrzystej rosie.

Z więzią kwiatów wyszła z parku do ogrodu owocowego i tu krzyknęła z zachwytem. Wspaniale przystrojone kwieciem drzewa stały uroczyste. Jabłonie, w różowych pękach, miały wygląd młody, pieszczący wzrok. Wiśnie stały osypane bielą kwiatów, niby szeregi dziewcząt idących do ślubu w białych welonach.

Zapach płynął duszący, gałęzie sypały potoki woni. Słońce malowało złotem kwiaty, wiatr niósł szumy, brzęczały pszczoły. Czasem, oderwany z drzewa, biały motyl unosił się w górę jak strząśnięty kwiat.

Stefcia, upojona zapachem, odłamała parę gałązek wiśniowych, przypinając je do włosów, do paska, i tak ukwiecona, szła wąską uliczką, wysadzoną krzewami porzeczek.

Uliczka wiodła do lasu za ogrodem, zwanego borkiem.

Stefcia odchylała zroszone gałęzie, okryte nikłym, jakby spłowiałym kwiatem; mnóstwo tych seledynowych liszek zwisało na ciemniejsze liście, tworząc malowniczą grę kolorów. Szary batyst pokrywała błyszcząca mgiełka rosy, pryskała na twarz i ręce dziewczyny, lecz ją to bawiło.

Biegła do małej bramki w sztachetach, otworzyła ją i brodząc w mokrej, obfitej trawie, przeszła skrawek łąki, przedzielającej ogród owocowy od lasu. Wśród wysokich sosen i rozłożystych drzew liściastych zaczęła śpiewać.

Koło nóg jej śmignęła wiewiórka i prędko wskoczyła na drzewo. Ćwierkały wróble, monotonnie stukał dzięcioł.

W pobliskiej olszynce ślicznym sopranem wyśpiewywał słowik, z głębi lasu wołała tenorem kukułka, największa próżniaczka między ptakami. Świat leśny wrzał życiem, pełen szczebiotów, nawoływań, fruwań, pełen chrzęstu igieł sosnowych, szumu leszczyny, dźwięczał, huczał, brzmiał.

Zbudzone echa szły daleko, rozgwarzone, wesołe. Uśmiechnięta dziewczyna pławiła się w słońcu, nurzając w kwiatach i zieleni.

Ale wkrótce jej promienistość znikła. Jakaś chmura zaćmiła młodą jej twarz, matując blask oczu w oprawie bujnych, ciemnych rzęs. Ładne gęste brwi zsunęła na czole i opuszczając na mokry mech suknię, rzekła z niechęcią:

– Mam się też czego cieszyć!

Przypomniała sobie, że minął miesiąc, jak jest nauczycielką w Słodkowcach.

Jak ten czas długo płynie!

Nigdy nie myślała o zajmowaniu posady, nie potrzebując pracować na siebie. Ale stało się inaczej.

Materialnie nic jej do nauczycielstwa nie zmuszało.

Była córką zamożnych obywateli z Królestwa, którzy oprócz niej mieli jeszcze dwoje młodszych dzieci. Ona kończyła dziewiętnaście lat. Chodząc po lesie Stefcia wspominała okoliczności, jakie ją wygnały z domu,

Piękna postać Edmunda Prątnickiego uwypuklała się głównie i jej dziecinne uczucia dla tego człowieka.

Kiedy powrócił ze szkoły dublańskiej, porwał Stefcię siłą urody. Nie badając treści zakochała się pierwszy raz w życiu, gwałtownie, na ślepo, bez odrobiny prawdziwej miłości. Prątnicki odurzył jej głowę nieco romantyczną i egzaltowaną.

Stefcia, skończywszy pensję w Warszawie, uczęszczała na kursa zbiorowe. Wówczas miała sposobność poznać trochę młodzieży ze sfer uczących się.

Przeważnie byli to chłopcy szlachetni, o idealnych porywach. Stefcia nie wyobrażała sobie innych. Prątnicki wyzyskał jej łatwowierność, a podniecony urodą dziewczyny, chciał ją zdobyć i maskował się zręcznie. Potrafił nawet zjednywać sobie państwa Rudeckich. I trwała sielanka.

Ale ojciec Stefci, jakkolwiek wiedział, że młodzi wyznali sobie wzajemnie uczucia, jednakże na urzędowe oświadczyny nie pozwalał. Przeczuwał, że się tu spotkały dwie natury całkiem odmienne...

W piękne barwy Edmunda stary obywatel nie wierzył. Znał „papę Prątnickiego”, a ten w mętach społecznych miał pewne zastosowanie. W swej córce Rudecki widział tyle idealnego zapału, takie bogactwo uczuć, że z obawą wyczekiwał zakończenia tej sielanki. Nie wątpił, że to nastąpi, i bał się

o Stefcię...

Przeczucia go nie zawiodły.

„Papa Prątnicki”, sprzyjając zamiarowi syna, zaczął jednak z umiejętnością sędziego śledczego wywiadywać się o posag Stefci. Suma kilkunastu tysięcy oburzyła go.

Synowi wytłumaczył bezzasadność takiego związku i namawiał do zerwania. Dowodził mu, że ze swą urodą i nazwiskiem powinien ożenić się z cyfrą stutysięczną.

Stefcia w owym czasie zaczynała już wątpić w oślepiający blask swego ideału. Robiła próby, szukając na nim plam. Jej inteligencja i wrażliwość popychały ją do tego. I nastąpił przewrót.

Okopcone szkło dał jej w rękę sam „papa Prątnicki”, rozpoczął bowiem oświadczyny jej ojcu od pytania, ile córka dostanie posagu.

Słowa te zniweczyły wszystko. Pan Rudecki odmówił stanowczo, zadowolony, że dość wcześnie odkrył istotne zamiary Prątnickich.

Ale Stefcia, pragnąc upewnić się w szlachetności Edmunda, spojrzała śmiało w jego blask duchowy, czarujący ją pełnią uroku.

I ujrzała zaćmienie na świetlnej tarczy swych marzeń.

Ujrzała wielkie piętna egoizmu i próżności, a zamiast wzniosłych uczuć spostrzegła brutalną naturę, dążącą jedynie do własnego użycia.

Edmund przedstawił się jak ów kwiat krwiożerczy, który urodą i silnym zapachem zwabia ku sobie łatwowierne owady, a gdy złudzone poddadzą się magnetycznej sile, wówczas zamyka nad nimi kielich i bezwstydnie odkrywa prawdziwą wartość wewnętrzną. Zabija owady trucizną swych namiętności, wchłania je, aby żywić się ich kosztem.

Ona była zaledwo na brzegu zdradnego kielicha. Uratowano ją wcześnie od zguby.

Stefcia, myśląc o tym, usiadła na pniu i objąwszy kolana, zwiesiła smutnie głowę.

Pierwszy zawód życia pozostawił w jej duszy wiele goryczy! Dawna, bezgraniczna wiara w ludzi osłabła, znikł zapał do głębokich porywów.

We własnym pojęciu dziewczyna nie czuła się już zdolną do uczuć gorętszych, zapominając, że ma lat dziewiętnaście i bujny temperament.

Delikatny szron pesymizmu osiadł nikłą warstwą na jej idealnych marzeniach, ale zwiększał się, nawet już w Słodkowcach.

Po zerwaniu z Edmundem Stefcia postanowiła wyjechać z domu. Palił ją wstyd i żal, chciała uciec jak najdalej. Śniła o szerokich światach, dalekich przestrzeniach, rwało ją naprzód!...

Powodowana żywą naturą, tworzyła w myślach barwne obrazy, pełne fantazji. Bujała w lśniących wizjach, czując pewną ciasnotę w dotychczasowych warunkach. Po krótkiej walce wyjechała z ojcem szukać posady nauczycielki. Wszelkie tłumaczenia rodziców nie odniosły skutku. W końcu ulegli sądząc, że to krótkotrwały kaprys, spowodowany pierwszym zawodem życiowym, ale obawiali się o wybór odpowiedniego miejsca.

Szło dosyć trudno. Grymasiła Stefcia i pan Rudecki.

Stefcia wydawała się niektórym paniom za ładną, szczególnie gdy same były pełne pretensji lub gdy miały brzydsze córki. Po wielu niepowodzeniach posadę znaleziono. Baronową Elzonowską uroda Stefci nie raziła, przeciwnie – ujęła ją.

Jednakże baronowa spytała dziewczyny, czy nie będzie się nudzić w Słodkowcach, gdyż mieszka tam tylko ona z córką, stary ojciec i również stary rezydent, dawny nauczyciel jej brata. Ale Stefcia pragnęła ciszy, nawet zgodziła się na warunek niepowrócenia do domu na wakacje. Przerażały ją odległe Słodkowce, jednak coś ją tam ciągnęło.

Pan Rudecki, opowiedziawszy historię poprzedzającą wyjazd córki, prosił pani Elzonowskiej o troskliwą opiekę nad Stefcia, na co otrzymał obietnicę, wypowiedzianą dość wyniośle z odrobiną serdeczności.

Niepokoiło go arystokratyczne pochodzenie baronowej. Arystokracji nie chciał dla córki, wiedząc, że nauczycielka nawet w obywatelskich domach bywa rozmaicie traktowaną. Drżał na myśl, że w wielkopańskim pałacu mogą jego Stefcię obrażać.

Ale wiedział przy tym, że arystokracja rodowa jest wyjątkowo uprzejmą i że prawdziwy wielki pan starożytnego rodu zawsze jest grzeczniejszy od wielkiego pana parweniusza.

Nazwisko baronowej uspakajało pana Rudeckiego. Zauważył w niej typ wielkiej damy, trochę sztywnej, lecz nie pozbawionej sympatyczniejszych stron.

Uczennicę swą Stefcia poznała na miejscu.

Lucia miała rok szesnasty. Dość wątła, wydelikacona i ładna dziewczynka, o bardzo jasnych włosach i niebieskich oczach, różniła się z matką powierzchownie i usposobieniem. Ze Stefcia zgodziły się. Wkrótce nastąpiła koleżeńska przyjaźń.

Stefcia podniosła się z pnia i poszła w głąb lasu.

– Czy ja tu wytrwam do końca? Oj, wątpię! – szepnęła.

Jej miłość do Prątnickiego, błyskotliwa i wątła jak motyl żyjący krótko, zgasła. Niepokoiło ją teraz coś innego. Wszyscy byli dla niej dobrzy, szczególniej stary dziadek Luci, pan Maciej Michorowski, typ magnata, ale miły typ. Okazywał on jej wiele serca, nazywając Stenią. Mówił, że mu takie spieszczenie jej imienia przypomina dobre czasy z młodości. Stefcia nie wiedziała, jaki to rodzaj wspomnień, ale czuła dla starca wdzięczność za sympatię i ojcowską dobroć. Nie lubiła jego wnuka, właściciela Słodkowic, młodego ordynata Waldemara Michorowskiego. Mieszkał o dwie mile w ordynacji Głębowiczach i w Słodkowcach bywał często. Nie ominął nigdy sposobności, aby się z nią nie drażnić zuchwale. Ile razy on przyjeżdżał, Stefcia wpadała w najgorszy humor, złośliwe jego zaczepki zbywając milczeniem lub gniewem.

– Ten mnie zmusi do opuszczenia Słodkowic – myślała z żalem.

Stefcia, słysząc o nim same pochwały, zdziwiła się.

– Więc tylko dla mnie jest takim?... Przypomina Prątnickiego, ale po zdemaskowaniu.

Ten się nie krępuje, nie udaje idealnego; brutalność swej natury odsłania jawnie. A co lepsze: czy świat złudzeń, czy świat marzeń, czy świat rzeczywistości?... To wszystko jak kwiat o pięknej barwie i czarownej woni.

Barwa – to marzenie.

Woń – to złudzenie.

Rzeczywistość – to prosta łodyga i szara ziemia, z jakiej wyrasta.

Młody Michorowski jest właśnie rzeczywistością, bez upiększeń.

Stefcia biegała w lesie, unosząc się własnymi myślami.

Każda sosna, polanka, nawet wiewiórki i kukułka przypominały jej Ruczajew i tęsknota do domu rosła... Pierwszy raz przerażona zapytała siebie, jak mogła zgodzić się na warunek, aby na wakacje nie powracać do rodziny.

W bagnistym zakątku leśnym znalazła mnóstwo niezapominajek, jaskrów, gorąco żółtych pełników łąkowych i ze łzami w oczach zaczęła je zrywać. Całowała niezapominajki, bo jej przypominały olszynkę ruczajewską.

Z pękiem zroszonych kwiatów zawróciła do ogrodu.

Słońce, wzniesione już wysoko, wsiąkało w szczelinki pomiędzy liśćmi, zrzucając na puszystą trawę olbrzymi złoty niewód.

Wtem na drodze środkowej w borku Stefcia ujrzała sunącego wolno jeźdźca.

Aż drgnęła z gniewu.

Był to Waldemar Michorowski.

Jechał na pysznym, czarnym jak lawa wierzchowcu. Ładnie wyglądało na nim zamszowe siodło, żółty czaprak i uzdeczka.

Koń arabski szedł z fantazją, nogi stawiał klasycznie, z wdzięcznie przegiętą szyją niespokojnie gryzł wędzidło.

Ordynat siedział jak przymurowany, opięty w elegancki strój do konnych wycieczek, w długich botfortach. Wyglądał zgrabnie i postawnie.

Jadąc stępa, młody pan, widocznie zamyślony, patrzał przed siebie, uderzając pejczem po końcach butów. Słońce nieciło iskierki na błyszczących ostrogach.

Stefcia cofnęła się za drzewo, lecz nagłym ruchem spłoszyła z gałązki kraskę. Ptak zatrzepotał skrzydłami, kwiląc głośno.

Michorowski spojrzał w tę stronę.

Stefci krew uderzyła do głowy.

– Zobaczył mię!... Boże!... że też ja go zawsze spotkać muszę!

Przyklękła po rozsypane kwiaty, udając, że go nie widzi.

Ale on już podjechał blisko, zdjął czapkę i zawołał żartobliwie:

– Dzień dobry pani! Co pani tu robi tak rano? Gdzie pani zdobyła tyle kwiatów? Pośród tych drzew jest pani jak rusałka.

– Toteż spotkałam wilkołaka – odparła z gniewem bez namysłu.

On podniósł brwi i złośliwie uśmiechnięty odrzekł:

– Owszem, chcę być wilkołakiem przy pani jako rusałce.

Stefcia poczerwieniała gwałtownie.

– Czy pan jedzie do Słodkowic? – zapytała chłodno.

– Tak. Mam zamiar panią tam odprowadzić.

– Ja sama trafię do domu.

– Bardzo wątpię! Przede wszystkim nie udźwignie pani tego zielska. To waży cały pud. Muszę pani ulżyć.

Zeskoczył z konia i z wytwornym ukłonem czekał na podanie ręki.

Stefcia zawahała się, lecz podała mu ją wzburzona i prędko cofnęła.

– Ależ nie objąłem palców pani... Nie! Stanowczo jestem zadżumiony! – zawołał rozkładając ręce komicznym ruchem.

Miała go ochotę bić.

Michorowski patrzał na nią z ironicznym uśmiechem. Ona drżała z gniewu pod spojrzeniem jego szarych oczu.

Zebrawszy kwiaty, kiwnęła mu dumnie głową i rzekła odchodząc:

– Zegnam pana.

– Hm, pani jest energiczna, ale i ja muszę jechać do Słodkowic. Inna droga nie istnieje.

Stefcia skręciła w las, wskazując na bielejący pas drogi.

– Proszę, niech pan jedzie.

– A pani?

– Ja idę lasem.

– Nie mogę pani zostawić w tej puszczy. Pani jest dziś tak nerwową, że zabłądziłaby łatwo.

Postępował obok niej, prowadząc konia za uzdę.

Stefcia zacięła wargi. Szła prędko, milcząc.

On mówił wciąż głosem przesiąkniętym złośliwością:

– Wie pani co? Niech pani siądzie na mego konia, a ja będę iść obok jak paź. Albo jeszcze lepiej: siądźmy razem. Na rusałkę i wilkołaka tak stosowniej.

Stefcia nie odpowiedziała, przyśpieszając kroku.

– Pani ode mnie ucieka jak od straszydła leśnego. Przecie ze mnie wcale ładny chłopczyk, co? Nie uważa pani?

Żadnej odpowiedzi.

– Aha! Milczenie jest znakiem potwierdzenia. Bardzo mię to cieszy! Oddała mi pani nareszcie sprawiedliwość.

Skłonił się głową żartobliwie, z umyślną uniżonością.

– Przede wszystkim jest pan źle wychowany – wybuchnęła Stefcia.

– Doprawdy? Pierwszy raz słyszę! Zawsze uchodziłem za gentlemana.

– Pan gentleman?! – zawołała ze śmiechem.

Gniew zaświecił w jego oczach. Zmarszczył brwi i szarpiąc konia, przeszył ją oczyma. Ale trwało to chwilkę. Odparł z ironią:

– W takim razie możemy sobie po koleżeńsku podać ręce, gdyż i pani nieuprzejma.

– Panie ordynacie, czy pan uwolni mię dziś od swego towarzystwa?

– O tak, pani: w Słodkowcach.

– Boże! Za co mię karzesz! – szeptała do siebie.

Ordynat wybuchnął śmiechem.

– Z czego się pan śmieje? Czy ze swej niedelikatności?

– O nie, pani! Ale pierwszy raz widzę młodą pannę, którą widocznie przerażam. Jak mi Bóg miły, tak to dla mnie nowy objaw.

– Pierwszy raz jest pan tak niegrzeczny dla młodej panny. Za wiele pan sobie pozwala.

– Eee! Pozwalałem sobie często więcej, ale w żadnej nie wzbudzałem tak panicznego strachu jak w pani.

– Ja się pana boję? Pyszny pan jest! Ja pana...

– Nie cierpię – dokończył.

– Tak!

– Dziękuję! Przynajmniej szczerze! Nikt na spowiedzi większej prawdy nie powiedział. Pani utopiłaby mię w łyżce wody. Kto by pomyślał, że w tak delikatnym stworzeniu tyle siedzi złości. Skandal! Pani mię nie cierpi... Ha! Cóż robić! Możemy się pomordować w tym lesie, wolę odjechać samotnie. Gdyby mi pani wydrapała oczy, co powiedziałby na to cały świat kobiecy? Zabrakłoby krepy żałobnej w sklepach, liczba samobójczyń wzrosłaby zastraszająco, a panią skazałyby moje wielbicielki na gilotynę.

Wskoczył na konia i wznosząc do góry czapkę, zawołał:

– Do widzenia! Umykam!

Zawrócił do drogi, uderzył konie ostrogami i pocwałował, roznosząc głośny tętent po

lesie. Stefcia odetchnęła.

– Nareszcie!... Pojechał..., obrzydły cynik! Obraziłam go... Tym lepiej, nie będzie mi dokuczał.

Spiesznie podążyła w stronę pałacu.

Waldemar zrywał konia munsztukiem, smagał szpicrózgą i przez zaciśnięte wargi wyrzucał słowa ostre:

– Romantyczka... przybiera pozy królewny. Poczekaj! Zdejmę ja twoją koronę!... Wolę diablice niż mniszki, ale nie mogę cierpieć, gdy diablica pozuje na westalkę.

Wzruszył ramionami.

– Ona podobna do księżniczki, a ja do szatana. W tym wypadku jestem szatanem... No... zobaczymy!

I spiął konia ostrogami.

## II.

W ogrodowej altanie przy stoliku siedziała Lucia Elzonowska ze swą nauczycielką i słuchała z zajęciem wykładu literatury. Stefcia opowiadała barwnie najświetniejsze czasy piśmiennictwa w Polsce, przytaczając

ciekawsze ustępy z dzieł sławnych poetów. Wymową i zapałem umiała porwać uczennicę.

– Czy ty, Luciu, nigdy nie uczyłaś się literatury ojczystej? – spytała Stefcia, widząc zaciekawienie dziewczynki.

– Owszem, coś tam, ale bardzo mało – odparła Lucia. – Poprzedniczka pani, panna Klara, dowodziła, że w naszej sferze trzeba umieć dużo języków obcych i obcą literaturę, o polskiej zaś mówiła, że mi się na nic nie przyda.

– Czy panna Klara jest Polką?

– Tak, ale to wielka arystokratka, przesiąknięta naszymi poglądami.

– Jakież są wasze poglądy?

– Nie wiem, czy potrafię wytłumaczyć, ale sądzę, że chyba polegają na... Nie, nie umiem tego powiedzieć.

– Ja ci pomogę. Polegają na tym, aby mieć cześć dla wszystkiego, co francuskie, niemieckie, słowem obce, byle nie dla tego, co nasze, polskie. Nieprawdaż?

– Skąd pani o tym tak dobrze wie?

– Domyślam się. Czy twoja mama tak samo się zapatruje?

– Naturalnie! Mama nie czyta nic po polsku, ze mną rozmawia tylko po francusku i wierzy jedynie w zagranicę.

– A dziadzio? – spytała Stefcia.

– O, dziadzio przeciwnie! Zawsze o to sprzeczki z mamą. Dziadzio mówi, że to wstyd zapominać o swej narodowości – że każdy powinien najwięcej cenić i kochać to, co własne. Ale mamy te argumenta nie przekonują.

– Twój dziadzio bardzo zacny człowiek.

– Pani kocha dziadzia?

– Szanuję go, ufam w jego rozum.

– I dziadzio panią lubi, ja to widzę. Ale... i Waldy jest tych samych poglądów. Dlaczego pani go nie znosi?

– Moja Luciu, cóż mię pan Waldemar obchodzi?

Lucia odrzekła ze śmiechem:

– Wie pani, że między mamą a Waldym wieczne kłótnie. Teraz jeszcze pani przybyła. Biedny Waldy!

– Kończmy lekcję – przerwała Stefcia. – Masz jeszcze napisać wypracowanie.

Lucia zarzuciła jej ręce na szyję i rzekła pieszczotliwie:

– To jutro, moja droga pani. Dziś nic nie napiszę, czuję to. Tak mnie pani zachwyciła literaturą, że o niczym więcej nie mogę myśleć. Musi mi pani dać do czytania coś naszego, a wszystkich Niemców i Francuzów schowam na dno szafy, niech ich tam mole jedzą.

– Nie można wpadać z jednej ostateczności w drugą, moja Luciu. I obcych powinnaś poznać lepiej.

– Ale naszych więcej, prawda? Dziś powiem o tym dziadziowi i Waldy, będą radzi. Waldy zawsze mię nazywał papużką... Często, przyjeżdżając, pytał: „Cóż tam papużkę nauczyli nowego?” Mama zaraz w dąsy, a panna

Klara z milutkim uśmiechem mówiła: „Vous plaisantez, monsieur le comte”. Bo ona go nazywała hrabią. Ale Waldy odpowiadał niby grzecznie, lecz z gniewem: „nie jestem żadnym comte. Racz pani zapamiętać”.

– A cóż na to panna Klara?

– Obrażała się. Do mnie mówiła: „Votre cousin est détestable. Il n'est pas sage” – i przez parę dni nie wychodziła do niego. Ale potem było znowu: monsieur le comte, a Waldy ją przestrzegał. Tak trwało ciągle.

– Widocznie pan Michorowski uważa za ulubiony sport dokuczanie nauczycielkom – rzekła Stefcia z przekąsem.

– Ależ co znowu! Waldy nienawidził panny Klary, a ona się w nim kochała, ja wiem. Panna Klara to już zupełnie stara panna, ale w pretensjach. Jak tylko Waldy przyjechał, fryzowała włosy i pudrowała się, aż na suknię puder opadał. Waldy ją ogromnie wyśmiewał. Razu jednego na obiad przyszła upudrowana niemożliwie i opowiadała, że zwiedzałyśmy młyn turbinowy. Waldy, wówczas czegoś zły, rzekł bez wahania: „Znać to na pani”. – „Dlaczego?” – spytała. – „Bo pani cała w mące”. Wtedy gniewała się na niego przez tydzień.

Stefcia wzruszyła ramionami, pomagając Luci składać książki i kajety, i myślała o smutnej doli nauczycielki, która w dodatku jest starą panną. O pannie Klarze słyszała już wiele rzeczy, kpili sobie z niej wszyscy, ile chcieli. Kiedyś może i ją będą wyśmiewać, choć nie jest starą panną.

A Lucia powolnym głosem mówiła dalej, kręcąc jasną głową:

– Chciałabym się kiedy zakochać, wie pani? To musi być przyjemne. Ale w kim? W Słodkowcach nie ma kandydata. Chyba pan Ksawery. Ha! ha! On ma za dużą łysinę i mówi do mnie: „moje dziecko”. Bardzo tego nie lubię. Jest tu w Ożarowie hrabia Trestka, ale w nim się nie zakocham, bo ma taką gapiowatą minę. Zresztą on stara się o pannę Ritę. Ot! szalałabym na pewno za Waldym, ale on jest moim wujecznym bratem. On bardzo przystojny i elegancki, ale za poważny, czasem się tylko rozdokazuje.

– Moja Luciu, nie myśl o takich rzeczach – wtrąciła Stefcia. – Jesteś za młoda. Przyjdzie czas i na to. Im później, tym lepiej.

– Pani tak mówi, bo sama z tego powodu miała dużo smutków.

– Skąd wiesz?

– Wiem od mamy.

Stefcia poruszyła głową.

– Mama czasem wszystko mi mówi, ale czasem nic. Zresztą cóż w tym złego? Przecież nie zawsze bywa taki koniec rozpaczliwy, zwykle doznaje się dużo szczęścia.

– Ty już o tym wiesz? – spytała Stefcia ubawiona.

– Ja, czytając dużo powieści francuskich, wiem, co znaczy miłość, lecz na sobie nigdy jej nie doświadczyłam. Kiedyś zapytałam Waldemara, co się wówczas czuje – bo on już może być doświadczony.

– I cóż ci odpowiedział?

Lucia machnęła ręką.

– Ech, Waldy zawsze żartuje. Powiedział mi tak: „Kochać się to jest zupełnie to samo, co odrabiać lekcję arytmetyki” – bo wie, że najgorzej nie lubię rachunków. Pani mogłaby mi coś powiedzieć, ale pani nie powie. Będę czekać na podobne wiadomości z własnej praktyki.

– Tylko nie zaprzątaj głowy oczekiwaniem. Powtarzam: to za wcześnie.

Lucia zrobiła ruch, jakby sobie coś przypominając, i z wesołą mimiką szepnęła:

– Już wiem! Otóż i zakocham się, nawet prędko, może za tydzień lub za dwa. Ma tu przyjechać praktykant, mówił Waldy. On ma takich kilku w Głębowiczach, z dobrych rodzin. I ten, co tu przyjedzie, jest podobno z dobrej rodziny, taki, co mu nic nie płacą i on nie płaci. Będzie mieszkał w pawilonie, ale jadał z nami. Chciał tu się dostać hrabia S., lecz podobno okropny laluś, więc Waldy odmówił.

– A ten może nie zadowoli twego gustu? – rzekła Stefcia, myśląc o czym innym.

– No, zapewne! Ale jeśli ładny, to się zakocham.

W tej chwili wszedł do altany młody pokojowiec i rzekł służbowo:

– Jaśnie pani prosi do stołu.

Po czym, nie czekając rozkazu, zabrał książki i niósł do pałacu z wielką czcią.

W sali jadalnej, stylowej, z sufitem w płyty mahoniowe, wszyscy już byli zebrani. Pani Elzonowska, siedząc w krześle, oczekiwała na córkę.

W ręce gniotła serwetę, miała wygląd zirytowany. Poruszała ustami z grymasem i podnosiła jedną brew prędko, co u niej oznaczało niezadowolenie. Obok niej siedział pan Maciej Michorowski, starzec osiemdziesięcioletni. Szczupły i trochę pochylony, robił sympatyczne wrażenie rozumnym wyrazem twarzy bladej, ozdobionej siwym wąsem i dwojgiem miłych szarych oczu. Rysami twarzy przypominał cesarza Franciszka Józefa i dziwną ufność wzbudzał w każdym. Pociągającym uśmiechem ujmował wszystkich, jakby mówiąc: „Szanujcie mię i kochajcie”.

Teraz słuchał wnuka, rozważając każde jego słowo. Staruszek widział w nim swe odrodzenie, młodość.

Waldemar, oparty o wysoką poręcz krzesła, rozdrażniony, ze zmarszczonymi brwiami, dowodził coś, na coś się nie zgadzał, co oburzało panią Elzonowska.

Czwartą osobą przy stole był pan Ksawery, emeryt, stary i łysy, wielki smakosz. Ten, widząc, że ordynat nie siada, stał również, z miną nieszczęśliwą. Nie zajmowała go rozmowa Waldemara z ciotką: on pożerał oczyma wazę, stojącą na bocznym stole, z której ulatywała woń zupy à la reine. Zerkał strapiony na baronową i na wyfrakowanego lokaja. Lecz i ten oczekiwał hasła rozlewania zupy. Nareszcie Stefcia i Lucia weszły. Pani Idalia spojrzała bystro na Waldemara, dając mu do zrozumienia, że czas zakończyć rozmowę. Ale ordynat sam umilkł. Prędko podszedł do panien i ucałowawszy Lucię, skłonił się Stefci z wyszukaną elegancją. Ironiczny uśmiech od razu

osiadł mu na ustach.

– Po takiej poezji, jak las i kwiaty, spotykamy się przy prozaicznym obiedzie. Gzy to pani nie razi? - spytał.

Stefcia poczerwieniała. Jego słowa zniweczyły jej humor w jednej chwili.

– Nie myślałam o tym odparła chłodno.

– Szkoda! A ja wątpiłem, czy panią zobaczę. W tej puszczy mógłby panią porwać jaki szczęśliwy wilkołak, połknąć żywcem lub unieść do swych komyszy. Bardzo rad jestem, że pani ocalała.

– Czy i ty, Waldy, byłeś rano w borku z panną Stefanią? - spytała Lucia.

Pani Elzonowska popatrzała na Stefcię zmrużonymi oczyma jak szpareczkami i z odpowiednim grymasem ust spuściła je znowu na talerz.

Waldemar zauważył przykrość na twarzy Stefci, spojrzał bystro na Lucię i odpowiedział swobodnie:

– Jadąc przez las widziałem pannę Stefanię spacerującą.

Stefcia uczuła wdzięczność dla niego.

Służący obniósł zupę. Zaczęto ją spożywać w milczeniu. Takie ciche obiady zdarzały się tu rzadko, ale bywały ciężkie jak gradowa chmura.

Stefcia poznała, że chmura i dziś wisi nad stołem.

Pani Idalia, siedząc bez słowa, wyglądała, jak gdyby połknęła kij. Sztywna jej postać, chłód bijący z twarzy oziębiał i pana Macieja. Staruszek chciał rozweselić wszystkich, rzucał od czasu do czasu jakieś zdanie, ale rozmowa nie kleiła się. Zły humor pani domu działał przygnębiająco. Nawet pan Ksawery, chociaż nie tracił apetytu, spoglądał na baronową z obawą.

Tylko ordynat zachował swobodę, lecz także milczał. Wypił dwa kieliszki starki. Po zupie lokaj ciągle dolewał maderę, zdziwiony, że młody pan ma tak wyjątkowe pragnienie. Po polędwicy Waldemar pił na umor burgunda, lecz zdziwienie służącego wzrosło, gdy podano szparagi. Zwykle ordynat nie lubił tej potrawy, ale dziś drugi raz kazał sobie podawać.

Pani Elzonowska spojrzała na niego z miną istoty wyższej, która by nie potrafiła dobierać jednej potrawy. Uważała to za nieestetyczne, w ich sferze niesłychane. Jej zły humor znalazł ujście, nie wytrzymała. Bez podniesienia oczu rzekła po francusku, głosem trochę syczącym, ciągnąc wyrazy:

– Nie rozumiem, jak można dwa razy brać z półmiska. Bierze się tylko raz odpowiednią ilość dla zaspokojenia apetytu.

Pan Maciej patrzał na córkę z wymówką w oczach. Nie rozumiał rozdrażnienia posuniętego aż do niegrzeczności. Ale Waldemar nie zawstydził się, przeciwnie, rozweseliło go to. Zerknął na ciotkę złośliwie, na Stefcię figlarnie, uśmiechnął się i zawołał do lokaja:

– Jacenty! podaj mi jeszcze szparagi.

Pani Idalia zacięła usta. Pan Maciej teraz na wnuka spojrzał z wymówką.

Stefcia i Lucia wstrzymywały śmiech, tylko lekkie drganie kącików ust Stefci wskazywało, że ją ta scena ubawiła.

Jednakże Waldemar to zauważył. Zaczął dowcipkować z panem Ksawerym, wreszcie rzekł:

– Zapraszam pana do Głębowicz na całe lato, dobrze? Będzie pan miał wszystko, czego dusza zapragnie. Co dzień zupa à la reine, szparagi, bo ja pasjami polubiłem szparagi – co dzień gra w szachy, dzienniki ilustrowane. Nawet na pańską intencje urządzę iluminację, którą pan tak lubi. Cóż, zgoda?

Pan Ksawery wyjął z przepaścistej kieszeni surduta ogromną chustkę, dokładnie wytarł sobie łysinę i dopiero wówczas odpowiedział:

– Co panu po mnie, panie ordynacie? Dobędę już w Słodkowcach.

– W Słodkowcach będzie ktoś inny... młodszy. Pan nie potrafisz bawić dam! To, widzi pan, wyłączna zdolność. My obaj. apostołowie celibatu, trzymajmy się razem w Głębowiczach. Tu moja pani ciotka życzy sobie kogoś zabawniejszego.

Pani Idalia wzruszyła ramionami.

– Zechciej łaskawie nie narzucać mi własnych kaprysów – rzekła kwaśno.

Waldemar poważnie pochylił głowę.

– Zawsze jestem na twoje usługi, kochana ciociu.

Po czym rzekł do Stefci:

– Pani wyrocznią, pani głosuje, czy pan Ksawery ma zostać w Słodkowcach, czy go mam zabrać do Głębowicz?

– Moje zdanie zbyteczne – odparła Stefcia podrażniona.

Waldemar utkwił w niej szare, przenikliwe oczy z wyrazem trochę szatańskim. Potrząsnął głową i zawołał z udanym żalem:

– Desperacja! Nie mam weny do pani. Co krok to rekuza! Pani jest dla mnie okrutną. Luciu, czemu nie nawrócisz panny Stefanii na moją stronę? Powinnaś tego dokazać.

Dziewczynka spojrzała na matkę i spuściła oczy. Widocznie chciała coś odpowiedzieć, lecz surowa twarz matki onieśmieliła ją.

Wtem przemówił pan Maciej, chcąc nadać inny kierunek rozmowie:

– Czy będziesz nocował. Waldy?

– Broń Boże! A to po co? Wydam ostatnie polecenia Kleczowi i jadę.

Spojrzał na Stefcię i dodał:

– Chyba panna Stefania zechce, abym został jako partner do tenisa. W takim razie zapominam dziś o Głębowiczach i...

– Waldy, proszę cię, nie żartuj – przerwał pan Maciej; bardzo niezadowolony.

– Ależ ja wcale nie żartuję! Panna Stefania może mię skłonić do zostania. Więc... słucham wyroku?

I pochylony patrzał na Stefcię zuchwałym wzrokiem.

– Słucham wyroku! – powtórzył.

Stefcię oblała gorąca krew oburzenia.

Z jaką przyjemnością cisnęłaby w twarz tego magnata serwetką lub talerzem.

Podniosła na niego oczy pełne gniewu i odrzekła:

– Mówiłam panu, że nie grywam w tenisa, i jeszcze raz to powtarzam.

– Ach! więc zostanę nauczycielem pani. Ręczę za świetne rezultaty.

– Zbytek łaski – rzuciła gniewnie.

Waldemar mówił dalej:

– Pani jest niesłychanie do twarzy w koralach. Wyglądają apetycznie, jak dojrzałe wiśnie. Gdybym był wróblem, nie odpędziłaby mię pani od siebie, objadłbym wszystkie. Tymczasem tylko ślinkę łykam.

Stefcia zbladła, zagryzła usta i obrzuciwszy Waldemara chłodnym wzrokiem, spuściła oczy.

Obiad skończył się. Baronowa wstała nie spojrzawszy na nikogo i prędko wyszła z sali.

W Słodkowcach przy powstaniu od stołu nie dziękowali sobie. Taki panował zwyczaj. Stefcię on raził i stale oddawała wszystkim ogólny ukłon.

Pani Idalia z zasady na ukłon taki nie odpowiadała, a pan Maciej zawsze nawet podawał Stefci rękę, co ją krępowało ze względu na panią Idalię.

Ordynat dla dokuczenia ciotce i dla własnej przyjemności również podawał Stefci rękę, wiedząc, że ją tym rozgniewa. Ale dziś Stefcia, chcąc uniknąć podziękowania, powstała prędzej od baronowej i skłoniwszy się ładnie głową panu Maciejowi, podążyła w stronę drzwi.

Waldemar zręcznie zastąpił jej drogę i wyciągając dłoń przemówił:

– Dziękuję pani za miłe vis-a-vis.

Stefcia cofnęła się i nie podając mu ręki przeszła, nawet na niego nie patrząc.

Młody magnat patrzał na Stefcię zdumiony. Kiedy znikła za drzwiami, szarpnął ładne złotawoblond wąsy i nic nie mówiąc poszedł do swego gabinetu.

Usiadł na fotelu przed biurkiem, wyjął z kieszeni kosztowną cygarniczkę, wydobył cygaro i zaczął zapalać z nadzwyczajną uwagą i namaszczeniem. Pełne, barwne, zmysłowe usta wydymał lekko, pykając z cygara błękitnym dymkiem.

Z brwią namarszczoną siedział, z widocznym skupieniem w szarych oczach. Świeciły w nich złowrogie płomyki. Po chwili poruszył się, wsunął ręce w kieszenie, założył nogę na nogę i rozparty wygodnie w fotelu, rzekł głośno, nie wyjmując z ust cygara:

– Po prostu dała mi w pysk.

Ubawiony własnymi słowami, szepnął znowu:

– Zuch dziewczyna! Ale temperament ma piekielny!...

## III.

W parę godzin potem ordynat powstał od biurka i podając rękę rządcy rzekł grzecznie:

– Skończyliśmy. Jeśliby zaszło coś niespodziewanego, proszę telefonować, będę cały czas w domu.

Rządca Klecz skłonił się z uszanowaniem, z pewną czcią dotykając ręki

Michorowskiego, zapytał zdziwiony:

– Pan ordynat nieprędko będzie w Słodkowcach?

– O tak! do tygodnia, może dłużej.

– W takim razie muszę jeszcze trudzić pana w jednej kwestii.

– Proszę.

– Chcę mianowicie spytać, jaką czwórkę przeznacza pan ordynat na wyłączny użytek pałacu: karą, kasztany czy gniade?

– Dlaczego pan o to pyta?

– Bo kare są to konie bardzo delikatne. Pani baronowa często jeździ do Szal, do hrabstwa Ćwileckich. To jest przecie cztery mile i nietęga droga, Konie, do naszych dróg przyzwyczajone, przychodzą jak haki. Pani baronowa ostro jeździ. Ja sam nie mogę przedstawić, ale wolałbym, żeby jedna czwórka była wyłącznie przeznaczona do rozjazdów, bo wówczas już bym nie odpowiadał za konie.

Waldemar słuchał prędkiej mowy rządcy, przekładając papiery na biurku. Podniósł głowę, spojrzał na Klecza ze zdziwieniem i rzekł spokojnie:

– Przede wszystkim stangret odpowiada za konie po takiej wycieczce, nie pan.

Klecz zmieszał się.

– Tak, właściwie. Ależ ja mogę odpowiadać za to, że je daję.

Michorowski przesunął ręką po czole i rzekł z akcentem:

– Proszę pana, czy mej ciotce wszystko jedno, jakimi końmi jedzie?

Klecz zmieszał się mocniej.

– Nie, pani baronowa zawsze sama dysponuje i rozmaicie: czasem kare, czasem kasztany.

– A więc musi pozostać tak, jak jest.

Klecz zrozumiał, że niezręcznie poruszył tę sprawę i że powinien już odejść. Spojrzał na ordynata: widok jego zsuniętych brwi i wydętych ust dotknął rządcę niemile. Oczów ordynata nie widział, gdyż były spuszczone na papiery, ale domyślał się, że wyraz ich nie jest zachęcający.

Klecz zawsze podziwiał grzeczność tego magnata względem podwładnych. Lecz wiedział, że zmarszczenie brwi, charakterystyczne wydęcie ust i wielkopańskie zaniedbanie w całej postaci nie jest u niego oznaką zbyt dobrego humoru. Rzekł z ukłonem:

– Przepraszam, że się ośmieliłem.

– O, proszę pana! – odrzekł Michorowski szczególnym tonem jakby przebaczenia i zarazem oburzenia za te przeprosiny. Wypowiedział te słowa wspaniałomyślnie i karcąco.

Podniósł przy tym głowę i błyskawicznie spojrzał na Klecza. Ten pragnął już nie być w gabinecie.

– Moje uszanowanie – rzekł kłaniając się powtórnie.

– Do widzenia! – rzucił ordynat krótko, z odpowiednim kiwnięciem głowy.

Podniósł przy tym brwi nerwowym ruchem.

Klecz wyszedł. Ordynat odetchnął.

– Wiecznie skargi na ciotkę – mruknął zły – i zawsze Klecz. No, ale już dziś zrozumiał. Nie lubię dawać takich nauk. Przeszedł się po gabinecie i pokręcił głową.

– Ten ją lubi! – rzekł prawie głośno.

Zjawił się kamerdyner Jacenty.

– Starszy pan prosi jaśnie pana do siebie.

– Dobrze. Każ siodłać konia.

Pan Maciej czytał u siebie w gabinecie, zagłębiony w staroświeckim fotelu. Na widok wchodzącego wnuka położył księgę na stoliku.

– Przepraszam, że cię wezwałem. Chcę z tobą pomówić. Może byłeś zajęty?

Waldemar uśmiechnął się.

– Choćby nawet. Czy nie uważasz dziadziu, że jesteś pierwszym?

Staruszek podał mu rękę.

– Dobry jesteś, bardzo dobry. Tym bardziej mi przykro, że ci muszę dać burę. Siadaj tu, nieznośny chłopcze.

Wskazał mu fotel, stojący naprzeciw.

Waldemar nie usiadł. Przez okno zaglądał do parku, gdzie śpiewały słowiki. Spytał z żartobliwym odcieniem w głosie:

– Doprawdy? Cóż zawiniłem?

– Mój drogi chłopcze, niepotrzebnie drażnisz Idalkę.

– Ach, więc już ciotka dziadzia przekabaciła. Winszuję!

– Ale cóż znowu, mój Waldy! Tylko widzisz, ja nie lubię nerwów, a ona je posiada w wysokim stopniu. Gdy je podrażnisz, mamy takie obiady jak dzisiejszy, co miłym nie jest.

– No dobrze. Ale ostatecznie jakiego zdania jest dziadzio? – spytał Waldemar porywczo.

– Ja stanowczo trzymam twoją stronę. Ten hrabia S. jest niepoczytalny. Idalka sądzi inaczej. Ona mówi, że powinniśmy zawsze trzymać się naszej sfery i dopomagać jedni drugim, zamiast szukać obcych bogów. Po części mówi prawdę, ale w tym wypadku...

Waldemar wybuchnął ironicznym śmiechem.

– Wspaniała teoria! Altruizm ciotki rozczula mię! Ale to jest pseudoaltruizm. Ciotce ten hrabicz zaimponował, jakby sama była parweniuszką. Hrabia S. praktykantem w Słodkowcach – to ciotkę łechcze. Ale ja jestem krańcowym egoistą i takiego poliszynela nie wezmę na praktykanta, po części swego pomocnika. Ja szukam nie sfery, lecz tęgości, energii, o czym ten pan pojęcia nie ma. Ze jeden z praktykantów w Głębowiczach jest hrabią, to nie dowodzi, bym szukał drugiego i brał bez względu, jaki on. Tamten w Głębowiczach pracuje jak każdy inny, a hrabia S. jest do niczego. Może ciotka myśli, że praktykant będzie tu odgrywał rolę panicza na wodach, będzie grywać w tenisa, w bilard i czytać głośno romanse francuskie. Pewnie, do takich zajęć hrabia S. byłby zdolnym, ale ja wymagam praktykanta innego i takiego mieć muszę. Zresztą już mam, jest umówiony, a

umowy nie zerwę dla... idiosynkrazji ciotki.

Mówił żywo, gestykulując i chodząc po gabinecie.

Stanął przy oknie.

– Czy dziadzio wie, jaką ja odbywałem praktykę u książąt Łozińskich po skończeniu Halli? – spytał gwałtownie. – Jeśli hrabia S. jest zdolny do podobnej, niech przyjeżdża zadowolić ambicję cioci.

Pan Maciej machnął ręką.

– Dajże spokój, znam dobrze tego gagatka. Uperfumowany laluś, ma dwadzieścia kilka lat i już sporą łysinę. Sama tualeta zajmuje mu pół dnia czasu. Byłby ci zawadą, nie pomocą.

– Eee! ja bym nie robił ceremonii. Nie chcesz, paniczu, wstawać o piątej, to jazda do Monte Carlo na ruletkę. Ja chcę, aby moi praktykanci korzystali. W Słodkowcach i Głębowiczach mają do tego wielkie pole. Ale brać pierwszego dudka nie mam zamiaru. Ten S. nie skończył żadnej szkoły rolniczej. Cóż on chce, żebym mu wykładał agronomię od a do z, i to wtedy, jak mu przyjdzie ochota lub jak go znudzi tenis? Podobnym filantropem dla sfery nie jestem. Niech ciotka założy tu szkołę dla takich filistrów, sferzystów, gogów, tenisistów, a wówczas ja poślę karetę po hrabiego obitą poduszkami, żeby się nie rozbił jak pusty flakonik od perfum.

Pan Maciej zaśmiał się.

– Tego by tylko brakowało, żebyś to Idalce powiedział.

– A powiem! Jeśli ciotka zacznie mi wmawiać miłość do naszej wyłysiałej sfery, to powiem. Na szczęście mieszkam w Głębowiczach, mogę tu rzadziej bywać, jeśli tak ciotkę irytuję.

– No, mój drogi, nie myśl o tym. Ale wiesz co? Ten pan praktykant mógłby naprawdę mieszkać w Głębowiczach i byłby spokój. Jak myślisz?

– Ależ w Głębowiczach mam trzech praktykantów, a tu żadnego. Wreszcie z Głębowicz do Słodkowic jest z górą dwie mile, więc tam jeździłby na obiady i noclegi? Głupstwo! to jest niemożliwe!

– Więc może niech jada u Klecza?

Waldemar usiadł i pochylony do pana Macieja rzekł poważnie, biorąc go za rękę:

– Dziadziu, proszę być szczerym: czy dziadzio to mówi pod wpływem ciotki, czy z własnej niechęci, aby ten praktykant przebywał z nami? Jeśli dziadzio sam tego nie życzy, jeśliby mu to sprawiło przykrość, proszę mówić otwarcie. Cofnę umowę z tym panem i rzecz skończona. Tobie, dziadziu, nie chcę przyczyniać przykrości.

Pan Maciej objął wnuka, ucałował go serdecznie i rzekł:

– Jesteś, Waldy, bardzo kochanym chłopcem. Dziękuję ci za troskliwość . Będę szczerym: ten pan nie sprawi mi najmniejszej przykrości, owszem, lubię towarzystwo młodych. Zresztą wiem, że nie przyjmujesz człowieka bez wychowania, bo ci na to nie pozwoli twój własny smak, dobry, wytworny gust. Ja nic nie mam przeciw temu, nawet podzielam twe zdanie. My powinniśmy cywilizować, wszczepiać dobrą rasę w mniej rasowych, podnosić

kulturę – a skoro jesteśmy do tego zdolni i powołani, nie możemy się usuwać, to nasz obowiązek jako przewodników w społeczeństwie. Hrabia S. nie skorzystałby u nas, a ten pan z pobytu w naszym gronie może wynieść dużo atomów, które z czasem mogą być dla niego pożytkiem, upiększeniem w życiu, za co pozostanie nam wdzięcznym.

Waldemar wiedział, że dziadek mimo trzeźwości i rozsądku był zagorzałym fanatykiem własnej sfery i cześć dla niej posuwał aż do fetyszyzmu. Wyobrażał sobie, że arystokracja jest batutą w ręku Boga, że kieruje masą ludzi niżej umieszczonych, orkiestrą ludzkich wrażeń: że nadaje im odpowiednie hasło, każe tłumom patrzeć na siebie, zmusza do kierowania się śladem jej ruchów.

Jednej wady pan Maciej nie mógł darować swej fikcyjnej batucie, to jest zamiłowania do cudzych farb, co ją czyniło podobną do maskaradowej pstrokacizny, zakrywającej właściwy grunt.

Na wzmiankę pana Macieja, że obcując z nimi, ludzie innych sfer mogą korzystać wiele, Waldemar zawołał z humorem:

– A tak, skorzysta, będzie nam wdzięczny. Po co ma nabywać atomami? Może przejąć gremialnie nerwy i kwasy ciotki, jej wytworne i dystyngowane minki. Nauczy się makaronizować, uważać zagranicę za wyrocznię, dowie się, że człowiek, który szanuje swą godność, powinien uważać literę „r” za barbarzyński zabytek w alfabecie; wreszcie przekonamy go, że można być skazanym na utratę czci i honoru nie tylko po spełnieniu podłości ale i za... dobieranie drugi raz z półmiska. Wspaniałe nabytki cywilizacji, in summo gradu!

Pan Maciej, zarażony żartobliwym głosem wnuka, śmiał się również. Wszystkie punkta wyszydzane przez Waldemara raziły go w córce. Zgadzał się z nią jedynie w bałwochwalczej czci dla arystokracji, lecz i tę pojmował inaczej.

– Mój chłopcze – rzekł z uśmiechem – mówiłeś tylko o Idalce, a czymże ja cywilizować bym potrafił?

– Och! Dziadzio wywołuje komplimenty. Gdybyśmy byli wszyscy do dziadzia podobni i do babki Podhoreckiej, sądziłbym o nas inaczej. Wówczas może stałbym się kapłanem składającym ofiary na ołtarzu naszej sfery. Śpiewałbym na naszą cześć hejnały i byłbym pionierem naszych czcigodnych haseł, ultra humanitarnych zasad, wyborowej etyki. Lecz ponieważ u innych nie widzę nic podobnego, więc nie śpiewam wraz z ciotką hymnów pochwalnych.

Wysokie czoło starego magnata zmarszczyło się, spuścił głowę i westchnął ciężko. Słowa wnuka wywołały w jego duszy niepokojący szept. Coś w sumieniu cichutko się odezwało, jakaś mała komórka wspomnień, pokryta pleśnią, drgnęła sprawiając ból. Tę smutną chwilę życia można by wytłumaczyć młodością, ale pan Maciej nie należał do ludzi, co dla załagodzenia własnych błędów wynajdują powody i stawiając je przed sobą jak barykady, żyją spokojnie.

Siedział zamyślony, milczący, aż zwrócił uwagę Waldemara. Ordynat przystanął obok dziadka i zaglądając mu w twarz zapytał z uśmiechem:

– O czym dziadzio tak marzy? wolno wiedzieć? Słowiki wprawdzie do tego usposabiają, bo na przykład ja nie jestem romantykiem, a słucham tych ćwierkań z przyjemnością. Gdyby nie perspektywa kolacji w towarzystwie cioci, zostałbym na noc, ale ta myśl odbiera mi humor i apetyt.

– Bo też zostań! Co tam Idalka! Pogodzicie się z sobą.

– Nie, wolę jechać. Wszyscy mię dziś zmęczyli, nawet i ta makolągwa, ta królewna przebrana za pasterkę.

– Co za makolągwa? Jaka pasterka?

– Ano ta – panna Stenia...

Pan Maciej drgnął.

– Stenia? Co ty mówisz, Waldemarze?

Ordynat spojrzał zdziwiony.

– Mówię o pannie Stefanii Rudeckiej. Dziadzio ją przecież tak nazywa.

– Ach, ta!... Istotnie tak ją nazywam, bo to ładnie. Ale czymże ona ci dokuczyła? Ty raczej męczysz ją zawsze i dziś także.

Waldemar zaśmiał się głośno.

– Och! nie zmęczę jej, to ostrodzioba!

– Jednak źle robisz, Waldy, że ją drażnisz. Miłe to i bardzo dobre dziecko. Jest z dobrej rodziny i wiesz przecie, w jakich warunkach została nauczycielką. Pracuje pilnie, choć to nie jej fach właściwy. Trzeba to cenić. Po co jej robić przykrości?

– A cóż, kochany dziadziu, jeszcze jedna cecha naszej sfery: robić sobie zabawkę z takich istot zabłąkanych wśród nas, mieć je za przedmiot żartów, ostrzyć na nich dowcip.

Pan Maciej popatrzał na wnuka z obawą.

– Wątpię, żebyś tak mówił na serio.

– Owszem, zupełnie serio mówię. To także jeden klejnot z drogocennego skarbca naszych przymiotów.

– Waldy, co tobie dziś jest?

– Jestem wyjątkowo prawdomówny.

– Jesteś tylko rozgoryczony i skutkiem tego niesprawiedliwy nawet dla siebie. Niezdolnym byłbyś do zabawy, o jakiej wspominasz.

– Być może. Zresztą wszystko mi jedno.

– Więc czemu tak postępujesz?

Waldemar podniósł rękę do góry.

– Dla tradycji, kochany dziadziu!

– Ech! zawsze kpisz.

– Więc powiem prawdę. Ja jej nie cierpię!

– Kogo? Panny Steni?

– Tak, jej we własnej osobie.

– Za co? Takie to piękne, dobre, inteligentne!

Waldemar wzruszył ramionami.

– Prawdopodobnie za to samo, za co i ona mnie. Czy ja wiem, za co? Mniejsza o to. Muszę jechać, konia dawno oprowadzają. W nocy zajadę do Głębowicz. Za tydzień przyjeżdżam z praktykantem, ku wielkiemu zadowoleniu cioci.

– Jak to! wcześniej nie będziesz?

– Zapewne. Mam dużo zajęcia.

Pan Maciej uścisnął serdecznie wnuka.

– Jakże ty sam pojedziesz? Czemu nigdy nie weźmiesz masztalerza?

– Nie lubię mieć za sobą gapia.

– Weź stajennego.

– Ależ, dziadziu! czyż jestem dzieciak, żebym się miał bać nocy?

Uścisnął dziadka, wyprostował swą męską postać i zaśmiał się głośno.

– Idę pożegnać ciocię. Ale czy mię nie zrzuci ze schodów?

– Dajże spokój. Idalka śpi. Pożegnam ją od ciebie.

– Tym lepiej. Do widzenia!

Waldemar wyszedł z gabinetu.

Pan Maciej widział przez okno, jak wskoczył na konia i ruszył kłusem. Za nim w podskokach biegł duży, pyszny dog Pandur, ulubieniec ordynata.

W bramie Waldemar spotkał Stefcię i Lucię, wracające ze spaceru. Lucia zaczęła coś mówić, a Stefcia na jego ukłon odpowiedziała skinieniem głowy i szła wolno w głąb dziedzińca, nie uważając na niego. Lucia wkrótce podążyła za nią.

Waldemar stał w bramie, patrząc uporczywie na Stefcię, dopóki nie znikła mu z oczu. Wówczas uderzył konia szpicrózgą, świsnął na psa i pomknął jak wicher.

Pan Maciej uśmiechnął się.

– Mówi, że jej nie cierpi, a jednak interesuje go – szepnął do siebie.

## IV.

Życie Stefci płynęło w Słodkowcach spokojnie. Lekcje, rozmowy z Lucią, muzyka, spacery i czytanie wypełniało każdy dzień.

Panią Idalię Stefcia widywała najczęściej przy stole, w innych godzinach dnia można ją było spotkać w gabinecie. Rozłożona wygodnie na szezlongu lub na bujającym fotelu, czytała, ciągle czytała. Na stolikach, konsolach, krzesełkach walało się pełno dzieł Jakuba Rousseau, Zoli, Dumasa, Bourgeta, nawet Voltaire'a obok Rochefoucaulda i Chateaubrianda. Najwięcej książek francuskich – czasem błysnął Dickens, Walter Scott lub zamajaczył Shakespeare. Niemieckie tomy spotykały się rzadko, z polskich ani jednego. Pani Elzonowska wystarczała sobie najzupełniej. Córkę oddała pod opiekę Stefci, rzadko udzielając jej posłuchania. Ojca pani Idalia odwiedzała jedynie w chwilach dobrego humoru, grywając z nim w szachy. W takich razach

znosiła nawet obecność pana Ksawerego, codziennego partnera.

Bywały dnie, że pod wpływem wrażeń zaczerpniętych z literatury stawała się przesadnie czułą dla córki, ojca, nawet dla Stefci. Z miłym uśmieszkiem wypytywała ją, czy jej czego nie brak, i po takim występie była przekonaną o swej anielskości. Wyjeżdżała często do Szal, do siostry męża, hrabiny Ćwileckiej, lub do Obronnego, gdzie mieszkała księżna Podhorecka, babka Waldemara po kądzieli.

Więcej sąsiedztw Słodkowce nie posiadały, gdzie by pani Idalia mogła bywać bez uchybienia sobie w jej przekonaniu. Kilka domów obywatelskich odwiedzało Słodkowce, uważając to za obowiązek towarzyski, a głównie dla dogodzenia własnej ambicji. Pan Maciej przyjmował ich uprzejmie, pani Idalia grzecznie, ale rewizytował ich tylko Waldemar. Pana Macieja tłumaczył wiek, panią Idalię własny pewnik: pas pour moi, co wszyscy rozumieli, wmawiając w siebie, że pani Idalia często cierpi na nerwy.

Jadąc do Szal lub Obronnego, wstępowała czasami do sąsiadów będących poza obrębem jej dążeń. Ale nie zapomniała nigdy nadmienić, że tylko wstąpiła, jak w jej słowniku brzmiało: par politesse. Pani Idalia miała swe zasady wyłączne. W Słodkowcach goście zdarzali się często, z nieuprzywilejowanych jedni dążyli tam w celu odwiedzenia pana Macieja, innych wiodła próżność, a jeszcze innych nadzieja zastania ordynata. Ten młody magnat i milioner miał na siebie zwrócone oczy całej okolicy. Przedstawiał partię jedną z najpierwszych w kraju, dla wielu niedoścignioną. To tłumaczyło u niektórych żywą sympatię dla pana Macieja oraz łatwe składanie na nerwy i migrenę niechęci pani Idalii do życia towarzyskiego.

Stefcia pomimo pracy tęskniła za domem. Listy jej nie wystarczały, ogarniał ją smutek.

Obie z Lucią często widywały pana Macieja, odwiedzając go w jego gabinecie. Stary ten człowiek dziwnie ją rozrzewniał. Miał nadzwyczaj miły uśmiech. Rozmawiając z nim doznawała złudzenia, że to nie arystokrata z tej samej sfery, co pani Idalia. Nawet urządzenie jego mieszkania różniło się od urządzenia pałacu.

Wszystko tu było staroświeckie, ale wesołe i bez sztywności panującej w wytwornych salonach przesiąkniętych etykietą.

Pan Maciej często siadywał w ogrodowej altanie, słuchając czytania Stefci. Lubił jej muzykę. O szarej godzinie grywała mu Chopina i ulubione arie z oper. Stefcia dogadzała staruszkowi, z każdym dniem przywiązując się do niego więcej. Ale pan Maciej wpadał w melancholię, gdy Waldemar długo nie przyjeżdżał. Tęsknił do wnuka, bo jego wesołość, młodzieńcza postać pełna życia ożywiała starca. Cieszył go widok jedynego potomka ich rodu z linii głębowickiej.

Po tygodniu nieobecności swego ulubieńca pan Maciej zaczął już wpadać w smutny nastrój. Nie bawiły go szachy ani czytanie, nawet muzyka Stefci. Słuchał z roztargnieniem nokturnu Chopina, kręcąc się niespokojnie w fotelu, posyłał Lucię do okna, czy nie jedzie Waldemar. Na przeczącą odpowiedź

mruczał:

– Co to jest? Co to znaczy?...

Gdy Stefcia skończyła grać, podziękował jej i poszedł do siebie.

– Dziadzio dziś smutny – rzekła Lucia – a czy pani wie, dlaczego? Bo Waldy marudzi z przyjazdem. Dziadzio go okropnie kocha.

– Niechby już przyjechał – odrzekła Stefcia.

Lucia poszła do matki, Stefcia do swego pokoju. Stanęła w otwartym oknie i z rozkoszą pochłaniała oczyma grę promieni słonecznych, dziergających w złote nitki rozpyloną wodę fontanny. Z cichym szumem spadała fala do kamiennego basenu, jak różowo-złota chmurka, strzepując drobne kropelki na rosnące obok kwiaty. A one zdawały się podnosić spragnione główki, barwne, pachnące. Słońce przesuwało czerwony krąg ku zachodowi, sypiąc na ziemię jaskrawe pyły. Oblewało ciepłym tchnieniem pysznie rozwinięte drzewa i wspaniałe dywany aksamitnych roślin.

Była w powietrzu promienność, lenistwo nadchodzącego wieczoru, rozmarzająca ociężałość. Spokój wiał z natury w powodzi gorącego światła, bez podmuchu wiatru. Nagle w ciszę, mąconą jedynie chórami ptaków i szeptem fontanny, wpadł inny głos.

Najpierw rozległ się turkot kół, tupot wielu koni, wreszcie zabrzmiały wesołe głosy ludzkie i zza gęstwiny krzewów wjechało na żwirowany podjazd pałacu kilka pojazdów. Pierwsze powozy zaprzężone w czwórki były poważniejsze, wolant i brek wypełniony po brzegi wyglądały weselej. Rozmowy i śmiechy dochodziły głównie z breku. Tam jasne kapelusze i suknie pań zaćmiewały sobą ciemne sylwetki panów.

Stefcia, cofnięta w głąb pokoju, patrzała ciekawie.

Powozy stanęły przed gankiem, brek i wolanty zatrzymały się w szeregu i naprzeciw jej okna towarzystwo zaczęło wysiadać. Wtem spojrzeli w stronę wjazdu. Panie, wymachując parasolkami, wołały:

– Spóźniony! Spóźniony! pobiliśmy pana.

Po bielejącej wśród trawników drodze pędziła wyciągniętym kłusem czwórka w lejc karych lśniących koni, kierowana przez ordynata. Siedział na koźle małego jak cacko wolancika i unosząc w górę kapelusz wymachiwał nim na powitanie. Na siedzeniu przyczepiony jechał stangret w czarnej liberii z czerwonym.

Waldemar obok breku zatrzymał konie prawie na miejscu, a łagodnie.

– Prześcignęliście mnie państwo – wołał rzucając lejce stangretowi. – Ale proszę pamiętać, że jadę cztery mile. To coś znaczy. Przy tym Brunon lazł jak żółw, musiałem go zsadzić z kozła i wówczas zacząłem was dopędzać. To mi musicie przyznać.

– Konie pańskie ogrzewały nam plecy oddechem – zawołała młoda przystojna panna o minie zuchwałej i wesołych oczach. – Próbowałam je gładzić, ale zbrudziłam tylko rękawiczkę. O, niech pan patrzy!

I wyciągnęła do Waldemara rękę opiętą w jasną dunkę.

– Przepraszam, to nie brud, tylko pot koński. Moje konie są zawsze

przeczyste – odrzekł Waldemar.

– Pan się kocha w swych koniach, prawda?

– Tak, to jedyna moja miłość.

– Bez wzajemności – dodała młoda panna z wdzięcznym uśmieszkiem.

– Voyons, monsieur, vous avez de la chance! – zawołała jedna z pań.

Waldemar ukłonił się żartobliwie.

– Jestem rozczulony, szanowne panie. Nie rozumiem tylko, po co tu stoimy. Rada starszych dawno w objęciach ciotki. Chodźmy również.

Towarzystwo znikło w ogromnych drzwiach głównej sieni. Waldemar szedł ostatni, trochę się ociągając. Kiedy mijał okno Stefci, zwolnił kroku i spoza lip rzucił prędkie, ciekawe spojrzenie.

Stefcia myśląc, że wszyscy przeszli, wyjrzała również i spotkali się oko w oko.

Dostrzegła jego zaciekawienie. Na jej widok spoważniał, zdjął kapelusz i poszedł dalej.

Stefcia postanowiła nie wychodzić. Nikt jej nie zna, a przynajmniej uniknie żartów Waldemara, może i docinków pani Idalii, bo to był dzień jej złego humoru.

Uszczęśliwiona własnym pomysłem, Stefcia zaczęła nucić. Z góry dochodził przytłumiony gwar głosów męskich i kobiecych. Czasem dźwięknął fortepian krótko, urywanie, jakby ktoś przechodząc uderzył parę akordów. Niekiedy zabrzmiał głos dominujący, a potem głośny wybuch śmiechu. Widocznie bawiono się tam doskonale.

Po godzinie do pokoju Stefci wpadła Lucia zdyszana, zarumieniona i zaczęła mówić z niebywałym ożywieniem:

– Czy wie pani! Szesnaście osób przyjechało, licząc z Waldym. Jest i ciocia Ćwilecka z córką Michalą, bo Pauli nie ma w domu, i księżna Podhorecka, babka Waldemara, i młodzi księstwo Podhoreccy, i Żyżemscy, i hrabia Trestka, i dużo, dużo gości.

– Skądże tak nagły zjazd?

– A tak sobie, taki traf. Wszyscy do nas jechali osobno i na drodze dopiero połączyli się. Najwięcej osób z Obronnego: jeden powóz i brek. Waldy jechał także do nas i jego spotkali. On nawet chciał prześcignąć brek, ale przegrał. Teraz się z niego panna Rita wyśmiewa.

– Któż to panna Rita?

– Szeliżanka. To jakaś kuzynka czy przyłatana siostrzenica księżnej Podhoreckiej, ale że sierota, więc stale mieszka w Obronnem. Ona tu bardzo często przyjeżdża, tylko teraz długo bawiła w Wiedniu i dlatego jej pani nie zna. Bardzo miła i wesoła.

Stefcia pomyślała, że to ta sama szykowna panna, która pokazywała Waldemarowi zbrudzoną rękawiczkę.

– To przystojna panna. Prawda?

– Tak, ładna. Waldy tego nie uznaje, ale mu trudno dogodzić. Pani ją dziś sama pozna.

– Ja nie wyjdę wcale.

Lucia otworzyła szeroko oczy.

– Czemu? Jak to! Pani nie wyjdzie? Ja już chwaliłam się panią przed wszystkimi...

– Ach, moja Luciu!

– A bo ja panią bardzo kocham.

Stefcia ucałowała dziewczynkę.

– Bardzo mię to cieszy. Dziś już sama bądź z gośćmi. Mnie masz na co dzień.

– E! co pani mówi! Ani dziadzio, ani Waldy nie zgodzą się nigdy na to, żeby pani sama została.

Stefcia wybuchnęła śmiechem. Zapewnienie Luci, że Waldemar chciałby ją widzieć, ubawiło ją. Szczególniej on! A zresztą, może: gdyby nie wyszła, nie miałby na kim ostrzyć dowcipu. Ta myśl rozweseliła ją. Jak rozdokazywane dziecko porwała Lucię wpół i zaczęła walcować po pokoju, śpiewając.

Lucia tańczyła zapamiętale. Obie prawie jednego wzrostu, fruwały, kręcąc się w wirze walca i śpiewając jedna przed drugą. Latał za nimi jasny warkocz Luci i trzepotała batystowa suknia Stefci. Na twarzy jej wykwitały rumieńce, fiołkowe oczy spod ciemnozłotawych obsłon błyskały ogniskami, rozchylone różowe usta chwytały szybko powietrze, skutkiem czego śpiewany głośno walc wychodził urywanie. To jednak nie przeszkadzało tancerkom.

Rozbawione, nie słyszały dwukrotnego pukania do drzwi, nie spostrzegły, że je ktoś otwiera. Dopiero po chwili w zawrocie tańca Stefcia osłupiała z przerażenia.

We drzwiach stał Waldemar. Z uśmiechem patrzał na tańczące panienki i na zmieniony wyraz twarzy Stefci. Patrzał na jej rumieńce, na błyszczące oczy, na rozrzucone w tańcu włosy i dziwiła go ta przemiana.

Nie widywał jej dotychczas tak wesołej. Umyślnie stał cicho, chcąc, by go sama spostrzegła. Wyobrażał sobie jej przestrach i bawiło go oczekiwanie. Jak też ona będzie wyglądała?

Nie czekał długo. Stefcia na jego widok oniemiała. Ognista łuna zapaliła jej twarz, w oczach zalśnił gniew, każdy nerw zadygotał w niej z irytacji.

Waldemar z przyjemnością napawał się grą jej rysów i błyskawicami w oczach. Patrzał na nią z zachwytem.

Lucia przerwała niemą scenę wybuchając śmiechem. Podbiegła do Waldemara i ciągnąc go za rękaw na środek pokoju zawołała:

– Złapałeś nas, Waldy, na gorącym uczynku. Myśmy sobie tak pysznie tańczyły, jakby nam orkiestra przygrywała. Ale żebyś ty wiedział, jak panna Stefania tańczy! Jak baletnica.

Waldemar ukłonił się Stefci wytwornie i rzekł, przerywając mowę Luci:

– Pozwoli pani wyjaśnić powód mego wtargnięcia do jej sanktuarium. Dotąd nie miałem przyjemności widzieć pani u siebie. Może trafiłem nie w porę, lecz jestem uszczęśliwiony: ujrzałem panią swobodną. W mej obecności jest pani zawsze nastrojoną na tony możliwie syczące... przed chwilą

widziałem harmonię... i cieszę się bardzo. Pani mię nie powita po całotygodniowym niewidzeniu? – spytał z odcieniem niecierpliwości, patrząc na nią tyranicznie.

Stefcia podała mu rękę.

– Pan zapewne szukał Luci.

– O nie, jestem tu wyłącznie dla pani, a nawet po panią, ponieważ ciotka moja prosi panią na herbatę.

Lucia klasnęła w dłonie.

– A co! czy nie mówiłam, że pani nie pozwolą zostać samej?... Zaraz mówiłam!

Zwróciła się do Waldemara.

– Wiesz, Waldy? Panna Stenia zapowiadała, że nie wyjdzie do gości, że zostanie tu sama u siebie.

– Czy pani miała naprawdę taki barbarzyński zamiar względem nas?

Stefcia odparła prawie wesoło:

– Ma pan dziwny sposób pytania. Istotnie chciałam pozostać u siebie.

– Protestuję! w imieniu całego towarzystwa, które pragnie panią poznać.

Stefcia znowu zesztywniała. Już chciała stanowczo odmówić, lecz on dostrzegł cień na jej wyrazistej twarzy i uprzedzając odpowiedź dodał prędko:

– Proszę panią na herbatę w imieniu ciotki i dziadka. Jeżeli zaś moja babka i pani hra... bi... na Ćwilecka chcą panią poznać, proszę to zawdzięczać swej uczennicy.

– A tak, ja o pani dużo mówiłam cioci i księżnej – potwierdziła Lucia.

– Więc służę paniom.

– Nie, Waldy. Jeśli chcesz iść razem z nami, to poczekaj w saloniku. Musimy sobie poprawić włosy. Wyglądamy jak strachy.

– Ty – tak, ale pannie Stefanii bardzo w tym do twarzy.

– Ach, niegodziwcze! – zawołała Lucia, wyciągając go za drzwi tak samo za rękaw, jak go wciągnęła.

Stefcia spojrzała na młodego pana z niechęcią. Gniewał ją na każdym kroku. On to spostrzegł i podnosząc ramiona z komiczną miną, szedł do drzwi wołając:

– Hannibal ante portas! Mówią mi to pani oczy... Uciekam, już mię nie ma!

Wyszedł. Lucia zamknęła drzwi za nim.

## V.

W niewielkim saloniku w stylu cesarstwa kilkanaście osób bawiło się wesoło.

Lokaje roznosili herbatę i ciastka. Goście, każdy z filiżanką, siadali i pili, gdzie kto chciał. Główne siły towarzystwa zajmowały jeden większy stół, otaczając panią domu i pana Macieja. Pani Elzonowska w świetnym humorze, zachwycona gośćmi, bawiła głównie księżnę Podhorecką i swą szwagierkę

hrabinę. Te zaś dwie damy różniły się znamiennie.

Patrząc na nie można było myśleć, że pochodzą z innych planet. Księżna, wysoka i szczupła, o klasycznym profilu wielkiej damy, arystokratyczne piętno miała jak wszczepione. Uwydatniało się ono w każdym rysie, w ruchu, nawet w fałdach ciężkiej czarnej sukni. Wyidealizowana dystynkcja otaczała ją, nadając poważny a pociągający wdzięk. Białe włosy miała zaczesane gładko nad czołem, przykryte drogocenną czarną koronką. Żadnych klejnotów, oprócz obrączek i pierścienia z ogromnym szmaragdem z wyrytym herbem Podhoreckich. Zegarek ta wielka dama nosiła na czarnym sznureczku. Twarz miała drobną, bladawą, o delikatnej cerze, prawie bez zmarszczek, wyraziste rysy, duże czarne oczy. Piękność miniona widniała wyraźnie. Księżna mówiła niewiele, dźwięcznym głosem i potrafiła zjednywać sobie wszystkich.

Hrabina Ćwilecka był to typ zupełnie inny. Wzrostu średniego, pokaźnie tęga i rubaszna, miała w sobie coś z burżuazji, niczym nie przypominając arystokratki. Ubrana bez gustu, obsadzona brylantami, cała w złotych łańcuchach, świeciła i brzęczała z daleka. Mówiąc do księżnej z potężną gestykulacją, prędko i nerwująco, głośna, wyglądała jak republikanka, plebejuszka, wygrażająca pięściami przedstawicielce arystokracji za czasów rewolucji. Nie lubiła księżnej, nazywając ją ironicznie Spartanką, i chciała zawsze wykazać swą wyższość, polegającą zapewne na ilości klejnotów. Pomimo wewnętrznej niechęci była jednak dla księżnej uprzedzająco grzeczną, prawie nadskakującą.

Ale księżna wiedziała, co o tym sądzić. Ona miała wnuka, a hrabina dwie córki, z których starsza, panna Michala, przekroczyła już trzydziestkę. To tłumaczyło wygórowaną uprzejmość hrabiny względem księżnej.

Teraz obie panie rozmawiały z panią Idalią i z panem Maciejem, w towarzystwie kilku osób.

Młodzi, porozrzucani grupami, bawili się każde po swojemu. Panna Rita Szeliżanka w fularowej sukni czarnej w secesyjny niebieski deseń, z dużym kołnierzem z kremowej koronki, przodowała w rozmowach i dowcipach. Włosy ciemnoblond, wytwornie zaczesane, ozdobiła kokardą z niebieskiej wstążki, przypiętej wysoko. Wyglądało to cokolwiek dziwacznie, ale pannie Ricie było do twarzy. Ona zawsze ubierała się inaczej od wszystkich, jej uczesania mogły wielu razić. Miała ruchy śmiałe i pełne wdzięku. Każda rzecz, będąca dla innych nie- możliwością, z nią kojarzyła się jak najlepiej. Szczera, zabawna, dowcipna, była przy tym sympatyczna i zarażająca wszystkich wesołością.

Księżna miała do niej słabość, choć często raziły ją dziwactwa wychowanki. Panna Rita z zamiłowaniem uprawiała sport. W Obronnem, majątku księżnej, miała własną stajnię, gdzie najczęściej lubiła przesiadywać. O koniach mogła mówić bez przerwy i teraz, siedząc na stylowym foteliku z filiżanką w ręku, rozmawiała z młodym paniczem, uzbrojonym w binokle.

Dowodziła mu coś z zapałem, wreszcie stawiając energicznie filiżankę na

stoliku, rzekła:

– Ech, pan się nie zna na koniach, jeśli moim zarzuca pan brak czystości krwi. Moje konie importowane prosto z Anglii. To są folbluty. Niech pan zapyta ordynata: on koneser pierwszej wody.

– Zawsze ordynat! Zawsze mię pani do niego odsyła. Czy to wyrocznia?

– W kwestii końskiej na pewno.

– Czy dlatego, że ma dziewięć muz z Appolinem?

– Nie, ale jest prawdziwym i bezstronnym znawcą.

– Więc mnie pani odmawia tych cnót?

– Po części. Pan jest zaślepiony w swoich perszeronach i wszystko dobre widzi tylko w swej stajni.

– Chyba pani raczy przyznać, że moja stajnia nie jest byle jaką. Panna Rita skrzywiła się.

– Nie lubię perszeronów.

– Nie lubi pani? Ha! to kwestia gustu. Tak samo ja nie cierpię anglików. Panna Rita zmierzyła go ironicznym spojrzeniem.

– Więc niech pan tak mówi, ale po co wyliczać wady, które nie istnieją.

– Dla mnie istnieją choćby w anglezowaniu, które pani doprowadza do granic najwyższych.

– To nie wada. Jeśli tylko takie pan widzi, jestem spokojna. Zresztą ta rasa koni zawsze bywa anglezowaną.

– Ale u pani bajecznie!

– Ech! co pan mówi! Szkoda, że znikł ordynat, prosiłabym go o interwencję.

– Pan Michorowski poszedł po Lucię i jej nauczycielkę – odezwała się powolnym głosem panna Michalina Ćwilecka. Przez czas rozmowy panny Rity z hrabią Trestką siedziała milcząca, popijając herbatę. Ubrana była dość gustownie, w jasną suknię, bo tak chciała matka, lecz nic jej nie bawiło, nawet zabawa innych nużyła ją. Miała wygląd apatyczny. Powiedziawszy krótko, gdzie jest Waldemar, spuściła oczy na filiżankę i zamilkła jak przedtem.

Hrabia Trestka poprawił binokle i uśmiechnięty złośliwie, rzekł:

– Jakieś fory ma ta nauczycielka, skoro ordynat tak się nią zajmuje.

– Ale co znowu. Il l’abhorre! – zaprzeczyła panna Rita. – Tak przynajmniej mówi Lucia.

– Czyli że sytuacja ta sama jak przy pannie Klarze!

– Zdaje się.

– Czy i podobna do panny Klary?

– Nie znam jej, ale Lucia nią zachwycona. Jeśli naprawdę ładna, strzeż się, panie hrabio. Trestka spojrzał na mówiącą obrażony.

– Voilà une ideé! Pani ma czasami pomysły bajeczne. Ja na osoby tego rodzaju nigdy nie patrzę.

– Chciałabym, żeby się pan zakochał w tej właśnie.

– Mogę ją najwyżej osądzić po sportsmeńsku i wykazać wady.

– O panie! o kobietach w ten sposób mówić nie można...

– O nauczycielkach wolno.

– Także nie. Wzbronione jest bez zastrzeżeń. Zresztą panna Rudecka jest z dobrej rodziny.

– Chut! idą już – przerwał hrabia i poprawiając binokle spojrzał badawczo w stronę drzwi.

Weszła Stefcia z Lucią i Waldemar.

Stefci pociemniało w oczach. Tyle głów zwróciło się do niej, tyle badawczych oczu. Stała jak pod pręgierzem.

Rozmowy umilkły. Wszyscy obrzucili młodą nauczycielkę krytycznym spojrzeniem.

Pani Elzonowska popatrzyła na nią przez swe szpareczki i dość pobieżnie wskazała ją towarzystwu okrągłym ruchem ręki.

– Panna Rudecka – rzekła krótko.

Kilka głów skinęło nieznacznie. Stefcia, zmieszana, skłoniła się wszystkim, nie wiedząc, co ze sobą począć. Pierwszy raz odczuła boleśnie własne położenie. Darować sobie nie mogła przyjścia do salonu.

– Intruz – przemknęło jej przez głowę i gdyby nie panowanie nad sobą, wybuchnęłaby płaczem.

Ale w tej chwili podszedł do niej Waldemar, widocznie wzburzony, jednak z dobrze udanym spokojem podał jej ramię i rzekł z wytworną uprzejmością:

– Pozwoli pani, przedstawię ją mej babce.

Stefcia machinalnie pozwoliła się prowadzić do odległej kanapki. Podniósłszy oczy, zo- baczyła pogodną twarz pana Macieja i poważną, arystokratyczną postać księżnej.

Wtem zabrzmiał znowu niski głos ordynata.

– Droga babciu, przedstawiam ci pannę Stefanię Rudecka, o której słyszałaś od Luci. Księżna powstała z kanapki i podając Stefci rękę rzekła z ujmującym uśmiechem:

– Bardzo mi miło panią poznać. Istotnie Lucia mi o pani opowiadała. Jest zachwycona swą kierowniczką.

Stefcia zręcznie pochyliła się i ucałowała rękę staruszki, przepojona wdzięcznością i dziwną otuchą.

W oczach starej kobiety zamigotało zdziwienie. Uśmiechnięta, dotknęła ustami włosów dziewczyny, po czym usiadła, wskazując jej obok stojący fotelik.

Rozpytywała ją uprzejmie o rodzinę i czy jest zadowolona z Luci. Rozmowę podtrzymywał pan Maciej.

Na wszystkich obecnych zachowanie się ordynata i powitanie z księżną zrobiło wrażenie. Spojrzeli po sobie zdziwieni.

Księżna Podhorecka wstała podając rękę nauczycielce. Co to jest i czemu się sufit nie wali? Zwłaszcza hrabia Trestką i hrabina Ćwilecka nie mogli tego pojąć. Hrabina, patrząc na księżnę, rozmawiającą z jakąś tam nauczycielką, wzruszyła ramionami. Gniewała się, że Waldemar ją pominął, nie przedstawiając Stefci. Nie szło jej o osobę, lecz pominięcie siebie uważała za

lekceważenie. Podanie ramienia nauczycielce przez ordynata wydało się hrabinie rażącym. Rzuciła kilka spojrzeń na Stefcię, a widząc, że jest bardzo ładna, zaczęła szeptać do siedzącego jak mumia męża. Na dużych ustach miała zjadliwy uśmiech. Do uszu pani Idalii doleciał jeden wyraz: maitresse, lecz udała, że go nie słyszy; poruszając nerwowo brwią, kończyła rozmowę ze swym sąsiadem.

Tymczasem przy małym stoliku panna Rita, opowiedziawszy Waldemarowi spór z Trestką, usłyszała pochwałę swych koni. Hrabia zaczął rozmawiać z ordynatem, a Rita podeszła do księżnej i żywo podając rękę Stefci, rzekła z wesołym uśmiechem:

– Ponieważ nikt nas nie zapoznał ze sobą, więc ja sama dopełniam tej ceremonii. Margeryta Szeliga we własnej osobie. Pewno pani o mnie jeszcze nie słyszała, bo długi czas awanturowałam się w Wiedniu.

Stefcia, powstawszy, uścisnęła rękę młodej panny.

– Owszem, Lucia mi o pani mówiła z wielkim zachwytem.

– Tak? Widzę, że Lucia to mały reporter okolicy, wszystkich informuje. Zabieram panią do naszego towarzystwa. Tu grono bardzo szanowne, lecz tam chyba weselsze. Ciocia i dziadzio nic nie będą mieli przeciw temu, prawda?

Księżna uprzejmie skinęła wytworną głową, a pan Maciej rzekł:

– Owszem, wiemy, że pani potrafi zabawić, i tym śmielej polecamy jej pannę Stefanię.

Po chwili Stefcia siedziała przy małym stoliku, gdzie zebrało się więcej osób. Wśród wesołej rozmowy przywykała do towarzystwa.

Drażniły ją błyszczące binokle Trestki wciąż na nią skierowane, zaciekawiała zimna postać hrabianki Ćwileckiej.

Panna Rita wciągnęła ją do ogólnej rozmowy tym łatwiej, że Stefci nie zbywało na dowcipie. Wyglądała najskromniej, ale bardzo ładnie, w jasnopopielatej batystowej sukni, ubranej granatową wstążką. Na twarzy miała żywe rumieńce, oczy w pysznych obsłonach rzęs błyszczały wesoło, kwitły pąsowe usta.

Panna Rita spoglądała na nią z przyjemnością, reszta osób mniej więcej obojętnie. Trestka ciekawie przyglądał się Stefci, jakby chcąc dojrzeć jej wady. Zbadał dokładnie jej rysy, oczy, sposób mówienia, uczesania i przyznał w duchu, że jest możliwa.

– Pas mal, pas mal – mruczał do siebie, uważając to za wielką pochwałę. Obejrzał krój sukni i pokręcił głową zdziwiony, że nauczycielka może być tak gustownie ubrana. Zajęty oględzinami zapomniał chwilowo, że przegrał sprawę o konie. Panna Rita przypomniała mu ją, pytając ordynata:

– Panie Waldemarze, jak się mają pańskie muzy z Apollinem!

– Doskonale – odrzekł ordynat, siadając obok Stefci. – One mają piękność prawdziwie olimpijską, niezmienną.

– Jakie to muzy? – spytała Stefcia.

– Towarzyszki Apolla – wtrącił hrabia Trestka. – Czy pani nie wie?

– Owszem, panie hrabio, znam dobrze mitologię. Zwróciła się do

Waldemara:

– Czy to pańskie konie noszą nazwę muz?

– Tak. Pani nawet zna te konie.

– A którymi pan dziś przyjechał? Nigdy nie mogę ich dokładnie rozpoznać. Wszystkie są czarne jak aksamit lyoński.

Waldemar uśmiechnął się.

– Dziś przyciągnęły mnie: Klio, Melpomenę, Urania i Terpsychora.

– Prawda, jak to ładnie brzmi? – zawołała panna Rita – w drugiej czwórce jest Talia, Ka- liopa, Euterpe i Polihymnia, a Erato jest wierzchówką pana.

– Tę znam dobrze – rzekła Stefcia – na niej pan najczęściej przyjeżdża.

– Pani ją zauważyła? Prawda, że cacko?

– Bardzo ładna.

– To nic. Nie widziała pani jeszcze Apollina. Ja go po prostu kocham – egzaltowała się panna Rita.

Zaśmiali się wszyscy.

– Tylko sportsmenkę mogą nawiedzać podobne uczucia– rzekł ktoś z grupy towarzystwa rozmawiającego dalej.

– Muszę go przyprowadzić do Słodkowic: będziemy mieli częściej wizyty pani – żarto- wał ordynat.

– Powinien pan pannie Ricie ofiarować jego portret.

– Albo odlać z brązu.

– Co znowu! Straciłby nie mając właściwej barwy.

– No więc z czarnego marmuru.

– Śmiejcie się państwo, śmiejcie, a wszyscy go podziwiacie.

– Prócz mnie – rzekł hrabia Trestka poprawiając binokle.

– Bo pan ma limfatyczne gusta i dlatego wystarczają panu perszerony i te obrzydłe meklemburgi. Apollo w stajni pańskiej wyglądałby jak najezdnik.

– To samo powiem o pani anglikach. Panna Rita rozpoczęła kłótnię na dobre.

Waldemar popatrzył w oczy Stefci i rzekł wesoło:

– Teraz mogą Słodkowce wylecieć w powietrze, a ta para nie przestanie debatować o stajni. Jak się tych dwoje sportsmenów spotka, już o niczym innym nie mówią i zawsze się kłócą, tak jak pani ze mną.

– Ja się z panem nie kłócę.

– Ale mnie pani tyranizuje. Bałem się tu jechać przez cały tydzień.

– Ach, jakiż pan bojaźliwy!

– No cóż? Tak mnie pani energicznie wyprawiła z lasu, potem przy obiedzie zostałem zlynchowany, nie chciała mię pani pożegnać. Czy to wszystko nie mogło odstraszyć?... Ale zatęskniłem do swego tyrana i oto jestem.

Stefcia przygryzła wargi.

Postanowiła nie odpowiadać na zaczepki w obawie, by kto nie usłyszał. Ale w salonie panował gwar licznych rozmów, a siedząca obok panna Rita fechtowała się na słowa z Trestką tak zawzięcie, że nic ich więcej nie

obchodziło.

Waldemar zauważył niepokój Stefci, spostrzegł wzrok szukający Luci i rzekł z przekąsem:

– Chce się pani uzbroić przeciw mnie w niewinność, jak Twardowski przed Mefistofelesem, ale Lucia już, niestety, za duża na rolę, jaką pani chce jej w tej chwili przeznaczyć.

Stefci zadrgały usta do śmiechu. Waldemar mówił dalej:

– Ja tęskniłem za swą prześladowczynią, ale pani pewno błagała Boga, abym jak najdłużej się nie zjawiał.

– Przeciwnie, chciałam, aby pan prędzej przyjechał. Na twarzy Waldemara błysnęło zaciekawienie.

– Doprawdy!... O Boże! czemuż nie wiedziałem! Stefcia spojrzała mu prosto w oczy.

– Oczekiwałam pańskiego przyjazdu, ponieważ dziadek pana tęsknił i zaczynał już dostawać melancholii.

– To znaczy, że pani pragnęła mego przyjazdu dla dziadka, nie dla siebie.

– Spodziewam się. że „pragnęła” – to za silne. Po prostu oczekiwałam.

– Oto rozczarowanie! Miałem już złudzenie raju, tymczasem jestem jak dawniej w czyśćcu.

Stefcia zaśmiała się. On patrzył na nią badawczo, z uśmieszkiem na pełnych, zmysłowych ustach. Po chwili rzekł przyciszonym głosem:

– Pani dziś cudownie wygląda. Czuję, że tracę głowę.

– Panie ordynacie! – zawołała rozgniewana dziewczyna.

– Słucham panią! – podchwycił z żartobliwymi ognikami w oczach.

Stefcia zacięła usta. Dawniej odpowiedziałaby mu z gniewem, lecz teraz była względem niego dobrze usposobiona... Przy tym bawiła ją jego mina. Brwi miał podniesione, szybko poruszały mu się nozdrza, z każdego rysu twarzy wyzierał tłumiony śmiech.

Odpowiedziała:

– Zaczynam żałować, że prosiłam Boga o pański przyjazd. Przez sympatię dla starszego pana Michorowskiego zaszkodziłam sobie...

– Młodym Michorowskim jak miksturą – dokończył.

– Zgadł pan – zaśmiała się.

– Ja zaś jestem pewny, że pani mię oczekiwała nie dla melancholii dziadka, lecz z powodu własnej tęsknoty. Czy tak?

Zajrzał jej w oczy zuchwale.

– Widzę, że w pańskim towarzystwie najbezpieczniej dla mnie być milczącą, gdyż inaczej pan staje się zbyt wesołym.

– A pani zaraz wysuwa pazurki, łapięta śliczne, ale ostre – odrzekł z grymasem.

– O czym państwo tak poufnie rozprawiają? – spytał z ironią hrabia Trestka, skierowując na Stefcię binokle.

Waldemar odrzekł swobodnie:

– Mówiliśmy o innym sporcie. Prosiłem właśnie pannę Stefanię, aby nam

zagrała.

– Pani grywa na cymbałkach? – zapytał Trestka kpiącym tonem.

– Nie, panie, nie grywam na cymbałkach – odparła Stefcia z taką samą intonacją głosu.

– A to szkoda, bo to ma ładny ton.

Waldemar ściągnął brwi. Zakipiało w nim. Spojrzał na Trestkę z góry i rzekł z odpowiednim akcentem:

– Posądzałem pana o lepszy smak i większą subtelność... ucha. Trestka zrozumiał. Zbladł ze złości.

Panna Rita uśmiechnęła się i widząc zakłopotanie hrabiego, rzekła do Stefci:

– Popieram prośbę pana Waldemara. Stanowczo nam pani coś zagra. Ja, niestety, nie grywam, lecz pasjami lubię muzykę.

– Owszem, pani, ale trochę potem.

– Tak, zbyt jest głośno, a muzyka lubi ciszę.

– Bo łatwiej wówczas odnajduje nerwy i gra na nich. – dodał Waldemar.

Kamerdyner zapalił lampy. Panna Rita stanęła w oknie, patrząc na wąski, świetlanozłoty pasek wschodzącego księżyca. Na tle szarych barw wieczornego nieba pięknie wyglądała czarna wstęga lasu z tym odłamkiem złota, strojącym czuby drzew, jak błyszczący ryngraf na piersi zakutego w ciężką zbroję rycerza.

Panna Rita zachwycała się głośno; Stefcia i parę osób jeszcze podeszło do okna. Waldemar, wezwany przez Lucię, poszedł do sali jadalnej, gdyż pani Elzonowska chciała go widzieć.

# VI.

Duży stół, przykryty obrusem holenderskim, z wytkanym na środku herbem Michorowskich, zastawiony był do kolacji. Po brzegach stały talerze z pysznej porcelany, malowanej w nikłe wzory, jak żołnierze w galowych mundurach. Obok na podstawkach spoczywały z godnością srebrne noże, widelce i wydatne kształty łyżek deserowych. Po drugiej stronie sterczały sztywne serwety, niby budki szyldwachów, z ciemniejszymi plasterkami chleba wewnątrz. Kryształowe kosze z owocami, szklanki, kieliszki, parę wspaniałych bukietów uzupełniało zastawę. Przy każdym nakryciu leżały wiązanki kwiatów. Kwiaty rozrzucone po stole nadawały mu wygląd majowy.

Kamerdyner Jacenty i młodsi lokaje w czarnych frakach, zdobnych w złote guzy, z pąsowymi kamizelkami, oraz lokaj księżnej Podhoreckiej w żółtej kurtce liberyjnej krzątali się pomiędzy głównym stołem a kredensem i bocznym stolikiem, gdzie stały kompoty.

Na ścianach świeciły białe kule lamp, nad stołem zwieszony brązowy żyrandol, promieniejący ognikami kryształowych sopli, lał światło na srebra i

kryształy. Kwiaty w tej powodzi, nabierając życia, pachniały odurzająco.

Do sali weszła pani Idalia z ordynatem i rzekła do niego po francusku:

– Pierwsze miejsce zajmą księżna z ojcem, który ją poprowadzi. Reszta osób niech się sama dobiera. To nie obiad proszony. Może być swoboda. Ale ty, Waldy, powinieneś podać ramię Ćwileckiej. W takim razie jej mąż mnie poprowadzi.

Waldemar, niezmiernie wesoły, odrzekł:

– Czyli, że dla mnie przeznacza ciocia kopalnię diamentów. Zamieniłbym ją z ochotą na jedną tylko perłę...

– Nie żartuj. Wiem, o kim mówisz... Dziwię się, że cię tak zajmuje ta dziewczyna. Waldemar ściągnął brwi.

– Myślałby kto, że ciocia mówi o swej pannie służącej. Panna Stefania nie jest z tych, które można zbałamucić – odparł podrażniony.

– Ale po takim wystąpieniu, jak twoje dzisiejsze, może myśleć, że jest czymś nadzwyczajnym. Moja prezentacja wystarczała. Twój wyskok był zbyteczny.

– Ja na tę kwestię inaczej się zapatruję. Zresztą od razu widać, z kim się ma do czynienia. Zwłaszcza ciocia nie powinna o niej mówić w ten sposób, choćby ze względu na Lucie.

– Wymowny jesteś, mój drogi – sarknęła pani Idalia – lecz ostrzegam cię, że mogą wyniknąć plotki. Sama słyszałam jakieś niedorzeczne domysły Lory.

– Och! pani „hrabina” może opowiadać, co chce. Niewielu znajdzie chętnych słuchaczy. Niech jej ciocia powie, aby nie próbowała robić przy mnie swych domysłów, bo wówczas nawet jej wyimaginowany hrabski majestat nie zamknąłby mi ust.

– Jak to wyimaginowany?

– No, chyba nie potrzebuję wykładać cioci o istotności tytułu Ćwileckich. Wiedzą o nim wszyscy, zwłaszcza ich własne karety z koronami i stary kamerdyner, który się bardzo zdziwił, gdy mu wsadzili na guzy liberyjne dziewięć pałek. Wszystkie herbarze i kroniki milczą o tym tytule wcale nieuprzejmie.

Pani Idalia zacięła usta.

– Idziemy do salonu, zaraz podają.

W salonie do Stefci podeszła hrabina Ćwilecka, usiadła na stylowym foteliku i popatrzała

na Stefcię z wysoka.

– Pani skąd pochodzi? – spytała sztywnym tonem.

– Z Królestwa, pani hrabino.

– Jak dawno pani zajmuje się nauczycielstwem?

– To moje pierwsze i ostatnie miejsce.

– Tak? pierwsze? I bratowa powierzyła pani Lucię? C’est une absurdité!

Młoda nauczycielka poczerwieniała.

– Widocznie potrafiłam wzbudzić zaufanie – odrzekła z uśmiechem.

– Ileż pani ma lat?

Stefcia spojrzała na hrabinę zdumiona.

– Dwadzieścia pięć – odparła bez namysłu.

Hrabina popatrzała na nią przez lornetkę, osadzoną na długiej złotej rączce.

– Tak! – rzekła z przekonaniem – wygląda pani na to. Lucia mi mówiła, że pani ma dziewiętnaście. Od razu wiedziałam, że to omyłka. Comment donc! Bardzo dobrze, że pani nie ukrywa swoich lat. Moja Michala jest w takim razie w wieku pani, chociaż wszyscy myślą, że jest młodsza.

Stefci zadrgały usta śmiechem, w oczach błysnęły iskierki żalu. Spojrzała na siedzącą opodal hrabiankę, zawsze poważną, apatyczną, wyglądającą na starszą siostrę pani Elzonowskiej.

Hrabina mówiła dalej:

– Podobno pani zostałaś nauczycielką nie z zamiłowania?

– Tak, ale zaczynam lubić swą pracę, dlatego głównie, że mam dobrą uczennicę.

Podszedł Waldemar, w ślad za nim hrabia Ćwilecki. Hrabina krzykliwie zawołała do męża:

– Te voilà! Czy wiesz, Auguste? Panna Rudecka ma dwadzieścia pięć lat. Więc nie dziewiętnaście, jak mówiła Lucia. Mamy jednak dobre oko. Spojrzała na Stefcię i rzekła znowu:

– Oboje z mężem uważaliśmy, że to niemożliwe. Waldemar spytał porywczo:

– O czym tu mowa? Nie rozumiem.

– O moich latach. Dodałam sobie powagi – śmiała się Stefcia.

– Niech pani ten wywiad zapisze w dzienniku. Niesłychane! Waldemar mówił jakby od niechcenia, ale z widoczną ironią.

Hrabia, dotknięty, spojrzał z niechęcią na żonę i rzekł wolno, jak zwykle:

– Mylisz się, Loro. Nigdy nic podobnego o latach panny Rudeckiej nie mówiłem.

– Mais, mon cher zapomniałeś.

Hrabia nie zdążył odpowiedzieć. Wszedł kamerdyner, oznajmiając, że podano do stołu.

W salonie zrobił się ruch. Ordynat podał ramię hrabinie i powiedział z widoczną irytacją:

– Kwestię chronologii trzeba odłożyć na czas nieograniczony, teraz służę pani. Hrabina mówiła mu coś ze śmiechem, czego już Stefcia nie słyszała.

Odeszli.

Hrabia spojrzał bystro dokoła i ruszył do pani Idalii. Stefcia została sama. Widziała pary idące do sali jadalnej i była to dla niej znowu przykra chwila. Wyrzucała sobie, iż nie wyszła wcześniej, gdyż wtenczas ominęłoby ją powtórne wchodzenie przy wszystkich.

W tej chwili podbiegła Lucia i wsuwając rękę pod ramię Stefci, zawołała ze śmiechem:

– Wszystkie panie mają swoich rycerzy, a my pójdziemy, z sobą. Zwiodłam pana Ksawerego. Mama poleciła mu, żeby panią prowadził, ale mu

powiedziałam, że pani idzie z kim innym. Bo chyba pani woli iść ze mną. Prawda, panno Stefciu?

– Ależ naturalnie! Doskonale zrobiłaś. Zresztą możemy sobie wyobrazić, że na przykład ja jestem kawalerem.

– Oho! pani do kawalera niepodobna, prędzej panna Rita, tylko bez tej kokardy na głowie i jak jest w amazonce. Weszły do sali jadalnej.

Znowu kilka par oczu obrzuciło Stefcię ciekawymi spojrzeniami. Na końcu stołu siedział pan Ksawery, mając po obu stronach dwa miejsca dla Stefci i Luci.

Gdy Stefcia usiadła, pani Elzonowska spojrzała na nią spod zmrużonych powiek i rzekła z intonacją w głosie:

– Myślałam, że już pani nie przyjdzie.

Stefcię oblała gorąca fala krwi. Zawahała się, co ma odpowiedzieć.

Przyszedł jej z pomocą i tym razem Waldemar. Zagadnął o coś panią Idalię. Położenie młodej dziewczyny zostało uratowane.

Gwar przy stole odżył na nowo. Rozmowy, śmiechy, dowcipy płynęły coraz gęściej. Ale dobre usposobienie Stefci minęło. Siedziała milcząco, prosząc Boga, aby kolacja skończyła się jak najprędzej.

Wszyscy rozmawiali, milczała tylko ona i pan Ksawery. Ten był pochłonięty widokiem roznoszonych półmisków i tym, co miał na talerzu. Stefcia natomiast myślała ciągle, że jest intruzem, czuła się samotną jak pomiędzy wrogami. W głowie wirowały jej bezładne marzenia, więc: Ruczajew, przyjazd do Słodkowic, sprzeczki z Waldemarem, jej dzisiejsza rozmowa z hrabiną.

Gdyby nie Edmund, nie poznałaby tego świata, nie byłaby narażona na docinki, kłujące

ją dotkliwie. Wszyscy tu patrzą na nią jak na istotę pozbawioną praw ludzkich, nie należącą

do świata. Patrzą jak wspaniałe rośliny egzotyczne na skromny bławatek, mimo woli zbłąkany w cieplarni.

Stefcia spojrzała na wiązankę kwiatów, leżącą przed jej talerzem.

Dziwnym trafem były to kwiaty polne: pierzasta brązowa trawka i białe margerytki z żółtymi środkami. Wzięła bukiecik do ręki, myśląc, że to jej symbol: polne, wątłe roślinki, rzucone między srebra i kryształy. Choć je olśnił blask i przepych, zwiędną i świat zginie dla nich. Podniosła głowę i nagle drgnęła.

Patrzało na nią kilka par martwych oczu z rzeźbionych ram portretów, zdobiących salę.

Oczy przodków Michorowskich, szare jak u Waldemara, przenikliwe, groźne, zdawały się wpijać w jej twarz pytając: „Skąd się tu wzięłaś, plebejuszko, w tym gnieździe senatorów i hetmanów? Czego tu chcesz?” Stefcię przejmował dreszcz. Surowe spojrzenia, spoczywające na niej ze wszystkich stron, męczyły ją... Spojrzenia nieprzyjazne, odpychające.

– Co mię od nich dzieli tak potężnie? Owi sławni rycerze-przodkowie? –

myślała. – Odgradzają mnie od nich korony dziewięciopałkowe, mitry książęce i nazwa arystokracji, uświęcona przez tradycję, rozpościerająca się zawsze na szczycie gmachu społeczeństwa. I czy ten szczyt tonął w słońcu, czy w chmurach, nigdy nie przestawał być najwyższym. Oni przywykli spoglądać z góry na ludzi zajmujących niższe piętra, chociażby równie sławnych, często więcej zasłużonych. Uważali ich za podwalinę, na której mogli roztaczać swą magnacką świetność i wywieszać chorągwie z herbami. A ci mniejsi niech śpiewają hymny na ich cześć.

Jednak w tej uprzywilejowanej rasie jest jakiś urok nieuchwytny, działający na wytworne natury. Stefcia pomyślała, że powodem tego może być majestat ich wiekowego możnowładztwa. Choć nie widać na nich znaków podnioślejszych ani bujnych polotów, jednak otacza ich jakiś urok piękna zewnętrznego, są oni w społeczeństwie jakby dekoracją. Niektórzy z nich, jak staruszka księżna, pociągają ku sobie siłą nieprzepartą. W księżnej przebija wyższość rasy; widać, że to magnatka w każdej kropli krwi, prawnuczka karmazynów. Jest w całej pełni wielką panią, rozumiejącą swe zadanie. Stefcia słyszała o jej działalności i wielkim sercu. Pan Maciej, do niej podobny, ma duszę subtelnego arystokraty, ale jest znacznie starszy, trochę ociężały.

Stefcia spojrzała na Waldemara.

A ten?... Jest wielkim panem, rodowym karmazynem. Nie zrobi ujmy swym przodkom. Przeciwnie, mogą się nim szczycić. Czynny, energiczny, prawdziwy pan, magnat i milioner, pojmował poważnie swe zadanie w społeczeństwie. Pan Maciej, wielki gaduła, opowiadał Stefci, że nie sądził nigdy, aby Waldemar potrafił tak się zmienić. Dawniej żył inaczej. Po skończeniu uniwersytetu w Bonn i szkoły rolniczej w Halli wpadł w wir życia, szalał. Przesiadywał za granicą, podróżował. Znał całą Europę. Zwiedzał Algier i Egipt. Polował w Indiach i w stepach amerykańskich, wdrapywał się na szczyt gór, marzył na fiordach norweskich. Zwiedzał kliniki, miewał dysputy z uczonymi, ciekawie zaglądał do wielkich laboratoriów chemicznych, w obserwatoriach meteorologicznych robił doświadczenia. Pociągały go fabryki, w dokach nowojorskich wtajemniczał się drobiazgowo w pracę robotników. Jego stosunki i miliony otwierały mu wszelkie instytucje. Miał wstęp do zakładów Kruppa w Essen, w odlewniach armat pracował kilka dni, powodowany nieprzepartą chęcią poznania wszystkiego. Robił próby ze sławnym młotem „Frycem”, miał rewolwer zmielony na proch przez olbrzyma fabryk esseńskich i złoty pierścień z brylantem, na który „Fryc” spuścił się i dotknął go, nie uszkodziwszy zupełnie. Na Wezuwiuszu zapalał cygaro, zwiedzał dom Napoleona I na Wyspie Św. Heleny, w galeriach Louvre’u i w drezdeńskich przesiadywał godzinami, wpatrzony w dzieła sztuki. Rozrzucał pieniądze, miewał awantury i skandaliki przeważnie na tle erotycznym, był ulubieńcem najwykwintniejszych kół towarzyskich. Obracał się w sferach dworskich w Wiedniu, gdzie wśród magnaterii węgierskiej zyskał wielką popularność,

będąc spokrewniony z kilkoma najpotężniejszymi domami przez swą prababkę. Tracił na kobiety, nawet trochę grał w karty, lecz to nie wchodziło w zakres jego namiętności. Odbył kilka pojedynków, zakończonych zwycięstwem, zawdzięczając to swej odwadze i ćwiczeniom w fechtunku i strzelaniu. W Jockey Clubie wiedeńskim zrobił raz awanturę jednemu z arcyksiążąt za to, że ten nazwał Polskę krajem podgolonych łbów i grzmiących języków. Sprawa oparła się o dwór i arcyksiążę jak niepyszny musiał przeprosić polskiego magnata. Kobiety szalały za nim: jedne olśniewał blask milionów i świetna partia, inne kochały go prawdziwie. Lecz on, choć wiedział, że jest wszędzie pożądany, jednak nie znalazł sobie żony. Po pięciu latach hulanki nastąpił przesyt, znudziły go tryumfy, miłostki, nawet podróże, powrócił na stałe do kraju.

Pan Maciej opowiadał Stefci, że Waldemar ma trzy namiętności: konie, polowanie i kobiety, choć te już mu trochę zobojętniały. Polowania urządzał wspaniałe, nawet w czasach swych podróży; zjeżdżali wówczas do Głębowicz magnaci z całego świata. On sam wyjeżdżał często na polowania do swych przyjaciół, prawie do wszystkich domów arystokratycznych, gdzie go zawsze mile widziano. W koniach lubował się, lecz nie puszczał na wyścigi, mówiąc, że nazbyt je lubi, aby oddawać w ręce dżokejów i patrzeć, jak nogi łamią.

Stefcia wiedziała to wszystko od pana Macieja, trochę od pana Ksawerego i sama już miała parę przykładów szlachetności i dobroci serca ordynata. Dwoistość jego charakteru przebijała wyraźnie; miał dobre serce i jednocześnie dużo złośliwości; w gniewie gwałtowny, najczęściej ironiczny, miał delikatny i subtelnie rozwinięty dobry smak. Nie wahał się jednak drażnić jej zawsze. Przy swej szlachetności był trochę egoistą, nie pozwalał nikomu dotknąć jej niestosownym żartem, ale sam gniewał ją stale i lubował się tym. Stefcia nie lubiła go, jednakże spostrzegła, że jest on więcej wart od innych i od pani Idalii w pierwszym rzędzie. Zrozumiała jego wyższość nad Edmundem.

Tamten zapewniał, że ją kocha, przysięgał jej przecież, a opuścił tak lekko, jakby nie wiedząc, że i ona ma serce, które mogłoby cierpieć.

Waldemar nie lubił jej, może nawet nienawidził, jednak wyratował ją z przykrej chwili w salonie, a uczynił to naturalnie i wykwintnie.

Stefcia spojrzała na niego po raz drugi.

Rozmawiał z paniami ze zwykłą swobodą i pewnym zaniedbaniem, czasem kpiąco. Ruchy miał cokolwiek rozrzucone, lecz to nadawało właściwy jemu wdzięk. W zaniedbaniu jego przebijał szyk i dystynkcja zupełnie odrębna, jego własna. Nie był pięknym, ale miał w sobie coś nieokreślonego, co robiło wrażenie. Smukły i bardzo zgrabny, posiadał rysy wyraziste i płeć smagławą, włosy ciemnoblond, ładnie rozdzielone z boku głowy; małe wypukłości nad pysznie zagiętymi brwiami zdawały się skupiać w sobie energię, siłę woli i zdolności. Oczy miał szare, przenikliwe, o rozumnym i stanowczym wyrazie, zawsze prawie drwiące, często figlarne; niesłychanie piękne usta, wydatne, pąsowe, ocienione eleganckim, w miarę bujnym, złotawoblond wąsem, trochę

najeżonym i rozczesanym na końcach. Na twarzy widniała głęboka myśl w połączeniu z odrobiną nudy; w oczach gwałtowność, czasem duma, lub też błyskały w nich iskry żartu. Z ust poznawało się epikurejczyka, uśmiech, jeśli nie był ironiczny, miał w sobie dużo łagodności.

Stefcia, patrząc na niego, spotkała jego wzrok, lecz nie spuściła oczu. On błysnął uśmiechem, ona zagadnęła o coś pana Ksawerego.

Nie miała nawet z kim rozmawiać. Lucia bawiła się dobrze ze swym sąsiadem, pan Ksawery myślał o potrawach, a jej sąsiad z drugiej strony, pan o pokaźnej tuszy, rozmawiał bez przerwy z całym towarzystwem zgromadzonym przy stole. Stefcia widziała przed sobą jego rękę białą i pulchną, jakby zrobioną z waty; w palcach kręcił wiązankę kwiatów. Nikt na Stefcię nie uważał. Siedziała na końcu stołu i mogła pozostać odosobnioną. Wolała słuchać rozmawiających.

Spoglądała często na ożywioną twarz pani Idalii i jej duże piwne oczy, które tylko na nią patrząc stawały się szpareczkami. Przesuwała wzrok po jej zielonej bluzce i grubym złotym łańcuchu od zegarka; patrzała na pannę Ritę, rozbawioną i z apetytem zajadającą indyka. Widziała zadartą głowę i błyszczące szkła Trestki, kolosalną postać księcia Franciszka Podhoreckiego, sympatyczną drobną osóbkę jego żony, posępną twarz Ćwileckiego, ordynarną hrabiny. Parę razy, za przykładem wszystkich, podniosła przy toastach kieliszek w górę, ale nie piła nic i jadła mało.

Waldemar, rozlewając wino, podszedł do niej. Podniosła na niego oczy i odsunęła kieliszek. We wzroku Waldemara dostrzegła wyraźny błysk życzliwości, do uszu jej doleciał leciuchny szept: „Biedne dziecko!”

Stefcia zdumiała się.

Jak to? On jej nie wyśmiewa, on nie krytykuje?

– Widocznie bardzo biednie wyglądam, skoro wzbudziłam jego litość – pomyślała z żalem.

Po lodach pani Elzonowska powstała. Zrobił się ruch ogólny.

W pierwszej parze odszedł od stołu pan Maciej, prowadząc pod rękę księżnę, w drugiej Waldemar z hrabiną Ćwilecką, dalej książę Podhorecki z panną Żyżemską. Ćwilecki z panią Idalią, Trestka z panną Ritą, Stefcia chwyciła pod rękę Lucię i szły na końcu tej wielkopańskiej procesji. Pan Ksawery korowód zamykał.

I znowu w salonie płynęły rozmowy, przeplatane wesołymi śmiechami. W końcu młodsze towarzystwo zaczęło dokazywać. Panna Rita i Waldemar wiedli rej, dowcipkowali, pletli głupstwa, pobudzając do ciągłej wesołości.

Pannie Ricie towarzyszył Trestka, co ją widocznie drażniło. Waldemar natomiast, w niesłychanym humorze, bawił Stefcię, prawiąc jej grzeczne słówka, potem zaczęli się po swojemu kłócić. Gdy jednak ktoś inny podszedł do nich, Waldemar zmienił ton i przedmiot rozmowy tak zręcznie, że Stefcia nie mogła powstrzymać uśmiechu, ubawiona, ale wdzięczna za jego taktykę. Po raz drugi prosił ją o muzykę.

– Proszę, niech mię pan uwolni od tego – szepnęła.

– Jak pani każe – odrzekł skłaniając głowę – ale w zamian proszę, aby pani zagrała kiedy wyłącznie dla mnie. Czy dobrze?

– Owszem – odparła ujęta jego ustępstwem.

– Przepadam za Beethovenem, a pani podobno wykonywa go po mistrzowsku. Mówił mi o tym dziadek.

– Jednak pańskiemu dziadkowi grywam najczęściej Chopina. Najbardziej lubi jego nokturny.

– Bo dziadek mój jest marzycielem, a ja przeciwnie – odrzekł Waldemar.

Dochodziła druga po północy, jak się goście zaczęli rozjeżdżać. Noc była jasna, ciepła, pełna woni i rozkosznych prądów. Nie wiał silniejszy podmuch, panowała cisza głęboka, upajająca i czarowna, w swych matowych blaskach, jakimi obsypywała świat, spowijając go w srebrzystą, tkaninę, usianą diamentami.

Po gwarnych pożegnaniach wolanty i powozy ruszyły, za nimi posunął brek.

Po chwili ciemne sylwetki koni i zaprzęgów znikły w przeczystej jasnej topieli, zalewającej pola i oparami otulone łąki.

Stefcia na ganku oddawała dobranoc pani Idalii i Waldemarowi. On mocno ścisnął jej rękę i przytrzymał w swej gorącej dłoni.

Spojrzała zdziwiona, ale widząc jego palące oczy utkwione w siebie, prędko wysunęła rękę; szła jeszcze oddać dobranoc panu Maciejowi, pozostałemu w salonie. Waldemar zauważył, że przy bladym świetle księżyca jest ładniejszą niż zwykle i bardzo ponętną. Zagrała w nim krew. Odchodząc do swych pokoi zaciskał zęby z wściekłością i mruczał do siebie:

– Muszę ją mieć, muszę! Drażni mię, działa jak haszysz. Chcę się nią upić.

I długo chodząc po sypialni, układał plany oblężnicze.

# VII.

Na drugi dzień rano Stefcia wstała z bólem głowy i dziwnie przykrym uczuciem. Było jej smutno. Ciężar niezmierny przygniatał ją, odbierając swobodę myśli.

Lucia mówiła, że posłano już na kolej po praktykanta, że jest bardzo ciekawa, czy ładny i... czy dobrze urodzony.

W Słodkowcach jadano obiad o drugiej. Zaraz po skończonej lekcji wszedł do klasy lokaj, prosząc do stołu.

– Czy pan ordynat powrócił? – spytała go Lucia.

– Tak jest, przyjechał jaśnie pan z drugim panem z kolei, co już tu ma być na stałe.

– Praktykant! – zawołała Lucia i po odejściu lokaja stanęła przed lustrem, poprawiając bluzkę i włosy. – Jak to dobrze, że już przyjechał! Ciekawam, gdzie go mama posadzi przy stole. O! będzie teraz weselej w Słodkowcach, a tak tylko wtedy wesoło, jak przyjeżdża Waldy. Chodźmy już!...

Przed drzwiami jadalnej sali Stefcia doznała wrażenia lęku. Weszła szybko i zbliżyła się

do stołu. Wtem spojrzała na Waldemara, podchodzącego do niej z powitaniem, i dusza zdrętwiała w niej z przerażenia.

Obok Waldemara stał Edmund Prątnicki.

Stefci zaszumiało w głowie, cienie zaczęły jej skakać przed oczyma, jakby padał czarny śnieg. Doznała wrażenia, że ktoś cisnął na nią ciężki rozpalony przedmiot. Jej twarz w jednej chwili zbielała. Stefcia instynktownie cofnęła się, jak na widok szerszenia, który uciął ją raz aż do krwi. Nieprzytomnie podała rękę Waldemarowi, spostrzegła jego oczy szeroko otwarte ze zdziwienia i usłyszała jego słowa:

– Pozwoli pani przedstawić sobie pana Edmunda Prątnickiego... Panna Stefania Rudecka – dokończył.

– Witam panią – zawołał Prątnicki z zupełną swobodą, podając jej rękę zamaszyście. – Nadzwyczajne spotkanie! – dodał wesoło.

– Państwo się znają? – spytała pani Idalia.

– Doskonale! Sąsiadujemy z sobą. Prawda, panno Stefanio?

– Tak – odparła zapytana i usiadła cicho na krześle.

Było jednak w niej coś takiego, że pani Idalia nie pytała więcej, natomiast odgadła, że między Stefcia a młodym praktykantem coś kiedyś musiało zajść. Zaczęła ich nieznacznie badać. Pan Maciej, zdziwiony zachowaniem się nauczycielki, milczał. Lucia nie mogła usiedzieć z ciekawości. Tylko Waldemar zrozumiał wszystko. Zmieniona twarz Stefci, siła wrażenia, jakiej uległa, wreszcie jej milczenie utwierdziło go w przekonaniu, że młody praktykant jest niedoszłym jej narzeczonym. Waldemara drażniła jego swoboda. Prątnicki sam jeden mówił dużo i wesoło, zerkał na Stefcię z uśmiechem niesmacznym, w ogóle zachowywał się hałaśliwie. Zdawał się nie rozumieć, że prosta delikatność nie pozwalała być swobodnym wobec takiego spotkania.

Młody Michorowski od razu powziął niekorzystne wyobrażenie o wychowaniu, nawet o charakterze swego praktykanta. Polecał go wpływowy obywatel. Waldemar znał Prątnickiego jedynie z listów, w których przedstawiał się zupełnie inaczej. Ordynata gniewało niespodziewane spotkanie Stefci z Prątnickim, jego rubaszność i odcień lekceważenia oraz drwiące uśmieszki, jakimi ją obrzucał.

– Jak on śmie? – myślał z oburzeniem i siedział zły, nie chcąc podtrzymywać rozmowy. Drażniła go pani Idalia, badająca Stefcię, nawet gniewała go Lucia, wpatrzona z zachwytem w ładną twarz przybyłego.

Waldemar wyrzucał sobie, że nie mówił przy Stefci nazwiska praktykanta, bo gdyby spostrzegł najmniejsze wrażenie, zbadałby przyczynę i cofnął wszelkie z nim układy. Teraz już za późno. Zgnębienie Stefci sprawiało mu ogromną przykrość. A Stefcia istotnie cierpiała.

– Czy on wiedział o mej obecności w Słodkowcach, czy to tylko nieszczęśliwy zbieg okoliczności? Skąd by wiedział – może od sąsiadów

Ruczajewa? i postarał się wejść mi w drogę. W jakim celu? – myślała gorączkowo.

Była wprost ogłuszona. Po pierwszej chwili przerażenia ogarnęła ją rozpacz. Może on podążył za nią umyślnie, aby ją skłonić do opuszczenia Słodkowic? Może on przebłagał jej ojca, a teraz od niej zażąda słowa i ręki...

A ona? już nie mogłaby powtórzyć mu, że go kocha, nie mogłaby mu oddać ręki bez popełnienia fałszu. Zrozumiała siebie i swe odczucia, omyliła się strasznie...

Jego swobodne powitanie zastanowiło ją. Chyba wiedział o jej obecności w Słodkowcach? Ta myśl wracała jej uporczywie.

Ochłonąwszy, młoda dziewczyna słuchała jego rozmowy ze zdumieniem. Ten człowiek wydał jej się inny, nienaturalnie wesoły i zbyt hałaśliwy.

Mówił o osobie z chełpliwością, znamionującą zarozumialca; dla pani Idalii, jej ojca i Waldemara był zanadto uniżony. Stefcię to raziło. Nie mogła pojąć, gdzie są zalety widziane w nim poprzednio.

Ale wówczas działał na nią urokiem, ubierała go w tęczowe blaski, jakich w istocie nie posiadał. Stefcia przechodziła prawdziwe męczarnie. Drażnił ją głos Edmunda i nie rozumiała obecności jego w tym miejscu. Męczył ją badawczy wzrok pani Idalii i zupełne milczenie Waldemara.

– Ten odgadł wszystko – myślała – i teraz będzie ostrzył na mnie dowcip... Powinnam wyjechać stąd. Wyznam wszystko pani Idalii. Ona zrozumie mnie i odczuje. Wówczas po- wrócę do swoich, szczęśliwa i spokojna. – Nagle, na wspomnienie wyjazdu, Stefcia doznała niepokoju, uczuła w duszy leciuchny żal, sama nie rozumiejąc, dlaczego.

– Dzieciństwo! – pomyślała z gniewem. Przeniknął ją dreszcz strachu na samo przypuszczenie, że on może po nią tu przyjechał. Teraz on jest dla niej niczym.

Od pierwszego spojrzenia na Edmunda nie patrzała na niego więcej, siedząc jakby w odrętwieniu. Ale ciekawość w niej przemogła. Odczuwając zmianę w jego głosie, chciała zobaczyć, czy jest zmieniony z powierzchowności. Podniosła oczy. Nie zmienił się: pozostał bardzo pięknym chłopcem, lecz dawniej widziała w jego rysach inny wyraz, w oczach inną myśl. Teraz te same rysy ściągnięte płaskim uśmiechem, oczy zdradzają pospolitą naturę... żadnej podniosłości, ani odrobiny dawnego ideału. Inny człowiek! Stefcia miała wrażenie, jakby spojrzała z bliska na zwyczajny kamyk, w promieniach słońca wydający się klejnotem bez ceny.

Edmund zwrócił na nią oczy. Świeciły w nich błyski cynicznego uśmiechu.

Twarz jej poczerwieniała, nerwami zatargało oburzenie. Wtem zabrzmiał jego głos:

– Dlaczego pani jest dziś tak milczącą, panno Stefanio? Nie poznaję pani i jako dobry znajomy mogę mieć pretensje, gdyż wydaje mi się pani niezadowoloną z mej obecności. Czy tak?

Stefcię te bezczelne słowa wyprowadziły z równowagi. Zagrała w niej krew obrazą, podrażniona ambicja ukłuła jak żądłem.

Zmierzyła Edmunda chłodnym wzrokiem, ale odparła spokojnie:

– Nie spodziewałam się spotkać tu pana, nic więcej.

– Ale spotkanie chyba ucieszyło panią. Ja bo na przykład jestem szalenie rad.

Nic nie odpowiedziała, tylko zagryzła usta. W głosie jego czuć było wyraźnie drwiny. Prątnicki przechylił się przez stół i natarczywie powtórzył raz jeszcze:

– Jestem niezmiernie ucieszony.

– Widać to – odrzekła podrażniona.

– Doprawdy? Ha! ha! To dobrze. Ja lubię być wesołym.

– Czy pan zawsze ma tak... przyjemny humor? – zapytał Waldemar, poruszając się nerwowo na krześle.

Mówił z nie ukrywaną ironią i na wyrazie „przyjemny" położył nacisk. Prątnicki szybko spojrzał na niego i zesztywniał: twarz młodego magnata była jak z lodu, na ustach widniał niesmak, w zmarszczonych brwiach jakaś przestroga, coś groźnego. Całą postacią mówił:

„Nie zapominaj, że ja tu jestem".

Młodzieniec zrozumiał, że jest w towarzystwie, gdzie jego „przyjemny humor" trochę razi. Słowa Waldemara dotknęły go i otrzeźwiły natychmiast. Nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć, lecz Waldemar nie czekał odpowiedzi. Z cygarniczką, w ręce, zwrócony do pani Idalii i Stefci, spytał grzecznie:

– Panie pozwolą?

Pani Elzonowska skinęła głową, lecz spojrzała na niego zdziwiona. Waldemar przy poobiedniej kawie palił cygaro, ale pozwolenie miał już udzielone raz na zawsze. Teraz jednak pytanie Waldemar skierował głównie do Stefci, bo gdy ona, nie spostrzegłszy się, nie zrobiła najmniejszego ruchu, Waldemar z wykwintną uprzejmością zwrócił się bezpośrednio do niej:

– A pani?

– O, proszę pana – odparła z uśmiechem.

Prątnicki zagryzł wargi. Grzeczność ordynata dla nauczycielki była dla niego nauczką. Odczuł, że dano mu ją umyślnie. Zbyt lekceważąco odzywał się do Stefci i oto ten arystokrata zręcznie, a jednak wyraźnie dał mu do zrozumienia, że postąpił niewłaściwie.

Edmund rzucił wzrokiem na pana Macieja, panią Idalię i przekonał się, że oni także nie ujawniali zachwytów nad nim. I pomyślał, że obcy ludzie biorą stronę tej dziewczyny, a on, który za nią szalał, nie wahał się teraz przemawiać do niej w sposób lekceważący. Dlaczego tak robił, nie wiedział. Wprost doznawał dzikiej przyjemności na widok jej rumieńców, był przekonany, że ona go kocha, i to go ośmielało. Dowiedział się o jej bytności w Słodkowcach

od jednego z sąsiadów Ruczajewa, nie pomyślał nawet, że spotkanie może być dla niej przykre. On się cieszył i to mu wystarczało.

Uplanował mścić się na niej, rozkochać ją na nowo, jeśli zapomniała. Wyobrażał sobie,

że Stefcia, kochając go, potrafi znosić cierpliwie jego żarciki. Na wstępie doznał zawodu.

Wprawdzie widział wrażenie, jakie sprawił na pannie Rudeckiej, lecz ono było inne, niż

się spodziewał. Górowało przerażenie tak ogromne, że aż zdumiał. Lodowata twarz Stefci nie zdradziła ani odrobiny zadowolenia, ani cienia radości.

Na jego zaczepki zmierzyła go tak szyderczym wzrokiem, że mimo woli uczuł dreszcz.

– Co jej się stało? – pomyślał ze złością – skąd ta pogarda?

Jednocześnie jakiś głos wewnętrzny syknął w nim, przypominając jego postępek sprzed paru miesięcy. To go rozdrażniło, postanowił jej dokuczyć. Ale Waldemar nie pozwalał jej lekceważyć. Prątnicki zrozumiał, że go wzięto na munsztuk i że ona ma tu obrońców, z którymi powinien się liczyć. Po pierwszej chwili zmieszania ogarnęła go wściekłość. Postanowił zemścić się na dziewczynie w inny sposób. Błysnęła mu w głowie genialna myśl, godna najzdolniejszego dyplomaty.

Od samego początku obiadu zauważył niebieskie oczy Luci, spoczywające na sobie z nie ukrywanym zachwytem, i to zapaliło w jego mózgu myśl pełną natchnienia: od razu wydała mu się ona tak świetną w następstwach, że mimo woli skłonił głowę, jakby z uznaniem dla samego siebie.

Obiad się skończył. Pani Idalia powstała od stołu i Waldemar zabrał swego praktykanta do gabinetu dla obznajomienia go z jego zajęciami.

# VIII.

Przeszło kilka tygodni. Życie panny Rudeckiej stało się ciągłą walką najróżnorodniejszych uczuć, często bardzo sprzecznych. Obecność Edmunda działała na nią niepokojąco, drażniła, wprowadzając w stan nerwowego rozstroju.

Stefcia wyznała szczerze pani Elzonowskiej, kim jest Edmund; powiedziała, że spotkanie z nim zanadto ją męczy i prosi o zwolnienie. Pani Idalia okazała jej współczucie z całą taktyką wielkiej damy, ale nie zgodziła się na wyjazd. Ponieważ jej osobiście podobał się Prątnicki, więc nie powtórzyła prośby Stefci ani ojcu, ani Waldemarowi. Odgadywała, że pan Maciej chciałby zapobiec cierpieniom Stefci, a gdyby to doszło do Waldemara, Edmund przestałby istnieć w Słodkowcach.

Pani Idalia nie życzyła sobie jego wyjazdu. Dla niej młody, przystojny i wesoły praktykant stał się miłym towarzyszem codziennych obiadów i kolacji. Umiał jej zręcznie pochlebiać, łechtać jej ambicję, przy tym, zabawny i dowcipny, potrafił bawić. Zawsze z wielką żywością chwalił Lucię i w pani Idalii odczuwał jedyną przyjaciółkę i sprzymierzeńca.

Waldemar nie lubił go aż nadto wyraźnie, pan Maciej również. Dla Stefci

stał się obojętnym. Luci mówił grzeczności, wiedząc, że matka to lubi. O samą Lucię mniej mu chodziło. Nie uważał, że jego nadskakiwania robiły na dziewczynce wrażenie zupełnie niepożądane.

Lucia, jak sobie przepowiedziała, zadurzyła się w nim od razu. Pociągnęła ją jego uroda istotnie przepyszna, reszty dopełniły hołdy, do jakich jej jeszcze nie przyzwyczajono. Z tego powodu i stosunek jej do Stefci uległ zmianie. Swoboda dziewczynki znikła. Myślała zawsze,

że Stefcia kocha Edmunda. Czuła do niej żal i obawę, aby ona nie spostrzegła jej uczuć. Stefcia odgadła wszystko.

Bała się o spokój Luci, lecz mówić z nią o tym nie mogła, z panią Idalią nie śmiała. Pozostał pan Maciej, lecz jego także nie chciała dręczyć.

Taktyka i nieszlachetność Edmunda oburzyły ją. Wszystko to składało się dla niej na życie pełne zmartwień i niepokoju. Przyjazdy Waldemara sprawiały jej ulgę. Witała go z przyjemnością zupełnie różną od dawnej niechęci. Wówczas drażnił ją, teraz występował w charakterze obrońcy przed Prątnickim.

W obecności Waldemara panowała swoboda. Rozweselał wszystkich, prócz jednego Edmunda, który przy młodym ordynacie tracił werwę, nie pozwalał sobie na żarciki ze Stefcią, nawet nie pochlebiał Luci, wiedząc, że ordynat nie lubi tego.

Prątnicki oddychał, gdy Waldemar odjeżdżał, Stefcia oddychała, gdy przyjeżdżał, czuła

się przy nim swobodniejszą, mniej rozgoryczoną. Ich sprzeczki trwały, lecz już odmienne, więcej w tonie obopólnego żartu, dowcipne nawet cięte, ale bez domieszki dawnej złośliwości. Nie kłócili się nigdy przy Edmundzie, za co Stefcia musiała być wdzięczną Waldemarowi. Rozmawiali z sobą dużo i zajmująco.

Inteligencja i wykształcenie jego imponowały dziewczynie. Ale po każdym wyjeździe ordynata cierpiała podwójnie. Edmund mścił się na niej niesmacznymi żartami za rozmowy z Waldemarem i za to, że sam nie może w nich brać udziału, bo poruszali często kwestie mało mu znane. Zresztą praktykant w obecności Waldemara tracił swój burszowski humor, nawet pani Idalia mniej mu wierzyła przy swym kuzynie, choć zwykle Waldemar nie miał u niej wielkich łask.

Pewnego dnia po obiedzie Stefcia grała w salonie. Lucia, wciśnięta w fotel, czytała ilustrowane dzienniki. Nagle wszedł Waldemar, niosąc sporą paczkę. Lucia z okrzykiem zerwała się pierwsza.

– Przyjechałeś?... Jak to dobrze... Coś przywiózł?... Ordynat powitał Stefcię.

– Mam tu dla pani obiecane książki. Jest Korynna i Delphina pani Staël, jest kilka tomików Byrona w oryginale. Czy pani jest dość silna w angielskim, aby czytać? Mówi pani dobrze...

– I rozumiem wszystko. Nie czytałam wprawdzie w oryginale, lecz spróbuję – odrzekła Stefcia dziękując.

– Horacego przywiozę innym razem. A może pani chce coś z naszej literatury.

– Owszem, poproszę pana o Lama i Mochnackiego, jeżeli pan posiada.

– Ależ dobrze, mogę pani służyć i Skargą i Rejem, i Kołłątajem, i kim pani zechce. Moja biblioteka na rozkazy pani.

– Jest, widać, niewyczerpana.

– Szczycę się tym, że jedna z największych w kraju. Ale przerwałem pani muzykę.

Stanął przed pulpitem, odrzucił kilka stron w zeszycie z nutami i zatrzymał się na dwunastej sonacie Beethovena As-dur.

– O tę proszę. Ślicznie pani oddaje scherzo i marsz żałobny.

– Skąd pan wie?

– Słyszałem raz, kiedy mię pani nie widziała.

– O! to się muszę strzec – zaśmiała się Stefcia, siadając do fortepianu.

Waldemar stanął za nią, ale spojrzał na bok i widząc Lucie zatopioną w czytaniu zawołał, klasnąwszy w dłonie:

– Hola, panienko, to nie dla ciebie jeszcze lektura. Lucia zamknęła książkę.

– Nudni jesteście, ty i panna Stefania. Ja dawniej czytałam nawet Zolę, a teraz nic mi nie wolno.

Waldemar zaśmiał się.

– Emancypowana pani pupilka, co? – rzekł do Stefci. – Pewno, że po Zoli blado wygląda Mickiewicz, jak moralne jasełka po pikantnej operetce.

– Nieznośny jesteś! – odburknęła nadąsana Lucia.

– No, Lucia, cicho! Przecież pan żartuje.

Waldemar ucałował dziewczynkę. Ona mu się wyrwała i wybiegła z pokoju.

Stefcia zaczęła grać z pamięci. Ordynat usiadł. Chwilę patrzał na grającą, oparł czoło na dłoni i zagłębiony w fotelu, znieruchomiał.

Stefcia początkowe andante grała z roztargnieniem. Obecność Waldemara niepokoiła ją. Nogi miał założone jedną na drugą. Widziała eleganckie jego buty z ostrogami, opinające prawdziwie arystokratyczne stopy, i drażniły ją w dziwny sposób. Pierwszą wariację przegrała bezdźwięcznie.

Waldemar poruszył się, odjął rękę od czoła i palcami najeżając wąsy w sposób sobie właściwy, z podniesieniem ust w górę, patrzał na nią badawczo.

Dziewczyna dojrzała jego ruch, odczuła wzrok i zrozumiała, że spostrzegł jej roztargnienie. Następną wariację wykonała dobrze, trzecią i czwartą z brawurą i znakomitą techniką, piątą artystycznie, z pełnią uczucia, jakby grając mówiła zarazem... Waldemar, wsparty na dłoni, słuchał w skupieniu.

A Stefcia cieniowała piątą wariację, jakby haftując na klawiszach perłami i cudną pelą. Wdzięczne, lekkie nuty płynęły z tęsknotą, namiętnie, pieszcząc i unosząc się w błękity. Ostatnie akordy jęknęły rozpacznie, i nagle posypało się rzęsiste, jak złote kropelki, scherzo.

Zadrgały szybkie nuty na klawiszach, niby łopot skrzydełek ptasich, zaszumiały gradem srebra, spływając hucznie w spokojniejsze trio.

Przebrzmiały błyskotliwe nuty, zgasły. Chwila ciszy i zabrzmiał tragiczny, pełen majestatu marsz żałobny.

Powaga, groza, potęga szły z grzmiących nut. Stefcia z wypiekami na twarzy, z błyszczącymi oczyma kładła w tony siłę i energię duchową, cały zasób swych zdolności dramatycznych. Marsz porywał, wzbudzał grę nerwów. Gdy w drugiej części zawarczały bębny, groza wzmogła się, krew zatrzymując w żyłach. Stefci tętna waliły w skroniach, grając oddychała szybko, przejęta do głębi duszy.

Waldemar powstał, podszedł krok naprzód i oparty o konsolę kominka, z dreszczem w żyłach przepalał Stefcię gorejącymi oczyma.

– Co za temperament, jaki zapał! – myślał, widząc ruch jej palców i ognie na twarzy. Olbrzymia siła namiętności, jakiej dawno już nie doznawał, pchała go do niej. Uczuł, że pożąda tej dziewczyny, że ona przepala mu krew, szarpie nerwy.

– Ogień, ogień – mruczał przez zaciśnięte zęby. I skurcz szalonej, namiętnej fali ściągnął jego brwi, poruszył nozdrza, drżał na ustach. Miał wygląd orła gotowego do zadania ciosu, szeptał już wściekły:

– Ona musi być moją... Kobieta, która tak porywa mężczyznę, musi ulec. Zdobywałem wiele mnie pożądanych, więc i ją mieć będę... To ogień!... wulkan... Ale dwa ognie poparzyć się nie mogą... i tyle rozkoszy!... Nagły prąd pchnął go naprzód.

Stefcia rzucała na klawisze ostatnie akordy marsza. Ordynat rozgorączkowany stanął tuż za nią, pochylił się. Ostatnią siłą woli panował nad sobą, by nie porwać jej w ramiona. Czuł rozkosz, lecz i dziwną niemożebność tego czynu. Szatan namiętności zapalał go, a biały, czysty duch owiewał Stefcię iluzją, jakiej nawet jego demon rozedrzeć nie śmiał.

Waldemar walczył... Płomienie buchnęły mu na twarz, oczy gorzały piekłem pożądania. Nie zdołał wytrwać, pochylił głowę niżej, oddech jego przepojony ogniem wewnętrznym sparzył szyję Stefci, jego ramiona były o włos od jej ramion. Dziewczyna drgnęła, odwróciła głowę, jej oczy ogromne, tęskne, spojrzały na Waldemara zdumione. Patrzyli na siebie. Stefcia, blada, z dreszczem przestrachu zerwała się z krzesełka.

Ale on ją zatrzymał.

– Niech pani gra... Błagam!...

Usiadła zniewolona siłą jego głosu. On przetarł czoło i odsunął się.

Stefcia rozsnuła piątą wariację tak lekko, że mniejszego szmeru nie wydaje motyl, trącając skrzydełkami o kwiaty. Jak w osłupieniu przegrała wariację do połowy, prędko wstała i zamykając fortepian, szybko pobiegła do drzwi.

Od okna wzburzony ordynat skłonił się jej grzecznie.

– Zakończyła pani ślicznie. Całość wspaniała. Dziękuję. Dziewczyna wybiegła.

Waldemar popatrzył za nią i rzekł głośno:

– Ogień zamknięty w kielichu białej lilii.

Podwieczorek zastawiono na tarasie. Waldemar, już spokojny, wesoły,

unosił się nad grą Stefci, żartował z Luci, nawet z Prątnickim rozmawiał uprzejmiej niż zwykle. Sam zaproponował przejażdżkę łódką po jeziorze.

Stefcia się rozchmurzyła. Popłynęli we czworo. Waldemar wiosłował. Prątnicki ujął mechanicznie ster w ręce, Stefcia i Lucia usiadły na środkowej ławeczce, zwrócone do Waldemara. Ale Lucia zmanewrowała tak, że za chwilę była już na wprost Edmunda.

Łódka odbiła od brzegu. Zachód czerwcowy rzucał gorące iskry na błękitną wodę, łabędzie z rozpostartymi skrzydłami płynęły za łódką. Stefcia pluskała na nie wodą, ciesząc się z widoku rozgniewanych ptaków. Waldemar patrzał na jej ręce, jak zanurzone w wodzie przybierały tony perłowe, słuchał jej śmiechu i myślał:

– Jak łatwo to zmącić... Wystarczy porwać ją za rękę i zgnieść w swojej albo przywołać szatana w oczy i wpić się nim w jej usta, i już ta swoboda, ten śmiech jasny zgaśnie, zwarzy się niby płatek konwalii na mrozie... Cóż to za dziewczyna?... Bo nie anielica, a ma czystość anioła... nie demon, a ma temperament i ogień szatański. Fenomenalne! Czyż dla zdobycia jej mam się przemienić w anioła?... Nie, tego nie potrafię. Zresztą nie pragnę jej anielskości.

Przeciwnie, chcę, aby mi oddała to wszystko, co jest w niej z demona, anielskość chowając dla przyszłego męża.

Mimo woli spojrzał na Prątnickiego.

– A gdyby on nim pozostał?... Nie, potworne porównanie. Zamyślił się patrząc na Stefcię.

– Dla kogo ona stworzona? Kto ją posiądzie? Bajeczna dziewczyna! Godna świetnego losu! Czy upaść w me ramiona wystarczy dla niej?... Na to ona jest za czysta! Obrywałem listki

z najpiękniejszych orchidei, ale dla mimozy miałem zawsze szacunek. Ona jest mimozą i warta zachodu. Cierpliwości, a będę ją miał.

Stefcia czuła jego wzrok na sobie, ale spokojnie bawiła się pluskaniem wodą na łabędzie. Wreszcie, chcąc przerwać milczenie, rzekła:

– Pan wiele podróżował po morzu. Niech mi pan opowie wrażenia. Muszą być wspaniałe.

– A pani nie zna morza?

– Owszem, znam trochę Morze Bałtyckie, ale nie odbywałam dalszych podróży.

– Dla mnie najmilsze wody Adriatyku i Oceanu Wielkiego – dwa kontrasty, jak baletnica

w błękitnych gazach obok siłacza. Na Adriatyku lubiłem pływać łodzią żaglową samotnie lub tylko w towarzystwie sternika. Ale na ocean wolałem się uzbroić w potężny statek, który kpi sobie z groźnych fal. Nie była to jedynie ostrożność wywołana obawą, lecz i chęć zaimponowania temu kolosowi siłą rozumu ludzkiego. Przetrwałem na oceanie dwie burze i straszliwy tyfon, nawet siedziałem już w szalupie ratunkowej wśród ryku bałwanów.

– To jest chyba okropne wrażenie – przerwała Stefcia.

– Potężne! Jedyne w swoim rodzaju. Jakby się człowiek wziął za bary z oceanem – kto kogo zwycięży. Obawa śmierci ustępuje miejsca nie rezygnacji, ale zajadłości. Człowiek, walcząc z tytanem, zmienia się sam w tytana. Patrząc na niezmierzone przestrzenie rozszalałych fal, widząc piramidy wody, słuchając ryku i grzmotu, o jakim na lądzie nie mamy pojęcia, człowiek doznaje szacunku dla samego siebie, że w tych odmętach żyje, nawet potrafi zastanawiać się nad bezowocnym rozwścieczeniem oceanu. To jest uczucie niezmiernie dziwne i porywające.

Stefcia patrzała na niego zdumiona.

– Nie każdy chyba doznaje takich uczuć – rzekła kręcąc głową – trzeba mieć w sobie du-

żo hartu i abnegacji życia, aby ulegać podobnym wrażeniom. Waldemar uśmiechnął się.

– No, hartu mam dosyć, a żal za życiem nic nie pomoże. Wówczas przeważa prosta filozofia: „umrę, to umrę", a jednocześnie energia i zaciekłość szepcą: „umrę, jeśli się dam zwalczyć". Niekiedy ocean zwycięża, pogrzebując tysiące ofiar, i zawsze zostawia choćby jedną przy życiu, jakby dla urągania jej, pochwalenia się swą mocą. Nic nie jest silniejszym nad tryumf obrońców statku, gdy tyfon nie zdołał go zatopić. Ja, nie chcąc być jedzącym tylko śliwki w czasie burzy, pracowałem albo z majtkami przy linach, albo przy busoli, lub z kapitanem dyrygowałem naprawieniem uszkodzonych miejsc.

– I nie męczyło to pana?

– Sprawiało mi zadowolenie. Borykałem się na równi z załogą dla zwalczenia potworu.

Na linii transatlantyckiej znali moją słabostkę. Lubiłem być na pokładzie, kiedy burza cichła, kiedy zapieniony ocean oddychał resztkami wściekłości, jakby mu brakło tchu w olbrzymich płucach. Statek wówczas rozwiewa żagle, kurzy tryumfalnym słupem dymu, śruba druzgoce spienione cielsko oceanu i rwie naprzód, posuwa statek dumna i zwycięska. Gdy dzieje się to przy wschodzie słońca, wrażenie spotęgowane pięknością natury wzbudza prąd w nerwach, jakby dreszcz rozkoszy. Zdaje się że i niebo jest przyjacielem ocalonych, a wrogiem poskromionego napastnika. Do najwspanialszych zjawisk zaliczam burzę na morzu.

– Pan lubi niebezpieczeństwa?

– Podniecają mię. Najnieznośniejsze na statku są panie: aby trochę wichru, zaraz spazmy, płacze, histerie! Ciekawy jestem, jak by się pani zachowała w takim wypadku?

– Nie spazmowałabym na pewno, lecz bałabym się okropnie. Waldemar patrzał na nią z uśmiechem.

– Niech mi kto wytłumaczy, dlaczego kobiety są od nas lękliwsze, kiedy w innych razach przewyższają nas odwagą...

– W czymże na przykład?

– W czym?... Choćby w walce z nami. Wy jesteście pogromczyniami rodu męskiego i przedstawiacie niebezpieczeństwo poważne, choć ukryte... takie pazurki w aksamitnej rękawiczce.

– Czyżby i pan bał się tych pazurków?

– Pani wątpi?

– Trochę.

– Ma pani słuszność – zaśmiał się Waldemar. Wyciągnął wiosła z gryf i złożył je na swych kolanach.

Płynęli cicho po spokojnej wodzie; drobne fale goniły za sobą błyszcząc jak mika; łódka sunęła jak liść nenufaru, bez szelestu.

Edmund rozmawiał z Lucią o tańcach, głośno i z niesłychaną zuchwałością. Waldemar rzekł znowu, pochylony do Stefci:

– Więc pani przeczuwa, że nie jestem lękliwy, nawet w tym wypadku? Nie przeczę! Chociaż batalia z kobietą bywa nieraz większą nieostrożnością niż targanie lwa za ucho, bo nigdy nie jest się pewnym, jaka wyniknie niespodzianka. Zaratustra Nietzschego powiedział:

„Dwóch rzeczy pragnie prawdziwy mężczyzna: niebezpieczeństwa i igraszki, przeto pożąda kobiety, jako najniebezpieczniejszej igraszki”.

– Ładna teoria! Czyli że kobiety uważacie jako zabawkę mniej więcej ładną lub kolącą albo za oswojone zwierzątko, które może ugryźć.

– No, czasem trzeba je dopiero oswajać. W tym właśnie leży niebezpieczeństwo przedsięwzięcia. Ułaskawione łatwiej skłonić do podawania łapy.

– Pan jest bezczelny cynik!

– Oj! oj! cóż za potwarz. Przepraszam panią, jeślim ją obraził, aleja dopełniłem porównania zrobionego przez panią. Możemy ten sam temat omówić efektowniej. Więc: kobieta jest istotą, o którą mężczyzna walczy, a im ona ma większe pazurki, tym walczy o nią wytrwałej. Nie każda walka prowadzi do wyników pożądanych, lecz prawie każda zwycięża, gdy mężczyzna weźmie na kieł, naturalnie, o ile potrafi. To już jest odrębna zdolność. Ten sam Nietzsche powiedział: „Idziesz do kobiet – nie zapomnij bicza”. To ma znaczenie głębokie, dowodzi, że tylko taki alegoryczny bicz energii i silnej woli może z kobiety zrobić baranka. Wszelkie padanie plackiem to most rzucony pod jej stopy, po którym ona przejdzie zawsze i bezwzględnie.

– O jakim rodzaju kobiet pan mówi?

– Wobec pani nie mógłbym mówić o innym, tylko o najwyższym.

– Bo mówi pan zagadkowo.

– Nie, pani. Wygłaszam tylko moje credo w tej sprawie. Ja mogę

– Pani to mówi nadzwyczaj śmiało – rzekł ordynat poruszając brwiami.

– Śmiało?... W jakim znaczeniu?

– Za mało ma pani doświadczenia życiowego, żeby tak stanowczo twierdzić.

– A jednak jestem przekonana, że życie nie zmieni mego twierdzenia.

– Ej! niech pani nie ręczy!

– Czy pan mi zaprzecza wyższości moralnej? Waldemar był rozdrażniony.

– Nie zaprzeczam, ale wątpię, czy ta moralność wytrwa na piedestale, ustawionym przez ambicję pani.

– Co ją może zachwiać? – spytała zuchwale. Popatrzał jej w oczy długo i rzekł dobitnie:

– Pani temperament, wrażliwość, młodość i jakaś potężna siła męska. To są atuty zdolne nie tylko zachwiać, lecz zwalić panią z piedestału, gdyż zagłuszają punkt, uważany przez pa- nią za stanowczy.

W źrenicach mówiącego dojrzała Stefcia dziką siłę i śmiały cynizm; zaimponował jej. Zanurzyła palce w wodzie i bawiąc się rozpryskiwaniem błyszczących kropelek, rzekła wolno, jakby do siebie:

– Za wielka wiara w siłę męską, a za mała w naszą.

– To tylko doświadczenie, że najsilniejszy pancerz nie ostoi się przed tym, kto ma pragnienie walki i potrafi odnaleźć w największym uzbrojeniu piętę Achillesa.

– A jeśli taka słaba strona nie istnieje?

– Dla woli i energii istnieje zawsze, tylko bywa różną zależnie od intelektu kobiety. Od- szukanie właściwej przedstawia największą trudność. To kwestia sprytu mężczyzny.

Stefcia zamyśliła się.

– Czy przekonałem panią? – spytał ją z uśmiechem.

– Daje pan dobre oświetlenie swej tezie; nie przeczę, ale...

– Niech pani dokończy, proszę.

– Ale mówi pan głównie na podstawie własnych tryumfów, o jakich nawet ja słyszałam.

W pańskich słowach brzmi pewność siebie. Czy jednak zdanie pańskie może się tyczyć ogółu?

– Ogółu kobiet na pewno, bo z wieloma bardzo różnymi miałem do czynienia, a mężczyzn podobnych do mnie jest więcej. Tylko są kobiety opancerzone w dziwną zbroję, jakiej trudno dojrzeć, są owiane nimbem i ten hamuje napastników, czarując zarazem. Zwyciężyć je można, ale wobec nich brutalność ginie, i ten szczegół stanowi ich siłę.

– A więc znalazł pan wyjątek! – wykrzyknęła Stefcia.

– Bardzo rzadki. Są to kwiaty ginące wśród powodzi innych. Zresztą powtarzam: i takie kobiety mężczyzna zwalczy, ale inaczej.

Stefcia nie odpowiedziała. Patrzała na wodę i na białe kielichy nenufarów, wychylone z talerzastych grubych liści. Sięgnęła po jeden kwiat, lecz pływał za daleko. Waldemar w milczeniu zahaczył go wiosłem i przysunął do jej ręki.

Zerwała dziękując mu uśmiechem.

On patrzył na nią, na jej rumieniec, na sinawe cienie, jakie rzucały na twarz ogromne rzęsy, i myślał:

– Czyś ty ów kwiat owiany nimbem wśród powodzi innych? Moja brutalność ginie wobec uroku twych aksamitnych oczu... A jednak walczyć

będę z twym opancerzeniem i złamię je.

Zobaczył kępkę nenufarów i skierował tam łódkę. On wiosłem przysunął kwiaty, Stefcia rwała, rzucając je Luci. Ale dziewczynkę pochłaniała rozmowa z Prątnickim. Opowiadał jej o świeżo czytanej powieści. Stefcia, dosłyszawszy kilka zdań, spojrzała znacząco na Waldemara.

– Wracajmy – rzekła cicho.

– Dlaczego? Teraz po zachodzie słońca najprzyjemniej.

– Ale już prawie ciemno.

– Jeszcze trochę...

Nagle wypowiedziane głośniej słowa Edmunda zastanowiły go. Spojrzał na Lucię, potem na Stefcię. Ona szepnęła:

– Wracajmy.

Skinął głową i zaczął zawracać łódkę, ale Prątnicki wstrzymał ster.

– Panie ordynacie, wracamy?

– Wracamy!

– Już?

– Tak.

Stefcia uśmiechnęła się z intonacji głosu obydwóch.

– Taki ładny wieczór – zaoponowała Lucia.

– Już późno – rzekła Stefcia – mama będzie o ciebie niespokojna.

– Eee! to tylko pani chce wracać. Moglibyśmy jeszcze popływać...

– Panna Stefania ma pierwszy głos – rzekł sucho Waldemar. Lucia umilkła, natomiast Prątnicki rzekł z ironią:

– Pannie Stefanii zapewne zimno. Szkoda, że pani nie wzięła szala.

Waldemar utkwił w nim oczy, usta mu zadrżały gniewem, ale Stefcia powstrzymała go błagającym wzrokiem. Rzekł więc tylko:

– Zamiast uwag, niech pan lepiej steruje. Łódka się ciągle krzywi. Prątnicki poczerwieniał.

W milczeniu dojechali do brzegu, gdzie oczekiwała pani Idalia z panem Ksawerym.

Księżyc oświetlał głębiny parku, błyszczał na wodzie srebrną siatką, ruchomą i mieniącą. Róże pachniały, nisko w krzakach świeciły robaczki świętojańskie. Wieczór, zalany falą ciepła, usposabiał marząco.

Znad jeziora buchnął chór żabi. Wysokie białe lilie na trawnikach i żółte irysy wyglądały niby dziewice w rzymskich tunikach, przechadzające się wśród cyprysów, do których w cieniu wieczornym podobne były tuje. Oświetlony pałac mrugał rzędami okien, odbicia światła stały się na kamiennej posadzce tarasu ognistą smugą, srebrzyły rozkwitłe róże, drgały na listkach caprifolium, zapuszczały iskierki w głąb cienistej alei, jakby przywołując idących. Jasną suknię Stefci pokryły błyszczące plamki, na włosach igrały złote nitki. Waldemar szedł

na końcu, mnąc w ręku żółtą różę, patrzył na jasną postać dziewczyny, z zagadką w swej upartej duszy.

– Czym ta dziewczyna mię porywa? To ogień w kielichu białej lilii –

powtórzył w myśli dawne porównanie.

Po kolacji, gdy się wszyscy rozeszli, Waldemar chodził w parku otoczony psami, które łasiły się do niego szczekając wesoło. Ordynat obszedł aleje, błądził nad jeziorem, podchodził do pałacu, patrząc na światełko w oknie Stefci, przyćmione firanką.

– Co ona robi? – myślał – czy rachunek sumienia, czy prosi Boga o zachowanie swej cnoty... czy rozmyśla o naszej rozmowie?... W ogóle czy ona przeczuwa niebezpieczeństwo? Czy jest świadoma mych pragnień?...

Ordynat wzruszał ramionami i szedł dalej. Dymek z cygara otaczał go delikatnym obłokiem. W świetle księżyca smukła postać Waldemara migała na tle trawników nadmiernie wydłużona, cienka. Żwir pod stopami skrzypiał, czasem ordynat cmoknął na psy lub pogładził którego z nich. Przy bocznym pawilonie zatrzymał się na widok otwartego okna, skąd buchało światło i szedł cichy szept rozmowy. Ponad krzewami spirei spojrzał w okno. Przy małym stoliku siedział Prątnicki z rządcą Kleczem. Grali w karty. Prątnicki bez surduta, w rozpiętej kamizelce, rozparty w krześle, dowodził coś z nadzwyczajną werwą. Miał minę bursza. Waldemar poszedł dalej, mrucząc:

– Bestia! działa mi na nerwy. I te karty! Wprowadza nowe zwyczaje!

Prątnicki zwykle wobec ordynata tracił humor. Odgadywał niechęć do siebie w obu Michorowskich, nie mógł za wiele mówić, nie mógł się chwalić, bo czuł, że to ich razi. Zaprzyjaźnił się z Kleczem, ponieważ wiedział, że mu imponuje. Pochlebiało mu to.

Pewnego dnia, w końcu czerwca, Prątnicki z Kleczem byli na łąkach, gdzie robotnicy kosili trawę. Panowie na linijce pod lasem rozmawiali ze sobą, często wybuchając śmiechem. Edmund palił papierosa i z rękoma w kieszeniach zwracał się do zaciekawionego Klecza z junakierią i minami. Mówił o Stefci:

– Tak, panie! na świecie dużo jest kobiet, ale trzeba umieć wybierać takie, co obok dobrego smaku posiadają jeszcze dobrą przyprawę. To jest grunt. Stefa jest apetyczną, nie przeczę: teraz jakoś zblakowała, ale to esencjonalna dziewczyna!... Lecz cóż z tego? Pływa tylko w dwudziestu tysiączkach. Czyż to dla mnie? Miły Boże! wystarczyłoby mi akurat na dwie podróże za granicę.

– Gdyby tak miała ze sto tysiączków, co? ha! nie porzuciłby jej pan – zaśmiał się Klecz rubasznie.

Edmund zrobił ustami grymas wyrażający lekceważenie.

– Tak, naturalnie, chociaż powiem panu prawdę, że ona trochę mdła, zanadto cnotliwa. Byłem przecież przez kilka miesięcy prawie narzeczonym, a dalibóg nie udało mi się wziąć całusa ani razu, chociaż umiałem być natarczywy. Nie i nie... Ona nie ma temperamentu, ta dziewczyna.

– Ja bym sądził inaczej. Panna Stefania ma bardzo żywą fizjonomię, wygląda na ognistą kobietę. Może pan nie umiał jej zajść, bo z kobietą to panie tak, jak z narowistym koniem, trzeba umieć obchodzić się.

Wybuchnęli śmiechem.

– Przecież szalała za mną – mówił dalej praktykant. – Już ja potrafię

krzesać iskry, to moja specjalność. Zobaczy pan, ona za mąż nieprędko wyjdzie – jeśli w ogóle wyjdzie. Chyba ożeni się z nią jakiś świętoszek albo facet, dla którego jej posag będzie stanowić sumę. Ona, choć ładna, porwać nie potrafi. Mówię panu, że cnotliwa do obrzydliwości. A to ważny defekt w kobiecie. Z niej nikt nic nie wydobędzie. Klecz uśmiechnął się chytrze.

– E! tak źle nie jest. Panu się nie udało, ale naszemu ordynatowi pewnie się poszczęści... Prątnicki szeroko otworzył oczy.

– No! pan tak myśli na serio? Ordynat ożeniłby się z nią? Co znowu! Klecz parsknął śmiechem.

– Ożenić się!... Co panu w głowie? ordynat z nauczycielką! Także myśl! On, o którego księżniczki się ubiegają... Ale zbałamucić może i potrafi. Jemu się ona nie oprze, choć pan dowodzi, że zimna.

Praktykant zamyślił się.

– A wie pan co? – rzekł po chwili – że mnie to już do głowy przychodziło. On jakoś za grzeczny dla niej i zawsze jej broni.

– Broni?...

– No tak. Ja czasem żartuję z niej. On kilka razy wziął jej stronę nawet dość szorstko, niedelikatnie.

Klecz spojrzał na Edmunda spod oka i mruknął:

– Pewnie dał ci dobrą naukę...

– Co pan mówi?

– Ech! nic. Mówię, że on to potrafi. Prątnicki kręcił głową.

– No, no! gdyby ta cnotliwa, skromna Stefcia została kochanką ordynata, ot, śmiałbym się...

– Cieszyłby się pan, co?

– Cieszyłbym się naprawdę. Nawet bym nie żałował, że to mnie nie spotkało.

– Podlec! – mruknął rządca.

To samo słowo padło na wąskiej ścieżynce leśnej wyrzucone przez wściekłe usta Waldemara.

Konno stał tam od kilku minut i wysłuchał rozmowy. Jadąc po piaszczystej drożynie wśród gęstych krzewów leszczyny i młodych sosen, usłyszał głośny śmiech. Przez gąszcze dojrzał kontury linijki i głowę konia, skubiącego trawę. Nagle wpadło mu do uszu imię Stefci, wymówione przez Prątnickiego ze śmiechem i z jakimś cynicznym dodatkiem. Zatrzymał się, a że w naturze panowała cisza, bo z oddalonych łąk gwar dochodził słabo, więc każde słowo praktykanta, przefiltrowane przez liście drzew, w akustyce leśnej padało wyraźnie. Słuchając ordynat zaciskał zęby, gniótł w ręku pejcze, jakby ją chciał połamać na grzbiecie Prątnickiego. Gdy Edmund mówił o swych nieudanych próbach ze Stefcią, Waldemar posunął konia, chcąc przerwać dalszy ciąg, ale usłyszał mowę o sobie i stanął.

Miał wygląd złowrogi ze zmarszczonymi brwiami i zimną stalą w oczach. Nozdrza jego rozdęły się, poruszane gniewem. Oburzyły go ostatnie słowa Edmunda. Trącił konia ostroga- mi, zdecydowany wymówić miejsce

Prątnickiemu i Kleczowi za ich złośliwe uwagi, ale się opamiętał. Jakiś głos wewnętrzny wstrzymał go szeptem: „Oni mają słuszność, do tego dążysz”...

Ordynat ściągnął konia munsztukiem, aż Apollo osiadł na zadzie, wznosząc przednie kopyta w górę. Skręcił na miejscu i wolno pojechał w głąb lasu, wzburzony, ciskając przez zęby przekleństwa. Nie mógł się pozbyć myśli, że Klecz odgadł jego zamiary. To wprowadzało go w szał gniewu. Duma magnacka burzyła w nim krew. Jego własny rządca zna go dobrze, na pewno twierdzi, że mu się Stefcia nie oprze... ta dziewczyna świeża i czysta jak woda kryniczna... On nie ominie takiej sposobności, pragnie nasycić się krasą Stefci?...

Ordynat zaciął wargi.

– Odgadł mnie. Ja istotnie chcę ją mieć. To nieprawda, co Prątnicki o niej dowodzi, że nie ma temperamentu. Dziewczyna jak iskra, przy tym jakaż ponętna! Jest dumna i ambitna, lecz to nie zmniejsza jej uroku – przeciwnie, podwaja go...

Waldemar pomimo gniewu czuł radość, że Edmund nazwał Stefcię cnotliwą „do obrzydliwości”. Prątnicki nie ukryłby nic – przeciwnie, chwaliłby się.

– Nie kochała go prawdziwie – pomyślał Waldemar – gdyż inaczej... To esencjonalna dziewczyna, w tym Prątnicki ma słuszność... A gdybym ja miał większe szanse?...

Wzdrygnął się. To samo mówił Klecz.

– Podły jestem – rzekł Waldemar sam do siebie i popędził cwałem.

Las skończył się, smukłe sosny przeświecały łąką. Gdzieniegdzie stały pojedyncze, otoczone kępami jałowca, wreszcie i one znikły. Przed ordynatem leżała wilgotna, bujna łąka. Z daleka widniał rząd kosiarzy w białych koszulach, kosy w słońcu migały jak złote. Koń zwolnił, zniżył głowę, chcąc skubać soczyste źdźbła, lecz munsztuk utrzymywał go w obowiązującej postawie dobrego wierzchowca. Waldemar jechał zamyślony. Nagle podniósł brwi, uderzył szpicrózgą po sztylpach butów; roześmiał się i zaczął w myśli monologować:

– Ja mogę mieć względem niej zamiary, jakie mi się podoba. Cóż mię ona obowiązuje? Spotykam na drodze jedną więcej istotę, którą warto zdobyć, i koniec. Czy mi się uda... to kwestia! Wszystko zależy od miary jej temperamentu. Jestem lekkomyślny... no, jestem łotr, ale Prątnicki to ostatni szubrawiec. Cieszyć się, że ktoś zbałamuci osobę, którą się kochało, to jest podłość i nikczemność w wysokim stopniu, to godne tylko takiego cymbała jak Prątnicki! Jednak ja się z nim muszę rozstać. Psuje mi krew... I ta przyjaźń z Kleczem...

– A jeśli Stefcia kocha go jeszcze? – szepnął mu jakiś głos.

Waldemar wzruszył ramionami.

– Więc niech nawet szaleje. Cóż mię to obchodzi? Tym dowiodłaby, że niewarta zachodu.

Spiął konia ostrogami i pomknął jak wicher przez trawy, niby jakiś potężny

ptak pędzący za zdobyczą. Okrążył lasek, chcąc pokazać się Kleczowi i Edmundowi.

Opanowała go wesołość. Był pewny, że przy nim Prątnicki niknie w oczach Stefci, że on robi na niej wrażenie, zatem on posiada tysiące widoków, jakich nie ma tamten.

Minął zakręt lasku i o sto kroków przed sobą ujrzał linijkę. Odwrócił głowę udając, że nikogo nie widzi, i ostrym kłusem jechał środkiem łąki wprost do robotników.

– O czym oni jeszcze rozprawiają? Chciałbym wiedzieć – szepnął z irytacją. – Może ten osioł rozmyślił się i uważa, że Stefcię warto zachować dla siebie. No, z takim durniem współzawodniczyć nie będę. To by było więcej niż śmieszne.

Zbliżając się do robotników, zwolnił i z żakowską radością patrzał na pędzącą prawie galopem spod lasu linijkę.

– Będą mi się tłumaczyć, że byli z tamtej strony lasu – mruknął ironicznie i cieszył się na myśl, jakie zrobią miny, skoro im powie, że właśnie stamtąd wraca.

## IX.

Lipcowy wieczór zapadł cichy i senny.

Ostatnie krwiste obłoki ciemniały, otulając naturę szarą gazą zmierzchu; w mroku tonęły drzewa parku, zaledwo wierzchołki złociły się jeszcze odblaskiem zachodu, jakby słońce rzucało ziemi pożegnanie.

Zanikły barwne kobierce kwiatów, słabo rysowały się trawniki, tylko czarne kontury świerków na klombach i białe posągi widniały wyraźnie. Lecz smutna pomroka nie trwała długo; nagle zadrgały na listkach drzew matowe blaski, ożywiły się posągi, raźniej strzeliły w górę tuje i piramidalne świerki.

Trwające przed chwilą cienie, spędzone światłem, skupiły się w pojedyncze grupy, gdzieniegdzie tworząc czarne głębie i plamy, w innych miejscach ścieląc się delikatnym rysunkiem, jak cudnie tkane koronki. Niewyraźny, zmącony park stanął w srebrzystej szacie z lamy i lśnił, migotał listkami brzóz, z których szło najwięcej błyszczących ogniwek. Jakby czarami świat powołany został do życia, ale mistycznego, pełnego snów.

Wzeszedł księżyc, odwieczny sprzymierzeniec ideałów, powiernik najtajniejszych wrażeń, przyjaciel poetów i lunatyków. Na granatowym tle nieba, wśród mozaiki obłoczków jak

w kłębach dymów, płynął niby wielki elektryczny lampion, tylko stokroć świetlistszy, promienny, a nade wszystko niedościgniony. Zapalał na swym szlaku gwiazdy, oświecał mleczną drogę, na ziemię ciskał miliardy spojrzeń brylantowych, wkradał się nimi w każdy zakątek, odnajdując znane już sobie lub nowe tajniki.

Stefcia siedziała przy oknie i z głową opartą na dłoni wlepiła oczy w

oświetlone niebo, zamyślona i tęskna. Dzień ten przeszedł dla niej niewesoło. Widziała Lucię rozmarzoną i to ją dręczyło.

W postępowaniu Prątnickiego zauważyła wiele szczegółów dla niego niepochlebnych, dla Luci zgubnych.

Dziewczynka była pod jego urokiem, każde jego spojrzenie, słowo działało na nią zabójczo. Edmundowi Stefcia nie ufała, przeczuwając, że Luci nie kocha, że mu chodzi jedynie o zdobycie bogatej dziedziczki. Nie dostrzegła w nim ani połowy tego zapału, z jakim dawniej starał się o jej względy. I ogarniał ją niepokój, pomimo wszystko żałowała Edmunda, będąc pewną, że czeka go zawód. Duma pani Idalii nie pozwalała się łudzić.

Chwilami żal Stefci skierowywał się głównie na Lucię. Ją czekało rozczarowanie podwójne: ze strony matki i boleśniejsze ze strony Edmunda.

– Daj Boże, aby to był szał, złuda, która przeminie, pozostawiając po sobie trochę goryczy, bez głębszych śladów – myślała poczciwa dziewczyna. – Gdybym ja mogła wiedzieć na pewno – szepnęła strapiona.

W rozmyślania jej wplatały się nieuchwytne marzenia. Było jej dobrze i źle, dziwne po- łączenie uczuć! Fizycznie odczuwała spokój i bogaty dobrobyt razem z poezją czarownej nocy, ale duch jej leciał wyżej. Błądził w obłokach utopij i z nerwowym niepokojem szarpał się, spadając w szarą rzeczywistość. Miała złudzenie, że posiada skrzydła u ramion, lecz że przybito je dużymi ćwiekami do jakiejś zapory i ta trzyma ją bez ratunku. Stefcia chce lecieć w przestworza i czuje, że słabnie, że jej braknie sił; ćwieki tkwią w skrzydłach, ciężą jej, hamują lot. Majaczyła, a księżyc oświecał jej bladą twarz, gładził włosy i zdawał się ją pieścić, jakby wszystkie swe ognie na nią jedną skierował, skupiając mistyczne spojrzenia. Stary oszust! Ile on w tej chwili widział takich okien i rozmarzonych głów dziewczęcych, ile pieścił twarzy, jak przeróżne gładził włosy. A na każdą głowę siał obficie iskry, rzucał kaskady świetlanych uczuć.

Miał ich zapas nie lada, żył przecie wieki.

Stefcia, pogrążona w zadumie, nagle drgnęła i obejrzała się z lękiem. Drzwi skrzypnęły i na progu stanęła Lucia w nocnym kaftaniku, z rozpuszczonymi włosami. Oczy miała otwarte szeroko i niepokój w twarzy.

Zanim nauczycielka spytała, dlaczego nie śpi, dziewczynka prędko podbiegła do niej i ręce zarzuciła jej na szyję, twarz rozpaloną przytuliła do jej twarzy i zaczęła szeptać:

– Ja przeczułam, że pani nie śpi, i przyszłam, bo i ja zasnąć nie mogę... tak mię coś dręczy... i tak mi smutno...

Odjęła ręce od szyi Stefci i robiąc nimi jakieś ruchy na wysokości twarzy, zawołała z trwogą:

– Ot, tak coś mi stoi przed oczyma!

Po czym przytuliła się zaraz i spytała cichutko:

– Panno Steniu, dlaczego ty nie śpisz? Dlaczego tak siedzisz przy księżycu? Czy i ty także?... Jeszcze?...

Stefcia drgnęła, żal błysnął w jej oczach.

– Co chcesz powiedzieć, Luciu?

– Czy pani kocha jeszcze pana Edmunda? – wypowiedziała jednym tchem dziewczynka.

– Prątnickiego!... Dlaczego pytasz o to?

– Pani tak gniewnie wymówiła jego nazwisko.

– Nie odpowiadasz na moje pytania, Luciu.

– Bo ja chcę najpierw wiedzieć, czy pani go kocha. Panno Steniu, powiedz, proszę. Patrzała jej w oczy z błaganiem. Stefci ścisnęło się serce.

– Nie kocham – odparła szybko.

Dziewczynka wstrzymała oddech w piersi, nieufność odbiła się w jej oczach. Spytała jeszcze natarczywiej:

– Nie kochasz? Naprawdę? Ale kochałaś, ja wiem.

– Łudziłam się – odrzekła Stefcia szczerze. Lucia położyła jej głowę na ramieniu.

– Ja się nie łudzę...

– Ty, Luciu?

– Tak, ja kocham pana Edmunda.

Zapanowało milczenie. Lucia ukryła twarz na piersiach swej przewodniczki i przestała oddychać, jakby chcąc usłyszeć, co ona myśli. W tej główce dziewczęcej chwila ta wydawała się tragiczną. Wszystkie wrażenia, zaczerpnięte z powieści francuskich, otwarcie i ukradkiem czytanych, skrystalizowały się w jej pojęciu, przedstawiając obecną chwilę czymś rozpaczliwym, prawie rujnującym świat.

Z drżeniem serca czekała, co powie Stefcia. Może teraz, kiedy wie wszystko, przyzna się, że Edmunda kocha i że on do niej należy.

– Ja bym umarła – myślało zrozpaczone dziewczątko.

Stefcia starała się uspokoić zbłąkaną, ale żal ją ogarniał, że ten sam człowiek, który przed kilku miesiącami ją zahipnotyzował, znalazł nową ofiarę.

Może także tylko do chwili, kiedy cała jego wartość okaże się jedynie w piękności zewnętrznej.

## X.

Była niedziela. Po śniadaniu pani Elzonowska zamknęła się u siebie. Lucię zabrał pan Maciej, który lubił czasami pogwarzyć z wnuczką lub coś jej przeczytać ze starych ksiąg.

Stefcia usiadła do fortepianu. W odosobnionym salonie grała swobodnie. Różnorodność wrażeń przebijała w muzyce wyraźnie.

Wtem drzwi szarpnięto gwałtownie. Wpadł do salonu Prątnicki. Stanął i rozglądając się dokoła, zapytał zdziwiony:

– Gdzie jest panna Lucyna?

A widząc, że Stefcia nic mu nie odpowiada, wprost do niej skierował

powtórne pytanie:

– Gdzież jest panna Lucyna?

– U dziadka – odparła chłodno zapytana.

Prątnicki strzepnął palcami w sposób przypominający karczmę i zawołał:

– A to dopiero mamy pecha, no!

Stefcię zastanowiły jego słowa, spojrzała na niego zdziwiona.

On to spostrzegł, włożył ręce w kieszenie i dodał jakby od niechcenia:

– Mieliśmy się tu spotkać z Lucią... hm... z panną Lucyną. No i trzebaż tego dziadka... fatalizm!

Panna Rudecka wstała gwałtownie i rzekła surowym głosem:

– Proszę nie mieszać Luci do swych... pomysłów i zaniechać wyrazu „my”. Bardzo proszę.

Prątnicki zatrzymał się na miejscu.

– Cóż to za ton oratorski? – zawołał szyderczo. – Pani chce odgrywać wobec mnie rolę mentora?

– Powtarzam, że nie pozwolę, aby się pan o Luci tak odzywał, nie pozwolę ze stanowiska jej nauczycielki.

– Proszę!... a cóż to złego mówiłem? że się tu mamy spotkać?... Przed pół rokiem pani była względniejszą, gdy chodziło o siebie.

Pod Stefcią nogi zadrżały. Omal nie upadła. Ale przemogła się, podniosła dumnie głowę i rzekła dobitnie:

– Pan mi to śmie mówić? pan?....

Tyle w niej było powagi, taka siła pewności brzmiała w jej słowach, że Prątnicki zmieszał się. Korzystając z tego, mówiła dalej:

– Po panu mogłam się tego spodziewać, ale to jeden dowód więcej, że mam prawo zabraniać panu mówienia w ten sposób o Luci.

– Nic nie ma pani prawa zabronić mi! – zawołał gwałtownie.

– Owszem, na podstawie własnego doświadczenia – mówiła z pozornym spokojem, choć w niej wrzało.

– Tu nie może być żadnych podstaw i porównań, bo tamto co innego, a to co innego.

– Panie Prątnicki – rzekła poważnie – bądźmy szczerzy. Pan zajmuje się Lucią... ale czy pan obliczył następstwa?

– A cóż to panią może obchodzić?

– Powinno obchodzić. Lucia jest oddana pod moją opiekę, za jej spokój odpowiedzialną jestem. Zresztą nie tylko traktuję to jako obowiązek, dbam o nią z własnego przywiązania.

– Nie zjem jej przecież – bąknął Prątnicki.

– Wyraża się pan dość... trywialnie. Ale mniejsza o to. Nie chcę, aby pan zakłócał spokój Luci i mącił pogodę jej myśli.

– Za to pani wyraża się kwieciście! – wybuchnął ze śmiechem. Zagryzła wargi i poczerwieniała mocniej.

– Proszę, niech mi pan odpowie jeszcze słowo. Czy pan mówił Luci?...

– O czym?

– O swych uczuciach względem niej.

Edmund parsknął krótkim rubasznym śmiechem, w którym jego cynizm ujawnił się w całej pełni. Ale ten śmiech otrzeźwił go natychmiast; odwrócił się zmieszany i zbity z tropu. Czuł, że się zdradził, złość go porwała na Stefcię, klął w duszy ją i siebie.

Stefcia zbladła. W śmiechu jego odezwała się taka ironia, taki bezwstyd, że nie można było łudzić się. Jego nagłe zamilknięcie dowodziło, że i jemu wybuch ten wydał się zbyt przeźroczystym.

– Och! jakiż niski człowiek! – myślała.

Prątnicki podszedł do niej tak blisko, że musiała się cofnąć, i rzekł zdławionym głosem:

– Przed panią zwierzać się nie będę. Proszę mię nie męczyć pytaniami.

– Ja już nic więcej wiedzieć nie chcę. Niech się pan usunie.

– A jeśli pani chce bruździć między mną a panną Lucyną – mówił rozgorączkowany, za- stępując jej drogę – to ja potrafię się zdobyć na odwet...

– Doprawdy?!... Nie wiedziałam...

– To się pani dowie! – wybuchnął.

Krew jej uderzyła do głowy. Mierząc go sztywnym wzrokiem, rzekła chłodno:

– O! proszę! niech się pan nie zapomina!

– Czy ja kocham pannę Lucynę, czy nie, nikomu nic do tego. Ostrzegam!

– Mnie o pana nie chodzi, tylko o Lucię.

– Żeby się nie zakochała we mnie? Cóż pani ma przeciwko temu?

– Pan pyta?...

Prątnicki spojrzał uważnie na Stefcię. Wydała mu się śliczną w gniewie. Przysunął się i usiłował wziąć ją za rękę.

– Zazdrość przez ciebie przemawia – szepnął – ty mnie jeszcze kochasz.

Panna Rudecka odskoczyła gwałtownie. Uczuła lód we krwi. Gniew i pogarda rozsadzały jej piersi. Wyrzuciła z siebie ze wstrętem:

– O głupoto!... bezczelna głupoto!

– Jak pani śmie!... jak pani śmie! – krzyknął czerwony z gniewu.

– Niech pan wychodzi natychmiast!... Proszę! – wołała Stefcia wskazując drzwi.

Za oknami rozległ się suchy trzask motoru. Prątnicki spojrzał w okno. Przed gankiem stał pąsowy samochód z Głębowicz, błyszczący lakierami. Wysiadał z niego Waldemar, oddając korbę palaczowi.

– Niech pan wyjdzie natychmiast! – powtórzyła rozgorączkowana Stefcia, nic nie słysząc.

Ale Edmund już sam ruszył do drzwi, gotowy do prędkiego wyjścia. Na progu stanął, zaśmiał się szyderczo i syknął zjadliwie:

– Odchodzę, odchodzę! przyjechał obrońca... Jego radzę przyjąć łaskawiej... Życzę powodzenia!...

Wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

Stefcia upadła na krzesło wyczerpana, oddychając mocno. Ściskała dłońmi

skronie i wybuchnęła płaczem. Niepowstrzymane łzy gradem płynęły z jej oczu.

Wtem zerwała się, wybiegła z salonu, dążąc do siebie. Usłyszała w korytarzu głos ordynata.

# XI.

Obiad przeszedł ponuro.

Stefcia miała wypieki na twarzy i ciemne obwódki pod oczyma, zdradzające niedawne łzy.

Lucia rzucała wzrokiem w stronę matki, uparcie milcząc. Pan Maciej był niespokojny.

Waldemar groźny. Tylko pani Idalia, mniej sztywna niż zwykle, rozmawiała z Prątnickim o czymś zabawnym, co jednak nikogo, nie wyłączając jej samej, nie bawiło.

Edmund udawał wesołość, krztusił się własnymi dowcipami, ale widząc ogólny nastrój siedział jak złapany. Nawet służba odczuwała chmurne usposobienie państwa: kamerdyner usługiwał prawie bez szelestu, chodząc na palcach; młodszy lokaj, wnosząc półmiski, nie otwierał drzwi, ale je uchylał delikatnie.

Wszyscy doznali ulgi, gdy powstano od stołu. Pani Elzonowska z Lucią pojechały do

Szal. Stefcia nigdy tam nie jeździła, odgadując, że hrabina Ćwilecka jej nie lubi.

Razem z paniami pojechał konno Waldemar oglądać folwarki. W pałacu słodkowickim zapanowała względna cisza. Na blaszanym dachu gruchały gołębie, z klombów dochodziły krzykliwe rozmowy turkawek, brodzące po trawnikach pawie odzywały się charakterystycznym wrzaskiem.

Stefcia, zamknięta w swym pokoiku, usłyszała lekkie pukanie do drzwi.

– Proszę.

Wszedł kamerdyner Jacenty.

– Jaśnie pan starszy prosi panienkę do różanej altany, jeśli to panience nie zrobi różnicy. Stefcia doznała miłego uczucia.

– Proszę powiedzieć panu, że idę natychmiast.

Z przyjemnością myślała o spędzeniu nudnego popołudnia w towarzystwie staruszka.

W altanie pan Maciej siedział na ławce, mając nogi okryte skórą tygrysią. Był zamyślony i ponury. Na widok Stefci twarz mu się rozjaśniła. Wskazując jej ławkę obok siebie, rzekł z miłym uśmiechem:

– Siądź tu, moje dziecko. Przepraszam, żem cię wzywał. Chciałem z tobą trochę pomówić. Może nie chcesz?... Jestem stary nudziarz – co?

Pan Maciej mówił do wszystkich po imieniu; Stefcię prawie zawsze tak nazywał.

– Ależ, proszę pana, z największą przyjemnością – odrzekła dziewczyna siadając.

Staruszek podniósł blade oczy w górę i wpatrzył się w zieloną siatkę listków różanych na tle błękitnego nieba.

Jakieś wspomnienia z dawnych lat spływały na niego, nadając jego starym oczom dziwną rzewność i cień smutku. Chwilę siedział milczący, przeniesiony w inne czasy. Wreszcie zaczął mówić głosem spokojnym często przerywając:

– Nic się świat nie zmienia, nic. Zawsze jest młody i pełen życia... Tylko ludzie na nim więdną, rozpadają się w popiół, a na ich miejscu wyrastają nowi, ci najmłodsi, by z czasem także spopieleć. I dziwna rzecz, moje dziecko, że my, starzy, już zmęczeni życiem, pragnący spoczynku, nie narzekamy jednak na świat. To życie sterało nas, a pozostało miłym. Narzekają młodzi. Zły objaw!... Czy to wpływ ogólnej newrozy, czy wyższego kultu umysłów, czy też, przeciwnie, skarłowacenia mózgów? Patrzą z pogardą na wszystko, co ich otacza, dążąc

do czegoś nieziemskiego. Lecz najprędzej to wpływ zdolności analitycznych. Więc postęp. Myśmy tego nie zaznali w tym stopniu, żeby nam życie zmarniało. My mieliśmy żywą wiarę. Dziś i to blednie, dziś więcej mamy filozofów, analizujących istotę Boga, więcej ateuszów niż ludzi głęboko wierzących. A to źle! To grunt, z którego wyrasta tyle nieszczęścia wśród ludzi.

Pan Maciej umilkł i zamyślony patrzał przed siebie, odszukując w owych wspomnieniach młode lata, pełne zapału, wiary, tak różne od dzisiejszej apatii. Stefcia, patrząc na staruszka, odgadywała jego myśli i z ciekawością pytała siebie, jaką była historia tego starca?...

On jął mówić dalej:

– Zmienił się świat. Nie jesteśmy jaskiniowcami. Ludzie wznoszą się bajecznie ponad czasy antydyluwialne, muszą baczniej spoglądać dokoła siebie! I każda rzecz budzi ich wątpliwość, nie wystarcza im istota rzeczy, chcą atomów, znajdują je i rozczarowują się. Chcą wieczności w życiu, ale na powstawaniu i zaniku świat stoi. Każdy kwiat zwiędnąć musi, to trudno! – lecz żyjąc umila nam niejedną chwilę. Teraźniejszym ludziom to nie wystarcza, oni chcą analizy nawet w szczęściu. A przecież ten sam kwiat, rozdrobniony na cząsteczki, jest garstką śmiecia; przekonają się o tym, rozczarują, chcą znowu złożyć na nowo, ale złożą nędznie, więc najczęściej rzucą... I tak jest ze wszystkim.

Starzec westchnął żałośnie i poruszył głową.

– Tak jest i z religią dzisiejszą. Nach Canossa gehen wir nicht! Przerażający prąd aluwialnych objawów, ale zabójczy!...

Pan Maciej umilkł, spuścił głowę na piersi. Dziewczyna siedziała zamyślona. Po chwili podniosła na niego oczy i spytała z żalem:

– Dlaczego pan tak smutnie mówi i młode pokolenie przedstawia w tak złych ramach?

– Nie w złych, dziecko, w nowych.

– Więc pełnych nadziei!

– Gdybyż nie były już spaczone...

– Ale dlaczego?... czym? Zresztą nie wszyscy – mówiła, unosząc się, Stefcia. Pan Maciej spojrzał na nią z dobrym uśmiechem.

– Niewiele jest takich zdrojowych kwiatów jak ty, dziecko, niewiele takich krystalicznych dusz. Jedną taką znałem, ale to już dawno... Może ciebie to razi, co mówię. Ale i ty nie jesteś wolną od goryczy życia, i na ciebie padł cień ogólnej epidemii... analizy... Całość zbadałaś w szczegółach i cierpisz, zawiodłaś się. A to nie kwiat, prawda?... łodyga, prosta łodyga... i trochę śmiecia. Tu rozbiór przydał się. Gorzej byłoby, gdyby nastąpił poniewczasie. Gdyby tak los sprzyjał wszystkim zawsze w porę, byłoby mniej niedoli na ziemi.

– O czym pan mówi? – szepnęła Stefania z dreszczem trwogi. Zagadnięty spojrzał na nią badawczo.

– Czy nieszczera, czy głupia? – pomyślał.

– Moje dziecko, powtarzam, że może ci to niepotrzebnie mówię. Widzę, że mię nie rozumiesz.

– Ależ owszem, już rozumiem, tylko...

– Tylko co?

– Boję się... czy pan mnie rozumie. Uśmiech błysnął na ustach staruszka.

– Przepraszam pana – rzekła cicho dziewczyna, nie chcąc go dotknąć.

– Nic nie szkodzi, moje dziecko, ale zaraz musisz mi się tłumaczyć. Widzisz, jestem starym człowiekiem, lecz mam dobre oczy i bardzo jeszcze świeżą wrażliwość. Zwłaszcza jeśli kto jest mi sympatycznym, odczuwam każdą przykrość czy też przyjemność, jakiej on doznaje. Otóż w tobie zauważyłem wielką zmianę... domyślasz się zapewne. Widzę, że cię to męczy, nawet szkodzi twemu zdrowiu. I ty doznałaś zawodu, analizując. Przekonałaś się, że on niewart twych myśli, że to nie brylant, ale prosty pomalowany kamyk, prawda?

– Tak, panie – odrzekła wzruszona – ale przyczyną tego nie jest moja własna analiza, lecz okoliczności. W owych czasach brałam go, jakim był, wierząc, że jest właśnie brylantem.

– W jakich czasach? – spytał staruszek z naciskiem.

– W czasach, kiedy kochałam się w nim. To był dziecinny szał.

– A teraz już minął?

– Jest mi najzupełniej obojętny.

– Czy jesteś szczerą ze mną, moje dziecko? – W głosie pana Macieja czuć było nieufność.

– Nie byłabym szczerszą z rodzonym ojcem.

Starzec wziął jej rękę i przysunął do siebie, a gdy ona ze czcią pochyliła mu się do ramienia, pocałował ją w głowę.

Wdzięczna za ten objaw życzliwości, Stefcia gorąco ucałowała raz jeszcze ramię pana Macieja.

A on zaczął wesoło zrzędzić:

– No i patrzcie! Ta panienka wyprowadziła mnie starego w pole, gdyż byłem przekonany,

że dawne czasy, o jakich mówiłaś, istnieją jeszcze; że poznajesz go lepiej i cierpisz nad tym,

że ideał zaczyna się zacierać i przybiera formy bardzo pospolite. A ty traktujesz go na zimno. Ale czemuż jesteś tak zmienioną, niespokojną, nieledwie mógłbym powiedzieć, że wyglądasz, jakbyś się czego obawiała.

Zagadnięta tak obcesowo, zawahała się, czy powiedzieć o Luci. Starzec dopomógł jej, bo rzekł znowu:

– A zwłaszcza od paru dni jesteś nieswoja. Dziś nawet płakałaś. I Lucia jakaś dziwna . Bardzo mię to zastanawia. A ty nie domyślasz się powodu? Bądź szczera.

Stefcia postanowiła powiedzieć wszystko.

– Owszem, wiem na pewno, co gnębi Lucię. To samo i mnie doprowadza do rozpaczy. Wiem od samej Luci, zwierzyła mi się... Właściwie nie powinnam zdradzać...

– Przede mną możesz i powinnaś. Lucia to jeszcze dziecko, trzeba wiedzieć wszystko, co ona myśli, a zwłaszcza co ją męczy. Więc?

– Lucia jest pod wpływem Prątnickiego.

– Po prostu kocha się w nim – poprawił pan Maciej. – Domyślałem się tego. To źle, za wczesny wiek... i za marny przedmiot miłości... Ale może ci przykrość sprawiam? – dodał, ujrzawszy bladość Stefci.

– Przykro mi ze względu na Lucię. Czeka ją coś podobnego, co i mnie spotkało. Pan Maciej pomyślał chwilę.

– Tak, po Luci ja poznałem to samo, nawet dziś, gdy była u mnie. Biedna dziewczynina! Oto dzisiejsze pokolenie, paczone od dziecka i w szesnastu latach już pełne goryczy. Lucia zdaje się odgadywać wiele rzeczy. Jej zgnębienie aż nadto jasno o tym świadczy. Ale o nim nic nie wiesz? Bo on wyraźnie zabiega o nią. Ale co ci jest?...

Stefcia spuściła oczy. Wielka przykrość odbiła się na jej twarzy. Nie uszło to oka pana Macieja.

– Czy wiesz co o nim? – powtórzył natarczywie.

– Zdaje mi się, że tak.

– Więc jego zamiary względem Luci...

– Niczym się nie różnią od tych, jakie miał niegdyś względem mnie.

– Naturalnie! – rzekł starzec i machnął ręką. – Jemu chodzi o posag.

Zwiesił głowę na piersi i przymknął oczy. Wyszukiwał już w starym mózgu rady na uchronienie wnuczki od zmarnowania pierwszych, wiośnianych uczuć.

– Ja panu opowiem rozmowę moją z Prątnickim – rzekła Stefcia gorączkowo. – Pan sam osądzi. Może ja źle zrozumiałam.

Pan Maciej podniósł głowę.

– Rozmawiałaś z nim o tym?

– Tak wypadkowo.

Powtórzyła całą scenę z Prątnickim aż do przyjazdu ordynata. Podczas opowiadania mieniła się na twarzy, oczy jej zachodziły łzami, to znów sypały iskry oburzenia. Pan Maciej słuchał uważnie.

– Jaka podobna do tamtej... – szepnął do siebie parę razy. Gdy skończyła, ozwał się: – Zrozumiałaś go dobrze, moje dziecko. Niechcący wypowiedział się wyraźnie. Ale jakież było zakończenie waszej rozmowy? Musiał coś więcej powiedzieć nad to, co powtórzyłaś. Prawda?

– On delikatnością się nie odznacza – odrzekła wymijająco.

– Domyślam się. Zapewne powiedział ci coś przykrego wychodząc, kiedy zobaczył Waldemara przed oknami. Czy tak?

Wymowne milczenie dziewczyny było potwierdzeniem domysłu pana Macieja.

– Bezczelny! – szepnął z oburzeniem.

W ogrodzie zaskrzypiał żwir pod prędkimi krokami. Do altany wszedł Waldemar, ubrany jak do konnej jazdy. Stanął trochę zdziwiony na widok dziadka ze Stefcią, zdjął kapelusz i zawołał z humorem:

– Honny soit qui maly pense!

Po zamienieniu kilku słów z żartobliwie nastrojonym ordynatem Stefcia pożegnała pa- nów, wracając do siebie. Chciała uspokoić się. Pan Maciej pozostał w altanie z Waldemarem.

# XII.

Słońce spływało ku zachodowi, gdy pan Maciej, prowadzony przez Waldemara, powracał do pałacu.

Klasycznie wyglądała para tych ludzi. Znać było na nich ten sam styl, ale w szczegółach i formie różnice występowały znamiennie.

Dziadek przypominał starego orła, patriarchę rodu, zmęczonego lotem życia, o skrzydłach już zwiniętych, może nawet połamanych. Typ patrycjuszowski minionej epoki, tradycyjnie zachowanej i bardzo szanownej. Wnuk, to młody orzeł, spadkobierca rodzinnego berła i starego gniazda, pełen życia i siły, z rozwiniętymi szeroko skrzydłami i bujnym lotem młodzieńczym. Tradycyjny potomek rodu, patrycjusz wyjęty niby żywcem ze starych pergaminów z życiorysami pradziadów lub z odwiecznych portretów ich dostojnych postaci, ale już odarty z pleśni wieków, udoskonalony przez mistrza postępu. Ten sam, co powyższy typ, ale w odmłodzeniu, orzeł tej samej skały, lecz z bystrzejszym wzrokiem, obejmującym obszerniejsze horyzonty. W starej, karmazynowej krwi miał świeże krople, produkt odmiennych prądów nowego wieku, posiadał ustrój nerwowy słabszy od dawnych pokoleń i zmienione pod wpływem nowoczesnej atmosfery barwy zasad. Nad przodkami górował bystrością umysłu, bogactwem natury i wrażliwości. Jedynie typowa gwałtowność, charakter stanowczy, trochę feudalny, i siła temperamentu nie uległy w nim ogólnej zmianie, chyba w

drobnych szczegółach.

Ale tu przyczyną było odmienne tło; zamiast pergaminu zamierzchłych lat tłem nowoczesnym był elegancki welin.

Patrząc na niego, jak prowadził dziadka, widocznie zirytowany, niemal złowrogi, przede wszystkim poznawało się w nim Michorowskiego, potomka tych, którzy w chwilach niezadowolenia wyciągali miecze z pochew, a w chwilach gniewu broczyli je krwią.

Po rozmowie z dziadkiem Waldemar zaledwo zdołał powstrzymać się od gniewu. Gdyby mu było wolno dać folgę oburzeniu, wywołałby gwałtowną burzę w pałacu. Ale zmógł się. Szedł krokiem nerwowym, chwilami przystając, aby dorównać miarowym stąpaniom pana Macieja, i pejczem uderzał gwałtownie po sztylpach butów.

W oczach gniewne błyski mieszały się z zimną ironią, usta krzywił sarkazm, brwi ściągała groźna zawziętość.

Pan Maciej zaniepokoił się.

– Pamiętaj, Waldy, co mi obiecałeś – rzekł patrząc w oczy wnuka. – Gwałtownością na- razisz Stefcię. Prątnicki awantury jej nie zrobi, ale dobrą sławę tej dziewczyny może szarpać. Będzie przekonany, że się tobie poskarżyła, i gotów myśleć Bóg wie co.

– Ależ co znowu! – oburzył się Waldemar. – Przecie potrafię zapanować nad sobą. Zresztą najlepiej będzie, gdy zaraz odjadę.

– To właśnie najgorsze.

– Prawie konieczne. Jestem tak podrażniony, że drobnostka może mię wyprowadzić z równowagi pomimo mej woli. Niech ten... osioł przy kolacji odezwie się do niej z czymś niewłaściwym lub zacznie umizgać się do Luci... nie ręczę za siebie. Wolę go nie widzieć wcale.

– Idalka dziś nie powróci na pewno.

– Wszystko jedno – rzucił zły.

Uderzył szpicrutą po gałęzi, aż grad liści posypał się pod nogi, i cisnął jakieś przekleństwo.

– Co zamierzasz czynić? – spytał pan Maciej.

– Czekać pierwszej sposobności i tego gagatka wyprawić.

– Drażliwa materia. Gdyby był płatny, zapłaciłbyś mu za cały rok skończone, ale tak!...

– Zaproponuję mu przeniesienie się do Głębowicz, lecz w ten sposób, że powinien zrozumieć, czego chcę.

– A jeśli się zgodzi?

– O to jestem spokojny! Zresztą innego sposobu nie widzę, bez narażenia jej... Stefci... Pan Maciej spojrzał na niego ukradkiem.

– Jak on się o niej wyraża! – pomyślał.

Wszedłszy do pałacu, Waldemar kazał podawać samochód, sam zaś zeszedł na dół do parterowego salonu, blisko pokoju Stefci. Mrok zapadał szybko, salon ginął w szarych barwach wieczornych, gdzieniegdzie połyskując złoceniami ram i kryształem pająków.

Ordynat spojrzał na zegarek i zadzwonił. Nadbiegł młody pokojowiec.

– Niech tu przyjdzie Jacenty – rzekł Waldemar.

– Światła i pospuszczać sztory! – rzucił krótko kamerdynerowi. Jacenty spełnił polecenie i chciał odejść.

– Czekaj! – zawołał ordynat. – Idź do panny Stefanii i oświadcz, że pragnę się pożegnać. Jacenty wyszedł.

Ordynat zaczął chodzić po salonie. Po chwili weszła Stefcia. Na twarzy miała silne rumieńce.

Waldemar pospieszył ku niej.

– Chciałem się z panią pożegnać. Zaraz jadę.

– Jak to? Nie zaczeka pan na kolację?

– Nie, pani, spieszę do domu.

– Otrzymał pan jaką złą wiadomość?

– Dlaczego pani o to pyta?

– Bo widzę, że pan zirytowany.

– Ach tak! pani to zauważyła? Jestem nawet wściekle zły, lecz nie z powodu wieści z Głębowicz. Rozmawiałem z dziadkiem, opowiedział mi wszystko...

Mgła przesłoniła oczy dziewczyny. Niezmierna przykrość odbiła się na jej twarzy. Była chwila kłopotliwego milczenia.

– Więc nie zostaje pan? Zatem do widzenia – rzekła Stefcia wyciągając rękę. Waldemar ścisnął ją w swej dłoni i nie puszczając, rzekł dziwnie miękko:

– Niech pani będzie spokojną. Domyślałem się wiele, teraz wiem wszystko i dołożę wszelkich starań, aby się pani więcej nie męczyła...

– Dziękuję panu. Tu głównie chodzi o Lucię.

– Najwięcej o panią. Tamto dzieciństwo prędko przeminie bez poważniejszych następstw. Niech pani nie bierze tego tak tragicznie. Swoją drogą dołożę starań, aby w Słodkowcach zapanowała dawna swoboda.

Stefcię przestraszyły te słowa.

– Ależ ja nie chcę, aby z mego powodu wynikły jakieś nieporozumienia... Nie chcę mu... nie chcę nikomu szkodzić.

Była ogromnie zmieszana, bo Waldemar nie puszczał jej ręki. Chciała ją wysunąć, lecz ujął ją jeszcze mocniej.

– Niech pani mi wierzy i ufa – rzekł stanowczo. – Postąpię, jak można najtaktowniej. Ale wyjazd tego pana wszystkim poprawi humory, nie wyłączając zbłąkanej Luci, a już mnie bez kwestii.

Wesoło spojrzał w jej oczy i rzekł:

– Czas jechać. Do widzenia! Niech pani się niczym nie martwi, proszę bardzo. Skłonił się i wyszedł.

– Jaka szlachetna i jaka śliczna! – szepnął w korytarzu.

Stefcia powróciła do siebie. Wzięła książkę ze stolika i otworzyła, chcąc czytać, lecz myśli plątały się, nie rozumiała ani słowa. W uszach brzmiał jej niski głos Waldemara, na ręce czuła uścisk jego dłoni. Siedziała nieruchomo,

w obawie spłoszenia błogiego spokoju.

Rozległ się łoskot samochodu, głos na ganku i zapadła cisza.

– Pojechał – szepnęła do siebie Stefcia. – Ale jacy to inni ludzie; ten i tamten.

# XIII.

Prątnicki miał minę zwycięską, wchodząc do stajni. Spotkał Lucię, powracającą z cieplarni, widział jej rumieniec i z kilku słów dziewczynki upewnił się co do jej uczuć. Sam skorzystał, aby uścisnąć rączkę dziewczęcia i szepnąć parę czułych frazesów.

– Jestem na dobrej drodze – powtarzał sobie. – Ta mała kocha się we mnie najwidoczniej. Podkręcił wąsika z miną człowieka zadowolonego z siebie i ze swej przyszłości.

– Benedykt! konie dla mnie! – zawołał do starego stangreta.

– Kasztany czy gniade? – spytał Benedykt.

– Zaprzęgaj czwórkę karych arabów do żółtego amerykana. Stangret wytrzeszczył na niego oczy.

– Kare araby?!

– Ogłuchłeś, widzę. Zaprzęgaj prędzej! Z szorowni wyszedł Klecz.

– Dokąd pan chce jechać? – spytał Edmunda po niemiecku.

– Do miasta. Muszę być w składzie rolniczym, aby dowiedzieć się o żniwiarkę.

– Żniwiarka naprawiona. Nie ma pan po co jechać.

– Ordynat sam mi to polecił.

– Może być, ale dawniej. Teraz tylko poślemy furmankę.

– Muszę jechać – upierał się Prątnicki.

– Ha! jedź pan, ale nie radzę karymi końmi.

– A to dlaczego?

– Tak... Nie radzę... Daleki kurs...

– Do Szal chyba dalszy, a baronowa jeździ nimi zawsze. Klecz rzucił na niego znaczące spojrzenie.

– Różnica! – rzekł lakonicznie.

– Nie widzę żadnej! – zawołał Prątnicki.

Zrozumiał co Klecz chciał powiedzieć, ale postanowił nie ustępować.

– Czemu nie zaprzęgasz? – krzyknął na Benedykta.

– Panie, po przyjacielsku panu radzę nie brać tej czwórki – rzekł Klecz. – To ulubione konie ordynata. Może im się stać co złego, potem bieda. Pal je licho! Niech pan jedzie kaszta- nami, konie jak spławy. Albo gniade niech pan weźmie. Podobno baronowa ma dziś jechać do Obronnego. Zadysponuje kare i co wtedy?

– To dla niej założy się gniadą czwórkę – rzekł Prątnicki już zły. Zwrócił się znowu do Benedykta:

– Zaprzęgaj żywo! Rozumiesz!

Stangret wzruszył ramionami i poszedł spełnić rozkaz, mrucząc pod nosem niepochlebne życzenia dla praktykanta. Klecz machnął ręką.

– Twarda sztuka!... niech go diabli! – rzekł do siebie.

Po kilku minutach Edmund siedział w amerykanie i zagarnął lejce czwórki. Następnie, zanim stajenny zdołał się usadowić, trzasnął z bata z ironicznym uśmieszkiem, pożegnał Klecza, puścił konie tęgiego kłusa i zniknął na zakręcie drogi.

Rządca i stangret spojrzeli na siebie.

– Żeby się chociaż co złego nie stało – mruknął Klecz. A Benedykt rzekł rozkładając ręce:

– Jak pan praktykant znarowi konie, ja nie będę odpowiadał przed ordynatem. Kiedy pan rządca pozwolił, to co ja winien?

– Przecie pan Prątnicki umie jeździć. Co tam Benedykt prawi! – odrzekł Klecz, sam zaniepokojony.

Nieobecność Prątnickiego na obiedzie zadziwiła panią Idalię, a zasmuciła Lucię. Dziewczynka nie rozumiała, dlaczego wyjechał dziś, po tak miłym spotkaniu sam na sam. Smutek

jej wzmógł się, gdy pani Idalia oznajmiła, że po obiedzie jadą do Obronnego odwiedzić księżną Podhorecką. Gdy Lucia została sama ze Stefcią, zarzuciła jej ręce na szyję, szepcąc z rozkapryszoną miną:

– Tak bym wolała zostać w domu! Tak mi się nie chce jechać!...

– Przecież dawniej lubiłaś bywać w Obronnem – uśmiechnęła się Stefcia.

– Ach! dawniej!... to co innego.

I w oczach jej błysnęło rozmarzenie, tak nie dostosowane do tej dziewczęcej postaci, jak niewłaściwą byłaby silna woń róży dla niezapominajki.

Pani Idalia kończąc ubieranie się, rozkazała zaprzęgać konie do landa. W parę minut potem Jacenty zastukał do jej pokoju.

– Proszę jaśnie pani, stangret mówi, że można jechać tylko gniadą czwórką lub kasztanami.

– Ale ja kazałam zaprzęgać kare – rzekła pani z przyciskiem.

– Stangret powiada, że karych nie ma.

– Gdzież się podziały?

– Pan praktykant pojechał do miasta.

Pani Idalia zwróciła się gwałtownie na krześle ku Jacentemu i spod przymrużonych powiek spojrzała na niego bacznie.

– Pan Prątnicki... karą czwórką... do miasta?

– Tak mówi stangret.

– Rządca wiedział od rana, że pojadę. Jakże mógł dać te konie?

– Pan praktykant powiedział, że jaśnie pani pojedzie gniadymi.

– To nie może być! – zawołała wzburzona baronowa. – Niech Benedykt przyjdzie do kredensu.

Jacenty wyszedł. Pani Idalia powstała z krzesła szarpiąc nerwowo

rękawiczki.

– Skandal! – wołała do siebie. – Ja dysponuję konie, a mnie powiadają, że koni nie ma? On za wiele sobie pozwala. Waldy go rozzuchwalił. To do niczego niepodobne. Voilà qu'il est ridicule!... Wzburzenie jej rosło.

Tymczasem przed stajnią zebrała się narada. Jacenty, Benedykt i kilku stajennych mieli miny zakłopotane. Szukali rządcy, ale Klecz wyruszył w pole.

Nie było rady, trzeba iść do pałacu.

Gdy Benedykt z Jacentym weszli w obręb dziedzińca, stangret zdrętwiał z przestrachu. Dokoła gazonu pokojowiec oprowadzał karego wierzchowca z Głębowicz. Przyjechał ordynat...

– No! – zawołał Benedykt –jaśnie pan zawsze przyjeżdża wtedy, jak się go nikt nie spodziewa, ale dziś to już trafił!

Waldemar zastał ciotkę bardzo rozgniewaną. Ledwo raczyła się z nim przywitać.

– Co się stało? – spytał zdziwiony.

– Widzę, że ten twój protegowany ma tu większe prawa ode mnie. A! tegom się nie spodziewała!

Waldemar słuchał spokojnie, chodząc po pokoju. Gdy skończyła, parsknął śmiechem.

– Mój protegowany! Paradna jest ciocia. Nie wiem, kto go dotychczas protegował więcej.

Z pewnością nie ja.

– Jednak się teraz śmiejesz. Nie obeszło cię to ani trochę.

– Przeciwnie, jestem zachwycony tym wypadkiem.

– Voyons! jesteś bardzo uprzejmy.

– Ależ, ciociu, państwo oboje wyrządziliście mi wielką przysługę: ciocia, że dziś chciała jechać, a ten pan, że właśnie dziś pojechał.

– Nie rozumiem cię.

– Moja ciociu, nie ulega wątpliwości, że ten pan zdobywa sobie tu jakieś prawa, ale to wina cioci – nie moja.

– Powtarzam, że nie rozumiem cię – przerwała pani Idalia wzruszając ramionami.

– Ciocia widzi jego zabiegi około Luci? Tak czy nie?

– Odbiegasz od przedmiotu.

– Właśnie do niego dążę. Niech mi ciocia odpowie.

– Asystuje Luci. Więc cóż z tego?

– Ale ciocia to widzi i pozwala na to. Pani Idalia zerwała się z krzesła.

– Ach! mój drogi, nie widzę w tym nic złego, że z sobą flirtują. Cóż to szkodzi?

– Sądzę, że dla Luci jeszcze taki flirt zbyteczny – rzekł Waldemar chłodno.

– Przeciwnie. Lucia ma szesnaście lat, niech się wprawia. Dla dziewczyny w tym wieku to nawet konieczne.

– Czy i to byłoby koniecznym, gdyby się zakochała?...

– Chociażby! W Prątnickim może się nawet kochać. Waldemar spojrzał na nią, nie wierząc własnym uszom.

– Za pozwoleniem. Co znaczy ten dodatek „nawet” i w ogóle to w „Prątnickim”?

– Sądzę, że rozumiesz.

– Niestety, nie.

Pani Idalia wybuchnęła:

– Gdyby Prątnicki był z naszej sfery, lecz niestosowny jako partia, wówczas inaczej bym się na to zapatrywała, ale tak...

– A tak wolno im się kochać? No to może wolno im będzie pobrać się? – spytał z ironią.

– Drażnisz mię, mój drogi!

– Ja tylko pytam. Więc jemu wolno z nią flirtować, jej wolno kochać się. Ciocia na to pozwala, on to widzi. No i nie bądźże tu w dobrym humorze! To jest kwintesencja jego dzisiejszej przejażdżki. Pełen dobrych myśli pojechał karymi końmi, a cioci zadysponował gniade, uważając, że przyszła teściowa może mu ustąpić w takiej drobnostce.

– Waldy, co ty mówisz?

– Nic więcej, tylko prawdę.

– Ależ... Czyżby?... – zastanowiła się.

– Tak, tak... to właśnie! – zawołał Waldemar podchwytując myśl ciotki, która nagle zbladła.

– On śmiał marzyć o Luci?

– O! dlaczegóż by nie? On jest bardzo odważny.

– To niemożliwe!... Nie, nie! to by było szczytem zuchwalstwa! – mówiła pani Idalia wzburzonym głosem.

– Moja ciociu! On miał twoją protekcję, czegóż potrzeba więcej? Może śmiało powiedzieć: veni, vidi, vici – drwił Waldemar.

Ciotka spojrzała na niego.

– Skąd wiesz o tym, Waldy? – spytała nieufnie.

– Od dziadka, który jest lepszym badaczem od cioci. Zresztą i sam widzę dużo.

Pani Elzonowska poruszyła się gwałtownie na krześle. Waldemar chodził po pokoju. Myśli rozsadzały mu głowę. Przede wszystkim jedna: że choćby nawet Prątnicki był innym człowiekiem i kochał Lucię, nie dano by mu jej dlatego, że należy do „niższej” sfery społecznej.

– Co za barbarzyński przesąd! – mówił sobie w duchu. – Więc ona, Elzonowska, nie może zostać żoną Prątnickiego dla nazwiska. Jakież to dzikie!... I ja sam do tego dopomagam. Dajmy na to, że dla wielu przyczyn. Za Prątnickim nie przemawia nic prócz dziecinnego zadurzenia się Luci. Lecz gdyby Prątnicki był innym człowiekiem, nie byłoby w Słodkowcach Stefci... I tu także inna sfera... Przekleństwo! – szepnął do siebie.

Baronowa ocknęła się z odrętwienia.

– Powiedz mi, Waldy, dlaczego mówiłeś przed chwilą, że ja i ten...

Prątnicki zrobiliśmy ci przysługę – spytała.

Waldemar przesunął ręką po czole, jakby odpędzając od siebie natrętne myśli.

– Bo ja czekam sposobności, żeby uwolnić się od niego.

– Ach! rozumiem! I sposobność znalazłeś. To bardzo dobrze!

– Chyba ciocia nie myśli, że głównym powodem będzie jego spacer dzisiejszy.

– A cóż więcej?

– Jak to co? Czy ciocia życzy sobie, aby on tu nadal pozostał?

– Wobec tego, o czym się dowiedziałam, broń Boże! Ale przecie mu wyraźnie drzwi wskazać nie możesz.

– Dam do zrozumienia w sposób jak najoględniejszy, że jest tu zbyteczny.

Wszedł Jacenty oznajmiając, że Benedykt czeka. Pani Idalia rzekła do Waldemara po francusku:

– Kazałam mu przyjść wytłumaczyć się. Ale teraz tobie go zostawiam. Wzruszył ramionami.

– On nic nie winien, tylko rządca. Ja bym cioci radził jechać i kwestię końską pozostawić

na boku. Winieniem jej wdzięczność, ale wysuwać ją na pierwszy plan nie ma powodu. Więc jedzie ciocia, tak?

Nie czekając na odpowiedź, zwrócił się do Jacentego:

– Niech Benedykt zaprzęga kasztany.

Po odejściu kamerdynera Waldemar spytał:

– Czy z ciocią jedzie tylko Lucia?

– Jedzie z nami Rudecka.

Gniew zadrgał na ustach Waldemara.

– To dobrze. Tylko mogłaby ją ciocia nazywać cokolwiek mniej urzędownie.

Baronowa rzuciła na niego krytyczne spojrzenie. Chciała coś odrzec, lecz Waldemar szybko skłonił się jej, dodając:

– Proszę być gotową. Czas jechać. Wyszedł i mruknął do siebie z gniewem:

– Chciała mnie znowu poczęstować sferą.

## XIV.

Błękitna tafla jeziora mieniła się opalowo, zapalała się mnóstwem złotych iskierek, płynąc jaskrawą szarfą. Chwilami pokrywał ją ciemny błękit lub szmaragdowa tęcza albo stawała nagle nieruchomo, nie wytwarzając barw, i odbijała tylko poszarpane obłoki. Jakieś zygzaki szły po fali, niby tysiące ogni, wzdymały się, rozświetlały, pozostawiając po sobie zwał piany. Z jednej strony błyszcząca szyba wody zaciemniała się równą linią od bujnej masy drzew parkowych. Ogromne korony wierzb, smukłe olchy, potężne graby, klony i drżące, rozpuszczone włosy brzóz spadały na lustrzany kryształ leżący

u ich stóp. Na brzegach szumiały mięsiste tataraki i kępy trzcin o rozwianych kitach. Pojedynczo strzelały w górę na sztywnych łodygach ciemne, podłużne słupki stawowej rogóżki. Białe szmatki piany drżały u podnóża trzcin; to woda, spadająca gwałtownie w zawiłą masę korzeni, szumi, wydając suchy szelest i pieni się z gniewu.

Lecz i na środkowym szlaku zamajaczyła biała plamka, niby mały skrawek obłoku, spadły na wodę, zwabiony roziskrzoną falą... Oto druga plamka... trzecia... całe mnóstwo spada na płynące złoto i znów wzlatuje w górę, unosząc na swej bieli kilka świetlistych iskierek. To nie obłoki – to stado mew, lśniące, pełne świergotu. Mewy cieszą się ciepłem i słoneczną roztoczą, śpiewają radosny hejnał, zanurzając śnieżne pióra w tęczowej topieli. Nad samą wodą sykają smukłe ważki, zwane panienkami; brudząc przeczysty lazur powietrza, kręcą się krzykliwe komary.

Rzeźwe podmuchy poruszają liśćmi drzew, wywołując szumy, tajemniczą gwarę przyrody. Czasem zakwili głośniej mewa, czasem odezwą się żaby lub z głośnym pluskiem rzuci się ryba, pozostawiając po sobie szerokie obręcze wody. Zresztą cicho było na jeziorze, tylko park huczał niezliczoną ilością głosów ptasich. Krzyczały makolągwy, gwizdały wilgi, świstał kos, gruchała synogarlica. Niżej, na gałęziach, kłóciły się z sobą liczne zastępy, całe pospólstwo wróbli, infanteria armii ptasiej.

Waldemar Michorowski zatrzymał się w swym spacerze po krętej uliczce nad wodą. Nagle poprzez zielone sklepienie drzew prysnął gorący promyk słoneczny, zamigotał dokoła niego, zadrgał w jego stalowych źrenicach i krwawą kroplą rozbłysł na rubinie szpilki w krawacie, Waldemar spojrzał w górę.

– Szczególny promień. Ukłuł mię jak igłą. Gdybym był zabobonny... Ach, cóż znowu!... Poszedł dalej. Dziwił się, że nie może zebrać myśli; rwały się, nasuwając wciąż jedno pytanie.

– Dlaczego jestem taki wrażliwy? Co znaczy ten objaw? Jakiś promyk rozświetlił mię, jak ten przed chwilą spadły ze słońca... Promyk! Czy ona może być promykiem? Jest również słoneczna, czy jednak równie gorąca?

Zaśmiał się ironicznie.

– Może była, ale ostygła, wyczerpana ogrzewaniem kogo innego.

W wyobraźni mignęła mu postać Stefci i Prątnickiego. Wzruszył ramionami i rzekł prawie głośno ze śmiechem:

– Ogromnie głupi jestem! Cóż promyk? Skoro jest słoneczny – ogrzać się nim. Po co te rozważania bezcelowe?

Spojrzał na jezioro.

– Na przykład te mewy – myślał – pławią się w blaskach i biorą na swe skrzydła tyle tę- czy, ile się zmieści. Jaki one mają rozum!... Nie należy omijać żadnego promyka, kraść każdą tęczę bezwzględnie – oto jest umiejętność korzystania z życia. Na rozpatrywaniu wszystkie- go, badaniu szczegółów marnuje się tylko bezowocnie czas i w rezultacie nie otrzymuje się wyników, bo przedmiot powszednieje, przestaje budzić zajęcie.

– Czy to prawda, czy paradoks? – zastanowił się. – Więc chcę, aby była prawda. Mogę sobie na to pozwolić.

Za jeziorem, na drodze, obramowanej murem zboża, ujrzał sunące prędko łby i grzbiety końskie oraz górny kontur żółtego amerykana. Siedziały w nim dwie ciemne sylwetki, odrzynające się wypukłe na tle złotego łanu pszenicy.

Waldemar patrzał chwilę, wreszcie wybuchnął śmiechem:

– O! tam jedzie promienisty! – zawołał wesoło i zawrócił do pałacu.

Kolację spożyto w milczeniu, pan Maciej był apatyczny, Waldemar zimny, Prątnicki niespokojny.

Edmund nie spodziewał się zastać ordynata. Zmieszał się podwójnie, gdy mu powiedziano o wyjeździe pań. Czuł się zazwyczaj swobodniejszym wobec pani Elzonowskiej i Luci. Wszedłszy do sali jadalnej, zauważył sztywność obu panów, postanowił więc nadrabiać miną. Opowiadał wesoło o bytności swej w składzie narzędzi rolniczych. Dowcipnie krytykował firmę i panów, z którymi tam rozmawiał. Ale spostrzegł, że opowiadanie jego nie robi wrażenia na obu Michorowskich, i zaczął mówić głównie do pana Ksawerego.

Zniżonym głosem spytał starego rezydenta:

– Czy panie dziś nie wrócą?

– Chyba nie – odparł pan Ksawery. – Pojechały do Obronnego, tam zawsze nocują.

– Szkoda.

– Dlaczego pan tak żałuje? Nie ma pan przecie osobistego interesu do żadnej z pań?

– Owszem, mam bardzo pilny.

– Ciekawym jaki, bardzom ciekaw – rzekł pan Ksawery patrząc na praktykanta żartobliwie.

Edmund odczuł cień lekkiej ironii w głosie rezydenta i pomyślał:

– A temu co się dzisiaj stało?

– Więc jakiż to interes? – powtórzył pan Ksawery. Staruszek, zjadłszy ogromnie dużo, był w bardzo dobrym usposobieniu. Prątnicki pokręcił głową.

– O, tego nie mogę powiedzieć nikomu.

– Aż tak! Ho, ho! A o którąż z pań tu chodzi, jeżeli wolno choć o to zapytać?

– Mam osobisty interes do swego ideału – rzekł z zagadkowym uśmiechem zapytany.

– A nie będę niedyskretny, jeżeli zapytam, jakiej natury jest ten interes?

– Pan zbytnio ciekawy! Przypuśćmy, że pragnę jej opowiedzieć o mej tęsknocie i ujrzeć rumieniec na jej buzi.

Waldemar mimo woli słyszał wszystko. Wzburzony, chciał wstać i wyrzucić za drzwi Prątnickiego. Ale opanował się, może pod wpływem błagalnego spojrzenia pana Macieja.

– Jaki pan pewny tego rumieńca! – zauważył pan Ksawery. – A gdyby panu nie udało się go wywołać?

– Pan wątpi? Panienki zawsze łase na słodkie słówka i mają rumieńce na

zawołanie. Zwłaszcza Stefa do rumieńców skłonna. Już ja ją znam...

Tu Edmund spostrzegł, że posunął się za daleko, więc umilkł.

Ale ordynat nie mógł dłużej panować nad sobą. Skruszył w palcach cygaro, zasypując nim obrus, i gwałtownie powstał. Przeprosił pana Macieja i wyszedł z sali.

Stary Michorowski powiedział dobranoc obu panom, coś do nich przemówił i także wyszedł. Prątnicki, niemile dotknięty, stracił humor, a stary rezydent, podając mu rękę, pomyślał:

– Czy nie przegalopowałeś, kawalerze?

Waldemar biegał po swym gabinecie, chcąc się uspokoić. Po godzinie rozkazał Jacentemu prosić Edmunda. Ordynat siedział przy biurku z miną spokojną i obojętną, tak że praktykant, nie widząc niezadowolenia na jego twarzy, odzyskał swobodę.

– Czym mogę służyć? – spytał podchodząc elastycznie do biurka. Waldemar wskazał mu krzesło.

– Proszę, niech pan siada. Chcę z panem pomówić. Młody człowiek zmieszał się i usiadł w milczeniu.

– Właściwie – rzekł Waldemar – mam wyrazić panu mój zamiar, który powziąłem od pewnego czasu – zamiar dotyczący pana.

– Mnie?

– Tak. Chcę panu zaproponować przeniesienie się na stałe do Głębowicz. Sądzę, że to panu różnicy nie zrobi, a teren do pracy tam będzie nawet większy...

Mówił tonem naturalnym i uprzejmie, ale z lodowatym chłodem. W Prątnickiego jakby nagły grom ugodził. Spodziewał się wszystkiego prócz przeniesienia do Głębowicz. Nie wiedział, co o tym sądzić. Bezwiednie bąknął:

– Dlaczego, panie ordynacie... tak nagle?... Nie jestem przygotowany.

– To najmniejsza, kwestia paru mil drogi, przeprowadzka niedaleka. Edmund jeszcze chciał się bronić.

– Czy pan niezadowolony z mych czynności gospodarczych w Słodkowcach? – zapytał z uniżonością, która obudziła niesmak w Waldemarze.

– Z gospodarczych? Nie. Tylko w ogóle jest pan odpowiedniejszy do Głębowicz.

– Odpowiedniejszy?... Dlaczego? z jakich względów?... Michorowski tracił cierpliwość.

– O panie, względy są różne – rzekł strząsając w popielniczkę popiół z cygara.

Prątnicki zrozumiał. Nie chciano go tu. Lecz jaki główny powód? Pragnął dowiedzieć się koniecznie. Rzekł po krótkim milczeniu:

– Panie ordynacie, jeśli dzisiejszą swą wycieczką naraziłem się panu, w takim razie przepraszam bardzo. Istotnie popełniłem błąd.

Waldemar podniósł głowę.

– Czy ja panu robiłem wymówki, że mię pan przeprasza? – spytał. – Postąpił pan niewłaściwie, lecz jest to rzecz drobniejsza.

– Przede wszystkim nie wiedziałem, że pani baronowa miała dziś jechać – bronił się Prątnicki.

Ordynat skrzywił usta z niesmakiem. Nie lubił wykrętów.

– No, o tym pan wiedział, bo nawet zadysponował pan gniadą czwórkę dla ciotki. Ale powtarzam, to rzecz drobniejsza. Głównie chodzi o to, że nie nadaje się pan do miejscowego otoczenia w Słodkowcach. Pan rozumie?... Nie odpowiada pan właściwym warunkom, traktując je nazbyt podmiotowo, co znowu nie zgadza się z pewną skalą naszych pojęć.

Teraz łuska spadła z oczu Edmunda. Spostrzeżono jego zamiary i dają mu odprawę. Projekt przeniesienia go do Głębowicz to tylko delikatne wskazanie drogi, którą ma się wycofać. Jego plany przekreślone zostały ręką ordynata bardzo stanowczo. Prątnicki był zgnębiony, przegrał na całej linii, bez możliwości odwrotu. Spojrzał na ordynata.

Waldemar, paląc, patrzał przed siebie na marmurowy kałamarz z takim wyrazem twarzy, jakby chciał rzec:

– Czemu nie wychodzisz? Ja już skończyłem.

Edmund czuł, że powinien odejść, ale jeszcze się wahał, niepewny, czy to zupełne usunięcie, czy tylko przeniesienie.

Waldemara to wahanie się drażniło. Zirytowany wstał i podając mu rękę rzekł krótko:

– Zatem skończone. Dobranoc panu.

Praktykant zerwał się z krzesła i odpowiedział z fałszywą swobodą:

– Postaram się zadowolić pana ordynata.

– Dziękuję. Będzie to korzystniej dla obu stron.

Ukłonili się sobie i Prątnicki wyszedł z podniesioną głową, którą za drzwiami zwiesił smutnie.

– Psiakrew! dostałem arbuza – mruknął zły – bo to przecież arbuz prywatny, nie urzędowa dymisja. Ale jak on to delikatnie zrobił, po pańsku. Arystokrata! – dodał ze zjadliwą ironią.

W przedpokoju lokaj chciał mu podać palto, ale Edmund odtrącił go z gniewem.

– Idź do diabła!

– Oho! – zawołał służący zamykając drzwi za nim.

Waldemar wszedł do sypialni pana Macieja. Staruszek, leżąc w łóżku, czytał dzienniki. Na widok wnuka odsunął lampę.

– Czemu tak długo nie przychodziłeś?

– Rozmawiałem z Prątnickim. Już skończone – odpowiedział Waldemar siadając obok łóżka. – Wymówiłeś mu miejsce?

– W zasadzie tak. Zaproponowałem mu przejazd do Głębowicz.

– I zgodził się?

– To byłoby niepożądane, ale zrozumiał, czego się od niego chce.

– Powiedz prawdę: wywołała to dzisiejsza rozmowa przy kolacji. Czy tak?

– Tylko przyspieszyła.

– A wywołała głównie dlaczego?

– Dziadzio się o to pyta? nie mogłem nigdy znosić jego dowcipów, zwłaszcza takich... Powstał i zaczął chodzić po pokoju.

Pan Maciej milczał. Światło lampy, padając ukośnie, oświecało jego białe włosy i szerokie bruzdy na twarzy. Czoło miał sfałdowane, oczy przymknięte, na zwiędłych ustach osiadł bolesny wyraz. Długo siedział pogrążony w głębokiej zadumie, z pochylonymi barkami, jakby gniótł go jakiś ciężar niezmierny.

Na tle dywanu jego starcza postać odrzynała się wypukło; spływały na nią gnębiące wspomnienia z przeszłości, pod ich brzemieniem zginał głowę coraz niżej. Nagle podniósł zmarszczone czoło, spojrzał na wnuka i rzekł z naciskiem:

– Waldemarze, bądź szczery. Tobie głównie o nią chodzi?

Z głębi ciemnego pokoju odezwał się głos przytłumiony, o pięknym, niskim brzmieniu:

– Tak!

– Boże, nie odmawiaj Swego zmiłowania! – szepnęły drżące wargi starca. Zasłoniwszy oczy rękoma, modlił się cicho, powtarzając z przejęciem:

– Za moje winy nie karz go, Panie! Panie! Odpuść mi... Zaniechaj zemsty!...

## XV.

Pożegnanie z paniami odbyło się uroczyście. Prątnicki nadrabiał miną, co bolało Lucię. Pani Idalia ze wspaniałością wielkiej damy wyrzekła do niego parę słów zakrawających na serdeczność. Brzmiało to trochę fałszywie. Pan Maciej z uprzejmym uśmiechem życzył odjeżdżającemu szczęścia. Waldemar pożegnał go swobodnie, pan Ksawery obojętnie. Nikt nie wyraził żalu z powodu jego wyjazdu.

Pani Elzonowska powiedziała Luci i Stefci, że Edmund ma jakieś inne zamiary i dlatego wyjeżdża.

Lucia płakała całą noc i dzień, przy pożegnaniu miała czerwone oczy. Edmund spoglądał na nią z uśmiechem, jak na swą ofiarę. Widok spłakanych oczu dziewczynki nie wzruszał go, natomiast pod pokrywką wesołości czuł się wściekle zły, że minęła go taka świetna partia.

Lucia była pewna, że on zechce zostać z nią sam na sam i że jej coś powie na pożegnanie. Przypominała sobie czytane ukradkiem romanse, a w nich miłosne schadzki, bileciki i zaklinania. Myślała, że i między nimi nastąpi to samo. Może będą do siebie pisywać? Wprawdzie byłyby trudności, ale to tym lepiej. Chciała się z nim spotkać, wychodziła kilka razy do parku, przekonana, że on już tam oczekuje na nią. Nie uszło to baczności Stefci; spotkała Lucię w cieniu na ławeczce głośno płaczącą. Usiadła przy niej i utuliła w swych

ramionach. Wówczas dziewczynka przyznała się, że wyszła, aby spotkać Edmunda, i teraz płacze po nim jak po umarłym.

– Dlaczego jak po umarłym? – zapytała nauczycielka. – Czy rozmawiałaś z nim? Lucia odparła z płaczem:

– Chciałam z nim pomówić, myśląc, że i on tego pragnie. On przechodził tędy aleją, widział mnie, był blisko... Zawołałam: „Panie Edmundzie!" – a on stanął i spytał: „Czym mogę służyć?" – ale tak jakoś zimno i z takim dziwnym, wymuszonym uśmiechem... Potem ukłonił się i poszedł. On mnie nie kocha, on dla mnie umarł! Stefci zaledwie udało się ją uspokoić.

Pożegnanie Edmunda ze Stefcią i Lucią odbyło się wobec wszystkich. Waldemar, przewidując, że Prątnicki może obrazić Stefcię w chwili pożegnania, stał obok niej. Istotnie Edmund miał zamiar w ironiczny sposób życzyć Stefci powodzenia, wiedząc, że ją tym dotknie, lecz obecność ordynata wstrzymała go. Z jednakową obojętnością podał rękę Stefci i Luci. Ani jedno słowo nie zostało wymówione z obu stron. Tylko ręka dziewczynki zadrżała w jego dłoni, na co nawet nie zwrócił uwagi.

Wyszedł na ganek jak zwycięzca, wsiadł do wolantu z miną bohatera. Do pojazdu odprowadził go Jacenty i pokojowcy, zadowoleni z wyjazdu nie lubianego powszechnie praktykanta. Gdy wolant ruszył, Lucia, stojąca w oknie, wybuchnęła głośnym płaczem ku wielkiemu zdumieniu baronowej, która nie posądzała córki o tak żywe uczucia względem człowieka z innej sfery.

Po wyjeździe Prątnickiego zrobiło się raźniej w pałacu. Stefcia odetchnęła lżej. Tylko baronowa z początku nudziła się, lecz tęsknota i łzy Luci utwierdziły ją w przekonaniu, że wyjazd praktykanta był koniecznym.

Pewnego dnia, w czasie bytności ordynata, przyjechała konno panna Rita Szeliżanka, a w pół godziny po niej zjawił się hrabia Trestka. Właśnie całe towarzystwo siedziało na werandzie. Rita na widok swego prześladowcy skrzywiła się i rzekła z gniewem do Waldemara:

– To jest bajeczne, jak gdyby był moim patronem...

Ordynat wzruszył ramionami: myślał o czym innym. Trestka, ujrzawszy pannę Ritę, udał zdumienie tak artystycznie, że aż mu binokle spadły z nosa.

– Pani tu? – zawołał. – Co za szczęśliwy traf.

– Doprawdy? Vojons! pan ma talent kompozytorski, jak widzę.

– Dlaczego?

– No, bo przecie wiedziałeś pan, że dziś będę w Słodkowcach, alboś się dowiedział w Obronnem. Po co to udawać!

– Nic nie wiedziałem, comme j'aime Dieu! To niby specjalnie dla pani miałem tu przyjechać?

– Zdaje mi się.

– Skandal! – oburzył się Trestka.

Nerwowym ruchem poprawił binokle; rzucając spod szkieł wesołe spojrzenie na Stefcię, rzekł z dowcipną miną:

– Pani się myli. Ja do Słodkowic przyjeżdżam nie tylko dla pani, mais

encore...

– Niech się pan nie broni. My rozumiemy. Gdy panna Rita jest u nas, wówczas dąży pan tu głównie dla niej – rzekł Waldemar.

– Ale ja nie to chciałem rzec! – zaprzeczył Trestka.

– Ale myśmy tak zrozumieli, panie.

Trestka przygryzł usta i zamilkł. Panna Rita zerknęła na Stefcię, po czym zbliżyła się do Waldemara.

– Dziękuję panu – szepnęła z uśmiechem.

– Za co mi pani dziękuje? – spytał rozdrażniony ordynat.

– Za to, że pan jest gentlemanem.

– Muszę nim być za kogoś, niestety.

– To właśnie zasługa.

Po podwieczorku powstał projekt spaceru po parku. Panna Rita wzięła pod rękę Stefcię i wysunęła się z nią naprzód, panowie szli za nimi. Lucia chodziła sama zamyślona, błądząc po uliczkach.

Po kilku wstępnych słowach panna Rita spytała:

– Jak się pani podoba młody Michorowski?

– Owszem... bardzo sympatyczny. Panna Rita podskoczyła.

– Tylko sympatyczny? Myślałam, że pani oceni go głębiej. Ja mam dla niego cześć. Porównać go na przykład z Trestką...

– No, tu nie może być porównania.

– Bo wypadłoby ono na niekorzyść Trestki. Tak, ma pani słuszność: to dwóch ludzi nie mających z sobą nic wspólnego oprócz jednakowej liczby lat. Ordynat ma kolosalne powodzenie w świecie. Kobiety za nim szaleją. Cóż, kiedy jest bajecznie wybredny. Do jego wielbicielek i ja się zaliczam, ale również bez wzajemności.

Stefcia spojrzała na nią uśmiechnięta. Przypomniała sobie pierwszy przyjazd panny Rity i jej słowa wypowiedziane przed gankiem do Waldemara.

Panna Rita mówiła dalej:

– Po cóż mam się ukrywać! Ze kocham ordynata, wiedzą wszyscy, począwszy od mej opiekunki księżnej, a skończywszy na nim samym. Ale złudzeń nie mam żadnych. Dawno się ich pozbyłam, a raczej nie miałam wcale. Ta, którą on wybierze, w niczym nie będzie do mnie podobna. On ma gust bardzo subtelny, takie jak ja mogą zachwycać najwyżej Trestkę.

To się nazywa inaczej „pech” w życiu. Mnie zajmuje pan Waldemar, a ja interesuję tego hrabicza. Czy to nie jest po prostu niedołęstwo losu? Bo skoro ja się podobam takiemu Trestce,

to widać niewiele więcej jestem warta od niego. A w takim razie on powinien mieć wzajemność. Czy nie mam racji?

– Ale cóż znowu! – zawołała Stefcia. – Pan Trestka niewart nawet podnieść oczu na nią.

Tyle szczerości było w jej słowach, że panna Rita z życzliwością przypatrywała się jej przez chwilę.

– Pani ma dobry gust! Ja sama wiem, że jestem więcej warta od niego,

chociaż znowu nie tak dalece, jak pani mówi. Dobrego gustu dowiodła pani również, odtrącając Prątnickiego. To typ bardzo nieciekawy i także niewart pani.

Stefci przykro się zrobiło. Odrzekła z prostotą:

– Nie, pani, ja go nie odtrąciłam. To tylko okoliczności złożyły się dla mnie tak szczęśliwie.

– Ale inicjatywa zerwania od pani wyszła?

– Nie, zerwał mój ojciec.

– Który go zapewne lepiej znał?

– Niewątpliwie.

– Bądź co bądź za usunięcie tego pana ze Słodkowic należy się ordynatowi wdzięczność.

A czy pani wie, jaki jest główny powód wyjazdu Prątnickiego? Domyśla się pani?

– Główną przyczyną była Lucia i zabiegi Prątnickiego? – odpowiedziała zagadnięta. Uśmiech przemknął się po ustach Rity.

– Tak się to mówi. Ale to znaczy, że pani nic nie wie. Prątnicki usunięty jedynie dla pani.

– Dla mnie?!...

– Tak, a raczej z powodu pani. On pani dokuczał, co gniewało ordynata, a denerwowało pana Macieja. Nie mogli na to pozwolić. Jedna Idalka była bierna, ale kto ją zna, ten wie, że inną być nie potrafi. Ta kobieta ma ciało i kości, lecz wątpię, czy ma krew... chyba tak błękitną, że aż zwodniałą. W ostatniej chwili oburzyły ją zamiary tego pana, jednak przedtem bawił ją znakomicie. Wyprawił go stąd głównie pan Waldemar. Mogę panią śmiało zapewnić, że w obu Michorowskich ma pani wielkich, wyjątkowych przyjaciół.

Nacisk na wyrazie „wyjątkowych” nie podobał się Stefci. Odrzekła żywo:

– Wdzięczną im jestem bardzo, ale chyba i pani Elzonowska mi sprzyja?

– Ona panią bardzo lubi, a Lucia rozkochana w pani.

– To dobra dziewczyna. Biedactwo! ma do mnie trochę żalu za wyjazd Prątnickiego, odgaduje, że rozmawiałam o tym z panem Maciejem.

– Ech! to dziecinada! – zawołała panna Rita – prędko się zaczęła i prędko się skończy.

– Daj Boże! Zawsze mię to martwi.

Dochodziły do cieplarni. Stary ogrodnik podlewał kwiaty wazonowe, dopomagała mu czereda ogrodniczków. Słońce zaszło za drzewa parku, spływając ognistą kulą coraz niżej, różowa łuna oświecała kwiaty, lśniła na szybach cieplarni.

Stefcia zaczęła pokazywać Ricie ulubione kwiaty, wymieniając nazwy. Ożywiona, uśmiechnięta, podnosiła ciężkie doniczki, wąchając rośliny. Panna Rita, w długiej amazonce, oparta o szyby cieplarni, przyglądała się jej z uwagą. Dziwił ją ogrodnik, który patrzał na Stefcię jak w tęczę. Stary ten człowiek, od niepamiętnych lat zajmujący stanowisko w Słodkowcach, był

wiecznie ponury i najczęściej nie mówił, ale burczał na wszystkich. Tylko Waldemar posiadał jego łaski, a teraz i Stefcia zdołała je pozyskać.

Panna Rita myślała o Stefci.

– Czy ona może być porównaną do tych kwiatów cieplarnianych?... Stanowczo nie. Ona to kwiat bujny, pełen życia, ogrzewany słońcem, a nie sztucznym ciepłem, kwiat wdzięczny, z delikatnym i orzeźwiającym zapachem, niepodobny do wazonowych, sztywnie poprzywiązywanych do palików. My jesteśmy obrazem tych kwiatów – myślała dalej Rita – wzięci w ramy naszej sfery, jak one w wazony, przymocowani do naszych przesądów, jak one do palików.

– O czym pani tak rozmyśla? – zapytała Stefcia.

– Myślę, że pani jest ogromnie różna od tych doniczkowych roślin. Pani przypomina stepy, usiane kwiatami, raźne, buńczuczne, a pełne poezji i rzewnej muzyki.

Stefcia zaśmiała się.

– Porównanie zbyt pochlebne dla mnie, ale ładne – rzekła.

– To nie moje porównanie, tylko ordynata. Jeszcze panią mało znałam, kiedy pan Waldemar określił mi ją w ten sposób. A! otóż i oni.

Nadeszli panowie. Trestka patrzał na Stefcię z podniesioną głową, Waldemar szedł zamyślony. Rita odezwała się do niego:

– Czy pamięta pan porównanie panny Stefanii do ukwieconego stepu? Ja dziś przyznaję panu słuszność zupełną.

Michorowski spojrzał na pannę Ritę, potem na Stefcię i spytał:

– Dlaczego to pani dziś przyszło na myśl?

– Bo panna Stefania wśród tych kwiatów przypomina bardziej niż kiedykolwiek łąkę.

– Nie, zawsze stepy – rzekł Waldemar – bujne, szerokie stepy ukraińskie. Łąka – to ciasne określenie. Pani ma w sobie coś lotniejszego.

Zrobił szeroki ruch ręką. Stefcia znów zaśmiała się.

– Ee! moi państwo, to już za wiele komplementów.

– Pani tak mówi w celu wywołania jeszcze większych – rzekł Waldemar przekornie i poszedł do oranżerii.

Gdy się oddalił, Trestka poprawił dwoma palcami binokle i zawołał z miną znawcy:

– Mnie przyszło na myśl inne porównanie. Oto panna Rita jest jak posąg Pallas Ateny. Tylko brak pani tarczy, hełmu i dzidy. Ale wszystko to posiada pani... moralnie – rzekł z zagadkowym uśmiechem.

– Bardzo mnie to cieszy. To znaczy, że moralną dzidą ranię pana, moralną tarczą bronię

się przed panem i... co tam jeszcze moralnego posiadam więcej? Zresztą dość o tym! Teraz pannę Stefanię proszę porównać do jakiej bogini.

– Panna Stefania jest jak Wenus, która świeżo wyszła z piany morskiej.

– A pan jak satyr, któremu nie brak złośliwości – odparła Stefcia.

– Doskonale! i rogów niech pani doda – zawołała roześmiana panna Rita. –

Pan jest niemożliwy, panie Trestka. Już widzę, że nigdy nie nauczę pana dobrego smaku. Jakże można było porównać mnie do tej obrzydłej, starej Pallas Ateny? Myślałam, że zostanę Dianą. Pannie Stefie należała się Hebe, bogini młodości, albo Psyche. Wówczas i pan może by został przynajmniej Hermesem.

– Dziękuję pani za taki zaszczyt.

– Nie podoba się panu? Ha! to trudno! Na Jowisza nie ma pan kwalifikacji. Ale dokądże poszedł ordynat?

– Rozmawia z ogrodnikiem.

– Jestem! – zawołał Michorowski – zaraz będę służył paniom. Po chwili wszyscy wracali do pałacu.

Tym razem panna Rita szła z Trestką naprzód. Stefcia postępowała obok Waldemara.

Szli wąską uliczką, wysadzoną po obu stronach malwami. Wysokie ukwiecone krzaki tworzyły różnokolorowy mur; delikatny zapach miodowy rozchodził się z płaskich kwiatów, zmieszany z zapachem kwitnących lip i ciepłym powiewem jeziora.

Poprzez masę liści i krzewów fala posyłała gorące oddechy na kwiaty, muskając je leciuchno, jakby kołysząc do snu. Roje komarów i drobnych muszek sypały się na gałęzie i szerokie liście kwiatów. Cisza była wielka i jakaś tęsknota płynąca jakby z poszumu olbrzymich modrzewi i bełkotania uderzających o brzegi fal jeziora.

Waldemar milczał, towarzyszka jego również, on zamyślony, ona rozbawiona. Nareszcie ona odezwała się pierwsza:

– Dlaczego pan bez humoru? Zatrzymał na niej przenikliwy wzrok.

– Jestem zdenerwowany, co mi się w ostatnich czasach zdarza często. Przy tym drażni mię Trestka.

Stefcia dopowiedziała sobie w duchu, że drażni go z powodu ciągłego asystowania pannie Ricie. Przypominała sobie, że ta ostatnia kocha się w Waldemarze bez wzajemności. Kto wie, czy istotnie bez wzajemności...

Uczuła lekkie ukłucie w sercu. Po krótkim wahaniu rzekła:

– Od pana tylko zależy, aby hrabia Trestka przestał go drażnić.

– Ode mnie? No tak. Trochę mityguję jego ogródkowe dowcipy, lecz nie zawsze jest to możliwe bez wywołania skandalu. Trestka jest przede wszystkim źle wychowany albo pozuje na takiego sądząc, że mu z tym do twarzy. Przy tym niesmaczny cynik.

Stefcia nie zrozumiała, co Waldemar przez to rozumie, ale odrzekła, idąc za własną myślą:

– Panna Rita traktuje go dość pobieżnie. Dziwię się, że on, taki skądinąd sprytny, tego nie widzi.

– Panna Rita ma się z kim przekomarzać o konie i to ją bawi – odparł obojętnie.

– Ja myślę, że prędzej nudzi – zauważyła Stefcia. Waldemar stanął.

– Panno Stefanio, czy nie moglibyśmy znaleźć czegoś ciekawszego do

rozmowy? Trestka, panna Rita i ich uczucia – to temat tak niezabawny.

– Przepraszam pana – rzekła Stefania chłodno – nie zastanowiłam się, że robię panu przykrość tą rozmową. Ale pan sam rozpoczął.

– Ja mówiłem o Trestce, nie o pannie Ricie.

– Ale to, co pan mówił, odnosiło się do niej.

– Ani trochę! – zawołał podnosząc brwi w górę i zaprzeczając ruchem głowy. Patrzał w oczy Stefci, pełne gniewnych iskierek, uśmiechnął się i rzekł:

– Widzę, że my się z panią nie rozumiemy.

– Być może. Jak zawsze zresztą – odparła rozdrażniona.

– Co pani myślała, mówiąc o pannie Ricie? Proszę mi powiedzieć.

– Wybaczy pan, ale tak dalece żałuję swych słów, że nie chcę ich powtarzać. Istotnie popełniłam niedyskrecję.

Spojrzał na nią uważnie.

– A, rozumiem... Bajecznie! Można pani powinszować zmysłu spostrzegawczego. Więc pani sądziła, że Trestka mię drażni z powodu zajmowania się panną Ritą? I pani mogła myśleć o tym choć przez chwilę?

Stefcia szła prędko, zła na siebie i na niego. Trzymany w ręku płaski kwiat malwy rwała palcami, nie odpowiadając.

Waldemar patrzał na nią wzburzony, lecz nie doczekawszy się odpowiedzi, wzruszył ramionami i zawołał:

– Pani mię czasem tak drażni, że nawet nie mogą spokojnie mówić! Dlaczego pani nie odpowiada, panno Stefanio?

– Nie chcę pana rozdrażnić jeszcze więcej. Zresztą nic już nie mam do powiedzenia.

– To najłatwiejsze! – wybuchnął. – Stanowczo nie można z panią rozmawiać.

– Toteż niech się pan nie trudzi.

Zmarszczył brwi, usta zadrgały mu gniewem.

– Pani jest uprzejma! – rzekł z ironią.

– Muszę nią być dla zrównoważenia pańskiej uprzejmości.

– Moja jest inna.

– O tak! pod bardziej ostrym kątem.

– Nie, pani, tylko pod innym. Stanęli pod filarami werandy.

– Co to? Państwo się znowu kłócą? – spytała Rita widząc silne rumieńce Stefci i poruszenie Waldemara.

Ale on zaprzeczył.

– Och! nie. Dowodzę tylko pannie Stefanii, że kobieta powinna być domyślna i tak łapać wszystko, co się dokoła niej dzieje, jak motyle w siatkę.

– Kobieta powinna być przede wszystkim pikantna – zawyrokował Trestka.

– Jak ja, na przykład. Prawda? – zaśmiała się nerwowo Rita.

Trestka zaczął się rozwodzić o kobietach, a Waldemar spojrzał bokiem na Stefcię i po- myślał:

– O! i tej tego nie brak.

Wtem zagadnęła panna Rita:

– Kiedyż pan nas zawiezie do Głębowicz? Mamy już dawno obiecane.

– Ja nie oznaczam dnia, to od pań zależy. Bramy głębowickie są otwarte codziennie na przyjęcie gości.

– A zatem walna i stanowcza narada dziś z pańskim dziadkiem i Idalką. Chodźmy.

Panna Rita i Trestka poszli naprzód. Gdy Stefcia wchodziła w drzwi, idący za nią Waldemar rzekł zniżonym głosem:

– Jestem niezmiernie rad, że pani pozna Głębowicze. Panią proszę szczególniej o przyjazd. Wszyscy znają moją siedzibę prócz pani.

– Dziękuję – odpowiedziała obojętnie.

– Czy pani gniewa się na mnie? – spytał zastępując jej drogę. Podniosła na niego oczy.

– Panie ordynacie, proszę mi pozwolić przejść.

– Nie ustąpię, aż mi pani powie, o co proszę: gniewa się pani na mnie?

– Nie.

– Pozwalam sobie wątpić o szczerości pani odpowiedzi. Dotknąłem panią, lecz sam byłem wściekły. Teraz przepraszam. Pani mi nie poda ręki na zgodę?

Panna Rudecka prędko wyciągnęła dłoń, którą on uścisnął mocno, pochylając nisko głowę.

Nie zauważyli panny Rity, stojącej na schodach, ale ona widziała ich doskonale. Poruszyła się nerwowo i zawołała zmienionym głosem:

– Skoro przymierze zawarte, proszę na kolację. Idalka czeka.

Waldemar i Stefcia w milczeniu wstępowali na schody. Rita mówiła nienaturalnym tonem, kładąc nacisk na każdy wyraz:

– Nie powinniśmy tak długo spacerować po parku. Teraz wieczory są zbyt upajające... zwłaszcza ta malwowa uliczka...

– Czy oświadczył się pani hrabia Trestka? – spytał szorstko Waldemar. Zagadnięta zbladła.

– Nie, ale może... ja mu się oświadczę – odparła prędko i szeleszcząc jedwabiami pobiegła naprzód.

Stefci zaczęły bić mocno pulsa w skroniach.

## XVI.

Żniwa. Łany żyta i pszenicy chylą ociężałe głowy. Przeciągły chrzęst słomy znamionuje dojrzałość ziarna. Szum przelatuje po polach, jakby żałosny dreszcz, przeczucie śmierci... A świat tak piękny! Czysty błękit, złoto słońca, ciepłe powiewy łączą się w całość barwną i upajającą.

Lato! lato w całej pełni, w całej krasie! znojne, wyciskające pot na czołach robotników pochylonych w pracy, a tak bogate i rozśpiewane. W zbożach krzyczą przepiórki, na łąkach drą się derkacze, odzywają żaby, potężnym chórem zawodzą drobne ptaszęta.

Każdego ranka głośno i wrzaskliwie nad przestrzenią dojrzałych zbóż. Ścięte łany bez- miernie smutne jeżą się krótko przy ziemi. Długie ich włosy, powiązane w snopki, stoją w stożkach niby pomniki na cmentarzu. Zboża, jeszcze nie skoszone, chylą głowy nad pobojowiskiem towarzyszy i dumają żałośnie nad złą dolą, która ich nie minie. Cicho szepcą pacierze przy akompaniamencie organów ptasich. Zdziwione przepiórki wysuwają główki na pustą przestrzeń i wystraszone martwotą, cofają się w gęsty las żółtej, słodko szumiącej słomy. Gdy słońce wypływa całą tarczą na błękit nieba, wszystko milknie, inne głosy panoszą się, tłumiąc świergoty i rozpraszając ptasie wiece. Nie można już śpiewać nad ściętymi snopkami, bo ostry zgrzyt sierpów kładzie koniec marzeniom. Jeszcze większe przerażenie wzbudzają groźne machiny, sunące na nieszczęsne łany. Z daleka je słychać. Okropne skrzydła, spiętrzone na grzbietach, hurkot i trzask oznajmiają zbliżanie się tych potworów, ciągnionych przez konie. Machiny wchodzą na łany i rozpoczynają dzieło śmierci. Trzask nie ustaje, żelazne zębiska bez miłosierdzia mordują smukłą pszenicę i dziarskie żyto. Wielkie skrzydła nabierają rozmachu, ściętych nieboraków odsuwając masami na bok. Ostre zęby niosą śmierć, one zaś odgarniają trupy, i tak bez przerwy.

Drugie potwory, ścinając, wiążą nieszczęsne łodygi w duże snopki i wyrzucają je w górę jak piłki. Wystraszone ptaszęta, nie chcąc patrzeć na rzeź, frunęły do lasu; przepiórki piechotą uciekały jak najdalej, a nad polem zniszczenia i grozy świeci słońce jasne, złociste, obojętne na to, co się dzieje. Zostają tylko ludzie, pracujący wesoło, ze śpiewami. Nie czują, że taką czynią klęskę.

Po południu, kiedy już słońce pochyliło się na zachód, drogą pomiędzy polami pszenicy, gdzie pracowały żniwiarki i samowiązałki, jechała niewielka grupa jeźdźców. Dwie amazonki i dwaj panowie dążyli ostrym kłusem w równej linii. Panna Rita na rosłym folblucie, w czarnej amazonce i w cylinderku, wyglądała zwycięsko. Obok niej Trestka, w angielskiej czapeczce, miał na koniu ruchy wężowe. Druga para to Waldemar i Stefcia. On w eleganckim kostiumie i wysokich, czarnych botfortach z ostrogami, jakie nosili wojskowi w czasach napoleońskich, siedział jak przymurowany do karego wierzchowca, araba czystej krwi. Jechał wybornie i wyglądał na siodle posągowo. Było w nim coś, co przypominało wodza. Stefcia, w granatowej angielskiej sukni i małym kapeluszu, jechała śmiało, a zarazem wdzięcznie na karej arabce Erato, wierzchówce Waldemara.

Ordynat jechał blisko, czuwał nad każdym jej ruchem, często sam powstrzymywał klacz, robiąc Stefci rozmaite uwagi.

– Pani już chyba jeździła konno? – spytał – bo to na pierwszy debiut nie wygląda.

– Owszem, trochę próbowałam, ale na męskim siodle i na kucu. Na tak pysznym rumaku znajduję się pierwszy raz.

– Więc jest pani stworzona na amazonkę. Ja się na tym znam – zawyrokował Trestka.

Stefcia spojrzała na Waldemara, jakby pytając: „Co ty powiesz, bo z tamtego zdaniem się nie liczę”.

Ordynat popatrzał chwilę w oczy dziewczyny. Zrozumiał nieme pytanie, uśmiechnął się i skinął głową twierdząco.

– Dobrze wyglądam? – spytała uparta Stefcia.

– Caca! – rzekł z uśmiechem.

Na twarzy Stefci zapaliła się przelotna łuna rumieńca, charakterystyczna u niej. Robiło to wrażenie, jakby twarz zakwitła. Silnie trąciła klacz pejczem. Erato z fantazją ruszyła naprzód i z miejsca zaczęła unosić. Suknia Stefci pobudzała ją, bijąc w oczy. Wzniósł się kłąb kurzu. Panna Rita krzyknęła, Trestka zaczął wołać:

– Niech pani ściąga cugle... mocno... mocno!

Ale Waldemar już puścił swego konia wyciągniętym galopem. Apollo zdawał się ziemi nie dotykać. Za nim ruszyli z kopyta dwaj masztalerze, jadący z tyłu. Lecz Rita wstrzymała ich ręką.

– Jeśli ordynat nie dogoni sam, to i wy nic nie zrobicie, a większy tętent straszy klacz. Jednak oboje z Trestką i masztalerze popędzili prędzej. Ale Stefcia i Waldemar znikli im z oczu, przesłonieni kurzawą pyłu. Erato, stuliwszy uszy, gnała jak wicher, tuż za nią cwałował Apollo. Waldemar miał oczy utkwione w Stefcię, lecz widząc, że się mocno trzyma i nie traci przytomności, nie wołał na nią, bojąc się płoszyć klacz. W kilku szalonych skokach zrównał się z Erato i pochwycił cugle ściągając je silnie. Wierzchówka, poczuwszy silną rękę, zwolniła pęd. Wówczas ordynat jął zrzędzić;

– Miałem panią za co chwalić! Ładnie, bardzo ładnie!...

Stefcia oddychała szybko, trochę blada i przestraszona, ale uśmiechnęła się do niego wesoło:

– Powinien pan chwalić, bo zamiast spaść, siedzę na siodle. Nawet nogi ze strzemion wyjęłam.

– Umyślnie?

– Tak, na wszelki wypadek.

– No, wie pani, że nie posądzałem pani jako nowicjuszki o tyle przytomności. Brawo! brawo! a ja pędziłem jak wariat. Włosy mi na głowie powstawały na myśl, że pani może spaść.

Stefcia spostrzegła, że był blady i widocznie przerażony. Chciała mu podać rękę, ale on miał obie zajęte, więc szepnęła gorąco:

– Bardzo panu dziękuję, bardzo... i przepraszam.

– Za co?

– Za... zmęczenie.

– Prędzej za to, że się wystraszyłem jak żak, co mi się nieczęsto zdarza.

– I cóż by mi się stało, gdybym spadła? przeszłabym chrzest konnej jazdy.

– Pani jest jeszcze wielki dzieciak... Nadjechała panna Rita, Trestka i masztalerze.

– Uf! mam tremę z powodu pani! – wołał młody hrabia. – Pędziliśmy tak,

że ledwo żyję. Jeśli dostanę ataku sercowego, to będzie pani winna, tym bardziej że nie jestem tu potrzebny, jak widzę.

– Panie hrabio, zakończenie psuje efektowną całość – rzekła Stefcia z udaną powagą.

Panna Szeliżanka winszowała jej dzielnego trzymania się na koniu, po czym skręcili na pole do żniwiarzy.

Ogromny pas złotej pszenicy chylił się posłusznie przed żniwiarkami. Samowiązałki sunęły równo, wyrzucając gotowe snopki; dalej widniał rząd przegiętych dziewczyn i kobiet w kraśnych spódnicach i białych koszulach; sierpy migały w ich burakowych rękach; postępowały raźno naprzód z uznojonymi czołami, lecz pieśnią na ustach. Wielka praca rąk, mechanizm maszyn i bogate łany nadawały polu wygląd bardzo postępowy. Wozy długie, mocne, zaprzężone w rosłe, spasione konie, przeważnie gniadej maści, zabierały gotowe kopy, zwożąc je do stodół po folwarkach i do lokomobil, młócących wśród pól. Fornale, ogromne chłopy, w białych płóciennych ubiorach i słomkowych kapeluszach, mieli typowy wygląd tubylców.

Gdy konne towarzystwo zbliżyło się do samowiązałek, podjechał do nich rządca, również na koniu, młody człowiek i energiczny. Skłonił się z wesołą swobodą. Ordynat przedstawił go paniom.

– Pan Ostrożęcki, mój pomocnik, więcej, moja prawa ręka.

– Tylko lewa, panie ordynacie – odrzekł wesoło rządca. Panie skinęły głowami z uśmiechem.

– A gdzie są panowie praktykanci? – zapytał Waldemar.

– Zostawiłem ich bliżej rezydencji. Ze mną są dwaj ekonomowie z Brzozowa i Romnów.

– A samowiązałki nie psują się? Mechanik dobry?

– Znakomity! jak najlepszy Anglik. Trestka podsunął konia bliżej i zapytał:

– Chciałbym się dowiedzieć, skąd pan sprowadził te samowiązałki, bo widzę system amerykański, a firmę warszawską.

– To są krajowe, nasza praca i żelazo. Sprowadziłem montera z fabryki Mac-Cormicka i pod jego dyrekcją firma warszawska zrobiła to samo.

– Ale ten nie wygląda na Amerykanina?

– Rodowity warszawiak, tylko uczeń tamtego. Trestka kręcił głową.

– No i dobrze działają? Nie psują się co kwadrans?

– Bardzo rzadko. A zresztą zagranicznym zdarza się to również. Ludzie obznajmieni, mechanik dobry i robota idzie pomyślnie.

– Nadzwyczajne rzeczy – mruknął zdziwiony Trestka.

– Gdyby tak wszyscy robili za przykładem pana – rzekła Stefcia.

– Toby wszystkie zagraniczne firmy zbankrutowały!

– Bądź pan spokojny – rzekł Waldemar. – Nie jesteśmy tak dalece kulturalni, żeby fabryki amerykańskie bezpośrednio miały się na nas oglądać. Na swe maszyny Ameryka i Anglia mają dosyć własnych konsumentów, nie licząc obcokrajowców.

– Ja bym nie ufał maszynom u nas wyrabianym.

– Toteż je pan z daleka omija – rzekła panna Rita.

– A ja ufam – mówił Waldemar – patrz pan, co im brak? Działają dobrze, wyglądają tak samo jak zagraniczne, bo system jest ich, a że praca naszych rąk i materiał krajowy, to chyba ujmy im nie przynosi.

Wkrótce towarzystwo pożegnało rządcę i zawróciło do Słodkowic. Waldemar rzekł do Stefci:

– Widziała pani jeden narożnik głębowicki, ale czy pani nie zmęczona? Bo jak na pierwszy spacer, to trochę za daleko.

– Co znowu! nie jestem filigranowa, mogłabym dotrzeć do samych Głębowicz.

– Nie, tam pojedziemy brekiem.

Minęli szereg żniwiarek i zbliżali się do barwnego sznura żniwiarzy z sierpami. Panował wśród nich gorączkowy ruch. Waldemar przeczuł, co to znaczy, bo się uśmiechnął.

W tej chwili parobcy i kobiety podbiegli, trzymając w rękach poskręcane w olbrzymi wieniec kłosy i składając w miejscowym języku krzykliwe życzenia, otoczyli kołem jadących. Waldemar dał im kilka sztuk złota. Nastąpiło wielkie całowanie rąk i butów ordynata, który ze śmiechem bronił się od napaści. Stefcię rozrzewniła ta scena. Chociaż moneta stała się ważnym powodem do rozczuleń, jednak w serdecznym garnięciu się prostych ludzi do ordynata przebijało jeszcze coś innego. Był on ich panem i ulubieńcem. To rzucało się wszędzie w oczy, począwszy od rządcy; wyższa administracja i cała służba zwracała się do niego z wyjątkowymi oznakami uwielbienia, wychodzącymi poza granice zwykłego szacunku należnego pracodawcy. Bali się go wprawdzie, ale i czcili prawdziwie.

Panna Szeliżanka myślała to samo i rzekła do Waldemara:

– Pan wśród swych majątków i ludzi robi na mnie wrażenie udzielnego księcia. Aż serce rośnie, gdy się patrzy na porządki i dyscyplinę niemal wojskową. I jak to wszystko jest ujęte w ramy miłości dla pana. To właśnie najbardziej zastanawia. Nasi ludzie rzadko kochają, gdy się ich trzyma w rękach, a kiedy im wszystko wolno, przestają szanować. U pana inaczej. Jest dyscyplina, wielki posłuch, szacunek i miłość ludu. To fenomenalne! Niech mi pan powie, czym się to dzieje?

– Bardzo proste – odparł Waldemar – wymagam wiele od ludzi i trzymam ich nawet trochę feudalnie, ale dbam o wszystkie ich potrzeby. Dobrze jedzą, dobrze mieszkają, nie tyranizuję ich i jestem sprawiedliwy. Oto cała umiejętność. Nie gnębię ich sądami, tylko sam wymierzam kary, naturalnie nie cielesne.

Roześmiał się.

– Przy tym lud tutejszy jest dobry – dodał.

– Nie wszędzie. To także przywilej pańskich dóbr – odrzekła Rita.

– Widocznie wszyscy Michorowscy trzymali się tego systemu.

– Ale nie wszyscy byli tak lubiani jak pan. Pan Maciej nigdy nie cieszył się taką popularnością ani też pański ojciec.

– Mamę wspominają zawsze, nazywając aniołem.

– Bo córka ciotki Podhoreckiej nie mogła być inną. Zna pan stosunek włościan w Obronnem do cioci, na rękach ją noszą. Ale to co innego: ciocia jest kobietą i nie zajmuje się zarządem ani gospodarstwem, o ludzi natomiast również bardzo dba. U pana ten stosunek idealny bardziej zastanawia.

Trestka zrzucił nerwowo binokle, co znaczyło, że chce mówić.

– Słuchamy! – zawołali wszyscy ze śmiechem.

Trestka popatrzał osowiałym wzrokiem i rzekł machnąwszy ręką:

– Ja tam jestem zawsze na złej stopie z chłopstwem i ani myślę się starać o zmianę stosunku. Mam dbać o ich chałupy i żołądki, kiedy oni mi wypasają łąki i zboża.

– Niech pan ureguluje serwituty.

– Nie mam czasu. Zresztą przyzwyczaiłem się już do procesów. Nie ciążą mi.

– Jest się czym chwalić – wzruszyła ramionami panna Rita. – Nie ma pan czasu! A cóż pan robi, ciekawam?...

– Staram się o panią – rzekł zapytany z szorstką otwartością. Waldemar i Stefcia wybuchnęli śmiechem.

– Czyli wynika z tego, że pani jest bezpośrednią przyczyną ciągłych procesów pana Trestki – powiedział ordynat.

– Na które jednak pan Trestka znajduje czas – wtrąciła złośliwa Rita.

– Myli się pani! Wszelkie procesy prowadzi mój administrator. Ja w Ożarach tym się nie zajmuję.

– Tylko czym?

– Oborą i młynem parowym. Panna Rita zaśmiała się.

– A prawda! Przypominam sobie opowiadanie, naszego stangreta. Kiedyś niechcący usłyszałam w stajni, że dziedzic ożarowski cały dzień siedzi w młynie i bicze kręci. Musi ich pan mieć ogromny zapas.

Trestka nic nie odpowiedział.

Wjechali na pola słodkowickie, gdzie znowu szeregi żniwiarek i żniwiarzy pod dozorem rządcy Klecza pustoszyły łany złotej pszenicy.

Zapadał z wolna wieczór.

## XVII.

Czerwony brek z szosy wytoczył się na boczną drogę, wysadzaną po bokach topolami. Kara czwórka rwała tęgiego kłusa, migały w słońcu brązy uprzęży, dzwoniły bogate rzędy, konie parskały wyrzucając łbami. Ranek był orzeźwiający, pełen świeżych powiewów i nasiąkły rosą po nocnym deszczu.

Tu i ówdzie na drodze błyszczały małe lusterka wody. Wysokie przydrożne topole i łany zbóż wykąpane zbierały na liście i kłosy mnóstwo złotych promieni. Kurz leżał, przybity wilgocią, w powietrzu nie unosił się najmniejszy pyłek. Cały świat wyglądał jak niepokalanie czysty namiot z błękitnych iluzji, białych muślinów, złotych nici i brylantowych ozdób. Ptaki,

zwilżając gardła rosą, zbieraną z liści, śpiewały rozgłośnie. Skrzyp koników polnych dźwięczał ostro, lecz wesoło.

Wszędzie powietrze, powietrze... powietrze! Bezmiar – nieskończoność!

Błękit, kryształ bezpylny, rosisty, działał i na dusze ludzkie. W breku nie było cieniów i nieprzyjaznych pyłków, tylko ożywcza rosa wesela, przeźroczystych uśmiechów.

Śpiewały ptaki, konie parskały, ludzie śmiali się i bawili. Brek połyskiwał w słońcu czerwienią, jaśniały suknie pań, twarze zaróżowił zdrowy rumieniec poranku.

Kara czwórka pędziła, jakby konie miały skrzydła. Brek chwiał się i huśtał na resorach.

– Panie Waldemarze, pan nas dziś wyrzuci, zanim dojedziemy do Głębowicz – zawołała hrabianka Paula Ćwilecka, siedząca po prawej stronie breku między hrabią Trestką i młodym Wilhelmem Szeligą, bratem panny Rity. Spod ogromnego kapelusza spojrzała zalotnie na swych sąsiadów, potem na siedzącego naprzeciw barona Weyhera i szczebiotała znowu:

– Który z panów pragnie zastąpić ordynata w powożeniu, niech podniesie dłoń do góry.

– Proszę się nie fatygować, bo ja się zastąpić nie dam – zawołał z kozła Waldemar.

– My pana zrzucimy.

– Ciekawym, jak?

– Po prostu zejdzie pan na naszą prośbę.

– Nie, ja nie jestem taki grzeczny.

– Wszystko to przez pannę Ritę. Pan Waldemar pysznie jedzie, tylko pani tam niepotrzebna – wołał Trestka.

Oparł się o poręcz kozła, pochylił głowę, jakby chcąc zajrzeć w twarz Ricie. Ale spiorunowała go wzrokiem.

– Siedź pan cicho, kiedy panu dobrze. A nie, to marsz na koniec breku.

– Chyba siądę na kolanach pana Wilhelma...

– Pomieścicie się państwo. Zresztą Wiluś przejdzie na pańskie miejsce.

– Protestuję! Mnie tu dobrze – odparł student wznosząc oczy na siedzącą naprzeciw Stefcię.

– A co? widzi pani? Panu Wilusiowi tam dobrze, a mnie tu dobrze. Tylko brak pani na vis-a-vis.

– Bardzo ładnie! – oburzyła się Lucia. – To znaczy, że ja nie jestem vis-a-vis.

– Jest pani, mais oui! Tylko pannie Ricie nie do twarzy na koźle.

– Ale jeszcze mniej na vis-a-vis pana! – odcięła się młoda panna.

– Ja państwa pogodzę – wtrąciła się Paula. – Niech pan Trestka odbierze lejce z rąk ordynata i będziecie wprawdzie nie vis-a-vis, lecz â côte...

– Na pewno niezadługo leżelibyśmy w rowie – zaśmiała się Rita.

– Voilà! c’est le mot! W rowie – wtrącił baron Weyher – z uśmiechem na wąskich ustach.

Trestka rzucił mu złe spojrzenie.

– Najlepiej niech pan baron powozi w asystencji panny Pauli – odciął się zirytowany.

– Raczej ja w asystencji barona. Omylił się pan.

Trestka machnął ręką, jakby mówiąc: „Mało mię to obchodzi”.

– No więc dobrze? – spytał głośno.

– Ja nie chcę. Tam na koźle pewnie błoto bryzga. Nie lubię być blisko koni – rzekła hrabianka.

– Ja również nie powożę. Tego sportu nie uprawiam – wysylabizował baron. – Ale może moja sąsiadka i pan Wilhelm?...

Stefcia pokręciła głową.

– Niepotrzebnie o tym rozprawiamy, bo pan ordynat dowiezie nas do miejsca i jak sam mówi, nie da się zastąpić.

– Dziękuję pani za poparcie – zawołał Waldemar.

– Zresztą my będziemy śpiewali – rzekł Wiluś.

– Doprawdy? – spytała hrabianka Paula mrużąc oczki.

– To dopiero projekt – wtrąciła Stefcia.

– Ale niebawem w czyn się zmieni. Więc co pani woli?

– Ich liebe dich czy Du liebst mich? – ozwał się Trestka.

– Najpewniej: Wir lieben uns – dodała, śmiejąc się, Paula.

– My będziemy śpiewali po polsku – rzekła Stefcia.

– Coś, co przypomina Heidelberg albo Sacre-Coeur? – wycedził baron.

– Dlaczego Sacre-Coeur?

– No więc może jaki inny klasztor.

– Ale dlaczego?

Trestka podniósł głowę do góry i poprawiając binokle rzekł krzykliwie:

– To dziwne! Ja nie uważam, żeby panna Stefania trąciła zakonnicą.

– Za to on trąci bonifratrami! – mruknął Waldemar. Rita parsknęła śmiechem.

– Qu’est-ce que c’est que „trąci”? – zapytał baron.

– C’est le mot dur, monsieur – odrzekła Stefcia z ładnym uśmiechem.

– Ah, oui!

Do barona zwrócił się młody Szeliga:

– Dlaczego pan myślał, że panna Stefania wychowana w klasztorze?

– Bo jest jakaś inna. Est-ce que je sais? Nie umiem tego określić. Może nieprzeciętna? Mon Dieu! zawsze nie tak.

– Ja panu pomogę. Jest kryształowa, biała jak śniegi tatrzańskie. Ale to nie klasztor urobił ją taką, to natura.

– Co?

– Tak, natura!

Student zakreślił szeroki krąg i z błyszczącymi oczyma zawołał:

– Ta natura złota, błękitna, otaczała ją od kolebki i stworzyła na podobieństwo swoje. Nie zaćmił jej miejski kurz, nie zbrukał brud moralny. Oddychała kryształem i stała się nim. Wchłonęła w siebie błękit i złoto...

– Jednak „Journal des Modes” musiała przeglądać, bo się wcale ładnie ubiera – przerwał Trestka.

Zaśmiano się.

– Mam wrażenie, że siedzę na cenzurowanym – rzekła Stefcia. Hrabianka Paula skrzywiła się.

– Fi! cenzurowane... To już niemodne.

Baron pokiwał głową i gładząc bokobrody spojrzał uważnie na studenta.

– Pan to ładnie powiedział... o tym krysztale. Oui, c’est très beau! Superlatyw nie bardzo wyszukany, ale poetyczny i wdzięczny. Superbe!...

– Pamięta pan ukwiecone stepy? – szepnęła Rita do Waldemara.

– Stepy?... A tak! – odrzekł zamyślony.

– Określenie Wilusia podobne do pańskich stepów. Nieprawdaż?... Nie słyszał pan, co mówił Wiluś?

– Słyszałem.

Patrzał na szerokie łany pszenicy, lśniącej atłasem, rosistej, bujnej, i myślał:

– To ona!

Patrzał na lazury nieba bez chmurki, na srebrną toń powietrza i myślał:

– To ona! Tak czysta, taka biała, złota, kryształowa... Dowcipny smarkacz! Ale czego on się nią tak zachwyca? Bo to określenie...

Obejrzał się.

– Rozmawiają z sobą...

Wtem konie szarpnęły gwałtownie. Ordynat ściągnął lejce, aż kopytami wryły się w ziemię, i strzelił z bata z niesłychaną irytacją.

Na breku powstał krzyk.

– Konie ponoszą! – krzyczała hrabianka.

– Waldy, co robisz – wtórowała Lucia.

Panna Rita patrzała na Waldemara spod rzęs i stopniowo twarz jej traciła kolory, usta zaciskały się bólem.

– Niech pan stanie – szepnęła – ja przesiądę się.

– Nie stanę, bo rozhukałem konie. Proszę się nie ruszać.

Rozkazujący ton jego głosu podziałał na nią dziwnie. Doznała nieokreślonego wrażenia. Usta jej zadrgały, na bladą twarz wystąpiło kilka różowych plamek, zdawała się wahać nad czymś, wreszcie spytała swobodnie:

– Nie chce pan, żebym się przesiadła, dlatego że konie rozbiegane, lecz gdyby nie to?...

– Nie śmiałbym się sprzeciwiać.

– Och! rozumiem!...

Zacięła usta i gorączkowo potrząsała batem, wyrwanym z rąk Waldemara.

– Co pani robi? – zdziwił się.

– Chcę, aby nas konie ponosiły.

– Jeśli ja nie zechcę, to to nie nastąpi.

– Taki pan pewny?

– Najpewniejszy!

– Ach, Boże! gdybym mogła...

– Wybić mię tym batem. Co?...

– Coś na kształt tego.

– Każdy dbałym jest o własne bezpieczeństwo, ja również, więc... może pani przesiadać. Ściągnął lejce. Czwórka stanęła w miejscu, przy czym konie, nagle zatrzymane, poślizgnęły się nieco na tylnych nogach.

– Może pani przesiadać – powtórzył z uśmiechem. Panna Rita popatrzała mu prosto w oczy.

– Wie pan, że pan jest...

– Nieznośny! Wiem o tym.

– Arogant!

– Spełniłem życzenie pani.

– Och!

Trestka zerwał się z ławki.

– Dlaczego stanęliśmy? A! nareszcie namyśliła się pani!... Któraż z pań teraz na koziołek?

– Będziemy ciągnęły węzełki – rzekła Rita.

– Doskonale!

Waldemar skrzywił usta.

Panna Rita rzuciła mu szeptem przez ramię:

– Dostanie pan Lucię. Ja w tym.

Panna Rita wiązała węzełek na chusteczce, po czym wysunęła stuloną dłoń, z której wyglądały trzy jednakowe białe rożki, jak listki rozkwitłe, i obracając się do towarzystwa, rzekła:

– Proszę, niech panie ciągną.

– Fi! to taki brzydki zwyczaj – grymasiła hrabianka.

– Bardzo dobry.

Panna Rita rożek z ukrytym węzełkiem skierowała najbliżej Luci, pragnąc, aby dziewczynce się dostał.

– Proszę ciągnąć.

Hrabianka chwyciła za rożek środkowy, Lucia za ostatni, Stefcia wzięła pierwszy z brzegu.

Rita przygryzła usta i roztworzyła dłoń.

– Panna Stefania! – zawołali wszyscy.

Wilhelm Szeliga był zły. Stefcia poczerwieniała.

Waldemar rzucił tryumfujące spojrzenie na Ritę i zaczął z nadzwyczajną uprzejmością pomagać jej do przejścia na brek. Nastąpiło zamieszanie.

Rita kłóciła się z Trestką, a Stefcia, stojąc na schodkach, żartowała z Wilhelma, który ją zapewniał, że ciągnienie węzełków to barbarzyński zabytek.

– Proszę panią! – zawołał na nią Waldemar.

Stefcia zręcznie przeszła pomiędzy siedzącymi, jak smukły narcyz w swej białej muślinowej sukni, świeżej i szumiącej. Głowę strojną w bujne fale ciemnozłotych włosów, zwiniętych w ciężki węzeł na tyle głowy, osłaniał

duży ogrodowy kapelusz, przybrany puchem muślinu i pękiem delikatnej seledynowej trawy. Zaróżowiona, roześmiana, z błyszczącymi oczyma, dziewczyna była śliczna w swym pomieszaniu, z jakim prześlizgiwała się przez środek breku.

Waldemar podał jej rękę, ścisnął mocno, a drugą wziął ją powyżej łokcia.

– No... hop!...

Wskoczyła na ławkę, niesiona prawie przez niego, przeszła barierkę i ze śmiechem usiadła obok ordynata. On zawołał na konie, brek potoczył się raźno naprzód.

– Rasowa! – rzekł z cicha baron Weyher.

– Jak pan mówi? – podchwycił student.

– Rasowa! Pan pewnie powie: „natura”?

– Tak, ale wy się na tym nie rozumiecie.

Stefcia doznała jakby uderzenia w serce. Bliskość Waldemara działała na nią potężnie. On był widocznie poruszony. Krew węgierska, której miał w sobie trochę, zagrała w nim, nozdrza zaczęły latać, oczy zabłysły ogniem. Milczeli oboje. On myślał:

– Co się ze mną dzieje? Mniejszego doznawałem wrażenia w dżungli, gdym czatował na lwy. Co ta dziewczyna ma w sobie?...

Paula spod koronki kapelusza spoglądała na Stefcię z niechęcią. W duszy jej nurtowało.

Nie kochała się w Michorowskim, ale rachowała na niego. Drażniło ją, że on jej nie hołdował, lecz podobała mu się ta „cudza” dziewczyna. Hrabiankę gniewał Wilhelm Szeliga za to, że porównał Stefcię do kryształu, i baron, że nazwał ją rasową, a przedtem powiedział, że jest inna. Pewnie że inna, bo z innej sfery...

– Za wiele wzbudza zainteresowania ta nauczycielka – myślała panna Ćwilecka. – A jaka swobodna! jakbyśmy dla niej byli równi. Jest rozzuchwalona! Lucia uważa ją jak siostrę. Albo Rita! Traktuje jak koleżankę. Pan Maciej spieszcza jej imię na Stenię, ordynat robi jej honory. Wszystko to nie ma sensu, będzie o sobie myślała Bóg wie co!...

Gniewne rozmyślania hrabianki przerwała Lucia wołaniem:

– Powozy nas doganiają! Wszyscy się obejrzeli.

W pewnej odległości za brekiem sunęły dwie czwórki prawie w jednym rzędzie; ponad głowami koni widniały sztywne postacie stangretów i baldachimy parasolek.

– Nie rozumiem, jakim sposobem mogli nas dogonić. Przecie wcześniej wyjechaliśmy – rzekł Trestka.

– Widać karosze pana ordynata zmarniały – wtrąciła ironicznie panna Rita. Waldemar odwrócił się rozbawiony.

– Raczy pani przypomnieć sobie, żeśmy stali na drodze dobry kwadrans, zawdzięczając jej przesiadaniu.

– Czy panu źle?

– Mnie? Bajecznie!

– Krzywda się panu dzieje?

– Cóż znowu! ale niech pani nie krzywdzi karych.

Pojazdy zrównały się. Pierwsze lando mieściło w sobie księżnę Podhorecką, pana Macieja i księcia Franciszka z żoną. W drugim powozie jechała pani Elzonowska i hrabiostwo Ćwileccy ze starszą hrabianką Michaliną. Waldemar zatrzymał konie, stanęli i stangreci.

– Cóż państwo tak wolno jadą? – wołał książę Podhorecki.

– Nie spodziewaliśmy się was dogonić – dodał pan Maciej.

Waldemar zgarnął lejce w jedną rękę, drugą z batem oparł na poręczy kozła za plecami Stefci i wychylony przed nią, zawołał wesoło:

– Mieliśmy na drodze katastrofę.

– Katastrofę? Jaką?

– Zbuntowała nam się panna Rita.

Był rozbawiony, szare oczy śmiały mu się, usta płonęły, spod nastrzępionych wąsów błyskały zęby. Zgrabnie przegięty, pełen szykownej a niedbałej elegancji, miał w sobie coś junackiego. Pyszny w swej postaci magnata, pociągał oczy wszystkich.

Przy nim Stefcia, biała i różowa, wiotka i dziwnie wdzięczna, również pełna uśmiechów, wyglądała bardzo ładnie. Razem tworzyli parę niesłychaną. Obie księżne przyglądały im się ciekawie, z drugiego powozu pani Elzonowska przez swe typowe szpareczki i hrabina przez lornetkę. Hrabinę dotknęło, że Stefcia siedzi obok ordynata.

Po odezwaniu się Waldemara panna Rita stanęła w breku i machając rękawiczką, zaczęła wołać:

– Niech państwo nie wierzą. Ordynat jest dziś anormalny, plecie jak w malignie.

– Jak to? Czy nie zrobiła mi pani awantury?...

Rita zaczęła się tłumaczyć, a wtem wycedziła hrabina Ćwilecka:

– Kiedyż nareszcie dojedziemy do Głębowicz? Szalony kawał.

– Chwytam wiorsty rozpaczliwie i pozostało nam już tylko pięć – odrzekł Waldemar.

– A! to dobrze!

– Więc nie traćmy czasu. Do widzenia!

– Za pół godziny.

– O ile nie będzie nowego strajku panny Rity – żartował ordynat.

– Panie, bo się zemszczę!

– Byle nie w tej chwili.

Brek ruszył naprzód, powozy jechały wolniej. Młoda księżna mówiła do męża po cichu:

– Uważałeś, jaka to ładna para: Waldy i panna Stefania? Une très belle fille.

– Widziałem, że są rozpromienieni.

– O czym mówicie? – spytała starsza księżna.

– O młodej parze na koźle breku.

– A tak! Waldy jest jak odrodzony.

– A ona kwitnie – dodał pan Maciej.

– Dopełniają się wzajemnie.

Inna rozmowa toczyła się w powozie. Hrabina rzekła z gniewem do pani Idalii:

– Wiesz? To jest natręctwo tej dziewczyny.

– Co? – spytała pani Idalia.

– No, to... to... pakowanie się na kozioł obok ordynata.

– Słyszałaś, co mówiła Rita? Ciągnęli węzełki.

– Już tylko ty jej nie broń. Jest arogantka! Dziwię się, że pozwalasz na jej wybryki.

– Nie widzę żadnych. C'est une noble fille, Lucia ją bardzo kocha.

Pani Idalia była dziś w wyjątkowo dobrym humorze. Spostrzegła to hrabina i już niż nic więcej nie powiedziała, zaczęła tylko sapać z irytacji.

W breku tymczasem wrzało.

Rozmawiali wszyscy, hrabianka Paula z baronem, panna Rita z Trestką, Lucia i Wiluś śpiewali krakowiaki, zanosząc się od śmiechu. Na koźle Waldemar mówił do Stefci:

– Widzi pani te dwa białe słupy po bokach drogi? To są graniczne. Już jesteśmy na gruntach głębowickich. Nigdy może nie czułem tyle szczęścia z posiadania tych obszarów ziemskich, jak w tej chwili, i to z powodu pani.

– Z mego powodu? Jakim sposobem? – spytała Stefcia zdziwiona. Waldemar uśmiechnął się.

– A choćby dlatego, że te ukwiecone własne łany mogę pani pokazać, że panią wiozę do siebie. Czy to samo nie może już dać pewnej dozy zadowolenia?

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Takie niepodobne do pana to, co pan powiedział – rzekła poważnie. Popatrzał na nią ciekawie.

– A do kogo? – zapytał.

– Choćby do pana Szeligi, bo ja wiem zresztą.

– Niech mi to pani wytłumaczy.

– Po co, kiedy pan sam doskonale to rozumie.

– Przyznam się pani, że niezupełnie.

– Niepodobne to do pana, bo jest zbyt szablonowe.

– O!...

– Zresztą pan był nieszczery, mówiąc tak...

– Jak mi Bóg miły, skandal! Dlaczego miałem być nieszczery? Wilusiowi wolno porównywać panią do kryształów, błękitów, złota, a ja nie mogę wypowiedzieć tego, co czuję? Dlaczego Wiluś może?...

– Bo to Wiluś! – zaśmiała się ubawiona Stefcia z łagodnym grymasem ust.

– A ja jestem Waldy...

– A pan jest ordynat Waldemar Michorowski. Żachnął się zły.

– Ordynat głębowicki, właściciel Słodkowic, Grabonowa, Biało-Czerkas i czegoś tam jeszcze z przyległościami, niech pani doda dla okrągłości –

przedrzeźniał ją zirytowany.

– A tak, ordynat, magnat, wielki pan, arystokrata – powtórzyła wesoło Stefcia. Waldemar wzruszył ramionami. Po czym zaczął mówić wolno, nie patrząc na Stefcię:

– Jak mię pani drażni! Ale zrozumiałem i powiem pani coś. Uwierzy pani, dobrze, nie - to trudno, ja będę szczery. Wszystkie tytuły i godności, jakimi mię pani obdarzyła, posiadam. Lecz ponieważ obracają się one w dusznej atmosferze, więc często uczuwam brak powietrza. Zawsze wolałem szerokie pola i rwałem się do nich, druzgocąc oszklenia sterowe, którymi barykadują nas od dziecka. Jesteśmy egzotyczni, kochamy się w kameliach, stroimy w tuberozy, nie przypuszczając, że na naszych łanach rosną bardzo piękne bławatki. Wiemy, że one istnieją, lecz są od nas tak oddalone przesądem, że nasze magnacko-arystokratyczne nogi nie zadają sobie trudu w odszukaniu ich, po prostu nie interesują nas. Czasem los zdarzy, że taki bławatek przypadkiem zabłąka się w naszych cieplarniach, i wówczas doznajemy różnych wrażeń: zdziwienia, ciekawości, coś na nas wionie swojskiego, obudzi się w naszej krwi ojczysta kropla, diabelnie przytłoczona cudzoziemszczyzną. Poczujemy się dziećmi swego kraju i ten, co zawsze czuł pociąg do szerokich pól, teraz poczuje pragnienie. Ojczyste pola staną mu się drogimi.

Umilkł na chwilę i mówił znowu:

– Pani jest właśnie dla mnie takim bławatkiem. Pani wśród nas jest niejako typową przedstawicielką rodzinnego kraju. Bo my, jakkolwiek możemy mieć równą i słuszną pretensję do owego przedstawicielstwa, jednak jesteśmy zbyt skosmopolityzowani, by odpowiadać wielkości zadania. Pani jest symbolem naszych złotych niw. Wiluś miał słuszność, porównywając panią do natury, on zauważył to również prędko, jak ja. Na mnie pani od pierwszej chwili zrobiła wrażenie kwiatu zrodzonego na bujnych polach. Jednocześnie jest pani niezaprzeczenie mimozą.

Podniósł głowę i spojrzał na Stefcię.

– Wypowiedziałem otwarcie, co myślę o pani. I powtarzam, że czuję się szczęśliwym z posiadania obszarów ziemnych w naszej ojczyźnie, szczęśliwym nie z powodu, że ziemia ta jest zapładniaczką mej kieszeni, lecz dlatego, że czuję się jej synem, że jest mi droga. Kochałem ją od dziecka i dbałem o nią, lecz uczucie to dopiero teraz spotężniało, dzięki pani. Jestem pani za to nieskończenie wdzięczny.

Podał jej dłoń serdecznie i uścisnął. Była chwila, że chciał jej rękę podnieść do ust, lecz powstrzymał się. Na twarzy Stefci odbiło się wzruszenie, usta jej drżały. Podniosła oczy na niego i spotkała jego szare źrenice, błyszczące ogniem, pełne szlachetnej a wspaniałej dumy i dziwnie miękkie w spojrzeniu, jakim ją ogarniał.

– Czy i teraz pani powie, że jestem nieszczery? – spytał cicho.

– O nie! teraz mówi pan inaczej, ziemia pańska może być dumną z takiego syna. Jest pan prawdziwym Michorowskim – odrzekła z żywością.

Zaśmiał się trochę ironicznie.

– Proszę nie chwalić mnie jeszcze, bo może na to nie zasłużyłem. Przecie w moją miłość dla kraju nie wierzą. Nazbyt długo byliśmy de Michorowscy, bym ja się stał od razu Michorowskim, bez obcych dodatków. Któż mi zaufa, że przekonania, jakie we mnie żyją, są istotnie już wkorzenione w mej duszy, a nie pełzają po niej z pobudek mniej społecznych, a prędzej osobistych?

– Niech pan nie psuje wrażenia analizą, to najgorszy system – przerwała Stefcia. – Wystarczy, że pan to przekonanie posiada, że odczuwa je w całej pełni. To już jest bardzo wiele, jak na pana de Michorowskiego.

Zaśmiali się oboje.

– Ma pani słuszność, nie przedstawiajmy się gorszymi, niż jesteśmy, cieszmy się chwilą jak obecna.

Nachylił do niej głowę i spytał z uśmiechem:

– Czy i pani się cieszy?

Stefcia wesoło błysnęła oczyma.

– Cieszę się – odparła.

– I dobrze pani tu na koziołku?

– Znakomicie!

– Czyli że po Wilusiu nie jestem starym nudziarzem. Co?

– Cóż znowu!

– Magnatem, wielkim panem, arystokratą – mówił z wesołą przekorą.

– Tymi pan pozostanie zawsze.

– Dobrze, dobrze! nie chcę być tylko teraz. W tej chwili jestem Michorowskim, wielbię bławatki i jeden z nich bardzo cacy wiozę do swych łanów. To mię uszczęśliwia. Czemu się pani zasępiła? – spytał nagle, patrząc na nią uważnie.

– Ja?... Bynajmniej – odparła obojętnie.

– Pani jest jak roślina-czułek, stula listki za byle dotknięciem. Wiem, co pani pomyślała:

że jestem magnatem, który dla fantazji zrzuca z siebie magnacką purpurę i ubiera się w bławatek. A że panią tak nazwałem, więc to się nie podobało. Czy tak?

– Jeśli nawet jestem bławatkiem, to w każdym razie nie takim, w jaki można się ubrać.

– Zwłaszcza magnatowi-arystokracie. Prawda?

– Nikomu!

Spojrzał na nią przeciągle.

– Mimoza! – szepnął w duchu, a głośno zawołał: – Skandal! Zaczynamy schodzić z relsów, panno Stefanio. Nastąpi wykolejenie, a Głębowicze już widać. Odłóżmy kłótnię na inny raz. Zgoda?

– O ile pan znowu z relsów nie zejdzie...

– Dobrze! obiecuję to pani. Chcę, abyśmy w Głębowiczach byli w zgodzie, chcę panią widzieć wesołą, tak jak obecnie. Ja jestem szalenie wesół i szczęśliwy.

– Czy dlatego, że dojeżdżamy do Głębowicz? – spytała figlarnie.

– Tak, i że za chwilę będę jadł śniadanie – odrzekł z pasją.

Stefcia parsknęła śmiechem. Waldemar zaśmiał się również i palnął z bata.

– Ech! jestem na panią taki zły – zawołał puszczając konie w cwał. Brek potoczył się ze zdwojoną szybkością.

– Panie! cóż to znowu? Pan nas roztrzęsie! – wołała panna Rita.

– Au nom de Dieu! wypadniemy – krzyczała hrabianka chwytając za ramiona Trestkę i Wilhelma.

Waldemar stanął. Jedną ręką powoził, drugą z batem wparł się pod bok i potrząsając lejcami, wołał na konie:

– Pędźcie, muzy, pędźcie!...

Konie rwały z kopyta, aż grudki żwiru sypały się gradem spod kół.

– Panie Waldemarze, czy pan zwariował? – krzyczała, szarpiąc go za rękaw, panna Szeliżanka.

– Być może.

Stefcia, Lucia i Wilhelm zanosili się od śmiechu, patrząc na wystraszone miny hrabianki, barona i nieszczęśliwego Trestki, któremu w dodatku spadły binokle z nosa. Szukał ich do- koła siebie klnąc różnymi językami. Nareszcie znalazł i zawołał z niesłychanym zacięciem:

– Psiakrew, są!

– Przecie przemówił po polsku – zaśmiał się Waldemar. To wzbudziło ogólną wesołość.

Dojeżdżali do kamiennego mostu nad bystrą rzeką. Poza nią wśród mnóstwa drzew, na górze, widniały potężne mury zamku, najeżone basztami i wieżyczkami. Na głównej baszcie w stylu staroświeckim powiewała chorągiew z herbem Michorowskich. Olbrzymie drzewa parku, otaczające zwartą masą zamek, ciągnęły się wzdłuż rzeki. Brek zahuczał na moście jak bęben, głucho zastukały kopyta i konie z kamiennej grobli wpadły w mroczną świerkową aleję. Na końcu wznosiła się wielka murowana brama, wyłożona kamiennymi płytami, z żelazną kratą, z herbem na szczycie, szeroko rozwarta. Przed bramą był drugi most kamienny, który zwisał nad fosą, biegnącą wzdłuż wału i muru okalającego park. Głęboki kanał napełniała świeża woda, przeprowadzona z rzeki. Miało to wygląd forteczny, ale malowniczy, bo drzewa parku i mur z żelazną sztachetką na wierzchu cudownie odbijały w wodzie. Na moście stały słupy z matowymi balonami lamp elektrycznych. Takie wysokie żelazne słupy strużowały obok bramy i koło budki odźwiernego, która była właściwie piękną grotą z płyt kamiennych, tonącą w zwojach bluszczu.

Gdy brek wtoczył się w aleję świerkową, Waldemar usiadł i powstrzymał konie. Jechali wolno. Wszyscy umilkli. Powaga i majestat wiały od ciemnych, strzelistych świerków, stojących podwójnym rzędem jak stróże odwiecznego zamku ordynacji.

Odczuwało się tu wielkość i potęgę – coś, co zmuszało do pochylenia głowy. Wszyscy doznali podobnego wrażenia. Tylko Waldemar miał

wzniesioną głowę. On witał stróżujące świerki jak swych poddanych.

A one szumiały poważnie i chyliły czuby w powitalnym ukłonie, widząc w nim pana i dziedzica starożytnej siedziby.

Baron Weyher ciekawie patrzał dokoła. Nie widział jeszcze zamku, ale zaimponowała mu już aleja.

Hrabia Trestka spoglądał na wierzchołki świerków, podtrzymując ręką kapelusz.

– Tytany!... tytany! – mówił szeptem – nigdy nie mogę się im napatrzeć.

Panna Rita i hrabianka siedziały zamyślone, może usiłując odgadnąć, kiedy tu wjedzie ordynat w poszóstnej karecie, mając obok siebie młodą żonę, kto będzie tą wybraną. A myśląc tak, może obie w najgłębszej komórce duszy siebie widziały w tej roli.

Waldemar jechał poważny. Czuł, że jego własność imponuje wszystkim. Doznawał różnych uczuć: dumy i pewnej melancholii.

Mówił sobie w duchu:

– Co mi z tego?

I nagle uczuł tęsknotę... Pierwszy raz pomyślał, że w tym przepychu, w tej wspaniałej rezydencji jest sam, zupełnie sam. Uśmiechnął się.

– No, przynajmniej nie w tej chwili. Spojrzał nieznacznie na Stefcię.

Siedziała cicha, jakby przytłoczona majestatem olbrzymich świerków, rzucających na nią cienie.

Trochę przybladła. Ogarniał ją chłód, nurtował w niej nieokreślony niepokój.

– Co ja tu robię?... Ja... obok tego magnata... Zabłąkałam się... bławatek w cieplarni – szeptało w jej duszy.

Jak Waldemarowi przed chwilą, tak i jej przyszło na myśl, że w tym przepychu, w tej wspaniałej magnackiej rezydencji jest sama, zupełnie sama.

Wzdrygnęła się.

Waldemar spostrzegł to i pochylony do niej, patrzał na nią długo, uważnie.

– Jaka wrażliwa – rzekł ze wzruszeniem.

Uśmiechnęła się: zrozumiał ją. Zrobiło jej to przyjemność. On szepnął:

– Bławatek!

Podniosła na niego zdziwione oczy.

– Czy odgadłem?

– Tak.

Wjechali na most. Panna Rita i hrabianka zawołały razem:

– Ach, jak tu pięknie!

– Niezrównany jest widok tej fosy i mostu.

– A brama i domek strażniczy! I stare to, i piękne.

– Niedługo nazwą panie stary cylinder ordynata niezrównanym – zżymnął się Trestka. Hrabianka parsknęła śmiechem, Rita wzruszyła ramionami.

Brek minął wyniosły krzyż w ogrodzeniu ze skalnych odłamów i bramę. Kopyta koni zatętniały na kamiennych płytach. Odźwierny salutował przyjeżdżających.

Wjechali na dużą przestrzeń wyżwirowaną i gładką jak plac mustry. Na środku stała smukła kolumna kamienna ze stopniami w kwadrat. Na niej płaskorzeźba, przedstawiająca popiersie przodka Michorowskich, założyciela zamku z XV wieku. Medalion otaczały oznaki wojskowe rzeźbione w kamieniu, napisy i daty. Obok pomnika słupy z elektrycznymi lampami. Plac równoległy z podłużnym gmachem zamku okalały z dwóch stron potężne drzewa parkowe, idące w nieskończoną głąb. Z prawej strony wysuwała się olbrzymia okrągła baszta ze strzelnicami i galerią, dalej wieża kaplicy. Przy wjeździe pod sklepioną bramą czworoboku zamkowego stały po dwu stronach krótkie armaty, moździerze, zabytki odległych lat. Przypominało to zamek obronny, jakim był w istocie przed wiekami.

– Co za gmach! – mówił baron Weyher. – Ależ pan mógłby się nie obawiać napadów tatarskich.

– Niejeden taki napad odparł ten zamek w czasach wojen z pogaństwem – odrzekł ordynat w zamyśleniu – ale wówczas inaczej wyglądał. Miał zwodzone mosty, na tym placu stały cekhauzy wojskowe, mustrowały się chorągwie husarskie i pancerne; tu odbywały się turnieje, a w czasie oblężenia żołnierze biwakowali.

Stefcia pod wrażeniem potężnych murów i ich tradycji czuła się dziwnie małą. Bujna wyobraźnia przedstawiała jej przeszłość jak na jawie. Widziała rycerstwo, walczące o pierścień na turniejach, i wojewodzianki Michorowskie w kontusikach i wieńcach na głowie, z długimi kosami, rozdające nagrody zwycięzcom. Widziała hetmanów, sprawujących skrzydlate chorągwie, i wymarsz wojsk na obronę ojczyzny. Słyszała dźwięk kopii husarskich, szum skrzydeł i buńczuków i nabożną pieśń żołnierską:

Bogurodzica-dziewica,
Bogiem sławiona Maryja!
Twego Syna gospodzina
Matko zwolena Maryja,
Zyszczy nam, spuści nam!

Stefcia przymknęła oczy pod wpływem wizji z przeszłości. Ocucił ją turkot kół na kamiennej posadzce. Akustyka sklepionych murów bramy potęgowała grzmot jadącego breku.

Konie szły stępa. Cała czwórka, pochylając głowy i wygięte szyje, uderzała z góry kopytami, jakby drażniąc się i lubując stukiem o tafle kamienne.

Stefcia na widok wewnętrznego dziedzińca wydała okrzyk zdumienia. Waldemar zatoczył ręką koło i wskazując jej środkowy gmach zamku z tarasem, dywanem kwiatów i srebrnym pióropuszem wodotrysku, rzekł serdecznie zniżonym głosem:

– Jestem szczęśliwy, że przywiozłem panią, symbol pól i łąk, do tego gniazda, nie sfery i przesądów, nie do egzotycznego trephauzu, lecz pod ojczystą strzechę Michorowskich, gdzie bławatek będzie się czuł swobodnym

i wesołym.

Tyle brzmiało poczciwych nut w jego głosie, tak serdecznie płynęły jego słowa, że Stefcia spojrzała mu w oczy z wdzięcznością

– Pan jest bardzo dobry – szepnęła.

– Chciałbym nim być – odrzekł równie cicho.

Jechali obok klombów dywanowych i piramidalnych krzewów. Wionęło na nich zapachem róż i charakterystyczną wonią wykwintnych roślin i kwiatów cieplarnianych.

Wyniosłe mury zamku, wspaniała gra kolorów otoczenia, słoneczne blaski, rozsiewane hojnie dokoła, składały się na całość imponującą.

Wszyscy się rozweselili. Z szumem i gwarnie brek podjechał pod marmurowe filary ganku. Kilku służących w czarnej liberii z pąsowym zbiegło ze schodów. Kamerdyner wysoki, postawny, z siwymi bokobrodami na wygolonej twarzy, w liberii od innych wspanialszej, schodził powoli, jakby czując swą godność starego sługi, który obecnego ordynata widział jeszcze w kolebce.

# XVIII.

Głębowicze, odwieczna siedziba Michorowskich, mogła zajmować pierwszorzędne miejsce wśród najwspanialszych rezydencji kraju. Staroświecka powaga i przepych, cechy jej główne, uwydatniały magnacką potęgę. Lecz trochę ciężki styl feudalny łagodziły nowożytne freski komfortu, z wielkim smakiem i umiejętnością wplecione w stare ramy zamierzchłych czasów.

Wyglądało to jak delikatny haft na ciężkiej brokateli i tworzyło całość wspaniałą.

Gmach zamkowy był potężny. Środkowy korpus ogromny, poprzerzynany szeregami wysokich okien, kilkopiętrowy, stanowił silne oparcie dla bocznych skrzydeł, ozdobionych wieżyczkami, i wysokiej okrągłej baszty, na której powiewała chorągiew Michorowskich. Na wieży umieszczono obserwatorium meteorologiczne. Dwie boczne odnogi zamku, niezbyt długie, zamykała niby klamrą trzecia poprzeczna, którą nazywano „nad arkadami” z powodu wysokich sklepień w bramie. Tu na parterze znajdowała się starożytna sala sejmikowa, a na pierwszym piętrze – zbrojownia.

Wewnętrzny dziedziniec otaczały krużganki proste i narożne, zdobne w murowane filary i poręcze. Wielki gazon kwiatowy okrążał nisko strzyżony żywopłot. Tam, wśród karłowatych piramidalnych krzewów, rozrzuconych pojedynczo na trawniku, wśród kwiatowego dywanu, stał wodotrysk z zielonego marmuru z basenem napełnionym wodą i mitologiczną grupą na skale. Grupa przedstawiała Neptuna i Nimfę owiniętą wężem. Z paszczy węża i ze skały, w którą Neptun uderzał trójzębem, wytryskiwały długie sznury wody, spadające do basenu rozwianą kaskadą. Na prawym narożniku

zamkowego korpusu wznosił się taras nieduży, sięgający pierwszego piętra, z żelazną poręczą, oplecioną różami. Cały ten ogród wiszący ozdabiały drzewa cyprysów, kulistych pomarańcz, cedrów i mirtów. Portyk, wsparty na ośmiu kamiennych filarach, miał na szczycie herb Michorowskich. Schody i posadzka z jasnych kamiennych płyt. Nad drzwiami widniał napis z wypukłych liter: „Gość w dom, Bóg w dom". Gmach zamkowy od strony rzeki otaczały pyszne tarasy na sklepionych arkadach kamiennych i marmurowych, sięgające drugiego piętra. Głębowicze słynęły ze swych tarasów i gustownych urządzeń. Parter zamkowy zdobiła długa weranda z białego marmuru, opleciona bluszczem, z alabastrowymi posągami bogów greckich. W jednym załomie murów świecił rżniętymi szybami ścian wyniosły półokrągły ogród zimowy.

Z tarasów roztaczały się piękne widoki parku i angielskich ogrodów; więc: słynna dolina róż, groty układane ze skał, jedna z czerwonej gliny, druga biała, w kształcie świątyni greckiej; biały pawilon letni, mieszczący w sobie akwarium, plac tenisowy z ładną altaną, gdzie podczas gry stawiano chłodniki; wreszcie wspaniałe wiadukty zielone do spacerów i grupy drzew egzotycznych na pluszowych trawnikach, i wijące się wstęgi ulic.

Mnóstwo kwiatów, posągów, altanek, tuneli zielonych. Sadzawki w kępach irysów z bielą łabędzi, fontanny, marmurowe ławki i mostki. Na górce usypanej umyślnie stał wysoki, biały marmurowy słup z rzeźbioną figurą Matki Boskiej Łaskawej, otoczony cyprysami. Stok góry zamkowej do rzeki wykładały niezmiernie szerokie, białe marmurowe schody, zakończone dość wąską platformą, tworzącą przystań. Tu na brzegach wznosiły się potężne dwie syreny, również z marmuru. Schody i łodzie na rzece obok przystani były jednym z piękniejszych widoków parku. Wszędzie stały gęsto słupy elektryczne.

Wspaniałość książęca i niewysłowiony czar porywały wzrok, pobudzały zmysły.

Czuło się tu miliony i silną, kochającą rękę, która kierowała wszystkim, nie żałując wkładu na utrzymanie starej siedziby pradziadów.

Waldemar kochał Głębowicze, czuł do nich przywiązanie synowskie, a typowy poważny ton, panujący tu wszechwładnie pomimo nowoczesnych dodatków, był jego chlubą.

Zamek, park, zwierzyniec utrzymywał tak samo wzorowo, jak i budynki gospodarskie. Stajnie głębowickie Waldemar wprost pieścił, czyniąc z nich istne pałace.

Ale do ozdób zamku i parku nie dodawał już nic nowego, siły swe i zdolności kierując na działalność pożyteczniejszą. Prócz stajni do jego namiętności należała jeszcze zbrojownia i zwierzyniec.

Charakterystycznym był w zamku pokój sypialny ordynata, odróżniający się od ogólnego przepychu spartańską prostotą. Niezbyt duży, zawierał sprzęty konieczne i wyłącznie dębowe. Nie miał firanek, dywanów ani rzeczy ozdobnych. Łóżko dębowe okrywała wielka skóra białego niedźwiedzia,

upolowanego przez ordynata w podróży na Północ. Nad łóżkiem wisiała ulubiona broń w kilku odmianach, a naprzeciw duży portret matki, Elżbiety Januszowej, w ciężkich bogatych ramach, w głowach zaś łóżka – pamiątkowy krucyfiks żelazny z XVI wieku. Ten magnat i milioner osobiście posiadał skromne wymagania.

Pan Maciej, chodząc po Głębowiczach, cieszył się, z uśmiechem przypominał sobie, jak wszyscy z powątpiewaniem patrzyli na ulepszenia wprowadzane przez młodego ordynata, krytykowali go, nie wierząc, aby taki magnat i hulaka mógł coś dobrego sprawić. Wiedzieli, że skończył Hallę, lecz niektórzy nawet w to nie bardzo wierzyli, dopiero po dłuższym czasie, widząc jego energię i świetne wyniki, zrozumieli, że ten hulaka potrafi być dzielnym obywatelem kraju i sumiennym pracownikiem.

Na przepych i znakomite urządzenia głębowickie gościa spoglądali z podziwem, ale różnym: pan Maciej i księżna Podhorecka z dumą, Trestka z zazdrością, książę Podhorecki z żalem.

– Miałem i ja kiedyś wiele, teraz mam tylko długi – myślał.

Baron Weyher na równi ze Stefcią pierwszy raz zwiedzał Głębowicze, chodził więc trochę odurzony, mrucząc pod wąsem:

– Drugi Wersal! drugi Wersal!

Hrabina Ćwilecka i panna Paula rozmarzyły się, z panią Idalią przebiegały cieplarnie, głosząc zachwyty nad każdym kwiatkiem. Pannę Ritę trudno było wyciągnąć ze stajni: mówiła, że choć raz chce się uraczyć końmi głębowickimi.

Tylko hrabia Ćwilecki z panną Michaliną spacerowali sennie po parku bez marzeń i zachwytów. Stefci towarzyszył Wilhelm Szeliga. Lucia biegała sama, widocznie czymś podniecona.

Waldemar dla wszystkich gości miał czas, przyjmował ich po królewsku, dając zupełną swobodę.

Nikt nie czuł się tu skrępowanym, każdy szedł, dokąd chciał, rozmawiał, z kim chciał, i zabawa szła wybornie. Ale z Lucią Stefcia miała kłopot. Nie mogła jej zatrzymać przy sobie, widziała w dziewczynce jakieś wzburzenie.

Przepych Głębowicz działał na Lucię dziwnie, jakkolwiek znała go już dawniej i od dziecka przywykła do zbytku. Słodkowce posiadały również wspaniałe urządzenie, jednak inne. Mniej tam było stylu, mniej powagi i wielkości magnackiej, jaka tu wyzierała z każdego zakątka.

Na Lucię to robiło wrażenie. Dziewczynka, rozgorączkowana, podbiegła do Stefci i biorąc jej rękę, rzekła z naciskiem:

– Mam pani coś powiedzieć, ale tylko pani.

Wilhelm Szeliga, trochę zły, odszedł na stronę. Lucia podprowadziła Stefcię na koniec alei do wielkiego wodotrysku, skąd szeroki widok padał na zamek z tarasami, na trawniki, dywany, posągi i widną z daleka oszkloną pomarańczarnię. Tam Lucia stanęła, zakreśliła ręką w powietrzu wielkie koło i rzekła uroczyście:

– Wspaniałe! Prawda?

Stefcia trochę zdziwiona, spojrzała na nią.

– Wspaniałe? – powtórzyła dziewczynka.

– Bardzo! – odparła Stefcia, czując się sama pod wpływem majestatu płynącego z zamku. Lucia z rumieńcami na twarzy mocno ścisnęła rękę Stefci i zaczęła mówić przyciszonym głosem:

– Widzi pani, może i ja kiedyś będę miała taki zamek, takie salony, park i tarasy. Będę miała przepych, wspaniałą rezydencję, bogactwa i tytuły. Takie życie przeznaczone dla mnie, takie, a nie inne!

– Dlaczego to mówisz, Luciu? – spytała Stefcia, niemile tknięta wybuchem dziewczynki.

– Ja pani powiem! Oto przyszło mi na myśl, że tylko w naszej sferze mogę mieć to wszystko, ten cały przepych. A ja go tak lubię! Gdybym wyszła za Edmunda, nie miałabym setnej części tego, prawda? Jakiś tam skromny dworek o kilku pokojach, otoczony jaśminem, z nasturcją na klombach. Nie posiadałabym salonów ani sali portretowej... Bo cóż Prątniccy? Czy oni mogli mieć jakich przodków? Jak to dobrze, żem się urodziła w naszej sferze...

– O zapewne! – odrzekła Stefcia z goryczą. – Toteż Opatrzność czuwała nad nim i nad tobą.

– Nad nim?... chyba tylko nade mną? Dla niego byłoby łaską Opatrzności, gdyby się ze mną ożenił.

– Moja Luciu, nie sądź wszystkich miarą swych pieniędzy i sfery.

– Jak to?... więc ja nie byłabym dla niego świetną partią?

– Byłabyś bez wątpienia, ale właśnie ta świetna partia stałaby się jego nieszczęściem, gniotłaby go, dusiła. Ty, wychowana w zbytkach, nie chciałabyś samego dobrobytu, on nie miałby za co otoczyć cię przepychem, używałby na to twych pieniędzy, co miłym nie jest; zresztą i one nie wystarczyłyby na zaspokojenie twych wymagań.

– Ależ moja sfera, parantela – czy to nic nie znaczy, nie wystarcza?

– Nie wiem, mnie by to nie wystarczyło! Ale to zależy od osobistych poglądów. Może Prątnicki byłby zadowolony...

– Na pewno więcej ode mnie!

– A gdybyś go prawdziwie kochała?

– To nic nie znaczy. Ja miałabym tylko miłość, on wszystko. On zawsze wygrałby, ja bym przegrała.

Stefcia zawołała z żalem:

– Ach, Luciu! przypomnij sobie, coś mówiła przed miesiącem: że jedynym twym pragnieniem zostać żoną Edmunda. Wiem, że to było dzieciństwo, że on niewart prawdziwego uczucia, bo sam go nie posiada, ale jakże różne są twe zapatrywania w tak krótkim czasie. A gdyby on miał wszelkie zalety, zasługiwał na szacunek i miłość twoją, czy i wówczas on by wygrywał? Powiedz!

– Pani mię nie rozumie. Ja mówię o partii i o sferze.

– Więc osobista wartość człowieka nic nie znaczy, tylko pieniądze i sfera?... O moja Luciu! tak jeszcze jesteś młoda, a już masz spaczone pojęcia.

– To nie są spaczone, tylko nasze – odrzekła Lucia z dąsem.

– Winszuję! jeśli już teraz tak myślisz, co będzie potem?

– Nigdy więcej nie popełnię takiego głupstwa, żeby się zakochać w człowieku nie z naszej sfery.

– O tak, powinnaś tego sobie raz na zawsze zabronić, bo takie głupstwa często źle się kończą.

Tyle smutku i żalu brzmiało w głosie Stefci, że Lucia spojrzała na nią badawczo. Nagle zarzuciła jej ręce na szyję i zawołała przymilnie:

– Niech się pani tylko nie gniewa, moja dobra panno Steniu! – Ja się na ciebie, Luciu, nie gniewam, ale mi przykro.

– Za pana Edmunda?...

– Nie za Edmunda, tylko że ty jesteś przesiąknięta podobnymi zasadami.

– To Głębowicze tak na mnie wpłynęły. Szczęśliwy Waldy!...

Z głębi alei dało się słyszeć wołanie.

– Mama mnie woła. Biegnę! – krzyknęła dziewczynka i pędem wpadła w mroczną głąb. Stefcia poszła w stronę zamku. Całe towarzystwo znajdowało się w parku, ale ona chciała pozostać samą. Idąc pomiędzy krzewami róż wchłaniała śliczny zapach, z rozkoszą zatapiając głowę w masie aksamitnych kwiatów. Czuła się upojoną barwami i wonią. Rozdrażnienie po rozmowie z Lucia zastąpiła teraz ociężałość prawie senna. Gmach zamkowy przytłaczał ją; ogromne mury, wieżyce i baszta z rozwianą chorągwią robiły na niej wrażenie ciężaru, który ją gniótł. Doznała niemal fizycznej potrzeby stracenia z oczy wyniosłych ścian. Postanowiła wejść do środka, przekonana, że nie zastanie tam nikogo.

Szybko przebiegła tarasy, werandę i zaraz w pierwszym salonie spotkała starego kamerdynera. Powitał ją ukłonem. Stefcia spytała go, którędy iść do gościnnych pokoi.

Stary sługa wskazał ręką rząd salonów i rzekł z uszanowaniem:

– Na lewym skrzydle, drugie piętro. Może hrabianka każe się zaprowadzić? Spojrzała na niego z szeroko otwartymi oczyma.

– Co znaczy ten tytuł? Bierze mnie widać za kogo innego. Kamerdyner stał w pozie wyczekującej.

– Mylicie się, Andrzeju, ja nie jestem hrabianką – rzekła z wesołym uśmiechem.

Teraz stary sługa otworzył szeroko oczy, ale natychmiast zapanowawszy nad zdziwieniem, rzekł z nowym ukłonem:

– Przepraszam jaśnie panią.

Stefcia lekko wzruszyła ramionami i poszła w głąb zamku, myśląc:

– Zanadto są tu przyzwyczajeni do tytułów.

Mijała salony, wspaniałe gabinety. Przeszła zieloną salę bilardową, białą salę balową ze sklepieniami, zdobną w malowidła i rzeźby w stylu Odrodzenia, następnie okrągłą karmazynową salę posłuchalną, aż znalazła się w ogromnej sieni zamkowej. Stąd biegło w różne strony kilka korytarzy i wiodły szerokie schody z białego marmuru, zakończone na wysokości

pierwszego piętra galerią, wspartą na filarach. Schody wyścielał karmazynowy dywan, ale główną ich ozdobą była żelazna, rzeźbiona balustrada, osłaniająca również i galerię. Wyniosłe ściany sieni, wyłożone płytami z szarego granitu, miały sufit sklepiony, wysokości trzeciego piętra. Równolegle z drugim piętrem otaczał sień dokoła wąski balkon żelazny z poręczą w kształcie ukośnej kraty. Wychodziło nań kilkoro drzwi z wewnętrznych pokoi. Pośrodku sieni naprzeciw klatki schodowej stała okrągła grupa drzew egzotycznych. Wśród nich basen z białego marmuru z tryskającą wysoko fontanną.

Kuliste drzewa cieplarniane zdobiły schody i galerię, elektryczne lampy mieściły się u szczytu sklepień. Posadzka z tafli kamiennych tworzyła bardzo piękne wzory.

Stefcia zatrzymała się długo w tej sieni, podziwiając jej piękność. Zainteresował ją wielki zegar z kurantem, w kształcie wysokiej a wąskiej szafki, ozdobiony popiersiem brązowym króla Zygmunta Augusta. Jako antyk wiekowy nadawał otoczeniu ton staroświecki.

Na piętrze rozpoczął się nowy szereg salonów. Stefcia wśród tych bogactw straciła zupełnie kierunek. Nie mogła odgadnąć, czy jest w głównym korpusie zamkowym, czy na którym skrzydle. Idąc spoglądała na makaty, kobierce i gobeliny. Migały jej przed oczyma bogate ramy obrazów, wielkie żyrandole z brązu, malachitu lub całe z weneckiego kryształu, zwieszające się ze wspaniałych sufitów płaskich i sklepionych, zdobnych w malowidła i rzeźby. Postać jej odbijała się w ogromnych zwierciadłach lub całych ścianach lustrzanych, w których szeregi sal przybierały rozmiary nieskończone.

Stawała często przed jakimś obrazem, posągiem albo grupą roślin, szczególnie cudownych palm wachlarzowych, i przebiegając szkliste posadzki, miękkie dywany, szła coraz dalej w głąb zamku. W końcu zaczął ją ogarniać lęk. Zbłądziła, ale jak wyjść z tego labiryntu, nie miała pojęcia. Nareszcie weszła do sali bardzo długiej, ze sklepionym sufitem, zdobnej w płaskorzeźby i posadzkę dębową. Szeregi okien, ocienionych głębokimi niszami, niewiele dawały światła, tak że sala była mroczna i dziwnie surowa w tonie. Pod ścianami i na środku stały sofy kryte złotogłowiem. Staroświecki kominek przykrywała bogata wschodnia opona. Jakaś powaga zdawała się chodzić po tej olbrzymiej sali. Stefcia spojrzała w górę i dreszcz ją przeniknął. Ze wszystkich ścian spoglądało na nią mnóstwo wyrazistych oczu: sala była zawieszona portretami. Przodkowie Michorowskich naturalnej wielkości stali tu oprawni w mahoniowe ramy, okute brązem. Patrzały na Stefcię poważne twarze dawnych wojewodów, hetmanów i senatorów. Przybrani byli w złote ryngrafy, w aksamitne delie, złotogłów, w sobole i gronostaje lub zakuci całkowicie w srebrne blachy. Innych zdobiły fraki, peruki z koronkowymi żabotami lub świetne mundury wojskowe. Wszyscy mieli typowe, trochę wydatne usta, wyraziste rysy i oczy szare, przenikliwe, z wyrazem zuchwalstwa, energii i odrobiną szyderstwa. Mrok panujący w sali nadawał martwym postaciom pozory życia. Skąpe światło dochodzące z zewnątrz

pełzało po karmazynach i bogatych futrach szat, po woskowych rękach i twarzach. Stefcia miała wrażenie, że postaci te poruszają się, że martwe szare oczy spoglądają na nią zdziwione, a usta mówią:

– Czego chcesz? Skąd się wzięłaś?... Wstrząsnęła się.

Już drugi raz doznała podobnego wrażenia, drugi raz portrety Michorowskich przerażały ją wymową martwych oczu.

Zabłąkała się w tej sali i jest sama pod pręgierzem tylu spojrzeń. Chciała wyjść, odwróciła głowę w stronę drzwi i nagle wzrok jej padł na wielki portret w pełnym oświetleniu, przedstawiający wyniosłą postać kobiecą. W ciężkiej aksamitnej sukni, ozdobionej brabanckimi koronkami, w perłach, stała młoda jeszcze kobieta, z głową spuszczoną na piersi i smutkiem w czarnych oczach. Bujne czarne włosy ocieniały ładny owal twarzy, wąskie usta wyrażały ból, nie dający się ukryć nawet na portrecie. Strój i uczesanie znamionowało niedawną epokę. Stefcię zaciekawiła ta postać. Podeszła bliżej, chciała koniecznie wiedzieć, kogo portret przedstawia.

Na ciemnym tle obrazu, z boku, widniał wyraźnie malowany herb z mitrą książęcą, pod nim napis: Gabriela z książąt de Bourbon Maciejowa Michorowska, ordynatowa głębowicka. Potem następowała data urodzenia i śmierci.

Więc to jest babka Waldemara, żona pana Macieja? księżniczka Bourbon? Ale dlaczego tak bezmiernie smutna? Nawet na portrecie widać, że to nieszczęśliwa kobieta. Stefcia podeszła bliżej, wpatrzona w postać babki Waldemara. I dwie te kobiety – jedna malowana, w aksamitach, druga żywa, w białym muślinie – patrzyły sobie w oczy, jakby się rozumiejąc.

Głębokie czarne źrenice Michorowskiej ogarniały dziewczynę żałosnym spojrzeniem, jakieś westchnienia szły od niej i beznadziejność, i pełna goryczy melancholia. Oczy te zdawały się mówić: „Zmęczyło mię życie, nie zaznałam szczęścia ani odrobiny, tylko wiele bólu i zgryzoty... Nic nie pomogły bogactwa, nic tytuły, nic dostojeństwa... byłam kobietą nieszczęśliwą”.

Stefcia czytała w jej smutnej twarzy skargę. Dlaczego ta kobieta cierpiała?... czego brakło w jej życiu?... jaka chmura złożyła w jej oczy tyle posępnych cieni?...

I w tej sali, pełnej uwiecznionych w portretach postaci, przedstawiała typ najbardziej zbolały.

Stygmat cichego dramatu piętnował jej czoło, perły, rozsypane na jej piersiach, świeciły jak łzy spadłe z bezbrzeżnie smutnych oczu. Wszystkie postacie kobiece na portretach miały uśmiechnięte twarze, klejnoty i kwiaty w dłoniach. Barwne stroje polskie, kontusiki mieszały się tu z obcisłymi sukniami z początku XIX stulecia lub z balonami krynolin. Głowy, jedne w staroświeckich kornetach, w perukach, inne zdobne w koki i pukle, w klejnotach, piórach i kwiatach. Ona jedna odbijała nawet strojem: jej ciemna aksamitna suknia, ciężkie koronki i sznury pereł miały ton poważny, pełen majestatu. Ani kwiatka przy niej, nic tchnącego wesołością i życiem. Białą

arystokratyczną rękę, ozdobioną kilkoma pierścieniami, opierała o poręcz fotelu, druga zwisła na sukni ruchem apatycznym.

Stefcia spojrzała po sali, lęk coraz większy a niepojęty wypełzał z mrocznych kątów i sunął do niej groźny, nieubłagany. Oczy portretów biczowały ją ostrym wzrokiem. Miała wrażenie, że ją wypędzają z sali, że gniewają się na nią za wtargnięcie do przybytku ich pośmiertnej chwały, że mówią do niej:

– Ruszaj stąd, dziewczyno. Tu miejsce nie dla ciebie, to nie twój świat. Idź, bo cię zgnieciemy wielkością!...

Stefcia zadrżała. Działo się z nią coś niezwykłego... Jakieś nie wypowiedziane słowa falowały na jej ustach, nie dokończone myśli, tętna zupełnie nowe napełniały jej mózg i serce. Uczuć podobnych nie znała dotąd: była to fala obca, ale silna, dopominająca się o zrozumienie. Czuła, że błądzi w jakiejś abstrakcji, jeszcze przysłoniętej mgłą, ale już powodującej niewytłumaczalny lęk. Szczupła twarz Stefci zbladła, fiołkowe oczy świeciły mocno podniecone wrażeniem i wewnętrzną gorączką. Spojrzała raz jeszcze na martwe twarze i podnosząc ręce do głowy, szepnęła:

– Idę, wyjdę stąd... nie wrócę... nie!

Utkwiła pałające źrenice w zbolałej twarzy babki Waldemara i szepnęła znowu:

– Idę, pani... idę...

Ale oczy Michorowskiej spoglądały na nią łagodnie. Smutne, pełne żalu i goryczy, zdawały się mówić:

– Biedne dziecko... spiesz... żal mi cię, polny kwiatku... ale... uciekaj do swoich!

– Boże! Boże! – jęknęła dziewczyna, uniesiona wizją.

Każdy nerw dygotał w niej, wrodzona wrażliwość znalazła silną podnietę. Pochłonięta halucynacją zmysłów, wpatrzona w portret, nie słyszała kroków w sąsiednim salonie.

Nagle w obsłonach ciemnej kotary stanęła przed nią wytworna postać Waldemara. W ręku niósł pęk żółtych, herbacianych róż.

– Ach! – krzyknęła Stefcia, cofając się w tył.

Widok jego w tej sali, przy tym portrecie, sprawił na niej silne wrażenie.

– Co pani?... co pani? – zawołał przybyły, porywając jej ręce w swe gorące dłonie. Róże rzucił na sofę i pochylony patrzał na Stefcię badawczo.

– Przestraszyłem panią?... Panno Stefanio, czemu pani taka zmieniona? Co się stało?... Dziewczyna odzyskała swobodę. Przy nim nie czuła obawy. Wysuwając ręce z jego dłoni, rzekła:

– Będzie się pan ze mnie śmiał, ale istotnie przestraszyło mnie nagłe ukazanie się pana.

– Wzięła mię pani za jakiegoś pradziadka, wyskakującego ze ściany, czy tak?

– Pradziadka?... Nie!...

– A ja pani szukałem po całym zamku. Andrzej wprowadził mnie na ślad.

– Ja zbłądziłam, zaszłam do tej sali zupełnie wypadkowo.

– I rozmawiała pani z mymi przodkami? Spojrzała na niego zdziwiona.

– Pan jest jasnowidzący!

– Więc odgadłem?

– Po części. Ja tylko odpowiadałam, oni mówili do mnie.

– Co mówili?

– Nakazywali mi wyjść stąd – rzekła z przymuszonym uśmiechem.

– Panno Stefanio!...

Ten wykrzyk zdziwił Stefcię. Brzmiało w nim pytanie i żal. Prędko powtórzyła:

– Gniewali się na mnie za wtargnięcie do ich przybytku. Tylko ta pani miała dla mnie lepsze spojrzenie.

Wskazała na portret. Waldemar odwrócił głowę, popatrzał i rzekł poważnie:

– To moja babka, Maciejowa Michorowska, bardzo dobra i bardzo nieszczęśliwa kobieta... może właśnie dlatego nieszczęśliwa, że dobra.

– Dlaczego? - spytała Stefcia.

– Och! to smutna historia. Nie chciałbym pani zasmucać.

– Proszę, niech mi pan opowie jej dzieje – szepnęła z prośbą.

Waldemar przepalał ją wzrokiem. Postąpił parę kroków i biorąc róże z sofy rzekł stłumionym głosem:

– Rwałem je myśląc o pani i niosłem dla niej... Mój ulubiony kolor... Proszę.

Podał jej rozkwitły, woniejący pęk, ogarniając postać dziewczyny gorącym spojrzeniem.

– Czy pani lubi smutne historie? – dodał prędko, chcąc przywrócić jej swobodę, bo spostrzegł, że biorąc kwiaty, zmieszała się;

– O tak! lubię... Dziękuję panu za róże. Śliczne!

– Więc opowiem pani historię babki, ale uprzedzam, że smutna, bo babka miała wiele cierpień w życiu.

– Wyjdźmy stąd – rzekła Stefcia – będą nas szukać.

– Wszyscy grają w tenisa i są zadowoleni. Nie widzę racji im przeszkadzać.

– Ale Lucia sama. Może mię potrzebować.

– Co do Luci mogę panią zapewnić, że się dobrze bawi z Wilusiem Szeligą. Pozostaniemy tu.

– Nie, nie! Trzeba iść.

Podbiegła do drzwi. Waldemar zastąpił jej drogę i rzekł energicznie:

– W tej sali panują prawa feudalne! Nie puszczę pani: historię babki trzeba wysłuchać przed jej portretem... Jest pani w tej chwili moją wasalką.

Stefcia komicznym ruchem załamała ręce.

– Suwerenie, zlituj się! uwolnij mię! – zawołała wesoło.

– O nie! żadnej łaski. Jest pani w mej mocy, nikt cię nie wyzwoli, gdy ja nie zechcę. Mam za sobą całe szeregi popleczników.

Wskazał na portrety.

– Ależ oni mnie nie chcą, wypędzają!...

Waldemar pochylił się do niej i rzekł z naciskiem:

– Gdy ja zechcę, oni zechcieć muszą!

Stefcia zaczęła tracić pewność siebie. Postanowiła wyjść koniecznie.

Lecz w tej chwili zaszło coś dziwnego. Oto w parku rozległ się krzyk, głos wpadł do sali i akustyczne ściany powtórzyły go kilkakrotnie. Zdawało się, jakby portrety przemówiły. Na Stefci, rozstrojonej do najwyższego stopnia, głos ten po słowach Waldemara zrobił wrażenie wprost piorunujące. Rzuciła się naprzód z okrzykiem przestrachu.

Waldemar chwycił ją za ręce powyżej łokcia i przysuwając do siebie, szepnął:

– Nie bój się... Przy mnie nic ci nie grozi...

Trzymał ją mocno, spłonioną, z silnie bijącym sercem.

– Nie obawiaj się, jestem przy tobie – powtórzył stłumionym głosem. Oczy jego piekły, pąsowe usta drżały, w skroniach biły tętna.

Chwila ciszy... pierwszego upojenia!...

Niewidzialne dreszcze łączyły ich z sobą, zlewając się w jeden prąd, pełen czaru.

Waldemar nie przerywał go ani poruszeniem, ani słowem. Chciał go wyzyskać do ostatka... rozpłomieniała go bliskość Stefci, rozczulała jej słabość. Czuł, że ją ta chwila męczy, ale

że biedaczka jednocześnie boi się poruszyć, by nie uleciała spłoszona. To go rozrzewniło.

Stefcia była jak nieprzytomna. Pierwszy raz w życiu zadrgał w jej duszy jakiś nowy dźwięk. Doznała obawy przed tym, do którego miała już ufność zupełną. Szarpnęła się i rzekła przerywanym głosem:

– Chodźmy stąd... już chodźmy!

– A moja historia? – spytał.

– Opowie mi ją pan innym razem.

– O nie! drugi raz nieprędko może nastąpić podobna chwila, trzeba z niej korzystać. Podprowadził wahającą się Stefcię do małej kanapki naprzeciw portretu i rzekł z uśmiechem, już spokojny i pewny siebie:

– Niech pani spocznie tu... Ja obok. O tak. A teraz proszę słuchać dziejów babki. Dziewczyna nie znalazła siły sprzeciwiać mu się. Jego stanowczość imponowała jej.

Usiadła na kanapce. W białej sukni z pękiem żółtych róż w ręku tworzyła bardzo ładną plamę na ciemnej materii. Waldemar zaczął mówić dźwięcznym barytonem, chociaż dzisiaj nieco stłumionym w brzmieniu:

– Babka moja była ofiarą nieszczęśliwej miłości... kochała człowieka, z którym nie pozwolono jej połączyć się.

Słuchającą przeszedł leciuchny dreszcz. Podniosła oczy na twarz portretu z wyrazem głębokiego współczucia.

Waldemar mówił dalej:

– Była księżniczką z rodziny starożytnej, noszącej w swym herbie koronę królewską. Miała wielu znakomitych starających się. Odrzuciła wszystkich,

kochając ubogiego chłopca, sekretarza w dobrach jej ojca. Kochali się wzajemnie pierwszą miłością, tak potężną, że mogłaby wszystko zwalczyć. On milczał, przeczuwając, że mu jej nie dadzą. Cierpiał skrycie. Ale ona, młoda, wypieszczona przez ludzi i warunki życia, naginające się zawsze do jej woli, nawet kaprysu, nie chciała milczeć. Wyznała rodzicom miłość do młodego Gwidona, prosząc ich o błogosławieństwo. Spotkał ją zawód. Ojciec, książę de Bourbon, człowiek poglądów bardzo rojalistycznych, przesiąkłych feudalizmem, ambitny i dumny, odtrącił wyznania córki. Młodziutką Gabrielę wywiózł do Paryża, a Gwidona pozbawił posady. Biedny chłopak, kochając gorąco, przy tym również ambitny, nie zniósł tak strasznego ciosu: wkrótce zakończył życie samobójstwem, pożegnawszy się listownie z Gabrielą. Księżniczka, pogrążona w bezgranicznej rozpaczy, chciała wstąpić do klasztoru, ale tyran ojciec nie pozwolił na to. Musiała się bawić, musiała znosić hołdy licznych konkurentów, lecz opierała się stanowczo rozkazom ojca, który zmuszał ją do zamążpójścia. Tak przeszło kilka lat. Tymczasem dziadek mój Maciej przechodził mniej więcej to samo. Będąc ułanem, gdzieś na balu poznał i pokochał młodą osobę, córkę obywatelską. Nosiła ona imię pani.

Waldemar spojrzał w oczy Stefci z jakimś rzewnym uśmiechem. Ona drgnęła i przybladła. Spostrzegł to. Delikatnie ujął jej rękę.

– Co pani jest, panno Stefanio?...

Wysunęła rękę z jego dłoni i zanurzając twarz w różach rzekła:

– Nic... nic... niech pan mówi dalej.

– Teraz następuje okres najsmutniejszy. Muszę tu obwiniać mego dziadka. Kochał swoją Stenię bardzo, ale...

– Stenię? – zawołał Stefcia.

– Tak spieszczał jej imię i na jej pamiątkę panią tak samo nazywa. Pani podobno jest portretem tamtej. Ona była również pierwszej młodości, również wiośniana, tchnąca życiem i promieniejąca urodą. Posiadała świeżość uczuć, głęboką wiarę, miłość do świata i ludzi. Pokochała dziadka z całej duszy. Zaręczyli się, ale nieszczęście, stugłowe fatum, stanęło na ich drodze. Tu właśnie muszę oskarżać dziadka. Nie miał dość stanowczości, aby zwalczyć przesądy i zastarzałe pojęcia swej rodziny. Nie pozwolono mu pojąć za żonę tej, którą kochał, która ze wszech miar zasługiwała na to, która wreszcie była może więcej warta od niejednej protegowanej przez jego sferę i rodzinę. On chciał wprawdzie przełamać zaporę dzielącą go od szczęścia, ale walczył za krótko. Zagrożony wydziedziczeniem, pod groźbą niebłogosławieństwa uległ złej sile, nie mając odwagi stawić jej czoła do końca. Bardzo zacny i prawy, nie posiadał jednak dostatecznej siły woli. Brakło mu hartu, za słaby, zanadto ulegający wpływom miał charakter. Nie potrafił powiedzieć nieodwołalnie: „Ja chcę!” – miłość swą pozostawił w sercu, nie ujawniając jej w czynach. Fanatyzm sterowy spaczył jego najdroższe uczucia, złamał dane słowo, może go nawet chwilowo przekonał; zaręczyny zostały zerwane, życie i serce biednej kobiety stargane na zawsze. Zaraz potem wysłano mego dziadka za

granicę, aby tam zapomniał... Jakie szyderstwo! Jaka ironia!... W Paryżu dziadek poznał Gabrielę de Bourbon i tak prababka moja, zaprzyjaźniona z domem księstwa, ułożyła z ojcem Gabrieli to małżeństwo. Księżniczka, zmęczona życiem, poddała się woli ojca. Dziadek, powodowany już nie wiem czym, zgodził się również. Ślub odbył się w Rzymie, lecz młoda para kroku tego żałowała całe życie. Byli bardzo nieszczęśliwi. Oboje mieli serca wystygłe, gorycz płynęła w ich żyłach. Oboje wyrzucali sobie chwilę zaślubin, dręczyli swe sumienie. Ona kochała do zgonu pamięć człowieka, który z jej powodu zginął, on stale nosił w sercu miłość dla tamtej i żal, że zwichnął jej szczęście. Nie było spokoju ani harmonii. Złośliwe fatum rzuciło na nich ciężką chmurę, wszelkie promyki światła płynącego ze świata rozjaśnić jej nie mogły. Pozostali w cieniu do końca. Ona niedługo żyła. Smutek, ciągła walka, nieskończona wewnętrzna rozterka podkopały wątły organizm. Wkrótce rozwinęła się choroba sercowa i suchoty. Zmarła na Południu w dość młodym wieku. Wówczas dziadek oddał ordynację memu ojcu, sam zamieszkał w Słodkowcach, dokąd w kilkanaście lat potem sprowadził owdowiałą ciotkę Idalię z malutką Lucią.

Waldemar umilkł. Siedział z pochyloną głową i głęboką zmarszczką pomiędzy brwiami. Nagle wyprostował się, przeciągnął dłoń po czole i rzeki z westchnieniem:

– Teraz na innej planecie może znalazła spokój, daremnie szukany na ziemi.

– Czy pan ją pamięta? – spytała głucho Stefcia.

– Była moją chrzestną matką, pamiętam ją trochę. Dużo opowiadała mi o niej babka Podhorecka, która bardzo ją kochała.

Spojrzał uważnie na Stefcię, na jej rozpalone usta, wilgotne oczy, i rzekł dziwnie łagodnym głosem:

– Zmęczyłem panią... prawda? Taka pani widocznie przejęta, nawet wzruszona. Podniosła na niego oczy.

– Żal mi ludzi, którzy się tak strasznie męczą, tak cierpią...

– O tak! żal zawiedzionej nadziei i największego bogactwa na świecie – uczuć.

– Pan to pojmuje? – spytała Stefcia. Zmarszczył brwi.

– A pani wątpi?

– Myślałam, że... w pańskiej sferze nie nazywa się miłości bogactwem... że się jej nie ceni...

– Jednak dziadek Maciej cenił i pojmował miłość i moja babka również.

– I oboje zmarnowali ją – dokończyła Stefcia.

– To znowu co innego. Brakło im sił do zbudowania dla swojej miłości odpowiednich podstaw. Nie umieli ustawić jej na takim piedestale, z którego nikt strącić by jej nie potrafił. Niech pani wierzy jednak, że są wśród nas inni, o! być może gorsi od dziadka pod każdym względem, ale więcej energiczni, nawet uparci. Gdy ci zechcą dopiąć celu, złamią wszystko, pójdą przebojem, ale dopną go. Do takich ja się zaliczam. Mam tysiące wad, lecz posiadam

niezłomną odporność na wszelkie złe siły. Przy tym, jak wszyscy Michorowscy, jestem trochę egoistą, więc szczęścia nie pozwoliłbym sobie wydrzeć za nic i nikomu. Zgnieść by mnie nie zdołali: ja bym zgniótł tych, co by się ważyli stanąć ze mną do podobnej walki. Nie zastraszyłaby mnie groza wydziedziczenia ani przekleństwo. Jestem bezwzględny, dobrze! ale czuję w sobie potrzebę szczęścia innego, niż posiadam, i gdybym do niego dążył, nikt nie śmiałby stawić mi zapory!

Ordynat mówił z pałającymi oczyma, z rozdętymi nozdrzami i zmarszczoną brwią. Jego szare źrenice zdawały się wtórować łowom, biła od nich wielka siła temperamentu, energia i wola, nie znająca dla siebie żadnych granic.

Stefcia z odrzuconą głową i rozchylonymi nieco ustami wpatrywała się z podziwem w jego męskie, wyraziste rysy. Imponował jej. Czuła, że to, co mówi, jest zaledwie cząstką tego, co potrafi. Przeciwności mogą się o niego obijać jak o skałę. Przeszedł ją instynktownie dreszcz, mimo woli odsunęła się lekko.

On ochłonął, popatrzył na nią i ubawiony wyrazem jej twarzy, powiedział z uśmiechem:

– Pani boi się mnie? Czyż jestem taki straszny? Mogę zresztą nim być, ale nie dla pani. Trochę mię pani dotknęła zapytaniem, czy pojmuję głębię uczuć; odpowiem z szorstką otwartością: nie pojmowałem, lecz... zaczynam pojmować!...

Stefcia wstała, zwróciła się do swego towarzysza i rzekła prędko:

– Dziękuję panu za opowiedzenie mi tej smutnej historii. Chodźmy już... Okropnie długo siedzieliśmy... w tej feudalnej sali.

– Podziękowania nie poprzez uściśnienie ręki? – spytał wyciągając dłoń. Żywym ruchem podała mu swoją.

Ujął ją silnie, pochylił się i przycisnął do niej gorące usta. Stefcia zdrętwiała, płomienie uderzyły jej na twarz, w głowie zaszumiało wirem. Pocałunek ten palił ją, czuła na sobie oczy Waldemara.

Prędko wyrwała rękę, podążając w stronę drzwi. Chciała uciec z tej sali i spod jego wzroku.

On wolno poszedł za nią.

## XIX.

Całe towarzystwo zgrupowane było na tarasie. Tenis z powodu braku kostiumów nie bardzo się udawał. Zamyślano o nowej zabawie. Stefcia i Waldemar przyszli w porę: oglądano się za nimi. Żółte róże w ręku Stefci zrobiły wrażenie; patrzano trochę podejrzliwie.

– Gdzieście państwo byli? Panna Stefania wygląda jak corso kwiatowe – rzekł ironicznie Trestka.

Zaczepiona zaśmiała się.

– Ale co? Ładne róże, prawda? A Waldemar powiedział:

– Przypomina mi się bajka o zaczarowanym dworze królewskim:

wyglądacie państwo wszyscy jak pośnięci.

– A pan wkracza pomiędzy nas jak tryumfator na zwycięskim rydwanie – podchwyciła Rita mrużąc oczy.

– Przy którym nie brakuje nawet i branki – dodał Trestka.

– Ach! więc to milczenie jest rodzajem hołdu dla nas?...

– Och nie! tak dalece zachwyceni nie jesteśmy, ja przynajmniej – zaśmiała się nerwowo Rita.

– Widzę, że tenis nie był zabawnym.

– Czy wszyscy państwo już grali? – spytała Stefcia.

– Ja nie grałem. Rozpoczniemy na nowo – rzekł Wiluś Szeliga.

– Ja z wami także – zawołała, podbiegając, Lucia. Waldemar zwrócił się do Stefci:

– Mówiła mi pani kiedyś, że nie uprawia tego sportu.

– Cóż znowu? Panna Stefania gra po mistrzowsku!

– Złapałem więc panią na kłamstwie! A!... ładnie!

– A może pani nie chciała grać wyłącznie z panem? – wtrącił Szeliga.

– Ani jedno, ani drugie – odrzekła Stefcia. – Tenisa nauczyłam się dopiero w Słodkowcach i wówczas, gdy mi go pan proponował, nie umiałabym utrzymać rakiety.

– No, to pani nie może grać jeszcze po mistrzowsku! – zawyrokował krzykliwie Trestka.

– Toteż jest to jedynie zdanie Luci.

Zgodzili się wszyscy jeszcze na jedną partię.

– Pozwoli pani służyć sobie za partnera? – zapytał Waldemar. Stefcia skłoniła głową.

Wiluś Szeliga zmarszczył się. Rita zagryzła usta.

Gracze stanęli po bokach siatki, Stefcia z ordynatem i panna Rita z Wilusiem.

Partia zapowiadała się dobrze z powodu udziału ordynata i panny Rity. Wiluś był wypróbowany w grze, tylko Stefcia niepewna. Trestka drażnił się z nią, dowodząc, że będą ją dopiero uczyli, i zbierał zdania, kto wygra. Powstały zakłady.

Stefcia żartowała z Trestki, bawił ją Wiluś w roli pokrzywdzonego bohatera. Waldemar tłumaczył jej główne zasady gry, twierdząc, że muszą wygrać. Stanęli w wyzywających postawach. Stefcia widząc, że suknia jej zawadza, podpięła ją zręcznie z obu stron i świecąc lakierkami pantofelków podniosła rakietę w górę, wołając:

– Zaczynamy?

– Vogue la galère! – rzuciła panna Rita. – Muszę wygrać! – dodała patrząc bystro na stojącego naprzeciw ordynata.

Waldemar skłonił się z uśmiechem trochę szyderczym.

Wyglądało to, jakby przyjął walkę.

Partia się zaczęła. Rita grała gorączkowo i z irytacją. Gniewał ją spokój Waldemara, który wszystkie jej ciosy odbijał zręcznie, prawie mechanicznie,

z zimną krwią. Rzucane przez nią piłki zdawał się lekceważyć, mimo to nigdy nie chybił, a całą uwagę zwróconą miał na grę Stefci. Czuwał nad każdym jej ruchem. Wiluś, zły, nie ukrywał swego humoru, grał impetycznie. Lecz towarzystwo przyglądało się głównie Stefci. Dziewczyna podniecona, wesoła, grała z życiem. Ruchy miała swobodne, wdzięczne już z natury. Czasem podskakiwała w górę, biegnąc jak strzała do piłki, czasem wydawała przeciągły okrzyk, gdy dobrze trafiła.

Waldemar robił jej uwagi, które ją aż zniecierpliwiły.

– Niech mię pan nie poprawia, ja i sama umiem grać.

– Oto wdzięczność niewieścia za dobre chęci – zaśmiał się ordynat.

– A pewnie. Bo jak wygram, to całą zasługę pan sobie przypisze.

– Pani już wygrała. Teraz na mnie kolej.

– Mój panie! co to za konszachty? – zawołała panna Rita – Ot, ma pan!

Cisnęła piłkę z taką siłą, że ta potoczyła się na brzeg placu. Stefcia krzyknęła, podbiegła pędem i w samą porę odbiła piłkę pod nogi Wilusia.

– Uratowałam pana! – zawołała chwytając prędko powietrze.

– Dziękuję! Pani bajecznie przyczyni się do naszego zwycięstwa – rzekł znacząco. Panna Rita zagryzła wargi i obrzuciła Stefcię niechętnym spojrzeniem.

– Byłam pewna, że pan przegra, ale to jeszcze nie koniec!

– Czekam nowego ataku – rzucił ordynat.

– Ryzykuje pani za wiele – wtrącił Trestka – tam grają kolosalne siły i mają wenę: przeczuwam porażkę na całej linii.

– Niech pan będzie cicho. Qui ne risque iren, n'a rien!

– Mais qui risque trop, aussi n'a rien – odrzekł Trestka zły.

– O czym państwo mówią? – spytał ordynat.

– Niewiniątko!...

– Panie ordynacie, piłka! piłka! – krzyknęła Stefcia.

Waldemar cofnął się, przegiął zgrabnie i z siłą odbił nadlatującą piłkę – wprost na pannę Ritę.

– Wiluś, trzymaj! – krzyknęła ona z kolei.

Ale już było za późno; wygrała Stefcia i Waldemar.

– Brawo, panno Stefanio! Możemy sobie podziękować i powinszować, tryumfujemy! – wołał ordynat.

Trestka popatrzał na Ritę.

– A co, nie mówiłem? To ciekawa gra.

– Nudny pan jest. Mogłam wygrać. To przez Wilusia wszystko.

– Moja droga, ty gapiłaś się, a ja miałem za ciebie grać – odciął się zaperzony student.

– Prawda! tym bardziej że gapiłeś się i ty.

– Voilà c'est le mot – zaśmiał się baron Weyher.

Całe towarzystwo, rozbawione tenisem, poszło w stronę doliny róż, skąd szły upajające zapachy i śliczny widok uderzał oczy. Wejście do doliny zamykała gotycka brama z żelaznej rzeźbionej kraty, opleciona różami. Taka

sama krata, opięta różami, otaczała całą dolinę. Każde przęsło zakończały rzeźbione wazy pełne róż w ten sposób rosnących. W dolinie były altany, tunele, piramidy pnących sztamowych róż, które w festonach spływały powodzią kwiatów. Na trawnikach stały olbrzymie plecione kosze z białego drutu, napełnione różami, całe gaje, zacisza i gąszcze. Wśród nich bielały posągi bóstw mitologicznych, wazony alabastrowe i z marmuru na wysokich słupach. Kaskady róż spływały w marmurowe baseny, wśród tej grzywy kwiatów biły cienkie strumienie wodotrysków. Gdzieniegdzie świeciły białe żelazne ławeczki wyginane w tył i takie same fotele, w jednej kępie róż stały dwa małe foteliki z różowego marmuru, jak bombonierki. Karłowate, niskopienne róże zdobiły obie strony uliczek, tworząc dywany, wiły się w desenie na trawnikach i oplatały posągi. Wszędzie róże i róże, jak wonny, pachnący ocean. Dolina miała urok cudownego snu. Chciało się tarzać w różach.

– Bajeczne! bajeczne! – mówił zdumiony baron Weyher, nie wierząc własnym oczom. Panowie rzucali na panie różami, rozpoczęło się małe corso.

– Do Głębowicz chyba zjeżdża mnóstwo zwiedzających. To Wersal krajowy – rzekł baron Weyher.

– O tak! dość dużo! – odrzekł Waldemar. – Jest nawet stary lokaj spełniający rolę cicerona.

– Czy to się odbywa tylko w nieobecności pana?

– Nie zawsze. Często spotykam osoby zwiedzające w parku, zwierzyńcu lub w fabrykach. Jedynie zamek jest wówczas wyłączony. Zresztą okolica zna go już dobrze. Raz przyjmowałem owocami kilka pań z sąsiedztwa w różanej altanie i naturalnie oprowadziłem je po zamku, gdyż były ciekawe palmiarni.

– Jak to! z sąsiedztwa? Któż to taki? – spytała hrabianka Paula.

– Obywatelki z okolicznych dworów.

– Ach tak!... – skrzywiła usta ironicznie. – Musiały być piękne?

– I wykształcone, i dystyngowane także.

– Och!

Po tym wykrzykniku hrabianka odeszła w inną stronę.

– Co to za głosy dziecinne? – spytała Stefcia, kiedy mijali żelazną kratę, ogradzającą park.

– To z ochronki – odrzekł Waldemar.

Otworzył żelazną furtkę i Stefcia stanęła zdumiona. Na wielkiej przestrzeni ogrodu, na zielonej murawie, pośród klombów kwitnących krzewów bawiło się około dwunastu dzieci, od niemowląt do dwunastu i czternastu lat – dziewczynki w różowych kretonowych sukienkach, chłopcy w granatowych bluzkach. W oddali widniał duży piętrowy budynek, biały z czerwonym dachem, otoczony kwiatami, z tablicą na froncie. Na niej czerniał napis „Ochrona Opieki Świętej Elżbiety”.

Na rozległych trawnikach stały słupy z drabinami do gimnastyki oraz inne podobne przyrządy. Dzieci miały dla siebie ogródki, wózki i małe osiołki; mniejsze bawiły się w piasku. Stefcia i jeszcze kilka osób lubowało się

widokiem tej sielanki, gdy wtem pośród dzieci zapanował ruch i krzyk. Wszystkie biegły do furtki, wyciągając rączki i przepychając się jedno przez drugie.

– Pan oldynat! pan oldynat! pan... pan... Maleństwa przy ziemi wrzeszczały:

– Pan dobji, pan dobji!

Dzieci z hałasem opadły ordynata ze wszystkich stron. Starsze, przywitawszy się, stały na boku, powściągając młodsze.

– Pan dobji! pan oldynat!...

– No! cicho, dzieciaki! – wołał roześmiany Waldemar – nie hałasować, przywitać się z paniami! Cóż tu u was słychać, co?

Zaczęło się powitanie z gośćmi i różne opowieści o wydarzeniach niezwykłych.

– Osiołek lozblikał się Antosiowi i wywlucił wózek! – wołała, śmiejąc się, jakaś dziewczynka.

– Marynia rozdarła sukienkę Zosi i pani ochroniarka kazała jej klęczeć.

– Micio Zielak noś sobie zbil...

– Jak one pana kochają, to jednak coś bajecznego! – mówił Weyher.

– Czy to dzieci służbowe? – spytała Ćwilecka.

– Tak, pani, dzieci służby dworskiej, trochę biedaków ze wsi i bardzo dużo zupełnych sierot, nawet podrzutków. Uczą się tu i bawią do czasu pójścia do szkoły.

Waldemar zwrócił się do dzieci:

– Gdzie jest pani ochroniarka?

– W ochronce. Uczy starsze dzieci.

– A Stefcia Gołąbkówna? Nie widzę jej.

– Ot, biegnie Stefcia! – zawołało kilka głosów.

Jakaś mała figurka toczyła się jak kula. Dziewczynka różowa, z warkoczykiem złotych włosów, dopadła do ordynata i chwytając go za nogi zaczęła się piąć na ręce, wołając przeraźliwie:

– Pan dobli! na lęce, na lęce!

Wszyscy zaczęli się śmiać prócz hrabiny Ćwileckiej i pani Idalii, które wzruszały ramionami.

Waldemar podniósł dziecko do góry, pohuśtał i pocałował w czoło, po czym oddał Stefci.

– To pani imienniczka, a moja faworytka. Liczy zaledwo trzy wiosny życia. W ochronce jest od paru miesięcy. Kochamy się bardzo. No! idź do pani – rzekł do dziewczynki,

Dziecko, trzymając za szyję ordynata, spojrzało nachmurzone, ale zaraz wyciągnęło rączki.

– Ladna pani, pani dobla!

– Chrzci panią moim imieniem – rzekł cicho Waldemar. Stefcia pochwyciła dziewczynkę i ucałowała.

Nadeszły dozorczynie z powitaniem.

Waldemar pokazał gościom wewnętrzny gmach ochrony i przedstawił ochroniarkę, starszą już, inteligentną kobietę, której, za przykładem księżnej, wszyscy podawali ręce.

Zwiedzono jeszcze szkołę i kaplicę obok, po czym całe towarzystwo powróciło do parku. Waldemar zaprojektował przejażdżkę łodzią. Zgodzono się chętnie. Dzień był piękny i do obiadu pozostało jeszcze parę godzin. Poszli w stronę przystani.

Park, oświetlony popołudniowym słońcem wyglądał jak morze zieloności, jasnych drgających plam, pełen cieni, bujnych traw, żółtych żwirowych uliczek, wijących się kręto, i szerszych dróg powozowych. Pełno życia, śmiechu w naturze i pomiędzy ludźmi. Wszyscy szli razem i stanęli na marmurowych płytach przystani. Baron Weyher oglądał schody z ciekawością i kręcił głową.

– Bajeczne! – mówił. – Cała góra ujęta w marmur. A dekoracja!... Coś podobnego widzi się tylko za granicą.

Pan Maciej rozglądał się za czymś i nagle szybko podszedł na brzeg przystani. Stanął przy pąsowej łodzi w kształcie gondoli weneckiej, z nałożonym srebrnym napisem: „Stefania”.

– Odświeżona... zupełnie nowa! – szepnął zdumiony, patrząc na przepyszne adamaszki baldachimu.

Twarz mu drgnęła, poruszył ustami i ze skupieniem patrzył na błyszczący w słońcu srebrny napis. Staruszek ciężko westchnął.

Ale i wszyscy dojrzeli wspaniałą łódź. Panna Rita rzekła do Trestki:

– Widział pan kiedy tę gondolę?

– Tak, w starej szacie... teraz odnowiona...

– Hm!...

Hrabianka Paula zaszczebiotała szeptem:

– Czy to imię tej... comment donc! w której się kochał pan Maciej?

– Tak, na jej cześć zbudowana, ale to już dawno.

– Ordynat odnowił ją. Dobry pomysł – rzekł Trestka.

– Szanuje widać les vieilles histoires swego dziada – odrzekła hrabianka z ironicznym półuśmiechem.

– Albo własne, pensez, bien comtesse!

Hrabianka popatrzyła na Trestkę pytająco: miał bardzo ciekawą minę. Spojrzała na pannę Ritę i zdumiona podniosła brwi.

– Czy to możliwe?

Nikt jej nie odpowiedział.

Waldemar podszedł do dziadka. Pan Maciej spojrzał mu w oczy badawczo.

– Mógłbym ci podziękować, Waldy, za odnowienie, gdyby...

– Gdyby co, dziadziu?

– Gdybyś to zrobił tylko dla tradycji – rzekł prędko i odszedł w inną stronę.

Trochę szatański błysk zaświecił w oczach Waldemara, gdy patrzał za odchodzącym dziadkiem.

– Którą łodzią jedziemy? – pytał książę Podhorecki.

– Panie Michorowski, pan decyduje – wołała panna Rita.

– Wybór łodzi zależy wyłącznie od pań.

– Więc jedźmy tą błękitną.

Waldemar skinął na wioślarzy, a ci, poubierani w pasiaste koszule, podprowadzili natychmiast błękitną łódź pod kamienne schodki. Biały maszt łopotał, poruszany wiatrem, fala cicho pluskała, kołysząc łódką; zagięty jej dziób rytmicznym ruchem zdawał się kłaniać towarzystwu.

Jednakże dla wszystkich za mało było miejsca w błękitnej; ordynat skinął, aby podprowadzono pąsową gondolę. Sam usadowił w niej księżnę babkę i pana Macieja, po czym spytał:

– Kto tu siada więcej?

– Ja pierwsza – rzekła hrabina Ćwilecka, podnosząc dumnie głowę. – Paula, vous aussi.

– Oh! non, maman! Ja wolę kolor błękitny! – zaśmiała się figlarnie hrabianka.

– Więc ja z mamą – rzekła panna Michalina i lękliwie weszła do łodzi. Waldemar wprowadził jeszcze parę osób.

– Panie Trestka, pan wiosłuje. Tak?

– Nietęgo, ale mogę ryzykować.

– Więc dodam panu wioślarza. Proszę kierować błękitną.

– A pan?

– Ja prowadzę gondolę.

– Wioślarz niepotrzebny, ja panu pomogę – zawołała Stefcia. Wskoczyła prędko do błękitnej łodzi, biorąc wiosła.

– Pan steruje, ja będę wiosłowała, bo nie znam drogi, a są tu podobno jakieś zakręty.

– Ja również nie znam drogi. Przy tym nic nie widzę, taki blask.

– Skandal! możemy sobie powinszować – rzekła panna Rita – ci państwo potopią nas. Une belle chance!... Wiluś, bierz wiosła od tego pana, bo grozi nam katastrofa.

– Ani myślę ustępować. Panno Stefanio, jazda!...

Stefcia poruszyła wiosłami, łódź zachybotała się mocniej i brzeg powoli zaczął się oddalać.

– Płyniemy jak na Grand Canale. Patrzcie państwo: czy ordynat nie wygląda na gondoliera? – rzekła hrabianka Paula. Trestka wzruszył ramionami.

– Chyba dlatego tylko, że stoi na cyplu łodzi, bo zresztą cóż więcej?...

– A śmiała postawa, a pewność ruchów, a malowniczość pozy?

– A rozmarzenie w oczach? – dorzuciła panna Rita.

– Już tego to pani nie widzi – zaoponował Trestka.

– Przeczuwam!...

– Co to! Muzyka? – zawołała Stefcia. Wszyscy podnieśli głowy.

Od zwierzyńca dolatywały ciche dźwięki strun i nagle buchnął grzmot instrumentów. Odezwała się orkiestra szumną fanfarą, sunąc po falach

dźwiękliwie. Masa tonów zgodnym i wspaniałym hejnałem płynęła ponad lśniącą wodą, bijąc o burty pąsowej i błękitnej łodzi.

Wszystkie twarze uśmiechnęły się, oczy błyszczały wesoło. Chwilę trwała cisza, po czym pytania i wykrzykniki rozległy się jednocześnie:

– Nowa niespodzianka ordynata!

– To głębowicka orkiestra.

Stefcia, rozpromieniona, zdwoiła pęd łódki. W oczach jej błyskały skry.

– Kocham muzykę, ale dla jej miłości nie myślę tonąć. Panno Stefanio, co pani robi? Wypadniemy! – krzyczał Trestka.

– Nic, nic, panie hrabio. Ja płynę w takt.

– Bylebyśmy się nie wywrócili w takt. To byłoby mniej zabawne.

Baron Weyher musnął z zadowoleniem swe żółte baczki i rzekł słodko:

– Hrabianka dobrze mówiła, że płyniemy jak na Grand Canale. Oui, c'est très beau, jak spacer dożów.

– Ale gdzież jest doża – spytała Stefcia.

– Tylko ordynat może być takim nowoczesnym dożą – rzekła panna Rita. Trestka żachnął się.

– Tylko ordynat! zawsze tylko ordynat. Dziwię się, że mu pani dotąd piedestału nie postawiła.

– Składałabym mu hekatomby, gdyby chciał, ale... nie chce.

– Osobliwa szczerość!...

– Co oni grają? – spytał Wiluś.

– Powitalną fanfarę dla nas.

– Przedtem, ale teraz coś z motywów ludowych. Wcale ładnie grają.

– Jest ich przecie dwudziestu, to nie byle pozytywka. Mogliby koncerty dawać.

– A wszystko młodzi chłopcy w strojach narodowych. To już innowacja ordynata, dawniej podobno muzykanci chodzili we frakach i byli przeważnie cudzoziemcami.

– Ordynat wiele wprowadził nowości – zauważył baron.

– O tak! Głębowicze są nie do poznania – potwierdziła panna Rita. – Nie mówię o rezydencji, lecz o całym w ogóle urządzeniu. Organizacja majątku znakomita. Ordynat ma już wielkie zasługi obywatelskie, choć taki młody.

– Zasługi obywatelskie polegające na urządzeniu orkiestry włościańskiej? - wtrącił złośliwie Trestka.

Stefcia rozgniewała się.

– A chociażby nawet! To zasługa, że popiera sztukę na miejscu, w kraju, zamiast szukać obcych cudaków we frakach.

– Doprawdy... Vojons! myślałem, że pani pasjami lubi fraki – szydził Trestka.

– Jeśli to miał być dowcip, to się panu nie udał – odcięła się Stefcia. Trestka spojrzał na nią obrażony.

– Dobrze! ale co właściwie widzą panie tak krańcowo obywatelskiego w ordynacie? Panna Rita o mało nie podskoczyła.

– Co? pan się pyta? Więc chyba pan nie zna Głębowicz i ich urządzeń, ale niechże pan zajrzy do wewnętrznej administracji, do fabryk, do tej samej szkoły i ochronki, którą pan dziś zwiedzał. Już nie mówię o gospodarstwie rolnym. Czyż pan nie widzi, jakie tam wszystko kulturalne, postępowe?

– Pardon! to robią pieniądze. Proszę mi dać miliony ordynata, a dokażę tego samego!

– O panie! gdybyś pan miał te majątki, zrobiłbyś z nich jaką Szwabię lub drugą Brazylię, gdzie byłby stek włóczęgów z całego świata. Miliony przegrałbyś pan w bakarata. Co tu mówić! właśnie zasługą ordynata jest popieranie przemysłu w kraju. On podtrzymuje dobrobyt, dając zarobek tysiącom ludzi. W jego fabrykach i dobrach nie ma ani jednego cudzoziemca, a mimo to kultura i postęp kwitną, jest ogólne zadowolenia tych mas ludzkich, nienasyconych nigdy, według opinii publicznej. A niech pan policzy szkoły zakładane przez ordynata, jego dbałość o oświatę ludu, a szpitale, a ochronki dla dzieci i starców, a warsztaty dla uczących się rzemieślników? Gdzie pan to więcej znajdzie u naszych magnatów? A rolnictwo. Niech pan zobaczy gospodarstwa włościańskie w dobrach ordynata, czy tam już socha ma zastosowanie? Włościanie tu są ludźmi stosunkowo ucywilizowanymi, w przyszłości analfabetów wśród nich nie będzie, bo staraniem ordynata dzieci mają się gdzie uczyć. On młodzież włościańską i ze swej służby wysyła do niższych szkół agronomicznych w kraju, sam przyjmuje na praktykę inteligentnych, młodych rolników i urabia ich na swoją modłę. Mając mnóstwo wyręczycieli, zarządza osobiście majątkami, wnikając wszędzie, nie uchyla się przy tym od szranków szeroko społecznych; on jest inicjatorem nowego towarzystwa rolniczego, a w bliskiej przyszłości zostanie prezesem, bo już dziś ma głosy za sobą. I to nie są zasługi obywatelskie? to jeszcze mało? A przecież ordynat ma zaledwie lata, to zupełnie młody człowiek. Który w jego wieku zdołał już tyle zrobić, niech mi pan powie? Który z was pieniądze zatrzymuje w kraju zamiast wzbogacać nimi zagranicę?

– Dużo ich wydał i ordynat, pochłonęła Halla, Bonn i pięć lat bąblerki po całym świecie. Napęczniały nimi wszelkie kluby i jedwabne sakiewki de beautés européennes i nie tylko européennes. Ordynat miał wenę i w Moulin Rouge.

– Mój panie!...

– No cóż? Panny Luci nie ma z nami, a panna Stefania chyba się nie zgorszy. Czy pani bardzo niewinna?...

– Raczy pan mną nie interesować się – odparła zagniewana.

– Bałbym się, choćbym chciał. Ja nie mam weny.

– Vous êtes détestable! – zawołała hrabianka Paula.

– I o tym wiem.

– Pan mówi, że ordynat dużo puścił pieniędzy? Puszczał bo miał z czego. Niektórzy robią to samo nie mając. Używał życia w całej pełni, ale u takiego człowieka, jak on, nastąpił przesyt prędko. Inny na jego miejscu grzązłby do końca i zapychał banknotami świat cały – niedaleko szukając, pan pierwszy.

– Pod żadnym względem rywalizować z ordynatem nie mam pretensji.

– Bardzo rozsądnie z pańskiej strony. Hrabianka Paula i Stefcia roześmiały się.

– Jednak na tej błękitnej kwitną komplementy – rzekła Stefcia.

– Ponieważ są tu dziś wszyscy w wyjątkowych humorach – odparł Trestka poprawiając binokle. – Pani imienniczka ciszej się zachowuje...

– Moja imienniczka?...

– Tak, gondola Stefania, ale daleko od nas odpłynęli.

– Marnie wiosłujecie państwo, skoro pan Waldemar sam jeden prześcignął was – zaśmiała się Rita.

– Nic dziwnego: ultrauniwersalny!

Stefcia pilniej zaczęła wiosłować. Pochylona nad gryfami, zamyśliła się głęboko. Całodzienne wrażenia, począwszy od rozmowy na breku, wirowały w jej głowie, nabrzmiałe pewnym niepokojem. Starała się zagłuszyć w sobie scenę w sali portretowej, lecz nie mogła. Mimo woli czuła, że było to coś więcej nad zwykłą rozmowę i że swoboda jej w obcowaniu z Waldemarem ulegnie zmianie. To ją przerażało. Bała się zagłębić w analizę niepochwytnej nuty, której dźwięk zaczynała słyszeć. Potem gondola...

Stefcia doskonale zauważyła zachowanie się panny Rity, doszły jej uszu słowa Trestki i porozumiewawcze uśmiechy, połączone ze spoglądaniem na nią i na Waldemara. Z kilku podchwyconych szczegółów rozmowy ogólnej i z zachowania się ordynata doszła do wniosku, że gondola odnowiona została na jej cześć. Jej miłość własną napawała pewną dumą uprzejmość ordynata. była mu za nią wdzięczna, ale uczucia te zagłuszała obawa opinii całego towarzystwa. Grzeczności Waldemara okazywane jej miały swój właściwy styl klasyczny, nawet nie rycerski, ale miękki, w dobrym smaku. Jego zainteresowanie się nią nie raziło jaskrawo, tylko dla osobiście interesownych było wyraźne, dla Stefci już konieczne. Lecz większość towarzystwa brała tę kwestię podmiotowo, co uwypuklało delikatne efekty hołdów ordynata, czyniąc je bardziej widocznymi. Waldemar wzbudzał w Stefci podziw. Uprzykrzony dawniej magnat, dziś wesoły towarzysz, imponował jej. Przestraszał ją trochę swą energią i pewnym akcentem feudalizmu, pozostałym w krwi jego po zamierzchłych czasach. Ale wzbudzał w niej zarazem nieograniczoną ufność i jakiś pociąg drażniący. Czuła się swobodniejszą w jego towarzystwie; on był jej obrońcą przed pociskami własnej stery, nawet sprzymierzeńcem. Waldemar od pamiętnej sceny, gdy grała sonatę Beethovena. nie nadużywał jej zaufania nawet słowem. W sali portretowej przestraszył ją znowu. Zwykle w obcowaniu z nią sam na sam, co zresztą nieczęsto się zdarzało, dziwnie poważniał, i to Stefcię drażniło.

Dziewczyna, pogrążona w myślach, nie zauważyła, że i całe towarzystwo na łódce siedziało cicho.

Wszyscy, zasłuchani w grzmiącą orkiestrę, spoglądali na złoto-srebrne fale rzeki, ścigając oczyma gondolę, również poważną i milczącą.

Muzyka. chociaż wesoła, spadała na tych ludzi smutną nutą, budziła

pragnienia, tęsknoty... Szumem swych skrzydeł zdmuchiwała uśmiechy z młodych twarzy. Każdy przędł złote nici marzeń na kołowrotku własnej imaginacji, umyślnie cierpiąc na daltonizm, by nie ujrzeć szarej przędzy rzeczywistości. Świetność spaceru, bogata natura okalająca rzekę i ów delikatny pytek czaru, wsiąkły w nastrój chwili, działał na zmysły, podniecał, dla wielu był ciężkim brzemieniem niedoścignionych ideałów...

Gdyby konwenanse nie grały w gronie tych ludzi pierwszorzędnej roli, niejedno ciche westchnienie spłynęłoby w łyskliwą toń. Ale byli to wszystko ludzie z jedwabnego świata, może nie zawsze czysto jedwabni, lecz wypolerowani tak, że ani supełek wewnętrznej natury, ani włókienko istotnej prawdy nie uwydatniło się szczerze spoza atłasowej powierzchni. Każdy udawał zasłuchanego w muzyce lub patrzał w obłoki, jakby licząc plamiące je mewy. Nikt nie wyjawiłby swych rojeń, nawet panna Rita. zwykle uważana za mało jedwabną.

Stefcia stosowała się do ogólnej metody, choć może ona była najbliżej złotej rzeczywistości.

Przybyli do brzegu. Przystań, wyłożona płytami kamiennymi, miała po obu stronach schodów dwa wykute z kamienia odyńce z potężnymi kłami.

Cały zastęp służby zwierzynieckiej wysypał się na spotkanie. Wszyscy młodzi chłopcy, przystojni, poubierani w ciemnozielone kurtki. Na piersiach mieli pendenty z żółtej skóry, podtrzymujące krótkie szpady, oraz rewolwery w olstrach, pasy i noże myśliwskie w oprawie rogowej, kołnierze haftowane w złote świerki i ciemnozielone czapki z rogami jelenia i głową dzika nad skórzanym daszkiem, również haftowane złotem; z ramion spadały złote sznury; z prawej strony na piersiach każdy miał wypolerowaną blachę z herbem Michorowskich i mitrą książęcą.

Towarzystwo powiększyło się: Waldemar przedstawił gościom trzech praktykantów głębowickich.

Wszyscy rozbiegli się po szerokich ulicach zwierzyńca, ubawieni spacerem w lesie, utrzymanym wzorowo i pełnym zwierzyny. Po zielonych polankach śmigały bure sarny na nogach jak sprężyny, ogromne sztuki jeleni z lasem rogów na głowach sunęły poważnie, bez obawy; plamiste daniele skubały trawę, grupując się w większym cieniu. Często zatętniał ciężki bieg łosia, łomot gałęzi i głuche rechotanie zwiastowało bliskość odyńców. Ze wszystkich kępin trawy, z krzaków sypały się zające; szare kuropatwy, wystraszone gwarem, wzlatywały w górę z właściwym furknięciem.

Świat zwierząt na ziemi zagłuszały górne sfery ptaków, najrozmaitsze krzyki, kwilenia i świsty brzmiały wśród rozłożystych koron drzewnych niby druga orkiestra. Rozśpiewany las poprawił humor całego towarzystwa. I znowu szły barwne rozmowy, wyprzedzały się dowcipy, głośne wybuchy śmiechu płoszyły czworonożnych mieszkańców kniei.

Na jednej polance stało kilka słupów z białymi tarczami, na których wymalowane czerwone i niebieskie kółka służyły do strzałów amatorskich.

Trestka i baron Weyher natychmiast zabrali się do tego: jeden gorączkowo,

drugi z flegmą. Łowczy dostarczył im flowerów i rozpoczęli strzelanie. Baron dowodził, że mu to przypomina tir aux pigeons w Monte Carlo, tylko jest mniej zabawne. Za przykładem panów poszły i panie. Pierwsza hrabianka Paula chybiła trzy razy do czerwonego asa; próbował Wiluś Szeliga – nie trafił, próbował Trestka i baron Weyher, również bez skutku. Trestka krzyczał, że cel za mały i złe flowery. zawsze i wszędzie wynajdywał błędy. Niepowodzenie rozgorączkowało wszystkich. Podszedł książę Podhorecki z Ćwileckim i walili w nieszczęsną tablicę, aż drzazgi się z niej sypały, lecz czerwony as świecił nie poruszony.

Wreszcie panna Rita chwyciła flower i zaczęła mierzyć, ale Trestka szepnął szyderczo:

– Mierzy pani do niezwyciężonego. Wszelkie zabiegi na nic. Radzę zaniechać. Odwróciła się zdziwiona.

– Jak to! Co pan mówi?...

– Że ten as tak samo trudny do zdobycia jak jego właściciel – odrzekł Trestka z wybuchem szczerości.

– Panie! proszę raz zleźć z tych swoich alegorii. Mam ich dosyć!

– Czyż nie powiedziałem wyraźnie?...

– Aż nadto!

Bystro spojrzała dokoła i oddając flower Stefci, rzekła z ironicznym uśmiechem:

– Proszę, niech pani jeszcze spróbuje tego niedoścignionego celu. W tej chwili zbliżył się Waldemar.

– Pani umie strzelać? – zapytał.

– Umiem.

– A to ciekawym!

Stefcia, która słyszała krótką rozmowę panny Rity z Trestka, wzięła flower spokojnie i odstąpiwszy kilka kroków, wymierzyła w środek, niebieskiego kółka na czwartej tablicy z rzędu.

– Ależ nie tak! pani mierzy zupełnie w inną stronę – krzyczał Trestka.

– Bo ja mierzę do niebieskiej tarczy.

Strzał huknął. Stefcia drgnęła, podniosła głowę i bystro patrząc poprzez dym zawołała:

– A co, panie Trestka, trafione?...

– Parfaitement! w sam środek. Co prawda, duże koło to nie czerwony as! Czemu pani nie strzelała do asa? O to chodziło.

– Nie chciałam – odparła krótko.

– Bała się pani kompromitacji? – zapytała z intencją Rita. Stefcia zapłonęła.

– Nie narażałam się na nią.

Waldemar śledził ich nieznacznie. Zrozumiał wszystko.

– Teraz ja, va banque! – rzekła panna Rita. Huknął drugi strzał.

– Trafione na pewno! – zawołała. Trestka zrewidował tablicę.

– Ani trochę! Mówiłem, że to nie dla pani cel. Trzeba było słuchać. Młoda

panna zacięła wargi.

– A więc jeszcze raz panna Stefania! Koniecznie!

– Ja panią zastąpię! – podchwycił Waldemar.

Nim kto zdołał zaprzeczyć, chwycił flower, przymierzył i wypalił. Tablica zadygotała, rozszczepiła się na dwoje i spadła w trawę z przebitym na wylot asem.

Waldemar zwrócił się do Stefci z miną zupełnie obojętną, jakby nie rozumiejąc, o co im głównie chodziło.

– Strzelałem w pani imieniu – rzekł z lekkim ukłonem. Stefcia pokręciła głową.

– Nie chciałabym być pańskim przeciwnikiem w pojedynku. Strzela pan jak Nemrod.

– A ja przeciwnie! – rzekł Trestka. – Jak mi życie obrzydnie, to pana wyzwę. Przynajmniej od razu buch! na tamtą stronę.

– Trzymaj się pan tej – pewniejsza! – zaśmiał się Waldemar. Panna Rita bez słowa odeszła w głąb lasu.

Na obiad nie chciano wracać do zamku. Ordynat urządził nową niespodziankę. Gdy całe towarzystwo szło w stronę rzeki, bo Trestka głosował za łapaniem ryb, nagle zabrzmiał głośny, melodyjny dźwięk trąb.

Zatrzymali się wszyscy zdumieni.

– Co to znaczy? co to za sygnał?

– Zaproszenie na obiad! – oświadczył Waldemar. – Służę państwu.

I podał ramię księżnej Podhoreckiej.

Pośród rozłożystych dębów, w cieniu, na polance, towarzystwo ujrzało długi stół zastawiony do obiadu. Naokoło wysokie słupy, strojne w dębowe wieńce i chorągiewki z barwami Michorowskich. takież wieńce i chorągiewki pozawieszane w poprzek polanki tworzyły rodzaj sklepienia nad stołem; bielizna stołowa tkana w herby i desenie przedstawiające sceny myśliwskie. Srebra, kryształy, porcelana, wszystko z myśliwskimi inicjałami. Krzesła z rogów łosi. Kosze z owocami na stole miały podstawy z rogów jeleni. Przez baldachim z wieńców i liści słońce rzucało drgające plamy na bogactwo stołu, nadając mu wygląd jeszcze świetniejszy. Zamiast lokajów stał szereg strzelców zwierzynieckich, przeznaczonych do obsługi, w strojnej liberii, z pistoletami i nożami. Dowodził nimi główny kamerdyner zamkowy. Między drzewami przeświecała altana płócienna, przeznaczona dla służby i kucharzy.

– Zobaczysz pan coś podobnego do sławnych polowań głębowickich – mówił książę Podhorecki do barona. – Ordynat ma pyszne leśniczówki, ale co za knieje. Powiadam panu, zwierzyna na tysiące się liczy.

Obiad trwał długo. Pomysł Waldemara okazał się doskonałym, wesołość panowała niezmącona. Nie tylko młodzież, ale nawet pani Idalia i hrabina Ćwilecka wyszły ze swej majestatycznej oprawy, były wesołe i naturalniejsze niż zwykle. Waldemar celował w dowcipnej rozmowie, Trestka najgłośniej krzyczał. Wznoszono toasty, przy których straż leśna wykonywała huczne fanfary na trąbach. Orkiestra w przerwach między toastami grała ciągle i las

brzmiał gwarem, roznosząc echo zabawy aż na fale rzeki złoconej słońcem.

Stefcia z początku była trochę sztywna: praktykanci Waldemara przypomnieli jej Prątnickiego i minione przykrości. Ale Wiluś Szeliga, prowadząc ją do obiadu, prędko rozproszył niemiłe wspomnienia. Przy tym ci panowie w niczym osobiście nie mogli przypominać Prątnickiego; mieli bledszą urodę, ale klasyczniejsze obejście i zupełnie zastosowane do towarzystwa. Stefcia z przyjemnością zauważyła, że Waldemar jest z nimi swobodny i wesoły jak z Wilusiem lub Trestką, bez różnicy, co sprawiało, że i oni zwracali się do ordynata z uszanowaniem, lecz bez cienia uniżoności. Stosunek ten prawie przyjacielski pomiędzy zwierzchnikiem i podwładnymi akcentował poglądy Waldemara dalekie od przesądów jego sfery. Stefcia zauważyła jeszcze coś innego, co ją dziwiło i gniewało. Widziała, że jest przedmiotem cichej uwagi całej służby. Począwszy od kamerdynera i łowczego, wszyscy przygadali się jej badawczo i z szacunkiem, obsługiwano ją uprzedzająco, a gdy Waldemar wzniósł jej zdrowie, fanfara na trąbach zagrzmiała głośniej, z wyraźnym staraniem. Praktykanci spoglądali na nią jak ludzie dobrze wychowani, bez natarczywości, ale ciekawie, przenosząc wzrok z niej na ordynata. Stefcię to zaniepokoiło, już zaczynała tracić swobodę.

Wyjaśnienie nastąpiło niebawem.

Waldemar, obnosząc wino, podszedł do niej. Odsunęła kieliszek.

– Ja już dziękuję.

Pochylił się nad nią i szepnął z uśmiechem:

– Teraz wzniosę toast na cześć młodości i szczęścia, uosobienia pani. Taki toast wypić trzeba do dna.

– Dobrze, ale nie chcę być uosobieniem nietrzeźwości – rzekła sucho.

– Umie się pani bronić od tego – powiedział porywczo i odszedł ze zmarszczoną brwią. Wiluś siedzący obok, rzekł do niej z ciekawą miną:

– Czy pani wie, za kogo ją tu niektórzy biorą w Głębowiczach?

– Za kogo? – spytała zdziwiona.

– Za hrabiankę Barską, domniemaną narzeczoną ordynata.

– Taaak!?...

Stefcia zesztywniała. Przypomniał jej się tytuł nadany przez kamerdynera w zamku. To tłumaczyło zachowanie się służby...

Przeszedł ją leciuchny dreszcz, ognie uderzyły do głowy. Powtarzała w myśli:

– Hrabianka Barska... narzeczona ordynata. Nigdy o niej nie słyszałam. Jaka ona jest? jak wygląda?...

– Dlaczego pan powiedział „domniemana”? – spytała głośno.

– Bo nic rzeczywista – odrzekł student, wzruszając ramionami. – Chcą ordynata ożenić z Barską, ale on się nie spieszy, chociaż to jedna z najpierwszych partii w kraju. Domniemana narzeczona czeka z upragnieniem, lecz wątpię, czy skutecznie, bo ordynat grymasi.

– A dlaczego mnie biorą za nią? Czy jestem podobna?...

– Nikt jej w Głębowiczach nie widział, ja również, ale służba zapewne wie

coś o projektach matrymonialnych względem ordynata i odgaduje, że pani jest ową wybraną, ponieważ panią widzi po raz pierwszy i...

Zawahał się.

– I co? – podchwyciła śmiało Stefcia. Wiluś spojrzał na nią z ukosa.

– Nic! po prostu przeczuwają w pani przyszłą ordynatową.

Stefcia zmarszczyła brwi. Zrozumiała, że Wiluś nie dopowiedział swej myśli, że chciał wytknąć zachowanie się ordynata względem niej.

– Muszę ich rozczarować co do siebie – rzekła oschle.

Było jej przykro. Ukrywała wrażenie, nadrabiając wesołością, ale jej się nie udawało. Rozmawiała, dowcipkowała, lecz już jak zwarzona. Gdyby Wiluś lepiej uważał, spostrzegłby w niej zmianę, wywołaną swymi słowami. Ale on tego nie widział. Bawił Stefcię w czasie obiadu i nie odstępował potem, gdy w łunie zachodu wracali łodziami do zamku.

Długo jeszcze park. oświetlone tarasy i zamek dźwięczały życiem. Przy wspaniałej kolacji, błyszczącej od starożytnych sreber, kryształów i porcelany saskiej, ponowiły się toasty i szumne fanfary orkiestry. Pyszna stylowa sala jadalna, wyłożona mahoniem, z brązami, z sufitem sklepionym, zdobnym w płaskorzeźby, tonęła w srebrnobieli lamp elektrycznych, rozbrzmiewała gwarem błyskotliwych rozmów; płynęły upajające tony muzyki. Urok tej książęcej wystawności działał na wszystkich, przebiegał prądem we krwi, zapalał mózgi, drażnił, porywał...

Zegar na wieży zamkowej wydzwaniał północ, gdy powozy i brek wtoczyły się znowu w aleję świerkową. Jechali w takim samym porządku jak rano, bo ordynat odprowadzał gości do Słodkowic, gdzie mieli nocować. Tylko Lucię pani Elzonowska zabrała do powozu, bojąc się dla niej nocnego chłodu. Jej miejsce na breku zajęła panna Michalina.

Hrabianka Paula prowadziła cichą rozmowę z baronem. Panna Rita drażniła Trestkę, mówiąc, że będzie spała. Stefcia siedziała obok ordynata, bo Waldemar tak stanowczo podał jej rękę, że nie mogła na to nie przystać z obawy zwrócenia uwagi.

Gdy brek wjechał w aleję, masy czarnych świerków poruszyły się głuchym poszumem, nocny wiatr wpełznął w zbite korony, hucząc nimi jękliwie. Łoskot ostrych gałęzi przeszedł z brzegu w brzeg, niby groźny pomruk. Stefcia otulona płaszczem, podniosła głowę do góry, patrząc na oświetlone srebrem czuby grzmiących tytanów. Waldemar nachylił się do niej.

– Moje świerki mówią pani do widzenia – rzekł miękko, lecz z akcentem.

– Groźnie szumią – szepnęła.

– To są moje druhy, a więc i pani także. One do nas przemawiają i ja je rozumiem. Podobały się pani Głębowicze?

– Śliczne!

– Twoje! – wyszeptały bezpamiętne usta jego.

Grzmot kopyt na kamiennym moście zgłuszył ciche słowa i realnym swym dźwiękiem ocucił Stefcię, której serce na chwilę zamarło.

Brek wpadł między srebrne zboża, malowane księżycem, znowu pełne

gwaru i rozmowy.

# XX.

W gabinecie Waldemara, wybitym ciemnokarmazynową skórą, snuły się błękitne pasemka dymu. roznosząc woń dobrych cygar. Kilku zebranych panów gawędziło wesoło. Jedni siedzieli, inni przechodzili z miejsca na miejsce, jeden leżał rozciągnięty na karmazynowym szezlongu.

Był to Trestka. Leżąc na wznak, ręce podsunął pod głowę i pykając z cygara, patrzał uparcie w sufit na wymalowaną scenę powitania Odyseusza z Nauzykaą.

Waldemar siedział na poręczy fotelu w niedbałej pozie i przysłuchiwał się wesołym żartom towarzyszy. Sam trochę mroczny, nieczęsto mówił, jednak nie krępował wesołości, a każde z rzadkich jego słów było jakby podnietą. Do niego zwracali się głównie, on wyglądał na arbitra wśród tej wytwornej młodzieży. Zjechała tu cała śmietanka arystokracji bliższej i dalszej, wszystko panicze, napiętnowani cechą zagraniczną. Jedni w stylu wiedeńskich jokey-clubistów lub modernizowani na sposób paryski, inni nosili poważny ton synów Brytanii. Wśród nich Waldemar przedstawiał typ najwięcej patrycjuszowski. Chociaż Zachód polakierował go na ogólną modłę międzynarodowej elegancji, jednak nie zdołał go przekształcić zupełnie. Pozostał najmniej egzotycznym. Młody ordynat nie odznaczał się wybitną pięknością, ale posiadał wydatny typ, zwracał uwagę, przykuwał oczy.

Był jednym z tych magnatów, którzy nie nosząc swego majestatu przed sobą. mają go bezwiednie w sobie. Nie myśląc o tym, był zawsze i wszędzie panem i ta jego pańskość, noszona z pewną niedbałością, zwracała na niego oczy. Wyróżniał się i wszystko mu uchodziło; żył, jak chciał, mówił, co chciał, nie stosując się do ogólnych przepisów, tylko do własnej etyki. Ale ta nie zawiodła go nigdy. Jego subtelność i przeczulenie estetyczne nie dozwalało szrankom zakreślonym przez jego swobodę czynów wejść w niezgodę z ich regułą.

I owa estetyka stała się tak dalece nim samym, że wyłączała wszelkie wahania. Nie mógł jej przekroczyć bez skrzywdzenia samego siebie. Odznaczała go przy tym znamienna wypukłość charakteru, co go czyniła odrębnym. Umysłowo stał bardzo wysoko, inteligencją wznosił się nad poziom swego otoczenia, ale własna opinia mało go obchodziła, nie dbał o to, co o nim powiedzą. Posiadał niesłychanie żywy temperament, rzutkość i szaloną energię, lecz nie łączył z tym rubasznej krewkości, przeciwnie, miał wyraz trochę znudzony, w niedbałych ruchach pewną apatyczność.

Jego stalowe źrenice miewały wielka różnorodność wyrazu: ironii, dowcipu, czasami błyskały w nich zimne połyski stali; często wybuchowe ognie lub płomyki łagodności i wzruszeń. Nie umiały być rysimi ani nazbyt kobiecymi w wyrazie. Męskość jego zyskiwała na tym, nie tracąc nic z uroku.

Jego stanowczość, raz okazana, była niezłomną, ale sam z sobą odbywał walki bardzo uporczywe. Wiedział, czego chce i do czego dąży, lecz nie zawsze miał pewność, czy racjonalnie chce i czy dobrą obiera drogę.

Filozofował, analizował, każdą rzecz przefiltrowywał przez swe zdolności umysłowe, lecz gdy w końcu powiedział sobie: „Eureka!" – zdanie jego wychodziło skrystalizowane, z cechą wyłączną. Ale nie zawsze potrafił być drobiazgowym krytykiem samego siebie: zdarzały się wypadki, że żądania swe rzucał ze śmiałością i bezwzględną energią. Gwałtowność rodowa w połączeniu z jakąś dozą feudalizmu brała wówczas górę nad filozofem. Potrafił wybuchać dziko, jak wszyscy Michorowscy. Tylko przodkowie jego nie znali samoosobowej krytyki, nie analizowali swych czynów. On, jeśli dał się unieść chwili zbyt popędliwie, za to potem przeprowadził ją przez wszystkie tory swych filozoficznych, etycznych i estetycznych poglądów i nie zawsze czuł się zadowolony; wówczas wpadał w groźne rozdrażnienie, ale młoda, żywa natura i energia nie pozwalały mu długo nurtować się w sobie.

Rozdrażnienie mijało, pozostawiając odrobinę niesmaku, a samoosobowy krytycyzm jego wzmagał się. Człowiek ten był pewnym siebie i swych czynów, ale nie zarozumiały, bo nie każdą myśl wypuszczał w świat, nie każdą uważał za doskonałą.

Po przyjęciu w Głębowiczach Waldemar odprowadził swych gości do Słodkowic i tam przenocował. Rano zerwało się w nim tysiące zapytań i wątpliwości, na które nie mógł znaleźć odpowiedzi, pożegnał się i wyjechał. Szalała w nim burza. Zły, wściekły na siebie, nie mógł sobie darować postępowania ze Stefcią. Scena w sali portretowej i słowa jego na breku dręczyły go jak gorzki wyrzut. Obawiał się trochę spotkania ze Stefcią, myślał, że ona po tym, co od niego słyszała, przywita go albo nadąsana, albo z tryumfalnym uśmieszkiem, tak częstym u panien w podobnych warunkach. Nie chciał jej gniewu, lecz stokroć więcej obawiał się tego uśmieszku, może przeczuwając, że stałby się on zaporą rzucającą na Stefcię wielki cień. A tego instynktownie dopuścić nie chciał. Na breku po jego znaczącym słowie ona siedziała cicha, przytłoczona, mówiła mało i z przymusem, nie do niego zresztą, bo i on zamilkł.

Na szczęście panna Rita zamiast spać rozgadała się na dobre i podtrzymując rozmowę zamaskowała niezwykłe usposobienie jego i Stefci.

Waldemar po nie spanej nocy doszedł do przekonania, które sformułował w ten sposób:

– Wczoraj rozważała, dziś zrozumiała i okaże mi to. Na tę myśl zaciskał zęby z jakąś złością.

– Niechże nie próbuje, bo chybi.

I czuł, że samym posądzeniem krzywdzi Stefcię, jednak napadał na nią z zajadłością.

Był rozdrażniony, przywitał ją chłodno, bez cienia życzliwości, a choć czuł jej zdziwiony wzrok na sobie, pozostał sztywnym aż do wyjazdu. Wyjazd przyspieszył umyślnie; chciał uciec od jej widoku, bo czuł, że się na niej

zawiódł, że mylnie ją sądził i że jest względem niej winnym.

Taktowna dziewczyna nie okazała mu nic z tego, co przypuszczał, nie dojrzał w niej tryumfu ani gniewu, jedynie trochę zdziwienia z powodu jego chłodu. To go wzruszyło najniepotrzebniej, jak sam myślał, i przechyliło szalę na korzyść Stefci.

– Co ona ci zawiniła, że postępujesz z nią jak z pierwszą lepszą? – powtarzał sobie wracając do Głębowicz.

I wciśnięty w kąt powozu przeprowadzał z goryczą własną krytykę.

Przypominał wczorajszy ranek, jak jechał z nią razem na koźle breku, słyszał w myśli jej słowa, jej śmiech. Widział ją przed sobą, porównywał wczorajszą do dzisiejszej i burzył się coraz bardziej.

Pogoda dopomagała mu do czarnych myśli. Wczorajszy świetlisty poranek znikł. Powietrze było szare, nabrzmiałe deszczem wiszącym w chmurach. Na ziemię padał drobniutki mokry pył. Świat cały stał w jakiejś melancholijnej, ponurej ciszy. Drzewa, szumiące wczoraj, dziś milczały skupione w sobie; łany zbóż, wczoraj wesołe i wyjaśnione, stały cicho pod ciężarem wilgotnej szarzyzny dnia. Czasem na przydrożnych topolach zakrzyczały ptaki, ale i one milkły na odgłos kopyt końskich, stukających po bitym gościńcu. Powóz na gumach sunął cicho, lecz Waldemara gniewał nawet tupot koni. Miał jednak tyle przytomności, że nie robił o to awantury stangretowi. Monologował w myśli:

– Stefcia była wczoraj zastosowana do pogody, a pogoda do niej, i ja ją zmąciłem, pogodę Stefci... Cóż ona mogła innego o mnie pomyśleć nad to, że byłem pijany? Piłem przecie dosyć szampana. Ba! a scena w sali portretowej?... Róże mogły się tłumaczyć uprzejmością gospodarza względem gościa, chociaż to już wykręt... ale pocałowanie ręki i niektóre słowa – zbyteczne. Najgorszy brek... Z taką dziewczyną trzeba się liczyć, bo bardzo łatwo można stracić w jej oczach. Mimoza! gotowa mię posądzić o instynkta godne Prątnickiego, tylko w innym kierunku... A do diabła! co ja u licha narobiłem!...

Waldemar nie mógł z sobą dojść do ładu.

W Głębowiczach rozdrażnienie mijało, a przychodziła rozwaga.

Snuł się po parku, po zwierzyńcu, gdzie już sprzątnięto ślady wczorajszej uczty.

I wszędzie przypominał Stefcię.

Tu grał z nią w tenisa. „Jak ładnie miała podpiętą suknię!” – tu z nią rozmawiał, na tej uliczce rwał dla niej róże, a przedtem widział ją z daleka, jak zanurzała swą jasną twarz w masie aksamitnych kwiatów, i chciał te kwiaty zerwać własnymi rękoma. Potem spacer po rzece. Rozgniewała go wskakując tak prędko w błękitną łódź i wiosłując z Trestką. A strzelanie w zwierzyńcu?... Ten przestrzelony przez niego as... Poszedł w tę stronę i z oburzeniem zobaczył, że tablicę już zabrano, stał tylko słup mokry od deszczu. Waldemar w pierwszej chwili chciał wołać strzelca zwierzynieckiego i spytać, dlaczego tablicę usunęli bez jego wiedzy. Ale się pomiarkował. „Po

co ten nieporządek? Dobrze, że zabrane”... Najdłużej przebył w sali portretowej! Usiadł na kanapce i wpatrując się w portret babki myślał:

– Po co jej opowiedziałem tę historię?... Nabije sobie głowę romantyzmem, a to się na nic się zdało. Idylle, marzenia, wszystko to oklepane paradoksy! Istnieje tylko pożądanie! jedyna prawda z nagromadzenia pojedynczych głupstw pod nazwą miłości. W pożądanie wierzę i ono mnie popycha do niej, nic więcej. A że jest czysta jak kryształ i taka jasna, to tym lepiej. Każdy woli pióra łabędzic niż kawki.

Dojrzał na posadzce kilka zielonych i żółtych listków róży, pozostałych po wczorajszym bukiecie Stefci. Podniósł je z chciwością i nagle przypomniał scenę, jak się ona przestraszyła głosu z zewnątrz i chciała uciekać, a on jej nie puścił. Trzymał wtedy jej ręce, schowane w swych dłoniach, i przyciągał ku sobie. Patrzała na niego wylękła, taka jakaś mimowolnie poddana, oczy mrużyła tak rozkosznie... Wprawdzie trwało to zaledwie chwilkę, ale co to było!...

Waldemar zgniótł listki w dłoni.

– Pożądanie! I to pożądanie – rzekł z ironicznym uśmieszkiem, zdążając do drzwi. W progu stanął i spojrzał na zmięte listki, rzucone na posadzce.

– Łowczy utrzymuje większy porządek w zwierzyńcu niż kamerdyner w zamku, ale ten widać szanuje pamiątki...

I wyszedł wzruszając ramionami...

Przez kilka następnych dni nie mógł się uspokoić; do jednego tylko doszedł wniosku: że jeżeli pożądanie jest dominującym uczuciem w składniku miłości, to Stefcia nie zalicza się do wyznawczyń tej teorii. Więc budzi się w niej coś innego? jakieś uczucie bardziej duchowe?... Może odżywa... obudził je Prątnicki...

Na wspomnienie tego nazwiska Waldemar zaciskał zęby, ten objaw niepokoił go. Wiedział, że Stefcia Prątnickiego nie kochała, lecz ogarniał go niesmak na samo połączenie ich nazwisk; przeczuwał, że wzbudza w Stefci uczucia silniejsze od zwykłej sympatii, i nie zda- wał sobie sprawy, dlaczego czuł się dumnym oraz jaki to był rodzaj dumy.

W wielu podobnych wypadkach w życiu odczuwał jedynie tryumf, ale dumę i jakieś wewnętrzne zadowolenie odnajdywał pierwszy raz i dziwił się.

Dlaczego ta dziewczyna wywiera wrażenie zupełnie odmienne od znanych dotychczas? dlaczego pociąga nieprzepartą siłą, staje mu się upragnioną, niemal drogą?... Ona. którą przed paru miesiącami chłostał często cynicznym dowcipem, prześladował, drażnił... Za co? dlaczego?!...

Zrobiła na nim wrażenie od pierwszej chwili, gdy ją zobaczył obok ciotki, w landzie, jadącą z kolei. Zachwyciła go od razu, przesiadł się do nich i zaczął ją badać.

Ale natychmiast zauważył, że ona to spostrzega i że ją to gniewa. Zdziwił się.

Młoda, ładna panna nie lubiąca uporczywego wzroku młodego mężczyzny wprawiła go w zdumienie, jak nowe zjawisko.

Życie przyzwyczaiło go do czego innego. Kobiety aż nadto okazywały mu względów, i to kobiety wysokich sfer, magnatki. A ta dziewczyna ze szlacheckiego domu, taka ładna i dziwnie wytworna, z niechęcią, a nawet obrazą w oczach przyjmowała jego hołdy. Wprawdzie wzrok jego, skierowany na nią, miał sporą dozę ironii i nieufności, bo tak spoglądał na wszystkie panny świeżo poznane, przeczuwając w nich tysiące wadeczek bardzo pospolitych.

Na każdą nową spoglądając, myślał:

– Już ja się tobą nie zajmę.

Stefcia nie wzbudziła podobnej myśli, przeciwnie – zajęła go od razu, interesowała coraz więcej. I wiedziony jakąś nieuzasadnioną złością, mścił się na niej, sam sobie robiąc na przekór. Ale potem coś zaczęło się zmieniać. Po pamiętnym obiedzie, kiedy Stefcia cofnęła mu swą rękę, Waldemar zastanowił się:

– Po co ja ją dręczę?...

Umyślnie długo nie przyjeżdżał do Słodkowic, pragnąc zapomnieć o niej. Chciał wyrzucić z myśli jej drobną twarz, przyćmioną smutkiem. On wywoływał na niej ten wyraz, on nie dawał spokoju tej dziewczynie tak delikatnej i wytwornej, on ją dręczył, jakby przez złość, że mu się podoba. Po tygodniu uczuł pragnienie ujrzenia jej. Przyjechał do Słodkowic razem z całą gromadą gości i tam przyzwyczajenie wzięło znowu górę. Przechodząc koło jej okna rzucił w nie figlarne spojrzenie i napotkał jej twarz zaciekawioną; ale na jego widok cofnęła się nagle, jakby przerażona, i aż zbladła. Coś w nim zadrgało żalem.

– Ona się mnie po prostu boi...

Zobaczył ją potem rozbawioną. Tańczyła z Lucią pełna życia i swobody, taki ładny miała uśmiech!... Więc tylko przed nim ukrywa wesołość, on ją paraliżuje?...

I zmienił się.

Odtąd nie pomijał sposobności, aby zrobić jej przyjemność, co w jego warunkach było dość łatwym. Z rozkoszą zauważył, że i Stefcia zaczyna się przeistaczać. Poweselała, lubiła jego rozmowę, nie unikała go jak dawniej i w jego towarzystwie przestała tracić swobodę. Waldemar widział te zmiany i cieszył się, lecz od jakiegoś czasu ogarnął go niepokój.

– Za wiele o niej myślę!

Pobyt jej w Głębowiczach dopełniał miary, Waldemar zrozumiał, że za daleko zaszedł. Cofać się nie mógł, zabraniała mu tego własna etyka, iść naprzód jeszcze nie chciał. Takt Stefci ujął go ze względu na nią, zdenerwował ze względu na siebie.

Jest pewna, żem był pijany, i chce być wyrozumiałą. To go drażniło niesłychanie.

Tak przebył kilka dni, do Słodkowic nie jechał, ale czuł, ze pomimo chęci Stefcia nie schodzi mu z myśli. Aż pewnego dnia zjechali do Głębowicz koledzy Waldemara, bliżsi i dalsi znajomi, na miesięczny jour fixe męski.

Jechali z ochotą, ciągnęła ich wesoła swoboda, panująca w tej magnackiej rezydencji. Każdy mógł się tu czuć jak u siebie, co niektórym, zwłaszcza nie posiadającym wspaniałych gniazd, sprawiało zadowolenie ambicji i jakąś rozkosz fizyczną. Książęca atmosfera przepychu, płynąca z każdego kąta, uprzejmość ordynata, liczna wygalonowana służba, znakomite cygara i wytworna kuchnia dodawały uroku zawsze oczekiwanym zebraniom.

Tym razem wiodła wszystkich świeża wiadomość, interesująca bardzo wysokie sfery towarzyskie: hrabianka Barska odmówiła ręki księciu Lignickiemu.

Fakt sprawił wrażenie. Pewna liczba hrabianek i księżniczek liczyła na widoki, jakie się dla nich otwierały. Wielu dawniej odepchniętych konkurentów hrabianki na nowo miało zamiar rozpocząć kampanię. Ale przede wszystkim trzeba się było dowiedzieć, co na to mówi Michorowski, jaką jest jego opinia?

Wszyscy wiedzieli, że odmowa hrabianki nastąpiła z jego przyczyny – nie bezpośrednio, lecz w nawiasach.

Barscy liczyli na ordynata, uważając go za pierwszą partię w kraju. Hrabianka, delikatnie pomijając świetność przyszłego z nim związku, kochała go po swojemu. Nikt nie śmiał posuwać naprzód swych starań bez wybadania poglądu ordynata. Każdy z możliwych pretendentów do ręki hrabianki, jadąc do Głębowicz. zachowywał dobrze udaną obojętność, każdy mnie więcej chciał mówić miną: „Cóż mnie obchodzi hrabianka Barska i jej wybór?” Ale jednocześnie każdy oczekiwał zdania ordynata. Wiedziano, że jeśli on ujawni swe zamiary względem hrabianki, nie pozostanie im nic więcej nad wycofanie się od brzegu. Jeden Trestka był w tej sprawie neutralnym, ale za to krytycznym widzem.

Ordynat wiadomości przyjął obojętnie: wiedział już o tym. Mówił jak o rzeczy niewielkiego znaczenia. I prędko przeszedł do innego tematu. To wywołało zdziwienie i niepokój. Trestka, który się doskonale bawił, rzekł do jednego z panów:

– Ordynat widocznie uważa odmowę hrabianki za konieczną. Wiedział zapewne o rezultacie starań księcia, może nawet są po słowie?...

Trestka kłamał z satysfakcją.

Wszystkich dziwiło niezwykłe usposobienie ordynata i jego wyraźne zdenerwowanie; nie wiedzieli, jak mają to rozumieć.

Czy przeczuł ich zamiary względem hrabianki?... Tylko Trestka domyślał się istotnego powodu – odgadywał w tym Stefcię.

Ale pomimo wszystkiego bawiono się dobrze. Przed kolacją grano w bilard, potem sławne wina głębowickie jeszcze więcej rozochociły gości.

W gabinecie i przytykającej doń fajczarni wrzało życiem. Waldemar zapraszał na polowania jesienne.

Trestka, usłyszawszy to, zerwał się z szezlongu.

– Czy i w Słodkowcach będą obławy? – spytał poprawiając binokle.

– Zapewne! Cóż panu na tym zależy? – zdziwił się Waldemar. Kilku panów

parsknęło śmiechem.

– Trestka jest bajeczny! Chodzi mu o to, czy goniąc dziki nie będzie pozbawiony widoku panny Szeliżanki, bez której on jest zerem, a w Słodkowcach prędzej się to może zdarzyć.

Waldemar wzruszył ramionami.

– Spotkasz ją pan w Głębowiczach, bo na polowaniach będą obecne panie. Zresztą nim to nastąpi, zmienią się może warunki, zdobędziesz pan większe prawa.

– A to jakim sposobem?

– No! zostaniesz narzeczonym.

Trestka popatrzał zdziwiony, po chwili dopiero odrzekł:

– Wątpię, by to nastąpić mogło.

Młody hrabia Brochwicz, kolega z Halli i osobisty przyjaciel Waldemara, uśmiechnął się i rzekł dowcipnie:

– Mamy przed sobą wystawę. O ile słyszałem, panna Rita wystawia swe folbluty. Strzeż się pan, by twoje perszerony ich nie prześcignęły, bo wówczas...

– We sto koni jej nie dogoni – dokończył Waldemar. Odpowiedziano śmiechem. Brochwicz mówił dalej:

– Tak. Wówczas możesz powiedzieć: tout est fini!, a nawet powinieneś omijać złoty medal, najwyżej możesz mieć list pochwalny.

– Ja swoich koni nie prowadzę.

– Bardzo praktycznie!

Baron Weyher musnął żółte faworyty.

– A propos wystawy – rzekł cedząc słowa – czy ordynat będzie miał stajnię?

– Za parę dni właśnie jadę w tej sprawie. Na wystawę prowadzę dziesięć zarodowych klaczy.

– Czy muzy?

– O nie! tylko tej samej rasy i kare. Czwórek nie rozrywam. Będzie i Apollo.

– Ten chyba jako ozdoba?

– Dekoracja, która może się stać przyczyną choroby panny Rity – podchwycił Brochwicz.

– Słyszałem, że i baronowa Elzonowska wybiera się na wystawę z dziadkiem pańskim i panną Lucią – rzekł młody Żnin.

– Tak, jadą całym domem.

– Ach! więc będzie i panna Rudecka! – zawołał Brochwicz. – Wiluś Szeliga naopowiadał mi o niej cuda. Bardzom jej ciekaw. Czy istotnie ładna?

Trestka rzucił ukośne spojrzenie na ordynata.

– Bardzo ładna i bardzo nieprzystępna – rzekł serio.

– To zaleta!

– Przeciwnie, to wada! – odezwał się Żnin.

– Nieprzystępność jest wadą mężatek, nie panien.

– Brochwicz! czyś ty trzeźwy?

– Najzupełniej!

– Bo wiesz, że dowodzisz niesłychanie! Trestka potrząsnął głową.

– W zasadzie ma słuszność. Zbyt wielka cnota była dobrą w katakumbach rzymskich. Dziś zarówno mężatkom, jak i pannom nie jest w niej do twarzy.

– Mówisz na podstawie własnych krzywd, ale panna Rita zalicza się do ultrapostępowych.

– Widać nie w każdym kierunku. Brochwicz przerwał:

– Moi panowie, sąd o pannie Ricie zostawmy wyłącznie Trestce. Chodzi nam obecnie o pannę Rudecką... jakie ona ma imię?... Stefania, zdaje mi się.

– Tak, urocza Stefcia!

– O niej najwięcej powiedzieć nam może ordynat jako częsty gość w Słodkowcach... a może i praktyk?... Waldy! jakiego jest rodzaju cnota uroczej Stefci: katakumbowa czy współczesna? Warto by zanotować. Ale... co tobie jest?...

Waldemar był blady, widocznie wzburzony. Jego ściągnięte brwi, rozdęte nozdrza i ironicznie skrzywione usta miały w sobie coś złowrogiego. Skierował na Brochwicza zimne, stalowe oczy i odrzekł krótko:

– Do panny Stefanii Rudeckiej podobna rozmowa nie może mieć zastosowania.

Ton jego głosu zabrzmiał szorstko. Nastąpiło milczenie, trochę przykre. Brochwicz poczerwieniał i spuścił oczy. Trestka zerwał binokle, potem zaczął je starannie na nowo wkładać. Miał przy tym minę mówiącą: „Byłem na śladzie, teraz jestem w domu!”

Weyher, gładząc faworyty, patrzał na Waldemara wzrokiem pełnym uznania i szacunku, a nawet szepnął cicho:

– Gentleman!

Inni rzucali na siebie zdziwione spojrzenia.

Waldemar milczał paląc cygaro. Dał im czas do rekolekcji. Pierwszy odezwał się Brochwicz:

– Wybacz nam, Waldy. Mówiliśmy nieoględnie, przyznaję, lecz jesteśmy wytłumaczeni, gdyż prócz Trestki i barona nikt z nas nie zna panny Rudeckiej.

Grzeczność kolegi ujęła Waldemara. Odrzekł z uśmiechem:

– Ja też chciałem jedynie zaznaczyć, że trzeba się liczyć z dowcipami o nieznanej osobie, zwłaszcza o młodej pannie.

Drugi cios!

Ale przez głowę Waldemara przeleciała błyskawiczna myśl, trochę gorzka:

– Ogromnie dotychczas oszczędzałem znane mi ze słyszenia panny, a ich moralizuję... Jestem dureń!...

Nie przedłużał już milczenia, rozpoczął nową rozmowę. Wesoły nastrój powrócił prędko.

Pod koniec wieczoru książę Zaniecki podniósł powtórnie kwestię małżeństwa hrabianki Barskiej. On był najwięcej interesowany. a zachowanie

się Waldemara pogłębiło jego nadzieje. Postanowił upewnić się i po jakimś wstępie zapytał:

– Nie wiecie, panowie, czy Barscy będą na wystawie, czy też jadą za granicę?

– Będą na wystawie – odpowiedział ktoś z gości. A Waldemar rzekł:

– Tylko Lignicki czmychnął do Rzymu, zapewne dla odbycia żałoby, w rzeczywistości dla znalezienia nowej partii w świecie czarnym, któremu hołduje.

– Ciekawe, co by nastąpiło, gdyby się ożenił z Barską. Ona, przeciwnie, należy do białych.

– Może by sam zbielał albo polakierował ją na czarno – zaśmiał się Brochwicz. – A że Melania jest śniada i nie do twarzy jej w czarnym, więc wycofała się z tego za pośrednictwem kosza.

– Na wystawie rozpocznie się nowy turniej. Do jej pierścienia przygotujcie, panowie, kopie – rzekł Waldemar trochę ironicznie.

Wszystkie oczy spoczęły na nim. Zapanowała chwila ciszy. Waldemar popatrzył na nich zdziwiony.

– Cóż mię tak oglądacie? A Trestka palnął na głos:

– Oni mają un pressentiment, że w tej gonitwie trafią na przeszkodę.

– Jaką mianowicie?

– W osobie pańskiej, którego kopia ma szansę zwycięstwa.

Waldemar wzruszył ramionami, puścił kłąb dymu i odrzekł obojętnie:

– W takim razie jesteście plus royalistes que le roi. Posądzacie mnie o zamiary, jakich nie mam.

Słowa te zrobiły wrażenie.

Książę Zaniecki miał ochotę dziękować Waldemarowi, ale zdołał powstrzymać wybuch wdzięczności. Uważał, że dla utrzymania się w tonie prawdziwego lorda należy zachować zimną krew zawsze i wszędzie.

Ale Brochwicz miał więcej polskiej krwi w sobie, a przynajmniej nie starał się jej przefarbować, zawołał przeto z całą szczerością:

– No! jeżeli ty, Waldy, wycofujesz się z turnieju, nastąpi prawdziwa i ostra walka, do której i ja się zapisuję. Niech co chce będzie!

– Brawo, Brochwicz! – zawołał Trestka.

– Ale ty, Waldy, naucz mię, jak się to zdobywa laury u panien, bo, co prawda, nie bardzo wiem.

– Spytaj o to Trestkę. On prowadzi kampanię od trzech lat. Ja się na tym nie znam. Brochwicz komicznym ruchem załamał ręce.

– On się na tym nie zna! Słyszeliście?

Trestka zabrał głos:

– Nietrafnie ordynat wysyła pana do mnie na studia, bo chociaż prowadzę kampanię od trzech lat, ale bez rezultatów, panu zaś głównie chodzi o finał, czy tak?

– Zapewne, byle pomyślny.

– Nie wątpimy.

Książę Zaniecki obrzucił Brochwicza szyderczym spojrzeniem.

– Słuchaj no, Jurek – rzekł Waldemar – na co ci czyjeś rady? Zaczynaj samodzielnie i niebawem dojdziesz do finału, ba! nawet do epilogu.

– Tak mówisz? Ha, to trudno, trzeba się zdobyć na odwagę! Waldemar podniósł brwi.

– Uprzedzam cię, że jeśli z takim wykrzyknikiem będziesz się zbliżał do Barskiej to lepiej od razu zamów sleeping i ruszaj za Lignickim do Rzymu, a dla odmiany obróć oczy na Kwirynał.

Brochwicz ukłonił się z udaną powagą.

– Pojadę tam, ale w podróż poślubną.

– Jesteś nieoceniony!

– Phy, ale czy hrabianka postawi nad tym swoje accent grave, to kwestia – szydził Trestka.

– Wypijmy za pomyślność sprawy! – zawołał Waldemar. – Szampana!

Zaczęto wznosić toasty, wesołość buchała już niezmącona, wino płynęło. Przy dźwiękach kieliszków rozbrzmiewał pełen życia, tryskający młodością i weselem Gaudeamus!

## XXI.

Wrzesień pierwszego dnia ozłocił świat cudną pogodą. Słońce zalewało pola, błękit nieba miał tony czyste, ale już trochę bledsze w kolorycie.

Rżyska żółciały, napiętrzone stertami. Leciuchny pierwszy odcień jesieni bujał w powietrzu. Umilkły przepiórki, zbożowe terkotki, w trawach i ugorach ćwierkały koniki polne.

Gniada czwórka ze Słodkowic rwała pomiędzy polami, ciągnąc za sobą strojne lando i strojne postacie siedzących w nim kobiet. Pani Elzonowska, Stefcia i Lucia jechały do kościoła.

Niedzielne tłumy pobożnych sunęły bokiem drogi w barwnych strojach, rozweselone pomyślnym ukończeniem zbiorów, hałaśliwe. Pani Idalia razem z pogodą była słoneczna. Wesoło zagadywała siedzącą obok Stefcię. często spoglądając na nią z prawdziwym upodobaniem. Stefcia wyglądała niesłychanie. Szaroniebieski jedwabny płaszczyk otulał ją miękkimi zwojami, czyniąc jej jasną płeć bardziej przejrzystą. Rozmawiała z ożywieniem, oczy jej błyszczały, jednak dostrzegało się w nich tęsknotę; wyraz dawniej nie znany malował się w twarzy. Czasami ciemne gęste brwi zsuwała niecierpliwie. jakby przed natrętną myślą, której odepchnąć nie mogła. Ale ten niepokój nadawał jej twarzy nowego uroku, co z wesołym ożywieniem tworzyło połączenie szczególne i śliczne.

W kościele zebrało się dużo okolicznej inteligencji, wiele osób z tych niższych sfer, z którymi Słodkowce nie zawierały bliższych stosunków. Wszyscy po zamianie ukłonów z panią Idalią i Lucią spoglądali na nie z tym mimowolnym uszanowaniem, jakie nakazuje sobie starożytność rodu i wysokie stanowisko społeczne. Na innych wywierał wrażenie nawet

wspaniały zaprzęg i mitry książęce na okularach koni i że panie te są mieszkankami pałacu.

Panny i młodzież patrzyli głównie na Stefcię, robiąc przy tym rozmaite uwagi. Mężczyźni przypatrywali się jej urodzie i wszyscy musieli przyznać, że jest ładna, bardzo wytworna i zupełnie pałacowa. Panie zaczęły ją cicho krytykować; jeden z panów szepnął: „sznytowa dziewczyna", i przymiotnik ten zyskał uznanie w kółku męskim. Wiedzieli o Stefci, że jest córką zamożnego obywatela z Królestwa. Objaśniał ich Wiluś Szeliga. który w czasie wakacji włóczył się po okolicy. Ze słów jego odgadli, że student kocha się w pannie Rudeckiej, śledzono ją z tym większym zaciekawieniem. Przed samym rozpoczęciem sumy zrobił się ruch przed zakrystią i wszedł Waldemar.

Wrażenie wzrosło. Oderwane od Stefci spojrzenia spoczęły na ordynacie. Był on rzadkim gościem w tym kościele. Pani Idalia na jego widok podniosła brwi zdziwione. Stefcia oblała się gwałtownym rumieńcem. Nieprzewidziane ujrzenie jego wstrząsnęło nią silnie. Od owego ranka, kiedy był dla niej tak chłodnym, nie widziała go wcale. Upłynął miesiąc, on nie przyjeżdżał. Teraz nagle zjawił się w kościele, w którym prawie nie bywał. Może przeczuł, że i one są tutaj?

Waldemar podszedł do stalli, powitał panie i zajął miejsce obok Stefci, siedzącej z brzegu.

Pani Idalia pochyliła głowę w tył i spytała szeptem:

- Waldy, czy jedziesz z Głębowicz?

- Nie, byłem w Słodkowcach - brzmiała odpowiedź.

- Tiens! Ach, tak! więc wiedziałeś, że tu jesteśmy?

- Wiedziałem.

- Dobrze zrobiłeś, Waldy! -wtrąciła szeptem Lucia.

Waldemar wyprostował się i teraz dopiero zauważył pełne ławki naprzeciw. Na gęste ukłony odpowiedział długim skinieniem głowy. Do Stefci nie mówił nic; parę razy spojrzał bokiem na jej ładny profil, schylony nad książką, i żywe kolory na twarzy. Wiedział, że on je wywołał, spostrzegł wrażenie, jakie zrobił na niej wejściem do kościoła. Był zadowolony i podniecony, czuł dziwną ulgę, że ją ma przy sobie. Z rozkoszą śledził każde jej poruszenie i oddech; nie patrząc wiedział, jak ubrana.

I wszystko mu się podobało, wszystko miało dla niego urok. Po dłuższym niewidzeniu znalazł ją jeszcze ładniejszą i bardziej upragnioną. Zaczynał ją po swojemu analizować, ale prędko spostrzegł, że wobec niej na nic się to nie zdało, i uległ wrażeniu.

A Stefcia dopiero teraz odczuła, że pomimo starań nie zdołała o nim zapomnieć, że ta nieokreślona tęsknota, jakiej nie mogła zrozumieć, była za nim.

Świadomość tego sprawiała jej ból i nieznaną rozkosz.

Słowa modlitwy mieszała z myślami, nic nie odczuwając silniej nad to, że on siedzi obok, że po miesiącu rozłączenia znowu są razem i tak blisko.

Ostrożnie spojrzała na jego rękę, opartą o pulpit ławki. Widziała końce rękawów palta i brzeżek mankietów. Kiedy dawał pieniądze na tacę, błysnął na jego palcu ogromny brylant. Stefcia musiała więc użyć całego wysiłku pamięci, ażeby przypomnieć sobie, że ten brylant widziała zawsze u niego. Na razie była pewna, że jest to pierścień zaręczynowy. Słyszała o odmowie hrabianki Barskiej Lignickie-mu, potem Waldemar wyjechał z Głębowicz. W Słodkowcach komentowano ten wyjazd, łącząc go bezpośrednio z hrabianką. Pani Idalia twierdziła, że teraz nastąpią zaręczyny. Pan Maciej wątpił, ale stanowczo nie przeczył. Tylko panna Rita śmiała się z urojeń słodkowickich, a Trestka dowodził głośno, że hrabiance Barskiej „ordynackie niebezpieczeństwo" nie grozi ani trochę. Ta para miała pewniki niezbite.

Wtem Lucia pociągnęła Stefcię za rękę.

- Czego oni tak na nas patrzą? Czy my dzicy?

Zapytana podniosła oczy na ławki. Wszyscy spoglądali na Waldemara, przenosząc wzrok z niego na nią.

Ogarnął ją niesmak.

- Jacy niedelikatni! - pomyślała.

Lucia z kolei zaczepiła Waldemara:

- Waldy, nie pozwalasz się modlić!

- Komu?... tobie?...

- Tym państwu naprzeciw.

Waldemar nic nie odpowiedział.

I on zauważył uporczywy wzrok przeciwległych ławek, ale już do tego przywykł; natomiast myślał patrząc na modlącą się Stefcię:

- Czy ona się modli naprawdę?...

Był pewnym, że ona jest pod wrażeniem jego obecności; to go upajało, nie chciał się rozczarować. Jednocześnie wzruszał go widok jej pobożnego skupienia.

Stefcia po pierwszym wstrząśnieniu, ochłonąwszy, zatopiła się w modlitwie. Nigdy może nie miała tak szczerego natchnienia. W duszy jej śpiewał jakiś sonet radosny. Zrywały się w niej nieznane uczucia, ogarniał ją spokój, słodycz zalewała serce. Dziękując Bogu za tę chwilę, pragnęła przedłużyć ją do nieskończoności. On siedział przy niej, dotykał jej ramieniem, czuła wzrok jego na sobie i była szczęśliwą. Jej spokój wewnętrzny odmalował się na twarzy niebywałym wyrazem. Waldemar patrzał na nią z czułością nie znaną sobie dotąd. Odgadywał, że jest szczęśliwą, że jej modlitwa płynie ze szczęścia, i wierzył, że modli się szczerze. Był poruszony, uwidoczniało się to we wzroku, jakim ją ogarniał.

- Taka kobieta, gdy modli się, jest aniołem - powtarzał w myśli.

Wobec niej pesymizm jego ginął, cynik i filozof przeistaczał się, skrywał za ścianę bardziej idealną. Ta dziewczyna wchodziła mu do duszy wolno, ale stale, wsiąkała w jego istotę, pobudziła pragnienia.

Oboje siedzieli w milczeniu, ale tak on jak i ona odczuwali się wzajemnie.

Gdy ksiądz odszedł od ołtarza, pani Idalia powstała pierwsza. Na

cmentarzu spotkali całe towarzystwo.

Pani Idalia, w świetnym usposobieniu, witała się uprzejmie, łaskawa i promieniejąca. Waldemar witał panie. Otoczyli go starsi i młodzi mężczyźni. Każdy chciał zamienić choć parę słów z ordynatem, jeden przed drugim pragnął okazać, że jest na lepszej stopie z tym świetnym przedstawicielem magnaterii.

Pani Elzonowska raczyła zapytać kilka pań, dlaczego tak rzadko odwiedzają Słodkowce. Nie robiła tego w formie zaprosin, ale przez grzeczność.

Stefcia spojrzała na nią zdziwiona; nieczęsto zdarzał się dumnej pani podobny humor. Kilka panien, zawiedzionych obojętnością Waldemara, podeszło do Stefci i Luci. Posypały się liczne pytania i lakoniczne odpowiedzi. Lucia milczała, jakby zalękniona. Na dany znak przez Waldemara podjechało lando ze Słodkowic i amerykan głębowicki, zaprzężony w cztery muzy.

Waldemar usiadł z paniami na przednim siedzeniu obok Luci. Jeszcze trochę ukłonów - i pojechali. Za nimi potoczył się pąsowy amerykan.

Skoro tylko lando ruszyło, Lucia. korzystając z rozmowy matki z Waldemarem, rzekła do Stefci po francusku:

- Ach, nareszcie! Ja się ich instynktownie boję!...

- Teraz ja powtórzę twe zapytanie: czy oni dzicy? - odrzekła Stefcia z bladym uśmiechem.

- Ach! nie dzicy, ale jacyś inni, nie nasza sfera...

- Za wcześnie ci, Luciu, decydować o tym - rzekł ostro Waldemar.

Lucia zmieszała się, spojrzała z przestrachem na matkę, zwiesiła głowę i szepnęła:

- Przepraszam...

Pani Idalia spytała niecierpliwie:

- Czy długo bawiłeś, Waldy, w Orzelsku u Barskich?

- Nie byłem tam wcale.

Pani Idalia zrobiła wielkie oczy. Ogromne zdziwienie odmalowało się na jej twarzy.

- Voyons! nie byłeś u Barskich? Gdzież byłeś tak długo?

- Skąd takie przypuszczenie? ja w Orzelsku?... Jestem w komitecie organizacyjnym wystawy i w tej sprawie jeździłem do W., przy tym musiałem się zająć umieszczeniem koni. które prowadzę.

- Więc chyba nie wiesz, co zaszło u Barskich?

Waldemar uśmiechnął się ubawiony.

- Owszem, wiem od początku do końca.

- Do jakiego końca?

- Ciocia mówi o odmowie hrabianki Legnickiemu? A więc znam tę sprawę od początku starań księcia do kosza, jaki mu ofiarowano.

- I cóż na to mówisz?

- Nic. Życzę hrabiance Melanii nowego zwycięstwa i narzeczonego.

- Którym będzie?

- O! tak dalece nie przewiduję. Do startu staną legiony, ale kto otrzyma palmę... pewno i hrabianka jeszcze nie wie, cóż mówić o mnie - drwił z komiczną miną.

Pani Idalia wybuchnęła:

- Wiesz równie dobrze, jak ona i my wszyscy, kto najprędzej otrzyma ową palmę.

- Niestety! nie jestem domyślny.

- Ach, Waldy! irytujesz mię. Voila que tu es ridicule! [Oto, jaki jesteś śmieszny!] Otrzymanie jej od ciebie zależy.

-Ale ja nie będę się o nią starał - odrzekł dobitnie, już podrażniony.

- Dlaczego?

- Pozwoli ciocia, ale to jest już wyłącznie moja rzecz.

Kwestia rozstrzygnęła się. Pani Idalia spochmurniała jak noc.

Wtem zawołała Lucia:

- Bardzo się z tego cieszę. Nie cierpię tej Melanii Barskiej.

- Lucie, soyez tranquille [uspokój się] - zgromiła ją matka.

Biednej Luci nic się dziś nie udawało.

Waldemar zaczął inną rozmowę. Mówił o przyszłej wystawie, urządzenie jej porównywał do wystaw zagranicznych, wygłaszając zdania bardzo trafne i oryginalne. Stefci nie narzucał się, ale zręcznie wciągał ją w rozmowę, tak że właściwie oboje tylko mówili. Lucia siedziała nadąsana, pani Idalia ponura. Tak dojechali do Słodkowic.

Do pana Macieja siedzącego w swym gabinecie wpadła pani Idalia i ze wzburzeniem zapytała:

- Czy papo rozmawiał z Waldemarem? Czy papo wie o wszystkim?

Starzec spojrzał na nią zdziwiony.

- Widziałem go zaledwie chwilę, bo dowiedziawszy się, że jesteście w kościele, pojechał za wami, nawet koni nie zmieniał.

- Więc papo nic nie wie?...

- Co się stało? Na Boga, mów!...

- Och! niechże się papo nie przejmuje. Jest źle, ale nic nie grozi temu... temu beniamin-kowi. Niech sobie papo wyobrazi, że on nie był w Orzelsku i z całą bezczelnością dowodzi mi, że nie. myśli zupełnie o hrabiance. N'est-il pas fou? [Czyż nie jest szalony?]

Pan Maciej uśmiechnął się.

- Moja Idalko, nie pojmuję twego wzburzenia. Dawno wiedziałem, że Barska nie dla niego. Nawet mówiłem ci o tym.

- Ależ dlaczego? gdzie znajdzie odpowiedniejszą partię, nazwisko, posag?

- Przepraszam cię! Waldemar może pozwolić sobie na wybór żony dowolny, bez oglądania się na posag i partię - a co do nazwiska, to tych mamy więcej w kraju, nawet lepszych!...

- A cóż on może mieć przeciw samej Melanii? Panna piękna, kształcona za granicą, une fille tres gentille! bardzo miła panna!...

- Widocznie on ma inne zapatrywania. Zresztą może jej wszystkie zalety uznawać, ale... nie jest ona w jego stylu.

- Niechże papo na niego wpłynie.

Pan Maciej rzucił się na fotelu.

- O nie! tego nie żądaj, tego się nie spodziewaj! oboje z twoją matką byliśmy nieszczęśliwi dzięki podobnym wpływom. Nie ja będę je odnawiał!

- Przesada! La majeste de la bagatelle! [Majestat drobnostki] - sarknęła pani Idalia. - Do czego to podobne! Melania odrzuca najlepsze partie dla niego, a on grymasi. Będzie żałował poniewczasie, jak mu ją odbiją, co możliwe, bo to dumna dziewczyna!

Baronowa wyszła z gabinetu.

Pan Maciej, patrząc na nią, szepnął:

- Przesada, że ja i Gabriela byliśmy nieszczęśliwi; przesada, że zbrodnią jest zabić lub nakazać miłość; przesada, że drogę do szczęścia trzeba samemu torować, chcąc mieć lekką starość. Wszystko przesada! Gdzież smutna prawda?... Starzec opuścił głowę na piersi.

# XXII.

Na drugi dzień pan Maciej wstał w usposobieniu niezwykłym. Rozmyślał. Waldemar zastanawiał go coraz więcej. Miesiąc spowodował w nim różnicę znamienną. Pani Idalia tłumaczyła ojcu, że powodem tego jest hrabianka Melania, że Waldemar jak zwykle żartuje i nie chce wyznać, ale widocznie kocha się w Barskiej.

Pan Maciej stanowczo nie uwierzył. On jeden spostrzegł, że Waldemar walczy, że przechodzi jakąś chwilę przełomową i trzeba mu zostawić swobodę, niczym nie rozdrażniać. Wiedział, że są natury nawet szczere, które w pewnych okresach życia zamykają się w sobie, nie pozwalają nikomu zedrzeć osłaniającej je powłoki, że podrażnione mogą zdziałać coś na przekór sobie, zniweczyć to, co się dopiero wykuwało, i zerwać osobiste szczęście. W tym wypadku pan Maciej miał poważne obawy, bo znał wnuka i jego gwałtowność. Z przenikliwością starych ludzi przeczuwał coś, co go napełniało przerażeniem. Podczas długiej nieobecności Waldemara dawne obawy znikły, teraz powróciły spotęgowane.

Po bardzo delikatnej rozmowie z Waldemarem pan Maciej doszedł do podejrzeń, przed którymi instynktownie bronił się; ukochany wnuk zaciężył mu jakoś, nie dopowiedziane słowa wisiały im obu na ustach, ale nie mogli jeszcze i nie chcieli się porozumieć. Waldemar odjechał przed wieczorem, nie obiecując być prędko. Pana Macieja bolało to, lecz nie wstrzymywał go. Nie wspomniał nawet, że na drugi dzień imieniny Stefci, choć przed miesiącem byłby to na pewno powiedział.

Pierwszy raz wyjazd wnuka sprawił mu ulgę, ale całą noc nie spał, a rano wstał rozstrojony nerwowo, z silnym bólem głowy. O dziesiątej kazał służącemu prosić do siebie Stefcię.

Weszła smutna i miała zapłakane oczy. Biała, gładka suknia czyniła ją bledszą niż zwykle, tylko usta pałały gorącym pąsem, a oczy zza łez świeciły nienaturalnie. Ucałowała ser decznie ramię pana Macieja. Starzec wzruszył się, ścisnął jej głowę i posadził naprzeciw siebie.

- Czego płakałaś, dziecko? - zapytał trzymając jej ręce.

Stefcia zagryzła wargi, zaczęła prędko mrugać powiekami, boją piekły nowe łzy.

- Czego płakałaś?

- Bo smutno mi... Ten dzień... zawsze... przepędzałam w domu - odpowiedziała cicho.

- Czy tylko ten powód?...

Spojrzała na niego bystro.

- Tylko ten... nic więcej! - zawołała prędko.

Pan Maciej cofnął się, puścił jej ręce i opadł na fotel. Jej okrzyk „nic więcej" zdradził ją w oczach podejrzliwego starca. Czuł, że poza tęsknotą do rodziny jest jeszcze coś, czego nie chciał nazwać. Patrzał na nią uparcie i szepnął do siebie:

- Stenia... druga Stenia...

- Kto? - zapytała dziewczyna z nagłym poruszeniem.

Pan Maciej pokiwał głową.

- Nie znasz jej, dziecko. Kiedyś, kiedyś była taka Stenia, podobna do ciebie, ale... to już dawno.

Stefcia przypomniała sobie historię Waldemara w sali portretowej w Głębowiczach. Żal ścisnął jej serce i spuściła oczy.

Pan Maciej wziął ze stolika pudełeczko oprawne w zamsz, otworzył je i z białego aksamitu zdjął miniaturę w formie dużego medalionu z gustowną emalią na złocie.

Miniatura przedstawiała młodego człowieka w mundurze ułanów polskich, z gwiazdą na piersiach i orderem Virtuti Militari. Pan Maciej, pokazując ją Stefci, rzekł wzruszony:

- Jest to moja podobizna z czasów, kiedy byłem najszczęśliwszym... kochałem taką jak ty Stenię, myślałem, że ona i świat cały do mnie należą... Ha! minęła młodość!... Ale... co ci jest. dziecko?...

Stefcia, spojrzawszy na portrecik, drgnęła.

- Ja to gdzieś widziałam... ja to znam!

Starzec zatrzymał na niej uważny wzrok.

- Widziałaś tę miniaturę? Gdzie, jakim sposobem? Chyba się mylisz, dziecko! A może... Idalka ci pokazywała?

- Nie, nie... ale widziałam na pewno.

- Może taki sam portret mój spotkałaś w jakim bardzo starym piśmie? To możliwe! dawniej byłem człowiekiem trochę interesującym ogół.

Stefcia kręciła głową z powątpiewaniem.

- Może być - rzekła wreszcie bez przekonania.

Pan Maciej podał jej miniaturę.

- Przygotowałem to dla ciebie na upominek imieninowy. Sądziłem, że będziesz rada z dawnej podobizny człowieka bardzo ci życzliwego.

Stefcia pochyliła się do niego serdecznie.

- Dziękuję bardzo. To dla mnie będzie wielką pamiątką. Czy zasłużyłam na nią? To jak relikwie rodzinne.

- Miałem takich kilka egzemplarzy, rozdałem członkom rodziny i mam dla siebie jeden. Ten ostatni przeznaczyłem dla ciebie, dziecko... Tyś taka do niej podobna, do mojej Steni. Pokażę ci jeszcze kiedy i jej miniaturę... mam jedną tylko i to moje relikwie.

Starzec, wzruszony, ścisnął głowę Stefci i rzekł dziwnie miękko:

- Baw się dobrze, dziecko. Dziś twoje święto, nie płacz i bądź szczęśliwa. Tyś jeszcze taka młoda.

Wróciwszy do siebie, Stefcia przyglądała się miniaturze z nieokreślonym wrażeniem. Twarz przypominała Waldemara. Zmieniał ją tylko ubiór i sposób noszenia włosów. Zresztą były to te same rysy.

Stefcia starała się przypomnieć sobie, gdzie i kiedy widziała już podobny medalion. Wspomnienie mętne łączyło się uparcie z jej dzieciństwem w pierwszych latach.

Patrzała na miniaturę, utonęła w niej wzrokiem. Podobieństwo Waldemara wydało jej się wybitniejszym. Szepnęła:

- Czy znowu nie przyjedzie tak długo? Dlaczego wczoraj odjechał, dlaczego zmieniony?...

Stefcia myślała o nim ciągle, nie chcąc przyznać sama przed sobą, że przykrym był dla niej wyjazd jego w przeddzień jej imienin.

Broniła się przed tą goryczą, chciała być wesołą i nie mogła. Dławił ją żal, czuła pustkę dokoła siebie.

Przed obiadem Lucia namówiła ją na pieszy spacer. Poszły do lasu za ogrodem. Tam Stefcia przypomniała sobie spotkanie z Waldemarem w maju, jego docinki i szyderstwo. Przypominała swój gniew, ostre odpowiedzi i niechęć, jaką wówczas czuła do szydzącego magnata. Bała się go, wzbudzał w niej paniczny strach. Zaciekawiał ją, drażnił, imponował jej zawsze i to ją gniewało, że źle czy dobrze, lecz musiała o nim myśleć.

Dziś uczucia zmieniły się: instynktowny lęk przed nim nie zniknął, nawet wzmocnił się, lecz w innym kierunku. Uczuć dzisiejszych nie chciała nazwać po imieniu, zamykając przed nimi oczy.

Lucia. widząc jej zamyślenie, odbiegła opodal. W tej młodej główce powstawały domysły, których nie miała przed kim wynurzyć, matki obawiając się, przed dziadkiem nie chcąc.

Podejrzenia swe trzymała w tajemnicy, bojąc się zdradzić. Nie uszła jee uwagi zmiana stosunku Waldemara do Stefci. Lucia widziała, że się tu zmieniło wszystko, i zrozumiała kie-

runek. Waldemar zdumiewał ją. Stefcię zaczęła badać. I ona uległa zmianie. Jej dawna wesołość stała się mniej bujną. Lucię to zastanowiło. Tak idąc, każda zajęta swymi myślami, znalazły się na drodze leśnej. Lucia szła prędko,

wkrótce wyprzedziła Stefcię. Nagle na skręcie drogi stanęła zdziwiona. Naprzeciw niej jechała czwórka rozpędzonych koni. Lucia poznała zaprzęg głębowicki i orientując się, momentalnie skoczyła w bok do lasu. Zgadła, że Waldemar wiedział o imieninach Stefci i że przyjeżdża głównie dla niej; chciała z boku zobaczyć ich powitanie.

Stefcia nie zauważyła manewru dziewczynki, ale nie widząc jej przed sobą, zawołała na nią, Lucia nie odpowiedziała. Wtem zatętniał głośny bieg koni i z załamu drogi wypadła na nią strojna, brzęcząca czwórka dobrze znanych karych arabów. Amerykanem powoził sam Waldemar, stangret siedział z tyłu.

Stefcia zatrzęsła się. Ognie uderzyły jej do głowy. Stanęła jak wryta, całą siłą woli nakazując sobie spokój. Waldemar spostrzegł ją. Błyskawica zaświeciła mu w oczach. Gwałtownie wstrzymał konie i uniósł kapelusz z głowy. Zeskakując z amerykana, zawołał na stangreta:

- Jedz na skraj lasu. Tam staniesz.

Stefcia oprzytomniała, widząc ordynata przed sobą. Uścisnął silnie jej rękę. Przez chwilę trwała cisza. On rzekł niskim głosem:

- Jak to dobrze. Spotkałem panią znowu w tym borku.

- Jak w maju. Teraz jesień!

- Można i w zimie stworzyć sobie maj.

Stefcia milczała.

- Zapomniałem ujrzawszy panią o jedynym celu mej podróży. Dziś pani święto... Pospolitych życzeń nie znoszę... ponieważ jednak szablon trzeba zachować...

Stefcia przerwała:

- Nie, po co? Dość, że pan przyjechał. To dowodzi pamięci, to wystarcza... Dziękuję!...

Podniósł do ust jej rękę z wytwornym pochyleniem głowy. Gorące dotknięcie jego ust

sprawiło na niej wrażenie prądu elektrycznego. Mówiącego wyrazu jego oczu nie zniosła -spuściła powieki.

Szli obok siebie w milczeniu, po czym on rzekł znowu:

- Imieniny są dla mnie najnieznośniejszym dniem w roku. Nie lubię biletów, które są konwencjonalnym, ale często fałszywym szyldem. Sam rozsyłam je rzadko. Do osób, które mię bliżej obchodzą, zjawiam się osobiście - dodał z lekkim skinieniem głowy w jej stronę.

Różowy obłok wionął na twarz Stefci.

On mówił dalej:

- Nie umiem składać życzeń „wszelkich pomyślności, szczęścia". Podobne frazesy nie sprawiają mi ulgi wówczas, gdy naprawdę chciałbym komuś nieba przychylić, nieba według mego pojęcia, jakie może nie istnieje na ziemi. Ale do tego nie potrzeba koniecznie imienin. Wyrażanie uczuć jest jak opłatek, którym się łamią tylko w Wigilię. Imieniny to jako odpust: wszyscy się zbiegają do solenizanta, ale najczęściej chodzi o ten pospolity acte de presence [obecność dla formy], co jest według mnie najgłupszą instytucją na

świecie.

Stefcia uśmiechnęła się.

- Jednak i pan został dziś członkiem tej znienawidzonej instytucji.

Waldemar zmarszczył brwi.

- Nie, pani. Mój przyjazd dzisiejszy można postawić w nawiasy jedynie obok zdania wypowiedzianego przeze mnie wpierw. Do osób dla mnie obojętnych przyjeżdżam zaproszony na bal, ale nigdy w dzień.

Stefcia zmieszała się, zaczęła wołać głośno:

- Luciu! Luciu!

Waldemar zapytał ze zdziwieniem:

- Pani nie jest samą?

- Jestem z Lucią, ale gdzieś mi się podziała.

Wtem zaszeleściły gałęzie i Lucia z rozpędem wybiegła z krzaków. Twarz miała rozognioną i błyszczące oczy.

- Gdzie biegałaś tak długo? - spytała Stefcia.

- Zapędziłam się za orzechami. Jakie mnóstwo!

- Gdzież one są? Nazbierałaś, skoro takie mnóstwo? - pytał Waldemar, patrząc badawczo na dziewczynkę.

Lucia spuściła oczy.

- Nie zbierałam, jadłam tylko. Zresztą daleko biegałam.

- Dziwna rzecz, nie widać na tobie śladów tej dalekiej podróży po krzakach.

Stefcia zaśmiała się.

- I niewiele zużyłaś na to czasu, bo znikłaś mi przed samym przyjazdem pana. Oj ty!... Ale czemu się nie witasz?

- Zaaferowana orzechami - rzekł z dziwnym uśmiechem Waldemar.

Lucia czerwona powitała Waldemara trochę nieśmiało. Zrozumiała, że odgadł cel jej wyprawy, i zlękła się.

Teraz miała już pewność, że Waldemar jest zajęty Stefcią. Z ukrycia swego widziała ich doskonale. Słów dosłyszeć nie mogła, zaledwo kilka wyrazów, ale pocałunek złożony przez Waldemara na ręce Stefci wydał jej się dokumentem bardzo ważnym.

- Waldy, czy przyjechałeś konno, czy powozem? - zagadnęła po chwili z naiwną minką.

- Amerykanem. Może to już czas wracać?

Stracił ochotę do rozmowy przy Luci. Spojrzał na zegarek: dochodziła druga.

Lucia zawołała, że czas na obiad. Zwrócili się w stronę powrotną. Gdy zrównali się z końmi, Waldemar zaproponował przejażdżkę. Usadowił Stefcię i Lucię na przednim siedzeniu, sam stanął za nimi, stangreta odsyłając piechotą do Słodkowic.

- Niech pani powozi - rzekł i oddał lejce Stefci.

Dziewczyna rozbawiła się, ranne smutki pierzchły. Ze śmiechem zgarnęła lejce karej czwórki i ruszyła kłusem. On stał pochylony nad nią, drażnił konie

trzaskaniem z bata, dawał jej wskazówki, napawał się jej bliskością. pochłaniał oczyma jej włosy. Niby poprawiając lejce, skierował konie na inną drogę, mijając Słodkowce. Stefcia spostrzegła to.

- Jedziemy w inną stronę! - zawołała.

- To właśnie dobrze. Po co się mamy spieszyć?

- Ale ja głodna jestem - żaliła się Lucia - z obiadem czekają!

Stefcia, nic nie mówiąc, skręciła lejce. Rozhukana czwórka zawróciła na miejscu i zaczęła się plątać.

- Co pani robi! - krzyknął Waldemar chwytając lejce.

Szarpnął i zrównał konie, lecz w tej samej chwili orczyk uderzył dyszlową klacz w nogę. Rzuciła się gwałtownie i cała czwórka zaczęła ponosić.

- Cicho, Luciu! - wołała Stefcia, bo dziewczynka płakała głośno.

Waldemar ściągnął lejce z taką siłą, aż konie stawały dęba, ale nie mógł wstrzymać od razu. Amerykan chwiał się na obie strony, kamyki żwiru ze świstem wylatywały spod kół.

Stefcia chwyciła za lejce, wyciągnięte jak struny.

- Niech pani puści, proszę się mnie trzymać!

- Lucia, nie krzycz, bo straszysz konie, nic złego nie ma - uspokajał Waldemar.

Jego pewność podziałała na Stefcię. Konie zaczęły istotnie zwalniać, piana leciała kawałami z ich boków. Stefcia podniosła wzrok i z podziwem patrzała na męską postać Waldema-

ra, na jego siłę i spokój, z jakim wstrzymywał ponoszącą czwórkę. Stał wyprostowany, równy, jakby nie przeszkadzał mu żaden wysiłek fizyczny. Tylko lejce wpiły mu się w dłonie, aż pękały rękawiczki, na skroniach wystąpiło mu kilka kropel potu, brwi miał zmarszczone i rozdęte nozdrza.

Nagle na zapatrzoną Stefcię spłynęło z góry jego spojrzenie: spokojne, ale zabójcze. Przejęło ją dreszczem.

Patrzyli na siebie. On uśmiechnął się lekko, więcej oczyma niż ustami, i z poufałą serdecznością pochylając się szepnął:

- Nie boi się pani?...

Głos jego miał tony pieściwe.

- Nie - odrzekła cicho.

Gdyby mogła być zupełnie szczerą, powiedziałaby mu, że było jej dobrze jak nigdy. Bojąc się, aby on z jej oczu nie wyczytał tej spowiedzi duchowej, spuściła powieki zaróżowiona, szczęśliwa.

Jeszcze trochę wysiłku i spienione konie zwolniły. Gęsta para buchała z nich na kształt dymów, rozdęte chrapy wyrzucały wulkaniczne oddechy, ziejąc strumieniami piany, oczy sypały iskry. Czarne grzbiety miały wygląd aksamitu zlanego wodą. Niespokojne i podniecone szalonym biegiem, gryzły wędzidła rzucając łbami. Miały pozór poskromionych, lecz wściekłych tytanów.

Gorąca arabska krew kipiała w nich, sieć żyłek jak splątane sznurki wiła się na ich ciałach; uderzały w ziemię kopytami z dziką zajadłością i znać było, że

tylko uległy potężnej sile i woli człowieka, lecz byle odrobina swobody a znowu zerwą się z szałem i hukiem pruć powietrze jak stado centaurów.

Waldemar przeczuł to i miał się na baczności, trzymał silnie wodze w ręku, a gdy Stefcia prosiła go, aby jej oddał lejce, poruszył przecząco głową.

- Ależ pan zmęczony, proszę odpocząć, ja pojadę wolno - prosiła Stefcia.

- Nie. pani, jeszcze nie czas, muszę je uspokoić, aż będą jak baranki. Teraz nie pani im, ale one pani podyktowałyby warunki.

- Będę silnie trzymała, zobaczy pan.

Pochylił się nad nią z uśmiechem.

- Niech się „dzidzi" nie upiera.

Stefcia oniemiała.

- Waldy, po jakiemu ty nazywasz pannę Stefanię? - zawołała oburzona Lucia.

- To po australsku, stosowane z powodzeniem w Honolulu - zauważyła ironicznie Stefcia.

- W każdym razie ta nazwa ze złośliwością nie licuje - odpowiedział rozdrażniony Waldemar.

Stefcia zagryzła wargi.

- Pokłóćcie się państwo! już tak dawno nie słyszałam tego - wołała Lucia.

- Siedź tam cicho, mała, i uważaj, abyś nie wypadła, bo puszczam konie.

Stefcia spojrzała na niego z prośbą w oczach i szepnęła błagalnie:

- Nie, nie, one takie rozhukane. Znowu poniosą.

Waldemar popatrzał na nią długo spod lekko zmrużonych powiek.

- A „dzidzi"... będzie grzeczne? - zapytał przeciągle.

Zaśmiała się.

- Będę, tylko proszę o lejce.

Stefcia znowu powoziła, a Waldemar, patrząc na nią, rozcierał zmęczone dłonie.

Rozpędzony amerykan wpadł w bramę pałacową, gdy pani Idalia siedziała z oocem w otwartym oknie jego gabinetu. Mając słaby wzrok, nie poznała jadących.

- Papo! ktoś jedzie do nas.

Pan Maciej wyjrzał i zdziwił się.

- Waldemar jedzie!

- Ależ jakieś panie także.

- Lucia i Stefcia, nawet ona powozi. Widocznie spotkał je i zabrał.

Konie stanęły. Stangret zjawił się jak spod ziemi. Wszyscy troje wyskoczyli ze śmiechem. Panny pobiegły do siebie. Waldemar wszedł do gabinetu.

Po pierwszych przywitaniach pan Maciej zapytał:

- Gdzieżeście tak pomęczyli konie? Jak z wody wyjęte.

- Trochę się rozhukały muzy.

- Co? nosiły! - krzyknęła pani Idalia.

- Niech się ciocia nie boi, wszystko dobrze. Najlepszy dowód, żeśmy cali.

- Lucia musiała się przestraszyć.

- Toteż krzyczała jak najęta.

- A czy wiesz, że mamy dziś solenizantkę? - spytał pan Maciej, patrząc na swe buty.

- Dlatego przyjechałem - odrzekł Waldemar nieco szorstko.

- I na wiązanie nakarmiłeś ją strachem - śmiała się baronowa.

Pan Maciej pochylił głowę. Niespodziewany przyjazd wnuka i jego słowa zaniepokoiły go. Pani Idalia podchwyciła:

- A propos! chciałabym dziś zrobić jaką przyjemność Stefci, żeby ją trochę zabawić. Cóż tak na mnie patrzysz, Waldy?...

W przechadzce swej zatrzymał się na środku pokoju i stał, patrząc ze zdumieniem na ciotkę.

- Co cię tak dziwi, Waldy? - powtórzyła.

- Troskliwość cioci względem panny Stefanii. Coś niesłychanego!

Mówił wzruszając ramionami, ale widocznie zrobiły mu przyjemność słowa ciotki. Ożywił się znacznie.

- Tiens! ja ją bardzo lubię - mówiła baronowa. - Ona ma w sobie coś takiego, co mimo woli bierze. Miałam dziś prawdziwy kłopot, co jej ofiarować, no i wybrałam sześć tomów Heinego en luxe [luksusowo wydanych]. Chyba dosyć, prawda?

- A czy wszystkie kartki były w tych tomach?

- Co ty pleciesz, Waldy?

- O nic! w ciocinych tomach to się zdarza periodycznie. Autorowie w postaci pojedynczych kartek wychodzą sobie na świat Boży niby na wilegiaturę. Sam widziałem kiedyś, jak się Bourget bił z Szekspirem na dywanach w buduarze cioci. Rochefoucauld. Dickens, Zola podróżują sobie razem pod konsole, kanapy, aż je lokaj w końcu pakuje do kosza i w przykładnej zgodzie idą na całopalenie.

Pan Maciej zaczął się śmiać, ale baronowa obraziła się.

- Zawsze jesteś nieznośny! - rzekła wstając.

Waldemar podskoczył i zatrzymał ją, mówiąc ze śmiechem:

- Ciociu, no już dobrze! Nie moja wina, że autorzy cioci są tak żywego temperamentu. Mniejsza o nich! Radźmy teraz nad rozrywką dla panny Stefanii.

- Radź sobie sam - rzekła nachmurzona.

Waldemar porwał ją wpół i okręcił parę razy w tempie walca.

- Voyons, Waldy, tu es fou?! [Czyś oszalał?!] Co cię wprawiło w taki humor?

- Sześć tomów Halnego en luxe i ciocia... która jest dziś cudowna!

Pani Idalia śmiała się, ale jej ojciec sposępniał. Zrozumiał, czym nie lubiana zwykle ciotka ujęła Waldemara. Siadano do stołu, gdy lokaj oznajmił pannę Ritę. Wbiegła roztrzpiotana, wesoła i nie uważając na nikogo, rzuciła się do Stefci z życzeniami. Bez ceremonii ucałowała ją serdecznie.

- Całe snopy życzeń wiozłam dla pani - wołała wstrząsając rękoma Stefci.

- Ja myślałam, że pani przynajmniej z jakim anglikiem wystąpi? Co tam

same życzenia! - żartował ordynat.

- A pan może swego Apolla ofiarował? - zagadnęła z komicznym zaciekawieniem.

- Ja? Cóż ja? - tłumaczył się wzruszając ramionami.

- Nie ofiarował pan Apolla? To wstyd, panie!

- Apolla nie, ale cztery muzy miałam dziś w ręku - śmiała się solenizantka.

- Które tak były tym zachwycone, że aż ponosiły.

- Niech pan nie żartuje.

- Jestem jak na sanskryckim kazaniu - wołała Rita. Stefcia opowiedziała jej przygodę rannego spaceru.

- Gdzież jest pani attache? - spytał Waldemar. Panna Rita rozejrzała się.

- Trestka? Jak to, nie ma go tu jeszcze? Wszyscy się zaśmiali.

Podczas obiadu Rita mówiła do Stefci:

- Moja ciocia przysyła pani pełno życzeń. Nawet Dobrzysia śle pani ukłony, choć ją mało zna.

- Chyba wcale. Któż to taki? - pytała Stefcia.

- Dama do towarzystwa cioci.

- Ach, prawda! Zapomniałam.

- Bajeczna Dobrzysia z bajeczną twarzą, bo ma wąsy i brodę - żartował Waldemar.

- Niech pan nie kpi, to wielka pańska przyjaciółka, wiecznie pana chce swatać.

- Z taką samą z wąsami?

- Nie, ale z Bar... ską.

Waldemar ściągnął brwi, lecz odpowiedział ze śmiechem:

- Przedstawię jej innego kandydata.

Panna Rita parsknęła krótkim śmiechem i zaczęła znowu trzepać:

- Dla pana nie wiozę nic od księżnej, bo nie wiedziałam, że go tu zastanę.

- Dziś obowiązkowo.

- Przecież pan jest nieprzyjacielem wszelkich „szopek imieninowych”?

- Są okoliczności, w których to określenie nie ma zastosowania.

- A! za... pewne!...

Obiad przeszedł wesoło. Pod koniec zjawił się nieodzowny Trestka, powitany żartami i wybuchem wesołości.

Grano w tenisa. Stefcia z Trestką przegrali partię przeciw Waldemarowi i pannie Ricie. Wówczas partnerzy zmienili się. Waldemar stanął obok Stefci. mówiąc coś do niej z zajęciem. Trestka, patrząc na nich, szepnął do sąsiadki:

- Żałuję, że nie mam aparatu. Zdjąłbym ich w obecnym stadium.

- Następne może być ciekawsze - brzmiała głucha odpowiedź.

- Nie sądzę.

- Dlaczego?

- Ca n'ira pas plus haut [To wyżej nie pójdzie]. Panna Rita roześmiała się głośno.

- To dowodzi, że nie znasz pan ordynata. Ale ja go znam i... wiele

przeczuwam.

Wtem ordynat zawołał:

- Zaczynajmy! Co tam spiskujecie?

- Odzwierciedlamy was - rzekł Trestka.

- Pod każdym względem - dodała Rita.

Waldemar pokazywał Stefci uszkodzoną rakietę, nie słyszeli więc ostatnich słów. Trestka podszedł bliżej do panny Rity i spytał poważnie:

- Pani mówi: pod każdym względem? Tam panuje obopólna harmonia. Czy mogę to wziąć za nadzieję?...

Zaśmiała się ironicznie.

- Pan przecież nie wierzy w stałość tamtej harmonii.

- Dla pani gotówem uwierzyć, a nawet dopomóc.

- Obejdą się bez tego!

- Więc żadnej nadziei?...

- Nudny pan jesteś. Proszę ciskać piłkę. Plac tenisowy nie nadaje się do podobnych roz-czulań.

Trestka odstąpił z nową nadzieją, ale chmurny. Na ordynata rzucił złe spojrzenie, jakby mówiąc: „To przez ciebie".

Wieczorem zebrali się wszyscy w małym saloniku pani Idalii na poufnej rozmowie. Pan Maciej opowiadał kilka wydarzeń wybitniejszych ze swej młodości, spędzonej w wojsku polskim. Nie poruszał osobistej historii. Zaledwie kilku słowami napomknął o tym, co się wówczas w jego sercu działo.

Wszyscy słuchali w skupieniu. Jakiś cichy, patriarchalny nastrój zapanował w gronie tych ludzi, nieczęsty gość w pałacu.

Słuchając dziejów starca, każdy myślał o sobie, co go czeka w życiu? jakie koleje zejdą się, aby utworzyć tę sieć, po której stąpać będzie? Jakie struny zadźwięczą na utworzenie tonów jego istnienia? Czy przeznaczone im są świeże poranki, tchnące szczęściem i majową wonią czy smętniejsze wieczory z bladym księżycem spokoju, czy upalne dnie walk lub chłosty zimnych wichrów losu. Uroczysty nastrój spłynął tu niespodziany, a silny. Biały starzec panował nad pochylonymi głowami słuchaczy. Słowa jego wbijały się do ich dusz, znajdując oddźwięk w sercach. Jakieś oddalone echa walk. wielkich myśli, patriotycznych zapałów, tragedii wzniecały dreszcze niepokojące i w oczy ciskały iskry.

Ci ludzie nie mieli teraz nazwisk, tytułów, ale jednakową krew, kipiącą warem. Łączył ich serdeczny prąd miłości dla ojczyzny, jej dziejowe dramaty napełniały dusze smutkiem. Wszyscy obecnie byli dziećmi swego kraju, którego rany bolały ich jak własne - więcej: jak rany konającej matki. Etykieta znikła, kryjąc się w bogatych oponach i rzeźbach ścian. Na miejsce jej sfrunął cichy anioł pokoju, łącząc tych ludzi jakby w jedną rodzinę, skupioną pod skrzydłami siwego starca; poruszał im jedne tętna w piersi, napełniał jedną nadzieją i myślami niemal jednakimi, bo wszyscy choć może w odmienny sposób, odczuwali te same pragnienia, ten sam głód szczęścia.

Pod natłokiem pokrewnych uczuć zdawali się zmieniać powierzchownie.

Pani Idalia, surowa zwolenniczka etykiety, nie uważała, że Lucia siedzi na dywanie z głową opartą na kolanach Stefci, że Stefcia, zasłuchana, ma rozluźnione włosy, a Waldemar, siedząc blisko niej, zamyślony, bawi się kwiatkiem wypadłym z włosów dziewczyny. Nie widziała, że panna Rita oparła łokcie na stoliku, chowając w dłoniach bladą twarz, że Trestka podniósł głowę do góry w niebywały sposób i zagłębiony w fotelu, szukał na suficie gwiazd nadziei, skąpionych mu na ziemi.

Spokój i różność chwili, tak dalekiej od codziennej, przyćmił w nich magnackie piętno, wielkość usunął razem z etykietą w bogactwo otoczenia.

Wśród przepychu zebrana gromadka przypominała szczęśliwą rodzinę, zebraną w skromnym dworku szlacheckim, wśród bielonych ścian i zapachu rezedy, płynącego z doniczek u okna, gdzie w takie ciche wieczory stary ojciec opowiada baśnie przy akompaniamencie ćwierkania świerszczów i szumu starych grusz nad strzechą słomianą. Jedynie raził wykwint ubiorów. Tylko grupa Stefci i Luci nie psuła harmonii. Obie w białych, gładkich sukniach, z kwiatami we włosach, mogły się nadawać do wyniosłych ścian pałacu, jak i do niskich wiejskiego dworku.

Wtem zaszeleściła aksamitna kotara i w tę cichą grupę ludzi wpadł nagle służbowy głos kamerdynera, jak huczne uderzenie w trąby tam, gdzie melodyjnie dźwięczała fujarka:

- Proszę jaśnie państwa, kolacja podana!

Cichy obraz wiejskiego dworku zniknął, wygalowany kamerdyner przypomniał pałac, obudził wielkość magnacką. Etykieta wypełzła na widownię. Pierwsza pani Idalia ocknęła się i podała jej rękę. Wstała, elegancko zgarniając suknię, i wzrokiem krytycznym obrzuciła niedbałe pozy wszystkich.

- Moi państwo, obudźcie się, idziemy do stołu! - zawołała z lekką ironią.

Pan Maciej podniósł się z westchnieniem, żałując minionej chwili. Lucia pod wzrokiem matki zerwała się zaróżowiona, Stefcia poprawiała włosy. Trestka nerwowo nasadzał binokle. Wstając spojrzał boleśnie na Ritę. Ona, odjąwszy ręce od twarzy, rzuciła powłóczyście oczyma na Waldemara.

Gdy wszedł kamerdyner, Waldemar zmiął kwiatek w ręku i mruknął przez zęby:

- Niech cię diabli!...

Teraz był zły na panią Idalię, a gdy powtórzyła: „obudźcie się państwo” - zacisnął usta i szepnął:

- Wściekła baba!

W ten sposób witał powracającą etykietę w osobie pani Idalii. Po kolacji nikt nie miał ochoty na weselszą zabawę. Panna Rita i Trestka odjechali wkrótce. Nawet Waldemar nie chciał nocować. Pojechał do domu w usposobieniu mrocznym, ale z przebłyskami jutrzenki w duszy.

## XXIII.

Nad wielkim jeziorem w Słodkowcach zaczynała się rozciągać niewyraźna przędza świtu. Woda leżała we śnie, milcząca, przybita ciszą w naturze. Gęsta mgła łączyła mleczną powierzchnię jeziora z takim samym kolorytem nieba. Nigdzie głosu, żaden oddech nie znamionował życia. Słaba pomroka ranna wchłaniała w siebie coraz więcej jasnych pasem. Poczynający się dzień w zaraniu zapowiadał pogodę. Niewidoczną była jeszcze, ale wyczutą. O słońcu, że się ma ukazać, szemrało coś w białej mgle. Niewidoczne laufry różanej jutrzenki wirowały wśród szarych pasem; gdzie przeszły z radosną nowiną, tam robiło się jaśniej. Gdy w locie dotknęły wody, fala leciutko błysnęła zmatowionym srebrem. Złoto, drogie kamienie miały przyjść potem, tymczasem spokojne błyski srebra zapowiadały przeszłe bogactwo fali. Moment dokonywanego aktu w naturze, mistyczna chwila budzenia się poranku roztaczała poważną ciszę.

Ożywić naturę mogły tylko głosy, zlane z nią, spojone nierozdzielnie: rozgwary ptasie i brzęczące korowody owadów. Ale rojne te gminy trwały jeszcze w uśpieniu. Zaledwie gdzieniegdzie wśród gałęzi zatrzepotały skrzydła budzącego się ptaszka, gdzieniegdzie lekkie bzyknięcie świadczyło, że powstający brzask wpełznął w zaciszne skrytki kory na drzewach, w zwinięte listki i w małe norki na piasku lub w trawie. Czasem wśród drzew zakwilił cichy głos, jakby obudzony ptak poziewał, strzepując resztkę snu z powiek. Ale z wolna tych kwileń i bzykań było coraz więcej. Świat się ocknął, w nieruchomym powietrzu zadrgało coś, zakręciło się, wionęło. To wstająca jutrzenka wysłała lekkie podmuchy różanych piersi na rozpędzenie mglistych pasem, szarych włókien snujących się nad wodą, powtulanych w kępy drzew. Żwawe, rześkie oddechy spełniały swe zadanie. Jak dzwonek sygnaturki kościelnej porusza pobożnych, nagląc do modlitwy, tak tu i tam kręcące się prądy rozsuwały czystą jasność dnia, budziły rozmarzone snem ptaki, motyle, nieprzejrzaną mgłę muszek i komarów. Szare włókna, wysłańcy świtu, uciekając przed wysłańcami dnia, przypadały do ziemi, wsiąkały w trawę i drzewa, zamieniając się w gęstą wilgoć, jakby w łzy żalu za tak krótkim panowaniem. Lekkie podmuchy rozpanoszyły się wszechwładnie. W przejrzystym powietrzu nad wodą igrały swobodnie raźne, wesołe. Jednolitość nieba i wody znikła, przedzielał ją teraz duży szmat żółtego ugoru za jeziorem i widna z daleka czarna aksamitka lasu.

Woda marszczyła się w drobniutką łuskę srebrną, coraz bardziej szlifowaną, coraz jaśniejszą, aż nagle sypnęły na nią cudne, różowe perły uriańskie i potop mieniących się opali. Niebo powitało jutrzenkę rumianą, złocistą, młodą i wyspaną, świeżą i uśmiechniętą. Świat stanął jak w złotej koronie. Delikatny róż rozbłysł na drgających listkach drzew, przesunął się na posępnych czubach świerków, zalśnił atłasem na żółtym ugorze, czarną wstęgę lasu owinął różowo-błękitnawą niepochwytną iluzją. Śliczna jutrzenka szła w górę nieba, rozsypując dokoła snopy promieni z boskich oczu. Świeciła, mieniła się, kąpała w wodzie, krasząc ją swym rumieńcem.

Świat zdumiał się! Chwilę stał oniemiały z zachwytu, po czym zerwał się dokoła głośny szum pochwalny.

Drzewa poruszyły czubami, zakołysały się liście, sypiąc roje różnobarwnych motyli. Zaintonowało kilka donośnych głosów ptasich i wnet zagrzmiała cała lutnia hucznie, wesoło, tryumfująco!

Wrzask ptaków, brzęk muszek i komarów, plusk wystrojonej fali - wszystko krzyczało, podając sobie wzajemnie wieść radosną:

- Różowa pani na niebie... prowadzi słońce... Dzień, dzień! pogoda, radość!

I hymny przepojone szczęściem leciały ku niebu wysoko, a musiano je tam słyszeć, bo jasny strop nieba stawał się coraz błękitniejszym. Niebo uśmiechało się do ziemi, a ziemia, śpiewając, słała również swe uśmiechy.

Nagle po opalowej fali popłynęła rzeka roztopionego złota, złotem zaświeciły drzewa, złoto sypało się w powietrzu.

Wzeszło słońce! piękne, majestatyczne, szczerozłote! Wrzawa powstała jeszcze większa, lutnia ptasia rozigrała się. Szczebioty, śmiechy, świsty, fruwania napełniły przestwory powietrzne, bijac w złoty pył, którym przesiąkły, jak w kastaniety. Wołania rwały się w górę:

- Słońce, słońce, król nasz! Dzwońmy mu, śpiewajmy, niech świeci, niech grzeje, niech złoci. Król! król!

A wspaniała, oślepiająca blaskiem tarcza królewskiego majestatu wznosiła się w górę poważnie, wolno, rozrzucając na ziemię miliardy iskier i błogosławiając Urbi et orbi! Miastu i światu!

Stefcia spuściła głowę na piersi. Uśmiech radosny znikł z jej twarzy. Jakby na przekorę roześmianej naturze, dziewczyna posmutniała.

Siedziała na kamiennej ławeczce nad brzegiem jeziora, wtulonej w zwoje brzóz. W nocy spać nie mogła i jeszcze przed świtem, w zupełnej pomroce, wyszła cicho z pałacu i przybiegła tu, na brzeg jeziora. Myślała o słońcu, czy wzejdzie...

Jej wieczór imieninowy zostawił coś niezatartego w jej duszy i myślach. Odczuwała, że jasność ta wschodzi w nią z innej, równie rozbudzonej światłości. Wiedziała, że jest świt, lecz jakiego dnia? Czy wzejdzie słońce, czy chmurny połysk stali? Ogarnęło ją zamyślenie i trwoga. Powoli mroki nikły i jej twarz jaśniała, w oczach coraz więcej błyszczało iskier, w duszy nadziei. Nieruchoma, zapatrzona i zasłuchana, w głosy natury od samego ich poczęcia. wchłaniała w siebie tyle barw, tyle złota, ile ich brała lala i kryształ powietrza. Aż rozjaśniło się promiennie, uroczyście.

Słońce wzeszło!

Razem z lutnią ptasią i ona wznosiła pieśni, choć milczące, ale równie piękne. Natura powtarzała to, co się działo w jej duszy.

- Słońce, słońce! Czy dla mnie?...

Znak zapytania zawisnął chmurą na świetlnym obrazie. Słońce wzeszło, brzmiały hymny radosne...

Ale czy dla niej?... czy dla niej?...

# XXIV.

Wystawa! Magiczne słowo, ściągające do środowisk ludzkich - jeszcze więcej ludzi, do zbiorników cywilizacji, wyczynów kultury - jeszcze więcej dowodów pomysłowości ludzkiej i genialnych zdobyczy wiedzy. Rojne ulice wielkiego miasta wypełniły się podwójnie, w hotelach brakło mieszkań, w ogrodach, restauracjach, cukierniach - wszędzie brzmiał niezwykły gwar.

Na dworcu kolejowym ruch ześrodkowywał się. Co chwila wpadały pod halę pociągi wypełnione publiką. Głównie jednak znać było zwiększenie przyjezdnych w pierwszej i drugiej klasie. Trzecia pozostała jednakowo pełna, bez różnicy. Czasem wysiadł ktoś z zielonego wagonu dążący również na wystawę, jakiś skromny wystawca lub kupiec inwentarza, mający dużo pieniędzy, a mało wymagań. Takich, którzy by jechali na wystawę dla przyjemności, tu się nie spotykało: do nich należały niebieskie i żółte bilety. niezwykły, świąteczny charakter przybrało miasto. Dopomagała do tego śliczna pogoda. Wrzesień całe swe złoto jesienne sypał na strojne ulice, ogrody i przybrany we flagi plac wystawowy - ciskał gorące, jasne smugi na twarze i stroje zebranych tłumów.

Środkiem głównej ulicy jechało wspaniałe lando, zaprzężone w cztery czarne, piękne araby. Uprząż lśniła od lakierów i nabijanych brązów. Stangret i lokaj w pysznej liberii wyglądali typowo. W głębi, na ciemnokarmazynowych poduszkach landa siedział Waldemar, wytworny, ubrany z pełną smaku elegancją. Często zdejmował kapelusz na powitanie znajomych lub oddawał ukłony. Strojny zaprząg i strojna postać właściciela robiły wrażenie; na chodnikach rozległy się pytania i odpowiedzi uświadomionych:

- Czyje to konie?... Kto to jedzie?...

- To z Głębowicz. Ordynat Michorowski.

- Ten magnat? On ma najwspanialszą stajnię na wystawie.

Waldemar jechał na kolej, gdzie miał spotkać dziadka i panie ze Słodkowic. Na dworcu była już panna Rita, Trestka i Wiluś. Ten gorączkowo chodził po peronie w oczekiwaniu pociągu.

Trestka żartował z niego, że opuścił kursa i tu przyjechał nie na wystawę, ale dla tego pociągu, jaki ma nadejść, i że z tęsknoty jest nieprzytomny.

Student odcinał się Trestce, jak umiał, lecz nie przeczył. Waldemar gryzł wąsy. Drażniło go to. Ale gdy po danym sygnale wyszedł na peron i zobaczył Wilusia, który stał na samym brzegu asfaltu, wychylony naprzód i wpatrzony w zbliżający się pociąg, nie wytrzymał i przechodząc koło niego rzekł z pewną ironią:

- Szkoda, że pan z bukietem nie wystąpił.

Student spojrzał na niego żałośnie, spuścił oczy i poczerwieniał.

Pociąg wpadł pod halę dworca. Waldemar szedł wolno i przeglądał okna pierwszej klasy. W jednym błysnęła twarzyczka Luci, polem ukazali się: pan Maciej i pani Idalia. Waldemar zaniepokojony wskoczył do środka zanim

jeszcze pociąg stanął; Stefcia. pochylona nad ławką, zawiązywała jakąś paczkę. Ordynat szybko podszedł do niej. podali sobie ręce w milczeniu. Spojrzał głęboko w jej oczy i przycisnął do ust jej rękę. Stefcia oblała się rumieńcem jak ogniem, len cichy hołd jego wstrząsnął nią. Lucia, widząc to, już się nie zdziwiła. Panna Rita. Trestka i Wiluś weszli równocześnie. Zaczęły się przywitania i głośna, urywana rozmowa.

Niedługo polem po głównej ulicy toczyło się znowu lando ordynata wiozące pana Macieja, baronową. Lucię i Wilusia Szeligę. W drugim powozie parokonnym, także z Głębowicz, jechała panna Rita ze Stefcią, Waldemar i Trestka. Rita mówiła:

- Wie pan? moje konie robią wenę. Pańskich nie prześcignęły, ale jednak są na wysokości...

- Moich koni czy aspiracji pani?

- Złośliwy! Do pańskiej stajni jeszcze nie dorosłam.

- Zabawne zestawienie!

- A ja jestem szczęśliwy, żem żadnej szkapy nie przyprowadził - rzekł krzykliwie Trest-

ka.

- Tak, to zwiększa pańskie szansę - zauważył z uśmiechem Waldemar.

- Właśnie o to mi chodziło.

Panna Rita utkwiła w nich obu ostry wzrok, który jednak nie miał własności zabójczych, bo się panowie tylko uśmiechnęli zamiast przestraszyć.

- O co to panu chodziło? i o jakich to szansach pan mówi, panie ordynacie?

Waldemar zrobił komicznie poważną minę.

- Ja mówiłem o wyścigu hipicznym, łaskawa pani sportsmenko.

- Jak to?

- Bo każdy z nas może wyścig przegrać, a kto koni nie posiada, ten ma zawsze szanse wygrania przez to samo, że nie będzie grał.

- Paradoks! A pan?

Trestka był zaskoczony.

- Ja? Ja mniej więcej to samo, co ordynat.

- Mój kochany panie, pozwól sobie na większą odwagę - zaśmiał się Waldemar.

Panna Rita wzruszyła ramionami i zawołała do Stefci:

- Co pani sądzi o tych oto panach?

- Że są w jakimś konflikcie z panią i że się państwo wzajemnie nie rozumiecie.

- Ech! nie powiedziała pani tego, czego chciałam.

W hotelu zebrało się już całe towarzystwo. Po powitaniach i przebraniu się wszyscy zeszli do dolnej sali restauracyjnej na śniadanie.

Było osób do dwudziestu. Dość ładna, lecz nieeuropejska sala przybrała natychmiast wygląd bardziej zachodni. Księżna Podhorecka i Maciej Michorowski nadawali główny ton zebraniu. Waldemar uświetniał je; zresztą wszystkie twarze rozpromienione, brzydsze lub piękniejsze, ale przeważnie

rasowe, miały pewną cechę wyłączną. Gustowne uczesania i stroje pań przy mniej lub więcej wytwornych postaciach męskich tworzyły całość zupełnie cywilizowaną i bardzo estetyczną. Ale w mieście tym nie wszyscy byli oswojeni z towarzystwem tego pokroju, zwłaszcza tak licznym: kilka osób, siedzących przy stolikach, po wejściu i rozlokowaniu się patrycjatu cichaczem wyszło do drugiej sali.

Wesołość zapanowała niezmącona, lecz utrzymana w tonie zastosowanym do stylowych postaci głównych: księżnej i pana Macieja.

Nie przeszkadzało to młodym bawić się z bujną swobodą. Sala, trochę za ciasna i za mało wykwintna, nieźle się jednak nadawała do utworzenia całości przygodnie wystarczającej. Kieliszki były z mierniejszego kryształu, choć restaurator powyciągał, co miał najlepszego, ale wina lały się dobre, a szkło, byle napełnione klasycznie i przy ożywionej temperaturze, dźwięczy zawsze jednakowo.

## XXV.

Wszystkie pawilony wystawy brzmiały życiem.

Mijały się z sobą rozmaite światy, różne sfery, jedną pchane myślą: obejrzenia, co najciekawsze. Ścierały się dysputy, największe tłumy dążyły na główny plac do rotundy drobnego przemysłu, ubranej w wieńce i chorągiewki, a przy wejściu w cieplarniane rośliny. Tam panowała zupełna rzeczpospolita. W dziale wyrobów wełnianych i hafciarskich aż mieniło się od jasnych sukien kobiecych. Płeć piękna otaczała gromadnie drewniane lalki, na których pozawieszano trofea jednego z pierwszych magazynów strojów damskich. W jakimś kącie przyjezdny kupiec sprzedawał jaskrawe hafty wschodnie. Tam znowu piętrzyły się koszyki, koszyczki, bombonierki z gładkiej i malowanej słomy. Dział stolarski miał kilka pysznych okazów, ozdobionych wypalaniem i ręczną malaturą.

Wszędzie gwar, huk ludzkiej fali, tysiące krzyżujących się rozmów. Często zwiększały hałas próbne pasaże na licznie tu wystawionych fortepianach. To amatorzy, próbując instrumentów wygrywali przygodne marsze ku uciesze tłumów. Tam znowu brzęczy pianola lub cicho piszczą skrzypce. Szum, zamieszanie, istna wieża Babel.

W innych działach ciszej. Pawilon pszczelarski w kształcie ula, pawilon rybołówstwa, ogrodnictwa, mający w sobie całe drzewa oblepione owocami, kwiaciarstwa i jedwabnictwa, wszystkie rojne i gwarne, ale z cechą wyłączną. Tam dążyło więcej starszych pań, gospodyń wiejskich. W dziale drobiu ponad głosy ludzkie wzbijały się liczne gęgania, gdakania, wrzaski perliczek, przeciągłe krzyki pawi, przy akompaniamencie trzepotania skrzydeł. Z dalszych klatek dochodziły monotonne, poważne chrapania i piskliwe głosiki trzody chlewnej. W pewnym oddaleniu, widne z daleka, piętrzyły się kolorowe maszyny krajowych fabryk. Głuchy turkot potężnych motorów ściągnął specjalistów: płynęły tam przeważnie męskie kapelusze, rozmowy

prowadzono cichsze, fachowe, jakby te olbrzymie machiny i ruch pasów przytłaczał ludzi mimo woli.

Tam, pomiędzy innymi, szedł Waldemar Michorowski, prowadząc panny, którym objaśniał poszczególne działy. Panna Rita, Stefcia i Lucia niosły wiązanki kwiatów, ofiarowane przez ordynata w dziale kwiaciarskim. Stefcia dostała pęk żółtych złocieni.

Weszły i zatrzymały się oszołomione ogromem jakiejś potęgi. Ogromne lokomobile i motory przykuwały wzrok do siebie. Wszystko było w ruchu, choć szybkim, jednak z tą charakterystyczną ciszą dobrego mechanizmu.

Stefcia i Rita nieprędko wyszły spod furkających pasów: obie lubiły ten rodzaj wytwórczości ludzkiej, ogarniało je wrażenie siły. Machiny imponowały jakby żywe jakieś twory. Waldemar objaśniał.

Mówił dobrze, ściśle i ze znajomością rzeczy. Dysputował trochę z Trestką i ze specjalistą firmowym. Pokazywał, jakich systemów machiny ma w Głębowiczach. Stefcia była zachwycona, ale Lucia zaczęła się nudzić:

- Chodźmy już stąd. Ciągle mi się zdaje, że mi jakiś pas zleci na głowę i że rozedrę suknię o te żelastwa.

Przeszli do działu powozów i uprzęży. Luci tu się więcej podobało.

- Waldy, kup do Słodkowic karetę - zawołała.

- Do Słodkowic? Przecież są dwie.

- Tak, ale twoje, a ja chcę, żeby mama miała swoją.

- Ma swoje lando i powóz. Jak będziesz, wychodziła za mąż, to ci karetę angielską zafunduję.

- Taką jak w Głębowiczach?

- Taką samą.

Stefcia i panna Rita oglądały damskie siodła. Jedno podobało się najwięcej: całe z jasnego zamszu, uzdeczki, naczolniki i pejcz nabijane srebrem, czaprak z błękitnego aksamitu, z wyhaftowanym srebrnym szlakiem.

Panna Rita spytała o cenę. Była bardzo wygórowana, ale Waldemar osądził przeciwnie i siodło kupił.

- Czy to dla przyszłej ordynatowej? - spytała Rita - bo ma pan pyszne siodła damskie w Głębowiczach...

- To przeznaczam do Słodkowic.

- Dla kogo?

- Dla panny Stefanii.

- Ależ ja prawie nie umiem jeździć! - broniła się Stefcia.

- Będziemy się uczyć.

Rita zaśmiała się nerwowo.

- Pan jest dziś un vrai chevalier de la generosite! Ofiarował pan Luci karetę, pannie Stefanii siodło, niechże pan i o mnie raczy pamiętać. Polecam się łaskawym względom.

- Dla pani wolę zaraz coś ofiarować - odpowiedział zaatakowany wesoło.

- Ciekawam!

Ordynat odszedł w inną stronę i po chwili wrócił z piękną pejczą

wytwornej roboty, z rączką oplecioną srebrnym drutem.

- Służę pani - rzekł oddając ją z ukłonem pannie Ricie.

- Dziękuję! Czy to na pana?

- Ha! jeśli zawinię względem pani.

- Zawinił pan, ale, niestety, prawo kary nie należy do mnie.

Obeszli jeszcze kilka ciekawych działów. Byli w psiarni głębowickiej, obsługiwanej przez rój psiarczyków w ciemnożółtych kurtkach, w palonych butach i pasach. Na głowach mieli płaskie brązowe czapeczki. Panował tam skowyt, charkot, piskliwe ujadanie szczeniąt i moc głosów, po których znawcy odróżniają gatunki. Odznaczały się pięknością taksy, psy gończe i charty. Wielki dog ordynata. Pandur, chodził swobodnie w ozdobnej, oksydowanym srebrem okutej obroży. Gdy weszła Stefcia, pies podbiegł w lwich skokach i poufale wsparł się na niej potężnymi łapami.

- Jak on panią poznał - szepnął wzruszony tą sceną Waldemar.

- O! bo my jesteśmy w przyjaźni!

- Chodźmy do koni! - zawołała panna Rita.

W stajniach spotkali znajomych panów. Konie ordynata miały powodzenie. Przed stajnią starszy stajenny trzymał za uzdę Apolla, otoczonego gromadką znawców. Objaśniał ich główny koniuszy głębowicki z pomocą kilku masztalerzy. Inni panowie oglądali klacze, przeprowadzane przez stajennych w ciemnopąsowych kurtkach i białych pantalonach; ci mieli czarne lakierowane buty z nakolannikami, wysokie kaszkiety ze złotym lampasem i mitrą nad paskiem. Dalej stały konie panny Rity, a wśród nich główną uwagę zwracał rosły folblut, anglik Buckingham. Rita. mówiła, że na tego konia liczy najwięcej. Istotnie dorównywał on pięknością folblutom ordynata.

Panie, słysząc specjalną rozmowę przy stajniach, cofnęły się. Do Waldemara podszedł jakiś wysoki, po sportsmeńsku ubrany pan i zdejmując kapelusz, przemówił grzecznie.

- Panie ordynacie, chcieliśmy zapytać pana o tego ogiera Apolla. Wszak to czysta rasa?

- Pełna krew, importowany wprost z Arabii jako źrebak. Ale... wybaczy pan, że teraz mówić o tym nie mogę: jestem z paniami.

- A... przepraszam, bardzo przepraszam!

un vrai chevalier de la generosite! (fr.) - prawdziwy rycerz hojności!

- Bliższych szczegółów udzieli panom mój koniuszy i przedstawi papiery Apolla. Ale koń nie jest na sprzedaż.

Sportsmen dotknął kapelusza i cofnął się z ukłonem. Ordynat i panie obejrzeli jeszcze kilka stajen; dochodzili do obór.

- Czy bydła panie nie są ciekawe? - zapytał Waldemar.

- O nie! - zawołała Rita - wracajmy do Idalki. Zemdliły ją pewnie te wędliny.

Pani Idalia była ekspertką wędlin i serów, uproszoną przez komitet wraz z innymi paniami. Hrabina Ćwilecka prowadziła ekspertyzę konfitur i win, młoda księżna Podhorecka najrozmaitszych wódek, miodów i nalewek.

Wszystkie siedziały w obszernym pawilonie wytworów wiejskich, ładnie udekorowanym. Towarzyszyło paniom kilku mężczyzn. Baronowa próbowała wędlin, podawanych jej na talerzykach z kartkami producentów i wygłaszała swe zdania.

Dużo przy tym było żartów, ale i czysto spiżarnianej rozmowy. Hrabina Ćwilecka spod oka patrzała na Stefcię i na złocienie w jej ręku. Gniewał ją ordynat, towarzyszący tej „nieciekawej trójce" - liczyła w to pannę Ritę i Lucię.

Pani Idalia, ujrzawszy ich, rzekła:

- Pewnie się lepiej od nas bawicie, bo ja już jestem horriblement fatiguee [okropnie zmęczona].

- Niech panie zmienią wędliny na konfitury, a wujeneczka niech od nalewek przejdzie do serów - żartował Waldemar.

- Dobra rada! a potem ty nas będziesz cucił, bo po takiej zmianie rozchorowałabym się na pewno.

- Jakże panie znajdują owe produkty?

- Są przeważnie wyborne. Zwłaszcza wędliny zasługują na uznanie.

- To dowodzi, że dobrych gospodyń u nas nie brakuje. Ma to dla kraju utylitarne znaczenie.

Jeden z panów zwrócił się do Waldemara:

- O ile się nie mylę, i pan, panie ordynacie, jest ekspertem.

- Tak, panie: narzędzi rolniczych, bydła i koni.

- I jak pan opiniuje?

- Ze maszyny i kultywatory nasze robią olbrzymie postępy. Wprawdzie nie doścignęły jeszcze zagranicy, ale to wada nie ustalonego systemu, brak intensywności w wykonaniu. Wina ta ciąży i na obywatelach, odbiorcach. Zanadto wierzymy w zagranicę: co zagraniczne, zyskuje uznanie, a co nasze, najczęściej ironiczny śmiech. Ale śmiać się łatwo, trudniej działać.

- Więc pan przeciwny jest maszynom zagranicznym? - spytał ktoś z grupy panów.

- Bezwarunkowo, ale w naszym kraju. My powinniśmy przede wszystkim dbać o to, aby własną glebę uprawiać własnymi narzędziami. Im większy będziemy kładli nacisk, tym ta presja da lepsze wyniki. Wówczas nasze fabryki zrozumieją, że trzeba postępować, bo jest dla kogo. Zwiększy się zdolność producentów, gdy się konsumpcja rozszerzy. Lecz nieprędko to nastąpi, mamy bowiem zbyt wielu starowierców Zachodu, którzy są ślepi i głusi na nasz postęp.

Wtrąciła się hrabina Ćwilecka:

- Zapomina pan, że zagranica daje nam to, czego w kraju znaleźć nie możemy, każdy zaś woli zagraniczne jedwabie niż miejscowe drelichy.

- Dobrze! ale niech pani stale kupuje drelichy i rozszerzy ich wytwórczość - mówię w przenośni - a z czasem dojdziemy do jedwabiów. Jest to w naszej mocy.

- Toteż pan stosuje u siebie swoje poglądy, słyszałam - odrzekła z ironią.

- Tak, stosuję i dobrze na tym wychodzę, a majątki moje choć mają wygląd zupełnie europejski, lecz przede wszystkim nasz własny, i tym się cieszę najwięcej. To jawny dowód, że przy dobrych chęciach rezultaty być muszą.

- Jednak dawniej zagranicą pan nie pogardzał, częściej przebywając tam niż tu.

- Nie przeczę! Nie tylko przebywałem, ale i hulałem tam. Lecz gdyby nie owe lata, nie miałbym dziś obecnego poglądu.

Hrabina umilkła zaczerwieniona z gniewu. Nie wiedziała już, co odpowiedzieć. A panna Rita utkwiła w niej złośliwo-szydercze spojrzenie, które hrabinę obezwładniało zupełnie.

Waldemar mówił dalej:

- Dzięki swym podróżom znam główniejsze źródła cywilizacji zachodniej i śmiało twierdzę, że powinniśmy iść z nią w zawody, badać pilnie dodatnie strony i stosować je u nas, bo nauka i wynalazki są dla wszystkich. Nie powinniśmy tylko oddawać obcym pieniędzy, malować się ich farbami, bo to co innego, i to zabija naszą indywidualność. Wytwarzajmy u siebie nie surogaty, ale rzeczy doskonałe, a przekonamy się, że i u nas głów ani rąk nie zabraknie. Będzie nam brakowało jedynie wytrwałości i patriotyzmu, tego zaś nauczyć się możemy w poglądowych lekcjach od Niemców i Anglików. Wiele punktów cywilizacji z trudnością da się u nas zastosować, lecz motorem do tego kultura i zawsze kultura. Gdy ona stanie się postulatem całego narodu, osiągnięcie celu już niedalekie.

Trestka obudził się z zamyślenia.

- Ordynat ma rację. Póty będziemy pogrążeni w ciemnościach, aż elektryczność u nas stanieje jak zapałki.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Waldemar zawołał:

- Brawo, panie Trestka! jesteśmy więc skazani na długie ciemności. Ale domyślam się, mówiłeś pan pod przenośnią do oświaty i kultury naszej. Nie świecimy elektrycznie, ale i nie zapałkowo; jedynie w pewnych okolicach lud nasz poprzestaje na owym mdłym światełku.

- Źle się wyraziłem. Mniejsza o to! Właściwie chciałem powiedzieć co innego, i to o postulatach. Gdyby wszystkie postulaty miały doprowadzać do celu, musiałbym dostać złoty medal za swoją oborę, a tymczasem przeczuwam, że czeka mnie najwyżej list pochwalny, i to wątpię.

- Owszem, osiągnąć pan może złoty medal, ale później. Hodowlę prowadzi pan zaledwo od paru lat. To za mało!

Stefcia szepnęła cicho do Rity:

- Pan Trestka ma inne, ważniejsze postulaty i również czeka złotej nagrody.

- Dostanie, jak zawsze, grochową.

Trestka zauważył ruch Stefci i domyśliwszy się treści jej słów, kiwnął zabawnie głową w jej stronę.

- Wiem, co tam pani przeciw mnie knuje, ale to już przestaje być moim dążeniem.

- Bardzo szczęśliwie, jak dla mnie. Ale i medalu za oborę pan nie dostanie.

Ja w tym!

- Szczęściem nie pani jest ekspertem, tylko ordynat.

- A propos! jak pan znajduje hodowlę bydła i koni? - spytał znowu Waldemara jeden z panów.

- Znakomicie! Wśród bydła i koni są okazy najróżnorodniejszych ras. Odznaczają się doskonałością linii i świetnym utrzymaniem. Tu widoczna intensywność chowu.

- A dlaczego pan nie ma obory głębowickiej?

- Miałem na poprzedniej wystawie w M.

- Pańska obora dostała wówczas złoty medal, pamiętam. Dziś za konie i zboża dostanie pan znowu medale, a ja pracowałem nad swoją oborą i nic - narzekał Trestka.

- Cierpliwości, panie!

- E! pan też niewiele jej zużył, nie siedzi pan wieki w Głębowiczach.

- Ale ma miliony i energię - podchwyciła panna Rita.

Waldemar z uśmiechem ukłonił się.

- Za ostatnie dziękuję.

- Za energię?... To każdy wie!

- Tegoroczna wystawa ma jednak okazowe działy - ozwał się książę Giersztorf, starszy człowiek, mocno już posiwiały.

Waldemar poruszył głowa.

- O tak! bardzo pocieszający fakt i obiecujący - rzekł z żywością. - Niektóre działy dowodzą, że nasz krajowy przemysł ma wielkie dane do rozwoju, nawet szybkiego. Zdolność w narodzie jest, nie zbywa na dobrych chęciach i pomysłowości. Tylko jak zawsze brak szerszej kultury ekonomicznej, głównie u niższorzędnych producentów, oraz inicjatywy płynącej z wyższych sfer. Potrzebna solidarność, a wyniki na przyszłość zapowiadają się bardzo dobrze. Nasze towarzystwo rolnicze powinno się zająć owym rozwojem z pomocą obywateli, zachować moralną i ekonomiczną jedność, uświadamiać włościan. Lecz aby utrzymać podobny system, pożądanym byłoby jak najmniej akcji starowierców Zachodu, obracających się do nas plecami i zapatrzonych w geniusz obcych narodów. Oni brużdżą, za wiele mają cudzych blasków w oczach, aby patrzeć na szarzyznę swego kraju.

Książę zatarł ręce.

- Zawsze to samo mówię: Jest to punkt najważniejszy. Nie może być solidarności tam, gdzie nie wszyscy są ożywieni jednym duchem patriotycznym. Zwłaszcza między nami zdarzają się najczęściej zachodowcy, całkiem egzotyczni. Ci na nasz kraj nie mogą mieć dodatniego wpływu, raczej ujemny, zarażający innych obywateli. Prezes hrabia Mortęski jest owiany tym samym duchem. Zresztą człowiek to bardzo wiekowy. Towarzystwo wasze rozwinęłoby skrzydła wówczas dopiero, gdy berło oddać w twoje ręce, panie ordynacie. Tak dzielnych ludzi jak ty mało mamy w kraju.

I książę z uznaniem podał rękę Michorowskiemu. On skłonił się, ścisnął dłoń księcia, którego bardzo wysoko cenił.

- Wdzięczny jestem księciu za jego opinię o mnie, ale hrabia Mortęski mógłby jeszcze wiele dobrego zdziałać. To człowiek zdolny, tylko poddający się wpływom. Gdyby inne wpływy, wszystko poszłoby inaczej. Książę mógłby się podjąć tego zadania.

- Ja jestem stary. Gdybym miał takiego syna jak pan, wówczas...

Dalszą rozmowę przerwało wejście koniuszego z Głębowicz. Był to postawny szlachcic, strojny jak na paradę. Mundur miał szamerowany złotem i złote sznury na ramieniu, błyszczące botforty aż za kolana z ostrogami. zamszowe białe rękawice i wysoką czapkę z białym pióropuszem. Wszedł, ukłonił się po wojskowemu i sprężystym krokiem zbliżył się do Waldemara.

- Proszę pana ordynata, przyszli do naszych stajen panowie eksperci.

- Idę natychmiast. Czy kapy z koni pozdejmowane?

- Wszystko w porządku.

- Dobrze! Proszę, niech Badowicz idzie, ja zaraz nadejdę.

Koniuszy ukłonił się i wyszedł z pawilonu równie majestatycznie, jak wszedł.

- No! złoty medalik brzęknie w pańskiej stajni - zawołał Trestka.

- Któż może wiedzieć? Ale jestem dość pewny swych koni.

Trestka pokiwał żałośnie głową.

- On może być pewny!

Po odejściu ordynata książę Giersztorf zwrócił się do pań:

- Przeszkodziliśmy paniom, w ekspertyzie, ale z ordynatem rozmawia się tak ciekawie, że chyba i panie nie są zbyt poszkodowane?

- Odetchnęłyśmy, zawdzięczając panom - rzekła uprzejmie baronowa Elzonowska.

Książę zacierał ręce.

- Ale ordynat! - mówił kręcąc głową. - Gdyby nam więcej takich, lecz...

Książę machnął ręką w sposób wiele mówiący.

## XXVI.

Na wielkim placu popisowym w środku wystawy, zebrały się tłumy publiki. Miał być wyścig hipiczny. Dokoła bariery otaczającej hipodrom falował gęsty wianek strojów męskich i kobiecych. Poza tym ruchomym i barwnym pasem wznosiły się trybuny, udekorowane w festony i chorągiewki. Bliżej wysunięte loże błyszczały świetnymi ubiorami pań, szumiąc z lekka gwarem rozmów, przeważnie prowadzonych w językach cudzoziemskich. Zebrała się tu sama arystokracja - wyborowe towarzystwo, strojne, rozbawione, z pewną odrębną cechą, znamionującą wysokie sfery.

Spod koronkowych obszyć wysuwały się białe ręce w eleganckich rękawiczkach lub obnażone i pokryte klejnotami. W uszach świeciły brylanty, na piersiach połyskiwały złote łańcuchy. Pyszne kapelusze wznosiły się dumnie na pysznych uczesaniach. Oczy błyszczały, uśmiechały się usta. Pełno było cichych rozmów i błyskotliwych dowcipów. Strojne, pachnące i

rozbawione loże w ogólnym zarysie miały wygląd piękny i spokojniejszy; zagłuszał je huk na innych trybunach i ruchoma fala publiki pieszej. Wyścig się rozpoczął.

Od stajen zbliżały się do startu eleganckie sylwetki jeźdźców na rasowych koniach. Skupiał ich przed sobą książę Giersztorf, ubrany w cylinder i długie palto z połami. Trzymał on kartkę z wyliczeniem nazwisk jeżdżących panów oraz ich wierzchowców i według spisu puszczał na tor. Wyjeżdżali po czterech. Konie szły z wdziękiem, brały przeszkody z mniejszym lub większym powodzeniem, ogólnie jednakże dobrze. Czasem obsunęła się deska z przeszkody, zaczepiona kopytami, ale nim drugi jeździec nadjechał, stajenni naprawili barierkę. Orkiestra na osobnej estradzie ożywiała i tak już szeroko płynące humory.

W jednej z większych lóż znajdowało się towarzystwo ze Słodkowic, księżna Podhorecka i Rita, strojna, świetna, ale niespokojna. Na jej koniu miał jechać Wiluś. Panna Rita była jak w gorączce. Siedziała obok Stefci i zaczęła jej się żalić:

- Czy tylko Wiluś dobrze weźmie przeszkodę?

- Chciałby na pewno, zależy to i od konia - odparła Stefcia.

- Dużo zależy! zwłaszcza, że Wiluś niezbyt świetny jeździec. Przy tym i Buckingham ma swe narowy.

- Czemuż nie jeździ kto inny? Na przykład pan...

- Trestka zapewne? O,dziękuję! Znarowiłby mi konia. Zresztą... nie chciałam. A Wiluś uparł się. Nauczyłam go tylko, jak ma postępować z Buckinghamem.

- Uważajcie, panie, ordynat wyjeżdża! - zawołał, wychylając się z następnej loży, baron Weyher.

Stefcia zwróciła oczy na tor i całą postacią podała się naprzód. Wyglądała ślicznie w kremowej sukni i strojnym białym kapeluszu. Nie miała na sobie żadnych błyskotek, tylko wpięła do stanika parę herbacianych róż. W innych lożach siedzące panie przyglądały się jej natarczywie. Niektóre dziwił poufały stosunek jej z panną Ritą, serdeczność pana Macieja, Luci i nawet zwykle mało przystępnej pani Idalii. Ta młoda dziewczyna z nazwiskiem nie „z towarzystwa", a wesoła, rozmowna, dowcipkująca śmiało z Trestką, który miał sławę zagorzałego sferowca, zaciekawiała nawet gniewała. Była dobrze ubraną, ładną i nie raziła niczym prócz nazwiska, lecz to wystarczało, by spoglądać na nią z ukosa. Ale Stefcia nie dręczyła się tym. Miała poparcie w licznym gronie z okolicy Słodkowic, a że wiele z tych osób uważano powszechnie za najpierwsze w wysokich sferach, więc czuła się swobodną pomimo nieprzychylnych spojrzeń innych. Teraz, kiedy wychylona z loży spoglądała na tor, nikt na nią nie patrzył. Każdy był zajęty tym samym.

Od startu ruszyło czterech jeźdźców: Waldemar, Trestka, młody Żnin i Brochwicz. Wszyscy na koniach ordynata, on sam na Apollu. W obcisłym ubraniu i żółtych sztylpach, w białych rękawiczkach, miał w swej postawie dużo klasycznej dzielności przy pewnym zanie-

dbaniu. Siedział jak przymurowany na koniu, z zimną krwią i wielką pewnością siebie. Spokojnie normował rozgorączkowanego wierzchowca. Był wspaniały. Trestka siedział i jechał pretensjonalnie, klnąc i wciąż majstrując koło binokli. Żnin miał minę znudzoną. Brochwicz najwięcej zbliżał się podobieństwem do Waldemara, tylko tamten go przewyższał. Bieg się rozpoczął. Chociaż wszyscy czterej równocześnie ruszyli, Apollo natychmiast wysunął się naprzód. Brał przeszkody z fantazją, bez trudu, jak piłka podrzucana w górę przez rakietę. Przejeżdżając w cwale naprzeciw lóż, Waldemar zręcznym ruchem uniósł w górę kapelusz. Odpowiedziało mu gorączkowe powiewanie chusteczkami zachwyconych pań. Stefcia ani drgnęła, tylko na twarzy jej wykwitły silne kolory i oczy pociemniały od wewnętrznego wrażenia.

Podobał jej się ten świetny jeździec. Cała jej dusza rwała się do niego, tysiące słów wyrywało się na tor, ale usta milczały. Siedząc bez poruszenia, mówiła sobie: „Nie można". Tym jeźdźcem był Waldemar Michorowski, ordynat głębowicki, pan z panów, magnat jeden z naj-pierwszych w kraju, noszący starożytne nazwisko, opromienione mitrą książęcą w herbie, w aureoli nieprzejrzanych szeregów hetmanów, senatorów, kanclerzy i wojewodów. A ona Ru-decka - ze starej i dobrej szlacheckiej rodziny, z rodziny bez skazy, ale tylko Rudecka. Budził się w niej bunt, zadawała sobie pytanie, dlaczego i ona nie może okazywać mu swych uwielbień, jak panie z arystokracji. Na trybunach zajmowanych przez inteligencję, nie arystokrację, panował również zapał, wzbudzony ukazaniem się ordynata, a nawet i w tłumie okalającym hipodrom. Ale Stefcia czuła, że będąc tam, szczerzej mogłaby objawiać swe zachwyty. Tu -nie wolno jej...

Konie obiegły tor dwa razy. Wszystkie przeszkody wzięto dobrze, przed ostatnim biegiem Waldemar dał rozkaz podwyższenia barierek. Przebiegając koło startu, porozumiał się z towarzyszami. Żnin i Brochwicz przyjęli zmianę, tylko Trestka zląkł się.

- Czy pan jest pewny Salamandry? - zapytał ordynata.

- Jej - tak! ale skoro pan siebie niepewny...

Konie ich rozniosły. Trestka wstydził się pozostać, lecz nie ufał sobie.

Podwyższone bariery zrobiły wrażenie w lożach. Pan Maciej obawiał się wyraźnie, Stefcia drżała, panna Rita była wprost zachwycona.

Ruszyli. Waldemar jechał na czele.

Pierwszy skok... Dobrze! Apollo przez mgnienie oka zawisł w powietrzu, spadł lekko na ziemię i pomknął raźno. Druga przeszkoda... Dobrze!

Trzecia, czwarta... Doskonale!

Apollo szarżował dzielnie, pierwszy dopadł do startu.

Książę Giersztorf winszował, z lóż brzmiały brawa. Wszystkie konie ordynata popisały się dobrze, ale najlepszym jeźdźcem był sam ordynat: potrafił kierować wierzchowcem swobodnie i zręcznie. Apollo fruwał nad barierami lekko, bez wysiłku. Żnin i Brochwicz przesadzali sztywniej. Trestka na Salamandrze, ślicznej gniadej wierzchówce ze Słodkowic, jadący na

końcu, zaczepiał o każdą barierę, gdyż ściągał nadmiernie cugle, widocznie bojąc się. Rasowa klacz cierpiała nad swym upokorzeniem, szła wdzięcznie, płynnie i czuła się na siłach zawiśnięcia w powietrzu. Ale obawa jeźdźca udzielała się i jej. Ściągnięta w pysku, traciła pewność siebie, gorączkowała się, za każdym uderzeniem kopyt w deski barierek drżała nerwowo, zdwajając pęd. Przed nową przeszkodą wznosiła głowę do góry, jakby z dumą i zapowiedzią, że teraz już weźmie, że się wyzbyła lęku, że okaże swe zdolności. Ale Trestka, przestraszony widoczną determinacją klaczy, ściągał gwałtownie cugle, zaciskał kolana i kopyta uderzały znowu w deski. Tak dopadł do startu.

- Szlachetne zwierzę, ale słaby jeździec! - odezwał się dość głośno książę Giersztorf.

Waldemar, zły, podsunął się do Trestki i rzekł z wymówką:

- Panie, trzeba mię było uprzedzić, że pan się obawia. Ostatniego biegu mógł pan nie próbować.

- Ale ba! wszyscyście lecieli na złamanie karku, ja sam cofnąć się miałem? Ta pańska szkapa warta kuli w łeb. Myślałem, że mnie diabli wezmą. Ja te uderzenia dotąd czuję w głowie.

Wtrącił się książę „starter”:

- Klacz dobra, tylko pan nie nadaje się do arabów, panie hrabio. Nic trzeba się było afiszować. Mógł pan zresztą jechać na folblucie, może angielska krew prędzej pasowałaby do pańskiej gorączki. A tak wyszło fiasko!

Trestka zrzucił binokle.

- Nie mam weny, c'est sur! to pewne! To mię pociesza, że pewno nikt na mnie uwagi nie zwrócił. Byli lepsi!

- A panna Szeliżanka? - zapytał Brochwicz.

- Ech! może nawet nie widziała, że jeżdżę.

Na drodze do stajen konie musiały iść wolno, gdyż tłumy publiki cisnęły się, by lepiej widzieć wracających jeźdźców. Jakaś młoda osoba, nieźle ubrana i przystojna, patrzała chciwie na ordynata i w chwili kiedy koń jego przechodził obok, zawołała dość głośno:

- Jaki dzielny i jaki piękny!

Waldemar, chociaż zamyślony, usłyszał i spojrzał na nią z roztargnieniem; widząc zachwycony wzrok utkwiony w siebie, uśmiechnął się zrobił mimowolny ruch ręką do kapelusza, co nieznajomą panią zachwyciło jeszcze więcej. A on spoważniał. Przyszło mu na myśl: czy też Stefcia widziała go dobrze i czy jej się podobał. Po czym szepnął do siebie w duchu:

- Zaczyna interesować mnie własne powodzenie? Nadzwyczajny objaw.

I lekko wzruszył ramionami.

Rozpoczął się nowy bieg. Teraz pomiędzy innymi jechał Wiluś na Buckinghamie. Zniżono bariery do dawnej wysokości. Panna Rita, stojąc w loży, niespokojna, drżąca, cisnęła przez zęby:

- Buckingham wziąłby wyższą przeszkodę, ale nie z Wilusiem. Byłoby tak jak z Trestką.

Cały czas stała wychylona, przed każdym skokiem koni krzywiła twarz, jakby doznając

fizycznego bólu. Ale bieg udał się. Wiluś przesadzał i jechał śmiało, z dobrą miną, rzucając ukośne spojrzenie na lożę, w której siedziała Stefcia. Walczył pod jej sztandarem.

Gdy bieg się skończył, Rita odetchnęła.

- A co! Wiluś a de la chance! [Wiluś ma szczęście]. Trochę mi żal wyższych przeszkód, ale taką wysokość mogły brać jedynie konie ordynata, znakomicie trenowane. Weźmie złoty medal, bez kwestii.

- A pani? - spytała Stefcia.

Wtem obok ich loży jakiś młody głos kobiecy przemówił po francusku. Jednocześnie rozległ się wesoły, kokieteryjny śmiech.

Stefcia spojrzała w tę stronę.

Młoda panna, wysoka, śniada, bardzo piękna brunetka ubrana strojnie, szła obok lóż w towarzystwie starszego pana i dwóch młodszych. W jednym z nich Stefcia poznała księcia Zanieckiego. Panna Rita wychyliła się także i z pośpiechem odrzuciła w tył swą pyszną figurę, zagryzając wargi.

- To Barska z ojcem - szepnęła do Stefci.

Obie cofnęły się w głąb loży. Hrabianka wstępowała na schody.

Pani Idalia witała pierwsza z wielkim wylaniem czułości, księżna Podhorecka uprzejmie, lecz poważnie. Lucia chłodno. Kilku panów z następnych lóż podniosło się, idąc z powitaniem i szablonowym uśmieszkiem na ustach. Hrabianka tryumfowała. Panna Rita nachyliła się do Stefci i udając, że nic nie widzi i nie słyszy, mówiła:

- Widzi pani ten tłum?... o! widzi pani?... Niech się pani nie ogląda... A co, dobrze idą konie?... Proszę słuchać, jak się rozczula Idalka... jak dla własnego syna... Piękne konie!... Niech się nią nacieszy, ale nic z tego! Ach, ta wystawa!...

Stefcia słuchała ubawiona i wpadając w ten sam ton, odpowiadała również bez sensu. Obie panny miały wygląd bardzo zainteresowany... wystawą.

Ale hrabianka, witając się, podeszła już zbyt blisko. Udawać dłużej było niepodobieństwem, zwłaszcza że hrabia Barski zawołał głośno:

- Ah! mademoiselle Marguerite! Bonjour! zachwycałem się Buckinghamem. Pyszny koń!

Panna Rita doskonale udała zdziwienie.

- Gdzież hrabia był? Nie widziałam go w lożach!

- Byliśmy w loży przy trybunie sędziów. Jest i Melania. Otóż i ona.

Podczas powitania dwóch pań hrabia patrzał z ukosa na Stefcię, nie wiedząc, kto to i jak wypada się wobec niej zachować. Ale wybawiła go z kłopotu panna Rita:

- Hrabia Barski... panna Rudecka.

Forma prezentacji sprawiła, że hrabia przywitał Stefcię jak osobę „z towarzystwa” - nawet podobała mu się, ale w głowę zachodził, skąd ona jest. Zmarszczył brwi i przebiegł myślą Niesieckiego, szukając nazwiska

Rudeckich. Hrabiankę i Stefcię panna Rita poznajomiła również w sposób nie wzbudzający podejrzenia. Hrabianka była wesoła, lecz jakby zaskoczona. Nie szperając w Niesieckim jak ojciec, na równi z nim rozmyślała, kto to być może. Ją przede wszystkim uroda Stefci dotknęła niemile.

Rozmowa zaczęła się lekka, uprzejma, z obopólnym zaciekawieniem, lecz małą dozą sympatii. Zbliżenie się panów od startu zmieniło ton, hrabianka skierowała ku nim całą swą postać, humor, dowcip. Ordynat miał powodzenie. Winszowano mu gorliwie, co go jednak nie wzruszało. Z konieczności znalazł się w orszaku hrabianki, wciąż przez nią zaczepiany. Trestka usiadł obok Stefci i Rity.

- Wszyscy chwalą ordynata, mogłyby choć panie mnie pochwalić - rzekł niby żartem, ale kwaśno.

Panna Rita wzruszyła ramionami. Stefcia zaczęła mu dowodzić, że gdyby nie nieszczęsna trema, wszytko byłoby inaczej.

- Ale wyglądał pan nieźle - zakończyła z komiczną powagą.

- Nieźle! dziękuję za łaskę, nie wysadziła się pani na komplement.

- Bo też nie miałam go na myśli.

- Ale za to pani robiła wenę. Buckingham mógłby o tym coś powiedzieć, a nawet i Apollo...

- A pańska Salamandra? - podchwyciła żywo Stefcia.

- Salamandra nie darmo nosi swą nazwę: żaden płomień jej nie wzruszy.

- Tylko dobry jeździec.

- Sapristi! Do licha! pani zaczyna być gorzką. Zawsze jednak jest pani szczerą, a to wolę od fałszywych pochwał, jakimi witała mię hrabianka Paula, mrugając na tego osła Weyhera. Do diabła! przecież nie potrzebuję jej protekcji.

- Staje się pan niemożliwym, panie hrabio.

- Pardon! otworzyłem swój codzienny słownik, zapominając o obecności pań. Pardon!

Hrabia Barski śledził rozmawiających i upatrzywszy chwilę, spytał Zanieckiego, poruszeniem brwi wskazując na Stefcię:

- Qui est-ce? Któż to?

- Nauczycielka i dame de compagnie [dama do towarzystwa] małej Elzonowskiej, mademoiselle Stephanie Rudecka.

Hrabia nasrożył się. Wielkie, okrągłe jego oczy zbielały z oburzenia.

- Nauczycielka?... A cóż znowu ta Rita? Czy to szykana?...

Zaniecki z porozumiewawczym uśmieszkiem szepnął do hrabiego:

- Jest bardzo dobrze uważana. On l'accepte tres bien [bardzo dobrze się ją przyjmuje], szczególnie starszy Michorowski... i ordynat.

Barski rzucił na Zanieckiego bystre, niespokojne spojrzenie. Dumne usta magnata skrzywił ironiczny grymas.

- Ja uważam, że wszyscy. Que c'est ridicule! [To śmieszne!] I skąd ona jest?...

- Córka jakiegoś obywatela z Królestwa.

- Ach! więc szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie? Minęły te czasy, a w rzeczywistości nigdy nie istniały.

- Mais elle n'est pas mal? [Nie jest brzydka?]

- Oui, pas mal. Tak, niezła. Tylko ta Rita...

Hrabia skrzywił się. nie dopowiedziawszy myśli, że panna Rita popełniła wielki błąd w prezentacji. Bo można mieć wśród siebie wiele osób „innych", zwłaszcza w miejscu publicznym, ale trzeba zawsze wiedzieć, kto kim jest. Hrabia zrobił ruch ręką. jakby mówiąc:

- Nie można zresztą tego wymagać od Szeligów.

I wielką swą głowę barską tryumfalnie wzniósł do góry.

# XXVII.

Bezpośrednio po wyścigu odbyło się wręczanie nagród. Przed ładnym pawilonem wysoki dygnitarz miasta wygłaszał nazwiska nagrodzonych wystawców, po czym z odpowiednim przemówieniem rozdawał nagrody. Orkiestra wykonywała huczną fanfarę, jakby akompaniament. Konie ordynata otrzymały złoty medal, ofiarowany właścicielowi z nadzwyczajną uprzejmością, z całą serią miłych stów i uśmiechów. Wysoki dostojnik umiał odpowiednio falować swą postacią i doborem słów. Panna Rita dostała srebrny medal, ocukrzony dobrym frazowaniem i uśmiechami już więcej zalotnymi. Skromniejsi wystawcy dostawali nagrody w mniej wytwornych ramach, grzecznie, ale bez naddatków.

Wieczorem, po koncercie i odwiezieniu pań, w wesołej restauracji Hofmana zebrała się pewna część panów z magnaterii.

Oświetlona sala pełna była dymu z cygar i zapachu win. Orkiestra cygańska grała skoczne, dzikie melodie. Brzęk kastanietów, targanych przez namiętne dłonie smagłych Hiszpanek, mieszał się z krzykliwymi głosami cygańskich śpiewaczek. Barwne stroje, gorejące oczy, wycięte staniki kobiet, dowcipy, śmiechy nadawały temu zbiorowisku ludzi wygląd przedpiekla.

W jednym z gabinetów siedział przy fortepianie Brochwicz i z nadzwyczajną gestykulacją wygrywał Małgorzatkę. Trząsł głową i rozwichrzoną czupryną; śmiały mu się ładne ciemne oczy, białe zęby błyskały wesoło.

Nagle obejrzał się i zawołał:

- Trestka, do chóru!

Młody hrabia podszedł powoli, stanął przy fortepianie, umocował binokle i wpatrzony w jeden kąt sali. zrobił taki ruch szyją, jakby sobie poprawiał w gardle jakąś ukrytą maszynę.

Brochwicz roześmiał się.

- No? aparat gotów?

- No! no! zaczynaj - burknął uroczysty Trestka.

Małgorzatko, godna uwielbienia,

Małgorzatko, nie bądź że z kamienia!
Małgorzatko, mej miłości wierz...

- Ha! ha! ha! - wybuchnął śmiech ogólny.
- Cóż znowu? - obejrzał się obrażony Brochwicz.
- Do kogo pan to śpiewa, panie Trestka? - posypały się pytania.
Trestka zaperzył się.
- Jak to? śpiewam Małgorzatkę, nie słyszycie, panowie?...
- Brawo, panie, brawo! Nie mógł Jurek dobrać dla pana stosowniejszego śpiewu.
- Albo co? - zdziwił się Brochwicz. Nagle wybuchnął śmiechem.
- Ach, prawda! Bajecznie! Dalej, Trestka, śpiewajmy.
Zaczął nucić:
- Małgorzatko - Margaritko - Ritko...
- Czyś się wściekł? - huknął Trestka.
- Śpiewałeś pan przecie mniej więcej to samo.
Trestka zakręcił się na pięcie.
- Sapristi! - zawołał zły i poszedł w kąt sali, w który się przed chwilą wpatrywał.
- Powariowali - mruknął Wiluś Szeliga.
Śmiech trwał jeszcze.
- Gdzież ordynat? Obiecał przecie być - zapytał Żnin.
- Spóźnia się. Ha! każdy ma swoją Małgorzatkę - zadeklamował Brochwicz.
- Daj pan spokój, bo jak usłyszy... - obejrzał się Żnin.
- Natrze wam uszu za siebie i za mnie - mruknął Trestka, ale go nie dosłyszano.
- Jednak przyznacie, że ta Stefcia ma w sobie diablika. W niej coś po prostu goreje -rzekł Brochwicz.
Żnin podniósł palec na wysokość twarzy i kiwając nim, jakby komuś groził, rzekł z przyciskiem:
- To esencjonalna dziewczyna, tylko nie bardzo pozwala badać temperaturę swych gorejących oczu.
- Ale może pozwoliłaby ją podnieść - mruknął baron Weyher.
- W każdym razie nie panu - sarknął Wiluś.
- No!... i nie panu także.
- Do tej chemii ma najwięcej zdolności ordynat.
- I szans, proszę dodać.
- Moi panowie - dodał Brochwicz - uwagi o pannie Stefanii radzę zakończyć przed wejściem Michorowskiego, inaczej bowiem, w tym gabinecie temperatura może się podnieść do takiej skali, że zostaniemy zwęgleni.
- Czyż ordynat aż tak jest podniecony? - spytał Zaniecki.
- Il l'adore! przy tym jej duma bierze go na munsztuk. to królewiątko w

skórze szlacheckiej .

- Mimo to nie widzę dla nich dość wyraźnej sytuacji.

- Michorowski ją sobie sam znajdzie bez pańskiej pomocy, pomaluje, na jaki zechce kolor.

- A la Pompadour. Prawda?

- Nie, prędzej a la chapelle!

Młody książę Giersztorf oburzył się.

- Cóż znowu! o ile znam pannę Rudecką, ona nie zostanie kochanką ordynata, a znowu Michorowski z nią się nie ożeni.

- O ile go pan zna? - podchwycił Brochwicz, podnosząc brwi.

- Na pierwsze się zgadzam, ale drugie już podlega kwestii. Michorowski jest jak ogniotrwała kasa sztucznie zamknięta. Otworzyć go bez jego własnej pomocy nie zdołamy, tym bardziej zajrzeć, co on w sobie nosi.

- Jeżeli jest jak ogniotrwała kasa, to powinien wytrzymać pożar oczu Stefci - rzekł Trestka.

- Ona go przepali! - mruknął Brochwicz. - Niebiańsko cnotliwa, ale w oczach nosi diabła, i to z rodziny niebezpieczniejszej, bo z temperamentu. Kokieteryjny diabeł nie znalazłby u ordynata poparcia, nawet oddźwięku.

Żnin podniósł głowę i pokiwał nią w sposób twierdzący, mówiąc z przekonaniem:

- O! temperament Stefcia ma, a że królewiątko, to lepiej. Największa właśnie rozkosz zdjąć ową koronę. Taka detronizacja ma szampańskie własności! Gdybym wiedział, że mi się uda, chciałbym zostać bodaj paziem. Czasem skromne posady wynoszą bardzo wysoko... Cóż mię pan tak zjada oczyma? - spytał, spostrzegłszy wściekłą minę Wilusia.

- Czekam, kiedy pan skończy swą tyradę o pannie Stefanii - odrzekł szorstko student.

- A cóż to panu przeszkadza? Ej, panie Wilhelmie! masz pan minę, jakbyś był moim współzawodnikiem w owej obiecanej posadzie. Niech się pan tak nie unosi, bo gotowiśmy sądzić, że się pan kocha w pannie Stefanii.

Il ladore! (fr.) - Uwielbia ją!

a la chapelle (fr.) - w kolorze kaplicy

Brochwicz podniósł ramiona.

- Odkrył Amerykę! - zawołał z dowcipną miną. - Pyszny pan jesteś! Zapleśniałe prawdy bierzesz za swój wynalazek i jeszcze zastrzegasz czas przyszły.

Żnin roześmiał się.

- Ach, tak! brawo, panie Wilhelmie! Trzeba jednak przyznać, że pan ma dobry gust. Jeśli i szansę będą równe...

- Cicho!... Ordynat!... - szepnął Trestka.

Wiluś zaśmiał się ironicznie.

- Szukajcie panowie nowego tematu do żartów, ten już traci kurs.

Waldemar wszedł prędkim, elastycznym krokiem i rozejrzał się bystro dokoła.

- Cóż, dobrze się bawicie? - spytał wesoło.

- Nieźle! - zawołał Brochwicz.

- Cóż Trestka siedzi jak zgalwanizowany?

- Obrażony na ekspertów, którzy za jego krowięta i wolęta nie obdarzyli go złotym medalem - wołał Brochwicz.

Ale Żnin mu przerwał:

- Nie, powód jest inny. Hrabia Trestka przed chwilą śpiewał Małgorzatkę i treść tego utworu pobudziła go do rozmyślań.

- Pan śpiewał Małgorzatkę? - spytał z uśmieszkiem Michorowski. - Bardzo trafnie!

Trestka utkwił w nim żbicze oczy.

- A pan co robił tak długo? - zapytał.

- Ja?... byłem na wystawie. Zachorowała Salamandra. Weterynarz mówi, że z przepracowania - dodał Waldemar śmiejąc się.

Brochwicz klasnął w dłonie.

- Ależ naturalnie! Trestka obudził w niej chorobę nerwową: dostanie histerii niewątpliwie. Patrząc na nich, jak biegali w wyścigu żałowałem, że nie jestem w skórze tej klaczy; z irytacji zrobiłbym ruch, który by wyniósł Trestkę ponad bariery, ba! nawet ponad hipodrom, a dla osłodzenia mu tej zniewagi cisnąłbym go w lożę panny Rity.

- No, Jurek! daj mu spokój! - rzekł Waldemar. - Muszę waszą uwagę zwrócić na pewien fakt z dnia dzisiejszego, który mię oburzył. Ale co to! nie macie wina?...

- Prawda! nie pomyśleliśmy jeszcze o tym.

- Hej, służba! - zawołał ordynat.

Zwrócił się do towarzyszy:

- Będziecie co jeść?

Spojrzeli po sobie.

- Chyba nie, jesteśmy po kolacji.

- Ja jem ostrygi - rzekł Brochwicz. - No, ostrygi można i homary.

- Ostrygi, homary i szampan - rzekł Waldemar lokajowi.

Brochwicz pociągnął Michorowskiego za rękaw i szepnął:

- Waldy, przyjrzyj się tej bandzie Cyganek. Pikantne, co?... szczególnie ta w cekinach: oczy ma jak Wezuwiusze! A Hiszpanki? mnia, mnia! Ho, Hofman popisał się, frontowe okazy!

Waldemar spojrzał przez półotwarte drzwi i lekko wzruszył ramionami.

- Fertyczne papugi - rzekł częstując towarzyszy cygarami.

Brochwicz rozgniewał się.

- Diablo jesteś lakoniczny!

Wszedł książę Zaniecki ojciec, hrabia Morykoni, zięć księżnej Podhoreckiej, i książę Franciszek Podhorecki. Za nimi majestatycznym krokiem wtoczył się hrabia Barski. Wyniesiono szampana, kilku panów podeszło do stołu. Ordynat wypił kielich wina i rzucił się na fotel. Palił cygaro w milczeniu. Muzyka grała w sali dziko i hucznie.

- Wracam do swego - rzekł ordynat - czy uważaliście, panowie, dziś, w czasie rozdawania nagród, jeden fakt? Co was uderzyło?...

- Układna mina gubernatora, gdy ci wręczał medale, i zdziwione oczy Trestki, gdy mu nic nie dano - rzekł Brochwicz.

- Hrabia Trestka dostał pochwalny liścik, o ile wiem - wtrącił książę Zaniecki.

- Ho! ho! ho!

Waldemar puścił kłąb dymu.

- Nie żartujcie! Ale fanfary nie zdziwiły was?...

Książę Giersztorf odwrócił się od stołu.

- Fanfary! Owszem! trochę zanadto wyróżniały wystawców z tytułami.

- Ależ to skandaliczne! - zawołał Waldemar i zerwał się z krzesła. - Taka rzecz tolerowaną być nie może. Jest to drobnostka, ale już świadczy o stronniczości. Słyszeliście, panowie? Ile razy otrzymał nagrodę ktoś z naszej sfery lub nawet z plutokracji, orkiestra głuszyła wszytko, fanfary grały długo i dobrze. Gdy zaś kto z przemysłowców, tych skromniejszych, z drobnych obywateli lub ktoś z mniej znanych wystawców z Warszawy, fanfary ledwo raczyły się odzywać, a zauważyłem, że parę razy milczały zupełnie. To wstyd! to wina organizacji! Cóż u diabła! kto słyszał robić takie różnice? Albo się jest wystawcą, albo się nim nie jest! Skoro kto odznaczył się i dostaje nagrodę, fanfara powinna zagrać tak samo Michorowskie-mu, jak i każdemu panu Dziurdzialskiemu czy Łapciakiewiczowi. Tu różnic być nie powinno, a były, i bardzo krzyczące. Ci wszyscy panowie pokrzywdzeni w tym względzie nie będą się skarżyli, bo to niby drobnostka, ale będą szemrali, a dowcipniejsi wezmą nas na zęby. Wiedzą, że w komitecie organizacyjnym jest najwięcej członków z naszej sfery, a to wygląda na lekceważenie i dla wystawców nie może być zachęcającym. Mówiłem o tym prezesowi, ale...

Waldemar podniósł brwi.

- A co, nieprawda? - rzekł młody książę Giersztorf- hrabia Mortęski, zacny skądinąd staruszek, ale widzi na metr przed sobą, a słyszy na kilka uncji. Mój ojciec zna go dobrze.

Michorowski wzruszył ramionami.

- To prawda! i przy tym hrabia patrzy w naszą sferę jak w lustro, nie uważając na ramy.

- Jak to? - spytało parę głosów.

- Bardzo prosto: hrabia popiera wystawców z arystokracji, nie oglądając się na innych, których jest więcej, z ziemiaństwa, z przemysłowców, z mieszczan i nawet z włościan. My jesteśmy lustrem - dobrze, ale to są nasze ramy: bez nich i lustro mniej warte. Bez tych mas nie byłoby nas! A tymczasem zamiast ich zachęcić do postępu, to się ich na wystawach dla tego celu organizowanych wprost zraża. Taki przykład, fakt, jak z tym włościaninem z Lubelskiego. Że on nie dostał srebrnego medalu za swe pszczelnictwo, to jest niesprawiedliwość krzycząca, to prawie rozbój! List pochwalny tam, gdzie jak na włościański produkt i pomysłowość mógł być złoty medal! To nie zachęca,

to odstręcza i tym samym zmniejsza postęp.

Michorowski podszedł do stołu, strzepnął popiół z cygara i wypił znowu kielich szampana.

- Ostrygi wyborne! Nie skosztuje pan? - spytał Zaniecki.

- Dziękuję!

- Waldy, zjedz homara... mówię ci, zjedz homara! - nalegał Brochwicz.

- Ja polecam ostryżki - mówił pan Świrko, stary kawaler i pieczeniarz.

Włóczył się za arystokracją i nigdy nie opuszczał sposobności, aby się dobrze najeść i napić.

- Ja polecam ostryżki - mówił schylony nad talerzem - tłuściutkie, smaczne, milutkie, prawdziwe pieszczoszki. Niech pan ordynat raczy spróbować jedną... o tę, tę figlarkę. Jaka apetyczna, co? Po niej przyjdzie ochota na wszystkie.

- A dajcież mi pokój z ostrygami! - odrzekł niecierpliwie Waldemar.

- Jemu się coś stało! On skapcaniał! - wołał podchmielony Brochwicz.

Książę Zaniecki, który nie pił za dużo wina, ale za to mocno niepokoił się synem i jego rozmarzonymi oczyma, podszedł do spacerującego Waldemara.

- Pan ma słuszność, zbłaźniliśmy się. Ale mówiłem panu już dawniej, że Mortęski to mumia - dodał ciszej. - On wierzy tylko w wyższe sfery, sam obracając się w najwyższych.

- Więc czerpie swą potęgę z obowiązujących uniformów? Ha!... strój wprawdzie błyszczy z daleka, ale to nie zaszczyt.

Zbliżył się do nich hrabia Barski.

- Słówko, panowie! - rzekł z miną, jakby zapowiadał zbombardowanie świata - Słuchałem, co mówił ordynat, i dziwię się. Jednak pewne odróżnienie między patrycjatem a plebsem być musi. Mówię o fanfarach, to wielki, według mnie, takt dyrektora orkiestry.

- Osioł - zmełł w zębach Waldemar.

- Co zaś do wystawców, wszyscy zostali ocenieni dobrze: nie można zbytnio wysuwać naprzód drobniejszych producentów bez zaćmienia większych.

- Więc hrabia nie znajduje miejsca dla prostej sprawiedliwości, dla bezstronnego sądu? -wybuchnął ordynat. - Więc na cóż jest ustanowiona ekspertyza? Wywieśmy na wystawie wielki szyld opiewający naszą chwałę i zasługi, a na wytwory niższych producentów nie zwracajmy uwagi. Zróbmy już świństwo zupełne, kiedy się do tego dąży.

Hrabia Barski wzniósł głowę jeszcze wyżej. Zaokrąglone oburzeniem oczy magnata zwróciły spojrzenie na twarz Waldemara. Rzekł tonem mentorskim:

- Za pozwoleniem! szyld my już mamy, nie potrzebujemy go wywieszać. Naszym szyldem jest nasza sfera i ona powinna kierować masami. Na wystawie dajemy pole wszystkim producentom, możemy ich oceniać i nagradzać, ale... w miarę.

- Głupstwo! - mruknął Waldemar.

- Przyznam się hrabiemu, że niezupełnie rozumiem - rzekł młody

Giersztorf. - Czy to ma znaczyć, że musimy liczyć się z postępem niższych mas, aby nie dopuścić zrównania z nami?

- Hrabia widocznie ma na myśli owe ramy lustrzane, jakie porównałem do tych mas -rzekł z pyszną miną Michorowski. - One, według mniemania hrabiego, rozszerzając się, mogą nas kiedyś zdruzgotać. Obawy przedwczesne, ale słuszne, bo w kulturze wieków my będziemy się zwężać, oni rozrastać, aż nastąpi kataklizm przypominający potop. Zaleją nas te masy, jeśli nie będziemy mieli Noego, który by dość wcześnie pomyślał o arce. Ale i tu jeszcze w interesie naszym leży uświadamiać masy, szerzyć postęp, zachęcając bodaj w drobnostkach. Przez to zasłużymy na wdzięczność potomków naszych, bo lepiej być zatopionym w czystej bieżącej wodzie niż w brudnej kałuży. Postępując wedle programu hrabiego, nie zyskiwalibyśmy zwolenników, lecz wrogów, co już dla nas najmniej pożądane, nawet niebezpieczne.

Hrabia patrzał zdumiony, z miną pyszałka, który widzi, że jego dzieło toczy robak. Namyślał się nad wyborem stosownej broni do zmiażdżenia zuchwałego przeciwnika.

Giersztorf uśmiechał się, zupełnie zadowolony. Swirko raczył się ostrygami i mówił wywijając palcem:

- Tak, tak! doskonale! człowiek, co tak potrafi mówić, powinien lubić ostrygi... te piesz-czoszki, te figlarki...

- Pozostają zatem dwie alternatywy - rzekł znowu ordynat - albo dopomagać do wzrostu niższym producentom i rządzić sprawiedliwie, albo nie urządzać wcale wystaw.

- Warunek za silny! - wtrącił hrabia Morykoni, podnosząc brwi i pocierając dłoń o dłoń, jakby coś w nich wałkował.

- Połowiczność tu niemożliwa! - zaprzeczył ordynat. - System hrabiego Barskiego doprowadziłby sam przez się do unicestwienia wystaw. Bez wytworów i udziału tych mas nasze wystawy przypominałyby karnawał, na który zjechalibyśmy się z końmi i inwentarzem dla

własnego użytku. Zabaw byłoby bez liku, ale nic nadto. A nagrody? Zapewne, sypałyby się. Gdybym wystawił swoje stare palto i zdeptane kalosze, dostałbym złoty medal na pewno.

Brochwicz i Trestka zaczęli się śmiać, po czym odezwał się Trestka:

- Podoba mi się ten system. Jeśli tak łatwo można otrzymać złoty medal, może wówczas i ja nie wyszedłbym z kwitkiem.

- Pan masz list pochwalny za oborę.

- Zdaje mi się, że zawdzięczam go głównie łaskawemu ekspertowi.

- Nie, panie! gdybyś nie zasługiwał, nie miałbyś nic. ale że ci się należał list pochwalny, więc go masz. Gdyby mi ofiarowano złoty medal za konie i bydło niesłusznie, wykazałbym to, ale gdyby mi urządzono taką kabałę, jak temu włościaninowi z Lubelskiego, tobym nauczył ekspertów lepszego sądu.

- Ekspertkami pszczelnictwa były panie.

- Byli i panowie! Może w tym tkwi cały błąd: flirt przeszkodził

sprawiedliwości.

- Ostry pan! - rzekł śmiejąc się książę Zaniecki.

- Ale bo tak jest! Każdy zrozumie, kto zechce, że o wiele słuszniej należała się wyższa nagroda owemu włościaninowi niż mnie i wielu innym. Ja mam pieniądze, wykształcenie i znajomość najnowszej kultury, mogę działać intensywnie, on zaś tylko własną pracą, oszczędnością i pomysłowością. To różnica! i winna być usprawiedliwiona bez oglądania się na herby, nazwiska i stanowiska.

Barski dotknął ręką szyi, jakby w przewidywaniu apopleksji, i rzekł zdumionym szeptem:

- I to mówi Michorowski?... magnat?...

Hrabia miał minę tak zabawną w swym obrażonym patosie, że Waldemar uśmiechnął się pod wąsem i zapalając cygaro, mruknął do siebie:

- Ten sam, tylko na szczęście nie zidiociał razem z tobą.

Hrabia milczał, wpity oczyma w ordynata, wreszcie wybuchnął:

- To są zdania niesłychane! barbarzyńskie! to bluźnierstwo w ustach arystokraty!...

Waldemar zaczął się głośno śmiać. Podniósł ręce do góry i udając wzniosłość hrabiego

zawołał:

- Hrabio, litości! twe słowa nas czynią barbarzyńcami. W imieniu arystokracji protestuję!

Hrabia wstał, uroczysty, ale zdumiony, z rozszerzonymi oczyma.

- Co?... jak?... vraiment? Rzeczywiście?...

Waldemar śmiał się, nie przestając chodzić. Brochwicz szepnął mu na ucho:

- Spójrz! Barskiego napadł magnacki szał. To chwila osłupienia, zaraz się wścieknie.

Starszy książę Zaniecki dotknął ramienia Barskiego i rzekł spokojnie:

- Zaniechajmy dyskusji! Może kochany hrabia pozwoli wina?

I pociągnął zaperzonego magnata do stołu. Na widok pełnych kielichów Barski się uspokoił. Ordynat stanął i spoglądał na niego, po czym z ironicznym wyrazem ust pokiwał głową.

- Wszystko się u nas na tym kończy - rzekł z bladym uśmiechem.

Kielichy krążyły gęsto. Brochwicz trącił w ramię Michorowskiego i Żnina.

- Patrzcie na Wilusia! - szepnął z zabawną miną.

Student stał w półotwartych drzwiach, pochylony naprzód, i zjadał oczyma śpiewające Cyganki. Twarz mu zbladła, oczy miał zamglone. Widok pięknych szansonistek pochłaniał go; przypatrywał się z ciekawością nowicjusza i przyparty do drzwi, z wyciągniętą szyją, wyglądał jak kot zaczajony na myszy.

Waldemar uśmiechnął się.

- Konfiturki, co? Ładny ogródek chwastów!

Ale Wiluś nie słyszał.

vraiment? (fr.) - naprawdę?

Brochwicz cicho podsunął się do chłopca i wypchnął go lekko za próg.

Wiluś, oszołomiony, znalazł się na środku sali.

Dwie Cyganki cisnęły nań kwiatami, jedna zaczęła tańczyć czardasza.

Wiluś miał minę zupełnie ogłupiałą.

- Ha! ha! - zaśmiał się basem hrabia Barski.

Wtórował mu dystyngowanym dyszkantem Morykoni.

Waldemar skrzywił się.

- No, Jurek! głupstwa robisz. Do czego to podobne!

Brochwicz zanosił się od śmiechu.

- Ależ patrzcie tylko na niego: opędza się jak od much. Nie wiedziałem, że z niego taki skowronek.

Trestka wprowadził Wilusia z powrotem do gabinetu. Chłopak był więcej oburzony niż zły, ale patrzał na Brochwicza chmurnie; miał już w głowie kilka kieliszków wina.

- Patrzcie! Trestka w roli niańki! - wołał Brochwicz. - Nic dziwnego, przyszły szwagie-rek...

- Dajcie mu spokój! Ty, Jurek, jesteś dziś zupełny wariat - mówił Michorowski.

- Ja chciałem tylko wprowadzić średniowiecznego trubadura do lamparciej jaskini, bo mu się widocznie podobała.

- I chybiłeś dzięki interwencji pana Trestki, no i gołębim instynktom jego pupila - zaśmiał się Żnin.

- Tak! Trestka bajecznie zna swoje obowiązki - zapewniał Brochwicz.

Książę Giersztorf podniósł do góry kielich z szampanem.

- Panowie! toast na cześć dzisiejszych zdobywców nagród, ordynata w pierwszym rzędzie!

- Nie można pić: brak panny Rity, która jest również nagrodzona.

- Zdrowie panny Rity! W pańskie ręce! - zawołał Waldemar do Trestki.

- No i za mój list pochwalny wypijcie.

- Ależ koniecznie!

Toasty wznoszono coraz nowe. Na sali muzyka grzmiała. Dzikie, namiętne tony czardasza zakipiały w nerwach. Brochwicz wstał i otworzył drzwi szeroko.

Waldemar chodził po gabinecie z rękoma w kieszeniach, ruchy miał niedbałe, trochę gorączkowe. Czardasz zaczął wirować po mózgach, wino robiło swoje. Michorowski był trzeźwy, lecz i na niego uderzały niespokojne prądy z buchającej gwarem sali. Wiał z niej żar jak z huty. Niebieski dymek z cygar unosił się, przesłaniając lekką mgłą światła lamp elektrycznych. Do gabinetu wpływał strumień zapachu trunków, zmiętych kwiatów, dusznych perfum. Na sali zaczynały się zabawy. Hałaśliwe śmiechy, szepty, śpiew Cyganek znalazły echo w gabinecie. Kilka głów odwróciło się do sali, kilku panów podeszło do drzwi. Waldemar stanął i patrzał.

- Szkic do bachanalii - mruknął przez zęby.

Czarnowłose wulkaniczne Hiszpanki potrząsały kastanietami, ciskając płomienie z czarnych jak węgle oczu.

Namiętne tony śpiewu szły po sali, drażniąc nerwy. Przedpiekle to budziło wstręt, ale postacie barwnych jak motyle kobiet nęciły pięknością i plastyką ruchów. Śpiew, muzyka, szmery idące stamtąd, dźwięk kastanietów i mdły zapach rozgorączkowanej sali odurzały. Szare źrenice Michorowskiego zaiskrzyły się, błysnął w nich ogień, czoło pociemniało namiętną falą. Zagrały mu nozdrza, po twarzy przeleciał prąd jak burza. Stał prosty, dumny, ale gorąca krew grała już w nim, kipiąc jak war. Uczuł silne tętna w żyłach i dziwny ból w skroniach. Postąpił krok naprzód. Ironia się w nim odezwała, ale prąd idący z sali porywał silniej. Nagle, niby puch jakiś delikatny, niby włókienko błękitnej mgły, przesunęła się przed nim jasna twarzyczka Stefci i jej duże ciemnofiołkowe oczy, pysznie ocienione, migotliwe jak

gwiazdy wśród nocy. Wstrząsnął się... widzenie uleciało. Ale teraz już ironia zapanowała wszechwładnie. Twarz jego zmieniła wyraz. Spojrzał na salę obojętnie. odwrócił się i wzruszył ramionami.

- Zamknij, Jurek, tę budę - rzekł z niechęcią.

- Co znowu? Tak pięknie śpiewają, takie ładne te Cyganki!

Brochwicz marudził, lecz Trestka zatrzasnął drzwi z miną bardzo zadowoloną.

- Świętoszki! - sarknął chłopak zły i rzucił się na kanapę.

Michorowski powiódł okiem po wszystkich. Świrko drzemał na krześle, trzymając jeszcze w ręce skorupkę ostrygi. Giersztorf i Żnin mieli miny podniecone, nawet hrabia Morykoni i Barski wpatrzeni byli w drzwi w osłupieniu, jakby im kto nagle złoty obraz zamazał sadzą. Książę Zaniecki przyprowadzał do porządku niezbyt przytomnego syna, zakłopotany, spotniały.

- Popili się czy co? - mruknął do siebie ordynat.

Jeszcze raz spojrzał na dziwne miny Barskiego i własnego wujaszka i uczuł niesmak w ustach.

- Świństwo - rzekł głośno.

Podszedł do kanapy, gdzie rozprawiał Brochwicz z Trestką.

- Jurek! - zawołał ordynat.

Chłopak zerwał się, ale usiadł znowu i z milutkim uśmieszkiem wskazał ordynatowi miejsce przy sobie.

- Na rozkazy... ale pozwól, że nie stanę, bo nie mogę.

- Zwariowałeś, Jurek!

- Jak Boga kocham, nie mogę! W głowie mi się trochę kręci. Mój drogi, jeżeli Świrko może spać, to już mnie choć na zawrót głowy pozwól.

- Jedź do domu.

- Ani myślę! Albo mi tu źle? Opowiem wam zaraz historię, którą sobie właśnie przypomniałem.

- Cóż to za historia? - podchwycił Trestka.

Brochwicz rozparł się na kanapie.

- Znacie tego poliszynela? - spytał, kładąc ręce pod głowę i wyciągając nogi.

- Kogo mianowicie?...

- Barona Z.

- Ach! tego, co kupił brylanty aktorce?

- To wy już o tym wiecie?

- Ba! od dawna.

- Od paru dni - poprawił Waldemar - bo się to stało na wystawie. Dobrze jednak, że wśród nas baron Z. nie ma przyjaciół: za tytuł, jaki mu ofiarowałeś, mógłbyś wpaść w kabałę.

- Kto by się tam za nim ujął? Ale jak to uważacie?

- Uważam, że mimo wszystko dobrześ go określił - rzekł Waldemar - baron popełnił głupstwo podwójne - raz, że kupił brylanty za bajeczną cenę i nie znając się, przegalopował, a po wtóre - nie było dla kogo.

- Przeciwnie - rzekł Żnin - szykowna facetka i piękna jak odaliska... jak Wenus.

- Wenus w skórze prostej awanturnicy, ogródkowej szansonistki! Słaby gust! - drwił Michorowski.

- Mój drogi! nie każdy może sobie pozwolić na królewny - rzekł Brochwicz.

- Cóż to znaczy?

- Nic... to, że baron Z. wolał szansonistkę niż królewnę.

- Tyś już tęgo pijany! - powiedział ostro ordynat.

- Bo sami powiedzcie, czego napadacie na biednego barona za to, że mu się podobała taka właśnie, a nie inna? - żalił się płaczliwym głosem Brochwicz.

- Sam go przecie nazwałeś poliszynelem.

- Brochwicz jest niepoczytalny - zawyrokował Trestka.

- Owszem, wiem, co mówię: baron swoim czynem...

- Dowiódł stopnia swego umysłowego rozwinięcia - dokończył Waldemar. - On ma rozmiękczenie mózgu, skompromitował kółko arystokracji, z której pochodzi. Przyjechał, porobił znajomości i raz, dwa, trzy - kupił brylanty pierwszej spotkanej baletniczce. Jedyną ma zasługę, że będą miały o czym rozprawiać tutejsze dewotki, mocno zgorszone jego czynem, o którym jednak wiedzą, jak o każdej nowinie... A stanowią one tu osobną, dość liczną kolonię.

- Aaa! - ziewnął szeroko Brochwicz. - Waldy, teraz wszystko krytykujesz. Dawniej byłeś towarzyszem co się zowie... w Paryżu, pamiętasz? Teraz z ciebie filister.

- Jurek, zaśpiewaj nam co - zaprojektował Trestka.

- Małgorzatę, z tobą do chóru. Chcesz?...

- Dajże pokój!

- Śpiewam! - zawołał Brochwicz.

Zerwał się z kanapy, dopadł do fortepianu i uderzył parę silnych akordów.

Pan Świrko poruszył głową.

- Tłu... tłuściutkie kochaneczki... milutkie - szeptał budząc się.

- Ten się uraczył - rzekł ordynat i klasnął w dłonie.

Wszedł lokaj. Michorowski rzucił mu banknot i kazał sobie podać palto.

- Cóż ty, płacisz? Wychodzisz? A my? - wołał zdziwiony Brochwicz.

- Paradny jesteś, Jurek! Dobranoc panom.

- Ja idę z ordynatem - rzekł młody Giersztorf.

- I ja także! i ja! - zawołało kilka głosów.

- No to i ja z wami! Czas rzucić tę budę! - krzyknął Brochwicz.

Trestka podniósł się także, pociągając za sobą zaspanego Wilusia.

Po chwili gabinet opustoszał.

Kiedy przechodzili przez salę, jedna z Hiszpanek zastąpiła drogę Michorowskiemu i uderzając w kastaniety, zagrała mu przed oczyma ogniem czarnych źrenic.

Ordynat odsunął się szorstko.

- Idź precz! - cisnął przez zęby i krzyknął do lokaja: - Otwieraj drzwi i pilnuj porządku!

Na ulicy stały landa i karety. W najętych stangreci prawie wszyscy spali, kiwając się na

koźle. Ale Brunon z Głębowicz czuwał. Waldemar pożegnał obecnych i rzucił się zdenerwowany na poduszki landa. Obok niego usiadł Brochwicz.

Gdy konie ruszyły, po długim milczeniu odezwał się pierwszy Brochwicz.

- Tyś się bajecznie zmienił, Waldy.

- Zmieniłem się - jak echo odparł ordynat.

# XXVIII.

Nazajutrz pani Idalia ze Stefcią i Lucią powracały z wystawy landem Waldemara. On sam siedział na przedzie, obok Luci. Gdy wysiedli w hotelu szwajcar podał Stefci zaadresowaną kopertę. Na widok jej dziewczyna krzyknęła radośnie:

- Od ojca!

Rozpieczętowała list, przebiegając go szybko oczyma.

- Ojciec mój jest w Hotelu Europejskim... Był tu, ale że mnie nie zastał... - zająknęła się i spojrzała błagalnie na panią Idalię. - Pani mi pozwoli pojechać do ojca?

- Owszem, ale na noc pani wróci?

- O tak!

- Spodziewam się. że ojciec pani nas odwiedzi...

- Mój powóz zawiezie panią na miejsce - rzekł Waldemar.

- Dziękuję panu! pojadę dorożką. Stefcia pożegnała pana Macieja i Lucię.

- Czy stanowczo nie chce pani jechać mymi końmi? - zapytał Waldemar.

- Stanowczo! Wolę dorożkę - odpowiedziała z uśmiechem.

- Bardzo taktowna dziewczyna - rzekła baronowa do ojca po wyjściu Stefci. - Ale Waldy czasem galopuje się.

- Jemu wypadało zaproponować, a jej odmówić. Są siebie warci - odrzekł

pan Maciej. Waldemar odprowadził Stefcię do dorożki.

- Panno Stefanio, co się z panią dzieje? - zapytał patrząc na jej gorące rumieńce i podniecenie.

- Jadę na spotkanie ojca - odparła.

- Dobrze, ale ja już od kilku dni nie poznaję pani. Wystawa dziwnie na panią działa. Stefcia przygryzła usta.

- Źle czy dobrze?

- Przede wszystkim odmiennie: Pani się czymś kłopocze. jakiś niepokój panią dręczy... Podniosła na niego zdumione oczy.

- Więc przeczułem? Tak? Jakiś niepokój?...

Nic nie odpowiedziawszy, szybko zbiegła ze schodów. Ściskając jej rękę na pożegnanie, szepnął serdecznie:

- Proszę być wesołą i... ufać mi.

- W czym? - zapytała dumnie.

Waldemar zmarszczył brwi. iskry zamigotały w jego oczach.

- Pani wie. tylko pani nie chce zrozumieć - rzekł z przyciskiem.

Stefcia odetchnęła w dorożce. On odgadł, zrozumiał to. czego się bała najwięcej, co już w niej istniało, a co chciała ukrywać nawet przed sobą.

Ogarniało ją uczucie szczęścia, jakby błądziła wśród łąki, pełnej kwiecia. woni, słońca i błękitów. Wiedząc, że błądzi, nie szukała jednak innych dróg. Zaczarowany ogród kwitł przed nią. pachniał, pociągał i była pod jego urokiem. Z zamkniętymi oczyma, w upojeniu słuchała cudnej nuty, nie myśląc o całości harmonii, nie przewidując rozdźwięków. Dawniej lubiła życie, teraz kochała je. Rozwinęła się jak biały kwiat pod wpływem słońca, ciepło jego promieni wchłaniając w siebie. Często wstrząsał nią dreszcz, jakby wśród tej złotej pogody wionął na nią nagle nieprzyjazny prąd, dotknął i znikał, a złote promienie ogrzewały, błękit czarował. Oczy dziewczyny nabrały dziwnego blasku, stały się wymowne aż do zbytniej szczerości. Cała postać odzwierciedlała wewnętrzny stan duszy. Usta gorzały żywym koralem, jakieś namiętne drgania nieświadomie błądziły po nich, potęgując ich czar. Miała w sobie pewien niepokój, aby nie być odczutą, i te obawy w połączeniu z rozpromienieniem oczu nadawały jej wygląd podniecony i śliczny.

- Stefcia! - wykrzyknął radośnie pan Rudecki, zrywając się na widok wchodzącej córki.

- Ojczuś!...

Po długich powitaniach Stefcia wypytywała ojca o matkę, młodsze rodzeństwo, dom i sąsiadów. Pan Rudecki przyglądał się jej z uradowaniem, ale badawczo. Wreszcie rzekł:

- A jakże tam tobie, dziewuszko? Listy pisujesz wesołe. Dobrze ci?

Stefcia zarzuciła ręce na szyję ojca, kryjąc twarz.

- Bardzo mi dobrze, ojczusiu! Lucia miła dziewczynka, kochamy się z sobą.

- No, a pani Elozonowska? A ten wasz ukochany dziadek, którym się tak zachwycasz... Jakże on się nazywa? Zawsze zapominam.

- Pan Maciej.

- Aha! pan Maciej Michorowski... Więc on cię tak lubi?

- O, dziadzio najlepszy! ale i wszyscy oni nie tacy, za jakich często ich biorą.

- Bo prawdziwa arystokracja.

- Tak! to są magnaci pod każdym względem - zawołała Stefcia z zapałem.

Pan Rudecki odsunął się trochę i z uśmiechem spoglądał na córkę.

- Patrzcie! jaka zawojowana! Czarodzieje jacyś ci państwo. Ale niech im Bóg szczęści, że się na tobie poznali. Wyglądasz ślicznie, jeszcze wyładniałaś. Zachwycałem się tobą na wyścigu hipicznym.

- Jak to! ojczuś już wtedy był?!...

- Byłem! Przyjechałem wczoraj rano, ale mając pilne interesa, w żaden sposób nie mogłem się z tobą wcześniej zobaczyć, a do tej loży, gdzie siedziałaś, nie chciałem iść. Witałem cię z daleka, ale nie dostrzegłaś mię w tłumie.

- A gdzie ojczuś siedział?

- Ja przechodziłem tylko przez plac wystawowy, siadać nie miałem czasu. Zatrzymałem się dopiero ujrzawszy ciebie. Byłaś bardzo zajęta wyścigiem.

Stefcia zaróżowiła się mocno.

- Trafiłem właśnie na punkt kulminacyjny: biegały konie z majątków ordynata. Ładne ma widać stajnie! A na tym pięknym arabie podobno jeździł sam ordynat.

- A tak, pan Waldemar na Apollu.

- O! dzielny koń, ale i dzielny jeździec. Czy on często bywa w Słodkowcach?

- Dosyć.

Pan Rudecki trochę się zamyślił. Stefcia pochyliła głowę, zakłopotana i nagle onieśmielona. Ojciec nieznacznie spojrzał na nią kilka razy. Następnie zapytał:

- Powiedz mi, dziecko: jak to było z Edmundem Prątnickim? W listach niewiele o tym pisałaś.

- Ach, ojczusiu! to takie przykre! Po co wspominać?

- Jednak jak to było?

Stefcia opowiedziała pokrótce. Mówiąc, mimo woli zapalała się. Pan Rudecki nie spuszczał z niej oczu.

- Więc głównie ordynat przyczynił się do uwolnienia ciebie od obecności tego błazna?...

- Tak, ponieważ nie odpowiadał jego wymaganiom.

Pan Rudecki uśmiechnął się; argument Stefci nie trafił mu do przekonania. Nurtowała w nim uparta myśl, czy Prątnicki okazałby się niegodnym Michorowskiemu, gdyby Stefcia nie była w to zamieszana, i miał co do tego pewne wątpliwości. Niemniej musiał być wdzięczny ordynatowi.

Spacerował po pokoju szybkim krokiem, rozmawiając z córką o rzeczach zwykłych, ale ciągle przyglądał jej się z uwagą. Stefcię drażnił uporczywy

wzrok ojca. Wyraz jego twarzy zastanowił ją, odbierając swobodę. Wkradło się pomiędzy nich przykre uczucie. Wreszcie pan Rudecki przerwał swą przechadzkę i siadając obok córki, wziął jej rękę. Zaczął mówić powoli:

- Stefciu, czy wiesz, jakie ja mam polecenie od mamy względem ciebie?...

- Polecenie od mamy? Jakie? - spytała.

- Żeby cię już zabrać do domu. Tęskno nam bez ciebie, dziecko.

Stefcia znieruchomiała, ognie zalały jej twarz, po czym przybladła nagle. Usta jej otworzyły się jakby do krzyku. Szeroko otwarte źrenice utkwiła w twarzy ojca niemal z przerażeniem.

- Ja... do domu?... Ojczusiu!...

- Przyjechałem po ciebie - powtórzył pan Rudecki.

Dziewczyna spuściła głowę. Oczy jej patrzyły na ojca zdumione, wylękłe, aż zakryły się powiekami. Na zbladła nagle twarz padły sinawe cienie od rzęs niezmiernie długich.

- To niemożliwe! - wyjąknęła.

- Dlaczego?...

- Bo... z panią Elzonowską jest umowa... na rok. Nie można jej łamać... Ja... dałam słowo.

- Wierzę, że ona chciałaby cię mieć jeszcze dłużej, ale i nam się coś należy.

Stefcia gwałtownym ruchem przytuliła się do ojca.

- Ja wiem, ja wiem, ale, ojczusiu, to niemożebne! Co oni by pomyśleli?... Nie, nie, tak nie można. Ojczusiu! przecie ja was bardzo kocham, po dawnemu, ale... wracać teraz?... niepodobna!... trzeba dobyć do końca.

Mówiła gorączkowo, odrywając się od piersi ojca i patrząc mu w oczy z błaganiem. Pan Rudecki tulił ją do siebie, ale twarz jego oblekła się wielkim niepokojem, podejrzenia nabierały pozorów prawdy.

- Biedna mama zmartwi się bardzo, ona cię tak serdecznie kocha - rzekł z nie tajonym smutkiem.

Stefcia zerwała się. Twarz miała w ogniu, oczy pałające, zaszklone łzami. Zrobiła rękoma ruch, jakby się chciała chwycić za głowę rozpaczliwie. Zacisnęła usta nerwowo. Pan Ru-decki patrzył na nią z podziwem.

- Dziecko, co tobie?...

- Nic, ojczusiu, nic!... tylko chciałam powiedzieć, że jeśli to dla was... konieczne, to ja powrócę, ale...

- Stefciu!...

Rudecki chwycił ją w ramiona.

- Dziecko moje! kochane, dobre... ja żartowałem. Zostaniesz na miejscu... nie można zrywać umowy, masz słuszność, daliśmy słowo. Chciałem tylko zobaczyć, czy...

Zająkał się.

- Czy kochasz nas zawsze.

- Ojczusiu! tyś wątpił? - krzyknęła z oczyma pełnymi łez.

Ale w jej wykrzykniku brzmiało już trochę tryumfalnej nuty.

Zaczęła ojca z pieszczotą ściskać za szyję, całować w twarz, w oczy, tulić

się do niego z widoczną wdzięcznością, nie umiejąc ukryć rozradowania. Poczuła żal do ojca, że go wywołał. Serce jej zabiło obawą, że mu sprawiła wielką przykrość, serdecznością chciała zagłuszyć niemiłą chwilę.

Ale pan Rudecki, jakkolwiek odgadł wiele, udawał, że nie widział nic.

Po długich rozczuleniach Stefcia wpadła w doskonały humor, dokazując po dawnemu. Opowiedziała kilka wesołych zdarzeń z teraźniejszego życia, mówiła o wycieczce do Głębowicz, o dowcipach Trestki, śmiała się, żartowała, aż i pan Rudecki rozruszał się. Ale patrząc na nią, gdy mówiła o arystokracji, myślał w duszy z niepokojem:

- Zasmakowała w nich, ten świat ją porywa... Dziwni ludzie, że umieją tak wpływać... Czy ludzie, czy jeden człowiek?...

# XXIX.

Przez dwa dni Stefcia prawie ciągle przebywała z ojcem. Razem chodzili, razem jadali obiady. Wieczorem Stefcia wracała do hotelu, wpadając-w objęcia Luci, która kwaśna i bez humoru, żaliła się na nudy.

- Już ja bez ciebie nie mogę, tak mi tęskno!

Lucia nazywała już Stefcię po imieniu. Węzły przyjaźni między nauczycielką i uczennicą w ostatnich czasach mocno się zacieśniły.

Pewnego dnia pan Rudecki złożył wizytę pani Elzonowskiej i panu Maciejowi. Podobał się bardzo. Umiał zachować odpowiednią powagę przy wielkiej grzeczności i pewnego rodzaju atencji. Był elegancki, obyty w wyższym towarzystwie i miał pewność siebie zupełnie w dobrym guście. Zrobił korzystne wrażenie. Pani Idalia znalazła go „jeszcze lepiej” niż przy pierwszym widzeniu w Warszawie i przyjmowała nadzwyczaj uprzejmie. Pan Maciej dojrzał w nim wiele sympatycznych stron, a trzeźwy, wesoły umysł obywatela podziałał na staruszka jak najlepiej. Pan Rudecki jeszcze się za kimś oglądał, lecz Waldemara nie było podczas tej wizyty. Ale pan Maciej, jakby odgadując myśli swego gościa, razem z panią Elzonowską zaprosił go na drugi dzień na obiad.

- Będzie zebrane nasze kółko najbliższe i mój wnuk. Chciałbym, aby go pan poznał.

Stefcię uradowało powodzenie ojca.

Obiad nie zachwiał, przeciwnie - wzmocnił wrażenie.

Oprócz miejscowych osób był Waldemar, księżna, panna Rita z bratem i nieodzowny Trestka.

Pan Rudecki wyszedł z próby zwycięsko. Przy stole nie obniżył swej opinii żadnym szczegółem, nawet wobec argusowych oczek pani Idalii. Z Waldemarem przywitali się typowo, z niezupełnie ukrytym zaciekawieniem i wielką dozą wzajemnych grzeczności w dobrym stylu. Tylko pani Idalia zmarszczyła się na Waldemara za jego powitalny ukłon: z większym szacunkiem nie kłaniał się żadnemu ze starszych panów własnej sfery, a niektórym ze znacznie mniejszym. Pan Rudecki przez wszystkich był mile

przyjęty, nawet Trestka, przekonany do Stefci, powitał go bez fanfaronady.

Wykwintne towarzystwo i dobra rozmowa rozbudziły w panu Rudeckim światowca. Zaczynał lepiej pojmować córkę, zrozumiał, że ta sfera ma w sobie jakiś magnes, mimo woli pociągający natury estetyczne; że poza tym, co by się o nich dało powiedzieć, nęcą wzrok jak drogie kamienie.

Z ordynatem pan Rudecki rozmawiał dużo o koniach, wyścigach, trochę o uniwersytetach w Bonn i w Halli, wreszcie o wystawie. Ordynat umiał kierować rozmową. Prowadzono ją ogólnie i z ożywieniem. Czasem okraszał ją dowcipem dobrego gatunku, czasem odrobiną ironii, mającej wyłączny styl.

Niekiedy Trestka wyręczał ordynata w dowcipach, ale on miał humor inny, więc w klasyczny nastrój wplatał nieco burszowską nutę, która jednak nie psuła całości.

Szlachcic-obywatel wśród magnatów nie raził, zyskiwał sobie ich sympatię i nie miał wyglądu intruza.

Jego natomiast zaciekawiał najbardziej Waldemar. Młody ordynat imponował mu i przyciągał go zarazem. Rudecki był pod wrażeniem jego wielkopańskiej postaci, szlachetnej i ujmującej w obejściu. Ale przestraszał go ze względu na córkę. Lękał się o nią, bo towarzystwo świetnego magnata uważał za niebezpieczne dla Stefci. Czuł, że niemożliwym byłoby, aby dziewczyna pozostała obojętna, aby jej nie porwał dziwny urok otaczający ordynata. Sam łatwo zauważył skłonność Waldemara do Stefci, niby nieznaczną, ale dość silną, aby upoić ją czarem. Stary obywatel zastanowił się, przypomniał sobie rozmowę ze Stefcię w hotelu i teraz widząc ją rozpromienioną jak nigdy, myślał z goryczą w duszy:

- Ona już jest w upojeniu, już jest pod jego urokiem.

Po czym straszna myśl przeszyła mu mózg, bo nagle przybladł i spojrzał na ordynata prawie z nienawiścią. Wzrok jego miał w sobie grozę.

- Czy ty staniesz się niedolą jej życia? - pomyślał.

## XXX.

Na raut do hrabiego Mortęskiego ordynat przyjechał późno. Obaj z Brochwiczem namawiali panią Idalię, aby jechała również, lecz baronowa uparła się: była trochę niezdrowa. Księżna Franciszka chciała matkować pannom, ale i Stefcia odmówiła; zostały w hotelu. Waldemar, zły, wzruszał ramionami. Brochwicz machnął ręką i rzekł z komiczną miną:

- Baby się rozkaprysiły. Jedźmy sami.

W pałacu hrabiego, począwszy od przedsionka, zaczęto napastować ordynata. Wszedł do sali otoczony frakami panów, po czym znalazł w barwnym tłumie strojów kobiecych. Bawił się bez zwykłego humoru, ale nie przestał być głównym pulsem zebrania. Książę Giersztorf rozpytywał ordynata o filantropijną działalność Towarzystwa. Prezes Mortęski zarzucał mu zbytnią krańcowość w przeprowadzaniu reform w Głębowiczach.

- Pan sieje kulturę zbyt obficie - mówił stary hrabia, trzęsąc siwymi

kłaczkami włosów.

- Tego nigdy za wiele! - bronił się ordynat. - Zresztą niech Głębowicze będą rozsadni-kiem idei kulturalnej na szerszy okrąg.

Hrabia złościł się. Giersztorf pytał o program dalszych działań.

- Dlaczego pan Towarzystwa nie popycha silniej? Wy tu zaczynacie spać.

Ordynat śmiał się ubawiony.

- Ależ, książę! ja nie jestem premierem w instytucji.

- A inicjatywa? inicjatywa?...

- Daję ją.

Mortęski pokiwał palcami.

- Wybujała! wybujała!... za górna.

- Nic to, panie prezesie, polecim! mamy siłę - drażnił się Waldemar.

Hrabia i książę nie dawali spokoju ordynatowi, aż uwolnił go od nich Brochwicz.

- Zabieram Michorowskiego z tej sesji na inną, mianowicie do dam - rzekł energicznie.

- Niewiele on o nie dba! - odparł Giersztorf.

- Ale one o niego dbają. Tam jest zawsze premierem.

- Dokończymy rozmowę potem - powiedział wesoło Waldemar.

Odchodząc, Brochwicz szepnął mu na ucho:

- Obaj ci staruszkowie niewiele już wskórają u pań, dlatego nudzą innych. Ale, ale! spotkasz znajomą.

- Ja?... Kogo?...

- Zobaczysz!... Błękitne niebo Italii, Corso rzymskie, ba! nawet ogrody Florencji, Ateny, Korfu... - deklamował Brochwicz.

- Co ty pleciesz?...

Brochwicz znikł. Waldemar zdziwiony poszedł dalej. W jakimś gabinecie przysunęła się do niego z wyciągniętym nagim ramieniem wysoka szatynka.

Spojrzał badawczo i drgnął.

- Wera?!

- Tak, to ja. Pan mię poznał?

- Co pani tu robi?...

- Jestem przejazdem z mężem. Wstąpiłam na raut do hrabiego. Jedziemy do Petersburga.

Waldemar patrzał na nią z niechęcią i ciekawością. Lekka łuna przemknęła mu przez

twarz.

Margrabina schwyciła go za rękę, piwne powłóczyste źrenice, zmysłowe i gorące, przysunęła do jego oczu. Z wąskich ust wypadły namiętne słowa:

- Mój zawsze! Kocham cię!...

Odstąpił krok w tył, usta mu zadrżały irytacją.

- Wero! nie jesteśmy w Palazzo Silva. Zastanów się!

- Zapomniałeś o mnie? Zapomniałeś!... Gniew błysnął mu w oczach.

- Margrabino, proszę się uspokoić - rzekł z naciskiem.

Wyprostowała się dumnie, zimne spojrzenie przesunęła po jego postaci.

- Ja jestem spokojna, tylko chcę panu coś powiedzieć. Więcej się w tym czasie nie zobaczymy: jutro jadę.

- Słucham - rzekł oschle.

Wsunęła rękę pod jego ramię i weszła z nim do narożnego gabinetu, zamykając drzwi.

Ordynat patrzył na nią spod rzęs. Ironiczny uśmieszek drgał mu na ustach, oczy zaświeciły humorem. Margrabina stanęła tuż przy nim dotykając go piersią. Obnażone, pachnące ramiona gwałtownie zarzuciła mu na szyję, wargi wpiła w jego usta, szepcząc:

- Kocham cię zawsze, pragnę cię! Przyjeżdżaj do Rzymu, jestem twoja... twoja... bierz mię!...

Odsunął ją od siebie trochę szorstko.

- Wero, nie przypominaj minionych dni. One już są poza teraźniejszością.

- Zaśniedziałeś w tym kraju. Przyjeżdżaj do Palazzo Silva, tam u nas, pamiętasz?... pa-liowy buduar...

Ogarniała go coraz mocniej ramionami, cisnęła się do niego z palącą siłą pożądania, twarz mu zalewając ognistym oddechem.

- Wero, to już cztery lata; powinnaś zapomnieć o mnie i o paliowym buduarze - rzekł znudzony.

- A ty zapomniałeś?...

- Prawie.

- Więc niech ci się przypomni! Patrz, czym nie ta sama? Kocham cię jednakowo, pragnę ciebie i marzę o tobie. Patrz!...

Odchyliła głowę i mrużąc podłużne oczy, zalotnie błysnęła ustami, ukazując szereg białych zębów.

- Strojna jesteś - rzekł ordynat. - Jakże się miewa książę Tolledo?

Margrabina zesztywniała, usta jej zwarły się.

- Po co o niego pytasz?...

- Przypomniał mi się paliowy buduar... Wspomnienia stamtąd i do niego należą.

Wera oderwała ramiona od jego szyi i odeszła parę kroków. Waldemar najspokojniej otworzył cygarniczkę i stojąc obok wysmukłej lampy, przyćmionej czerwonym jedwabiem, spytał żartobliwie:

- Pozwolisz zapalić?

- Proszę - rzuciła gniewnie.

Zapalając, ordynat patrzał na nią, jak odwrócona białymi plecami do niego rwała chusteczkę koronkową w zębach. Piękna była i wspaniale zbudowana. Michorowski uprzytomnił sobie chwile spędzone z tą kobietą w zabytkowym pudełku paliowego buduaru i wzdrygnął się, nie z rozkoszy, lecz z dziwnego wstrętu. Usiadł na niskim foteliku, założył swobodnie nogę na nogę i puszczając kłąb dymu spytał znowu:

- Czy wywiad już skończony?

Wera żywo podbiegła, ale zatrzymała się, spuściła głowę i rwąc chustkę

patrzała mu w oczy spod zsuniętych brwi. Jej postać gięła się kokieteryjnie, rozchylone usta drżały.

Ordynat badał ją wzrokiem. Nareszcie rzekł, strzepując popiół cygara:

- Widzę, że oduczyłaś się tupać nóżką. A wiesz, że do tej pozy to było odpowiednie. Teraz zanadto wyglądasz po pensjonarsku.

Wera upadła na otomanę obok lampy, ręce podłożyła pod głowę i zaczęła się cicho śmiać. Ciężka materia sukni spłynęła na dywan, odsłaniając wytwornie przybrane stopy, złożone z wdziękiem. Pierś margrabiny falowała gorączkowo, po ciele jej przelatywały płomie-

nie. Gibkim ruchem odwróciła do ordynata głowę i biust i świecąc zębami, śmiała się ciągle. Oczy jej ciskały kolące ognie.

Ordynat spytał:

- Co cię tak bawi?!

- Ha! ha! twoja obojętność!

- Nie wierzysz w nią?...

- Ach! nie jestem dzieckiem, wiem, żeś ostygł, boś mię nie widział cztery lata. Wy, mężczyźni, zawsze jednakowi: wam trzeba nieustannej podniety.

- Hm! za to wasza wierność dorównywa naszej zdradzie, co?...

- Jesteś zazdrosny o Tolleda?

- Nie. Zresztą obecnie powracasz do mnie, wybaczam więc mu jego winy.

- Jesteś zbyt pewny siebie! Skąd wiesz, że powracam?

- Mam cię przecież, dajesz mi nadzieję dość niedwuznacznie.

- Musiałabym wpierw poznać dokładnie listę mych współzawodniczek. Ile ich było po mnie?...

- Prawdopodobnie tyle, co przed tobą, ale z pewnością mniej niż moich następców w tej kronice buduarowej - rzekł cynicznie.

Margrabina przeciągnęła się rozkosznie. Prężąc ramiona, mówiła rozwlekłym głosem:

- Jesteś zawsze wspaniały, tylko palisz jakieś zatrute cygaro i ono cię czyni odmiennym niż w Rzymie. Ale ja to rozumiem: ten kraj ochładza. Tu nie ma prawdziwie pięknych kobiet. Chociaż i tu miałeś szanse kolosalne. Znam te północne rywalki. Musiały cię znudzić?

- Zapewne - odrzekł obojętnie.

Wera przegięła się bliżej ordynata, poruszając miękko ciałem jak zaspana tygryska; ręką uderzała niecierpliwie po adamaszkowej poduszce otomany.

- Jedź na zimę do Rzymu, sułtanie mój! Mówiłam, że cię kocham. Pojedziesz?...

Ordynat wydął usta z lekceważeniem. W źrenicach igrał mu szatański śmiech.

- Po co?... Gdybym chciał pobić Tolleda i odnowić wspomnienia z paliowego buduaru,

to...

Pochylił się i z łobuzerskim uśmieszkiem popatrzył w oczy margrabiny. Ona przymknęła powieki oddychając szybko. Stopy jej drżały.

- Jestem twoja - szepnęła.

- A widzisz! Północ cię nie zmroziła.

Michorowskiemu zmysły wypełzły na usta. Oczy mrużyły się satyrycznie, ale nozdrza zaczęły wachlować prędkim tempem. Nie poruszył się. Patrzył na leżącą okrągłą figurę Wery, na wypukłą jej pierś i różowe ciało; burzyła mu się trochę krew. Posiadał tę kobietę, dziś ona jest znowu taka sama, oddana mu, zalotna. Tylko chłód jakiś owiewał go teraz mimo wewnętrznej gorączki.

Margrabina położyła rękę na jego kolanach i zaczęła szeptać:

- Lwie mój! Pamiętasz?... tak cię nazywałam. Mon lion.

Oparła się drugą ręką na nim, wisząc półciałem w powietrzu.

- Rzuć tę wstrętną lodowatość! to mię podnieca. Ale już dosyć! - syknęła przez namiętnie zaciśnięte wargi.

Po czym rzuciła się w tył jak wąż, wołając z wybuchem:

- Nie patrz tak na mnie! tyle masz drażniącej ironii!... Przybyło ci stali w oczach, wyglądasz jak lew nad ofiarą. Pyszny jesteś, ale straszny!...

Ordynat zaśmiał się. Wzgarda tryskała z jego głosu.

- Uwalniam cię, Wero, od swych szponów, ha! ha! ha!

Głos jego brzmiał dziko.

Margrabina wyciągnęła głowę z ciekawością i błyskiem w oczach. Rzekła ciszej, niespokojnie:

- Ciebie ktoś trzyma... Powiedz, kto jest... nową sułtanką?... ona istnieje, czuję to. Ordynat zgniótł cygaro. Miał już dosyć. Wstał i podszedł do niej, oczy jego piekły żarem.

Były istotnie straszne. Usta, wykrzywione ironią, przerażały.

- Wero! - zawołał porywczo.

Margrabina podniosła się, wyciągnęła ramiona. Brylanty na palcach błysnęły obfitą zawieją kolorów. Waldemar porwał jej ręce w kostkach i zdusił wściekle. Ona opadła na haftowaną poduszkę otomany, mdlejącym głosem szepcąc:

- Teraz niech nas pokryje mgła... Waldemar pochylił się i rzekł już spokojnie:

- Tylko panią: Ja odchodzę. Proszę się dobrze bawić w Petersburgu. Puścił ją i odstąpił.

Wera zerwała się i usiadła. Twarz jej zaszła purpurą.

- Odchodzisz?!

- Tak. Wypaliłem cygaro.

Ukłonił się i wyszedł z cichym, ironicznym śmiechem. W sali zapytał go młody hrabia Mortęski:

- Gdzie moja kuzynka, ordynacie?

- Margrabina Silva jest w czerwonym gabinecie. Mortęski mrugnął filuternie.

- Piękna zawsze, prawda?...

- Za wiele szminki: to psuje najklasyczniejsze linie - odrzekł Waldemar z grymasem.

- Cóż pan chce? Czterdziestka!

Ordynat odszedł. Młody hrabia lisim krokiem podążył w stronę gabinetu.

# XXXI.

– Więc ojczuś stanowczo nie będzie na koncercie i na balu? – spytała Stefcia pana Rudeckiego w dzień wielkiej zabawy.

– Nie, dziecko! Jadę do domu jutro, a mam jeszcze bardzo wiele interesów. Stefcia nadąsała się.

– Ej! Tak liczyłam na to. Wolałabym być z ojczusiem. Na balu będzie dużo osób nie znanych mi zupełnie i przeważnie z arystokracji.

– Będą również i obywatele z okolicy, no i główniejsi wystawcy. To przecie bal publiczny na jakiś cel, znajdą się na nim i mniej karmazynowi. Czy bal odbędzie się bezpośrednio po koncercie?

– Tak, i w tej samej sali. My nawet na koncercie nie będziemy. Przyjeżdżamy wprost na bal.

Pan Rudecki pożegnał się z córką do następnego dnia. Chociaż jednak zapowiadał, że na balu nie będzie, wybierał się nań w rzeczywistości, ale jako widz z galerii. Chciał zobaczyć Stefanię w otoczeniu, któremu niezbyt ufał, aby się jej przypatrzyć z daleka, nie będąc widzianym.

Dość wcześnie przyszedł na koncert do sali wielkiego hotelu, znalazł dobre miejsce w krzesłach i równie dobre na galerii. Wśród publiki siedziało wiele pań ubranych po balowemu, lecz z arystokracji nie było nikogo.

Koncert nie zachwycił pana Rudeckiego, ponieważ znał się na muzyce, a grymasił w śpiewie. Ale urządzenie estrady podobało mu się. Był tam brzozowy lasek, naturalny, wysłany mchem. Pomiędzy drzewami stały krzesła i pulpity dla muzykantów. Zasiadła na nich grupa artystów niemiejscowych, jedynie na czas wystawy przybyłych tu z wielkiej stolicy. Pan Rudecki doznał zawodu: sławna orkiestra nie zachwyciła go.

– Tylko tyle, że huczą, ale, dalibóg, gdzież tu melodia? Śpiew i śpiewaczka porwały go jeszcze mniej.

Na estradę weszła młoda panna, dobrej tuszy, w białej wygorsowanej sukni. Obnażone ramiona wyglądały mocno różowo, bez żadnych subtelniejszych odcieni. Na piramidce tych różowości piętrzyła się czarna głowa, jak nastroszona czapka angorska. Czarne małe oczki świeciły jak ćwieki wbite w bardzo kolorowe tapety.

Wyszła podtrzymując suknię i złożywszy parę ociężałych, niemiłosiernie wdzięcznych ukłonów, stanęła mnąc w ręku zeszyt z nutami. Po czym zaczęła śpiewać z wzniesioną do góry głową.

Pan Rudecki patrząc na nią doznawał pewnych obaw. Najpierw zdawało mu się, że debiutantka nie przetrwa tej próby, bo kolor jej biustu nabierał coraz więcej makowej barwy. Przy tym tak się widocznie dławiła, że niektórzy ze słuchaczów sięgali do własnych kołnierzyków w przekonaniu, że

są za ciasne.

Nagle do uszu ojca Stefci przysunął twarz jakiś młodzieniec siedzący obok, ale rzekł wcale nie szeptem, wskazując oczyma pełne ramiona debiutantki:

– Panie, czy to ręce, czy łydki? bo nie mogę rozpoznać.

I nie czekając na objaśnienie, bardzo kontent z siebie i swego dowcipu, zaczął go szerzyć w inną stronę sali.

Gdy nareszcie piskliwe dławienie umilkło, wszyscy odetchnęli, jakby zwalając ciężar z piersi. To poprzedziło oklaski, których jednak nie skąpiono. Kilka wdzięcznych ukłonów – i debiutantka wolno pomiędzy brzozami zaczęła się oddalać, świecąc z daleka bielą sukni i rumianym karczkiem, wyciętym w kwadrat.

– Co ona będzie teraz robiła? – zapytał dowcipny młodzieniec, nie zwracając się wyłącznie do niego.

– Zapewne weźmie zimną kąpiel – odpowiedział jakiś głos z następnego rzędu krzeseł.

W czasie ostatniej przerwy wiele osób wyszło na korytarz i marmurowe schody, wiodące z kontramarkarni. Zaczynał się już tam charakterystyczny ruch przed balem w hotelu. Biegali lokaje, z cukierni wynoszono torty i piramidy cukrów na podstawach kryształowych. Wnosili kosze kwiatów do ubrania sali. Pan Rudecki, oparty o poręcz schodów, przyglądał się ciekawie.

Ten wstęp do balu miał w sobie wiele znamienności. Cechował go przede wszystkim gorączkowy ruch służby, uwijającej się z gorliwością niemal podniosłą. Rudecki pomyślał, że zawsze tak samo niższe klasy pracują dla umilenia zabawy klas wyższych, uprzywilejowanych. I chociaż są płatne, jednak często robią to jakby z dumą, że ich do tego użyto. Rozmyślania jego przerwał głuchy turkot karety u podjazdu. Kilku lokai rzuciło się do drzwi. W kontramarkarni zrobił się większy ruch.

– Zaczynają się zjeżdżać, trzeba iść na stanowisko – pomyślał pan Rudecki.

Lecz spojrzał jeszcze na dół. Weszło dwóch panów; rozmawiali ze sobą głośno, pozbywając się palt za pomocą służących.

– Czy te wycia nie skończone? – rzekł jeden z nich, młody, cienki i łysy już. Lokaj zgiął się w ukłonie z przymilającym się służbowym uśmiechem.

– A nie jeszcze, proszę jaśnie wielmożnego hrabiego, choć to już czas...

– Nie do ciebie mówię fagasie – syknął jaśnie wielmożny. Lokaj znowu ukłonił się.

– Arystokracja! – szepnął do siebie pan Rudecki.

Dwaj panowie stali przed lustrem, sprawdzając fryzjerską robotę na głowie, sztywną białość wielkich plastronów bielizny i znudzono-kapryśny wyraz zwiędłych ust, po czym wolno, miarowym krokiem wchodzili na schody i przymrużając oczy spoglądali z góry na stojącego obywatela.

– To ktoś z koncertowej tłuszczy – rzekł do towarzysza łysy hrabia.

Pan Rudecki słów tych nie słyszał, zobaczył natomiast coś lepszego. Lokaj, który dotąd stał w postawie wyczekującego, gdy panowie znikli za drzwiami, zwrócił się gwałtownie w ich stronę i pokazał język... ale panu Rudeckiemu.

Spostrzegłszy omyłkę, spiesznie się cofnął do kontramarkarni, zupełnie skonfundowany.

Pan Rudecki, ubawiony tą sceną, poszedł prosto na galerię. Z miejsca swego widział oszklone drzwi wchodowe, schody i część górnego korytarza. Ostatni numer koncertu nie zajmował go wcale, jak i przeważną liczbę osób siedzących bliżej drzwi.

Coraz ktoś nowy przyjeżdżał, ruch wzmógł się. Ojciec Stefci siedząc obok filaru, widział wszystko, sam w razie koniecznym mógł, przechyliwszy się za filar, być z dołu niewidzialnym. Dotychczas zjawiali się tylko nieznajomi panowie. Jeden z nich zatrzymał na sobie dłużej wzrok pana Rudeckiego. Był to człowiek już bardzo stary, ale prosty i sztywny, w obcisłym fraku. Twarz miał bladą jakby, woskową, na niej odznaczał się duży orli nos i ogromne czarne oczy. Siwe, prawie białe włosy miał zaczesane w staroświeckie pukle nad uszyma, wąskie usta, zaciśnięte dumnie, wyrażały pychę magnacką.

Pan Rudecki wiedział, że jest to Andrzej Mortęski, prezes miejscowego towarzystwa rol- niczego i dyrektor wystawy. Duma i wielkość biły od tej postaci, czyniąc ją niesympatyczną. Obok hrabiego stał jakiś niski pan, gruby, czerwony i spocony na twarzy, z ogolonymi wąsami i białym zarostem à la Moltke. Ręce trzymał założone w tył, z miną, jakby sobie nic z nikogo nie robił. Jednak na hrabiego spoglądał pokornie, uśmiech pełen uszczęśliwienia nie schodził mu z ust. Gdy hrabia zwracał się do niego, zawsze trochę z góry, założone w tył ręce grubego jegomościa odrywały się nagle od fraka i tłuste czerwone palce zaczynały gmerać koło dewizki. Z taką uniżonością przeginał swą beczkowatą figurę, takie robił układne miny, że pan Rudecki patrzył na niego z obrzydzeniem.

– Pewnie jaki młynarz z dóbr hrabiego, bo przecie chyba nie obywatel.

Koncertu nikt nie słuchał. Zaczęły się zjeżdżać panie z arystokracji. Mężczyźni wybiegali do kontramarkarni. Pan Rudecki wypatrywał pani Elzonowskiej i Stefci, ale jeszcze nie nadjechały. Przyjechał natomiast hrabia Trestka i Wiluś Szeliga. Nowe rzucenie się lokai do drzwi i wszedł ordynat Michorowski prowadząc pana Macieja.

Wszyscy panowie poruszyli się. Młodzi wyszli aż na schody. Hrabia poważnie posunął naprzód swą imponującą postać. Powitanie dwóch starców odbyło się z obopólną atencją, po czym już hrabia odstąpił pana Macieja, a gruby jegomość z zarostem à la Moltke odszedł w skromniejsze szeregi męskie.

Waldemara otoczyli młodsi panowie. Pan Rudecki zza swego filaru pilnie na niego patrzał. Młody ordynat wyglądał już inaczej niż na koniu i przy obiedzie, ale może jeszcze świetniej, gdyż nieposzlakowany frak uwydatniał zręczną i elegancką postać. Miał w sobie dużo wielkopańskiego tonu i swobodnej a wytwornej niedbałości w ruchach. Wyróżniał się z całego otoczenia. Poznawało się w nim pana bardzo wysokiej krwi, nie przeciętnego salonowca. Bal był dla niego, nie on dla balu. Pan Rudecki spoglądał na niego i cieszył się, bo lubił panów tego pokroju, co Waldemar.

– Gdyby wszyscy nasi arystokraci byli podobni, stalibyśmy na szczycie cywilizacji – myślał z żalem.

Przyjechała starsza księżna Podhorecka, w czarnych drogocennych koronkach, i panna Rita. Księżnę prowadził hrabia prezes Mortęski, Ritę jakiś pozujący na Anglika młodzieniec, który zręcznie uprzedził Trestkę.

Baron Weyher wprowadził tryumfalnie kapiącą klejnotami hrabinę Ćwilecką. Za nią postępowała sztywno panna Michalina z łysym hrabią, co miał scenę z lokajem, i roześmiana Paula, wsparta na ramieniu równie roześmianego towarzysza. Waldemar, widocznie zniecierpliwiony, spoglądał na drzwi wchodowe.

– Czemu one nie przyjeżdżają? – pomyślał pan Rudecki.

Wtem zwrócił się do niego jakiś starszy pan, siedzący obok, i spytał patrząc spod okularów:

– Panie, czemu muzyka nie ustaje? Bębnią i bębnią, choć nikt nie słucha, a tam arystokracja już wali gremialnie i pewno się także złości.

– Ktoś tu komuś powinien ustąpić: koncert arystokracji czy vice versa – odparł zagadnięty.

– Tymczasem nikt nie ustępuje, ale to dowodzi, że ci wszyscy panowie niewiele sobie robią ze sztuki, przy tym są niezbyt grzeczni, bo i sami nie słuchają, i innym nie dają.

– Zachowują się jednak dość cicho, a co do muzyki dzisiejszej, niewarta ona lepszego traktowania.

– Panie! przecie to sława stolicy i ostatni koncert!

– Może być! ja się nie zachwycam.

– A był pan na poprzednich koncertach?

– Nie!

– A – ba!...

Ten wykrzyk przekonał pana Rudeckiego, że nie zawsze ostatni akt równa się pierwszemu.

Pan w okularach mówił dalej:

– Zanim tę salę uprzątną z krzeseł, to się biedne panie diabelnie znudzą w buduarach, a my tu na galerii.

– To i pan przyszedł oglądać bal?

– A tak. Ja, panie, po nocach nie sypiam, a nic lepszego nie mam do roboty, więc pomyślałem sobie: trzeba popatrzeć jak oni tańcują. A pan dlaczego tu przyszedł?

– Ja? ot, dla zabicia czasu.

– A widzi pan!

Głośniejszy ruch przy drzwiach zwrócił uwagę rozmawiających. Pan Rudecki spojrzał i cofnął się za filar. Na schody wchodziła pani Idalia w pysznej aksamitnej sukni i w brylantach, prowadzona przez starszego księcia Giersztorfa.

Waldemar prowadził młodą księżnę Podhorecką. Biała jak śnieg Lucia szła z Wilusiem Szeligą. Stefcia, owiana seledynową krepą, świeża jak maj,

wspierała się na ramieniu Trestki. Pan Rudecki, zaciekawiony zapomniał o potrzebnej ostrożności, wychylił się z galerii, by lepiej widzieć wchodzących. Stefcia wydała mu się śliczną. Gdy przechodzili koło grupy mężczyzn, wszystkie głowy pochyliły się przed pierwszymi parami. Pani Idalia skinęła głową trochę dumnie, a młoda księżna, drobna i ładniutka, z nieopisanym wdziękiem. Na Lucię i Stefcię posypało się moc spojrzeń, głównie na Stefcię, bo nie wszyscy ją tu znali. Ale Trestka prowadzący dziewczynę robił jej reklamę, miał przy tym bardzo dumną minę.

W ślad za nimi przyjechali hrabiostwo Barscy. Do hrabianki podbiegł książę Zaniecki. Koncert skończył się.

Po długich oklaskach zaczęto wychodzić, ale jeszcze połowa publiki nie wyszła, a już zgraja lokai wpadła do sali, chwytając krzesła i z rumotem wynosząc je na korytarz. Wszczęło się zamieszanie i hałas. Zza Filarów wyszedł Waldemar, wskazał ręką w kierunku drzwi i zawołał krótko spokojnym, lecz stanowczym głosem:

– Służba na potem! Teraz proszę tam.

Lokaje spiesznie cofnęli się obsługiwać odjeżdżających. W sali ucichło. Publika wychodziła swobodnie.

– Oho! temu nie przytrafi się to, co łysemu hrabiemu – pomyślał z zadowoleniem pan Rudecki.

A pan w okularach zawołał:

– Oto zuch! to ordynat, panie... Michorowski z Głębowicz. Ho! ho! to wielki pan, ale nie taki, jak oni wszyscy.

– Jak to nie taki?

– Bo rozumniejszy od wielu innych. Pan nie słyszał o jego dobrach? Jak on prowadzi gospodarstwo, a jaki popularny i ludzki. Przy tym patriota: żyje po magnacku, ale dla cudzych – milionów nie trwoni. W jego dobrach ludzie żyją jak u pana Boga za piecem i otaczają go prawdziwą czcią. Ech! żeby nam więcej takich, nie oglądalibyśmy się na zagranicę!

Pana Rudeckiego uderzyło podobieństwo myśli sąsiada do jego własnych.

– Czy pan zna osobiście ordynata? – spytał.

– Osobiście, panie. Ale poznałem go już na wystawie, bo mam tu swoje torfy, dreny, i rozmaite plany. Ja jestem inżynier, panie. A że ordynat jest członkiem komitetu, czynnym przy organizacji, więc miałem sposobność rozmawiać z nim przy lokowaniu swoich artykułów. On ma na wystawie ogromną stajnię. Dziesięć klacz różnych ras, ze wszystkich majątków, i tego pięknego ogiera, panie, araba czystej krwi, na którym tak dzielnie jeździł na wyścigu hipicznym, pewno pan widział? Ma także swoje zboża, psy myśliwskie i jeszcze tam coś w dziale myślistwa.

– Za konie dostał złoty medal.

– Bo też ma śliczne.

– I psiarnia dostała dobrą nagrodę. On widać ogromnie kulturalnie gospodaruje.

– I rozumnie, co dziwniejsze, że taki młody człowiek. Ja przecie znam

dobra głębowickie już za jego własnej administracji. Przedtem hulał, panie, po świecie jak nabab, błyszczał za granicą. Teraz jakoś woli siedzieć w kraju, ale o żeniaczce nie słychać, choć mu hrabiankę Barską swatają na gwałt.

Pan Rudecki zamyślił się.

Salę uporządkowano. Ogrodnicy ustawiali kwitnące wazony roślin. Posadzka odświeżona błyszczała jak szyba.

Nagle z buduaru wyszła Stefcia z Lucią i chwyciwszy się za ręce przebiegły wzdłuż sali.

Za nimi ukazały się dwie panienki w wieku Luci, wątłe i drobne jak laleczki, w białych sukniach, uczesane w secesję. Były to księżniczki Podhoreckie, wnuczki księżnej z Obronnego. Wszystkie zaczęły wirować po sali. Wesołe śmiechy odbijały się srebrnym dźwiękiem o freski ścian i sufitu. Wśród cieplarnianych kwiatów i drzew panienki fruwały niby jasne motyle. Stefcia, najwyższa i najsmuklejsza, wodziła rej. Obie księżniczki kręciły się z rozradowaniem nowicjuszek, pociągając i Lucię, nieco poważniejszą. Nie zwracały najmniejszej uwagi na galerię ani na służbę, która się grzecznie cofnęła. Na korytarz wszedł Waldemar, rzucił oczy- ma na salę i wpadł w rozbawione koło dziewczęce.

– Waldy! Waldy! – krzyknęły księżniczki.

– Panienki, kółko! – zawołał wesoło.

Porwał rękę Stefci i jednej z księżniczek, inne chwyciły się także za ręce i w tempie mazurowym okręcił je parę razy dookoła.

– Waldy, ty stań w środku i będziesz wróblem, a my będziemy śpiewały – zawołała zadyszana Lucia.

– Nie można, idziemy! – rzekł prędko i pociągnął je za sobą wskazując brwiami pełne galerie.

Panienki rozbiegły się spłoszone. Waldemar wolno podążył za nimi.

Zaczęli się zjeżdżać goście z miasta, muzyka zagrała walca, dając hasło do balu. Ale pan Rudecki nie widział wchodzących par, tak pochłonęła go drobna scena z panienkami i ordynatem.

– Wzięli mi ją całą, wsiąkła w nich – powtarzał w myśli i nie bardzo słuchał zachwytów sąsiada.

– Oto, panie, młódź rozdokazywana! Jakie to były ładne te ich piruety. Ale ordynat i do tańca, i do różańca. Z panienek najładniejsza jasnozielona. Kto to taki? Pewnie także jakaś księżniczka.

– Żebyś wiedział, że jestem jej ojcem! – pomyślał pan Rudecki z prawdziwą dumą.

Bal rozpoczął się szumnie, z życiem. Prowadził tańce Waldemar i hrabia Brochwicz z pomocą kilku innych.

Mieniło się na sali od barwnych strojów pań, przeplatanych czarnymi frakami, od przy- branych w kwiaty i brylanty głów kobiecych. Wytworna woń perfum, kwiaty, powiewanie wachlarzy tworzyły odurzającą atmosferę balową.

Błyszczały oczy, świeciły klejnoty, nogi w lakierkach i jasnych

pantofelkach ślizgały się rytmicznie. Wiotkie postacie kobiet, przegięte z wdziękiem na ramionach mężczyzn, rozkosznie pochylone głowy miały w sobie jakąś zmysłowość, idącą w krew, a estetycznie piękną. Mężczyźni wyglądali zwycięsko, czarne ich ramiona obejmowały śmiało gibkie stany tancerek, jakby z energicznym tryumfem. Niektóre pary, tańcząc, zdawały się szeptać sobie na

ucho tak samo porywające słowa, jak rwącym był szumny walc, który je unosił.

Waldemar, przetańczywszy z kilku pannami z arystokracji, porwał Stefcię w zaklęty wir.

I wówczas zrozumiał czar tańca.

Po raz pierwszy otaczał ramieniem jej smukłą postać i czuł ją tak blisko siebie, przechyloną, wdzięczną, oddaną. Trzymał ją silnie i doznawał rozkoszy słysząc bicie jej serca. Gorący oddech dziewczyny palił go, jej włosy musnęły mu usta. Sam pochylił się nieznacznie, aby dotknąć puchu jedwabistego. Oczy spod zmrużonych powiek trzymał utkwione w strojnej główce, ozdobionej pękami białej koniczyny. Widział obfite rzęsy Stefci i delikatne rumieńce, widział jej ładny profil, gorejące usta, białą welinową szyję i ramiona wychylające się z seledynowych obsłon krepy. Czar ogarniał go potężnie. Czuł, że i on oddziaływa na dziewczynę silnie. Stefcia tańczyła dobrze i lekko, ale była jak nieprzytomna. Nie zdawała sobie sprawy z uroku, jaki ją otaczał, czuła się szczęśliwą aż do upojenia. Wspaniale oświetlona sala, kwiaty, dobra muzyka, – olśniła ją, tańczyła z zapamiętaniem, całą duszę wkładając w zabawę. Gdy zobaczyła obok siebie Waldemara, ogarnęło ją przerażenie pełne błogości. W jego ramionach prawie zdrętwiała, pierś jej rozsadzały uczucia dotąd nie znane. Dreszcze niepokojące wstrząsały nią gwałtownie. Nie patrząc czuła, że on przepala ją wzrokiem. Unoszona przez niego, lekko i zręcznie płynęła po niezmierzonych falach szczęścia. Oboje tańczyli jak artyści. Tak byli wytworni i dobrani, że w tłumie mnóstwa par zaczynali zwracać na siebie uwagę. Upoje- nie ogarnęło ich wichrem, ich taniec stawał się namiętniejszym i trwając długo, przykuwał do siebie oczy baczniejszych widzów.

Panu Rudeckiemu łza zakręciła się pod powieką, westchnął cicho. Nie mógł oderwać wzroku od pięknej pary, a bolał go jednocześnie jej widok.

– Wyrwać ją stąd, unieść, zabrać! – zaszumiało mu w głowie. Za późno!

Pan Rudecki czuł, że za późno.

Chwila przerwy. Szum, gwar, poprzedzający ważną chwilę balu, słychać komendę ordynata. Brochwicz zwija się, ustawiając pary.

Nagle runął na salę huczny, dziarski mazur. Zakipiał spiesznym tętnem w sercach, rozgrzał krew w żyłach.

Zerwały się, popłynęły wszystkie pary.

W pierwszej ordynat z młodą hrabiną Wizembergową, córką księcia Giersztorfa, z którą ordynata niegdyś swatano. Druga para: hrabianka Barska i książę Zaniecki, następnie Trestka z panną Ritą, Brochwicz ze Stefcią, Lucia i

młody Żnin. Zaroiło się na sali od czwórek.

Zapał rósł, kipiała krew tańczących, promieniały twarze pań, silne prądy, namiętne dreszcze rosły dokoła. Donośny głos ordynata podniecał do życia.

Mazur gorętszych wprost porywał za włosy, zniewalał do szału, budził entuzjazm. Waldemar, niewyczerpany w pomysłach, układał coraz nowe figury. Widząc go tak rozbawionym, pan Maciej dziwił się po cichu, ale pani Elzonowska głośno mówiła, że takiej werwy dawno nie widziała u ordynata.

– Chyba w czasach, gdy hulał po świecie, lecz i wtedy był inny.

Mazur trwał długo, ale ordynat nie pozwolił mu słabnąć: przerwano go w pełni życia, chociaż wszyscy byli już pomęczeni. Sala opustoszała. Większość tanecznikow poszła do obficie zastawionych bufetów, a kółko arystokracji do dolnego gabinetu, gdzie była zamówiona osobna kolacja. Do sali balowej wpadła służba, uzbrojona w szczotki, i zaczęła odświeżać posadzkę, niby arenę przed nowym występem gladiatorów.

Pan Rudecki rozpamiętywał swe wrażenia. Dopomagał mu w tym sąsiad w okularach, który mówił bez przerwy, robiąc różne uwagi o tancerzach i tancerkach. Z pań chwalił najwięcej błękitną, istotnie piękną hrabinę Wizembergową, księżycową pannę Ritę i jasnozieloną Stefcię. Tak je nazywał od koloru sukien.

W dolnym gabinecie bawiono się wybornie. Stefcia miała z jednej strony Trestkę i pannę Ritę, z drugiej młodzieńca z monoklem, który się nią ogromnie zajmował, a naprzeciw Waldemara z hrabianką Barską. Stefcia, uradowana z sąsiedztwa, miała złoty humor. Z wesołą przekorą drażniła się z Trestką, z pustym śmiechem przyjmowała umizgi młodzieńca w monoklu. Razem z panną Ritą tworzyli czwórkę niezrównaną. Waldemar dorzucał często swe atuty, co zwiększało grę słów, płynących szeroką rzeką, pełnych wytrysków dowcipu.

Hrabianka krzywiła się: drażniły ją ucieczki Waldemara do przeciwnego obozu; dokładała wszelkich usiłowań, aby go zatrzymać przy sobie, stosując wyraźną kokieterię. Na Stefcię czarne oczy hrabianki ciskały złe spojrzenia. Instynktownie czuła większe niebezpieczeństwo z tej strony. Panna ta, w swej gorącopomarańczowej sukni, za bogatej i za poważnej na jej wiek, śniada, z włosami i oczyma czarnymi jak noc, przypominała cygańską królewnę, walczącą z dziką zazdrością o zdobycz.

Gdy patrzyła na Stefcię, z twarzy jej znikało rozczulenie dla ordynata, a wypełzał gniew, prawie nienawiść, pokryta maską uprzejmego uśmiechu. Oczy gorzały dziko.

Książę Zaniecki, który pochłaniał ją wzrokiem, szepnął w zachwycie:

– Demoniczna dziewczyna! ale jaka śliczna!

Popełnił nieostrożność: siedząca obok hrabianka Paula dosłyszała i rzekła z przekąsem:

– Ordynat nie lubi demonów w kobiecie.

Gniewało ją, że książę, siedząc przy niej, zwracał oczy w inną stronę.

Zaniecki, zamiast skruchy, uradował się niezmiernie. On chciałby otoczyć

ordynata całym legionem aniołów, byle mu tylko tego demona zostawił. Księciu chodziło najwięcej o oprawę; był z liczby ludzi, którzy w pewnych wypadkach więcej cenią ramy niż obraz.

Stefcia dostrzegała nieprzychylne błyski w oczach hrabianki, lecz nie psuły one jej wesołości. Bawiła się wybornie, nie czując skrępowania.

Dobrze przeczuwał pan Rudecki: wsiąkła już w sferę tych ludzi. Miała przy tym powodzenie. Jej karnecik szczelnie zapisano nazwiskami. Michorowski powtarzał się w nim kilka razy. Dziewczyna z rozkoszą wchłaniała wonny dymek uwielbień, unoszący się dokoła niej. Każde spotkanie jej oczu z Waldemarem wstrząsało nią, każdy taniec z nim odurzał. Bała się jego zbliżenia, zaczynała drżeć, gdy na nią patrzał, a jednocześnie ten błogi niepokój sprawiał jej niewysłowioną rozkosz.

Kolacja trwała niedługo, po czym tańce znowu zaczęły się ze zdwojoną siłą.

Waldemar, przetańczywszy ze Stefcią kontredansa, posadził ją pod grupą olbrzymich palm i rzekł nieco szorstko, jak zwykle, gdy mu na czym zależało:

– Niech mi pani pokaże karnecik.

Stefcia podała mu seledynowy, malowany gracik z maciupcim ołówkiem tegoż koloru. Waldemar przeczytał na okładce:

Lepsza w kwietniu jedna chwilka

Niż w jesieni całe grudnie.

Uśmiechnął się i usiadł obok Stefci na krześle w ten sposób, że odgrodził ją od sali.

– Czy to pani sama wybierała ten karnecik?

– Dostałam go od baronowej.

– Bardzo dobry aforyzm. Mickiewicz dla siebie go widać ułożył, bo jednak czasami jest inaczej. Na przykład u nas chwile wiosenne były złe, nieufne, drażliwe, słowem brzydkie! Dzisiaj są lepsze, a mamy jesień!

– Ale nie grudzień!

– W grudniu będzie jeszcze lepiej.

Przerzucił kartki karnecika, odczytując nazwiska.

– Ależ tu cała armia wpisana! Bajeczny rejestr! Moje litery bledną wobec tej potęgi. Co?

co?... kotylion – Brochwicz? No, mogła pani kotyliona zostawić dla mnie.

– Nie mogłam odmówić panu Brochwiczowi. Zresztą bal to jak bitwa: zdobywa ten, kto pierwszy przychodzi.

– Nie zawsze! czasem drugi pobije pierwszego. Ja właśnie mam ten zamiar. Spojrzał jej w oczy z demoniczną pewnością siebie.

Stefcia zmieszała się, ale odrzekła bez wahania:

– Tak nie można. Pan Brochowicz byłby słusznie obrażony.

– Potrzeba mi tylko zgody pani, a już ja tak urządzę, że się Jurka ułagodzi. Ale teraz mi pani naturalnie odmówi.

Powstał z krzesła i rzekł z uśmiechem:

– Idę po Brochwicza. Za chwilę!

Gdy odszedł, podsunął się do Stefci młodzieniec w monoklu i zapytał z umizgiem:

– Pani kotyliona tańczy?

– Tak, panie.

– A!... pardon! spóźniłem się... i zawsze ordynat...

– Co pan tu przeciwko mnie spiskuje? – zapytał niski głos ordynata tuż za nim.

Młodzieniec bąknął coś po francusku i z ukłonem odszedł. Waldemar stanął przed Stefcia, trzymając pod rękę Brochwicza.

– Mój Jurku, ja tu zaatakowałem karnet panny Stefanii i twoja pozycja w kotylionie bardzo mi się nie podoba. Nie chcę z tobą batalii, mając nadzieję, że sprawę załatwimy polubownie.

– Dobrze! ale to zależy ode mnie, a ja się nie zgadzam – rzekł Brochwicz.

– Mój drogi! nie jesteś wyrocznią w tej sprawie.

– Zależy i ode mnie, lecz tym samym pan wygrywa – dodała Stefcia.

– Dziękuję pani! A co Waldy!

– Nie tryumfuj przed czasem! Uciekam się do ostatniego środka i przekonam was, że słuszność żądania jest po mej stronie. Pani obiecała mi pierwszego kotyliona jeszcze w Słodkowcach – ten będzie pierwszym. Ty zaś, Jurku, podobno starasz się o rękę hrabianki Melanii, a ją znudził już Zaniecki, wierzaj mi!

– Przekonywa mnie jedynie pierwszy argument. Jeśli pani obiecała kotyliona najpierw tobie, muszę się cofnąć, chociaż z głębokim żalem.

Stefcia, mocno różowa, wyciągnęła rękę do Brochwicza.

– Przepraszam pana. Istotnie zapomniałam. Chłopak ścisnął jej rękę z ukłonem.

– Jestem pobity, ale trzymając się zasady: nic darmo, proszę panią o ostatniego mazura. Stefcia złożyła ręce z zabawnym grymasem.

– Niestety! wpisał się już pod nim pan Żnin.

– A więc proszę o nadprogramowy. Waldy, ty, jako dyrygujący, urządzisz to.

– Z całą przyjemnością.

Stefcia na końcu karnecika napisała dużymi literami: „Biały mazur – Jerzy Brochwicz”. Chłopak z ukłonem odszedł w stronę Barskiej.

– Czy zadowolona pani? – spytał cicho Waldemar.

– Dlaczego pan skłamał? Ja panu kotyliona nie obiecywałam.

– A dlaczego pani skłamała?

– Chciałam ratować sytuację.

– A ja chciałem z panią tańczyć. Wcześniej nie mogłem o to prosić z powodu ścisłej barykady fraków otaczających panią. Użyłem podstępu.

– Tak, ale co pan Brochwicz pomyśli?

– Pan Brochwicz uwierzył święcie, a teraz – o! niech pani patrzy – kłania się hrabiance i został przyjęty.

Przesunął się koło nich hrabia Barski. Zmierzył dumnym wzrokiem Stefcię

i ordynata, ale w jego oczach ujrzał niezbyt zachęcający wyraz, bo spiesznie odszedł dalej.

– Co pani sądzi o tym panu? – zapytał Waldemar Stefcię.

– O hrabi Barskim? Niesympatyczny i wydaje się nieprzystępnym. Zresztą – mało go znam. Waldemar wydął usta.

– Napuszony arlekin wielkości, karykatura sterowa. Człowiek ten jest przekonany, że nie on istnieje dla świata, ale świat dla niego. W jego mniemaniu on jest osią, dokoła której wszystko się obraca. Ja nawet wątpię, czy on wierzy we własną śmierć, chyba w taką, że zostanie żywcem wniebowzięty, razem z herbem i koroną. Ale niech szanuje swą wielkość, jak sam chce, byle przestał być apostołem swych idei, gdyż one posiadają zarazek niebezpieczny.

– Więc hrabia ma jakieś idee i szerzy propagandę? – zdziwiła się Stefcia. – Nie posądzałam go o to; ma wygląd sobka, troszczącego się jedynie o swe miliony, tytuł i o... dobrą partię dla córki.

Waldemar z uśmiechem skłonił głowę.

– Odgadła go pani trafnie, lecz to są względniejsze wady hrabiego, można by mu je wybaczyć, bo za wiele mamy podobnych w kraju. Ale hrabia ma przy tym niemożliwe doktryny etyczne i społeczne i w sposób kaznodziejski chce je rozpowszechniać wśród młodzieży naszej; a że posiada mózg raczej żółwi niż orli, a więc może sobie pani wyobrazić, jakie zdania wygłasza. To już nie fanatyk, to barbarzyńca sterowy, naszpikowany dumą. On nie uznaje ludzi, tylko magnatów. To ciekawy typ, okazowy! lecz powinien być w muzeum, nie w świecie.

Stefcia poruszyła głową ze zdziwieniem.

– Jeżeli znany jest ogółowi pańskiej sfery jako człowiek wątłego umysłu więc nie może szkodzić.

– Tak, umysłom tęższym, ale mamy duży procent głów bardzo niewykształconych, umysłów niemowlęcych; na nich wpływ hrabiego działa. W ten sposób rozszerzają się jego pojęcia i szkodzą. Gdyby nie miał milionów i pięknej córki, może by jego apostolstwo mniej znajdowało przychylnych obozów, ale to jest margines, który ściąga bawełniane głowy pod jego hasło.

– Czyli że hasło hrabiego brzmi: precz ze światem, niech żyje Olimp! – zawołała wesoło Stefcia.

Waldemar roześmiał się.

– Brawo, panno Stefanio! doskonale! pani go lepiej zna, niż sądziłem. Hrabia istotnie arystokrację uważa za bogów, siebie bez wątpienia za Jowisza.

– Czy hrabianka podziela zapatrywania ojca?

– O tak! wprawdzie w inny sposób, lecz treść jednakowa. Tylko ona. jako panna na wydaniu i kobieta piękna, nosi swe zasady jak suknię, stosownie do okoliczności. Więc do salonu: aksamity, gazy, białe puchy, zwłaszcza gdy widzi przed sobą choć jedną dobrą partię z nazwiska, tytułu lub majątku. Na co dzień szata jest ostrzejsza: wełna, brokat, dla ogółu ludzi stać ją tylko na

płótno, perkalik, a dla służby nawet zgrzebny drelich jest zbyt kosztowny.

– Wypowiedział pan to zręcznie, lecz złośliwie.

– Nie, pani, może w sali balowej moje zdanie wydaje się za ostre. Zresztą hrabianka jest dziś w najpiękniejszej ze swych ceremonialnych szat, jest w otoczeniu wielbicieli i widzi przed sobą paru, o których jej wyjątkowo chodzi.

Stefcia uśmiechnęła się i skłaniając głowę w stronę mówiącego rzekła:

– A jeden z najpiękniejszych rozmawia z przedstawicielką klas upośledzonych. To może hrabiankę gniewa.

– O, i pani powiedziała to złośliwie.

– Nie. tylko szczerze.

– Więc powiem i ja tak samo. Jestem egoistą i dla hrabianki nie zaniecham rozmowy z panią. Ale otóż grają. Służę pani.

Stefcia wsparła się na jego ramieniu. Ordynat, otaczając jej gibki stan, spojrzał na nią spod zmrużonych powiek wzrokiem, jakim potrafił wprowadzać kobiety na manowce. Stefcia drgnęła i spuściła długie rzęsy. Ordynat objął ją silniej. Popłynęli na salę.

Kotylion wił się z niebywałym życiem. Przygotowanych kwiatów zabrakło, szły na ofiary dekoracyjne. Waldemar miał na piersiach istny pancerz kwiatowy. Stefcia wyglądała jak jeden bukiet, panna Rita, hrabianka Melania, hrabina Wizembergowa, nawet Lucia i młodziutkie księżniczki Podhoreckie pływały w kwiatach. Sala miała wygląd ogrodu: wszystkie panie. różowe, rozpromienione, z gwiazdami w oczach, były jak kwiaty. Panowie, niby czarne motyle, uwijali się gęsto przy najpiękniejszych.

Szał ogarniał tańczących, przeszedł we wzajemne oświadczanie się sobie za pomocą kwiatów. Upajająca woń roślin, roznamiętnienie, czar unosił się w blaskach sali omotując wszystkich niebezpieczną siecią, przeźroczą jak mistyczna jakaś pajęczyna. Waldemar otrzeźwiał pierwszy i zakończył kotylion huczną figurą mazurową.

Pomęczone panie uciekały do buduarów. Lokaje roznosili chłodzące napoje. Stefcia. księżniczki i Lucia wybiegły na korytarz. Naręcze kwiatów złożyły na balustradzie, same zaczęły chłodzić się wachlarzami. Wtem na schody wbiegł lokaj, niosąc ogromny pęk róż, gwoździków i storczyków. przeplecionych pierzastą paprocią, znikł w drzwiach sali.

– Ciekawam, dla kogo to? – szepnęła Lucia. – Pewno Zaniecki dla Barskiej.

Kilku mężczyzn otoczyło panienki. Młodzieniec w monoklu prawił Stefci miłe grzeczności. Zniecierpliwiona zabrała kwiaty, chcąc się schronić do buduaru. Panienki poszły z nią razem.

W przejściu pod filarami spotkały Waldemara.

Szedł niosąc w ręku świeżo przyniesiony pęk kwiatów. Błysk żywej radości zapalił mu się w oczach. Rozdzielił kwiaty na dwie części: jedną połowę wręczył Stefci, a drugą sypnął na nią jak na corso. Rzekł przyciszonym głosem:

– To nad program. Kwiaty składają pani hołd w moim imieniu.

Aksamitne róże pozaczepiały się na krepie sukni, upadły na szyję i ramiona Stefci, inne u jej stóp. Jeden storczyk zawisł na włosach. Stała jak w powodzi.

Waldemar znikł za filarami, zanim zdumiona Stefcia zdążyła mu podziękować. Obie księżniczki z okrzykiem rzuciły się podnosić rozsypane kwiaty i zaczęły je ciskać wesoło na Stefcię. Ona, ochłonąwszy odrzucała na nie. Bawiły się jak dzieci. Tylko Lucia stała sztywna, jak zdrętwiała, patrząc nieruchomo na roześmianą trojkę.

– To już tak?... aż tak? – szepnęła do swej zdumionej duszyczki.

Pani Idalia, nawet nie widząc sceny z bukietem, zaczynała się dąsać na powodzenie Stefci. Dziewczynę spotykały same tryumfy. Arystokratyczna młodzież dobijała się o tańce z nią. Otaczano ją stale ścisłym kołem. Zmęczona, rozpromieniona jak zorza, wirowała po sali niby motyl, niby cudny kwiat, porywający oczy. Pani Idalia widziała ożywienie ordynata, tańczył z nią zbyt często i zbyt namiętnie. Lecz najgorzej bolało baronową, że Waldemar hrabiankę Melanię zaniedbywał.

Po kotylionie, w bocznym buduarze, podeszli do baronowej: hrabia Barski z jednej strony, z drugiej hrabina Ćwilecka, i oboje mocno zgorszeni rozpoczęli atak. Hrabia mówił:

– Popełniła baronowa odstępstwo od zasad arystokracji wprowadzając w nasze kółko tę Rudecką. To trochę skandal! Ca ressemble un peu mal!

Panią Idalię uraził ton tych słów. Nie lubiła czynionych sobie uwag. Spojrzała z góry na hrabiego i odrzekła sucho:

– Skandalu nie widzę, gdyż w sali jest wiele panien podrzędniejszych od Rudeckiej. Ta zaś, skoro jest dame de compagnie mojej córki, ma prawo do pewnych względów.

Barski podniósł dumnie głowę.

– Tak! ze strony baronowej i jej córki, nie przeczę. Ale ja tu widzę dokoła panny Rudeckiej hołdy młodzieży naszej. To już zbyteczne.

– To kwestia jej urody i powodzenia – odcięła się pani Idalia.

– Idalko! – przemówiła pani Ćwilecka – nie broń jej. Hrabia ma słuszność: ta dziewczyna zaćmiewa sobą nasze panny. Był to największy nierozsądek z twej strony brać ją na bal.

Pani Elzonowska rozgniewała się.

– Zostawić jej w hotelu przecież nie mogłam. Z trochę dziwnymi państwo występujecie pretensjami.

– W ogóle popełniłaś nieostrożność biorąc ją do Słodkowic – mówiła zirytowana hrabina.

– Ona jest zbyt piękna tam, gdzie przebywa ordynat.

Barski zadrżał niespokojnie i złym wzrokiem przeszył hrabinę.

– Permettez, comtesse! stanę w obronie ordynata. Ta panna wpływu tak silnego mieć nie może, aby mówić tu o niebezpieczeństwie. Ona nie zaćmiewa naszych gwiazd, ale wprowadza niepokój, demoralizuje młodzież. Lecz zakusy ordynata mogą być względem niej inne, które łatwo wybaczyć: ona jest ładna, to prawda, ale i... subretki bywają ładne. Pani rozumie?...

Tłuste wargi hrabiny uśmiechnęły się do mówiącego rozkosznie, mrugnęła z dowcipną miną.

Nagle wyszła na środek buduaru hrabina Wizembergowa, dotąd stojąca w drzwiach niepostrzeżenie, i rzekła chłodno:

– Ale subretkom nie powierzamy swych córek, nie wprowadzamy ich do towarzystwa, nie podajemy ręki. Porównanie hrabiego jest co najmniej niewczesne. Panna Rudecka c'est une fille jeune, belle et trés bien élevée! Ona istotnie zaćmiewa nasze panny urodą, wdziękiem, inteligencją, porywa młodzież i ordynata – to wam się nie podoba. Ale można sarkać na nią, jeśli was gniewa, tylko nie ubliżać, szczególnie wobec osoby, której córka jest pod jej opieką.

Hrabina odwróciła się powolnym ruchem i dumnie wyszła z buduaru, ciągnąc za sobą szumiącą falę błękitnej mory.

Hrabia zły, napadnięty znienacka, gryzł wąsy, a gdy pani Idalia również wyszła, syknął przez zaciśnięte zęby:

– Histeryczka.

Hrabina Ćwilecka wzruszyła ramionami.

– Poszaleli na punkcie Rudeckiej! Oboje powrócili do salonu.

Tańce trwały do rana. Biały mazur przepłynął ostatnią dźwięczną falą, zahuczał raz jeszcze, rozniósł już. trochę senne echo wesela po zmęczonej sali i zamilkł. Bo i sala była zmęczona. Świadczyła o tym wytarta posadzka, walające się na niej poobłamywane listki i gałązki zmięte, bezbarwne. Świadczyły poobłamywane dekoracyjne kwiaty i ten wyłączny stygmat skończonej zabawy. Zdawało się, że we freskach ścian, wśród zdobiących je roślin tułają się jeszcze westchnienia, śmiechy i resztki marzeń razem z tonami muzyki.

Przed podjazdem huczały karety, nawoływania służby i głuchy tętent koni.

Wschodzące słońce, połyskując na lakierach karet i zaglądając ciekawie do okien, mówiło odjeżdżającym „dzień dobry".

Pan Rudecki, schowany w dorożce, wracał do siebie zmęczony, z pochyloną głową, pełną ciężkich myśli.

## XXXII.

Wieczór zapadł nad miastem. Zabłysły szeregi świateł na ulicach, okna domów migotały, przed hotelem, zawieszona wysoko, ziała białym blaskiem wielka lampa elektryczna.

W numerze pana Rudeckiego panował ruch. Lokaje wynosili walizkę i paczki, zdawali rachunek, dorożka czekała. Pan Rudecki, już w palcie, opłacał służbę.

Przy oknie oparta Stefcia, patrząc na ulicę, drżała wstrzymując łzy. Przed nią stało łubiane pudło, pełne kwiatów z wczorajszego kotyliona. Posyłała je matce wraz z paką cukrów dla siostrzyczki i brata. Wszystkie kwiaty ułożyła

na mchu warstwami, ale ogarnął ją teraz niepokój. Prędko otworzyła pudło i przebierając między kwiatami, wzięła bladożółtą różę i parę gwoździków. Gorączkowo wsunęła je za stanik, zamknęła pudło i znowu otworzyła, biorąc wspaniały purpurowy storczyk.

To symbol jego... to on. Spiesznie schowała storczyk razem z różą i gwoździkiem. Pochodziły one z bukietu Waldemara, którym obsypał ją po kotylionie. Pozostałej masie kwiatów przesłała z figlarnym uśmiechem od ust całusa i zaczęła zapakowywać pudło.

Do numeru wszedł szwajcar hotelowy.

– Czy wszystko gotowe? – spytał pan Rudecki.

– Proszę pana, dorożka gotowa, ale pan ordynat Michorowski przysłał swoją czwórkę i lando. Jest i lokaj, a oto list...

Pan Rudecki rozerwał kopertę.

Na bilecie Waldemara, skreślonym silnym, oryginalnym pismem, było kilka uprzejmych słów zawierających prośbę, aby jego powozem odjechali do kolei, gdzie i sam obiecywał być. Pan Rudecki zmarszczył się. Wszedł lokaj ordynata i ukłonił się z uszanowaniem.

– Czy pan ordynat sam pojechał na dworzec? – spytał go pan Rudecki.

– Nie, z hrabią Trestką i z panienką z Obronnego. Pan Rudecki odetchnął.

– Bardzo grzeczny i bardzo taktowny człowiek – pomyślał zadowolony.

Na ulicy stało wytworne, błyszczące lando z małym herbem i mitrą książęcą na drzwiczkach, zaprzężone w cztery kare klacze w strojnej uprzęży. Krakowskie chomąta świeciły srebrnymi okuciami.

Konie rwały się niecierpliwie, gryząc wędzidła, ale poważny stangret Flawian, starszy kolega Brunona, który jeszcze woził pana Macieja jako ordynata. umiał utrzymać je na wodzy.

Kiedy lando ruszyło, Stefcia przytulona do ojca zapytała cicho:

– Czy ordynat był wczoraj u ojczusia?

– Tak, był po obiedzie. Zabawił parę godzin. Bardzo się z nimi ciekawie rozmawia. Po długiej chwili szepnął znowu, jakby do siebie:

– Bardzo, bardzo elegancki człowiek.

Stefcia milczała. Coś ją ściskało w krtani... żal za odjeżdżającym ojcem i zarazem gorycz do samej siebie. Miarowy tupot koni, cicho sunące lando i dobrze znajoma liberia nasuwały jej uparcie na myśl Waldemara. Jechała jego landem, jego końmi – to samo już ją upajało. Pan Rudecki także milczał. Z ukosa patrzał na ładny profil córki, śledził jej widoczne wzruszenie, a w duszy jego gromadziły się złe obawy skłębioną masą.

Oboje mieli sobie dużo do powiedzenia i oboje milczeli. Zamykały im usta wrażenia, wiążące się w całość podobną. IM z jednego wypływały źródła. Przerazili się ujrzawszy dworzec kolejowy. Lśnił tysiącami świateł, migotał, huczał. Przeciągły świst lokomotywy przeszył serce Stefci dziwnym zgrzytem. Z nie dającym się ukryć przestrachem przytuliła się do ojca.

– Ojczusiu, ty jedziesz, a ja zostaję znowu sama – szepnęła z taką przejmującą obawą, że pan Rudecki zadrżał.

– Stefciu! dziecko! a przecież nie chciałaś wracać... dobrze ci tu, oni cię tak lubią, uznają. Stefciu, czego się boisz?...

Lando stanęło. Lokaj zeskoczył z kozła, gromada tragarzy rzuciła się do stopni powozu. Wszczął się zgiełk i zamieszanie. Stefci serce waliło jak młotem. Gorączkowo, jakby sama miała jechać, wysiadła i szła z lokajem, niosącym pudło.

Nagle uczuła, że ktoś dotyka jej ramienia. Obejrzała się: był to Waldemar.

– Pani sama... Gdzież ojciec?...

– Poszedł kupować bilet.

– Niech mi pani poda rękę. Tu taki ścisk.

Oparła się na jego ramieniu. On ją przytrzymywał mocno i bez słowa prowadził wprost do sali pierwszej klasy.

Panna Rita i Trestka powitali ją okrzykiem. To ją rozweseliło. Za chwilę wszedł pan Rudecki.

Rozmawiano niedługo.

– Czy pan prędko opuszcza wystawę? – pytał pan Rudecki Waldemara.

– O nie panie! jeszcze zabawimy tu czas jakiś. Jutro zaledwo wyjeżdża pierwszy – a przyjeżdża drugi personel mej administracji. Gdy wszyscy obejrzą wystawę, a moi panowie praktykanci wybawią się należycie, wówczas wracamy do domu.

Rozległ się pierwszy dzwonek, trzeba było siadać. Pożegnanie trwało krótko. Stefcia niełatwo oderwała się od ojca. Waldemar zniósł ją prawie ze stopni ruszającego pociągu. Jeszcze trochę ukłonów, powiewań chusteczki i pociąg z szumem pogrążył w czarną czeluść nocy.

Lando wracało w milczeniu. Panna Rita i Stefcia siedziały cichutko, zamyślone. Panowie nie odzywali się także. I znowu Stefcia słyszała miarowy tupot koni, cichy turkot kół na gumach, znowu w blaskach świateł ulicznych migały przed nią złote guzy liberii na koźle. Jechała jego landem, jego końmi, ale obecnie i z nim. Wiedziała, że on siedzi naprzeciw, lecz wrażenie było już inne. może więcej skomplikowane, ale mniej potężne. Tylko czar płynął tą samą co zwykle falą.

## XXXIII.

Na wystawie ruch zaczął się zmniejszać, wiele osób wyjechało. Zabawy przycichły. Wszyscy zdawali się być pomęczeni. Tylko ordynat Michorowski, niewyczerpany w pomysłach, urządzał ciągle nowe przyjemności swym krewnym i znajomym. Odbywano wspólne wycieczki w śliczne okolice podmiejskie, końmi lub na samochodach, włóczono się po mieście, zwiedzając magazyny. Na placu wystawowym, gdy ruch się nieco zmniejszył, oglądano szczegółowo ciekawsze działy. Pewnego dnia byli wszyscy w stajniach i pawilonach głębowickich.

Stajnie, przybrane w barwy pąsowe z czarnym, najeżone chorągiewkami,

strojne w festony zieleni, przedstawiały widok piękny. Kręciło się tam pełno chłopców stajennych w dżokejkach i pąsowych kurtkach oraz masztalerzy strojniejszych już, pod dyrekcją koniuszego Badowicza. Konie miały na sobie kapy sławuckie, haftowane w monogramy z mitrą, i żółte zamszowe uździenice.

Porządek w stajniach panował wzorowy. Zachwycano się najwięcej Apollem. Oprowadzał go sam koniuszy. Apollo ordynata zarżał cicho i dymiące nozdrza zwrócił w jego stronę. Szyję wyginał klasycznie, oczy pełne i inteligentne w wyrazie gorzały jak pochodnie, kręcił się, bił kopytami ziemię, chrapiąc w sposób znamionujący wyborną rasę.

Stefcia podeszła do konia, klepnęła go po wygiętej szyi, gładziła śliczną główkę.

– Stefciu, on ciebie uderzy! – wołała przestraszona Lucia.

– Nie uderzy. Owszem, niech go pani pieści – szepnął Michorowski – niech mu pani da rękę do pocałowania.

– O, już tego nie potrafiłby! – zaśmiała się Stefcia.

– Powinien znać swe obowiązki.

Waldemar dotknął pejczem kolan Apolla i z lekka uderzył parę razy. Koń stęknął, zachrapał i zginając kolana ukląkł na przednie nogi przed zdumioną Stefcią.

Panna Rita zagryzła wargi aż do krwi. Trestce rozszerzyły się oczy. Rządca głębowicki i praktykanci spojrzeli na siebie błyskawicznie. A Brochwicz z miną rozradowaną nadzwyczaj uprzejmie usunął się przed Barskim, jakby mu chcąc odsłonić niezwykły widok.

– Kosiu! kośku! śliczny, cacany! – zawołała, ochłonąwszy, Stefcia. Objęła głowę konia ramionami i pocałowała w białą gwiazdkę na czole.

Apollo, jakby tego tylko czekał, zerwał się gwałtownie, wyrzucając łbem i parskając raźno.

– Wariat! – mruknął Barski.

– Kto? ordynat czy Apollo? – spytał z umizgiem Brochwicz. Hrabia spojrzał na niego z góry z taką miną, jakby chciał rzec:

– Obaj siebie warci, a i pan nie lepszy – i obrażony założywszy w tył ręce, odszedł w przeciwną stronę, gwiżdżąc.

– Ależ to cyrkowy koń! Jakim sposobem pan go tego nauczył? – spytała Stefcia trochę zmieszana.

– A od czego wola – rzekł Waldemar.

– Zaimponowało mi to, muszę przyznać – mówiła panna Rita. A Wiluś. stojący na boku, myślał:

– Szczęśliwy człowiek! może jej okazać hołd nawet przez konia. Ciekawym. kogo bym mógł zmusić do zgięcia przed nią kolan. Chyba samego siebie...

Westchnął rozgoryczony.

Pawilon łowiecki był również ciekawy. Tam przeważały barwy szare i zielone. Wieniec z dębowych liści, głowy łosi, jeleni i danieli o potężnych

rogach, łby odyńców, zadziwiające kłami, ozdabiały budynek. Przy wejściu stał ogromny wypchany niedźwiedź, trzymający w łapach stalowe wieszadło do kapeluszy. Dział ten przedstawiał okazy fauny i flory z lasów ordynackich, plany wzorowego urządzenia lasów, dokładny wykaz ilości starodrzewiu i zagajników, a także mapy i trofea myśliwskie ordynata. Jeden kąt pawilonu zajmowały zdobycze jego z podróży do pustyń Afryki. Były tam skóry lwie, tygrysie i lamparcie, jeden tygrys bengalski, całkowicie wypchany. Były kły słonia i głowa antylopy oraz okazy ptaków podzwrotnikowych. Każda sztuka miała tabliczkę z objaśnieniem, gdzie zabita i kiedy. Dział ten obsługiwał typowy Murzyn z wełnistą głową, ubrany w zielony jedwab. Na ścianach wisiały fotografie zwierzyńca głębowickiego, a także strzelby, rewolwery, trąby i noże obsługi leśnej. Dyrygował i objaśniał łowczy Urbański z pomocą strzelców. Odznaczał się strzelec Jur, ulubieniec ordynata, olbrzymi chłop, mający dumną minę i pyszny moderunek. Jego zielony uniform lśnił od złotych szamerowań.

Zwiedzili jeszcze pawilon ze zbożami ordynata i poszli na plac główny do cukierni.

Zajęli miejsce na werandzie przy kilku stolikach. Michorowski siedział z panną Ritą, Stefcią i Lucią. Trestka przysunął się do nich również. Naprzeciw był stolik wolny. Za chwilę usiadło przy nim dwóch panów: tłusty jegomość z czerwoną spotniałą twarzą i młody zbiedzony urzędniczek.

– Kawy! – zawołał ostrym basem gruby pan do chłopca w białym fartuchu.

Po czym wsparł brodę na olbrzymiej kościanej gałce od laski i rzucał wzrokiem na wszystkie strony. Sapał przy tym jak lokomotywa.

– To jakiś restaurator na pewno – mruknął Trestka. – Bada, czy więcej ma gości cukiernia, czy jego restauracja. A może to jaki rzeźnik?...

– Nie krytykuj pan z pozoru – rzekł Waldemar. – Zobaczymy dalej.

– Czy pan nie jest fizjonomistą? – zapytała panna Rita.

– Ja, pani? Owszem! bywają wypadki, nawet częste, że odgadują usposobienie danej osoby, czasem myśli – trudniej przeczuć, czym się ona zajmuje, o ile nie ma zewnętrznych oznak. Stopień wykształcenia, inteligencji wykazuje najczęściej zachowanie się i dlatego ten pan robi na mnie wrażenie podejrzane.

– To rzeźnik na pewno – twierdził Trestka i zaczął opowiadać Stefci i Luci jakąś zabawną anegdotkę.

Rita rzekła do Waldemara:

– Jeżeli pan odgaduje niekiedy myśli innych proszę powiedzieć coś o mnie. O czym myślę?

– O czym pani myśli czy o czym pani myślała? – spytał z przekornym uśmieszkiem.

– Kiedy?

– Tak... trochę wcześniej... w stajniach.

Panna Szeliżanka utkwiła w nim surowy wzrok.

– Owszem, proszę – rzekła.

– Myślała pani o mnie...

– Zarozumialec!...

– Niech mi pani pozwoli dokończyć! Myślała pani, że... jestem narwany i jeszcze, że rzucam rękawicę pewnym osobnikom, o których w mniemaniu ogółu powinno mi chodzić. Ech! myślała pani, że jestem wariat. No, czy nie zgadłem?

Patrzał jej w oczy z uśmiechem. Rita gryzła usta. Nagle prędkim ruchem podniosła głowę, rzuciła bystre spojrzenie na Stefcię i odrzekła niepewnym głosem:

– Tak, zgadł pan. Ale nie myślałam, że pan wariat, broń Boże! ani to, że pan rzuca rękawicę Barskiemu. Wiem, że panu o niego nie chodzi. Dziwiłam się tylko, że... wysuwa pan zbyt śmiało naprzód sytuację... mogącą być jeszcze w cieniu.

Michorowski ściągnął brwi.

– Dlaczego? A jeśli ja ją chcę mieć w pełnym świetle? Czy mi nie wolno?... Pani Rita pobladła.

– A któż wątpi?... Tylko... zdawało mi się, że był pan pod wrażeniem chwili i trochę mimo woli... przeszarżował prawa zwykłych grzeczności.

Waldemar popatrzał na nią i rzekł z przyciskiem:

– Więc zapewniam panią, że byłem szczery. Gdzie istnieją całe szeregi chwil, nie poddaję się wyłącznie wpływom jednej. Zatem nie szarżowałem, raczej przeciwnie, przez wzgląd na osobę interesowaną zawsze i wszędzie niesłychanie normuję swe wrażenia, nie chcąc wy- prowadzać jej z dotychczasowego obiektywu pod bardziej szczegółowy rozbiór opinii, która nie oszczędzi nikogo.

Rita siedziała blada, panując nad sobą. Ta walka ubrała ją w maskę chłodu. Odrzekła sztywno:

– Danej osoby opinia nie naruszy, ale u pana wynurza się już subiektywność kwestii...

– Pozwalam wszystkim na rozczą̨stkowanie siebie i swych myśli, byle się kontestowano tylko ze mną. To zastrzegam – dodał kładąc nacisk na ostatnich słowach.

Panna Szeliżanka dumnie rzuciła głową.

– Niech pan zastrzega innym, gdyż ja rękawicy pańskiej nie podniosę... mogę ją najwyżej popierać w pewnych sferach, gdy już będzie rzuconą.

Michorowski skłonił się.

– W panią wierzę – rzekł grzecznie.

– Och! – zawołała młoda panna.

– Czy dostanę kawy? Co u diabła! – ryknął nagle tłusty jegomość przy bocznym stoliku. Ordynat spod brwi podniósł na niego zdziwiony wzrok i zatrzymał chwilę.

– Garson! trutniu jakiś! kawę podawaj!

Gwar panował na werandzie. Środkiem płynęła fala kobiecych kapeluszy i męskich głów. Lokaj nie zjawiał się.

– Garson! – krzyknął jegomość, podnosząc głos do wyżyn niemożliwych. – Błazny, hultaje! czy to w waszej podłej cukierni nawet dowołać się nie można?

Waldemar nie spuszczał oczu z rzucającego się jegomościa, tylko wzrok chłodniał mu stopniowo.

– Dzika bestia! – mruknął.

– A co! nie mówiłem, że rzeźnik? – dowodził Trestka. Jemu się nawet zdaje, że jest w oborze.

Jegomość stukał laską w podłogę, wreszcie i tego mu było za mało. Zadarł głowę do góry

i z miną wolarza zaczął walić laską w marmurowy blat stolika, aż brzęczały naczynia poustawiane na innych.

Lucia i Stefcia zaniepokoiły się, panna Rita zaczęła się cicho śmiać. Michorowski wstał.

– Panie! bez skandalu – szepnęła błagalnie Stefcia, przechylając się przez Lucię.

Oczy jej spotkały zimne źrenice ordynata. Złagodniał, na ustach jego mignął ledwo dostrzegalny uśmiech.

– Bądź spokojna – wyczytała Stefcia w jego oczach.

Waldemar zbliżył się do jegomościa, ale miał taką minę, że szczupły urzędniczek pociągnął krzykacza za rękaw.

– Panie łaskawy – rzekł Waldemar przyciszonym głosem, lecz dobitnie – pan zapewne wraca z rajtszuli. ale tu jest cukiernia i są damy.

– Co to pan?! – zaperzył się zdumiony jegomość, prostując potężne bary.

Wystraszony urzędnik ciągnął go niemiłosiernie za rękaw. Michorowski niedbale oparł się dłonią na stoliku.

– Niech pan raczy poszukać sobie odpowiedniejszego miejsca dla swej... bujnej natury – rzekł szczególnym tonem.

Kilka osób stanęło. Oglądało się na nich.

– Co to znaczy! co pan znowu? – wrzasnął, zrywając się, jegomość. Waldemar stał jak posąg z lodu.

– To, panie, że ja mam tu pewne prawa i na ich zasadzie nie pozwalam w miejscu publicznym, gdzie są kobiety, urządzać knajpy – mówił dobitnie.

Przerażony urzędnik ściąga już ubranie z ramion towarzysza.

– Panie, to ordynat Michorowski – szepnął do ucha zaperzonego jegomościa jakiś przechodzący pan.

Tłuścioch zmitygował się od razu.

– Ale mnie kawy nie dają – rzekł znacznie grzeczniej.

– Niech się pan upomina, lecz ciszej, proszę! – rzekł Waldemar i odszedł do swego stolika.

Rozejrzał się bystro po werandzie... Nadbiegł wezwany przez kogoś chłopak. Ordynat zmierzył go ostrym spojrzeniem.

– Pilnować służby – rzekł krótko i wskazał na stolik. Uspokojony jegomość sapał zawstydzony.

Chłopak spuścił oczy, szurgnął nogami przed ordynatem i pospieszył na stanowisko. Waldemar usiadł i zwrócił się do Stefci.

– Pani wzrokiem mogłaby poskromić lwa – szepnął z uśmiechem.

– Trochę wątpię – odparła.

Waldemar zaczął się śmiać z przerażenia Luci. Trestka rzekł do Rity:

– Ordynat pożarł rzeźnika, uważała pani?

– Zawsze wspaniały! – odparła zamyślona.

– Chyba nie rzeźnik?

– Niemądry pan jest.

– Zwykłe zakończenie! – rzekł z rezygnacją Trestka.

Panna Szeliżanka zamyślona spuściła głowę. Słońce, zachodząc, wyjrzało raz jeszcze przez pawilony, rozświetliło drzewa, jak ostatnie tchnienie rzuciło blask na werandę cukierni i na stolik z lodami, przy którym każdy myślał o czym innym, lecz wszystkie te myśli ściągały się do jednego mianownika.

W połowie września mieszkańcy Słodkowic i Obronnego opuścili wystawę. Ordynat został, aż do jej zamknięcia. Z pewnym smutkiem wyjeżdżali wszyscy, ale żegnali się zaledwo

na tydzień. Zapowiedziane przez ordynata polowania w Głębowiczach miały na nowo rozpocząć szereg zabaw. Wiele pań rozmyślało nad zabraniem odpowiedniej ilości strojów okolicznościowych i na bal kostiumowy, będący w programie. Wszystkich dziwił zapał ordynata.

Na wystawie on najwięcej przyczynił się do ogólnego życia, sypał pieniędzmi, imponował oryginalnością pomysłów. Odgadywano, że w Głębowiczach wystąpi jeszcze świetniej, mając stosowne do tego ramy. Nikt nie domyślał się, co go tak pobudza, choć wielu chciało dojść prawdy. Niektórzy przeczuwali w tym hrabiankę Barską; należała do ich liczby i pani Idalia. Lecz większość, z panem Maciejem na czele, nie wierzyła.

Tylko w kołach najbliższych, panny Rity, Trestki i Brochwicza, wszyscy zrozumieli wielką prawdę, ale i oni zaliczali ją do bajek.

Niespodziewane ukazanie się w salonach Mortęskiego margrabiny Silva zaciekawiło uświadomionych. Czy to był figiel hrabiego, czy przeczucie margrabiny? Nagłe zniknięcie jej zainteresowało podwójnie...

– Przegrała Werka! – szeptały zadowolone panie.

Brochwicz opowiadał wszystkim, że ordynat zakończył ostatnie rachunki włoskie i wszelkie inne rubryki rzucił do pieca.

– A krajowe? – spytał dowcipnie młody książę Giersztorf. Trestka zacisnął usta i mocno ściągnął czoło.

– Hm! tu będzie trudniej: księżna Krystyna twardsza od Silvy...

– Nie nałoży habitu... na pewno – mówił Brochwicz. – Będą spazmy, awantury i na tym koniec. Ordynat już ofiarował Kryśce carte blanche– mogła się oswoić. On usunie poboczne pretensje, skoro tylko zechce.

Panna Rita smutnie kiwała głową.

# XXXIV.

Wystawa zamknięta. Większość towarzystwa przeniosła się do Głębowicz, gdzie nastąpił sezon polowań jesiennych. Zamek głębowicki z łatwością pomieścił gości. Waldemar przyjmował ich po królewsku.

Miała się odbyć wielka obława na wilki, polowanie na łosie, dziki i w zwierzyńcu na bażanty. Cała armia leśnej służby ordynackiej była w ruchu. Łowczy Urbański wypełniał gorliwie polecenia ordynata, komenderując z kolei podłowczymi, ci zaś mieli pod sobą zastępy gajowych i masy naganki. Psiarczyki trzymali na smyczach psy gończe i małe podpalane jamniki do wytrapiania lisów z nor.

Dokoła dziedzińca zamkowego jeździły z wolna bryczki i wolanty, ciągnione przez rosłe, spasione konie.

Masztalerze uwijali się pomiędzy wierzchowcami. W wielkiej marmurowej bramie stali na koniach trębacze, oznajmiając rozgłośną fanfarą zbliżających się gości z sąsiedztwa. Całe obywatelstwo ordynat zaprosił do Głębowicz.

Wszystko to miało wygląd wyprawy wojennej. Michorowski, w ubraniu myśliwskim, jak główny wódz był wszędzie. Witał przyjeżdżających, doglądał ostatnich przygotowań, nawet bawił panie, zebrane w wielkiej sali jadalnej, gdzie mężczyźni jedli śniadanie przed wyjazdem do kniei. Nikt prawie nie siadał, każdy stojąc trzymał talerz przed sobą. Taka swoboda sprawiała niezwykłą przyjemność. Godzina była wczesna, więc tylko młodsze panie i panny towarzyszyły wyjazdowi. Po głośnych pożegnaniach bryczki, wolanty i myśliwi konni wyruszyli z bramy zamkowej długim sznurem. Przeprowadzał ich odgłos trąb, jakby zamek, wysyłając swą drużynę na bój, dodawał jej otuchy tym dźwiękiem spiżowym.

Ordynat jechał konno, za nim strzelec Jur wiózł dwie strzelby i naboje. Waldemar miał przy sobie rewolwery w olstrach i sztylet w srebrnej pochwie. Olbrzymi dog Pandur biegł obok jego konia poważnie, lecz z butną miną. I on rozumiał ważność wyprawy. Udano się najpierw do bliższych borów. Majaczyły czarną linią i w miarę zbliżania się do myśliwych rosły w olbrzymów. Od przepaścistych głębi wiało obfitością zwierzyny. Orszak wbił się klinem w lasy i zaraz w pierwszej kniei rozpoczęto łowy. Obława na wilki dała pyszne trofea. W pierwszych zakładach Waldemar nic strzelał, ustępując gościom najlepszych stanowisk. Dopiero w następnych zabił ogromnego wilka w biegu pomykającego wśród krzaków. Łowczy Urbański polował również i dwaj praktykanci. Główną komendę nad ustawianiem naganki prowadził jeden z podłowczych. drugi kierował psiarnią w zakładach gdzie puszczano psy. Ale nadzór ogólny miał sam ordynat. Zajęto nową część lasu, gdzie przebywały łosie.

Gęsty bór sosnowy, wysoki, podszyty liściastymi krzakami, szumiał poważnie, miał wewnątrz wielką różnorodność kolorów. Żółte i czerwone liście, cicho, prawie bez szelestu spadały na ziemię. Gdzieniegdzie czerwieniły się borówki, grzyby wysuwały spod mchu tłuste swe czoła.

Czerwone plamki surojadek, żółte, towarzyskie gąski, różowe rydze, okryte rosą, tworzyły ładne desenie na ciemnym mchu. Jesień wysadziła się na bogactwo, darząc las wszystkim, co mógł mieć w sobie o tej porze roku. Białe nitki babiego lala, zaczepione o złotawe pnie sosen, wiewały w powietrzu srebrnymi pasmami, owijając liście, tworząc pajęczą siatkę oplątującą las. Razem z masą włókien spływała dziwna melancholia, jakby sonety jesienne. Jakiś ociężały spokój i łagodna cisza w naturze, i bezpretensjonalność i powaga. Cała natura zdawała się mówić: „Oto szczęśliwie dobiegam kresu".

I dreszcz szedł po wielkich konarach drzew w obawie nadchodzącej zimy. Liście i kwiaty, i zioła przeróżne czuły, że kres idzie, żółkły im lica i więdły ciała. Uśmiechały się jeszcze do słońca, ale już przedśmiertnie. boleśnie wspominając z żałosnym poszumem miniony, złoty maj. Tylko grzyby panoszyły się butnie, słyszeć nie chcąc o jakiejś tam zimie; zaledwo wyjrzały na świat Boży i były pełne pretensji.

Dziś bór miał wiele rozmaitości. Po ustawieniu się myśliwych zagrzmiała donośnie trąba na wyruszenie naganki, po czym zapadła głucha cisza. Cała linia strzelców jakby zamarła, tylko gęste korony sosen huczały w górze jednostajną melodią kołysanki leśnej, tylko liście szeleszcząc spadały na ziemię. a czasem zakwilił ptak wśród gałęzi. Linię obstawiono gęsto; prawie za każdym myśliwym stał strzelec.

Waldemar miał miejsce pod ogromną sosną. Trzymał strzelbę w pogotowiu. druga stała oparta o drzewo. Nie lubił mieć za plecami służącego; jego strzelec, olbrzymi Jur, stał w pewnej odległości, mając polecenie przynosić zabitą zwierzynę po skończonym zakładzie.

Nagonka ruszyła daleko, myśliwi nic słyszeć nie mogli. Bór milczał, jakby się gotując do mającej nastąpić kanonady. Waldemar wsparł się plecami o sosnę, nie bardzo uważając na ciemne głębie przed sobą. Oczy jego nie miały ironicznego wyrazu, sarkazm, częsty gość w nich, schował się głęboko, wysyłając na swe miejsce trochę tęskną zadumę. Pełne, nieco zmysłowe usta przeciągnęły się w linię stanowczą, jakby do walki, przez tęsknotę oczu przelatywał chwilami groźny błysk. Wówczas brwi tworzyły złowrogi łuk. O czymś rozmyślał, coś postanawiał, może nawet marzył... Lecz na fali marzeń musiały być jakieś porohy nieprzyjazne. One wywoływały groźne cienie w jego oczach i na twarzy.

Nagle rozpogodził się, jakby jasny blask słońca padł wprost na jego głowę. Lekki uśmieszek, prawie rzewny, przemknął po jego ustach. Wyszeptał niemal z czułością:

– Stefcia...

Wiatr wionął, żółte liście drzew poruszyły się zgodną harmonią, zaszumiały głośniej wyniosłe czuby sosen, kilka głosów ptasich uderzyło w niebo.

– Stefcia... Stefcia... – szeptały dokoła drzewa i kwiliły ptaki.

Z daleka zerwał się hałas kołatek i przeciągłe pohukiwanie idącej zgrai. Szła nagonka.

Jeszcze chwila natężonej uwagi... Zadudniał głuchy, potężny tętent, ozwał

się trzask łamanych gałęzi i Waldemar ujrzał pędzącego z boku olbrzymiego łosia. Zwierzę rwało przez zarośla ociężałym kłusem, z podniesioną głową i położonymi na grzbiet rogami jak sękate gałęzie.

Waldemar wymierzył, lecz nie strzelał; oddał pierwszeństwo księciu Zanieckiemu. Ten raptownie podniósł strzelbę do oczu, ale łoś dojrzał ruch i skręciwszy w miejscu, rzucił się w stronę Waldemara. Zaniecki strzelił z obu luf – spudłował! Łoś zadarł głowę i farbując posunął się bliżej ordynata.

Wówczas Waldemar wypalił, mierząc w komorę, raz i drugi. Olbrzym ryknął przeciągle i ciężko ranny poszedł dalej.

Brochwicz dokończył mordu. A Zaniecki szepnął do siebie:

– Ordynat rozmarzony, zaczyna pudłować.

Padło kilka łosi, inna zwierzyna sypała się gęsto. Ordynat zabił dużo, otaczał go ładny wianek zdobyczy.

Gdy nagonka podeszła blisko, myśliwi zgromadzili się przy księciu Giersztorfie. Każdy opowiadał o swych zdobyczach.

– Ja najwięcej dałem strzałów – wołał Trestka.

– A zabił pan ile sztuk?

– Ile?... coś chyba... ech, nie wiem! To się potem policzy.

– Panowie, baczność! uważam, że Trestka chce ściągnąć każdemu z nas po jednym zajączku dla zwiększenia swego tryumfu – zawołał wesoło Brochwicz.

Trestka obraził się.

– Szczególnie tobie nie mógłbym tego zrobić, bobyś od razu poznał, mając najmniej na rozkładzie.

– Przepraszam cię! zabiłem sześć zajęcy, wilka i kozła. To trochę więcej niż u ciebie, gdzie tylko jedna lisia kita błyszczy w otoczeniu dwóch szaraków.

– Dobrze strzelacie obaj i zwierzyny mnóstwo – rzekł pojednawczo Giersztorf. Hrabia Barski zbliżył się do Waldemara.

– Czekamy ze śniadaniem na panie? – zapytał biorąc go pod rękę.

– Zapewne, już wkrótce przyjadą. Hrabia pociągnął go na stronę.

– A propos! niech mi pan powie... raczej określi bliżej stosunek tej... tej... comment donc! panny Rudeckiej do naszego towarzystwa?

Waldemar stanął jak spiorunowany, gniew zawrzał w nim, ostry wzrok zwrócił na hrabiego i spytał:

– Jaki stosunek? Nie rozumiem!

– Ah Dieu! panie ordynacie! chcę, abyś mi jaśniej wytłumaczył pozycję tej panny między wami.

– Jest nauczycielką Luci Elzonowskiej i zarazem towarzyszką... przyjaciółką.

– Nie. To wiem... Ale ona ma prawa jakieś wyższe nadane jej przez was?... Ona jest traktowana na równi z pannami ze sfery?... Ale Rudecka to trochę za mały szczebel do naszych wyżyn... za mały!

– Pozwoli pan, nasze wyżyny, jak pan się wyraził, to rzecz bardzo względna i wymagająca szerszego omówienia – przerwał Waldemar.

Hrabia skrzywił się, przybierając postawę pełną godności.

– W ustach pana trochę fałszywie brzmią jego słowa – to nuta nieodpowiednia dla potomka jednego z pierwszych rodów naszej arystokracji.

– Nie jestem, panie hrabio, fanatykiem sterowym. Cenię swój ród, lecz nie kłaniam mu się bałwochwalczo. Stygmat wyższości widzę w czynach, nie w herbie, bo taki sam noszą inne rody w kraju.

– Ale masz pan nad nim mitrę, czego ci inni nie mają. Waldemar roześmiał się przykrym, szyderczym śmiechem.

– Ach!... więc to?... u mnie mitra, u hrabiego dziewięć pałek?... to stanowi owe wyżyny? Aa! jeżeli tak, to panna Rudecka istotnie do nas nie sięga razem z Szeligami, Żninem i wszystkimi, którzy są uważani za naszych, są wśród nas, a jednak mają tylko pięć pałek w koronie.

Hrabia spojrzał ciekawie, lecz z gniewem na ordynata.

– Nie pojmuję pańskiego oburzenia!

– Daruje hrabia, ale ja nie pojmuję całej naszej rozmowy. Waldemar był wzburzony i nic ukrywał tego, nie bacząc na nic.

– A jednak ja wciąż dążę do tego, aby pana przekonać.

– Nie hrabio, to na nic. Proszę się nic trudzić! Barski mówił dalej, jakby nie słysząc:

– Nasz stygmat nie leży w tej samej koronie, lecz w tradycji. To, co cały świat nazywa arystokracją, wymaga u nas pewnej baczności, nawet pieczołowitości. Nie wolno nam zapominać o tym! nie wolno wprowadzać obcych pierwiastków w nasze zgromadzenie, aby nie wywołać gangreny, paraliżującej nasze poglądy, najświętsze dążenia. Ferment taki byłby katastrofą naszych idei: nie wolno nam zapominać o tym!

Hrabia podniósł wskazujący palec do wysokości swej twarzy i wpijając w Waldemara oczy jak sztylety, powtórzył dobitnie:

– Nie wolno!

– Patetyczny głupiec! – pomyślał Waldemar. – Gangreny... paraliże... fermenty?... Co to ma za związek z panną Rudecką? – wybuchnął głośno.

– O, ma! i wielki. Ona jest właśnie pierwiastkiem...

– Mogącym nas zgangrenować?... Ha! ha!... niech pan wierzy, że jeżeli kto kogo, to z pewnością my ją prędzej zgangrenujemy.

Hrabia poruszył się obrażony.

– My przede wszystkim powinniśmy takie osoby trzymać na daleką metę, lecz nie wprowadzać w nasz świat bezpośrednio. To szerzy niepokój, budzi nieufność w towarzystwie.

– Wszystkie te wypowiedziane przez hrabiego... komunały nie mają zastosowania u nas.

W naszym domu i okolicy panna Rudecka jest uważana jak najlepiej, zasługuje na zupełne uznanie i staramy się traktować ją w sposób odpowiadający jej osobistej godności; chcemy, aby się nic czuła obcą, i każdy, kto przebywa wśród nas, musi się do tego stosować bezwarunkowo.

Waldemar mówił prawie niegrzecznie, szorstkim tonem. Nie dbał już o to,

że hrabia jest jego gościem. Wrodzona popędliwość unosiła go jak burza. Ale hrabia zdawał się słów jego nie rozumieć; nie chciał się obrażać, bo chodziło mu o ordynata, lecz jednocześnie pragnął rozmowę wygrać.

– Ja godności tej pannie ujmować nie chcę, elle est m'eme bien tenue i ostatecznie w Niesieckim jest zapewne jakiś zakątek na pomieszczenie Rudeckich. Mon Dieu! przecież i wśród naszej służby są osobniki z nazwiskami, których herbarz nie pominął. A jednak nie są oni zaliczeni do towarzystwa, nie bawią się z nami, nie prowadzą salonowych rozmów...

– Panie hrabio, proszę nie wyprowadzać mię z roli gościnnego gospodarza i nie robić takich porównań. To mię oburza! Jeśli pan wszedł na tę drogę, muszę go uprzedzić, że dziś przy obiedzie siądzie z nami do stołu mój rządca, łowczy i marszałek dworu. I pan, panie hrabio, przez szacunek dla mnie i dla mego dziadka, musisz im podać rękę. Co zaś do panny Rudeckiej, rola jej wśród nas jest jasno określona i ubliżyć jej bez ubliżenia nam... nie można.

– Za pozwoleniem, panie. Ja mówię z punktu tradycji. Takie osoby, jak ona, zarażają nas. Mamy dowód na panu: zbyt gorliwie jej pan broni. W sprawie takich panien można stawać, nie przeczę, można... lecz w inny sposób. N'est-ce pas?

– Panie! – wybuchnął ordynat.

– Pardon! ale wśród nas ona jest niewłaściwym elementem, elle n'est pas pour nous! nie trzeba się z nią zbliżać i poufalić. Panna Rudecka jest dla nas – trędowata.

Waldemar rzucił się gwałtownie. Ostre, obrażające słowa zawisły mu na ustach... Już, już miał je wypowiedzieć. Hrabia to odczuł i raptownie zwrócił się do nadchodzących panów. Jednocześnie zatętniało i na drożynie leśnej ukazała się czwórka koni, zaprzężonych do breku pełnego wrzawy. Przyjechały panie.

Myśliwi pobiegli je wysadzać. Wszystkich rozweseliła obecność dam i przywieziona przez nie nadzieja śniadania.

Waldemar, nie zważając na nikogo, zarzucił strzelbę na plecy i ruszył pomiędzy wysokie sosny i żółtawy gąszcz podszycia. W oczach miał złe błyski, na ustach ironiczny wyraz.

Dojrzał go Brochwicz i dogonił.

– Waldy, dokąd zmierzasz? Panie już są i śniadanie dymi w pawilonie. Głodny jestem jak ten wilk, co go zabiłem.

– Idź jedz i zajmij się tam wszystkim w moim imieniu. Zwłaszcza nie zaniechaj spoić dobrze tego... cymbała!...

– Kogo, Barskiego?

– Ależ zgadłeś!

– Mój drogi! Jeden jest tylko cymbał między nami. Nic też dziwnego, że odgadłem.

– No dobrze, idź już.

– Albo co?

– Ja zostanę sam,

– Zachwycająca naiwność! cóż tam może być bez ciebie?

– Ach! nie nudź.

Brochwicz chwycił Waldemara za ramię.

– Waldy, słuchaj! jeśli mię kochasz i chcesz udelektować Barskiego, to właśnie wracaj. Nie rób sobie z niego nic, ale to nic na owinięcie palca, to będzie najlepsza kara dla tego mamuta. Nie wiem, czym ci dokuczył, i w ogóle dziwię się, że to zrobił, bo diablo podkopał szanse swej córki, nawet w zwykłych warunkach nie kiełkujące pomyślnie. Ale nie poznaję ciebie, Waldy! Dawniej sam pokazałbyś plecy Barskiemu. Z twej irytacji wnoszę, że zaszło coś ważnego.

– Masz słuszność! ten stary szyld wyimaginowanej wielkości staje się świetnym, że aż głupim, i tym zirytował mię.

– Waldy! Waldy! że on ma więcej barw w ustach niż w głowie, to o tym nawet wrony kraczą. Nie ma się czym przejmować.

Waldemar uśmiechnął się.

– Wybornie malujesz przyszłego swego teścia!

– Pochlebiam sobie, że nim nie zostanie. Papa mię mrozi – brrr! A Melania nawet ze swą gorącą cerą nie zdoła jakoś poruszyć mej północnej natury. Zaniecki bardziej nadaje się do tej kombinacji. Powiem ci coś o Barskim, czego pewnie nie wiesz. Pysznie się znalazł twój praktykant, ten najstarszy.

– Otocki?

– Tak. Wyobraź sobie, kiedy stanęliśmy na pierwszym stanowisku, hrabia najpierw skrzyczał koniuszego.

– Badowicza, za co?

– Za to, że ten przez pomyłkę powiedział do hrabiego „proszę pana”, bez tytułu. Sam słyszałem.

– Bestia! – mruknął Waldemar. – Idźmy do pań. Zawrócili do pawilonu.

– Więc dalej o Barskim – ciągnął Brochwicz. – Kiedy już naganka miała ruszyć, hrabia zeszedł z przeznaczonego miejsca na drugie, bo uznał je za lepsze – z nim zawsze tak. Idąc, zapomniał strzelby, a że jego strzelec gdzieś się zawieruszył, więc Barski, niewiele myśląc, patrzy z góry na Otockiego, który właśnie stał blisko, i mówi po swojemu: „Słuchaj no, te... te... przynieś mi tam strzelbę spod krzaka”...

– Przecież mu przedstawiałem praktykantów. Jak on śmiał! – wybuchnął Waldemar.

– Tak, ale Barski już się dowiedział, że Otocki jest najbiedniejszy i że mu płacisz – to dla niego dosyć. On przecież wszystkich pracujących za pieniądze nie uważa za ludzi.

– Otocki mu pewno dał dobrą naukę? Nie jest przyzwyczajony do podobnych wybryków.

– Poczekaj. Najpierw udał, że nie słyszy, ale gdy się hrabia po raz drugi tak samo odezwał, wówczas Otocki kłania mu się z powagą i mówi: „Byłem już hrabiemu przedstawiony przez ordynata, nazywam się Otocki”. Powiedział tak i odszedł w drugą stronę.

– Pysznie! – zawołał Waldemar ubawiony.

– Ja i Żnin daliśmy brawo Otockiemu, ale Barski musi być wściekły. Waldemar zaśmiał się.

– Tym bardziej kiedy mu nadmieniłem, że przy obiedzie musi podać rękę panom z administracji, którzy będą na nim obecni. Wykręca się, abym mu nie przedstawił łowczego, ale go złapię wieczorem i przy wszystkich poda mu rękę.

Brochwicz klasnął w dłonie.

– Doskonale! to i o tym była rozmowa.

– Ach, daj mi spokój!

– No widzisz! i ty chcesz, abym wszedł w związki z takim utytułowanym zacofańcem? Choćby mi ciocia księżna nie dała miliona, a Barska sama się oświadczyła, jeszcze bym nie chciał. Wstydziłbym się takiego teścia. My z tobą, Waldy, jesteśmy ludzie innej rasy.

– A przynajmniej innych poglądów – rzekł Waldemar.

Powrócili do towarzystwa w samą porę. Nadjechał drugi brek pełen pań i amerykan. Śniadanie przeszło wesoło, ale trwało niedługo, bo Waldemar spieszył. Powstał projekt,

że każda z pań wybierze sobie towarzysza na stanowisko. Do Waldemara podbiegła żywo rozpromieniona hrabina Wizembergowa. Skłonił się jej z wdzięcznością, zadowolony, że wyprzedziła hrabiankę Melanię, niedwuznacznie obiecującą mu ten zaszczyt przy śniadaniu. Waldemar, pod rękę z hrabiną, niepokoił się o Stefcię. Razem z Lucią stała na uboczu, mierząc z floweru do wielkiej sosny. W gronie panów Barski coś spiskował, pewno nic dobrego dla Stefci. Niepokój Waldemara zwrócił uwagę hrabiny.

– Monsieur, vous me troublez! wydaje się pan niezadowolony z mego towarzystwa.

– Przeciwnie, pani, jestem zachwycony. Lecz nie wszyscy mają pary, idzie trochę marudnie.

Hrabina bystro spojrzała na ordynata i pobiegła oczyma w ślad za jego wzrokiem.

– Ach! rozumiem! Lucia i panna Stefania nie mają pary. Czemuż same nie wybierają? Z pewnością wielu na to czeka. Mrugnę do Żnina, będzie mi wdzięczny. Waldemar wesoło pocałował w rękę piękną panią.

– Już nie potrzeba, Jurek się tym zajął.

– A prawda!

Brochwicz przymilał się do Stefci, aby go wybrała. Zgodziła się chętnie, poszły razem z Lucią.

Barski popatrzał na nich spod oka.

– Porwanie Sabinki! – rzekł ironicznie. – Brochwicz zapomina, że i u nas są jeszcze damy.

Zaniecki uśmiechnął się.

– Panie hrabio, prędzej porwanie sióstr syjamskich, bo one są zawsze jak przyszyte do siebie.

Barski nie lubił, gdy mu kto psuł dowcip. Spojrzał z góry na Zanieckiego i rzekł kwaśno:

– No dobrze, idź pan na stanowisko. Moja córka czeka.

Wszyscy powsiadali na bryczki i wolanty, aby podjechać do dalszych kniei.

Niektóre panie i panna Rita polowały również. Ale nowy zakład w towarzystwie pań nie bardzo się powiódł.

Stefcia, Lucia i Brochwicz stali obok ordynata i nie krępowali się w rozmowie, nawet śmiech hrabiny Wizembergowej zadźwięczał czasem. Cała linia brzmiała echem rozmów. Strzały częściej szły w powietrze niż w zwierzynę, jednak ilość zabitej przedstawiała się nieźle. W jednym zakładzie nagonka ruszyła stado dzików. Z rechotem i głośnym tętentem racic waliło wprost na strzelców. Strzelanina nie ustawała, lecz myśliwi gorączkowali się, pudłując często. Na księcia Zanieckiego wyszedł olbrzymi odyniec. Kłusował ostro i przewalał na dwie strony czarne, nasiąknięte żywicą cielsko. Spod rozsuniętych wściekłością warg zwierzęcia błyskały potężne kły. Książę nie stracił głowy, wymierzył spokojnie i wypalił. Kula drasnęła dzika w grzbiet, nie robiąc mu krzywdy. Rozjątrzony potwór sapnął i ruszył obcesem naprzód. Dano do niego jeszcze dwa strzały. Kula księcia Giersztorfa zraniła odyńca w nogę. Barski przestrzelił ucho. Rozjuszony do szaleństwa zwierz, tocząc pianę, rozejrzał się krwawymi ślepiami i ruszył wprost na Stefcię. Rwał na nią ciężkim galopem, sapiąc przeraźliwie i świszcząc nozdrzami.

Stefcia zdrętwiała z przerażeniem, zbladła, lecz nie tracąc przytomności zasłoniła sobą Lucię i cofnęła się wstecz. Powstała straszna panika wśród strzelców. Brochwicz, przerażony, krzyknął na Stefcię, aby uciekała, i sam zakręcił się, jakby do ucieczki. Michorowski stał blady, groźny, lecz spokojny.

Do ostatniej chwili, kiedy myśliwi osłupieli ze zgrozy na widok rozjuszonego odyńca rzucającego się na Stefcię, nagle Waldemar przypadł do niej, błyskawicznie cofnął ją za sosnę i przyskoczywszy do dzika, szalonym rzutem ramienia wpakował kordelas aż po rękojeść w samo serce zwierza. Ugodzony śmiertelnie dzik runął na trawę, czarna krew tryskała, cielsko drgnęło w kurczu śmierci i zwierzę znieruchomiało.

Waldemar, trzymając skrwawiony kordelas, przeciągnął ręką po mokrym, bladym czole.

W oczach miał grozę, usta zacięte. Spojrzał na martwego dzika i prędko podszedł do Stefci. Ona, ochłonąwszy, wysunęła się do niego z Lucią, bardzo blada, lecz z ogniem w łzawych oczach. Waldemar rzucił kordelas i porwał jej ręce. Wpił w nią przerażone oczy i spytał zdławionym głosem.

– Bardzo się pani zlękła?... Boże! co za wypadek! Gorąco uścisnęła mu dłonie.

– Dziękuję panu... ocalił mi pan życie z narażeniem siebie... Tego... nie zapomnę...

– Miałem straszną chwilę!... Nie mówmy już o tym.

A myśliwi i panie zaledwo teraz otrzeźwieli z przestrachu, zgrozy i zdumienia. Śmiałość ordynata zaimponowała wszystkim. Pierwszy ocknął się

Brochwicz, lecz był trochę zawstydzony. Wszyscy podeszli do sosny, winszując Stefci ocalenia, a ordynatowi odwagi.

Ściskali dłoń jego z podziwem, patrząc nań ciekawie. Zwłaszcza panie przenosiły uporczywie wzrok z ordynata na Stefcię. Brochwicz uspokajał struchlałą Lucie. Rękę ordynata ścisnęła z kolei hrabina Wizembergowa.

– Vainqueur! maintenant vous l'avez prise, elle vous appartient. Ordynat złożył pocałunek na jej ręce.

Po zachodzie słońca orszak myśliwych powracał do zamku, witany odgłosem trąb i orkiestrą umieszczoną na krużganku.

Podczas kiedy myśliwi przebierali się, straż leśna pod nadzorem łowczego ułożyła zabitą zwierzynę na dziedzińcu zamkowym w olbrzymią klamrę. Mieszały się razem lisy i zające, przetykane gęsto ciemną aksamitną sierścią kozłów, których głowy ładnie podparte wysuwały pysznie rogi. Koronę klamry tworzyły łosie i dziki, w środku leżało kilka wilków. Na samym przedzie, zręcznie umocowany, stał odyniec zakłuty przez Waldemara. Z półotwartej paszczy wisiały sople skrzepłej krwi, ostre, białe kły były, rzec można, urągowiskiem minionej potęgi.

Szklane oczy stały słupem, przerażone, jakby zwierz zdziwił się, że tak niedawno wzbudzał szalony popłoch wśród ludzi, że wywołał grozę a teraz oni trąbią nad nim larum, na sławę dla siebie, na pohybel jemu. Wilki miały wysunięte języki i wyszczerzone zęby, jakby zgrzytające z gniewu, że zwierzyna, którą tępiły teraz w tak licznym wyborze otacza ich ponure cielska tryumfalnym wieńcem. „Myśmy polegli, ale i was, tyranów, nie stało".

Kiedy panie wyszły na dziedziniec, kilku strzelców w zielonych kurtkach, w długich bot-flotach, stojąc na boku klamry, uderzyło w trąby radosną fanfarę myśliwską. Było coś rycerskiego w ich postaciach. Podniesione w górę trąby opiewały grzmiąco historię dzisiejszej ob- ławy, niby marsz pogrzebowy dla zgrai poległych mieszańców boru.

Goście przysunęli się bliżej, panie zaczęły oglądać zwierzynę grubszą i leżące dalej wianki ptactwa. Pieściły zgrabne główki jeleni i śliczne płowe kuropatwy. Mężczyźni opowiadali sobie szczegóły każdej zabitej sztuki, przy czym najgłośniej krzyczał Trestka, wyręczając Brochwicza, bo ten nie mógł jakoś otrząsnąć się po wypadku z dzikiem, czując że odegrał w nim nieszczególną rolę. Zaczęły się sprzeczki o to, kto najwięcej zabił zwierzyny. Okazało się, że właśnie Brochwicz. Ordynat ogłosił go królem. Ale Trestka, zły na to, rzekł złośliwie:

– Nie miałbyś pan tej weny, gdyby ordynat strzelał swobodnie. Ale ordynat ustępował dziś strzały gościom i oddawał im wyborowe stanowiska. W tym tkwi klucz do rozwiązania zagadki szczęścia pańskiego: ordynat oddał ci tytuł króla.

– Czemuż, na przykład, pan się o to nie postarał? – zapytał Brochwicz – jesteś także gościem.

Trestka machnął ręką, jakby mówiąc:

– Każde szczęście nie dla mnie.

Stefci rękę panowie umoczyli w krwi dzika. Ją i ordynata ogłoszono bohaterami dnia. Hrabianka Melania z ojcem z wielkim wysiłkiem panowali nad sobą, aby nie wybuchnąć gniewem i oburzeniem. Z pań najwięcej zwierzyny położyła panna Szeliżanka. Waldemar wziął jedną z kuropatw zabitych przez nią i wśród wesołych żartów umazał krwią jej rękę jako tryumfatorki.

– Wiwat nasza nemrodka! – zawołał.

Młoda panna cieszyła się choć z takiego powodzenia. Ale Trestka gryzł wąsy.

# XXXV.

Wieczorem zamek zajaśniał światłem elektrycznym. Okrągłe, złożone z szyb ściany zimowego ogrodu lśniły się okrągłym blaskiem i zielenią roślin. W wielkiej sali jadalnej stół, zastawiony w podkowę, nakryto na sto kilkanaście osób; zatrzęsiony masą kwiatów nurzał się w mnóstwie świateł i blasku wspaniałej zastawy! Z sali prowadziły kręte żelazne schody do zimowego ogrodu, skąd dochodził cichy szmer fontanny i sztucznych wodospadów. Schody, oplecione wieńcami kwiatów, oświetlone bukietami lampek z kolorowego szkła w kształcie tulipanów, były jak cudny przesmyk wiodący z przepysznej sali do raju, którym śmiało mógł być nazwany ten ogród. Liczna służba w galowych uniformach, pełno woni świeżych kwiatów, jakaś charakterystyczna atmosfera milionów – wszystko to wywoływało lekki zawrót głowy.

Stefcia chodziła po zaczarowanych salach trochę upojona. Oczy jej się mrużyły od widoku bogactw i gustu w rozmieszczeniu ich. Dziewczyna czuła się podniecona, jej zmysły rozdrażniły się, urok wiał na nią zewsząd i potężniał.

Inne wrażenia kołysały hrabiankę Melanię i jej papę. Ona obiecywała sobie użyć wszelkich sposobów, aby zostać panią tego zamku. Na ordynata hrabianka spoglądała z uwielbieniem, niemal z pokorą, co go drażniło i tym bardziej odsuwało od niej. Hrabia chodził po zamku napuszony; rozmyślał o efekcie, jaki zrobią jego miliony włączone w ten przepych. Może szukał, czego tu jeszcze brak. Wszystko imponowało mu, ale dobry gust panujący w rezydencji wydawał mu się zbyt skromnym.

Przy obiedzie hrabia siedział zły, bo ordynat przedstawiał rządcę, łowczego i marszałka dworu w ten sposób, że panowie podawali im rękę i hrabia nie mógł postąpić inaczej. Dobre wina zdołały hrabiego rozchmurzyć, szampan dokonał reszty i pod koniec biesiady Barski pogodził się z obecnością administracji. Czynił sobie tylko w duchu postanowienia, że gdy zostanie teściem w tym zamku, wówczas wystąpi z pewnymi warunkami w przeprowadzeniu reform sferowych, na których ordynat się nie znał.

Podczas obiadu orkiestra grała na tarasie. Zamek, park, tarasy i ogród

angielski były iluminowane, nawet rzeka płonęła od ognisk rozłożonych dokoła, nawet brzeg zwierzyńca i łodzie. Kolorowe lampy ozdabiały schody prowadzące do przystani, dywanowe klomby i aleje z kwiatów. Sznury drobnych lampek kołysały się pomiędzy drzewami i tworzyły poprzeczne baldachimy w alejach. Z trawników wytryskiwały światełka, niby niezliczona moc błędnych ogników. Sztuczne wodospady oświetlono ogniami bengalskimi; strzelały w górę smukłe rakiety.

Po obiedzie nikt nie pozostał w zamku. Jedni rozbiegli się po alejach i klombach, inni szli oglądać tryskające fontanny w ukwieconych basenach. Każdą oświetlał odmienny kolor ogni bengalskich. Rozpylone pióropusze wody lśniły niby tęczowe smugi. Wiele osób dążyło do łodzi, strojnych w girlandy i różnobarwne płomyki. Gondolę „Stefanię” ozdabiały lampki tylko purpurowe i wieńce z róż, spływające aż do wody.

Druga orkiestra, fabryczna, grała na zmianę w altanie nad rzeką. Pan Maciej błąkał się też po parku, a widząc, że wszędzie jest coraz piękniej, kiwał smutnie głową. Bał się odgadywać dla kogo te cuda, ale mimo woli rozumiał.

Na tarasie hrabianka Barska wsunęła rękę pod ramię ordynata.

– Czy zechce pan pokazać mi iluminowane groty? – szepnęła z prośbą.

Była jakaś senna i zmysłowo pociągająca. Mocno wygorsowana suknia dodawała jej podniet, ciemny, gorący ton ciała odbijał od jasnych materii i pajęczych koronek. Perły drżały na jej szyi.

Wsparła ciężko obnażone ramię na jego ramieniu i pochylając głowę z pieszczotą, powtórzyła:

– Dobrze? pokaże mi pan te groty?

– Owszem, jeśli pani pragnie...

– Podobno są cudne.

W milczeniu zeszli z tarasu i udali się w głąb kwiatowego ogrodu między fontanny. Minęło ich kilka osób i panna Rita, która rzuciła na hrabiankę wzrok ironiczny, dziwnie przykry.

Za Waldemarem obejrzała się zdziwiona. Hrabianka mówiła:

– Śliczne są Głębowicze! Nawet sobie nie wyobrażałam, że są tak piękne. Mieszka pan jak w raju. Czy to daje panu wielką dozę szczęścia? – spytała zaglądając mu w oczy.

– To zależy, jak kto rozumie szczęście. Ja Głębowicze kocham nie za ich przepych, lecz że są moje. To moja gleba, mój teren pracy, który chcę doprowadzić do możliwej doskonałości.

– I pan potrafi. Dekoracje są wspaniałe! ma pan kobiecą rękę i gust w urządzeniu rezydencji.

Waldemar spojrzał na nią niecierpliwie.

– Och! nie mówiłem o dekoracjach. W tym nie ma mej pracy. To są jeszcze pamiątki gustu babki Gabrieli. Ja jedynie dbam o zachowanie tych zabytków. Babka chciała z Głębowicz zrobić drugi Wersal, pielęgnuję więc jej dzieło, nie żałując wkładów.

– Tak, kobiety mają zwykle większy pociąg i zdolność do tworzenia arcydzieł efektu. Pańska żona jednak nie będzie miała pola do samodzielnych występów, gdyż wszystko, co wymarzone, już jest. Chyba zapragnie zmian...

Waldemar uśmiechnął się. Odgadł intencje hrabianki: wyciągano go na oświadczyny.

– Jak niektóre kobiety są płaskie! – pomyślał. Hrabianka spojrzała na niego z umizgiem.

– Czy pozwoliłby pan swojej żonie na zmiany, gdyby je zaprowadzić chciała?...

– Nie wiem, pani. To są rzeczy względne.

– Rozumiem! zależałoby to może od stopnia pańskich uczuć względem żony? Ale wielkie przywiązanie, miłość zmusza poniekąd do poświęceń... największych.

Waldemar spojrzał zdziwiony.

– Pani to rozumie?

– O tak! wiele rzeczy dawniej niepojętych rysuje się wyraźnie, gdy... następuje w nas zmiana.

– Dobrze, ale pani, na przykład, cóż by poświęciła dla uczuć?

– Ja?... Wszystko!

– Aż tak! No, sfery by pani nie poświęciła.

– Nie rozumiem!

– Gdyby pani kochała kogoś nie z arystokracji, czy w imię miłości zostałaby pani jego żoną?...

– Ach nie! taki wypadek mi nie grozi, quelle idee! Nawet nie podnoszę oczu na ludzi nie naszych. Kochać mogę jedynie najwyższych.

Strojna głowa hrabianki pochyliła się na ramię Waldemara, jakby ten niemy znak miał mu powiedzieć: „Tyś najwyższy – jam twoja”.

Waldemar zrozumiał, lecz nie odczuł. Zaśmiał się trochę szyderczo.

– A więc gdzież jest to „wszystko”, co pani ma poświęcić dla ukochanego? Hrabiankę uraził jego śmiech. Zacisnęła usta.

– Pan stawia pytania tak... dziwnie i zdaje się, że pan nie ufa w siłę mych uczuć... A jednak ten, którego pokocham, zdoła to ocenić.

– Zapewne! takie odkrycia należą do najświetniejszych tryumfów.

– Czy pan ich nie doznał?

– Owszem, pani, dość wiele, ale odkryć tylko. Tryumfem nazywam szczęście wynikające z nich i mam przeczucie, że jest bajeczne, lecz tego jeszcze... nie doświadczyłem.

– Bo może się pan o to nie starał?

– O szczęście starać się trudno, to przychodzi samo, a chęć znalezienia szansy jest dość bladym celem.

Hrabianka przez chwilę milczała, po czym zaczęła mówić ciszej, jakby do siebie:

– Chciałabym być mężczyzną. Mężczyźni mogą wypowiadać to, co czują, iść za popędem serca. Nam tego nie wolno.

Głos jej dźwięczał tęsknie, oczy wzniosła w gwiaździste niebo. Były pełne iskier, gorzały niecierpliwością, ubraną w szatę melancholii.

Waldemar patrzał na nią z ukosa. Uderzyła go jej uroda, istotnie przepyszna.

– Szkoda, że Zanieckiego tu nie ma – monologował w myśli. – Miałaby go u nóg, bo zewnętrznie... warta zachwytu. Ja, profan, zawsze wolę rękę niż rękawiczkę, zwłaszcza w sytuacji, o jakiej ona marzy... Ej! gdyby tak dawniej!...

Waldemar spod rzęs, rzucił na hrabiankę łobuzerskie spojrzenie.

– Pani mówi, że kobiety są skrępowane w wyrażaniu swych uczuć? Ja tego nie znajduję.

– Cóż pan chciał, żeby się same oświadczały?

– E nie! ale one zwykle dają wenę do oświadczyn. Ich uczucia, gdy są wyraźne, ułatwiają zakochanym sięgnięcie po szczęście. Jest to taka pieśń bez słów.

Ordynat mówił umyślnie, wiedział, że wchodzi na śliską drogę i że zarzuca haczyk, na który hrabianka może się złapać. Ale bawiło go to, nie zaliczał się do tych zbytnich skrupulantów uczciwości tego rodzaju. Gwałtowny rumieniec na twarzy hrabianki rozśmieszył go, złośliwość cisnęła mu na usta nowe słowa:

– Bywają kobiety jak owe rośliny, które do słońca roztulają swe kielichy, odurzając czarem zapachu, a gdy księżyc zastąpi słońce, zamykają się, skąpią barw, chowają czar, jakby w obawie, że mniej zostanie dla ukochanego. Do takich roślin zalicza się powój, jeden z kwiatów ulubionych przeze mnie. Gdy kobieta w ten sposób daje odczuć ukochanemu swą miłość, jak powój daje słońcu barwę i bardzo subtelną woń, wówczas bez słów mówi: „Jestem twoją, bierz mię”. Są to ciche oświadczyny, po których następują słowa wypowiedziane przez męskie usta.

Hrabianka słuchała go z natężeniem, zręcznie udając upojenie. Usta jej drżały szczęściem, cel swój dostrzegła już blisko i w tęczowych barwach.

– Pan lubi powój? – spytała cicho.

– O tak! bardzo.

– Pan tak mówi, że można się zasłuchać. Ale czy zawsze słońce odczuje mowę rośliny. Tyle się oczu doń podnosi, tyle uwielbień płynie... Czy zdoła biedny... zakochany powój zdobyć cieplejszy promień dla siebie?...

– Z pewnością, skoro powoduje nim prawdziwe i szczere uczucie. Słońce, widzi pani, jest zbyt inteligentne, by całą sumę uwielbień podciągnąć pod jeden rodzaj. Ono potrafi różniczkować, wie, co jest wyłącznie dla niego, a co dla jego blasków, nigdy się nie myli. Wszelkie odcienie niesłychanie łatwo odczuwa, to go jedynie broni przed zarozumiałością.

Barska drgnęła niespokojnie, bo głos ordynata i jego słowa zastanowiły ją. Spuściła oczy. Waldemar znowu zerknął na nią z boku, oczy jego miały wyraz szatański.

– Czy ja jestem słońcem, to mniejsza. Ale żeś ty nie powój, lecz zwykły

słonecznik, to pewno – pomyślał.

Zbliżali się do iluminowanych grot, skąd dochodził gwar wesołej zabawy. Hrabianka zwolniła kroku i rzekła nie patrząc na ordynata:

– Czy pan wie, że książę Alfons Zaniecki stara się o mnie?... Głos jej miał pewne tony wyniosłe.

– Wiem, pani.

– Mój papa dość go proteguje, a ja... Co pan o nim sądzi?

– To bardzo dobry człowiek – trochę próżny, lecz w naszej sferze to się liczy za zasługę.

– Próżny? Nie zauważyłam! Więc mi go pan poleca?... Głos mówiącej zadrżał.

– Proszę pani, ja nigdy w podobne sprawy nie wchodzę. Zdanie o nim wyraziłem, co zaś do dalszych kombinacji, to rzecz osobistych zapatrywań, uczuć, bez udziału osób trzecich.

– Jednak mi go pan nie odradza?

– Panno Melanio, wyraża się pani w sposób ubliżający dla księcia. Jego się przyjmuje lub nie, ale radzić i odradzać nie można.

– Dlaczego pan mówi wymijająco?

Waldemar zmarszczył brwi: spostrzegł zagadkowy uśmieszek hrabianki i poruszyło go to. Był już znudzony, pragnął skończyć rozmowę, ale postawa hrabianki wzburzała w nim krew. Odrzekł szorstko:

– Nie pojmuję, dlaczego pani tak stanowczo chce znać mój pogląd na kwestię, nawiasem mówiąc, dla mnie obojętną. Lecz skoro tak jest, więc powiem. Zanieckiego uważam, za najpoważniejszego ze wszystkich starających się o panią.

Pannie Barskiej zamarł oddech w piersi.

– A gdybym się zdecydowała wyjść za niego?...

– Życzyłbym pani szczęścia z całą szczerością.

Hrabianka stała się bladą jak kreda. Usta jej drżały nerwowo. Oddychając szybko, szła jak przytłoczona. Milczeli długą chwilę.

Nagle Melania wyrwała rękę spod ramienia Waldemara i zawołała wzburzonym głosem:

– Dziękuję panu, sama obejrzę groty.

– Jak pani każe – odparł z ukłonem.

Ona pobiegła do grot, on zawrócił do zamku.

– Spaliłem jeden złoty most za sobą... Ale śmieszna dziewczyna!

Stefcia wymknęła się cichaczem z parku, gdzie ją prześladował młodzieniec w monoklu, jej wystawowy wielbiciel. Razem z Lucią i młodymi księżniczkami Podhoreckimi poszła do zimowego ogrodu. Chodziła po uliczkach, wśród puszystych paproci i aksamitnych liści begonii barwnych jak emalia, po mostkach wiszących nad źródełkami. Zatrzymywała się przy skałach, z których spadały sztuczne wodospady. Mech i pleśń na kamieniach wybornie udawały naturę. W zagłębieniu skały siedzi napuszona sowa, tam znowu pod kamieniem wije się wąż, w źródełkach pluskają złote rybki.

Baseny wodotrysków z alabastru lub konchy perłowej, otoczone wieńcem kwiatów, pełne wody i pływających na niej nenufarów. Obok rosną kępami niezapominajki, smukłe lilie i żółtawe irysy. Rozpylone pióra wody szemrzą cicho. Małe ławeczki z lapis-lazuli lub różowego marmuru, ukryte wśród skał, drzew pomarańczowych i cyprysów, wśród mirtów i magnolii, nęcą wzrok malowniczością widoku. Gdzieniegdzie błyśnie alabastrowa figurka amorka lub boginki.

Na małej okrągłej sadzawce, której brzegi toną w krzewach irysów i paproci, buja bacik, cały z różowych muszli, w kształcie łabędzia, z bladoniebieskim jedwabnym żaglem, mogący pomieścić dwie osoby; w świetle elektrycznych lamp mieni się barwami. Olbrzymie palmy wachlarzowe i strzępiaste ozdabiają szklane ściany; kryształ rżniętych szyb w żelaznej kracie błyszczy jak fosforyzujące morze. Tak samo świeci wysokie sklepienie, jak jedna rozeta kryształu podtrzymywana w odstępach, w formie krokwi, żelazną rzeźbą. Na szczycie szklany dach podniesiony: widać pogodne niebo, usiane gwiazdami, trochę zaczerwienione od iluminacji. Matowe balony lamp, umieszczone wśród palm, nadają pyszny ton roślinom. Wzrok błądzi z jednych cudów na drugie, ucho śledzi z rozkoszą szmery, nie chce się wierzyć, by to była rzeczywistość.

Papugi spacerują poważnie po uliczkach i huśtają się na gałęziach. Wszystko tworzy ułudę jeszcze plastyczniej. I tu pełno róż, pełno dywanów aksamitnych begonii, pełno zapachów.

Z każdego kwiatka wyziera wdzięk, każdy szmer wachlarzowych palm podnosi urok. Rozkosz jakaś słodka, mistyczna a potężna, wnika w krew, wywołuje silne tętna, nerwy grają podniecone. Upojenie ogarnia senne a błogie, aż do zawrotu głowy. Czar trąca w struny zmysłów jak w harfy, śpiewa słodką, usposabiającą do marzeń pieśń rozkoszy, pieśń snów nieziemskich.

Stefcia chodzi, patrzy, słucha, nozdrzami wchłania wonie i nie wie, czy to jawa, czy sen? Ale nawet snów tak odurzających nie miewa nigdy. W zachwycie nie uważa, że Lucia zabrała księżniczki, aby im pokazać kostium myśliwski, przygotowany do bażantarni. Stefcia została sama. Czuje się ogłuszoną i szczęśliwą aż do bezmiaru. Nie widzi, że od kilku minut na ukwieconych schodach, wśród kwiatów stanął on, pan i właściciel tych skarbów, świetny, strojny, w aureoli kolorowych lamp; że spogląda na nią z góry, w milczeniu, jakby się napawał jej widokiem. Stefcia, oparta o wielki pień mirtu, zapatrzona w głąb ogrodu, stoi przykuta; w swej balowej sukience, zwrócona profilem do schodów, tworzy śliczną, żywą dekorację ogrodu. Rozmarzona, nie widzi, że on wolno, krok za krokiem, zstępuje ze schodów, z utkwionymi w niej oczyma, nie słyszy jego stąpań na uliczce. On bojąc się ją przestraszyć, stanął. Wówczas drgnęła, instynkt ostrzegał ją, że ktoś jest blisko. Odwróciła się gwałtownie. On wyciągnął do niej ręce. Stefcia nie krzyknęła, ale zbladła bardzo. W tej chwili, gdy cała jej dusza przepojona była nim, widzieć go jednak nie chciała, czuła się zbyt rozstrojoną. Zlękła się

jego obecności i jego wzroku.

On wziął jej ręce w swe gorące dłonie, stanął bliziutko. Czar uderzył w harfę ich uczuć, kwiaty swe wonne, zawrotnie cudne rzucił na ich twarze.

Oboje zadrżeli.

– Już drugi raz przestraszyłem panią w Głębowiczach – szepnął niskim, cichym głosem.

– Panno Stefanio, co pani?...

– Nic... nic... niech mię pan puści, proszę pana.

– Dlaczego się pani mnie boi? czemu unika?

Spojrzała na niego. Szare oczy gorzały mu ciemnym ogniem, wydawały się prawie czarne. Brwi zbiegły się na czole. W całej twarzy młodego magnata, w drżeniu ust, w nerwowym poruszaniu się nozdrzy przebijała wielka namiętność i gwałtowność, lecz zarazem jakby tkliwość. Stefcia widziała go już takim w sali portretowej... Szarpnęła się mocniej.

– Niech mię pan puści – zawołała zdławionym głosem.

On ją przyciągnął ku sobie, ręce ścisnął kurczowo. Stefcia czuła, że słabnie. Zbyt potężne siły złożyły się na odurzenie jej podnieconych zmysłów. On ją pożerał oczyma, przyciągnął do siebie i szeptał:

– Pani się mnie boi?

– Ależ nie... tylko...

– Myślałaś o mnie! Ja wiem. Nie wyrywaj się na próżno. Jesteś w mej mocy... Prócz nas dwojga nie ma więcej nikogo w zamku. Zostań!

– Proszę mię puścić – krzyknęła Stefcia rozpaczliwie.

Gwałtownie, z wysiłkiem wyrwała mu ręce i jak ptak szybko pobiegła na schody. Za chwilę znikła.

Waldemar patrzył na nią roziskrzonym wzrokiem, przetarł ręką czoło, przeszedł parę kroków i ciężko usiadł na ławeczce marmurowej.

– Musi być moją, choćbym miał świat zwalić – wyrzekł z namiętną energią. Spojrzał na schody, gdzie znikła Stefcia, zerwał się i poszedł za nią.

Długo szukał jej wśród towarzystwa. Znalazł obok Luci w gronie kilku osób. W oświetlonej altanie hrabina Wizembergowa grała na cytrze. Wszyscy słuchali w skupieniu. Waldemar stanął pod drzewem, za krzesłem Stefci. Widział, jak była poruszoną i jak zadrżała na jego widok. Gdy hrabina skończyła grać, powstało trochę hałasu. Dziękowali jej rozgłośnie. Stefcia zerwała się z krzesła. Waldemar skorzystał, pochylił się do niej i rzekł poważnie i serdecznie:

– Niech mi pani wybaczy, byłem szalony... teraz przepraszam... Na zgodę niech mi pani poda rękę.

Podała mu ją cała drżąca.

– Tak więc już dobrze? – szepnął z prośbą.

– Tak – odrzekła.

– Byłem szalony, powtarzam, ale cenię panią nad wszystko. Poszli do grupy osób otaczających hrabinę.

# XXXVI.

Na drugi dzień była przerwa w polowaniu. Całe towarzystwo bawiło się na zamku. Jedni grali w bilard w wielkiej stylowej sali, inni na placu w tenisa. Zwiedzano umieszczone na wieży obserwatorium meteorologiczne, którym zajmował się ordynat, a także bibliotekę i galerię obrazów.

Niezmiernie długa hala galerii miała sklepiony sufit, malowany ręcznie w sceny wojenne. Płótna znakomitych malarzy wisiały w pewnych odstępach w stylowych ramach. Niektóre obrazy były wielkich rozmiarów, prawdziwie imponujące. Kilka oryginałów Matejki, Siemiradzkiego, Norblina, parę dzieł Kossaka. Kopie i oryginały, nabyte niegdyś za szalone sumy, Rembrandta, Tycjana i innych artystów wszechświatowych. Wiele obrazów przedstawiało epokę napoleońską oraz motywy swojskie: heroiczne walki z historii polskiej, portrety królów, typy i krajobrazy. Galeria zdawała się nieskończona. Mieściła bardzo piękne posągi z marmuru, rzeźby i popiersia znakomitych ludzi. Z galerii wchodziło się do sali biblioteki, zawierającej w swych oszklonych, dębowych szafach niezliczoną ilość tomów. Portrety wielkich pisarzy otaczał malowany sufit. Środek sali zajmował stół dębowy, ozdobiony rzeźbą, takież krzesła, ciężkie i wysokie, oraz kilka wygodnych foteli, obitych brązową skórą. Wysokie weneckie okna i drzwi miały niezwykle piękne rzeźby na ramach.

Stefcia przeglądała tomy z chciwością. Znajdowały się tu dzieła wszystkich autorów i stylistów polskich. Były nawet księgi stare, pisane ręcznie na pergaminach, różne statuty i listy. Literatura obcokrajowa występowała również pokaźnie, począwszy od starożytnych klasyków.

Z biblioteki wchodziło się do salonu-czytelni. Ten miał ściany jasne, posadzkę zasłaną dywanami. Wśród gaju palm stał zgrabny mahoniowy fortepian.

Sufit przedstawiał artystycznie oddany sąd Parysa. Wielkie oszklone drzwi prowadziły na balkon z marmurkową poręczą, ozdobioną figurami dziewięciu muz. Z balkonu roztaczał się widok na tarasy i rzekę. Zwiedzono jeszcze salę muzyczną, w stylu gotyckim, nadzwyczaj wyniosłą i bogatą. Pierwsze miejsce zajmowały tam wspaniałe, odpowiadające stylem organy; był też fortepian, skrzypce, wiolonczela. Stefcia znała już te sale ze swej bytności w lecie, lecz i teraz nie mogła się im napatrzyć.

– Sala muzyki, ale dziwnie poważna w tonie, prawda? – zagadnęła Ritę. Młoda panna lekko westchnęła.

– O tak! bo i tu więcej rozbrzmiewało skarg niż śmiechów. Widzi pani organy? One wiele pamiętają. Gabriela de Bourbon... Ale czy pani zna jej historię? To babka ordynata.

– Znam...

– Kto ją pani opowiedział?

– Sam ordynat.

– Ach tak! Otóż ona podobno wszystkie swe żale i smutki powierzała organom. Była mistrzynią w tej grze. Ordynat również grywa na nich i wysoce je ceni. Jakie na pani robi wrażenie ta sala?

– Sądzę, że ma w sobie coś klasztornego. Może to sprawia staroświecki ton ogólny. Zresztą organy widziałam tylko w kościołach; to zapewne jest powodem mego wrażenia.

– Na mnie wieje z tych wyniosłych ścian ukryty smutek – rzekła w zamyśleniu Rita.

Przeszli do przedniej części zamku, gdzie mieściła się zbrojownia. Tam najdłużej zabawili zwiedzający. Bogate zbiory broni, począwszy od zamierzchłych wieków aż do najnowszych zdobyczy, porozwieszane były w malowniczych grupach. Całe zbroje husarskie ze skrzydłami i krzyżackie stały w pełnym rynsztunku, tworząc jakby historię uzbrojenia wieków. Drogocenne, kamieniami sadzone, złote i srebrne ryngrafy z wizerunkami świętych. Hełmy, przyłbice, szable polskie, jatagany tureckie. Sztylety niektóre miały głownie skrzące klejnotami. Halabardy, lance, łuki, kopie i szturmaki. Zbrojne rzędy na konie. Trąby i bębny wojskowe, piszczałki i litaury. Wszystko poumieszczane na staroświeckich makatach lub chorągwiach. Na zbrojach z herbami Michorowskich tabliczki objaśniały, którego członka rodu były własnością i w jakich bitwach były użyte. W innej sali gromadziły się trofea myśliwskie, wypchane niedźwiedzie, wilki, dziki, głowy łosi o olbrzymich rogach, orły, sokoły i ładniejsze okazy ptaków brodzących i wodnych. Wśród tych zbiorów wiele zaliczało się już do zdobyczy Waldemara, jeden oddział całkowicie z jego wyprawy myśliwskiej do Indii.

Stefcia widziała to na wystawie. Uśmiechnęła się przyjaźnie do Murzyna, salutującego zwiedzających. Zbrojownia i sala myśliwska, zachwyciła wszystkich. Stefcia nie wiedziała, co woli: bibliotekę z czytelnią, galerię obrazów, ogród zimowy czy te zbiory.

W zamku każda sala posiadała wyłączny charakter. Zwiedzono jeszcze pamiętną dla Stefci salę portretową, słynną z płaskorzeźb, i salę gobelinową.

– To nic. Nie widziała pani jeszcze koni – mówiła Rita do Stefci.

Po obiedzie postanowiono zwiedzić sławne stajnie głębowickie, szorownie i straż ogniową. Inni upierali się przy papierni i nieco odległej cukrowni, ponieważ kampanie były już rozpoczęte. Ale Waldemar śmiał się zapewniając, że na fabryki będzie jeszcze czas. Pochlebiało mu, że mógł się poszczycić Głębowiczami, które istotnie kochał. Sam objaśniał i cieszył się podziwem wszystkich. Ale głównym ciceronem był Brochwicz. On zawsze coś nowego wynalazł i prowadził tam całe towarzystwo. Zwiedzili murowany gmach zbiornika elektryczności i poszli do stajen. Tam panna Rita wpadła w zachwyt, a Stefcia, choć przyzwyczajona do wykwintu stajen słodkowickich, stanęła zdumiona. Sam budynek ogromnych rozmiarów przedstawiał się wspaniale. Wewnątrz stajnie miały pozór salonów; każdy koń, okryty bogatymi derami, przy porcelanowym żłobie stał jak we własnym pokoju.

Wszędzie przepych, wszędzie widoczne zamiłowanie właściciela. Lampy elektryczne, strojne posadzki dodawały świetności. Gdy Waldemar wszedł, głowy koni odwróciły się do niego z cichym rżeniem, nozdrza węszyły w jego stronę, kopyta uderzały niecierpliwie. Cała stajnia znała go i witała z rozradowaniem.

Ze stajen wielkie oszklone drzwi wiodły do szorowni. Tam znowu kilka oddziałów, równie wytwornie urządzonych. Na ścianach i sztalugach wisiały najrozmaitsze uprzęże, na kamiennej posadzce stały pojazdy w wielkiej ilości i kosztowne. Wyróżniała się uprząż na ośm koni, zwana ceremonialną. Wyborowy zamsz, srebrne pozłacane okucia, pióropusze zdobiły ją gęsto. Ceremonialną miała swą karetę pozłocistą, ozdobioną na szczycie wielką mitrą, a wewnątrz wybitą karmazynowym adamaszkiem. Była to kareta niemal dworska. W następnych oddziałach mieściły się rzędy na konie wierzchowe, również drogocenne.

Wielu panów gryzła zazdrość, innym błyszczały oczy z zachwytu. A wśród tych skarbów chodził ordynat z typowym spokojem, pełen wytwornego taktu, uprzejmy, ale i trochę dumny. Stefcia im więcej widziała jego bogactwa, tym bardziej ją przestraszał. I dziwnie było jej gorzko. Nie zdawała sobie sprawy, dlaczego jego miliony zrażają ją. W Głębowiczach nie czuła się z nim swobodną, unikała go. W lecie Głębowicze oczarowały ją, teraz przeraziły.

A prowadzono ją dalej i dalej. Za szorownią mieściła się wielka sala dla zwiedzających gości. Tam panował gust zupełnie odrębny, w stylu stajennym Meble z rogów łosi, kryte żółtą, ręcznie wypalaną skórą, dębowe ściany zawieszone obrazami wyłącznie przedstawiający-

mi sceny z wyścigów: derby angielskich i na torach krajowych. Fotografie wielkich rozmiarów i malowane płótna przedstawiały konie rozmaitych typów w całości lub tylko sylwetki głów, Apolla w całej jego piękności; obok nich wisiały fotografie stajen głębowickich. Był portret pana Macieja na koniu w ubraniu ułańskim i Waldemara na Apollu z biegnącym obok Pandurem. W inne ramy były oprawione drzewa genealogiczne stadnin, listy pochwalne, złote medale za konie, wśród nich i medal tegorocznej wystawy.

Stefci podobał się bardzo portret Waldemara na koniu. Stała przed nim nieco dłużej. To zwróciło uwagę tych, którzy ją śledzili. Kilka osób z mniej życzliwych uśmiechnęło się znacząco. Hrabia Barski podszedł do niej.

– Kogo pani podziwia: jeźdźca, wierzchowca czy ramy?

Stefcia, zaskoczona znienacka, spłonęła, lecz prędko odzyskawszy zimną krew, odrzekła swobodnie:

– Wszystko, panie hrabio, bo całość godna uwagi.

– Ale jeździec najwięcej, nest-ce pas?

– Bez wątpienia, jako punkt główny. Głos hrabiego zasyczał:

– Lecz nie dla wszystkich... przystępny. Zresztą... zachwycać się wolno... każdemu. Stefcia utkwiła w nim oczy.

– Co pan hrabia przez to rozumie?

– Och! nie będę się pani tłumaczył. Zabawne pytanie! Pani wydaje mi się

wykolejoną i wkracza w horyzonty nieodpowiednie dla niej. Ale takie eskapady najczęściej źle się kończą, dla płci pięknej naturalnie... Mówię to pani przez życzliwość.

Stefcia zbladła. Podniosła dumnie głowę i mierząc hrabiego roziskrzonym wzrokiem, rzekła dobitnie:

– Panie hrabio, życzliwość pańska jest tu zbyteczna. O moim wykolejeniu sądzić mogę tylko ja sama. Nadto... nie ma pan prawa obrażać mię.

To rzekłszy, odeszła z pozornym spokojem.

Łzy cisnęły jej się do oczu, straszny żal gniótł serce. Lucia pytała, co zaszło, ale na próżno. Stefcia milczała.

Panna Rita, widząc scenę z hrabią, jakkolwiek nie słyszała słów, domyśliła się, o co poszło. Wracając do zamku, podeszła do Stefci.

– Co pani zrobił ten napuszony hrabia? Zagadnięta zachowała spokój.

– Mnie? Nic – odparła.

– Ależ ja widziałam; on pani czymś ubliżył. Nieznośna kreatura! Lucia podniosła na Stefcię zdziwione oczy.

– Co! hrabia Barski ci ubliżył? ten obrzydły dziad? Ja mu dam! Zaraz powiem Waldemarowi. On go przykróci!

I dziewczynka zerwała się biec, lecz Stefcia chwyciła jej rękę.

– Ani mi się waż, Luciu.

– Bo ten dziad myśli, że on tu już panem, ale on ci dokuczać nie ma żadnego prawa. Ja mu tego nie daruję.

Stefcia uspokajała dziewczynkę. Panna Rita niczego dowiedzieć się nie mogła.

## XXXVII.

Pewnego dnia polowano na polach z chartami. Cały orszak jeźdźców i amazonek wyruszył na żółte rżyska. Ordynat powybierał najlepsze konie wierzchowe pod siodła damskie. Dla Stefci masztalerz podprowadził karą arabkę Erato, wierzchówkę Waldemara. Klacz z fantazją uderzała kopytami w ziemię, chrapiąc, z oczu jej sypały się iskry. Wszystkie konie miały bardzo bogate siodła i czapraki, nie zauważono więc, że Erato była w nowym siodle zamszowym i w błękitnym czapraku, kupionym na wystawie. Tylko panna Rita, czujna i uważająca, od razu to spostrzegła. Stefcia wzdragała się, nie chcąc jechać w tak licznym towarzystwie, ale znęcona ulubioną jazdą, zgodziła się wreszcie. Waldemar sam podstawił jej rękę. Lekko wskoczyła na siodło, wyglądając powabnie w obcisłej amazonce z czarnego sukna. Na głowie miała mały kapelusik sportsmeński, ładnie ułożony na jej złotomiedzianych włosach. Jechała z Brochwiczem. Młody hrabia nie czuł jakoś ochoty do rywalizowania z księciem Zanieckim. Hrabianka, mimo swej olimpijskiej urody, nie zajmowała go. Czuł większy pociąg do Stefci i podziwiał ją szczerze. Brochwicz, towarzysząc Stefci, dogadzał i ordynatowi,

dopomagając mu do utworzenia nad nią dobrej opieki. Spisków przeciwko dziewczynie nie brakowało w obozach Melanii i jej ojca. Hrabina Ćwilecka dokładała swych usiłowań, wciągając córkę Paulę i barona Weyhera, ale ten okazał się twardszym. Brochwicz drażnił pewne osoby własnej sfery, lecz mu to sprawiało zadowolenie. Wynik był ten, że się ze Stefcią bawili doskonale.

Gdy towarzystwo konne wjechało na pola, puszczono ze smyczy charty. Dojeżdżacze na siwych koniach, poubierani w czerwone kurtki i długie czarne botforty, jak maki rozsypali się na żółtych przestrzeniach pól. Charty goniły szare zające, które jak wicher pomykały do lasu. Kilkunastu jeźdźców i kilka amazonek puściło się w cwał, rozpoczynając krwawy pościg. Odgłos trąb, wrzaski „hallali", tętent koni zmieszały się z przeraźliwym krzykiem rozdzieranych przez psy zajęcy. Amatorów to upajało. Trestka pędził na oślep, hrabianka Barska i Zaniecki gnali na złamanie karku. Czarne ogniste oczy hrabianki płonęły, nozdrza jej poruszały się, z lubością wietrząc krew. Zmysły grały w niej jak struny w dzikim jakimś instrumencie. Książę Zaniecki, flegmatyk pozujący na Anglika, nerwowa! się na jej widok. Podniecała go...

– Demon! demon! – szeptał w zachwycie.

I gnał za nią, aż piana dmuchała z pyska jego rumaka.

Waldemar stał na boku, pilnował polowania. Sam wyruszał często w skok, ale strzelał do zająca lub lisa, zanim go charty dopadły. Nie lubił procesu rozszarpywania zwierzyny. Bawiły go głupie i zdumione miny chartów na widok padającego przed ich ciosem zwierzątka. Waldemar strzelał z konia w biegu. Apollo przyzwyczajony był do strzałów spośród własnych uszu. Częściej jednak orli wzrok ordynata biegł za karą arabką Erato...

Stefcia uganiała się po polu nie za zwierzyną, lecz dla własnej przyjemności. Lubiła konną jazdę, zwłaszcza na Erato, doskonałej wierzchowce. Stefcia uciekała jak najdalej od krwawych scen, lecz sprawiał jej przyjemność widok rozpędzonych jeźdźców i czerwonych kurtek dojeżdżaczy. Bawiły ją okrzyki i trąby, drażniły zajadłe, śmigające charty, niby wąskie pstre tasiemki. I jej oczy biegły za smukłą sylwetką ordynata. Podobał jej się sposób polowania Waldemara, widziała w tym pewną estetyczną doskonałość w połączeniu z dzielnością. Harcując po polach spostrzegła pędzącą naprzeciw pannę Szeliżankę. Gdy Buckingham w pędzie zrównał się z Erato, młoda panna krzyknęła głośno:

– Na bok! Hala... li!...

– Proszę za mną! – usłyszała jeszcze.

Pomknęła żywo za Ritą, rozbawioną, aż jej oczy żarzyły się jak iskry. Nagle usłyszała rozdzierający wrzask zająca. Skręciła klacz na miejscu. Zacisnęła usta, brwi ściągnął kurcz bólu. Za delikatną miała naturę, zbyt wytworną na podobne odgłosy. Zwolnił biegu, jadąc tęgim kłusem w stronę lasu.

– Nie mogę, cóż poradzę! – szepnęła do siebie zmartwiona.

Z boku zajeżdżał ją Waldemar. Apollo zarżał zalotnie. Erato odpowiedziała mu z wdziękiem. Konie się zrównały.

– Dlaczego nie dotrzymała pani placu pannie Ricie? – zapytał hamując konia.

– Nie mogłam, zlękłam się wrzasku zająca. Widzi pan, jaka ze mnie niezdara – odparła trochę zawstydzona.

Ale jemu oczy błysnęły.

– To dobrze, niech pani będzie sobą, tak najlepiej! Jest pani jak biały kwiat rzucony między krwiożercze zwierzęta. My tu wszyscy przy pani wyglądamy jak szakale.

Stefcia zaśmiała się.

– No, nie wszyscy. Pan na przykład...

– Ja? Morduję nie w ten, to w inny sposób. Ale uchylam czoła przed instynktami pani. Przegalopowała obok nich panna Barska, rozogniona, z rozwianymi włosami, istna królewna burzy. Za nią pędził Zaniecki.

– Halali! – hop! hop! – krzyczała hrabianka, nie widząc Stefci i ordynata. Oczy miała utkwione w charty pędzące za koniem. Już dosięgały zająca. Waldemar popatrzał za nią z uśmieszkiem.

– W swym żywiole – rzekł z lekką ironią.

Stefcia nic nie odpowiedziała, klepiąc wygiętą szyję Erato. W milczeniu odjechali dalej, a gdy konie ich rozniosły, nie zawrócili już, tylko oczy obojga goniły za sobą.

W parę dni potem po rannej obławie na wilki, w której brały udział panie, zamek głębowicki zalegała głucha cisza. Polowanie odbyło się o wschodzie słońca, o dwunastej powrót, a po krótkim śniadaniu każdy zamknął się u siebie dla wypoczynku. Słońce oświecało pusty park, tarasy i uliczki wśród kwiatów, jakby zdziwione ciszą niebywałą od dawna.

Ordynat nie spał. Odbył długą naradę z łowczym i koniuszym, wydał nowe polecenia, odwiedził stajnię, fabrykę i powróciwszy do zamku, wałęsał się po nim trochę znudzony.

– Dobre są obławy ranne, ale nudne te sjesty – pomyślał.

Na drugim piętrze, w ogromnym sklepionym korytarzu, przeszedł się kilka razy, patrząc na staroświeckie obrazy i posągi w niszach. Nagle zatrzymał się. Jeden obraz, już zblakły ze starości, przedstawiał jakąś scenę religijną. Z boku stała odwrócona profilem Maria Magdalena. W niebieskiej opończy, z przewiniętym dokoła szyi białym welonem, miała rozpuszczone włosy i śliczne rzeźbione rysy. Oczy pełne wyrazu ocieniały bujne, ciemne rzęsy i regularne łuki brwi. Cała postać miała w sobie dużo powagi, lecz i ślicznej zalotności. Waldemar patrzył długo i usta drgnęły mu nerwowo.

– Stefcia... – wyszeptał. A po chwili znowu:

– Bajecznie do niej podobna. Ten sam typ. Przetarł dłonią czoło. Idąc dalej, myślał:

– Stefcia... Samo imię. wchodzi mi do mózgu. Dziwne!...

Czuł, że w korytarzu postać Magdaleny będzie go przykuwała do siebie, postanowił wyjść. Zeszedł cicho ze schodów i w wielkim przedsionku, łączącym dwa piętra, stanął zdumiony. Naprzeciw niego również ze schodów

schodziła Stefcia. Była w bladoniebieskiej flanelowej sukni z luźną bluzką, na ramionach miała zarzucony biały miękki szal, spod którego wyglądały włosy spuszczonego warkocza. Przed chwilą widziana postać Magdaleny stanęła przed oczyma ordynata – podobieństwo stroju wzmocniło wrażenie. Rozradowany jej widokiem, patrzał na nią bez słowa, stojąc w miejscu. Stefcia zatrzymała się także. Róż oblał jej jasną twarz.

– Pan nie śpi?

– O to samo chciałem panią zapytać.

Dziewczyna wybuchnęła śmiechem.

– A to zabawne! byłam pewna, że cały zamek chrapie. Chodzę już po nim dawno, nawet zbłądziłam i muszę przyznać szczerze: nie wiem, gdzie jestem. Pan ukazał mi się jak widmo. Pewno i ja zrobiłam podobne wrażenie? Miał pan minę zdziwioną.

Waldemar podszedł bliżej.

– Na mnie pani nie zrobiła wrażenia widma, ale widzenia. To różnica! Przed chwilą widziałem pani pseudoportret. Pójdźmy, pokażę go pani.

Stefcia żywym ruchem podbiegła naprzód i... stanęła. Biały szal zaczęła zsuwać, zakrywając spuszczony warkocz. Wahała się czegoś.

Waldemar lekko dotknął jej ręki.

– Idziemy.

– A czy to daleko?

– Już się pani boi? Czy odległości, czy mego towarzystwa? Zapłonęła, biegając śmiało naprzód.

– Idziemy!

Waldemar, idąc za nią, myślał:

– Ja już cię teraz zanadto czczę, abyś się mnie obawiać miała. W korytarzu stanęli przed obrazem.

Waldemar wskazał Stefci postać Magdaleny.

– Przed chwilą przyglądałem się jej myśląc o pani... Ogromnie podobna. Trzeba trafu, że bezpośrednio potem ujrzałem panią, nawet w podobnym stroju.

Stefcia szepnęła jakby do siebie:

– Czy jestem taka... ładna?...

Ordynat przysunął się bliżej i pochylił.

– Ładniejsza! boś żywa, a tamta martwa... bo ta spłowiała, a pani... kwitnie. Stefcia oddychała szybko, poruszona brzemieniem jego głosu. On mówił dalej:

– Ale Magdalena ma włosy puszczone swobodnie, a pani swoje zakrywa. Widzę panią w takim uczesaniu pierwszy raz.

– Nie spodziewałam się, że kogo spotkam – odrzekła zarumieniona.

– Ależ pani jest w tym prześlicznie! Pani powinna częściej tak chodzić. Kto ma lat dziewiętnaście, ten, ma prawo do spuszczonego warkocza. Dlaczego pani tak nie nosi włosów?

– W domu nosiłam, ale tu... nieetykietalnie – odrzekła z uśmiechem.

– Ach! dość tej etykiety!

– Pan jej nie lubi? A jednak to stały mieszkaniec tych murów.

– Wiem. Wprowadzony tu jeszcze w latach zamierzchłych, nie da się wykorzenić. Zresztą może to nadaje główny styl zamkowi.

Stefcia rozejrzała się.

– I tu nie byłam ani razu. Olbrzymi korytarz! To dziwne: takie wysokie sklepienia straszą mię. W zamku pańskim pełno tego. Dokąd ten korytarz prowadzi?

– Do prawej wieży, gdzie jest kaplica. Chodźmy tam.

– Ale...

– Żadne ale. Cały zamek w uśpieniu, jakby wymarł. Cóż pani będzie robiła sama? Do parku iść nie można, bo deszcz pada, chociaż słońce świeci. O! widzi pani?

Przez wysokie, wąskie okno w niszy wskazał jej błękitne niebo, splamione szarymi obło- kami. Padał obfity, kroplisty deszcz, bijąc o szyby i spływając po nich strumieniami jak łzy. Przyćmiony korytarz i to wąskie okno, zalane deszczem, w ciszy potężnych murów czyniło ponure wrażenie, trochę klasztorne i ciężkie. Mury te wydały się Stefci klatką, ogromnym pomnikiem, przygniatającym wielką przeszłość ludzką, ale niewesołą; skałą, z której wyfruwają młode orły, pełne życia, z szerokimi skrzydłami i silnym lotem, a wracają poranione, dźwigając kajdany, nałożone przez życie, jakby tradycję tych murów.

Dziwna ta myśl przejęła Stefcię grozą. Spod zsuniętych brwi spojrzała ostro na Waldemara.

– Co pani myśli – zapytał cicho – coś niemiłego? Skinęła głową.

– Ten zamek – to skała, a pan – młody orzeł... i już pan wyfrunął z gniazda, prawda? – rzekła dziwnym głosem. Patrzał na nią uważnie.

– Wyfrunąłem, ale wrócę. Dziewczyna spuściła oczy.

– Wróci pan... słabszy.

– Przeciwnie, silniejszy.

– I nie połamie pan skrzydeł?

– Będę o nie walczył.

– Wróci pan bez kajdan?

– Może z berłem w szponach, z berłem szczęścia, które wydrę światu...

Podniosła na niego ciemne źrenice. On patrzał na nią poważny, z fałdą na czole i odrobiną smutku w zagięciu ust.

Chwilę milczeli. Stefcia oparła się o mur i rzekła śmiało:

– Ma pan wolę i siłę hetmańską, ale czy to wystarczy?...

– Mam prócz tego nadzieję i ostre szpony, którymi w walce o swój byt duchowy potrafię rozkrwawić. Albo zginę, albo wydrę światu owo berło i skończę Austerlitzem. Jestem dziki!

– Straszny! – rzekła Stefcia w zamyśleniu – ale takie natury zwyciężają, chociaż... po największych zwycięstwach następuje Waterloo.

Brwi Waldemara ściągnęły się groźnie, w oczach zatlił ponury cień.

– Dziwnie mi pani dziś przepowiada. Moje Waterloo nastąpić może... nie jestem pyszny, ale wątpię, czy w otwartej walce z ludźmi. Chyba zgniecie się potęga, z jaką walka jest ponad siły ludzkie. Co jednak wpłynęło na tak smutne myśli u pani, wolno wiedzieć?

Stefcia wysunęła się na środek korytarza i robiąc ręką ruch okrągły, jakby ogarniający cały zamek, powiedziała bez uśmiechu:

– Te mury i tradycja ich.

Pobiegła naprzód kilka kroków, po czym odwróciła się i zarumieniona wyciągnęła do Waldemara rękę:

– Jeśli zrobiłam panu przykrość, przepraszam. Zatrzymał drobną jej dłoń w swojej i rzekł poważnie:

– Tradycja jest smutna, ale może ja będę orłem, który ją rozjaśni?...

– Daj Boże! pragnęłabym tego dla pana. Ale teraz... chodźmy już. Wielki czas. Poszli oboje poważni, zamyśleni.

W dolnym salonie stanęli w oszklonych drzwiach, prowadzących na mniejszy taras.

Deszcz padał ciągle, mimo że spoza chmur wyglądało słońce. Grad wielkich kropli bił w marmurową posadzkę tarasu. Z twardych błyszczących liści drzew pomarańczowych spadały perełki wody, lśniąc w słońcu jak klejnoty.

Grupy drzew egzotycznych parkowych i kwiaty wyglądały przepysznie w dziwacznej mieszaninie deszczu z blaskami słońca. Miało to swą odrębną cechę dekoracyjną, jakby olbrzymi, niewidzialny wodotrysk skrapiał rośliny obfitą zawieją rosy. Waldemar otworzył drzwi i tuż koło Stefci padały duże krople wody, opryskując jej suknię. Dziewczyna wyciągnęła stuloną dłoń i napełniała ją wodą, wylewając potem na kwiaty.

– Mówią, że taki deszcz w słońcu to błogosławieństwo Boże – zauważył Waldemar – więc pani zbiera błogosławieństwo w swe dłonie. Stefcia błysnęła uśmiechem.

– Zamoczy się pani, przejdźmy do czytelni, tu obok. Prosiła mię pani wczoraj o „Times”. Tam są wszystkie pisma.

Stefcia strzepnęła ręce, dłoń wysuszyła chusteczką i weszła przed nim do małej czytelni, obok zielonego gabinetu Waldemara. Ordynat podał jej fotel, sam usiadł przy stole zarzuconym gazetami.

– Zaraz tu znajdę, czego pani żądała – rzekł przerzucając papiery.

– Ach, prawda! w porę przypomniałam sobie – zawołała Stefcia. – Czy pan już wysłał na pocztę?

– Już. Pocztowy odjechał rano, ale jeśli pani każe, pojedzie umyślny.

– Ależ nie. To jutro. Mam list. Chciałam go panu oddać, bo mogę jutro rano spać. Proszę, oto on.

Ordynat wziął list i spojrzawszy nań uważnie, poruszył brwiami, wydymając lekko usta.

– Ładne, oryginalne pismo i koperta, ale bardzo szablonowy adres – rzekł trochę ironicznie. – Myślałem, że pani nie podlega ogólnej modzie, raczej

epidemii adresowania w kraju po francusku: Monsieur Stanislas Rudecki à Ruczajew. To samo łatwo wyrazić po polsku, prawda?

Stefcia poczerwieniała.

– Daje mi pan dobrą naukę... i ma pan zupełną słuszność. Uśmiechnął się.

– Uznaje pani to?

– O tak! pan dobrze nazwał epidemią: widzę u innych i bez zastanowienia robię tak samo. Niech mię pan nie posądza o chęć popisania się francuszczyzną.

– Co znowu! wiem, że ją pani posiada wybornie. Ale język francuski u nas w kraju to istna szarańcza, w wielu miejscach wypiera rodowity. Już nie mówię o powszechnie przyjętych adresach, nawet listach francuskich, ale niech pani zauważy, jakie ten język ma szerokie zastosowanie, i to przeważnie w dziedzinach, w których obracają się panie. Niezbyt do pochlebne dla Polek. Większe firmy sklepowe, przybytki mody, piszą rachunki i adresy tylko PO francusku, na drzwiach umieszczają: Entree. Panie, a i niektórzy mężczyźni modlą się z książek francuskich, bo modlitwa po polsku jest dla nich zbyt ordynarną. Bilety wizytowe także francuskie. Dzieci nie znając dobrze własnego języka trzepią po francusku. Znałem pewną dziewięcioletnią dziewczynkę, która zapytana przez ojca, nad jaką rzeką leży Warszawa, krztusiła się: „Wis... Wis...” – wreszcie wycedziła: „Vistule”. Po prostu nazwa Wisły nie mogła dziecku przejść przez gardło. Lucia była w ten sam sposób wychowana. Nigdzie pani tego nie zobaczy za granicą, tam każdy szanuje swój język i ceni go. Francuz nie napisze na sklepie ani na etykiecie po polsku, choćby większość jego odbiorców była Polakami. Nie przeczę, że francuszczyzna jest nieodzowna, jak i inne języki europejskie, ale nie trzeba stosować ich w kraju na każdym kroku. One mają wszechświatowy byt zapewniony, nasz tylko u nas, i jeszcze go wypędzamy. Jaki to wstyd! Śmieją się z nas obcokrajowcy, bo oni podobnego grzechu nie znają i tej dzikiej mody dawania pierwszeństwa obcym. To wyłącznie nasza cecha.

Stefcia patrzyła na niego z wdzięcznością. Rzekła porywczo:

– Zawstydził mię pan, ale nauczył. Teraz już nigdy języka francuskiego używać nie będę bez wyraźnej potrzeby.

Zajrzał wesoło jej w oczy.

– Doprawdy? Bardzo jestem rad. Niech pani przede wszystkim będzie Polką i patriotką, a nigdy taką światową kobietą, która dla mody usuwa ojczysty język ze swego słownika. Rozumiem posługiwanie się obcą gwarą w razach koniecznych, przy służbie lub w pewnych przysłowiach. Ale mieć ją często albo stale w ustach to bluźnierstwo. Więc pani obiecuje poprawę? To już bardzo wiele. Mam nadzieję, że wyrzeknie się pani zupełnie zamiłowań hrabianek Ćwileckich, Barskich, wszystkich Trestków, Weyherów i tak dalej. Z naszych pań panna Rita jest najwięcej Polką.

– I to pewno stała się nią pod wpływem pana – wyrwało się Stefci. Ordynat uśmiechnął się.

– Może być. Zresztą wszyscy oni strasznie egzotyczni. Ale na nich już rady

nie ma: nazbyt czczą zagranicznych bożków, aby mogli się oduczyć od składania im hołdów.

W bocznym korytarzu rozległy się kroki lokaja. Stefcia powstała.

– Pani już odchodzi?

Podniosła ramiona, jak ptak skrzydła do odlotu.

– Uciekam, już pewno wszyscy wstali.

– Szkoda! tak nam było dobrze razem. Zabiera pani list?

– Zmienię adres. Już bym go teraz wysłać takim nie mogła. Waldemar skinął jej ręką.

– Z pani mam prawdziwą pociechę. Dobre i... śliczne „dzidzi”.

– Już pan zaczyna?

– No, już nie! Do widzenia! Oto żądany dziennik. Zaraz obiad.

– Długo siedzieliśmy – rzekła Stefcia już w progu.

– Żałuje pani tych chwil?

– Żałuję, że minęły.

Uśmiechnęli się do siebie raz jeszcze i dziewczyna znikła w bocznym salonie. Waldemar ścisnął dłońmi skronie. Szybko chodził kilka minut wzdłuż salonu.

– Ja szaleję! – zawołał rzucając się na fotel.

## XXXVIII.

Nazajutrz polowano w zwierzyńcu na bażanty. Zabito ich sporą liczbę. Wieczorem obiad był zastawiony na przystani zwierzynieckiej. Stojący pośrodku duży posąg Diany-łowczyni z białego marmuru otaczały stoły w podkowę pod baldachimem z żaglowego płótna i festonów dębowych, przystrojone w inicjały myśliwskie. Na słupach, okręconych wieńcami, porozwieszano strzelby i trąby. Orkiestra grała na łodziach. Po toastach szeregi gajowych, przybranych w szare kurtki z zielonym i błyszczące blachy, dawały salwy ze strzelb. Przy stołach obsługiwała straż zwierzyniecka w galowych uniformach. Kierował nią stary marszałek dworu i kamerdyner Andrzej, stojący za krzesłem ordynata. Rzeka iluminowana płynęła krwawą lalą, odbijając w sobie porozkładane na brzegach ogniska i lampy na przystaniach.

W oddali na ciemnej rzece błyszczały jak gwiazdy pojedyncze światełka, ognistą wstążką okalając park i zwierzyniec. Łodzie z muzyką, iluminowane rzęsiście, cicho sunęły po czarnej tali. Z najwyższej wieżycy zamkowej wielka lampa elektryczna ciskała snopy światła, jak nasiąknięte srebrem słońce. Przy stole panowie i panie pozostali w strojach myśliwskich. Stefcia w kostiumie z ciemnomalinowego sukna i w miękkim białym kapelusiku tyrolskim. Obie z Lucią miały zgrabne flowery i ładowniczki, ofiarowane im przez pana Macieja. Stefcia była trochę jak zgaszona: drażnił ją impertynencki hrabia i przykry wzrok hrabianki. Waldemar ją krępował, serce

jej biło dziwną obawą, gdy podchodził. Ordynat odgadł jej niepokój, a przeczuwając, że on jest powodem, unikał jej dyskretnie.

Ale inni mężczyźni pochłaniali ją wzrokiem, podobała się ogólnie. Dwóch młodych hrabiów szeptało z sobą:

– Czy to możliwe, aby ordynat pozostawił ją „na boku”? Za ładna jest... Musi tam coś być – mówił jeden.

– Traktuje ją jak księżniczkę – dodawał drugi.

– To pozór: dba o jej opinię, by mu jej nie odebrano.

– Ale można mu zazdrościć. On się w czepku rodził, zawsze i wszędzie odnajduje gwiazdy.

Rozmowy takie prowadzono z bardzo wielką ostrożnością: zmuszał do tego zupełnie towarzyski stosunek względem Stefci osób, z którymi trzeba się liczyć. Młody Michorowski, nazbyt sprytny, odczuwał wszystko i z daleka, lecz stale otaczał Stefcię opieką. Czynił to zręcznie, nikt nie domyślał się prawdy. Jedna panna Szeliżanka rozumiała jego grę. Znając Waldemara od bardzo dawna, nie zauważyła nigdy, aby się kim tak zajmował i tyle okazywał szacunku, nawet czci. Chwilami, gdy patrzał na Stefcię. Rita dostrzegała w jego oczach iskry i te ją niepokoiły. Młody magnat stał się dla niej zagadką, Stefcia dziwem. Ale spostrzeżenia swoje zachowywała dla siebie, nie dzieląc się nimi z nikim, jedynie z Trestką.

Ta para, mimo ustawicznych kłótni, nie traciła do siebie ufności. W czasie polowania panna Rita spytała swego adoratora:

– Panie, czy pan się tylko bawi, czy trochę obserwuje?...

– Dlaczego się pani o to pyta?

– No... tak sobie. Czy pan nic nie zauważa?

– O! nawet bardzo wiele. Uważam, że osoby, które chcą być wywyższone, są poniżone.

– Cóż to za styl biblijny!

– I dalej, że osoby, które nie pną się na wyżyny, mają je.

– Brawo! pan mówi o Barskiej i Rudeckiej. Tak?

– Oczywiście! Druga. nawet nie wiedząc o tym, diablo prędko leci na szczyty, pierwsza zaś... àbas le roi!...

– Tak, jej rola tu nieciekawa. Ostatecznie widzi wszystko, bo w takich razach wzrok, słuch, instynkt niesłychanie potęgują się. A tu nawet i tego wszystkiego nie trzeba, by dojrzeć credo ordynata. Chyba każdy lepszy obserwator zauważy to, nawet zwykły widz – cóż dopiero mówić o osobach interesowanych. Praktykanci i administracja ordynata albo służba... uważał pan?...

– Administracja już składa jej cichy hołd, a służba skacze koło niej jak koło pani tego zamku. To impuls wywołany taktyką ordynata. Sam obecnie trzyma się dyskretnie na uboczu.

Panna Szeliżanka pokręciła głową.

– Kto by chciał wierzyć w owo „na uboczu”, mógłby na tym bardzo źle wyjść. Ordynat czuwa niewidocznie, lecz otacza ją nimbem swej opieki. Wie

o tym każdy, nawet Barski. Chciałby ją sterroryzować swą wielkością, ale czuje miecz Damoklesa w postaci ordynata. Raz jeden, kiedy ordynat był w szorowni, a ona w sali stajennej. Barski coś do niej mówił. Nie dowiedziałam się, co, ale na pewno jej ubliżył: zauważyłam jej wzburzenie. Musiała mu też dobrze odpowiedzieć. Jest ona pod wieloma względami gołębicą, ale potrafi być i sokolicą. Nie daje powodu do impertynencji i... nie pozwoli na nią nikomu.

– O! to orlątko! – rzekł Trestka. – Ale czy ona sama jest au courant własnego powodzenia, czy odczuwa hołdy?

– Z pewnością! – odrzekła Rita. – Ona jest inteligentna, wrażliwa i sprytna, ona w lot chwyta wszystko, ale ma takt godny salonów. Po niej każda intryga może się ześliznąć jak ślina po kryształe.

Trestka zawołał z ożywieniem:

– Fenomenalne połączenie! Takt i ognisty temperament. W niej się to bajecznie kojarzy. Może to stanowi ów czar, który ją otacza jak perfumy? Ale czy wiedząc o względach ordynata, odpłaca mu tym samym – trudno odgadnąć.

Panna Rita oburzyła się.

– Ach, pan! czyż może być inaczej?... Być przez niego tak czczoną, jak ona, i nie szaleć?... To niemożliwe.

Trestka wielkie oczy krótkowidza zatrzymał na twarzy mówiącej. Machnął ręką i rzekł apatycznie:

– Prawda! zapomniałem, że to mowa o Michorowskim... Za nim trzeba szaleć. Słyszę to co godzina, mam dowody i jeszcze wątpię. Zaiste zaczynam idiocieć.

– Istotnie! – rzuciła prędko panna Szeliżanka i poszła dalej.

Było więcej osób, prócz Trestki i Rity, widzących wszystko. Niepokoił się pan Maciej. Panią Idalię drażniło to ze względu na hrabiankę. Melania nie ukrywała zazdrości... Upragniona partia wymykała się jej bez nadziei... nie pozostawało nic więcej, jak zręcznie udawać obojętność. Ale panna Barska czuła się obrażoną, więc począwszy od Waldemara, skończywszy na jej pannie służącej każdy słyszał zgrzytanie i znał powód.

Hrabianka na polowaniu w zwierzyńcu ujrzała scenę, która ją przybiła zupełnie. W bażantarni Stefci zaciął się flower. Nie mogąc go naprawić. podeszła do jednego z podłowczych. Nagle, jak spod ziemi, wyrósł przy niej sam łowczy Urbański, który wtedy rozmawiał z Barskim. Przeprosił hrabiego i prędko podszedł do niej. Z nadzwyczajnym uszanowaniem zaczął jej naprawiać broń. W tej chwili nadszedł drugi oddział służby zwierzynieckiej. Na widok Stefci skłonili się nisko i jakby niechcący stanęli w dwa szeregi. Na końcu tego szpaleru była ona z łowczym. Gdy flower został naprawiony, Stefcia wdzięcznie skinęła głową łowczemu i spojrzała przed siebie. Zdziwiła się trochę, lecz nie widząc innej drogi, rzuciła flower na ramię i szła swobodnie między szeregami strzelców, którzy przed nią pochylali głowy. Odpowiadała na ich ukłony z pełnym wdzięku uśmiechem i choć już

zmieszana, doszła na stanowisko z godnością księżniczki oswojonej z hołdami. Za nią szedł Urbański i odprowadził na miejsce.

Hrabia Barski zaklął zły, niemal wściekły. Córka jego zakipiała z gniewu, musiała jednak podziwiać Stefcię. Tak wdzięcznego i pełnego taktu przejścia wśród kłaniającej się służby mogła jej pozazdrościć największa magnatka. Hrabianka gryzła wargi, palce wpijała w żelazo swej strzelby z głuchą zawiścią.

– Oni ją tu honorują jak... narzeczoną jego – myślała.

Ordynat stał oddalony wśród sosen i niewidzialny śledził całą scenę. Gdy Stefcia doszła do miejsca, szepnął do siebie z uśmiechem:

– Zuchy moje chłopy! wiedzą, jak trawa rośnie. Ale ona... wspaniała! – dodał.

I dumnie wzniósł czoło do góry.

# XXXIX.

Polowania, zabawy, turnieje konne trwały dziesięć dni. Wielki bal kostiumowy, od dawna będący w programie, zakończył sezon głębowicki. Biała sala balowa w zamku, podtrzymywana przez marmurowe filary, owinięte bluszczem, tonęła w świetle lamp elektrycznych, w blasku kryształowych żyrandoli, w masie kwiatów i zieleni. Sala pomieściła miejscowe towarzystwo i mnóstwo osób przyjezdnych. Kostiumy były kosztowne i oryginalne. Wyróżniała się hrabina Wizembergowa w symbolicznym ubiorze burzy. Fantastyczną, perłowoszafirową materię ciężkiej, powłóczystej sukni ozdabiały pęki z gazy w odcieniach kłębiących się chmur, więc: brudnozłote, ciemnofioletowe, niebieskawe i szarobiałe – wszystkie łączyły się z sobą bardzo harmonijnie. Na stażowych chmurach złociły się ogniste gzygzaki piorunów ze złotych blaszek. Błyskawice udawały wszywane w gazę kawałki materii, usiane drobniutkimi brylantami. Taki sam sznur roziskrzonych, ale z wielkich brylantów, otaczał szyję. Ramiona owijały złote węże z kamieniami. Od krótkich rękawów spływał bujny, roztargany pęk traw, tak lekkich, że od ruchu ramion wiewał nieustannie, jakby szarpany wichrem. Czarne ciężkie włosy hrabina miała rozpuszczone; na głowie piętrzył się ciemny obłok fioletowej gazy. przeszyty złotym piorunem z wielkim brylantem na końcu. Spod obłoku spływały wiotkie, długie, rozwiane trawy. W ręku hrabina miała wachlarz ze złotych blaszek i brylantów oraz złotą laseczkę. zakończoną piorunowym gzygzakiem z brylantów. Laseczka posiadała w osadzie małą pękawkę, która za przyciśnięciem wydawała suchy trzask. Kostium był artystyczny i niezwykły, zastosowany do klasycznej, lecz groźnej piękności hrabiny. Rozwiane trawy, udające do złudzenia miotanie wiatrów, i nagłe błyski brylantów czyniły kostium niesłychanie efektownym. Hrabianka Melania, przebrana za bogatą Izraelitkę, wyglądała również dobrze, w sukni ze złotej lamy. w białym

welonie, podtrzymywanym na głowie przez wysoki diadem szyty perłami. Tworzyło to wielce udatną całość z jej wschodnią urodą. Panna Rita przemieniła się w Katarzynę Howard. Lucia we włoską kwiaciarkę. Stefcia była damą czasów dyrektoriatu, w różowej powłóczystej sukni z lekkiej wełny, z jedwabną szarfą i w czarnym kapeluszu z wielkimi strusimi piórami. Włosy miała zaczesane wytwornie: bujna fala loków spływała na jej plecy. Szyję ozdobiła sznurkiem pereł dosyć cennych. W tym stroju, z wachlarzem z czarnych strusich piór, pękami różowych kamelii przy gorsie i we włosach, była poważniejszą niż zwykle, ale tak ładną i dystyngowaną, że więcej biegło oczu męskich za nią niż za wspaniałą Żydówką. Waldemar i większość panów nie mieli kostiumów.

Tańce szły z wielkim ożywieniem. Dwie orkiestry zmieniały się z sobą. Bal ten miał już odmienny styl niż podczas wystawy. Składała się na to przepyszna sala, dobór towarzystwa, bogate stroje i duch inny niż na balu publicznym. Ramy magnackiego zamku różniły się od hotelowych. Tu ordynat występował w roli gospodarza zabawy i właściciela.

W czasie figury mazurowej do młodego Michorowskiego podbiegł Brochwicz, trzymając pod rękę hrabiankę Melanię i Stefcię.

– Elektryczność i ogień au naturel! – zawołał.

– Wolę ogień. Elektryczności mam dosyć – odparł Waldemar. Brochwicz oddał mu Stefcię.

Hrabianka zaśmiała się przykrym, szyderczym śmiechem.

– Les extrêmes se touchent! – rzuciła z ironią.

Ordynat tańczył mazura klasycznie, z dystynkcją i junakierią zarazem, Stefcia płynęła: wyglądali niesłychanie. W tańcu spoglądał jej często w oczy. Ona swych nie spuszczała. W zawrotach przygarniał ją silnie, lecz bez zapału. Jego taniec, pomimo zręczności i zuchwałej brawury, układał się jednak trochę posągowo, co nadawało mu wyłączny wyraz. Twarz miał prawie poważną, Stefcia pomimo zorzy w oczach – zamyśloną. Oboje byli szlachetni w ruchach. Wiał od nich urok. Musiano ich podziwiać.

– Cette fille a l’air d’une princesse! – zmełła w zębach hrabianka Melania. Brochwicz. dosłyszał.

– Tak, pod tą parą napisałbym: l’état c’est moi – rzekł z zapałem. Hrabianka rzuciła mu wyzywające spojrzenie.

Na boku pod filarem stał pan Maciej. Oczy jego ścigały tańczących z uporem, ale bez przyjemności. Przeciwnie zsunięte brwi starca wyrażały grozę, oczy świeciły ponuro. Widy- wał tańczącego wnuka, lecz jakoś inaczej. Mazur z tą dziewczyną przeistaczał go. On, niewielki zwolennik tańca, teraz wkładał weń całą duszę, patrząc na Stefcię nie widział już nic więcej. Albo ta Stefcia?... Pana Macieja ogarniał niepokój. Jak ona dziś wygląda! Ta różowa dama z czasów dyrektoriatu, z wytwornym wdziękiem podnosząca do ust wachlarz, z uroczą powagą płynie przez salę jak księżniczka. Pan Maciej nie poznaje codziennej Stefci, w skromnych sukniach, wesołej, nieraz rozbawionej jak dziecko albo z tęskną myślą na świeżej twarzy. Co ją dziś

czyni poważniejszą?... Zawsze jest zręczna, lekka jak powiew, zawsze delikatna, pełna powabu i uroku. Ale ten majestat, wykwintna dystynkcja, zdobiąca ją dzisiaj, uderza starca. Patrzy na nią. patrzy i przypomina sobie chwile zasnute mgłą odległych lat; przymyka oczy, słucha, jak serce bije mocno z grozy, poruszone wspomnieniami, i nagle z piersi jego wydobywa się jękliwy starczy głos:

– Ona... zupełnie ona... Skąd to podobieństwo?... Co to jest?... A po chwili znowu prawie z przerażeniem:

– Imię, uroda, wiek, czar – wszystko jak u tamtej... Boże!...

Starzec stoi jak przykuty i śledząc różową postać, coraz nowe odkrywa podobieństwa i rani swą zdrętwiałą duszę.

– Ten sam charakter, usposobienie... te same ruchy i głos... Czy to ona w odrodzeniu?... Zadrżał na całym ciele.

– Czy i przeznaczenie takie same?... Jakieś fatum naszej rodziny... Boże zmiłuj się! Pan Maciej był silnie zdenerwowany, unikał wnuka, nawet jego wzroku.

Po skończonym mazurze ogród zimowy, zamkowa oranżeria i palmiarnia, przytykająca do sali balowej, napełniły się strojnymi postaciami pań i panów. Inni przechadzali się po ogromnej, pysznie urządzonej hali, będącej dopełnieniem białej sali. Stad wchodziło się na żelazną rzeźbioną galerię zimowego ogrodu, biegnącą dokoła szklanych ścian z widokiem na całe urządzenie wewnętrzne.

W spacerowej hali zwracały uwagę płaskorzeźby sufitu, przedstawiające walki i pochody wojskowe z szeregami jeźdźców na koniach. Cała hala miała ton niebieski i nadzwyczaj cenną wenecką posadzkę mozaikową.

Wszędzie bawiono się wesoło. Wachlarze powiewały wolno, gorączkowo i namiętnie. Rozległy się głośne lampki, nieznacznie poumieszczane wśród palm i kwiatów, łagodnymi błyskami pełzały po obnażonych ramionach, kładły w oczy melancholijne cienie.

Waldemar usiłował spotkać Stefcię, ale mu ciągle ktoś w drogę wchodził. Sam zresztą miał zbyt wielkie powodzenie. Po długich poszukiwaniach odkrył jej różową suknię za grupą drzew palmowych, usłyszał jej wesoły młody głos i stanął, chcąc się przekonać, z kim rozmawia. Obok niej ujrzał Trestkę, nieco dalej pannę Ritę w towarzystwie miejscowego lekarza z Głębowicz. Trestka miał minę bardzo zajętą, dowodził coś z ożywieniem. Waldemar, zaciekawiony zbliżył się.

O czym oni mówią?

– Widzi pani – rozprawiał Trestka – ja jestem szczery: zmieniła się pani na awantaż. Nie powiem, żeby pani wypiękniała, gdyż i dawniej nic pani nie brakowało, ale jakaś zmiana jest – i to nasza zasługa.

– A to jakim sposobem?

– Miała pani rasę, ale trochę tremy, co psuło efekt. Nie mogła się pani zorientować w nowych ramach.

– Czyli że teraz zmieniłam się na lepsze?

– Ba! i jak jeszcze. W tym stroju jest pani zachwycająca. Wyobrażam sobie Napoleona na moim miejscu.

Stefcia parsknęła śmiechem.

– Skąd panu znowu Napoleon przyszedł na myśl? Czy z powodu mego kostiumu? Nie przypominam chyba Józefiny Beauharnais.

– Strasznie pani cnotliwa, skoro widzi Napoleona tylko przy Józefinie.

– Więc może do Marii Ludwiki jestem podobna?

– Ach, co znowu! to była glista, nie kobieta. Stefcia zaśmiała się.

– Wyborny pan jest! Jakże można robić takie porównanie?

– W każdym razie moje jest mniej potworne niż zestawienie pani z Marią Ludwiką.

– Ach! mam to uważać za komplement i podziękować? Tego musi się pan wyrzec, bo nie dziękuję nigdy za komplementy.

– Ale je pani lubi, co tu gadać! Ode mnie one nic robią wrażenia. Gdyby tak Napoleon...

– O! niech już pan nie nudzi tym Napoleonem. Czy on mówił komplementy?

– Jemu mówili.

– W każdym razie nie kobiety.

– Ajej! najwięcej! On miał szaloną wenę, na tuziny liczył wielbicielki! Chce pani, to je wymienię, bo widzę, że pani słaba w epoce napoleońskiej.

– Dziękuję, znam ją dokładnie.

– Czy ze szczegółami?...

– Zdaje mi się.

– No więc egzamin: które wielbicielki byty z nim pod Trafalgar, które pod Berezyną, a które w wąwozach Somosierra – bo on i tam flirtował.

– Niech pan sam na to odpowie i postawi sobie piątkę, a już z góry wołam: brawo!

– I bis?

– Nie, i zapuszczam kurtynę.

To rzekłszy, Stefcia frunęła w drugą stronę palmiarni.

– Dowcipna i umie się bronić – mruknął Trestka.

Dziś Stefcię napastowano ze wszystkich stron. Zaledwo odeszła od Trestki, gdy spotkała się z monoklem swego adoratora z wystawy. Chciała go minąć, lecz posunął się do niej żywo, uprzedzając Waldemara.

– Panno Stefanio, pani mię dziś tyranizuje. Nie otrzymałem ani jednego lepszego słówka, a z tańców tylko ten nędzny walc.

– O! panie hrabio, powinno to panu wystarczyć.

– Merci! wygląda pani jak królowa, ale dla swych poddanych jest pani bezlitosna.

– Doprawdy? Kogóż to pan uważa za mych poddanych?

– Siebie przede wszystkim.

– Radzę panu przejść pod inne berło. Będzie to korzystniej dla stron obu.

– Jestem rojalistą, przywiązanym do dynastii.

– Ależ hrabio, ja przedstawiam republikę dzisiejszym strojem.

– To nic. Mimo to włada pani berłem. Ale ja nie mam szansy. Szczególnie ta palmiarnia... Ciągle mi się pani kryje.

– Cudowne palmy!

– Jak wszystko w Głębowiczach. Panie nawet ordynata nazywają cudownym.

– Pan się na to nie zgadza?

– A pani?...

Stefcia się zająknęła.

– Ordynat jest zastosowany do swego otoczenia – odrzekła prędko.

– To znaczy cudowny.

– Och, nie! Lubię cudowne rzeczy, ale cudownych ludzi nie znoszę.

– To nie wiele mówi! Przy tym jest pani sama z sobą w niezgodzie. Stefcia złożyła mu dworski, powłóczysty ukłon.

– Monsieur! je suis enchantée. Zaśmiała się i znikła.

Hrabia ruszył wytrwale za nią.

Waldemar, słysząc wszystko, przeciągnął ręką po czole.

– Jak ona potrafi ich zbywać i jak sobie z nich nic nic robi – szepnął zadowolony. Postanowił zbliżyć się do niej sam.

Siedziała na marmurowej ławeczce z księżniczką Lilą Podhorecką w otoczeniu kilku panien i panów. Gdy Waldemar podszedł. Stefcia zwróciła się do niego:

– Panie Michorowski, prosimy na kongres międzynarodowy. Jest tu dosyć narodowości w kostiumach. Jedni obstają za menuetem, a drudzy chcą jeszcze napawać się palmami.

– A pani do których należy?

– Ja zajmuję stanowisko pośrednie, bo menueta nie tańczę. Wybrano mię na arbitra.

– Zatem interwencja moja nie jest potrzebna?

– Ale do jakiego należy pan obozu?

– Ja jestem za menuetem. A większość głosów?

– Tak samo. Więc sprawa rozstrzygnięta.

Wdzięcznym ruchem uderzyła się wachlarzem w dłoń. Wodzirej, młody książę Giersz- torf, wybiegł na salę. Wkrótce zagrzmiała muzyka. Menuet popłynął melancholijną, dźwięczną nutą. Stefcia i Waldemar stali w drzwiach palmiarni pod wielkimi festonami róż i zieleni.

– A pan nie tańczy?

– Nie, pani.

– A jednak pan głosował za menuetem?

– Umyślnie. Wolę rozmawiać z panią.

Stefcia umilkła. Rozbawionymi oczyma ściągała barwny sznur wijących się par. Biała sala, ubrana w palmy i kwiaty, strojna we fraki i wspaniałe złocenia, fantastyczne postacie, chylące się ku sobie w wytwornych ukłonach, sprawiały wrażenie z pierwszych lat stulecia.

– Tak musiały wyglądać bale w Sans-Souci i Wersalu – rzekła Stefcia do ordynata.

– Tak, tylko brakuje peruk i koronkowych żabotów, no i pończoch.

– I muszek na twarzach pań oraz kokieterii – dodała Stefcia.

– Tej zawsze dosyć. Nawet i pani ma trochę kokieterii.

– Doprawdy?

– Ale u pani jest ona wyłączna. Kokieteria mimozy pociąga bezwiednie i nawet jest wybredna.

– Z czego pan to wnioskuje?

Michorowski z ładnym uśmiechem poruszył głową.

– Stawia pani dość śmiałe pytanie. Gdy zechcę być szczerym, muszę być zarozumiałym, a na to mi nie pozwala własna etyka.

Dziewczyna zmieszała się, ale odpowiedziała szczerze:

– Może i jestem wybredną, lecz... tam, gdzie przestaję nią być, tracę zwykłą odwagę i wówczas zapewne mam bardzo naiwną minę.

W oczach ordynata błysnął promień radosny. Ogarnął ją pieszczotliwym wzrokiem.

– Nie naiwną, broń Boże! ale zakłopotaną – i to na panią rzuca dziwnie ładny refleks, wzruszający. To stanowi doskonały kontrast ze zwykłą pani wesołością i swadą. Trudno się domyślać, że jej wdzięczna zuchowatość może mieć takie chwile, jak obecna, i... śliczne.

Stefcia spojrzała na mówiącego. Po twarzy jej przebiegła jasna błyskawica rumieńca, charakterystyczna u niej, a zawsze czarująca Waldemara.

– Zdaje mi się, że pan...

– Wkracza w zarozumiałość? Sama mię pani do tego upoważniła, niechcący naturalnie.

Ja zaś pochlebiam sobie, że w oczach pani mam nieco więcej szans od hrabiego z monoklem, Wilusia i Trestki.

Stefcia uśmiechnęła się.

– Trzeba przyznać, że nie wybrał pan zbyt silnych przeciwników. Tu zarozumiałość pań- ska trochę blednie.

Waldemar skłonił głowę wytwornym ruchem. Był to rodzaj podziękowania. Milczeli jakiś czas. po czym on rzekł znowu, wskazując tańczących:

– Niech pani zauważy entuzjazm niektórych pań. Menuet nazwałbym tańcem najsenniejszym, a jednak rozgrzewa. Dobry wynalazek! Często w tańcu odkrywa się temperament. Ale każdy widz z daleka musi się dziwić, co tych ludzi tak podnieca.

– Tak. Lecz podobnego wrażenia może doznać człowiek nie tańczący, zatem nie amator. Gdy jest przeciwnie, widok tańczących musi porywać. Chciałabym jednak wiedzieć, jaki człowiek pierwszy raz zatańczył?

– Albo wariat w przystępie szału, albo jakiś bezmiernie zadowolony osobnik, może jaskiniowiec z epoki jurajskiej wykonał taki radosny odruch przy szczęśliwie zdobytej zwierzynie.

– Albo po zjedzeniu własnej żony, którą to biesiadą zakończył miodowy

miesiąc – odezwał się za nimi głos Trestki.

Stefcia i Waldemar zaśmiali się.

– Skąd pan wiedział, o czym rozmawiamy? Zapytany zrzucił binokle.

– Mam wyborny słuch, a że także nie tańczę menueta, bo mi działa na nerwy, więc podążyłem do państwa. Kwestia postawiona przez pannę Stefanię podobała mi się. Jeżeli mię tu nie chcecie, pójdę sobie. Liczę jednak na waszą uprzejmość. Spójrzcie państwo na Barskiego:

co za niesłychany wzrok skierował na nas. Uważacie? Michorowski zmarszczył się.

– To także jaskiniowiec nowoczesny.

– Gdzie jest panna Rita? – zapytała Stefcia.

– Kłaniają się sobie ze Żninem i są zadowoleni.

– A pan nic na to?

– Cóż mam zrobić: w łeb sobie palnąć czy powiesić się? – odparł krzykliwie.

– Nie, ale razem tańczyć.

– Ani myślę. To byłaby za wielka ofiara z mej strony.

Książę Giersztorf zakończył menueta. Pary rozsypały się. Wachlarze poszły w ruch. Krótki odpoczynek i przy dźwiękach orkiestr długi barwny sznur ruszył do sali jadalnej, poprzedzany przez marszałka dworu. On umieszczał pary przy świetnych stołach. Była to już uczta pożegnalna – wszystkich na tę myśl ogarniało wzruszenie...

Nazajutrz umyślnie sprowadzony fotograf zdejmował grupę towarzystwa w kostiumach. Stefcia stała w drugim szeregu, trochę z boku. Waldemar nadszedł, kiedy już grupę ustawiono. Stanął za Stefcią. Przewyższał ją. ale musiał się nieco przesunąć w bok, gdyż jej duży kapelusz zasłaniał mu dół twarzy. Hrabianka w pierwszym rzędzie nie zauważyła tego. Rita, przeciwnie, szepnęła cichutko do Trestki:

– Pierwsze publiczne tête-á-tête. Trestka skinął głową twierdząco.

Oprócz zbiorowej grupy wszystkie panie zdejmowały się osobno, w kostiumach i w balowych strojach, Stefcia w swym kostiumie z czasów dyrektoriatu, a na prośby Luci – w codziennej szarej sukience i w koralach.

Była grupa myśliwska w zwierzyńcu, grupy na łodziach; zdejmowano konne kawalkady, partię tenisa i grę w bilard. Cały dzień zeszedł na zdjęciach. Niektórzy goście przed wieczorem wyjechali na kolej, inni mieli opuścić Głębowicze na drugi dzień rano. Odjeżdżające panie otrzymywały od ordynata bukiety, orkiestra grała na krużganku.

Ostatni wieczór zgromadził w sali jadalnej znacznie szczuplejsze towarzystwo i dziwnym trafem najsympatyczniejsze. Wyjechali Barscy i kilka osób ich pokroju. Zaraz inny duch powiał. Wyjazd hrabianki nie był tryumfalnym. Dostała bardzo piękny bukiet, orkiestra grzmiała jak dla innych, wiozła ją wspaniała kareta i cztery siwe araby, ale hrabianka miała złość na twarzy. Spotkał ją zawód. Nic została narzeczoną ordynata i żadnej nadziei mieć nie mogła. Najwięcej ją gniewała świadomość kto jest winien jej

porażce.

Hrabia jechał posępny jak chmura. Wymarzona godność teścia w Głębowiczach uciekła przed nim, w jej doścignięcie już nie wierzył. Miał głuchy żal do córki, wyrzucał jej obojętność dla ojca i dla własnego herbu, nie myśląc, że jej ambicja cierpi również dotkliwie, nawet więcej. Hrabia patrzał na pyszną urodę córki, przymykał oczy, haftował ją sobie na tle olbrzymiego posagu i dziewięciopałkowej korony z herbem na żółtym polu. Ogarniało go zdumienie. „I to wszystko nie podziałało na ordynata? Ależ idiota, głupiec!” Ilekroć przed oczyma dumnego pana przesunęła się delikatna, wdzięczna postać Stefci, zaciskał pięści.

Uosobienie rozgoryczonej pary hrabiowskiej zdawało rozsadzać karetę. Ale ogiery arabskie pędziły do stacji kolejowej wyciągniętym kłusem, oddalając się od niewdzięcznych Głębowicz, co jak złoty sen hrabianki przechodziły w mgłę.

W zamku nie było smutno, lecz trochę odmiennie. Wszystkich ogarniał melancholijny spokój po gwarnych dniach. Chodzili po wąskich uliczkach zimowego ogrodu, zaglądali do winnicy, do ananasarni, do uroczej doliny róż.

Każdy myślał z żalem, że jutro trzeba opuścić zaczarowany zamek. I niejedno westchnienie wionęło, niejedne oczy szukały tego, który stanowił oś minionych zabaw, środkowy punkt zamku.

Stefcia nie wzdychała, nie oglądała się za Waldemarem, cicha i milcząca. Doznawała dziwnych uczuć: że chce się stąd wyrwać i nie może, chce uciekać – coś ją trzyma, chce się bronić – coś woła za nią: „Za późno!” Było jej tak ciężko, jakby ten ogromny zamek walił się na nią. Przepych, wspaniałość znowu zaczęły ją dławić. Żal niesłychany rozrywał piersi łkaniem. Tłoczyły ją uczucia i paliły ogniem.

## XL.

W parę dni potem odjeżdżali goście ze Słodkowic. Księżna Podhorecka wyjechała wcześniej z synem, synową i Ritą.

Głębowicze były trochę smętne w tonie, jakby pierwsze dni październikowe tak je nastroiły. Służba miała zgorzkniałe miny, lokaje włóczyli się sennie. Choć czekał ich zasłużony odpoczynek, żałowali świetnych dni, obliczając zyski, mogące zadowolić najchciwszych.

Rządca Ostrożęcki i dwaj praktykanci, schodząc z tarasu ujrzeli naprzeciw siebie wstępującego na schody ordynata. Szedł z cieplarni zamyślony, w ręce niósł pyszny bukiet żółtych róż. Panowie usunęli się grzecznie. Spojrzał na nich i uśmiechnął się przyjaźnie.

– Dokądże to panowie dążą?

– Tak włóczymy się po zamku, wywołując minione echa – odrzekł jeden z praktykantów.

– Smutno będzie teraz w Głębowiczach, co?

– Zapewne... Rozbałamuciliśmy się trochę.

– Nie dziwię się wam, bo i ja jestem rozbałamucony. Nudniej mi teraz będzie samemu w Głębowiczach.

Skinął im grzecznie głową i wszedł na taras. Po chwili znikł. Ostrożęcki rzekł półgłosem:

– Cóż panowie na to? Ordynat z bukietem róż, przyznający się do nudów w przyszłości... Osobliwość!...

Młody praktykant, hrabia L., włożył ręce w kieszenie marynarki.

– Wcale nie osobliwość. Bukiet dla panny Rudeckiej i nuda za nią, kwintesencja zaś tego: panna Rudecka przyszłą ordynatową.

– Sądzisz pan? – zdziwił się Ostrożęcki.

– Czy sądzę? Wierzę w to jak w ewangelię. On przecież za nią szaleje, ślepy by dojrzał.

Z tego powodu Barski wścieka się, z tego powodu wyniknie wiele krzyków, hałasów, bo arystokracja stanie dęba, lecz rezultatem będzie Veni Creator. Ordynat inaczej nie dostanie Rudeckiej, a że jest wprost oszalały, więc u stóp ołtarza sprawa musi się zakończyć. Ona zaś takiej partii nie odrzuci, to pewno.

Ostrożęcki zmarszczył się.

– Czy tylko ordynat naprawdę myśli o ołtarzu? Ostatecznie... to magnat z krwi i kości, choć wyjątkowy, ale zawsze feudalny, a że jest widocznie podniecony... To na nią działa i musi działać. On się może podobać. Otacza ją królewskimi hołdami: to samo zdoła odurzyć pannę Rudecką, nie mówiąc o jego własnej osobie, która już, zdaje mi się, nie jest jej obojętną. Jego miliony zastawiają tu na nią sidła. Lecz jak się to skończy – nie wiadomo. Jeśli on ma względem niej zamiary szlachetne... szkoda byłoby dziewczyny... To kwiatek za ładny, za świetny na zmarnowanie, nawet w takim przepychu.

Hrabia praktykant zaśmiał się.

– Dlaczego? czy pan sądzi, że panna Rudecka nie może zostać płomieniem ordynata... bez żadnych sakramentalnych zastrzeżeń?...

– Szkoda by jej było!

– Bagatela! nie z takimi miał ordynat do czynienia i nie myślał o żadnych zobowiązaniach. Miałby się zastanawiać nad panną Rudecką? Jest ładna, wytworna, to tym lepiej, jest z temperamentem, to podnieca mocniej, a że jest cnotliwa – to zaostrza apetyt. Ordynat doskonale to rozumie.

– Niech pan tak nie mówi. To byłaby nikczemność, do jakiej ordynat zdolnym nie jest. Panna Rudecka stoi towarzysko bardzo dobrze, w Słodkowcach ma swoje fory, z czym ordynat musi się liczyć.

– Och, panowie! to nie są skrupuły dla ordynata. Jego przeszłość dowodzi, że się lubował tylko w wytwornych i wyszukiwał je w wysokich sterach. Nie szlifował diamentów nie oceniał nigdy; to esteta! Ale bywały zawilsze sytuacje i zawsze potrafił wybrnąć zwycięsko. Nie zawahałby się i tu, lecz... tu jest coś innego... coś, co pachnie sakramentem. Panna Rudecka nie tylko rozpłomienia ordynata, lecz włazi mu do mózgu.

– I wszyscy to rozumieją – dodał Ostrożęcki – nawet służba. To nie jest przelotna słabostka. Kwestia tylko, czy ordynat potrafi wytrwać do końca i czy zdoła złamać przeszkody, jakie będzie stawiała jego zamiarom stera, do której należy.

Rozległ się głuchy turkot kół i tupot koni przed podjazdem zamkowym. Poszli spiesznie.

Stefcia stała w głównej sieni zamkowej przy schodach, już w płaszczyku i w kapeluszu. Zapinała rękawiczki, bawiąc się z Pandurem. Lucia biegła po schodach, wołając matki.

Z bocznego korytarza wyszedł Waldemar, stanął obok Stefci i wręczając jej bukiet rzekł z powodu obecności służby po angielsku.

– Niech te kwiaty przypominają pani Głębowicze i pachną tam w jej pokoiku. Stefcia spłonęła. Patrząc serdecznie na niego odpowiedziała:

– Dziękuję. O Głębowiczach nie zapomnę, bez pośrednictwa kwiatów. Pocałował ją w rękę.

– One również zachowają pani obraz. Ukraszała je pani, teraz osieroca... Zostanę tu jak pustelnik.

– Więc niech pan jedzie z nami.

Spojrzał na nią błyskawicznie. Iskierki zatliły mu się w oczach. Odwrócił się do zebranych lokai wydając rozkaz:

– Niech osiodłają Apolla.

Młodszy pokojowiec wypadł na ganek. Jednocześnie ze schodów schodziła pani Idalia z Lucią i pan Maciej, prowadzony przez kamerdynera. Słyszeli ordynata.

– Jedziesz z nami? – spytała baronowa, patrząc na zaróżowioną Stefcię i żółte róże w jej ręku.

– Tak – odrzekł Waldemar – Boję się tych pustych ścian. Nigdy nie wydadzą mi się bardziej smutne jak teraz.

Podskoczył na schody i usunąwszy lokaja, sam podał ramię dziadkowi.

Nadszedł Ostrożęcki z praktykantami, marszałek dworu i łowczy. W portyku pod filarami zebrali się lokaje i pokojowcy. W drzwiach stał koniuszy Badowicz. Orkiestra grała na krużganku ulubioną Stefci uwerturę Suppego: Chłop i poeta. Pani Idalia i Lucia miały również ogromne bukiety kwiatów. Lando, wybite karmazynowym aksamitem, zaprzężone było w czwórkę rosłych folblutów złotogniadej maści, z forysiami na koniach i z tyłu landa. Obok osiodłany Apollo wyrzucał niecierpliwie głową, pieniąc się i bijąc kopytami w żwir podjazdu. Od portyku do bramy w arkadach stały dwa szeregi strzelców na koniach w strojach odświętnych, z Jurem na czele. Stefcia zajęła przednie siedzenie wraz z Lucią.

Ordynat wskoczył na konia.

– Powracam jutro – mówił żegnając się z administracją. Lando ruszyło. Szeregi strzelców pochyliły się salutując odjeżdżających. Gdy lando wyjechało za pierwszą bramę, szeregi rozłamały się i formując w czwórki, pocwałowały w ślad za nim. Jur prowadził kolumnę. Z wieży zamkowej

zagrzmiała fanfara na trąbach hucznie, trochę żałośnie. Był to wyjazd królewski, ale uradował tylko Lucię. Pani Idalia siedziała nadęta, pan Maciej smutnie zamyślony. Oboje odgadywali, że te parady i towarzystwo Waldemara nie jest dla nich, lecz dla Stefci. Pan Maciej unikał wzroku dziewczyny. Ona to odczuwała. Ciężar nieznośny gniótł jej piersi, na twarz wystąpiła łuna. Waldemar jechał obok i także milczał. Stefcia widziała giętkie nogi Apolla w energicznym rytmie tęgiego kłusa, widziała stopy Waldemara w wytwornych butach, z błyszczącymi ostrogami. Trochę nerwowo szarpnął strzemieniem. Siodło i uzdeczki wydawały cichy skrzyp. Apollo gryzł wędzidło, plując pianą. Stefcia chciała spojrzeć wyżej, lecz bała się wzroku Waldemara, który czuła na sobie. Rozmowa nie szła, wszyscy mieli zwarzone miny, prawie w milczeniu dojechano do Słodkowic.

Przed wieczorem Stefcia, siedząc w bibliotece, zobaczyła przez okno młodego Michorowskiego. Spacerował w parku, automatycznie po alejach.

Żółte liście spadały mu pod nogi. Błękitnawy dymek z cygara pływał, omotując sieć babiego lata, co jak srebrne włosy unosiło się wśród drzew. Ordynat był głęboko zamyślony. Świadczyły o tym jego ruchy mniej elastyczne niż zwykle i ociężałość w całej postaci.

Stefcia wiedziała, że na drugi dzień Waldemar wyjeżdża do Głębowicz, a potem jedzie na polowanie do znakomitych domów w kraju, gdzie zabawi do zimy. Dziewczyna oderwać się nie mogła od okna. Tysiąc myśli wirowało w jej głowie, serce ściskał bolesny kurcz – zapowiedź tęsknoty za nim. Śliczne oczy Stefci zaszły łzami, łkanie szarpnęło piersią.

Waldemar chodził ciągle.

– O czym myśli? Czy o tym, co ja?...

I wielka, choć nieśmiała nadzieja spływała jej do duszy, rodząc niezmierną błogość. Dziewczyna przymykała oczy, słuchała tętna własnych pulsów, słuchała biegu swych myśli – i one ją przerażały śmiałością. Na twarzy jej pojawiał się radosny uśmiech, jak jutrzenka, lecz nikł natychmiast. Walka w niej trwała i zmagały się moce, jakich nazwać nie potrafiła. Rozumiała siebie i... kryła się sama przed sobą.

A Waldemar w alei chodził wolno, szeleszcząc opadłym liściem, z natłokiem myśli w mózgu.

Nie dziwił się już, że bezmiary jego dawnych marzeń i ideałów przyoblekły się w ciało i stanęły przed nim tak uroczo... Zastanawiał się, czy ta rzeczywistość dla niego? czy sięgnie po nią? czy ją dostanie? I ten człowiek, zepsuty powodzeniem, szczęściem w życiu rozbałamucony, pytał teraz sam siebie:

– Czy ten czar dla mnie?...

Budziły się w nim nadzieje, pełne szczęścia i piękne. Postanowił trwać w nich jeszcze. Rwało go naprzód, ale przezwyciężył się.

# TRĘDOWATA

# tom drugi

## I.

Lato, wystawa, złota jesień, polowania w Głębowiczach należały do przeszłości. Słotne, zamglone dnie zastąpił mroźny podmuch z północy i siał na obnażoną ziemię wielkie białe płaty. Śnieg sypał, kłębił się, otulał bielą puchów nagie gałązki drzew i wysokie ciemnozielone świerki. Rozścielał na ziemi olbrzymią białą oponę. Zakrywał pola, żółtą, przegniłą trawę, przemieniając świat w grotę z cukrów i kryształu. Słońce oczyściło się z chmur, rozpędziło mgły. Otoczone nieskończoną przestrzenią błękitów, uniosło tarczę wysoko, sypiąc na mleczną ziemię złote blaski. W śniegu krzesało iskry, pełne barw drogich kamieni. Pogoda lśniła cudowną zimową szatą, mróz nadawał jej energię i tęgość, orzeźwiającą ludzi. Ptaki kręciły się wśród zamrożonych drzew z kwileniem radosnym. Czerwone gile odbijały rażąco od białej dekoracji, jak wielkie maki wśród łanów dojrzałej gryki.

W Słodkowcach park, ogród, rozłożyste i smukłe krzewy otulają zwoje śniegu. Jezioro, stężałe w uścisku lodowego powiewu, bieli się gładką przestrzenią. Filary ganku i schody pokrywa mroźna powłoka. Zamiast kwitnących róż widać pagórki pokryte śniegiem. Kuliste lipy przed pałacem, oblepione sadzą, wyglądają jak wielkich rozmiarów dmuchawce, tak ich gałązki są delikatne i przezrocze. Z niezmiernie białych przestrzeni płynie martwota, skrzepły spokój i wielka potęga skrystalizowanej natury. Wszystko jest nieruchome, milczące, niepokalanie czyste, zimne w swej piękności, jak posągowe.

Na końcu wielkiej alei grabowej, jak w korytarzu z alabastru, stoi pod ciężkimi splotami gałęzi wiotka postać, prawie mała wśród mroźnych olbrzymów.

Stefcia opiera się plecami o skostniały pień grabu. Spod czapeczki patrzy na śnieżną przestrzeń i ciemniejszą taśmę drogi. Stoi na wzgórku. Mur okalający park nie zasłania jej widoku.

Wzrok leci i leci w sinawą dal, jaskółczym skrzydłem przebija szafirowy wał lasu i pędzi dalej, bez końca. Jest punkt, gdzie się zatrzymuje, dokąd właściwie dąży, punkt świetny, rdzeń wielkiego koła ziemi, co go otacza. Dziewczyna stoi bez poruszenia. Pomyśleć by można, że szron spadający z

drzew i ją ścina w posąg, ziębi ostrym tchnieniem.

W oczach jej błyszczy tęskna myśl, śle ją na drogę, wysyła daleko... tam, gdzie i dusza rwie się z niepowstrzymaną siłą... Wielkie oczekiwanie czegoś, co napełnia rozkoszą, ale tak subtelną, ze ledwo wyczutą, jest niepokojące jak oczekiwanie katastrofy. W takiej chwili wzrok, słuch skupia się w sobie, wysila do naprężenia i męczy. Żal odwrócić oczy, aby nie stracić jednego momentu, żal się poruszyć, aby nie spłoszyć najlżejszego szelestu. Cała istota ludzka zamienia się w posąg, pod którym można by napisać: „Czy nadejdzie”... szczęście lub rozpacz.

W taki posąg oczekiwania zaklętą była Stefcia. Oczy wpiła w drogę, bojąc się ruszyć. Powstrzymywała oddech w piersi, chwytała uchem każdy szmer. Przyszła tu wiedziona przeczuciem, że on ma przyjechać i czeka cierpliwie. Nikt jej nie mówił, nikt się go nie spodziewa, ale ona wie, że już jest w Głębowiczach... jakiś głos jej szepce: „Dziś tu będzie”. Wyjeżdżał daleko, na polowania. Długo nie wracał. Musiał odbyć kampanię zaprosin. Jak się ten czas wlókł sennie, bezbarwnie!... Szare, dżdżyste dnie zdawały się płakać, szlochały drzewa. Wichry jękiem zwabiały wcześnie czarne noce, nieskończone, pełne łkań, skargi, ponurej grozy. Wielka melancholia, ociężałość tych dni bez jaśniejszego promyka dławiła serce. Rwało się wszystko głuchą rozpaczą na widok przegniłych liści, szarpanych wichurą, oślizgłych gałęzi, z łopotem bijących o siebie. Ale natura jest usposobienia wesołego, nie znosi długich łkań, nawet po pięknym lecie nie potrafipłakać bez przerwy. Następuje przesyt smutku: wówczas nabiera hartu, zamraża łzy, chce gwałtem przykryć swą zgniliznę, lecz jej brakuje barw. Nie stać ją już na zieleń i kwiaty. Otacza ją blada złość. Tężeje, tworzy zwoje bieli, sypie na drzewa delikatną sadź, na szerokie konary rzuca wielkie szmaty puchów. Jest biała jak panna młoda, ale nie odpowiada tej nazwie. Szpeci ją chłód. Pragnie okrasić się złotem. Rozsuwa ciężkie granatowe zasłony chmur, wypuszczając słońce z uwięzi. Radosny, rozweselony, wyspany, wygląda złocisty krąg na świat Boży i staje w osłupieniu. Blednie z przerażenia, cofając się wysoko w górę. Gdzież są łąki pełne kwiatów? Gdzie owoce, gdzie drzewa zielone, które zmieniły się pod jego tchnieniem w śliczne, jaskrawożółte lub krwawe jak pożar? Rozpanoszyła się biel oślepiająca i pokryła wszystko grubą warstwą. Jakby na urągowisko wywołuje słońce, by spoglądało na jej martwotę. Złoty krąg cola się w górę, rzuca słabe ukośne promienie. Jest nieufne, oburzone. Tyle wieków patrzy ono na kaprysy ziemi i zawsze się zdumiewa. Przez ciąg wiosny i lata zapomina o przyszłych szarzyznach.

Szczęście zagłusza wszystko, co nie ma złota w blaskach. Gdyby się działo przeciwnie, rozkosz w szczęściu nie byłaby całkowitą. Słońce wyrzuca sobie własną opieszałość, przygotowuje się do walki z ziemią. Przeczuwa wiele pracy, zanim ten pancerz lodowy rozkruszy, zanim spruje pyszną szatę ze srebrnej lamy, ciężko strojącą świat. Ze wzgardą spogląda na groźne szańce śniegu i systematycznie rozpoczyna pracę. Wypatruje ciekawie, aby znaleźć najsłabsze miejsce, uderzyć i przebić zaporę. Wszędzie napotyka ostre

uzbrojenie: chłód, marmur bieli, mróz. Zniechęcone przeglądem zaczyna się zasuwać do snu. Jest gniewne, płonie gorącą falą, stacza się niżej i niżej, zalewając ziemię potopem czerwieni. Ciska na blady koloryt nieba snopy jaskrawych obłoczków – swych paziów. One zapowiadają niewdzięcznej ziemi następującą noc – jako karę słońca.

Stefcia stoi w łunie pożarów, rozświetlona, rozbłysła ogniem. Mruży oczy, różowe płomyki ślizgają się po jej twarzy. Dla niej ta biała szata nie przyniosła zmiany. Dnie wloką się tak samo nieskończenie mętne, bezświetlne, jak wówczas gdy mroki i wichry panoszyły się wszechwładnie. Piękna, chłodna biel trwała już czas jakiś, ale srebrna droga pusta. Głucho było w duszy Stefci. I teraz łuny się palą na niebie, idzie mroźna, długa noc. Przeczucia zawiodły: coś, co ją pchało na ten wzgórek, skryło się, pozostało bez nazwy. Droga błyszcząca, wyślizgana złociła się do najdalszych granic zachodem słońca. Białe pola przybrały ton delikatnej barwy różowej. Wierzby strojące drogę miały fioletowe odcienie; im dalej w głąb, tym stawały się bardziej fioletowymi. Małe stadka szafirowych kawek spadały z głośnym krzykiem na zamrożone łany, błyszcząc niby dżety na pluszach. Czasem zrywały się, jakby przestraszone.

Nagle w uparcie wpatrzonych oczach Stefci coś zamajaczyło. Na różach pól, w oddali, wśród fioletowych wierzb, ukazał się punkcik drobniutki, zaledwo widoczny. Ale pojawiwszy się, nie zniknął. Rósł w oczach, wyraźniał, potężniał i sunął naprzód. Jak błyskawica, ukazując się, zatamowuje oddech w piersi w oczekiwaniu gromu, tak Stefcia, wpatrzona w płynący punkt, znieruchomiała. W ciszy krwawego zachodu zadźwięczało w oddali i rozlewało się brzmieniem coraz głośniejszym.

Dziewczyna, niby rażona gromem, zadrżała. Ramiona jej podniosły się do ucieczki, ale nogi miała jak z ołowiu. Chciała się zerwać, biec w głąb parku i nie mogła. Przestrach, radość, burza wzruszeń odbiła się na jej twarzy. Poznała janczary z Głębowicz.

Nie omyliło przeczucie. Z wysiłkiem zdołała się cofnąć głębiej. Oparta o oszroniały pień, z szalonym wirem w pulsach słuchała brzęku janczarów i parskania kłusujących raźno koni. Łowiła uchem lekki skrzyp płóz i delikatne dźwięczenie uprzęży. Spod przymkniętych oczu widziała eleganckie sanki i parę tęgich koni, przykrytych szafirową siatką. Widziała ich wygięte głowy, rozwarte chrapy i oczy czerwone w zachodzie słońca jak pochodnie. Widziała koło uszu końskich powiewające ogony lisie, futrzaną liberię stangreta i lokaja, złote guzy, błyszczące jak świeczki. Serce jej tłukło w piersi, miała wrażenie, że pęknie l że zajdzie coś złego. Wrażenie rosło, stało się strasznym. Sanki przed murem skręciły w bok. Stefcia zdrętwiała, rozkołatane serce zamarło. Siedzący w sankach mężczyzna zrobił nagły ruch, jakby chciał wyskoczyć. Lecz się wstrzymał, tylko drżącą ręką uniósł czapkę, pochylając nisko wytworną głowę. Sanki pomknęły, dźwięcząc już niewidocznymi janczarami.

Stefcia schwyciła się za głowę.

– Przyjechał! – krzyknęła w obłąkaniu – widział mnie!

Szczęście bezmierne wrzało w jej duszy, kipiało we krwi. Porwała się z miejsca i lekka jak ptak pobiegła śnieżną aleją w stronę pałacu. Na zakręcie, koło zamrożonego basenu fontanny, stanęła. Krew zastygła w jej żyłach. Naprzeciw szedł Waldemar.

Zbliżał się prędko, w rozpiętym futrze, z oczyma utkwionymi w niej. Obok biegł w susach Pandur, dopadł do Stefci i wesoło poszczekując wspinał się łapami na jej żakiecik. Dziewczyna oniemiała. W głowie jej huczało. On!...on!...

Michorowski stanął przy niej, w milczeniu wziął w swe dłonie jej zlodowaciałe ręce. Wpatrzeni w siebie, nie mogli przemówić. Jego oczy były granatowe, fale przelatywały mu przez twarz. A Stefcia, choć niewyraźnie, czuła, że to przełom, że mgły błękitne pierzchają, otwierając złote wrota, aby ukazać jej prawdę niesłychaną a cudowną. Czuła, że jej marzenia, sny niepochwytne ubierają się w formy prawdziwe, przeczucie mówiło, że ta nowa szata będzie jeszcze drogocenniejszą od dawnej. Stefcia przeżywała jedną z chwil, w których dusza ulatuje z człowieka w tęczowej aureoli niezmiernego szczęścia.

On cisnął jej ręce w dłoniach, siłą oczu wdzierając się w głąb jej duszy. Stał poważny z męskim dreszczem rozkoszy, z nie znanym dotąd, już rozkwitłym uczuciem. Stał pewny swej siły, świadomy celu, trochę dumny z uroku, jaki wywierał. Pochylił głowę i długo a serdecznie ucałował ręce drżącej Stefci. Oczy jego mówiły: „Czekałaś na mnie... tęskniłaś... oto jestem i... i...” Stefcia zrozumiała, oblał ją gorący war. Powoli, z dygotem szczęścia, wysunęła dłonie z jego rąk i zaczęła iść szybko do pałacu. On postępował obok.

Nie mówili do siebie nic. Pandur wyprzedził ich, stanął na marmurowych schodach werandy i patrzył na zbliżającą się parę z podniesioną głową i powagą w swych rozumnych, psich oczach. Dziwił się, że nie uważają na niego.

Byli już koło werandy. Nikt nie wychodził.

Otwierając drzwi, Waldemar rzekł pierwsze słowa:

– Pani odgadła, że dziś przybędę. Czy to przeczucie?

– Tak.

– Więc sugestia! Jadąc myślałem, że zastanę panią w parku, i... ujrzałem cię w tych zorzach wieczornych. Odesłałem konie od bramy, by cię powitać pierwszą.

Słowa jego sprawiały Stefci niewysłowioną rozkosz. Na odgłos otwieranych drzwi zjawił się Jacenty z całym zastępem lokai.

Ruch powstał w cichym przed chwilą pałacu.

– Ordynat przyjechał – brzmiało wszędzie, wywołując radość ogólną.

Do wieczerzy zasiedli wszyscy w wybornych humorach. Pan Maciej, rozczulony przyjazdem wnuka, patrzał na niego jak w obraz. Pani Elzonowska wypytywała Waldemara o polowania i znajomych. Pomimo częstych sprzeczek witała go mile: jego wytworność i trochę sarkastyczny

dowcip działały na nią ożywczo. Waldemar odpowiadał na zapytania uprzejmie, ale męczyły go te wywiady. Głównie pani Idalia i pan Ksawery nie dawali mu spokoju. Lucia i Stefcia siedziały najcichsze, tylko dziewczynka bez przerwy wpatrywała się w Waldemara, a Stefcia wyraźnie unikała jego wzroku. Bała się, aby z jej źrenic nie wyczytał tego, co powiedziały jego oczy w zaśnieżonym parku. Nie domyśliła się, że i on odgadł wszystko, że zajrzał do głębi jej duszy, wyczuł tętno jej serca...

Ogarniał ją niepokój. Miała wrażenie, że coś wisi w powietrzu i spadnie na jej głowę. Czuła gorączkę, jakiej się doznaje przed odjazdem w daleką podróż, w ostatniej chwili pożegnania z najdroższymi. Męczyła się, nie pojmując, skąd pochodziła ta niepojęta trwoga, coraz bardziej wzrastająca. Lekką bladość na jej twarzy zauważył pierwszy ordynat, dostrzegł po mieszanie dziewczyny, lecz nie chciał jej dręczyć pytaniami wobec wszystkich. Jej niepokój udzielił się jemu...

Pan Maciej popatrzał na nią przeciągle. Zachowanie się Stefci zastanowiło go.

– Co ci jest, dziecko?

– Boję się... – odparła szczerze.

Spojrzeli po sobie. Mgła przeleciała po twarzach.

– Ale czego?

Zapytana uśmiechnęła się blado.

– Proszę nie uważać na mnie. To minie...

Rozmowa przycichła. Wszyscy byli zwarzeni.

Herbatę podano w małym salonie. Przy płonącym kominku, rozmowa ożywiła się.

Nagle wszedł służący, niosąc srebrną tackę. Zbliżał się wprost do Stefci. Ona wpiła w niego oczy.

– Co to? – spytał ordynat.

– Telegram, proszę jaśnie pana, do...

– Do mnie! – zawołała Stefcia.

Lokaj skłonił się twierdząco.

Wszystkich oczy spoczęły na niej, potem na twarzy ordynata.

– Tak, do pani – rzekł ten ostatni powstając i oddał jej kopertę.

Rozerwała opaskę. Na policzkach miała gorące wypieki.

Obecni zatajli oddech w piersi. Niepokój nauczycielki przy obiedzie i ten telegram do niej przeraził ich.

Stefcia przeczytała i opuszczając papier na kolana, rzekła bezdźwięcznym głosem:

– Babcia umarła. Wzywają mię na pogrzeb.

Odetchnęli. Spodziewano się czegoś gorszego.

Tylko pan Maciej zadrżał, jakby mu widmo zajrzało w oczy.

– Czy to zmarła babcia Rembowska? – spytała Lucia.

Stefcia wybuchnęła płaczem.

– Tak. Biedna babcia! Tak ją kochałam!... Boże! Boże!...

– Długo chorowała?

– Zmarła nagle w Ruczajewie... Nic nie rozumiem. Babcia bawiła ciągle za granicą. Muszę zaraz jechać, inaczej nie zdążę: telegram spóźniony.

Zerwała się z miejsca. Młody Michorowski spojrzał na zegarek.

– Czy pani stanowczo chce dziś jechać?

– Muszę. Abym tylko zdążyła na pociąg.

– Na pociąg pani zdąży, ale trzeba jechać zaraz, a teraz noc.

Złożyła ręce błagalnie.

– Ja muszę jechać prędko.

– Ha, w takim razie każę zaprzęgać.

Przeszli do sali jadalnej. Waldemar wydał odpowiednie polecenia.

Pani Idalia wzięła Stefcię za rękę.

– Musi się pani pakować. Tylko proszę nie płakać. Biedna Stenia! – rzekła całując dziewczynę w czoło.

Lucia płakała na dobre.

Razem wyszły, udając się do swych pokoi.

W sali został pan Maciej w obszernym fotelu. Waldemar chodził nerwowym krokiem ze zmarszczoną brwią i płomieniem w oczach. Pan Ksawery kręcił się sennie. Trwało milczenie. Kroki Waldemara rozlegały się jednostajnie w sali. Wielki zegar tykał poważnie.

Pan Maciej siedział zasępiony. Spod brwi rzucał szybkie spojrzenia na chodzącego wnuka. Naraz zapytał:

– Czy nie wiesz, jak się nazywała z domu jej babka?

Zagadnięty potrząsnął głową przecząco. Starzec dotknął ręką czoła.

– Dziwnie mię wzruszył wyjazd Stefci i... ta śmierć.

Wszedł lokaj, oznajmiając, że konie gotowe. Za nim weszły panie. Stefcia już w czapeczce na głowie i w ciepłej sukni. Oczy miała zaczerwienione, usta pałające i jasne kolory na twarzy. Wzruszona zbliżyła się z pożegnaniem do pana Macieja. Staruszek bez ceremonii przyciągnął ją do swej piersi. Przemawiał do niej jak ojciec. Lucia płakała rzewnymi łzami.

– Stefcia, powrócisz prędko do nas, prawda?

– Będę się o to starała.

Gdy podeszła do Waldemara, cichy spazm zatkał w jej piersi. Jemu drżały usta. Pierwszy raz wobec wszystkich ucałował jej rękę.

Pan Maciej drgnął. Pani Idalia zacięła wargi, zwężając oczy w typowe szpareczki. Lucia spojrzała z rodzajem tryumfu, jakby mówiąc: „Ja o tym dawno wiem”.

Wychodzili do przedpokoju. Pan Maciej zatrzymał Stefcie za rękę.

– Moje dziecko... twoja babka nazywała się Rembowska. Czy tak?

– Stefania Rembowska – odrzekła Stefcia i pociągnięta przez Lucię, wyszła z sali. Dziewczynka coś jej szeptała do ucha.

Pan Maciej został sam. Drzwi do przedpokoju były otwarte. Oparł się ciężko o ścianę i drżący zwrócił zdumione oczy na żyrandol, jakby liczył w nim pojedyncze światełka.

– Co to jest?... Stefania? Co to jest?... Ach, przewidzenie!

Postąpił krok i zawołał głośno:

– Waldemarze!

Stefcia, już ubrana, schodziła do dolnej sieni. Otwierano wielkie drzwi na ganek. Lucia i ordynat szli z nią razem. Pani Idalia, oparta o poręcz schodów, usłyszawszy okrzyk ojca, zawołała:

– Waldy, dziadek cię prosi!

Trochę niecierpliwie spojrzał na ciotkę i szybko wpadł na górę. W roztargnieniu nie zauważył niepokoju pana Macieja.

– Zapytaj Stefci, jak z domu jej babka... Prędzej!...

– Co się stało?

– Prędzej!

Waldemar wybiegł z powrotem. Stefcię zastał na ganku. Lokaj otwierał karetę na saniach. Noc była jasna, księżycowa, skrząca od mrozu i śniegu. Konie parskały, słupy skrzepłej pary wychodziły z ich nozdrzy. Na koźle siedział Benedykt i lokaj kareciany z Głębowicz. Ordynat umieścił Stefcię w karecie. Sam otulał jej nogi wilczura.

– Przepraszam. Jak nazywała się babka pani?

Stefcia spojrzała zdziwiona.

– Rembowska.

– To wiem, ale z domu?

– Stefania Korwiczówna.

Michorowski wstrząsnął się. Krew uderzyła mu do głowy.

– Co panu jest? – spytała przerażona Stefcia.

– Nic, nic! Do widzenia! Niech pani oszczędza się i... jak najprędzej do nas wraca. Czy dobrze?...

Stefcię chwycił płacz.

– Nie wiem – wyjąknęła.

– Proszę o to bardzo.

Ucałował gorączkowo jej ręce i zatrzasnął drzwi.

– Benedykt! uważnie jechać. Wawrzyniec niech na dworcu wszystko pani ułatwi – krzyknął.

Niecierpliwe konie ruszyły z miejsca.

Waldemar patrzał za oddalającą się karetą, po czym odwrócił głowę w stronę, gdzie stały inne sanki.

– Pan ordynat jedzie? – spytał Jacenty.

– Nie wiem. Pewno nie. Czy aby szczęśliwie dojadą?

– Jasna noc, jak dzień. Droga jak po stole i przecie Benedykt na koźle – rzekł uspokajająco Jacenty.

Waldemar wszedł do sieni i wstępował na schody ciężkimi krokami. W głowie mu huczało, był blady. Wchodząc na ostatnią kondygnację schodów, zobaczył stojącego u ich szczytu pana Macieja.

Starzec wyglądał jak posąg. Nieruchomy, zmartwiały, opierał się ciężko o aksamitną poręcz. Oczy wpił we wnuka. Patrzyli na siebie w milczeniu, z

przerażeniem... i zrozumieli się.

– Ona?... – jęknął starzec.

– Jest wnuczką tamtej – dokończył Waldemar.

Pan Maciej chwycił się za piersi. Twarz mu zsiniała. Ordynat poskoczył do niego.

– Dziadziu! Na Boga!

Starzec zwisł mu bezwładnie w ramionach.

W kwadrans potem młody Michorowski wyszedł z sypialni dziadka do wylękłej służby blady, ale spokojny.

– Konie, którymi miałem udać się na kolej, niech natychmiast jadą po doktora. Pan zachorował.

Służba rozchodziła się w milczeniu.

## II.

W Ruczajewie zapadł cichy wieczór zimowy. Śnieg sypał gęsty, rozpylając się w białe tumany. Od ganku obszernego dworu odjechały sanki, które przywiozły Stefcię. Weszła witana przez rodziców, rodzinę i służbę. Twarze rozjaśniły się na jej widok. Stefcia w objęciach matki zapomniała o istotnym powodzie przyjazdu. Tuliła się do niej z cichym łkaniem. Pani Rudecka odgadła, że to coś innego niż żal po babce.

– Spóźniłaś się trochę, dziecko – mówił ojciec – już jest po eksportacji. Jutro pogrzeb.

– Ja, ojczusiu, wyjechałam natychmiast, ale telegram był spóźniony.

Wszyscy przyglądali się Stefci z ciekawością, matka z rozczuleniem. Od czasu wyjazdu z domu dziewczyna wyładniała i nabrała powagi, zwłaszcza dystynkcji, potęgującej naturalny wdzięk. Ojciec znalazł w niej różnicę nawet od jesieni: w jego oczach Stefcia zwątlała. Jej śliczna cera nabrała tonów bledszych, stała się podobną do konchy perłowej. Różowe, kształtne usta uśmiechały się mniej wesoło. Oczy mogły zastanawiać. Fiolet ich wzmocnił się, delikatne brązowe obwódki i długie rzęsy ocieniały je w sposób nieco tragiczny. Wszystkie wrażenia jej duszy odzwierciedlały się w nich. Błyszczące iskry krasiły je, nadawały wyraz bujności temperamentu i lekkiej egzaltacji. Odgadywało się w ich głębiach uczucia jeszcze inne: tęsknoty, smutku, może nawet żalu nie wypowiedzianego jasno... Jeden z jej młodych kuzynów, Narnicki, wyraził się o niej, że jest tak natchniona, że dawne diabliki w jej oczach wprawdzie nie zginęły, lecz stały się innymi, mniej błyszczącymi, ale więcej przykuwającymi. Nastrój całego domu był poważny, więc niezwykła powaga Stefci nie raziła. Ją zastanawiał ojciec i matka. Widziała w nich zmianę, spoglądali na nią z obawą. Troska malowała się zwłaszcza na czole ojca. Gdy dziewczyna wspomniała rodzicom coś o panu Macieju, oboje przybledli i zamienili z sobą szybkie spojrzenia. Stefcię to zaniepokoiło. O Waldemarze starała się nie mówić. Nikt zresztą o niego nie

pytał.

Tylko raz kuzyn Narnicki zagadnął ją znienacka:

– Czy Słodkowce to prywatny majątek, czy jedno z dóbr ordynackich?

– Prywatny majątek.

– A w jakim wieku jest ordynat?

Stefcia zaróżowiła się najniepotrzebniej.

– Ma lat trzydzieści dwa.

– Ach, to zupełnie młody człowiek! – zauważył Narnicki, patrząc na nią badawczo.

Pan Rudecki podchwycił:

– Widziałeś jego portrety w dziennikach, gdy obejmował ordynację po śmierci Janusza i po wyprawie do Afryki.

– Tego nie pamiętam. Ale przypominam sobie, że podobizny jego podawały pisma po wystawie. Przystojny człowiek, a nade wszystko...

– Wspaniały... czy tak? – rzekł pan Rudecki.

– I typowy wielki pan. Można to poznać od razu. To nie jakiś dorobkiewicz udający pana, ale karmazyn rodowy. Widać to nawet z twarzy. Ma przy tym wiele pewności siebie i dumy, ale w dobrym rodzaju.

Stefcia miała ochotę wypowiedzieć, jakim jest Waldemar, ale czuła, że nie potrafimówić o nim obojętnie. Ograniczyła się do krótkiej uwagi:

– Kuzyn ma słuszność. Prawdziwa arystokracja różni się pod każdym względem od swych naśladowców. Szczególnie przy bliższym poznaniu różnica występuje znamiennie i bardzo na jej korzyść.

Pan Rudecki spojrzał z ukosa na córkę.

– Byle nie przy najbliższym – szepnął do siebie, a głośno dodał: – O tym najczęściej decydują fakty.

Nie bardzo rozumiano, co chciał przez to powiedzieć. Późno w nocy, gdy się wszyscy rozeszli, Narnicki swe uwagi o Stefci sformułował w jeden pewnik:

– Jest pod wpływem arystokracji, zwłaszcza ordynata – może nawet...

Nie chciał dokończyć myśli, gdyż Stefcię widział od dawna w swym programie życiowym – teraz punkt ten podkreślił jako stanowczy.

Pogrzeb na drugi dzień odbył się z licznym udziałem okolicznego obywatelstwa, chociaż zmarła nic była stałą mieszkanką Ruczajewa. Zwłoki złożono tymczasowo w rodzinnym grobie Rudeckich, skąd potem miano je przewieźć do majątku Rembowskich.

Stefcia w orszaku żałobnym odmówiła ramienia Narnickiemu. Szła sama, trochę z boku, brnąc w śniegu zmiecionym ze środka drogi. Czarne ubranie i welon krepowy dodawały smukłości jej zręcznej postaci. Szła smutna i zamyślona. Zmarłą babkę widziała przed rokiem, wówczas gdy Prątnicki bywał w Ruczajewie jako starający się.

Siwa staruszka wzbudzała poszanowanie, przy wielkiej słodyczy obejścia. Rysy twarzy, jakkolwiek zwiędłe, zachowały do końca regularność linii. Zastygła w nich tragedia, przebyta w zaraniu życia. Stefcia była żywym

portretem babki, co stwierdzały stare jej fotografie.

Od wczesnego dzieciństwa, słysząc o jakiejś smutnej historii w młodości babki, Stefcia interesowała się nią niezmiernie. Ale jakiego rodzaju mogły być te smutki, nikt nie chciał jej objaśnić. Staruszka, zapytana wręcz, zbladła, zalecając wnuczce, aby na przyszłość nie zadawała podobnych pytań.

Babka Stefci od dawna cierpiała na serce, uważano bardzo, aby jej nie rozdrażniać. Z tego powodu nic wiedziała długi czas, że Stefcia nie jest w domu. Wiadomość o zerwaniu z Prątnickim staruszka przyjęła ze wzruszeniem, nie chciano tego ponawiać.

Śmierć staruszki była dla Stefci zagadką. Na wszelkie jej pytania ojciec odpowiadał:

– Dowiesz się potem.

– Może ja gram tu jaką rolę? – pytała siebie Stefcia.

Ciekawość dręczyła ją, zachowanie się ojca niepokoiło. Gniewał ją także Narnicki. Stefcia łatwo odgadła, że on ma względem niej zamiary. To ją zirytowało, postanowiła zaraz po pogrzebie wyjechać z powrotem do Słodkowic.

Zadrżała na tę myśl, oczy zaćmił obraz Waldemara widziany ostatni raz, krótko, lecz pamiętnie. Powitanie ich w parku nic schodziło jej z myśli. Wówczas wyraźnie odczuła, że jest kochaną. We własnej duszy odkryła tę prawdę już dawno. W czasie jego długiej nieobecności utwierdziła ją w tym tęsknota tak silna jak sama miłość. Kiedy przy pożegnaniu pocałował ją w rękę, żar jego pocałunku wstrząsnął nią, biorąc górę nad zmieszaniem z powodu obecności wszystkich. Widziała jego sanki, oczekujące przed gankiem. Jacenty wyjawił ich cel. Waldemar miał ją odprowadzić na stację. Coś jednak zaszło, że tego nie uskutecznił. Może pani Idalia przeszkodziła? Na nią by nie uważał. Więc pan Maciej?

Ostry ból przeszył serce Stefci, ale rozumiała, że trudno wymagać od starego magnata, aby tolerował postępowanie wnuka idące w takim kierunku. Ta pewność spotęgowała jej żal i trzeźwiła ją.

– Nie wolno, nie wolno mi myśleć o nim! – powtarzała sobie z uporem.

Idąc po kopnym śniegu zmęczyła się, rozmyślania o Waldemarze zaciężyły jej. Ogarnęło ją znużenie. Gdy podszedł Narnicki podając jej ramię, tym razem nie odrzuciła go. Oparła się na nim ciężko. Nic mówili do siebie nic. Stefcia pochyliła głowę i przymknęła oczy. Chciała sobie uprzytomnić, że idzie w ten sposób z Waldemarem, lecz nic potrafiła, czując, że tego z tamtym nie można porównać. Wstrząsnęła się. Narnicki pochylił się do niej.

– Czy ci nie zimno, kuzynko? Może jesteś zmęczona? Zaprowadzę cię do sanek.

– O nie, wolę iść piechotą.

Narnicki patrzał z boku na jej śliczny profil, widział jej poruszenie, lecz składał to na wrażenia wyłącznie pogrzebowe. Szary, mglisty dzień i długi kondukt, wijący się pod górę z czarnym wozem i krzyżem, nasuwał posępne myśli. Na szczycie pagórka czerniały wysokie świerki cmentarne, gąszcz

krzyżów tulił się pod masą drzew. Zimowe ptactwo świergotało, mieszając swe głosy z monotonną, urywaną nutą śpiewu. Ciężki żal owiewał idących ludzi. Za żałobnym orszakiem płynęły przejmujące głosy dzwonów, na spotkanie szumiały tęsknie świerki. Kondukt sunął wolno, poważnie, wiodąc pomiędzy drzewa i krzyże jedną z dusz ludzkich, skołataną życiem.

W ceremonii pogrzebowej jest zawsze ponury i groźny nastrój. Bezmierny smutek, beznadziejność skłania do głębszych rozmyślań. Nigdy nie rozwiązane zagadnienie tajemnicy pozagrobowego bytu, nieprzenikniona abstrakcja przyszłego istnienia muszą oddziaływać poważnie, nawet przerażać. Odczuwa się niepokój i dreszcz obawy, a jednocześnie budzi się zaciekawienie, jak tam jest i co się roztacza przed ludzkim duchem. Stefcia, zwykle bardzo wrażliwa, odczuwała to głęboko. Śmierć wydała się jej pierwszy raz straszną. Czuła, że kocha życie, kocha świat. Nie ukrywała już swych uczuć przed sobą, kochała Waldemara całą potęgą młodej duszy. Dawna skłonność do Prątnickiego przy nowych uczuciach była kroplą mgły wobec oceanu, sam Prątnicki karykaturą, robaczkiem. Bo każda rzecz wzniosła zagłusza nędzną. Kłosy zawsze zaćmią kąkole, choćby te były najbarwniejsze.

Z uczuciem smutku wsiadła Stefcia do sanek po skończonym pogrzebie. Śpiewy, dzwony, woń kadzidła – rozdrażniły ją. Nerwy miała poruszone, bujna jej wyobraźnia przedstawiała wizje męczące. Ocknęła się w domu, zgodziła się nawet na ciągłą obecność Narnickiego, byle zapomnieć, byle zrzucić z siebie nieznośny ciężar.

W parę godzin po powrocie z cmentarza nadszedł telegram kondolencyjny do państwa Rudeckich ze Słodkowic, z podpisami obu Michorowskich, pani Idalii i Luci. Drugi był do Stefci od Waldemara, w mniej ceremonialnym, serdecznym tonie. Waldemar wzmiankował o nagłym zasłabnięciu pana Macieja. Na Stefcię wieść ta podziałała piorunująco. Nie potrafiła ukryć wzruszenia. Na twarzy wykwitły ogniste wypieki.

– Co się mogło stać tak nagle? – rzekła pokazując telegram ojcu. Ale gdy Narnicki chciał wziąć, odebrała mu prawie z ręki. Zdziwiony wzruszył ramionami, lecz w domysłach swych posunął się naprzód. Nie czytana depesza Waldemara zaintrygowała go w dziwny sposób.

Pod wieczór mało osób pozostało w Ruczajewie, ale Narnicki nie wyjechał. Stefcia na wyraźną wolę rodziców musiała przebyć w domu jakiś czas.

Gdy znalazła się sama z ojcem w jego gabinecie, spytał ją ciekawie:

– Czy pan Maciej wiedział, jak się nazywała babcia?

– Wiedział i powiedziałam mu to jeszcze przed samym odjazdem, bo się pytał – odrzekła, blednąc z nieznanej trwogi.

– Czy wiedział również, jak z domu? To niemożliwe!

– Nie, o tym nie mówiłam nigdy, dopiero na końcu ordynatowi, gdy się zapytał.

– Ach! więc jednak pytał?

– Gdy wsiadałam już do karety.

– Ach tak! A czy pan Maciej był zupełnie zdrów, jak wyjeżdżałaś?

– Nie narzekał na nic.

– Musiał się od ordynata dowiedzieć i zachorował – szepnął pan Rudecki jakby do siebie.

– Co ojczuś mówi? Czego się miał dowiedzieć?

– Czekaj, dziecko. Za chwilę zrozumiesz.

Otworzył biurko i wyjął spory pakiecik, starannie zawinięty w pożółkły papier, obwiązany czarną wstążeczką. Oddał go Stefci, mówiąc drżącym głosem:

– To dla ciebie, dziecko, od babci. Poleciła mi to oddać tobie po pogrzebie. Babcia, umierając, troszczyła się o ciebie bardzo i oddała w twe ręce najdroższą swą pamiątkę. Była to jej świętość... uszanuj to, dziecko moje, i... niech cię Bóg strzeże! Dobranoc!

Poruszony, ze łzami w oczach, pan Rudecki ucałował oniemiałą Stefcię i prędko wyszedł z pokoju.

Stała na miejscu jak przykuta, obracając w ręku pożółkły, dość ciężki pakiecik. Ulatywała z niego woń starych papierów. Stefcię ogarnął niepokój, strach paniczny i ciekawość, co się znajduje pod czarną wstążeczką związaną na krzyż. Palcami chciała wyczuć zawartość paczki, zrozumiała, że jest w niej książka. Pobiegła do siebie, szepcząc jak nieprzytomna:

– Najdroższa pamiątka babci... jej świętość... Przeznaczyła dla mnie... Dlaczego?...

Głucha obawa przyspieszyła bicie jej serca. Stefcia wpadła do swego pokoju i zatrzasnęła drzwi.

– Czy oddałeś jej? – spytała pani Rudecka wchodzącego męża.

– Tak. Poszła do siebie. Biedne dziecko!

Pani Rudecka miała pełne oczy łez.

– Zmieniła się bardzo... Ale co sądzisz o niej?

– Kocha ordynata na pewno.

– I znowu Michorowski!... Boże! Boże!...

– Wina twej matki, że tak mało znając jej historię, nie znaliśmy wcale nazwiska.

## III.

Stefcia w swym pokoju, przy biureczku, odwiązywała paczkę. Przedtem paliła ją ciekawość, teraz umyślnie zwlekała.

Odwinęła jeden papier, drugi. Gorączka zaczęła ją opanowywać, na twarzy miała wypieki, oczy płonęły. Nerwowym ruchem zerwała ostatni papier. Leżał teraz przed nią dość gruby zeszyt, ładnie oprawiony w ciemnopąsową skórę. Na środku widniał złoty, nieco poczerniały napis: ”Nasz pamiętnik”. Na dole zeszytu stały obok siebie pojedyncze duże litery: S.K. M.M. Stefcia długo patrzyła na pąsową książkę, nim ją wreszcie otworzyła. Wypadł z niej mały

przedmiot, owinięty w bibułkę, i brzęknął na podłodze. Podniosła go, rozwinęła i z piersi jej wydarł się krzyk. Trzymała w ręku miniaturę pana Macieja... taką samą, jaką jej dał na imieniny...

Dziewczyna stała jak ogłuszona, ściskając oburącz skronie.

– Co to jest? On... tu? Co to znaczy?...

Z pośpiechem, trzęsąc się jak w febrze, otworzyła książkę. Szalone przeczucia targały nią rozpaczliwie. Na drugiej kartce, na welinie, czerniał wyraźny, ładny charakter kobiecej ręki.

Stefcia czytała gorączkowo:

„Pamiętnik ten poświęcam naszej głębokiej miłości, jako dokument wieczny nigdy niewygasłych uczuć, stałej i obopólnej względem siebie wiary, bezgranicznej ufności i przywiązania...”

Pismo kobiece urywało się, tuż pod nim stały litery kreślone męską ręką:

„...by z czasem przyszłe pokolenia miały żywe świadectwo, że miłość jest potęgą kruszącą wszystko, że gorące uczucia zdolne są iść przebojem, łamać zapory i paść sobie w ramiona z okrzykiem niezmiernego szczęścia. Aureola otaczająca szczęśliwą miłość błyszczy tak jasno, jak nad głowami świętych. Aureola taka zajaśniała nad nami i dozgonną miłość naszą opromieniać będzie wiecznie”.

Pod tym następowały podpisy:

Stefania Korwiczówna. Maciej, ordynat Michorowski.

– Jezus Maria!... – jęknęła Stefcia, padając ciężko na kolana.

Była jak martwa. Krew jej skrzepła w żyłach. Opanowało ją znieczulenie. Serce biło słabo z przerażenia i grozy. Klęczała z twarzą ukrytą w dłoniach. Głuche łkania wydzierały się jej z piersi przemocą, ale więzły w ściśniętej kurczowo krtani.

Wreszcie płacz wielki, rozdzierający, brzemienny bólem niewysłowionym, zatargał jej postacią. Zrozumiała wszystko, co było dla niej tajemnicą. Stanęła w jej myśli sala portretowa w Głębowiczach i opowiadanie Waldemara. Więc tamta nieszczęsna narzeczona pana Macieja, którą kochał i porzucił, to jest jej babka?!... Więc ta wyniosła pani na portrecie, księżniczka de Bourbon, zajęła miejsce jej babki? Ona zabrała wszystko, co się tej należało, i miłość ukochanego człowieka... Miłości nie wzięła – to jedno pozostało własnością skrzywdzonej. Ale... może nawet o tym nie wiedziała?... Ona czuła się nieszczęsną, lecz i tamta kobieta miała ciężkie życie, i tamta cierpiała... Tu i tam sfera, fanatyzm, przesądy zagrodziły drogę do szczęścia.

A jednak on myślał inaczej. On mówił na pierwszej stronie pamiętnika, że gorące uczucia łamią wszystkie zapory. Stało się inaczej. Uległ fanatyzmowi

własnej sfery, porzucił kochaną i kochającą kobietę dlatego tylko, że nie pochodziła z arystokratycznego domu. Nie wytrwał w zasadach, jakie głosił, jakie ją upajały. Zerwał zobowiązania, poszedł nie za głosem serca, lecz tam, gdzie wiodła go sfera i pyszny ród magnacki. Mitra dążyła do drugiej mitry, nie troszcząc się, że zdruzgotała serce, zbyt skromne, by się na nie oglądać. Dobry herb szlachec ki, dobre nazwisko, lecz nie wpisane do złotej księgi magnatów, nie mogło łączyć się z błyszczącym herbem i nazwiskiem Michorowskich. Taka sobie pięciopałkowa korona może być chwilową zabawką dla mitry, ale nigdy zespolić się z nią. Na to istnieją odpowiednie przepisy i paragrafy. Przekroczenie ich uważane jest za zdradę stanu, za zbrodnię sferową. Takie przekroczenia karane są wydziedziczeniem, usunięciem z wyżyn sfery. Maciej zląkł się kary, poświęcił serce dla Molocha i całe życie nie zaznał szczęścia.

– Straszne! straszne!

Stefcię, wnuczkę tamtej, los zaprowadził w te same progi, rzucił prawie w te same warunki. Ona tego człowieka pokochała jak ojca...

Los nie tylko się na tym ograniczył, złe fatum poszło dalej. W tych samych progach jest znowu młody ordynat, noszący to samo nazwisko, i jest równie świetny.

Powtórzenie przeszłości.

Straszna ironia losu!

Stefcia zerwała się z klęczek; rozpaloną twarz przyciskając rękoma, przebiegła kilka razu pokój.

– Muszę to przerwać, muszę skończyć, choćby mi serce miało pęknąć – szeptała w gorączce. – A teraz czytać, czytać!

Oparła głowę na dłoniach, wpiła się palcami w skronie i czytała z bolesną chciwością.

Stefcia Korwiczówna opisywała krótko swe życie, rodzinę, warunki, wśród których wzrastała, wreszcie następował rozdział zatytułowany Królewicz z bajki.

Stefcia Rudecka czytała:

„Marzyłam o nim, nie znając... byłam pewna, że przyjdzie taki i od razu mię weźmie. Miałam już przeczucie szczęścia. Śmiał się ze mnie ojciec, nakładając długi cybuch fajki, i zwykł był mawiać: «Marzycielka, marzycielka!»

Jakoż była to prawda. Może pod wpływem starej niani, która mię karmiła bajkami, lubiłam marzyć i snuć złote sny. Kochałam piękne wieczory majowe i zachody słońca, bo wówczas, bujając w przestworzach rojeń, widziałam jego – królewicza z bajki. Lubiłam słuchać śpiewu słowika i rechotania żab, nasuwało mi to słodkie myśli. I zdarzył się dzień przepiękny. Pozostanie on dla mnie pamiętnym. Ujrzałam jego – królewicza z bajki...

Było to na wielkim festynie w bogatym pałacu szambelana Łosiatyńskiego. Mój ojciec jest jego kolegą szkolnym i serdecznym przyjacielem. Zjechaliśmy

na bal całym domem. I kiedy w gronie panien wchodziłam z ogrodu na taras, w różowej tarlatanowej sukni i kwieciu we włosach, ujrzałam jego w stroju ułańskim. Od razu poznałam swój wymarzony ideał. Przystojny, zgrabny, z niedbałą elegancją, wytwornym obejściem i z wielkopańskim tonem w całej postaci, zachwycił mię, przykuł do miejsca. Zbliżył się do nas prędko i przedstawiony przez szambelana, pierwszy raz uścisnął mi rękę. Ach! te jego ciemnoszare oczy! Miały trochę szyderstwa, ale tyle przy tym ognia i siły...”

Stefcia podniosła głowę, ręce splotła kurczowo i szeptała:

– Zupełnie jak ten... zupełnie!... Przystojny, z niedbałą wielkopańską elegancją, z szarymi oczyma, z szyderstwem i siłą w wyrazie. Zupełnie jak ten... Dalej!... co dalej?

„Pokochaliśmy się od razu, dusze nasze leciały ku sobie bez słowa. Ze mną tańczył najwięcej i tak umiał mówić, tak porywać!... Wyjechałam z balu oczarowana. Przestrasza mię jego wielkość. Przyjaciółki mówią mi, że on magnat, ordynat na Głębowiczach. Michorowski, z mitrą księcia w herbie, milioner. Nie chcę o tym słyszeć, mając w oczach jego obraz. Przyjaciółki ostrzegają mię, że taki magnat nie dla mnie, że nie powinnam o nim nawet śnić”.

– Boże! Boże! – jęknęła Stefcia.

„Ale nie wierzyłam, czując, że i on mię pokochał. Jakoż wiara mię nie zawiodła. W kilka dni po balu był u nas w Sniażewie i już widuję go prawie co dzień. Najpierw przyjeżdżał od Łosiatyńskich, potem parę razy prosto z Głębowicz rozstawnymi końmi, choć to szalony kawał drogi. Ach! co za szczęście, gdy usłyszę trąbkę strzelca głębowickiego! Znam już ją tak dobrze jak dzwonek naszego kościółka. Tymczasem Maciej kupił w naszej okolicy nieduży majątek (zdziwił tym wszystkich weteranów) i tam zamieszkał, odwiedzając nas stale. Wszyscy zrozumieli powód dziwnego kupna. Ojciec mój z początku krzywo patrzał na te konkury, ale już nie bronił. Jemu zaimponowało świetne nazwisko i ordynacja. Polubił Macieja za jego dzielność i za prawe, szlachetne zasady. Bardzo prędko wyznaliśmy sobie naszą miłość. Teraz Maciej deklarował rodzicom. Ojciec mój z początku gniewał się, mówił, że powinien najpierw otrzymać pozwolenie własnej rodziny, ale Maciej za to ręczy swoim honorem. A ponieważ jego matka i stryj, najbliżsi krewni, nie są w kraju, więc zaręczyny nasze już się odbyły. Jakże go kocham i jak on mię kocha! Odtąd życie płynie nam w blaskach promiennej zorzy i chyba przetrwa wieki, bo tak wielkie szczęście nie może mieć kresu”.

Trochę dalej był jego dopisek:

„...Szczęście nasze wzmocni się, ukochana, gdy się połączymy węzłem

nierozerwalnym... gdy wsparta na mej dłoni przejdziesz przez życie zawsze taka czysta, biała i urocza. Nie trwóż się, nie obawiaj, zawierz memu słowu: będziesz moją, ty albo żadna!... I nie myśl, że szczęście nasze natrafina jakoweś przeszkody stawiane przez mój świat. On stanie się i twoim: nie ma różnic sferowych tam, gdzie jest miłość. Muszą się na to zgodzić wszyscy moi i pokochają cię, jedyna, boś godna tego".

Stefcia oddychała szybko, płacz ją chwytał na nowo. Tłumiąc łzy, siłą woli uspokoiła się i czytała. Następowały rozdziały tchnące szczęściem, bezmierną radością młodych, gorących dusz. On dopisywał się w wielu miejscach. W jednym rozdziale ona pisała:

„Boję się, czy ta wielkość jego nie zaćmi nam promiennej drogi... czy sfera, do której on należy, nie skuje go kajdanami. To jak chmura plami moją zorzę".

Po tym urywku był znowu jego dopisek, już w drugim rozdziale:

„Gdyby nawet nastąpiła walka, jak przypuszczasz, moja najdroższa Steniu, pamiętaj, że twój Maciej zaręczył honorem; zanadto cię kocha, żeby pozwolił sobie wydrzeć największe szczęście. Zwalczę wszelkie przesądy, gdyby istniały, chcę iść przebojem, a nie dam się skuć w kajdany. Proszę cię, jedyna, ufaj mi bezgranicznie. Zobaczysz, ile szczęścia oczekuje nas!"

Widocznie on odczytywał pamiętnik narzeczonej i dodawał własne myśli. Razem opowiadali cudną epopeję swej miłości, razem nurzali się w szczęściu. Były w pamiętniku opisy wspólnie przebytych dni i opisy rozmów. Potem obraz zaczął się zaciemniać. On wyjechał do rodziny po pozwolenie i błogosławieństwo, ona miała się przygotowywać do ślubu. Rozdział ten był wstrząsający. Babka Stefci pisała:

„Straszną miałam chwilę, gdym ujrzała kocz jego zaprzężony do drogi. Staliśmy oboje w ogrodzie. Bzy kwitły, śpiewały słowiki i tak było cudownie na świecie!... Maciej, wzruszony bardzo, całował mię, tuląc w objęciach. Prosił, bym się nie obawiała, mówił, że wkrótce powróci z pozwoleniem matki i zawiezie mię do niej po błogosławieństwo. Boję się tej dumnej pani. Jest podobno bardzo piękna i pochodzi ze znakomitej rodziny hrabiowskiej na Węgrzech, Esterhazych. Wierzę Maciejowi i ufam głęboko, ale gdy wyjeżdżał, serce pękało mi z bólu, rozpływałam się we łzach. Nareszcie wybiła godzina rozstania: musiał jechać. Po długich pożegnaniach i zaklęciach, gdy kocz ruszył z miejsca, krzyknęłam przeraźliwie: «Macieju, nie odjeżdżaj!» – Ogarnęła mię rozpacz. On zatrzymał się, wyskoczył z pojazdu i udało mu się mię utulić. Tyle wzbudził we mnie wiary, że ostatecznie pożegnałam go z uśmiechem. Ojciec mój błogosławił go krzyżem.

W miarę jak się oddalał, głucha rozpacz wzbierała w mym sercu, czarna zasłona spadła mi na oczy. Gdy kocz jego zniknął na zakręcie drogi, padłam bez czucia!”

Stefcia Rudecka potarła czoło.

– To było pewno... ostatnie ich widzenie się – szepnęła zbladłymi ustami.

Dalsze stronice miały w sobie pełno smutku. Osobno powklejane listy od niego, bardzo czułe, świadczyły, że kochał ją stale. Długim szeregiem kart rozwodziły się żale i tęsknota młodej narzeczonej. Rozdziały szły coraz krótsze, coraz smutniejsze. Miejscami plamiły welin wyraźne ślady łez, nie zatarte przez lata. Listy od niego urwały się. Jeszcze kilka smutnych stronic i Stefcia zobaczyła wklejony krótki list, zapisany obcym pismem, oprowadzony czarną obwódką z atramentu, widocznie zrobioną przez jej babkę. Był to list od stryja, Cezara Michorowskiego, opiekuna ordynata Macieja. W zimnych słowach oznajmił on Stefci Korwiczównie o zerwaniu zaręczyn z Maciejem – z jego wiadomością i zgodą. Stawiał za główny powód nierówność partii i różnice sferowe. Zresztą nie tłumaczył się bardzo. Dopisek Macieja zdradzał pewien wstyd, nawet smutek, ale nic więcej. Młody Michorowski odsyłał pierścionek dodając, że los dzieli ich nieodwołalnie. Życzeń na przyszłość nie składał, nie nazywał przeznaczenia głównym winowajcą. Musiał pojmować, że rani jej serce, i nie chciał takimi wykrętami dobijać jej.

Stefcia powstała oburzona.

– Więc tak?... Więc gdzież są jego zapewnienia, które czytałam na początku pamiętnika... Gdzież miłość krusząca wszelkie przesady? Więc ta sfera jest aż tak silną, że łamie najświętsze zobowiązania? Ze pozbawia honoru z taką łatwością, z jaką ściąga się pierścionek z palca?... Gdzież są jego słowa wobec czynów?... Więc blask tej sfery jest tak wielki, że potrafi wchłaniać w siebie ciemne i brudne plamy bezkarnie? Więc będąc magnatem można deptać serca ludzkie? zabijać je niemiłosierną doktryną swych przesądów? poświęcać je dla milionów i blichtrów? Gdzież sumienie?!... gdzie serce?! gdzie uczciwość?! gdzie wreszcie własne pragnienie szczęścia, wkorzenione w duszy każdego człowieka? Czy to wszytko dąży za sferą – dla zasady?...

Stefcia biegała gorączkowo, mówiąc do siebie urywane słowa jak w malignie. Pierś jej falowała szybko, pełna niewysłowionej goryczy.

– A Waldemar?... i ten tak samo mówił w sali portretowej. On winił dziadka, zarzucał mu brak energii i stanowczości. Ale czy sam potrafiłby postąpić inaczej? Czy zdołałby złamać przekonania, zdruzgotać fanatyzm swego świata? Czy tytuł, sfera, miliony nie są jego wyłącznym dogmatem, wpojonym w krew? Czy dla niego miłość ukochanej kobiety mogłaby być absolutną i czy dla niej położyłby wszystko na szali? Czy jego słowa nie są równie puste i beztreściwe, jak były tamtego?...

Pytania cisnęły się Stefci na usta z bolesną ironią. Serce broniło Waldemara, dodawało mu skrzydeł, apoteozowało go niemal. Lecz rozum zimną i szorstką dłonią tłumił idealne porywy, nasuwając krytyczniejsze

myśli. Stefcia wołała w uniesieniu:

– I ten postąpiłby tak samo! Boże! Boże!... dodaj mi sił do wycofania się z tego błędnego koła. Całe szczęście, że on może nie kocha mnie tak, jak tamten babkę. Jak ona to zniosła, jak przeżyła?

Stefcia, mówiąc do siebie, chwilami głośno, często nie rozumiała się. Ostatnie pytanie wznowiło jej ciekawość, rzuciła się do książki.

Już tylko kilka kartek, pisanych nierównym pismem.

Czytała:

„Wszystko kłamstwo: i jego miłość, i jego zapewnienia, i ta wiara, którą mnie poił – wszystko! Sam zbudował nasze krótkotrwałe szczęście i sam zakopał je w grobie, by sadzić na nim kwiaty swej przyszłej chwały. Nikczemny! podły!... Nie, nie – zawsze kochany, na wieki, na życie całe! To tamci podli... ci, co go obezwładnili, co mu nałożyli pęta. A jednak dał słowo honoru, uległ im, więc któż on jest?... Słaby, bezsilny. A może nie kochał mię? Niechby pozostała choć ta nadzieja, jako jedyny kwiat z cudnej łąki, jako jeden promyczek tęczowy z świetlistej zorzy! Czy on mię kocha jeszcze, czy cierpi nad zerwaniem? – to pytanie poniosę do grobu. Zgniótł mię, zdruzgotał, strącił z wyżyn szczęścia. Kilka nielitościwych słów wystarczyło do zabicia duszy, żyjącej dla niego, i serca, które sam obudził. Przeklęty świat! przeklęta sfera! ona mi go zabrała!... Nie! bo on jest z niej, on wśród niej żyje. To tylko przeklęty los! Kocham go – nienawidząc, kocham – pogardzając! Jak mi ciemno, jak głucho, jak bezgranicznie głucho! Znikąd światła! nic, nic!...”

Pismo kończyło się. Kilka kartek nie zapisanych, pustych jak dusza, co w nich zamarła... Na ostatnich stronicach Stefcia czytała ze ściśniętym sercem:

„...Ożenił się w Paryżu... z księżniczką de Bourbon, córką znakomitego rodu, spokrewnionego z królami. Gazety roznoszą ich podobizny: piękni oboje; nie wyglądają jednak na szczęśliwych, ale to może tylko moje oczy tak coś ćmi. Pobrali się i będą szczęśliwi... A ja? a ja?... Wobec księżniczki de Bourbon cóż znaczę? Nic dla niego, nic dla świata. Złamane mam serce, złamaną duszę, ale wobec mitry książęcej i to nie znaczy nic. Dwie korony, świetne, błyszczące, i ja... z krwawą raną. Ach! jakaż nędza!...”

Długa przerwa, potem kilka gorzkich słów i znowu ślady łez.

„...Taka wielkość... i taka podłość! Jak on mógł tak postąpić? I dlaczego ręczył? Czyż i on rozczarował się, czy wierzył w nasze połączenie?... Och! on wierzył! Niepodobna, aby był tak niesłychanie obłudnym. On szlachetny, tylko słaby, a ta sfera to potęga, tytaniczna siła... porwała go, chwycił go prąd bez ratunku. Gdyby już nie pisał, nie odsyłał pierścionka... Ale taki lód w jego słowach! O Boże!

Przyjechał z Głębowicz jakiś urzędnik, podobno sekretarz. Sprzedaje Wołokszę, jego majątek w naszym sąsiedztwie. Pewno! już mu teraz niepotrzebny. Wołoksza. Wołoksza!... jakie to dla mnie było drogie imię. Stracone wszystko! pustka, pustka... zabijająca, okropna! i czarne robactwo rozpaczy. Mrowie... mrowie... robactwa!

Taka ironia! Kochałam świat, teraz go nienawidzę. Napoił mię goryczą. To już moja Golgota.

A żyć trzeba. Nie dano mi umrzeć: odratowali mię, wydarli truciznę z mego organizmu... Rozpacz! rozpacz! Nasz kapelan mówi mi wiele o Bogu i obowiązkach względem Niego. Czy to ratunek?...”

Znowu przerwa – po czym kilka słów:

„Ojciec mój miał atak sercowy. Maciej i jego zabił. Jestem jedynaczką, kocha mię bardzo i cierpi, strasznie cierpi”.

Szereg czystych kart, na ostatniej zakończenie:

„...Rok po śmierci ojca... Wychodzę za mąż. Musiałam to przysiąc umierającemu ojcu, spełniam ostatnią jego wolę. Wychodzę za człowieka, którego mi sam wybrał, i na łożu śmierci, w ostatniej chwili złączył nam ręce, kazał przysięgać. I już jutro mój ślub. Mój ślub! Czy to możliwe? Boże, jaka męka! Tak się kończy na świecie wszytko, na tym okrutnym, kłamliwym świecie. Rana moja nie zagojona i pozostanie otwartą. Powiedziałam Rembowskiemu wszystko, jednak zgodził się wziąć mię za żonę.

Podziwiam jego odwagę! On mię kocha... Gdyby było inaczej, gdyby nie kochał, wobec mego wyznania mógłby mię rozwiązać z przysięgi. Znalazłabym spokój może za kratą! Ale ja się nie boję nowego życia. Nic mię już gorszego nie czeka. Tylko dziś, dziś w wilię ślubu, gdy zamykam na zawsze ten nieszczęsny pamiętnik, dziś przeklinam minione szczęście! Nie zaznam go już więcej. A on, jeśli zapomniał i jest szczęśliwy... niech nim pozostanie. Ja go nie przeklinam, ale to się mści, to się zemścić musi!”

Koniec.

Stefcia zamknęła gwałtownie książkę. Przerażenie, ból niezmierny, żal i ostatnie słowa pamiętnika: „To się mści, to się zemścić musi!” – porwały ją z miejsca.

– Straszne! Straszne!

Dziewczyna, rozdrażniona wrażeniami i długim czuwaniem, nie panowała już nad nerwami. Stanęła przed nią wizja bladej mary, mścicielki, rodowej Nemezys i wyciągała do struchlałej ramiona.

Stefcia krzyknęła głośno.

Drzwi się otworzyły, weszła jej matka.

Stefcia przypadła do niej z okrzykiem trwogi, kolana się pod nią gięły,

uklękła.

– Mamo! mamo! wiem wszystko, czytałam... Straszne! To się mści, to się mści! Pani Rudecka pochyliła się nad córką.

Blady zimowy świt, wpełzający przez okna, uwypuklał zbolałą grupę, nad którą zawisła groza.

# IV.

Długi czas Stefcia nie mogła się uspokoić. Odkryta prawda była dla niej tym boleśniejsza, że i sama kochała Waldemara. Dramat babki zdawał się w niej powtarzać.

– Jak to się stało, mamo? Jak to było z babcią? – pytała Stefcia. Pani Rudecka tuliła załzawioną córkę, razem z nią przerażona.

– Słyszałaś, moje dziecko, że babcia nic nie wiedziała, gdzie się właściwie znajdujesz. Nie wymieniałam nazwiska pani Elzonowskiej: to by ją od razu uświadomiło, że jesteś w domu arystokratycznym. Ona obawiała się dla nas arystokracji. Napisałam, że jesteś w rodzinie obywatelskiej, u naszych znajomych. Pytała się o ciebie często, wyrzucając nam, żeśmy cię oddali do obcego domu. I nas to gryzło, tęskniliśmy za tobą. Ale czekaliśmy cierpliwie do roku. Tak się tobą cieszyłam, kiedy ojciec powrócił z wystawy i opowiadał, żeś jeszcze wyładniała, że masz wielkie powodzenie. Te kwiaty przysłane mówiły o tym. Byłam szczęśliwą, tylko... – zresztą mówmy o babci.

Stefcia zrozumiała, co matka chciała powiedzieć.

– Mówmy o babce – ciągnęła pani Rudecka. – Jak wiesz, była ona patriotką, interesowało ją, co się dzieje w kraju i u nas. Na jej żądanie ojciec opisał wystawę dość obszernie i dużo wspominał o tobie. Stało się to niedawno. W liście wymienił nieostrożnie nazwisko pani Elzonowskiej jako matki twej uczennicy; dodał, że jest z domu Michorowska. Nie pojmuję, co się ojcu stało. Same nazwiska świadczyły, że przebywasz u magnatów. Ale biedny ojciec nie wiedział, co wstrząśnie najbardziej babcią. Przy tym chcąc jej zrobić przyjemność, posłał kilka ilustrowanych pism z czasu wystawy, gdzie były szczegółowe informacje dotyczące wystawców, ekspertów oraz opisy zabaw. Między portretami znajdował się wizerunek młodego ordynata, Waldemara. W liczbie pań ekspertek wymieniono panią Elzonowską, z domu ordynatównę Michorowską, córkę Macieja i księżniczki de Bourbon. Wszytko to zrobiło na biednej babci nagłe i straszne wrażenie. Nastąpił silny atak sercowy i pomimo przedstawiań doktora i panny Elwiry natychmiast wyjechała do nas. Musieliśmy powiedzieć prawdę. Słuchając opowiadań ojca, zresztą dość oględnych, patrzyła mu w oczy badawczo, ciągle pytając nie o Macieja, lecz o Waldemara. Musiał go jej ojciec opisać szczegółowo. Była bardzo zmieniona, nie mogliśmy pojąć, co ją tak przeraża. Gdy ojciec mówił o wielkiej sympatii pana Macieja do ciebie, że nazywasz go dziadziem i że jesteś do niego bardzo przywiązana, babcia niespodziewanie rozpłakała się.

Byliśmy przestraszeni, nic nie rozumiejąc. Ale babcia nie objaśniała nas, mówiła tylko, że chce, abyś jak najprędzej powróciła. Ojciec do ciebie napisał nawet list i pokazał babci. Pod wieczór zastałam babcię w salonie. Oglądała chciwie fotografie z Głębowicz. Gdy weszłam, pokazała waszą grupę w kostiumach. Ordynat stoi tam tuż obok ciebie, ma pochyloną głowę i patrzy na twój profil z wyrazem istotnie zastanawiającym. Ty jesteś także jak natchniona. Nas to również uderzyło. Ale babcia, jak się okazało, znała dobrze ten wyraz i te rysy. On podobny do swego dziadka, a ty do niej. Grupa ta wstrząsnęła nią... „I wy to widzicie? i wy na to pozwalacie? przecie to jasne jak dzień, że oni się kochają" – mówiła wzburzona, gniotąc moją rękę. Zaczęła bardzo nalegać, żeby cię stamtąd zabrać. Całą noc spędziła w niezwykłym podnieceniu. Czuwaliśmy przy niej. Majaczyła. Nad ranem nastąpił gwałtowny atak. Już zdawała się konać. Szczęściem, przeczuwając to, sprowadziliśmy lekarza. Atak minął, zażądała księdza. Po olejach świętych, wezwawszy nas oboje do siebie, po- wiedziała wszystko. Straszną przeżyliśmy chwilę! Ten człowiek, który złamał jej życie i uczynił ją nieszczęśliwą, to Maciej Michorowski – dziadzio, o którym tyle i tak serdecznie pisałaś. Ogarnęła nas straszna obawa o ciebie, dziecko, bo gdyby nie młody ordynat... ale ten szczegół i babcię najwięcej przeraził. Ciągle mówiła o tobie z miłością i lękiem. Oddała ojcu paczkę z pamiętnikiem, oglądała fotografię, szepcząc sobie różne uwagi. Na ciebie mówiła:

„Biedna śliczna". Patrząc na niego szeptała: „Taki sam, taki sam", albo „Widzenie z młodości, moje fatum". Przeczuwała śmierć, bo poleciła ojcu, aby oddał ci pamiętnik po pogrzebie. Nazywała tę książkę skarbem, nie mogła się z nią rozstać. Przyszedł nowy atak i odebrał jej życie.

Pani Rudecka podniosła chustkę do oczu.

Stefcia, oparta o jej kolana, trzęsła się. Łkania rozrywały jej piersi.

– Dlaczego, mamo, nie wezwaliście mię wcześniej?

– Nie było czasu, dziecko, wszystko to stało się tak nagle.

Pani Rudecka gładziła włosy Stefci, ze łzami w oczach patrząc na jej śliczną, złamaną bólem postać. Tuląc ją do siebie, spytała cicho:

– Stefciu, dziecko moje, bądź ze mną szczera, powiedz prawdę: ty... kochasz ordynata? Dziewczyna załkała głośniej.

– Tak, tak!

– Jak ona odgadła, jak zrozumiała! – szepnęła pani Rudecka o zmarłej matce. – Stefciu, ty powinnaś wyjechać stamtąd.

– Wyjadę, mamo, powrócę do was, ale – tak mi ciężko...

Państwo Rudeccy zatrzymali Stefcię na parę tygodni. Była rozstrojoną, bali się o jej zdrowie. Matka starała się łagodzić żal córki. Ojciec oddziaływał na Stefcię zawsze jak najlepiej. Dziewczyna uspokajała się powoli, tęskniąc za Słodkowcami. Odwracała uparcie myśli od Waldemara, lecz daremnie: stał ciągle w jej oczach, świetny, wspaniały, zwycięski. Takim samym był niegdyś i Maciej. Stefcia czytała pamiętnik babki, coraz nowe odnajdując podobieństwo Waldemara do Macieja. Tylko Waldemar posiadał więcej

energii w życiu codziennym i więcej ironii. A także posiadał słabszą wiarę w ludzi i większą niezłomność charakteru.

– Czy i on postąpiłby tak samo?

Chciała zagłuszyć w sobie tęsknotę, ale nie mogła. Przywykła do innego życia. Bez komfortu żyć łatwo, gdy się go nie zaznało, ale odzwyczaić się trudno. Stefcia nie okazywała tego, jednak brakło jej czegoś. Zabawy z ośmioletnią Zosią, zawsze bardzo kochaną, nie mogły jej teraz rozruszać. Brat Jurek, wesoły czternastoletni urwis, uczący się w domu, drażnił Stefcię hałasami. Dziewczyna nie poznawała samej siebie; przed rokiem i ona bawiła się w konie z bratem i siostrą, nie mniej od nich sprawiając hałasu. Teraz Zosia spoglądała na nią z pewną obawą, a w obejściu jej przebijał wielki dla siostry szacunek. Nie ciągała jej jak dawniej za suknie. Ale pieszczoty Stefci robiły na małej wrażenie.

– Co tam Jurek mówi, że Stefcia się zmieniła! On kłamie. Stefcia taka sama dobra jak przedtem.

I wyciągając różaną buzię w długi ciup, dodawała zaraz:

– Stefciu, mów mi o Luci, ja ją tak lubię.

Zaczynało się opowiadanie, które i Stefcia lubiła, bo ją przenosiło do Słodkowic.

Z Jerzykiem sprawa była trudniejsza. Chłopak zerkał na starszą siostrę oburzony i wszystkim po kolei powtarzał:

– Stefa to już całkiem dorosła panna. Nawet w konie nie chce się bawić, tylko tak coś myśli i myśli. Jej już trzeba tren dodać do sukni.

Stefcia zjednała go sobie, opowiadaniem o stajni, zwierzyńcu i psiarni w Głębowiczach.

Za to nie miała już spokoju, domagał się ciągle nowych szczegółów. Raz podczas lekcji zapytał swego nauczyciela, młodego studenta prawa, wielkiego demokraty:

– Jak się panu podoba Stefa?

– Bardzo ładna panna i bardzo miła.

– E! pan tak mówi dlatego, że ja jej brat. Ale niech pan mi powie jak swemu koledze, w zaufaniu.

– Mówię prawdę: ładna i miła, tylko... wielka dama. Jurek otworzył szeroko oczy i usta.

– Jak to? – Stefa to jest Stefa, nie żadna wielka dama.

– Ty tego nie rozumiesz. Panna Stefania jest przesiąknięta arystokracją. Jest sympatyczna i niedumna, bo jej nie zdążyli jeszcze zmienić, ale i to przyjdzie z czasem. Oni ją przerobią na swój sposób.

Jerzyk ujął się za siostrą:

– Wcale nie! Stefa będzie zawsze naszą, nie jakąś tam arystokratką. Szkoda, że tak spoważniała, ale to pewno tylko teraz, bo babcia umarła. Ona się potem poprawi.

Zamyślił się i spytał znowu:

– A czy arystokracja to co złego?

Student skrzywił usta z lekceważeniem.

– Nic mądrego, w społeczeństwie to zero. Ale powtarzam, ty tego nie rozumiesz.

– Ale takich koni, jakie są w Słodkowcach i Głębowiczach, to nawet u nas nie ma. Oho! ja wiem, Stefcia mi opowiadała. A jakie zwierzęta, a jakie psy! a najładniejszy wielki dog Pandur, co biega zawsze za ordynatem. Pan go widział na fotografii głębowickiej ze zwierzyńca.

Student wzruszył ramionami. Nie lubił, gdy mu ktoś wspominał Głębowicze, bo ordynat, którego znał ze słyszenia, dziwnie jakoś paczył jego pojęcia, jakie sobie urobił o arystokracji, a młody prawnik wyjątków w swej regule nie uznawał.

Śledził także Stefcię Narnicki. Z prowadzonych z nią rozmów doszedł do wniosku, że ordynat Michorowski nie jest jej obojętnym. I to go drażniło. Czy Stefcia ma wzajemność, nie mógł dociec. Ale Narnicki niedługo pozostawał w niepewności.

Klucza do rozwiązania tej zagadki dostarczyły mu fotografie głębowickie. Zresztą wiedział, że taka Stefcia musiała się podobać i że grozi jej niebezpieczeństwo ze strony ordynata, zwłaszcza jeśli on dostrzegł jej skłonność ku sobie. Narnicki nie znał dokładnie smutnej historii zmarłej ciotki Rembowskiej, prócz mętnej legendy, krążącej w rodzinie. Nie wiedział o rzeczy najważniejszej, polegającej na zbiegu okoliczności – o owym złym fatum, które zawisło teraz nad Stefcią. Nie rozumiał, co się z nią dzieje. Nie chciał wierzyć, że Stefcia kocha się bez wzajemności: miał na to za wiele dowodów przeciwnych. Ale w jego mniemaniu to jedynie mogłoby ją ocalić. Tymczasem otaczał Stefcię opieką, chcąc ją najdłużej zatrzymać w Ruczajewie. Nie narzucał się jej, ale czuwał bez przerwy. Stefcia zawsze go miała przy sobie. Któregoś dnia poprosił ją o fotografie z Głębowicz. Poszli razem oglądać. Stefcia rozłożyła wielkie kartony zbiorowych grup i przyglądała się z takim namaszczeniem, jakby je widziała po raz pierwszy. Narnicki patrzał na nią uważnie.

– Czy was tu kto pozował, kuzynko? – spytał wskazując na grupę w kostiumach.

– Naturalnie. Fotograf.

– Ordynat nie wygląda na upozowanego.

– Tak, on stanął sam.

– A widać to.

– Podoba ci się? – spytała Stefcia, udając obojętną minę.

– Kto, ordynat?

– No, tak...

Narnicki chciał powiedzieć: „wymuskany laluś”, ale spostrzegł się w porę, że byłoby to kłamstwo zbyt rażące i że Stefcia odgadłaby jego intencję. Zazdrość wyrażona w ten sposób wydała mu się niską i Narnicki odpowiedział szczerze:

– Przystojny i bardzo elegancki, a nade wszystko wybitnie typowy. Stefcia

spojrzała na kuzyna z wdzięcznością.

– Tak, dobrześ powiedział. To jego cecha główna.

Narnicki zauważył jej nagłe ożywienie i postanowił mówić dalej, nie spuszczając z niej oczu.

– Wśród nich wszystkich on wygląda na luminarza. Ma rozumny wyraz twarzy i znać w nim lwią energię. Tacy ludzie idą do celu śmiało, depcąc wszelkie przeszkody, i dlatego nie są bezpieczni. A przeszłość ordynata, bardzo zresztą świeża, znana jest ze swej burzliwości.

– Dlaczego to mówisz? – spytała sucho Stefcia. Narnicki wzruszył ramionami.

– Mówię o nim jako o typie, a dodaję uwagę, że ludzie z taką energią i swobodną przeszłością, zwłaszcza gdy mają miliony, potrafią nie przebierać w środkach dla zadowolenia swych kaprysów, nawet chwilowych. Ordynat jest wytwornym, tym gorzej. Taki aksamitny płaszczyk pokrywający feudalizm – bo u niego i ten rys jest widocznym – ułatwia mu zaspokojenie jego fantazji.

– Nie powinieneś o nim mówić z taką pewnością, bo go nie znasz.

– Czy określiłem go fałszywie?

– Nie, ale źle go sądzisz.

– Przepraszam cię, kuzynko! Jeśli ja nie mam podstawy sądzić go w ten sposób, tym bardziej ty nie możesz za niego ręczyć.

– Ja go znam bliżej.

– Z salonu! jako wielkiego pana i wytwornego człowieka, jeszcze jako sportsmena, causeura, tancerza. Ale to niczego nie dowodzi. To jest właśnie ten aksamitny płaszczyk, o jakim mówiłem.

Stefci zaiskrzyły się oczy.

– Znam go jeszcze jako obywatela kraju, jako właściciela wielkich obszarów ziemi, dobrego patriotę i...bardzo kulturalnego człowieka. Jest wybitnie inteligentny i zupełnie liberalnych pojęć – rzekła.

Narnicki patrzał na rozognioną Stefcię spod oka. Wargi mu drżały z tajonego gniewu. Głos miał syczący, gdy odpowiedział:

– Słowem, doskonały! Jednak widocznie sam sobie tego nie przyznaje, bo ma dziwnie bajroniczny grymas na ustach i satyrę w oczach, naturalnie wyłączając grupę w kostiumach.

– Doskonałym nie jest, wady posiada jak każdy człowiek, ale nie jest zarozumiałym...

– W to nie wierzę. Człowiek na takim stanowisku, bogaty jak nabab, pełen powodzenia w świecie, nie wiedziałby o tym?

– Wie, lecz posiada przy tym rozum, wcale niepospolity. Jest pewny siebie, ale to co innego.

– To samo, tylko inna nazwa. Główna rzecz wiedzieć, czym się jest i co można mieć na skinienie.

Stefcia umilkła, rozumiejąc już, do czego Narnicki zmierzał. Nie okazała przykrości. Zaczęła mu opowiadać o polowaniach w Głębowiczach, wymieniając osoby na grupach, z krótką biografią każdej. Wreszcie wzięła

swe pojedyncze fotografie na długich kartonach, jedną w kostiumie i drugą w codziennej sukni.

– Jaką wolisz? – spytała.

Fotografia w kostiumie była lekko kolorowana i nadzwyczaj efektowna – przede wszystkim niesłychanie podobna; druga również dobra, lecz skromniejsza, robiła wrażenie codziennej.

Narnicki spoglądał to na jedną, to na drugą, porównywając je z sobą. W końcu rzekł:

– Wolę tę: korale przypominają mi ciebie taką, jak przed rokiem, i dlatego jest mi drogą.

Ta w stroju z czasów Dyrektoriatu jest śliczna, ale już nie nasza. Wyglądasz jak księżniczka, tchniesz atmosferą pałacową. Ja cię nie lubię w tej roli. Wolę, jak jesteś swojska – taka nasza i niepodzielna.

Stefcia poruszyła się.

– Nie lubisz arystokracji?

– Jest mi obojętną, ale nie lubię ciebie wśród nich.

– Mówisz tak, bo ich nie znasz. Zresztą czyż jestem zmienioną? Narnicki popatrzał na nią niemal groźnie.

– Tak, jesteś – rzekł z przyciskiem.

– Ja?!

– Jesteś pod ich wpływem. Daj Boże, aby się to zmieniło.

Stefcia zamyśliła się. Zrozumiał ją. Odgadł jej uczucia i ostrzegał. Przypomniały się jej Głębowicze, ich historia, wspaniałość magnacka, świetne towarzystwa. Istotnie wsiąkła w tamtą sferę, polubiła ich wszystkich. I oni mają wielkie wady, wśród nich są osobniki bez wartości, nawet częste. Ale są wyjątki, skoro można spotkać takiego Waldemara, taką księżnę Podhorecką jedną i drugą lub Macieja. A kto ich nie zna bliżej, sądzi ogólnie i często niesprawiedliwie.

Tak myślała Stefcia.

## V.

W zamku w Głębowiczach panowała wielka, przygnębiająca cisza. Ordynat przesiadywał w swym gabinecie albo w bibliotece lub też snuł się po zamku zamyślony, poważny. Administracja i służba nie widziała go jeszcze takim. Stał się drażliwym, prędkim. Po wyzdrowieniu pana Macieja, który miał ataki nerwowe, Waldemar był na wyborach prezesa towarzystwa rolniczego, ponieważ hrabia Mortęski ustąpił dobrowolnie, znękany starością i złym stanem zdrowia. Wybrano jednogłośnie ordynata, lecz wybór ten nie zachwycił go. Odbył kilka posiedzeń, po czym powrócił do Głębowicz i zamknął się w nich. Co się działo w jego duszy, nikt nie odgadywał. Kamerdyner Andrzej widział go często w sali portretowej, na kanapce, wprost portretu babki. Czasem, obłożony papierami, starymi księgami o żółtych

stronicach, zagłębiał się w nie do nieskończoności, nie jedząc i nie śpiąc. W stajniach dziwił się koniuszy, bo ordynat nie zaglądał do koni. Wyjeżdżał na polowania z licznym zastępem służby, lecz po pierwszych kniejach wracał znudzony. Albo odprawiał służbę i sam, ze strzelbą na ramieniu, włóczył się po lesie, nie strzelając wcale.

Jakiś zmierzch padł na cały majątek. Służba zamkowa, zwierzyniecka, sztab ogrodniczy, wszyscy stajenni, robotnicy fabryk – szeptali tylko o dziwnym humorze ordynata. Na folwarkach ekonomowie dopytywali się Ostrożęckiego, co się stało. Ale i on nie wiedział. Tylko młody hrabia praktykant, ogromnie zaintrygowany, wdał się w rozmowę z Kleczem ze Słodkowic i dowiedział się trochę drobnych szczegółów, tyczących się choroby pana Macieja i wyjazdu Stefci, lecz nic z tego wywnioskować nie mógł. A ordynat z każdym dniem po- chmurniał więcej, stawał się groźniejszym. Do Słodkowic jeździł rzadko i na krótko, tylko w celu odwiedzenia pana Macieja.

Wszelkie narady gospodarcze odbywał przez telefon, ze swego gabinetu. Dyrektorzy fabryk, gorzelni, wszyscy rządcowie i nadleśni porozumiewali się z nim nie inaczej, zdając raporty, otrzymując polecenia. Przez telefon rozmawiał z dzierżawcami, lekarzem ordynackim, ze szpitalem, ochronką i szkołą. Z zamku wychodził rzadko. Czasem bywał na mszy w kościele głębowickim i odwiedzał proboszcza, który także nie poznawał „swego chłopca”, jak go nazywał. Tylko raz w nocy, kiedy paliła się sąsiednia wieś, ordynat wystąpił z dawną energią. Pojechał na czele straży ogniowej i zastępując chorego naczelnika, dyrygował oddziałem błyszczących kasków i skórzanych kurt i z narażeniem siebie uratował wieś od rozszalałego ognia, wyciągając ze swymi ludźmi chłopstwo z płonących domów. Nikt nie padł ofiarą pożogi. Ogień został szczęśliwie umiejscowiony i opanowany. Ale gdy na drugi dzień ludzie przyszli dziękować ordynatowi, kazał im rozdać znaczną sumę pieniędzy na zapomogę, sam jednak tym razem nie wyszedł. Przesiadywał w bibliotece zatopiony w starych foliałach. Tak przeszły tygodnie.

Pewnego dnia przed wieczorem Waldemar jak zwykle siedział przy głównym stole w bibliotece, założonym tomami porozrzucanymi w nieładzie.

Rozpostarty na fotelu, palił cygara i myślał.

Przeczytał już wszystkie te księgi i nie zajmowały go teraz. Obecnie wolał się zagłębiać w historii własnego życia i w jego psychologii. Działo się w nim coś szczególnego, czego nie odczuwał nigdy. Przebiegał myślą swe burzliwe lata, spędzone za granicą, i czasy studenckie. Było w tych wiele zdarzeń ciekawych i takich, które w jego duszy pozostawiły ślady. Tamtym czasom zawdzięczał pesymizm, ironię i gorycz, z jakimi teraz nie mógł sobie dać rady. Zachodziło wiele przeróżnych kolizji w jego dzisiejszej istocie, dziwna abstrakcja w myślach i uczuciach. Jeden tylko miał pewnik niezbity, jasny jak słońce, w który musiał uwierzyć: kochał Stefcię.

To uczucie występowało zbyt wyraźnie, aby mógł o nim wątpić. A wątpił

długo.

Za wiele miał w życiu powodzenia i na tym tle za wiele miłostek. Nie wierzył, że potrafi kiedy inaczej patrzyć na ładną kobietę, jak na klejnot mniej lub więcej cenny, którym się może zabawić do woli. Klejnoty takie zmieniał bardzo często, odrzucając bez skrupułu te, co już dla niego straciły blask nowości. Miał wieczne pragnienie szukania, ale nigdy długo nie czuł się zadowolonym. Często, goniąc za nową namiętnością, miał pewność, że gdy cel jej osiągnie, znajdzie uspokojenie. Bywały wypadki, że z niesłychaną odwagą drwił z wszelkich niebezpieczeństw. W tych pogoniach zahaczał o sfery i warunki, gdzie każdy inny znalazłby drzwi zamknięte. On zamkniętych podwoi nie obawiał się; wiedział, że gdy zechce, otworzą się przed nim, nie udawał się do podstępów. Takie walki podniecały go. Ale gdy był u kresu swych pożądań, rozczarowywał się zawsze. Nie czuł nawet dumy z powodu własnych zwycięstw. Pesymizm jego względem kobiet rósł i potężniał. Tylko dwie z nich cenił wyjątkowo: babkę Podhorecką i zmarłą matkę. Nie pamiętał jej prawie, ale czcił za pamięć, jaką po sobie zostawiła w Głębowiczach. Teraz ma cześć dla Stefci. Ona zdruzgotała jego złe pojęcia o kobietach siłą kontrastu. Znał jej uczucia względem siebie i zrozumiał, że ona jest dogmatem jego życia. Różnica sferowa nie przerażała go, zastanawiał się jedynie nad pytaniem, czy na barki Stefci nie okaże się za ciężkim stanowisko, które ją tak wysoko wyniesie. Lecz nie wątpił. Inteligencja jej pozwalała wierzyć, że podoła obowiązkom, wymaganiom i etykiecie sfery, do jakiej wejdzie. Doświadczał lekkiej ciekawości, jak ona przyjmie jego wyznanie. Ogarniał go dreszcz na myśl, że będzie ją nareszcie miał w swych ramionach – Stefcię, taką pożądaną, upragnioną... Czasem wyobrażał ją sobie swą kochanką, oddaną mu zupełnie. Czy mogłaby się nią stać? Kochała go bardzo wiedział o tym. Więc gdyby chciał, mógłby ją może doprowadzić do dania najwyższych dowodów miłości. Miał do tego wypróbowany talent... lecz, co mu się nigdy nie zdarzyło, brakło mu odwagi. Stefcia była jak biały kwiat, nieskalany i dziwnie przezroczysty, uważałby za świętokradztwo dotknąć jej brudną ręką. Ona musiała pozostać czystą pomimo namiętności, jakie potrafiła wzbudzać, jak obłok biały pozostaje białym, choć płynie przez chmury. Ona poniekąd już należała do niego, ale takie oddanie się nie skala nawet anioła. Właśnie z powodu, że ona już jest jego, on jej nie zbruka, nie ściągnie do poziomu swych namiętności, pozostawi na wyżynach i tam będzie szukał rozkoszy. I on, który w stosunkach z kobietami wzdrygał się na wszelkie zobowiązania sakramentalne, teraz pieścił się myślą o Stefci jako swej żonie.

Sam siebie nie poznawał. Najpiękniejsze panie i panny z arystokracji francuskiej w Paryżu, gdzie jako wnuk księżniczki de Bourbon miał wyłączne i wielkie fory, nie zdołały go natchnąć podobnie. Szalał za demoniczną pięknością Węgierek, pociągał go szyk wiedenek, w Rzymie wirował wśród panien i mężatek z magnaterii włoskiej, wybierając zawsze klejnoty, ale szały te kończyły się jednakowo, oprawione w mniejsze lub większe zachody,

poprzedzające zwycięstwo. Nigdy nie myślał o żadnych zobowiązaniach i śmiał się z rodziny własnej, która albo z obawą spoglądała na jego wybryki, lub też namawiała go do stanowczych kroków. Był cyniczny, sceptyczny i sam sobie wydawał się niezdolnym do innych wrażeń. Widział w sobie tylko namiętność, do bardziej uduchowionych uczuć nie miał przekonania ani ochoty. Teraz wykrył coś nowego. Za Stefcią dla jej urody szalałby zawsze, stałaby się jedną z jego namiętności, gdyby nie była Stefcią. Ale ona działała na niego w sposób całkiem odmienny.

– Co to jest, jakim to się stało sposobem? – zapytywał sam siebie.

Słońce zaszło, w bibliotece zapanował mrok, szare macki włóczyły się mętnie po oszklonych szafach, wciskały się w każdy kąt, potęgując ciemności. Waldemar wstał, przeszedł się kilka razy wzdłuż biblioteki i zadzwonił. Kamerdyner wszedł cicho jak duch.

– Światła! – rzucił krótko ordynat.

Andrzej nacisnął guziki elektryczne w ścianach. Białe światło opromieniło bibliotekę. Z kryształowego pająka sypnęło mnóstwo tęczowych iskierek.

– Mogłem to sam zrobić – pomyślał ordynat po wyjściu kamerdynera. – Co on kombinuje widząc mię takim?

Wszedł do czytelni i otworzył fortepian. Spod adamaszkowej kapy instrument błysnął palisandrem i słoniową kością klawiszy. Waldemar uderzył parę akordów. Zabrzmiała w nich nuta ulubionej sonaty Beethovena, granej przez Stefcię. Urwał, oparł rękę na pulpicie i wykręcił się z taburetem w stronę salonu. Spojrzał dokoła krytycznym wzrokiem.

– Czy do twarzy będzie Stefci w tej oprawie? – pomyślał.

Zmrużył oczy, wywołując wizję: Stefcia siedzi przy fortepianie, gra sonatę, jest ubrana, w eleganckiej sukni wizytowej – nie, lepiej w codziennej. Włosy ma upięte na tyle głowy i taki ładny profil... On wtulony w kąt kanapki, pod palmami, patrzy na nią, na swą żonę. Jest szczęśliwy i ona również. Kocha go. On ją otacza swą miłością i przepychem, na jaki zdobyć się mogą jego miliony.

– Stefcia moją żoną? Ja będę miał żonę? Waldemar uprzytomnia ją sobie.

– Jaka ona młoda! O całe dwanaście lat młodsza od niego: ma zaledwo dwudziesty rok.

– Ale co na to powie jego rodzina, jego sfera? Waldemar gwałtownie powstał i zatrzasnął fortepian.

– O tym już tylko ja decyduję – rzekł do siebie głośno.

– Czy masz prawo? – szepnęło mu coś w duszy, jakiś opiekuńczy duch zamku. Waldemar zatrzymał się w swej przechadzce.

– Czy mam prawo? Wyrobię je sobie! Ale duch szeptał znowu:

– Ostatnie panie tego zamku, ostatnie ordynatowe, były księżniczkami znakomitych rodów.

– A ona będzie moim szczęściem – odpowiedział twardo.

Szybkim krokiem poszedł w głąb zamku, zapalając elektryczność w każdej sali, w każdym pokoju i korytarzu.

Zamek rozbłysnął światłem. Ordynat przeszedł halę spacerową, galerię obrazów i wszedł do sali portretowej. Ciemna i ponura, zajaśniała blaskiem żyrandoli. Ożywiły się portrety, rozbłysły martwe twarze. Purpura i złote blachy strojów, jasne wycięcia staników kobiet wynurzyły się z wypukłą wyrazistością.

Waldemar robił przegląd swych antenatów.

Spoglądał w groźne, posępne twarze najwybitniejszych członków rodzinnych, prawdziwych klejnotów. Czytał ich tytuły głośne nazwiska kobiet, z którymi się żenili. Przechodził od portretu do portretu, nie odnajdywał tylko szczęścia w tych obliczach raczej ponurych. Zatrzymał się dłużej przed pradziadem Andrzejem, jenerałem wojsk polskich, ożenionym z hrabianką Esterhazy. Wyrazista, typowa twarz, ale jakieś dramatyczne linie skaziły czystość rysów. W oczach przebijał apatyczny wyraz. Waldemar uśmiechnął się.

– Może portretowany w czasie, kiedy miał się rozwodzić z żoną sławną z piękności, bogactw i paranteli – szepnął z sarkazmem.

Portret ojca miał te same cechy smutku, to samo obojętne spojrzenie.

Matka, bardzo podobna do księżny Podhoreckiej, piękna i młoda, nie nosiła w swej twarzy śladów szczęścia.

Waldemar obszedł dokoła całą salę. Był podniecony, ironiczny wyraz na jego ustach potęgował się. Nareszcie stanął przed portretem babki. Patrzał długo, uważnie.

– I tu to samo – szepnął osuwając się na kanapkę.

Patrzał na tragiczne oczy, z których wiała rozpacz, na zgnębiony wyraz całej postaci. Smutek wyłaniał się z każdego szczegółu, nawet, zda się, z fałd ciężkiej sukni. Waldemar siedział pogrążony w zamyśleniu. Nagle powstał, rzucił dokoła ironiczne spojrzenie i zawołał głośno tonem pełnym goryczy:

– Mają tytuły, stanowiska, parantele, miliony, ale gdzież szczęście? Nie widzę tego.

Roześmiał się gorzko i wzruszywszy ramionami rzekł ciszej:

– Nie znam szczęścia w historii naszej.

Portret Gabrieli Michorowskiej, naturalnej wielkości, umieszczony blisko drzwi, po obu stronach miał ciężkie aksamitne opony, zwieszające się od sufitu. Waldemar podniósł jedną z lewej strony. Ujrzał puste miejsce na ścianie, wyłożonej dębem. Nie zapuszczając aksamitu, spojrzał na drugą stronę portretu i pomyślał:

– Tam miejsce dla dziadka Macieja, a tu?...

Gładka, błyszcząca słojami dębu ściana wydała mu się zagadką, lecz nie pojmował, dlaczego przejmuje go lekkie jak cień uczucie trwogi. Dziwny niepokój wiał z tej pustej ściany, wciskał się do duszy.

Ordynat zadrżał.

– Co to jest? – spytał sam siebie, marszcząc brwi. Zapuścił oponę stanowczym ruchem...

Znowu usiadł na kanapce i ścisnął rękoma skronie.

– Strasznie jestem znerwowany, strasznie!

Tęsknił za Stefcią w czasie długich polowań, potem ujrzał ją na krótko i tęsknota do niej wzmogła się, nie dając mu spokoju.

Kiedy powrócił do gabinetu, zobaczył na biurku list, zaadresowany ręką Luci Elzonowskiej.

Szybko rozerwał kopertę. Dziewczynka pisała:

„Przyjedź Waldy, dziś, jeśli chcesz powitać Stefcię: wraca jutro rano. Bardzo bym chciała pojechać na jej spotkanie, ale boję się mamy. Nikt nie wie, że do Ciebie piszę. Chciałam telefonować, ale jak wiesz, telefon znajduje się blisko mamy, a do pawilonu do Klecza przecie nie pójdę. Dopomógł mi poczciwy Jacenty do wysłania posłańca. Przyjeżdżaj koniecznie. Lucia”.

Waldemar uczuł przypływ krwi do mózgu.

– Wraca, ona wraca!

Dziki, gwałtowny szał radości zawrzał w nim. Ordynat zadzwonił gorączkowo.

– Kto przyniósł ten list? – spytał służącego nienaturalnym głosem.

– Paweł, stajenny ze Słodkowic, przed kwadransem. Nie śmiałem przeszkadzać jaśnie panu, położyłem na biurku.

– To źle. Czasem list jest pilny. Czy posłaniec czeka?

– Już pojechał. Spieszył bardzo. Panienka nie kazała czekać na odpowiedź.

– Możesz odejść.

Andrzej ruszył do drzwi.

– Zaczekaj... Która godzina? – zawołał Waldemar, patrząc jednocześnie na zegarek.

– Pół do ósmej.

– Dobrze! Niech natychmiast Brunon zaprzęga siwe ogiery do większej karety na saniach. Jur na koźle. Przygotować dla mnie wszystko na dobę.

Andrzej wypadł z gabinetu. Odczuł w głosie swego pana jakieś tony, które go zastanowiły i zatrwożyły.

– Czy się tam co stało, czy pan ordynat chory? – myślał biegnąc do kredensu. Waldemar chodził prędko i rozmyślał:

– Czy ona wie wszystko o zmarłej babce, czy zna jej historię? To możliwe! a w takim razie wraca tylko po to, by się pożegnać. Nie zostanie tu dłużej, bo mię kocha. Przyszłość ją przerazi ze względu na przeszłość. My w niej budzimy trwogę, skoro już świadoma przeszłości. Czy we mnie jest litość dla niej, czy miłość?... Kocham ją, kochałem przedtem, nim się wszystko wyjaśniło. I ona kocha, może teraz nienawidzi? A sfera? a rodzina? Oni nie dopuszczą... niechże spróbują. Będą stawiali trudności zwalczę je! Nie zdepczą, nie sponiewierają mych uczuć, na to nie pozwolę!...

Waldemar zatrzymał się, podniósł rękę do czoła.

– Chcę, pragnę jej... czuję głód szczęścia! Znalazłem je i nie dam sobie wyrwać. Walka zmoże ich... ulegną mi... muszą!... chcę tego... pragnę... i dopnę.

Ktoś zastukał.

– Można.

Wszedł marszałek dworu.

– Czego pan sobie życzy?

Stary człowiek zgiął się w powitalnym ukłonie.

– Przepraszam, że ośmieliłem się przeszkadzać, ale pan ordynat wyjeżdża, a za parę dni ma być w zamku obiad proszony in gratiam wyborów. Czy dostanę jakieś wyłączne rozporządzenie?

– Nie – rzekł Waldemar trochę niecierpliwie – jutro wracam. Niech pan przygotowania robi jak zwykle. Zjazd będzie duży, ale oprócz obiadu żadnych zabaw.

Marszałek ukłonił się i wyszedł.

Waldemar znowu zaczął chodzić. Tysiące myśli szumiało mu w głowie, nawał uczuć rozsadzał pierś, krew w nim wrzała. Był tak podrażniony ostateczną rozmową z duszą i sumieniem, tak przeczulony, że zdawał się słyszeć każdą kroplę krwi, jak sączyła się przez żyły i wpływała do mózgu rozpalona niby kropla ognia. Cały ferment wahań, zagadnień, przez który przeszedł w ostatnich czasach, skrystalizował się jasno, z wypukłą wyrazistością. Wiedział już, do czego dąży, czuł, że już jest na pewnym gruncie. Teraz nie zachwieje się, pójdzie naprzód z podniesioną głową. Doda mu tężyzny krew rozkipiała, która w swym warze już ma bunt, opór przeciw spodziewanemu oporowi. Doda mu energii niezmierne pragnienie osiągnięcia celu. Gorące pulsa rozsadzają mu żyły, kołaczą w mózgu i woła – tytaniczna wola!

Z nią wespół dokona wszystkiego, ona złamie przeszkody, zmiażdży je. Czuł w sobie wulkan siły.

– Kareta czeka – rzekł wchodząc kamerdyner.

W kwadrans potem siwe ogiery ostrym kłusem niosły karetę na saniach. Ordynat jechał już spokojny, zimny, pewny siebie. Zamek otaczał się białą zaćmą śniegu. Oświetlone okna gasły jedno po drugim.

# VI.

Przez wielkie przestrzenie białych pól, przez ciemne lasy biegł z szumem i łoskotem krótki pociąg osobowy, rozwiewając potężną kitę szarego dymu. Dwie latarnie na parowozie świeciły jak oczy cyklopów. Wyprostowana lokomotywa z wysuniętą zwycięsko piersią sunęła równo; mechanicznym ruchem poruszały się potężne śruby kół, niby płetwy olbrzyma. Wilgotny plant i dwie linie szyn błyszczały krwawo przed pędzącym potworem.

W jednym z okien drugiej klasy rysowała się bladawa twarzyczka Stefci. Oparta na dłoniach, spoglądała przez podwójne szyby na niknące pagórki i drzewa pokryte szarym od wieczornego mroku śniegiem. Świetliste pasemka iskier przelatywały jak złote nitki, rozpływając się w mętnej szarzyźnie. Jedne zastępowały drugie i w miarę jak się ściemniało, coraz więcej szło tego złota,

aż okna rozbłysły niby zorzą, niby gradem ognistym. Już nie pasma, ale potoki, powódź złota falowała, mieniła się, powłóczystą szatą zalewała pociąg. Migały w tej błyszczącej masie ognistoczerwone gzygzaki, leciały pioruny, ostre dzidy i roje krwawych żądełek. A wszystko w szalonym wirze, skręcone, chybkie, palące.

Stefcia przylgnęła czołem do szyby. W ciemnych oczach dziewczyny płonące iskry od- bijały się złotą łuną, na włosy rzucały miedziane refleksy, różowiły ściągłe, delikatne rysy. Ale w nich nie było już dawnej pogody: bujna, pełna życia i wesela twarz Stefci zmierzchła, zbłękitniała w swym wyrazie.

Można by myśleć, że artysta snycerz wybrał ją sobie na pierwowzór i rzeźbił kameę z jej rysów. Wycieniował z finezją, wlał w nią tyle duszy, tyle uczuć, aby twarz ta mogła czarować czymś więcej niż przepyszną urodą młodej, ładnej panny. Teraz przede wszystkim wiał z niej smutek i przejmujący żal. Po trzytygodniowym pobycie w domu jechała do Słodkowic ostatni raz. Miała niezłomne postanowienie zerwać zobowiązania z panią Elzonowską, pożegnać ich wszystkich na zawsze i wracać do domu, do dawnego życia.

Pożegnać ich na zawsze!

Stefcia powtarzała to sobie z bolesną jakąś rozkoszą i czuła, że każde z tych słów rani ją jak sztylety, że sama wlewa do duszy własnej truciznę. Bo. czymże będzie dla niej to rozstanie?

Straszną, nieskończoną męką...

A jednak trzeba, powinna przezwyciężyć siebie, powinna wyrwać się z tego czaru, który już ją boli zbyt silnie.

Biedne, złamane, zranione życie!...

Nadeszła noc czarna, przepaścista. Stefcię zabolały oczy od patrzenia na iskry płonące za oknem. Osunęła się na ławkę. Była sama. Zaczęła ją ogarniać senność. Obrazy mieszały się w myślach. Tylko jeden uparcie stał jej przed oczyma, sama go sobie rysowała.

Pełny, zielony ogród, kwitnące bzy, świergot ptactwa i śpiew słowików, a wpośród tego maja zgrabny ułan, przy nim młoda dziewczyna o złotawych włosach i fiołkowych oczach. Stoją wpatrzeni w siebie. On trzyma w dłoniach jej ręce i pieści je, obiecuje szczęście bez granic i upaja, i czaruje nadzieją. Rozkoszą tchną oboje.

Obraz zmienia się.

...Teraz zaśnieżony park, cały jak z cukru. Zachód maluje drzewa na różowo. W powietrzu czuć zbliżający się mrok. Kawki plamią niebo czarnymi punktami. Na białej od śniegu ścieżynce stoi młody pan wykwintny w futrze fokowym, oczy jego ciemnoszare, rozpalone, pochłaniają stojącą przed nim dziewczynę o złotych włosach i fiołkowych oczach. Trzyma silnie jej dłonie w swoich i słów nie wypowiada żadnych, ale tyle jej mówi oczyma, tyle obiecuje! Dreszcze dziwne a rozkoszne przebiegają po nich prądem. Szczęście roztacza nad nimi swe skrzydła...

A pociąg rwie naprzód niepowstrzymanie, monotonnie turkoczą koła stukają łańcuchy, wagon chwieje się lekkim chybotem, a za oknami płynie i płynie złota rzeka.

Stefcia senną głowę oparła o miękką poręcz ławki i majaczy coraz słabiej, coraz mniej wyraźnie. Obrazy zacierają się, nikną w jakiejś mętnej otchłani. Sen zasuwa je dalej i dalej... i Stefcia znieruchomiała, zasnęła twardo silnym, młody snem. Wrażenia, nerwy umilkły przed tą potężną wolą natury.

Ocknęła się na jakiejś większej stacji. Do jej przedziału weszło kilka osób. Niemłoda, okazała dama z córką i synem. Panna miała szumny kapelusz, świecące grzebienie we włosach i mocno wymalowaną twarz. Młodzieniec nosił binokle, widocznie tylko dla szyku, bo je ciągle zdejmował i przecierał zbolałe od szkieł, ale zdrowe, pozbawione wyrazu oczy. Rozsiedli się wygodnie, usuwając energicznie na bok ręczną walizkę Stefci.

Młodzieniec usiadł przy niej i impertynencko zajrzał jej w twarz. Stefcia oparła się znowu o poręcz i chciała zasnąć. Ale okropna rozmowa francuska, prowadzona półgłosem, nie pozwoliła jej na to. Te panie dokładnie obejrzały czarną angielską suknię, pysznie opinającą smukłą postać Stefci, rzuciły okiem na wiszący krepowy kapelusz z welonem i uznały, że dobry, lecz za mało fantazyjny. Zbadały oczyma futrzany żakiet z dużym kołnierzem ze skunksów i wreszcie po obejrzeniu tualety przeniosły wzrok na jej właścicielkę. W świetle latarni włosy Stefci, okalające czoło miękką falą, mieniły się jak stare złoto. Ciężki ich węzeł rozluźniony, opadał na kark, ciemne szyldkretowe grzebienie i szpilki połyskiwały dyskretnie wśród złotomiedzianych jedwabistych zwojów. Delikatny, ładnie zaokrąglony owal jej twarzy, śliczny rysunek nosa i drobnych różowych ust mniej zwracał ich uwagę – patrzyli głównie na sposób jej czesania się i na ubranie. Młodzieniec jednak śledził z uporem długie rzęsy Stefci leżące na twarzy i cienie, które szły od nich na białą, prześlicznie zaróżowioną skórę. Obejrzał jej ręce białe, wąskie i drobne, o długich i cienkich palcach, ozdobionych jednym pierścionkiem z dużą perłą uriańską. Zbadawszy to wszystko, młodzieniec zaczął półgłosem wykładać matce i siostrze swe spostrzeżenia o Stefci; dowodził, że jest „niczego”, tylko strasznie „chuchrowata”, on zaś woli takie panny, co to jest na co spojrzeć pod względem objętości. Wykonał przy tym odpowiedni ruch, którym dosadnie objaśnił towarzyszące mu damy, że lubi kształty niepośledniej miary. Wszyscy razem zaczęli robić o Stefci różne uwagi, usiłując odgadnąć, kto to być może.

– Jakaś arystokratka – zgodzili się na jedno.

Stefcia, znerwowana tym, nie chcąc się zdradzać, że słyszy, siedziała cicho i wkrótce znowu zasnęła.

Dzień już był, gdy do przedziału wszedł konduktor. Przemówił grzecznie do Stefci:

– Proszę pani, Rudowa już blisko, pozostaje jedna stacja. Stefcia zerwała się i otworzyła oczy.

– Rudowa?... Już? Dobrze, dziękuję.

Zaczęła spiesznie wyjmować z torebki swe przybory toaletowe, a widząc, że jest przedmiotem nieustannej uwagi ze strony dwóch pań i młodego człowieka, wyszła z przedziału. Gdy w kilka minut potem powróciła już uczesana i umyta, wyglądała świeżo, przypominając jakiś biały, smukły kwiat.

Młodzieniec czym prędzej ściągnął binokle, by się lepiej przyjrzeć, obie panie patrzały na nią z podziwem. Świst lokomotywy oznajmił bliskość Rudowy. Stefcia trochę drżała. Włożyła żakiet, kapelusz i zaczęła zapinać rękawiczki. Pociąg zwalniał biegu, a jej stanął w myśli pierwszy przyjazd z panią Elzonowską. Wówczas, jadąc od kolei, na granicy Słodkowic poznała Waldemara. Jechał amerykanem, sam powożąc karą czwórką. Od pierwszego wejrzenia podobał jej się bardzo, głównie z niedbałej a wytwornej elegancji, ale już witając się spojrzał na nią oczyma, w których dojrzała szyderstwo, i to ją zmroziło.

Jego silny, męski uścisk dłoni pamięta doskonale. Jednak zanim dojechali do Słodkowic, już czuła do niego dziwną niechęć.

A teraz?... a teraz?...

– Boże! czy tamte czasy istniały? – pytała siebie.

– Mamo, mamo! jakie śliczne konie na stacji i kareta! – zawołała młoda panna, stojąc przy oknie.

– Bardzo ładne czyjeś araby, cała czwórka siwych – potwierdził jej brat. Stefcia zadrżała.

Czyżby z Głębowicz?... – przemknęło jej przez głowę. Przeciągły gwizd, dzwonek, stuk hamulców – i pociąg stanął. Stefci serce biło zdwojonym tempem.

Do przedziału wpadł tragarz.

– Czy są konie ze Słodkowic?

– Jest, proszę jasnej pani, „karyta” z Głębowicz i sam jaśnie pan ordynat. Ze Słodkowic jest tylko panienka baronówna. A ot idzie... pan strzelec.

Posługacz, najwidoczniej z nadmiaru zadowolenia, sadził się na tytuły.

Ustąpił z pośpiechem przed olbrzymią postacią strzelca Jura, który wyglądał jak generał na paradzie.

Olbrzym uśmiechnął się do Stefci, zdjął stosowany kapelusz i skłonił się nisko, z uszanowaniem.

– Co pani rozkaże zabrać?

Stefcia podała mu ręczną torbę. Walizkę porwał tragarz. W tej chwili wszedł Waldemar.

Przywitali się w milczeniu, ale z nie dającym się ukryć wzruszeniem. Stefcia poczerwieniała.

On pocałował jej rękę gorąco, unosząc czapkę nad głową. Było tyle wyłącznej nuty w ich powitaniu, pozornie chłodnym, że odczuły ją nawet obecne panie i pewny siebie młodzieniec.

Zamienili z sobą bystre spojrzenie: „Narzeczeni” – mówili sobie oczyma. Olśniły ich konie, kareta. Jur, tytuły, wreszcie pańska postawa ordynata. Waldemar zwrócił się do strzelca:

– Niech kareta podjeżdża.

– Jedziemy natychmiast. Pani wydaje mi się zmęczona – rzekł do Stefci.

– Jak pan chce – odrzekła cicho.

Wychodzili z przedziału. Stefcia z uśmiechem skłoniła się towarzyszom podróży. Widząc to ordynat uniósł z lekka czapkę.

Panie odkłoniły się nadzwyczaj uprzejmie, młodzieniec hałaśliwie zaszurgał nogami. Zdziwiła ich grzeczność młodej pary, zwłaszcza tak wspaniałej.

Wbiegła Lucia.

– Ależ marudzicie państwo! – zawołała rzucając się na szyję Stefci. – Waldy kazał mi tam czekać w sali... nie mogłam wytrzymać. Stefa! kochana! miła! jak dobrze, że już jesteś...

Ucałowały się serdecznie.

Wyszli z wagonu. Na peronie oczekiwał Jur i Jan, lokaj ze Słodkowic.

– Jechaliśmy z jakąś arystokratką, nie ulega wątpliwości – rzekła starsza dama, gdy zostali sami.

– To są narzeczeni. Jakiś widać bardzo bogaty pan. Ładna para! Stanęli w oknie.

Kareta odjechała pierwsza, za nią potoczyły się sanie z Janem i rzeczami. Lucia opowiedziała Stefci o chorobie pana Macieja i o swej tęsknocie.

– Jak się ma obecnie pan Michorowski? – pytała Stefcia. Lucia się zaperzyła.

– Dlaczego nie mówisz dziadzio, jak dawniej?

– No więc dziadzio, czy już zdrowszy?...

– O tak, i ciągle panią wspomina. – Waldemar odrzekł, patrząc na Stefcię palącym wzrokiem.

Jego spojrzenie dziwnie miękko ogarniało jej postać. Tylko na krepowy welon spoglądał z marsem. Przykro go dotknął jej strój żałobny. Lucia zawołała, jakby odgadując jego myśli:

– Stefa, po co tobie ta krepa? Ładnie wyglądasz w niej, ale to straszne! Po babce nie nosi się welonu.

– Ja ją bardzo kochałam. Zresztą niedługo będę nosiła.

Chciała powiedzieć: „Niedługo będziesz mię już widziała” – ale wstrzymała się. Na samo wspomnienie łzy jej napłynęły do oczu.

Nie wyobrażała sobie chwili rozstania.

Waldemar był milczący, Stefcia również. Oboje czuli, że coś stanęło między nimi, i odgadywali co. Tylko Lucia rozgadała się jak nigdy.

W Słodkowcach zaledwie wysiedli z karety i Jacenty uradowany ucałował ręce Stefci, ukazał się stary kamerdyner pana Macieja, podszedł wprost do niej i nachylając się, szepnął:

– Starszy pan prosi panią do siebie. Jest w swoim gabinecie.

Dziewczyna zbladła, lecz odważnie poszła naprzód, nie rozbierając się wcale. Waldemar ją dogonił.

Byli sami w małym, stylowym saloniku. Wziął jej ręce i przytulił do ust.

– Panno Stefanio, czy pani wie wszystko?...

– Wiem – odparła ze drżeniem. Popatrzał w jej oczy długo, przeciągle.

– Poznałem to od razu w wagonie. Biedactwo!... Ale niech się pani nie rozdrażnia, bo i dziadzio jest niesłychanie wstrząśnięty. Proszę to zrobić... dla niego i być spokojną.

Odprowadził ją aż do drzwi gabinetu.

Pan Maciej siedział w fotelu. Trzy tygodnie sprawiły na nim różnicę wielką: zbladł i włosy zbielały mu jeszcze więcej; pochylił się, zgarbił, miał wygląd bardzo stary. Stefcia na jego widok nie wytrzymała. Łzy zalały jej oczy, pędem podbiegła do staruszka, uklękła przy jego kolanach i twarz schowała w dłoniach, chcąc stłumić płacz.

Pan Maciej trzęsący się otoczył ją ramionami.

Po tym wybuchu Stefci zrozumiał, że ona już wie wszystko. Coś jakby łkanie jęknęło w jego starej piersi.

– Dziecko, ty płaczesz? Więc ty wiesz? Od kogo? Skąd?...

– Z jej... pamiętnika.

Zapanowało milczenie – ciężki, głuche. On znał ten pamiętnik!

– Pisałaś.. do Luci, że zmarła nagle na serce... Czy była przyczyna? – spytał zmienionym głosem.

Stefcia zawahała się.

– Mów, dziecko... mów wszystko... chcę wiedzieć, widzisz – jestem spokojny.

Stefcia opowiedziała, że babka, bawiąc za granicą, nie miała dokładnych wiadomości, gdzie się ona znajduje, i dopiero list ojca, w którym wymienił nazwisko Michorowskich...

Umilkła, nie chcąc wyjawić, że to właśnie przeraziło babkę. Nie chciała wymieniać szczegółów, gdyż występował w nich Waldemar.

Ale pan Maciej dopowiedział sobie resztę, pochylił głowę i ciężko oddychał, po czym mówił z ogromną goryczą:

– Więc nie przebaczyła... pamiętała zawsze... samo nazwisko przeraziło... bała się o wnuczkę, że jest wśród nas.

Stefcia przylgnęła ustami do jego ręki. Czuła, że kocha tego starca.

– Nie, dziadziu, ona przebaczyła wszystko... sama cierpiała, nawet rodzone dzieci nie wiedziały nazwiska do końca.

– Jednak bała się nas... bała się o ciebie. Dlaczego? Stefcią wstrząsnął dreszcz.

– Czyżby?... – szepnął pan Maciej.

Starzec nagle zrozumiał, przed oczyma jego stanęła postać Waldemara. Zadrżał.

– Tak, to być musiało główną przyczyną jej obawy. Prawda! prawda!... sam fakt istnienia młodego ordynata Michorowskiego obok jej wnuczki musiał ją przerazić.

Starzec wyprostował się. W zapadłych oczach palił się ponury ogień ciężkiej zgryzoty. Położył rękę na ramieniu Stefci.

– Wstań, dziecko, idź do Idalki. A nie zapomnij o starym dziadziu, masz do mnie zawsze wstęp.

Stefcia ucałowała jego ręce i cicho wyszła z gabinetu. Pan Maciej ścisnął głowę rękoma.

– Znowu to samo... powtórzenie minionych lat, pogrzebane chwile wróciły. To ją zabiło! pamiętnik... nieszczęsny... został! moje świadectwo! Stefcia go czytała... Chryste! – jęczał chrapliwie.

Po długiej minucie nacisnął guzik elektrycznego dzwonka, umieszczonego na poręczy fotela.

Stary kamerdyner wsunął się bez szelestu.

– Co robią państwo? – spytał pan Maciej.

– Panienki są u pani baronowej na górze, a pan ordynat w swoim gabinecie; polecił mi zawiadomić, jak wyjdzie panienka. Czy mam prosić?

– Nie, nie trzeba! Obiad prędko?

– Zaraz podają.

– Niech Franciszek przeprosi panią baronową – nie będę dziś na obiedzie.

– Jaśnie pan nie zażywał jeszcze bromu.

– Dobrze, dobrze, podaj.

Kiedy służący wychodził, pan Maciej zatrzymał go jeszcze.

– Chcę być sam. Proszę powiedzieć panu ordynatowi, żeby po obiedzie... i... po czarnej kawie był łaskaw przyjść. Teraz nie.

Franciszek wyszedł mocno zgorszony i zdziwiony, że jego pan nie chce widzieć nawet ukochanego wnuka. Nie mogło mu się to w głowie pomieścić.

Wzruszył ramionami i mruknął do siebie:

– Tu się jakieś niedobre rzeczy dzieją.

# VII.

Działo się istotnie źle. Wieczorem tego samego dnia Stefcia z Lucią, siedząc przytulone do siebie na małej kanapce w pokoju Stefci, obie płakały. Lucia wyrzekała:

– Ach, Stefa! nigdy nie myślałam, że mię tak nagle opuścisz. Więc nie kochasz już? Skąd ten nagły projekt wyjazdu?

Stefcia płakała. Serce jej się krajało na myśl opuszczenia Słodkowic. Ale jednocześnie bała się pozostać dłużej. Sam widok Waldemara wstrząsnął nią. Rozmowa z panią Idalią zmęczyła Stefcię. Baronowa nie chciała słuchać o jej wyjeździe, a widząc stanowczość dziewczyny, postanowiła zbadać prawdę. Stefcia jednakże prawdy wyjawić nie mogła i podawała za powód to, że rodzice żądają jej powrotu. Pod wpływem córki baronowa stała się niewzruszona.

– Stefciu, powiedz, że tylko żartowałaś, powiedz, że zostaniesz z nami – błagała Lucia.

– Nie, nie mogę ci obiecywać. Nie żartuję. Muszę jechać, muszę!

– Więc tak ci źle u nas?

Stefcia okryła dziewczynkę pocałunkami.

– Nie mów tak, Luciu, bo mię to rani. Dobrze mi u was, bardzo dobrze i nigdy was nie zapomnę, ale muszę wracać do rodziny.

Lucia wybuchnęła:

– Ależ my cię kochamy jak swoją! Stefa, czyż nie jesteś jak w rodzinie? I ja cię kocham, i dziadzio, i mama cię często wspominała. Tęskniłam do ciebie jak do siostry. Stefciu, rzuć te myśli! Widzisz, zaraz po świętach Bożego Narodzenia wyjeżdżamy na Riwierę do Nizzy, do Włoch, do Rzymu, do Wenecji, będziemy i w Paryżu, i w Wiedniu, i w Szwajcarii. Stefciu, bój się Boga! i ty byś miała z nami nie jechać? Ja tak o tym marzyłam. Nie widziałam jeszcze tamtych krajów, a z tobą tak by nam było przyjemnie. Stefa! zastanów się! Nie tylko my jedziemy, ale jedzie i dziadzio, i Waldy, a już jak on będzie z nami, możemy być pewne świetnej zabawy. Będziemy używały, Stefa! Ale... jak nie pojedziesz, to i Waldy zostanie.

Stefcia drgnęła.

– Co ty pleciesz, moja Luciu!

– Wcale nie plotę, mówię prawdę. Jak ty pojedziesz, pojedzie i Waldy. W przeciwnym razie nie – już ja to wiem.

Stefcia spojrzała ukradkiem na zapłakaną twarzyczkę Luci: ujrzała na niej smutek i zamyślenie.

Więc już i to dziecko czegoś się domyśla? Stefcię ogarnęła rozpacz.

– Muszę uciekać, muszę!...

Ale stanęły jej w myśli nieznane kraje, morza, góry, wielkie miasta, centra cywilizacji, o których tyle marzyła. I ona byłaby wśród tych cudów i... z nim! Tyle szczęścia, takie niesłychane spełnienie marzeń, i wszystko od niej zależy, od jej postanowienia, od jej woli. Usta Stefci uśmiechnęły się, już chciały wypowiedzieć: „zostanę”. Lecz nagle jak na jawie ujrzała przed sobą Waldemara. Jego spojrzenie oblało ją warem. W uszach słyszała słowa Luci: „Jak ty pojedziesz – pojedzie i Waldy”. Chwila wahania minęła. Stefcia podniosła hardo głowę i rzekła z mocą:

– Nie mogę. Muszę wracać! Będę z tobą, dziecko, korespondowała. Bądź ze mną szczerą, wszystko mi zwierzaj, co cię boli i cieszy. Smutno mi opuszczać twoją młodą duszyczkę, która się tak ładnie budzi do życia, ale muszę, Luciu, muszę!

W parę dni potem był wielki obiad proszony w Głębowiczach z powodu wyboru Waldemara na prezesa towarzystwa rolniczego. Ze Słodkowic pojechał pan Maciej, baronowa i pan Ksawery, Stefcia z Lucią zostały.

Pod wieczór kazały sobie zaprząc do małych sanek i pojechały na spacer. Stefcia powoziła parą siwych kuców. Jechały ostro po wybornej sannie, śnieg skrzypiał pod płozami, spod kopyt koni wylatywały zbite grudki śniegu, rozsypując się na szafirowej haftowanej siatce. Dzień był jasny, mroźny, pełen bieli, błękitów i przestworzy powietrznych. Stefcia zapomniała na chwilę o swych zmartwieniach i dała się porwać urokowi ślicznej pogody zimowej,

rozmawiając dość wesoło. Lucia, zasępiona, rzucała ponure spojrzenia na towarzyszkę. Nagle wybuchnęła głośnym płaczem:

– Luciu, co ci to? – pytała Stefcia – czego płaczesz?

– Bo ja nie mogę myśleć, że ty chcesz wyjechać, i tak mi smutno, a tyś wesoła – nic ja ciebie nie obchodzę.

– Ależ, dziecko, i mnie ciężko... oj! jak ciężko! Rozweseliłam się, bo tak ładnie na świecie. Czy myślisz, że mi wesoło was porzucać? oj, Lucia! Lucia!...

Tyle prawdziwego żalu brzmiało w jej głosie, że dziewczynka spojrzała na nią ciekawie.

– Więc czemu jedziesz?

Stefcia zacięła kuce i nic nie odpowiedziała. Lucia pokręciła głową.

– Ty coś przede mną ukrywasz, Stefa, nie chcesz być szczerą, a ja... ja może lepiej zgaduję, niż sądzisz, powody twej ucieczki. I tak mi żal! Ja już wiem, jak tu smutno bez ciebie. Żebyś wiedziała, jak tu było ponuro przez te trzy tygodnie twej nieobecności! Ach Boże! dziwię się, że nie zwariowałam.

– Luciu, przesadzasz! – zawołała Stefcia, udając swobodę. Wstrząsnęło nią słowo „ucieczka”.

– Przesadzasz – powtórzyła.

– Ani trochę! Nie masz pojęcia, co za smutek! Najpierw zaraz po twym odjeździe, może zaledwo wyjechałaś za bramę, zachorował dziadzio. Miał jakiś straszny atak nerwowy. Waldy go na rękach przyniósł do sypialni. Mama się przestraszyła, dostała spazmów i także zachorowała. Waldy chodził ponury, zły, bałam się do niego przemówić. Przez cały czas choroby dziadzia prawie go nie odstępował. Odwiedzał i mamę, ale rzadko. Raz przemówili się z mamą dość ostro. Słyszałam, jak mama mówiła: „To dzieciństwo, niewarte pamięci”, a Waldy, bardzo widać oburzony, odrzekł: „Trzeba nie mieć sumienia, żeby tak sądzić jak ciocia”. Ja wiem, o co się sprzeczali, bo ja wiele rzeczy odgadłam i usłyszałam. Wiem, co spowodowało chorobę dziadzia, ale nic nie mówię, bo ciągle i ty przede mną milczysz. Potem, kiedy już dziadzio wyzdrowiał, ciągle był smutny. Waldy przyjeżdżał rzadko i zawsze zły. Tylko przez telefon dowiadywał się o zdrowie dziadzia. Pewnego dnia przyjechał po obiedzie, kiedy wszyscy spali. Zobaczywszy sanki, obszukałam cały pałac, nie znajdując go nigdzie. Zastałam go niechcący... w twoim pokoju. Siedział na kanapce pod oknem i trzymał w ręku... zgadnij, co?...

Stefcię przebiegały dreszcze. Opowiadanie dziewczynki obudziło w niej wszystkie wrażenia i bóle jej duszy.

– Nie wiem – odrzekła.

– Twoje korale.

– Korale?...

– Tak, wyjeżdżając spieszyłaś się bardzo i nie schowałaś ich: leżały na konsolce pod lustrem. Waldy siedział z głową opartą na jednej ręce, w drugiej trzymał korale i przewijał je sobie przez palce, pieścił się nimi. Był tak zamyślony, że ledwo mię spostrzegł. Widziałam, że się rozgniewał na mnie za

to, że weszłam, ale nie okazał mi tego. Wstał, położył korale na stoliku, ucałował mię, a potem rozejrzał się po pokoju i powiedział: „Trzeba ten pokoik ubrać kwiatami na przyjazd panny Stefanii”. Te kamelie i białe rododendrony, co u ciebie stoją, to on kazał przynieść. Tę palmę przy lustrze sam ustawiał. Oglądał ciekawie twoje malowidła pastelowe i kredkowe szkice, a ten duży karton, który szkicowałaś w Głębowiczach, fragment z parku z widokiem na rzekę, zabrał ze sobą. Bardzo mu się podobał. Widzisz, Stefa, i Waldy tęsknił za tobą.

Lucia umilkła. Stefcia siedziała cicho, wzruszona i przygnębiona zarazem.

Więc on się nawet nie ukrywał? Więc on tęsknił za nią, był w jej pokoju, trzymał w ręku jej korale, pokój ozdobił kwiatami?...

Stefcia musiała użyć całego panowania nad sobą, żeby nie zapłakać z radości, z goryczy, z tysiąca uczuć pomieszanych razem.

Wtem Lucia odezwała się niespodziewanie:

– Stefa, powiedz szczerze, który przystojniejszy: Waldy czy Prątnicki?... Stefcia zatrzęsła się.

– Ach! Luciu, nie porównywaj Prątnickiego z panem Waldemarem!

– Jednak tamten przystojniejszy! Edmund jest piękny jak obrazek, ale powiem ci szczerze, Stefa, że teraz, kiedy już o nim zapomniałam, wolę Waldemara. Ten ma urodę bardziej męską i pańską, nieprawdaż? Prątnicki przy nim jak ładna lalka. Gdyby Waldy był mi obcym, szalałabym za nim. On ma w sobie coś takiego, je ne sais quoi! Dziwnie umie porywać.

Stefcia bała się spojrzeć na Lucię. Czuła tylko, że łuna uderza jej na twarz. Dziewczynka po chwilowym milczeniu rzekła znowu:

– Waldy ogromnie może się podobać. Są dowody. Kocha się w nim panna Rita i ta oślica Barska, której się zdawało, że na jej skinienie on padnie przed nią plackiem. Ale się nie udało. Podobno kocha go i hrabina Wizembergowa, i księżna Krysta Turyńska, i wiele innych. Są takie, co liczą na jego miliony, ale Waldy ma dobre oko, od razu takie pozna. Barska może go i kocha, ale właśnie chciała być głównie ordynatową i panią Głębowicz, a Waldy to zwęszył i dał kosza.

– Źle się wyrażasz, Luciu. Zresztą skąd wiesz? Przecie się tobie nie chwalił.

– On nie, ale to każdy zrozumiał w Głębowiczach. Łapała go do obrzydliwości, kokietowała, a potem chodziła jak struta. Słyszałam raz, jak Trestka mówił do Rity: „W Barską strzelił ordynacki piorun”. Aha! do czegóż by się to stosowało więcej?

Stefcia uśmiechnęła się.

– Hrabiego Trestkę poznałabym tylko po jego dowcipie.

– Lubisz go?

– Owszem, bardzo, chociaż mi czasem dokuczał.

– I on ciebie lubi. Przyjeżdżał odwiedzać dziadzia. Pytał się o ciebie, kiedy wracasz, nawet jak na niego bardzo serdecznie. Ale go teraz nie ma w domu. Pojechał do Berlina. Mówił, że po zaręczynowy pierścionek.

– Doprawdy?

– Ale co znowu! Rita go nie chce. Może wtedy za niego wyjdzie, jak się Waldy ożeni. A że to prędko nie nastąpi...

– Dlaczego?

– Bo on niełatwo znajdzie sobie żonę, choć każda chętnie by nią została. A szczególnie teraz Waldy...

Lucia słodkim, cichym ruchem przygarnęła się do Stefci i rzekła niespodziewanie:

– Stefa, bądź ze mną szczera, jak cię tak kocham... bądź szczera.

– Czego chcesz Luciu? – spytała Stefcia łagodnie.

– Powiedz... ty wiesz, że Waldy się w tobie kocha?

– Luciu, na Boga! nie mów tego nigdy! daj mi słowo, że podobnych rzeczy nie będziesz mówiła.

– Nikomu więcej, ale tobie. Zresztą dużo osób o tym wie. Podobasz mu się bardzo od dawna i kocha cię. A ty, Stefa?... To niemożliwe, żebyś była obojętna! Kochasz go również... prawda?...

Stefcia zrozumiała, że jej tajemnica została odgadnięta, że Lucia pyta umyślnie, ale że wie wszystko... Co począć? Dusiły ją łzy, dusił żal do Luci i do siebie samej. Milczała, wiedząc, że tym potwierdza prawdę.

Nagle zabrzęczały brązy uprzęży, zaskrzypiał śnieg, zaparskały konie i zrównał się z ich saneczkami strojny zaprzęg panny Rity. Stangret wstrzymał rozpędzone konie.

Stefcia ściągnęła lejce kuców z wielką wewnętrzną radością. Pannę Szeliżankę uważała w tej chwili za swą wybawicielkę.

– Jak się macie? jak się macie? – wołała Rita, wychylona z sanek, podając rękę Stefci i Luci. – Jadę właśnie do Słodkowic. Dobrze, że was spotkałam. Naturalnie wracamy razem, bo ja mam dość spaceru.

– Myślałyśmy, że pani w Głębowiczach.

– Miałam tam być z ciocią, ale przyjechali Franiowie Podhoreccy i oni mię zastąpią.

– Waldy będzie zmartwiony – rzekła Lucia. Panna Rita zmarszczyła brwi.

– Obejdzie się! – odparła z irytacją. Stefcia potrząsnęła lejcami.

– Więc wracamy. Pani nas wyprzedza, bo nasze kuce nie wygrają wyścigu z jej końmi.

– Ja mam inny projekt: wy obie siadacie ze mną, a waszego pająka odprowadzi Karol. Lokaj natychmiast zeskoczył z kozła.

Stefcia usiadła obok panny Rity, Lucia na koźle, zwrócona do nich twarzą.

Rozmawiały niby wesoło, ale przymus jakiś tamował zwykłą swobodę. Panna Rita była kwaśna, Stefcia roztargniona, Lucia smutnie zwiesiła główkę. Kiedy na pytanie Rity Stefcia mówiła jej o bytności w Ruczajewie, młoda panna nie spuszczała z niej oczu, jakby chcąc wyczytać wszystkie jej myśli. Ale gdy Lucia z żalem opowiedziała o projekcie wyjazdu Stefci, panna Rita drgnęła.

– Jak to, pani jedzie?... ależ dlaczego?...

– Rodzice tego żądają i ja sama postanowiłam nieodwołalnie.

Powiedziała to w ten sposób, że panna Rita i Lucia umilkły. Dziewczynce łzy zakręciły się w oczach.

W Słodkowcach panna Szeliżanka została na noc. Wieczorem obie ze Stefcia grały w bilard. Lucia przy kominku w sąsiednim salonie siedziała spłakana.

O wyjeździe Stefci nie było już mowy. Panna Rita odgadła powód. Od pani Idalii wiedziała, że Stefcia jest wnuczką Korwiczówny.

– Czy wie pani, dlaczego głównie do Głębowicz nie pojechałam? – mówiła Rita – oto dlatego, że będą tam wygłaszane różne pompatyczne mowy na cześć ordynata, że będą mu kadzić, a on tego nie lubi i zawsze jest wówczas zły. Tym wszystkim panom zdaje się, że mu koronę na głowę włożyli wybierając go na prezesa. Postąpili mądrze i sprawiedliwie, ale to nie łaska, to mu się należało. Jest najlepiej myślący z nich wszystkich, a stanowiskiem jeden z najwyższych. Ten wybór nie był dla niego niespodzianką i dla nikogo. Tymczasem posypią się mowy, toasty wielce wzruszające, wielce podniosłe i szumne, a ten, który będzie najgłośniej krzyczał, z pewnością po cichu zgrzyta zębami z gniewu, że ordynat znowu wypłynął na widownię, a on siedzi w kącie. Ba! nawet gotów wymyślać na sprawiedliwość, nazywać ją ślepą, wygadywać na poparcie milionów, tylko sobie nie przyzna, że jest filistrem. I ordynat przez prostą światową grzeczność musi takiemu panu dziękować za jego tyradę. Całe szczęście, że się z tym prędko załatwia: jego mowy, zwłaszcza dziękczynne, są zawsze krótkie i zwięzłe.

– Ależ prócz podobnych mówców są zapewne i poważni, jak książę Giersztorf, młody hrabia Mortęski. Ich mowy muszą być ciekawe i bez pochlebstw. Takie miło usłyszeć, zwłaszcza że pani ordynatowi... sprzyja...

Stefcia zacięła się.

Panna Rita wpiła w nią oczy.

– Niech pani się nie żenuje swych słów i mnie. Ja nie tylko sprzyjam ordynatowi, ale kocham go, nie umiem patrzeć obojętnie na niego i na to, co go otacza. A jeszcze jeden powód, że nie jestem na obiedzie, to nieobecność Trestki.

Stefcia mierzyła właśnie młotkiem do kuli – stanęła zdumiona.

– Trestki?...

– A tak: niech pani nie sądzi, że mam połowiczność uczuć, nie. Trestka niekiedy bywa koniecznym, przywykłam, do jego asysty, innej nie znoszę. Jak on jest ze mną, zabezpiecza mię już od wszelkiej. Wyjątek robię jedynie dla ordynata, lecz... tu zmieniają się role: ordynat nie dba o mnie.

– Bardzo panią lubi i ceni – rzekła Stefcia z żywością. Zrobiło jej się przykro, bo w głosie panny Rity odczuła smutek i żal.

Młoda panna wybuchnęła śmiechem.

– Czy to ma być pociecha dla mnie? Jakaż marna! mętna woda zamiast wina! Lubi mię, nie przeczę, ale woli swoje konie, nawet Pandura. A że ceni? zapewne, tym więcej że zna moje uczucia. Jest bardzo delikatny i nigdy mi

nie da poznać, że wie o nich. Powtarzam to, co już kiedyś mówiłam. Ten człowiek wybierze sobie kobietę zupełnie swoją, dla niego stworzoną, która mu będzie odpowiadała urodą, typem, temperamentem, słowem, wszystkim. Będzie to wyłącznie jego kobieta. Wszystkie najpiękniejsze świata całego mogą się o niego ocierać – mówię trywialnie, mniejsza o to! – i żadna nie wzbudzi jego uczuć, prócz może chwilowego zapału krwi, ale to inna rzecz. On wybierze sobie kobietę, którą zechce nazwać żoną, nie wśród głośnych nazwisk i partii, nie wśród tytułów, ale tam... gdzie się nikt nie spodziewa, i... pierwsza przed tą kobietą gotowam zniżyć głowę.

Rita umilkła. W ciszy rozlegał się tylko stuk młotków o kule, bo panny grały zawzięcie. Nadeszła Lucia. Po jakimś czasie, Rita, nachylona nad zielonym suknem, rzekła jakby do siebie:

– A ja taki typ znam... jego typ. I jeśli się sprawdzi...

Nie dokończyła. Zaczęła mówić o czym innym. Lucia popatrzyła uważnie na Ritę, potem na Stefcię i wolno, ze zwieszoną główką odeszła znowu do kominka.

Pan Maciej i pani Idalia nocowali w Głębowiczach. Powrócili na drugi dzień rano. Baronowa, rozbawiona, opowiadała z ożywieniem szczegóły obiadu. Pan Ksawery przytaczał niektóre mowy, kiwał przy tym łysiną, powtarzając:

– Tak, tak, ordynat ma zasługi. O! to dzielny pan, hojny, energiczny! Tylko wczoraj nie był w dobrym usposobieniu.

– A tak, jego humor nawet raził – potwierdziła pani Elzonowska.

Panna Szeliżanka zagryzła wargi i bokiem nieznacznie spojrzała na Stefcię. Pan Ksawery mówił dalej:

– W ostatnich czasach ordynatowi trafia się to często. Wczoraj odgrywał rolę uprzejmego gospodarza, chociaż z przymusem.

Spod krzaczastych brwi spojrzał w posępną twarz pana Macieja i dodał:

– I pan dobrodziej niewesoły. Może jaka zła wieść?... Pan Maciej uśmiechnął się.

– Zaraziłem się od wnuka – odparł.

Obiad przeszedł sennie. Tylko pani Idalia i pan Ksawery rozmawiali ciągle o Głębowiczach.

Po obiedzie panna Rita odjeżdżała.

– My już chyba zupełnie pożegnamy się – rzekła do niej Stefcia z bolesnym uśmiechem.

– A niechże Bóg broni! Przede wszystkim sądzę, że Idalka pani nie puści. Zresztą ja tu wpadnę jeszcze i... w razie czego, pani chyba pożegna osobiście moją ciocię w Obronnem.

– A prawda! księżna była dla mnie zawsze tak łaskawą.

– Bardzo panią lubi – odrzekła Rita, całując Stefcię serdecznie.

## VIII.

Przeszedł jeden dzień, smutny i posępny.

Stefcia pakowała rzeczy. Ostatnia jej rozmowa z panią Elzonowską była bardzo stanowcza.

– Niech mi pani wyjawi właściwy powód – mówiła baronowa, szczerze zmartwiona. – Ja nie pojmuję tego uporu. Czy może z Luci pani jest niezadowoloną? Stefcia żachnęła się.

– Luci mi bardzo żal. Pokochałam ją. Żal mi opuszczać państwa, ale ja muszę, muszę koniecznie.

Pani Idalia spojrzała na nią uważnie.

– Mamy jechać na Południe. Liczyłam na to, że pani Luci nie opuści.

– Znajdzie pani inną nauczycielkę.

– Comme vous êtes ridicule! pani nie uważamy za nauczycielkę, ale za towarzyszkę Luci, za jej przyjaciółkę. Ona do pani niesłychanie przywiązana. Brak jej wszelkiego towarzystwa. Pani jest dla nas jedyną. W Luci widzę wielką różnicę, znać dobry wpływ. Jej umysł rozwinął się lepiej niż przez te wszystkie lata, dzięki pani inteligencji. Nie! pani nas nie powinna opuszczać!

Baronowa objęła Stefcię i z miłym uśmiechem pocałowała ją w czoło.

– Niech się Stenia nie upiera, bo ją tu bardzo lubimy i smutno nam byłoby bez niej.

Stefcia odczuła jej chwilową serdeczność, chciała się do niej przytulić, ale nie miała odwagi. Pani Idalia zawsze ją mroziła.

Rzekła więc tylko:

– Nie zapomnę państwa nigdy, będę z Lucią korespondowała, ale... jechać muszę! Pani mi wybaczy, że zrywam przed rokiem jednak... to już konieczne.

Pani Elzonowską spochmurniała.

– A może pani ma jakie skrupuły ze względu na tę... dziwną historię mego ojca i zmarłej babki pani? Niechże się pani tym nie przejmuje. To są rzeczy zapomniane, pogrzebane! Śmierć pani Rembowskiej podziałała na ojca dosyć żywo, nie przeczę – głównie bytność pani, jej wnuczki, w naszym domu. Ale teraz ojciec już jest uspokojony, będzie mu przykro, skoro pani odjedzie. Przecie pani nie ma racji uciekać od nas dla jakiejś przestarzałej historii. Stefcia uśmiechnęła się gorzko. Ogromna przykrość zgłuszyła w niej wszelkie inne uczucia. Pani Idalia spostrzegła ten wyraz na jej twarzy, patrzyła na nią badawczo.

Stefcia spuściła oczy. Mocny rumieniec opływał ją zwolna, usta jej drżały. Całą postacią i tym rumieńcem zdawała się mówić:

– Ta przestarzała historia właśnie mię wypędza, ona jest powodem mej obawy, boję się, by nie zmartwychwstała.

Długi czas siedziały naprzeciw siebie bez słowa. Duże piwne oczy pani Idalii, wpatrzone w Stefcię, zwężały się coraz bardziej i na twarzy pozostały tylko wąskie, brązowe szpareczki. Jedna brew drgała nerwowo. Baronowa białą ręką bawiła się złotym łańcuszkiem od zegarka, głęboko coś rozważając.

Stefcia wolno i poważnie podniosła na nią oczy, błyszczące wilgocią łzawej

powłoki. Pani Elzonowska powstała.

– Stanowczą odpowiedź dam pani jutro. Tak od razu nie mogę... pani pojmuje?... Dziewczyna zrozumiała, że jest odgadniętą. Krew jej buchnęła do mózgu.

Matka Luci podała jej rękę już chłodniej niż przedtem.

Stefcia schodziła z wielkich schodów chwiejnym krokiem. W głowie jej szumiało.

Oparła się ciężko na aksamitnej poręczy.

– Trzeba jechać... jechać... na zawsze. Boże! Boże! daj mi sił!...

Jej postać odbiła się w wielkim lustrze wiszącym na zakręcie schodów. Stefcia ujrzała swą twarz zmienioną do niepoznania, bladą, z podkrążonymi oczyma i wyrazem bólu w tragicznych źrenicach.

Wtem dały się słyszeć za nią czyjeś kroki.

Obejrzała się. Młodszy lokaj zbiegł szybko ze schodów, przeskakując po kilka naraz. Za nim szedł Jacenty.

– Co się stało?

– Pan ordynat przyjechał.

Dziewczyna zadrżała. Zrobiła ruch jakby do ucieczki, ale nogi jej zaciężyły. Na dole szwajcar otwierał już drzwi.

Była na ostatnich stopniach, kiedy wszedł Waldemar.

Twarz mu zajaśniała, prędko zdjął czapkę i ściągnął rękawiczkę. Podała mu rękę.

On bez słowa przycisnął ją do ust, przy czym spojrzał na zmienioną twarz Stefci i brwi zbiegły mu się na czole.

Ona znikła w przyległych drzwiach. Wpadła do swego pokoju i cisnąc w dłoniach rozpalone skronie, zawołała z wybuchem płaczu:

– Boże! Boże! ratuj mię!...

Ogarnęła ją gorączka, działo się z nią coś niezwykłego. Na kanapce pod oknem, wtulona w kącik, siedziała płacząc i rozmyślając na przemiany, rada, że Lucię zatrzymała matka i że mogła być zupełnie samą.

Obudziło ją pukanie do drzwi.

– Kto tam?

– Ja, Jacenty. Kamerdyner wszedł.

– Pan ordynat pragnie się widzieć z panienką. Jest w białym salonie. Stefcia uczuła bolesny kurcz w krtani.

– Dobrze, idę zaraz.

Chwilę siedziała nieruchomo. Potem zbliżyła się do okna, przyciskając rozpalone czoło do szyby, otarła oczy i podbiegła do drzwi.

– Czego on chce ode mnie?

Cofnęła się, policzki ją paliły jak ogniem. Parę razy przeszła pokój, załamując dłonie.

– Boże! Boże! spokoju!

Otworzyła drzwi i nie oglądając się już, nie zatrzymując, biegła w stronę białego salonu. Na progu, w cieniu adamaszkowych zasłon stanęła zdyszana,

z bijącym sercem.

Waldemar zbliżył się do niej, wziął ręce i gorąco je uścisnął. Wymowne oczy wpił w jej spuszczone powieki. Rzekł pewnym głosem:

– Przejdźmy do oranżerii, tu obok. Tam spokojnie. Chcę panią o coś zapytać.

Puścił jedną jej rękę, drugą delikatnie wsunął sobie pod ramię i z pieszczotą przykrył ją dłonią. Stefcia, oniemiała, drżąca, dała się prowadzić bez oporu.

Czuła, że traci przytomność. Jego bliskość i uścisk upajały ją aż do zawrotu głowy. Weszli do strojnej oranżerii, przytykającej do salonu.

Kwitnące kamelie, rododendrony, wspaniałe mirty i cedry rzucały ruchome siatki na terakotowe uliczki. Słońce oświetlało szyby okien jaskrawym blaskiem.

Waldemar zamknął drzwi salonowe i wszedł w boczną uliczkę, obsadzoną kameliami. Szli w milczeniu, po czym on przemówił serdecznym, pieściwym tonem, pochylając do niej głowę:

– Czy pani istotnie chce wyjechać? Czy to zamiar prawdziwy, stanowczy?

Stefcia odzyskała mowę.

– Najzupełniej stanowczy.

– Kiedy powzięty?

– Powróciłam już z tą myślą.

– Więc w domu zamiar powstał, w Ruczajewie? Silniej przycisnął jej rękę.

– Domyślałem się, że wypadki ostatnie źle na panią wpłyną, ale... czy pani sądziła, że ja pozwolę na jej wyjazd?... na taki wyjazd?...

Stefcia osłupiała. Odrzekła drżącym głosem:

– Wzbronić mogłaby mi pani Elzonowska, pan... nie. Waldemar zwolnił kroku.

– Ciotka? Zapewne z innych względów. Ale ja panią kocham... i wyjechać stąd może pani tylko... moją narzeczoną.

Powiedział to z energią, w sposób trochę nerwowy. Stefcia zmartwiała. Płomień gorący ogarnął jej mózg. Ukwiecone kamelie zaczęły jej wirować w oczach. Rękę przesunęła po skroni.

– Jak to... pan... mnie?

On pochylił się nad nią. Jego niski głos brzmiał teraz miękko, tkliwie.

– Kocham cię, jedyna. Czyś ty tego nie wiedziała? Chcę ciebie mieć, zostaniesz moją żoną... I ty mnie kochasz, dlatego uciekasz... ale tyś moja, moja!...

Wielkie szczęście bywa czasem tak potężne, że staje się cierpieniem. Uczucie Stefci w tej chwili było niemal bólem. Odurzenie trwało. Niespodziewane słowa Waldemara wlały do jej duszy tyle bezmiernej szczęśliwości, tyle światła, że dziewczyna straciła władzę nad sobą. Stała ogłuszona, jak wykuta z alabastru, tak białą powłoką zastygła jej twarz. Tylko oczy wielkie, pysznie ocienione, mieniące się ciemnym fioletem, patrzały w rozognione źrenice Waldemara z niemą prośbą, z bolesnym błaganiem, jakby mówiła nimi:

– Nie męcz mię! Nie wódź na pokuszenie!...

Pałający wzrok Waldemara pochłaniał ją, pieścił, całował. Ordynat mocno ściskał jej ręce i nachylony szeptał rozpalonymi ustami:

– Szaleję za tobą!... słyszysz? Musisz być moją i będziesz... Kochasz mię, ja wiem!...

Stefcia nagłym ruchem wyrwała ręce z jego dłoni. Olbrzymia fala szczęścia, szalony wir radości porwał ją huraganem.

Ognisty rumieniec oblał policzki. Chwyciła się za skronie i łapiąc szybko powietrze w rozchylone wargi, wyrzuciła z piersi wielki, potężny krzyk serca, niby hejnał dziękczynny:

– Boże! Boże! Boże!...

Waldemar porwał ją w ramiona, z ogniem w oczach, oszalały, wściekły.

Lecz w tej samej chwili błyskawicą stanęła w oczach Stefci biała postać jej babki w objęciach ułana, w ogrodzie śnieżewskim, przed laty. Rozpaczliwa siła oderwała ją od piersi Waldemara, zanim zdążyła złożyć na niej głowę zwichrzoną szczęściem, bezmiarem radości.

Wyrwała mu się, cofnęła gwałtownie, przerażona, oślepła z nagłej trwogi. Wysunęła naprzód ramiona, jakby się broniąc przed nimi.

Waldemar, zdumiony, znowu chwycił jej ręce i ścisnął jak w kajdanach.

– Co tobie?

– Ja pana... nie kocham... nie kochałam nigdy... nie! nie! – krzyknęła Stefcia głuchym, zmienionym głosem.

– Co tobie?... uspokój się!... co mówisz?...

– Nie kocham pana!... nie chcę!...

– To kłamstwo! – wybuchnął Waldemar. – Kochasz mnie i będziesz moją!

– Nigdy! nigdy!...

Drżała wzburzona bez granic, piersi jej gwałtownie falowały, oczy ciskały iskry.

Waldemar był straszny. Gniótł jej ręce powyżej dłoni, aż kurczyły się z bólu. Źrenice prawie czarne, pałające jak wulkan wpił w jej oczy i mówił chrapliwie:

– Musisz! musisz... bo ja tak chcę!

Nerwowy, podniecony śmiech wybiegł z ust Stefci niby jęk męczeński. Spojrzała mu w oczy jak zraniona i zawołała:

– Teraz... tak... a potem?

W pytaniu jej był cały dramat zmarłej babki.

Stefcia gwałtownym szarpnięciem wyrwała ręce z rąk ordynata i odskoczyła od niego. Zatrzymała się dumna, pewna swego zwycięstwa, ale wstrząśnięta do głębi duszy. Szalonym wysiłkiem woli uspokoiła głos i wyraz twarzy. Poważnie, wolno i dobitnie rzekła, nie patrząc na Waldemara:

– Nie kocham pana i... proszę zapomnieć o mnie.

Odwróciła się, podążając w stronę drzwi, zmieniona, ze zroszonym czołem od męki jaką sobie zadała, ale z dumnie podniesioną głową. Dopiero w białym salonie załamała ręce strasznym ruchem rozpaczy i pędem pobiegła do

siebie. Przed łóżkiem runęła na kolana. Przeraźliwy płacz buchnął z jej piersi.

– Skończone! skończone – jęknęła wśród łkań.

Waldemar pozostał jak wbity w ziemię. Jej okrzyk wypowiedział mu wszystko. Miała na myśli babkę i Macieja. Ostatnim słowom Stefci nie uwierzył. Przeciwnie – sposób, w jaki były wypowiedziane, utwierdził go w pewności, że ona go kocha. Ale patrzał na nią osłupiały z podziwu, gdy odchodziła. W oczach błysnął mu tryumf.

– Dzielna i dumna! – szepnął z uznaniem.

Stał, patrząc na rozhuśtane gałęzie kamelii, poruszone przez Stefcię, i z wolna twarz jego uspokoiła się, wzburzenie minęło.

Łagodny wyraz okolił jego wydatne usta, w oczach zadrgała tkliwość.

– Kocham ją nad wszystko... zostanie moją...

Przeszedł się parę razy po uliczce, mając pełne oczy, pełną duszę obrazu Stefci.

– A gdyby?...

Przyszła mu na myśl rodzina. Odmówią mu stanowczo. Co wówczas?... Dziki ogień błysnął mu w oczach. Brwi ściągnął groźnie.

– Zobaczymy! – syknął z wściekłością.

# IX.

Po straszliwym wybuchu płaczu Stefcia z klęczek osunęła się na podłogę i skulona wlepiła oczy w jasny, drgający promień, co jak rakieta wypadł z okna i szerokim pasem przerżnął pokój, rozświetlając delikatne pyły. Oczy Stefci pomimo łzawej mętni gorzały. Buchała z nich szalona miłością dusza, obudzony a palący żar młodej natury. Na ustach jej zakrzepły ból zmalał; rozchylał je teraz dziki krzyk wewnętrznej nawałnicy. Wrzała w niej męka i krew rozkipiała, bijąca ogniem na twarz. Dłonie łamały się w żywiołowej walce. Wszystkie siły duchowe Stefcia wezwała na pomoc. Za słabe były, nie mogły zwyciężyć. Miłość jej tragiczna, głęboka a poważna przez swą ciszę, gwałtownie, jak pożar od iskry piorunu, targnęła jej sercem, porywając w bezkresny wir zmysły i duszę. Pożoga olbrzymich uczuć zatrzęsła istotą Stefci, waląc w mózg niezmierną potęgą, płomieniem, niosąc z rozpędem huraganu gorące zarzewia do jej żył.

Krótka chwila uścisku Waldemara pozostała w nerwach. Stefcia czuła się opasaną żelaznymi okowami jego namiętnych ramion, czuła rozpalony oddech jego ust obok swej skroni przez jeden błysk oka.

Skąd przyszła ta siła, ta moc nieludzka, co ją wyrwała z tytanicznej władzy ukochanego? To rozpacz, to wizja przeszłości.

Stefcia wyjęczała rozdzierającą serce skargę:

– Kocham go do szaleństwa, bez pamięci! Jego być chcę, jego niewolnicą!

Wpychała chusteczkę w usta, aby nie skowyczeć z bólu, z pragnień słodkich, niosących

ją w zawrotną przepaść tęsknoty.

– Kocham go! Waldy! Waldy! mój panie!

Dygotała leżąc na ziemi, ale obuch groźnej prawdy uderzył w jej umysł brutalnie i otrzeźwił. Z rękoma przy skroniach dźwignęła się, uklękła. Oparta na krawędzi łóżka, odczuwała, jak wielka konieczność miażdży w niej wybuch szału, jak lodem ścina gotującą się krew i wolno, boleśnie, niby gradem ostrych kamyków pada jej na mózg.

Nie mogę, nie wolno mi!... muszę stąd jechać!...

– Muszę! – krzyknęła, powstając. Ale zachwiała się i padła na łóżko, twarz zanurzyła w poduszce.

– A on? On kocha... on szaleje! A on?! Uciec, uciec!... on zapomni!... wszystko runie!... Wiedziała, że nie, znając już potęgę jego miłości, nosiła ją w sobie, dopełniała własną.

Ale uciekać trzeba, zejść z oczu tych ludzi, zatrzeć ślad po sobie, uciec przed ukochanym, byle go więcej nie widzieć, byle nie czuć go blisko siebie. On ją chce mieć za żonę, ofiarował jej nazwisko z zupełną świadomością swych pragnień i uczuć, ale ona przyjąć go nie może. Stefcia rozumiała, że piękny gmach szczęścia z Waldemarem nie dla niej, że powinna go odsunąć dobrowolnie, choćby duszę swą miała rozszarpać na strzępy. Bała się ponownej rozmowy z nim, jego oczu, głosu, słów, dotknięcia ręki. Samo wspomnienie jego zmysłowych ust parzyło ją. Zamykała oczy, by odpędzić rozkoszną wizję jego drapieżnych źrenic. Stefcia miała wrażenie, że gdyby on zatrzymał ją w swych ramionach, byłaby już jego... że gdyby usta dotknęły jej ust, omdlałaby ze słodkiej, upajającej niemocy...

I ten błękitny sen własnoręcznie rozproszy – wszystko się skończy bezpowrotnie, zatarasowane barbarzyńskim murem niemożebności.

Potworne macki nieszczęścia wypełzały do Stefci groźne i nieubłagane, zabijając w niej życie. Sfera ordynata jak hydra złośliwa wciągnęła ją w siebie i piła jej krew ssawkami czaru aż do zatracenia. Uratuje się, wyrwie z tej przemocy, lecz poraniona, prawie martwa, uciekła potem gorzkiej niedoli, w zupełnej nędzy duchowej, z zanikiem wszelkich sił do życia. Drewnem zostanie, materią bez ducha i zmysłów; hydra zniweczyła w niej najistotniejsze atomy bytu, wchłaniając samoistne popędy i młodą moc natury. Wyznanie Waldemara było ostatnią macką hydry, wypijającą krew z serca. Odejdzie stąd włóknem, moralną ofiarą, w tragiczną otchłań tęsknot, w grzęzawiska rozpaczy. Byle od tych blasków, byle od uroków, które zabijają! W świat! w świat czarny, okropny... Rzucić tę Ikarię świetlistą, bo się stała piekłem, bo rozbrzmiewa szatańskim chichotem ironii. Zamknąć oczy i gnać na przepadłe bez oglądania się, bez myśli, bez westchnień.

– Czy potrafię?...

Dziewczyna wiła się jak na torturach, ale szare oczy Waldemara patrzały na nią przejmująco, usta piekły żarem, budząc dreszcz namiętny, głos jego, nabrzmiały miłością, chrapliwe rzucał słowa:

– Szaleję za tobą!... Słyszysz?... Musisz być moją i będziesz. Kochasz

mnie, ja wiem.

Och, wiedział! wiedział wszystko i nie puści jej: straszny jest; orzeł! lew! gromy miał w oczach, sztylety na ustach, gdy mówił ostatnie słowa:

– Musisz, musisz, bo ja tak chcę!

To potęga, cyklon rwący, wszechmocny.

– Jego być do niego należeć! Boże, zabij mię za te pragnienia! – skarżyła się Stefcia. Chwilami słabła. Wówczas ciche pasemka nadziei wsuwały się w jej dramat, słodko szemrząc. Jakby we śnie, doznawała złudzenia nad wyraz błogiego, że on jest obok niej, że kładzie dłoń na jej skroni i przemawia łagodnie. Ona opiera głowę na jego piersiach z ufnością, z nieziemskim uczuciem szczęścia; uczuwa na ustach pocałunek; palące dotknięcie jego pożądliwych warg niby słodka trucizna odurzają... W upojeniu bez granic mdleje, pada w promienisty krąg niewysłowionej błogości.

Czy to już śmierć?... Stefcia drży, nie śmie podnieść głowy, otworzyć oczu, trwa w niepamięci, owiana wonią zaczarowanych kwiatów marzeń.

Ciche pukanie do drzwi. Świat! świat ją woła.

– Nie otworzę! – myśli Stefcia – nikt nie ma prawa deptać złotych rojeń o nim, nikt!

Cicha nuta w jej duszy wpada znowu w szloch. Dziewczyna spazmatycznie łka. Rozkłębia się na nowo piekielny gad nędzy i przesuwa przed Stefcia ohydne cielsko. Przyciszony muzyką anielskich harf odżył nikczemny, jak upiór straszny. Zdruzgotał marzenia.

Płacz, płacz... popiół w duszy... pogorzel nadziei... klęska!

Pukanie do drzwi powtarza się. Rzeczywistość czuwa i nadchodzi, by wyrwać ofiarę. Zasłona cudnych widoków zapada ze złowrogim szelestem. Ginie czar.

Stefcia nie otwiera drzwi.

– Boże! Boże! daj siły, daj wytrwanie! – szepnęła gniotąc konwulsyjnie czoło w dłoniach.

I zapadła w odrętwienie, z załamanymi rękoma skamieniała. Łzy się w niej zapiekły cierpieniem, przenikliwy mróz ścinał krew w jej arteriach, pokrywał szronem zapalne wyskoki krwi, dusił ją chłodną, bezwzględną prawdą. Jakby muśnięte powiewem śmierci, stężały w niej uczucia, zlodowaciał mózg. Stefcia była głazem.

Oczy Waldemara, uporczywe, silne wolą, niemiłosierne w wyrazie, stały wciąż przed nią, jak zapora odgradzająca zmącone przestrzenie i ponure groby, dokąd bezwiednie szła jej dusza.

Postać Waldemara olbrzymiała w jej podnieconej wyobraźni, głos jego grzmiał niby wzburzone wody oceanu. Ramiona potężne, ramiona mogące skruszyć wulkan otwierały się do niej, aby ją unieść z ziemi do wyżyn rozsłonecznionych, do apoteozy boskiej szczęśliwości.

Stefcia majaczyła z jego ideałem w całej swej istocie.

Po paru godzinach stukanie do drzwi ponowiło się i cichy, łzawy głos szeptał błagalnie. Gdy wpółprzytomna Stefcia otworzyła, Lucia wpadła, z

głośnym spazmem rzucając się w jej objęcia.

# X.

Co się stało w pałacu, nikt nie wiedział, ale nawet służba czuła, że coś jest. Wieczerzy nikt nie jadł. Pan Maciej po krótkiej rozmowie z ordynatem zamknął się w gabinecie. Ordynat przyjął wprawdzie rządcę Klęcza, ale narada niedługo trwała. Rządca, wychodząc, spytał szeptem strzelca Jura:

– Co się stało ordynatowi? Zapytany szeroko rozłożył ręce.

– Ja tu jestem głupi, ale coś się stało, i to wszystkim.

Cicho, z tajemniczą miną zaczął opowiadać, że ze starszym panem jeszcze gorzej, że pani baronowa podobno biega wciąż po swoim buduarze – tak mówiła Anetka, panna służąca – a baronówna ledwo się dostała do pokoju panny Stefanii i teraz obie płaczą, ale że drzwi zamknięte, więc Anetka nie może wiedzieć, czego. Klęcz poruszył głową.

– Tu się coś święci.

I odszedł rozmyślając. Zastanawiał go fakt, że od pierwszego wyjazdu panny Rudeckiej w pałac jakby uderzył grom.

Na drugi dzień Stefcia oznaczyła swój wyjazd: miał nastąpić wieczorem.

Nikt się temu nie sprzeciwiał, ale Lucia zapuchła od płaczu, nie wychodząc z pokoju przyjaciółki. Stefcia napisała krótki serdeczny list do panny Rity, żegnając ją i prosząc o pożegnanie w jej imieniu księżnej. Sama obiegła park, ogród, zaszła nawet do borku. Przed obrazkiem Bogarodzicy, który jeszcze w maju zawiesiła na potężnym grabie, modliła się teraz długo, klęcząc w śniegu. Chciała go zabrać z sobą, lecz zaniechała tej myśli.

– Niech on tu zostanie jako pamiątka po mnie.

Wieczerzy, jak poprzedniego dnia, nikt nie tknął. Wszyscy byli przygnębieni. Nawet pan Ksawery nie miał apetytu.

Waldemar odsuwał półmiski ruchem stanowczym, wypił tylko parę kieliszków burgunda. Zimny, spokojny, na Stefcię nawet nie patrzał.

Ona siedziała jak martwa. Wodząc oczyma po sali, żegnała portrety, freski i rzeźby ścian. Dreszcz przebiegał jej członki, dreszcz chłodny, wstrząsający. Była blada, tylko oczy gorzały jakimś ogniem tragicznym, palącym się w duszy, tylko usta rozpalone piekły ją żarem. W piersi czuła prędkie, suche uderzenia serca, szum w głowie ogłuszał ją.

– Jadę, jadę na zawsze! – powtarzała sobie w myśli z dzikim uporem.

– Straszne to, okrutne!...

I przedstawiły się jej, oczom szeregi dni w Słodkowcach spędzone, pierwsze chwile dość przykre, wesołe lato i jesień pełna czaru.

– Głębowicze! Głębowicze! – huczało jej w myśli. – Nie ujrzę ich już nigdy!...

Wystawa, polowania, bal kostiumowy, wszystkie drogie wspomnienia stawały teraz przed nią jakby na urągowisko.

I znów zobaczyła szeregi dni, które tu płynąć będą po jej odjeździe. Te same osoby siądą jutro do stołu, tylko już bez niej. Nic się nie zmieni. Waldemar będzie tu bywał, jak zwykle.

Na wiosnę zakwitną bzy, narcyzy i mnóstwo irysów na trawnikach. W borku zaśpiewa słowik. Nad jeziorem zakwilą mewy, krzyk wesołej kukułki rozlegnie się echem po parku. Ale już ona tego nie usłyszy, chyba tam, w Ruczajewie.

I nagle rodzinna wieś wydała się Stefci czymś ogromnie oddalonym, za szarą mgłą, gdzieś w nieskończoności.

Słodkowce i Głębowicze, przeciwnie, były dla niej złotą smugą, gasnącą na zawsze.

W sercu dziewczyny obudził się żal: dlaczego odmówiła Waldemarowi? On ją kochał! Więc sama dobrowolnie zniszczyła swe szczęście? Dlaczego?... Z powodu minionej, przebrzmiałej historii babki?... Rozum w samą porę zniewolił rzut jej serca.

– Co to jest rozsądek, co to jest zimny rozum – zastanowiła się. – Czy to skrzydlaty duch, unoszący się nad nami? Nie widząc go odczuwamy jego tchnienie i kierującą dłoń.

W rozbujałej wyobraźni swej ujrzała Stefcia rozum w postaci staruszka z siwą brodą, trzymającego tablicę z prawami dla ludzi. I kiedy piękny bożek czaru, bożek upojeń i pokus wabi urokiem swych uśmiechów, staruszek-rozum przed oczyma ludzi przesuwa tablicę obowiązków i plan właściwej drogi, patrząc łagodnie, lecz stanowczo. I zwycięża, tłumi nawet porywy serca.

Staruszek ten ma siłę magnesu, trudno mu się oprzeć – on nieczęsto zachwyca, on magnetyzuje i pociąga odruchowo. Jest bardzo szanowny, ale idąc za nim zrzuca się jasną, wygodną szatę, wkładając tę którą on przeznaczy, i każdy obejrzy się za siebie mówiąc: „Jak tam pięknie!” Stefcia zadrżała.

– I ja się obejrzę, i ja tak powiem!

Łkanie porwało ją nagle. Chcąc je ukryć, zaczęła kaszleć, ale łzy zaszkliły się w jej oczach.

Waldemar błyskawicznie spojrzał na nią, twarz mu się skurczyła jakąś walką. Pierwszy dał znak powstania. Pani Idalia tym razem nie skrzywiła się na ten brak etykiety.

Pożegnanie trwało niedługo. Waldemar naglił do wyjazdu. Baronowa czule ucałowała Stefcię.

– Pisuj, Steniu, do Luci jak najczęściej. Ty ją prawdziwie osierocasz. Do widzenia! Mam dla ciebie wiele serca, wierz mi.

Stefcia z wybuchem żalu rzuciła się do rąk pana Macieja, gdy starzec siwą, skołataną głowę pochylił nad włosami dziewczyny. Waldemar odwrócił oczy. Wzruszenie zatamowało mu oddech. Z ironią patrzał na czułości pani Idalii, lecz pożegnanie Stefci z dziadkiem dziwnie go przejęło.

– Powrócisz tu moją albo ja zginę – powtarzał sobie w duchu.

Lucia z rozdzierającym krzykiem padła w ramiona Stefci. Obie płakały gorzko, tylko Stefcia cicho, Lucia rozpaczliwie. Pan Ksawery, ocierał chustką nos i chrząkał rozczulony.

– Smutno nam będzie bez pani – rzekła całując Stefcię w rękę.

– Stefa!... jedyna, złota! – wołała, szlochając, Lucia.

Waldemar przerwał wybuch dziewczynki dosyć szorstko, oznajmił, że wielki czas jechać. Stefcia uczuła dotkliwą przykrość.

– Po co on mię tak wygania?...

W bocznym przejściowym saloniku oczekiwał rządca Klęcz. Pożegnał Stefcię z wielkim uszanowaniem. Waldemar bardzo życzliwie spojrzał na niego.

W obszernej sieni pałacowej czekała niespodzianka, która wzruszyła Waldemara, nawet panią Idalię. Stał tam szereg lokajów, młodszych pokojowców, z Jacentym i Franciszkiem na czele, ochmistrzyni pałacowa, panna służąca Anetka, pokojówki i kucharz w swym białym rynsztunku. Wszyscy na wyścigi rzucili się żegnać Stefcię, całowali ją po rękach. Stary Jacenty mruczał coś, co u niego oznaczało żal i wzruszenie. Stefcia wobec służby wstrzymywała łzy, żegnała wszystkich uprzejmie, tylko usta jej drżały.

Waldemar włożył na nią futerko. Gdy przypinała do włosów czapeczkę, ze zdziwieniem zobaczyła, że i Waldemar nakłada futrzany płaszcz.

Ogarnął ją niepokój.

– Po co się ubierasz? – spytała pani Idalia ordynata.

– Odprowadzam panią na kolej – odrzekł sucho.

Wszyscy zrobili wielkie oczy. Pani Idalia zacięła usta, pan Maciej cofnął się za próg. Stefcia z żywością rzekła do Waldemara po francusku:

– Proszę pana nie robić tego. Dojadę sama bezpiecznie. Sprawi mi pan wielką przykrość! Było w niej tyle szczerości, taka wyraźna prośba widniała w jej oczach, że pan Maciej i pani Elzonowska aż się zdziwili.

Ale Waldemar najspokojniej, lecz stanowczo podał jej ramię.

– Proszę panią prędzej, bo się spóźnimy.

– Niech pan zostanie!... błagam pana!... ja... nie chcę, aby pan jechał!

– Niechże pani nie robi sceny, służba patrzy – rzekł podrażniony.

Stefcia rzuciła dokoła rozpaczliwym wzrokiem. Jechać z nim razem wydało jej się strasznym.

Pan Maciej dostrzegł jej niepokój. Wyciągnął do niej rękę.

– Nie upieraj się, Steniu... owszem, niech cię Waldy odprowadzi, będzie bezpieczniej. Staruszek w razach koniecznych umiał być dyplomatą.

Jeszcze trochę przykrych pożegnań, spazmatycznego płaczu Luci – i Waldemar wyprowadził Stefcię na ganek. Tam żegnał ją stangret Benedykt i stajenni. Stary ogrodnik z żalem kiwał głową, ocierając siwe wąsy.

Wszyscy jej żałowali, każdy po swojemu.

Przed filarami ganku stała kareta i czwórka z Głębowicz. Brunon zdziwiony patrzał na uroczysty wyjazd. Jur wynurzał się z liberyjnych futer jak zawsze pompatycznie, ale miał tajemniczą minę.

Waldemar umieścił Stefcię w karecie, bardzo uprzejmie podał rękę Kleczowi i sam siadając zawołał do stangreta:

– Ruszaj żywo!

Jur zamknął drzwiczki i prędko wygramolił się na kozioł.

Kareta cicho pomknęła po białej, wyślizganej drodze, janczary dzwoniły raźnie, znacząc sobą ślad odjeżdżającej Stefci.

Ona w kącie karety siedziała cicho, tamując oddech w piersi. Minęli bramę, zawrócili na bok i Stefcia ujrzała pałac, biały, wyniosły, błyszczący w księżycu blaszanym dachem i rzędem oświetlonych okien.

Ostatni raz!

Łzy spłynęły z jej oczu. Nie uważając już na obecność Waldemara, załkała żałośnie. Waldemar delikatnie wziął jej rękę, bez słowa, tulił ją w swych dłoniach i wolno zdejmował rękawiczkę.

Stefcia szarpnęła się, ale nie wyrwała ręki. Zatrzymał ją mocno.

– Spokojnie... spokojnie... proszę – przemówił miękkim głosem.

– Dlaczego pan ze mną jedzie?... dlaczego zrobił mi pan taką przykrość! po co to? – wybuchnęła Stefcia z żalem.

– Nie mówmy już o tym, droga moja. Czyż ja mogłem cię puścić bez rozmówienia się inaczej jak tam w oranżerii? Chcę przekonać ciebie, najdroższa.

Stefcia poruszyła się. Jego serdeczny, łagodny głos, jego słowa i sposób mówienia działały na nią zabójczo. Zrozumiała, że on zaczyna mieć władzę nad nią. Dłoń jej pieścił, całował; to ją onieśmieliło, ale chciała się jeszcze bronić. Szepnęła błagalnie:

– Niech mię pan zostawi w spokoju. Ja wyjadę i wszystko się skończy. Tak być powinno. Niech mi pan zrobi tę łaskę.

– Stefciu, mówmy poważnie, a nade wszystko spokojnie. Ja wiem, o co głównie idzie. Ty zawsze masz na myśli zmarłą babkę i jej dramat. Nie przeczę, to może nasuwać bardzo bolesne porównania. Ale nie masz jeszcze do nich prawa, gdyż dramat miniony w naszych rodzinach nie może się powtórzyć. Ja cię kocham od dawna i głęboko. Nie jest to chwilowy szał ani kaprys – znam swe uczucia. Nie mam lat dwudziestu, żeby się unosić chwilą. Poważnie analizowałem siebie i doszedłem do wniosku, że kocham cię uczuciem prawdziwym i bardzo potężnym. Kochałem się wiele razy, lecz to co innego! tamto właśnie były chwilowe szały, zrodzone z lekkich romansów, jakie każdy z nas liczy na tuziny. Ale nie spotkałem kobiety, której typ nosiłem w sobie, ani jedna nie weszła mi do duszy. W uprawianych przeze mnie flirtach głównym czynnikiem były zawsze zmysły. Ty pierwsza wzbudziłaś we mnie uczucia inne. Ciebie nie tylko pragnę, ale cię kocham niezmiernie. Z początku miałem złe myśli. Zachwyciłaś mnie od pierwszej chwili spotkania, bo w samej powierzchowności odnalazłem mój typ, i chciałem cię mieć, ale – inaczej. Chciałem cię rozkochać, chciałem, abyś mi się oddała sama. Byłem niegodziwy, rozbałamucony życiem. Widziałem, że mi się nie udaje, i jakiś czas mściłem się na tobie, nawet arogancko. Chwilami

nienawidziłem cię, doprowadzałaś mię do wściekłości. Widzisz! widzisz, jedyna!...

Wziął drugą jej rękę i gorąco przycisnął obie do ust. Stefcia siedziała jakby śniąc. On mówił dalej cichym, przepojonym namiętnością głosem:

– I uśpiłaś we mnie lamparta, zacząłem patrzeć na ciebie inaczej. Ogarniało mię zdumienie, widząc twą nieprzystępność i taką szlachetną dumę. Szanowałem cię, czciłem. A przy tym byłaś zawsze taka śliczna, taka wdzięczna w każdym ruchu, tyle odnajdywałem w tobie ponęt, umiałaś mię porwać nieświadomie, a tak uroczo. I pokochałem cię nad wszystko, zdobyłem! nareszcie jesteś moją, bo i ty mię kochasz. Nie broń się, nie zapieraj! wiem wszytko... Walczyłaś! ale to się zwalczyć nie da, to silniejsze, zwycięża zawsze! Podziwiałem twój hart, z jakim rzuciłaś mi wczoraj zaprzeczenie swych uczuć, ale tym bardziej wiem, że mię kochasz. I ja miałem poprzestać na twej wczorajszej odpowiedzi? Więc zdobyłem cię po to, by pożegnać?... po jednym słowie, które podyktowała ci duma, obawa, gorycz, wywołana obrazem przeszłości? Gdybym ci był zupełnie obojętnym, jeszcze szedłbym do celu z nadzieją, że cię zdobędę. Ale wiedząc, że posiadam twą wzajemność, ja miałbym ustąpić?... Nie znasz mię, jedyna. Będziesz moją żoną, bo mam pragnienie szczęścia, bo tobie chcę je ofiarować.

Stefcia słuchała z upojeniem, z nie znaną dotąd rozkoszą. On ją kochał i mówił to nie w jakimś szale, ale spokojnie, poważnie. Patrzał na nią tak przejmująco. Czuła ten wzrok, prze- palał jej krew, niweczył wolę. Ordynat przyciągnął ją do siebie i pochylony szeptał nagląco:

– Jedyna moja, złota, najdroższa, nie zaprzeczaj, nie wypieraj się... kochasz mię... po- wiedz, chcę, byś mi to powiedziała!...

Stefcia osłabła. Nazbyt silnie kochała, by móc się oprzeć. Świadomość jego uczuć, niski, nabrzmiały miłością głos odurzył ją. Przymknęła powieki oczarowana, uniesiona szczęściem w jakieś nieznane krainy. Otaczała ją przestrzeń jasna, ze złotych gwiazd utkana, pełna woni i cichej a świetnej muzyki. Nie umiała się bronić nawet wtedy, gdy on energicznym ramieniem otaczał ją delikatnie, pieszczące. Przygarnął ją do siebie i cicho złożył jej głowę na swej piersi.

Stefcia trwała w odrętwieniu.

Waldemar odsunął jej czapeczkę z czoła i zanurzył usta w jej włosach.

– Szczęście moje! ptaszyno moja! – mówił w uniesieniu – powiedz, że kochasz.

Nagłym ruchem przytuliła się do niego, szczęśliwa, niemal nieprzytomna z rozkoszy.

– Kocham!... tak... kocham! – wyszeptała z głębi udręczonej duszy.

– Moja ty! moja!...

Cisnął ją do siebie, jej usta, oczy, włosy okrywał bezpamiętnymi pocałunkami.

Długa, rozkoszna chwila czaru, nieziemskiego upojenia zawisła nad nimi.

Wszystko, co świat posiada najpiękniejszego, mieści się w takich momentach. Taka uroczystość duchowa, w połączeniu z namiętnością, przewyższa, wszelkie uroczystości ziemskie. Takie chwile stworzone być muszą przez aniołów: są zbyt czarowne.

Waldemar pieścił Stefcię, szeptał najczulsze, kochające słowa. Miał ją nareszcie, tę upragnioną, jedyną.

– Będziesz moją żoną... moją na wieki – powtarzał. Stefcia drgnęła i rzekła bezmiernie smutnym głosem:

– Kocham pana nad życie... ale... żoną nie będę nigdy.

– Dlaczego, jedyna. Co mówisz?

– Bo to niemożliwe! pan jesteś magnatem... to... to nie dla mnie!

– Ależ, na Boga, nie rozmyślaj o podobnych rzeczach, droga moja! Kochamy się – to dosyć, to decyduje o wszystkim. Jesteś moją i nie pozwolę cię wyrwać sobie nikomu. Sfera nie wzbroni nam szczęścia, bo nie wyrzeknę się ciebie, jedyna. Mój dziadek mówił kiedyś to samo swej narzeczonej, ale on był w innych warunkach, bo o dziesięć lat ode mnie młodszy, więc mniej odporny na wpływy rodziny. A może był słabszy? Proszę cię, ukochana, zaniechaj podobnych myśli, ufaj mi, ja cię nie zawiodę. Będziesz bardzo szczęśliwa, tylko wierz w szczęście.

Stefcia wysunęła się z jego objęć.

– Ja pańską żoną? Czy to możliwe? W tyle szczęścia nie wierzę! Waldemar tulił ją do siebie z promiennym uśmiechem.

– Zobaczysz, jedyna! zobaczysz! wszystko, co nam stanie na przeszkodzie, zgniotę, zdepczę, a ciebie mieć muszę!

– Ale ja nie chcę być zakałą w waszej rodzinie. Pana by zagryźli, zadręczyli. Ja nie chcę tego dla pana, bo go kocham. Ja i tak za długo byłam wśród was. Kochając pana od dawna, czemuż od razu nie uciekłam? Żyłam jak we śnie, bez zastanowienia, a teraz już... nie zapomnę!

Zaczęła znowu płakać.

– Uspokój się, dziecko! – mówił Waldemar tuląc ją do piersi. – Stefciu złota moja, nie powinnaś tak mówić, skoro kochasz. Zostaniesz moją żoną, którą wszyscy muszą szanować, będziesz ordynatową Michorowską i na tym stanowisku przy mnie nic ci nie grozi. Jestem pewny, że przeciwko tobie, jako mojej żonie, nikt głośno szemrać nie będzie śmiał, a ciche mruczenia nas nie obchodzą. Ptaszyno najdroższa, prędzej zginę, niż cię porzucę! Wierz mi.

Przycisnął usta do jej ust. Jego wąsy muskały ją w policzek, gorący żar oddechu odurzył Stefcię aż do utraty zmysłów.

– Powtarzam ci, droga moja: twój Waldy nie zawiedzie, tylko mu zaufaj zupełnie. Przyjdzie czas... pojadę do Ruczajewa i zabiorę cię. Wówczas podasz mi sama rękę na całe wspólne istnienie. Pragnę twego szczęścia i zwalczę przeciwności, gdyż inaczej mielibyśmy oboje zwichnięte życie. Moja ty mimozo! Od dziś jesteśmy narzeczeni i proszę, bądź spokojna.

Wjechali w obręb dworca. Przeraźliwy gwizd parowozu wyrwał ich z upojenia. Kareta stanęła, pociąg już był na stacji.

Ruch, gwar, zamieszanie.

Ordynat umieścił Stefcię w osobnym przedziale i wysiał telegram do Ruczajewa. Jur zajął się rzeczami. Pozostało jeszcze kilka minut do odejścia pociągu.

Stefcia drżała febrycznie. Waldemar ściskał jej ręce.

– Do widzenia, ukochanie moje! Spodziewaj się mnie w Ruczajewie i ufaj! Zrobię wszystko dla naszego szczęścia. Jesteś dla mnie jedyną! Rozległ się trzeci dzwonek.

Stefcia krzyknęła głucho. Waldemar porwał ją w ramiona i gorąco ucałował jej spłakane oczy.

Brwi miał ściągnięte i wielkie poruszenie w twarzy. Usta mu drżały.

– Do widzenia, najmilsza, do widzenia!

Stefcia wyrwała mu się z objęć. Do przedziału weszła jakaś starsza i dystyngowana kobieta. Waldemar obrzucił bystrym spojrzeniem sympatyczną twarz przybyłej. Znał ją z widzenia, była to obywatelka z okolic Obronnego. Skłonił się z wytworną grzecznością.

– Opiece szanownej pani polecam moją narzeczoną. Jestem ordynat Michorowski.

Zdziwiła się mocno, ale natychmiast z uśmiechem podała mu rękę, mówiąc swe nazwisko.

– Niech pan będzie spokojny. Jedziemy z panią w jedną drogę, zaopiekuję się nią aż do mej stacji.

Waldemar podziękował, uścisnął rękę Stefci i wybiegł z wagonu. Pociąg ruszył.

Ordynat, idąc przy oknie, gdzie stała Stefcia, uniósł z głowy futrzaną czapkę i posyłał pieszczące słowa za bladą twarzyczką dziewczyny, niknącą na tle szyby w natłoku wagonów.

Pociąg wypadł poza stację, na księżycowej, błękitnej przestrzeni toczył się szybko, hurkotał, opasany zbitym wałem dymu.

Waldemar doszedł do pompy stacyjnej, stanął i patrzał na oddalającą się masę, łowił uchem silniejszy, to słabszy turkot kół, z dziwnie rzewnym uczuciem.

– Przyjadę po ciebie niedługo, mój ty ptaku złoty! – rzekł prawie głośno.

Stał dotąd, aż ciemna plamka pociągu wsiąkła w błękitnawą sadź księżyca, po czym zawrócił.

– A teraz do walki! – zawołał.

W sali bufetowej zatrzymał go ukłonem zawiadowca stacji.

– Bardzo przepraszam pana ordynata, że wcześniej nie złożyłem mego uszanowania. Czy to odjechała panna Rudecka? Waldemar podał mu rękę.

– Tak, panie, moja narzeczona pojechała do rodziców.

– A-a-a!...

Urzędnik tak się zdziwił, że nie zdobył się już na żadne więcej słowo, zapomniał nawet o obowiązującym powinszowaniu.

Waldemar nie dał mu na to czasu, pożegnał go natychmiast.

Strzelec Jur, przechodząc obok, usłyszał zdumiewającą wieść i również osłupiał.

– Podawać karetę! – rzekł do niego Waldemar.

– Czy do Słodkowic, jaśnie panie? – spytał Jur stojąc przy drzwiczkach.

– Do Głębowicz. Pojechali.

Waldemar zdjął czapkę i rozpiął futro.

Nozdrzami wchłaniał delikatny zapach perfum Stefci, pozostały w karecie.

# XI.

W Obronnem księżna Podhorecka siedziała w swym gabinecie zamyślona. Otoczenie odpowiadało wyniosłej i poważnej postaci właścicielki. Pokój, obity ciemnym adamaszkiem, pełen mrocznych tonów, przypominał komnaty matron polskich w staroświeckich zamczyskach.

Długi mahoniowy fortepian, przykryty makatą, ciężkie meble, stare koronki w oknach i kilka wypłowiałych portretów dopełniało całości. Przy oknie stał olbrzymi, rozrośnięty fikus, niżej parę potężnych kaktusów. Gdański zegar tykał poważnie. Na wprost klęcznika wisiał duży portret młodej przystojnej kobiety w białej sukni i klejnotach. Na kolanach trzymała dwuletniego chłopczyka w aksamitnym ubraniu z koronkami. Była to córka księżnej, Elżbieta Januszowa Michorowska, ordynatowa głębowicka, z synem Waldemarem. Dziecko miało długie loki i twarzyczkę nie tyle piękną, ile już wyrazistą. Po bokach portretu wisiały dwa inne. Jeden przedstawiał zmarłego ordynata Janusza, drugi obecnego, Waldemara. Janusz przypominał typ Michorowskich z rysów, oczy miał matki, Francuzki, duże, czarne, palące, podobne do oczu pani Idalii, ale większe i milsze w wyrazie; twarz piękną i bardzo łagodną. Waldemar, sportretowany w czasie, kiedy obejmował ordynację, miał w szarych oczach figlarne błyski. Zagięcie brwi i pewien rys w twarzy wskazywał niezłomną energię.

Księżna siedziała na staroświeckiej sofie przy okrągłym stole, zarzuconym mnóstwem drobiazgów przygotowanych na Gwiazdkę dla biednych dzieci. Leżało tam pełno gotowych ubrań, sukmanek, chustek i paciorków. Były tam trzewiki i małe włóczkowe trepki obok różnych zabawek i łakoci.

Księżna, w czarnej surowej sukni, przebierała białymi rękoma wśród nagromadzonych przedmiotów, dzieląc je na osobne gromadki. Jej dama do towarzystwa, niemłoda kobieta, pani Dobrzyńska, kręciła się ciągle, znosząc coraz nowe rzeczy na przepełniony stół.

Księżna, przerywając zamyślenie, spoglądała na widny portret Waldemara z chmurą na bladej twarzy.

Od pewnego czasu wnuk ją niepokoił, zauważyła w nim wielką zmianę. Ostatni raz na proszonym obiedzie w Głębowiczach księżna przestraszyła się.

– Co mu jest? co go dręczy? – pytała samej siebie.

Dziwili ją wszyscy: i pan Maciej, i Rita, zwykle wesoła, rezolutna, teraz

wiecznie zamyślona i bez humoru. Księżna parę razy spostrzegła, że płakała.

– Co się dzieje? – myślała staruszka.

Zajęta robotą, oczekiwała powrotu Rity, która natychmiast po otrzymaniu listu od Stefci pojechała do Słodkowic. Nagły wyjazd Stefci zastanowił księżnę, a głównie wyraz twarzy Rity, kiedy list przeczytała.

Zbladła i zaciskając usta szepnęła do siebie:

– Jaki ona ma hart, ta dziewczyna!

Księżna nie dowiedziała się, co to miało znaczyć, ale od tej chwili w jej niespokojnych myślach błądziła Stefcia dziwnie natarczywie. Księżna chciała zagłuszyć w sobie wszelkie niedobre podejrzenia, zajmowały ją przygotowania na Gwiazdkę.

– Moja Dobrzysiu, nie powiedziałaś mi, czy dwoje dzieci tej wyrobnicy – wiesz? zostały przyjęte do ochronki w Głębowiczach?

Pani Dobrzyńska skinęła głową.

– Tak, ordynat polecił je przyjąć. A jakże! dostały, jak wszystkie, pościel i łóżeczka.

– Ale pamiętaj, że ubranka nasze to my dajemy. Wymogłam ten wyjątek na ordynacie.

– Są nowe na święta. Tymczasem noszą dawne, jeszcze dobre. Pan ordynat dzielnie się ochronką opiekuje. Bardzo dobre są te kobiety, które przeznaczył do dozoru, i pani ochroniarka zacna osoba. Ochronka i szkoła pełna, ale przytułek dla starców stoi pustkami.

– Dlaczego to?

– Bo z włóczęgów nikt nie chce porzucać swego rzemiosła. Mówią, że wolą żebrać, niż mieć stałe mieszkanie, dobrą strawę i jakie takie zajęcie. Każdy przyjdzie, zje, prześpi się i dalej znowu w świat. Mówiłam panu ordynatowi, że to chybiony cel, po co im dogadzać, kiedy oni wolą żebrać. Ale pan ordynat jest za dobry.

– Cóż powiedział?

– Powiedział mi tylko tak: „Moja Dobrzysiu, albo się jest żebrakiem albo się nim nie jest.

Ci widać mają zamiłowanie do sportu. Trudno im bronić: mogliby się pochorować na nostalgię za włóczęgą. Niech już lepiej tylko jedzą i śpią zamiast się wywracać po rowach”.

Uśmiech mignął na ustach księżnej. Pani Dobrzyńska mówiła dalej:

– Jest tam kilka zgrzybiałych staruszek i starców, z rodzin robotników fabrycznych i strażaków. Ci sobie drą pierze albo drzemią pod piecem. Pan ordynat nazywa ten oddział „pałacem inwalidów”.

Księżna znowu spojrzała na portret Waldemara.

– Kochany, dobry chłopiec! – szepnęła z uczuciem.

– Ale czy księżna pani uważa, że ordynatowi coś jest? Chyba nie chory, a jednakowoż nieswój. Ordynat już powinien żenić się, szkoda marnować takie piękne lata.

Księżna nic nie odpowiedziała, tylko westchnęła cicho. Ale gadulska pani

Dobrzyńska ciągnęła dalej prędkim głosem:

– Już to widać, że ordynatowi niełatwo się kto podoba, i nasza panna Margeryta jakoś mu nie do gustu. A szkoda! Dobra panienka i dzielna. A z hrabianką Barską już się skończyło, proszę księżnej pani? Bo to wszyscy mówili, że ordynat się z nią ożeni.

– Nie, moja Dobrzysiu, nic z tego nie będzie. Masz słuszność, mój wnuk niełatwo znajdzie żonę.

– Szkoda! szkoda!

Do pokoju weszła panna Rita w kapeluszu i futrzanym kołnierzu, zarumieniona z mrozu, z dziwnym wyrazem twarzy. Przywitała się z księżną w milczeniu. Pani Dobrzyńska natychmiast wyszła.

Księżna podniosła oczy na swą wychowankę.

– Cóż tam w Słodkowcach?

Rita usiadła na krześle, gwałtownie zdejmując rękawiczki.

– Stefcia Rudecka wyjechała onegdaj.

– To wiem, ale dlaczego, co się stało?

– Och! dowie się ciocia bardzo prędko... Ona postąpiła taktownie, lecz nie zakończyła kwestii.

– Pozwól, moja droga, ale nie rozumiem, o czym ty mówisz.

– To się wyjaśni, może dziś jeszcze. Wczoraj ordynat był w Słodkowcach, dziś będzie tu.

– Waldemar? Skąd wiesz?

– Mówiła mi Idalka.

Tragiczne, długie spojrzenie rzuciła na portret Waldemara i rzekła gorąco:

– On zwycięży do końca!

Po czym wybiegła z pokoju.

Księżna patrzyła na nią przez chwilę.

– Co jej się stało?... – Dobrzysiu! – zawołała głośno. Dama do towarzystwa weszła pospiesznie.

– Proszę cię, idź do Rity i wybadaj, czy nie chora. Wydaje mi się dziwnie rozdrażnioną. Zanieś jej starego wina. Jeśli zechce, niech przyjdzie do mnie.

Bardzo prędko potem panna Rita zjawiła się znowu.

– Dziękuję cioci za troskliwość. Dobrzysia mię winem częstowała, lecz właściwie nic mi nie jest.

– Ale mówisz zagadkowo. Nic nie pojmuję, to jedno widzę, że wyjazd Stefci spowodował w Słodkowcach jakiś niepokój. Lecz jaki? dlaczego?...

– Ach, ciociu! trudno mi o tym mówić.

– Dlaczego wymieniłaś Waldemara? Powiedziałaś: „On zwycięży”.

– Zobaczy ciocia... zobaczy! Zastukano do drzwi.

Wszedł służący i wręczył Ricie telegram z Wiednia od Trestki. Panna Szeliżanka przeczytała i z niezwykłą irytacją cisnęła papier na stół.

– Cóż tam znowu? – pytała księżna, biorąc telegram. Trestka pisał:

„Wracam wkrótce. Nostalgia mię pożera. Do Rzymu nie pojadę, licząc, że w lecie pojedziemy tam razem. Obecnie wiedenki mię nie bawią. Zamiast

cudnych profilów Węgierek wolę męczeńską palmę w Obronnem.

Księżna zaśmiała się i rzekła wesoło:

Nieodzowny Edward”

– Oryginalny telegram i zabawny człowiek. Wierny jak Troilus. Już chyba teraz uszczęśliwić go zechcesz.

Rita bystro spojrzała na księżnę.

– Dlaczego teraz?...

– No, nie wiem. Skoro, ci tak zapowiada Rzym, widocznie ma nadzieję...

– Ach, ta nadzieja! c’est son cheval de bataille, ale... długo poczeka. Chociaż... ciocia dobrze mówi. Teraz może prędzej zdobędę się na uszczęśliwienie go niż w zwykłych warunkach.

– Znowu cię nie rozumiem. Co do Trestki to zawsze ci mówię, partia niezła: człowiek bardzo dobry, trochę dziwak, ale to nie szkodzi. Przy tym ładny majątek, rezydencja zupełnie możliwa, a nade wszystko – on kocha cię.

– Ciociu, nie mówmy o tym! ciociu, proszę! przynajmniej nie teraz! – wołała panna Rita, biegając po pokoju silnie wzburzona.

Księżna wzruszyła ramionami.

– Dziwna dziś jesteś, Ryciu.

Znowu pukanie do drzwi. Wszedł lokaj, oznajmiając krótko:

– Pan ordynat.

Rita stanęła jak słup wyprostowana.

Waldemar wszedł prędko, swobodnie powitał babkę i pannę Ritę, nie spostrzegając jej martwoty. Ona chwilę stała nieruchomo i wyszła z pokoju.

Wówczas Waldemar usiadł blisko księżnej na fotelu i z pieszczotą wziął jej rękę. Miał w oczach wyraz serdeczny, trochę filuterny.

– Dobrze, że cię widzę, mój chłopcze – rzekła księżna, uśmiechając się do niego. – W ostatnich czasach nieczęsto bywałeś u mnie, zapomniałeś, o starej babce.

– Niechże Bóg broni! Ale babcia rada, żem przyjechał? Więc kocha mię... czy tak?...

– Czyżby mogło być inaczej? Mam cię jednego tylko, i wnuka, i syna razem, bo Franio... ach, Boże!...

Staruszka machnęła ręką zniechęconym gestem.

– Gdyby Franio był choć trochę do ciebie podobny!...

– Ależ, babciu, ja wzorem być nie chcę dla nikogo.

– Jednak możesz nim być.

Waldemar uśmiechnął się pod wąsem.

– Będę kiedyś dla mego syna.

– Otóż to! Szkoda, że nie myślisz o założeniu rodziny – to twój obowiązek. Jesteś ostatni z linii głębowickiej, powinieneś, Waldy, o tym pamiętać, ale... ty zawsze tylko żartujesz. Waldemar spoważniał. Spojrzał prosto w oczy księżnej.

– Nie, babciu, ja teraz nie żartuję. Mam stanowczy zamiar wziąć sobie żonę, założyć rodzinę, nie obowiązkową, nie dla tradycji, lecz z powodu

własnych pragnień.

Księżna rozumne ciemne oczy utkwiła w źrenicach wnuka z wyrazem niedowierzającym. Jego głos zastanowił ją.

– Ty się chcesz żenić, Waldy?

Powiedziała to z tak bezgranicznym zdumieniem, że Waldemar zaśmiał się ubawiony.

– Ach, babciu! zawsze i przed chwilą nawet wymawiałaś mi, że o tym nie myślę, a teraz ta wiadomość tak cię zdziwiła, że niemal przerażoną jesteś.

– Więc... to prawda?

– Ależ tak, droga babciu, teraz nie żartuję! Przyjechałem umyślnie, aby ci to powiedzieć i prosić o błogosławieństwo.

– O... błogosławieństwo? Już? Nic nie słyszałam, abyś się o kogo starał, Waldy. Skąd tak nagle?...

– O, babciu! ta, którą chcę mieć za żonę, jest mi od dawna drogą. Znasz ją i lubisz. Ale sądziłem, że odgadniesz sama, ja się nie ukrywałem.

– Kto to, Waldy... kto? Czyżby Melania Barska? – pytała księżna niespokojnie.

– Ależ! cóż znowu? Barska była i jest mi najzupełniej obojętną.

– Więc któż inny?...

Waldemar utkwił w twarzy księżnej wzrok przejmujący i wyrzekł miękkim głosem, ale dobitnie:

– Stefcia Rudecka.

Księżna szeroko otwarte źrenice zwróciła na wnuka.

– Ktoo?!

– Stefcia Rudecka – powtórzył.

– Waldy! ty żartujesz?

– Nie, babciu, mówię prawdę, to moje postanowienie już nieodwołalne. Księżna podniosła ręce do czoła.

– Jezus Maria! – jęknęła całą piersią.

Waldemar zacisnął zęby, brwi zbiegły mu się w ciasny łuk. Rzekł zmienionym głosem:

– Co babcię tak przeraża? Co to za tragizm niezrozumiały? Doprawdy, gdybym umierał, mniejsza byłaby rozpacz.

– Waldemarze, opamiętaj się, nie rań mi serca! Już widzę, że mówisz prawdę, ale to okrutne! Ty tego nie zrobisz nigdy! nigdy!

Ordynat dumnie podniósł głowę, usta mu drżały.

– Dlaczego?

Księżna, blada jak zjawa, chwyciła go za ramię, oczy płonęły gorączkowo, głos wydobywał się z krtani chrapliwy.

– Zaklinam cię, Waldemarze, nie czyń tego! Zastanów się, wspomnij na swój ród, na swe nazwisko. Nie wolno ci deptać bezkarnie starego rodu twych przodków – nie wolno ci!

Waldemar znieruchomiał, stłumił gniew i zaczął mówić ze straszliwym spokojem.

– Dobrze. Ale ja prócz nazwiska, rodu, herbu i całej tej oprawy mam jeszcze serce i duszę, a te znów posiadają trochę pragnień osobistych, nie rodowych. Dla siebie chcę czegoś, jedynie dla siebie. Nigdy dla swych ram nie chciałem poświęcać uczuć. Moją żoną może zostać tylko ukochana kobieta. Szukałem długo i znalazłem ją w Stefci.

– Ależ pamiętaj, pamiętaj, że twoja babka była z domu księżniczką de Bourbon, spokrewnioną z dworami królów, że twoja matka Podhorecka, córka jednego z najznakomitszych rodów książęcych w kraju!

Ordynat poruszył się niecierpliwie.

– A moją żoną będzie Rudecka, z dobrej szlacheckiej rodziny polskiej, nic więcej – i będę z nią bardzo szczęśliwy, w to wierzę.

– Więc ją aż tak kochasz?...

– Kocham sercem, duszą, krwią – wszystkim, czym mężczyzna może kochać kobietę.

– A ona czy wie o tym?

– Wie ode mnie, ja jej to powiedziałem.

– Czy mówiłeś o zamiarach?...

– Tak, wyznałem jej wszystko.

Rysy księżnej skrzywiły się przykrym uśmiechem.

– I naturalnie zgodziła się uszczęśliwić cię, nie wątpię!

– Przeciwnie, odmówiła mi.

Księżna spojrzała na Waldemara ze zdumieniem i wzruszając ramionami, rzekła oschle:

– Nie rozumiem! Czy się bawisz moim kosztem?

– Ani trochę! Mówię poważnie. Nie chce zostać moją żoną dla przyczyn wymienionych przez babcię, ale kocha mię, kochała od dawna – i to był główny powód jej wyjazdu. Jest szlachetna i dumna, pragnęła poświęcić własne uczucia, lecz ja nie pozwolę, aby miała być nieszczęśliwą. Zresztą i o moje szczęście idzie.

Księżna siedziała jak martwa. Ręce splotła rozpaczliwie.

– A przecież mówisz, że ci odmówiła? Jednak zdobyła się na tyle taktu – dodała jakby do siebie.

– Ale to był tylko jej takt. Powtarzam, ona mię również kocha. Uczynię wszystko, aby przemóc jej upór. Pojadę do Ruczajewa do państwa Rudeckich prosić o rękę ich córki.

– Boże! Boże! Boże! – jęczała księżna. Waldemar zniecierpliwił się.

– Babciu, proszę nie rozpaczać, bo zbrodni nie popełniam. Sądzę, że moje szczęście powinno trochę inaczej usposabiać tych, co mię kochają, a widzę, że jest przeciwnie.

– Nie o takim szczęściu dla ciebie marzyłam! Nie widziałam dość stosownej partii w kraju, a ty... a ty... na moje stare lata cóż mi dajesz?... Boże miłosierny!

Księżna rozpłakała się, zakryła powieki rękoma i zagłębiona w fotelu, trzęsła się, łkając z przejmującym żalem.

Ordynat wstał, przeszedł się po pokoju, panując nad sobą. Płacz babki rwał mu serce, lecz ani na chwilę nie zachwiał postanowionej walki. Zaciskał zęby, a w duszy przemawiał do Stefci, przywoływał ją najczulszymi słowami:

– Malutka moja, dla ciebie zniosę wszystko, będziesz moją i oni cię przyjmą!

Podszedł do księżnej i pochylony, ogarniając ramionami jej skurczoną postać, ucałował serdecznie rozpaloną skroń staruszki.

– Babciu! jeśli mię kochasz, uspokój się, z mego szczęścia nie czyń dramatu. Wiem, chciałaś dla mnie jak najlepiej, ale każdy nosi w sobie świadomość własnych pragnień... ja dążę do swych najdroższych. Proszę cię, babciu, nie płacz. To mię rani i obraża Stefcię.

Księżna, łkając, załamała ręce.

– O Waldy! Waldy!

Waldemar przyklęknął u jej kolan, pieszczotliwie całował jej dłonie, mówił dobrym głosem:

– Zawsze jestem ten sam, twój Waldy, i zawsze nim pozostanę. Kocham cię i cenię, ale właśnie dlatego pragnę, abyś mię zrozumiała, abyś nie tak tragicznie zapatrywała się na moją miłość i małżeństwo. Ty, babciu, różniłaś się pojęciami od naszej arystokracji, miałaś tyle dobrych zasad. Nie spostrzegłem w tobie przesądów fanatyzmu i ceniłem Cię bardzo wysoko.

A zresztą... czyż Stefcia zasługuje na taką niechęć z twej strony, czy jej nie znasz? Ona taka wdzięczna, wytworna, a przy tym taka szlachetna – sama to zauważyłaś. Księżna spojrzała na wnuka surowo.

– Może być najpiękniejsza, najszlachetniejsza, ale jest nie dla ciebie.

– Czy tylko dlatego, że nazywa się Rudecka?...

– Choćby dlatego.

– Ależ babciu, mogę ci pokazać herbarz, gdzie nazwisko Rudeckich umieszczono bardzo wyraźnie. Jest to rodzina stara, ozdobiona dobrym herbem szlacheckim. Nie jest to ród gorszy od Żninów, Szeligów ani Ćwileckich, razem z ich nabytym tytułem.

– Wśród tych, których wyliczasz, nie szukałam dla ciebie żony. Ordynat wstał.

– Więc miałem się żenić z panującą księżniczką czy z królewną z tysiąca i jednej nocy? Księżna błysnęła oczyma.

– Chciałam dla ciebie księżniczki Lignickiej – odmówiłeś. Chciałam hrabianki Prawdzicówny – znakomity ród i po Lignickiej pierwsza partia w kraju – także nie. Już pomijam księżniczki zagraniczne i panny ze sfer dworskich, gdzie miałeś wielkie szansę. W ostateczności zgodziłam się na Barską, która ma świetną parantelę – i ta nie!

Machnęła ręką zniechęcona.

– Moja babciu! czy Michorowski ma się koniecznie oglądać na parantelę?... czy ten szczegół ma być nieodzownym w wyborze żony?... My już mamy dosyć świetnych nazwisk.

Na partie oglądali się moim dziadowie i pradziadowie, niechże mi będzie

nareszcie dozwolone pominąć ten szanowny tradycyjny punkt i zostać szczęśliwym. Dotychczas nasze kroniki rodzinne mówią wiele o szumnych partiach, ale o szczęściu milczą zagadkowo. Ja chcę rozświetlić ten jedyny cień na ich szpaltach.

– Przesadzasz, Waldemarze! twoi przodkowie żenili się stosownie i bywali szczęśliwi. Ordynat wzruszył ramionami.

– Wiem, że pradziad Andrzej ożeniony z hrabianką Esterhazy, spokrewnioną z Habsburgami, chciał się z nią rozwodzić mimo jej bogactw i piękności. Wiem, że dziadek Maciej ze swą francuską księżniczką byli razem parą najnieszczęśliwszych ludzi i że mój ojciec z księżniczką Podhorecką również do szczęśliwych się nie zaliczali.

– Twoi rodzice kochali się, ale byli różnych pojęć – to ich dzieliło.

– Zawsze jednak jakieś „ale” stanęło na drodze. Zresztą, o ile wiem, mama, wychodząc za mąż, kogo innego nosiła w sercu.

– Ach! to dzieciństwo!

– Dzieciństwo? Łatwo to powiedzieć! ale ono niesłychanie przeszkadza, są dowody na mamie i na dziadku Macieju. W jego młodości takie dzieciństwo zatruło późniejsze życie.

Zaczął chodzić po pokoju.

Księżna wodziła za nim przestraszonymi oczyma i nagle spytała:

– Czy to prawda, że ta... Stefcia jest wnuczką tamtej... historycznej Korwiczówny?...

– Tak, jest jej rodzoną wnuczką.

– I ty może dlatego?... dla powetowania?... Waldemar stanął.

– Cóż znowu! Kochałem Stefcię nie wiedząc jeszcze o niczym i nie dam jej sobie wydrzeć tak, jak tamtą wydarto dziadkowi.

– Więc ty sądzisz, że tobie pozwolą na taki mezalians? na ożenienie się z tą Rudecką?... tobie... ordynatowi na Głębowiczach? Michorowskiemu?

Waldemar rzucił dumnie głową.

– A kto mi zabroni? – zapytał wyzywająco.

– Rodzina! sfera! tradycja! ja! – wołała gwałtownie księżna.

– Za pozwoleniem! Ja jestem pełnoletni, więc rodzina nie ma prawa zabronić mi tego. Sfera? Kpię sobie z niej! Tradycja mię nie wzrusza, a ty, babciu? ty się nie będziesz upierać.

Jesteś na to zbyt rozumna.

– Mylisz się. Ja nie pozwolę nigdy!

– Pozwolisz, babciu, choćby pod groźbą mego nieposłuszeństwa. Moją żoną zostanie tylko Stefcia Rudecka. Na to się zgodzi i rodzina, i sfera, bo tradycja nic tu nie przeszkadza.

– I to ty mówisz, Waldy?... ty?!...

– Ja, Michorowski, ordynat głębowicki i twój wnuk.

– I ty, pierwszy magnat w kraju, za którym szalały córki najznakomitszych domów, ty zrobisz takie odstępstwo?...

– Ja, babciu! Szalały za mną kobiety, jak sama mówisz, teraz ja szaleję za

jedną. Księżna wyciągnęła ręce przed siebie.

– Ależ szalej za nią, ile chcesz, szalejcie oboje, tylko się nie żeń! Waldemar rzucił na babkę pełne zdumienia spojrzenie.

– Teraz na mnie kolej zapytać: i to ty mówisz, babciu, ty?...

– Waldemarze, nie doprowadzaj mię do ostatecznej rozpaczy. Ja nie chcę jej dla ciebie, nie chcę! nie chcę!

Gwałtownie powstała z kanapki, blada i drżącą. Waldemar łagodnie wziął jej rękę.

– Babciu, błagam, uspokój się! Pomyśl o tym poważnie, a jestem pewny, że wszystko inaczej odczujesz.

– Nigdy! nigdy!...

Ordynat zacisnął zęby, krew rozszalała się w jego żyłach. Ale potężną wolą stłumił wybuch, tylko po twarzy latały mu ognie.

– Babciu, zgodzisz się, bo ja nie ustąpię za nic! Znasz mię, niełatwo daję się zginać. Nawet twoja ręka nie może mieć wpływu tam, gdzie jest miłość i silna wola. Nie chciałbym z tobą walki i dlatego proszę: uspokój się.

Po namyśle zrozumiesz, że upierać się nie ma zasady. Sama pokochasz Stefcię i pobłogosławisz nam.

Księżna wyrwała mu rękę.

– Nie licz na to nigdy. Już chociaż to ode mnie zależy! Ja wam nie pobłogosławię! Waldemar, blady, straszny, przeciągnął ręką po czole, na którym wystąpiła lekka rosa potu. W oczach już nie miał ogni, ale zimny, przerażający chłód. Rzekł z okropną siłą w głosie, jakby wydawał wyrok śmierci:

– Więc ja... wbrew twej groźbie zaślubię Stefcię.

Księżna patrzała na wnuka przerażona, załamała ręce i prędko wyszła z pokoju.

– On mię i do tego zmusi!... on i do tego zmusi. Boże! Boże! – szeptała sinymi wargami. Waldemar po jej wyjściu ścisnął rękoma głowę i ciężko usiadł na fotelu. To, czego się najwięcej obawiał, nastąpiło. On wiedział, że bez błogosławieństwa i bez pozwolenia babki Stefcia nie zostanie jego żoną. Pierwszy raz ten człowiek silny, jakby z granitu uczuł się złamanym. Jakaś głucha rozpacz zatargała jego duszą. Bunt, gniew, oburzenie rozrywało mu piersi. Przed oczyma stanęła mu postać Stefci. Jej ciemne fiołkowe oczy spojrzały na niego błagalnie, pełne miłości i słodkich ponęt. Jej różowe usta szeptały gorące słowa, długie rzęsy kładły się na ślicznej twarzy z jakąś rozkoszną pieszczotą. Obraz ten czarował go, upajał!

– Dziecko moje, szczęście moje!... zwalczę wszystko dla ciebie... bądź spokojna! – przemawiał do wizji.

Gorycz, żal, ból niezmierny miotały nim na samą myśl, że ją odtrącają – tę jego złotą dziewczynę. Cierpiał, lecz nie uległ. Ból go nie zmiażdżył, przeciwnie – podniecał do walki. Czuł napływ do krwi nowych, niezmożonych sił... czuł, że mur, który przed nim wznoszą, rozerwie własną piersią, zetrze w miał. Czuł, że przeskoczy tę przepaść, która się przed nim

otworzyła. Posiadał siłę, lot sokoli i szpony orła. Będzie nimi pruł owe masy przeciwne, rozdzierał mgłę niechęci, aż dotrze do jasnej przestrzeni swych pragnień. Tam wprowadzi Stefcię, pogrążoną w trwożnej niepewności. On trzyma w swej dłoni jej los, szczęście – i nie zawiedzie jej.

– Musi tak być! musi tak być!

W strasznej wichurze zbuntowanych uczuć szarpał nerwy, rozpalał krew żądzą zwycięstwa.

Otrzeźwił go szelest sukni kobiecej. Podniósł głowę: przed nim stała panna Rita ze łzami w oczach, bo uderzył ją jak piorun widok jego złamanej postaci. On zmarszczył się, powstał zły. Rita dotknęła ręką jego ramienia.

– Niech się pan nie gniewa, że weszłam... musiałam, wiem o rozmowie pana z ciocią... proszę nie tracić nadziei.

Spojrzał na nią zdumiony i wzruszył ramionami.

– Ja tracę nadzieję? Kto to pani powiedział? Skoro walkę rozpoczynam, nie ustąpię. Ricie głos się załamał.

– Ja wiem, źle się wyraziłam, chciałam powiedzieć: niech się pan nie martwi... nie zabija złą myślą... księżna da się przekonać – ja... dołożę wszelkich starań do tego.

Waldemar wiedział o uczuciach Rity względem siebie i słowa jej wzruszyły go. Patrzał na nią z uznaniem. Ona zrozumiała inaczej, myśląc, że on się tylko dziwi. Hardo podniosła głowę do góry.

– Niech mi pan wierzy i nie zdumiewa się. Ja obiecuję to szczerze... choć Bóg widzi, jak mi ciężko.

Łzy spłynęły z jej oczu. Ordynat ucałował jej ręce.

– Dziękuję, droga pani, wdzięczność zachowam, ale niech się pani nie naraża babci. Ja sam zwalczę wszystkie przeciwności.

– Chcę szczęścia dla was obojga... jesteście tego warci. Wybiegła z pokoju.

Waldemar stanął przy oknie, szarpał dewizkę i usta gryzł do krwi.

W godzinę potem, spokojny już i zimny, żegnał się z panną Szeliżanką, która mu oznajmiła, że księżna jest bardzo zdenerwowaną i że przez nią posyła mu pożegnanie. Siedząc w sankach, Waldemar rzekł do siebie:

– Pierwszy akt odegrany.

## XII.

Postanowienie ordynata wywołało burzę w całej rodzinie. Księżna była nieubłagana, popierała ją pani Idalia i książę Franciszek. Hrabina Ćwilecka żyła jak w gorączce. Nie należąc do rodziny, nie mogła mieć głosu, to ją dręczyło. Oburzona, zła, starała się w inny sposób szkodzić Stefci: wyszydzając ją i jej stosunek do Waldemara. Lecz niedługo bawiła się w ten sposób obrażona hrabina. Pewnego dnia otrzymała od ordynata grzeczny, ale treściwy list, po którym straciła ochotę do wszelkich żartów ze Stefci.

W Słodkowcach panowała niewyraźna atmosfera. Pan Maciej zagadkowo

milczał, dziwnie surowy. Zwykle odważna pani Idalia bała się teraz wejść do gabinetu posępnego starca. Burzyła się w niej błękitna krew z powodu Stefci, lecz nie śmiała z ojcem mówić o tym. Pan Maciej, zamknięty w sobie, przesiadywał na fotelu, przeżuwając ciężkie myśli. Jego skołatana głowa nie mogła pomieścić ich nawału. Wiedział o oświadczynach Waldemara tego samego dnia, wiedział również o odmowie Stefci i łudził się, że wyjazd jej może zmienić postanowienie wnuka. Żałował Stefci, czuł wyrzuty sumienia, męczył się, ale jednocześnie pragnął, aby się to przerwało. Gdy Waldemar odprowadził Stefcię na kolej, pan Maciej zrozumiał, że nadzieja stracona. Był pewny, że w tej karecie Stefcia ulegnie przekonywającym słowom Waldemara, że sama kochając, nie zdoła oprzeć się jego uczuciom, I starzec dziwił się, że znając wnuka mógł się łudzić choć przez chwilę, że postąpi inaczej. Kiedy na drugi dzień pan Maciej zobaczył przed gankiem konie głębowickie, wiedział już, z czym Waldemar przyjeżdża, nie omylił się. Wysłuchał spokojnie gorącej mowy wnuka, pełnej uczucia i niesłychanej stanowczości, ale zaczął go błagać, aby tego nie czynił. Waldemar powiedział tylko, patrząc mu w oczy, z przyciskiem:

– Jak to? I ty, dziadziu, wzbraniasz mi szczęścia... po wszystkiem, co zaszło w twym życiu? Ty chcesz nowego dramatu w naszej rodzinie, powtórzenia przeszłości? Chcesz zgnębić Stefcię i uczynić ją również nieszczęśliwą? Ty, dziadziu, odradzasz mi małżeństwo z nią, wnuczką tamtej nieszczęsnej kobiety, którąś sam kochał?...

Pan Maciej uczuł się przybitym. Gorzkie, choć prawdziwe słowa spadały z ust wnuka na jego głowę, ciężarami kłuły go w serce tysiącem żądeł, ostrych, bolesnych. Starzec zrozumiał, że przeszłość zemściła się na nim, dotykając go w strunę najboleśniejszą.

W podnieconej wyobraźni jego przesunął się szereg faktów poprzedzających godzinę zemsty: przyjazd Stefci do Słodkowic, miłość Waldemara i śmierć tamtej kobiety. Od tej śmierci rozpoczęło się wszytko najgorsze. Wyjazd Stefci przyspieszył katastrofę, bo pan Maciej już nie wątpił, że nastąpiłaby prędzej czy później. Ujrzał przepaść bez wyjścia. Waldemar miał go w ręku. Pan Maciej odczuł własną bezradność, i to go najwięcej gnębiło.

Zwiesił głowę na piersi, splótł kurczowo wyschłe ręce i siedział tak bezmiernie stary, skołatany, wzbudzając litość. Waldemar po pierwszym wybuchu łagodził go, tłumaczył mu bezzasadność przesądów mogących mu wzbronić związku ze Stefcia. Mówił o swych uczuciach względem niej i delikatnie przypomniał dziadkowi jego własną miłość, nie poruszając jej zakończenia. Stary magnat ostatecznie został wzruszony, gdy Waldemar, mówiąc o Stefci, odpiął od dewizki złoty medalion, ozdobiony brylancikami i rubinami, i podając go dziadkowi, nacisnął sprężynę, śliczna twarzyczka Stefci, artystycznie odkolorowana, w skromnej sukience, w koralach i z grubym warkoczem, zwieszonym przez ramię. Jej oczy, choć tak zmniejszone, spojrzały na pana Macieja z wyrazem nieopisanej słodyczy, rozmarzenia i

tęsknoty. Usta drobne, uśmiechnięte figlarnie, miały w sobie niezgłębiony, jej właściwy czar. Z pochylenia głowy wiał wdzięk, zdobiący ją zawsze.

Pan Maciej popatrzał i drgnął. On przede wszystkim ujrzał w jej twarzy podobieństwo do miniatury Korwiczówny, którą czcił jak relikwię. Oczy Stefci wydały mu się błagające. Dziewczyna uśmiechem i tęsknotą wejrzenia prosiła go, aby nie bronił jej szczęścia z Waldemarem, aby jej nie zabijał odmową. Stanęła mu jak żywa przed oczyma kiedy klęczała przy jego kolanach po powrocie z pogrzebu babki. Płakała wówczas i tuliła się do jego ręki serdecznie z ufnością dziecka.

Pan Maciej uczuł zimny pot na ciele, coś zatargało sumieniem.

– I ty ją chcesz zabić?... za co? – wołał jakiś głos wewnętrzny.

Spod obwisłych brwi spojrzał na wnuka. Waldemar, pochylony, wsparty na dłoni, patrzał na portrecik Stefci z wyrazem niewysłowionego szczecią w twarzy, obejmował ją gorącym spojrzeniem, pieścił oczyma. I znowu jakiś głuchy głos zawołał w duszy starca:

– Ty chcesz zabronić mu szczęścia? Jakim prawem?... Zamknął oczy i odpowiedział sobie z goryczą:

– Nie wzbronisz, bo on cię nie usłucha.

– Skąd ty ją masz? – zwrócił się do Waldemara.

– Zmniejszyli mi ją z fotografii robionej w Głębowiczach. Noszę ją od tamtej pory.

– Śliczna dziewczyna! – szepnął staruszek.

– Ty ją kochasz, dziadziu, przez pamięć dla tamtej; pokochaj dla niej samej, jak swą wnuczkę, a moją żonę. Ona, dziadziu, da mi szczęście, jakiego dla mnie pragnąłeś.

Pan Maciej był bardzo poruszony.

Waldemar nie nalegał więcej. Zrozumiał, że starzec powinien się uspokoić i przełamać. Dał mu czas na to, będąc już pewnym wygranej.

Kilka dni przeszło. Waldemar nie pokazywał się. Pan Maciej wiedział, że był w Obronnem i że księżna odmówiła błogosławieństwa. Starzec przebywał straszną rozterkę duchową. Milczenie ordynata drażniło go. Z córką nie widywał się prawie, bo jej głośne oburzenie na „idiotyzm Waldemara" gniewało go. Sam nie chciał Stefci dla wnuka, ale zaprzeczenia innych męczyły go niesłychanie.

Lucia przechodziła różne wrażenia. I ona uważała Stefcię za nieodpowiednią do ich sfery. Nie mogła wierzyć, aby ta jej Stefa, jej przyjaciółka, miała zostać ordynatową Michorowską, milionerką, magnatką, większą panią od jej matki. Lucia w listach do Stefci pomijała tą sprawę, jakby nie wiedząc o niczym. Ale żałowała Stefci, całą złość zwracając na Waldemara, jako bezpośrednią przyczynę jej wyjazdu ze Słodkowic. Wszyscy, każdy po swojemu, potępiali ordynata.

## XIII.

Kilka dni minęło w strapieniu i niepewności. Posłańcy krążyli nieustannie pomiędzy Słodkowcami, Obronnem i Głębowiczami. Księżna prowadziła układy z Waldemarem listownie.

Nareszcie pan Maciej i baronowa otrzymali listy od księcia Franciszka Podhoreckiego, zapraszające na zjazd familijny do Obronnego w sprawie ordynata.

Wszyscy zebrali się w salonie, obok gabinetu księżnej, czekano tylko na Waldemara. Księżna w głębokim fotelu, niespokojna, mnąc chusteczkę w ręku, z trwogą spoglądała na zrezygnowaną twarz pana Macieja. Książę Franciszek i hrabia Morykoni, zięć księżnej z drugiej córki, spacerowali rozmawiając cicho. Pani Idalia z hrabiną spoglądały w okno. Księżna Franciszkowa i panna Rita miały zagadkowe miny.

Księżna mówiła szeptem:

– Wszystko to robi na mnie wrażenie szopki, zupełnie zbytecznej. Jeśli sądzą, że przestraszą ordynata, czeka ich zawód.

– Ja natychmiast odejdę, skoro tylko przyjedzie – odpowiedziała panna Rita. – Nie mogłabym spokojnie słuchać.

– Owszem, to będzie ciekawe. Oni myślą zaimponować ordynatowi, lecz stanie się przeciwnie. Przykro mi tylko, że Franio tak wyraźnie akcentuje swoje contra w tej mało szlachetnej awanturze.

– Więc książę jest aż tak przeciwny małżeństwu ordynata? Dlaczego głównie?

– Prawdopodobnie idzie w ślady matki, dla tradycji. Dziwię się i mamie, nie posądzałam jej o tyle fanatyzmu.

– Bo to się najczęściej uwydatnia w takich właśnie faktach. Księżna wskazała oczyma panią Elzonowską.

– Albo Idalka! Ona mię oburza. Agituje przeciw Rudeckiej najgorliwiej. Panna Szeliżanka skrzywiła usta lekceważąco.

– Ech! Idalka! Jej głównie żal Barskiej, dla której ma niezrozumiałą sympatię. A może liczyła na jakiś piękny cadeau za wyswatanie. To do niej podobne.

– Jedzie! – zawołał od okna hrabina Morykoniowa. W salonie zrobiło się trochę ruchu.

Panowie wyprostowali figury jak przed walką, paniom na twarze wystąpiły rumieńce. Tylko starsza księżna mocniej zbladła, a pan Maciej westchnął głęboko.

Rita wysunęła się z salonu do przyległego gabinetu.

Waldemar wszedł prędkim, elastycznym krokiem. Szybkie spojrzenie rzucił na zebraną grupę osób i w oczach jego błysnął śmiech, usta przybrały ironiczny, przykry wyraz.

Powitanie odbyło się z zachowaniem wszelkich przepisów etykiety, ale pan Maciej ucałował wnuka jak zawsze serdecznie, a księżna Franciszkowa mocno uścisnęła jego rękę z wymownym spojrzeniem.

Ordynat rozejrzał się po sali.

– Widzę, że jestem ostatnim. Już chyba nikogo nie brakuje?

– Tak, spóźniłeś się – rzekła księżna. Waldemar ściągnął brwi.

– Przepraszam – odrzekł sucho, siadając na bocznym fotelu.

Zapanowała długa i bardzo kłopotliwa cisza. Księżna kręciła się niespokojnie, pan Maciej oczy wbił w zaścielający posadzkę dywan.

Ordynat niedbale bawił się medalionem przy dewizce, trochę dumnie patrząc na wszystkich. Wreszcie, zniecierpliwiony milczeniem, odezwał się pierwszy:

– Zostałem wezwany na zjazd familijny dla omówienia mej sprawy. Cytuję słowa listu. Przyjechałem. A teraz słucham.

Księżna poruszyła się, książę Franciszek i hrabia odchrząknęli i spojrzeli na siebie znacząco.

Pierwsza zabrała głos księżna.

– Zebraliśmy się tu, aby wspólnie odwieść cię od twych... szalonych projektów... które obrażają nas i tobie przynoszą ujmę.

Pan Maciej bystro spojrzał na księżnę. Uderzył go stanowczy ton jej mowy. Słowa „odwieść” wszystkim wydało się za silne.

Waldemar podniósł brwi, nozdrza poruszały mu się z irytacji. Uśmiechnął się złośliwie.

– Stawia babcia kwestię krańcowo. Widzę, że ultimatum na mnie wydane. Ale ja jestem pełnoletni, więc dzisiejszy... sejm może mi wyłożyć motywy swych niechęci dla mych postanowień, jestem przygotowany na odparcie wszystkich – jednak odwieść mię, czyli to samo, co zmusić, nie zdoła nikt i... nie ma do tego prawa.

Po ustach pana Macieja przeleciał uśmiech. Wszyscy stropili się. Księżna spłonęła krwawym rumieńcem.

Waldemar mówił dalej:

– Niech babcię moje słowa nie obrażają: odpowiedziałem w tonie jej słów. A teraz proszę o motywy.

– Nie możesz się żenić z panną Rudecką.

– Za pozwoleniem, to jest przedmiot, ale ja proszę o szczegóły, dlaczego nie mogę? o subiektywne rozebranie tej kwestii.

Tu odezwał się książę Franciszek:

– Nie możesz zaślubić osoby niższej sfery. Byłoby to wykroczeniem przeciw zasadom rodu Michorowskich, przeciw tradycji rodowej... byłoby to nawet występkiem przeciw etyce.

Ordynat dumnie podniósł głowę.

– Zasady, tradycje – są to nasze frazesy już tak oklepane, że nie robią wrażenia, na mnie przynajmniej. Co zaś do etyki, moja różni się od waszej, choć nie jest w gorszym stylu. Według mnie małżeństwo zawarte tylko dla tradycji rodowej, dla partii, staje się nieetycznym. Wy sądzicie przeciwnie, pojęcia wasze i moje dzieli cała przepaść.

Hrabia Morykoni zrobił zdziwioną minę.

– Ależ my nie wykluczamy zupełnie strony uczuciowej, o jaką ordynatowi, zdaje się, najwięcej chodzi. Lecz nie można absolutnie uczuciem się rządzić, ewentualność taka mogłaby przynieść wiele szkody dla arystokracji naszej. W wyborze żony trzeba zawsze kłaść główny nacisk na jednakową rasę! Voilà!

Waldemar zaśmiał się.

– Gdybym się jednak żenił z jakąś udzielną księżniczką niemiecką, hiszpańską, nikt nie uważałby na rasę. Mój dziad był żonaty z Francuzką i nikt się nie oburzał, bo to była magnatka. Gdybym się nawet ożenił z księżniczką chińską, poczytano by mi to za oryginalność, lecz nie za rzecz karygodną. Panna Rudecką jest polską szlachcianką, dobrej rodziny, więc o różnej rasie mowy być nie może.

– Ale jest różna sfera – przerwała księżna.

– Temu nie przeczę, lecz uważam to za drobnostkę nie mogącą mieć wpływu na połączenie się i szczęście dwojga ludzi.

– Owszem, ta drobnostka jest bardzo potężnym punktem, gdyż inaczej nie istniałyby mezalianse ani morganatyczne małżeństwa – rzekła pani Idalia.

– Nie rozumiem tej wzmianki. Mezalianse w arystokracji naszej bywają gorsze, a morganatyczne małżeństwo może być tam, gdzie się żeni panujący z poddanką lub vice versa, albo członek dynastii z osobą niższych sfer społecznych, co się zdarza na dworach. W takich razach żona nie nosi nazwiska męża, dzieci również, ponadto nie mogą być spadkobiercami tronu ani dziedzictwa. Jest to zastrzeżone prawem politycznym. Ale do mnie nie może się stosować.

– Pod pewnymi względami... owszem – rzekł wolno i z namysłem książę Franciszek. Wszyscy spojrzeli na księcia i na ordynata. Pan Maciej, nagle zatrwożony, niespokojnie patrzał na wnuka.

Ale Waldemar pięknym, lecz dumnym ruchem zwrócił głowę do księcia i zapytał wesoło:

– Doprawdy? I jakież to względy? Bardzom ciekaw.

Książę Franciszek utkwił w twarzy pytającego nieprzyjemny wzrok.

– Ordynacja ma swoje prawa wyłączne, które w danym wypadku można wypośrodkować. Jak majątki objęte ordynacją są zawarowane, i przez to stają się nietykalne, tak samo i... i...

Książę zająknął się.

– I sam tytuł ordynata zmusza do pewnych obowiązków... że tak powiem... tytularnych zobowiązań.

Książę najwidoczniej nie wiedział, co mówić.

– Paradoks! – szepnął dość głośno pan Maciej. Waldemar uśmiechnął się lekceważąco.

– Tytularnych zobowiązań? Zapewne. Ale nie tyczą się one wyboru żony.

– Owszem, noblesse oblige!

– Panna Rudecką nie zrobi ujmy tej zasadzie. Zupełnie śmiało może zostać ordynatową Michorowską, ma do tego wszelkie kwalifikacje.

– Prócz praw – sarknął książę.

– Prawa nadam jej sam, zaślubiając ją.

– To pogląd osobisty, nie ogólny, ogół naszej sfery takiego prawa nie uzna.

– Gdy przedstawię pannę Rudecką jako moją żonę, uzna z pewnością.

– I ty sądzisz, że my ją przyjmiemy? – spytała ironicznie pani Idalia. Waldemar przeszył ją wzrokiem.

– Ogół arystokracji przyjmie, choćby ze względu na mnie. Zajmuję pewne stanowisko społeczne, mam rozległe stosunki i znane magnackie nazwisko. To są powody, dla których trzeba się ze mną liczyć. Pojedyncze osobniki niezadowolone istnieją zawsze, nawet w zwykłych warunkach, ale o nich mniejsza: zginą w ogólnym prądzie.

– Pozwolę sobie zrobić uwagę – rzekł hrabia Morykoni. – W zwykłych warunkach malkontenci mogą być jedynie na podstawach osobistych uraz lub zawodów. Tu zachodzi niechęć i odraza sferowa. To nas łączy solidarnie, wywoła oburzenie w całej arystokracji. Panna Ru- decka powinna być względem nas obcą zawsze, ona dla naszej sfery jest – trędowata! Voilà!

Waldemar zmrużył oczy, spod rzęs popatrzał na hrabiego strasznym wzrokiem, z bezmiernym szyderstwem i chłodem, po czym rzekł:

– Brawo, panie! Trędowata! To samo słyszałem już raz od Barskiego, lecz ponieważ wszyscy wiedzą, kim jest tamten pan pod względem intelektualnym, więc nie spodziewałem się usłyszeć powtórzenia w dzisiejszym zgromadzeniu. Nie wiem, czy to określenie jest zapożyczone od Barskiego, czy też to nowe wydanie – w każdym razie winszuję! Jest to bajeczny dowcip i genialny w swej naiwności.

Wszyscy osłupieli, bo Waldemar mówił niby spokojnie, lecz z niesłychanym podnieceniem, i kto go znał lepiej, ten zadrżał. Hrabia był również zapaleniec. Zaciął wargi, ale podniósł butnie głowę, świecąc złotą oprawą szkieł. Odezwał się obrażonym tonem:

– Dziękuję ordynatowi za jego uwagi, które są... zbyteczne. Krytyka pańska nasuwa myśl stanowczego zakończenia tej gry na słowa.

Waldemar skłonił mu się drwiąco, lecz uprzejmie.

– Panie hrabio, jestem zawsze przygotowany zakończyć ją matem.

Zaległo groźne milczenie. Skandal wisiał w powietrzu. Obaj przeciwnicy patrzyli sobie w oczy bez słowa, tylko hrabia sapał i mienił się na twarzy, a Waldemar, posągowo spokojny, patrzał na niego jak wilk na ofiarę. Jeszcze chwila, a nastąpiłoby coś nieoczekiwanego. Ale ocknęła się pierwsza młoda księżna.

– Panowie, proszę o głos – zawołała wzburzona i zaczęła mówić: – Wszystkie motywy, jakie ordynat podaje na obronę panny Rudeckiej i kwestii zamierzonego z nią małżeństwa, ja podzielam w zupełności i twierdzę, że panna Rudecka, jakkolwiek nie jest z naszej sfery, nie pochodzi jednak z klasy ludzi, z którymi stosunki nasze absolutnie nie mogłyby istnieć. Poza tym znamy osobiście pannę Rudecka i bezstronnie mówiąc, wiemy, co o niej sądzić. Wypowiedziałam swój pogląd, teraz odstępuję głos ordynatowi.

Waldemar jął mówić spokojnie:

– Żeniąc się z panną Rudecka nie popełniam skandalu, nie wprowadzam do rodziny osoby z gminu ani też podejrzanej. Mezaliansem nazwać możecie różnicę stanowiska obu rodzin, wyraźną, lecz nie jaskrawą, i różnicę majątkową. To tworzy ową sferę. Jest to mur, poza który bardzo rzadko wyglądamy, gdyż każdemu brak odwagi. Ten mur sterowy jest tak najeżony przesądami, pielęgnowanymi od wieków, tak przesiąkły fanatyzmem, że zatruwa każdego, kto się doń zbliży. Lecz usuńmy truciznę, a przekonamy się, że mur nie jest strasznym i niemożliwym do przekroczenia.

– Takie wycieczki są nie dla karmazynów – przerwał książę Franciszek.

– Właśnie o tych naszych karmazynach mówię – rzekł Waldemar.

– My do tamtych sfer nie mamy pretensji. Le jeu ne vaut pas la chandelle.

– Przeciwnie, korzyści byłyby po przekroczeniu sterowego muru.

– Na przykład jakie?

– O! tylko pozbądźmy się tremy, wówczas będziemy mogli rozejrzeć się swobodnie, bez chloroformów, udzielanych nam przez tradycję. Ujrzymy świat, nazywany dziś „trędowatym", w stanie może lepszym, a na pewno moralnie zdrowszym od naszego. Ujrzymy w nim jednostki bardziej rycerskie pod względem etyki i często szlachetniejsze. Wiele z nich zaimponuje nam nie tytułem i milionami, nie cudzoziemszczyzną i umiejętnością eleganckiego łajdaczenia się, bo to nasz przywilej – lecz niezaprzeczoną wyższością na punkcie psychologii i humanitarnych, ideowych dążeń. Nasza wyniosłość rodowa, wyrosła na zamierzchłej tradycji, stawia nas na wyższych piedestałach, popychanych w górę przez miliony i tytuły, rzadziej przez osobiste cenne zalety. Na takim tradycyjnym, uświęconym przez sferę monumencie stoi często osobnik bez wartości, nie wytrzymujący porównania z członkiem sfer społecznie niższych. I niechże tych dwoje ludzi zbliży się z sobą – daję tylko przykład – poczytanym to zostanie za mezalians, ale orzeczenie to stosować należy do sfery społecznie niższej z powodu kultury osobistej, nie tradycyjnej. To nie jest bagatela, to już kwestia, która nasuwa tysiące porównań – dla nas niepochlebnych.

– Jakobini francuscy takie same głosili zdania – zaśmiał się książę.

– I w antraktach strącali głowy z karków magnackich – dokończył Waldemar. – Ja nie jestem jakobinem, tylko trzeźwym arystokratą.

– Patrzącym przez pryzmat demokracji.

– Nie, mości książę, najwięcej liczę na własny wzrok i robię bajeczne odkrycia. Książę umilkł. Ordynat mówił dalej:

– Co jest jeszcze ważnym czynnikiem sterowym, broniącym odstępstwa od jej zasad, to parantela. Skoro twój dziad i pradziad żenili się w domach magnackich, i ty powinieneś pójść ich śladem – oto nasza śpiewka. Nie wystarcza nam samo nazwisko narzeczonej, choćby najświetniejsze; my szukamy dalej, wygrzebujemy z grobów jej pradziadów i starannie sprawdzamy ich herby i tytuły. Jeśli błyszczą jaskrawo, umieszczamy ich portrety w naszych zamkach, na miejscach najwidoczniejszych, choćby nie byli warci wspomnienia. Jeśli są skromniejsi, wieszamy ich gdzieś na uboczu,

mówiąc z lekceważeniem: „Jakiś tam daleki krewny”.

Ja na to nigdy się nie zgodzę, we mnie zwykły człowiek prawy i bez skazy więcej wzbudzi szacunku od pysznego hetmana czy wojewody, który często całą swą wartość nosi w purpurze i klejnotach. To są moje poglądy na sferę i mezaliansy. Nie wedle oprawy sądzi się drogi kamień, lecz wedle prawdziwej wartości. I w złocie znajdują się falsyfikaty.

Waldemar rozdrażniony rzucił się w głąb fotelu, a wszyscy zrozumieli, że walka z nim nie doprowadzi do pożądanych wyników. Twarze obecnych sposępniały.

Nagle książę Franciszek poruszył się i wydobywając z siebie cały zapas energii, pewien efektu, rzekł dobitnie:

– Panna Rudecka może zostać Michorowską, ale nie ordynatową i bez praw do ordynacji.

– A to jakim sposobem? – spytał spokojnie Waldemar.

– Franiu, pleciesz głupstwa – rzekła młoda księżna, cała w ogniach.

– Jakim sposobem moja żona nie będzie ordynatową?

– Bo przez mezalians twego małżeństwa z nią możesz ordynację utracić.

Waldemar spojrzał na księcia rozbawionym wzrokiem, usta mu zaczęły drgać śmiechem i nie wytrzymał. Na salę runął jego śmiech szyderczy, pełen ironii, ale wybuchowo wesoły.

– Ha! ha! ha! a to mię bawi! i któż zostanie tym egzekutorem, kto mnie wydziedziczy z ordynacji?

Zwrócił się do księcia:

– Czy pan? Ha! ha! ha!

Śmiał się swobodnie, ale tak szatańsko, że wszystkim zrobiło się zimno. Książę siedział czerwony, niemy z oburzenia, hrabia skubał nerwowo brodę, panie były ogłuszone, księżna bliska omdlenia. Niedorzeczny występ syna zawstydził ją, śmiech Waldemara gniewał, nie wiedziała, co z sobą począć. Pan Maciej mienił się na twarzy. Stanęła przed nim podobna chwila z pierwszej młodości jego życia. Jemu tak samo grozili, ale on nie posiadał odwagi Waldemara, on nie śmiał się tak swobodnie, zląkł się i uległ.

Stary magnat wstrząsnął się na to wspomnienie, zabolało go porównanie.

A tymczasem Waldemar przestał się śmiać i mówił chłodnym, pewnym głosem:

– Chcieliście mię nastraszyć morganatycznym małżeństwem, teraz straszycie wydziedziczeniem z ordynacji. Na mnie kolej zapytać: jakie prawa macie do tego? Pomijam morganatyczność, gdyż to jest absurd niegodny wzmianki, mówmy o wydziedziczeniu. Kto może tego dokonać?... Istnieje tylko jedna odpowiedź – nikt. Ja nie mam lat osiemnastu, ale trzydzieści dwa, wyszedłem z wszelkiej opieki i nie daję nikomu pełnomocnictwa do rządzenia sobą. Godnością i postępowaniem swym kieruję sam i zupełnie czuję się na siłach; w takich zaś kwestiach jak małżeństwo i osobiste szczęście nie zasięgam rad niczyich. Wiem, czego pragnę i do czego dążę. Wydziedziczyć mię nie można, ponieważ jestem ostatni Michorowski z linii głębowickiej.

Zresztą, gdyby było więcej członków tej linii lub gdybyście chcieli powołać innych Michorowskich na ordynację, to i tak nic z tego, bo ja się nie zgodzę, a ponieważ jestem pełnoletni, więc prawo mię broni. Wszyscy to rozumieją, niepotrzebne paragrafy, dziwię się, że książę tak stanowczo dowodził o odebraniu mi tytułu. Wyglądało to tak, jak straszenie dziecka pozbawieniem go grzechotki. Na szczęście nie jestem płochliwy, swe prawa znam i wydrzeć ich sobie nie pozwolę, a dobrowolnie ordynacji, stanowiska i tytułu się nie wyrzeknę, choćby dlatego, żeby złożyć to wszystko w hołdzie ukochanej kobiecie.

Cichy szmer rozszedł się po sali. Hrabia Morykoni patrzał na ordynata nie wierząc własnym uszom. Starsza księżna szeroko otwarte źrenice wpiła w dumną postać mówiącego. Pan Maciej zwiesił głowę; w twarzy miał podziw i wstyd, jakby po tylu latach teraz dopiero odczuł go wyraźnie.

Po chwilowej ciszy Waldemar począł znowu, coraz więcej się zapalając:

– Ożenię się z panną Rudecką wbrew utartym zasadom mego rodu wedle waszych pojęć, czyli że małżeństwo moje nazwiecie mezaliansem. Nie wzrusza mię to: ja mam pojęcia inne. Żenię się powodowany uczuciem i szczęśliwy jestem, że mogę nie oglądać się na partię ani na posag. Nie będę wyliczał zalet panny Rudeckiej, gdyż kto ją zna, sam osądzić może. Nadmienię tylko, że jest starannie wykształcona i dobrze wychowana, przy tym dumna i ambitna o wiele więcej od pewnych panien z naszej sfery, które potrafią same oświadczać się mężczyznom. Powierzchowne i wewnętrzne zalety panny Rudeckiej odpowiadają w zupełności stanowisku, jakie zajmie w naszej sferze.

– To za mało – przerwała hrabina Morykoniowa. – Na stanowisko ordynatowej Michorowskiej powierzchowne i zewnętrzne zalety to za słaby atut. Można mieć wygląd cesarski, a nie być nawet paziem.

– Tak – wycedził hrabia – pod purpurą płaszcza Michorowskich nie można kłaść byle aksamitu, tylko gronostaje.

Ordynat rzucił się na fotelu.

– Ona ma jeszcze inne zalety. Ona potrafi nosić moje nazwisko i mój tytuł, będzie dobrym typem wielkiej pani. Stanie się również dobrą matką naszego rodu, nie zawiedzie nas w swej godności. Moje miliony nie zaślepią jej, gdyż jest delikatna i inteligentna. Dla was ona może być niepożądanym intruzem, dla mnie jest wybraną jedyną kobietą i wymagam, abyście ją przyjęli z należytym uznaniem. Przestanie być dla was panną Rudecką, a będzie Waldemarową Michorowską, ordynatową głębowicką i waszą krewną.

Pani Idalia parsknęła przykrym śmiechem.

– Rudecka naszą krewną? Nie, to więcej niż śmieszne, to jest obrażające!

– Dlaczego? – spytał Waldemar spokojnie.

– Jak to! ty się o to pytasz? Doprawdy, nie myślałam, że potrafisz się tak po... studencku zakochać.

– Powiedz lepiej, ciociu, po gminnemu, boś to miała na myśli. W naszych pojęciach tylko prostakom wolno mieć uczucia. Rozumiałbym wasze

oburzenie, gdyby panna Rudecka była osobą nie z towarzystwa...

– Bo i nie jest nią – przerwała pani Idalia.

– Ach tak? Ciekawym, jakie jeszcze zarzuty spadną na moją narzeczoną, bo sypią się już jaskrawe, na jakie nawet odpowiedzi nie ma.

Hrabia Morykoni potarł dłoń o dłoń i wyseplenił:

– Jest odpowiedź: niepewny ród. W prawdziwie dobrych rodach nie ma tego nazwiska. To coś nowego. O Rudeckich nikt z nas nie słyszał.

Waldemar spojrzał na hrabiego przelotnie.

– Bo my, zamknięci w naszych kołach rodowych, nie znamy bardzo wielu kółek w społeczeństwie, które jednak istnieją. Rodzina Rudeckich jest znaną i szanowaną w Królestwie. Najlepiej was objaśni i przekona Niesiecki. Ja mam już dosyć tej rozmowy bezcelowej. Spytam tylko, czym się różni panna Rudecka od naszych panien? Chyba wytwornością, no i urodą. Nie każda może się taką poszczycić.

– Uroda, uroda! – syknęła pani Idalia – przywilej tęgich wieśniaczek... w naszej sferze ma znaczenie poślednie.

Waldemar roześmiał się.

– Wolne żarty, kochana ciociu! ale nie mnie brać na nie. Panna Rudecka poza urodą ma wszystko, co obowiązuje nasze towarzystwo. Jest obyta, utalentowana, obce języki posiada wybornie, umie prowadzić lekką salonową rozmowę, jak i poważną. Potrafi dowcipnie żartować, ładnie siadać do karety, nawet elegancko obchodzić się z trenem, czego dała dowód w kostiumie. Wymieniam wszystko, czego brak w niej mógłby was razić.

Książę Franciszek skrzywił się.

– Daje pan przykłady dziecinne. Dobre dla panny Rudeckiej, lecz nie dla ordynatowej Michorowskiej, która mogłaby być pierwszą damą w kraju.

– Bądźcie pewni, że nie zrobi zawodu i zakasuje niejedną dzisiejszą gwiazdę salonów. Pani Elzonowska dodała z ironią:

– Szczególnie z tymi rękoma i ruchami. C’est plus que ridicule!

Wszyscy spojrzeli na baronową z pewnym zdziwieniem.

Twarz jej była sina z gniewu. Waldemar uważnie popatrzał na nią.

– Z rękoma? To coś nowego! A jakież ona ma ręce?...

– W każdym razie nie dla nas – odrzekła dumnie baronowa. Wtrąciła się młoda księżna:

– Nie unoś się, Idalko, bo zaczynasz być niesprawiedliwą. Ręce panny Rudeckiej są ładne, białe, drobne, zupełnie arystokratyczne, ruchy wytworne i dystyngowane. Przeczyć nie można.

Waldemar z szatańskim uśmiechem rzekł wolno, jakby się drażniąc:

– Ach, co do rąk, bądźcie spokojni! Z natury są ładne, a gdy je wybrylantuję, wówczas mogą się schować rozmaite łapki magnackie, nie zawsze odpowiadające pochodzeniu.

– Żartujesz sobie z nas, Waldemarze – przemówiła starsza księżna z urazą.

– Nie, odpowiedziałem tylko na uczyniony mej przyszłej żonie zarzut.

– Za wcześnie pan zaczyna tytułować pannę Rudecka – odezwał się z ironią

hrabia Morykoni.

– Powtarzam, moją żoną zostanie panna Stefania Rudecka. Proszę, abyście mi państwo uwierzyli i przestali mię dręczyć, gdyż to do niczego nie doprowadzi.

Głos Waldemara zagrzmiał trochę i umilkł. Głucha cisza zaległa salę.

Ordynat wstał, wyprostował się i minąwszy półkole rodzinne, wolno poszedł w głąb salonu, przeglądając obrazy.

Starsza księżna powiodła za nim przestraszonym wzrokiem i poprawiła się na fotelu, mnąc koronkową chusteczkę. Książę Franciszek chrząknął znacząco. Waldemar najwyraźniej dał im do zrozumienia, że posiedzenie uważa za skończone. Wszyscy to odczuli. Po długich porozumiewawczych spojrzeniach i lekkim wzruszeniu ramion przez panią Idalię i hrabinę Morykoniową rozległ się drżący, niepewny głos starszej księżnej:

– Czy to ostatnie twoje słowo, Waldemarze?

– Tak. Tego, co powiedziałem, nie zmienię.

Księżna była zgnębiona. Słowa wnuka przeraziły ją. Szukała jeszcze ratunku. Błagający, rozpaczliwy wzrok rzuciła na pana Macieja, jakby wzywając jego pomocy. Teraz dopiero zauważyli, że przez cały czas nie odzywał się. Wszyscy śladem oczu księżnej spojrzeli na niego. Odruchowo zwrócił nań wzrok i Waldemar.

Pan Maciej zrozumiał, że należało mu wystąpić.

Starzec zaciął usta, w oczach błysnął mu ogień jakiś złowrogi, pochylił się do księżnej i kładąc dłoń na jej ramieniu, rzekł silnym głosem:

– Proszę, niech się księżna uspokoi. Waldemar ma swe poglądy wyłącznie i zawsze jednakowe. Nasze zasady brzmią inaczej. Nie mamy nad nim opieki prawnej, lecz mamy obowiązek opieki moralnej i ten nakazuje nam bronić naszej sprawy do ostatka.

Umilkł, oddychając szybko.

Na twarzy księżnej błysnął cień nadziei. Książę i hrabina z uśmiechem zamienili spojrzenia.

A Waldemar cofnął się o krok, przegięty w tył, wyprostowany, sztywny, z podniesioną głową i zmarszczonymi brwiami. Oczy, pełne zdumienia, ale pyszne w wyrazie utkwił w twarzy starca, stał tak, jak uderzony obuchem, ale nie złamany, przeciwnie – gotowy do nowej walki. Może tak wyglądał Cezar przy pamiętnym wykrzyku: „I ty, Brutusie?!”...

Pan Maciej odetchnął i mówił dalej wolno, dobitnie:

– Ale można bronić, można perswadować temu, kto się waha, kto nie jest pewny siebie, podaje słabe motywy, nie jest przygotowany do racjonalnego i trzeźwego stawiania kwestii, kto wreszcie sam nie bardzo wie, do czego dąży, a brak mu stanowczości i energii, bo za słaby ma charakter. Tak przed laty było ze mną. Przeżywałem dziś po raz drugi tamtą chwilę i boleśniej niż wtedy. Ja wahałem się, ja nie miałem pewności siebie ani woli, ani energii. Nie wiedziałem, kto ma rację: ja czy ci, z którymi walczyłem. Boże mój! co to były za nierówne siły. Brakło mi słów na obronę własnego szczęścia, czy

może kochałem mniej, czy też miałem za słaby charakter. Zagrożono mi również wydziedziczeniem z ordynacji, a ja, chociaż miałem te same warunki, co Waldemar, bo byłem jedynym z naszej linii i pełnoletnim, chociaż matka i stryj opiekun wydziedziczyć mię nie mogli, jednak zląkłem się i pod presją uległem. Następstwa tego kroku wiadome: zwarzyłem życie sobie i tamtej kobiecie...

Pan Maciej spuścił głowę i zamilkł na chwilę:

Obecni patrzyli na niego ze zdziwieniem i obawą. Ordynat przesunął się poza plecami siedzących i oparty o staroświecki kominek, nie spuszczał oczu z dziadka.

Pan Maciej mówił dalej:

– Teraz, gdy jestem już nad grobem, znowu staje przede mną ta sama sytuacja. Tylko zmieniły się role. Mój wnuk Waldemar imponuje mi. Jemu trudno zabronić tego, w czym widzi szczęście własne i swej ukochanej kobiety. Jest pełnoletni, jest rozumny, posiada szaloną wolę. której nikt i nic nie złamie, i wszelkie prawo za sobą. Nie jest to opór, lecz stanowczość dojrzałego człowieka, który wie, że ma przewagę w stawianiu motywów, nie ulęknie się ostateczności i jest zbrojny w szlachetność uczucia oraz wiarę w przyszłość. To nie szał chwilowy, to mocne, niezłomne postanowienie. Tu nie ma zaślepienia, lecz jest trzeźwa i wielka racja, której cała nasza sfera nie zaćmi. Więc próżne są nasze dowodzenia przeciwne, bo on je zbije, próżny nasz opór – on go przełamie albo przejdzie po nim, nie licząc się z nami. Ja się oburzałem, nie chciałem słyszeć o czymś podobnym, ale – on mię przekonał.

Trwożny szmer rozszedł się po sali. Księżna zrobiła ruchu, jakby chcąc powstać. Oczy jej świeciły gniewem.

Wszyscy odczuli jakby uderzenie gromu, a pan Maciej z rumieńcami na twarzy mówił dobitnie, zwrócony głównie do starszej księżnej:

– Powtarzam: on mię przekonał. Ta kobieta, którą on ukochał, przez to samo jest godną uznania, że przez niego została wybrana. Mówię o nim nie jak o swym wnuku, lecz jak o szlachetnym i rozumnym człowieku zasługującym na szacunek wszystkich. Tę, którą on wybrał i wprowadzi do naszej rodziny, powinniśmy przyjąć bez zastrzeżeń jak swoją. Ja, Michorowski, jego dziad, uznaję jego wolę, zgadzam się na jego małżeństwo... i błogosławię! Uczyń to samo, księżno, proszę cię o to. Nie zachmurzaj jego szczęścia, nie zabijaj tej dziewczyny: ona go kocha prawdziwie i bardzo głęboko – wiem o tym. Ona, powodowana prawością charakteru i ambicją, odmówiła mu ręki, uciekła, nie chcąc dla niego walki z rodziną...

Pan Maciej wyprostował dumnie starczą pierś. Czoło magnata rozjaśniło szczere uniesienie. Głos potężniał.

– Więc ona poświęca własne szczęście, życie niemal, a my nie możemy poświecić naszych przekonań, opartych, być może, na przestarzałych przesądach? Mamy się okazać mniej szlachetnymi od tej wątłej dziewczyny

szlacheckiej? My, magnaci?! Bądźmy wspaniałomyślni, księżno! pozwólmy sobie na okazanie serca tam, gdzie fanatyzm nasz stawia zapory. Przełamać go nam trzeba! Waldemar to twój wnuk, księżno, i mój. Na starość cieszmy się jego szczęściem. W niech może odżyją nasze młode marzenia, zniweczone przez życie. Księżno, daj mu zezwolenie i pobłogosław. Proszę cię o to przez pamięć na nasze dzieci, których on jest synem.

Starzec, porwany zapałem, powstał z fotela z ogniem w oczach. Wyciągnął ręce.

– Wnuku mój! cześć tobie i niech ci Bóg błogosławi!

Waldemar poruszony, z głuchym dźwiękiem w piersiach, objął chwiejącą się postać dziadka i gorąco, z uczuciem przylgnął do jego ramienia. Pan Maciej głowę wnuka ścisnął rękoma, drżące usta starca spoczęły na jego dumnym czole.

Wszyscy mimo woli powstali. Uroczystość chwili podniosła ich z miejsc. Parę głów zwróciło się machinalnie w stronę kotary, gdzie panna Rita zanosiła się spazmatycznym płaczem.

– A ty, babciu?... a ty?...

– Nigdy! nigdy! – krzyknęła księżna i zwisła na fotelu. Zemdlała.

Zrobiło się zamieszanie, zaczęto cucić.

Waldemar wziął staruszkę na ręce i niósł do jej sypialni. Cała procesja szła za nim.

W przejściowym korytarzu stała Rita, oparta o rzeźbiony filar, spłakana, drżąca. Na widok ordynata, niosącego bezwładną księżnę, cofnęła się z lękiem. Jej przerażony wzrok uderzył Waldemara.

– Babcia zemdlała – rzekł krótko.

Do salonu powrócili tylko pan Maciej i Waldemar. Książę i hrabia gdzieś się ukryli, nie śmiejąc spojrzeć na ordynata. Pan Maciej uścisnął wnuka.

– Uspokój się. Wszystko będzie dobrze. Ten krzyk księżnej był odruchowy, ale to minie. Zwyciężyłeś, Waldemarze, i będziesz szczęśliwy! O, jaką tyś mi dał naukę! Ale kamień mi spadł z serca.

Staruszek rozpłakał się, lecz serdeczność Waldemara wróciła mu prędko uśmiech na zoraną twarz.

Księżna nie chciała widzieć nikogo i Waldemar musiał powtórnie wyjechać z Obronnego bez zgody babki, bez jej błogosławieństwa.

## XIV.

Cisza zapanowała w Obronnem, głucha, przygniatająca cisza... Minęły święta Bożego Narodzenia, pierwszy raz tak ponuro zaznaczone w okolicy. Jasny, mroźny styczeń dobiegał połowy. Księżna Podhorecka nie wychodziła ze swych pokoi zdenerwowana w najwyższym stopniu. Nie chciała widywać panny Rity ani lubianej zwykle pani Dobrzyńskiej. Papugę swą kazała zabrać z buduaru, bo ta ciągłym krzykiem: L’amour c’est la vie – nauczonym przez

pannę Ritę, drażniła nerwy księżnej. Nikt nie mógł staruszce dogodzić, nie znosiła obecności ludzi. Miejscowy pleban odwiedzał ją czasem, ale gdy raz zapytany wręcz wziął stronę Waldemara, księżna nie chciała go więcej widywać. Pozostał lekarz, który z obowiązku bywał u niej codziennie. Księżna wybierała się za granicę, lecz wzbroniono jej tego z powodu stanu zdrowia. Waldemara od pamiętnego zjazdu nie widywała wcale, nie pozwoliła sobie o nim nawet wspominać. Mimo to posłańcy z Głębowicz nawiedzali Obronne, dopytując się o zdrowie staruszki. Rozczulona tą troskliwością wnuka, księżna wysłała do niego list, zaklinając, aby zaniechał zamiaru żenienia się ze Stefcią. Na list Waldemar odpowiedział również listem i pozostał niewzruszony. Potrafił jednak w tak serdecznych, lecz stanowczych słowach wypowiadać swą wolę i prośbę, że księżna zmartwiała.

– On mię zmusi, zmusi! – mówiła z rozpaczą.

Pan Maciej był raz w Obronnem. Chciał wpłynąć na księżnę, ale stało się przeciwnie, bo właśnie pani Podhorecka miała ten sam zamiar względem niego. Jej tłumaczenia przestraszyły pana Macieja. Starzec zawahał się. Uczuł skruchę przed własną sferą i przed księżną, że tak prędko zezwolił na to małżeństwo skandaliczne, wedle pojęć księżnej. Już zupełnie zdawał się być przekonanym, nieledwie obiecywał cofnąć słowo dane Waldemarowi. Księżna tryumfowała, pani Idalia dokładała paliwa całą duszą, aby podtrzymać wahanie ojca. Tylko panna Rita cofnęła się od spisku, zupełnie usunięta na bok.

Waldemar od niej wiedział o wszystkim i zaciskał zęby. Postanowił jechać do Ruczajewa i skłonić Stefcię do prędkiego ślubu. Przechodził straszną walkę wewnętrzną i tym bardziej cierpiał, że przeczuwał niepokój narzeczonej. Ona czekała na niego, może już z nieufnością w duszy. Ale i jego cierpliwość wyczerpała się. Napisał stanowczy list do pana Macieja i do księżnej, dając im termin tygodniowy do namysłu. Po czym zapowiedział, że zerwie wszelkie względem nich zobowiązania i zmusi Stefcię do zaślubienia go wbrew ich woli.

Pan Maciej przeraził się, ale księżna ułożyła natychmiast list do Stefci, zabraniając jej zaślubienia Waldemara. List swój księżna bardzo niezręcznie pokazała panu Maciejowi. Przejął go grozą. On wiedział, że to byłby ostateczny a straszny cios dla wnuka, bo Stefcia życiem by to przypłaciła, lecz po tym liście nie wyszłaby za ordynata za nic. Pani Podhorecka sama zepsuła całą sprawę, już chylącą się na jej korzyść.

Staruszka miała charakter śmiały, despotyczny – postanowiła iść przebojem do ostatka.

Ale przed oczyma pana Macieja stanęła znowu przeszłość i okrutny list jego stryja, którym łamał bezwzględnie szczęście Korwiczówny. Pan Maciej przestał się wahać. Śmiało oznajmił dumnej pani, że zgadza się na zamiary wnuka, a chcąc swe słowa poprzeć czymś realniejszym, napisał list do Stefci i posłał go Waldemarowi nie zapieczętowany. Pierwej przeczytał go księżnie i pani Idalii. List był czuły i zupełnie ojcowski. Starzec prosił w nim Stefcię o

uszczęśliwienie Waldemara i nazwał ją swą wnuczką.

Pani Elzonowska zrozumiała, że wszystko stracone. Ale księżna nie ustąpiła. Zamknęła się w swym uporze, głucha na wszelkie przekładania, zimna, sztywna i nieubłagana. Pan Maciej, pełen goryczy i żalu do niej, przestał nalegać. Usunął się, dotknięty głęboko. Waldemar dla Obronnego nie istniał, ale księżna wiedziała, że bywa w Słodkowcach i że lada dzień wyjedzie do Ruczajewa.

Chwilami opanowywała księżną dzika zawziętość. „Niech jedzie, niech się żeni, nie chcę go znać – przeklnę!" Ale natychmiast po takim wybuchu łkanie rozdzierało jej piersi. Toż ten Waldemar to jej wnuk jedyny, jej chluba, ozdoba całej rodziny i świetna ozdoba. On był dla staruszki najdroższym. Kochając go, ceniła zarazem. Z własnych dzieci księżna nie miała pociechy, a Waldemar był synem najukochańszej zmarłej córki. Więc rozpacz gryzła księżnę i walka toczyła się w niej straszna. A godziny zdawały się policzone. Waldemar wyjedzie z listem Macieja, z jego błogosławieństwem i Stefcia musi się zgodzić, bo skoro Maciej jest po ich stronie, patriarcha Michorowskich, to już wszystko! On ma większe prawa do Waldemara i on już jest zupełnie przekonany. Pominą babkę, nie będą na nią uważali, bo ostatecznie ona jest osobą drugorzędną. Księżna czuła, że miłość wnuka, a może i szacunek jego wymyka się z jej rąk, że Waldemar groźbę swą zerwania z rodziną zastosuje do niej jedynie, ale surowo. Okropne obawy napełniały duszę pani Podhoreckiej. Gniew, upór, obrażona duma, ambicja własna – wszystko wrzało w niej, tworząc nieznośną szarpaninę uczuć. Nie miała już poparcia z żadnej strony, bo i pani Idalia siedziała cicho w Słodkowcach, obawiając się narazić ojcu. Księstwo Franciszkowie milczeli, jakby przekonani. Zresztą o zapatrywaniach synowej księżna wiedziała. Hrabiostwo Morykoniowie, bojąc się wyraźnie występować przeciw ordynatowi, nie przyjeżdżali zupełnie do Obronnego. I panna Rita również zamknęła się w sobie. Milcząca, poważna, snuła się po zaśnieżonym parku bezcelowo. Nie bawiły jej nawet konie, poddała się całkowitej apatii. Upór księżnej oburzał ją. Chciała szczęścia dla Waldemara, poświęcając własne serce. Ale o Stefci nie mogła myśleć spokojnie. Jakiś żal wewnętrzny a ogromny nie pozwalał jej zastanawiać się nad tą dziewczyną. Jednak doznawała nieco złośliwej radości na myśl, co powiedzą Barscy i wiele innych domów arystokratycznych na wieść o małżeństwie ordynata. Ją, Szeliżankę, uważano za coś niższego, za partię dla ordynata niestosowną; nawet księżna i pani Idalia zapatrywały się tak samo. Mają nauczkę. Teraz może księżna ją wolałaby widzieć żoną Waldemara, ale już za późno. Muszą się zgodzić na Rudecką.

Panna Rita znajdowała pociechę chociażby w tym, że nie Melania Barska zostanie ordynatową. I wmawiała w siebie, że jakkolwiek małżeństwo młodego Michorowskiego jest dla niej ciosem, który musi przeboleć, to jednak chyba nie przeżyłaby tego, gdyby się zenit z Melanią. Niechęć do hrabianki przeszła u niej w nienawiść. Rita przy całej swej inteligencji nie

mogła darować Stefci czaru, jakim ona wzięła ordynata, a jemu stanowczości i energii, z jaką dążył do celu. Na równi pragnęła dla niego zwycięstwa i czuła żal.

Dusza się w niej rwała z bólu i uczuć gorących a zawiedzionych, ale nawet nie walczyła z sobą w chęci dopomagania im. O ile tylko mogła, wpływała na księżnę dodatnio i naraziła się staruszce.

Pewnego dnia, w wilię imienin księżnej, panna Szeliżanka siedziała w swym pokoju przy kominku. Płonął suty ogień. Otulona w miękki szkocki szal, pogrążyła się w myślach. Wtem zawiadomiono ją, że przyjechał hrabia Trestka. Zaledwo teraz powrócił ze swej długiej podróży. Bez wrażenia, bez podniesienia głowy poleciła go prosić.

Hrabia wszedł cicho jak do kaplicy, co było u niego dowodem nadzwyczajnego nastroju.

W milczeniu, gorąco ucałował obie ręce panny Rity i również w milczeniu usiadł na foteliku, który sam sobie przysunął. Binokle parę razy spadły mu i zwisły na sznurku. Hrabia, zdawało się, był mocno wzruszony samym widokiem panny Rity. Po długiej chwili przemówił:

– Niesłychane zmiany zastałem w okolicy. To dziwne. Na stacji kolejowej spotkałem Zyżemskich. Mówili mi, że w Szalach jest jak po katastrofie. Widzę, że i w Obronnem nie lepiej.

Panna Rita patrzała w ogień.

– Jak po katastrofie – powtórzyła machinalnie. Trestka kręcił się na foteliku.

– Cóż ordynat?

Rita podniosła na niego zdziwione oczy i wzruszyła ramionami.

– Pan się pyta?...

– No, ja wiem, wszystko wiem, ale czy już usankcjonowane?

– Tylko przez księżnę nie.

– Sapristi! to źle. Dlaczego księżna się upiera? Z ordynatem walka trudna, prawie niemożebna. Słyszałem o jego występie. Na radzie familijnej bronił się podobno pysznie. On ma wymowę!

– I pobił wszystkich – dodała panna Rita.

– Raczej zdruzgotał! Księżna musi ulec! Rozumiem jej stan obecny. Przejść Rubikon najtrudniej. Ale pani? co panią tak złamało?

Spojrzała na niego przez łzy.

– Mnie? co mnie?... Ach, Boże!...

Spuściła głowę i kilka łez spadło jej na szkocki szal, jakby nieme wyznanie. Trestka pochylił się, wziął jej rękę i rzekł dziwnie łagodnym głosem:

– Wiem... ja wiem, co panią boli... jednak ten ból to może przełom, to przesilenie, po którym rozpocznie się nowa era dla mnie – tak oczekiwana. Pani droga, dałbym wiele, aby ordynat dziś ożenił się, bo może wówczas dostanę panią dla siebie. On był tamą, o którą zawsze rozbijałem się bez nadziei, bo nie mnie z nim rywalizować. Widzi pani, jestem szczery, życie dałbym, aby pani za mną tak płakać mogła, lecz ponieważ nie każdy posiada

szczęście jednakowe, więc ja pragnę chociaż odrobiny dla siebie, trochę nadziei... Rita gniewnie wyrwała mu rękę.

– Panie, bez tego! Niech mię pan nie męczy. Mnie co innego w głowie.

– Zawsze ordynat?

Spojrzała mu śmiało w oczy.

– Tak, pragnę dla niego szczęścia.

– On je tam znajdzie w tej, którą kocha.

– Ale ja mu chcę dopomóc, czym mogę, choćby wpływami na ciocię, choćby kosztem własnego szczęścia.

Trestka zwiesił głowę.

Długi czas trwało milczenie. Panna Rita patrzała w ogień. Trestka bawił się binoklami i świecąc nimi w blasku płomienia, nie spuszczał z oczu bladej twarzy i apatycznych ust panny Szeliżanki.

Cicho zapytał:

– Czy z panną Stefanią już po słowie? Ordynat jej się oświadczył?

– Dawno! jeszcze w Słodkowcach. Ale mu odmówiła i wyjechała.

– Odmó... wi... ła?...

– Cóż się pan tak dziwi? Odmówiła powodowana taktem, ale kocha go. I ona biedna! Żal mi jej.

– Gdyby trafiła na kogo innego, może bym żałował, ale tak! Zostanie ordynatową, czyli prześcignie własne marzenia.

– Lecz ile przecierpi!...

– Miłość ordynata wynagrodzi wszystko. Wiem od Brochwicza, że on ją bardzo kocha. Przeczuwałem to dawno, lecz nie sądziłem, że się to tak prędko rozstrzygnie. Sapristi! tu idzie crescendo!.

– Alboż pan nie znał ordynata?

– Owszem, ale nie posądzałem go o zamiary matrymonialne. Myślałem, że to un amour passant – trochę trwalsza, lecz nie ostateczna, a przede wszystkim bardzo intensywna.

– Wyrażenie dziwaczne w danym razie.

– Przeciwnie, dobrze zastosowane. Uczucia ordynata dla panny Stefanii stanowczo są intensywne. Mają wielką dozę serca, ducha, czyli platonicznych cech, są zmysłowe, gwałtowne i posiadają wszystkie zasoby namiętnego temperamentu Waldemara. Teraz okazują się nie tylko zwycięskimi i zaborczymi, lecz i matrymonialnymi. Wiedziałem, że Stefcia szampańska, ale żeby doprowadzić Michorowskiego aż do kaplicy, tegom się i po niej nie spodziewał, pomimo zapewnień Brochwicza.

– Gdzie go pan spotkał?

– W Berlinie. On mi pierwszy opowiedział o tej awanturze.

– Jakież są jego poglądy? To przyjaciel ordynata.

– On twierdzi, że Waldemar robi dobrze przekraczając łańcuch sferowy i że będzie szczęśliwy. Brochwicz ma swój wyłączny kult dla Rudeckiej.

– A pan?

– Ja lubię ją bardzo, uznaję jej zalety, jest ładna i zajmująca. W roli

ordynatowej będzie jej do twarzy i potrafi z niej wybrnąć szczęśliwie. Ona ma duży takt. Dla jej pastelowej urody potrzeba tła, aby się uwydatniała lepiej. Głębowicze będą dla niej aż nadto wspaniałą ramą. Ale w liczbie nazwisk, w paranteli Michorowskich nie zabłyśnie jaskrawo, raczej przeciwnie – bardzo skromnie. Po Bourbonach, Esterhazych, Podhoreckich – Rudecka... skandalicznie trochę zabrzmi.

Panna Rita zwiesiła głowę. Pomyślała sobie, że i jej nazwisko – Szeliga – zgasłoby przy tych potentatach. Ironia zbudziła się w niej i skierowała na Trestkę. Rzekła z przekąsem:

– Jeżeli pan tak potrafi różniczkować brzmienie nazwisk, to się dziwię, że panu o mnie chodzi. Jestem przecie tylko Szeliżanką, a pan aż Trestką, tytularny, zrodzony z tytułu. Ja mam zaledwo dwóch hrabiów w rodzie, nie stanowię partii!

Zaśmiała się krótko, sarkastycznie.

– Po co to pani mówi? – spytał z żalem Trestką. Oparła się na fotelu ociężałym ruchem.

– Ach! mniejsza o to!...

Senne powieki spuściła na oczy - i siedziała tak z obojętnym wyrazem twarzy, zmieniona, niepodobna do siebie.

Trestką wbił oczy w mozaikę kwiatów na dywanie i również milczał, tylko sapał trochę. Zmrok zimowy zapadał wolno, ścieląc się szarymi pasmami na błękitnym obiciu ścian, zasnuwał mgłą wiszące obrazy, zmacał lustra, rzucał posępne cienie w każdy kąt pokoju, zamykając go w coraz ciaśniejsze ramy niewyraźnych szarzyzn. Ogień na kominku przygasł. Już tylko słabe, błękitne języczki płomieni ogarniały zwęglone głowienki. Trochę rozpalonych węgli żarzyło się czerwoną plamą. W popiele sypkim i białawym łyskały złote, migające iskry.

Przygnębiająca cisza zawisła jak pająk nad tym ładnym zakątkiem pałacu i przędąc smutek wdzierała się nim aż do serc dwojga ponuro zamyślonych ludzi.

Blada twarz Rity wtuliła się do połowy w miękkie zwoje szalu. Tylko jej włosy obfite, błyszczące połyskiwały w świetle gasnącego dnia. Na złotym grzebieniu pełzały słabe refleksy iskier.

Te dwie postacie w szarzyznach zmroku, wpatrzone w spopielały ogień na kominku, mogłyby być uosobieniem ukrytej tragedii. Każde z nich miało w sercu żal i zwątpienie, a pająk smutku omotywał ich coraz silniej swą ciemną szatą, wysysał nadzieję z najgłębszych tkanek serca.

Nagle oboje poruszyli się. Panna Rita podniosła głowę. Zwrócił ich uwagę szmer przy drzwiach. Spojrzeli w tę stronę i zerwali się, niby jedną podrzuceni siłą.

W drzwiach stała księżna, wyniosła, blada, straszna. Chwiała się na nogach, jej oczy płonęły gorączką.

– Ciociu! – zawołała Rita, podbiegając do staruszki z przerażeniem.

– Kto tu jest więcej? – wyszeptała księżna.

– Pan Edward, ciociu.

Trestką zgiął się w głębokim ukłonie.

– Wróciłem dziś z podróży i pospieszyłem złożyć paniom uszanowanie.

– To dobrze... Dziękuję – wyszeptała księżna podając mu rękę. Trestką ucałował ją z powagą.

– Może ciocia spocznie tu na kanapce – troszczyła się panna Rita.

– Nie, nie, tylko chcę, abyś wysłała posłańca. Ryciu, proszę cię, zajmij się tym... natychmiast. Może by kamerdyner... albo stangret...

– Dobrze ciociu. A dokąd ma jechać?

– Do... Głębowicz – wyszeptała pani Podhorecka.

Panna Rita zamieniła z Trestką szybkie jak błysk spojrzenie.

– Czy będzie list? – spytała jeszcze.

– Nie, tylko niech prosi Waldemara, żeby dziś jeszcze... przyjechał... koniecznie!... Panna Rita wybiegła z pokoju.

– Może księżna każe zapalić światło? – spytał Trestka.

– Nie, wracam do siebie... trochę mi słabo.

– Ja księżnę odprowadzę. Potrząsnęła głową przecząco.

– Dziękuję. Nie. Pójdę sama.

Wyszła z pokoju wolno, majestatycznie.

Trestką został sam, podszedł do kominka i stalowymi grabkami rozgrzebywał siwy popiół, rozgarniał iskry, mrucząc po cichu do siebie:

– Czy to będzie już finał, czy ostateczny krach? Po kilku minutach wróciła panna Rita.

– Gdzie ciocia?

– Poszła do siebie. Cóż, wysłała pani do Głębowicz?

– Pojechał mój stangret. On prędzej dojedzie.

– Co to może być?...

Panna Rita była wzburzona.

– Nie wiem, nie wiem! W każdym razie jakieś zakończenie. Księżna wygląda dziwnie. Pójdę do niej.

– Niech ją pani zostawi w spokoju. Pewno woli sama przebyć czas do jego przyjazdu, zwłaszcza jeśli rozmowa z ordynatem ma być ostateczną. A na to wygląda.

– Ach, Boże! żeby choć Waldemar jeszcze nie wyjechał!

– Dokąd zamierzał jechać?

– Słyszałam od Luci, że miał jechać do Ruczajewa.

– Dokąd?...

– Do rodziców Stefci, prosić o jej rękę.

– Awantura! – mruknął Trestką.

– Ach, Boże! żeby go zastali!

– Hm! a cóż pani Idalia mówi na to wszystko i Lucia?

– Lucia zdumiona, ale kocha Stefcię, więc się cieszy. A Idalka?... oburza się, lecz już nie oponuje, bo pan Maciej całkowicie nawrócony. Stefcia przypomina mu tamtą. Czy pan zna całą historię o babce Stefci, zmarłej

Rembowskiej?...

– Wiem, która była narzeczoną pana Macieja. Mówił mi Brochwicz. Istotnie nadzwyczajny wypadek, dziwny traf! Ale teraźniejszość wynagrodzi przeszłość.

– Kto to wie! – westchnęła panna Rita i znowu pogrążyła się w zadumie.

# XV.

Wieczór wlókł się długo, nieskończenie. Panna Rita biegała z pokoju księżnej do swego, gdzie siedział Trestka. Najlżejszy szum wiatru w parku, każdy skrzyp śniegu na dziedzińcu – wszystko wzbudzało czujność pałacu. Oczekiwano ordynata z natężeniem, ale godziny dłużyły się.

Stary zegar w sali jadalnej wybijał kwadranse, wygrywał kuranty. Służba snuła się po korytarzach, szepcąc z sobą tajemniczo. Panna Rita, rozgorączkowana, wyglądała przez okno na szumiący park, gdzie śnieg sypał gęsto wielkimi płatami, jakby całe Obronne razem z parkiem, pałacem i tą garścią ludzi potrudzonych, zniecierpliwionych oczekiwaniem, chciał otulić swą białą, miękką i zimną płachtą.

Do pokoju, w którym znajdowali się Rita i Trestka, znowu weszła księżna.

– Czy Waldemar nie przyjechał?

– Jeszcze nie, ciociu, ale pewno zaraz będzie, niech się ciocia położy.

– Nie mogę... Na dworze zawieja, prawda?...

– Tak, ciociu.

Księżna usiadła na kanapce, splotła białe dłonie na kolanach i z pochyloną głową znieruchomiała.

Oczy jej błądziły po dywanie, usta poruszały się lekko, szepcząc pacierze. Nie uważała zupełnie na obecnych.

Panna Rita kręciła się, nie wiedząc, co począć ze sobą. Trestka oglądał kwiaty, umieszczone w koszach, z takim zajęciem, jakby je pierwszy raz widział. Rzucał na księżnę niepewne spojrzenia. Wreszcie, schowany za kwiatami, napisał coś w notatniku i wsunął kartkę w rękę przechodzącej Rity. Przeczytała: „Szkic do rzeźby: Matka zbuntowanego Graccha”.

Rita rzuciła mu ostre spojrzenie, wzruszając ramionami.

Przeszło jeszcze kilkanaście minut. Nagle drzwi otworzyły się gwałtownie i wpadła panna służąca, tuż za nią lokaj. Oboje nie zauważyli księżnej i razem zawołali:

– Nie ma pana w Głębowiczach! Stangret wrócił. Powiada, że wyjechał do kolei. Księżna zerwała się przerażona.

– Co!... Wyjechał!...

Panna Rita i Trestka struchleli na jej widok. Służący zaczęli się cofać, bladzi z przestrachu.

– Kiedy wyjechał? – krzyknęła znowu księżna.

– Proszę pani... stangret powiada, że dziś przed wieczorem – odparł, jąkając się, pokojowiec.

– Boże! Boże! – załkała księżna. Rita mrugnęła na Trestkę.

– Natychmiast po dwóch posłańców do stacji Rudowa i Trębe. Nie wiadomo, gdzie pojechał... ale prędzej...

Trestka wybiegł z pokoju, pociągając służących.

– Nieszczęście! nieszczęście! – jęczała księżna – pojechał już! do niej pojechał, odepchnął mnie! Boże! Boże! moja wina, moja wina...

Panna Rita razem z panią Dobrzyńską zaledwo zdołały uspokoić księżnę. Ale staruszka wpadła w jakąś martwotę, siedząc jak nieżywa. Bez słowa pozwoliła rozebrać się z sukni, lecz do łóżka nie chciała się położyć. Dziwne iskry tliły się w jej czarnych oczach, usta zaciskał ból, aż kurczący mięśnie twarzy. Dała znak pannie Ricie i Dobrzyńskiej, żeby wyszły, chciała pozostać samą.

– Kogo pan wysłał? – spytała Rita Trestki.

– Pojechał znowu pani stangret i stajenny do Rudowy. Ale co mu się stało, że tak pospieszył?

– Pospieszył! czekał przecież dwa miesiące. Nie dziwię się wcale wzruszeniu cioci. To dla niej straszne! Odtrącała go stale, a teraz pojechał bez jej błogosławieństwa.

– I powróci po ślubie, bo u niego idzie prędko – dodał Trestka.

– Och! tego boję się najwięcej. Stefcia bez błogosławieństwa księżnej nie zgodzi się na ślub, a ordynat jest rozdrażniony.

– Przecież jej nie wykradnie, minęły owe czasy.

– Ale doprowadzony do ostateczności może zrobić coś takiego, co księżnę zabije. Jezus Maria! on jest niebezpieczny w gniewie!

– Tak, ale umie przy tym bajecznie zaciskać zęby. Nosi w sobie lwa i pęta na niego. Będzie się szarpał, lecz potrafi się skuć jednocześnie. To olbrzymia siła!

– Pan go jednak dobrze zna. Pocieszam się tym, że on księżnę bardzo kocha. Ale znowu miłość dla Stefci może go w razie dłuższego oporu babki uczynić szaleńcem.

Panna Rita zaczęła się cicho modlić.

Lęk wpełznął do pałacu i nurtował w sercach nawet służby. Ordynat był w myśli wszystkich, jakiś straszny, przejmujący grozą.

Zegar wydzwonił godzinę drugą po północy, kiedy panna Szeliżanka dojrzała wśród zawiei czarne kontury sanek, sunące prędko do podjazdu. Leciutko zabrzęczały janczary i sanki stanęły.

– Przyjechał! – krzyknęła Rita.

Jak strzała zbiegła ze schodów. Za nią podążał Trestka. W sieni Waldemar zdejmował z pomocą kamerdynera zaśnieżone bobry. Przywitali się w milczeniu.

– Co tu się stało? – spytał. – Wszyscyście wystraszeni, macie miny grobowe. Mówił mi posłaniec, że babcia zdrowa.

– Pragnęła pana widzieć koniecznie. Jest mocno zdenerwowana i osłabiona – odrzekła panna Rita.

– Ogromnie pan długo nie przyjeżdżał – dodał Trestka.

– Długo! pan chyba żartuje! Jadę z Rudowy. Posłaniec wyrwał mię już z wagonu. Spieszyłem, jak mogłem, ale w taką zamieć niepodobieństwo. Piekielny czas!

– Pójdę, zawiadomię ciocię o pańskim przyjeździe – odezwała się panna Rita.

– Idę z panią.

Księżna siedziała w swej sypialni w fotelu, niedaleko łóżka. Miała na sobie biały flanelowy szlafrok, ozdobiony ciężkimi koronkami. W tym stroju, z bladą twarzą i gorejącymi oczyma, w białej koronce na siwiejących włosach, była piękna w swej starości, jak z portretu. Wspaniałe, ciemne obicie sypialni, poważne złocenia inkrustacji sufitu, ciężkie adamaszkowe kotary hebanowego łoża – wszystko to w księżycowym blasku ampli przybierało poważne tony, układające się w pyszne tło dla tej stylowej postaci. Obok księżnej stał rzeźbiony klęcznik, na którym leżała otwarta Biblia.

Panna Rita weszła, pochyliła się lekko i szepnęła:

– Ciociu!... przyjechał ordynat... Czy ma wejść? Ognie uderzyły na bladą twarz księżnej.

– Przyjechał?... już przyjechał?

Rozejrzała się w pokoju i z westchnieniem cofnęła się w głąb fotela.

– Gdzie jest Waldemar?

– Czeka obok, w saloniku.

Nagły płomień silnego postanowienia błysnął w oczach księżnej.

– Proś go, niech wejdzie – rzekła głośno.

Panna Rita w saloniku chwyciła Waldemara za rękę.

– Niech pan idzie, ale... proszę ją oszczędzać. Jest silnie zdenerwowana i słaba.

– Niech pani będzie spokojna.

Wszedł do sypialni i serdecznie ucałował obie ręce księżnej.

Patrzała mu w oczy z niemym pytaniem, sztywna, poważna. Czarne źrenice wpijała, zda się, w głąb duszy wnuka, jakby chcąc w niej odkryć wszystko, co tam utajone. Białą dłonią, na której świecił szmaragd niby zielona gwiazda, ściskała rękę Waldemara. On usiadł obok, uśmiechnął się z przymusem i spytał:

– Dlaczego, babciu, tak na mnie patrzysz?

– Chcę dojrzeć w tobie zmianę – wyszeptała księżna.

– Zmianę we mnie?... Doprawdy?...

– Tak, chciałabym widzieć cię zmienionym – rzekła z przyciskiem. Waldemar zrozumiał.

– Nie, babciu, ja się tak łatwo nie zmieniam, jestem stanowczy – odpowiedział z siłą w głosie i dumnie podniósł głowę.

Księżna puściła jego rękę.

– Czy trwasz stale w swym postanowieniu?

Oczy jej błysnęły dziko. Waldemar wytrzymał ten wzrok spokojnie.

– Tak, babciu.

– Więc, nic... nic nie wpłynie na zmianę... twych uczuć?...

– Uczuć? Nic nie wpłynie na zmianę mych zamiarów, o zmianie uczuć mówić nie wolno.

– Więc nic... nic?...

– Nie, droga babciu. To postanowione nieodwołalnie. Zgódź się z tym jako rzeczą konieczną. Proszę cię o to, ja, twój wnuk jedyny, twój Waldy, i proszę najczulej. Kocham Stefcię więcej niż własne życie, ona mię również kocha. Ja jej nie zawiodę, bobym chyba sobie serce wydarł z piersi. Dziś jechałem do Ruczajewa. Potrafiłem czekać długo, ale już nie mogłem. Chwila – i byłoby za późno. Jesteś babciu, surowa, nieubłagana, lecz ja mam do ciebie przywiązanie synowskie. Ono mię wstrzymywało od ostatecznego kroku. Wiem, że Stefcia nie chciałaby mię bez twego słowa, ale potrafiłbym ją przekonać. To dziecko ma bardzo delikatne uczucia i wielką subtelność natury. Na listy moje odpowiadała nadzwyczaj wstrzemięźliwie. Ona miłość swą chciałaby ukryć w taką głąb serca, gdzie by się jej nikt nie domyślał.

– Korespondowałeś z nią?

– Pisałem parę listów – odpowiedziała mi raz tylko – i powtarzam, że w słowach jej brzmiało wyraźnie głębokie uczucie, lecz tamowane przez jakieś wędzidła, które kaleczą jej czystą miłość – taką prawdziwą, taką świętą!

– Waldemarze... ty ją... bardzo kochasz?

– Jest dla mnie jedyną kobietą. Gdyby nie była mi drogą nad wszystko, nie walczyłbym o nią tak uparcie – odrzekł Waldemar z powagą w głosie.

Przeszył babkę spojrzeniem swych szarych źrenic, w których przy prawdziwie męskiej sile widniała potęga uczucia.

Księżna spuściła oczy i długimi cienkimi palcami rozgarniała zdobiące szlafrok koronki.

Na twarzy wystąpiło kilka krwawych plam, usta zacisnęły się stanowczo. Cała postać wyrażała walkę ostateczną, zmaganie się dwóch przeciwnych sił: miłość dla wnuka i uporu obrażonej dumy.

– Co zwycięży? – to pytanie wisiało w powietrzu, tchnęły nim bogate ściany sypialni, dyszała księżycowa ampla.

Waldemar patrzał na babkę pewnym wzrokiem. Znał staruszkę i w jej wahaniu widział już pomyślny wynik. Serce mu biło mocno, bo nie chciał dłużej walczyć z tą kobietą. Kochał ją i czcił jak matkę. W źrenicach jego błyszczał bunt, cierpliwość już była wyczerpana. Całą duszą, całą siłą energii wołał przez nie: „Dosyć, dosyć, bo zerwę ostatnie pęta!”.

Księżna, jakby uczuła dotknięcie tego wzroku, podniosła na wnuka szybkie spojrzenie, lecz w jego oczach musiała wyczytać wszystko, bo prędko spuściła powieki. Krew uderzyła jej do głowy, zalewając policzki i czoło. Wystąpiła na nim pionowa bruzda, jakaś stanowcza, jakby staruszka już teraz sama sobie coś rozkazywała. Oczy wnuka przeraziły ją.

Jeszcze milczała chwilę, pragnąc ochłonąć: wreszcie szepnęła cicho:

– Nie widziałam jej dawno... Czy masz jej fotografię?...

Waldemarowi zapaliły się ognie w oczach. Radosny uśmiech mignął na jego pysznych ustach, z jego rysów znikła groza, zalśnił w nich rój promiennych świetlików, rozżarzył stalowe źrenice, rozjaśnił pąsowe wargi pod ładnym wąsem. Cała twarz wyglądała tak, jakby padła na nią łuna wschodu.

Księżna zauważyła tę zmianę.

– Jak on ją kocha! – pomyślała.

Waldemar odpiął od dewizki medalion, otworzył i szepnął w duchu do smutnie uśmiechniętej twarzyczki Stefci:

– Teraz zwyciężysz, jedyna!

Wyjął elegancki portfel z kieszeni, wydobył z niego wąską, długą fotografię Stefci w balowej sukni na ciemnym tle i razem z medalionem wręczył księżnej.

Staruszka, zdziwiona, spojrzała na medalion.

– Ty ją tu nosisz?

– Jako swoją narzeczoną, babciu – odparł śmiało.

Księżna przyglądała się długo, podnosząc medalion i fotografię do oczu. Jakieś błyski ślizgały się po jej twarzy, wrażenia nieuchwytne a głębokie. Ręce jej drżały, głowa zwisła na piersi.

W pokoju panowała cisza prawie uroczysta, jakby w oczekiwaniu cudu. Nagle księżna odjęła od oczu szyldkretową lornetkę na długiej rączce, położyła fotografię i medalion na klęczniku, opierając o Biblię, i jeszcze wpatrywała się w promienne, przepaściste oczy Stefci.

Po czym rzekła jakby do siebie:

– Bardzo ładna i... dziwnie urocza.

A po chwili znowu, ledwo dosłyszalnym głosem:

– Jak księżniczka...

Spuściła powieki, bruzda na czole pogłębiła się, w skroniach delikatnych jak welin pulsa biła prawie widocznie.

Znowu podniosła oczy na fotografię i nagłym ruchem podała Waldemarowi obie ręce.

– Podoba mi się... twoja Stefcia... Waldy – rzekła z uśmiechem.

On ścisnął dłonie staruszki, pochylił się do niej z wichrem szczęścia w oczach.

– Moja Stefcia!... moja!...

– Niech wam... Bóg błogosławi – rzekła księżna poważnie, kładąc dłoń na głowie wnuka. Waldemar wiedział, co kosztowały księżnę te słowa. Gorące usta przycisnął do jej rąk.

– Dziękuję ci, droga babciu! Szczęście nasze będzie twoją nagrodą – mówił wzruszony. Księżna ucałowała kilkakrotnie jego głowę. Łzy spłynęły z jej oczu.

– Daj Boże, abyś był szczęśliwy, daj Boże! Nie chciałam być gorszą od Macieja, bałam się, że mnie pominiesz... jestem zazdrosną o twe uczucie... więc... niech się spełni.

– Będziesz miała moją miłość i miłość Stefci. Pokochasz ją sama.

Oboje spojrzeli na klęcznik, gdzie fotografie Stefci miały wyraz dziwnie natchniony, jakby dusza dziewczyny sfrunęła na te nieme podobizny, czyniąc je żywymi.

Uroczysta chwila oczekiwania cudu zmieniła się w inną, równie uroczystą – jak po cudzie już spełnionym.

Bogate ściany sypialni otaczały fotografię dziewczyny przepychem. Księżycowa ampla dziergała na niej srebrne, ruchliwe błyski. Wszystko dyszało dokoła, wszystko tchnęło jakby mistycznym hejnałem:

– Cud się spełnił!... zwyciężyła Stefcia, zwyciężyła!...

I namiętne oczy Waldemara, wpatrzone w fotografię, i jego rozpalone usta mówiły również:

– Zwyciężyłaś, jedyna!...

# XVI.

Długo rozmawiał Waldemar z babką, aż niecierpliwiła się panna Rita, a Trestka narzekał. Wybiła godzina wpół do trzeciej i trzecia. Nareszcie wszedł Waldemar. Panna Rita nie ruszyła się. Coś ją przykuło do miejsca. Trestka podszedł do ordynata. Nie mówił nic, ale jego mina wyrażała samą ciekawość.

Waldemar był wesół, lecz spojrzawszy na kamienną twarz Rity, spoważniał, brwi zsunęły mu się na czole.

Chwila nastała trochę kłopotliwa, bo i Trestka milczał. Rozgrywały się tu losy.

Waldemar podszedł do panny Rity. Ona spytała z wysiłkiem:

– Cóż ciocia?... czy...

Zdławiło ją w krtani – nie mogła dokończyć.

– Ciocia chce się położyć – podchwycił ordynat. – Jutro, a właściwie dziś zjeżdżamy się tu wszyscy na imieniny babci, potem jadę do Ruczajewa.

Panna Rita zbladła jak pod ostatecznym ciosem, jęknęło jej w piersi, lecz zagryzła silnie wargi i przemocą zapanowała nad wrażeniem. Podała Waldemarowi ręce, patrząc na niego z bolesnym wyrazem.

– Niech panu Bóg szczęści.

Waldemar ucałował jej rękę, nisko pochylając głowę. Trestka winszował hałaśliwie. Nazwał ordynata bohaterem i obiecywał wspaniałą mowę na uczcie weselnej, na złość hrabiemu Morykoniemu, którego nie lubił.

– Szczególną miałbym werwę, gdyby byli Barscy. Ale to wątpliwe.

Po odjeździe ordynata i hrabiego panna Rita poszła do siebie. Chodziła jak nieprzytomna, aż nagle zerwał się w jej piersi płacz straszny, zamykający w sobie wszystko: całą miłość dla Waldemara, dawną i gorącą, żal nieuzasadniony do niego i do Stefci, głuchą rozpacz. Wtuliła głowę w poduszki i klęcząc przed łóżkiem, trzęsła się w spazmatycznych dreszczach. Nigdy nie miała nadziei, żeby ordynat zwrócił ku niej swe uczucia, nigdy się

nawet nie łudziła, ale nie myślała i o tym, że on w końcu wybierze sobie kobietę, którą ukocha i nazwie żoną. Było to coś tak dalekiego, tak niewyraźnego w zarysach, że gdy nadeszło, stało się dla niej ciosem. Wiedziała o jego uczuciach dla Stefci od dawna i o przychylności pana Macieja, słyszała pełne zapału słowa Waldemara na zjeździe familijnym, a jednak wątła nić oporu księżnej jeszcze zdawała się odgradzać ją od strasznej prawdy. Sama pragnęła dla niego szczęścia i gdyby już teraz tylko od niej zależało, bez wahania oddałaby mu Stefcię. Ale natura ludzka jest zawiła, często niezrozumiała. Panna Rita dopiero teraz jasno pojęła przepaść pomiędzy nią a ordynatem, odczuła obuchową siłę, która miażdżyła jej miłość.

Teraz ujrzała otchłań swych najdroższych uczuć. Płakała boleśnie.

Księżna, nie mogąc się jej doczekać, weszła sama do sypialni wychowanki, Rita ujrzała ciotkę tuż przy sobie. Zerwała się z kolan.

– Ciociu, po co przyszłaś?... po co? – jęknęła z wyrzutem. Staruszka objęła jej głowę i przytuliła do siebie.

– Cicho, dziecko, nie wymawiaj mi, żem przyszła. Ja przeczuwałam, ja wiem wszystko. Ryciu, i ty go kochasz, cierpiałyśmy razem, ja cię rozumiem. Aleś ty szlachetna... tyś przemawiała za nimi, choć serce w tobie jęczało, a jam cię szorstko odsunęła. Przebacz mi, dziecko.

Usiadła na łóżku. Rita wtuliła głowę w ramię staruszki rozełkana, drżąca. Księżna mówiła dalej:

– Widzisz, już skończone, już i ja ich błogosławię, Ryciu, on kocha Stefcię, bardzo kocha, będą szczęśliwi, to mię pociesza. Jestem stara, żałowałam tych kilku chwil życia, jakiemi zostały bez miłości jedynego wnuka. Ustąpiłam i teraz mam spokój, spadł mi ciężar z serca, jestem nawet szczęśliwa, bo... cóż mam robić!

Księżna głęboko westchnęła.

– Podoba mi się ta dziewczyna. Widocznie dużo warta, skoro potrafiła tak silnie przywiązać do siebie Waldemara. On zadziwia mię swą siłą woli, a ona...

Dokończyła szeptem:

– A ona czarem.

Staruszka głaskała ciemną, zbiedzoną głowę wychowanki, błądząc oczyma w przestrzeni. Panna Rita milczała cicha i jakby uspokojona. Księżna szepnęła znowu:

– Rozmawiałam z duchem mojej Elżuni i z Gabrielą. Zwłaszcza Gabrielę widziałam często w snach. Stawała obok Waldemara i kładła mu rękę na głowie, jakby błogosławiąc. I tę Stefcię widziałam. Klęczała przy Gabrieli, taka śliczna, błagająca, zupełnie podobna do tej w medalionie Waldemara.

Staruszka wstrząsnęła się.

– A czy wiesz? Ukazała mi się we śnie zmarła Rembowska. Och! tak okropnie patrzyła mi w oczy!

– Niech się ciocia nie przejmuje – rzekła serdecznie panna, Szeliżanka i

przylgnęła do ręki staruszki.

– Nic, dziecko, to już minęło. Teraz mi dobrze i tak spokojnie. Waldy kocha mię. O to już mi tylko chodzi. On zacny chłopak. Czemuż go Elżunia nie widzi?

Rita westchnęła. Księżna pocałowała ją w czoło.

– Cierpisz, dziecko, ja wierzę, Bóg da, że i ty szczęście znajdziesz. Tyś warta lepszego losu.

– Nie chcę, ciociu, nie chcę. Ja kochałam go całą duszą, ale nawet nie marzyłam o nim dla siebie. Cóż... ja dla niego? Byłabym zbyt śmiałą, chcąc marzyć. Ale smutno mi. Ot, dziwaczka jestem.

Zaśmiała się cicho, boleśnie.

– Gorycz przez ciebie przemawia – rzekła księżna. – Ale to minie: tyś zawsze taka dzielna.

Już zaczynało świtać, kiedy księżna, osłabiona bezsennością i wrażeniami nocy, poszła do łóżka.

Ale nie mogła zasnąć. Przesuwała w palcach paciorki sandałowego różańca, oczy miała wlepione w adamaszkową kotarę, na której blady świt zimowy snuł swe fioletowe cienie.

Usta staruszki szeptały pacierze, lecz myśl przebijała szereg lat, błądząc w czasach, kiedy i sama była młodą, sama kochała, a potem widziała uczucia swych dzieci.

I w drugim pokoleniu to samo.

# XVII.

Waldemar powrócił do Głębowicz nad ranem. Już świtało. Ruch powstał w uśpionym przed chwilą zamku. Zwłaszcza w cieplarniach i w oranżerii panowała krzątanina przy blasku lamp elektrycznych. Sam ordynat wybierał kwiaty. Rój ogrodników z nożycami w rękach robiły istne spustoszenie. Ogrodnik układał kwiaty odpowiednio. A były tam pyszne okazy. Wszystko, co cieplarnie, prowadzone z wielkim nakładem, wytworzyć mogły o tej porze roku. Cenne róże, storczyki, mimozy robiły wrażenie przeniesionych z Riwiery. Nad mistrzowskim opakowaniem czuwał sam ordynat.

Około jedenastej rano wyjechał strzelec Jur w bogatych liberyjnych futrach, strojny i dumny, wioząc ten wonny ładunek dla Stefci razem z listem Waldemara. Wiózł także i list do państwa Rudeckich.

Przed obiadem ordynat wpadł do Słodkowic tak promienny, że wszyscy od razu odgadli powód. Pan Maciej ucieszył się szczerze, Lucia, pogodzona już z myślą o Stefci w roli ordynatowej, pragnęła, by się to stało jak najprędzej. Tylko pani Idalia spochmurniała, mocno dotknięta, może przed oczyma widząc tragiczną z gniewu i obrazy twarz hrabianki Melani. A może przyszły blask i stanowisko Stefci drasnęło jej miłość, własną.

Ale życzyła Waldemarowi szczęścia, ze względu na ojca, chociaż trochę

ironicznie.

Wieczór imieninowy zgromadził w Obronnem sporą liczbę osób. Był pan Maciej z córką i wnuczką, Waldemar, bohater chwili, byli księstwo Franciszkowie Podhoreccy z córkami i nauczycielką księżniczek. I hrabiostwo Morykoniowie, i Trestka, i Wiluś Szeliga, który na ten dzień przyjechał z Warszawy przed odjazdem do uniwersytetu.

Z okolicy byli Żyżemscy i Ćwileccy. Hrabina Ćwilecka, dowiedziawszy się o zakończeniu sprawy ordynata, przybrała postawę bardzo obrażonej, na księżnę rzucając złe spojrzenia, pełne politowania. W oczekiwaniu na wyniki nie wyjechała dotąd za granicę, pomimo zapakowanych kufrów. Toteż gniew jej nie miał granic, nikogo jednak nie przestraszył. Księżna powróciła już do zwykłej równowagi duchowej. Księżna Franciszkowa z córkami, Lucią i panną Ritą utrzymywały dobry nastrój ogólny. Panna Rita mówiła o sobie do młodej księżnej, że śmieje się przez łzy, aby ukryć łkanie, ale robiła to nadzwyczaj umiejętnie. Dopomagali im oboje Żyżemscy i rozweselony pan Ksawery. Humor Waldemara płynął szeroką błyszczącą falą, porywał i pana Macieja, i starszą księżnę. Trestka siał dowcipami, pierwszy raz patrząc na ordynata z uwielbieniem i wdzięcznością. Tylko pani Idalia, hrabina Morykoniowa i Ćwilecka zachowywały się powściągliwiej, trochę nadąsane. Książe Franciszek i hrabia Morykoni mieli miny niewyraźne, jakieś krytyczno-ironiczne, mówili mało, starannie unikając wszelkiej wzmianki o bieżącej sprawie zaręczyn ordynata. Wiluś Szeliga nie krępował się nikim i niczym, był jak struty. Trestka w jakimś dowcipie chciał zażartować z niego, ale dostał od ordynata taką naukę, delikatnie, lecz wyraźnie zaznaczoną, że aż na chwilę stracił swój burszowski humor.

Przy wieczerzy ogólne i wielkie wrażenie zrobił toast pana Macieja. Staruszek wstał i wznosząc kielich z szampanem rzekł dobitnie:

– Zdrowie narzeczonej mego wnuka, panny Stefanii Rudeckiej, którą od tej chwili włączam w grono naszej rodziny. Niech żyje młoda i szczęśliwa para!

Waldemar z wdzięcznością spojrzał na dziadka, wszyscy spełnili kielichy z mniejszym lub większym zapałem. Trestka z wielką werwą, hrabina Ćwilecka i pani Idalia z przymusem. Ale hrabia Morykoni ociągał się. Trzymał kielich w powietrzu z miną zakłopotaną i złą, jakby chciał zamanifestować swą niechęć i jeszcze się wahał.

Waldemar zauważył to, zatrzymał swój kielich koło ust i patrzał bystro na hrabiego.

Chwilę przyglądali się sobie w milczeniu. Twarz Waldemara lodowaciała, twarz hrabiego okryła się pąsem, ale zdrowia nie wypił. Wszyscy się zmieszali. Hrabina Morykoniowa, spojrzawszy na Waldemara, pociągnęła lekko męża za ubranie. Nareszcie ordynat rzekł twardym głosem, z szczególnym uśmiechem:

– Panie hrabio, czekam!

Hrabia rzucił mu zjadliwe spojrzenie, ale toast spełnił. Ordynat wychylił swój kielich z filuternym błyskiem w oczach, jakby mówiąc:

– Tak zawsze będzie.

Uczta przeciągnęła się do późna i pod koniec ożywiła wszystkich. Nawet hrabia Morykoni zapomniał trochę o różnicach sterowych między ordynatem a Stefcią.

Obronne od bardzo dawna po raz pierwszy zawrzało życiem, jakby święcąc tryumf ordynata w miejscu, gdzie najdłużej trwała jego walka, ale skąd zwycięstwo rozbrzmiało najgłośniej.

# XVIII.

Do salonu w Ruczajewie wpadł złoty, powłóczysty promień słońca, obiegł ściany kryte białą tapetą, pogładził orzechowe meble, zajaśniał na ciemnopąsowym pluszu i długą smugą rozłożył oświecając froterowaną posadzkę. Błyskał dokoła iskierkami swych gwiaździstych oczu, jakby zmęczony czy znudzony.

Nagle złotolity promień ożywił się: ujrzał coś nowego – coś, co go wprowadziło w podziw. Były to kwiaty. Mnóstwo kwiatów – w doniczkach, w plecionych koszach, w wazonach z wodą. Stały na stole, na półkach, na konsolach od luster, nawet na podłodze tworzyły malowniczą kępkę. Promień, zachwycony niezwykłym widokiem w tym miejscu, oczarowany, wśliznął się w kwiaty i rozpoczął badanie.

Zajrzał do korony róż i szeptał do nich, zapytując, skąd się tu wzięły, takie pyszne, w tym skromnym dworze wiejskim, jak się tu dostały przez śniegi i zawieje i dlaczego je tu przywieziono. Szeptał to samo dumnie wzniesionym głowom tulipanów i arystokratycznym storczykom, całując je z lekka. Ale całusy słońca są czarowne, omaszczają złotem. Kwiaty wyglądały jak w aureoli, ożywiły się, błysnęły główkami i tuląc się do słońca zaczęły opowiadać swe dzieje. Za nimi poszły białe i liliowe bzy, chyląc kiście poważnie, lecz wesoło. Już zaczęły szemrać do słońca fiołki skromne a wdzięczne, wysuwając swe aksamitne łebki z obsłon szmaragdowych listków. I dumni ich bracia alpejscy o świetnych barwach i wytwornych kształtach... i śliczne hiacynty o kolorach tęczy zachrzęściły suchym, jedwabnym szelestem. Raźniej strzeliły w górę secesyjne irysy, żółte, lila i ciemne nakrapiane. Zadygotały rozkosznie białe delikatne piórka różnobarwnych gwoździków, wionęły drobniusie listeczki ozdobnej pierzastej paprotki. Zabłysły białe narcyzy.

Wówczas przemówił monarchowie tej poddańczej rzeszy, pachnącej i rozgwarzonej, w pierwszym rzędzie pyszne królowe-róże, nęcące barwami bogactwem kształtów; więc: wspaniała „Maréchal Niel” w złotożółtych aksamitach, wdzięczna „La France” w różowych jedwabiach i wytwornisia „Tebried” w ślicznych tunikach barwy herbacianej. Była tam i „Pani Druzgi” w śnieżnobiałej atłasowej sukni, „Księżna Liberty” w karmazynach i strojna w aksamitne purpury królowa-piękność z haremu sułtana Maroko. Były też

królowe w świetniejszych i skromniejszych szatach, różnych barw; odcieni, począwszy od białych jak śnieg atłasów, skończywszy na czarnych aksamitach. Niektóre z nich błyszczały w słońcu klejnotami rosy, pozostałej od niedawnego skropienia. Wszystkie szeptały do słońca.

Za monarchiniami ruszyli z galanterią dumni w swej chwale królewicze-storczyki z prześwietnej dynastii „Orchis Purpurea", strojni w koronacyjne płaszcze i z ostrogami. Zwykle mało popularni, rozgwarzyli się w słońcu, zachęceni przykładem dam, a może tylko obfitością złotych promieni. Storczyki są to wybrednisie i potentaci, wrażliwi na złoto i ciepło.

Za sobą wiedli monarchowie cały orszak dworu. Szedł najpierw szereg paziów – różnokolorowych tulipanów, papuziastych, niezmiernie butnych. Z godnością postępował dostojny dygnitariat kaktusów, mirtów w gładkich zielonych uniformach i pachnących taków. Z drugiej strony garnęły się do słońca smukłe królewny i księżniczki krwi – białe lilie w powłóczystych szatach, pachnące, dziewicze, całe pokryte kwiatami, od przeczystej bieli do ciemnej purpury, i wyniosłe białe kalie, dumnie wznoszące w górę swe lejkowate diademy.

Z boku uśmiechała się do słońca skromna niby wychowanka klasztoru, czułostkowa, niewinna mimoza, ukwiecona mnóstwem kwiatów. I ona zaczęła szczebiotać do złotych promieni, zanurzona w nie, skąpana. Chociaż była córą znanego z uczciwości „Sensitivów", spokrewnionego blisko z bogobojną rodziną „Mimoza-Pudica", jednak i ona nie pozostała obojętną na pieszczoty słońca, nie kurczyła się pod jego dotknięciem – przeciwnie, rozkwitała.

Czarowne słońce!

Ale oto jeszcze jedna flirciarka, bardzo światowa i wykwintna tuberoza. Olśniona blaskami, ogrzana ciepłem, strzepnęła z kokieterią swą śliczną sukienkę i zagadała do słońca śmiało, filuternie, z temperamentem, siejąc dokoła delikatny zapach wytwornych perfum.

Rozszeptały się kwiaty.

I jęły opowiadać na wyścigi, jak się porodziły w pysznym raju cieplarni głębowickich, jak je tam pielęgnowano i pieszczono. A potem przyszła nagle straszna chwila. Zabłysnęły lampy elektryczne, rozjaśniające każdy zakątek cieplarni. Kwiaty, zbudzone ze snu, myślały, że to jakaś uroczystość w zamku i one występować muszą... Więc ucieszone, strząsając z listków resztę snu, strojne, pachnące, oczekiwały hołdów i zachwytów.

Ależ jakież rozczarowanie!

Wprawdzie wszedł do cieplarni ich pan i władca, młody ordynat, lecz za nim podążał główny ich pedagog, ogrodnik, i cała hałastra ogrodniczków ze złowrogimi minami. Kwiaty spojrzały uważniej i dreszcz nimi wstrząsnął. Wszyscy prócz ordynata uzbrojeni byli w wielkie błyszczące nożyce.

Przerażone kwiaty chciały błagać litości, lecz oniemiały ze zgrozy. Sam ordynat wybierał najpiękniejsze z jakimś radosnym i szczęśliwym uśmiechem w oczach. Nad różami „Maréchal Niel", które najlepiej lubił, pochylił się i szepnął miękko:

– Idźcie służyć Stefci.

Królowe róże opowiadały to słońcu, pyszne ze swej urody i powodzenia.

Kwiaty szemrały dalej: jak po ścięciu układano je w kosze gustownie plecione i w bukiety, jak je staranie otulano watą, mchami i w kolorowe rogóżki, by nie zmarzły i aby im było wygodnie.

Tuberozy i azalie zaczęły się chwalić, że przyjechały tu razem z mieszkaniem, w wazonach, bez ścinania.

Fiołki zwykłe i alpejskie, hiacynty, kaktusy, taki przekomarzały się z damami, dowodząc, że i one w ten sam sposób tu przywędrowały. I już rozpoczął się spór, ale królewicze-storczyki powagą swą zakończyli kłótnię.

Kwiaty gwarzyły, opiewając swój przyjazd do tego dworu, gdzie witała je radośnie śliczna dziewczyna, gdzie je podziwiano tak, że nawet zapomniały chwilowo o rozkosznym, porzuconym raju w Głębowiczach i pogrążyły się całkowicie w pysze. Kwiaty mówiły w słońcu, jak ta śliczna, młoda dziewczyna całowała je z rumieńcem szczęścia na twarzy, ze łzami w ciemnych, fiołkowych oczach, prawie z modlitwą na ustach. Jak szeptała do żółtych róż: „Od niego jesteście, od niego!” – a one oddawały jej zapach, jakby niemą odpowiedź.

O! kwiaty zrozumiały doskonale, co się święci. Odczuły, że są zwiastunami szczęścia, które przywiezie niebawem tu sam ordynat. One wiedziały, jak witać tę cudną dziewczynę – że trzeba jej oddać zapach najpiękniejszy w hołdzie, bo to przyszła pani pięknego raju w Głębowiczach, przyszła protektorka i opiekunka.

Słońce, słuchając, jaśniało radośnie. Złote jego drgnienia i ciepłe oddechy w połączeniu z wonią kwiatów i wspaniałymi ich kształtami utworzyły w białym salonie ruczajewskim atmosferę upajającą.

Wrażenia takiego doznała Stefcia.

Weszła i zatrzymała się odurzona. Jej promienna twarz, gorejące oczy i biała suknia były dopełnieniem malowniczego obrazu, na który złożyły się kwiaty. Wyglądała wśród nich jak zaćmiewająca je urodą władczyni. Miała w sobie czar królewien lilii, wdzięk mimozy prze- czystej, wykwintną zalotność tuberozy i wyniosłość dumnej białej kalii. Miała nawet świetność królowej róży – w pierwszym rozkwicie.

Słońce zaczęło ją pieścić i całować, kładąc na zagięcia jej włosów przepyszne złoto, w oczy sypiąc iskry. Wśród kwiatów, w blaskach wyrastała jak wieszczka poezji i szczęścia.

Jej uroda zalśniła w całej krasie. Nie tamowane uczucia, szczęście zagrało w jej źrenicach, zakwitło na świeżych ustach, dodając uroku ślicznej twarzy. Budząca się w piękny po- ranek majowy zorza nie mogła być od niej promienistszą. I modlitwa szła z niej do nieba dziękczynna, radosna, i śpiew słodki a potężny brzmiał z jej piersi, i serce biło gorącym tempem, wołając z rozkoszą:

– Kocham! kocham!...

Gdyby wróżka jakaś czy anioł przypiął jej skrzydła, uleciałaby na wyżyny

aż do stóp Boga, by złożyć Mu w dani duszę, przepełnioną szczęściem najwyższym, miłością odwzajemnioną i już znaną.

Ile ona przeżyła wątpliwości w ostatnich czasach, ile szalonej rozterki i obaw!

Surowo analizowała swe uczucia dla Waldemara. Będąc niesłychanie delikatną z natury, chciała zbadać gruntownie, jak ona kocha ordynata. Czy jej miłość nie polega głównie na oszołomieniu jego świetnością?... Czy te wspaniałe ramy, które go otaczają nie są najwyższym jego czarem?... Czyjej własna miłość kobieca, że zdobyła uczucia takiego potentata, nie gra tu jakiej roli?... Czy Waldemar w innych warunkach i otoczeniu zająłby równie silnie jej umysł i serce?...

Stefcia brnęła coraz dalej w nieznośne zagadnienia, chcąc ze swej uczciwej duszy wydobyć prawdę. Szlachetność i wysoka prawość jej charakteru nakazywała jej to nie dla osobistych względów, ale tyczących się Waldemara i jego przyszłego szczęścia. W jego miłość wierzyła i ufała mu, będąc przekonaną, że kocha ją uczuciem głębokim. Własne szczęście z nim przeczuwała jasno, bojąc się jedynie o to czy ona mu da podobne. Była to dla niej zagadka tak ważna jak życie; ta myśl przewodniczyła w jej modlitwach, stała się głównym dążeniem jej miłości. Nawet tęskniąc, Stefcia badała siebie, czy tęskni za Waldemarem jedynie, czy za Głębowiczami i ich sferą. Wyniki tych badań uspokoiły ją, w swych myślach zawsze widziała Waldemara. Poza tym wszystkie szczegóły poprzedzające chwilę obecną Stefcia tłumaczyła sobie bardzo prosto. Poznała Waldemara jako magnata świetnego nazwiska, w blasku milionów, co jednak nie przeszkodziło, że prawie od pierwszej chwili zaczęła go lubić. Więc nie świetna oprawa porwała ją, ale osobista wartość jego, którą poznawszy bliżej, oceniła należycie, ale jego czar i siła jego bogatej natury. Nie olśnił jej przepych zewnętrzny, ale jego szlachetność i prawdziwa męskość charakteru. Nie zachwyciły jej salony, stosunki i pałace, jakie posiadał, lecz była pod wpływem sposobu jego myślenia i wybitnej inteligencji. Jego wykształcenie, jego działalność i zdolności umysłowe, a nawet gwałtowność i dziki, porywczy temperament uniosły ją wichrem w zawrotny szał gorących uczuć, ale trwałych, bo opartych na bezwzględnej ufności i szacunku.

Stefcia przypominała sobie jedną rozmowę z Waldemarem. Mówił, że powstające uczucie jest podobne do gmachu nowo wznoszonych murów. i dobrze jest, gdy cegłą jest sama miłość, oparta na cemencie szacunku. Tylko na cemencie – glina wyłączona.

Żelazne wiązania – to stałość.

Kielnia – to zaufanie, łączące miłość z szacunkiem.

Krokwie i sklepienie – to warunki i okoliczności. Mogą być one bardzo wyniosłe lub też dość niskie.

Tynkiem jest wiara. Powinna posiadać wielką siłę, chcąc uchronić mur od ruiny.

Wapno – to opinia świata. Szczęśliwie, jeśli pokrywa mur już zlasowane –

nieszczęśliwie, jeśli przed zlasowaniem, czyli przed ustaloną reputacją, bo wówczas byle zły powiew łamie wapno i kruszy.

Fundamentem Waldemar nazwał dość cynicznie – pociąg zmysłowy.

I dowodził, że powstałe na nim gmachy uczuć bywają najwspanialsze, jeśli zaś istnieje bez przerwy, wówczas są najtrwalsze. Ale przyznawał, że fundamentem może być również jedność duchowa, wspólność myśli i zapatrywań.

Stefcia, przypominając sobie jego zdania, wplatała je teraz we własne uczucia.

A może istotnie bez pociągu zmysłowego nie ma szału w miłości i sama miłość za blado

by wyszła, jak obraz cenny artyzmem, bogaty w technikę i koloryt, lecz pozbawiony odpowiedniego światła.

Stefcię z początku raził cynizm Waldemara, ale przekonała się, że wypływa jako wynik konieczny z życia i doświadczeń ordynata i że na równi z pokrewną sobie ironią i pesymizmem nie wykracza jednak poza jego etykę i wrodzoną delikatność On nie lubował się swym cynizmem, ale posiadał go, występował z nim szczerze. Ciskał go nawet z niesłychaną odwagą, lecz w razach koniecznych, nie z zamiłowania. To stanowiło część potężnego uroku i wpływu na kobiety. To czyniło go odrębnym, daleko odsuwając od pospolitego typu zjadacza serc i salonowego lwa. Nie był blagierem ani z natury, ani dla efektu, mówił prawdę każdemu w oczy bez względu na to, czy się ona komu podoba. Potrafił „rąbnąć" słowem, nawet młodej kobiecie, o której względy mu chodziło, ale zawsze zachowywał pewną wytworność. Nie umiał być ordynarnym ani pochlebcą i nie znosił tego w stosunku innych do siebie. Potrafił brać ludzi w kleszcze swego wpływu. To samo zaszło ze Stefcia. Nie pomogła walka. Nie zdołała mu się oprzeć. To samo było z jego rodziną.

Stefcia od wyjazdu ze Słodkowic nie przestawała lękać się o niego. Nazwał ją narzeczoną przy obcej kobiecie, więc nazwie ją tak samo wobec swej rodziny. A co wówczas?...

Odczytywała pamiętnik zmarłej babki i lęk ogarniał ją coraz silniejszy. Nieledwie oczekiwała listu kończącego wszystko, jak tamten, co zamknął szczęście w pamiętniku. Ale takie zwątpienia trwały krótko. Wierzyła w Waldemara. Jedynie pytała własnego sumienia, czy ma prawo narażać go na podobną walkę, czy powinna wchodzić do jego rodziny, arystokratycznej, która jej nie zechce?...

Ale czuła, że już za późno... że wszelkie jej możliwe poświęcenia na nic by się zdały wobec jego miłości, bo teraz on wziął ich szczęście w swe dłonie.

– I zwyciężył!

Z listem Waldemara podeszła do kwiatów i zanurzona w nie zaczęła po raz setny przerzucać arkusze eleganckiego papieru, zapisanego męskim charakterem. Upajała się słowami mówiącymi do niej tak serdecznie, jakby same usta Waldemara. Nie mogła oderwać oczu od energicznych liter

stawianych jego ręką, od ich treści wyrażającej jego myśl, jego uczucia, jego szlachetność i niezłomną wolę.

A kwiaty pochylały ku sobie główki i rzucając na Stefcię tysiące wonnych spojrzeń, wyciągając ku niej setki różnobarwnych ramion, składały jej w hołdzie upajającą woń z szemraniem cichutkim:

– Nasza pani! nasza śliczna pani! Stefcia spojrzała na zegarek.

– Powinien już być – szepnęła.

Rozejrzała się po kwiatach. Wyjętą z wazonu świeżą, zaledwie rozkwitłą różę „Maréchal Niel" przypięła sobie do włosów. Spojrzała przy tym w lustro i może pierwszy raz w życiu uderzyła ją własna uroda. Chwilkę patrzała na swą postać. Usta jej musnął uśmiech radosny.

– Ładna jestem! Dla niego chcę być ładną!

Zwrócił jej uwagę ruch w przedpokoju. Podbiegła do okna. Na twarzy jej zabłysły gorące cienie.

Przed gankiem stała gniada czwórka ruczajewska. Z sanek służący i strzelec Jur wyjmowali futro na nogi.

Stefcia podniosła obie ręce do rozpalonego czoła.

– On tu!... Waldy w Ruczajewie! – wołało jej w duszy.

W sieni słyszała głos ojca, ale kiedy zaraz potem rozległ się dźwięczny baryton Waldemara, zapłonęła falą szczęścia. Radość bezmierna buchnęła w niej płomieniem. Biegła do drzwi, kiedy wszedł w nie ordynat z błyskiem w oczach, zapalonym na jej widok.

Pan Rudecki dyskretnie cofnął się.

– Moja! moja! – wykrzyknął ordynat, chwytając narzeczoną w ramiona. Stefcia oparła głowę na jego piersiach, bezprzytomna z nadmiaru uczuć. Waldemara ogarniał szał.

– Przyjechałem po ciebie, ukochana... Tyś już moja na zawsze. Stefcia wskazała mu kwiaty.

– One mię uprzedziły o szczęściu.

– Czy ładne?

– Śliczne i... z Głębowicz.

Waldemar oddał Stefci dwa listy: od dziadka i od księżnej Podhoreckiej.

Księżna pisała w bardzo miłym tonie, ze swobodą nie zdradzającą poprzedniego oporu. Stefcię nazwała wnuczką, pokładając w niej nadzieję uszczęśliwienia Waldemara. List zawierał kilka pochlebnych słów dla państwa Rudeckich i wyraźnie zaznaczoną chęć poznania bliżej Stefci, co wyglądało na zaproszenie jej do Obronnego.

Państwo Rudeccy rozbroili się.

Nie mieli już obaw co do przyszłości Stefci. Na ordynata spoglądali z uwielbieniem i dumą.

Stefcię wzruszył list pani Podhoreckiej. Doskonale odgadywała walkę poprzedzającą jej zgodę i sympatię. Wiedziała, że narzeczonemu zawdzięcza wszystko, że opór stawiano, ale on go zwalczył i dopiął celu.

Obok miłości wzbudziły się w jej duszy: cześć i podziw dla Waldemara.

Przeczytawszy list, podała mu obie ręce serdecznym rzutem, z dziękczynnym wyrazem w oczach.

Waldemar ucałował jej dłonie. Zrozumieli oboje.

Byli szczęśliwi.

Przed oczyma ich stanęła przyszłość.

Tamci nie doszli do tych wyżyn, co oni. Ich szczęście musiało być o połowę mniejsze, a wobec późniejszego życia stało się chwilą obramowaną w czarny kir.

W parę godzin potem Waldemar i Stefcia w białym salonie, wśród kwiatów, zamienili z sobą pierścionki. Gdy na Stefci błysnął olbrzymi brylant, klejnot rodowy Michorowskich, a ona włożyła narzeczonemu na mały palec swój pierścionek z perłą uriańską, spragnione usta Waldemara spoczęły na ustach dziewczyny i trwali tak długo upojeni aż do ekstazy.

Tylko Stefcia wstrząsnął dreszcz jakiś rozkoszny, ale dziwnie trwożny.

Może spłynęły wówczas do salonu nad młodą parą duchy zmarłej Stefanii Rembowskiej i Gabrieli de Bourbon, jak nieme a ponure memento najszczęśliwszych jaśni życia.

# XIX.

Wieść o zaręczynach ordynata Michorowskiego z panną Rudecką rozeszła się echem wśród arystokracji, wywołując gniew i wiele protestów, wśród szerokich klas inteligencji – zdziwienie. Niektórzy nie wierzyli w prawdziwość faktu, poczytywali to za fałsz. Salony, kluby, buduary trzęsły się rozgwarem rozmów tylko o tym prowadzonych, ale szepty były jeszcze gorsze, bo złośliwe.

– Mezalians! mezalians! – brzmiało wszędzie.

Wszystkie hrabianki i księżniczki, wszystkie panny liczące na ordynata czerwieniły się, obrażone, w pięknych ząbkach mełły nieżyczliwe słowa, w wytwornych główkach knuły złe myśli.

Sensacyjną wiadomość zaręczyn ogłosiły dzienniki w formie bardzo życzliwej. Pewne osoby z arystokracji wiadomość tę chciały podać w jaskrawszych barwach, ale redakcje odmówiły ze względu na ordynata.

Wśród arystokracji huczało jak w ulu.

Stefcia była na wszystkich ustach. Jej fotografie w grupach głębowickich i pojedyncze, rozdawane przez pannę Ritę, przechodziły z rąk do rąk. Jedna, poszarpana w kawałeczki, spłonęła w kominku w pałacu Barskich, ciśnięta w ogień przez drapieżne rączki hrabianki Melanii.

Margrabina Silva pisała do ordynata patetyczne listy, które razem z paczką innych w podobnym rodzaju zostały zamknięte w szufladce biurka, zwanej archiwum starożytności.

Wesoły Brochwicz po powrocie z Berlina wirował wśród salonów, roznosząc sławę Stefci. Zachwycał się głośno i szczerze przyszłą ordynatową.

Z tego powodu naraził się w wielu domach, ale dowcipny chłopak nie tracił zapału.

Powszechną zgrozę i nowe wstrząśnienie wywołała wiadomość, że w parę tygodni po zaręczynach do Ruczajewa przybyła z ordynatem księżna Franciszkowa Podhorecka i panna Rita. Za nimi podążył niedostępny Trestka i Brochwicz, który jako przyjaciel osobisty i kolega ordynata chciał Stefci złożyć życzenia.

Ruczajew zaroił się gośćmi. Stefcia promieniała szczęściem, które podnosiło jeszcze jej urodę. Ale te odwiedziny były powodem nowej burzy w Słodkowcach. Pani Idalia traciła zmysły z gniewu, lecz z Lucią nie mogła sobie dać rady. Dziewczynka gwałtem chciała jechać do Ruczajewa, błagała o to matkę, a widząc jej stanowczy upór, postanowiła udać się tam z panną Ritą. Lecz baronowa i na to się nie zgodziła; wszelkie prośby pana Macieja odparła ostro i zabrawszy córkę, wyjechała z nią za granicę. Lucia w sekrecie przed matką napisała do Stefci bardzo rozpaczliwy list. Dziewczynka była rozkapryszona i stosunek jej do matki stał się okropnym. Idalia wyjechała na Riwierę, pozostawiając ojca na opiece pana Ksawerego.

Ale pan Maciej najczęściej teraz przebywał w Obronnem, gdzie oboje z księżną oczekiwali przyjazdu Stefci. Księżna wyraźnie oświadczyła Waldemarowi, że chce ją mieć u siebie przez jakiś czas, aby lepiej poznać. Ordynat zgodził się chętnie, obiecał przywieźć narzeczoną, ale z warunkiem, że przyjedzie z ojcem lub matką. Księżna musiała ustąpić. Waldemar odgadł myśl babki: oto staruszka, godząc się z koniecznością, postanowiła obznajmić Stefcię ze wszystkimi warunkami jej przyszłego stanowiska. Pragnęła ją przygotować do roli ordynatowej, nadać jej takt właściwy i jakby dokończyć edukacji. Pani Podhorecka znała Stefcię, jednakże była pewną, że znajdzie wiele błędów do sprostowania. Waldemar, osobiście zadowolony z takiego projektu, uśmiechając się żartował, że babka wprowadza średniowieczne zwyczaje, kiedy zaręczone księżniczki przywożono przed ślubem na dwór narzeczonego dla obznajmienia ich z etykietą. Księżna odpowiedziała sucho:

– Ja pragnę jej dać poznać wymagania naszej sfery, aby wśród nas nie raziła.

Waldemar zmarszczył brwi, ale nic nie odpowiedział. Pomyślał tylko:

– Już ona nie skompromituje nas.

Powrót Franciszkowej Podhoreckiej z Ruczajewa i sprawozdanie z odniesionych tam przez nią wrażeń ostatecznie przełamały niechęć staruszki. Listy Stefci do babki ordynata i pana Macieja miały także swój dobry wpływ. Teraz oczekiwano jej przyjazdu.

Młoda księżna mówiła:

– Niech mi mama wierzy, ja sama bałam się trochę tego Ruczajewa, ale jechać komuś trzeba było i najstosowniej mnie, ponieważ Idalka odmówiła. Zostałam mile rozbrojoną. Dom zupełnie przyzwoity, nosi typ zamożnego domu obywatelskiego, w stylu staroszlacheckim, bez sztucznej bufonady i pretensji, ale pełen szczerości i dobrego smaku. Rudeccy – ludzie światowi i

nadzwyczaj dobrze wychowani, nawet wytworni. Przy tym on wykształcony; znamy go dawniej. Matka robi wrażenie polskiej matrony. Dość młoda jeszcze i dystyngowana kobieta. Jest tam dwoje młodszych. Chłopak trochę urwis, ale zuch, przygotowuje się w domu do wyższych klas. Zaprzyjaźnił się z Brochwiczem jako z imiennikiem, a na Waldemara spogląda z podziwem. Dziewczynka, Zosia, jeszcze mała, milutkie stworzenie, ale nie tak ładne jak Stefcia. Ta jest po prostu urocza. Miłość Waldemara ubrała ją w jakąś tęczę, promienieje szczęściem.

– Spodziewam się – rzekła księżna z lekką ironią.

Zbudziła się w niej zawiść, że jej wnuk, Waldemar Michorowski, uszczęśliwi tylko taką sobie zwyczajną Stefcię.

Młoda księżna odczuła to i rzekła z uśmiechem:

– O! niech mama nie sądzi, że Stefcię uszczęśliwia głównie przyszłe stanowisko. O ile ją znam, wolałaby ona, żeby Waldemar mniej błyszczał pozycją i milionami. Jedynie, co ją może napawa dumą, to świetność jego rodu. Prawdziwie szlachetne dziecko! Ona kocha Waldemara dla niego samego i kocha całą duszą. Tylko ma pewne obawy, jak sobie da radę w nowych warunkach: trochę się lęka naszej sfery. I na Rudeckich znać pewien przymus, gdy mówią o przyszłości. Najwidoczniej obawiają się nas dla córki, co jest zresztą zrozumiałym.

Starsza księżna milczała, pan Maciej zwiesił smutnie głowę. Po chwili rzekł:

– Boją się nas z powodu przeszłości... Ja odegrałem mętną rolę, ale Waldemar powinien ich przekonać. Czyżby i w niego nie wierzyli?

– Och! nie. Oni mu wierzą i cenią go, ale coś jest, co tamuje zupełnie szczęście z powodu nadspodziewango losu córki. Może to przeczucie rodziców?

Pan Maciej i księżna zwrócili na mówiącą zdziwione oczy.

– Przeczucie? Jakie? Z powodu czego?...

– Może nie wierzą w całkowite szczęście Stefci, w jej przyszły spokój. Ostatecznie ona wchodzi w obcą dla siebie sferę, która... niezbyt jej sprzyja.

– A przecież uważamy ją już za naszą – rzekł pan Maciej.

– My, ale nie ogół.

Stara księżna poruszyła się.

– Ogół uzna, zmuszony przez Waldemara. Już jeśli on mnie zdołał zjednać, wierzę, że potrafi skłonić do tego cały świat! Chyba nie ufają w stałość Waldemara, a to już byłoby bluźnierstwem.

– Nie! nie to. Powtarzam, wierzą w niego, lecz może nieświadomie mają obawę jutra. Pan Maciej i księżna zamyślili się smutno.

W połowie lutego wielka sala w Obronnem wyglądała uroczyście. Oczekiwano przyjazdu Stefci z ojcem i Waldemarem. Starsza księżna w ciężkich, czarnych koronkach, poważna, robiła wrażenie jak zawsze trochę dumne. Księżna Franciszkowa, pan Maciej, panna Rita i Trestka byli wesoło usposobieni. Książę milczał ponuro. Im bardziej zbliżała się chwila przyjazdu

Stefci, tym księżna babka zdradzała większy niepokój. Nieprzeparcie wracały jej dawne marzenia. W nich widziała siebie witającą narzeczoną Waldemara, jakąś księżniczkę znakomitego rodu. Z rzeczywistością staruszka nie mogła się znowu pogodzić, powracał żal i gorycz już trochę uśpiona. Z lękiem oczekiwała chwili powitania. Duma i ambicja grały na nerwach księżnej treny żałobne po umarłych nadziejach. Walczyła z siłą, wydartą duszy.

– Dla niego... dla wnuka. On ją kocha... on szczęśliwy – powtarzała w myśli.

Gdy wszedł kamerdyner, oznajmiając, że jadą, księżna oparła się ciężko na fotelu, wąchając nerwowo mały flakonik z solami. Drżała i mieniła się na twarzy.

Na schodach wiodących do dolnej sieni zaroiło się od lokajów. Trestka z panną Ritą pierwsi witali gości. Młoda księżna podeszła do rzeźbionej poręczy otaczającej galerię nad klatką schodową. Wtem na górę wpadł Waldemar, promieniejący, niebywale ożywiony. Przywitał szybko młodych księstwa, serdecznie pana Macieja i przyklęknął przed księżną.

– Przywiozłem ci moją Stefcię, droga babciu – rzekł miękko, całując jej ręce. Księżna milczała jak ogłuszona, bez ruchu, groźna, blada.

Waldemar spojrzał na nią zdumiony. Przeszył ją wzrokiem.

– Babciu! – zawołał z naciskiem, gniotąc jej dłoń z rozpaczliwą siłą.

Pierwszy raz w życiu zląkł się. Położenie wydało mu się strasznym. Jego oczy wpiły się w księżnę jak dwa płomienie.

Staruszka milczała oddychając szybko.

Ordynat zerwał się ze zmarszczonymi brwiami, z dzikim wyrazem twarzy. Zawołał zdławionym głosem:

– Co się tu stało, na Boga?!...

Pan Maciej, przerażony również, nie odpowiedział.

Lecz powtórny okrzyk Waldemara zgniótł krytyczną chwilę. Zbudził się w księżnej potężny żal do samej siebie za zmącenie szczęścia wnuka. Groza w jego oczach mieszała księżnę. Z serca jej miłość dla niego usunęła wszelkie wahanie. Była to już walka ostatnia.

Księżna przemogła się.

Wstała i położywszy dłonie na piersiach Waldemara, rzekła, patrząc mu w oczy, ale już z uśmiechem w źrenicach:

– Przyprowadź mi... Stefcię. Chcę ją powitać i... pobłogosławić.

Waldemar odetchnął. Ucałował ręce babki i wpadł do sieni. Pan Rudecki z córką wstępowali na schody w towarzystwie panny Rity i Trestki.

Ordynat szybko zbiegł i podał ramię narzeczonej. Jego wzrok nie uspokoił jej. Wyglądała ślicznie w wytwornej sukni jasnopopielatej, olśniewając cerą o tonach delikatnych, niby muszli perłowej przy zachodzie słońca.

W przejściu przez galerię młoda księżna uścisnęła rękę Stefci, wskazując jej oczyma otwarte drzwi salonu. Dziewczynie serce waliło w piersi.

Weszli.

Pyszne, ciemne oczy Stefci spoczęły na czarnej postaci księżnej z lekką

trwogą. Usta jej zadrgały, fala krwi przepłynęła przez perłową karnację jej twarzy. Delikatna łzawa powłoka rozbłysła w jej źrenicach. Zalśniły jak pióra jaskółek, gdy w locie dotknąwszy wody, wzlatują do słońca.

Księżna utkwiła w niej swój czarny wzrok. Pan Maciej rozjaśnił się. Książę Franciszek cofnął się za filar salonu.

Pod palącym spojrzeniem księżnej długie rzęsy Stefci opadły niby ciężkie zasłony, zakrywając urok jej oczu; łuki brwi zsunęły się nieco kapryśnie.

Księżna stała zdziwiona. Stefcia zachwyciła ją urodą i postawą. Widoczne zaleknienie dziewczyny podziałało na nią bardzo dodatnio. Księżna, nie wiadomo dlaczego, wyobrażała sobie, że narzeczona Waldemara wejdzie tu z podniesioną dumnie głową i wielką pewnością siebie. Stefcia zrobiła jej miły zawód.

Dziwne uczucie szarpnęło staruszkę za serce. Wyciągnęła do dziewczyny ramiona z uśmiechem i prawdziwą życzliwością. Pochylającą się serdecznie do jej rąk Stefcię księżna objęła i przytuliła do siebie.

Na powiekach pana Macieja osiadły dwie grube łzy. Waldemar był wzruszony.

Księżna wzięła jego rękę i oddała mu narzeczoną. Nad pochylonymi głowami dwojga młodych szepnęła z uczuciem:

– Bądźcie szczęśliwi!

Uroczystość wiała z jej słów, powaga i niezwykłe u niej roztkliwienie. Ta wyniosła pani w czarnych koronkach o marmurkowej twarzy, przytłaczała swym majestatem.

Powitanie i błogosławieństwo pana Macieja odbyło się mniej ceremonialnie, ale jeszcze serdeczniej. Pan Rudecki przywitał księżnę z godnością; zamienili ze sobą kilka poważnie brzmiących grzeczności. Pan Maciej uścisnął Rudeckiego po bratersku.

Lody zostały przełamane.

Pobyt Stefci w Obronnem zmienił całkowicie usposobienie księżnej na korzyść dziewczyny. Staruszka zdumiewała się jej dystynkcją.

Z przyjemnością spostrzegła, że nie będzie miała trudu kierując Stefcię na wielką damę.

Z każdym dniem godziła się więcej ze stanowiskiem jej w rodzinie, podziwiając przy tym urodę dziewczyny, świetnie rozkwitłą. Zachwycał księżnę czar i wdzięk Stefci, który rozsypywała dokoła siebie jak perły cenne.

Stosunek panny Rity z narzeczoną ordynata był jak najlepszy. Stefcia nie czuła się tu obcą, przymus względem siebie widziała tyko w księciu Franciszku i w hrabinie Morykoniowej. Hrabia nie pokazywał się wcale. Większych zebrań nie urządzano, ponieważ wszystkie domy znajome bawiły w Warszawie lub za granicą. Stefci brakowało tylko Luci. Nieobecność jej i pani Idalii gnębiła dziewczynę.

Po tygodniowym pobycie w Obronnem przejechali wszyscy na kilka dni do Głębowicz, skąd już pan Rudecki z córką miał powrócić do domu. Sanna trwała wyborna.

Ordynat jechał z narzeczoną w bardzo strojnych saneczkach, zaprzężonych w czwórkę głębowicką. Powoził sam. Pąsowa, szyta złotem siatka spadała aż do ziemi, bujne lisie ogony miotały się przy skroniach końskich. Dźwięczny brzęk janczarów i brązowych okuć uprzęży roznosił echo w borach głębowickich. Karę araby z długimi ogonami, w błyszczącym rynsztunku, przypominały rumaki cezarów przy zwycięskich rydwanach.

Stefcię czarowała ta jazda, oboje z Waldemarem rozweselili się jak dzieci. Szczęście jak złote promyki tysiącami iskierek sypało na nich. Młodość, miłość ich była rozkoszną i błyskotliwą jak ta wesoła jazda po wyślizganym gościńcu, jak dźwięczny brzęk janczarów i prychanie karej czwórki. Bór stał cichy, oszroniony, ostatnim śniegiem. Raz jeszcze ubrał się w białe futra i szumiał rozgłośnie, jakby żałując, że wkrótce zdjąć je musi. Marzec już nadchodził, koniec zimy, ale śnieg cieszył ludzi, cieszył nawet bór, drzewa wiedziały, że im ładnie w tych gronostajach.

Stefcia oczekiwała wiosny radośnie. W czerwcu miał odbyć się jej ślub, więc tyle myśli leciało naprzód, tyle wrażeń, taki bezmierny, niezgłębiony dreszcz ciekawości i nadziei wstrząsał nią na wspomnienie tego, co będzie! A jednak żałowała zimy. Dziwny, niewytłumaczony żal wkradł się natrętnie do jej marzeń i nurtował w nich. Śnieg był świadkiem największego jej szczęścia, najdroższych upojeń i żałowała, że już zginie. Pragnęła wiosny, jednocześnie bojąc się jej.

Ale teraz mgliste myśli nie nasuwały jej swobody. Przy boku narzeczonego cieszyła się życiem, śniegiem i tą jazdą porywającą. Lecz gdy wyniosłe mury zamku zarysowały się potężnie wśród ciemnych sylwetek świerków, Stefcia spoważniała.

Ona ma zostać panią tego zamku, ordynatową tej pysznej rezydencji, świecącej niby klejnot bez ceny w promieniu obszarów ziemskich, jak w złotych tęczówkach. Ona będzie żoną tego rodowego magnata, tego milionera. Dziewczyna czuła szum w głowie... On ją wybrał z tylu innych, więc ambicja jej i duma mogły być nasycone, mogły stać się nawet zawrotnymi. Lecz Stefcia odczuwała szczęście jedynie z powodu uczuć najdroższych dla Waldemara. Kochała go aż do utraty zmysłów. Jego wielkość, płynąca z potężnych murów zamku, przygniatała ją więcej niż kiedy. Ona tu zostanie, będzie matką nowych pokoleń.

Stefcia pojmowała wielkość swego zadania, lecz cień jakiś niewyraźny błąkał się w jej duszy. Waldemar zauważył jej stan i odczuł powód. Pochylił się do niej, mówiąc serdecznie:

– Wiozę cię do siebie już moją – nareszcie!

Musnął ustami jej skronie, na wpół przykryte futrzaną czapeczką.

Stefcia drgnęła. Jego słowa i pocałunek podnieciły ją. Ordynat strzelił z bata. Wyminął wszystkie sanie, salutując jadących. Z boku zajeżdżał go Brochwicz w pojedynczych, jak cacko, saneczkach.

– Widziałem! ale jestem dyskretny – krzyknął wesoło. Stefcia zapłonęła rumieńcem.

– Odpłacę ci kiedyś tym samym! – zawołał Waldemar i pomknął naprzód.

Z nozdrzy jego koni buchały ogromne kłęby pary, wiatr szumiał w uszach.

Na baszcie zamkowej nagle, w ich oczach, rozwinęła się wielka błękitna chorągiew z herbem Michorowskich. Załopotała jakoś tryumfalnie. Widocznie zamek czuwał i dojrzał jadącego pana. Wiedział nawet, z kim jedzie, bo z baszty uderzył w powietrze huczny odgłos trąb.

Z blanków zamkowych, osypanych śniegiem, zerwały się przestraszone stada wróbli z głośnym świerkaniem, Frunęły na drzewa, czerniąc się jak drobny śrut pomiędzy zaśnieżonymi gałązkami. Fanfara brzmiała melodyjnie i poważnie.

Stefcia była wzruszona.

Wpadli w aleję świerkową. Nowa niespodzianka. Pod świerkami ustawiona w dwa szeregi straż leśna i strzelcy zwierzynieccy z podłowczymi, na koniach, w galowych strojach, dawali salwy ze strzelb, machając kołpakami i pokrzykując radośnie.

Głębowicze grzmiały na powitanie Stefci.

Waldemar, rozweselony zachowaniem się dworzan, zwolnił pęd koni, zerwał czapkę z głowy i powiewał nią dziękczynnie. Stefcia kłaniała się wdzięcznie. Wzruszenie ją dławiło, dygotała na całym ciele.

A salwy huczały regularnie, jak dla zwycięzcy po bitwie: odgłos trąb rozbrzmiewał echem, chorągiew łopotała na wietrze.

Powitalny szum świerków-tytanów został zagłuszony, ale dreszcz biegł po kolosalnych cielskach, strzepując śnieg z gałęzi; chyliły się czuby, jakby składając hołd Stefci.

Głębowicze doczekały się pani! Witały ją już jak ordynatową.

Rój skłębionych bezładnie myśli wirował w rozognionej głowie Stefci. Chaos w nich zapanował, szał jakiś zakipiał we krwi.

Wśród salw i wiwatów przejechali kamienny most na fosie, minęli dziedziniec zewnętrzny oraz bramę pod arkadami i w całym pędzie Waldemar zatrzymał rozhukaną czwórkę przed wyniosłym portykiem zamkowym. Dopiero tam dogoniły ich inne sanie.

Pan Rudecki był odurzony. Nie spodziewał się, że Głębowicze są tak wspaniałe. Owacje czynione Stefci poruszyły go. Myślał wspominając przeszłość:

– Krzywda tamtej nagrodzona. W drugim pokoleniu los obmyślił nagrodę. Czy ona to widzi?...

I w oczach stanęła mu postać umierającej staruszki.

Pod kolumnami ganku witała Stefcię służba zamkowa. Z urzędników: rządca Ostrożęcki, wszyscy praktykanci, marszałek dworu, łowczy i koniuszy. Salwy i trąby umilkły w bramie pod arkadami. Na krużganku wewnętrznym zagrała orkiestra.

Pan Maciej, również jak pan Rudecki, myślał, przywodząc na pamięć postać dawnej narzeczonej:

– Jesteś nagrodzona. W drugim pokoleniu los dał powetowanie. Czemuż

tego nie widzisz?...

I staruszek odetchnął lekko, jakby już wykruszył ostatni kamień z duszy.

# XX.

Stefcia stanęła olśniona ujrzawszy mieszkanie przygotowane dla siebie. Trzy pokoje tonęły w kwiatach. Zwłaszcza buduar przykuwał oczy. Dosyć duży, okrągły, obity złotożółtawym jedwabiem, z przepysznym sufitem zdobnym w inkrustacje. Kryształowy żyrandol zwieszał się ze środkowej rozety. Jedną połowę pokoju, lustrzaną, ozdobiono kwiatami. Grupowały się tam wachlarzowe palmy, nisko stały w odpowiednich wazonach bladożółte róże, hiacynty i pęki kwitnącej mimozy. Wszystko w jasnych, pastelowych kolorach. Buduar w stylu cesarstwa. Posadzkę pokrywał żółty pluszowy dywan o niezmiernie długim włosie. Sypialnia miała styl odmienny – w tonie błękitnym. Adamaszkowe kotary osłaniały łóżko wyrzeźbione z drzewa orzechowego, nabijane konchą perłową.

Ten pokój krasiły białe róże i pąsowe gwoździki.

Ubieralnia biała jak z porcelany i przytykająca do niej łazienka świeciły niepokalaną bielą alabastrów, marmurkową wanną, srebrem naczyń i delikatną barwą lila irysów, jakich tu znajdowało się mnóstwo w basenach, w srebrnych dzbanach, w wazonach i wysokich kryształowych słojach.

Stefcia jak senna spoglądała dokoła, słuchając uniżonego szczebiotu ochmistrzyni dworu, pani Szalińskiej, powszechnie tu zwanej Szalisią, która jej usługiwała. Starowina służyła jeszcze matce ordynata. Od niej dowiedziała się Stefcia, że pokoje zamieszkiwała niegdyś ordynatówna Idalia, ale teraz pan ordynat kazał je zupełnie odnowić.

Staruszka ze swymi ukłonami i minami robiła wrażenie damy dworu i czuła się bardzo przejęta nową rolą przy narzeczonej ordynata.

Stefcia zjednała sobie jej sympatię, ale Szalisią szepnęła na ucho kamerdynerowi, że panienka nie bardzo widać z jasnych pochodzi, bo nie jest wcale dumna. Andrzej kiwnął głową przecząco i odrzekł z przekonaniem:

– Co tam pani mówi! Zaraz jaśniej zrobiło się w zamku, jak ona przyjechała. Pan ordynat szukał, szukał i znalazł nie żadną hrabiankę, ale za to śliczności.

– Oj, co to, to prawda! – potwierdziła stara ochmistrzyni. Służba zamkowa była zupełnie zadowolona ze Stefci.

Pan Rudecki nie mniej czuł się zadowolony z Głębowicz, ale był trochę przestraszony. Przyszły zięć przerażał go bogactwem, zamek olśnił. Podobny przepych widywał stary obywatel za granicą jako student, zwiedzając arcyksiążęce pałace, lecz bezpośrednio zetknął się z nim pierwszy raz.

I tu miał zostawić córkę.

Lęk jakiś dziwny przygniatał go.

– Czy to nie będzie złocona klatka, bogata, ale dumna, nie swojska? –

myślał chwilami. Patrząc na córkę, na jej dystynkcję, wdzięk i swobodę, z jaką obracała się wśród tego przepychu, miał pewność, że jest stworzoną do wspaniałych ram. Magnateria zamku i magnateria osób nie krępowały jej. Czuła się swobodną tak samo, jak w skromnych ścianach rodzinnego domu. Była nawet rozkoszniejszą, nosiła w sobie jakąś cechę wyłączną, jakby otaczający ją luksus i pyszne Głębowicze słusznie należały się jej wytwornej naturze.

Tego samego zdania były obie księżne, pan Maciej – i cieszyli się. Stefcia potrafiła ich zadowolić. Nawet książę Franciszek i hrabina Morykoniowa przekonali się do niej. Nie mogli jej darować jedynie nazwiska. Hrabina w liście do męża wzywała go, aby przyjechał, nadmieniając, że Stefcia jest zupełnie „możliwa" i że pomimo względów, jakimi ją obsypuje ordynat, elle connait son rôle. Hrabina w ten sposób tłumaczyła pewien chłód Stefci względem siebie. Dziewczyna, uprzejma dla wszystkich, z hrabiną postępowała sztywniej i unikała jej, czując głęboką niechęć tej damy do siebie.

Dni spędzane w gościnnym zamku głębowickim sprawiały wszystkim wiele przyjemności. Ordynat wspaniale przyjmował narzeczoną. Nie przeszkadzało mu to jednak w pracy. Sam w pojedynczych saneczkach, zaprzężonych w szpic, czasem konno, objeżdżał folwarki, odwiedzał fabryki i instytucje majątkowe. Parę godzin dziennie w urzędowym biurze przyjmował raporty od administracji, załatwiał interesantów, wysyłał listy i telegramy. Nie przestawał być czynnym, pisał artykuły społeczne i różne programy. Do lasów odbywali wspólne kuligi, bo sanna trwała ciągle. W pałacyku stylowym, wśród głuchego boru, ordynat urządził raz przyjęcie dla swych gości. W czasie obiadu o zmroku wieczornym dokoła pałacyku płonęły na śniegu ogniska, podsycane przez gajowych, którzy popisywali się na rogach myśliwskich. Oswojone dwa niedźwiedzie, wielkie, kudłate, wałęsały się obok płonących stosów z groźnym pomrukiem. W sieni, dosyć obszernej, mieściło się mnóstwo zdobyczy łowieckich, różnych głów, rogów i skór. Kwiliło żywe, oswojone ptactwo. Ogromne jastrzębie, puchacze i kruki, nawet dwa okazy sokołów, białozór i mniejszy kobuz, które łowczy obuczał do polowania. Leśniczy, doglądający pałacyku, trzymał także oswojonego wilka, lisa i wielkiego rogacza, wychowanych od małego.

Stefcia, patrząc na to wszystko, miała wrażenie, że jest przeniesiona w czasy średnio- wieczne, gdzie powszechnie istniały takie bory i taka obfitość zwierzyny. Zaciekawiała ją zgoda oswojonych zwierząt. Wszystkie chodziły na swobodzie, nie robiąc sobie wzajemnie krzywdy. Buchający ogień, duży komin w sieni i przeciągłe mruczenie oswojonego misia dopełniały złudzenia odległych lat.

Pan Rudecki, zawołany myśliwy, rozprawiał z Waldemarem o ilości zwierzyny, o sposobach karmienia jej i o tępieniu wilków. Wspaniała leśniczówka zachwyciła go jeszcze więcej niż zamek głębowicki. Tu czuł się w swym żywiole. Stary obywatel podziwiał przyszłego zięcia głównie za to,

że potrafił utrzymać w porządku i rygorze takie dziedzictwo po przodkach. Bo uważał, że prócz pieniędzy potrzebna tu była energia i rozum, aby nie doprowadzić

do rozprzężenia, takt, aby kierować olbrzymią masą ludzi i interesów, sprawiedliwość i serce, aby być uwielbianym przez tłumy urzędników-oficjalistów, służby różnego rodzaju i robotników fabrycznych.

Pan Maciej, widząc, dlaczego ojciec Stefci ceni najwięcej Waldemara, nabrał dla pana Rudeckiego wiele sympatii i szacunku.

Waldemar chodził w chwale i podziwie ogólnym, a otaczający go blask spływał i na Stefcię. Ona stała się punktem ciężkości wszystkich hołdów, ona jak pryzmat zbierała w sobie promienie uwielbień całej masy jego podwładnych. Kochano ją dla niej samej, bo umiała zjednywać ludzi, ale kochano ją i za to, że była narzeczoną ordynata.

Na obławie na wilki znajdowało się i obywatelstwo okoliczne, wśród nich parę domów bliżej zaprzyjaźnionych z ordynatem. Wszyscy znali Stefcię z dawniejszych czasów ale obecnie ujrzano ją w nowej roli i sława jej brzmiała szerszym echem.

W zaniku głębowickim wesołość niczym nie zmącona i szczęście rozgościły się na dobre. Stefcia przeżywała najszczęśliwsze czasy, zawsze razem z narzeczonym.

Grywano w tenisa w ujeżdżalni, obok stajennych zabudowań. Ślizgano się na sadzawkach w parku przy dźwiękach orkiestry, śmielsi puszczali się na rzekę, która już spiętrzała swe lody, pragnąc wyzwolenia. Stefcia grywała z Waldemarem w bilard, prowadząc nieskończone rozmowy. Śmiały, inteligentny jej umysł rozwijał się w poważnych rozprawach z na- rzeczonym. Siadywali często w bibliotece lub w czytelni, gdzie Stefcia grała Beethovena, a Waldemar, zagłębiony w fotelu, napawał się jej kameowym profilem.

W sali muzycznej on grywał jej na organach. Stefcia wówczas w wyobraźni swej widywała babkę jego, Gabrielę, przy tym gotyckim instrumencie, zapłakaną, z wieczną chmurą w duszy, i własną babkę, Rembowską, spełniającą wiernie obowiązki matki, żony i obywatelki kraju, ale z wielką raną w sercu.

Czasem Stefcia grywała w swym lustrzanym buduarku na pianinie z lapis-lazuli ze srebrnymi okuciami i klawiszami z konchy perłowej. Cacko to otrzymała niegdyś jako podarek ślubny matka ordynata od pana Macieja. Grając Stefcia snuła w swej myśli obrazy przyszłego szczęścia. Dziewczyna żyła ciągle w upojeniu. Każde słowo, każda pieszczota narzeczonego odbijała się w jej duszy rozkosznym echem.

Oboje bardzo lubili salę portretową, chociaż mroziła ich trochę i dziwny lęk wprowadzała do serca Stefci. Historii babki Gabrieli nie poruszali więcej.

Często ogarniała ich dziecinna wesołość. Wówczas Stefcia lubiła ogród zimowy i palmiarnię, albo w zbrojowni Waldemar tłumaczył jej historię każdej broni. W myśliwskiej sali bawił Stefcię owinięty w zielony jedwab pyszny Murzyn, który w swej kudłatej głowie skombinował już, kto jest

Stefcia, i uśmiechał się do niej, czyniąc jej honory w swój sposób. Ordynata uważał on za jakiegoś półbożka czy fetysza, więc i dla Stefci składał dużą część swych uwielbień.

Stajnie również często odwiedzali. Raz Stefcia przejechała się po parku na Apollu, mając obok Waldemara. On czuwał nad każdym krokiem swego wierzchowca, gotów mu nawet w łeb palnąć, gdyby groziło Stefci niebezpieczeństwo. Waldemar kochał narzeczoną bez pamięci i otaczał ją prawdziwym nimbem szczęścia.

Stefcia zajmowała się żywo ochronką, znając bliżej wiele dziatwy. W szkole była podczas wykładów i miejscowy nauczyciel wtajemniczył ją w program nauk. Bawiła ją gimnastyka dzieci w wyłącznie urządzonej na ten cel sali. Zwiedzała szpital w sąsiednim folwarku Romnach i przytułek dla starców, zwany przez Waldemara „pałacem inwalidów". Przyglądała się ćwiczeniom straży ogniowej, towarzyszyła narzeczonemu przy miesięcznym rozdawaniu książek dla służby z czytelni ludowej obok szkoły. Waldemar obznajmił ją z systemem prowadzenia kasy oszczędnościowej dla służby i robotników, którą zawiadywał osobiście. Stefcia zwiedziła obszerny budynek łaźni wzorowo urządzonej i salę zabaw w stylu zakopiańskim, gdzie służba i robotnicy zbierali się na tańce, a nawet grywali teatra amatorskie. Wszystkie te instytucje prócz ochronki były już zasługą Waldemara. Przed dziesięciu laty, objąwszy po ordynacie w osobiste władanie, uczył się jeszcze w uniwersytecie, ale mimo to od razu rozpoczął energiczną działalność. Rzucał myśli, które musiano wykonywać natychmiast. I potem, na ławie szkoły rolniczej, i nawet hulając po świecie, nie zapominał o Głębowiczach. Z zapałem szerzył swe idee. Wpadał do majątku niespodziewanie, inicjował coś nowego, sprawdzał czynności wykonawców, błysnął w okolicy i znowu wyfruwał w świat szeroki. Dobra ordynackie stały się wzorem okolicy. Nazwali ordynata utracjuszem tylko ci, którzy sądzili z pozorów, patrząc na jego rozrzutność, a nie widząc wewnętrznej gospodarki.

– Dzielny człowiek, dobry patriota i rozumny arystokrata – myślał pan Rudecki. Taką opinię Waldemar posiadał powszechnie.

Stefcia bywała z księżną w kościele głębowickim, bo księżna chciała zbadać pobożność dziewczyny. Gdy pierwszy raz narzeczeni znaleźli się razem w kościele, proboszcz odśpiewał na ich intencję Te Deum landamus błogosławiąc ich ze wzruszeniem. Staruszek cieszył się, że jego „chłopiec" nareszcie pomyślał o założeniu rodziny. Stefcia podobała mu się bardzo.

Obok kościoła w obrębie murów stało wyniosłe mauzoleum z grobami Michorowskich. Stefcia z przejęciem modliła się przy sarkofagu Gabrieli de Bourbon i Elżbiety, matki Waldemara. Ogromny gotycki budynek, ocieniony starodrzewiem, wstrząsnął nią trochę przykro. Waldemar nie pozwolił narzeczonej być w nim długo.

Pewnego dnia ordynat spotkał Stefcię w kaplicy, umieszczonej w narożnej baszcie. Stała oparta o ložę ordynacką i spoglądała w zamyśleniu na wizerunek Chrystusa, artystycznie rzeźbiony z kości słoniowej na krzyżu

dębowym. Kaplica, nieduża, miała również styl gotycki. Wyłożona szarym marmurem, o poważnych sklepieniach, z ciemną posadzką z mozaiki weneckiej. Ze szczytu sklepienia zwieszał się ciężki oksydowany żyrandol. Prócz loży wyłożonej marmurem stało tam parę marmurowych ławek, rzeźbiony klęcznik i niewielkie organy.

W ołtarzu przeważało oksydowane srebro. Kaplica była w tonie surowym. Obok krzyża na ciemnopąsowym suknie świeciły wota rodziny Michorowskich. Odznaczało się serce z brylantów i rubinów, wotum nieszczęśliwej babki Waldemara.

Stefcia w ofierze obok krzyża kładła własne serce, przepełnione wdzięcznością i zdrojem najgorętszych uczuć.

Posyłała do stóp Ukrzyżowanego swe modlitwy i prośby, i wiarę w przyszłość. Gdy Waldemar wszedł, ujrzał ją nie na klęczkach, ale rozmodloną duchowo. Stanął obok i wziął jej ręce. Chwilę patrzyli na siebie. Kolorowe szkła witrażów rzucały na nich tajemnicze cienie. Stefcia przytuliła się do narzeczonego i wskazując oczyma na krzyż szepnęła:

– On nam błogosławi.

Waldemar usta zanurzył w jej włosach.

– Czy pamiętasz naszą rozmowę w korytarzu z obrazem Magdaleny? Wróżyłaś mi wówczas... trochę smutno. Widzisz, jedyna! Wydarłem światu berło szczęścia i przyniosłem je do swego gniazda. Skończyłem Austerlitzem...

Stefcia drgnęła.

– Co ci jest, jedyna? – spytał Waldemar, niemile tknięty zmianą w jej twarzy. Wtem spoza murów rozległ się głuchy, basowy pomruk dzwonków kościelnych. Jakiś przykry dreszcz uderzył w nerwy Waldemara.

– Co ci jest? – powtórzył ciszej.

– Nic, nic! Zmówmy Anioł Pański.

## XXI.

- Pokażę ci coś, czego jeszcze nie widziałaś - rzekła starsza księżna z tajemniczą miną, biorąc Stefcię za rękę.

Dziewczyna zdziwiła się, gdy weszły do obszernej, sklepionej komnaty, której dotąd nie znała. Stały tam dwa staroświeckie łoża ze stopniami, palisandrowe, bogato okuwane brązem. Osłaniały je kotary ze złotogłowiu, w kształcie baldachimu, spięte u góry herbem Michorowskich i mitrą książęcą. Cała komnata w kolorze ciemnoczerwonym ze złotem prawie nie posiadała więcej sprzętów zaledwo parę koniecznych. Wielka, niezmiernie bogata ampla z pąsowego kryształu, oprawna w obfite brązy, dopełniała wrażenia dziwnego majestatu. Stąpało się cicho po miękkim jak puch dywanie. Ciężkie zasłony w oknach z karmazy-nowego aksamitu, na które rzucono kremowe koronki, utrzymywały półmrok i surowość, główną cechę tej komnaty wyniosłej, dumnej w swej powadze, jak stare portrety lub manuskrypty na

pergaminach.

Księżna weszła ze Stefcia, stanęła na środku i ściskając rękę dziewczyny rzekła półszeptem:

- Jesteśmy w sypialni zamkowej. Tu porodzili się wszyscy Michorowscy i twój narzeczony, dzisiejszy ordynat.

Stefcię przebiegł lekki dreszcz.

Księżna szeptała dalej:

- Wielka, wielka historia tej komnaty! Dużo by te ściany powiedziały, gdyby umiały mówić. Wiele tu szemrało westchnień serdecznych a smutnych, wiele kwiliło wesołych głosów niemowlęcych, które świat potem przytłumił, zdusił. Bóg zliczy łzy wsiąkłe w te złotogłowia. Dużo tu było dramatów, rozpaczy - tylko szczęścia niewiele. Waldemar miał słuszność: szczęścia nie było.

Księżna postąpiła parę kroków i znowu stanęła, kiwając żałobnie głową jak nad pomnikiem.

- Smutna kronika rodzinna - mówiła cicho - tragiczna komnata, chociaż nikt w niej nie umarł, każdego przed śmiercią wygnało coś z tych murów. Dziwny traf! I Maciej dobrowolnie porzucił te kąty. Jego żona zmarła za granicą, moja Elżunia również, a zięć Janusz nagle w Biało-Czerkasach. W tej komnacie witają świat więc powinna być weselsza, a jest smutniejsza. Dobra analogia przyszłego życia.

Księżna chwyciła Stefcię za rękę.

- Nie powinnam ci tego mówić: straszę ciebie. A może to wy właśnie wniesiecie tu inny duch, może wasze szczęście roztopi tragizm tu panujący! Daj Boże! Po łzach niechby nastąpił uśmiech.

Staruszka poszła wolno do drzwi, szepcząc do siebie:

- Ile tu łez! ile łez... i mojej Elżuni także.

Stefcia niemal przerażona obrzuciła wzrokiem całą komnatę i z dygotem wewnętrznym wyszła za księżną. Minęły obszerną ubieralnię, łazienkę błyszczącą marmurami i w pokoju tualetowym, pełnym szaf, księżna otworzyła kluczykiem zawieszonym u niee na łańcuszku drzwiczki ukryte we wgłębieniu muru. Znalazły się w małym pokoiku, oszalowanym dębowymi deskami. Ogromne okute kufry stały na tęgiej dębowej podłodze, nawet sufit był dębowy. Pokoik robił wrażenie skrzyni. Dwa okna małe i wąskie, zakratowane, prawie nie przepuszczały światła. Księżna nacisnęła guzik elektryczny. Dwie kule u sufitu rozbłysły jaskrawo. Wówczas staruszka poszła do małej, żelaznej szafki wbitej w ścianę, otworzyła ją za pomocą sprężyn i zaczęła wyjmować na stół rozmaite większe i mniejsze pudełka z safianów i aksamitów. Stefcia patrzała na to zdumiona.

- Chcę ci dziecko, pokazać rodzinne precjoza Michorowskich - rzekła księżna - Waldy

mi powierzył opiekę nad nimi z chwilą, gdy objął ordynację, do czasu, aż się nie ożeni. Ja przecierałam je zawsze sama, tylko z Ritą lub Dobrzysią. Teraz Waldy tobie je odda. Te klejnoty zdobiły bardzo dumne głowy, teraz

ubiorą... śliczną.

Stefcia szarpnęła się, porwała księżnę za rękę.

- Nie, babciu! nie! nie! proszę to schować, to nie dla mnie!

Staruszka spojrzała na nią ciekawie.

- Jak to nie dla ciebie? Będziesz jego żoną i... ordynatową, to twoja własność. On cię tym sam obsypie. Ja tylko pokazuję.

Pootwierane pudełka zaiskrzyły się świetlną zawieją. Barwny pożar ognistych zórz zajaśniał na stole.

Stefcia ujrzała wspaniałe diamenty z brylantów, kolie, kolczyki, bransolety, perły uriań-skie, różowe i szare. Krwawiły się przed jee oczyma sławne rubiny Michorowskich, lśniły zieloną topielą szmaragdy, błyskały tajemniczo szafiry, seledynowo-żółte opale. Całe morze iskier, barw jak z bajki wyjętych gorzało w blasku elektrycznym. Sypały się potoki zaczarowanych ogni, gorące łuny z olbrzymich karbunkułów rubinowych. Złote łańcuchy, staroświeckie klamry, pierścienie, wstęgi naszywane klejnotami - wszystko rzucało snopy oślepiających promieni.

I dziwny to był obraz. Duży stół zarzucony masą klejnotów, przy nim w wysokim krześle poważna, dumna staruszka, podparta na ręku i smutnie zamyślona. Obok młoda, śliczna dziewczyna, z lekką trwogą w oczach wpatrzonych na skarby, o jakich nie miała pojęcia. Światło lamp elektrycznych oblewało tę grupę białą omastą, żarzyły się klejnoty, a twarze dwóch kobiet nabierały nieskalanej plastyki wyrazu.

Oczy Stefci, również jak klejnoty, jak ciemne ametysty w oprawie brylantów, nie miały w swym wyrazie chciwości, ale moc przeróżnych myśli trochę smutnych. Kto nosił te bogactwa? jaka ich historia? czy i one widywały łzy, czy więcej uśmiechów?...

Księżna, jakby tą samą wiedziona myślą, zaczęła przebierać między pudełkami. Jej długie białe palce dotykały diamentów, kolii, ślizgały się po sznurach pereł. Mówiła cichym głosem:

- Ten diadem z pereł i brylantów dostała od męża prababka Macieja, Anna Koniecpolska, wojewodzianka mazowiecka. Dla niej był kupiony w Paryżu za bajeczną cenę. Tą kolię z rubinów lubiła najwięcej żupanówna węgierska, z domu hrabiów Esterhazych. Bardzo piękna brunetka, przepadała za strojami. Tylko niewiele miała serca. Chciała się rozwodzić z mężem. Do skandalu nie doszło, ale życie było nędzne. Patrz, te brylanty ze szmaragdami były noszone przez moją Elżunię. Jak ona w nich wyglądała... Mam ją w oczach na balu, w Wiedniu w ambasadzie włoskiej. Tę kolię miała na szyi, a te szmaragdy we włosach. Była wtedy w największym rozkwicie urody, już ostatnim. W kilka lat potem zmarła...

Księżna westchnęła ciężko.

Wzięła teraz naszyjnik z brylantów w połączeniu z opalami prześlicznych ogni i cennej roboty. Przesunęła kamienie przed oczyma Stefci.

- To przywiozła ze sobą księżniczka de Bourbon, Gabriela. Nieszczęśliwe opale, nie dają podobno szczęścia. Taki zabobon w tym przypadku sprawdził

się. Ten naszyjnik ojciec ofiarował jej w dniu, w którym pierwszy raz weszła w świat. Znasz jej historię. Zaledwie parę miesięcy czuła się szczęśliwą. Od poznania Gwidona skończyło się wszystko. Jego fotografię nosiła z sobą zawsze - na jej zaklęcia włożyłam do jej trumny... na piersiach pod kwiatami. Biedna była kobieta, nieszczęsna męczennica.

Stefcia uklękła przy kolanach księżnej i czoło wsparła na nich. Oczy bolały ją od widoku klejnotów, dreszcze jakieś chodziły po nerwach, wstrząsając ciałem.

Księżna pochyliła się nad nią.

- I twoja babka nieszczęsną była... i ona ciężką miała dolę na świecie.

Stefcia podniosła oczy na staruszkę. Szepnęła żałosnym głosem:

- Ona nie wiedziała, że ją stale kochał. Żyła i umarła z wątpliwością w duszy. To najstraszniejsze!

- Maciej kochał ją, szczęścia nie zaznał. Miał straszne wyrzuty sumienia. Potem życie złagodziło ranę. Przyszły dzieci, wnuki... zapomniał. Zachował jednak jej miniaturę - widziałaś ją. Czas, moje dziecko, to bezwzględny rylec. Zmienia postać ziemi, więc zasnuwa i wszelkie bóle w duszy człowieka. Zapomniał! Może pozornie... Tyś mu ją przypomniała, a jej śmierć targnęła nim w straszny sposób.

- Gdyby ona o tym wiedziała, lżejszy może byłby jej zgon - szepnęła Stefcia.

Umilkły. Tylko klejnoty migały płomykami różnokolorowych iglic, jakby urągając ludzkiej niedoli i smutkom, zaćmiewającym ich urodę. Klejnoty zimne, szydercze, sypały kaskady swych gwiazd, wyzywająco, dumnie.

Księżna ocknęła się. Powoli wzięła diadem z brylantów i pereł i włożyła go na zgrabną główkę Stefci. Zanurzył się w bujnych, lśniących jedwabiem włosach dziewczyny. Ognie wybuchły z olbrzymich brylantów. Stefcia była jak uwieńczona. Uśmiechnęła się do księżnej, oczy jej płonęły, różowe wargi rozchyliły się radośnie. Promienność wiała z niej i młodość w pierwszym rozkwicie, i niewinności dziecka, i postawa księżniczki. Miała w sobie tyle uroku, że księżna cofnęła się na fotelu i zapatrzyła jak w obraz.

- Jednak ty jesteś... czarująca. Skąd u ciebie taka uroda?

Stefcia roześmiała się.

- Dlaczego, babciu?

Wtem zastukano do drzwi. Księżna spytała ostro:

- Kto tam?

- Ja, Waldemar.

Staruszka prędko powstała, idąc otwierać drzwi. Stefcia posunęła się za nią.

Ordynat wszedł ze słowami:

- Szukam pań po całym zamku. Ukryłyście się dobrze, ale...

Umilkł ujrzawszy Stefcię w diademie z brylantów. Popatrzył chwilę. W oczach mu błysnął zachwyt, radość, tryumf. Podszedł bliziutko i rozjaśniony wziął jej dłonie.

- Cudzie mój! jesteś jak zjawisko!

- Prawda, jak jej dobrze w tych klejnotach? - podchwyciła księżna.

- Bosko! bosko! - powtarzał Waldemar, ściskając ręce narzeczonej. - Chciałbym, aby cię teraz widzieli wszyscy...

Zawahał się.

- Co ci zazdroszczą - dokończył.

- Nie wyglądam jak kopciuszek w przebraniu? - spytała Stefcia trochę kokieteryjnie.

Księżna zaśmiała się. Waldemar ucałował jej ręce.

- Jesteś jak królowa, tylko brak stosownej sukni, kolii i tych tam dodatków do uszu i rąk, no... i płaszcza gronostajowego! Gdy cię tak ubiorę, podbijesz świat!

- A najwięcej króla - szepnęła Stefcia z ładnym pochyleniem głowy.

- Oj, ty łobuzie! - pogroziła jej księżna.

- Króla oczarowałaś w codziennej sukience i w koralach, które mi są droższe od całego tego sezamu - rzekł Waldemar wskazując na stół z klejnotami.

Podeszli bliżej. Ordynat wziął piękną przepaskę z gwiazd brylantowych, z wielkimi rubinami w środku, i sam włożył ją na głowę narzeczonej, zdjąwszy uprzednio diadem.

- Czarująco!

Ona śmiała się rozbawiona. Księżna podawała Waldemarowi coraz nowe klejnoty. On je przymierzał Stefci.

Dziewczyna, widząc siebie w lustrze, była zmieszana własną pięknością. Waldemarowi oczy grały zachwytem, pożerał wzrokiem swą ukochaną, ciesząc się w duszy, że te magnackie klejnoty tak ją ładnie stroją.

Sam wybrał dwa sznury bardzo cennych pereł z małą klamerką sadzoną brylantami i z uśmiechem zapiął je na szyi Stefci. Perły na bladolila jedwabnej bluzce błyszczały jak rosa na smukłym irysie.

- Te już niech tu zostaną - rzekł serdecznie Waldemar, całując ręce spłonionej Stefci -niech to będzie mój pierwszy dar po pierścionku.

- Pierwszy? Ileż mam już darów od pana? To nie pierwszy! - kręciła głową Stefcia.

- Ależ z tych rodzinnych zbiorów pierwszy - odrzekł ordynat.

Podziękowała mu ślicznym uśmiechem. Waldemar spojrzał w jej oczy drapieżnie, zadrżały mu nozdrza. Delikatnie objął ją i przytulił do siebie, palące usta przycisnął do gorących ust narzeczonej.

Stefcia zdrętwiała. Waldemar puścił ją natychmiast. Dziewczyna spojrzała na księżnę, lecz staruszka dyskretnie była bardzo zajęta klejnotami.

Waldemar uderzył się w czoło.

- Ach, zapomniałem! Przyjechał Morykoni. Szukałem pań, lecz na widok mego cudu zapomniałem o świecie całym.

Zaczęli we troje układać klejnoty i zamykać pudełka. Waldemar chował do szafki.

Kiedy Stefcia z księżną i ordynatem ukazała się w sali, podszedł do nich

hrabia Morykoni, wysoki mężczyzna z blond bakami i głową uczesaną starannie na pół. Wyglądał, jakby mu kto rozdzielił na dwie części twarz, którą spinały niby klamrą binokle w złotej oprawie. Przywitał teściową i skłonił się Stefci z wytworną grzecznością.

Podała mu rękę eleganckim ruchem, z pewnym chłodem, co dodało jej dystynkcji i jakiejś subtelnej pańskości.

Hrabia spojrzał zdumiony, stropił się nawet, lecz natychmiast podniósł do ust jej rękę i rzekł z galanterią:

- Najlepsze życzenia... i powinszowania, chociaż te ostatnie głównie ordynatowi powinny być składane.

- Dziękuję - rzekła Stefcia z prostotą i odeszła do grupy młodej księżnej, panny Rity i Trestki.

Morykoni patrzał na narzeczoną ordynata coraz bardziej zdziwiony. Jej uroda, wytwor-ność, sposób mówienia, każdy ruch zachwycał hrabiego. Stefcia przedstawiła mu się w zupełnie innym świetle niż dawniej.

- Quelle noble fille! quelle enchantresse! [Jaka szlachetna panna! Jakaż to czarodziejka!

] - powtarzał sobie, nie wierząc własnym oczom.

Na pana Rudeckiego także patrzał niedowierzająco. Takich przeciętnych obywateli wyobrażał sobie jako mamutów - tu ujrzał zupełnie światowego człowieka i kręcił rozdzieloną głową, jakby podejrzewając, że pan Rudecki ucharakteryzował się odpowiednio.

Przy wieczerzy Stefcia siedziała naprzeciw hrabiego, nieustannie widząc jego wypukłe niebieskie oczy oszklone binoklami; wpijały się w nią jak dwa świdry. Rozmowę przy stole prowadzono ogólną, bardzo ożywioną. Stefcia odzywała się dużo i dobrze, mówiła z życiem i swobodnie. Jej oczy świeciły gwiaździście, usta pociągały. Zachwyt hrabiego nie miał granic. Ta Rudecka robiła wrażenie patrycjuszki!

Waldemar widział podziw Morykoniego, malujący się w jego oczach. Zadowolony z powodzenia narzeczonej, umyślnie rozmowę prowadził tak, aby Stefcia mogła dużo mówić. Nie wątpił, że potrafi wybrnąć z każdej kwestii. Brał już ją nieraz na próbę i przekonał się, że ma bystry umysł, dowcip i takt.

Podczas ostatniego dania Trestka rzekł, nie zwracając się wyłącznie do nikogo i jakby pod wpływem nagłej myśli:

- Najobrzydliwszą wadą naszego wieku jest flirt. Gilotynowałbym go, miażdżył - to mój

wróg zapamiętały!

Panna Rita zaśmiała się.

- A sam go pan uprawiasz - rzekła z przekąsem.

- Ja? Chyba pani żartuje? Gdzież są dowody?

- Zapewne! tu ich pan nie przywiózł, pozostały za granicą.

- Czy pani miała tak ścisłe informacje o moim sprawowaniu się tam?' - zapytał zły. Wszyscy się roześmiali. Rita wzruszyła ramionami.

- Och! mało mię to obchodzi! Staję tylko w obronie flirtu.

- Bo go pani adoruje.

- Nie, ale go lubię.

- Występny chwast, stworzony przez jakiegoś demona...

- Tylko przeniesiony do nas z dworów Ludwików francuskich - odezwała się wesoło Stefcia - bo tam chyba został wynaleziony.

- Przez upudrowane głowy markizów i vicomtów - wtrącił Waldemar.

- Albo przez kwiaciarki uliczne i roznosicieli gazet - rzekł Trestka i machnął ręką.

- Ależ panie! flirt jest wytworem salonów, nie ulicy - zaprzeczyła Stefcia. Hrabia Morykoni bystro popatrzył na nią, przechylił się przez stół i zapytał:

- Więc pani uważa flirt za wykwit cywilizacji?

- Po części tak.

- Na jakiej zasadzie?

- Bo ludzie prości nie znają flirtu ani z nazwy, ani w dosłownym znaczeniu. Nie mają zresztą czasu na uprawianie go, nawet by nie umieli.

- Dlaczego? Gmin ma również swe zabawy, zbliżone do naszych.

- Zbliżone, lecz nie w szczegółach.

- Więc podobne.

- Ale nie nasze.

- Zasadnicza idea ta sama - twierdził uparcie hrabia. Stefcia nie ustąpiła.

- Panie hrabio, i polna róża jest różą, lecz nie sztamową. Tu już pomijamy zasadniczą ideę, bo bardzo wyraźnie występuje różnica kolorytu, gatunku i smaku. Dlatego twierdzę, że ludzie prości bawią się szczerzej od sfer inteligentnych, lecz nie posiadają ogłady, będącej cechą salonów. Oni mają etykę odrębną, znamienność, jaka ich różni od wytworniejszych objawów cywilizacji.

Stefcia mówiła swobodnie tonem lekkim i dźwięcznym. Hrabia uważnie patrzył na nią spoza zmrużonych powiek. A Trestka rzekł:

- Cała nasza wytworność ginie wobec szczerości, jaką te masy posiadają, a my nie. U nich przynajmniej w sprawach erotycznych nie ma kłamstwa, wykrętów, słodkich minek i wywracania oczu.

- Trestka ugodzony jakimś sztyletem, pewno zazdrości - rzekł ordynat.

- Ja tylko mówię, że te cechy są ich zaletą, nie wadą.

- A któż to nazywa wadą? - zdziwiła się Stefcia. Morykoni wyręczył Trestkę:

- Pani, ponieważ uważa szczerość za brak kultury.

- Nie zrozumiał mię hrabia. Cywilizacja nie może wyłączać szczerości, tylko osłabia ją do pewnego stopnia, zmiękcza niejako jej chropowatość.

Hrabia poprawił bokobrody.

- Przypuśćmy, że tak. Ale i oni nie są już absolutnie wyzuci z cywilizacji.

- O tak! lecz oni są zaledwo odziani w nią.

- A my?

- My już ubrani, często ustrojeni.

- A najczęściej udekorowani - rzucił Trestka.

- I to bywa! Ci, co są udekorowani cywilizacją, noszą jak pióropusz, na widoku - dla świata jedyni, w rzeczywistości są czasem bardzo pierwotni. Ale taki machiawelizm zdarza się w sferach wyższych, nie wśród ludu. U nich ten wyraz inną nosi nazwę, i do innych go okoliczności zastosowują. Tak samo to, co my nazywamy flirtem, u nich zwie się...

- Smaleniem cholewek - zaśmiał się Waldemar.

- Bałamuctwem - dodała Stefcia.

- Nie widzę w tym różnicy - rzekł hrabia.

- Bo to grunt jednaki, tylko kwiaty różnych odcieni i nazwa; tam pożyczona z obcej gwary, a tu właściwa.

- Wracam do rzeczy - zaczął znowu Morykoni. - Więc pani sądzi, że odporność ich w przyjmowaniu kultury jest winą ciasnoty mózgów, jakie posiadają?

- I winą kultury. Tu są równe prawa. Ciasnota ich pojęć nie pozwala światu rozszerzać się, a kultura jest jeszcze zbyt umiejscowioną, nie dosięga do wielu ciemnic.

- Umiejscowioną? Gdzie?

- W uprzywilejowanych kołach.

- Dlaczego?

- Bo skąpo płynie na inne... niższe.

- Pani mówi o sferach?

- Nie, ja mówię o dwóch biegunach: o inteligencji i pospólstwie.

- Więc na bardziej subiektywny rozbiór pani się nie zgadza?

- Owszem, ale tu różnica już jest mniej wyraźną.

- Przeciwnie! bywa jaskrawą.

- Gdy odróżnia przeciętną inteligencję od wyższego rozumu i geniuszu.

- Niekoniecznie. Istnieją jeszcze inne odmiany.

- Zawsze umysłowe.

- I sferowe także.

Pan Rudecki drgnął niespokojnie. Zaległo milczenie. Hrabia wpił oczy w Stefcię ze złośliwym wyrazem. Ona zapłonęła.

- Odstępujemy od przedmiotu, panie hrabio - rzekła z nikłym uśmiechem.

- Tylko roztrząsamy go.

- Ach! więc sferą pan określa pewne stopnie umysłu - tak?

- Nie, zestawiam jej znaczenie w zakresie klasyfikacji społecznej.

- A zatem przedmiot wikła się.

- Z jakiego powodu?

- Bo stopniowanie wyżyn sferowych nie równa się stopniowaniu różnic umysłowych. To już są dwie alternatywy o całkiem odmiennym brzmieniu i znaczeniu.

- Pani chce przez to powiedzieć, że pomiędzy przeciętną inteligencją a sferą... wyższą nie ma żadnych intelektualnych wypukłości? Czy tak?

- Nie ma znamiennych wypukłości, które by już tworzyły skalę

przeważającą na tę lub drugą stronę. Ale nie mówię: żadnych, bo różnice są - sporadyczne, zdarzają się i tu, i tam w równej mierze. Tylko nie tworzą muru dzielącego obie sfery z przewagą dla wyższej.

- Jednak, w pani mniemaniu, która z obu sfer posiada szansę większego uzdolnienia i częściej przechowuje genialne umysły?

Hrabia powiedział to z ironią źle ukrytą i z miną satyra. Nie uważał zimnego wzroku Waldemara ani zdumionych spojrzeń obecnych osób. Chciał koniecznie zmieszać Stefcię. Patrzał na nią szyderczo, zapominając, że igra z ordynatem, i powtórzył pytanie:

- Którą sferę uważa pani za najbardziej rozwiniętą umysłowo, etycznie i estetycznie? -rzekł z akcentem.

Stefcia, zarumieniona, podniecona rozmową, uśmiechnęła się z przymusem. Ale nie dając poznać po sobie przykrości, podniosła oczy wprost na jego binokle i odrzekła swobodnie.

- Panie hrabio, mój sąd mógłby być zbyt jednostronny dla sfery, z której pochodzę, a przedwczesny dla tej, do której mam wejść, zatem pytanie pańskie zostawiam do jego własnego uznania.

Przy ostatnich słowach skinęła lekko głową i zwróciła się do siedzącego obok Waldemara, zakończając w ten sposób rozmowę z hrabią.

Ordynat był uszczęśliwiony. Przeszył hrabiego ironicznym wzrokiem i spojrzał na narzeczoną. W źrenicach jego znikły groźne światełka, a mignęło wzruszenie.

Takt Stefci ujął wszystkich.

Obie księżne, pan Maciej, pan Rudecki, nawet książę Franciszek patrzyli na dziewczynę z uznaniem. Niechęć skierowała się na hrabiego. Jego żona, czując to, była jak z lodu.

Hrabia obrażony, zły nie odzywał się więcej, tylko spod binokli rzucał na Stefcię jadowite spojrzenia, ale i sam w duchu ją podziwiał. Spoglądając na nią, jak rozmawia wesoło z ordynatem i Brochwiczem, bladł z irytacji. Lecz drażniła go najwięcej komicznie zadowolona mina panny Rity. Błyszczące szkła Trestki w czarnej oprawie również nie dawały mu spokoju. Rzucały w binokle hrabiego pociski ironii i śmiechu.

Gdy powstano od stołu, hrabia poszedł do fajczarni. Tam, rozłożony wygodnie na tureckiej sofie, palił cygara i rozmyślał o Stefci, zastanawiając się, czy ona jest piękniejsza, czy dowcipniejsza? W końcu przyznał jej wszystkie zalety prócz nazwiska i zawyrokował:

- Gdy zostanie Michorowską, będzie damą bez zarzutu. Ordynat miał dobry gust.

## XXII.

Szary wieczór marcowy spłynął na zamek. Przykrył wyniosłe baszty, zmącił rysunek wieży i wtłoczył się do wnętrza gmachu. Niektóre tylko okna odepchnęły go smugą elektryczności, większość uległa ciemnej masie. Razem

z nocą runęła wichura, wlokąc ponure szmaty chmur. Pierwszy deszcz, pomieszany z kaszą śniegową, zaczął ciąć w szyby okien. Zmurszały śniegi; wiatr je miótł, siekły dżdżyste baty. Przeraźliwy gwizd zajadle obiegał blanki zamkowe, bił wściekłą muzyką. Grzmot drzew parkowych, tłuczących się z szalonym hukiem koronami, akompaniował głuchym basem dętym instrumentom wichru. Marzec rozpoczął wojnę z zimą. Darł ją zębami, szarpał za białe włosy, wgryzał się w jej kożuch. Wypierał zimę całym zastępem wietrznych siepaczy, prażył ją bez miłosierdzia kolącą sieczką deszczu.

Zmagały się żywioły. Jęk chłostanej zimy i straszliwe pułki Boreasza... Z rozwiązanymi sztandarami, z piorunem salw, z okrzykiem zwycięzców spychali z tronu gronostajową królowę, obnażali ją, druzgocąc jej koronę. Wpływ ich dowódcy działał potężnie. Marzec pokazał, co umie, rozpanoszył się z gwałtowną siłą.

I lustrzany gabinecik Stefci zanurzył się w pomroce. Żółty atłas obicia przybrał kolor popiołu. Na lustrach wieczór pełzał, niszcząc ich blask. Wyglądały jak lśniące wilgocią ściany.

Stefcia grała. Po klawiszach z konchy perłowej ślizgały się jej delikatne palce z nerwową gorączką. Roztopiona w mętach pokoju postać dziewczyny rysowała się nikle. Bogata harmonia tonów szła w zawody z żywiołową orkiestrą natury.

Stefcia była niespokojna o narzeczonego: wyjechał do dalszych folwarków i jeszcze nie wrócił. Dzikie odgłosy rozhulanej słoty drażniły Stefcię. Uciekła od towarzystwa i razem z pianinem rzucała w przestwór szeroką falę uczuć. Grała własne fantazje wysnute nastrojem chwili. Stopniowo pod siłą myśli i nerwów tony stawały się głębsze, aż rozbrzmiały fanfarą melodyjną i pełną życia. Kapryśne rzuty jej rąk ciskały szumne wariacje, oryginalne przejścia z tęsknic bezmiernych do zwichrzonej młodzieńczej namiętności. Z szałem idącym w krew dźwięczały nuty, opadając znowu w ciche pianissima. Natchnienie duszy Stefci, wylane na klawisze, rzeźbiło w powietrzu przepiękny posąg jej szczęścia, aż do wypukłej wyrazistości, cieniowało każdą linię, każdy rys. Utwór grany przez nią wyfruwał z jej nerwów, gdyż tam był poczęty. Stefcia rozmotywała złote runo muzyki, którą nosiła w swej naturze. Tą muzyką pulsowały jej młode żyły i w gęstym promieniu oprzędły wszystkie fibry i arterie serca.

Po burzliwym przelocie ostatnich dźwięków umilkła. Ręce jej zwisły na suknię. Siedziała minutę nieruchomo, zasłuchana w echo własnej pieśni. Nagle zerwała się z krzesełka. Nowy atak spazmującego wichru i ciemność pokoju przenikły ją strachem. Podbiegła do ściany i przekręciła korbkę elektryczną. Blask wpadł olbrzymią różycą, buchnął z lustra morzem światła, obudził kwiaty, złotem drgnął na ścianach. Stefcia pod palmami zawołała z wybuchem radości:

- Pan tu?!...

- Słuchałem twej muzyki - rzekł Waldemar, odrywając się od złotawej

kotary osłaniającej drzwi.

Podszedł blisko. Stefcia podała mu ręce.

- Byłam tak niespokojną...

- I czego? Deszcz mię nie straszy, a zyskałem na tym; grałaś tak, jak dawno pragnąłem usłyszeć. Cudownie! Czy byłabyś zdolną to powtórzyć?

Uśmiechnęła się.

- Wątpię! To było moje pożegnanie Głębowicz. Taki prąd przejdzie i minie. Podobał się panu - to dobrze! Grałam dla siebie.

- Zagrasz mi na powitanie Głębowicz, gdy już wrócimy tu na stałe. To dzisiejsze to jakby

niwy zaporskie, gdy śpiewają cicho teorbany, dźwięczą dzidy i buńczuki. Brzmiała tu i melodia tęskna, i głośna wrzawa kozacka. Moja ty artystko!... myślałaś o mnie grając?

- Tak, i o szczęściu - szepnęła Stefcia. - Myślałam, że ponieważ to kwiat bardzo rzadki w olbrzymiej plantacji pospolitych szczęściarek, więc niesłychanie trudno go zdobyć, a my go już posiadamy. W masie różnorodnych kwiatków znaleźliśmy wspaniały kielich, prawda? - i nie zawiedzie nas.

Przycisnął jej dłonie do ust.

- Bo potrafimy go pielęgnować, a to rzecz ważna. Szczęście ma płatki delikatne, trzeba je otulać w sobole i gronostaje. Można i w prosty kożuch, byle ciepły, byle żadną szparką nie sączył się chłód. Temperaturę można podnosić, aby nie opadła.

Ordynat objął ramieniem narzeczoną i przygarnął ją do siebie.

- Myślałem niegdyś, że największym bogactwem i warunkiem do szczęścia jest rozum, a ubóstwem - nędza umysłowa. Teraz powiem z dopełnieniem: największym szczęściem w życiu jest miłość, młodość i rozum. To są oceany - reszta wszystko źródełka!

Stefcia patrzyła głęboko w płomienne oczy narzeczonego, przysłonięte lekko powiekami. Ufność serdeczna wiała z jej fioletowych źrenic i duchowe oddanie się ukochanemu.

- Czy wierzysz w te trzy potęgi? - spytał cichutko, zbliżając usta do jej skroni.

- Tak, i podziwiam ich siłę. One istotnie mogą zwalczyć świat.

Waldemar chciał ją ucałować, ale wyrwała się i szła do drzwi, mówiąc trochę zdyszanym głosem:

- Chodźmy na dół. Już wielki czas.

Waldemar wzburzony poszedł za nią. Blisko wyjścia przekręcił drugą korbkę elektryczną w ścianie.

Światło zgasło.

Stefcia krzyknęła. On gwałtownym ruchem chwycił ją w ramiona, przegiął jej głowę w tył i stłumionym szeptem mówił, pochylony nad nią:

- Nie wyrywaj mi się nigdy! Słyszysz? Tyś moja! moja!...

Głos mu zadrgał chrapliwie, ramiona cisnęły ją z konwulsyjną mocą.

Stefcia zadygotała. Jego szał przeraził ją. Czuła, że omdlewa w jego uścisku i w tej czarności pokoju.

- Waldy... mój... tyś dobry - szepnęła z błaganiem, to jedno znajdując na swoją obronę.

Uderzony dźwiękiem jej słów, Waldemar puścił ją natychmiast i rozjaśnił pokój.

Stefcia wyprostowała się, ręce podniosła do głowy, poprawiając włosy. Rzęsy miała

spuszczone i krwiste rumieńce.

Ordynat położył dłoń na jej ramieniu. Rzekł z uczuciem:

- Rozbroiłaś mię! mój ty cudzie jedyny!... Daj mi usta na dowód, że mi wierzysz...

Cichym ruchem z ufnością i promieniem w oczach, błyszczących jak pasemko słońca,

przesunęła do niego uśmiechniętą twarz. Gorąca pieszczota ust, choć krótka, upoiła ich. Ocknęli się i wyszli razem na oświetlony korytarz.

Marcowe roty wietrznych zawadiaków przewalały się nad zamkiem. Brzęczały żałośnie szyby okien od gęstych plag szarugi.

# XXIII.

Na drugi dzień pan Rudecki z córką wyjechał z Głębowicz. Wkrótce potem wielki post zgromadził całe towarzystwo w Warszawie. Obie księżne przyjechały tam dla modlitwy, Stefcia z rodzicami dla robienia wyprawy, Waldemar dla Stefci. On przywiózł i pana Macieja. Do stolicy ściągnął Trestka i książę Franciszek. Brochwicz był już tam od dawna.

Pani Rudecka zrobiła dobre wrażenie, podobała się księżnej za swój spokojny takt i nie-narzucanie się ich sferze. Przy tym pełen szacunku stosunek Waldemara do przyszłej teściowej zjednał dla niej księżnę. Pan Maciej stawał się dziwnie zmieszany wobec pani Rudeckiej. Świadomość, że ona jest córką tamtej, wzruszała go, jednocześnie odczuwał nieokreśloną trwogę. Pani Rudecka odgadła powód i z wrodzoną delikatnością umiejętnie łagodziła jego wrażenia. Jednakże zupełnej swobody między nimi być nie mogło. Z powodu wielkiego postu odbywały się tylko poufne zebrania w ścisłym kółku znajomych. Na większe rauty księżna i pan Maciej nie uczęszczali. Stefcia również, instynktem wiedziona, nie chciała pokazywać się arystokracji w roli narzeczonej. Waldemar, bojąc się dla niej najdrobniejszej przykrości, nie nalegał. Na dnie przyjęć zabierał ją zwykle w towarzystwie młodej księżnej, która matkowała Stefci.

Państwo Rudeccy woleli pozostać na uboczu.

Stefcia miała całe dnie zajęte, często drobne sprawunki załatwiając z panną Ritą. Towarzyszył im Trestka.

Nadzieje hrabiego wzrosły. Panna Rita sprzyjała mu więcej niż zwykle. Żal do Stefci zacierał się w niej stopniowo, tylko patrząc na miłość Waldemara

doznawała napadów melancholii, smutnej, lecz już pełnej rezygnacji.

W pewnym dniu przyjęć u księżnej spotkała Stefcia pierwszy raz od jesiennych polowań hrabinę Ćwilecką i jej córki. Dumna hrabina chciała zaznaczyć swą niechęć, lecz obecność ordynata i księżnej uniemożliwiała popełnienie jakiegoś nawet dwuznacznego ruchu, nie mówiąc już o słowach. Podały sobie ręce sztywno, lecz grzecznie. Panna Paula, narzeczona barona Weyhera, szczerzej uścisnęła rękę Stefci i nazwała ją wesoło koleżanką. Wszyscy mężczyźni, którzy znali Stefcię poprzednio, mieli teraz dla niej żywy podziw z powodu, że została narzeczoną ordynata. Uważano ją za fetyszkę, gdyż wybredny gust Waldemara znanym był powszechnie.

W szeregach męskich podziwiających Stefcię nie znalazł się tylko Barski. Razem z córką odsunięty od bliższej rodziny ordynata, jedynie księżnej składał czasem konieczne wizyty, bardzo ceremonialne.

Hrabianka Melania spotykając ordynata okazywała mu majestatyczny chłód. Starających się miała mnóstwo, ale jeszcze nie mogła się zdecydować. Po wielkich nadziejach na ordynata niełatwo jej było wybrać kogoś stosownego. Największe widoki posiadał książę Zaniecki, chociaż miał ogromne długi, lecz okraszone tytułem. Mówiono powszechnie, że hrabianka czeka na jakąś nieprzewidzianą partię, że chciałaby zjednać na nowo księcia Lignickiego. Tymczasem zaręczyła się z Zanieckim, ale nie lubiła, gdy o tym głośno mówiono.

Hrabianka, wychodząc raz od Hersego, ujrzała młodą księżnę Podhorecką i Stefcię, wysiadające z karety ordynata. Księżnej ukłoniła się, Stefci udała, że nie widzi. Jednak dobrze spostrzegła jej postać w eleganckim wiosennym kostiumie z granatowego sukna z szynszylami i w malutkim toczku, zgrabnie zdobiącym jej sobolowe włosy.

Gdy szwajcar z ukłonem otwierał drzwi, hrabianka, stojąc na chodniku, zaśmiała się ironicznie przykrym, zdławionym śmiechem. Księżna i Stefcia, już w drzwiach, odwróciły głowy. Wyzywająca postawa hrabianki, jej oczy, pełne złości, brzydkie skrzywienie ust, czyniły ją potworną. Była w tej chwili uosobieniem najwyższej nienawiści.

Stefci szalona przykrość sprawiała ból nieznośny. A księżna rzekła dość głośno:

- Imbecile! - Głupia!

I zaczęła uspokajać wzburzoną dziewczynę.

Księżna Krystyna Turyńska inaczej objawiała swój zawód miłosny. Usunięta zupełnie z życia towarzyskiego, nieznacznie starała się zobaczyć Stefcię. Ujrzawszy ją na koncercie w Filharmonii i drugi raz na spacerze w Łazienkach, księżna zastanowiła się.

- Nic dziwnego, że ona go zachwyciła - szepnęła do siebie z goryczą.

Długo potem, stojąc przed zwierciadłem, porównywała swą wyzywającą piękność hetery z uroczą postacią młodej narzeczonej i odczuła własną porażkę.

Wpatrując się z bliska w fotografię Stefci, badając wyraz jej twarzy, głębinę

oczu, księżna Krysta doszła do stanowczego wniosku:

- To nie przebiegła kokietka, to śliczna dusza dziewczęca. Kocha w nim Waldemara, nie ordynata na Głębowiczach.

I rzekłszy to sobie, przestała nienawidzieć Stefcię.

Żal za Michorowskim wybuchał w duszy księżnej z tragiczną siłą. Tłumiła go, rozumiejąc, że piękny romans, słabnący już od paru lat, musiał się skończyć. Dawne nadzieje poślubienia ordynata prędko zbladły. Księżna była zbyt inteligentną, aby się łudzić, ale wolała pozostać rozwódką, bez zmiany stosunków z ordynatem, niż żoną innego. Księżna nie pisała do Waldemara rozpaczliwych listów, tylko w jednym prosiła go, aby ją odwiedził. Ordynat nie zawahał się; pomimo wszystko cenił księżnę za jej odrębną etykę. W jego pojęciu stała nieskończenie wyżej od margrabiny Silva i kilku innych zagasłych ogni przeszłości. Odwiedziny jego u księżnee Krysty nie trwały długo. Ordynat zachował się względem niej z wytworną uprzejmością, rysując jednocześnie w delikatnych liniach swój obecny i już niezmienny dogmat. Księżna z przerażeniem spostrzegła, że Michorowski przeciął ostatnie nici. Zalana łzami, potrafiła jednak zręcznie zastosować się do konieczności. Ordynat nie lubił scen i księżna mu ich oszczędziła.

Pożegnali się jak ludzie światowi, przyjaźnie i grzecznie, bez wzmianki o tym, co było, i bez życzeń na przyszłość. Księżna, ściskając dłonie ordynata, rzekła tylko:

- Porzuca pan małe stawki, a rozpoczyna... wielką grę. Wygrasz na pewno! Ale co do mnie, chciałabym należeć do tych natur... najszczęśliwszych, na których przejście z tęczy do mgły nie robi wrażenia.

Ordynat pocałował ją w rękę.

- Niech pani nie zazdrości glinie, że robią z niej lalki.

Od księżnej Krysty Michorowski pojechał wprost do narzeczonej. Stefcia wiedziała o tych odwiedzinach, gdyż Waldemar uświadomił ją o dawnych stosunkach kawalerskich. Dla księżnej Turyńskiej miała sympatię i pewne współczucie.

Gdy rozeszła się wieść po salonach, że księżna wyjechała do Hiszpanii, towarzystwa żądne wrażeń darować jej nie mogły tej niesłychanej uległości.

Księżna zrobiła przykry zawód głównie paniom, zamykając drzwi do oczekiwanego przybytku plotek.

## XXIV.

Pewnego wieczora przed gmach Opery zajechała pomiędzy innymi kareta ordynata. Wysiadła księżna Podhorecka, pan Maciej, Stefcia i panna Rita. Ordynat z Trestką przyjechali najpierw. Stefcia, opatulona w białym płaszczu, ledwo była widoczną z obsłon gazowego kapturka.

Gdy weszli do własnej loży ordynata, w sali panował mrok. Za chwilę miano podnieść zasłonę. Stefcia siedziała w środku pomiędzy księżną i panną Ritą, za nimi pan Maciej, ordynat i Trestka. Orkiestra kończyła grać uwerturę.

W przyćmionej sali ciszę mąciły szmery sukien kobiecych i szepty rozmów.

Zasłona podniosła się. Grano polską operę Hrabinę.

Stefci serce biło mocno, trochę niespokojnie. W półmroku ujrzała naprzeciw Barską z ojcem i z jej damą do towarzystwa. Za hrabianką siedział Zaniecki. Wszystkie loże przepełniała arystokracja. Byłże to przypadek czy też Waldemar umyślnie wybrał dzisiejsze przedstawienie? Stefcia odgadła, że musiało tak być, bo Waldemar ze szczególną starannością oglądał ją, gdy wyszła ze swego pokoju ubrana do teatru. Miała suknię z białej gazy, wdzięcznie przybraną złotą tasiemką. We włosach złota przepaska. Przy gorsie pęk fiołków z seledynową trawą, zresztą żadnych klejnotów. Waldemar obejrzał ją i uśmiechnął się radośnie: wyglądała prześlicznie. Wręczył jej wielką wiązankę storczyków, sam otulał w płaszcz i w kapturek. Z pewnością wiedział o zebraniu arystokracji w teatrze. Czy to źle, czy dobrze? Stefcia czuła się roztargnioną. Słuchała śpiewu Broni, patrząc na grających artystów jakby sennie.

Waldemar to zauważył.

Pochylił się do niej i szepnął:

- Jesteś niespokojna. Czy mogę wiedzieć powód?...

Odchyliła głowę i rzekła cicho:

- Niech pan patrzy... - wszystkie loże przepełnione.

- Widzę, arystokracja przelewa brzegi. Ale cóż nas to obchodzi?

Stefcia spuściła oczy.

- Czy to cię dręczy?

- Tak - odrzekła szczerze. Nie umiała przed nim nic ukrywać.

Waldemar wziął ją za rękę.

- Czego się niepokoisz? Umyślnie chciałem, aby cię zobaczyli razem ze mną. Wiecznie starasz się ukrywać. To niepodobieństwo! Za dwa miesiące nasz ślub. Powinni cię widywać częściej. Jesteś zbyt czarująca. Niech cię podziwiają. Pod tym względem nie jestem zazdrosny.

Stefcia uśmiechnęła się.

- Uważajmy na scenę. Niech pan patrzy: Hrabia ogląda strój Diany.

- Nie będzie piękniejszą od ciebie.

- Ale jak gra! jaki głos! jest nadzwyczaj dystyngowaną, prawda?

- Bardzo dobrze odtwarza typ arystokratki z początku stulecia. Ale uważa pani? oni dochodzą do celu.

- Kto?

Waldemar ściągnął brwi i usta.

- Cicho! zakochana para obok nas - szepnął jej do ucha.

Jego wąsy musnęły Stefcię w skroń. Drgnęła, poczuła ogień w żyłach, różowość oblała jej twarz i szyję do pęku fiołków. Waldemar pochłaniał oczyma te łuny, rozlewające się delikatnie a wyraźnie. Aksamitne płatki kwiatów błysnęły jaśniej na różowym podkładzie. Jemu zadrgały nozdrza, oczy zdawały się gorzeć; namiętne cienie mignęły mu na twarzy, usta zaciął jakby z nadmiaru pożądania. I wchłaniał subtelny, a ledwo wyczuty zapach

perfum, które

sam dla niej wybrał, i gniótł w nerwowej dłoni wachlarz Stefci. Ogarniał go szał jakiś. Widział, jak ciemnozłote loczki wiły się na pięknym karku, jak pierś dziewczyny opadała szybko, jak jego bliskość czyniła na niej podniecające wrażenie. Patrząc na ciepły, różowy ton jej ciała w zorzy rumieńca, szepnął przez zaciśnięte zęby:

- Obiecujący płomień!

Stefcia zaróżowiła się jeszcze silniej.

- Rozkoszna moja!

Wtem spadła zasłona.

Waldemar oprzytomniał. Stefcia, mrużąc oczy z powodu mnóstwa świateł, spojrzała na Ritę i Trestkę. Zauważyła, że i oni są pod jakimś wrażeniem.

Nagle zaszumiało w teatrze. Publika wstawała z krzeseł. W lożach mieniło się od czarnych fraków wchodzących i wychodzących panów. Orkiestra zaczęła grać.

- Jesteś pod pręgierzem spojrzeń - rzekła księżna do Stefci.

Dziewczyna zmieszała się, wzięła z poręczy loży bukiet storczyków i przysunęła go sobie do ust.

Nachylił się nad nią Waldemar.

- Jedyna moja, patrzą na ciebie. Bądź odważną.

Stefcia uśmiechnęła się do niego. Uczuła nagły przypływ energii.

- Dobrze, będę odważna.

- Złota moja!

- Spójrzcie państwo na drugi rząd krzeseł - szepnęła panna Rita - ktoś znajomy, ten ładny młodzieniec z kwiatem w butonierce.

Stefcia i Waldemar spojrzeli we wskazanym kierunku. Ona cofnęła się natychmiast.

- Prątnicki! - rzekł Waldemar.

- Gdzie? gdzie? - pytał Trestka wychylając głowę.

Panna Rita wskazała mu go wzrokiem.

- Poznałam go od razu, ale on nas jeszcze nie widzi, lornetuje amfiteatr. Wyobrażam sobie jego minę...

- Dozna wrażenia, jakby mu teatr leciał na głowę. Une belle chance! - dorzucił Trestka.

- Dajcie mu państwo spokój - rzekła Stefcia.

Panna Rita mówiła, gryząc w zębach paproć z bukietu:

- Zdetonuje się biedak na widok byłego szefa, z którym mu się notabene bajecznie nie udało.

Waldemar wzruszył ramionami.

- Panna Stefania ma słuszność. Zostawcie go własnym wrażeniom. Miłe nie będą mu z pewnością.

Lornetka Prątnickiego, zsuwając się z amfiteatru, zatrzymała się na loży ordynata.

Strojny młodzieniec zadrżał, lornetkę odjął od oczu, spojrzał nie wierząc

samemu sobie i poczerwieniał jakby po wymierzonym policzku.

Stefcia! wyraźnie Stefcia! w otoczeniu arystokracji, którą znał, a za nią sam ordynat!

Teraz dopiero Prątnicki zauważył, że wiele osób patrzy na tę lożę, usłyszał szepty. Odruchowo sam zapytał swego sąsiada, jakiegoś młodego jegomościa:

- Przepraszam pana, ale... kto to jest?

- Pan nie wie? To narzeczona ordynata Michorowskiego. Zaręczyli się w karnawale. Śliczna, co?

Prątnicki osłupiał.

Więc pogłoski sprawdziły się? Długi czas nie wierzył w nie. Z ojcem nie korespondował i nic nie wiedział o zajściach w Ruczajewie. Był tak zdumiony i ogłupiały, że przez chwilę stał jak słup. Trestka uważał na każdy jego ruch i zaczął się cicho śmiać.

Wtem Prątnicki spotkał wzrok ordynata.

Otrzeźwiał. Wziął kapelusz udając brawurę i bardzo czerwony wyszedł z krzeseł.

W środkowym przejściu naprzeciw loży ukłonił się z wielką elegancją całą figurą. Wszyscy w loży skinęli mu głowami uprzejmie, lecz bez uśmiechu, jak się kłania komuś, z kim stosunki nie są pożądane. Tylko Trestka miał komiczną minę. Prątnicki, oblany warem, mocował się, ale wyszedł z podniesionym czołem.

W loży więcej o nim nie mówiono.

Waldemar nachylił się do Stefci.

- Wychodzę odwiedzać znajomych. Może przynieść paniom chłodników?

- Ja dziękuję - odrzekła Stefcia.

Ordynat z Trestką wyszli. Stefcia zaczęła otwierać białe atłasowe pudełko z cukierkami, ofiarowane jej przez narzeczonego.

Odzyskała już swobodę, rozmawiała z księżną i panem Maciejem nie uważając na lornetki, skierowane na nią ze wszystkich stron. Księżna cieszyła się z jej powodzenia, sama rozkoszując się jej widokiem.

Panna Rita milczała, cofnięta w głąb loży. Ubrana w wygorsowaną suknię, wachlowała się sennym ruchem, nie zwracając uwagi na pełne loże szumiące na dole krzesła. Cukierki od Trestki leżały na jej kolanach nie otworzone. Żuła pralinkę z pudełka Stefci.

Ich loża zaczęła się również napełniać. Najpierw zjawił się Brochwicz.

Wołał wesoło:

- Cóż Hrabina? Jest na wysokości swego zadania, nieprawdaż? Znakomita obsada! Proszę o czekoladkę, panno Stefanio... Merci... Co za pyszne storczyki! A suknia! a! a! cudowna! Pani jest dziś atrakcją wszystkich lóż. A gdzież ordynat? Ach tak, odwiedza znajomych! Czy księżna zauważyła, że Zaniecki odgrywa już rolę narzeczonego? To zabawne! bo hrabianka toleruje go zaledwo.

- Podobno są po słowie.

- Ech! problematyczne!

Schylił się, wsunął głowę pomiędzy Stefcię i pannę Ritę i zaczął szeptać:

- Zaniecki to ostroga Melanii: chce nas nim ubość aż do krwi, ale się nie dajemy.

Brochwicz wyszedł, przywitawszy w drzwiach barona Weyhera z hrabią Ćwileckim. Loża ordynata wkrótce przepełniła się. Mur traków i białych gorsów tworzył doskonałe tło dla jasnej, żywej postaci Stefci. Rozbawiona, przyjmowała wesołe hołdy, rozmawiając z dowcipem i elegancko. Interesowała młodzież, zwracali się głównie do niej. Tych, których jej pan Maciej pierwszy raz przedstawił, zbywała chłodniej, lecz uprzejmie. Dziwnie potrafiła pogodzić wesołość i swobodę z taktem i znajomością najwykwintniejszych form towarzyskich. Mimo woli rozbrajali się pod jej wpływem ci, co przedtem patrzyli na nią z ukosa. Tylko Barski nie przyszedł, akcentując swą niechęć. Poszedł do hrabiego Mortęskiego i długo mu coś szeptał na ucho. Siwe kępki włosów nad uszami eksprezesa, wielkie piwne oczy i nos garbaty, wystający z twarzy - wszystko się kiwało, trzęsło, mrugało ze zgorszenia. Hrabia Barski nie próżnował w teatrze i umiał dobierać stosowne materiały do nici swych intryg, potrafił haftować nimi genialnie.

W loży ordynata zaszumiało koło drzwi i wesoły głos zawołał:

- Rozstąpcie się, panowie!

Czarne fraki rozsunęły się na dwie strony, środkiem wbiegła piękna hrabina Wizember-gowa, cała w koronkach, lśniąca brylantami. Towarzyszył jej niemłody mężczyzna.

Panowie ukłonili się, pan Maciej wstał. Hrabina witała wszystkich uprzejmie, usiadła na podanym sobie krześle i mówiła:

- Przyszłam odwiedzić księżnę. Zaledwo przed paru dniami powróciłam z zagranicy.

Księżna dziękowała, pan Maciej spytał o panią Idalię i Lucię.

- Zdrowe obie. Lucia przesyła tysiące ukłonów.

Zwróciła się żywo do Stefci, powtórnie podając jej rękę z miłym uśmiechem:

- Pani składami najlepsze życzenia. Ordynat był w mej loży. Zarzuciłam go życzeniami. Wyszedł rozczulony. Mój mąż znalazł panią cudowną. Mówi, że mu pani przypomina Grott-gerowskie typy. Biedna Lucia jest w rozpaczy, że nie może pani widzieć.

- Czy baronowa stale bawi w Nizzy? - spytała spłoniona Stefcia.

- Przyjechała do Mentony. W połowie maja wracają do kraju, może wcześniej.

- A gdzież jest mąż pani hrabiny? - zagadnął któryś z panów.

- W foyer. Zaraz tu przyjdzie.

Baron Weyher pogładził swe bokobrody.

- Mieliśmy kłopot z pani mężem. Chciał koniecznie jechać po panią na Riwierę.

Hrabina zaśmiała się.

- I wstrzymaliście! Zatem winnam wdzięczność panom. Za długo

podróżowałam. Mój mąż był zdenerwowany.

Spojrzała na Stefcię rozbawionymi oczyma.

- Pani się zapewne dziwi? Istotnie prosiłam tych panów, aby zabawili mojego męża w Warszawie. Zepsułby mi całą zabawę na Riwierze.

Księżna pogroziła palcem wesołej hrabinie..

- Ach, ty niepoprawny trzpiocie! zawsze jesteś taką samą.

- Proszę cioci, wolę otwarcie się oskarżać. Nie chciałam mieć go z sobą.

- I stało się podług życzenia pani - wtrąciła wesoło Stefcia. - Czy bawiła się pani istotnie dobrze?

- Doskonale! Wydałam bajońskie sumy, wariowałam! Ordynat mi powiedział impertynencję, że pomimo świetnych zabaw wyglądam, jakbym była desillusionnee - rozczarowana. Mówi, że w moim śmiechu brzmią jakieś zgrzyty. Po części zgadł, ale... jestem na niego zła.

Zaśmiała się do pana Macieja:

- Wnuk pański jest nadzwyczajnym obserwatorem, zauważył od razu dysonans w mee pozornej harmonii.

- Nasza Syrena panią nastroi na lepszy ton - rzekł jeden z panów.

- Wątpię! Mnie nastroić może tylko dobry mistrz, a obecnie nasz high life już... nie posiada go.

Przy tych słowach piękna pani błysnęła wesoło oczyma na panów, którzy udawali, że mają obrażone miny.

Gdy hrabina wyszła, Stefcia wzrokiem zaczęła szukać narzeczonego. Był właśnie u Ćwileckich.

Z radością patrzyła na jego śmiałe, eleganckie ruchy, na pewność siebie i wytworne zaniedbanie, cechujące go zawsze. W czarnym fraku, smukły, zgrabny, w postawie swej nosił pana w każdej kropli krwi. Witany wszędzie mniej lub więcej szczerymi uśmiechami, pociągał oczy kobiet, drażnił nerwy zawiedzionych, porywał tajemniczym urokiem.

Gdy wszedł do loży Barskich, hrabianka z wymuszonym uśmiechem podała mu rękę i natychmiast zagadała o scenie, jakby bojąc się innej rozmowy. Wtem jeden z panów otaczających hrabiankę rzekł z ukłonem:

- Panie ordynacie, proszę przyjąć moje życzenia. Wróciłem w tych dniach z Paryża i wcześniej nie mogłem powinszować panu.

Waldemar uścisnął mu rękę.

- Dziękuję.

Młody panicz mówił dalej.

- O zaręczynach dowiedziałem się w Paryżu, ale pańskiej narzeczonej nie jestem jeszcze przedstawiony, chociaż zachwycony. Une tres belle personne, tres distinguee! Osoba bardzo piękna i bardzo dystyngowana!

Waldemar ponad głową hrabianki spojrzał na Stefcię. Wyglądała porywająco. Była jak delikatny kwiat na czarnej masie fraków, otaczających ją ściśle.

Hrabianka Melania, czerwona z gniewu, spoglądała na przeciwległą lożę wzrokiem pełnym jadu. Powodzenie Stefci drażniło ją. Słowa młodego

księcia oburzyły.

- Kiedyż ślub? - syknęła ze złośliwym grymasem ust; miał to być śmiech uprzejmy.

- Za dwa miesiące.

- Potem w podróż zapewne? - rzekł młody książę z pochyleniem głowy i całej postaci, trzymając kapelusz w obu rękach zwieszonych na dół. Długą szyję wyciągnął ciekawie naprzód.

- Nie, lato mamy zamiar spędzić w Głębowiczach. Podróż projektujemy na sezon jesienny i zimę. Pożegnam państwa - rzekł ordynat kłaniając się.

Nerwowy, pełen złości ruch hrabianki przy podaniu ręki rozśmieszył Waldemara.

- Antagonistka! - szepnął do siebie w korytarzu.

Ordynat obszedł jeszcze parę lóż. Przy wejściu do własnej spotkał się z młodym księciem. Przedstawiony Stefci panicz złożył głęboki ukłon, po czym stał obok jej krzesła zawsze z cylindrem w obu rękach jak wieszadła spuszczonych, pochylony, z charakterystycznym uśmiechem na wygolonej starannie twarzy. Stefcię śmieszyła jego wysoka, chuda postać i zachwyt malujący się w oczach. Mówił jej grzeczności i widocznie podobała mu się bardzo.

Wychodząc, już w korytarzu, uścisnął rękę Waldemara.

- Winszuję! winszuję! niepowszednia uroda! Ordynat zawsze odnajduje gwiazdy.

Waldemar pożegnał go trochę niecierpliwie.

- Niech pan spieszy, już dzwonek, spóźni się książę.

- Bien, bien, merci! Dobrze, dobrze, dziekuję! Niepowszednia uroda... Spieszę... spieszę.

I pobiegł szybko, pochylony naprzód, z zapadłą piersią, długimi nogami i ogoloną głową młodego starca.

Rozpoczął się drugi akt. Prątnicki nie wrócił do krzeseł, wybrał sobie miejsce na galerii i stamtąd patrzał na Stefcię i ordynata. Doznawał dziwnych uczuć - przede wszystkim jakiegoś wstydu.

Ale nikt go nie widział z loży.

Stefcia teraz pilnie uważała na scenę, chociaż Waldemar często jej coś szeptał do ucha.

Księżna rzekła:

- Widzę, że nie bardzo zajmuje was sztuka. Może wasza lepsza. Słuchajcie śpiewu Hrabiny.

Rozległo się na scenie początkowe recitativo:

Suknio, coś mię tak ubrala, Jakby posąg w greckim stylu, Hołdy tylu, zawiść tylu Będę, będę dziś widziała.

Wiotka, efektowna postać artystki w stroju Diany cieniowała głos niesłychanie pięknie. Nagle popłynął śpiew:

Dźwięk dokoła, blask i woń, Płyną tęczą gazy, wstęgi, Błyszczą lustra... W dłoni dłoń, Już taneczne widzę kręgi, Już wir balu wszystko zlał W jeden

urok, w jeden szał.

Artystka rozlewała czyste, swobodne tony. Jak zawieja srebrnych kropelek sypały się dźwięczne gamy jej głosu. Szczerość i uczucie wiały z wysokich nut, którymi dziwnie umiała

modulować. Wszyscy słuchali w skupieniu.

Śpiew umilkł, posypały się oklaski.

- Ślicznie śpiewa - rzekła Stefcia.

Wtem oboje z Waldemarem usłyszeli szept Trestki:

- ...dlatego, że nie mam weny? Ale tyle lat, to stanowi moją siłę.

- To mię nie rozczula - odszepnęła panna Rita.

- Ale wzbudza ufność.

- Czy to wystarczy?

Waldemar z łobuzerskim uśmieszkiem zwrócił się do księżnej:

- Babciu, państwo Trestkowie są także niegrzeczni.

Stefcia trąciła go wachlarzem.

- Za wcześnie nas pan tak nazywa - odparła sucho panna Rita.

Ordynat rzekł do Stefci:

- Czy panią obraziłoby, gdyby nas teraz nazwano: państwo Michorowscy?

- Nie - odrzekła Stefcia z uśmiechem.

- A widzi pani? - mówił Waldemar do Rity.

- Wy jesteście narzeczeni.

- Zdaje mi się, że i wam złożymy dziś życzenia.

Trestka spojrzał na ordynata z wdzięcznością.

Waldemar ciągnął dalej:

- Niech pan uważa, jak się Dzidzi na scenie energicznie zachowuje. Niech pan bierze z niego przykład: on „Akteon wytrzymały”!

- Niech pan im nie dokucza - szepnęła Stefcia.

- Dobrze, już będę grzeczny.

Na scenę wjechał sztuczną łodzią okazały Podczaszyc w kostiumie Neptuna. Wołał tubalnym głosem:

Oj! coś trzeszczy wóz z tektury.

Dzidzi! każ no zwolnić sznury.

Bo będziecie mieć robotę,

Jak syrenę którą zgniotę.

- Niezrównany! - zawołał półszeptem ordynat.

Nastąpiła scena rozdarcia sukni. Hrabina robi wyrzuty Kazimierzowi.

- Podaje mu oszczep przeciw sobie - rzekł znowu Waldemar. - Suknia będzie tarczą, która ocali ułana od kokietki. Zdarza się tak często.

I przyszła mu na myśl rozmowa z hrabianką Melanią w Głębowiczach, po której ostatecznie stracił dla niej sympatię.

Podczas drugiego antraktu Waldemar poszedł z Trestką na cygara. Był tam i Barski. Palił nie odzywając się do nikogo. Brochwicz trochę dokazywał. Opowiadał swe wrażenia z pierwszego rzędu krzeseł, zachwycał się primadonną w roli Hrabiny.

- A Bronia nie podoba się panu? - spytał Weyher.

- Bronia? Hm! Bronia jest trochę w grze sucha, nazbyt kołkowata. Może to robi różnica stroju; kontusik i te tam puszki, wyloty obok pajęczynowego kostiumu Diany sprawiają efekt na niekorzyść Broni.

- Ona głównie razi obok dystynkcji Hrabiny - rzekł Waldemar. - Dobra artystka i na scenie dama. Bronia nawet w tych samych gazach nie osiągnęłaby celu. Tu występuje różnica rasy.

Hrabia Barski, rozparty na fotelu, z cygarem w zębach, patrzał impertynencko na ordynata.

- Proszę! pan odróżnia rasę? - przemówił kpiąco.

- Odróżniam! - odrzekł Waldemar chłodno.

- Voyons! a to nowa rzecz! Już po panu nie spodziewałem się takiej antytezy.

Ordynat rzucił się na fotel również w niedbałej pozie. Oczy utkwił w tłustej twarzy hrabiego i spytał jakby od niechcenia:

- A moja teza, wolno wiedzieć jaka?

- Pańskie słowa są antytezą jego postępków - odrzekł hrabia gwałtownie.

Waldemar był spokojny, lecz zimny.

- Za pozwoleniem! co hrabia przez to rozumie? Ja mówiłem o różnicy ras pomiędzy samymi artystkami, nie naruszając ról, jakie wykonywają.

Twarz hrabiego pęczniała coraz bardziej.

- A ja przeciwnie, mówiąc o rasie miałem na myśli sferę Hrabiny. Bronia, zwykła sobie szlachcianeczka, musi razić wobec magnatki, to prawo natury. Dziwiłem się, że pan jeszcze nie zatracił zmysłu spostrzegania tych różnic, jakie biją w oczy. Powtarzam, słowa pańskie są antytezą jego postępków, a te dowodzą - zaniku etyki!

Przytyk był wyraźny, wzmianka o szlachcianeczce stosowała się do Stefci bardzo niedwuznacznie.

Waldemar powstał wzburzony. Kilku panów, Brochwicz i Trestka zbliżyli się. Pachniało skandalem.

- Panie hrabio, dosyć! - zawołał ordynat syczącym głosem. - Moja teza i moja etyka stoi nieskończenie wyżej od wszelkich praw natury w mniemaniu pańskim. Mój zmysł spostrzegawczy jest zaostrzony i czujny i tym lepiej pomaga mi odróżniać szlacheckie sokoły od wielu magnackich pawie, które sfera maluje w jaskrawe kolory! Rasa to przywilej wyłączny, nie związany z żadną inną sferą, wchodzi nie przez ukraszone pióra, lecz przez szlachetną krew, i także bije w oczy. Przy tym jest w parze z delikatnością, a ta nie zawsze bywa w osobnikach we własnej imaginacji drapujących się w rasę. Jeśli obraziłem hrabiego, adres mój wiadomy.

Ordynat skłonił się trochę wyzywająco i wyszedł z fajczarni.

- A to mu łupnął! - rzekł cicho Brochwicz.

- Pojedynek? - zdumiał się Trestka, wznosząc brwi.

Brochwicz wyciągnął go na korytarz.

- Awantura! - mówił zacierając ręce. - Pan myśli, że Barski skorzysta ze

słów ordynata? Przecie to formalne wyzwanie. Ale nie Barskiemu mierzyć się z ordynatem! czy na rewolwery, czy na rapiry - jeden wynik. Ordynat podziurawiłby jego dumny majestat, aż skwierczałby jak indor na ruszcie. Ależ dostał! Magnackie pawice! Uważał pan? odnośnik do Melanii. Bycze porównanie! gdybym posiadał wymowę ordynata i jego sławę w strzelaniu i fechtunku, odbywałbym po kilka pojedynków na tydzień.

Brochwicz gestykulował niesłychanie.

- Jeśli Barski sekundantów przyśle? - niepokoił się Trestka.

- To wówczas pozna zęby ordynata! Ale Barski nie przyśle. Ordynat zostawił kwestię w jego woli, bo sam lekceważy takiego przeciwnika. Barski zaś musi się liczyć. Możemy być spokojni! Chodźmy, bo już dzwonią.

Nagle Trestka stanął.

- A Zaniecki? - rzekł tajemniczo.

Brochwicz parsknął śmiechem.

- Zaniecki ordynata nie wyzwie, bo to laluś z waty, kleju i perfum. Zresztą przy awanturze nie był, a Barski mu się nie pochwali, schowa w kieszeń cukierek ordynata. Przy tym Za-niecki nie jest jeszcze zdecydowanym narzeczonym, aby się miał ujmować za starym. Co tam! idziemy na miejsce.

Waldemar wszedł do loży już spokojny, ale blady. Usiadł za Stefcią w milczeniu.

Ona dostrzegła w nim zmianę.

- Co panu? - spytała.

- Nic, jedyna, gorąco tu - odrzekł z uśmiechem.

W teatrze światło było przyćmione i scena zasłonięta. Umyślny efekt dla melodyjnych tonów poloneza Moniuszki, który zaczynał płynąć z orkiestry delikatnie, barwnie, wzruszająco.

- Jakie to śliczne! - rzekła cicho Stefcią.

Siedziała oparta na krześle z odchyloną w tył głową, zasłuchana, podniecona. Oczy jej mrużyły się, kwiaty przy gorsie drżały, poruszane pulsem ciała. Upojenie wsączało się w jej nerwy.

Polonez, grany z artyzmem, wtłaczał do duszy złote rojenia. Z instrumentów, jak na prze-zroczych gazowych skrzydełkach, wzbijały się nuty czyste, delikatne, pełne uczucia, a szumiące jakąś rozkoszną rzewnością. Wrażenie było ogólne i potężne. Cisza zaległa loże i krzesła. Górne sfery zdawały się uśpione. Melodia płynęła niepowstrzymaną siłą, omotywała urokiem, i drażniła.

Wiew spokoju i błogości z tonów zda się przeczulonych.

- Wspaniałe! - szepnął Waldemar, tuląc w swej dłoni ręce narzeczonej.

Ze Stefcią, bardzo wrażliwą, działo się coś niezwykłego. Grały w niej nerwy, uczucia słodkie, idące z serca, i zmysły, rozbudzone pieszczotą Waldemara. Niepochwytne marzenia niosły ją w przestrzeń wśródgwiezdną. A muzyka wszechwładnie rozsnuwała czar.

Księżna i pan Maciej byli zasłuchani, głęboko zamyśleni.

Trestka siedział skulony, trzymając Rity rękę, którą od czasu do czasu

całował. Ona mu tego nie broniła. Nieruchoma, blada, miała w ciemnych oczach mgiełki wzruszeń, usta trochę zwieszone wyrażały ledwo widoczną rezygnację.

Waldemar dosłyszał cichy szept.

- Czy tak? czy tak?... - mruczał Trestka.

- Niech się stanie - odrzekła cicho.

Trestka ucałował jej ręce.

A polonez, rozbrzmiewając w przyćmionej sali, budził pragnienia, rozdmuchiwał namiętności, w dusze kładł dobroć, oczy krasił uczuciem, czasem łzami.

Potężnie płynął!

Zabierał wszystkich na swe fale jak niewolników.

Rozbrajał, łagodził, rozmarzał...

Nagle cisza! Ostatni ton wyfrunął z orkiestry i nastało głuche milczenie.

Jakby po przelocie aniołów o szumiących piórach ludzie wpadli w zachwyt.

Wtem na górze, wysoko, niby pierwszy lekki odgłos gromu, ozwało się klaśnięcie. Pobudka! i teatr zahuczał. Zapał, entuzjazm. Wszystkie wrażenia skupiły się w oklaskach. W ogłuszającej wrzawie znajdowały ujście podniecone zmysły.

Panie, wychylając się z lóż, klaskały w dłonie. W krzesłach i amfiteatrze rozbrzmiewał huk jakby wzburzonego morza.

Górne sfery, uniesione szałem ryczały:

- Brawo! Bis! bis!

Ale inni zaczęli sykać. Wielkie wrażenie powtórzenia nie znosi. Trudno wywołać uczucia ponownie w tej samej mocy. Powtórzenie często psuje pierwszy efekt.

- Dosyć! dosyć! - wołali wykwintniejsi miłośnicy muzyki.

Zasłona podniosła się.

Wszyscy jak po odurzeniu narkotycznym powracali do trzeźwości. Jowialny dowcip Chorążego na scenie dokonał reszty. Jego śpiew myśliwski nastroił junacko wielu ze słuchaczy, scena z zieleniaczkiem ubawiła.

Panna Rita spytała cicho Trestkę:

- Co zaszło z ordynatem? Był wzburzony.

- Awantura z Barskim.

- Gdzie?

- W fiumuarze.

Stefcia usłyszała. Zbladła silnie. Ponieważ Waldemar coś mówił do księżnej, więc pochyliła się do Trestki.

- Co pan powiedział? - szepnęła z lękiem. Oczy miała prawie czarne z przerażenia.

- Niech pani będzie spokojna! Mała nieprzyjemność... Barski poskromiony - odszepnął Trestka z miną wielce lekceważącą.

- Pan mówi prawdę?

- Ależ jak Boga kocham!

Stefcia cofnęła się. Nie była jednak uspokojoną. Przeczuwała, że zajście pomiędzy ordynatem a Barskim wynikło z jej powodu. Miała niemal pewność, że tak jest. W loży Barskich siedziała tylko hrabianka ze swą damą do towarzystwa i Zanieckim. Hrabia widocznie wyjechał z teatru.

- Co zaszło i czy tak zawsze będzie? - pytała siebie Stefcia ze ściśniętym sercem.

Panna Rita, również niespokojna, patrząc na Trestkę, nieznacznie dotknęła ręką skroni.

Trestka zrozumiał: pytała go o pojedynek.

Zaprzeczył ruchem głowy, po czym napisał coś w notatniku i podał Ricie.

Przeczytała: „Ordynat-matador. Kto zaś Barski, proszę wspomnieć arenę - dodam tylko: rozwścieczony!”

Panna Szeliżanka zagryzła usta ze śmiechem.

Przedstawienie kończyło się. Podczaszyc oświadczał Chorążemu Bronię i Kazimierza.

„Siuprem rezon właśnie czuję” - mówił z komiczną miną rubasznego eleganta.

Zabrzmiał końcowy śpiew Hrabiny: „Zbudzić się z ułudnych snów”.

Żal, obraza, zawiedzona ambicja w głosie śpiewaczki. Niesłychanie akcentowała słowa, mimikę, głos. Ostatnią strofkę wyrzucała z piersi niemal z rozpaczą.

Ależ żal okazać mu, Wstydu łzy wylewać tu, Byłby to poniżeń kres... Chyba gniew, lecz nigdy łez!...

- Brawo! brawo! - zawołał Waldemar.

Jeszcze trochę dowcipów Podczaszyca i zasłona spadła.

Loże poruszyły się, zaszumiało, panowie żegnali damy.

Waldemar otulał Stefcię w biały płaszcz. Zauważył, że jest trochę jak przyćmiona.

- Co ci jest, jedyna?

- A panu co było, jak pan wszedł po drugim akcie? - spytała, mając utkwione oczy w jego twarzy.

- Ach! odgadłaś, bądź spokojna - drobnostka!

- Na pewno?

- Daję ci słowo.

Ordynat sprowadzał ze schodów narzeczoną, Brochwicz - księżnę. Z lóż płynęła strojna fala płaszczów i kapturków kobiecych, i czarnych ubiorów męskich. Szła barwna pogwara wdzięcznych głosów, pożegnań, często zatrzepotał śmiech. Oczy kobiet spod koronek, iluzji grały światłem klejnotów. Szum jedwabnych tkanin i ulotna woń perfum znamionowały przejście patrycjatu. Z krzeseł rozchodziła się publika dużo skromniejsza, choć również wytworna, poprzedzana przez błyszczące uniformy pierwszego rzędu. Wśród nich zdarzała się i postać frakowicza.

Wtem zahuczały schody na wyższych piętrach tupotem nóg i głośną wrzawą. Coś niby gradowa chmura waliło z górnych sfer.

Trestka niespokojnie podniósł głowę.

- Uciekajmy! - zawołał przestraszony - puszczono rajk! zgniotą nas! Sapristi! Że służba nie ma na tyle rozumu. Wybrali się w porę! Uciekajmy!

- To trudno, panie - rzekł Waldemar ze śmiechem - oni mają te same prawa do świeżego powietrza, co i my. Przez dach nie powychodzą, a dla naszej miłości nie będą czekali w pustym teatrze, boby ich woźni poprzykrywali płótnami. I tak może nieraz oberwą końcem brudnej zasłony; woźni nie pytają, są nazbyt gorliwi - szydził Waldemar.

- A tymczasem nas roztratują - narzekał Trestka.

- Bądź pan spokojny, już jesteśmy na dole.

W korytarzu przy kasie stał Prątnicki, oparty o barierkę. Na widok ordynata i Stefci odwrócił się. Stefcia nie widziała go, ordynat udał, że nie widzi. Pod filarami tłoczyły się pojazdy, szwajcar wywoływał.

- Kareta ordynata Michorowskiego, podjeżdżać!

Waldemar usadowił narzeczoną obok Rity.

- „Bristol”! - rzucił stangretowi.

Konie ruszyły.

- Pan ze mną. Mam do pomówienia - rzekł ordynat do Trestki.

W hotelu Sala Malinowa była już oświecona, stół ubrany kwiatami. Służba oczekiwała panów.

Ordynat z Trestką przyjechali pierwsi. Hrabia miał minę rozpromienioną.

Goście zaczęli się zjeżdżać. Waldemar występował jako gospodarz. On urządzał ucztę.

Sala Malinowa, czytelnia, przedsionek błyszczały elektrycznością i jaśnią rozweselonych twarzy. W środkowym czworoboku bił wodotrysk, orkiestra grała. Na górze panie poprawiały stroje.

Nareszcie ruszono do stołu.

Ordynat siedział obok narzeczonej. Zwrócił się do niej mówiąc tajemniczo:

- Usłyszy pani niespodziankę.

- Jaką?

Z kielichem szampana powstał z krzesła i rzekł dobitnie:

- Pierwszy toast wznoszę na cześć nowej pary narzeczonych, którymi są: panna Marge-rita Szeliga i hrabia Edward Trestką. Niech żyją!

Zdumienie ogarnęło wszystkich. Ogólnie spodziewano się tego, ale jeszcze nie teraz. Pełne kielichy zawisły w powietrzu. Trestką miał minę zachwyconą, panna Rita była blada, lecz spokojna.

- Niech żyją! - powtórzył Waldemar, odsunął krzesło i podszedł do niej.

Wszczęła się wrzawa, odsuwano krzesła z hałasem.

- Winszujemy! winszujemy!

- Vive! Niech żyje! - dystyngowanym dyszkantem wycedził hrabia Morykoni.

- Wiwat! co tam vive - poprawił Brochwicz.

Waldemar ucałował ręce panny Rity i powiedział serdecznie:

- Chciałem pierwszy złożyć drogiej pani moje najlepsze życzenia, tak jak

pani mnie życzyła pierwsza.

- Skąd pan wiedział?

- Słyszałem podczas poloneza i porozumiałem się z Edwardem.

- Ha! trudno! musiało się tak stać - odrzekła z determinacją.

Przyjmowała życzenia z uśmiechem. Ze Stefcią ucałowały się jak siostry. Księżna miała

łzy w oczach.

Gdy Trestką przypiął się do ręki narzeczonej, ona odsunęła go lekko, lecz bez niechęci.

- Panie, rozrzewniona jestem, ale czulić się nie lubię. To sobie zawaruję w intercyzie ślubnej.

- Zgoda! nawet na to przystaję - odrzekł hrabia wesoło. I z nadmiaru uciechy spadły mu binokle z nosa. Uczta przeciągnęła się do późna.

Niewiele godzin pozostało do świtu, kiedy „Bristol" opustoszał. Ale służba, zadowolona dobrym zarobkiem, nie czuła się wcale senną.

# XXV.

Przeszło parę tygodni. Święta wielkanocne Waldemar spędził u narzeczonej. Drugiego dnia w parafialnym kościele byli wszyscy z Ruczajewa i wiele osób z okolicy, między nimi stary Prątnicki. Patrzał na Stefcię nieśmiało, lecz z szacunkiem. Miejscowy proboszcz urządzał w tym czasie kwestę na odnowienie kościoła i teraz bardzo sprytnie wybrał do tego Stefcię w towarzystwie jednego ze starszych obywateli. Ofiary sypały się hojnie. Wdzięk Stefci, jej nowe stanowisko i obecność ordynata sprawiły, że każdy chciał prześcignąć drugiego. Ordynat dyskretnie położył na tackę mały rulonik, z którego potem ksiądz wydobył tysiąc rubli w dwóch banknotach. Proboszcz bardzo czuł się zadowolonym ze swego pomysłu. Tylko stary Prątnicki, któremu pieniądze zawsze najwięcej przemawiały do duszy, dowiedziawszy się od księdza o darze ordynata, zrozumiał dopiero teraz swe upokorzenie wobec Stefci i państwa Rudeckich. Nie zbliżył się, aby złożyć życzenia, nie zaszedł na plebanię razem z innymi.

Służba w Ruczajewie nie mogła się również nacieszyć narzeczonym „panienki", bo ordynat sypał pieniędzmi.

Święta minęły, Waldemar powrócił do Głębowicz.

Pewnego dnia, kiedy miał odjeżdżać na kolej w celu odwiedzenia wołyńskich dóbr Biało-Czerkasy, zawiadomiono go, że przyjechał jakiś pan za hrabią Cwileckim i jego końmi.

- Chyba Weyher? - pomyślał Waldemar.

W salonie z niemałym zdziwieniem ujrzał hrabiego Mortęskiego. Staruszek z wypiekami na twarzy bardzo żywo coś tłumaczył Ćwileckiemu.

- Witam hrabiego - zawołał ordynat uprzejmie. Hrabia nieco się stropił.

- Moje uszanowanie! I ja witam. Bardzo mi przyjemnie. Mówiłem tu właśnie hrabiemu Augustowi o Głębowiczach. Stare, stare gniazdo.

- Pewno już coś przeciwko mnie spiskował - pomyślał Waldemar.

Panowie posiadali. Mortęski trząsł siwymi kępkami włosów, a wystający nos jego marszczył się co chwila jakby z zakłopotaniem.

- Rad jestem z odwiedzin panów, ale zdaje mi się, że ich wizyta ma jakiś cel wyłączny. Czy odgadłem? - przemówił ordynat.

Ćwilecki poruszył się i chrząknął.

- Tak, to jest właściwie hrabia Mortęski ma do pana interes... hm! tak ordynat domyślił

się.

Siwe kłaczki nad uszami byłego prezesa zadrżały mocniej, ale głowę podniósł wysoko, z

wypukłych oczu błysnęła już pewność siebie.

- Oui, justement! Słusznie! - przemówił suchym głosem. - Będąc w Szalach postanowiłem odwiedzić ordynata i... prosić go o pewne informacje w kwestii towarzystwa rolniczego, związane z ostatnią sesją.

- Słucham.

- Słyszałem od Giersztorfa, że pan wprowadza do naszej instytucji nowe idee i pragnie je rozszerzać.

- O jakich mianowicie hrabia mówi?

- Prawda, bo jest kilka! Więc chce pan podobno utworzyć towarzystwo okręgowe i kółka rolnicze - czy to prawda?

- Tak, tę myśli miałem dawniej, teraz chcę wprowadzić ją w czyn, robię starania.

- Ale co z tego?

- Bardzo wiele! to podniesie kulturę, wzbogaci poziom umysłowy włościan, zwiększy produkcję przy ulepszonym prowadzeniu gospodarstw i samopomocy.

- Nie zwrócił pan jednak uwagi na ten szczegół, że włościanie są zbyt mało oświeceni do podobnych innowacji.

- Toteż nie będą sami: takie kółka są pod egidą inteligencji. Obywatele przewodniczą włościaństwu. Odbywają z nimi posiedzenia, rzucają myśli, miewają odczyty, słowem, wspólnie radzą nad korzyścią gospodarstw. Kółka chcę utworzyć na wzór poznańskich, gdzie są prowadzone wybornie, my zaś...

- No dobrze! - przerwał Mortęski - ale w Poznańskiem lud jest więcej cywilizowany, a u nas dzicz.

- Więc oświecajmy! To nasz obowiązek! Co w naszej mocy, powinniśmy robić, przynajmniej pobudzać obywatelstwo, dawać inicjatywę.

- Dużo pan znajdziesz chętnych! justement!

- Bardzo niewielu, wiem o tym, chociaż więcej chętnych niż odpowiednich. Nasze średnie obywatelstwo nie nadaje się zbytnio do tego, głównie z przyczyn materialnych. Oświecanie ludu wymaga pewnych kosztów. Trudno żądać od ludzi, którzy sami borykają się z majątkiem, aby kształcili chłopów. Ale proszę wyliczyć domy magnackie w naszee guberni i zamożne

obywatelstwo: Ci są podstawą do czynów społecznych, gdyby tylko chcieli! Potrzebna pobudka? Więc dajmy ją! Może niejeden się ocknie i przyzna słuszność wspólnej sprawie.

- Przyzna, ale nie weźmie udziału.

- Dlaczego?

- Hm! to już jego osobista kwestia - wycedził Ćwilecki.

Waldemar uśmiechnął się.

- Zanadto by się sfatygował, co? Bywają i tacy, nie przeczę. Ale przy ludziach prawdziwie odczuwających nasze potrzeby jest dużo jedynie ambitnych. Takim trzeba wskazać myśl, aby za nią poszli, nie dla myśli, lecz dla sławy, dla tej prostej ludzkiej słabości przewodzenia nad innymi, którzy z powodu gorszych warunków nie mogą sobie na to pozwolić. Bo filantropia, oparta na działaniu, to po części luksus.

Mortęski pokiwał głową i zaśmiał się ironicznie.

- Tacy działacze dla ambicji niewiele zrobią, siła wykluczona.

Waldemar rzucił głową.

- Ja nie mówię o ich działalności samoistnej, tylko o ich współudziale, jaki potrzebny dla sprawy. Niech taki pan zgodzi się na oświecanie ludzi w swym majątku, a my już znajdziemy kierownika odpowiedniego. Na szkolnych ławach, panie hrabio, i w każdym fachu bywają umysły genialniejsze i płytsze. Wydostanie się na widownię zależy od zdolności osobistych, ale uczą się wszyscy razem. Niejednego ojca z prostactwa tylko ambicja skłoni wysłać syna do szkół, a on nabywa wykształcenia i znowu już inna ambicja pchnie go czasem na uniwersytet. Ale mówmy o kółkach: otóż gdy mi się uda, zawiązać je u nas, już to samo wpłynie ogromnie na podniesienie oświaty.

- Merci! i odbywać posiedzenia w towarzystwie cuchnących butów i kapot? To nie zadanie naszej arystokracji - skrzywił się obrażony hrabia Mortęski.

Waldemar spojrzał na niego uważnie.

- Przede wszystkim jesteśmy obywatelami kraju, a potem arystokracją - rzekł sucho. -Powinniśmy dbać o nasz zagon, aby go porastało ziarno, nie chwasty. Nasz wspaniały sztandar samym widokiem nie wypleni zła; trzeba z nim pójść między zagony, przytwierdzić lampę do jego szczytu i światło siać wytrwale, ulepszać, prostować błędy, a doczekamy się pełnych kłosów. Im kto ma większy sztandar, tym większą może zapalić lampę. Trzeba także przezwyciężyć wstręt, panie hrabio. Te cuchnące buty i ostre kapoty zalewają większe obszary niż my - to trzeba uwzględnić.

Były prezes przełknął głośno, jakby gorzką pigułkę. Twarz jego nabrała ironicznych linii.

Dłonią potarł kolano i przemówił:

- Zanadto, zanadto pan im okazuje względów. Oni i... my? Justement, to jakby ...

Waldemar przerwał:

- Przepraszam! wiem, co pan odpowie: że oni to ocean, a my okręty - i że, zapatrzeni w nasze wyniosłe maszty, lekceważymy sobie tę siłę, depcząc po

niej bezkarnie. Nieprawda! wszystkie nasze opancerzenia maleją, gdy te fale wezmą na kieł. Wówczas i oliwa, na gwałt wylewana dla złagodzenia, nie na wiele się przyda. Giniemy w tej potędze. Ich jest prawdziwa, nasza fikcyjna. Niekoniecznie bratać się z nimi i wpadać z jednej ostateczności w drugą, jak to czynią sfanatyzowani ludowcy. Ale o nich trzeba dbać i nie mieć wstrętu. Kultura i na punkt estetyczny dużo wpływa, teraz go nie mają, musimy im to wybaczyć. Ja przede wszystkim widzę w nich ludzi i materiał surowy do wyrobienia.

- Pan jest idealista - rzekł Ćwilecki.

- I przeciwnik arystokracji - dodał zirytowany Mortęski.

- Przeciwnikiem nie jestem. Owszem, arystokracji potrzebna tak samo, jak i wszystkie klasy społeczne. Tylko... powinna jechać na mniej narowistym koniu, aby nie tulił uszu na widok opłotków wieśniaczych, te bowiem gęsto zalegają kraj. Przy tym ja na naszej tarczy widzę dziury i chciałbym je załatać - ale wielu twierdzi, że... starłaby się pozłota. Załatajmy choć dwie na początek: sybarytyzm i egoizm. Dbajmy choć trochę o glebę, na której stoją nasze pałace, i o tych, co nam je stawiali.

- Słowem, arystokracji nie uważa pan za monument społeczny, za odwieczne dzieło i trwałe - zasyczał mocno rozdrażniony stary magnat.

Ordynat przycisnął go wzrokiem i rzekł śmiało, tonem wyraźnie już kpiącym:

- Och! czasy pogaństwa minęły. Nie jesteśmy bożkami, dla których społeczeństwo paliło kadzidła i pracowało nad pomnikiem naszej chwały. My zapracujmy nań sami, zamiast siedzieć na wysokości pod baldachimem rodowej pychy i wegetować. Piramidy faraonów są dobre w Egipcie. One nie przywędrują pod nasze stopy ani też nam nikt podobnych nie wzniesie. Wracam do kółek. Przypuśćmy, że nasz włościanin, delegowany z gminy, na pierwszym posiedzeniu będzie się drapał w głowę i przyglądał panom. Na drugim będzie słuchał, co mówią panowie, aż dojdzie i sam do słów, nikłych z początku zawsze jednak wypowie, czego mu brak, a na to mu się zaradzi. Tym sposobem zacznie nabierać inteligencji, zainteresuje się gospodarstwem i będzie się uczył. Oto nasza dążność. Tymczasem staram się zaledwo o wyrobienie koncesji.

Mortęski wzruszył ramionami.

- I pan sądzi, że się uda ten program?

- Dołożę starań, aby się udał. Mam poważne poparcie w ministerium, jeżdżę w tej sprawie do Petersburga i myślę, że potrafię dojść do celu.

Stary hrabia kręcił się niespokojnie. Wypukłe oczy utkwił w ordynacie i patrzał na niego jak wódz na szeregowca, który przekroczył prawa pułkowe. Pęki żółtawo-siwych włosów nad uszami najeżyły się więcej, nos niby ostra dzida i zacięte wąskie usta wyrażały jakąś obrazę.

Ordynat spokojnie wytrzymał karcący wzrok hrabiego, tylko usta drgnęły mu uśmiechem, a nozdrza zaczęły falować.

- Czego on ode mnie chce? - myślał.

- Panie hrabio - rzekł głośno - widzę, że mój program nie podoba się panu. Czy mogę wiedzieć powód niezadowolenia?

Hrabia Mortęski błysnął białkami oczu.

- Owszem! Oto za prędko bierze się pan do sprawy, będąc niezupełnie jeszcze obznaj-miony. Za prędko... po...

- Po zostaniu prezesem? - pochwycił ironicznie Waldemar. - Więc pan sądzi, że ja przedtem nie interesowałem się sprawami społecznymi i Towarzystwem? Hrabia widocznie ma mnie za nowicjusza?

Tu wtrącił się Ćwilecki.

- Nie, nowicjuszem pana nie można nazwać, choćby z przyczyny, że pan jest organizatorem tej instytucji, pan ją inicjował. Kto zna budownictwo, potrafi rysować plany.

Mortęski skarcił towarzysza ostrym wzrokiem. Rzekł z dumą:

- Inicjator! to za mało! Do apostolstwa powołuje się ludzi starszych, szerzenie idei nie należy do... młodzi... za młodych.

Ordynat zaśmiał się.

- Chciał mię pan nazwać młodzikiem? Proszę - najlepiej szczerze! wcale mię to nie obraża, osobiście nie poczuwam się do tego pod żadnym względem. Mam pojęcia niechłopięce, a że wzbudzam ufność, to dowodzi, że mię wybrano na prezesa i że przedtem zdołałem skłonić nasze koła do organizacji Towarzystwa.

Hrabia wzburzył się.

- Powtarzam, że apostołami nowych idei powinni być ludzie starsi - mówił rozgorączkowany.

- Skoro jednak ich nie ma... - rzekł nieśmiało Waldemar.

- Jak to? jak to nie ma? Voila!...

- Proszę mi ich wskazać.

Hrabia długim kościstym palcem uderzył się w piersi, oczy mu gorzały.

- Jestem ja, jest Giersztof, Barski, jest wreszcie dziadek pański, jest hrabia Ćwilecki, tu obecny...

- Za pozwoleniem - rzekł spokojnie ordynat. - Mój dziadek jest zbyt wiekowy i dawno usunął się z areny społecznej. Książę Giersztorf nie należy do naszego okręgu. Szkoda, jego działalność wiele by mogła znaczyć - to szczery patriota. Barski również nie z naszych kół, przy tym jego idee paczą umysły. On poza purpurą swego rodu i berłem arystokracji nie widzi nic więcej. Pozostają panowie tu obecni. Pan Ćwilecki czynnego udziału brać nie chce - proponowałem - a hrabia...

Spojrzał na Mortęskiego i rzekł poważnie:

- Hrabia był prezesem przez lat pięć i ustąpił dobrowolnie, pole więc do apostolstwa istniało szerokie.

Zalegała cisza, tylko Ćwilecki chrząkał i gładził brodę. Brwi miał podniesione i żartobliwe błyski w zimnych zwykle źrenicach.

Mortęski wyprostował się na fotelu. Na bladej twarzy pojawiły mu się trochę ceglaste rumieńce, ustami żuł, co oznaczało zakłopotanie. Ale oczu nie

spuścił z ordynata.

Ten mówił dalej poważnie, jakby łagodząco:

- Proszę mych słów nie brać za wymówkę. Skoro Towarzystwo zostało zorganizowane, wszyscy jednogłośnie wybraliśmy pana na prezesa, uważając go za najpoważniejszego z naszych kół. Ale wiek i stargane siły nie pozwoliły panu na pracę intensywniejszą. Teraz więc, kiedy ja stanąłem u steru Towarzystwa, przyszła kolej na szerszą działalność. Jestem w pełni zdrowia, sił i młodości, ale nie odrzucę dobrej rady, owszem, proszę o nią dla pożytku ogółu.

Stary magnat, cokolwiek złagodzony, życzliwiej spojrzał na Waldemara.

- Pan podobno skłania obywatelstwo do ulepszania dróg? - rzekł Ćwilecki.

- Tak, chciałbym, aby zrozumiano, że koszt wyłożony na ten cel daje świetne korzyści, nie mówiąc już o wygodzie i wyglądzie kraju. Dobre drogi, całe mosty - to dowód kultury. U nas tego brak straszliwy.

- Ale nie w pańskich majątkach - zaprzeczył Ćwilecki - tu są gościńce pruskie. Każda boczna droga przypomina szosę. Wjechać na granicę pańskich gruntów, to jakby się wjechało od razu z Australii do Europy. Chłopstwo pan już także przyuczył do tego.

- Staram się dbać o ład jaki taki - rzekł niedbale ordynat.

- O wielki ład, niech pan powie. Ale ma pan nervus rerum – nerw życia, najważniejsze - miliony.

- Niekonieczny to warunek do zaprowadzenia porządku. Ja drogi żwiruję, wysadzam drzewami, otaczam drutem na kamieniach, stawiam nowe mosty. Ten zaś, kto na to nie ma, niech równa wyboje na drogach, niech naprawia mosty, choćby wstawiając łaty, i niech ochrania drzewa. To wystarczy. W Głębowiczach już jest parę dróg wysadzonych drzewami owocowymi. Szkody bywają jeszcze, ale z czasem i to przejdzie. Dla służby założyłem ogrody owocowe i skłaniam do tego włościan. Ochrona drzew ma w mych dobrach wyłącznych obrońców. Na to wszystko głównie działa oświata.

- Zaprowadza pan podobno stowarzyszenia trzeźwości między ludem i sklepy katolickie, rugując Żydów? - pytał Ćwilecki.

- Tak. W szerzeniu trzeźwości dopomaga mi miejscowy proboszcz. W rozpijaniu ludu widzę nędzną rękojmię kultury i zapobiegam temu. W tym celu w gorzelni, którą postawił mój ojciec, wyrabiam tylko spirytus denaturowany. Sklepy urządzam pod opieką dworu, aby uchronić służbę od oszustwa Żydów. Sprzedaje im się produkty lepsze i taniej; w tych sklepach jest wszystko. Ubogie dziewczęta sporządzają sobie w nich całe wyprawy. Włościanie z początku nieufnie patrzyli na nasze sklepy, ale już się do nich przekonali.

- To biedni Żydkowie u pana.

- Ale ja ich absolutnie z majątków swych nie wyrzucam. Ich używam w pewnych dziedzinach, tylko pod ścisłym nadzorem i nie w folwarkach ani we wsiach, bo wówczas wpływają szkodliwie na lud. To biedota! Zresztą, gdybym ich wszystkich usunął, straciłby na tym ktoś inny. Ograniczam ich

jedynie i mocno trzymam w ręku. Zatem nie szkodzą mi.

Hrabia Mortęski zaczął znowu przeżuwać ustami. Jego rysy zaostrzyły się nieprzyjemnie. Słuchał rozmowy ordynata z Cwileckim, nie dodając już od siebie ani słowa. Lecz gdy usłyszał o istniejącym w dobrach ordynata stypendium ze składek służby i robotników dla kształcącej się młodzieży robotniczej i służbowej, stary magnat wzburzył się na nowo.

- Więc pan chce bankructwa tych ludzi - zawołał z ironią.

- Bankructwa? dlaczego? Ja daję od siebie połowę sumy, jaką się zbierze z rocznych składek ogólnych, a ludzi nie przeciążam. Najmniejsza składka od jednej rodziny już konieczna jest rubel. Ale proszę policzyć wszystkich pracujących w mych dobrach, a przekona się pan, że te pojedyncze ruble wyniosą znaczną sumę. Mam takich ze służby, którzy dają na ten cel po kilkanaście rubli dobrowolnie. Cała administracja należy do składki i dyrektorowie fabryk. Ci dają z własnej filantropii. Ten projekt został z chęcią przyjęty, moi ludzie zrozumieli korzyść własną. Każdy z nich może swe dzieci kształcić odpowiednio, dopomaga mu stypendium, gdzie są i jego pieniądze. Już kilku chłopców uczy się za odsetki od tych funduszów w wyższych uczelniach, wielu przestaje na szkole głębowickiej, którą już moja kasa opłaca. Myślę teraz urządzić to samo u włościan, ale tam będzie trudniej.

- Czy i szpital jest opłacany przez kasę majątkową? - spytał znowu Ćwilecki.

- Wszystkie instytucje dobroczynne w mych dobrach są dla użytku służby bezpłatnie. Mogę sobie na to pozwolić, więc korzystam. Lekarz miejscowy i felczerzy są również uposażeni przez kasę dworską.

- Rozbałamuca pan ludzi, nic więcej - rzekł z gniewem Mortęski. - Nikt nie pójdzie za pana przykładem.

- Tym się nie rozbałamuci, bo trzymam ich w pewnych karbach, można pogodzić jedno z drugim. Służba i robotnicy są sprężyną, a pomocą której puszczam w ruch moje dochody, więc naoliwienie jej do mnie należy.

- Słowem, same inicjatywy! same innowacje! - syknął stary hrabia. -Nie pojmuję, skąd się u pana znalazła taka filantropia demokratyczna, bo nie jest odziedziczona po przodkach, justement!

- Owszem, panie, trochę odziedziczona po matce - odrzekł Waldemar. - Znał ją pan dobrze. Ona miała zawsze sympatię dla tych szerokich mas ludowych i chciała dla nich dobra. Mój dziadek także jest humanitarny.

- Ale pan krańcowo. Ja sądzę, że ostatnie wypadki tyczące się pana osobiście wiele wpłynęły na prąd jego przekonań. Pan dezerteruje z naszych szranków arystokratycznych.

- Idę tylko w tyralierkę - zaśmiał Waldemar trochę nerwowo. Przeczuwał dalszy ciąg słów hrabiego.

Ale on dokończył:

- Nie! dezerteruje pan, przechodząc jawnie do demokracji. Voila! tu leży jądro kwestii.

Złośliwe tony bryznęły w zimnym głosie Mortęskiego.

Waldemar drgnął. Zapaliły mu się szare źrenice. Jednocześnie na twarzy mignęła nuda.

- Panie hrabio - rzekł siląc się na spokój - gdyby te wpływy nawet istniały, mógłbym działać zaledwo od pół roku, a wszystkie ulepszenia wprowadzam u siebie od lat dziesięciu. Przez ten czas nie ukrywałem swych idei.

Ćwilecki wyprostował się i przemówił wolno, lecz z niebywałym ożywieniem na twarzy:

- Tak. Staję w obronie ordynata. Jego myśli społeczne znane są nie od dziś... Istotnie pan szerzy swe idee od dawna i słowem, i piórem. Mamy przecie jego artykuły, poruszające mnóstwo ciekawych kwestii. Pańskie odezwy pod nagłówkami: Co my dla kraju?, Nie usuwajmy naszego posłannictwa, i inne, są pisane śmiało, realnie i przynoszą zaszczyt autorowi.

Waldemar podziękował mu poważnym skinieniem głowy i mówił dalej, idąc za biegiem własnych myśli:

- Hrabia jednak dziwnym wzrokiem patrzy na mnie, posądzając najniesłuszniej osoby, które nie należą do krańcowej demokracji i... nie rozciągają nade mną podobnych wpływów. Ja pojęcia swe mam wkorzenione. Od dziecka one kiełkowały, a uniwersytety i własne rozmyślania rozwinęły je. I podróże! Poznawszy z bliska porządki u obcych, zawstydziłem się ładu w naszym kraju i zacząłem działać. Wyniki w mych dobrach zadowalające, ale pragnąłbym dążyć do rezultatów ogólnospołecznych.

- I zyskać sławę wodza, kierownika! - zaśmiał się cicho Mortęski.

Waldemar wzruszył ramionami.

- Słowa powyższe uwłaczają pańskiej powadze, hrabio. Ja nie dążę do dyktatury, lecz do spełnienia mych idei; moje zamiary wobec ogromu potrzeb społecznych są niczym. Widzę, że jakieś nieprzychylne prądy zaraziły hrabiego. Przykro mi, że nie mam w nim poplecznika, gdyż dla sprawy ogólnej konieczna solidarność. Ja jednak nie ustąpię, i tych, co mi zaufali, nie zawiodę. Proszę wybaczyć, jeśli byłem zbyt prawdomównym. Musiałem bronić swych zasad. Jestem pewny, że po bliższym i... samoistnym rozważeniu w innym świetle ujrzy pan moje poglądy. Pragnąłbym szczerze mieć z pana przyjaciela, nie wroga.

Ćwilecki żywym ruchem podał rękę ordynatowi.

- Co do mnie, przychylam się zupełnie do pańskich projektów. Obiecuję współudział w kwestii oświaty, nie dla ambicji, lecz dla potrzeby, jaką odczuwam. Ale kierunek oddaję w ręce pana, gdyż nie jestem zbyt kompetentny - chyba moje kobiety?... Może i do kółek, jeśli je pan zdoła zaprowadzić, zapiszę się również, o ile będę przydatny.

Waldemar serdecznie uścisnął mu rękę.

- Dziękuję panu za dobre chęci.

Zadzwonił.

- Śniadanie podawać!

- Gotowe - odrzekł służący Andrzej.

- Panowie pozwolą.

Przy stole rozmawiano o rzeczach pobieżnych. Hrabia Mortęski był trochę jak złapany.

Gdy w godzinę potem lando z Szal okrążało dziedziniec zamkowy, Waldemar, patrząc za nim, szepnął do siebie:

- Knowania Barskiego. Tęgi wróg!

# XXVI.

Znikły ostatnie ochłapy śniegu.

Natura gotowała się do przyjęcia wiosny.

Słońce, uśmiechnięte, rozparzone, spuściło się niżej, cisnęło na ziemię zdroje gorących zarzewi, namiętnych uścisków. Grzało ją, piekło lubieżnym płomieniem.

Rozdyszał się cały świat!

Suche wiatry przelatywały pola, tłukły po miedzach i drogach, zgarniając niby grabiami błoto na swe barki. Szumy poszły potężne i dzikie gwary przyrody. Łomot pękających lodów, trzask łamanej kry huczał jak podziemny grom. Walka gigantów - wzburzonych wód - ze skorupą lodową.

Zwyciężyły nabrzmiałe fale.

Jak wrzątek wewnętrzny rozrywa wulkan, tak spienione wody przedarły twardy pancerz, rozlały się na nim i biorąc pod siebie miażdżyły ciężarem swych mas. Huk niedobitków lodowych zagłuszały potężne ryki rozpasanej wody. Z głośnym chlupotem waliły zwichrzone strumienie, rwąc potokami z pól, warcząc jak bestie wściekłe na słońce, że je wywłaszcza z rowów i kałuż. Stargane, brudne, wpadały niby żmije do rzek i jezior. Wody rzeczne wznosiły się nad poziom. Zajadłe strumienie parły je z boków, wżerały się w nie, niosąc na swych talach muł, odłamki gałęzi i suche trawy.

Słońce pędziło wody, wichry smagały je z żywiołową siłą, rozpędzając, dusząc, aż przerażone ukryły się na dno rzek, wsiąkły w rolę.

Nie zamarły. Zaczęły rozmiękczać skostniałe grudy, wirować w żyłach ziemi. Pokorne już, poddane, pomagały słońcu w robocie.

Wieczory nastały ciepłe. Spadły obfite rosy.

I namiętność buchnęła z ziemi, dreszcze ją przeniknęły. Z potężnych płuc ziały rozkosznie białe opary.

Skłębione słupy mgieł tłoczyły się z piersi rozgrzanej gleby. Wieczorem, w nocy, aż do wschodu słońca kurzyło się na polach. Opary przewalały się na łąkach, omotując lasy bałwanami sinawej piany. Delikatne włókna pełzały nisko na bagienkach, przy księżycu lśniły jak sproszkowane srebro.

- Ziemia dymi! - woła przyroda.

- Ziemia dymi! - krzyczą ptaki.

- Chwała jej i cześć!

Wrzask radości zabrzmiał w przestworach świata.

Wichry, jak dzikie ptaszyska, przycichły, zmęczone hulanką.

Zapanowało wszechwładnie słońce, haftując drogocenne tkaniny z blasków

na powijaki dla nowo poczętej.

I nadeszła!

Z łona matki wyjrzała na świat młodziutka, piękna, omotana opałowymi mgłami, spowita we wstęgi słoneczne.

Chucha na nią matka-ziemia, kołyszą ciche prądy powietrzne i rośnie w cudną boginkę, i potężnieje.

Aż wyzbyła się powijaków.

Wielki szum pochwalny świat rzuca do jej stóp, przyroda składa hołd, błagania biegną do niej i uśmiechy poddanych.

Unosi się wysoko, poprzedzana przez pazia-skowronka. Pierwszy baletnik ptaków rozsypuje na świat delikatne treliki dźwięczące niby perły wśród różanej konchy.,

I białe sztandary bocianów powiewają bogince; rozgłośne chóry żabich wieców niosą jej swą pieśń.

Klucze żurawi zawodzą dla niej nieszpory.

A za nią idzie czar.

Wiosna płynie w górę. Całą garścią czerpie ze skarbnicy słońca kolorowe pyły i sieje na ziemię. Złoto ciska na jaskry, błękit na niezapominajki, białe obłoczki rozdrabnia na przy-laszczki. Gwiazdy ma w dłoni, kruszy je i sypie, sypie bez miary. Tworzy kobierce, tka złotogłów, splata wianki.

Namiętna potęga pochłania świat. Miłość bucha z pękających drzew, wre, kipi, wrzątkiem oblewa wszystko, co żyje. Idą szepty zmysłowe, duszne uściski...

I całusy, i dreszcze rozkoszne.

Wielki spazm rozprężonej natury pali ogniem, kołaczą podniecone tętna w ziemi, żarne pulsa.

Rozszalały się pożądania! pożoga pragnień!

A przyroda poczyna i poczyna wciąż!

Wiosna rozkwitała, rozśpiewała się.

Sama zaczęła kochać.

Coraz nowe zakłada szaty. Włosy stroi w ametystowe, aksamitne sasanki, ubiera się w biel kwitnących drzew, w rubiny smółek. W sandałkach z bursztynowych kaczeńców brodzi po lustrach źródełek, spogląda w nie tęskna, marząca.

Wpada do lasów, przywołując kochanka.

Słychać moc jej głosów.

Z piersi młodzieńczych, słodkich jak jagody, wydycha płomienne westchnienia. Jej śpiew dźwiękliwy zagrzmiał nieskończoną gamą upoistych nut. Drzewa niosą echa w dal bezkresną, przyroda słucha uroczej pieśni pani swej.

Roztęskniona wiosna szarpie naprzód ukwiecone ramiona; z gorących ust śle żałosne skargi:

- Miłości! miłości!

I strojna, rozrosła bogini czarów, z szałem w kipiącej krwi, o wieczornych

zmrokach woła do księżyca:

- Pójdź!...

Spływa wielki, bladolicy, w tajemniczych cieniach baldachimów nocnych, i tuli rozkochaną. Lśniące metalowe źrenice wpija w jej postać, przesuwa po jej cennych sukniach.

Bierze ją w ramiona i poi miłością.

I wargi jej spieczone gorączką żądzy ochładza pocałunkiem swych zimnych ust.

Szepcą razem porwani ogromną mocą kochania.

- Wiosna pragnie! - woła przyroda.

- Wiosna pragnie! - krzyczą ptaki.

- W niej pocznie - lato.

- Chwała jej i cześć!...

Wśród pól głębowickich pokrytych puszystą runią, wśród rozkwitłych lasów jeździł konno ordynat, szczęśliwy, pierwszy raz w życiu odczuwając tak potężnie piękność swej ziemi w krasie wiosennej. Płomiennym wzrokiem przebijał dal, nurzał oczy w zieleni, nozdrzami wchłaniał zapachy. Radosny był, upojony, duszę miał pełną rozkosznych marzeń. Pozostało parę tygodni do ślubu. Ordynat żył gorączkowo. Nigdy rodzina nie widywała go takim. Tryumf, szczęście błyszczało mu w stalowych oczach. Dawny pesymizm i ironia zginęły bez śladu. Tylko pełne usta, palące jak krew, zachowały nieco wyrazu satyrycznego. Lecz to nie raziło, przeciwnie - z energicznym zagięciem brwi i jak zwykle trochę niedbałym układem całej postaci tworzyło nadzwyczajny a pyszny kontrast. Jeżdżąc na czarnym, ognistym Apollu, marzył o Stefci. Kochał ją tak bezmiernie, że prawie spoiła się z jego nerwami, wzrosła w duszę. Miał ją w oczach, w myśli, w sercu. Prócz fotografii w medalionie i gabinetowej, które nosił przy sobie, miał jej portret nad biurkiem, w białej zaręczynowej sukni i w perłach od niego. Patrząc na podobizny Stefci podniecał się jej pięknością, doznawał wstrząsających wrażeń na wspomnienie prędkiego połączenia się z tak ukochaną dziewczyną. Na Apollu pędził po polach, gnany nieprzepartym warem temperamentu, z którym nie mógł sobie jakoś dać rady. Puszczał wierzchowca w cwał, podniecając go ostrogami, przesadzał rowy, wspinał się na góry, przeskakiwał płoty, szalał trochę. Ogarniała go zawadiacka, pełna życia fantazja. Młoda krew polska, w której kipiały i krople węgierskie, odziedziczone po prababce, rozhulała się w nim. Żarem sypały szare jego oczy, płomień ogarniał twarz, brwi ściągała wielka energia. Jego nozdrza i usta poruszane były gwałtowną siłą namiętności, zdającą się go rozsadzać.

Apollo, jakby rozumiejąc usposobienie swego pana, rwał naprzód, nie zważając na przeszkody, również pełen fantazji. W lansadach przesadzał rowy, kopyta jego zawisały często w powietrzu, chrapy ziały ogniem. Gibkie, suche nogi araba zdawały się w biegu ziemi nie dotykać. Pan pobudzał wierzchowca, wierzchowiec pana, w jednym i w drugim szlachetna krew rozigrała się, unosząc ich burzą zapału.

Pewnego dnia w czasie takiej jazdy spotkał ordynat pannę Ritę także na koniu. Powitał ją wesoło. Ona patrzała na niego chwilkę, wreszcie rzekła:

- Szaleje pan, prawda?...

Spod wąsów i pąsowych warg błysnęły jego białe zęby w uśmiechu.

- Szaleję? to za mało: wściekam się!

- Jaki pan szczęśliwy! - szepnęła z westchnieniem. - Kiedyż pan jedzie do niej znowu?

- Do Stefci? Już przed samym ślubem, czyli za dwa tygodnie. Zabiorę ją z Ruczajewa.

- Więc ślub stanowczo w Warszawie?

- Tak, ósmego czerwca. Jutro jadę do stolicy.

- Pan? po co?

- Kupić brylanty dla Stefci. Chcę, aby miała ode mnie, prócz rodowych klejnotów. A kiedy ślub pani?

- Och, mój!... W lipcu. Alf nasz będzie cichy, w kaplicy w Obronnem. Za to pański pewno błyśnie w Warszawie niepowszednio.

- Stefcia chciała cichego ślubu, ale przekonałem ją. Urządzę najuroczyściej, to jest najwspanialej, bo uroczystość będzie dla nas sama przez się wielka.

- Zapewne! powinien być przepych, aby odpowiadał szczęściu i podrażnił arystokrację.

- To jest mi najobojętniejsze.

- Zabierze pan swoje konie i ekwipaże?

- Tak, biorę cztery czwórki i karety.

- A ślub o której porze?

- Wieczorem u Wizytek, potem wieczerza w pałacu babki Podhoreckiej, a rano wyjazd nasz do Głębowicz. Na waszym ślubie będziemy obecni już oboje. Cóż porabia pani narzeczony?

Panna Rita zaśmiała się.

- Ach! Edward paradny! Urządza Ożarów. Muszę go mitygować, takie zaprowadza awantury - przede wszystkim osobną stajnię dla mnie, bo zabieram swoje konie. Trestka bardzo dobry człowiek. To mię rozczula, że on mnie bajecznie kocha.

- To prawda - potwierdził Waldemar - przy tym człowiek istotnie dobry i pani już go trochę utemperowała.

- Dziękuję za komplement! Nie marzyłam nigdy o mężu, którego musiałabym temperować.

- Ale potrafiłaby pani każdego.

Panna Rita trochę wyzywająco spojrzała na ordynata.

- No, pana chyba nie?

Uśmiechnął się.

- Och! ja się nikomu nie dam utemperować.

- A Stefci?

- Ona mię łagodzi w inny sposób, uspokaja - to co innego.

Rita wskazała ręką na odległy las.

- Niech pan patrzy, jaka ładna tęcza. Wyjechałam z domu po deszczu i zaledwo teraz ją widzę. Pan chyba nie z Głębowicz jedzie?

- Byłem na folwarku Orlin, wracam, ale tęczę już widzę dawno.

- Taka nad wami świeci, prawda?

- I nad wami także.

- Głupstwo! w znaczeniu uczuć ludzkich nie ma żadnego zastosowania.

- Owszem, ma! to jakby załamywanie się blasków tych właśnie uczuć na miniaturowych kropelkach wzajemności, w atmosferze zgodnych i świetlanych warunków. Im ona jest szerszą, więcej barwistą, gdy się nie widzi końca, wówczas daje szczęście ogromne. Zawsze jednak lepiej nie analizować się zbytnio, nie rozbierać się na atomy - niech pani o tym pamięta. Tęcza w całości jest nie za przeć żenię tęczą, lecz podana zbyt ścisłej sublimacji - może spłynąć jedną kropelką zimnej wody i zamarznąć w kryształek, raniący serce. Jaką bowiem ona jest, to kwestia siły poprzedzających ją burz, ale już jest sobą; gdy się chce ją rozdrabiać, wyjdzie parodia.

- Dobrze pan to objaśnił - zawołała Rita - ale u nas taka tęcza ogarnia Edwarda, lecz nie mnie.

- On ją do pani dociągnie - uśmiechnął się Waldemar.

- Zresztą i pan ją analizował, a jednak pozostała sobą.

- Nie, ja tylko analizowałem burze swych uczuć poprzednich. Szczęście rozciągnąłem sam nad naszymi głowami i już wierzę w nie. To samo i pani radzę.

- Ha! może! ale u nas będzie zawsze mniej świetna.

Pożegnali się. Waldemar popędził cwałem. Panna Rita kłusowała w przeciwną stronę. Pochyliła głowę prawie na szyję Buckinghama, szepcząc namiętnie:

- Zawsze pyszny! zawsze ten nieuchwytny czar w nim!... Leżałabym u jego nóg, chciałabym zostać jego sługą, niewolnicą, byle jego... byle do niego należeć.

Biedny Trestka malał w jej oczach, kurczył się, karłowaciał.

Waldemar powrócił do Głębowicz. Krzątano się tam nadzwyczajnie. Z polecenia ordynata w parku, w ogrodach kwiatowych, na tarasach miało być jeszcze piękniej niż każdego roku. Główny ogrodnik-botanik, znakomity dekorator, z pomocą zastępu ogrodników, chłopców ogrodowych i mnóstwa ludzi pracował od świtu do nocy. Służba cieszyła się, oczekując młodej pani z upragnieniem; znali ją już wszyscy i kochali, jak kto umiał.

W Słodkowcach było również weselej. Pani Idalia powróciła z Lucią z Francji w lepszym usposobieniu. Nie mogła już okazywać niezadowolenia, patrząc na zupełny spokój ojca i księżnej. Lucia pisywała do Stefci gorące, egzaltowane listy. Czekała ślubu niecierpliwie, ciesząc się, że młodzi Michorowscy nie wyjadą w lecie za granicę. Riwiera nie wpłynęła na dziewczynkę dodatnio, nie pozostawiając nawet zbyt miłych wrażeń - głównie dlatego, że Lucia w niewesołych była warunkach, bo w ciągłej rozterce z matką. Powróciła prawie chora na nerwy. Uspokoiły ją Słodkowce i

Waldemar. On stał się dla niej jakimś bożyszczem. Okazywał jej więcej serdeczności niż dawniej, bronił ją przed matką i otaczał swą opieką. Lucia miała przed kim zwierzać się, ufała Waldemarowi bezwzględnie. W jednym z listów do Stefci chwaliła się łaskami ordynata. Stefcię to ogromnie ucieszyło. Myślała o Luci zawsze jak o siostrze. Niepokoiła ją jeszcze pani Idalia.

Ale baronowa miała swe zasady wyłączne.

# XXVII.

Stefcia żyła teraz gorączkowo, w ciągłym podnieceniu. Zbliżająca się chwila małżeństwa z ordynatem wstrząsała nią, niepokój rozkoszny przenikał jej nerwy. Ale czasem niepokój ten zmieniał się w stan trwożliwy, napełniał ją smutkiem. Była narzeczoną ordynata, lecz nie mogła wyobrazić siebie żoną jego. Zdawało jej się to szczęściem tak wielkim, że aż zabijającym. Odczuwała rozkwit wiosny, upajała się nią, jak przed rokiem w borku w Słodkowcach, ale już inaczej. Może jeszcze poetyczniej, lecz nie tak swobodnie - trochę smutniej. Sama nic pojmowała tego objawu, dziwiła mu się, nie mogąc wykorzenić z siebie. Jakiś nieuchwytny lęk cieniutką siecią omotywał ją coraz więcej. Miewała wizje, które ją przerażały i wsączając się w jej duszę, rodziły mętne przeczucia.

I tęsknota! Stefcia tęskniła do Waldemara.

A tęsknota to jakby wielka chmura rozmaitych odcieni uczuć... to wielka czara pierwiastków rozmaitych wrażeń... to gołąb pocztowy miłości...

W tęsknocie są uczucia ciche, słodkie, są nieme, lecz tkliwe rozrzewnienia, jak zawsze jakiś pyłek żalu, odrobina goryczy i skarga. Gdy się tęskni, różnorodność wrażeń jest tak wielka, że się samemu nie wie, co nam jest, ho można być jednocześnie i wesołym, i smutnym, i tkliwym, i szorstkim, a wszystko się zamyka w jednym słowie - tęsknota!

Listy od Waldemara, długie i gorące, uspokajały Stefcię. Ale zaczęła wkrótce odbierać inne... jakieś anonimy. Nie mówiła o nich nikomu, lecz niepokój wzmógł się. Czatowała na pocztę wyławiając z niej często coś dla siebie strasznego. Z każdego takiego łachmana podłości ludzkiej dowiadywała się, że jest szlachcianeczką, parweniuszką polującą na miliony ordynata, na jego nazwisko i mitrę w herbie; że marzy o tytule ordynatowęj.

W innym znowu starano się ją przekonać, że ordynat poślubia ją głównie dla powetowania przeszłości, że chce naprawić błędy dziadka, ale że popełnia mezalians, sam to rozumie i nie ukrywa się z podobnymi zdaniami wśród arystokracji.

Stefcia nie wierzyła, lecz jad zatruł jej duszę.

Truciznę zadawano biednej Stefci stale. Męczyła się, badając swe czyste sumienie. Kilka razy chciała napisać do Waldemara o anonimach, lecz bała się. Gwałtowny charakter ordynata mógł tu bardzo wybuchnąć, pominąwszy wrodzony takt i zimną krew jego. Stefcia nie chciała narażać Waldemara. Anonimy, pisane dość śmiało, zdradzały nawet autorów. Stefcia odgadywała

w nich tylko Barskich i hrabinę Ćwilecką, wiedząc, że do napisania anonimu trzeba wyłącznego talentu i bardzo małej uczciwości. Nikt więcej z arystokracji nie zdobyłby się na tak brudną intrygę. Stefcia była niemal przekonaną, że się nie myli co do autorów. Ale intrygę prowadzono wybornie. Coraz inne charaktery pisma zdołały oszołomić Stefcię. Listów takich otrzymała cztery i zwątpiła o uczciwości ludzkiej, posądzając już więcej osób nad Barskich i Ćwilecką. Nie było w tych listach brudnych słów, jak często w anonimach, lecz brudne myśli, wypowiedziane w eleganckiej formie. Autorzy anonimów nie podszywali się pod miano dobrych przyjaciół - przeciwnie, wypowiadając śmiało swe ostrzeżenia, rzucali jej obelgi z bezwzględnością panów świata! Każdy elegancki, zaprawiony ironią zwrot ranił Stefcię, każdy tchnął nienawiścią sferową. Każde słowo było obliczone, aby ją zmiażdżyć! Stefcia szarpała się w walce z sobą. Miłość dla Waldemara, pragnienie szczęścia dla niego i obawa, aby jej miłość nie zatruła jego spokoju - borykały się w straszny sposób. W rozgorączkowanej imaginacji Stefcia widziała Waldemara zmęczonym, nieszczęśliwym. Dręczyły ją te wizje. W jego uczucie wierzyła święcie, wiara w niego w jej duszy nie zachwiała się ani razu, lecz obawy rosły, by nie zostać nieszczęściem jego życia. On ją obroni od wszelkich napaści, ale czy sam zdoła się ukryć przed nimi? czy go nie zatrują, czy przebaczą mu jego odstępstwo?... Więc będzie się męczył, zdusi w sobie żal do swoich, który z czasem pod wpływem goryczy może się zmienić w żal do niej samej. Więc czy ona ma prawo narażać go

dla własnej miłości?... Czy potem los nie obmyśli zemsty dla niej? Czy życie całe odpowie szczęściem obecnej chwili?

- Boże! Boże! dodaj mi sił! prowadź! daj zmiłowanie!

Stefcia rozpaczliwie chwytała się za głowę, łapiąc powietrze w spalone wargi. W chwilach najstraszniejszych pisała do Waldemara długie, szczere listy, lecz wysłać ich nie miała odwagi. Chowała wszystkie do biurka. Jej zdrowie zaczęło niknąć, bóle głowy męczyły ją dolegliwie. Państwo Rudeccy, nie wiedząc nic o anonimach, nie pojmowali usposobienia Stefci, domyślając się jedynie, że to wpływ bujnego temperamentu dziewczyny, jej miłości i tęsknoty za narzeczonym. A może bliskość małżeństwa z Waldemarem działała na nią tak podniecająco.

O tym, że Stefcia boi się trochę sfery ordynata, państwo Rudeccy wiedzieli, ale widując ją w otoczeniu arystokracji nie sądzili, żeby te obawy mogły być zbyt silne. Energia ordynata, jego pewność siebie, miłość dla Stefci, zresztą wybitne stanowisko pośród własnej stery usuwało wszelkie wątpliwości, że on potrafi ocalić Stefcię. Pan Rudecki wiedział od panny Rity o przebiegu walki ordynata z rodziną w Obronnem w łagodniejszej trochę formie i zwycięskim stanowisku Waldemara. Pan Rudecki był pewny szczęścia córki. Jednakże ordynat, bawiąc w Ruczajewie w czasie świąt, prosił go, aby nie dopuścił do Stefci anonimów, które mogą być przysyłane. Nie miał pewności co do tego, ale ostrzegał na wszelki wypadek, przeczuwając zemstę Barskich. Anonimy jednak dochodziły do Stefci, posypały się jakby umyślnie, kiedy już

czujność pana Rudeckiego osłabła. Stefcia, czytając te listy, nieraz chciała je poszarpać, lecz ból i jakaś ironia nie pozwalały jej na to.

Ciągła walka, zmaganie się różnych, a jednakowo silnych uczuć trawiło ją. Zbladła, oczy przygasły, nie sypiała po nocach. Usta, zawsze pąsowe, świeże, miał teraz spieczone wewnętrzną gorączką. Stała się niesłychanie drażliwą. Po całych dniach przebywała z listami Waldemara w ogrodzie lub w polu. Często z nieskończonych swych wędrówek przynosiła pęki kwiatów i rozkwitłych gałęzi drzew. Usposobienie Stefci z każdym dniem stawało się gorsze. Przed rodzicami ukrywała swój ból widząc, że się smucą jej wyglądem. Tuliła się do nich, tłumiąc łzy. Tylko Jurek podpatrzył parę razy, że płakała, lecz ona uprosiła go, aby nic nie mówił rodzicom.

- Mamie i ojczusiowi nie powiem, boby się zmartwili - odrzekł rezolutnie - ale do pana Waldemara napiszę, jak jeszcze raz zobaczę, że beczysz. Poczekaj, on ci da dobrą burę. Cóż to! będziesz mi tu wyprawiała beki, mając takiego narzeczonego? Taki dzielny i dobry, a ona jeszcze nierada? niewdzięcznica jedna! Żebyś za tego Trestkę szła za mąż, to i ja bym beczał razem z tobą, bo mu ciągle binokle z nosa lecą, a on podnosi i takie brzydkie miny robi. Ale za ordynata? - ej, Stefa, Stefa!

- Jurku, nie dokuczaj mi, proszę cię. Widzisz, jakiś ty niedobry? - żaliła się rozdrażniona Stefcia.

- No, już nie będę, nie tylko nie becz. Dlatego pan Adam dobrze mówi, że arystokracja to nicpotem. Na ordynata niby inaczej patrzy, ale zawsze i on z nich, a pan Adam mówi, że nigdy nie wiadomo, co arystokrata ma za skórą.

Stefcia rozpłakała się. Chłopak przypadł do jej kolan i obejmując ją wołał żałośnie:

- Stefciu! Stefulu! nie płacz! Ja głupi jestem i pan Adam też. Już nigdy nic nie powiem na arystokrację, tylko nie płacz. Kwiatów ci narwę, Stefa. W gimnazjum będę mądrzejszy.

Tak się zawsze kończyły napaści Jurka na Stefcię. Chłopak z dumą opowiadał wszystkim o mającym nastąpić po wakacjach wyjeździe do szkół warszawskich i nawet nauczycielowi nie pozwolił nad sobą przewodzić. Chwalił się, że ordynat obiecał mu pokazać stajnię i psiarnię głębowicką. Jurek był to urwis co się zowie, ale dobry chłopak; kochał obie siostry, chociaż małej Zosi często dokuczał, wydając za mąż jej lalki w taki sposób, że od ślubu wracały z powykręcanymi nogami i rękoma.

- Widzisz, bo to drugi narzeczony je odbijał - tłumaczył Jurek zmartwionej dziewczynce.

Sam rozkoszował się wspaniałym kucem w pełnym rynsztunku, którego dostał od ordynata na imieniny.

Dla Stefci miał cześć wyjątkową i był jej wdzięczny za to, że nie odrzucała jego towarzystwa na przechadzkach.

Chłopak usługiwał siostrze z zapałem. Gdy Stefcia rysowała kredkami z natury widoki ruczajewskie, nosił za nią przybory malarskie i wyszukiwał najpiękniejsze miejsca do szkicowania. Ale gdy Stefcia próbowała węglem

zrobić z fotografii portret ordynata, ciągle jej przeszkadzał, wołając:

- Niepodobny! Peckasz. Wstydź się tak mazać narzeczonego.

Pewnego popołudnia Stefcia otrzymała list od Waldemara z Warszawy. List ten wstrząsnął nią.

- Za dziesięć dni nasz ślub? Tak prędko! - zawoła zdumiona.

I nagle wydało jej się to takim niepodobieństwem, że aż powtórzyła drugi raz:

- Za dziesięć dni mój ślub z nim - z Waldemarem... z Waldym...

A po chwili dodała ciszej, jakby z przestrachem:

- Z Waldemarem Michorowskim, ordynatem głębowickim... czy to możliwe?...

Zamyśliła się z trwogą w sercu.

On przyjedzie, zabierze ją do Warszawy, pojadą wszyscy... ona zostanie jego żoną... Mi-chorowską... A co będzie potem?... szczęście czy niedola?

Chodziła po ogrodzie rozgorączkowana. Pod jej stopy padały białe kwiatki wiśniowych kwiatów, ścieląc się jak ślubny kobierzec. I woń płynęła słodka z rozkwitłych drzew. I ciepłe a trzeźwe prądy przenikały powietrze. Stefcia chodząc zamyślona, spoglądała na ćmę krążących motyli, słuchała brzdęku pszczół i gwizdu wilgi. Czasem zagruchał dziki gołąb lub zaświstał kos. Wszystkim tym głosom wtórowała kukułka.

- To było przed rokiem w borku w Słodkowcach - myślała Stefcia - tak jest i w parku głębowickim. Już wkrótce ja tam zostanę na zawsze z nim. Waldy ze mną!... Boże! ile zmian przez ten rok, ile szczęścia!

Stefcia powróciła do swego pokoju, niosąc pęk świeżych rozkwitłych konwalii. Pokoik jej wyglądał jak jeden ogród, bo ordynat co tydzień przysyłał narzeczonej kwiaty z Głębowicz albo z Warszawy. Przysyłał nawet z Petersburga, gdzie bawił kilka dni w sprawach towarzystwa rolniczego. Jurek nanosił do pokoju siostry mnóstwo kwiatów polnych i całe misy rozkwitłych niezapominajek oraz nenufarów; z wielkim trudem wyławiał je ze stawu. Nawet Zosia obdarzała ją czasem garstką zmiętych narcyzów, mówiąc ze smutną minką:

- Ty już pojedziesz od nas z tym ładnym panem. Zosia ci narwała kwiatków, żebyś ją kochała. Będziesz?

Stefcię takie dowody pamięci małego rodzeństwa rozrzewniały bardzo i ujrzawszy kilka bratków na stoliku, związanych trawą, pomyślała z uśmiechem.

- Pewno prezent od Zosi. Pójdę się z nią pobawić.

Ale myśl jej skierowała się w inną stronę. Stefcia otworzyła szafę. Wisiała w niej suknia ślubna, przysłana przed paru dniami z Warszawy. Wyjęła ją i rozłożywszy na kanapce, zaczęła oglądać. Suknia była śliczna. Na białym atłasie rzucona, cieniuchna, przezrocza gaza, matowa i piękna, przeświecała delikatnie świeżym połyskiem. Bardzo długi tren w jedwabistych zwojach gazy dodawał sukni dziwnego majestatu. Stefcia ułożyła na sofce zgrabne atłasowe pantofelki i stała zamyślona, patrząc na tę szatę jaśniejącą, niby

anielską. Nagle otrząsnęła się i zawołała do siebie głośno:

- Włożę ją. Zobaczę, jak będzie.

Zaczęła się ubierać, ale z trudnością mogła sobie poradzić z masą gazy i atłasów. Jednak włożyła cały strój ślubny, nawet niezmiernie długi welon upięła na głowie, ubierając konwaliami w girlandkę. Wieniec ślubny i kwiaty przy boku miała mieć z pomarańczami głębowic-kiej zupełnie świeże.

Gdy w wysokim lustrze zobaczyła odbicie swej postaci, radosny uśmiech okrasił jej bla-dawą twarzyczkę.

Długi czas oczu nie mogła oderwać od zwierciadła. Suknia, wytwornie, ale skromnie zrobiona, leżała na niej z wykwintną elegancją. Opływały ją gazy jak białe mgły, jak obłoki przejrzyste i powiewne. Delikatne jedwabne fale welonu tworzyły cudne a niepochwytne tło dla jej stylowej główki w masie włosów, połyskujących złotem, i dla jej rysów, rzeźbionych subtelnie, z artyzmem, jakby z jednej perły w przedświcie jutrzenki. Stała tak młoda, wiotka, tchnąca czarem, jakby przed chwilą sfrunęła z obłoków, tych tam różowości i delikatnych lazurów górnych. Oczy jej rozbłysły szczęściem.

- Dla niego się tak ubiorę - myślała z rozrzewnieniem. - Co on powie, jak mię taką zobaczy?

Zmrużyła oczy i ujrzała w wyobraźni Waldemara niby żywego. W czarnym fraku, z białym gorsem, z kwiatem pomarańczowym w klapie, nachyli się do niee i powie tym swoim dźwięcznym barytonem:

- Jedyna moja, malutka! Jakaś ty urocza, cudzie mój!...

I zadrżą mu jego pyszne usta, poruszą się nozdrza i cała twarz męska, szczupła nabierze znanego Stefci wyrazu słodyczy, którą tylko ona wywołać potrafi w tych energicznych rysach. W szarych źrenicach błyśnie mu tryumf i duma, rzut gorącej krwi ożywi jego smagławą cerę. On ją zdobył, on ją będzie miał.

Stefcia, uśmiechnięta, otworzyła oczy i szepnęła cichutko:

- Za dziesięć dni już! już! Czego się boję?... Tyle szczęścia!

Weszła pani Rudecka. Krzyknęła lekko na widok córki. Chwilę stała zapatrzona i wyciągając do niej ręce zawołała:

- Jakaś ty śliczna, Stefciu!

- Czy i on to samo powie, mamo? i Waldy?...

- Śliczna jesteś, twój Waldy zachwyci się tobą na nowo.

Ukazał się pan Rudecki z listem w ręku.

- Stefciu?... Aa!

Popatrzył na córkę rozradowany.

- Wspaniała jesteś!

- Pani ordynatowa Michorowska - rzekła przeciągle matka, lubując się trochę brzmieniem tych słów.

Stefcia drgnęła. Ojciec objął ją i pocałował.

- No, jeszcze teraz jest Rudecka, nie tytułujmy jej przed czasem - rzekł z marsem i wręczył córce list.

- Patrz, drugi list do ciebie. Ale to nie pismo ordynata. Znalazłem go

zaledwo teraz między gazetami.

Stefcia spojrzała na adres. Koperta była elegancka, charakter ładny, ale nieznajomy.

- Od kogo? - spytała matka.

- Chyba... ze Słodkowic.

Wymieniła umyślnie Słodkowce, wiedząc jednak, że list nie stamtąd.

- Rozbiorę się najpierw.

Pan Rudecki wyszedł. Matka pomogła Stefci zdjąć suknię, ucałowała ją i również oddaliła się. Stefcia gorączkowo rozcięła kopertę.

Spojrzała na podpis - nie było go. Zamiast nazwiska stało wyraźnie:

„Jeden za wszystkich”.

Anonim.

Stefcia ścisnęła dłońmi skronie, zagryzła usta i zaczęła czytać z mocno bijącym sercem:

„Łaskawa pani! Niesłychanie zdziwieni jesteśmy, że pani pomimo tylokrotnych ostrzegań decyduje się zostać żoną ordynata Michorowskiego. Pomijamy egoizm, który pozwala pani na ten krok zbyt śmiały. Dla własnych butnych dążności, dla zadowolenia wygórowanych ambicji nie waha się pani unieszczęśliwić ordynata. Pod wszelkimi pozorami szczęścia ordynat stanie się człowiekiem zdruzgotanym. Zabierze mu pani swobodę, zmniejszy do minimum jego stanowisko społeczne, bo w kursie światowym straci ono swój blask. Ordynat nie rozumie, na co się naraża, za wielką czyni ofiarę dla powetowania przerwanej miłostki swego dziada. Z takimi skandalikami ani pan Maciej Michorowski, ani obecny ordynat nie liczyli się nigdy. Ordynat jest zaślepiony, uroda pani podnieca go, nie mógł pani zdobyć na kochankę, więc zdobywa w ten sposób, nie rachując się z następstwami. Przyjdzie czas opamiętania i wtedy przeklnie chwilę, w której zgodził się na ten krok szalony. Sfera mści się za naruszenie jej praw. Nie wolno targać się na jej tradycję uświęconą przez wielki! Kto z nią

walczy, poniesie porażkę!... Niech pani nie liczy na uprzejmość naszą dla niej jako ordynatowej. Ce ressemble un peu mai!... To niepodobna!

Pierwsze miesiące będziecie wystarczać sobie - zwykły szał du mois de miel! Szał miodowego miesiąca - ale gdy upojenie ordynata minie, prędko zrozumie, że wpadł w pułapkę. Jeśliby chciał bezczelnie wprowadzić panią w nasze sfery, proszę być pewną, że my jej nie przyjmiemy. Na gruncie neutralnym spotykaliśmy się, i to było możliwe, ale bliższe stosunki łączyć nas nie mogą. Ordynat przekona się o tym za późno! Jego dzisiejszą energię złamie fakt, który da mu w całej pełni odczuć popełniony absurd. A wówczas i pani położenie będzie smutne. Pani dla arystokracji jest i pozostanie trędowatą, mimo swej piękności. Ostrzegamy ostatni raz.

Jeden za wszystkich”.

Stefcia wyprostowała się.

Ciężary waliły jej w mózg, gorąco i dreszcze przebiegały jej członki. List włożyła do koperty, zmięła gorączkowo, wsuwając go do biurka prawie machinalnie. Przeciągnęła ręką po czole. Dłoń była zupełnie mokra. Zaczęło jej mącić się w oczach, poczuła lekkie mdłości, w głowie huczały gromy.

Podeszła chwiejnie do okna i mętnym wzrokiem popatrzyła na ukwiecony ogród.

- Trędowata! - szepnęła z bólem.

Nagle zaczęła się śmiać, strasznie śmiać... Głuchy jęk i śmiech wybuchał z jej piersi.

- Oni kłamią! kłamią! - wołała zanosząc się od śmiechu - oni się go boją! oni jemu ustąpić muszą! muszą! muszą!... on nie dopuści... on ich zmoże... boją się go! boją! Och!... och!...

Usiadła na łóżku, uspokoiła się i umilkła. Twarz jej poczęła się krzywić kurczowo, jak u dziecka przed płaczem; oczy zupełnie mętne, nieprzytomne utkwiła w dużej fotografii narzeczonego, stojącej na biurku wśród kwiatów, i szeptała coraz ciszej, pieściwym głosem:

- Waldy... Waldy mój... czyja cię unieszczęśliwię?... ty dzielny!... ty mię kochasz! ty!

ty!...

Brwi jej podniosły się na zroszonym czole i skupiły, tworząc bolesny łuk, usta drgały, opadając na dół.

- Waldy... Wal... dy... - wyjąknęła i nagle zaniosła się spazmatycznym płaczem.

Głowę rozpaloną, w której krew buchała zbitym wałem, wtuliła w poduszki, a płacz

straszny, rozpaczliwy płacz, idący z każdej kropli krwi, z każdego włókna nerwów, płacz z duszy, płacz z serca wstrząsnął nią jak orkan rozwścieczony.

To był płacz całej istoty, olbrzymi! siłą swą mogący rozdzierać kamienie, najtwardsze skały!

W mózgu miała tysiące młotów.

Ogarniał ją ogień.

## XXVIII.

W Warszawie, w pierwszorzędnym hotelu w restauracji siedział przy stoliku ordynat i Brochwicz. Waldemar nie jadł, tylko pił dużo. Był trochę ponury. Kolacja męczyła go.

- Więc jedziesz jutro? - spytał Brochwicz.

- Myślę dziś nawet.

Brochwicz spojrzał na zegarek.

- Zdążyłbyś, ale to głupstwo! radzę jutro. Załatwiłeś wszystko?

- Najzupełniej.

- Ja także. No to przez jutro się powałęsamy, odwiedzimy znajomych, a

wieczorem w drogę. Wszak twój ślub za tydzień?

- Tak, jadę prosto do Głębowicz, wysyłam konie, karety, kwiaty, daję ostatnie polecenia i sam do Ruczajewa.

- Po narzeczoną - dodał Brochwicz. - Ej! szczęśliwyś ty, człowieku! Żenicie się wszyscy

en foule, tylko ja trwam w celibacie.

Waldemar podniósł do ust kielich z szampanem.

- Któż ci broni iść w nasze ślady, mój drogi? - rzekł poruszając brwiami.

Brochwicz machnął ręką.

- Zanadto mię interesują wszystkie kobiety, żebym sobie miał wybrać jedną.

- Działo się to samo i ze mną, a jednak widzisz - jestem u mety.

- Bagatela! twoja Stefcia to złota rybka, można się było na nią wziąć. Jakież kupiłeś brylanty?

- Pokażę ci.

- Wiesz co? chodźmy już na górę, diablo nudna dziś ta sala! Nikogo znajomego, ładnej kobiety ani na lekarstwo - co mamy tu robić?

Ordynat powstał, jakby znużony, i wyszli.

W numerze Waldemar pokazał Brochwiczowi klejnoty. Był tam sznur z brylantów na szyję, kamienie miały wielkość laskowych orzechów; stosowna brosza z brylantami i wielkim szmaragdem, bransoleta, diadem do włosów i duże butony kolczyków. Wszystko z kamieni pierwszej wody. Artystyczna oprawa tworzyła pajęczynową siatkę, podtrzymującą łuny głębokich ogni tylko spod spodu.

Brochwicz oglądał ciekawie, kręcił głową, wreszcie rzekł:

- No! ależ wydałeś na to! Zyskała na tobie Warszawa. Nawet nie wiedziałem, że posiada podobne okazy. I oprawa bajeczna! To już pewno twój gust.

- Tak, specjalnie dla mnie robiona.

- Biedna Melania! - westchnął Brochwicz - żałuję jej szczerze: ona taka łasa na te kamyczki. Tylko dla niej twoje miałyby za skromny gust. Ona woli obfitość: kilka sznurów na szyję, przepaska do włosów sięgałaby nieba, bransoleta szerokości dłoni, kolce do ramion. O! tak dla Melanii!

- Dostanie od Zanieckiego.

Brochwicz parsknął śmiechem.

- Waldy, czy żartujesz, czy jesteś nieprzytomny? Zaniecki, jeśli kupi klejnoty Melanii, to chyba za pieniądze Barskiego. On u przyszłego teścia nawet na własną wyprawę pożyczy!

Ordynat machnął ręką.

- Prawda! - rzekł obojętnie.

Pochował pudełka, po czym dotknął ręką głowy.

- Waldy? słuchaj, co tobie jest? Wydajesz mi się dziwnym. Połóż się - rzekł Brochwicz.

Waldemar chodził po pokoju widocznie zdenerwowany.

- Wiesz co, ja chyba pojadę dziś: coś mię dręczy.

- Chory jesteś?

- Ech! co znowu!

- No to zostań! To są, widzisz, takie przedślubne momenty. Ja ich nie przechodziłem, ale

rozumiem, cela va sans dire! Kawalerstwo szumne, junackie idzie na strych i naturalnie ma tremę. Twoje małżeństwo ponętne, ale... ale zawsze to już tyły armii - nie kawaleria! To musi

wytwarzać wielkie charivari [zamieszanie] w myślach. Veni Creator cię wyleczy, zobaczysz.

Ordynat roześmiał się.

Zadowolony Brochwicz, że rozchmurzył przyjaciela, wyciągnął się wygodnie na sofce i założywszy ręce na piersiach, mówił wesołym głosem:

- Hej! kiedy to ja będę grzebał swoje kawalerstwo i jaką też będzie przyszła hrabina Bro-chwiczowa? Ciekawym! Waldy, jak ty kochasz swoją Stefcię? Czy bardzo „tniesz Platona?" -i czy ona w to wierzy? Bo ja nie. Twoja narzeczona jest inteligentna i nie zalicza się do okropnej sekty niewiniątek spuszczalsko-oczkich, a znowu twoje rozdęte chrapy potrafią uświadamiać. No, u was jest dużo ideału, ale...

- Mój drogi - przerwał Waldemar - tak ja, jak i moja narzeczona wiemy, że miłość zupełnie platoniczna pomiędzy mężczyzną a kobietą jest taką samą legendą jak kwiat paproci: oczekują na jego rozkwit, wierzą, że istnieje, ale w rzeczywistości nikt go nigdy nie widział.

- Brawo! - zawołał Brochwicz - i trzeba mieć zapaloną romantyczną głowę, aby wierzyć w to, co nie istnieje. Adam do Ewy także wzdychał platonicznie, dopóki mu z żebra nie wylazła; później podobno zmienił zdanie.

- A jednak - rzekł, ożywiając się Waldemar - przeszły wieki, przyjdą nowe, długie wieki, a miłość będzie zawsze grasowała w sercach ludzi i we krwi niezmiennie. Istniała w epoce kamiennej, krzemiennej i istnieje w dzisiejszej kulturze. Tylko zmienia wierzchnią szatę: w epokach pierwszych miała na sobie skórę zwierzęcą, w wiekach średnich - poetyczną pasterską szatę trubadurów...

- Dziś ubiera się w szelesty i złoto - dokończył Brochwicz.

- No, nie zawsze, ale i dziś jest różną: misterne połączenie przedpotopowej zwierzęcości z nowoczesną elegancj ą.

- A wy dodaliście i średniowieczną idyllę, co stworzyło całość wspaniałą - mówił Brochwicz. - Wasze uczucia zachęcają mnie bardzo, to jakby poemat, ale wątpię, czy ja się na takie dzieło zdobędę kiedykolwiek. Ty, Waldy, dobrze mówisz, dobrze piszesz, więc i wybornie kochasz. Ale! ale! twoje ostatnie artykuły społeczne: Patrzą na nas, i ten drugi o syndykacie rolniczym, wywołały zgrzyt zębów u Barskiego, a oczarowały ogół. Ty masz w sobie ogromnie dużo satyry, zaciekawiasz ostrzem pióra, a łagodzisz gdy trzeba.

Brochwicz mówił dalej na ten temat, ale Waldemar już nie słuchał go. Był roztargniony i dziwny. Nagle podszedł do guzika elektrycznego w ścianie i

szepnął do siebie:

- Jestem zanadto niespokojny. Nie rozumiem tego. Pojadę.

Lecz nie zdążył nacisnąć dzwonka, gdy zastukano do drzwi. Wszedł lokaj, podał ordynatowi telegram i wyszedł.

Waldemar szybko rozwinął papier. Bladość pokryła jego twarz.

- Co się stało? - zawołał Brochwicz zerwawszy się z kanapki.

Waldemar wręczył mu telegram, sam gwałtownie zadzwonił.

Brochwicz przeczytał:

„Stefcia bardzo chora. Proszę natychmiast przyjeżdżać. Rudecki".

Lokaj wpadł zadyszany.

- Rachunek! Pakować rzeczy! Konie na dworzec terespolski - krzyknął Waldemar.

Służący wybiegł.

- Czy mam jechać z tobą? - spytał również blady Brochwicz.

Waldemar wyrzucał z szafy ubranie. Był jak szalony.

- Jak chcesz! - odrzekł krótko.

Brochwicz namyślał się chwilę, wreszcie podszedł do ordynata i dotknął jego ramienia.

- Waldy... słuchaj... uspokój się! nie chcę cię pocieszać, bo skoro depeszują dość nagląco, to widać dobrze nie jest. Ale... uspokój się. Dam ci taką radę: ty jedziesz zaraz, niewiele masz już czasu, więc weź z sobą, co najpotrzebniejsze; ja zostanę do jutra i zabiorę resztę, a przede wszystkim brylanty.

Ordynat rzucił się.

- Ach, brylanty! - machnął ręką niecierpliwie.

- No widzisz, ja wiem, że teraz to cię nic nie obchodzi, i dlatego wezmę klejnoty z sobą. Ty zanadto jesteś roztargniony. Ja zawiozę je aż do Głębowicz.

Wszedł lokaj z rachunkiem, dwaj inni zaczęli pakować rzeczy.

W kwadrans potem ordynat jechał na kolej. Brochwicz pozostał sam w hotelu.

Waldemar całą noc przemęczył się z własnymi myślami. Jechał sam w przedziale. Ogarniała go rozpaczliwa niecierpliwość. Zdawało mu się, że pociąg idzie żółwim krokiem. Pędził własną imaginacją naprzód. Widział Stefcię bladą w otoczeniu ciemnozłotych włosów, rozsypanych na poduszce, aż zęby zaciskał z bólu.

- Co jej się stało?... co się stało?...

Ostatni raz ją widział w pierwszych dniach maja. Wydała mu się bledszą, ale zdrową. Przypomniał sobie każdy jej ruch, każde słowo, każde niemal mrugnięcie oka. Tyle miała serdeczności w oczach, jej usta poddawały się jego spragnionym ustom z dziecięcą ufnością. Tak rozkosznie drżała w jego ramionach. Cieszyła się wiosną, a on ją ubierał w pierwsze kwiaty, w ruczajewskim ogrodzie zrywał dla niej wonne gałęzie.

Przypomniał sobie, jak raz siedzieli oboje na ławeczce pod czeremchą.

Śpiewały słowiki. On powstał, odłamał ogromną gałąź, gęsto oblepioną białymi gronami kwiatów. Odrywał je od gałęzi i jął obsypywać nimi Stefcię, aż na jej włosach, na piersiach, na ramionach poprzy-czepiało się pełno perłowych gron. Obsypał jej kolana. Pęki wonnych kwiatów rzucił pod jej stopy. Ona śmiała się radośnie, patrzała na niego spod ciemnych, niezmiernie długich rzęs i nagle rzekła z pełnym wdzięku grymasem, z pieszczotą w głosie:

- Tak mię pan zasypuje kwiatami...

Zaczął ją wtedy całować bez pamięci. Potem ona przypomniała ich spotkanie przed rokiem w borku w Słodkowcach.

- Miałam wtedy mnóstwo kwiatów, ledwo je dźwigałam. Pan nazwał to zielskiem, a mnie rusałką.

- Ja zaś zostałem wilkołakiem - odrzekł tuląc ją do siebie.

- Och! gniewałam się wtedy na pana! Za miesiąc skończy się rok... i jakie zmiany - mówiła szeptem.

- Za miesiąc będziesz moją żoną, będziemy w Głębowiczach.

Waldemar wstrząsnął się na to wspomnienie.

- Już za tydzień ślub i ona chora? Boże, co się stało?

Przypomniał sobie jej radość, zaraz po zaręczynach w lutym, kiedy on projektował, że po ślubie spędzą lato w Głębowiczach, a na zimę pojadą w daleką podróż po Europie, potem do Algieru i Egiptu. Jak ona się ucieszyła! Wolała Głębowicze od nie znanych sobie krajów. Tak ślicznie powiedziała:

- Do Głębowicz... z panem...

Waldemar ściskał głowę. Silne tętna rozsadzały mu skronie.

- Co jej się stało?

Albo wówczas, kiedy odjeżdżał z Ruczajewa po świętach wielkanocnych, jak ona się o niego obawiała, że jedzie w nocy i że na drodze były jakieś miejsca niebezpieczne. Wszyscy mu odradzali, ale on spieszył na posiedzenie towarzystwa rolniczego i postanowił jechać. Dopiero potem w Głębowiczach znalazł niechcący w kieszeni palta mały srebrny medalik z Najświętszą Panną, na cieniutkim łańcuszku, kilku ściegami nitki trzymający się kieszeni. Odgadł, że to od niej. Wzruszyła go troskliwość narzeczonej i jej ciche oddanie go w opiekę Bożą.

Patrzał teraz na fotografię Stefci w medalionie i przemawiał do niej najczulszymi wyrazami, pieścił ją w myśli, tulił do siebie. W przedziale chodził od okna do okna. Drażniła go ciemność nocy, jakby tylko ta noc odgradzała go od Stefci. Waldemar stawał się chwilami szalony z trwogi.

Ranek był jasny, pachnący, wesoły, kiedy powóz ruczajewski stanął przed gankiem. Ordynat wpadł do przedpokoju. Naprzeciw niego wyszedł pan Rudecki zmęczony, z podkrążonymi oczyma.

- Co jest? czy lepiej? - wyrzucił z siebie ordynat.

Pan Rudecki powiedział głucho:

- Zapalenie mózgu. Dziś gorzej.

- Boże! - jęknął Waldemar. - Jaki powód choroby? Kto leczy?

- Miejscowi doktorzy i profesor z Warszawy.

- Kiedy zachorowała?

- We środę wieczorem.

Ordynat spojrzał jak wściekły.

- I mnie dopiero w sobotę zawiadomiliście? Jak można było?! - zawołał wzburzony.

- Telegrafowaliśmy po przyjeździe profesora. Pomoc lekarska była natychmiast. Robimy, co w naszej, mocy - odrzekł szorstko Rudecki.

- Gdzie ona?

Rudecki zgarbiony posunął się naprzód.

W salonie spotkali doktorów. Ordynat powitał ich gorączkowo i bez słowa poszedł dalej.

W pokoju Stefci, w półmroku, Waldemar obok łóżka ujrzał profesora z Warszawy; trzymał on puls chorej. Przy nim stała pani Rudecka. Szybko zbliżyła się do wchodzących.

- Cicho... śpi... - rzekła szeptem.

Witając Waldemara zaczęła płakać. Profesor wstał, powitał ordynata.

- Jak pan znajduje? - spytał Waldemar zdławionym głosem.

- Panie ordynacie... łudzić się trudno... jest bardzo źle... ale Bóg łaskaw. Robimy co można.

Waldemar ukląkł przy łóżku. Delikatnie wziął rękę Stefci, białą, zda się przeźroczystą, gorącą jak ogień. Chora spała z głową obłożoną lodem, fale krwi przepływały jej przez twarz. Usta miała nieco otwarte, bardzo karminowe, spieczone gorączką, palący oddech wychodził z nich szybki, nierówny. Waldemar wpatrzył się w mizerną twarzyczkę Stefci, dłoń jej leciutko przycisnął do ust. Rwało mu się w piersi, oczyma suchymi, lecz pełnymi strasznego bólu ogarniał wątłą postać dziewczyny, która śród poduszek, pod kołdrą rysowała się delikatnie. Włosy wysunięte spod kompresu, otaczały jej głowę ciemnozłotym wieńcem.

Waldemar klęczał długo. Oparł czoło na ręce Stefci i słyszał, j ak w tej drobnej dłoni pulsowały żyłki, i odczuwał drgania nerwowe.

Obudził go z odrętwienia profesor, zmieniając okład z lodu. Widok odkrytego czoła dziewczyny, gładkiego, bladoróżowego, ze zmoczonymi włosami dokoła, wzruszył Waldemara. Z uczuciem rozpaczy nachylił się i dotknął ustami jej skroni.

Gdy nowy okład położono, Waldemar cicho spytał:

- Czy jest przytomna?...

- Prawie zawsze... nie - odrzekł profesor.

- Więc stan jest... niedobry?

- Groźny!... Ale niech się pan nie przeraża. Myślę, że to może przesilenie.

Odciągnął ordynata na bok i patrząc bystro w jego poruszoną twarz, spytał szeptem:

- Panie ordynacie, proszę o parę szczegółów.

- Służę panu.

- Ślub państwa miał odbyć się wkrótce - tak?

- Ósmego czerwca.

- Więc już w tę sobotę. Dziś mamy niedzielę. Czy dawno widział pan narzeczoną ostatni

raz?

- Przed trzema tygodniami.

- Była zupełnie zdrową?

- O tak! tylko nieco bledszą niż zwykle. Co profesor przypuszcza... jaki powód choroby?...

Stary uczony gładził brodę prędkim ruchem. Zaczął mówić niepewnym głosem:

- Hm! jakieś musiała mieć psychiczne wstrząśnienia, innego powodu nie widzę. Przebieg choroby ostry i złośliwy: chora majaczy, wypowiada słowa budzące podejrzenia.

- Jakie słowa? - zawołał Waldemar przerażony.

Wtem Stefcia poruszyła się. Ordynat przypadł do łóżka, ukląkł. Stefcia miała oczy szeroko otwarte, mętne, pokryte łzawą powłoką, rękoma wykonywała jakieś ruchy koło głowy, usta szeptały ciągle.

Waldemar bez oddechu śledził ją zdrętwiałym wzrokiem. Wziął jej ręce w swe dłonie i ściskał delikatnie.

- Stefciu... skarbie mój, jedyna moja, to ja... Waldy... przy tobie jestem... Stefciu - mówił głuchym głosem.

Dziewczyna szeptała ciągle.

- Co ona mówi? - spytał profesora.

- Majaczy bez przerwy.

Waldemar powstał, pochylił się i przyłożył ucho do ust Stefci.

- On... dzielny... boją się go... nie.. nie chcę go zabijać... - mruczała cichutko, ledwie dosłyszalnie.

Waldemar wyprostował się, dłonią przeciągnął po czole.

- Co to znaczy?... co ona mówi?

Okropną obawę wyrażały j ego rysy.

Nagle Stefcia rzuciła się gwałtownie.

- Trędowata! Trędowata! - krzyknęła głośno.

Waldemar cofnął się jak ugodzony straszną siłą, blady przerażająco. Spojrzał rozpaczliwie na profesora i państwa Rudeckich.

- Co to jest?... na Boga! co znaczy ten okrzyk? - wycharczał ze zgrozą.

- To słowo powtarza się bardzo często w majaczeniu chorej - odrzekł profesor, patrząc badawczo na zmienioną twarz ordynata.

Waldemar porwał Rudeckiego za ramię.

Weszli do bocznego pokoju. Ordynat ścisnął ramię Rudeckiego z siłą konwulsyjną.

- Stefcia otrzymała anonim - rzekł przez ściśnięte zęby.

- Anonim?... Skąd pan wie?

- Otrzymała na pewno! Widzę to z jej słów. Ja... ja... ostrzegałem pana, że

szelmostwa mogą być... nie uchroniliście! Zabili mi ją... Boże!

Załamał ręce z rozpaczą straszliwą.

Pan Rudecki zdrętwiał, patrzał na ordynata nieprzytomny.

- Przysięgam panu, że czuwałem. Nie było nic, chyba - teraz - w ostatnich czasach, odbierała dużo listów.

- Gdzie są te listy? Chcę je mieć - zawoła Waldemar.

- Nie wiem. Zwykle chowa w biureczku swoim. Może tam są.

Pana Rudeckiego domysł ordynata przeraził.

Powrócili do pokoju Stefci. Spała znowu. Zbliżyli się do biurka. Ordynat cicho otwierał wszystkie szufladki i ku wielkiemu zdumieniu pani Rudeckiej i profesora wyjmował z nich jakieś pomięte arkusze w kopertach i bez kopert. Przejrzał wszystkie skrytki, zabrał znalezione listy i wyszedł z nimi bez słowa.

- Co to znaczy? - spytała męża pani Rudecka.

- Podobno anonimy. Waldemar przypuszcza...

Uderzyły go jej słowa.

- Bardzo możliwe! bardzo możliwe! - mówił kiwając głową, profesor. - I ja domyślałem się w tym jakiej ś intrygi.

- Chryste Panie! on mię przecież ostrzegał! - zawołał Rudecki łamiąc ręce.

- Ależ to nieprawda - jęknęła jego żona.

- Ale pamiętasz? Znaleźliśmy ją w gorączce, prawie nieprzytomną, tego dnia, kiedy przymierzała ślubną suknię, po liście jaki jej oddałem. Może to anonim! Pójdę, zobaczę: ja ten list poznam.

- To niepodobieństwo! Ona mówiła, że to był list ze Słodkowic.

Ale pan Rudecki już wyszedł z pokoju.

Waldemar w jego gabinecie przeglądał papiery. Znalazł własne listy w kopertach, starannie ułożone i kilka listów Stefci, pisanych do niego. Waldemar w zgniecionych papierach domyślił się anonimów, zaczął je odczytywać. Straszną miał twarz, skurczoną gniewem, bólem, żalem. Charaktery pisma nie były mu znajome, widocznie podrabiane - mimo to po stylu odgadywał hrabinę Ćwilecką i Barskich. Jeden anonim, bardzo złośliwy i najordynarniejszy, poznał doskonale po piśmie niezupełnie zmienionym: pochodził od Melanii.

- Podła istota! żmija! - mówił ochrypłym głosem.

Gdy wszedł pan Rudecki, Waldemar wskazał mu odczytane papiery.

- Patrz pan! - wołał z wybuchem żalu - te wszystkie łachmany ona otrzymywała, czytała, zatruwały ją! A ja ostrzegałem, bo złych ludzi nie brak, i te brudy doszły do jej rąk.

Pan Rudecki, blady, przebierał między papierami. Nagle Waldemar wziął do rąk nowy list w kopercie, zgnieciony. Prędko rozprostował go. Pan Rudecki zadrżał. Poznał ostatni.

- Ten oddałem jej we środę. Mówiła, że to ze Słodkowic, ale... zaraz po nim zachorowała. Czy i to anonim?

Waldemar obejrzał list. Charakteru nie znał. Zaczął czytać wzburzony.

Nagle rzucił się, postąpił krok naprzód, przebiegał list palącymi oczyma. Ręce mu dygotały, twarz mieniła się rozpaczą, wstrętem.

Krzyknął głucho, papier wypadł mu na podłogę. Waldemar załamał ręce nad głową.

- Ten ją zabił!... ten ją zabił!... Bezczelny!...

Ciężko usunął się na krzesło, rękoma ścisnął skronie. Pan Rudecki podniósł list, przeczytał.

- Jezus Maria! - jęknął rozpacznie.

Weszła pani Rudecka.

- Co wam się stało? - spytała przerażona.

Mąż wskazał jej listy.

- Zabiliśmy dziecko! zabiliśmy tym! Straszne! straszne!

Matka Stefci przypadła do papierów.

Waldemar zerwał się z krzesła, siny na twarzy. Zęby mu błyszczały, charczenie wychodziło z jego piersi.

- Wy przez nieuwagę, ale tamci podłością. Czemu ja o tym nie wiedziałem? Te bezczelne kłamstwa kulami bym przypieczętował! Ja bym zdemaskował autorów - zapłaciliby mi krwią!

Głos jego potężniał, grzmiały w nim pioruny.

- Proszę natychmiast o konnego posłańca na pocztę! - krzyknął i wybiegł z pokoju.

W dziesięć minut potem posłaniec gnał co sił starczyło w koniu, wioząc telegramy do kilku stolic europejskich, wzywające sławnych potentatów medycznych.

W Ruczajewie płynęły godziny w straszliwym natężeniu. Choroba Stefci potęgowała się, rzadkie chwile przytomności błyskały krótko. Państwo Rudeccy tracili głowę, tylko ordynat potroił energię, był niewyczerpany. Nie odstępował od Stefci, sam ją przenosił, gdy przeście-łali jej łóżko, sam zmieniał zimne okłady. Troskliwością zadziwiał doktorów. Nie sypiał, nie jadł, oczy mu gorzały jakąś tłumiącą wszystko siłą, jakąś potęgą, która go druzgotała.

- Muszę ją ratować! muszę! muszę! - powtarzał z uporem.

Sędziwy profesor, znający go dawniej, kręcił głową zdziwiony; nie spodziewał się po nim tak silnych uczuć.

Jednego wieczora, kiedy Waldemar sam w pokoju klęczał przy łóżku Stefci, trzymając jej dłoń, ona przytomniej otworzyła oczy. Patrzała chwilę na niego i uśmiechnęła się.

- Waldy - wionęło cichutko z jej ust.

- Złota moja! najdroższa! dziecko moje! - szeptał Waldemar z bolesnym skurczem w krtani, okrywając pocałunkami jej ręce. - Poznałaś mię, poznałaś?...

- Waldy... - powtórzyła Stefcia.

- Jestem tu, przy tobie, jedyna, czuwam nad tobą...

Stefcia przysunęła głowę do ramienia narzeczonego i rozpaloną twarz

przytuliła do rękawa jego ubrania. Ta niema pieszczota wzruszyła Waldemara. Załkało mu w piersiach. Objął ją i gorącymi ustami przylgnął do jej policzków.

- Ja chora jestem, prawda? - spytała szeptem.

- Tak, złota moja, ale już jesteś zdrowsza. Co cię boli?

- Głowa... głowa... pali mię... kamienie w głowie.

- To przejdzie... przejdzie... wyzdrowiejesz... będziesz moją.

Gwałtownie poruszyła się, podniosła na niego oczy.

- Kochasz mię zawsze?... kochasz? - spytała.

- Kocham, jedyna... więcej niż własne życie. Ale nie ruszaj się, leż spokojnie.

- Kochasz mię? Będziesz szczęśliwy? ty... nie wiesz nic... ja ciebie zabiję... Waldy... Waldy...

Łzy błysnęły w jej oczach. Waldemar tulił ją do siebie.

- Uspokój się, dziecko... ufaj mi... nie wierz im... nie myśl o tym... będzie wszystko dobrze... będziemy oboje bardzo szczęśliwi... bardzo, Stefciu.

Uśmiechnęła się, trąc głową o jego ramię.

- To dobrze... dobrze.

Przytomność opuściła ją na nowo. Spojrzała błędnie.

- Waldy!... ja jestem trędowata... ty nie wiesz... ja trędowata!... nieszczęśliwy!... strzeż się! - wołała gwałtownie.

Zaczęła majaczyć. Waldemar wstał, ustępując miejsca profesorowi, który właśnie wszedł.

- Boże! Boże! - jęknął ordynat. - Przed chwilą rozmawiała ze mną przytomnie.

- Długo?

- Parę minut zaledwo.

Doktor zamyślił się.

W nocy przyjechał specjalista z Pesztu, na drugi dzień dwaj inni. Odbywali narady, długie konsylia. Ordynat powiedział im o anonimach: zaniepokoili się bardzo. Mimo wszelkich usiłowań choroba nie przestała być groźną. Każdy dzień pogarszał cierpienia, każda noc wzbudzała straszne obawy. Stefcia miewała konwulsje i okropne dreszcze. Uczeni łamali głowy na próżno. Zapalenie mózgu wystąpiło w tym przypadku z dziką zajadłością. Nic przebiegu choroby nie mogło wstrzymać. Waldemar odchodził od zmysłów, ale nie stracił energii.

Przyjechali sławni doktorzy z Petersburga, z Wiednia i znakomitość z Krakowa. Wezwany przez Waldemara przyjechał we czwartek rano domowy lekarz księżnej Podhoreckiej, stary praktyk, nadzwyczaj zdolny. Tuż za nim wieczornym pociągiem przybył pan Maciej z panną Ritą. Wiedzieli już w Obronnem i w Słodkowcach o chorobie Stefci od Brochwicza i wstrzymali swój wyjazd do Warszawy na ślub. Telegrafowali kilka razy do Ruczajewa, ale nikt im nie odpowiedział. Wezwanie lekarza księżnej przestraszyło wszystkich. Telegram zastał pana Macieja w Obronnem. Nie namyślając się

długo, wyjechał natychmiast z Ritą. Cała okolica wiedziała o wypadku. W Głębowiczach padła mgławica na zamek i służbę. Brochwicz jeździł z Obronnego do Słodkowic ponury jak chmurna noc.

A ze Stefcia było gorzej. Nie poznała pana Macieja ani Rity, majaczyła ciągle. Raz tylko powiedziała głośno wobec wszystkich, jakby widząc kogoś przed sobą:

- Dobrze, .babciu... pamiętnik oddam... dziadziowi... oddam.

Pan Maciej zapamiętał te słowa.

Drugi raz w piątek wieczorem Stefcia znowu odzyskała przytomność na chwilę. Kilka osób stało dokoła niej. Waldemar klęczał, trzymając jej ręce.

Popatrzyła szeroko otwartymi źrenicami, uśmiechnęła się i wyszeptała dość głośno:

- Kochacie mnie wszyscy?... tak?

Pan Maciej przemówił do niej:

- Dziecko moje... to ja... dziadzio... i Waldy tu jest... Poznajesz nas?

- Poznaję. Waldy już dawno przy mnie. I Rita jest?...

Podniosła oczy, jakby szukając.

Panna Rita przysunęła się bliżej.

- Jestem, kochanie... jestem - rzekła całując jej ręce.

- A mama?... Ojczuś, są? Gdzie Jurek i Zosia? Chcę wszystkich.

Dziewczynka już spała, ale Jurek wysunął się zza kotary łóżka i wtuliwszy pięści w oczy, buchnął na nogi Stefci z głośnym płaczem.

Waldemar niecierpliwie odsunął go, bo Stefcia zlękła się. Pan Rudecki chciał wyprowadzić Jurka, ale chłopiec przypadł skulony na ziemię w kącie pokoju i krztusił się łkaniem.

- Czego on płacze? - spytała Stefcia obojętnie.

Nikt jej nie odpowiedział. Waldemar zaczął ją pieścić i uspokajać.

Stefcia uśmiechnęła się, objęła go za szyję ramionami i delikatnie jego dłonią gładziła się po twarzy, gorącej jak płomień.

- Mój... Waldy... mój... mój - szeptała, patrząc na niego błyszczącym fioletem przepaścistych swych oczu. Gorzało w nich piętno gorączki.

On przemawiał do niej pieszcząco, jak do bardzo ukochanego dziecka, łagodnie tulił ją do siebie, aż w jego ramionach usnęła.

Do pokoju zaczęły wpełzać mętne włókienka szarej godziny. Przez otwarte okno dochodził monotonny huk latających gromadnie chrabąszczy i obijanie się owadów o ściany domu. Lipy szumiały słodko. Wpadł nagle suchy rozgłośny klekot bociana, potem odezwały się cicho żaby i głosy swe potęgując zaniosły się jednostajną zgodną pieśnią, wyjętą z nokturnów wieczornych. Cały świat szedł do snu, młody, rozbujały jakąś fantazją junacką, dyszący pragnieniem szczęścia. Wszystko układało się na spoczynek z cichym nuceniem, aby nazajutrz budzić się wzajemnie do rozkoszy istnienia. A Waldemar, słuchając tej opery letniej, patrzał na cudny kształt dziewczyny uśpiony wśród pościeli, młody, wiośniany i... zwarzony chorobą. W całej przyrodzie kipiącej życiem ten jeden kwiat więdniał, zanikał

nielitościwie, obojętny na pobudzające prądy i szał natury. Waldemar patrzał na narzeczoną, taką cichą, bierną, i myślał ze straszną męką w sercu:

- Jutro miał być nasz ślub.

# XXIX.

Poranek rozbłysnął bogactwem barw.

Zakołysały się akacje, cichym szeptem wionęły jaśminy. Strojne, jasnozielone brzozy, spowite w białe, cętkowane atłasy, zatrzęsły mnóstwem listków drobnych, błyszczących jak z emalii. Kwiaty, krzewy, umajone drzewa witały dzień radosnym poszumem.

Rozjaśnił się czysty błękit i kryształ powietrzny. Słońce wstawało za jutrzenką, rozradowane, szczęśliwe.

A ziemia cała i wszystko, co na niej żyło, rosło, kwitło, pachniało, wszystko, co umiało śpiewać, odczuwać, świergotać - wszystko wznosiło w górę uroczysty hymn: Kiedy ranne wstają zorze...

Okno w pokoiku Stefci szeroko otwarte. Muślinowe firanki, białe w lila irysy, poruszał lekki oddech rosnących pod oknem brzóz. Smukłe, seledynowe, zwieszały wiotkie baldachimy gałązek, drżąc listkami, jakby żałośnie spływające łzy. Brzozy zaczęły wdmuchiwać do pokoju moc odurzających zapachów, całą woń z ogrodu, skrzętnie zebraną z kielichów kwiatowych; posyłały tam szmery; rozszeptany ogród rzucał w okno najpiękniejsze symfonie. Jutrzenka stroiła różem białe muśliny firanek, niosła purpurę aż do łóżka w głąb pokoju, gdzie leżała wiotka postać dziewczyny, delikatnej niby świtem zaróżowiony obłoczek.

Czoło miała Stefcia odkryte, jasne, przezrocze, i mocno zarumienione policzki. Nieco obnażona szyja pulsowała widocznie, aż koronka bielizny unosiła się leciuchno.

W pokoju pełno światła i powietrza. Dokoła chorej leżały kwiaty zniesione tu przez Jurka. Pan Rudecki chciał je wyrzucić, bojąc się, że zbytni zapach może szkodzić Stefci, lecz jeden z profesorów wstrzymał go.

- Panie, to już nie szkodzi - rzekł ze smutną powagą w głosie.

Pan Rudecki wybiegł z pokoju, upadł na kolana obok żony; szlochała skulona na ziemi przed obrazem Bogarodzicy.

Waldemar, klęcząc przy łóżku Stefci, targany szaloną rozpaczą, porywającą go w bezkresy, ściskał drobne ręce dziewczyny, a z piersi jego wychodził jęk zdławiony, do rynku podobny.

- Żyj! żyj!... na Boga... zostań... nie odchodź!

I trzęsące się usta przycisnął do gorącego ramienia Stefci. Czoło nabrzmiałe żyłami, spocone, ściągnięte bezgranicznym bólem oparł na kołdrze i modlił się, łkał suchym płaczem, trawiącym wszystko. Wstrząsała nim gorączka, szarpał go żal tak olbrzymi, że pomieścić się nie mógł nawet w tej żelaznej piersi.

A Stefcia otworzyła oczy zmącone jak zagasłe gwiazdy, kręciła głową po

poduszce, jedną ręką poruszała koło czoła, niby coś odpędzając. Z ust jej wybiegały bezładne słowa:

- Tam... strach!... Ocalejesz!... Waldy... Ile kwiatów... To ja winna!... Nie odchodź!...

- Droga moja! przebudź się... miej litość! - szeptał Waldemar głucho, sam prawie nieprzytomny.

- Nie karz... ich... Wal... dy...

Chwyciły ją konwulsje. Dwaj obecni w pokoju doktorzy podbiegli, ale Waldemara nie odsunęli. Klęczał ciągle z jej rękę w swych dłoniach, z czołem przy jej piersiach.

Po chwili konwulsje ustały. Stefcia leżała bezwładnie ze zwieszoną główką. Włosy jee opadały na czoło Waldemara.

Oddychała bardzo słabo, skroń i szyja pulsowały gwałtownie, lecz tempo zwalniało się stopniowo.

Doktorzy spojrzeli na siebie. Obaj spuścili oczy, cofnęli się od łóżka i w pewnym oddaleniu poklękali.

Widząc to pan Maciej i panna Rita uklękli również, kryjąc twarze w dłoniach. Cisza

wielka, cisza jakaś mistyczna spłynęła na jasny, wonny pokój.

Nagle w tę ciszę uroczystą posypały się delikatne rytmy, jak trele na flecie ze złota i pereł.

W brzozie pod oknem, w otoczeniu gęstych krzaków białego jaśminu, zaśpiewał słowik.

I muzykę swą posyłał wysoko aż do różowych zórz na niebie, aż do roztoczy słońca. Król dnia wyjrzał już spoza seledynowej wstążki, ostatniej z bogactw jutrzenki. Ptaszek flecikiem swym wzywał blaski, harmonijnym świstem tonów przywabiał jasne duchy z błękitów aż do stóp Wszechmocnego, aby spłynęły na tę brzozę, w to okno otwarte a ciche jak w kaplicy.

I tyle uczuć płynęło wysnutych z piersi słowika, i tyle prośby, i tyle modlitwy, że pierwsze różane zorze zaczęły dążyć w tę stronę, zabierając z sobą wszystkie barwy niebieskie.

Szło słońce młode, pyszne i niosło z sobą ciepło i blask... Szły zapachy kwiatów... Szły upajające wonie łąk... Szły wiewy ptasich lotów... Szły ciche szmery powietrzne.

I od stóp Boga zerwały się jasne duchy piękne, natchnione, wysnute z mgieł srebrnych bieli obłoków.

Cały hufiec niebieski z szelestem sfrunął w powodzi jaskrawych pasm na bujną brzozę, gdzie sygnalizował ptaszek. .

I razem ze światłością poranku, razem z zapachami kwiatów i cudną melodią wiośnianą jasne duchy dotarły do Stefci, otaczając śliczną głowę dziewczyny cichym, dobrym tchnieniem.

Słowik trylował, cieniując pojedyncze nuty, jakby przygrywkę jakąś tęskną do rapsodu Aniołów.

Gdy łóżko Stefci zapłonęło ogniem słońca w całej świetni jego potęgi, hufiec niebieski zaszumiał skrzydłami, uniósł się i na złotym sztaku wyfrunął z pokoju, powiększony o jedną przeczystą duszyczkę - Stefci.

Błękitni wysłańcy nieśli ją niepokalaną, jak ich pióra, snując nad nią czarowną glorię nieuchwytnych blasków. I lecąc ku błękitom, dążąc do stóp Boga, cały chór anielski i ta jasna nowa duszyczka dziewczyny wznieśli hejnał pobożny:

- Salve Regina...

Dreszcz przebiegł obecnych, jakby odlatujące duchy dotknęły wszystkich rąbkiem swych

szat.

Klęczący Waldemar usłyszał cichy głos doktora:

- Już... po wszystkim...

Zerwał się przerażony, okryty potem, straszny.

Błędne źrenice wpił w nieruchomą postać dziewczyny z zamkniętymi oczyma, leżącą bezwładnie w ramce złotych włosów, jak zabity biały motyl.

Waldemar bez jęku, bez słowa, tylko z dzikim wyrazem w oczach zachwiał się i ciężko runął na brzeg łóżka.

Podbiegli do niego. Zgroza zawisła nad ludźmi.

Na umajonej brzozie słowik śpiewał dalej.

## XXX.

Waldemar nie zemdlał, lecz popadł w stan całkowitego znieczulenia. Patrzał na leżącą bez ruchu Stefcię, której lekko rozchylone usta zachowały barwę kaliny jakby się krew skrzepła w nich. Uśmiechały się dziwnie słodko. Zamknięte powieki rzucały długie cienie rzęs na delikatną biel jej twarzy. Robiła wrażenie cicho śpiącej - tak pięknie ustroił jej młode ciało hufiec niebieski, zabrawszy z niego duszę, jak woń kwiatu.

Rozpacz państwa Rudeckich, ryk Jurka, płacz Zosi i wszystkich domowych nie zdołał poruszyć Waldemara. Był zdrętwiały, ogłuszony, jak błędny. Oparty na brzegu łóżka, wpijał w ciało dziewczyny tępy wzrok, z niemą a okropną tragedią.

Tak zeszła godzina, długa, pełna szlochów, ponura jak nędza.

Nagle Waldemar wstał, ręce podniósł do głowy, przetarł czoło i wyszedł z pokoju.

Pan Maciej zgarbiony, ze zmienioną twarzą, jak cień poszedł za nim.

Stan Waldemara zatrwożył go. Bał się o niego, nie spuszczał oczu z wnuka, sam potrzebujący opieki.

Ordynat wszedł do swego pokoju i zatrzasnął drzwi za sobą.

- Na Boga! otwórz! - nieludzko krzyknął starzec.

Z niebywałą siłą szarpnął drzwi, otworzył, wpadł do pokoju i zatoczył się jak martwy z przerażenia.

Waldemar miał w ręku rewolwer, wydzierał go z futerału. Starzec

przyskoczył do wnuka, porwał ramię Waldemara, chciał chwycić rewolwer, lecz ordynat szybko podniósł go w górę. Z dzikością w oczach odepchnął pana Macieja i zawołał ochrypłym głosem:

- Precz! precz!

Wyglądał strasznie. Oczy ciskały gniewem, cała twarz drgała konwulsyjnie. Stał wyprostowany z morderczym narzędziem w podniesionej wysoko dłoni. Złowrogo błyskało. Z ust wychodził mu zduszony, nieludzki pomruk:

- Ona... nie żyje... ona!

Pan Maciej jak szalony, z jękiem przeszywającym serce rzucił się do nóg Waldemara.

Starzec klęknął i obejmując kolana wnuka, załkał rozpaczliwie:

- Nie czyń tego! zmiłuj się! nie zabijaj mię!... Jej śmierć to kara dla mnie, jam przeklęty! ale ty żyj! ty żyj!

Ordynat patrzał, jakby nie pojmując.

Wtem wpadła panna Rita, błyskawicznie zrozumiała grozę chwili, podbiegła, lecz nie zdążyła - ordynat na widok jej gwałtownie zniżył rewolwer.

Huknął strzał.

Drżąca ręka i pośpiech uratowały Waldemara: kula przeleciała o parę cali od czoła i utkwiła w ścianie.

Panna Rita wydarła broń z jego dłoni.

On błędnie spojrzał na nią, wściekle rzucił się, chcąc odebrać, ale Rita cisnęła rewolwer za okno, rękę zaś Waldemara zatrzymała, silnie tuląc do ust. Oczy jej wyrażały błaganie, przejmujący żal.

Starzec klęczał skulony u stóp wnuka. Wystrzał odebrał mu na chwilę pamięć i czucie, teraz głuchy płacz targał jego piersią.

- Waldemarze! przebacz mi!... to ja przeklęty!... to zemsta dla mnie... moja Nemezys! Waldy! mój jedyny! ty całe moje życie! zmiłuj się, miej litość!...

Widok był tak okropny, że panna Rita zakryła oczy. Płacz starca boleścią swą przedarł się do duszy Waldemara.

- Dziadziu... wstań - rzekł głucho, trąc nabrzmiałe żyłami czoło.

Panna Rita pomogła dźwignąć się starcowi. On runął na piersi wnuka, trzęsący się, skołatany.

Suche źrenice Waldemara wypowiadały całą rozpacz, ból druzgotał go z gilotynową siłą. Usunął dziadka i ciężko zwisnął na krześle. Schował twarz w dłoniach.

- Boże! Boże! Boże!...

Jęk ten zdawał się zamykać w sobie wszystkie nędze i okrucieństwa życia.

Pan Maciej pozostał przy nim, panna Rita cicho wyszła, zatrzymując przerażonych strzałem rodziców Stefci.

Waldemar odczuwał straszliwie śmierć narzeczonej, przepaść widział przed sobą, ale jak bez duszy, nie mógł płakać, nie mógł się żalić. Tylko w skroniach paliło mu ogniem, w sercu czuł mróz przejmujący, jakby cała rozpacz, cały ogrom żalu skrzepł się w lód w jego żyłach. Stan jego budził

obawy.

Pan Maciej i doktor księżnej czuwali nad nim bez przerwy.

Panna Rita z pomocą jednego z obywateli okolicznych, przyjaciela rodziny Rudeckich, zajmowała się wszystkim. Wysyłali telegramy z żałobną wieścią.

Pan Maciej, przeczuwając życzenia ordynata, telegrafował do Głębowicz po kwiaty, drugi telegram wysłał do córki. W porozumieniu z panem Rudeckim sam zajął się pogrzebem narzeczonej wnuka.

W Słodkowcach, w sobotę wieczorem, zebrani byli wszyscy w sali jadalnej: pani Idalia, księżna Podhorecka, Lucia i Brochwicz, pan Ksawery i nawet rządcy Klęcz.

Złowróżbne obawy napełniały ich serca od czasu wezwania do Ruczajewa lekarza z Obronnego. Pan Maciej i Rita nie przysyłali żadnych wiadomości. Księżna przechodziła ciężkie chwile. Zamieszkała w Słodkowcach, w Obronnem nie mogła wytrzymać samotnie.

Niepewność ogarnęła wszystkich. Lucia chodziła jak nieżywa, tylko pani Idalia uspokajała księżnę, nie tracąc nadziei.

Wieczór minął szybko. Nastała noc jasna, pachnąca. Słowiki śpiewały w parku, od jeziora dochodziło głośne kwilenie rybitew. W sali jadalnej zgnębiony Brochwicz pootwierał okna i chodził od jednych do drugich niespokojny, milczący.

W pokoju kredensowym zebrana służba szeptała cicho, również trwożna i pełna obaw.

Zbliżała się północ, gdy do kredensu wszedł stróż nocny, prowadząc posłańca z poczty, Służba otoczyła go kołem. Jacenty bez słowa porwał telegram i pobiegł do sali jadalnej.

- Depesza! - krzyknął Brochwicz.

Drżącą ręką chwycił papier i rozerwał.

Pani Idalia, Lucia, pan Ksawery, Klęcz powstali z miejsc. Księżna siedziała jak przybita do fotelu.

Brochwicz przeczytał jednym tchem:

„Stefcia umarła dziś rano. Pogrzeb we środę. Waldemar niebezpieczny. Przyjeżdżajcie.

Maciej”

- Boże miłosierny! - jęknął Brochwicz i telegram wypadł mu z ręki.

W głuchej ciszy niewypowiedzianej grozy nagle rozległ się spazmatyczny krzyk Luci. Przy drzwiach Jacenty załkał głośno i prędko wybiegł do kredensu; wśród zebranej przestraszonej służby zawył jękliwie:

- Jasna panienka umarła!

Płacz ogólny i narzekania rozległy się po jego słowach.

W sali jadalnej pani Idalia cuciła spazmującą Lucie, sama ze łzami w oczach, zgnębiona śmiercią Stefci. Pan Ksawery ocierał oczy, Klęcz zagryzał wargi, przejęty nieszczęściem.

Księżna siedziała bez ruchu, niebywale blada, prawie zielona. Łzy wielkie spływały z jej oczu. Mówią szeptem:

- Stefcia umarła... - umarła?... to dziecko?... ta słodka dziewczyna? czy to możebne... Wieczny... odpoczynek... jej duszyczce...

Księżna nie dokończyła. Oparła się o fotel i załkała rzewnie.

Do sali niespodziewanie wszedł Trestka. Wystraszony, powiódł wzrokiem dokoła i rzekł kiwając głową:

- Już wiecie wszystko?...

Po czym usiadł na pierwszym krześle, nie witając się z nikim.

Przerażenie zawisło w sali. Nawet nieme portrety na ścianach zdawały się mroczniejsze.

- Miał pan depeszę? - cicho spytał Brochwicz.

- Tak, od Rity. Otrzymałem przed dziesiątą. Spieszyłem, aż konie omal nie popadały. W drodze spotkałem Jura z Głębowicz. Już i tam wiedzą. Do nich telegrafował pan Maciej. Mają wieźć kwiaty. Jur przyjechał ze mną.

Księżna powstała, chwiejąc się na nogach. Brochwicz ją podtrzymał.

- Trzeba jechać... natychmiast - rzekła stanowczo - na ranny pociąg musimy zdążyć.

Energia brzmiała w jej głosie.

Księżna postąpiła naprzód. Zatrzymał ją w miejscu krzyk Luci:

- Nie chcieliście jej!... nie chcieliście Stefci i umarła!... zabiliście ją... Stefa!... moja Stefa!...

Dziewczynka zaniosła się nowym wybuchem płaczu.

Na znak przestraszonej matki Klęcz wziął dziewczynkę na ręce i wyniósł z sali.

Księżna podniosła rękę do czoła.

- Co ona mówi?... Zabiliśmy ją?... My?... Ach, Boże!...

Baronowa wyszła z księżną robić przygotowania do drogi. Nie myślała wstrzymywać jej. Sama również postanowiła jechać.

Teraz dopiero poczuła żal jakiś dławiący, żal za Stefcią: doznała wyrzutów sumienia za swą surowość dla zmarłej.

Brochwicz wezwał Jura.

Olbrzym wszedł do sali, zatrzymał się przy drzwiach, sztywny, wyprostowany, ale bardzo zgnębiony. Brochwicz dojrzał, że miał zapłakane oczy. Szepnął do Trestki:

- Jaką ona zjednała sobie miłość - nawet służby.

- Płakał jak bóbr, gdy się ze mną spotkał - odrzekł Trestka.

Brochwicz zwrócił się do strzelca:

- Dawno dowiedzieliście się o nieszczęściu?

- O dziewiątej, panie hrabio.

- Kto telegrafował?

- Jaśnie pan starszy do marszałka dworu. Każe przywieźć bardzo dużo kwiatów... tylko białych... Pogrzeb we środę.

- Po cóżeś przyjechał?

- Myśleliśmy, że jaśnie państwo jeszcze nie wiedzą i pan marszałek nie jest pewny, jakie wieźć kwiaty: cięte czy w wazonach?

- I takie, i takie - rzekł Trestka - do ubrania katafalku potrzebne wszelkie.

Brochwicz wstrząsnął się.

- Do ubrania katafalku - powtórzył z goryczą. - Kwiaty z Głębowicz miały dziś być w Warszawie na ślubie - teraz idą na grób... Straszne!

Jur otarł rękawicą oczy. Starał się przybrać służbową postawę, lecz zaciskał pięści i usta, aby nie płakać. Ten olbrzym przywiązał się już do Stefci jak do swej ukochanej pani.

W godzinę potem Brochwicz z Jurem pojechali do Głębowicz, skąd nazajutrz mieli się udać do Ruczajewa, wioząc kwiaty.

Ze Słodkowic wyjechano zaledwo w niedzielę wieczorem, gdyż stan zdrowia księżnej nie pozwalał wcześniej. Na dworcu kolejowym spotkali księżnę Franciszkową Podhorecką z córkami.

Powitano się w milczeniu.

- Jedziesz na pogrzeb? To dobrze. A Franio? - spytała starsza księżna synowej.

- Franio został. Nie nalegałam. W takiej chwili lepiej, jak się Waldemarowi nie będzie narzucał. Zresztą... nie był w Ruczajewie. Zabrałam tylko dziewczynki. Znały ją, lubiły bardzo.

- To dobrze, dobrze. Powinniśmy tam być... wszyscy.

- Ale Rita w depeszy nadmieniła coś niezrozumiałego - rzekła młodsza księżna.

- Ale co?... ale co?

- Napisała tak: „Stefcia umarła - zabita”.

Staruszka szeroko otworzyła oczy.

- Cóż to znaczy? Przecież chorowała... zapalenie mózgu.

- Musiał być jakiś powód choroby, może psychiczny - wmieszał się Trestka.

- Ależ jaki powód?

Księżna Franciszka podniosła brwi.

- Proszę mamy! jednak ta nagła choroba Stefci jest podejrzana: coś musiało zajść.

Księżna przez całą drogę nie mogła się uspokoić. Lucia płakała bez przerwy, młodziutkie

księżniczki na próżno chciały ukoić jej żal.

W poniedziałek wieczorem przyjechali do Ruczajewa. Wyszedł do nich pan Rudecki i Brochwicz. Na ganku w otoczeniu służby ruczajewskiej stał zapłakany Jur.

Starsza księżna Podhorecka pierwszy raz w Ruczajewie weszła do domu, jak posąg smutku - wysoka, majestatyczna, cała w czerni ciężkich koronek, wlokących się za nią w poważnych fałdach. Prowadziła księżnę, również czarno ubrana, panna Rita. Za nimi szła pani Idalia z Lucią, księżna Franciszkową i księżniczki. Sznur kończył Trestka i Brochwicz. Pan Rudecki poszedł naprzód.

Gdy mijali salon, kilka osób z okolicy Ruczajewa będących tam usunęło się

grzecznie przed wyniosłą postacią księżnej.

- Podhorecka... babka ordynata... przyjechała - rozległy się ciche szepty.

Spoglądano z szacunkiem na idącą wolnym krokiem dostojną matronę, trochę dumną i

pełną godności. Stygmat nieszczęścia księżna miała w swej twarzy bladej, gładkiej i w spuszczonych powiekach. Siwe pasma włosów pod czarną koronką, spadającą obficie na ramiona, nadawały jej wyraz królewski niemal. Księżna-babka, najzawzięciej oporna małżeństwu wnuka, z którą on walczył najdłużej, szła teraz patrzeć na jego tragedię, na jego głuchą rozpacz po zgasłym szczęściu. Księżna-babka niosła w swym sercu dramat straszliwy - wnuka.

Na progu umajonej komnaty staruszka zaczęła mrugać oczyma z wrażenia i nadmiaru jasności.

Potoki świateł mieniły się na środku pokoju, rozjaśniały ściany, obstawione dokoła smukłymi drzewkami brzóz. Sufit stroiły wieńce z białych kwiatów, spływając festonami jak baldachim. Olbrzymie rośliny, całe drzewa, najpiękniejsze okazy z Głębowicz, przywiezione tu na kilku wozach, ubierały salon ruczajewski, grupując się malowniczo w kątach, osłaniając białe pnie brzóz. Zieleń, białe kwiaty i świece tworzyły przepaścistą wonną otchłań.

Wzniesienie na środku pokoju tonęło w kwiatach: białych różach, goździkach, liliach. Stopnie otaczały wieńce z konwalii i krzaczastych paproci.

Olbrzymie palmy wachlarzowe, sięgające sufitu, tworzyły nad wzniesieniem ruchome sklepienie. Zdawało się, że to wzgórze anielskie, jeden bukiet świeży, pachnący, przejaśniony blaskiem.

Na stopniach, w głębi, wśród pęków róż klęczał Waldemar.

Oparty o najwyższą kondygnację, wpatrywał się zagasłymi oczyma w rzeźbione rysy śpiącej na wieki. Zasłaniały go szerokie liście palmy.

Za nim, w cieniu brzóz, siedział w fotelu pan Maciej, trochę dalej klęczała pani Rudecka z dziećmi i jeszcze parę osób.

Księżna-babka weszła do tej dziewiczej groty niby sztandar żałobny, wywołując uczucie

trwogi. Lekki szmer jej szat wzmocnił wrażenie jakiejś nieubłaganej potęgi, wkraczającej tu jak ostatni wyrok. Zatrzymała się blisko stopni, podniosła oczy, patrząc z natężeniem i pionową bruzdą na czole. Czarne, duże źrenice staruszki zmąciły się, zwarte silne usta zaczęły drżeć. Nieruchoma, bezmiernie złamana w duszy, po długiej chwili szepnęła dość głośno i żałośnie:

- Jaka śliczna... ona śpi... w ślubnej sukni... w wieńcu... w welonie... Boże!

Łzy wielkie spadły z oczu staruszki.

Cicho, poważnie osunęła na kolana swą żałobną postać, chyląc nisko głowę przeciążoną smutkiem.

Wtem uderzył w obecnych rozdzierający krzyk Luci:

- Stefa! Stefa!

Waldemar rzucił się, wyprostował, spojrzał na dziewczynkę i zaciskając zęby wsparł czoło na dłoni.

Lucia zemdlała. Wynieśli ją zaraz.

Cisza zaległa pokój. Przez otwarte drzwi werandy, zasłonięte kotarą, wlatywał szum drzew i gdzieś daleko w białych oparach zawodziły derkacze - łąkowe grajki.

# XXXI.

W czwartek po pogrzebie w Ruczajewie panowała cisza grobowa.

W milczeniu snuły się ponure postacie służby. Cały folwark milczał głucho bez roboty, bez życia. Na ranny pociąg odjechało paru bliżej znajomych doktorów z Warszawy, ale rodzina ordynata została jeszcze.

Uczeni zagraniczni wyruszyli natychmiast po śmierci.

Żałoba po Stefci zapadła kirem na wszystkich. Tylko słowik śpiewał po dawnemu na brzozie pod oknem pustego pokoju zmarłej, dokąd zniesiono kwiaty i pogaszone, zapłakane świece.

Ptaszek nucił treny piękne i smutne, opłakując jasną, wiośnianą duszyczkę dziewczyny, co tak cicho zeszła z ziemi, tyle zostawiając łez. Wtórowały śpiewakowi tęskne gamy pszczół, szemrał powiewnie rój kolorowych motyli.

Na ocienionej werandzie od strony ogrodu zebrani wszyscy rozmawiali z sobą przyciszonymi głosami.

W głębokim fotelu siedziała staruszka księżna, ogromnie zmieniona przez tę parę ciężkich dni. Oczy miała zapadłe, zaciśnięte usta. Pan Maciej zgarbiony, z twarzą sfałdowaną, już niemal zgrzybiały. Ręce splótł na kolanach i patrzał w ziemię.

Postacie państwa Rudeckich wyrażały tak straszną rozpacz, taką ruinę moralną, że nikt nie mógł patrzeć na nich bez łez. Oboje przygniatali ciężarem swej niedoli. Znajdowała się na werandzie pani Idalia, młoda księżna i Rita. Brochwicz z Trestką i lekarzem księżnej szeptali z sobą na boku.

Tylko Lucia, zupełnie chora, spłakana leżała w łóżku, opóźniając wyjazd księżnej i pani Idalii. Czuwały nad nią księżniczki. Nie było również Waldemara.

Na ławce pod splotami dzikiego wina siedział skulony ksiądz, który chrzcił i chował Stefcię. Staruszek popłakiwał cicho.

Wilhelm Szeliga na otrzymany w Heidelbergu telegram od siostry rzucił semestrowy egzamin i natychmiast pospieszył do Ruczajewa. Trafił na pogrzeb. Teraz milczał ponury, z czerwonymi oczyma, podobny do złamanego drzewka.

Księżna trzymała w ręku paczkę listów anonimowych. Usta staruszki trzęsły się, złamanym głosem mówiła:

– To najstraszniejsze... te listy. Gdybyż umarła z innego powodu... Ale profesorowie twierdzili, że anonimy ją zabiły.

– Głównie to – rzekł stanowczo stary lekarz. Panna Rita smutnie poruszyła

głową.

– I ja to samo mówię. Ona była niesłychanie uczuciową i bardzo wrażliwą. Dla niej takie słowa to nóż w serce, to zabójstwo! Ile ona przeszła rozterki duchowej, zanim zdecydowała się zostać narzeczoną ordynata. Ona chciała poświęcić własne uczucie najdroższe! Ja wiem wszystko, podziwiałam ją zawsze. I taką istotę zabić, do niej pisać podobne oszczerstwa!...

Panna Rita rozpłakała się. Trestka dotknął jej ręki.

– Pani droga, spokoju! Oszczędzajmy księżnę i pana Macieja. Wtem przemówił pan Rudecki:

– Wina spada na mnie, żem jej ustrzec nie zdołał od tych wrogich listów. One ją zabiły.

– Panie! proszę nie zmniejszać winy tych, co je pisali – rzekł Brochwicz. – Ordynat pana ostrzegał, bo on zna ogrom złości ludzkiej. I on nie przeczuwał, że anonimy będą tak zjadliwe. Tym spiskiem kierowało parę osób w ścisłym z sobą porozumieniu. Każdy wie, kto jedynie być może zdolnym do tego. Tu nie ma dwóch zdań. Autor ostatniego anonimu ubliżył nam podpisując się: „Jeden za wszystkich”. To kłamstwo, dobrze obmyślana intryga.

Starsza księżna spuściła powieki, usta zacięły się surowym wyrazem. Cichym głosem przemówiła:

– Barscy?... taką niegodziwość! Wstyd! I to karmazyni! Czy to prawda?

– A jednak fakt – podchwycił Trestka. – Ostatni anonim pisał Barski: jego styl, jego wyrażenia. W innych mniej więcej to samo, tylko pismo podrabiane umiejętnie. Cisnąć mu w twarz nie można: za bezczelny, nawet by się nie zarumienił.

– Ale można by mu nie podać ręki – rzekła surowo księżna.

Lekki dreszcz przeniknął obecnych. Wyrok dumnej pani, magnatki rodowej, wydany na magnata, zrobił wrażenie. Spojrzeli po sobie, jakiś strach przeleciał po twarzach.

– Barskiemu ktoś pomagał – rzekła nieśmiało pani Idalia.

– Własna córka i Lora Ćwilecka – dodała ironicznie panna Rita.

– Na nie spada wstyd za splamioną godność kobiecą – mówiła księżna podniecona – skompromitowały się same. Lora była zawsze parweniuszką. Ale Barski skompromitował nas wszystkich, tego już się nie darowuje!

– Wyraźnego dowodu nie ma – wycedziła pani Elzonowska.

– Idalio! – zgromił ją pan Maciej. Księżna mówiła, nie uważając:

– Barski zatarł ślad zmienionym pismem. To dowodzi, że się nas bał, nie Stefci. Gdyby nie ta fikcyjna zapora, usunąłby się od niego każdy prawy arystokrata. To wykroczenie poważne, nie zrobiłby tego uczciwy chłop. Ale magnat?... O, wstyd!

– Dlaczego ona nic ordynatowi nie nadmieniła o otrzymywanej korespondencji? On ukróciłby to natychmiast – rzekł Brochwicz.

– Ja ją rozumiem – odpowiedziała panna Rita. – Ona nie chciała skandalu, nie chciała go ranić. Zresztą są dowody – listy, jakie pisała do niego żaląc się, a jednak żaden nie został wysłany. To była bardzo subtelna natura, ale za słabe

miała siły.

Staruszek proboszcz pokiwał głową.

– Ja wiem najlepiej, jaka to była zdrojowa dusza, jakie serce – rzekł smutnie. – To dziecko już we krwi nosiło szlachetność.

Pan Maciej rękoma zakrył twarz. Po długim milczeniu zaczął mówić z niezmierną jakąś trwogą:

– To stać się musiało... to przeznaczenie... to moja Nemezys! Moja przeszłość zemściła się straszliwie, ona... Stefania. Uderzyła w najżywotniejszą arterię mego serca, dotykając jedynego wnuka. Ja zrujnowałem jej życie, ona zabrała szczęście mego wnuka. O! straszna zemsta! okrutna zemsta!

Wszyscy milczeli. Pani Rudecka płakała, słuchając słów starca oskarżających jej matkę. Łkaniem zdawała się pytać zmarłej:

– Czy to prawda? Ty się zemściłaś... ty nam ją zabrałaś? Ale za cóż kara dosięgła nas, rodziców?... za co?

A pan Maciej mówił dalej po chwilowej ciszy:

– Nieszczęsną jest nasza rodzina, fatum nad nią wisi. Wieczne łzy! wieczne łzy! I to dziecko, zabite przez nas – nowa ofiara Michorowskich! Nic nie pomogło, ze Waldemar zwalczył wszelkie przeszkody, żeśmy ją pokochali już jak córkę. Nic nie pomogło! Wszystko to tylko początkiem zemsty, jakby obliczone na to, by cios uczynić sroższym. W tym jest całe okrucieństwo odwetu! W dniu, w którym połączyć się mieli, dopełniła się zemsta!

Starzec odetchnął głęboko.

Blade oczy obrócił na klomb kwiatowy przed werandą i poruszał głową, jakby akcentując bezmiernie smutne słowa.

– Oczekiwałem ich ślubu z upragnieniem, chciałem jak najprędzej ujrzeć wnuka szczęśliwym, jakim nigdy ja nie byłem. Wyobrażałem ich sobie zawsze w ślubnych strojach – tę parę tak piękną, stworzoną dla siebie. I zobaczyłem Stefcię w ślubnej sukni... widziałem ją w wieńcu z pomarańczowych kwiatów głębowickich, które miały ją zdobić przy ołtarzu. Widziałem ją w welonie, dziewiczą, śliczną – ale jak! ale jak!... I jego widziałem wśród tych kwiatów nieprzytomnego prawie. O! straszny obraz! poniosę go z sobą do grobu! Trzeba mieć całą moją przeszłość za sobą, całą niedolę życia, aby na kresie jego ujrzeć podobny obraz. Kara zasłużona, ale okrutna. To już nie kara, lecz piekielna zemsta! A potem... po jej śmierci, jakim cudem ja wówczas nie padłem rażony na miejscu, kiedy w rękach jego ujrzałem broń morderczą? O! Chryste!

Księżna rzuciła się na fotelu.

– Co?... co?... Waldemar chciał?...

– Tak, chciał się zabić, miał w ręku rewolwer... odepchnął mnie, gdym odbierał... był dziki... straszny! Ale mu do nóg padłem, kolana mu całowałem... ja... jego dziad! bo mię rozpacz za duszę targnęła.

Starzec zaszlochał. Księżna zaczęła także płakać.

Na werandę wpełznął złowrogi cień. Brochwicz powstał i wyszedł aż na

schody, bo mu krtań ścisnął spazm żalu. Czoło oparł o słup werandy.

Pan Maciej mówił dalej:

– Rita wyrwała mu rewolwer, ale mierzył do siebie... kula chybiła... Boże łaskaw! Rita zabrała mu broń... niech jej Bóg nagrodzi... ja byłem nieprzytomny. To tylko czułem, że nienasycona zemsta i jego chce mi zabrać. Błagałem, zakląłem go na pamięć zmarłej Stefci, na pamięć jego matki. Może duszyczka tej słodkiej dziewczyny dopomogła, bo zdołałem go poruszyć. Obiecał mi, ale co się z nim dzieje, widzicie sami. Najgorsze to, że nie może płakać. Szarpie się wewnętrznie. Ach, jak on cierpi! Czy widzieliście, jak on szedł za nią na pogrzebie? Podtrzymywał ją w głowach, róże z wieńców opadały mu na czoło. Ale jego twarz! jego oczy! Czy posąg z kamienia może być twardszy w wyrazie? czy śmierć sama może mieć więcej grozy?...

Pan Maciej umilkł wyczerpany, po czym spytał cicho:

– Kto ją niósł jeszcze oprócz niego? Młoda księżna odpowiedziała:

– Pan Rudecki, hrabia Brochwicz, Trestka i Wiluś Szeliga.

– Ja widziałem tylko Waldemara. A na cmentarzu zdawał się kamienny, jednak sam zajrzał, czy grób wyłożony marmurem, jakby ten szczegół miał znaczenie najpierwsze. Dziwna jest jego boleść! Tak olbrzymio cierpi i drobiazgowo zabiega o wszystko, co się jej tyczy... jakby to robił na chłodno. Okropna była chwila, kiedy się z nią tak cicho żegnał. Rozdarła mi się dusza! A potem zamknięcie grobu... Ach, Boże! Czy to koniec zemsty?... czy koniec? Księżna Franciszkowa położyła rękę na ramieniu staruszka.

– Proszę o tym nie mówić – szepnęła serdecznie – to straszne, to zanadto boli, to zanadto szarpie, proszę, niech się pan uspokoi.

Pan Maciej miał skupione brwi, palcami tarł oczy.

– Ja te obrazy mam tu... tu... w mózg mi się wryły... nie zapomnę! Starsza księżna spojrzała po wszystkich.

– Gdzie jest Waldemar? – spytała cicho.

– W swoim pokoju – rzekł lekarz. – Ale pójdę, zobaczę.

Zaległo milczenie. Pan Maciej oddychał zmęczony długą mową. Wtem wrócił lekarz ze zmienionym wyrazem twarzy.

– Nie ma ordynata w pokoju. Szukałem po całym domu. Nie ma nigdzie. Pan Maciej zerwał się przerażony.

– Na boga! co to znaczy?... gdzie on jest?... może w ogrodzie? Broń schowałem – rzekł cicho, jakby do siebie.

Kilka osób zeszło z werandy do ogrodu, między nimi pan Maciej, oparty na ramieniu

Brochwicza. Księżna została z panią Rudecką i księdzem. Modliła się cicho.

Waldemar wchodził na górę cmentarną, oddaloną o wiorstę od dworu, za olszynką ruczajewską. Po drodze spotkał biegnącego Jurka. Chłopak miał rozwichrzoną czuprynę i zapuchnięte oczy. Cały zbryzgany był błotem: widocznie znowu nurzał się w stawie po nenufary dla Stefci. Przebiegając spojrzał na ordynata spod czerwonych powiek, trochę z ukosa, ale nie

zatrzymał się. Cenił on i szanował ból Waldemara, nie mógł mu jednak darować śmierci siostry. Nie mogąc dawniej zrozumieć dokładnie, co to jest arystokracja, teraz był mniemania, że ją odgadł. Jurek w dziecinnej swej wyobraźni arystokrację miał za siedmiogłowego smoka siedzącego na górze głębowickiej, bo tylko ten zamek znał szczegółowo z opowiadań i fotografii. Zaczął na równi ze swym nauczycielem nienawidzieć arystokratów. Z osób będących na pogrzebie znosił jedynie ordynata i Brochwicza, zresztą od wszystkich, nawet od Luci i księżniczek, uciekał jak najdalej.

Teraz minął ordynata bez słowa.

Ten drgnął, ujrzawszy go przed sobą. Rysy chłopca przypominały Stefcię, nawet delikatne złoto z załomów jego czuprynki było złotem z warkocza zmarłej. Waldemar unikał młodszego rodzeństwa Stefci, nie mógł na nie patrzeć spokojnie. Przed bramą cmentarną stała dorożka. Waldemar nie zwrócił na nią uwagi. Poszedł prędko uliczką, wysadzoną brzozami, i skierował się na prawo, gdzie wśród kępy brzóz jasnozielonych bielił się wzgórek pokryty świeżymi kwiatami. Wieńce, girlandy, pęki białych róż, lilii, gwoździków, całe snopy konwalii piętrzyły się, przetykane wstęgami. Na samym przedzie leżał olbrzymi wieniec z palm, róż i lilii, artystycznie uwity, z napisem na szerokiej białej szarfie:

„Od twego Waldemara”.

I na brzozach wisiały wieńce. Z nich jeden bardzo piękny, naśladujący białe orchidee, pochodził od hrabiny Wizembergowej. Miał krótki napis na błękitnej wstędze:

„Śnij spokojnie”.

Wzgórek kwiatowy otaczały drzewa egzotyczne w wazonach: cyprysy, cedry i wspaniałe mirty oraz parę rozłożystych palm.

Słońce zdobiło kwiaty siatką jaskrawych blasków, sypało iskierki na metalowe wieńce, ślizgało się po szarfach z napisami.

Waldemar utkwił oczy w biały wzgórek. Szedł prędko. Nagle zatrzymał się. Ujrzał jakąś męską postać klęczącą przy grobie. Ordynat chwilę stał, po czym znowu poszedł naprzód.

Wówczas nieznajomy odwrócił głowę i podniósł się. Był to Narnicki, kuzyn Stefci.

Zmierzyli się wzrokiem. Michorowski bardzo blady, Narnicki poruszony. Patrzał badawczo na ordynata z odcieniem surowości. Ale w jego oczach i twarzy ujrzał taką przepaść rozpaczy, tak bezgraniczny ból, że w jednej chwili uczuł sympatię dla tego magnata, którego jeszcze przed chwilą uważał za tyrana Stefci.

Wzruszony rzekł z ukłonem:

– Zapewne... pan ordynat? Jestem Narnicki.. jej kuzyn i... Nie mógł dokończyć z wrażeniem.

Michorowski prędko z jakimś kurczem nerwowym w twarzy podał mu rękę i mijając go podszedł do grobu.

Narnicki, silnie poruszony, zawrócił do bramy, ale potem cofnął się na

brzeg cmentarza i oparty o mur, schowany w gąszczach świerkowych, patrzał z daleka na ordynata.

Waldemar, stojąc przy grobie, rozejrzał się dokoła, a widząc, że jest zupełnie sam, ukląkł i zanurzył twarz w kwiatach. Narnicki prawie nie oddychał: patrzał na zgarbioną postać narzeczonego Stefci, na jego pochylona nisko głowę, na zgnębienie widoczne nawet z ruchu i w duszy czynił sobie gorzkie wyrzuty:

– Ja go posądzałem... ja go robiłem odpowiedzialnym za jej śmierć... a on ją tak bardzo kochał. Jaki zmieniony... Czy to ten sam człowiek?

Narnicki przypomniał sobie fotografie ordynata, w Głębowiczach zdejmowane, które mu kiedyś pokazywała Stefcia.

– Czy to ten sam człowiek? – myślał teraz.

I śmierć Stefci wydała mu się jeszcze straszniejszą.

Waldemar klęczał i zapomniał o świecie całym, utonął w tym grobie. Oczyma, pragnieniem duszy i serca przebijał zaporę dzielącą go od niej. Rozdzierał powódź kwiatową i płytę z marmuru, i biały marmur sklepienia grobowego. Siłą rozpaczy wkuwał się w srebro i szkło, w jakim ją złożono, i widział swoją Stefcię taką białą, jasną! I żalił się przed nią w duszy, i wymawiał, że odeszła, i tulił ją do serca, i wyrywał spod tych kwiatów.

Ile on marzeń najdroższych złożył w ten wzgórek pachnący, ile porywów młodości, jaką potęgę, bezmiar uczucia! Życie swe całe miał tam pod kwiatami, cały dogmat swych marzeń z przeszłości, odnaleziony cudem, i całą słodycz niedoścignionych dni. Pozostały mu miliony, tytuł, stanowisko, lecz to, co już teraz cenił najwięcej, jego skarb, zabrano mu, sam go przykrył tą masą róż. Czuł, że Stefcia jest dla niego stracona, że odleciała na skrzydłach anielskich, że już jej nie zobaczy, nie usłyszy jej głosu, chyba w imaginacji. I rozpacz nim targała, nadludzki, wściekły żal, okrutny, rwący. Jego ubóstwiana Stefcia pozostanie tu, a on odjedzie do Głębowicz samotny, z pustką w duszy, z wielką mogiłą w sercu i z przekleństwem na ustach. Z przekleństwem na tych, co ją zabili – na jej katów, na jej morderców! I gdybyż wiedział, czy ona jest szczęśliwą w życiu zaziemskim! Gdybyż miał pewność, że dusza jej w aureoli świetlnej znalazła to wszystko, czym on ją chciał otoczyć, ale w stopniu potężniejszym, boskim! Gdybyż miał pewność, że jak jej ciało on owinął w kwiaty, tak duszę jej tam, w mistycznych sferach, otoczą jasne duchy wieńcem promieni szczęścia, spokoju, bezmiernego uroku! Gdybyż mógł nabyć głębokiej ufności swej babki, która wierzyła, że duszyczka Stefci śpiewa i raduje się u stóp Boga!

A jeśli następstwem śmierci jest zanik zupełny? Jeśli dusza błąka się gdzieś w ciemnościach pozaświatowego bytu, bez ostoi, bez spoczynku? To by było straszne! Taka istota, jak jego słodka Stefcia, miałaby zginąć w otchłaniach nicości? Nie otaczałby ją świetlisty krąg w nagrodę, że tak wcześnie opuściła świat, że wiosnę życia pożegnała tak bezwzględnie. Któż zasłużył więcej na jaśń wiekuistą, jeśli nie taka przeczysta duszyczka, zmarła z miłością w sercu, w przeddzień upragnionej szczęśliwości ziemskiej. Czyż taka może zniknąć

bez śladu jak gołąb zabity? Czyż nie zmieni się od razu w anioła? Czyż jej wiara i czystość dziewicza nie starczą na biel piór, strojących niebieskie zastępy?

Och! ta niezgłębiona potęga śmierci! Ile w niej wątpliwości!? Gdybyż Stefcia mogła zejść do niego z tych bezdennych pomroków niebytu, gdybyż powiedziała, gdzie ją śmierć przeniosła, gdzie duch jej przebywa i czy szczęście obecne przewyższa ziemskie. Gdyby on wiedział, może by rozpacz jego nie miała tych obaw straszliwych. Cóż mu pozostało w życiu bez niej? Chyba to, żeby samobójstwem nie popełnić mordu na żyjącym jeszcze dziadku. Zabrano mu broń, strzeżono go, ale czy jedynym zakończeniem dla niego nie byłoby połączenie się z ukochanym jej duchem, aby miała go przy sobie zawsze, i jeśli jej tam ciemno, aby nie czuła pustki, tęsknoty za życiem na ziemi...

Waldemar z jękiem silniej zacisnął dłonie na skroniach. Żal łamał w nim wszystkie uczucia.

– Gdybyż wiedzieć, gdzie ona jest i jak jej jest?... Cóż znaczy moja nauka? – myślał obłędnie – moja inteligencja, kiedy nie mogę zbadać, czy ona szczęśliwa i czy jej byt jaśniejszy niż na ziemi. Cóż znaczą filozofowie, mistycy, kiedy pojęcie śmierci zamyka dla nich księgę nauki? kiedy, badając wnętrze wszechrzeczy, nie mogą zbadać wszechistnienia pozagrobowego? kiedy, znając wszelkie odkrycia, wszelkie gościńce prawdy, nie mogą odnaleźć jednej drogi, jaka prowadzi poza mogiłę? Istnieje taka droga – jest nią religia. Ale trzeba w nią wierzyć bezwzględnie, aby rozpacz nie wprowadziła do serca złośliwego demona ironii.

Bo nawet przy wierze budzi się pytanie: dlaczego śmierć wybiera na swe ofiary takie jak Stefcia? dlaczego podcina swą kosą takie kwiaty młode, cudne – takie jasne dusze?

Dlaczego? dlaczego?

Ona ze skarbami w sercu wchodziła w życie i niosłaby mu dary wielkie. Opromieniałaby sobą troskę życia innych, stałaby się dobrodziejstwem, błogosławionym duchem dla wielu. Czy za dobrą, zanadto niepokalaną, za czystą była dla niego, że mu nie pozwolono dosięgnąć z nią szczęścia? Więc czemuż ją poznał? czemu go pokochała? Ona posiadała zasoby życia i kochała życie niby kwiat rozwinięty w jasności maju, który woń swą i blask oddaje światu i nie chce ginąć.

Czyż nie znalazłaby spokoju w małżeństwie z ukochanym człowiekiem? Ależ on by ją czcił jak bóstwo!

Ogrom bólu i zagadnień mącił mózg Waldemara, rozdzierał w nim krwawiące rany, niweczył całą jego istotę duchową.

Były chwile, że błąkał się w grozie swego nieszczęścia, nie mogąc dokładnie pojąć, jaki cios spadł na niego. Jego żelazny umysł, jego szalona energia i wola stworzyły teraz przepaścistą zawieję burz najróżnorodniejszych, zawieję gęstej mgły i odnaleźć się nie mogły. I on sam nie potrafił siebie odszukać w gmatwaninie uczuć, zmąconych do dna duszy.

Cierpiał jak człowiek miłujący życie, który w wiosenny poranek pełen barw i blasków, pełen śpiewów i szumów rozkosznych, nagle oślepnie i ogłuchnie. Cierpiał czując dotykalnie swój ból, czując, jak mu się sączył w krew, jak włamywał w mózg z siłą zawrotną. Ustami, na których głęboki żal wypisał swe zgłoski, szeptał imię zmarłej, mordując się podwójnie brzemieniem tego słowa:

– Stefcia... Stefcia... jasna moja... moja... gdzie ty?... co z tobą?...

I doznał wizji: ona stanęła przy nim, śliczna, wiotka, i patrzy na niego ciemnym fioletem swych oczu, jej rzęsy mrugają tak ładnie na jasnym owalu twarzy, okolonym jedwabną masą włosów. Zapatrzony w wizję, widział Stefcię jak żywą pod rozkwitłą czeremchą, wołał na nią rozszalałym wyciem serca.

A ona uśmiecha się do niego i mówi z dziecinnym grymasem kalinowych ust:

– Tak mię pan zasypuje kwiatami...

Waldemar zatrząsł się, podniósł głowę. Wizja uleciała. Zobaczył tylko mnóstwo białych kwiatów – sploty, wieńce, wiązanki, .morze białe, wonne, ozłocone słońcem.

– Zasypałem cię kwiatami! zasypałem! –jęknął z przejmującą tragedią w głosie. Załamał namiętnym bólem ręce nad głową.

W oczach po raz pierwszy od czasu swego nieszczęścia poczuł wilgoć, zakłuło go w źrenicach, łkanie zaczęło mu rozrywać piersi.

Upadł na kwiaty, schował twarz w dłoniach i płacz wielki, pierwszy, silny jak lawina, wstrząsnął jego męską postacią. Szarpał nim dziki skowyt niedoli.

Jeśli go teraz słyszała jasna duszyczka Stefci, musiała i sama zapłakać, i spłynąć mu na głowę nieziemskim tchnieniem ukojenia.

W bramę cmentarza wszedł przelękły pan Maciej, prowadzony przez Rudeckiego i Brochwicza, z panną Ritą i Trestką. Byli już niedaleko grobu Stefci, już dojrzeli Waldemara, gdy nagle cicho podsunął się do nich Narnicki. Ręką dał im znak, aby nie szli dalej, i szepnął:

– Zostawcie go samego, zostawcie! On... zapłakał.

Pan Maciej złożył ręce jak do modlitwy. Wszyscy bez szelestu cofnęli się w uliczkę ocienioną bujnymi kędziorami brzóz.

## XXXII.

W Głębowiczach, w dzień pogrzebu Stefci, miejscowy proboszcz odprawił uroczyste nabożeństwo żałobne i zaprosił całe obywatelstwo okoliczne. Zjazd był wielki. Wszyscy czuli się wstrząśnięci strasznym wypadkiem. Administracja z Głębowicz, ze Słodkowic i folwarków ścisłe wypełniła kościół. Urzędnicy fabryczni na czele tłumów robotniczych, służba folwarczna z ekonomami, sztab ogrodników, mnóstwo mniejszej służby, wszyscy dożywotnicy majątkowi oblegali kościół ciemnym, ruchomym

wałem. Zastępy straży leśnej z nadleśnymi stawiły się w komplecie. Czterech młodszych służyło do mszy. Silne wrażenie na obecnych zrobiło wejście do kościoła całej służby zamkowej z. marszałkiem dworu, stajennych ze stangretami i koniuszym. Wszyscy w żałobie. Cicho, poważnie, z lekkim chrzęstem broni weszły szeregi strzelców zwierzynieckich, niby gwardia zamkowa, przyboczna świta ordynata. Poubierani w żałobne uniformy, czarne ze srebrem, z krepą na rękawach, mieli w swych twarzach smutek i żal. Prowadził ich łowczy Urbański. Brakowało tylko olbrzymiego Jura, ale ten pozostał w Ruczajewie.

Cały oddział, idąc wolno, otoczył kołem ustawiony w środku nawy jarzący mnóstwem świateł, zarzucony kwiatami katafalk. Łzy błysnęły w ich oczach. Strzelcy zwierzynieccy pierwsi mieli witać ordynata z żoną na dworcu kolejowym i stamtąd eskortować ich galowy powóz aż do zamku. Więc żal niesłychany ogarnął tych ludzi, żal za zmarłą Stefcią, żal z powodu nieszczęścia, jakie spotkało ukochanego ich pana.

A książę Franciszek Podhorecki, patrząc ze stalli ordynackiej na ponure twarze strzelców, całej służby, starych kamerdynerów i wyższej administracji, myślał z goryczą w duszy:

– I ja miałem kiedyś takie zastępy, tylko nie miałem u nich tego, co posiada ordynat – ich miłości.

Dzwony ma wieży biły jakoś jękliwie, z bezmierną tęsknotą, gdy do nawy kościelnej weszła parami szkoła głębowicka z nauczycielem i ochronka z przełożoną.

Dzieci ustawiono po bokach katafalku, pomiędzy szeregami strzelców i straży ogniowej. Zapłakane oczy dziecięce, mrugające od obfitości światła, patrzały uparcie w górę pomiędzy palmy i kwiaty, bo im się zdawało, że tam jest ta śliczna i dobra pani, którą dzieci dobrze pamiętały.

Wrażenie w kościele dosięgło szczytu, gdy podczas Ofiarowania orkiestra zamkowa zagrała na chórze żałobnego marsza Chopina.

Głębokie, drażniące potęgą tony rozsypały wśród zebranych mnóstwo kwilącego żałośnie ptactwa smutku. Żal, wzmocniony muzyką, przedarł się do serc obecnych. I płacz runął po kościele, szlochanie zmąciło powagę chwili. Tym, co Stefcię bliżej znali, służbie zamkowej, zgromadzonym dzieciom, łkanie dusiło piersi. Innym łzy spływały po twarzach. Nawet ludziom obcym zapiekło w źrenicach na widok tego szczerego objawu smutku. Ksiądz staruszek drżał przy ołtarzu.

Gdy potem wśród ogólnego wzruszenia proboszcz w krótkich, lecz gorących słowach opowiedział nagły zgon narzeczonej ordynata w dniu, w którym złączyć się mieli – wszystkim zebranym słowa księdza zdały się jawnymi: że Stefcię, niby kwiat biały niepokalany, zerwali Anieli, aby ustroić nim stopy przeczystej Dziewicy – tam w chorałach niebieskich.

A w tym samym momencie w Ruczajewie, na górze, pod brzozami, ordynat, złamany nieszczęściem, żegnał na wieki najdroższe swe ukochanie na ziemi.

# XXXIII.

Mijały ciężkie, długie miesiące.

W Głębowiczach, w Słodkowcach i w Obronnem było niezwykle głucho. Szczególnie w rezydencji ordynata żałoba wyryła swe piętno. Błękitna chorągiew na baszcie zamkowej, zwinięta, sterczała smutno. Marszałek dworu kazał ją owiązać czarną wstęgą. Zamek wznosił się na górze wielki otoczony jak zawsze mnóstwem cudnych roślin i gustowną mozaiką kwiatów. Lecz nad tym wszystkim panował duch posępny.

Ordynat w żałobie przesiadywał w Głębowiczach samotnie. Obawiano się o niego, że dostanie melancholii, gdyż skupiona powaga i surowość nie opuszczały go teraz. Krótko i stanowczo oparł się wszelkim naleganiom o wyjazd za granicę, nie bywał nigdzie i nikogo prócz najbliższych nie przyjmował u siebie. Czasem odwiedził znękanego dziadka w Słodkowcach lub księżnę w Obronnem. I oni zaglądali do Głębowicz, ale na myśl, ile tu mogło być szczęścia, a ile pozostało smutku, uciekali rozżaleni.

Może najczęściej widywał ordynat u siebie hrabiostwo Trestków. Ona umiała zastosować się do niego powagą, a Trestka stosował wszystko do żony.

Cała służba głębowicka i strzelcy zwierzynieccy przepisaną mieli żałobę na pół roku – taką samą, jak przed kilkunastu laty, po śmierci ordynatowej Elżbiety. Świetne liberie, uniformy pochowano. Zamek wyglądał, jakby nań padła nocna pomroka. W administracji wszystkich dóbr nie odbywały się zabawy, nawet po terminie żałoby. Każdy chciał uszanować boleść ordynata; panowie praktykanci chodzili osowiali, patrząc na zwierzchnika ze współczuciem i niebywałą trwogą, bo stał się teraz zamknięty w sobie i zimny. Waldemar przesiadywał często w pracowni sławnego rzeźbiarza, Polaka, którego zaprosił do Głębowicz z Rzymu. Powierzył mu wykonanie pomnika dla Stefci, własnego pomysłu i rysunku. Artysta, dawny znajomy ordynata, starał się zadowolić go, zrozumiał, że praca w Głębowiczach opłaci mu się bardzo sowicie. Postanowił wyzyskać swój talent.

Waldemarowi rwała nerwy każda bytność w pracowni, lecz nie oszczędzał się.

Wchodził tam najczęściej w nocy lub w czasie nieobecności rzeźbiarza i z natężeniem patrzał na postępujące dzieło. Wracając, odczuwał taki ogrom tęsknoty i nędzy, jakby jego mózg zmienił się w bryłę marmuru, którą miał przykryć Stefcię.

W Ruczajewie ordynat bywał często, prawie zawsze incognito. Przyjeżdżał dorożką, z ładunkiem kwiatów, prosto na cmentarz. Przebywał na grobie narzeczonej kilka godzin, ponuro zamyślony, wpity oczyma w mogiłę, i odjeżdżał na kolej z żalem na nowo pogłębionym. Jedynym śladem jego bytności pozostawały świeże kwiaty, piętrzące się wśród brzóz, i

rozpromieniona dużym datkiem fizjonomia cmentarnego stróża. Do państwa Rudeckich ordynat wstąpił zaledwo parę razy, i to na krótko. Zbyt bolesne wspomnienia łączyły ich. Spotkanie się podwajało ich ból. W Głębowiczach Waldemar odwiedzał kaplicę zamkową, rozpamiętywając z goryczą ostatnią bytność w niej Stefci, rozmowę z nią i jej przestrach, gdy nadmieniło zwycięstwie swych pragnień życiowych. Byłożby to u niej przeczucie, że kir zaćmi ich szczęście? Czy też zapamiętała własne prorocze słowa, wypowiedziane w korytarzu z obrazem świętej Magdaleny?

I oto spełniło się! Z walki życiowej wyszedł z połamanymi skrzydłami i w kajdanach ciężkiej żałoby – po niej. Zgniotła go siła, jakiej się nie spodziewał i zwalczyć nie mógł.

W rocznicę zgonu Stefci cała rodzina ordynata zjechała na poświęcenie pomnika do Ruczajewa.

Dotychczasową płytę białą marmurową, z wyrytym napisem, umieszczono w kościele ruczajewskim. Na grobie stanął pomnik także z białego marmuru i tak piękny, że mógłby ozdabiać słynne Campo Santo w Genui.

Wysoki, strzelisty, przedstawiał skałę na czworokątnym wzniesieniu. Z lewej strony, wśród artystycznie rzeźbionych lilii, równolegle ze skałą, ale wyższa, stała smukła postać młodziutkiej dziewczyny w powiewnej szacie, opływającej ją w malowniczych fałdach. Postać miała wzrost, bujne włosy i klasyczne rysy Stefci, tak dobrze oddane, że zdawały się być robione z natury. Podobieństwo rysów owiewał wyraz przede wszystkim duchowy. Lewą rękę, wyłaniającą się ładnie z szerokiego rękawa, miała spuszczoną, z palców opadał wianek z gałązek cierni, jakby odrzucony. Głowę odwróciła nieco na prawo, oczy były utkwione w skrzydlatego anioła. Zaczepiony stopą o skałę, sfruwał jakby wprost z niebios z rozpostartymi skrzydłami i szatą sfalowaną wirem lotu. Śliczną młodzieńczą twarz ozdabiały bujne loki. I w tym szumiącym zlocie, zgrabnie pochylony, wieńczył trzymaną w obu rękach koroną z lauru głowę wpatrzonej w niego uśmiechniętej dziewczyny. Cała postać anioła zdawała się szumieć, rozwiane pióra chrzęściały, czuło się ich powiew. Postać dziewczyny, dziwnie delikatna i wdzięczna w ruchu, posiadała w sobie tyle nieziemskiego ideału, że się czekało, kiedy oderwie stopy od marmuru i jak duch popłynie w błękity.

Pomnik robił wrażenie nadzwyczaj lekkie, jakby wycięty z opłatka.

Niżej, na odłamie skały, widniał gładki szlifowany krzyż i owalna tarcza z nałożonymi wypukło literami.

Pod imieniem i nazwiskiem oraz datą urodzenia i śmierci następował napis:

W pierwszej wiośnie życia zgasła jak jutrzenka... Jak biały motyl, wplątany w ciernie.

Pozostawiła po sobie łzy.

I w sercu narzeczonego niezgłębioną chmurę. Bo była jego szczęściem...

Wieńczcie ją, anieli.

Pomnik otaczał olbrzymi wieniec kwitnących szlamowych róż w wazonach, stopniowo od wyższych do niskopiennych. Te wiły się już na

ziemi, oplątując żelazną, artystycznie rzeźbioną kratę, dosyć niską. Na czterech rogach żelazne słupki zakończały płaskie talerze cyzelowane, z okrągłymi lampami wewnątrz w kształcie kuł z rżniętego kryształu, oplecione ukośnie oksydowanym drutem. Na balustradzie wisiały metalowe wieńce zeszłoroczne, już trochę zniszczone, ale przybyło kilka nowych od ordynata i jego rodziny. Dalej poza kratą grupo- wały się w wazonach wielkie drzewa tui, cyprysów i cedrów, w otoczeniu swojskich brzóz, smukłych, jak przed rokiem ustrojonych w jasnozielone zwoje listków.

Odsłonięcie i poświęcenie pomnika odbyło się przed wieczorem i sama natura upiększyła uroczystą chwilę. Czerwcowe słońce, olbrzymią kulą spadając na dół, rozlało swe purpurowe farby jaskrawym oceanem. Zapaliło się niebo, zbałwanione tale czerwieni szły dalej i dalej, niosąc blachy rubinowego złota, dziergając przepyszną frędzlą pąsowo-złocistą brzegi ciemnych obłoczków. Drobne chmurki szaroperłowe nasiąkły czerwonym proszkiem, zwisając ciężko, niby gąbki nabrane krwią. Różowe pyły sypały się obficie na ziemię. Skłon nieba nurzał się we krwi, poprzerzynany brzemiennymi obłokami. Im więcej w górę, tym silniej panoszyło się złoto, spychając rubiny do wspaniałego tronu króla, na ukraszenie jego majestatu. Słońce gorzało, jak palący się balon, na niezmiernych przestrzeniach wieczornych zórz. Rozwielmożnił się gmach zachodu i pędził naprzód świetne rakiety, i rozpinał ogniste namioty na niebie coraz wyżej, dalej i szerzej. I oddychał płomieniem, i ciskał gorący wzrok na biały pomnik Stefci, i bogato stroił delikatną, z marmuru wycieniowaną twarz jej, i złotą opaskę kładł na bujne loki anioła. Na tle karmazynowych aksamitów, złotolitych opon, rozpiętych na niebie, smukły, wysubtelniony w koronkę biały marmur uwypuklał się z plastyką niesłychaną a piękną, niby mistyczny jakiś kwiat śnieżny o fantazyjnym kielichu na łunie pożaru. Cyprysy poczerniały, tuje, cedry przeświecały lekko różowością. Zachód igrał na kryształach lamp zdobiących pomnik, rozpalając wewnątrz tysiące ogników. Brzozy stały się seledynowe, a prześwietlone królewskim rumieńcem były jak trzęsienia, kity z chryzolitów umaczane w karminie, zanurzone w nim. Białe pnie drzew odcinały się jak słupy z alabastru. Świat stał zalany potopem i morzem czerwonym. W końcu i marmur, i pnie brzóz zabarwiły się lekko tym zaraźliwym kolorytem niebios. Postacie dziewicy i anioła, i fantazyjne lilie, i świeże kwiaty, żelazna krata, drzewa, pluszowe trawy otaczające pomnik, wszystko zabarwiło się ślicznym różem i piło róż z chciwością. Pomnik zawisł, zda się, w powietrzu, płynął w górę na drogocennych gobelinach zachodu.

Waldemar oddalony od zebranych osób, również nasiąkły różowością, patrzał na rzeźbę wysoką, skrzydlatą z uczuciem człowieka, który zerwał bandaże z głębokiej rany.

Pomnik sprawił wielkie wrażenie na wszystkich.

Pan Maciej długo patrzał na lekkie postacie anioła i ślicznej dziewczyny, aż parę grubych łez spłynęło mu z oczu. Rzekł ze smutkiem w głosie:

– Pozostała nam jak żywa, ale już tylko w marmurze.

Waldemar usłyszał, wzrokiem zajrzał mówiącemu w głąb duszy.

– Tylko?... – spytał przejmującym szeptem. Pan Maciej spuścił głowę.

– Szkoda, że ta rzeźba nie jest bliżej nas – zauważyła księżna, wpatrzona w pomnik, ukoronowany zachodem słońca.

Waldemar odrzekł głucho:

– I wśród nas ona będzie jak żywa i w całej postaci. Spojrzeli na niego nie rozumiejąc.

Waldemar odprowadził w głąb cmentarza starego plebana ruczajewskiego i wręczył mu duże safianowe pudełko. Mieściły się w nim perły ofiarowane Stefci w Głębowiczach. Oddał mu je Rudecki.

– Proszę to zawiesić jako wotum na ołtarzu w tutejszym kościele – rzekł ściskając rękę księdza.

Staruszek odrzekł serdecznie:

– Dobrze, zawieszę te perły na ołtarzu, przy którym ją zawsze komunikowałem. Waldemar ze ściśniętym sercem prędko odszedł.

## XXXIV.

Po powrocie do Głębowicz odbyła się uroczystość założenia fundamentów pod szpital i ochronę imienia Stefanii – w Słodkowcach.

Okolica patrzała na to z niemym podziwem.

W parę dni potem w zamku głębowickim zawrzał ruch niepowszedni, rozbijano jakąś pakę, po czym kilku służących i olbrzymi Jur nieśli po schodach wielki przedmiot okryty pąsową makatą. Ordynat szedł naprzód i otworzył salę portretową.

Zdjęto aksamitną zasłonę z prawej strony od portretu Gabrieli Michorowskiej. Wyjrzała dębowa ściana, co niegdyś tak niemile dotknęła Waldemara swą pustką. Zaczęło się stukanie, huk młotów rozbrzmiał echem po sali.

Wstrząsnęły się portrety.

Antenaci Michorowskich zadrżeli w swych ramach. Zbudzili się! Surową stalą martwych oczu spoglądali na niezwykły widok. Krzątanina lokajów, huk młotów stolarskich i sztywna postać młodego ordynata, który wydawał suchym głosem rozkazy, przeraziły portrety. Duży przedmiot, pokryty makatą, zastanawiał je.

Szmer poszedł po sali – szmer cichy a groźny, niby pomruk zbudzonych magnatów w odwiecznym przybytku ich pośmiertnej chwały.

– Przybył do nas ktoś nowy! – szła wieść, podawali ją sobie od ramy do ramy.

– Ale kto?

Pytanie zawisło nad portretami dawnych ordynatów głębowickich, dawnych wojewodów i hetmanów.

A huk rozlegał się ostro, młoty waliły w dębowe ściany potężnie. Po szybach okien biegł lekki brzęk, dźwięczały brązy pająków.

Nagle ucichło. Głos ordynata zabrzmiał parę razy i duży wąski przedmiot zawisnął na ścianie, dotykając posadzki.

Portrety oczekiwały w skupieniu. Ordynat ruchem ręki oddalił służbę. Zabrali narzędzia i wyszli cicho.

Wówczas ordynat przetarł ręką czoło, blady, zmieniony. Rozejrzał się po sali ze zmarszczoną brwią, jakby nakazując coś, jakby wołając: – Patrzcie!

Martwe oczy wszystkich portretów wpijały się w mroczną twarz prawnuka. Oczekiwaniem czegoś wielkiego dyszała sala, dyszały postacie w ramach.

Ordynat zbliżył się do ściany, gwałtownym ruchem zerwał pąsową makatę, odrzucając ją daleko.

Głuchy wybuch, krzyk idący z samego serca wypadł z jego piersi. Z rękoma przy skroniach przyklęknął przed portretem narzeczonej.

Antenaci Michorowskich zadygotali. Szmer wśród nich wzmógł się:

– Kto to?! Kto to?!

Stefcia na portrecie była w kostiumie damy z czasów Dyrektoriatu, artystycznie odtworzoną, tym bardziej że tylko z fotografii. Malował ją jeden z najsławniejszych mistrzów sztuki malarskiej w kraju. Na tle ciemnych materii Stefcia stała w naturalnej wysokości. Wdzięczny jej ruch miał w sobie wyrazistość i harmonię. Bladoróżowa stylowa suknia posągowo stroiła jej smukłą postać. Na matowej gładkiej tkaninie wytwornie odbijała jedwabna szarfa. Krótki staniczek wycięły, obramowany gazą, lekko odsłaniał śliczne kontury ramion i szyi, ozdobionej perłami. Powódź ciemnozłotych włosów, o połyskach soboli, spływała na kark i plecy, rozsypując się falisto na ramionach. Pęki różowych kamelii ozdabiały gors i włosy z boku głowy. Fantazyjny kapelusz czarny o dużych rondach i wielkie strusie pióra tworzyły wykwintne tło dla tej patrycjuszowskiej, szlachetnie pięknej twarzy.

Jedną ręką w koronkowej mitynce Stefcia podtrzymywała długą falę sukni, z drugiej zwieszał się na pół rozłożony wachlarz z czarnych strusich piór. Odsłonięte delikatne palce były czysto arystokratyczne w konturach.

Na czwartym palcu prawej dłoni błyszczał pierścionek z perłą uriańską. Spod miękkich fałd sukni wysuwał się brzeżek różowego pantofelka.

Wyraz twarzy miała zamyślony, dziwnie uroczy. Usta pąsowe, złożone lekko, zdawały się coś szeptać.

Wielkie gwiaździste oczy, lśniące fioletem, w ciemnej przepysznej oprawie, patrzały przed siebie marząco, lecz z iskrami wesołości, pełne życia. Zarysowane ładnie brwi, podgięte nieco w górę, i niesłychanie długie rzęsy drgały w swawolnym uśmiechu.

Powaga, zamyślenie i ta jakaś dojrzałość duchowa, wyzierająca z głębin jej oczu, stanowiła zachwycający kontrast z młodą wesołością, widną z każdego ruchu postaci.

Na jasnym czole, okolonym łagodnie lśniącą masą włosów, świeciła inteligencja. Subtelność natury przebijała się w rysach i w kątach drobnych

ust. W zagięciu brwi znać bujność temperamentu.

Słodyczą nęciły śliczne wargi dziewczyny i urok jej spojrzenia pociągał nieprzeparcie. I wiosna śpiewała w niej. Czar jakiś upajający i prostota, i szczerość dziecięca.

A zarazem tyle było w niej szlachetnej dumy, tyle klasycznej pańskości, takie bogactwo uduchowienia w połączeniu z gorącą krwią.

Postać Stefci, wystylizowana genialnie, z wielką siłą i techniką wykonania, była ponadto wybornie odczutą.

Artysta znał Stefcię z Warszawy: szkicował jej portret w zaręczynowej sukni. Interesowała go wykwintna postać dziewczyny, w tece swej posiadał kilka rysunków jej głowy, zrobionych naprędce. To mu ułatwiało wzorowe odtworzenie dosyć trudnego w charakterze wyrazu i stylu jej wewnętrznej istoty.

Stefcia stała na portrecie wypukło odcieniowana, ze śmiałością linii i niezwykłą swobodą.

Stefcia żyła.

Jej jasna postać, rzucając na salę niby podmuch zorzy porannej, odbijała rażąco od surowej w tonie Gabrieli de Bourbon.

Rozświetlała salę, jak ukwiecona gałąź białej akacji rozświetla zmurszałe modrzewie. Przodkowie Michorowskich zdumieli się.

– Kto to?... kto to?... – snuły się szmery.

Martwe oczy portretów patrzyły na cudną postać dziewczyny i na brzeg płótna, blisko szerokiej ramy rzeźbionej z mahoniu z brązowym okuciem.

Tam widniał napis:

„Śp. Stefania Rudecka, narzeczona Waldemara Michorowskiego - ordynata Głębowicz”.

Zgasła przedwcześnie, zatruta fanatyzmem pewnych członków jego sfery. Żyć będzie wśród niej wiecznie.”

Zgroza wiała z tych słów pełnych tragizmu.

Portrety wstrząsnęły się. Dreszcz wstydu za żyjące pokolenia przeleciał po nich. Znieruchomiały w swej martwocie.

Ordynat wstał, wyprostował się, cofnął i długo patrzał na Stefcię zmatowionym wzrokiem. Po czym zawołał głośno:

– Pozostaniesz wśród nas wiecznie! Odpowiedziało mu głuche milczenie.

Waldemar usiadł ciężko na kanapce. Bezbrzeżnie smutny wzrok utkwił w różowej Stefci, rozbierając każdy szczegół osobno. Spoglądał i na swą rękę: błyszczały na niej obok siebie razem dwa pierścionki zaręczynowe – uriańska perła Stefci i wielki brylant Michorowskich.

W zamku panowała głucha, tragiczna cisza, jakby ostatnie zamarło w nim szczęście.

# ORDYNAT MICHOROWSKI

## I.

Płomień rósł, potężniał. Jaskrawe języki, wymykając się zdradziecko z szarych mas budowli, strzelały w górę śmiałym pędem. Jak żmije kurczą się i prostują swe śliskie cielska do skoku, tak rozżarte bicze ognia, skotłowane w kłębek, rozwijały się gwałtownie i parły z wściekłą zajadłością coraz wyżej do szczytów.

Warkot i świst złowrogi brała w siebie moc marcowa; szare masy fabryczne, spiętrzone kominy - rysowały się nikle w czarnych przestworzach. Teraz otaczał je u dołu krwawy wieniec, niby z krzewów korali, ale ruchomy, szarpiący się w żądzy niszczenia. Straszliwe zygzaki pełzły wężowym skrótem, prężyły się, buchając grzywą purpury i złota. I rosły jak tytany, i szalonym tańcem rozchichotanych demonów goniły za sobą, łącząc w piekielnych uściskach rozwielmożnione, żarłoczne cielska.

Już nie krzewy korali, lecz rozpasane fontanny ognia otaczały budowle. Zapaliło się niebo, różowe płachty na chmurach wchłaniały czerwień. Pożoga nabrała rozpędu, waliła w czeluść nocy hukiem, przerażającym gwizdem ognistych batów; niosła w czerwone obłoki olbrzymy dymów. Rozjaśniła się okolica, morelowy odblask lunął na śniegi. Pożar sypał potokami iskier. Deszcz z gwiazd purpurowych i złotych, ciskanych z żywiołową furią zarażał inne dachy, opalał drzewa. Wulkan wybuchał za wulkanem. Kilka ich ziało potężnie, rozlewając się w bezmierny ocean fal.

Sadza dymów rosła w bór, zbity, huczący, ziemia wydała głuchy jęk, szedł po niej grzmot, niby dreszcze przerażenia.

Żywioł szalał. Ostre gwizdki sygnałów umilkły, mrowisko ludzkie cofnęło się w popłochu. Wielki dzwon alarmowy wydawał krótki urywany krzyk.

Gore! Gore!

Kaski strażników migały w tłumie jak pochodnie. Wiły się nad głowami przerażonych ludzi grube węże sikawek, warczały cienkie tasiemki wody, ginąc w otchłaniach ognistych.

Trzask tryskających pomp zagłuszały ryczące kłębowiska szatanów. Okropność bezmierna ogarnęła ludzi. Szalony strach skuwał ich na miejscu. Paliły się niebo i ziemia.

I coraz słabiej, ciszej, boleśniej wołał dzwon resztkami sił. Gore! Gore!

Nagle niebem, powietrzem, ziemią szarpnął gwałtownie straszliwy huk. Ludziom zdawało się, że ziemię wysadzono dynamitem.

Ze środka rozpalonego muru wielkiego budynku wybuchnął

niebieskofioletowy słup ognia, znów się skurczył, rozwalił mur i, jak lawa z wulkanu, runął po stoku góry niebieską rzeką palącego się spirytusu.

Pękł zbiornik w gorzelni.

Pożar przy błękitnej szarfie płynącego alkoholu stał się żółtym i jakby zmalał. Wykwitły z pożogi bukiet płomieni odmiennej barwy zaćmił go na chwilę. Lecz nie zmniejszył - żądza zniszczenia rwała z siłą naprzód.

---

Tłum ogarnęła panika. Ludzie z wrzaskiem uciekali przed pędzącą rzeką spirytusu. Szał zawładnął żywiołem i ludźmi. Potop, zawieja ognia do obłędu doprowadziły umysły. Tłumy darły się, przewracały, biegnąc na oślep i wpadając na siebie. Szloch, krzyk ludzki zmniejszały się chwilami i wówczas słychać było pojedyncze głosy, tu i tam rozsiane, głosy stanowcze, fanatyczne. Czasem, pod wpływem mówców, kilkadziesiąt pięści wznosiło się ponad głowami, wygrażając strażakom. Inni z przekleństwem grozili w przeciwną stronę pożogi. A pojedyncze głosy w przerwach łomotu, trzasku, świstu płomieni, dominowały ciągle.

– Zabiją nas - szeptali strażacy.

– Ratować! - brzmiała komenda dowódcy.

– Nie uratujemy.

Pożar huczał, jak tysiące trąb powietrznych.

## II.

– Romny palą się! Gorzelnia ordynacka płonie! Parowe młyny! – rozlegały się po okolicy przerażone głosy.

W jaskrawym świetle pożogi bielały w oddali mury bliższych folwarków. Jasność, żar piekący rozdzierał noc na daleką przestrzeń.

Śniegi, leżące blisko ognia, stajały w brudnych kałużach odbijając gorące łuny. Rozżarzone głownie, warkocze iskier z sykiem grzęzły w błocie, buchając resztkami ognia, jak zmęczone bestie pianą. Zdawało się, że słońce spadło na ziemię, rozprysło się i skłębia, ciska w górę, rzucając dokoła swe zabójcze pasma, niby macki potwora.

Wyniosłe baszty i wieżyce ordynackiej siedziby rozbłysły w świetle.

Róż wsiąknął w mury; krwawo świeciły szyby okien.

Z wielkiej bramy sklepionej wypadł ostrym galopem mały orszak konnych i gnał do pożaru fantastyczny, jak hufiec upiorów. Na czele biegł koń czarny, zziajany, z rozwianą gęstwą ogona i grzywy. Pożar grał mu w źrenicach; nozdrza niosły pochodnie. Cwałował naprzód, świecąc marmurową piersią. Unosił na grzbiecie smukłą sylwetkę jeźdźca w rozniesionej przez pęd burce, spiętej tylko na ramionach.

Już dopadali pożaru, gdy zastąpił im drogę inny jeździec bez czapki, z

osmoloną czupryną i okopconą twarzą. Konie, wstrzymane gwałtownie, stanęły dęba. Zapytania i odpowiedzi skrzyżowały się:

– Jaki powód?

– Podpalone... wszystkie rogi zajęte. Obcy ludzie... dowodzą agitatorzy!

– Wszystkie straże są?

– Tak, panie ordynacie.

– Ratować domy robotników i służby; od fabryk odstąpić. Żywo!

– Młyny zgorzały. Ale spirytus, panie ordynacie!...

– Słuchać komendy! Ludzie ważniejsi. Na miejsce, Badowicz!

Głos brzmiał spokojnie, ale stanowczo.

W tej chwili właśnie pękł zbiornik alkoholu. Oślepiająca rakieta, piorunowym grzmotem cisnęła się pod różowy strop nieba i potoczyła z góry, warcząc przeraźliwie, wprost na ordynata.

Olbrzymi strzelec i dwaj inni gwałtownie odciągnęli karego wierzchowca daleko na stronę. Oniemieli z przestrachu, bladzi, wydali okropny okrzyk zgrozy.

– Panie ordynacie... dalej... dalej! – Tu ogień dosięgnie!

– Dziękuję wam. Brunon i Jur do pożaru; ratować mieszkania! Pan do naczelnika straży na pomoc.

Łowczy Urbański skłonił się.

– Ale, panie ordynacie, samemu niebezpiecznie... obcy ludzie... bunt.

– Proszę być spokojnym.

Ordynat został sam. Silnie trzymał rozgorączkowanego konia, lecz Apollo walił kopytami, bryzgając błotem. Chrapał wściekle, przysiadał na tylnych nogach, z nozdrzy ział ogniem.

Spod czarnej czapki ordynata szare oczy błyszczały łuną pożaru. Brwi miał zmarszczone w gęsty łuk. Smagła, szczupła twarz zabarwiła się ogniście. Patrzył w rozpętaną przemoc ognia spokojniej od Apolla, tylko nozdrza grały mu prędko, podniecone wewnętrzną gorączką i swędem spalenizny.

– Co ja im zrobiłem?... Czy to zemsta? Za co?... myślał poruszony.

– Agitatorstwo... bunt... Więc fala przyszła i tu?!

Uśmiech ironiczny błąkał się na jego ustach, przemknął po wydatnych rysach i zawieją sarkazmu omglił szare źrenice.

– Bydło! - wyrzuciły skrzywione wargi. – A przecież mają naukę; daję im ją - myślał z goryczą.

– Owczy pęd! I jeszcze słabe mózgi!

Już był podniecony ideą ocalenia zbłąkanych tłumów.

Ostrogami trącił Apolla, ruszył w huczące masy ludu, w burzę ognia i dymów.

Lecz powstrzymał go olbrzymi Jur, chwytając konia za uzdę.

– Jaśnie panie!... tam nie można... tam grożą... przeklinają.

Ordynat parł naprzód.

– Kogo przeklinają? Mnie?

– Jaśnie pana... to podlecy.

– No, dobrze. Mówiłem ci: ratować mieszkania! Ruszaj do pożaru!

– Jaśnie panie...

– Ruszaj!...

Głos ordynata zasyczał. Jur znikł w tłumie.

– Zabawna historia! - myślał Michorowski. – Tego jeszcze nie widziałem. Ciekawym!

I z uśmieszkiem lekceważenia wtłoczył konia w skłębione rojowisko ludzkie.

## III.

Jur ukryty przed wzrokiem ordynata, czuwał jednak, z dłonią nieznacznie umieszczoną na kolbie rewolweru. Słyszał gorące mowy agitatorów, którzy wygrażali na panów i milionerów; widział wzburzony tłum, zaciśnięte pięści i bał się o ukochanego pana.

Bali się również naczelnicy straży ogniowej i cała inteligencja administracji, zgromadzona przy ratunku.

Najspokojniejszy był ordynat. Na swym groźnym wierzchowcu jechał poważny, dumny, rozsuwając piersią końską zbite gromady robotników i służby folwarcznej. Spotykanym strażakom dawał krótkie, donośne rozkazy i wolno mijał tłumy nie zwracając na nie najmniejszej uwagi. Całą akcję ratunkową skierował na zamieszkane domy; od fabryk odstąpili wszyscy.

A ludzie oniemieli na jego widok.

Spokój i powaga ordynata wywołały ogólny podziw. Zaczęto pospiesznie ustępować z drogi. Tu i tam jakaś ręka, rozwijając zaciśniętą pięść, nieśmiało zdejmowała czapkę z głowy. I ukłonów takich było coraz więcej. Przekleństwa cichły, w oczach gasły żary wściekłości. Tłum zakołysał się, wydając z siebie zaledwie głuchy pomruk zdziwienia.

Nie spodziewano się tu ordynata.

Na widok jego wyniosłej postaci na koniu, jego twarzy jak z lodu wykutej, bez cienia lęku w oczach, przeciwnie - z szyderstwem widocznym nawet dla ogółu, agitatorzy zamilkli. Jakiś majestat ich zagłuszył. Setki oczu wpiło się w jadącego pana ze strachem, z nagle obudzoną pokorą. Wydał im się karcącym duchem, który ich zgniecie do ziemi. Widoczny dla tłumów, górował nad nimi, oświetlony pożogą, pewny siebie, drwiący. Nawet trochę zawiedziony zachowaniem wyjących przed chwilą groźnych mas.

Wtem, z oddalonej gromady robotniczej odezwał się zachrypły głos i zaczął wołać tubalnie:

– Burżuj! burżuj! milioner! Nie dajcie się, bracia!... Okradacz biednego narodu!... Pączek w maśle!... Spalić go, zrabować!... Kto mu się kłania, temu kula w łeb... bracia, to burżuj!... Zgładzić panów!...

Głos agitatora zmienił się w ryk; odpowiedziało mu kilka pojedynczych okrzyków z tłumu i głucha cisza. Tylko palące się swobodnie fabryki huczały

rozszalałym płomieniem.

Ordynat ani drgnął. Jechał dalej, lecz na jego ustach uśmieszek ironiczny wzmógł się, w oczach błysnął humor.

Zalęknione gromady ludzi, podburzone nowym krzykiem agitatora, zaczęły się tłoczyć, popychać. Na kilku zapaliło się ubranie.

Powstała panika, którą spotęgowało jeszcze walenie się przepalonych murów.

– Burżuj!... burżuj!... wyzyskiwacz biednych! Truteń... – ryczał rozjuszony głos w oddali.

Gromady, zewsząd popychane, otoczyły Apolla zwartą, ciężką bryłą ciał ludzkich. Koń wyrzucał głową, zaczął bić kopytami.

Wielki komin gorzelni, czerwony jak rubin, chwiał się u podstawy. Groza straszliwa wleciała tu wichrem i rozniosła trwogę.

Ordynat stanął w strzemionach, podniósł rękę i wskazując błyszczącą błotną przestrzeń poza ogniem, zawołał donośnie:

– Kto nie ratuje... tam!... marsz!... Wolno... wolno... Ustępować... nie tłoczyć się... Wolno!...

Głos ponury nie milknął:

– Burżuj... śmierć mu!...

W okropnym gwarze ludzkim w szumie fali ognia - rozległy się dwa suche trzaski rewolwerowe, jeden po drugim: traf! traf! - odczute raczej instynktem, niż słyszane. Dwie kule świsnęły powyżej ordynata. On lekko przybladł, lecz nie tracąc spokoju wołał, dalej stojąc w strzemionach:

– Wolno... wolno... W tył... wolno!

Posłuszne gromady szły w porządku, ale w oddali, skąd strzelano, rozległ się mrożący krew wrzask ludzki. Krzyki przeszły w ryk, w wycie dzikich zwierząt. To rozjuszone tłumy robotników goniły uciekającego agitatora, pragnąc zemścić się za strzały.

Te dwa trzaski rewolwerowe były przesileniem na korzyść ordynata. Oburzenie graniczące z obłędem ogarnęło lud. Żądza zemsty za ukochanego pana zagłuszyła wszelkie uczucia ludzkie. Bo w tym tłumie obałamuconym, ogłupiałym, miłość do ordynata buchnęła na nowo, jakby odrodzona.

W tej chwili wszyscy w najwyższym przerażeniu zrozumieli, że nad uciekającym przybyszem może się spełnić sąd doraźny. Ale ordynat runął z koniem naprzód; wyprostował się w siodle i przeraźliwie gwizdnął.

Dopadło go kilku strażników.

– Nie pozwolić na rozlew krwi... Żywo tam! Wyrwać go z tłumu! - krzyknął z płomieniami w oczach.

Gdy strażacy skoczyli co tchu spełnić to polecenie, ordynat znów jął wolno wypuszczać gromady z pogorzeliska.

Prawie wszyscy już byli poza pożarem, gdy z łoskotem zawalił się przepalony komin. Stęknęła ziemia pod nowym obuchem. Komin rozsypał dokoła mnóstwo rubinowych cegieł i olbrzymie łomy gruzów. Cały pusty plac wśród płomieni zajaśniał żarem. Teraz już ogień, dym siwoczarny,

skotłowany, gryzący, zamieć sypkich iskier, wszystko to zbiło się w masę, w ogniste cielsko, miażdżyło się wzajem, pożerało.

Do ordynata przycwałował naczelnik straży głębowickiej, wołając:

– Ocalony od mordu, ale ciężko ranny. Wzburzenie ogromne. Pilnują go strażacy. Co robić?...

– Jak się zachowuje? Czy chce zbiec?

– Nie może: pokaleczone ma nogi i zbity.

Ordynat pomyślał chwilę.

– Odnieść go do naszego szpitala.

– Jak to, panie ordynacie? Do... naszego?

– Tak!

# IV.

Żywioł przycichał. Już tylko gdzieniegdzie wystrzelał słup jaskrawych płomieni. Otchłań ognista rozlała się nisko przy ziemi, kończąc piekielne dzieło.

Dogorywała gorzelnia, zabudowania jej i młyny parowe. Zdołano zaledwie w części uratować mieszkania robotników.

Sikawki parowe i ręczne działały bez przerwy; straże z Głębowicz, Słodkowic i Romnów, a także straż z Obronnego nie ustawały w pracy. Ale żar i mnóstwo rozpalonych głowni utrudniały ratunek. Pogorzelisko otaczał obóz ludzki; naród napływał gromadnie z okolicznych folwarków i wsi. Jedni biegli ratować, inni wyrzekali głośno.

Szloch poszkodowanych napełnił powietrze. Rozległy się przekleństwa i ciężkie westchnienia zachrypłych piersi. Głosy, nad niepojętą dla tych ludzi dobrocią ordynata, rozbrzmiewały donośnie. On ich nie słyszał. Stał oddalony od pożaru - w otoczeniu kilku powozów z okolicy i konnych mężczyzn. Rozmawiał z hrabstwem Trestką, również na koniach. Był nawet wesół, tylko z lekką chmurą na czole.

Na wschodzie niebo zaczęło różowieć, inaczej niż łuna, jaśniej, weselej. Słońce, blade, wznosiło się w górę przysłonięte dymami pożogi. Mętny dzień rozświetlał zmęczone twarze zielonym blaskiem.

Przerażenie zastygło w rysach ludzi, kopeć osiadły na skórze i ten trupi refleks marcowego dnia w samym zaraniu nadawał zgnębionym gromadom wygląd nieboszczyków.

Hrabia Trestka mówił do ordynata:

– Straszny objaw, ten pożar! Jeśli łotry zdołały podburzyć do tego stopnia pańskich ludzi, to dalibóg! koniec świata. Cóż mówić o mnie?... Chyba wyjadę za granicę.

– No, w tej okolicy nieprędko się taka rzecz powtórzy - rzekł w zamyśleniu ordynat.

– To samo mówiliśmy po dewastacji w Szalach. Czemu nie? - fala płynie.

Pana oni kochają, a jednak... No, i moją Ritę kochają w Ożarowie: może przez nią i mnie oszczędzą.

– Nie licz na to - odrzekła hrabina.

– Ale wie pan, co mi się zdaje?... - mówił Trestka. - Gorzelnia padła ofiarą głównie dlatego, że spirytus denaturowany. Inaczej łajdaki rozbiliby tylko kufy, aby się spić.

Ordynat machnął ręką.

– To na jedno wychodzi.

Wcale nie, bo by się pochorowali przynajmniej, a zresztą spitych powiązałoby się jak baranów i do policji. O, szelmy! Do czego to teraz dochodzi? Sapristi! Ja bym wiedział, jak z nimi postąpić.

Hrabina Rita rzuciła na męża niechętne spojrzenie, gorycz ugryzła ją w serce boleśnie.

Ona odczuła, co myślał w tej chwili ordynat. Wzrok jego błądził po rumowiskach dymiących węgli, jakby szukający nie kary, lecz pomocy dla ciemnych nizin ludzkich, które siłą konieczności wywołanej nędzą, idą na oślep za tymi, co ukazują im raj poza gruzami. Żądza, jeśli nie równości, to chociaż sprawiedliwości materialnej, pędzi tych domniemanych wodzów do czynów krwawych i otumanienia tłumu.

Ordynat wzdrygnął się. Inna myśl napłynęła mu do mózgu.

– Jednak świetną była groza wybuchu! Ale cóż za widok! - mówił Michorowski.

Pani Rita popatrzyła na niego zdumiona.

– Podziwiam pana. W takich warunkach mógł pan zachwycać się widokiem?...

– No, jeszcze wtedy nie strzelano do mnie.

– Ależ sama groza... Okropność!

– Cóż pan zrobi z tym ptaszkiem, skoro wyzdrowieje? - zapytał Trestka.

– Ha! Pójdzie w świat. Może się poprawi...

W tej chwili przygalopował gorzelniany. Stanął przed ordynatem z wahaniem, mnąc kapelusz w ręku.

– Co tam nowego?

– Robotnicy chcą przeprosić pana ordynata - rzekł nieśmiało. – Wszyscy, co do jednego, są zawstydzeni i upokorzeni. Mówią, że ich obałamucono.

– Bardzo wierzę - rzekł ordynat - gdyż inaczej nie gubiliby samych siebie.

Gorzelniany spojrzał bystro i spuścił oczy.

– Czy mogą przeprosić?... zapytał.

– Powiedz im pan: niech się najpierw wyśpią! Ja ich sam zawołam.

Gorzelniany skłonił się i odjechał.

– Jeśli istnieje państwo archanielskie, to na pewno u pana - zawołał hrabia Trestka. – Tym łajdakom udało się, że na pana trafili. Gdzie indziej poszliby wszyscy w dyby; nie mówiąc o agitatorze, który dawno witałby się z Abrahamem.

– Źle mówisz, drogi - przerwała hrabina. - Wątpię, czy gdzie indziej za taki

strzał lud pragnąłby krwi agitatora. Pragnienie zemsty nad nim to dowód oślepienia tych mas, lecz i miłości dla ordynata.

– Jednak ferment musiał się dawno szerzyć?...

– O, tak! Z początku nie słuchano podjudzeń różnych wędrowców, zbito nawet paru; potem ogólny prąd pociągnął ku sobie. Dużo dopełniły broszury tajemnie rozdawane.

Ordynat umilkł, gdyż wiele osób z okolicy żegnało się z nim, odjeżdżając.

Was zabieram do zamku - rzekł do hrabiostwa Trestków.

Dzień już był zupełny, gdy ordynat ze swym orszakiem opuszczał pogorzelisko. Rozpalone ruiny buchały jeszcze ogniem. Strażaków kazał ordynat zastąpić innymi ludźmi. Rozdzierano zgliszcza bosakami; kobiety zalewały pojedyncze ogniska wodą, dźwiganą niemal z pasją. Całą złość i żal tłum wywierał teraz na ogniu. Pastwiono się nad nim, obrzucano błotem, rwano w kawały. Nastąpiła istna orgia zawziętości. Kobiety wśród przekleństw ciskały się na płomienie, jak hieny. Obraz przedstawiał okrutne zniszczenie rozpasanego żywiołu i zwierzęcą zemstę ludu.

Ordynat miał na ustach ironiczny uśmiech.

– Nazywają moich ludzi kulturalnymi, a ot, patrzcie - rzekł do Trestków.

– Barbarzyńcy! Nie trzyma się ich kultura - odpowiedział hrabia. – Daremny trud. Najlepiej machnąć ręką.

– Nie: stale kulturę dawać, aż ich przetrawi - odrzekł Michorowski. Pani Rita utkwiła w nim oczy, pełne uwielbienia. Jechano w milczeniu po chrupkim śniegu, poplamionym czarnymi głowniami i kupami sadzy. Nagle hrabia zawołał:

– Jest! Idzie banda!

Ordynat widząc zbliżających się robotników skrzywił usta z niesmakiem.

– Czego oni ode mnie chcą?...

W oczach odbiła mu się nuda. Był zmęczony.

Z jękiem, szlochem i chrzęstem kolan na śniegu, robotnicza gromada otoczyła Apolla. Wrzaskliwa ruchoma ciżba błagała o litość.

– Daruj, jasny panie! My ogłupieli!... nas odurzyli... Ale my wierni. Nie wypędzajcie, jasny panie... Nie posyłajcie do turmy. Służyli będziemy darmo - gdzie jasny ordynat każe.

– Miłosierdzia, panoczku! litości! Darmo służyć będziem - zawodziły kobiety.

Ordynat znudzonym ruchem poruszył głową.

– Nie chcę waszej krzywdy, ale... nie lubię buntów.

– Miłosierdzia, panoczku! Nie wyganiaj nas... ratuj!

Skomlenia kobiet i błagające oczy mężczyzn utkwione w ordynata, rozdrażniły go. Cisnący się tłum, czarny, osmolony sadzą, buchał spalenizną i surowym zapachem potu. Michorowski stracił cierpliwość, nerwy odmawiały mu posłuszeństwa. Rzekł jeszcze spokojnie:

– Ja was nie wypędzam, ale teraz idźcie spać i mnie dajcie odpocząć.

Ruszył koniem naprzód.

Zdumieni jego spokojem i niespodziewaną obietnicą, ludzie stali w milczeniu. Gdy ocknąwszy się, posyłali za nim błogosławieństwa, ordynat był już daleko.

W zamku jednak nie położył się spać. Siedział w swym gabinecie, na fotelu, z głową opartą na ręku. Utonął wzrokiem w wiszącym naprzeciw portrecie zmarłej narzeczonej - i tak pozostał długie godziny.

# V.

W staroświeckim gabinecie w Słodkowcach cicho rozmawiało dwóch panów.

– Więc załatwiłeś z nimi polubownie? To dobrze, ale czy się nie rozzuchwalą? - pytał stary pan Maciej Michorowski.

– Zagroziłem wydaleniem w razie ponowienia buntu - odrzekł ordynat. Doszedłem całej sprawy: po prostu byli otumanieni. Zresztą nie oni podpalili. Główny błąd administracji, że pozwoliła na burzenie umysłów. Ostatecznie, mnie się nie stała wielka krzywda... ale robotnicy poszkodowani bardzo. Pomimo energicznego ratunku, cały dobytek poszedł z dymem.

– A ty ich pewno wspomożesz? - rzekł staruszek z uśmiechem.

– No, skoro nie rozpędziłem na cztery wiatry, to tym bardziej nie dam im zginąć z głodu. Młyny będę odbudowywał, więc robota dla nich jest na całe lato.

– I gorzelnię postawisz?

– Wątpię.

Ordynat zaczął chodzić wzdłuż gabinetu. Pan Maciej zamyślił się.

Po chwili spytał znowu.

– Podwyższyłeś im płacę?

– O nie! Tego bym nie zrobił pod presją. Zresztą wynagrodzenie mają bardzo dobre, i sami o tym wiedzą. Prócz kilku narwańców, ogół nawet tego nie wymagał.

– A pamiętasz - w Szalach?...

Ordynat zatrzymał się.

– Tak, ale Ćwilecki nie wypłacał swym ludziom inaczej, niż po dziesięciu terminach, i to po wielkich prośbach. W ogóle wszystkie warunki u niego były okropne.

Moim ludziom wytłumaczyłem bezzasadność ich postępku. Zrozumieli, są skruszeni i znowu służą mi z ufnością. Zawziętość natomiast przeciw agitatorom jest taka, że obawiam się rozlewu krwi w razie pojawienia się nowych.

– O, nowi nieprędko się pojawią!

Znowu umilkli. Waldemar chodził po gabinecie, pan Maciej patrzał w okno na szare drzewa parku i gromady trzepoczących się wróbli.

Głowa starca była zupełnie biała, białe wąsy i brwi, twarz pomarszczona,

bolesna, plecy zggarbione. Przedstawiał ruinę człowieka. Tylko w oczach gorzała jeszcze dusza żywa, myśląca, chwilami tragiczna. Pomiędzy brwiami ból zastygł i wrył się w ciało głęboką bruzdą. Po tym człowieku życie przeszło ciężkim bólem, zostawiając po sobie ślady walk i nieszczęść. Lecz najwięcej białego włosa na głowę a bolesnych bruzd na czoło rzucał ponury dramat, który zgnębił jego wnuka. Zgon narzeczonej Waldemara stał się dla starca najostrzejszym kamieniem z życiowego młyna.

Teraz miał nowe zmartwienie i obawy o wnuczkę. Ocknął się z zamyślenia i rzekł:

– Otrzymałem list od Luci. Są z matką w Nicei, ale Lucia chce wracać do Belgii. Pisze, że woli klasztor niż to życie, jakie jej urządza Idalka. Zresztą sam zobacz.

Podał ordynatowi duży arkusz zapisanego papieru. Waldemar przeczytał. Twarz skrzywiła mu się ironicznie. Zawołał:

– Ciotka zawsze była wariatką! Przepraszam, dziadku.

– Ach! nie krępuj się, Waldy. Wiem, jaką jest Idalka. Te dwie kobiety razem przebywać nie mogą, chociaż są najbliżej w świecie spokrewnione.

– Ciotka chyba chce się wydać za mąż. To jedynie motywuje te wieczne bale, maskarady i otaczanie się cudzoziemskimi adonisami.

– No, może myśli o Luci?

– Skoro jednak Lucia nie chce, nie widzę racji gwałtem ją prowadzić do ołtarza.

– Cóż zatem robić?... Tak zostawić tego nie można. Lucia jest roztrojona.

– Niech dziadzio napisze do ciotki: może na święta przyjadą?

Staruszek smutnie zwiesił głowę:

– Idalka nie przyjedzie: zanadto ją absorbuje zagranica. Zresztą boi się rozruchów.

Waldemar wzruszył ramionami.

Do pokoju wszedł cicho służący. Stanął przy drzwiach i chrząknął znacząco.

Pan Maciej drgnął niespokojnie. Ordynat spytał:

– Cóż tam znowu?

– Nowa bieda, jaśnie panie.

– No?...

– W Szalach znowu strajk. Ograbiony pałac...

– Jaki pałac?! Czyś zwariował?! Przecie pałac ograbiony dawniej.

– A to pewnie pawilon. Kasjer zabity i hrabiostwo uciekli.

– Kto ci to mówił?

– Precz idzie słuch, jaśnie panie. Jechał stamtąd gajowy i mówił to samo.

– Czy on jest?

– Nie, pojechał.

– Niech natychmiast strzelec Jur jedzie do Szal, zobaczy i dowie się dokładnie! Prędko!

Służący wybiegł. Ordynat spojrzał na bladą twarz pana Macieja i rzekł

spokojnie:

– Proszę się, dziadziu, nie przejmować... To jeszcze nic pewnego. Trochę w to wątpię: byłoby za prędko jedno po drugim.

Pan Maciej gorączkowo potrząsnął ramieniem. Oczy starca gorzały, na policzkach wystąpiły wypieki.

– Waldy, ja się boję o ciebie! Słyszysz?! - truchleję o ciebie... Takie czasy!

Ordynat siadł, wziął rękę dziadka, tulił do siebie. W twarzy miał wzruszenie, przemówił łagodnie, jak do dziecka:

– Cicho, cicho, spokojnie. No, niech się dziadzio nie obawia... no, nie ma czego! Nic mi się nie stanie.

– Ale dziś nie pojedziesz?

– Zaczekam na wieści z Szal.

Zmrok zapadł. Szara godzina rozesłała swą makatę, owijając nią wszystko dokoła. Na dworze padał drobny, gęsty śnieg, pomieszany z deszczem. Wicher ciskał go na szyby okien i wył przeciągle. Z parku dochodziło skrzypienie starych drzew, jękliwe, jakby ktoś głośno żebrał. Pan Maciej i ordynat siedzieli w fotelach zamyśleni. Starzec przeżuwał szczękami i mełł w ustach słowa modlitwy. Suche, sztywniejące palce przesuwały paciorki różańca. Ordynat zimny wzrok skierował na okno i siedział jak posąg. Tylko poruszające się często brwi i nozdrza świadczyły, że poza tą chłodną powierzchnią kipią, ścierają się uczucia i myśli.

Obaj usłyszeli jednocześnie cichy szmer przy drzwiach. Od progu posunęła się do nich żywym ruchem smukła postać, cała w czerni. Poprzedzał ją lekki szum jedwabiu i wątły zapach wrzosu.

– Lucia! - zawołał Waldemar, gwałtownie powstając z miejsca.

Odezwało się łkanie.

Ordynat zerwał gazowy welon, przemoczony od deszczu. W szarzyźnie pokoju zabłysła szczupła twarzyczka Luci Elzonowskiej w burzy popielatych włosów. Dziewczyna z płaczem zarzuciła ręce na szyję Waldemara.

– Jestem z wami!... Jestem! Nareszcie!...

Waldemar uścisnął ją i oddał w ramiona zdumionego dziadka.

Pan Maciej nie pytał o nic. Głaskał wnuczkę po twarzy i po rozwianych włosach, patrzył jej w oczy, jakby chcąc się przekonać, że jest ta sama. Nie widział jej dawno i nie mógł się nią nacieszyć.

Dziewczyna z objęć dziadka rzuciła się w ramiona Waldemara, wypowiadając krótkie, urywane zdania, przeplatane płaczem i śmiechem.

– Gdzie zostawiłaś mamę? - spytał pan Maciej.

Lucia spochmurniała.

– Ja, dziadku, uciekłam. Z mamą pogniewałam się. Mama jest w Monte Carlo.

– I nie bałaś się sama jechać?...

– Cóż mi się mogło stać? Jestem dorosła. Ale wrażenia straszne. Już od granicy począwszy... Warszawa...

Nagle rzuciła się do Waldemara, i chwytając go za ręce, zawołała z lękiem:

– Ależ tu... tu!... Te strzały... w Romnach!... Waldy! Jak to było?... To straszne!

– Któż ci już naopowiadał? Ciekawym!

– Żydek z Rudowej, który mnie przywiózł.

Pan Maciej oburzył się.

– Jak to?! Przyjechałaś wynajętym powozem?

– Taką sobie nędzną dryndulką, dziadziu - zaśmiała się Lucia. - Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie te wieści. Boże! I dziadzio tu sam!... Okropność!

Pan Maciej przygarnął ją do siebie z czułością.

– Widzisz, że nie sam: Waldy nade mną czuwa, i Ksawery...

– Ach! pana Ksawerego nie powitałam! Gdzież on jest?...

Przyjął mnie tylko Jacenty i nie poznał. Musiałam się wylegitymować.

Przytuliła się serdecznie do ramienia staruszka. Szepnęła z uczuciem:

– Teraz, dziadziu, ja się tobą zaopiekuję. Nie odstąpię cię nigdy. Będziemy razem przebywali złe i dobre wypadki.

– A nie boisz się, dziecko? Tu rozruchy zaledwie się zaczynają... mogą się wzmocnić.

– Nie, dziadziu. Ale tu jesteśmy u siebie w ojczyźnie. Nie godzi się nam jej opuszczać w takiej chwili i... bawić się u obcych.

Pan Maciej odsunął wnuczkę od siebie, popatrzył na nią badawczo.

– Jak ty się zmieniłaś, Luciu!

Ona zapłonęła.

– Spoważniałam, dziadziu, nabrałam rozumu; teraz inaczej myślę.

Waldemar pocałował ją w rękę. W oczach miał iskry zadowolenia.

– Jesteś dzielną dziewczyną, Luciu! - rzekł z uznaniem.

Krwisty rumieniec zabarwił jej policzki.

– Zawdzięczam to tobie, Waldy, i... Stefci - dokończyła szeptem.

Wtem za drzwiami rozległ się hałas i prędkie kroki. Do pokoju wpadł blady Jacenty, za nim strzelec Jur i młodszy pokojowiec. Wszyscy, spiorunowani wzrokiem ordynata, stanęli w miejscu i zaczęli cofać się w tył. Ale pan Maciej krzyknął:

– Co się stało?!

Milczeli, lękając się odezwać.

Ordynat podszedł do nich.

– Albo zachowywać się spokojnie, albo już mówić! Co się stało?...

– W Szalach ograbiona kasa! Kasjer zabity; hrabstwo uciekli. W Ożarowie strajk; palą budynki hrabiego... bunt! - wyrecytował jednym tchem przerażony Jur.

– Jezus, Maria! - jęknął pan Maciej.

Ordynat wypchnął za drzwi służących i sam za nimi wyszedł.

– Uderzyć w dzwon pożarny! Niech straż rusza. jeden pojedzie do Głębowicz po tamtą i romeńską. Ty Jur - ani kroku z pałacu; masz być na rozkazy pana. Dla mnie siodłać konia. Żywo!

Wydał polecenie i sam wszedł do gabinetu.

– Pożegnam was. Jadę do Ożarowa. Proszę być spokojnym, Dziadziu!...

Zza okna rozległ się przytłumiony głos dzwonu. Bił wolno, rytmicznie, lecz tak przejmująco, jakby w każdym dźwięku zamykał tysiące ludzkich jęczeń.

Waldemar podniósł rękę do czoła.

– Ha! Burza idzie! - rzekł do siebie i wyszedł z gabinetu.

W kilka minut później cwałował na czele straży ogniowej, wyprzedzając dowódcę.

Od strony Ożarowa świeciła rozległa łuna.

# VI.

I znowu ordynat objął komendę nad pożarem. Trafił na chwilę najtragiczniejszą, zawalenia się obór. Stada krów z rykiem przeraźliwym rzucały się prosto w ogień. Szał ogarnął bydło. Po okolicy szedł jeden grzmot ryków, żałosny bek cieląt roznosił echa strachliwe: Krowy waliły racicami w ziemię łowiąc w pyski spieniony swąd spalenizny. Oczy zwierząt gorzały wściekłością. Popłoch i ogłupienie gnało je na oślep w płonące zwaliska. Zginęły obory, stodoły i magazyny ze zbożem. Wszystko pokryła wyjąca, szeroko rozhulana płachta pożogi. Z klęski ocalały tylko stajnie; Całą siłę obrony skierowano na nie, bo do palących się budynków nie było dostępu. Z miejscowych ludzi nikt nie ratował. Gromady ich stały w pobliżu, urągając strażakom, śmiejąc się z hrabiego Trestki, który biegał pośród ognia i klął różnymi językami. Michorowski dopadł go gdzieś na boku i rzekł z wymówką:

– Panie, proszę nie robić z siebie widowiska. Ludzie się śmieją! Trzeba zachować powagę.

Trestka miał wzrok błędny.

– Ja im się zaśmieję, łajdakom!... Złodziejom tym!... Ja ich wszystkich w dyby... Do kryminału... Pasy drzeć!... Szelmy!...

I grad pocisków bardzo dobitnych popłynął z ust hrabiego, przeplatany gęsto cudzoziemskimi epitetami.

Ordynat miał niesmak na ustach, ale cierpliwie starał się hrabiego uspokoić. W końcu oddał go pod opiekę pani Rity. Lecz i to niewiele pomogło. Hrabia albo klął, albo łamał ręce wołając:

– Moje obory, moje obory!

A szkody istotnie były olbrzymie. Spaliło się kilkanaście krów; zwęglone ich ciała, wzdęte, leżały tu i tam, stercząc nogami, niby jakieś dziwaczne kupy węgla, spalonych wnętrzności i popiołów. Straszny widok uderzał w oczy. Ciała popalone roznosiły cuchnące wyziewy.

Po zduszeniu ognia ordynat w prywatnym gabinecie hrabiego rozmawiał z panią Ritą i miejscowym rządcą. Hrabia był również obecny. Ale nie mówił nic, powtarzając jedynie żałosną skargę;

– Moje obory! Moje obory...

Ordynat pytał o różne szczegóły, tyczące się powstania buntu. Badał drobiazgowo warunki utrzymania i opłaty służby. Przeglądał księgi, sprawdzał rachunki.

Okazało się, że agitatorów nie było. Służba, łącznie z wsią, rozpoczęła strajk z powodu niewypłacalności dworu, nie uregulowanych serwitutów i niechęci osobistej.

Ordynat przeglądał całą rubrykę procesów, czasem wprost śmiesznych i poruszał głową.

– Bajeczne zdolności czy maniactwo - myślał; głośno zaś rzekł:

– Jedyna rzecz, do której się lenię, to procesy.

– Ja teraz przestanę się procesować: będę strzelał prosto w łeb. Przynajmniej łajdaków mniej zostanie! - krzyczał hrabia.

Pani Rita zacięła usta, ordynat milczał.

W kilka godzin potem ordynat, po naradzie z hrabiną, chciał odjechać. Ale mu nie pozwolono, gdyż kilkudziesięciu strajkujących oblegało pałacowy ganek, chcąc się widzieć z hrabią. Pani Rita ścisnęła za rękę Michorowskiego.

– Niech pan nas nie opuszcza. Pan zna Edwarda. Tu trzeba rozumu, taktu, a Edward taki zrozpaczony... - dodała, jakby usprawiedliwiając męża.

Ordynat został i nauczył hrabiego, jak ma się zachowywać wobec tłumu. Tłumaczył długo, doradzał i w końcu zdołał przekonać, że strzelać do ludzi nie można.

Strajkujących wezwano do wielkiej sieni pałacowej. Wchodzili głośno z ostrym tupotem butów, z hardo podniesionymi głowami. Pluli i porządkowali nosy z hałasem, nie oszczędzając błyszczącej posadzki. Wygalowany kamerdyner patrzył na nich przez uchylone drzwi. Bał się wyzywających min tych ludzi.

Gdy już się wszyscy zebrali, wyszedł do nich Trestka, wypchnięty prawie przemocą. Ordynat nie pokazywał się.

Hrabia stanął na progu, osowiałym wzrokiem spojrzał i... spadły mu binokle. Wolno zaczął je przecierać chusteczką, ale ręce mu drżały. Szkła znowu opadły, huśtając się na sznurku. Zaczął je łapać gorączkowo. W ciżbie zaszemrały ciche śmiechy i szepty.

– Sapristi - zaklął Trestka.

Z gniewem chwycił binokle, nałożył je, i zakładając ręce na plecy, wystąpił śmiało naprzód. Podniósł wysoko głowę.

– No?... - zawołał z dumną miną.

Odpowiedziało mu milczenie.

– No?! powtórzył głośniej.

Cisza. Tłum zakołysał się, szmer się wzmógł, zaskrzypiały buty i cała gromada posunęła się naprzód nagłym ruchem.

Hrabia cofnął się gwałtownie w tył. Wyraźny przestrach miał na twarzy.

– No!... no!... Cóż to?... Oniemieliście?!

Jakiś chłop barczysty zawołał przepitym głosem:

– Niech nam pan hrabia podwyższy pensję i ordynarię. My tego chcema.

Trestka się zaperzył.

– Ja wam będę płacić za to, żeście mnie spalili? Zwariowałeś jeden z drugim.

– To nie tylko my spalili, bo i wieś. Nie trza było z nimi zaczynać; wypasy od dziada pradziada należały do nich - odezwał się ktoś z gromady.

Trestce spadły binokle, osadził je mocniej i wybuchnął:

– I las? Co? I las do nich należał?

– A jakże. Drzewo mogą brać. A bo to im dziedzic zabroni, kiedy zdawna tak było?

Magnat rzucił się do nich. Podniósł pięść, i wygrażając nią, wołał:

– Zabronię: Zobaczycie, gałgany, że zabronię. Ja was nauczę!... Dwór okradać będziecie? Wpierw poznacie kryminał.

Zaczął kląć po swojemu.

W gromadzie powstał głośny gwar.

– To niech ich dziedzic pakuje do turmy, jeżeli da rady, a nam proszę dać większą pensję i ordynarię! - krzyknęło parę głosów.

– Nie dam!... Nic nie dam!... Słyszycie?... I was do kryminału oddam, łajdaki; Sapristi!... W dyby was!

Tłum poruszył się, wzburzenie rosło.

Jeden głos zaczął wołać.

– Jak nie dostaniem, czego chcema, to jeszcze spalim resztę, i do roboty nie pójdzie nikt!

– Teraz inne czasy nastały, oho! - wołał drugi.

– Teraz pany przycichną. Tak ma być, jak chcema! A jak nie, to strajk.

– Niech pan hrabia nie krzyczy, bo się nie boi nikt.

– Dać podwyżkę i ordynarię większą, mniej roboty, to i będzie ład.

– My tu mamy spisane to, czego chcemy. Niech pan hrabia przeczyta.

Trestka wychodził z siebie.

– Ja?... Ja?... Mam czytać, coście nagryzmolili?! Won stąd, gałgany! Palić mnie jeszcze będziecie?... Grozić... Ja was postrzelam, jak psów.

– A dobrze!... To będziema się bić - rozległy się urągliwe głosy.

Hrabia, nieprzytomny z gniewu, zziajany, krzyczał, klął i bił się po kieszeniach, szukając broni.

– Zabiję!... Zabiję, jak psów!...

Wyglądał komicznie. W szalonej pasji skakał, rzucał się, blady, spocony, z rozwścieczonymi oczyma.

W gromadzie powstał śmiech. Zaczęły się żarty.

Nagle w drzwiach stanął ordynat, spokojny, surowy, z groźną fałdą pomiędzy brwiami. Wszedł i zatrzymał się chwilę.

Tłum drgnął i umilkł, jakby ludziom zamurowało usta. Wyprostował się służbowo.

Trestka, nie widząc ordynata, nie mógł pojąć dziwnego zachowania się zuchwałej gromady, i zdumiony, również zamilkł. Obejrzał się. Ordynat

podchodził wolno. Teraz hrabia zrozumiał. Złość i śmiech szatański zasyczał w jego głosie. Zawołał nagle ucieszony:

– Ha, łotry!... Chamy przeklęte!... Nie spodziewaliście się, że jest ordynat!... A co! Języki wam stanęły w miejscu? Hultaje!...

Michorowski mu przerwał, odciągając na stronę. Szepnął po francusku.

– Proszę odejść. Nie tak pana uczyłem. Dość kompromitacji. Tyle było siły w słowach ordynata, że Trestka zmieszał się, spuścił głowę i wolno wyszedł.

Michorowski zimny wzrok skierował na wyprostowaną gromadę służby. Spytał spokojnie.

– Czego chcecie?

Twarze spokorniały jeszcze bardziej. Gnieciono w rękach czapki, przestępując z nogi na nogę. Najśmielszy zaczął.

– My... jasny panie... my tu wspólnie... my tu przyszli gromadą...

– Widzę, że was dużo, ale czego chcecie?

– My chcemy podwyżki.

– Jakiej?

– O tu - spisane; może jasny ordynat przeczyta.

Michorowski wziął papier i przebiegł go wzrokiem.

– Te warunki są niemożliwe. Pobieracie pensje i ordynarie takie same jak w dobrach ordynackich, zatem wystarczające. Ja swoim ludziom nie podwyższam, i wy nie możecie o to prosić. Tym bardziej, że nie zasługujecie na to.

– My u jasnego pana woleliby za pół ceny służyć, niż u hrabiego za całą - odezwały się głosy.

– Niech pan hrabia podwyższy i zapłaci, co zaległe, to pójdziem do roboty.

– A jak nie - to nie!... - krzyknął drugi rozrzutnie, ale inni wepchnęli go do środka gromady, zamykając mu usta.

– Odkąd się wam należy? - spytał ordynat.

– Od adwentu, jasny panie.

– Dobrze! Dziś będziecie opłaceni i... jesteście wolni. Od pierwszego kwietnia możecie znaleźć miejsce. Tu potrzeba ludzi spokojnych.

– Wprowadź ich do kancelarii pana kasjera.

Lokaj skłonił się. Ordynat wyszedł.

W gromadzie zaległa cisza. Spoglądali na siebie w milczeniu, gdy zaś lokaj otworzył drzwi i zaczął ich energicznie wypraszać, wyszli ciężko, ze spuszczonymi głowami.

Wypłata trwała długo. Ordynat posyłał po pieniądze do Głębowicz, bo w ożarowskiej kasie zabrakło.

Pani Rita była jak struta. Trestka klął i zacierał ręce, dziękując ordynatowi.

Ale ten milczał.

# VII.

Po dewastacji w Ożarowie groza padła na okolicę. Wielu obywateli wyjechało, ale i burza przycichła. Zwolnienie całej służby w Ożarowie zrobiło wrażenie. Lud stracił ochotę do strajków, fantazja zmieniła się w przygnębienie. Agitatorów zabrakło: jeśli się jakiś pokazał, wypędzano go z folwarków i ze wsi. Spokój zdawał się zapewniony.

W Słodkowcach pan Maciej cieszył się wnuczką. Staruszek pod jej troskliwą opieką odżył, nabrał humoru. Tylko listy pani Elzonowskiej, niesłychanie burzliwe, pełne wymówek dla córki, wnosiły zły podmuch do pałacu.

Pani Idalia nagliła córkę do powrotu, gniewała się na ojca, że ją zatrzymuje, ale Lucia sama nie chciała wracać. Widząc, że matki nie przekona, przestała odpisywać na listy. Gorliwie zajmowała się dziadkiem, oprócz tego stała się czynną opiekunką ochrony i szpitala imienia Stefanii. Sama uczyła dzieci niektórych przedmiotów.

W rannych godzinach, kiedy pan Maciej jeszcze spał, co dzień smukła postać Luci o długich jasnych warkoczach dążyła na lekcje do ochronki. Dzieci witały ją okrzykami radości. Chorzy w szpitalu uśmiechali się na jej widok. Stała się dobrym duchem Słodkowic. Panu Maciejowi przypominała Stefcię Rudecką. Miała słodycz i łagodność tamtej, nawet coś w ruchach, tylko tamta była żywa jak iskra i weselsza. Lucia, spokojna i poważna. Charakter jej zmienił się. Nabrała hartu, dawny dziecięcy upór przybrał cechy niezłomnej stanowczości. Uśmiechała się rzadko, ale promiennie, najczęściej do dziadka, do dzieci i do chorych. Powierzchownie zmieniła się niewiele, tylko wyrosła i nabrała szyku. Jej dziewczęca figurka, teraz zaokrąglona ładnie, miała wdzięczną linię w rysunku. Lucia swe bujne, jasnopopielate włosy splatała w dwa grube warkocze i okręcała nimi głowę na kształt korony. Jej cera delikatna jak narcyz, ożywiła się w Słodkowcach. Krasiły ją barwne usta, dość pełne i oczy szarobłękitne, nieco podkrążone, świecące spod ciemnych rzęs i delikatnych, ciemnych brwi. Powieki miała najczęściej spuszczone, wzrok chmurny, rzucany spod czoła. Cechowała ją skrytość i nieufność w stosunku do ludzi. Nie pragnęła ich widoku, Słodkowce jej wystarczały, nie bywała nigdzie. Czasem do Obronnego jeździli razem z Waldemarem, odwiedzając jednocześnie Ożarów.

Lucia mieszkała w swym dawnym pokoju obok pokoiku Stefci, który przerobiła na rodzaj kaplicy, czy na mały przybytek sztuki. Wśród najpiękniejszych kwiatów mieściły się tam cenne obrazy oraz różne przedmioty artystyczne, niegdyś ulubione przez Stefcię. W tym nagromadzeniu sztuki oryginalnie wyglądało nietknięte łóżko, zasłonione kotarą, lustro z konsolką i marmurowa umywalka ozdobiona srebrnymi naczyniami.

Nad sofką wisiał pyszny obraz Madonny, kopia Rafaelowskiej z kaplicy Sykstyńskiej, w staroświeckich ramach.

Szczyt kominka ozdabiał wielkich rozmiarów portret Stefanii Rudeckiej, wyłaniający się z drogocennych makat. Pokój był poświęcony pamięci

narzeczonej ordynata. Lucia przesiadywała w nim często, z książką w ręku, lub zapatrzona przed siebie, z własnymi myślami. Czasem chmurne jej oczy wpatrywały się uparcie w malowany na płótnie widoczek Słodkowic, roboty Stefci. Stał na stalużkach w otoczeniu palm. Była to dla Luci droga i ostatnia pamiątka po przyjaciółce. Inne jej prace pastelowe i olejne ordynat pozabierał do Głębowicz. Lucia w tym pokoju przypominała sobie minione czasy wesołe, bez troski, jak wiązanki różowych kwiatów. Potem przyszły inne i zaćmiły szczęście. Lucia znienawidziła świat, poczuła wstręt do ludzi, szczególnie do własnej sfery. Arystokracja, uwielbiana dawniej, niby jakaś wyrocznia, w oczach Luci zmalała, stała się nienawistną. Każdy arystokrata wzbudzał jej nieufność, nawet członkowie rodziny, prócz Waldemara i dziadka. Prawie nie wierzyła, że i oni są arystokratami... Jej nienawiść wpadła w fanatyzm. Pobyt w klasztorze w Belgii złagodził ją trochę, lecz nie przeistoczył. Pozostała w niej niewiara w ludzi. Nienawiść zmieniła się w ironię. Lucia bez miłosierdzia kłuła nią własną sferę. Była dla swego otoczenia skrytą, nieprzystępną. W Słodkowcach zmiękła, jednak ani pan Maciej, ani Waldemar nie znali jej myśli, chowała je dla siebie. Ale zaczęła posępnieć, wpadając chwilami w stan zupełnej apatii. Pan Maciej myślał, że to tęsknota za światem, wreszcie posądził Lucię o tajone uczucia, może - zawody? Potwierdzeniem tego była jej ucieczka z Nicei. Bawiła się tam, miała powodzenie i starających się. Pan Maciej wywnioskował, że ktoś zainteresował ją głębiej, że Lucia kocha bez wiedzy matki, wbrew jej zamiarom. Ale z wnuczki staruszek nic wydobyć nie mógł.

Tak przeszła wiosna i część lata.

Pani Idalia obrażona, zła na córkę, nie opuściła zagranicy. Zamieszki w kraju odstręczały ją również, nie pragnęła powrotu.

W połowie lipca do Słodkowic przyjechał z ordynatem Jerzy Brochwicz. Lucia przyjęła go ze źle ukrytą niechęcią i silnym rumieńcem.

I on zmienił się. Wrogie czasy wyryły na jego twarzy poważne piętno. Dawna zuchwałość przygasła. Ale mówił zawsze dużo, szczerość i dowcip pozostały nietknięte.

Pan Maciej przywitał go z przymusem. Nie widzieli się od pogrzebu Stefci Rudeckiej.

Brochwicz za granicą bywał u pani Idalii i Luci, pan Maciej wiedząc o tym, wpadł teraz na pewne podejrzenia, ale ukrył je w sobie. Pomieszanie Luci przy powitaniu z Brochwiczem zastanowiło staruszka.

– Czyżby to?... - myślał.

Lucia pytała o matkę. Brochwicz odpowiadał ogólnikowo, ale ordynat rzekł bez ceremonii.

– Mama?... Mama bawi się wybornie, ciągle karnawałuje. Szuka jakiejś szansy, czy wrażeń południowych. Trzęsienie ziemi nie wystarcza. Nowa mania. Zresztą prowadzi sensacyjną sprawę, to również ją niezmiernie bawi.

– Jaką sprawę? - spytała Lucia.

– Rozwodową... książąt Zanieckich - odrzekł Brochwicz.

– Jak to?! Więc ta... Melania... zawsze jest razem z mamą?...
– Jak dotąd, stale.
– I Barski?...
– Tak! Ojciec głównie dąży do zgnębienia zięcia.
– Dobrany trójkąt. Szkoda mi tylko Zanieckiego - mówił ordynat.
Lucia zwiesiła głowę, gniew drgnął w jej zsuniętych brwiach.
– Jak można!? Jak można?... Mama z Barskimi? - szepnęła ze zgrozą.
Waldemar zmienił przedmiot rozmowy.
Lucia tego samego dnia napisała do matki, błagając o powrót do Słodkowic i o zerwanie stosunków z Barskimi.
Ale pani Idalia pozostała niewzruszoną.

# VIII.

Brochwicz przesiadywał w Głębowiczach i jakkolwiek przyjaźnie, ale nieufnie patrzył na stosunki ordynata z okoliczną szlachtą. Podziwiał działalność Michorowskiego, interesowały go programy społeczne, inicjowane przez ordynata. Ale sam nie brał w nich udziału. Czytywał, grywał, marzył. Brochwicz był jak pod wpływem narkotyku. Jakieś moralne opium odurzyło go, niwecząc energię.

Ordynat, przeciwnie, był w ciągłym ruchu. Sprawy publiczne, fermenty społeczne i naprężone włókna polityki wewnętrznej podniecały go. Jego sprężysty umysł szukał coraz nowych ujść i znajdował je. Głębowicze stały się punktem zbornym różnych zjazdów i sesji. Arystokracja krzywo spoglądała na „demokratyczne zachcianki" ordynata, lecz wciągana przez niego, musiała czasem współuczestniczyć w jego pomysłach. A te były szerokie. Tylko nie bardzo się udawały z powodu zagmatwań politycznych. Oczekiwanie ważnych wypadków, przewroty w sferach rządzących - tamowały filantropijną działalność. Rozmaite partie, związki paraliżowały czyn praktyczny.

Ordynat był bezpartyjnym, ale wyrozumiałym. Na sesjach mówił niewiele, wypowiadając zdania konkretne i dobrze obmyślane, które zawsze prawie odnosiły zwycięstwo. Nie rozdrabniał swych myśli i nie szafował nimi w dysputach z każdym. Nie była to zarozumiałość, lecz jedynie powściągliwość i powaga w słowie. Miał zaufanie do dziadka i Luci; przy nich mówił więcej i nieco ożywiał się. Raz mówił:

– Gdyby na świecie było mniej pretensji, byłoby zarazem mniej kłamstwa i obłudy. Gdyby ludzie mieli odwagę przedstawiać się takimi, jakimi są, byliby szczęśliwsi. Nic chyba nie deprawuje tak duszy, niż ta pewność, że się ma maskę dla świata, a inną twarz dla siebie. Bo pomimo najzręczniejszej i, powiedzmy nawet, najwytworniejszej obłudy, osobnik, który ją uprawia, zna swą istotną wartość. Więc gdy uczciwość w nim nie zamarła doszczętnie, odczuwa i cierpi, że poznaje. A to jest przecież okrutne.

Lucia potrząsnęła głową energicznie.

– Ale dodaj jeszcze: że i nie poprawi się taki pan. Gdy jest bierny duchem, wierzy w swą pozę, jak w rzecz prawdziwą, nie nabytą i kolorowaną. Gdy jest podły, śmieje się z niej ironicznie, lecz nie zmienia. Częściej jednak śmiech swój zwraca nie na własny dowcip w urządzaniu prawdy, lecz na naiwność tych, którzy się na nią biorą.

– I to już jest szczytem bezczelności - dokończył Waldemar. Stary Michorowski patrzył na nich ze smutkiem i zgrozą.

– To jest młode pokolenie! Ty, Luciu, możesz już tak sądzić?

– Poznaję świat, dziadziu - odrzekła krótko.

Brochwicz nie rozmyślał o polityce, nie analizował ludzi. Z książką w ręku siedział raz daleko poza parkiem w ogrodzie owocowym. Nie czytał. Głaskał wzrokiem żółknące już drzewa śliw.

Obfite,nadmiernie dojrzałe owoce, w aksamitnych fioletach z puszkiem srebrzystym zwisały z gałęzi ciężkimi ciałami, lub spadając na trawę, pękały ukazując złoty, soczysty miąższ. Szare, okazałe gruszki wśród szarych liści i błyszczące, zarumienione jabłka tworzyły wyłączną jesienną mozaikę, napawając jednocześnie jakąś sytością. Brochwicz lubił ten ogród, bo mu tu było zacisznie. Błądził w winnicy, wśród zabudowań cieplarnianych, rysował pyszne liście winogron, czarne i zielone, cieszył się widokiem potężnych ananasów, przysadziście złocących się pod szkłem. Wytworne kule brzoskwiń i ciemno_żółte lampki moreli zatrzymywały na sobie oczy Brochwicza, jakby najpiękniejsze kwiaty. Chodził już długo, miażdżąc opadłe śliwki węgierki, pogrążony w myślach, z tęsknotą w źrenicach i zwątpieniem na ustach. Ale ocknął się. Nagłe postanowienie rzuciło mu na twarz błysk energiczny. Prędkim krokiem podążył do zamku. Zapytał, gdzie ordynat. Olbrzymi Jur odpowiedział cicho i jakby z nabożeństwem:

– Ordynat gra.

Brochwicz wiedział, że gra w sali muzycznej na organach. Uszanował tę chwilę i nie przerywał. Nawet nie wszedł do sali. Usiadł w bocznym saloniku, czekając aż Waldemar skończy i zasłuchał się.

Michorowski nie często pozwalał sobie na chwilę osobistych rozmyślań przy organach, bo wówczas wpadał w nastrój prawie mistyczny. Wszystkie drogie wspomnienia, bóle, tragedie przeżyte przed dwoma laty uwypuklały się i raziły w serce nawałą ciężarów. Ale grał, i zanurzał się we wspomnieniach odległych, które jednak przez powiększające szkło duszy były tak blisko, że prawie w tej sali. Waldemar miewał złudzenia, że gdy wstanie, zobaczy za sobą Stefcię Rudecką lub usłyszy jej głos. I patrzył na nią, budząc życie w jej twarzy, malowanej na płótnie.

Portret jej umieszczony był obok organów. Gdy ordynat grał sonatę Beethovena, ulubioną niegdyś przez nich oboje, twarz na portrecie zdawała się uśmiechać, promienieć. Gdy grał żałobnego marsza lub nokturny Chopina, rysy zmarłej narzeczonej posępniały. Waldemar zaś wstrząsał się, bo widział ją wówczas już oblubienicą śmierci w Ruczajowskim salonie wśród kwiatów.

Nikt nigdy nie przerywał ordynatowi tych sjest muzycznych. Cały zamek słuchał w skupieniu. Niewidzialne jakieś palce trącały w struny innych instrumentów, tu nagromadzonych, i razem z hejnałem organów płynęła pieśń tęskna, a potężna, pieśń natchniona, nasiąknięta czarem, od bólu ciężarna.

Brochwicz słuchał takiej właśnie pieśni strun. To nie grały palce ordynata, to grała wszechpotęga dramatu, który nosił w duszy: to grał orkan poszarpanych namiętności; to grała tęsknota tak olbrzymia, że ocean wylany na jej ogień, nie zdławiłby go.

– Jeśli tak dłużej potrwa, to zgon Stefci, ordynat i te organy staną się legendą zamku - myślał Brochwicz.

I nie mylił się. Na zamek już spoglądano jak na mauzoleum nieszczęścia. Mury były jakby nasiąkłe tragedią; pełzał po nich szary mrok. Wyniosły gmach przyjmował odwiedzających przyjaźnie, ale głównie ludzi czynu, związanych z ordynatem tożsamością idei. Nie bywało innych zjazdów, niż społeczne. Dawne zabawy zdążyły stłumić na węgłach murów najcichsze swe echa. Zamek był jak skała z ostatnim potomkiem orlego rodu, którego zraniona pierś krwawiła.

Brochwicz nie odważył się tego dnia mówić z Michorowskim o sobie. Nazajutrz przy śniadaniu rzekł tylko:

– Muszę już opuścić Głębowicze; ale dziś chcę być w Słodkowcach. Proszę cię, Waldy, jedź ze mną.

– Chcesz się upewnić co do Luci?

Brochwicz spojrzał zdumiony.

– To ty odgadłeś?

– Przeczuwałem.

Przez chwilę milczeli.

– Upewnić?... Czy ja się mogę upewnić?... Ja zupełnie nic nie wiem - rzekł Brochwicz.

– Nie rozmawiałeś z nią o tym nigdy?

– Nie.

– Jednak ona również wie.

– I...?

– No, nie zwierzała mi się, trudno odgadnąć.

Brochwicz przeciągnął dłonią po swych gęstych, jasnych włosach.

– Ty, Waldy, przeczułeś, ale nie wiesz, jak ją kocham. Tak jakoś powstało z niczego. Z tej dziewczyny wyrósł kwiat wonny - może nie dla mnie... Ona kocha... kocha... na pewno; tylko... zdaje się, nie mnie!...

Ordynat popatrzył badawczo w oczy przyjaciela.

– A kogo - zgadujesz?

– Kogoś, kto został w Nicei. Ona uciekła od niego.

– Ale kto to?

– Nie wiem. Ona jest skryta. Pojedziesz, Waldy, do Słodkowic ze mną?

– Tak. Kto wie?... Może się obydwaj mylimy?

– Nie rozumiem...

– Bo ty myślisz, że jest ktoś drugi, a ja jednak myślę, że jesteś tylko ty.

– Jak?!...

– Poczekaj! A może nie być nikogo w jej uczuciach, to możliwe. Lucia jest tajemnicza.

Brochwicz trochę smutno uścisnął rękę ordynata.

– Wolałbym już, żeby kochała innego, niż nikogo, bo wówczas jej stan obecny tłumaczyłby się naturalnie. A tak?... Jeśli to tylko apatia, niechęć do życia?...

– Nie! Lucię na pewno coś gnębi - odrzekł Michorowski z powagą w głosie.

# IX.

Nie dojeżdżając do Słodkowic, ordynat i Brochwicz spotkali Lucię, w białym koszykowym wolanciku, zaprzężonym w białego konia. Jasna, smukła postać dziewczyny, jadącej samotnie, z białymi lejcami w dłoniach, dopełniała wdzięcznego obrazka. Kapelusz panama, odchylony z czoła, rozwiane włosy i biały welon upiększały Lucię, nadając jej odmiennego wyrazu, niż zwykle. Dziewczęcy powab i młodość, zagłuszone powagą, teraz odżyły i zaciekawiały.

Gdy powóz ordynata zrównał się z koszykiem, Lucia wstrzymała konia.

Michorowski zauważył, że na widok Brochwicza chmura przeleciała przez jej twarz.

Panowie wysiedli z powozu. Po powitaniu i kilku słowach wstępnych Waldemar rzekł:

– Oddaję ci, Luciu, Jurka. Bądź dla niego uprzejmą. Ja muszę wstąpić do leśniczówki.

– To jedźmy razem! - zawołała Lucia nerwowo.

– Nie, nie, zostańcie. Mam tam osobistą sprawę, przy której bylibyście... zbyteczni.

Dziewczyna wpiła badawczy wzrok w szare oczy Michorowskiego. Usta jej drgały, gniew zamigotał na twarzy. Podając rękę Waldemarowi, rzekła zamiast pożegnania:

– Dobrze... będę grzeczna, jak każesz. Ty... jedź sobie.

W jej głosie brzmiała złośliwość. Waldemar miał wrażenie, jakby ścisnął w swej dłoni nie rękę kobiecą, lecz kawałek drzewa.

Lucia zgarnęła suknię, usuwając się na bok.

– Proszę, niech pan siada.

Brochwicz, trochę zmieszany energią Luci, wskoczył do koszyka niezgrabnie. Ona poruszyła batem.

– Do widzenia, Waldy! - zawołał Jerzy.

Może w tej chwili żałował swojego pośpiechu, bo mina Luci nie wróżyła mu nic dobrego.

Jechali, milcząc oboje. Brochwicz gryzł wąsy, patrzył uparcie na białe rękawiczki Luci. Zatrzymywał słowa na brzegu ust, szarpał się wewnętrznie, denerwował, ale bał się mówić. Przeczuwał, że ta odrobina złudzenia, nadziei, którą nosił w sercu, leży oto przed nim jak wątły płatek kwiatu, i że jego słowa zdmuchną go na zawsze. Uleci od niego ten atom ideału, uleci bezpowrotnie. Czy nie lepiej zatrzymać się? Zacząć zwykłą rozmowę, płatek zaś ten, utkany z uczuć złotych, mieć jeszcze przed oczyma do nieskończoności?...

Brochwiczowi jeszcze raz zaciążyła obecność Luci. Z utęsknieniem pomyślał o Głębowiczach, gdzie był ciągle z nią - ale ciągle bez niej, gdzie marzył o niej - nie widząc jej, gdzie pieścił jej ręce w swej wyobraźni, tulił ją całą do siebie. Teraz ona siedzi przy nim blisko, lecz jest dalej: jej ręce widzi przed sobą, ale są jakby obce, sztywne. Czy to są ręce jego Luci? Brochwicz zrozumiał, że można za kimś szaleć na odległość całego świata, gdy się zaś jest blisko swego ukochanego, chciałoby się brnąć przez pustynię Sahary - aby dalej...

Bo najstraszniejszym z zawodów jest utrata nadziei. Nic nie wyrówna goryczy, zgrozie i przerażeniu duszy stęsknionej, gdy zamiast wymarzonej iskry napotyka sopel lodowy.

Brochwicz męczył się i miał żal do samego siebie, że dobrowolnie złudę swą zdziera z oczu. Ogarnął go lęk niesłychany. Jeszcze trochę, jeszcze kilka chwil. Może nie ten powód jej chłodu?... Może nie to?

Ale Lucia była dziś jego katem do końca. Odczuwając jego walkę i wahanie się, pierwsza zerwała tamę niepewności, zmuszając go do wejścia w zimny strumień swych uczuć dla niego.

– Pan ma mi coś powiedzieć, prawda? Coś wyłącznego? Zatem proszę - rzekła niemiłosiernie obojętnym tonem.

Brochwicz osłupiał.

– Tak, chciałem z panią pomówić.

– Proszę.

Fala energii wpłynęła do serca Jerzego. Wiedział już, że zginie, ale postanowił zginąć mężnie. Zaczął mówić wolno, bez zapału, lecz całą duszą, jak spowiedź przed wyrokiem śmierci.

– Pani wiadome są moje uczucia, mój pobyt w Nicei i przyjazd teraz do Głębowicz. Pani wie, że ją kocham, od roku prawie. Pani była w klasztorze - milczałem, i w Nicei milczałem, i teraz całe lato milczałem; dłużej... nie mogę.

Lucia poruszyła się, chciała coś rzec, ale Brochwicz przerwał.

– Pani zna moje uczucia, tylko je lekceważy. Tak nie można. Mowę czyjegoś serca trzeba szanować przynajmniej, jeśli nie jest się zdolnym odpowiedzieć na nią. Miłość, głęboko pojęta, jest majestatem, jest powagą, dla której trzeba mieć cześć.

– Czy ja robię jakąś krzywdę pańskim uczuciom? Nie rozumiem – rzekła Lucia trochę niecierpliwie.

– Robi pani największą, bo im... nie odwzajemnia. Ale... to nie pani wina.

– Tak, nie kocham pana i nawet... nie żałuję tego. Brochwicz zacisnął usta. Czoło sfałdowało mu się boleśnie. Doznał wrażenia okropnego, że Lucia zimną ręką wyjęła z niego serce i trzyma je na swej dłoni, drgające, ociekające gorącą krwią.

– „Nie kocham cię i nawet nie żałuję tego”.

– Och kobieta! Kobieta!...

Siedział jak zabity, wstręt do niej odczuwał, jak przed czerwoną suknią kata. Lucia spojrzała na niego i zlękła się. Rękę oparła o jego dłoń.

– Panie Jerzy! Panie Jerzy!

Odsunął ją od siebie szorstko.

– Niech mnie pani nie dotyka. Już dosyć szyderstwa. Zawsze mnie pani oblewała lodem, mroziła serce i duszę.

– Panie, przecież to dowód, że nie szydziłam; to dowód najlepszy.

– Nie, to nie po kobiecemu. Ja panią kochałem jak szaleniec, a pani nawet tego odczuć nie chciała.

– Nie chciałam i nie mogłam, ale z innych powodów, niż pan sądzi. Nie myślałam nigdy, że pan może mnie pokochać. Mnie się zdaje, że cały świat wie... głównie zaś pan...

Umilkła, szarpnęła lejcami silnie. Ale koń pomimo to zwolnił, jechali prawie krokiem.

– O czym... ja wiem? - wyszeptał Brochwicz.

Twarz Luci zabarwiła się lekko, na rzęsach zawisły łzy.

– O tym, że ja kocham innego!

– Pani?!

– Tak. Kocham innego. To było powodem, że nie wierzyłam w pańskie uczucia, a potem mroziłam je. Teraz niech pan potępia.

Łzy jej opadły na perłowe guziki żakietu. Brochwicz pod wpływem ciosu ostatniego a strasznego, patrzył tępym wzrokiem, gdy duże krople łez, błyszcząc różowo na konsze guzików, zsuwały się po białym szewiocie i biegły prędko jak drobne kulki szkła. Jerzy nic nie myślał. Głusz dziwna, a przeogromna wzięła go w swój krąg, wsysała mu się w mózg, wyżerała serce.

Stracił ją, swoją Lucię, stracił na zawsze! Wątły płatek jego marzeń, jego nadziei, uleciał bezpowrotnie, zdmuchnięty jej słowami: „Kocham innego”. Czyż można ją potępiać za wyrok, jaki wydała na niego?

Brochwicz czuł swoją niemoc, i razem z goryczą spłynęła mu do duszy litość nad Lucią. Czemu ona płacze?... Czy, że jego pokochać nie może, czy, że kocha innego? Więc chyba nieszczęśliwie?!

Lucia ocknęła się, otarła łzy i, pochylając się do Jerzego, rzekła serdecznie, chociaż głuchym głosem:

– Niech mnie pan wyrzuci z serca, bo kochać bez wzajemności to straszne, to grób. Ja to znam, bo i ja... tak samo kocham.

Brochwicz bez słowa wziął jej rękę i ucałował z szacunkiem, ale zimnymi ustami. Dławił go żal, męka trawiła serce, lecz w mózgu jedna myśl tylko

nurtowała uparcie, zagłuszając ból duszy; jedna myśl, jedno pytanie:

– Kto to jest ten drugi?

W milczeniu dojechali do Słodkowic.

# X.

Ordynat poznał po Luci i Brochwiczu, że kwestia rozstrzygnęła się niepomyślnie. Był zdziwiony, ale nie pytał o nic. Uderzył go wyraz oczu Luci, gdy patrzyła na niego, jakby zalękniony, czy niepewny. Unikała go wyraźnie.

Po obiedzie usiedli wszyscy na tarasie, gdzie podano czarną kawę. Lucia rozlewała z filiżanki. Przed ordynatem Jacenty położył tekę pocztową, pełną listów, świeżo przywiezioną z Głębowicz. Taki był zwyczaj, gdy ordynat bawił w Słodkowcach, korespondencję odwożono mu natychmiast, choćby miał wracać wieczorem... Ordynat otworzył list pierwszy z brzegu, przeczytał szybko kilkanaście słów, zmarszczył się, potem uśmiechnął i podał list Luci, która niosła mu kawę.

– Przeczytaj! To zabawne.

Dziewczyna spojrzała zdziwiona, wzięła list w drugą rękę, i nie stawiając filiżanki, zaczęła czytać. Nagle zbladła, ręce jej zatrzęsły się. Czarna wstążka rozlanej kawy splamiła jej suknię; filiżanka u jej stóp rozprysnęła się na cząsteczki. Lucia stała, jak uderzona w skroń, ze spodkiem w jednej i z listem w drugiej ręce. Zmieszana, z ognistą czerwienią na twarzy, nie wiedziała co ze sobą począć pod wzrokiem dziadka i Brochwicza.

– Co to za list? - spytał pan Maciej.

– Ach! głupstwo! - to z Biało_Czerkas - odrzekł Michorowski z niezadowoleniem.

– Co się stało? Na Boga!

– Nic nadzwyczajnego. Fermenty i rozruchy. Na Luci to zawsze robi wrażenie - uśmiechnął się Waldemar łagodząco.

Ale dziewczyna wyszła z pokoju. Zmięty list ze stołu ordynat chował do kieszeni. Gdy Brochwicz poprosił o niego wzrokiem, z przychylnym skinieniem brwi Waldemar oddał mu go i zajął dziadka gazetami.

Brochwicz czytał.

„Jaśnie wielmożny panie ordynacie. U nas chłopy buntują się. Chodzą jakieś ludzie i rozrzucają złe papiery. Mają spalić nasze młyny i wyrżnąć całą administrację. A najgorsze to, że wyjechało kilku łajdaków, żeby zabić jaśnie wielmożnego pana ordynata w ordynacji, bo mówią, że teraz na panów koniec przyszedł, i że wszystkich będą rżnąć.”

„Przepraszam jaśnie wielmożnego pana ordynata, że mam śmiałość pisać, ale mi strasznie na sercu leży ten spisek, bo to jest pewne, że pojechali.”

„Niech się jaśnie wielmożny pan wystrzega, bo broń Boże nieszczęścia...”

I tak dalej i dalej...

Brochwicz spojrzał na podpis.

„Gałkowski, leśniczy z Biało-Czerkas”.

Gorąco uderzyło na mózg Jerzego. Zmiął list machinalnie, spojrzał na skorupki filiżanki i na czarną plamę na terakocie posadzki. Duszność ogarnęła go tak silnie, że nie mógł pozostać na miejscu. Wstał i bez słowa podszedł do balustrady. Patrzył na dywany kwiatów, malujące się pięknymi wzorami w powodzi słońca, na bogactwo jesiennych barw wśród parkowych drzew, na brylantowe odpryski fontanny, i wszędzie widział wielką odkrytą prawdę.

Już nie męczył się pytaniem: kto jest ten drugi? Czuł szum w głowie i brakło mu oddechu.

Lucia powróciła na taras przebrana i z czerwonymi oczami. Była cicha, poważna, prawie surowa. Gdy na pożegnanie Brochwicz całował jej rękę, szepnęła cichutko:

– Niech mi pan wybaczy i zrozumie.

– Ja już... zrozumiałem - odrzekł Jerzy bezmiernie smutno.

Zwarli się oczyma długo, uważnie. Lucia nie spuściła powiek, tylko róż ją oblał, zapłonęła. Odczuła, że Brochwicz odkrył prawdę.

– Ja pragnę szczęścia, pani, ale... dla każdego szczęście inaczej kwitnie - rzekł jeszcze.

– Tak, szepnęła Lucia. Niech pan będzie moim bratem.

– Nie, pani; o tym nie marzyłem. Mężczyźnie, który kocha kobietę miłością... wielką, nie można dawać braterstwa zamiast wzajemności.

Lucia teraz spuściła oczy.

Ręce ich rozerwały się, bo oboje nic już do powiedzenia nie mieli.

Gdy panowie wsiadali do powozu, Lucia skinęła na Waldemara.

Podszedł do niej z kapeluszem w ręku.

– Waldy... Słuchaj, Waldy! Proszę cię w imieniu dziadzia i... w swoim: bądź uważny. Ten list...

Ordynat lekko ogarnął ją ramieniem i dotknął ustami jej jasnych włosów.

– Nie obawiaj się, dziecko. To strachy na lachy, później ci to wytłumaczę.

Stali zakryci trochę filarem ganku. Waldemar spytał szeptem:

– Cóż, Jurek?...

Lucia drgnęła. Odrzekła niecierpliwie:

– Nic; skończyłam.

– Bez nadziei?

– Bez żadnej! Mówmy o tobie, Waldy. Nie wyjeżdżaj teraz bez strzelca: dobrze?

– Za tydzień jadę do Biało_Czerkas.

– Waldy?

– Nic mi nie grozi. Do widzenia!

Błękitne oczy Luci zaszły łzami.

– Do widzenia, Waldy.

Powóz ruszył, ona zaś stała, oparta o filar z głuchym żalem na piersi, z piekącym bólem w sercu. Po jakimś czasie dłoń jej zacisnęła się stanowczo, zsunęły się groźne brwi, i Lucia rzekła z mocą, pełnym głosem:

– Nie pojedzie tam! Nie!

Z podniesioną głową weszła do pałacu.

Ordynat z Brochwiczem jadąc, prawie nie mówili do siebie. Coś padło pomiędzy nich. W Głębowiczach już Brochwicz rzekł:

– Jutro cię pożegnam. Wyjeżdżam.

– Więc obaj myliliśmy się co do Luci - zagadnął Michorowski.

– Ja nie. Przeczułem dobrze. Kocha innego, i... wiem kogo.

Ordynat nie podjął tej kwestii.

# XI.

Dęby wołyńskie, olbrzymy niebotyczne, trzęsły potwornymi głowami. One tylko zielone swe grzywy rozpościerały dumnie i butnie nad morzem rozhulanych po puszczy barw jesiennych.

Dęby wołyńskie parły do słońca całą siłą swych tęgich muskułów. Zaborcze swe ramiona wżerały pomiędzy gałęzie innych drzew, brały je pod siebie i znowu szły dalej, i znowu dławiły słabszych.

Dęby wołyńskie rozwielmożnione, poważne, królowały puszczy, biorąc ją we władanie. Sypały na ziemię grad żołędzi na pokarm dla dzików.

Dęby wołyńskie, praojcowie puszczy, panowie jej i opiekunowie. One ściągały na siebie pioruny, chroniąc inne drzewa; one opierały się nawałnicom wichrów; one dawały cień, one dawały ton główny leśnej filharmonii. One pierwsze rozbrzmiewały donośną pogwarą na powitanie swego pana, pierwsze pochyliły czuby w wasalskim pokłonie ordynatowi Michorowskiemu.

Za nimi poszedł cały bór, ustrojony w złotogłów. Roztocz kolorów, otchłań burzących się barw.

Ordynat wjechał w bór i stanął zdumiony, pochłonięty.

Na swym folblucie wydał się sam sobie drobnym jak pyłek, jak atom.

Patrzył na puszczę, podziwiał ją i żył jej życiem, wchłaniał jej moc.

A puszcza grała. Grała melodię tonów tęczowych - słonecznych dla oczu grała.

Dziwy się tu działy, tyle naraz bogactw, tyle żywiołów zbratanych z sobą. Przepastna bezdeń cudów.

Bór żył, gwarząc ze sobą, i dzieje swe opowiadał. A czasem tęsknił i marzył, a czasem się burzył. I wzajemnie do snu się kołysał, i razem rozpaczał, i razem się cieszył.

Bór zgodny, niebotyczny.

Ordynat Michorowski, zagłębiony w cieniach puszczy, owiany zapachem jesieni rozmawiał z duszą swą starganą.

Przepojony był wrażeniem, spitym czarem natury. Rwały mu się spod serca uczucia obłędne w swej żałosnej tęsknicy. I jakieś zgrzyty i bunty, i straszny obuch niedoli. Przepyszna, ale jesienna barwa lasu, działała na niego gnębiąco; wielkość puszczy - przeciwnie - dodawała mu mocy, wlewając tęgość do krwi. Chwilami czuł się silnym, nawet potężnym, walczyłby z demonami. Przeszłość odsuwał wówczas brutalnie. - Najtragiczniejsze momenty życia jego malały w wyobraźni, widział jakiś ogrom niepojęty, jakiś czyn wielki, do którego dążyć - jest celem, który spełnić - jest istotą bytu. Nie obejrzeć się za siebie. Stało się! Czarny korytarz, wiodący do katakumb wspomnień, zasunąć kirem i nie zaglądać doń już nigdy. Ciche szmery, w duszy płynące z przeszłości, zagłuszyć nowym hałasem. Nie cofać się i nie stać w miejscu.

Naprzód! Naprzód!

Być, jak ten las, górnym i rozgłośnie szumiącym, jak te dęby - pełnym władzy i majestatu.

Ale czy to wystarczy? Czy można przejść przez niebo i zapomnieć o nim...? Czy, jeśli kto przebył raj na ziemi, nie będzie spalony przez ognień czyśćca?

Ale żal, a zgryzota? Ci straszni wrogowie duszy zbolałej? Upomną się zawsze o swe prawa, spopielą jaźń duchową, położą na niej piętno wiecznej pamięci. Twarde prawo, i ratunku nań nie ma. Silna wola, konieczność, to są jedynie środki obiektywne, jak morfina, podtrzymujące niknące ciało. Zły los wprowadza istotę ludzką na szlaki złociste, pełne barw, blasków, obłoków. Pozwala nawet wejść do tych zaczarowanych otchłani szczęścia, pozwala posłuchać szumu skrzydeł, które tam wibrują, pozwala prześpiewać jedną strofkę tego hejnału błogosławionego, który tam rozbrzmiewa.

Pozwala, aby cofnąć człowieka z tych cudownych przepaści do dawnego bytu bez promieni, by wydał się popiołem po złotym ogniu. Pozwala, aby ten hejnał nieuchwytny, bo krótki, przeistoczyć na zawsze w treny, aby czarowny szum skrzydeł przemienić w szpony innego życia, które rozkrwawiają wspomnienia po to, by wydobyć z nich wieczną tęsknotę.

Waldemar pamięcią rozpalał tę swoją błyskawicę życiową, ale czyniąc to zarazem z okrucieństwem wyrafinowanym darł na cząsteczki włókna swego serca. Z ordynata opadły już marzenia, skruszyły się zapały młodzieńcze. Został tylko twórczy podkład jego istoty wewnętrznej, mogący rozszerzać się i obejmować coraz to nowe płody szczytnych myśli, celów idealnych. Czyny swe nieść na barkach życia, zamiast szczęścia. Nie dławić tęsknoty, ale ją mieć, jako swe najdroższe sanktuarium.

Zmrok wpełzł w puszczę i zaszemrał. Cicha pogwara, od dębów poczęta, szła wśród boru. Drzewa mówiły sobie dobranoc.

I oto pod wpływem wiecznej gawędy lasu, czarny kir okrywający katakumby jego tragedii podniósł się i wyleciał zza niego rój białych gołębi, i

trzepotał skrzydełkami białymi i białoróżową chmurą okrążał głowę Michorowskiego.

Opadły go srebrne ptaki wspomnień. Wspomnienie powinno się znajdować wewnątrz skarbca, jak pamiątka, do której należy się zbliżać w skupieniu ducha, z uwagą, by ta reszta dawnej świetności nie uległa rozbiciu.

Chmura śnieżnych gołębi krążyła, stukając dzióbkami do zamkniętego gmachu duszy ordynata. Szeleściły atłasowe piórka upartych ptaków. Dobić się chciały do skarbca i uchwycić złożone w nim klejnoty, by razem z tamtymi cudami utworzyć uroczą, jarzącą się blaskami zorzę i skąpać w niej umysł Michorowskiego. Trzepotały się ptaszyny, kwiliły. Już serce Waldemara zalewała słodycz niepojęta, haszyszem nasiąkały nerwy, mózg oddał się bezsprzecznie pod ich władzę. Całą duszą, całą istotą otwierał złote wrota swego sezamu, by na progu jego upaść z niemocy upojnego wyczerpania.

Ale bór zatrząsł się groźnym wichrem, pęd ostry przeleciał czuby dębów, targnął nimi, runął niżej, w puszczę drzew i szamotał się zajadle, grzmiał na konarach i w dziuplach świstał. Powstał charkot, zamęt, ryk w cichym przed chwilą borze. A noc niezgłębiona szła na pomoc hordom wichru i waliła w czeluść puszczy ciężką swą postacią w czarnej todze.

Pierzchły stada gołębi, wiew czarownych skrzydeł wspomnień przycichł, ginął i znikł. Przestały kwilić cudne głosy i wrota złote zawarły się z trzaskiem. Uleciały ostatnie piórka wspomnień. W pomroce rzeczywistości tylko rozlegał się huk miotanej wichurą puszczy i szelest z drzew liści.

Duże krople deszczu opadły ostro, jak kulki ołowiu, i najpierw słabym szmerem, potem coraz szybszym, głośniejszym, rozniosły się po drzewach jak lecący groch.

Reszta marzeń ordynata frunęła, głuszył je deszcz, smagał wiatr.

Ordynat spiął konia ostrogami. Linią leśną jechał do Biało-Czerkas, zmęczony duchowo swą wycieczką poza kir przeszłości. A za nim zostawał bór czarny, huczący, zostawały dęby, przemożne siłą, dumne ze swej potęgi, pełne brawury i majestatu.

O dęby! Nie znacie toporu, więc butny wasz głos.

Szumcie rozgłośnie, wołyńskie dęby! Nikt nie rani was! Szumcie!

## XII.

Bór stał jak okręt na niezmierzonych przestrzeniach wietrznych, borykał się i zmagał. Przepastna zwała gałęzi ryczała na podobieństwo rozhukanych bałwanów morskich, roznosząc dokoła tytanicznego cielska oddech surowy i ostry jak sztylety. Porywała od swych stóp suche liście i rzucała je, rozpraszała, ciskała na swe bary, by natychmiast znowu zrzucać, porywać nowe. Drzewa biły się wściekle, gryzły wzajemnie z trzaskiem, z łomotem. Jedne zarażały drugie impetem, wyzywały się czubami i bodły z łoskotem, i

niosły wojnę w głąb zimnej masy konarów, coraz grubszych, okropniejszych.

Wicher walił z góry i z boków. Lecz i nisko na ziemi pełzali wrogowie. Szła jakaś ciemna, wydłużona poczwara, krokiem zdradzieckim, jakby lisim. Sunęła dość prędko; chwilami gdy wrzask gałęzi wywoływał jakby tętent koni, poczwara zatrzymywała się, słuchała, znowu pełzła. Czasem jęk drzew wydawał się wyciem upiorów, niby skowyt potępieńców przebiegał puszczę, mrożąc szpik w kościach. Wówczas mnogość rąk poczwary robiła znak krzyża. To szli ludzie. Tłum chłopów z siekierami rąbać „kniaziowy" las. Cała gromada wyciągniętym wężem wrzynała się w bór: szare świty, łapcie z łyka na nogach, w pomroce nocnej słabo widniejące siekiery.

Weszli. Bór przyjął ich szumem żałosnym, sypnął gradem mokrych kropli, wiązał im stopy gąszczem traw splątanych i korzeni. Ale chłopi, zwinni jak koty, brnęli śmiało, skacząc raźnie, bełkocąc z zadowolenia. Niedźwiedzie pomruki rozwlekły swe echa po uroczysku czarnych dębów i posępnie zwiastowały im śmierć.

Gdy pierwszy grom toporu buchnął groźnie, zadrżały nerwy drzew. Przerażenie szarpnęło członkami dębów; siekiery rozpoczęły kośbę. Warczało żelazo:

Buch! buch!

Dwustu chłopów przegięło się żarłocznym ruchem, dwieście twarzy bezmyślnych wykrzywił dziki śmiech triumfu i chciwości, dwieście toporów wzniosło się w górę i ugrzęzło w twardym żylastym ciele dębów.

Bór stęknął. Groza i zdumienie ujarzmiły wojnę gałęzi, nawet wicher umilkł. Trwoga, nieznana tu, a nagła i ogromna, zatrzymała w miejscu oddech drzew. Jądra ich, serca kipiące sokami ożywczymi, zastygły w niemym strachu.

Wicher z wroga stał się przyjacielem napadniętych. Szemrał łagodnie i od czuba do czuba niósł podzwon grobowej wieści.

Zabijają was, dęby! Giniecie, dęby!

Ratunku! Ratunku!

Barbarzyńskie topory w rękach bestii ludzkich grzmiały już donośnie, śmiało, z rozmachem piekielnych cepów. Chłopstwo czuło się panami boru, i darło mu wnętrzności, zabierając wszechpotężnych magnatów puszczy. Siekiery niweczyły butne istnienia, druzgocąc je kawałkiem żelaza.

Bór szedł na pastwę, bór z jękiem konającego wzywał pomocy, bór płakał nad zgubą swych wodzów. A dęby toczyły krew, ciała ich pokryły się ranami, czubami trzęsły ostatnie dreszcze.

Ale stały, jeszcze stały wielkie, choć już słabnące, jeszcze czoła do góry pną. Krzywda im się dzieje, lecz mężne, trwają w chwale do końca.

Gdy kilkadziesiąt olbrzymich trupów legło z głuchym łomotem ostatnich tchnień, i gdy nad nimi rozszlochał się bór, i zwierzęcym wizgiem tłuszcza chłopska ogłosiła swój triumf, w Biało-Czerkasach powstał zamęt.

Do sypialni ordynata zastukano gwałtownie.

– Co tam?!

Zdyszany głos za drzwiami wyrzucił krótko:

– Chłopi rąbią las!

Ordynat zerwał się, jak ugodzony.

– Który!? Gdzie!?

– Uroczysko czarnych dębów!

– Konia dawać! Prędko!!! Strażacy na koń! Cała służba!

Kamerdyner biegł spełnić rozkaz.

Ordynat ubierał się gorączkowo.

On kochał te dęby, przeniósłby je do Głębowicz, gdyby mógł.

Jego dęby tną! Dęby giną... Chryste!!!

Nie upłynęło kilka minut, kiedy ordynat, na nic niepamiętny, w ubraniu do konnej jazdy i w lekkiej burce gnał do boru na czele zastępu strażaków, kilku strzelców i służby. Tuż za nim, leżąc na koniu, cwałował wierny Jur i klął w duszy zły, że nie miał pod ręką swoich chłopców, strzelców zwierzynieckich, dla obrony pana i jego boru.

Wiatr gwizdał w uszach, ćwiczył ordynata, ostrym zgrzebłem wbijał mu się w piersi. Rwali w pomroce, lecąc jak orły drapieżne, niesione zemstą. Dziesięciu strażaków z pochodniami naprzód, krwawą szarfą znaczyli przybycie pomocy nieszczęsnej puszczy...

Wpadli w bór jak szalony, rozżarty płomień i wzniecili popłoch. Pochodnie rozlały się na wszystkie strony. Każda goniła kilku chłopów. Wrzaski uciekających ogłuszały. Chłopstwo zmykało bez tchu, gonione tętentem koni, blaskami smolnych zarzewi. Biało-Czerkascy nie bili, mieli wyraźny rozkaz jedynie rozpędzić tłum. Ale przeklinali „mużyków” jak kto umiał, bo to rozsiewało strach. Chłopi ogromni, zarośnięci kudłami, rzucali topory, i oślepli z trwogi, rozbiegali się jak szakale, skacząc i przewracając się przez powalone dęby. Gdy pomiędzy dwiema pochodniami ujrzeli pędzącego ordynata, krzyk wzmógł się. Pojedyncze głosy chrypiały:

– Kniaź! Kniaź! Michorowskij. Baczysz? Ratujte ludy!

Chłopi stale nazywali ordynata „kniaziem”, nawet nie ze względu na mitrę, lecz na miliony. Takiego bogacza bez tytułu „kniazia” nie pojmowali.

Teraz był on dla nich antychrystem. Spadł tak nagle w ognistych smugach, dyszący gniewem, jakim go nigdy nie widzieli. Chłopi zwątpili nawet, czy to „Michorowskij”; a może upiór z mogiły?

Nie było możności wytłumaczyć im, ani spytać, dlaczego rąbią dworski las. Ordynat zwoływał ich bez skutku. Rozpierzchli się tak szybko, że ujęto tylko kilku najzajadlejszych przeciwników. Ale i ci, prócz drapania się w głowę i niezrozumiałego bełkotu, nie dawali wyjaśnień. Przestrach zniszczył ich odwagę, zdusił triumf i żądzę zboru. Ordynat, patrząc na nich, litościwie kręcił głową. Ta dzicz mogła ulec złym wpływom tym łatwiej, że brakło im szczypty cywilizacji, główną zaś ich cechą była chciwość.

Michorowski oglądał szkodę. Z żalem patrzył na potężne pnie dębów leżących ciężko na ziemi. Na odkryte rany, błyszczące świeżymi słojami, na mnóstwo rozłupanych drzazg, sterczących jak noże. Ordynat stał na tym

cmentarzysku, niemal głowę chciał odkryć przed zwłokami mocarzów boru. A dęby nie ścięte mruczały cicho, rade z ocalenia, wdzięczne za ratunek, ale smutne, ale łzy roniące na ciała towarzyszów poległych.

Cały bór był jeszcze w osłupieniu, niemy, pod wrażeniem odegranej tu tragedii, głuchy, stroskany.

Ordynat wracał do pałacu wolno, z głową zwieszoną, jak po pogrzebie.

Drogę oświecały mu pochodnie; dokoła niego człapali konni; chłód przenikał go aż bolesny. W piersiach uczuł przebicie jakby dzidą, miecze miał w płucach. Brakło mu oddechu do prędkiej jazdy.

Ale myślą był ciągle przy dębach.

Na szczęście niezbyt wiele umarło. Takie kolosy i już bez duszy. Nie zaszumią już, umilkły na wieki.

Ordynat westchnął.

Uczuł silne ukłucie w boku.

– Czym ranny? - pomyślał.

## XIII.

Choroba wybuchnęła nagle ze zdumiewającą gwałtownością. Ordynat kaszlał, męczący ból w boku wzmagał się i groził.

Michorowski zaczął pluć krwią.

Chwilami tracił przytomność i znowu ją odzyskiwał.

Gorączka chwyciła go w zabójcze szpony.

Organizm silny i zawsze odporny tym razem uległ z żywiołową mocą. Zapalenie płuc rozgorzało mściwie, chłonąc mięśnie, krew i umysł. Michorowski walczył z chorobą jak lew, ale go zmogła. Zaczęła się już walka ze śmiercią. Walka poważna, nie rokująca nadziei zwycięstwa dla strony napadniętej. Ordynat nie chorował nigdy przedtem i teraz borykał się jak z czymś nieznanym, tracąc siły z przeraźliwą szybkością.

Biało-Czerkasy trzęsły się, w Głębowiczach zamierali z trwogi. Alarmujące telegramy strzelca Jura zwoływały do łoża chorego lekarzy, niosły przestraszające horoskopy do rodziny; uderzały gromem.

Ale nikt nie wiedział dokładnie, co się stało. Depesze były groźne, lecz niejasne. Ranny, czy chory?

Luci ta niepewność podniosła włosy na głowie, lecz przed dziadkiem zataiła wieść, mogącą go zabić.

Piątego dnia w zamku Biało-Czerkaskim zapanowała panika.

Nie ma ratunku!

Te tragiczne słowa rozeszły się po całej rezydencji, jak zaraza dżumy. Na kogo trafiły te słowa, bielały mu usta, zwieszała się głowa. Płochliwe echa idące z sypialni, snuły się cicho po kątach, przerywane często krótkim spazmem płaczu. Jur leżał krzyżem przed drzwiami sypialni. Żadna siła nie zdołała go odciągnąć. W pokoju chorego było już jak w grobie. Cisza, ciężka

atmosfera wieczoru, mętne rozpływające się światło lampki nocnej i chmura trwożnego oczekiwania: Przeżyje czy skona?

W kącie pokoju skupiona gromadka czarnych sylwetek doktorów, na poduszkach łoża, jak rozpalony węgiel, głowa ordynata, a w nogach, na pół żywa... Lucia. Dziś przyjechała i od razu przestała żyć życiem rzeczywistym. Słowa „nie ma ratunku" powitały ją od progu. Runęła do nóg Waldemara, czując się już bezsilną. Jechała tu, nie śpiąc i nie przestając szarpać swej duszy. A teraz pragnęła umrzeć, aby nie czekać tego piorunu, który lada chwila mógł tu spaść. Lucia tego nie pojmowała, gdzie jest i co się z nią dzieje. Duchowa jej istota zmieniła się w jeden wrzód ropiejący strasznie. Nikt nie słyszał jej jęku, nie widział łez. Pochłaniała to kołdra na nogach Waldemara. Doktorzy przyzwyczaili się przez kilka godzin do wiotkiej, czarnej postaci dziewczyny, zwisłej na łóżku. W świetle przyćmionym widniał jej jasny warkocz, spływał na suknię, jak niedbale rzucona wstęga.

Godziny szły, jak stulecia walk i mordów. Wlokły się chwile ciężarne niezgłębioną bojaźnią, chwile, w których płynący czas sprawiał szmer nieznośny. Powietrze tu gniotło, parność okropna dławiła dusze, napełnione lękiem do ostatnich granic. Oddech śmierci był w pokoju, ale w tej zgęszczonej masie skarg, żalów i rozpaczy, przerażenia, uwiązł bezradny, jakby nie śmiał sięgnąć dalej. Ostatnie tchnienie ociągało się, wahało, zatarasowane przemocą bólu. Już dochodzi do łoża, pyłek niepewności ginie, grom ma się spełnić, lecz... zabójczy dech rozłazi się szeroko, znowu bez ostrza, znowu przyczajony, grozi tylko.

A wieki idą, idą - zda się - w nieskończoność, ciągnąc za sobą ponure historie nędz duchowych.

Ósmego dnia choroby nastąpiło przesilenie.

Świt październikowy, spowity w siwe kożuchy mgieł, wilgotny, ciężki, przylepiał się do okien pałacu i rozmazywał na nich swe ołowiane akwarele, ociekające wodą po szybach. I stopniowo dodawał farb białych, rozjaśniał je, wykańczał.

Dzień otworzył zroszone powieki. Blade źrenice, bez błysków, ale otuchę niosące, wyjrzały swobodnie.

W sypialni zgasła lampka.

To oddech złowrogi nie dotarłszy do łoża, zdmuchnął ją, znikł, zabity porankiem.

Ale o tym nikt jeszcze nie wiedział.

Groza wisiała.

Ordynat otworzył szeroko oczy.

– Co to?... - spytał nieprzytomnie.

Zerwali się wszyscy, pełni strachu, ale bez szelestu.

– Co to?... kto jest? - powtórzył chory.

Lucia pochyliła się jak senna.

– Ja jestem... Waldy...

– A!... Stefcia! Widzisz... Wróciłaś...

Głucha cisza.

– Wróciłaś? Już nie odejdziesz: prawda? Mów!

– Nie...

– Zostań! Zostań! Tak dobrze!... Ale ty pójdziesz... boję się!

– Zostanę... Waldy... Zostanę.

Waldemar trzęsące się ręce Luci położył sobie na oczach i oddychał ciężko i rzęził.

Ona z okropnym trzepotaniem serca, spojrzała na doktorów wzrokiem konającej. Błagała ich o coś. Zrozumieli.

Badanie trwało krótko. Ordynat nie widział ich, trzymał ręce Luci i przemawiał jak do narzeczonej.

Błędnie składał słowa, chwilami cichł i znowu zaklinał ją, by nie odchodziła.

Doktorzy podnieśli się z dobrą smugą w oczach. Twarze ich były jasne, szczęśliwe.

– Przesilenie minęło. Ocalony!

Lucia nie zrozumiała, czy to wyrok, czy łaska. Umysł jej stępiał. Mrugała powiekami.

Jeden z lekarzy wziął jej rękę.

– Baronówno, przytomności trochę. Zło przeszło. Spokoju.

– Stefciu... zo...staniesz - spytał chory zasypiając.

Rzuciła się na kolana przed łóżkiem, całując jego ręce:

– Zostanę... na zawsze! - jęknęła.

## XIV.

Przyjście do przytomności nastąpiło prędko. Przez parę dni po przesileniu ordynat jeszcze chwilami majaczył, rozmawiał ze zmarłą Stefcią w osobie Luci, tulił ją do siebie. Ale chwilami marszczył się, patrząc na nią, nawet raz odepchnął ją brutalnie. A gdy ona, nie rozumiejąc, przemówiła do niego łagodnie, prawie pokornie, i zapytała, czemu ją odpycha, odpowiedział szorstko:

– Jesteś podobną do Luci! Nie chcę cię taką; bądź sobą!

Dziewczynie łzy gorzkie bezwiednie spadły z oczu. Zanim je otarła, on je zobaczył. Wzruszył się. Wyciągnął do niej ręce.

– Ale ja cię kocham... Stefciu moja... Tylko... czemuś ty taka do Luci podobna?...

Resztki maligny walczyły w nim z przytomnością, wywołując wizje męczące, opóźniając rekonwalescencję. Lucia prawie go nie odstępowała, ale jednocześnie pragnęła zupełnej przytomności Waldemara, a zarazem jej się obawiała. Chory zżył się z gorączkową pewnością, że jest z narzeczoną; rzeczywistość mogła mu zaszkodzić. Lucia siedziała tuż przy nim tylko w czasie jego snu; gdy się budził, trzymała się z daleka. Kiedy ją wołał

imieniem Stefci, zakrywała twarz rękoma i klękając przy łóżku, odpowiadała mu szeptem, bojąc się własnego głosu.

Gdy w pewnej chwili Waldemar pieścił jej włosy i spytał, czemu się nie czesze jak dawniej, Lucia natychmiast ułożyła włosy tak, jak nosiła Stefcia. Ale to wszystko mogło tylko pogorszyć przebudzenie.

Nastąpiło ono wkrótce.

Waldemar spał - snem ciężkim, odradzającym organizm, Lucia trzymała jego dłoń. Zmęczona była czuwaniem, wyczerpana doszczętnie. Ale nie pozwoliła sobie nawet na zdrzemnięcie. Przygasły swój wzrok z mizernej, wychudłej twarzy Waldemara skierowała na okno, zalane szarym dniem, i zamyśliła się smutnie. Niebezpieczeństwo minęło. Radość niesłychana wypełniła jej serce, ale jednak kłuło w nim boleśnie, kłuło. Teraz jest z nim, pieszczona przez niego nieświadomie; ale potem... musi odejść, może odtrącona? Znowu męka, znowu żal! To nic - byle on był zdrów. Byle on...

Ręka chorego zadrżała w jej dłoni. Lucia uczuła na sobie jego oczy. Z przestrachem odwróciła głowę i spojrzała w jego źrenice szeroko rozwarte, błyszczące, przytomne i... zdumione.

– Lucia! - krzyknął z niewiarą w głosie.

Zerwała się, chcąc uciekać, jak na zbrodni złapana. Lecz opamiętała się. Stanęła.

– Luciu!? Co tu robisz?

– Jestem przy tobie, Waldy - szepnęła z niemym przerażeniem.

– Gdzie?

– W Biało-Czerkasach. Byłeś chory.

– Byłem chory!... Aha! A powiedz mi... kto tu jest więcej...

– Są doktorzy... Jest Jurek Brochwicz...

– A jeszcze?...

– Jest łowczy i rządca z Głębowicz.

Waldemar rozejrzał się niecierpliwie po pokoju. Gniew osiadł mu pomiędzy brwiami.

– Ale... ale... kto tu jest... kto tu był... więcej?... Mów!...

– Nikt, Waldy.

Lucia zrozumiała, kogo on szuka, i spazm zaciął jej usta.

On rzucił się nerwowo.

– Jak to nikt?... Mów! Była ona... Zachłysnął się.

– Kto jeszcze jest z kobiet?... Ty jedna?...

– Ja jedna, Waldy.

Wpił w nią oczy tragiczne, niewierzące. Rozpacz w nich mignęła, nawet raptowny błysk wściekłości. Rękę Luci zgniótł, jakby nienawistnie i cisnął przez zęby.

– Ty jedna?... Lucia?

W okrzyku tym był zawód, była apatia i śmiertelna rezygnacja. A dla Luci upokorzeniem, raniący policzek.

Łzy zalały jej twarz, padły na ręce i kołdrę Waldemara. Chciała odejść, ale

przemogła obrazę duszy, stała cierpliwie ze spuszczonymi powiekami, jak martwa.

On puścił ją. Patrzył na łzy, znowu na nią, jeszcze raz nieufnie spojrzał dokoła, po czym zamknął oczy i pochylił głowę w bok.

– Będę spał, zostawcie mnie.

Ten szmer jego ust Lucia więcej odczuła, niż słyszała. Odeszła cicho, jak cień, blada, znękana, a przed nią padały duże krople łez zaprawionych trucizną.

Gdy znikła, Waldemar otworzył oczy.

– To była... Lucia... ale... dlaczego ona tu przyjechała? - pomyślał. – Dlaczego?

# XV.

Jeszcze nie było dobrze; jeszcze się obawiano. Trochę lekceważenia choroby - i mogły wybuchnąć suchoty. Ordynata świat lekarski jednogłośnie wysłał na południe. Lecz on nie chciał, opierał się, i zaledwie błagające listy pana Macieja i księżnej Podhoreckiej, nieśmiała prośba Luci, wreszcie tłumaczenia Brochwicza wywołały skutek: Waldemar się zgodził. Chciał najpierw jechać do Głębowicz, i na to nie pozwolono.

Lucia przebywała w Biało-Czerkasach aż do jego wyjazdu za granicę. Nie narzucała mu się - tak dalece, że sam kilka razy pytał, czy już wyjechała.

Doktorzy mówili mu o troskliwości, z jaką pielęgnowała go w chorobie, o niemal poświęceniu.

Był wzruszony jej dobrocią, chciał dziękować, ale prawie jej nie widywał, a jeśli zobaczył, to na krótko, i nie pozwalała mu o tym mówić. Przy nim była wesoła, radosna, nie zdradzając niczym stanu swej duszy. Tak, że Waldemar, który czuł się nieco winnym względem niej, przypominając sobie przez sen, że ją odtrącił, uspokoił się zupełnie. Badał ją wzrokiem, nie wierząc instynktownie w jej spokój, ale Lucia grała swą rolę znakomicie.

Brochwicz ofiarował się odwieść ordynata na południe. Chciał jechać lekarz głębowicki, ale Waldemar nie zgodził się na to. Zabierał tylko Jura, któremu Lucia od siebie nakładła w głowę, jak ma chodzić koło ordynata.

Godzina rozstania nadeszła. Ordynat był zły; Riwiera nie nęciła go. Ale listopad w całej pełni, naładowany ostrością powietrza i krew pokazująca się jeszcze z płuc zmuszały myśleć o ocaleniu życia. Przeciwnikiem tych poważnych atutów była bezdenna apatia ordynata. Ona przestraszała wszystkich obecnych.

Lucia od wczesnego ranka walczyła ze sobą, wzniecając chart i dumę własną, aby pożegnać Waldemara z godnością. Chciała być tylko siostrą, bez uczuć głębszych, natury odmiennej. I tak przygotowana stanęła do próby.

Przed samym wyjazdem znaleźli się tylko we troje: Waldemar, Brochwicz i ona. Kareta czekała, czas naglił.

Ordynat podszedł do niej.

– Do widzenia, Luciu - rzekł serdecznie.

Podała mu obie ręce.

– Do widzenia, Waldy! Niech cię Bóg prowadzi... Wracaj zdrowym...

Załkało jej w piersi. Urwała. On ucałował jej ręce, dość długo i pieściwie. Patrzył na nią, prosto w oczy, jak spowiednik na penitentkę. Wytrzymała ten wzrok zwycięsko.

– Tak mnie chłodno żegnasz?... Luciu!? - przemówił cichym, miękkim głosem.

Od razu, bez woli, bez walki, zarzuciła mu ramiona na szyję i na jedną sekundę przylgnęła do jego piersi. Usłyszał skowyt w jej krtani.

– Waldy... drogi...

Uścisnął ją krótko, bo się wyrywała. Żegnała go już tylko oczyma, rozjaśnionymi ze szczęścia. On już z karety uśmiechnął się do niej dobrym uśmiechem.

Odjechał.

A Lucia dopiero wówczas serce swe i duszę oblała gorącymi łzami i wysłała je za Waldemarem.

Wieczorem i ona wyjechała z Biało-Czerkas.

# XVI.

Zimę Waldemar przebył w Tyrolu, zmieniając miejsca pobytu. Na wiosnę przyjechał do Nicei. Zdrowie mu powróciło, lecz było już szarpnięte; musiał pozostać na południu do końca maja. Czuł się znudzony. Dręczył go ten świat, pełen blasku, życia, pełen coraz nowych ludzi i wypadków. Tęsknił już za mglistym dniem w Głębowiczach, byle odpocząć po cudnej roztoczy nicejskiego słońca, niezmiennego, które go nużyło. Nie pociągało go nawet morze. Puszczał się na fale sam jeden w barce rybackiej, ale wybierał dni, kiedy morze jest wzburzone. Musiał walczyć z bałwanami, i to go jedynie poruszało.

Znajomych miał tu wielu, lecz nie bywał w towarzystwach i unikał ich. Tylko hrabia Dominik Herbski był zawsze mile przezeń widzianym towarzyszem. Dawny znajomy, choć dużo starszy od ordynata, zgadzał się z nim w wielu pojęciach nowoczesnych.

Spacerowali obaj na Promenade des Anglais. Dzień był jasny, prawdziwie nicejski. Morze, lekko sfalowane, wyglądało jak lśniący, niebieski aksamit, pomięty i poprzeżynany sznurami pereł: to piana, wąsko i długo rozciągnięta, tworzyła jakby festony perłowe, jakby fryzowane falbanki z gazy.

Ordynat, trochę kwaśny, mówił mało, słuchał grubego głosu hrabiego Dominika, który toczył się przy nim wielką swą postacią, o twarzy ciężkiej, lecz inteligentnej.

Przeszedł obok nich młody człowiek, wysoki, szczupły. Eleganckie, białe

spacerowe ubranie leżało na nim jak na lalce. Miękki kapelusz, włożony z fantazją, osłaniał drobną nerwową twarz dwudziestoparoletniego blondyna. Głowę miał pochyloną nad notesem, w którym coś notował, mrucząc dość głośno do siebie. Laseczkę, jak cacko, trzymał pod pachą i szedł sążnistymi krokami, nie uważając na nich i na nikogo.

– Ten używa południa! - rzekł Herbski, gdy młodzieniec ich wyminął.

– Zna go hrabia?

– Z widzenia. Wiecznie biega, tak jak teraz; coś zapisuje i gada do siebie. Gra przy tym, niech Bóg broni! Dlatego też mówię: używa południa.

– Gra?

– Ciągle siedzi w kasynie. Taki smarkacz.

– To Polak?

– Zdaje się, ale nazwiska nie znam. Cały dzień przebywa w Monte Carlo, tu tylko nocuje.

– Hm! Ciekawe! - szepnął Waldemar, śledząc wzrokiem smukłą sylwetkę nieznajomego.

– Dlaczego ordynat tak się nim interesuje? To dość zwykły okaz na tym wybrzeżu.

– Ja go znam.

– Taak?...

– Nie wiem gdzie i kiedy, ale widziałem go dość blisko. Muszę go odszukać.

W kilka godzin potem ordynat był już w Monte Carlo. Siedział na ławce w parku na wprost kasyna i uważnie przyglądał się spacerującym.

Nieznajomy młodzieniec intrygował go już od kilku dni. Tylko, że w Nicei ginął mu ciągle z oczu.

Michorowski zamyślił się.

Patrzył na niezliczoną mozaikę ludzkich twarzy, przesuwających się obok niego, na gorączkowe ruchy tych ludzi, na wyraz odbity na każdym odrębnie, jak własna pieczęć. Nie dziwił się, co ich denerwuje. Wiedział, że żądza złota. Posiada ją każdy w mniejszym lub większym stopniu. U jednych ona ginie pod wpływem dostatku i gdy nie jest pobudzoną; u innych jest zduszona silną wolą: jeszcze u innych plonuje ciągle i prowadzi do zbrodni. Ten, kto zupełnie w zanadrzu jej nie posiada, nie ceni zarazem i życia. Abnegacja dla złota idzie w parze z apatią życiową lub z tak krańcowym idealizmem, że z życiem realnym również nie ma nic wspólnego. Zresztą, pomiędzy poszanowaniem grosza a żądzą złota jest cała przepaść. Najwięksi realiści, dbający o pieniądz, nie odczuwają tej zwierzęcej chciwości jego, chyba podrażni ich widok gór na stołach kasyna. Lecz silnych natur dreszcz ten nie zgubi; może chwilowo nimi wstrząsnąć. A często najgłębsi idealiści, którzy w pospolitych warunkach z pogardą odsuwają od siebie pieniądze i w istocie nie przywiązują do nich żadnej wagi, wpadają w matnię domu gry.

Bo ta jaskinia zdolna jest wydobyć żądzę złota z najtajniejszej skrytki ludzkiej istoty, tym bardziej, jeżeli trafi na naturę gorącą. Umie dokazać tej

sztuki, jak sprowadzenie zamglonych ideą oczu poety z obłoków na sukno rulety.

Ta puszcza o złotym podniebieniu pożera tysiące bezwartościowych, ale i cennych jaźni, ciągnie je na swój lep i przetrawia. Wyrzuca z siebie trupy moralne i fizyczne, i chłonie, chłonie bez odpoczynku. Nienasycona, groźna!

Nagle Michorowski doznał jakby rzutu wewnętrznego, aby wyrwać stąd nieznajomego młodzieńca. On już brnie w tę okrutną paszczękę. Wyszarpnąć go z jej zębów, póki czas...

Nagły rzut wewnętrzny stał się silnym pragnieniem. Michorowski nie rozumiał tego uczucia skierowanego na obcego człowieka, lecz i nie analizował go.

Chciał ratować ginącego, bo chciał. Dlaczego?... - nie zdawał sobie sprawy. Sam niegdyś grał w tym potwornym gmachu, ale on miał za wiele milionów, więc mu złoto nie imponowało. Jednak wciągał się, nie dla chciwości samego złota, lecz wskutek chęci wygrania. Nerwy tu działały. Przerwał, bo poczuł w ustach gorzki smak wstrętu. Prawie każdy odczuje ten smak, ale często za późno. Nieznajomy jest właśnie w fazie najniebezpieczniejszej: goreje.

Michorowski, widząc go, nie pojmował, co go tak podnieca. Młodzieniec czynił na nim wrażenie podejrzane, trochę narwańca.

Nie wiedział jeszcze wówczas, że on gra.

Ordynat drgnął na swej ławce. Usłyszał w bocznej alei młody głos i był pewny, że należy do nieznajomego.

Ale to głos znajomy! Co to jest?...

Spoza klombów wyszedł młodzieniec w białym flanelowym kostiumie, prowadząc rozmowę z jakimś ospałym brunetem.

– Upewniam pana - mówił po posiłku - że to ostatnia stawka. Jeśli przegram, diabeł się pocieszy.

– Bo przestałbyś pan z tą ruletą! - rzekł brunet tonem upominającym.

Młody człowiek roześmiał się.

– Kapitalny! To tak, jakbyś pan tonącemu powiedział: „Przestań do licha z tą wodą!” Cha! cha!...

Brunet znowu coś mówił, czego już ordynat nie słyszał, bo znikł w drzwiach kasyna.

Zerwał się i poszedł za nimi.

Co to za głos? Co to za głos? myślał, trąc czoło.

## XVII.

W sali gry usiadł na bocznej kanapie i poszukał wzrokiem wśród tłumu otaczającego stoły. Łatwo odnalazł młodzieńca, który już wmieszał się w liczbę grających i cały był pochłonięty swoją stawką. Brunet stał za nim.

Gra trwała długo. Charakterystyczne, suche głosy krupierów odzywały się złowieszczo jak puszczyki. Brzęk złota, śpieszne oddechy graczy, często

okrzyk bolesny, jakieś westchnienie - odrzynały się plastyczniej od ogólnego lekkiego szumu dużej masy ludzi.

Ordynat, widząc tylko plecy młodzieńca, badał twarze innych. Zapłonione policzki kobiet, ich oczy piekące chciwością, włos rozwiany, często zbakierowany kapelusz były wyborną ilustracją stanu wewnętrznego tych istot. Gra brała ich w siebie z niepokonaną mocą. Poza tą ruletą świat cały zdawał się dla nich nie istnieć. Ale Michorowski, zaciekawiony jak wygląda twarz nieznajomego młodzieńca, poszedł na drugą stronę sali, skąd mógł ją dobrze obserwować, i tam zajął miejsce. Spojrzał, i zamiast badać wyraz, wpatrzył się w rysy młodego chłopca.

– Kto to jest?! - szepnął do siebie.

Jakieś odległe wspomnienie wionęło nagle i krótko. Ta twarz... te oczy... Tak! tak! Coś bardzo znajomego.

Chłopak trzymał wzrok utkwiony na stole, ale błądził po nim. Na gromady złota patrzył chwilowo z wyrazem, jakby mówił „kpię z ciebie, ale będziesz moje”. Na krupierów spoglądał z ironią, na publikę nie zwracał żadnej uwagi. Miał minę, jakby gra szła tylko dla niego.

Ciemnopiwne oczy błyszczały mu nie żądzą, lecz ciekawością. Usta pełne, świeże, pod ledwo sypiącym się wąsikiem krzywił nerwowo na różne sposoby: składał wargi jak do gwizdania, podciągał je pod nos, rozsuwał, ukazując białe zęby. Czasem uśmiech łobuzerski mignął na szczupłej, smagłej twarzy, czasem szybki jak błysk przestrach. Wówczas nagłym ruchem dotykał dłonią głowy, porosłej lśniącym ciemnoblond włosem, zaczesanym w górę. Brwi miał ostro zarysowane i dość skupione.

Ordynat na tych brwiach i ustach zatrzymał najdłużej badawcze źrenice. Ale w ruchach i w głosie, i w całej postaci było coś, co Michorowskiego wprost zdumiewało.

Nareszcie młodzieniec grę skończył.

Przegrał.

Ordynat nie spuszczał z niego oczu. Doznał dziwnej satysfakcji, zobaczywszy, że chłopak, po momentalnym, niewidocznym prawie cieniu na twarzy, ukłonił się z wielkim wdziękiem krupierowi, i cofając się, palnął na cały głos do bruneta po posiłku:

– Myślał, jucha, że zblednę!

Zaczął się śmiać, trochę nienaturalnie, lecz odważnie, i mówił dalej, wysuwając się z koła grających.

– Niby nic dziwnego, że przegrałem: jestem prawie szczęśliwy w miłości. Ale swoją drogą, fortuna dała mi mata. A tom się spłukał! - pisnął odmiennym, przeciągłym głosem.

Podeszli obaj blisko w stronę ordynata. Chłopak rzucił się na sofę. Brunet usiadł przy nim z miną wielce nieszczęśliwą. Chwilę milczeli. Ordynat udawał, że patrzy na grających. Coraz więcej zajmował go, niepokoił i bawił ten młodzieniec. On tymczasem kręcił się na sofie nerwowo, zdradzając chęć do gwizdania. Raz nawet jakiś niesforny ton wyleciał z jego ust, lecz

młodzieniec zmitygował się w porę. Po czym zaczął mówić swobodnie:

– Niech pan jeszcze nie ma pogrzebowej miny, jeszcze żyję. Widzi pan: to się nazywa los brać za rogi, jak byka, gdy bodzie. No i cóż?! Nie mam na zapłacenie hotelu, nie mam na podróż... ba! nawet nie mam na obiad, bo już same długi. Ale rewolwer mam w kieszeni; gdybym chciał - trrach! i po wszystkim.

– Co też pan mówi! Ale, jakże można?... Co znowu!... - oburzył się przerażony brunet.

– Cha, cha! Paradny pan jest! Ja bym się miał dla głupiej ruletki, która mnie okradła, strzelać?! Ani myślę! Niech się nie cieszy nadzieją!

Zaśmiał się i znowu mówił, ku stałemu przerażeniu bruneta, który miał taką minę, jakby nie wiedział, czego się martwić: czy że młodzieniec nie chce się strzelać, czy że może się zastrzelić.

– Myśli pan, że ja palnąłbym sobie w łeb w parku? - mówił chłopak. - Ani trochę! Tu, w tej sali, przy samej rulecie... Co?! To byłby efekt szalony! Z parku zmietliby mnie stróże jak śmieć, nikt by nawet nie widział! Ale tu! O!! Wszystkie lady i misy by pomdlały. Moja krew padłaby na ruletę, splamiła złoto. Ehe! Może bym się przyczynił do oczyszczenia świata z tego plugastwa. Jak pan myśli: zamknęliby budę?

Brunet wzruszył ramionami.

– Pan głupstwa plecie, zamiast myśleć poważnie. Sytuacja nader przykra.

Młodzieniec zdawał się nie słyszeć. Szedł za biegiem własnych myśli.

– Żałuję, że nie jestem taki głupi, żeby się strzelać. Zrobiłbym frajdę gazetom europejskim. Może i warto?...

Brunet powstał.

– Chodźmy do domu. Za dużo pan mówi.

– A cóż będę robił? Tylko głos mi pozostał, no, i kilka garniturów na zmianę. Siedź pan, trzeba się namyśleć.

– Nad czym!

– Jak najłatwiej fajtnąć na tamten świat.

– Et!

– No więc co?

– Niech pan zadepeszuje do domu. Przyślą.

Twarz młodzieńca spoważniała w jednej chwili. Rzekł twardym tonem:

– Za nic! Matki prosić nie będę. Wyrzekła się mnie - żem łajdak. Niech i tak będzie.

Zamyślił się smutno i zwiesił głowę.

Ordynat, odwrócony dotąd bokiem, spojrzał na niego i zadrżał. Błysk gwałtowny rozjaśnił twarz Waldemara.

Młodzieniec siedział nachmurzony z wydętymi wargami i z silnie zmarszczoną brwią. Jego oczy pociemniały jeszcze; były jak ze stali. Rzekł głucho.

– Przehulałem całą swoją schedę; nic mi się od matki nie należy, a żebrać nie będę.

– Więc cóż pan zrobi?

Chłopak wyprostował się.

– Zostanę kelnerem.

– Et!

– A pan tylko to umie. Chodźmy!

Brunet wstał ociężale.

Ordynat podniósł się również. Twarz jego była prawie obojętna. Podsunął się do młodzieńca i dotknął jego ramienia.

– Kto pan? Czego pan sobie życzy?! - zaperzył się chłopak, już zły.

– Poczekaj.

– Cóż to znaczy? Jak pan śmie w ten sposób kogoś zaczepiać?

Ordynat się uśmiechnął.

– Trafił swój na swego. Tyś również w sposób niezbyt elegancki tu się zachowywał.

– Ty?... Co to znaczy?!

– Słuchaj! Jesteś Bohdan Michorowski z linii czerczyńskiej i... z Czerczyna.

Młodzieniec cofnął się w tył. Zdumienie odebrało mu mowę.

Ordynat wziął go za rękę. Uśmiechnął się.

– Nie myśl, że jestem ajentem śledczym i że cię aresztuję. Jestem tylko Waldemarem Michorowskim z Głębowicz. Musiałeś o mnie słyszeć, bo pamiętać nie możesz.

– Ordynat?!

– Ten sam.

Chłopak rzucił mu się na szyję i ucałował. Po czym spojrzał na osłupiałego towarzysza, wołając:

– No, już możesz pan wyjąć kulę z mego rewolweru. Daję dymisję pani śmierci.

# XVIII.

Ordynat zabierał kuzyna do Głębowicz. Podobało mu się, że Bohdan był z nim szczery, i kiedy Waldemar spytał go o liczbę długów, odrzekł bez zwykłych w takich razach przesadnych skrupułów.

– A! Wuj chce je popłacić?

Tres bien! To po ordynacku! Tylko uprzedzam, że jest ich kupa, i... że nie wiem, czy potrafię je kiedyś wujowi zwrócić. Chyba, że jak otrzymam jakie dobra - na księżycu.

Zaczęły się spłaty długów Bohdana.

Ordynat nie robił kuzynowi wymówek; wiedział, że to na razie nic nie pomoże. Raz tylko rzekł, przeglądając weksel na jakąś bardzo dużą sumę:

– Trochę za wcześnie i... za słono zaczynasz.

Bohdan się zaczerwienił.

– Toteż skończyłem, wuju - rzekł smutnie.

– A Czerczyn?

– Już nie mój! Zresztą Wiktor jest właścicielem: nie ja. Co było moje - fiu! poszło w świat.

– Mama by ci nie dała zginąć.

– Ee! Te wszystkie akcje skierowane są na Wiktora. Ja zawsze byłem enfant terrible. Ochrzczony tak niegdyś, zastosowałem się do nazwy.

– Wszystko to... możliwe, tylko ruleta zbyteczna - rzekł Waldemar. - Kto cię do tego wciągnął?

– Własny przemysł! Chciałem dużo wygrać i lazłem. A to... ciągnie. Sto razy przysięgałem sobie i Stalskiemu, temu brunetowi, co to wuj wie, że nie będę grał. Ale gdzie tam! Człowiek, jak bydlę...

Zaśmiał się swobodnie i przeciągle.

– Nareszcie Stalski odetchnął. Wyjechał do Warszawy, szczęśliwy, żem uratowany. Ciągle mnie pilnował, abym kulki do mózgu nie zaprosił.

Na parę dni przed wyjazdem z Nicei Bohdan spochmurniał. Był milczący, opryskliwy. Ordynat odkrywał w nim coraz to nowe cechy Michorowskich, lecz nie poskromione żadnym wędzidłem. Nie mógł pojąć, co mu jest, pytać zaś nie chciał. Nareszcie chłopak przemówił. Miał minę niezwykle wahającą się.

– Wuju! mam do ciebie... jedną... prośbę. Wyjeżdżam z Nizzy; ale cóż będzie z Anną?

– Aa!! Więc jest i Anna?!

– Cóż to, wuju, wątpiłeś? Jestem przecież Michorowski! My tu mamy opinię ustaloną; niepodobna jej zaniedbać.

– Ty ją ustaliłeś?...

– Ja utrwaliłem! Dzieło zapoczątkowane przez potentatów głębowickich.

Złożył przed ordynatem zabawnie poważny ukłon.

– Których jedynym reprezentantem jesteś ty, wujciu. Ordynat roześmiał się szczerze.

– No mniejsza! Jakże tam z tą Anną? Kto ona?...

– Wenus! Wenus Milońska! Boska dziewczyna! Ramiona - mówię wujowi - no, pycha! Zbudowana...

– Ale ja się pytam: kto ona? Że ładna, nie wątpię.

– A cóż mię obchodzi, kto ona? Moja! Ma śliczny buduarsio, cacy salonik, ubiera się szampańsko. Słowem - pigeon.

– Kokota?

– O! Zaraz kokota! Przyjechała z Wiednia.

– Na sezon.

Bohdan skrzywił się.

– Ee, wuju! Ja ją kocham.

– Aż tak! Czy Niemka?

– Węgierka. To cukierek! Wuj sam chciałby mi ją odbić, gdyby poznał. Ale ja nie pokażę.

Waldemar ściągnął brwi.

– Jakież masz obowiązki?... – spytał sucho.

– Muszę się pożegnać i... coś tam... Wuj rozumie... Jakąś pamiątkę.

– Mów ściśle, co i ile.

Bohdan rzucił się nerwowo.

– Ach! Nie pieniądze! To nie! To trzeba delikatnie. Ja ją kocham i żałuję. Może jakiś... klejnot... Poradź mi, wuju; tyś przecie praktyk.

– Najlepiej radź sobie sam. Żadnych zobowiązań nie robiłeś.

Czy tak?

– No, kochamy się, zresztą ona nic ode mnie nigdy nie brała.

– Lecz w końcu zanieś jej to - rzekł ordynat, wyjmując z kieszeni gruby pakiet. Wręczył go Bohdanowi z uśmiechem.

– Tą pianą przykryj swoją Wenus, zobaczysz, będzie ci wdzięczną.

Bohdan ze zmarszczoną brwią liczył banknoty.

– To za dużo, wuju.

– Masz jej kupić klejnoty! Wybierz, kup i wówczas oddasz mi, co zostanie.

– Bagatela! Ale ja wuja obdzieram jak bandyta.

Ordynat nieznacznie uśmiechnął się.

– Zaciągniesz tylko nowy dług. Ufam ci, że nie przehulasz.

Bohdan stropił się. Zawijał przeliczone pieniądze gorączkowym ruchem; twarz miał poruszoną; usta drżące. Spod brwi spojrzał na Waldemara i rzekł:

– To najgorzej! Nie cierpię, gdy mi kto ufa. Mama i Czerczyn także mi ufali i... niezbyt się udało. Ja tu za tę sumę gotów jestem kupić cały sklep jubilerski. A co potem?...

Nagle wziął ręce ordynata i mówił żałośnie.

– Dziękuję ci, wuju, jesteś dobry! Ale wiesz?... Jak pomyślę, że te pieniądze mają być epilogiem moich stosunków z Anną... ogarnia mnie żal i wstręt. A jednak trzeba. Jestem Michorowski, więc tak... na sucho, jak pierwszy lepszy hołysz, żegnać się nie wypada.

– Dobrze, że w stosunku do... takiej Anny rozumiesz to - rzekł ordynat. Bohdan wybiegł z pokoju.

Przez cały dzień ordynat nie mógł się go doczekać. Był niespokojny.

Pod wieczór Waldemar poszedł nad morze. Długo chodził na wybrzeżu, pogrążony w myślach. Nazajutrz miał opuścić Riwierę.

Z radością widział się już z powrotem w Głębowiczach, tylko wspomnienie Luci przejmowało go jakimś niepewnym dreszczem. Może to się w niej zmieniło? Może już nie trwa? Łudził się słabą nadzieją. Lecz listy Luci były przeczeniem. I Waldemar bał się.

Gdy zamyślony mijał jedną z ławek, nagle stanął. Ujrzał siedzącego na niej Bohdana. Chłopak skulony opierał głowę na obu pięściach złożonych na lasce. Wyglądał jak kościany dziadek, w swym białym ubraniu i wtłoczonym na oczy kapeluszu. Szczupłość jego ciała w zgarbieniu całej postaci uwydatniała się plastycznie. Miał wygląd bardzo nieszczęśliwy.

Waldemar trącił go z lekka.

– Bohdan; co tobie?...

Chłopak podniósł głowę ociężale. Na długich rzęsach miał duże łzy, które nagle spłynęły mu na policzki.

– Bohdan!

Ordynat usiadł przy nim i serdecznie objął jego ramię.

– Co ci jest?... Cóż Anna?...

– Pożegnałem się, wuju. Ale i ona mnie kocha. Tak mi żal!

Prędko otarł chusteczką oczy i rzekł z gniewem:

– Zły byłem na wuja za tę kolię! Kupiłem piękną. Same brylanty, pyszna woda. Ale cóż, nie chciała! Rozpłakała się. Spazmy, że ją byle jak traktuję, że ona tylko z miłości... Biedaczka moja! Biedaczka!...

– No... ale w końcu - przyjęła kolię? - spytał ordynat.

– Przyjęła.

– To... bądź spokojny.

W głosie ordynata zadrgał żart.

Bohdan wstał.

– Wuj taki cynik, że... nie mogę!

– Poczekaj. Dokąd idziesz?

– Ochłonąć. Żal mnie dusi. Palnąłbym sobie w łeb.

Szerokimi krokami poszedł, świecąc w blasku księżyca jak cienki biały kwiat. Ordynat patrzył za nim. Żartobliwe iskierki w oczach zmieniły mu się w mgłę pobłażania.

– Zaczyna żyć - pomyślał.

# XIX.

W Wiedniu ordynat niespodziewanie spotkał na dworcu kolejowym baronową Elzonowską. W ciągu całej zimy starannie unikał spotkania, wiedząc że baronowa przebywa razem z hrabią Barskim i z rozwiedzioną księżną Zaniecką. Spotkanie rozdrażniło go, lecz na szczęście baronowa była sama. Zaczęła się od razu skarżyć na Lucię.

– C'est une fille folle - mówiła z najgłębszym przekonaniem. – Siedzi w tych Słodkowcach jak zakonnica. Chyba papa tego nie wymaga? Dwie znakomite partie odrzuciła. To szaleństwo!

Waldemar zmienił rozmowę, lecz baronowa prędko powróciła znowu do Luci.

– Wyobraź sobie: ona nie pisuje do mnie!... Obrażona za to, że przyjaźnię się z Barskimi. Voila! Smarkata! Dla jej kaprysu nie wyrzeknę się przyjaciół.

Waldemar zgrzytnął zębami, ale odrzekł spokojnie, tylko z ironią.

– Tak, to byłoby dziwniejsze, gdyby ciotka po wszystkim, co zaszło... unikała Barskich.

– Co ty mówisz? Voyons!

– O! Nic! Żegnam ciotkę!

– Zaczekaj! Kogo ty wieziesz ze sobą? Un beau garcon!

Ale Waldemar nie zaczekał. Szedł prędko, zapomniawszy nawet przedstawić pani Idalii Bohdana, który trzymał się z daleka, świdrując zajadle oczyma w różowej buzi młodej Niemeczki, podróżującej z papą i mamą.

W drzwiach do sali ordynat ujrzał wchodzących Barskiego i Zaniecką. Pot wystąpił mu na czoło. Gniew, obraza, wściekłe wspomnienie ugryzło go w serce. W oczach miał zimne żelazo. Żaden rys mu nie drgnął, tylko twarz zbladła.

Hrabia i księżna spostrzegli go. On cofnął się i poczerwieniał; oczy wylazły mu na wierzch. Księżna Melania, również mocno pąsowa, utkwiła bezczelny wzrok w sztywnych oczach ordynata i szła naprzód śmiało, urągliwie.

Ordynat przeszedł, udając, że ich nie widzi, jak koło słupów telegraficznych i znikł w wielkich drzwiach dworca.

Księżna przymknęła oczy, bo źrenice Waldemara ukłuły ją boleśnie, niby długim ostrzem kamiennym.

Wzburzony Waldemar siedział już w wagonie, gdy wszedł Bohdan.

Był roześmiany. Rzekł z komicznym żalem.

– Pożegnałem swoją Gretchen! Pojechała do Iszlu. Wie wuj! Ani rusz nie mogła wytrzymać mego wzroku. Ja mam siłę piorunującą! Przedstawiłem się jej jako książę Abrakadabra-Abra z linii świętych tureckich. Uwierzyła. Niewiniątko! A ona Muller... a taka ładna! Ale, ale, wuju!

Spojrzał na Waldemara i umilkł. Śmiech zgasł mu na twarzy.

Ordynat zdawał się obojętnie czytać gazetę.

Gdy pociąg ruszył, Bohdan podsunął się bliżej i spytał cicho:

– Wuju, czy ta... piękna pani, którą wuj minął, to... ta sama co... anonimy...

– Tak - przerwał prędko ordynat. – To był Barski z córką.

Bohdan zamyślił się. Po długiej chwili szepnął:

– Ma za swoje.

## XX.

Waldemar zajął się szczerze swym kuzynem. Poznał go już trochę, lecz młody człowiek wymykał mu się z rąk. Ordynat nie mógł często wywnioskować, co w nim jest dobrego, a co zaś złego. Był inteligentny i żywy, poza tym wszystko inne plątało się w tej naturze w chaotyczny sposób, bez ładu i składu. Na zapytanie ordynata, kim chce zostać, Bohdan odpowiedział ze zdziwieniem:

– Tym, kim jestem: wielkim panem!

– A czy ty rozumiesz przynajmniej, co to znaczy: wielki pan?

– Wielki pan to jest obiekt a zarazem problemat. Może być i wielkim szubrawcem, i wielkim dobrodziejem. Ty, wuju, jesteś z dobrej kategorii, i o tobie dużo mówią, taki zaś... Barski... jest ze złej kategorii i także o nim dużo mówią. Ale i ty, i on, jesteście jednakowo wielcy panowie.

– To znaczy, że sam tytuł ciebie nie olśniewa? Dobre i to! A, na którą stronę się przechylasz?

Bohdan zaczął po swojemu wykrzywiać usta.

– Ja tkwię w środku i stworzę nową kategorię - zacno łajdacką. Krańcowości nie lubię! nudzą mnie śmiertelnie.

Ordynat radził młodzieńcowi wstąpić na uniwersytet.

– Nie mam pieniędzy - burknął Bohdan.

– Na to się znajdą, bądź spokojny. Wybierz sobie najodpowiedniejszy wydział, a ja ci wskażę uniwersytet.

– E! Wuju! Nie mnie brać się za bakalarstwo! Dobrze, że skończyłem siedem klas szkolnych: miałbym się znowu do ławy przyszywać? Ani myślę! zresztą w naukę nie wierzę. Mając spryt, można się samemu więcej nauczyć, niż bez niego w stu uniwersytetach. Czy ja jestem taki głupi? Wiem bardzo dużo, czytałem moc, a że się tam w filozofii babrać nie potrafię, to jest bez znaczenia. Do wynalazków także nie mam pretensji. Jednego tylko żałuję...

– Że masz takie pojęcie? - spytał ordynat.

– Nie, ale że Czerczyn nie jest moją własnością - odrzekł Bohdan trochę smutno.

– Puściłbyś go tak samo, jak i swoją spłatę.

– Może i nie! Zawsze to już coś. Ale dajcie mi pieniędzy, to sam potrafię wyssać taką esencję z życia, o jakiej się filozofom nie śniło.

Po szczegułowym zbadaniu spraw majątkowych Bohdana, ordynat wykazał mu całkowity deficyt. Młodzieniec liczył zaledwie 22 lata, zdążył zaś już stracić nie tylko to, co mu się należało z Czerczyna, ale i porządnie wpaść w długi. Matka jego odpisała ordynatowi, że znać nie chce wyrodnego syna, że więcej nie da ani grosza, bo Czerczyn z przyległościami to tylko już własność Wiktora Michorowskiego, starszego brata Bohdana.

Rozpieszczony dawniej „Bodzio” zrozumiał, że jest na łasce i niełasce ordynata. Stracił fantazję, ale nie na długo. Zapowiedział ordynatowi, że przez lato będzie hulał w Głębowiczach, potem zaś gotów iść drzewo rąbać, jeśli nic efektowniejszego wuj nie wymyśli. Prędko jednak zmienił zdanie. Z wielkiego pana zostać parobkiem, to spad za ostry, a znowu dlatego umierać nie warto. Ożenić się bogato tylko dla posagu, największe głupstwo! - Pozostaje więc praca. Że zaś to jest nudna pani, więc jeszcze lepiej być rozbójnikiem włoskim.

– Włochy znam wybornie, jestem mężny! Tak! zostanę najpewniej bandytą apenińskim i przezwę się Bohda-Michor. To będzie ładne.

Tworzył projety coraz dziksze, ale poważnie zastanawiał się nad swoim losem, chociaż się z tym nie zdradzał. Duży wpływ wywarła na nim wizyta matki w Głębowiczach.

Pani Kornelia Michorowska, daleka krewna Waldemara, osoba jeszcze dość młoda, pełna pretensji, przesady i subtelnej ironii, w gruncie rzeczy tęga histeryczka, od razu najgorzej usposobiła do siebie ordynata, gdy przyjechała do Głębowicz.

Nie rozstając się z różnymi trzeźwiącymi solami i z lornetką, mówiła cedzącym głosem i przez nos. Często mdlała, spazmy były jej zwykłym objawem, ale nie szkodziły, tak jak aktorom nie szkodzi konanie na scenie. Do zwykłej dekoracji tej damy należał słodkokwaskowaty, jak wymoczona w herbacie cytryna, uśmieszek, na ustach wąskich, złożonych w bolesny łuk. Był to wyraz dystyngowany. On jednak najwięcej ordynata drażnił.

Pani Kornelia dziwiła się na wstępie, że Waldemar wziął w opiekę takiego „rien du tout", jak Bodzio, bo to jest chłopak wykolejony. Usłyszawszy to „Bodzio" najpierw przeprowadził całą serię min na swych wargach, potem rzekł z humorem:

– Że jestem wykolejony, to wina mamy. Któż to mi dawniej podsuwał do portmonetki ciągle po kilkaset rubli: czy nie mama? Papo, póki żył, nie dawał - mama przeciwnie. Czasem znajdowałem w portfelu spore sumy. Nie mam żyłki do składania, więc puszczałem w świat. No, i nasiąkła skorupka!

Pani Kornelia zaczęła wąchać flakonik.

– Widzi kuzyn, jaki to syn niewdzęczny - jęknęła żałośnie do Waldemara.

– Wiktor będzie wdzięczniejszy, kiedy mamę z torbami puści.

– Zuchwały jesteś! - rzekł ordynat.

– Zobaczymy! Ja już jestem wyrzucony, w szalupie ratunkowej; ale Wiktor płynie całą parą.

Pani Kornelia, prócz gorzkich wymówek, zdobyła się jednak i na lepszą broń względem syna. W potoku czczych żalów i urągań, które aż ordynat musiał łagodzić, ironiczna dama rzekła z emfazą, ale trafnie:

– Więc teraz Bodzio zostanie pasożytem Głębowicz - prawda?... Będzie puszczał pieniążki ordynata i bąki zbijał. Voila! To jest par excellence odpowiednie stanowisko dla Michorowskiego z Czerczyna.

Ordynat, dotknięty niemile, ściągnął brwi, lecz zanim przemówił, zerwał się Bohdan czerwony, wściekły, i rzucił przez zęby:

– Nie Michorowski z Czerczyna, ale Michorowski hołysz, z bruku nicejskiego, na który cisnęły mnie... hojne paluszki mamy i chytra łapa Wiktora. Widzieliście, że ginę, ale gdy umyślnie zażądałem nie setek, lecz nawet tysięcy rubli, toście mi je przysyłali bez protestu. To spisek! Chcieliście, bym wybrał swoje i bodaj zdechł! Reszta was nie obchodziła. Byle „Vittoro" uwolnił się od lokatora na czerczyńskiej hipotece. I zdychałem! Długi mnie napierały. Pożyczałem 200 rubli, wydając weksel na 400 i więcej. Zacząłem grać... Lazłem w błoto! A ten, kto mnie wyratował, zbiera owoce, waszą ręką posiane. Może mnie wyrzucić za próg, ale jego nie zrujnuję, bo mam dla niego szacunek. Dla was - nie! Pasożytem nie będę.

Zakręcił się na pięcie, wyszedł i trzasnął drzwiami.

Pani Kornelia zemdlała, potem dostała spazmów oraz serdecznego płaczu i tego samego dnia odjechała z Głębowicz.

Bodzio natychmiast ożywił się. Wieczorem miał długą rozmowę z ordynatem, na drugi dzień był przedstawiony administracji głębowickiej jako nowy praktykant. Cieszył się ze swej godności, lecz długo targował z

ordynatem o pensję, dowodząc, że powinien dostać więcej pieniędzy, choćby dlatego, że... wyrzekł się bandytyzmu.

# XXI.

Uczucia, które Lucia żywiła dla ordynata, nie osłabły przez czas rozstania z nim; raczej się wzmogły. Dziewczyna przebywała w Słodkowcach długie, więzienne godziny utarczek wewnętrznych. Jej młoda dusza grzęzła w wonnym kwieciu marzeń, lecz nie upijała się ich czarem, widząc zawsze na dnie smutną prawdę. Jej tęsknota za szczęściem szła przez moczary, drżąc do podchwycenia błędnego ognika chwilowej utopii. I marła pod siłą rzeczywistości, co niby wstający dzień, zabijała ułudny ognik wątłej nadziei.

Lucia troskliwie pielęgnowała dziadka, uczyła dzieci w szkole z zapałem, ale czczość bezmierną odczuwała w przykry sposób. Bywały dni, w których tylko ogromną siłą woli zmuszała się do codziennych swych zajęć. Do szkoły wówczas nie chodziła. Potrafiła przebyć kilka godzin wciśnięta w kąt szerokiej otomany, z głową spoczywającą na dłoni.

Pan Maciej widział to, rozumiał i bolał skrycie, ale milczał.

A w duszy biednej Luci myśli, uczucia łamały się w gniotące złomy; rozpylały w proch lub znowu, pobudzone jakimś wrażeniem, skupiały się i rosły w przepotężny zew, gorejący żywym ogniem umiłowania, spotęgowanego egzaltacją.

Częste przyjazdy Waldemara były dla niej zawsze nowym pokładem w nawale wrażeń, złym lub dobrym. Gdy on przemawiał do niej spokojnie, gdy sercem odczuwała w nim łagodność dla siebie, Lucia płynęła na miękkich obłokach, otoczona ciszą cudowną. Dokoła widziała jasność - i siała jasność. Gdy Waldemar był roztargniony, niespokojny, Lucia miała wrażenie, że biegnie w borze gęstym, oślepła z trwogi i nie wie, czy oślepia ją blask słońca brutalnie palący, czy straszna ciemność nieprzebitej wzrokiem ulicy. Uderzała się o pnie drzew, szukając czegoś, co ją straszyło i ciągnęło zarazem.

Była jakby igłą magnesową, kierującą swój cień śladem błysków oczu Waldemara. Jej niechęć do matki wzrosła, czuła się w ogóle skłonną do nienawiści.

Umiała trzymać na wodzy swe nieprzychylne uczucia, ale czasem wybuchały bezwolnie. Czasem nawet chwilowym przedmiotem ich bywał Waldemar. Zaciskała wtedy zęby, gdy on ją całował na pożegnanie lub witając. Gdy przyjeżdżał, nie wychodziła do niego. Kaprysy te bolały ją potem, bolały nawet w czasie trwania, pomimo to nie niweczyła ich. Brakło jej sił.

Bohdana Michorowskiego przywitała jak intruza, niechętnie od pierwszego spotkania. Drażniło ją niewymownie zajęcie się nim Waldemara i nie ukrywała tego, gdy ją Waldemar pytał o zdanie co do Bohdana, odrzekła krótko:

– To człowiek bez wartości.

Ordynat był innego zdania.

– Mylisz się, Luciu! - odrzekł sucho.

Więcej o Bohdanie nigdy nie rozmawiali.

Bodzio nie robił sobie nic z niechęci kuzynki, jakkolwiek niechęć tę odczuwał.

Do Słodkowic jeździł rzadko, bo i pan Maciej patrzył na niego krzywo.

Bodzio nazwał Słodkowce zakonem trapistów, ale Lucię bardzo lubił, tylko się jej zawsze sprzeciwiał, robiąc z siebie przy niej umyślnie monstrum. Prędko odkrył tajne uczucia jej dla Waldemara i zrozumiał, że nie mają wzajemności. Chcąc ją z tego wyratować, opowiadał niestworzone bajki o swej miłości beznadziejnej do jakiejś Ludgardy, księżniczki czeskiej, która go nie kocha, a za którą on szaleje.

– I widzi kuzynka: pomimo to jestem wesół i żyję. Cóż mam robić? Trudno kogoś zmuszać do kochania. A gdzież ambicja? Ja będę marzył o ukochanej, ukochana zaś gwiżdże na mnie. To dobre sobie! Najlepiej w takich razach mówić: „pal cię licho”; to przynosi ulgę.

Lucia zrozumiała, do czego Bodzio zmierza, i to ją gnębiło.

Bohdan dobrowolnie przyjął rolę pośrednika pomiędzy Lucią i ordynatem. Ją chciał wyleczyć z nieszczęśliwej miłości, Waldemarowi znów wmawiał stale wielkie zalety Luci, opiewał jej dobroć i urodę. I cieszył się myślą naiwną, że z czasem tę parę skojarzy. Odkrył raz swe zamiary panu Maciejowi, lecz źle trafił; dostał ostrą odprawę.

Pan Maciej, przerażony odkryciem Bohdana, zabronił mu stanowczo mieszania się do obopólnych uczuć Waldemara i Luci.

– Dlaczego?... Skoro byliby ze sobą szczęśliwi, to czy nie należy im pomóc? - oburzył się Bodzio.

Pan Maciej przeżuwał starczymi szczękami, chcąc się uspokoić. Zamiary Bohdana były jego najtajniejszym życzeniem. Pragnął z duszy całej, aby Waldemar pokochał Lucię i wziął ją za żonę. Lecz starzec nie śmiał nawet o tym myśleć. Odważne projekty Bodzia zaskoczyły starca niespodziewanie. Nie wiedział, co odpowiedzieć na słuszną uwagę chłopca. Rzekł tylko:

– Oni się pobrać nie mogą, bo wszak są blisko spokrewnieni.

– Ee! to nie może być powodem! A papież od czego?! Ordynat powiedziałby, że z inną się nie ożeni, że ordynacja wobec tego upadnie, i... zrobione - zawołał Bodzio, zadowolony ze swej polityki.

Takie postawienie kwestii przypadło do gustu staremu Michorowskiemu. Milczał, ale ciągle snuł swe ciche marzenia i zdwoił baczność względem wnuków.

Bohdan nie poruszał już tej sprawy wobec pana Macieja, ograniczał się na delikatnym podsuwaniu jej Waldemarowi. Lecz wkrótce i tu zbankrutował; pewnego bowiem dnia, po powrocie ze Słodkowic, zaczął Bodzio po swojemu ubolewać nad samotnością Waldemara, potem przeskoczył na zachwyty nad Lucią i w końcu zniecierpliwiony obojętnością ordynata, rzekł porywczo:

– Bo wuj to chyba jest ślepy?! Czyż można nie zauważyć, że ta biedna Lucia kocha się w wuju jak szalona! To nawet wstyd, to nie po męsku!

– Proszę cię, abyś swoje uwagi zachował dla siebie - rzekł Waldemar bezdźwięcznie.

Byli w gabinecie ordynata. Bohdan chodził po pokoju, ordynat siedział przy biurku.

Młodzieniec umilkł zawstydzony, lecz nagle spojrzawszy na Waldemara dostrzegł, że ten ma utkwiony wzrok w portrecie zmarłej narzeczonej, wiszącym naprzeciw jego fotela.

Bodzio nigdy się nie namyślał, więc i teraz podszedł gwałtownie do Waldemara i zawołał z niesłychaną brawurą, wskazując na portret:

– Radzę wujowi puścić w trąbę całą tę Stefcię, tak jak ja swoją Annę w Nicei, i ożenić się z Lucią. To będzie najmądrzejsze!

Ordynat zerwał się blady, straszny. Wyciągnął rękę w stronę drzwi z głuchym okrzykiem.

– Wyjdź!... Natychmiast!

Bohdan stał oniemiały. Na twarzy jego czerwoność i bladość spychały się z sobą. Wstyd i obraza zaczęły drżeć na wargach. Postąpił krok naprzód, popędliwe słowa już, już miały bryznąć, ale ordynat powtórzył dobitnie.

– Wyjdź!

Chłopak miał usta zacięte, twarz z szarej tektury. Zawrócił i prędko wybiegł z pokoju.

Ordynat, wyczerpany, usiadł, chowając mokre czoło w trzęsących się dłoniach. Po jakimś czasie usłyszał głośny galop konia na podjeździe zamku. Wstał i spojrzał w okno.

W bramie, pod arkadami, dostrzegł znikającą sylwetkę Bohdana, pędzącego cwałem na wściekłym ogierze arabskim.

Jeszcze się smarkacz zabije!

Ordynat skoczył do telefonu i połączył się ze stajnią.

Odezwał się koniuszy Badowicz. Ordynat wydał rozkaz:

– Niech natychmiast masztalerz Józef na najlepszym koniu jedzie w ślady panicza i z daleka czuwa nad nim.

## XXII.

Od tego czasu Bohdan zaniechał swatów. Ale zaraz po powrocie ze swojej szalonej wycieczki konnej był już z ordynatem, jak gdyby nigdy nic, na najlepszej stopie. Waldemar nie mógł zbyt długo na niego się gniewać. Zawsze Bohdan każdy swój wybryk postawił w takim świetle, że trzeba było albo się śmiać, albo od razu zapomnieć.

Ordynat zręcznie normował wyskoki kuzyna, lecz i największy takt nie na wiele się przydał wobec jego śliskiej natury.

Młodszy Michorowski musiał pracować, jak każdy z praktykantów

głębowickich. Umiał sobie jednak poradzić. Gdy go postawiono na polu do pilnowania robotników, stał przykładnie, ale z głową nad książką, którą woził z sobą. Często także rysował z natury pełne kształty wieśniaczek i potem pokazywał swe szkice ordynatowi. Gdy ten zwracał mu uwagę, że będąc zajęty, nie może pilnować robót, Bohdan odpowiadał lakonicznie:

– O!! Powinno im to wystarczyć, że stoję nad nimi: jeszcze mam uważać... Przecie ekonomem nigdy nie będę.

Rolnictwo nudziło go, natomiast zajmowały fabryki i wszelkie inne instytucje majątkowe. Do lasów wymykał się ukradkiem, polując lub marząc wśród największych gąszczy. Nad ściętym drzewem potrafił płakać, ale psa, który się na niego rzucił, zasztyletował z zimną krwią. Potem sztylet cisnął w ogień i nie mógł domyć rąk, bo ciągle widział na nich krew.

Do zwierzyny strzelał zawzięcie, lecz tylko czworonożnej; za nic w świecie nie zabiłby ptaka. Mówił, że to stworzenie stojące wyżej od człowieka, bo ma bezwzględną swobodę.

Kiedy raz zobaczył hrabinę Ritę Trestkową, strzelającą do dzikiego gołębia, od tej pory przestał ją całować w rękę.

Był prędki i w gniewie gwałtowny. Mściwości nie znał.

Za jakieś małe przewinienie wychłostał raz szpicrutą chłopca stajennego aż do krwi. Gdy jednak usłyszał jego jęk, wycałował go jak brata i oddał mu całą swą pensję miesięczną i złoty zegarek.

O sprawach erotycznych również nie zapomniał. Co tydzień zmieniał ideały, Kaśki, Marysie, Kostki - były przez niego opiewane i rysowane w różnych pozach. Zachowywał zawsze estetykę w tych przelotnych słabostkach tak, że ordynat, czujny i pod tym względem, nie mógł mu wyraźnie nic zarzucić. Wszędzie go było pełno. Gdy pod koniec lata przyjechał do Głębowicz hrabia Herbski, nie poznał na razie Bohdana. Dawny nicejski hulaka i gracz zmienił się powierzchownie na lepsze. Trochę zmężniał i nabrał cery. Ruchy miał spokojniejsze, w twarzy wyraz wesoły, junacki, ale jednak inny, niż dawniej.

– Cóż ordynat zrobi z tym narwańcem? - pytał hrabia Dominik.

– Wykieruję go na porządnego Michorowskiego - z uśmiechem odrzekł Waldemar. To będzie człowiek, choć trudny do prowadzenia, jak młody źrebiec arabski.

– Ordynat go okiełzna.

– Nie, okiełznać nie chce. Wprowadzę go tylko na właściwą drogę. Sam poleci!

– Na łeb, na szyję - i skręci kark! - dodał Herbski.

Waldemar zasępił się.

– To będzie człowiek - powtórzył w zamyśleniu.

– Kimże on chce być?...

– Administratorem. Do tego ma spryt. Zdolności do matematyki bajeczne, energia, rzutkość, pewna ścisłość wykonawcza, słowem: materiał jest.

– Ale musi nad sobą pracować, żeby się wyrobić.

Herbski kręcił głową powątpiewająco.

– Zawsze to już będzie ni to, ni owo - rzekł apatycznie. Nie pan i nie pracownik. Na pana nie posiada środków, a do pracy nie stworzony.

– Człowiek stworzony jest do wszystkiego, jeśli musi - odparł ordynat. Wykształcę go u siebie i dam mu posadę u obcych. Niech zarabia na chleb, bo go inaczej nie będzie miał.

– Ha, chyba, że tak! Bo Głębowicze nie zrobią z niego pracownika. Za wielki to komfort. Nawet ty, panie ordynacie, nie wykorzeniłbyś z niego żyłki wielkopańskiej. Przepych tutejszy zanadto gra na nerwach. Bohdan przecie wie, kim jest właściwie i kim mógłby być.

Ordynat zmienił temat rozmowy. Czuł tylko, że Bohdan jest celem dla niego, i że w pustce obecnej swego życia znalazł coś, co go jeszcze porywa. „Bodzio" zjednywał go sobie coraz więcej.

– To będzie człowiek - myślał ordynat uparcie.

# XXIII.

Pewnego wieczoru ordynat, powróciwszy ze Słodkowic, zastał u siebie na biurku list od Bohdana, zawierający tylko te słowa:

„Proszę mnie nie szukać. Wrócę".

Waldemar spytał lokaja:

– Czy dawno panicz wyjechał?

– Przed dwoma godzinami, konno na Ramzesie.

Ordynat pomyślał:

– Znowu na tym wściekłym koniu – lecz nic nie powiedział:

Nadeszła jasna, księżycowa noc jesienna.

Z wilgotnej ziemi wzniosły się szarobiałe tumany oparów i ciężkie szły w górę, rozłażąc się pojedynczymi kłębami po mokrych trawach, okrytych, niby manną, gęstą połyskliwą rosą. Liczne oddechy wydawane przez odpoczywającą po rodzeniu glebę, pełzły chyłkiem wskroś pól, rozmazywały na płaszczyznach, przewalały się zbitym tłumem. Na mokradłach tworzyły istny bór szarawej gęstwy, ponad którym stał jeszcze wysoką warstwą pył mglisty, przeświecony księżycem, niby opałowy dym kadzideł ofiarnych w świątyni z kryształu i srebra.

Silny mur leśny zginął pod brzemieniem ciężkich oparów, zanurzył się w nich, jak niedźwiedź kudłaty w kurzawie śnieżnej. Mgły lizały wielkie pnie drzew, chłonąc je w tłustą swą ruń; pięły się do gałęzi; zalewały grube konary. Cały świat zda się, oddychał olbrzymimi płucami i zionął parę, oczadzając nią przestwór. Wielkie moty białe kłębiły się ociężale.

Wlokła się szlakiem mgieł tęsknica dziwna, niewyraźna, miesiącem utkana mara, wylęgła z powodzi dymów ziemnych a pełznąca w ślad za ich

cielskami, chwilowo tłocząca brzemieniem, chwilo wo lekka jak powiew, jedynie zawsze jakimś smętkiem opita. Szła ta melancholia w białych obłokach zatopionych pól, szła wśród milczącego w śnie oparnym boru, szła, mocarna swą niewolną siłą, co ją rodziła z mgieł i mgłami w świat puszczała.

Może za jaźń tęsknoty przedziwnej pochylała włosy traw, że wyglądały, jak czesane szczotką, jak płat osobliwej tkaniny dzierganej w brylantowe rzuty. Może ta dusza tęsknoty niosła się bezdomna, i szukając oparcia, tuliła się do łona drzew, obejmując je miłośnie, że stały ciche, uroczyste, jakby nie chcąc szmerem je spłoszyć.

I może do gwiazd szła ta tęskność przeogromna, bo jarzyły się cudzym, migotliwym żarem klejnotów i sypały na ziemię promienną dobroć źrenic swych uroczych.

Czy w oparach tęsknota zostawała spojona z nimi nierozłącznie, bo coraz śmielej burzyły się i niosły swe chmury ponad wszystkie twory ziemi?

Czy duszy ludzkiej tęsknota szukała, by ją ukołysać monotonną i słodką ciszą, która także ma głos przepiękny, gdy się ton jej łagodny uchwyci pobożnie?... W harmonijnych melodiach ciszy wpływała tęsknica pól zadymionych do młodej duszy Bohdana. Omotała go sobą i harfą swą nastroiła w śpiew łagodny rozchwianych białych piór.

Snuł do duszy perły rozpylonego przed nim ogromu marzeń.

Smutek głęboki lał mu się w serce, on zaś czerpał go z tych tumanisk siwych. I zdawało mu się, że poza nimi jest dla niego albo przepaść bez ratunku, albo żmudna szarzyzna, płaska, bezpieczna, lecz odrażająca.

Bohdan nie znał jej. Świadomość, że leży przed nim, przejmowała go wstrętem. Nie piąć mu się po cudach życia lekko stopą, ale - ciżmy ciężkie nałożywszy - brnąć po tej szarzyźnie... Brnąć - i być wdzięcznym, że ona mu jeno pozostała.

I zastosować się biernie do jej wymagań, swoje zaś własne, z którymi się zżyło, i które się ukochało, cisnąć precz za siebie, by wspomnienia, ożywając, nie oślepiały.

Duszę swą zwęzić, by zmieściła się w tych małych szraneczkach, by nie wyfruwała w rozległe uroczyska dawnego bytowania. Ducha całego trzeba zdusić w piersi, bo wszelkie wzloty mogą dlań być teraz zabójcze.

Wzloty do istnienia, co już baśnią się staje.

Wzloty do snów tęczowych, co powrotu nie mają i są już mitem.

Iść trzeba, ale w ciżmach, gniotących swą ciasnotą i prostotą.

I swą pospolitością.

Iść bez oglądania się, ze wzrokiem wbitym w szarą ziemię.

Bohdan się wzdrygnął. Koń pod nim zadrżał, jakby mrozem przejęty. Młodzieniec wyciągnął ramiona do gęstych obłoków, spadłych na ziemię, i modlił się do nich:

– ...Spowijcie mnie w siebie, wy, nieuchwytne, abym nie widział istnienia swego...

Abym się rozpłynął w bieli waszych pian, i jak one, śnił przy księżycu...

I abym doliny swej mógł nie widzieć, a jeśli nie gwiazdy są dla mnie ostoją, to niech ziemia nie będzie nią...

Popłynę z wami, rozwiany, senny i kąpać się będę w nurtach waszych, wy zaś ukojenie mi dacie...

I wy mnie przeniesiecie...

Wtem Ramzes szarpnął się gwałtownie, stanął dęba. Bohdan chwycił cugle, ściągnął, lecz koń ruszył z kopyta. Prawie spod nóg wypadł mu duży zając. Pomknął chyżo, zaszył się w mgłę. Wystraszony koń biegł cwałem.

Bohdan nie był wprawnym jeźdźcem, czuł, że zleci. Objął ramionami szyję araba i oplątany w zdradzieckich zwojach gnał jak duch przestrzeni.

Biały, duży koń niósł na sobie, jak łupinę, szczupłą postać Bohdana. Zaorywali się razem w kłęby mgliste i świecili w aluminiowym blasku księżyca. Tętent walił przed nimi, jak głuche warczenie bębna.

Bohdan już oswoił się z biegiem Ramzesa. Przytulony do niego, upijał się tą nocą tajemniczą i niezwykłością widoków. Zaczął kierować koniem. Gdzie dojrzał gęstszy zwał mgły, tam zwracał wierzchowca i pędził na przepadłe; z rozkoszą zanurzał się w wilgotnej, dusznej atmosferze chmurnej, bódł opary piersią araba, lecz ich nie rozpraszał. Roztwierały się przed nim i zamykały natychmiast. Ginął w nich, zatracał się. I pił, pił chciwie samowiedzę swobody. Niosła go ona górnie, niby skrzydła sokole.

Utopił się w jej mirażu.

W pewnym miejscu zaczerniał przed koniem duży rów pełen wody. Woda była siwa, drobne kłaczki mgły wisiały nad nią.

Ramzes przesadził rów z łatwością.

Rozległ się okrzyk.

Bohdan spadł.

Usłyszał głośny huk kopyt spłoszonego konia i zanim podniósł się z mokrego urwiska, już Ramzesa nie dojrzał.

Pozostał sam w białej chmurze mgły. Poczuł ból lewego ramienia, na które upadł, w głowie szum nieznośny, ale zresztą czuł się dobrze. Był podniecony. Miał, czego pragnął: zupełną pustkę i samotność.

Wolno posunął się wzdłuż kanału, idąc w stronę, skąd ciemny bór mamrotał szmerem ledwo wyczuwalnym.

Bohdan nie myślał o ucieczce konia, o nieznanej drodze przed sobą, tylko wciąż jedno pytanie kładło mu się w mózgu grubą warstwą:

– Czy to już konieczność! Czy wytrwam?...

I pytania te bolały go niewymownie.

Przyszła nań chwila jasnowidzenia. Dostrzegał ponurą dal swego życia, bez horyzontów już, zamkniętego w kresach musu. Żałość dokuczała mu jak pragnienie, kiedy człowiek wyrwać tego z siebie nie może, a ugasić nie ma czym. Bezmierna trwoga nadlatywała do duszy Bohdana, krzesząc w niej strach. Widział, że jest zgubiony dla świata, w którym żył, że jest zrujnowany doszczętnie. Nigdy mu się to tak jasno nie przedstawiało, jak właśnie teraz. Życie zrzuciło go ze swych bark tak samo brutalnie, jak Ramzes, zostawiając

go na łasce sił własnych i zdolności orientowania się. Znalazł oparcie, znalazł opiekę. Ordynat przygarnął go, rozbitka bezdomnego, ale Głębowicze były tylko progiem do nowego życia. Z pięknych, mozaikowych sal istnienia dotychczasowego wstąpił na przepyszny próg, już nie własny i ostatni. Poza nim przybytek żmudnej pracy na kawałek chleba.

Powinien zapomnieć o tym, co mógł mieć nadal, i o tym, co miał. Wyrzec się znaczenia, wyrzec świetności. Iść w świat szeroki, który go przytuli, lecz kosztem wielkich ofiar, kosztem obowiązku, kosztem żalu niezgłębionego.

Iść między ludzi nie jak Michorowski, arystokrata rodowy pan, magnat i bogacz, lecz jako Michorowski pracownik za pieniądze, Michorowski podwładny, zależny od chlebodawców, biedny i z obowiązkową torbą mozołu na wiotkich, pańskich plecach. Nie wolno myśleć o ulubionych podróżach, o bogactwie świata, o życiu błyskotliwym, tryskającym w złote rakiety upojeń. Nie wolno marzyć, fantazjować o ułudnych krainach cudów, bo brak do tego pospolitej, nędznej spójni, która jednak z tym światem wyśnionym jest spójnią - pieniędzy. Utracił wszystkie, jakie miał, lekceważąc je. Uważał pieniądz za rzecz niską, niegodną myśli człowieczej, za służalca, który jedynie otwiera drzwi do wszelkich przybytków świata. Można nim pogardzać - byle spełniał swoje zadanie, byle był w dłoni narzędziem do kierowania wielkim rydwanem fantazji. Kpi się z tej potęgi czynu, uważając ją za mierność.

A oto zemściła się. Zabity - smok pieniądz - szczerzy teraz kły i niemiłosiernie dziko rechocze z radości. Ten chichot okropny Bohdan słyszy dokoła siebie, i wżera mu się on do mózgu niezmiernym wrzaskiem.

– Praca, praca, praca!

Ona mu pozostała - smutna, żałobna, jedyna. Wstrętny dlań padalec - pieniądz - wyciekł mu z delikatnych dłoni i ugryzł zemstą nasyconą.

Pierwszy ból Bohdan poczuł w Kasynie, gdy krupier zabrał mu ostatnie jego pieniądze. Odczuł wówczas jakby pchnięcie, okrutną ręką zadane w piersi, ale nie zgłębił doniosłości i całej przepastnej mocy tej chwili. Cios swój obrócił w śmiech, brawurą się okrył.

Teraz dopiero słyszy zabójczy głos ironii, teraz palą go zadane rany.

I przyszłość swą widzi jasno.

Ale nie zginie. Nie zdławi go poczwara biedy, nie spodli. Żebrać u ordynata nie będzie. Co dostanie, na to zapracuje. Życie weźmie za bary i zwiąże się z nim.

Może zwalczy tę hydrę brzemiennej nędzą przyszłości. Zrobi ją znośną, aby nie miała zbyt ostrych pazurów. Lecz do szorstkości bytu przyzwyczaić się trzeba.

Bohdan szedł w rzednącej mgle i łowił swe myśli w jedną sieć uwypuklonej w jego wyobraźni konieczności. Niesforne, wymykały się przez liczne oka, lecąc w przestworza.

Wszedł w bór. Szum wyniosłych czubów zawiał nad nim, jakby pomruk tej szorstkiej istotności, która ogarniała go despotycznie, i zarazem jakby żałosne

pożegnanie uciekających przed nim rozkoszy życia oraz groźny, acz stłumiony ryk szyderczej potęgi złota. Pomiatał nią z naigrawaniem, lecz teraz jest jej odwet.

Michorowski, zmoczony przez opary i rosę, zziębnięty na ciele i duszy, potknął się o korzeń i runął pod sosnę. Nie wstawał, przylgnął do mchów wilgotnych, ramionami objął chropowaty pień drzewa i zapłakał. Wyrwał mu się z piersi płacz, może w niej nieznany jeszcze, bo jakiś dziki, okrutnie rozdzierający duszę; płacz za utraconą panoramą świetnej egzystencji; płacz witający ruiny - po przepychu.

Rozszlochany głos młodzieńca zlał się z harmonią szumu leśnego, lecz był jego dysonansem. A mgły łagodne, niknąc z pól, już bardziej nasiąkłych blaskiem nieba, pełzły do boru i tu, niby puchową zasłoną, otulały wątłe ciało Bohdana, którym wstrząsnął spazm serdeczny.

---

W parę godzin po północy do gabinetu ordynata w Głębowiczach cicho wsunął się strzelec faworyt. Szedł do biurka krokiem strwożonym.

– Co tam? - spytał ordynat.

– Ramzes przygnał sam, bardzo zmęczony i schlastany błotem - zameldował strzelec szeptem.

Długa chwila ciszy.

– Skąd przybiegł?

– Nie wiadomo. Znaleźli konia na dziedzińcu przed stajnią.

– To dobrze. Możesz iść.

Ordynat czuwał do rana. Zrywał się czasem nagle, jakby chcąc biec na ratunek i znowu siadał.

– Po co, i dokąd?

Przejmował go tylko lekki dreszcz.

## XXIV.

Dzień już był jasny.

Bohdan Michorowski, wydobywszy się z boru, szedł polami, grzęznąc w rosie, w stronę, gdzie bielił się olbrzymi wał oparów, skłębionych jak morskie bałwany. Mgły wygnane przez dzień, skupiły się wszystkie nad rzeką, przetaczały strome runa potężne nad korytem sinej wody, unicestwiały strome brzegi.

Słońce wzeszło złociste, wielkie. Jasną źrenicą obejrzało okolicę. Całym zastępem blasków spadło na fale oparne, wbiło się w ich wełnę, lecz rozpędzić nie zdołało. W słońcu mgły były jeszcze dumniejsze, rosły w górę pyszne i piękne, jak zbite w kupę niezliczone stada łabędzi. Bohdan przypatrywał się im w zachwycie. Szedł brzegiem rzeki, widząc pod stopami

spokojną, ciemną toń. Wydawała się dziwnie cichą i niewinną, wobec tej potęgi twórczej nad sobą, wydanej z własnej piersi. Idąc, Bohdan był już wesoły i pełen otuchy. Nocne majaki, żale i rozpacze znikły, jak mgły nad polami, rozpędzone słońcem. Czuł w sobie młodość oraz siłę jakąś niezwykłą i rodzącą chęć do życia, do używania. Pesymizm odleciał, nadzieja kwitła bujnie. Szeroka fantazja rozpierała mu duszę, słyszał łomot jej skrzydeł. Pierzchły czarne myśli o szarych płaszczyznach, o ciężkich obowiązkach. Pierzchły jak mara. Krzepił się pewnością, że jest Michorowskim, więc nie byle kim, ale panem; że zginąć nie może we wszechświecie, że nędza i niedola zgnębić go nie potrafią, bo praw do niego nie mają. Stanie się coś, co go wyratuje. Będzie pracował. Albo to takie straszne! Optymizm rósł.

Praca, tak okropnie przedstawiająca się nocą w wyobraźni Bohdana, teraz przeistoczyła się w wizję wesołą, zupełnie zwyczajną, której podlegają wszyscy ludzie bez strachu i przerażenia.

Dla mnie - marzył młodzieniec – będzie ona narzędziem powrotu do świetności istnienia. Powróci mi utracony majątek, za jej przyczyną stanę się znowu bogatym i będę tym, czym i teraz jestem: wielkim panem.

Bohdan dumny był ze swej siły. Wiedział z całą pewnością, że nie zginie. Będzie brał od ordynata pensję, wszystkie zaś spłaty długów odda mu z czasem, gdy już odzyska majątek. Rozszalała fantazja nasuwała przed oczy młodzieńca wschodzące jutrzenki. Myślami pędził naprzód i chwytał w lot idee coraz nowe. Oto Wiktor przehula Czerczyn, matka znajdzie się w biedzie, wtedy on, Bodzio, przez nich odtrącony, stanie się ich wybawicielem. Spłaci matkę i brata, sam obejmie dobra czerczyńskie, zostanie takim, jak wuj, uznanym obywatelem i milionerem.

Oczy Michorowskiego gorzały gorączką majaczeń, był tak podniecony, że prawie już się czuł na szczycie swych rojeń.

Drogę zagrodził mu wysoki płot zwierzyniecki. Bodzio stanął. Nie wiedział, co robić. O przeskoczeniu płotu nie było mowy. Szczelnie pozbijane bierwiona świeciły ścianą gładką jak cynkowany mur.

Co tu robić?...

Bohdan zastanowił się.

Obchodzić dokoła, aż do bramy na poprzecznej stronie czworoboku, nie chciał, bo było za daleko, i zresztą brama o tej porze zamknięta. Płot kończył się w rzece, wsunięty w nią głęboko, łodzie zaś dopiero na przystani. Bodzio nie miał ani gwizdka, ani trąbki, żeby wezwać strzelca, który zawsze dyżurował w domku strażniczym w zwierzyńcu. Młodzieniec krzyknął raz i drugi, lecz jego głos wsiąkł w opary rzeczne i wydał się prawie dziecinnym.

Gniew i niecierpliwość ogarnęły Bohdana. Słyszał dochodzące go zza parkanu porykiwanie jeleni i przykre ostre krzyki łosi. Porwał go gniew niesłychany. Zaczął walić pięściami i wołał, ile starczyło głosu w szczupłych piersiach.

– Hej tam! Służba! nie słyszycie, że ja tu jestem?! He, wy tam!

Ale nikt nie odpowiadał. Tylko rzeka bełkotała, bijąc o mury płotu, i jelenie

porykiwały przeciągle.

Bodzio wściekał się. Chodził to w prawo, to w lewo, jak lis w studni, szukając miejsca czy szpary, by móc nogę zaczepić i wspiąć się na płot. Przyszła mu myśl, aby wejść w wodę i brnąć aż do węgła parkanu. Lecz przypomniał sobie, że brzeg jest głęboki, zwierzyniec zaś od strony wody ma dość wysoką kratę żelazną, ostro zakończoną.

Wtedy zrozumiał, że musi iść parę wiorst, aż do bramy. Nie chciał jednak ustąpić. Ten płot wydał mu się nagle nędzą jego życia; tak bardzo bał się jej w nocy - i oto stanęła przed nim, niezwyciężona, urągliwa. Głucha złość porwała Michorowskiego w swój wir.

Zaczął szukać w kieszeniach noża składanego. Znalazł i twarz mu się rozjaśniła. Otóż postawi na swoim, zmoże ten wstrętny płot, nie pozwoli mu się rozpanoszyć.

Wyłupywał nożem w bierwionach, ale szło mu ciężko, drzewo twarde z trudnością poddawało się ciosom małego ostrza. Jednak drobne drzazgi padały na ziemię, dziura w płocie powiększała się.

Bohdan pracował z zapałem. Pot zrosił mu czoło i policzki, ręce mdlały, ale on nie ustawał w zawziętej robocie. Oddychał ciężko ze zmęczenia, lecz bódł bierwiona ostrzem nożyka, jakby tu chodziło o śmierć lub życie. Zziajany, rzucił wreszcie nóż na ziemię i zaklął:

– Niech to diabli wezmą! Nie będę więcej ciął; może kto się zjawi - pomyślał i upadł na trawę.

Ale wściekłość znowu go opanowała. Pragnienie zwalczenia trudności przemogło. Zaczął na nowo dźgać nożem bierwiona. Po upływie paru godzin, gdy słońce już wzbiło się wysoko, Bohdan wyprostował plecy z triumfalnym uśmieszkiem.

W płocie świeciło kilka jasnych ran, wydłubanych jedna nad drugą, niby schody. Można w nich śmiało postawić palce stóp.

Bohdan zadowolony patrzył na swe dzieło, lecz widział, że jeszcze nie skończone. Chwilę odpoczywał. Usiadł i przyglądał się rzece.

Płynęła już czysta, szafirowa, oswobodzona z oparów, cała zalana przezroczystym, powietrznym przestworzem.

Obfite drzewa parku na drugim brzegu rzucały ogromny cień na wodę. Tłukły się drobne falki, załamywały w spiętrzone pierścienie, szkliły łuską przeczystą.

Bohdan biegł wzrokiem za białymi piórami mew, ścigał pływające kurki wodne i rybitwy. W pewnym zakręcie odnogi rzecznej ujrzał wspaniałego perkoza o długiej szyi, z peruką na głowie. Wpatrzył się w niego chciwie, miłośnie, pragnąc w duszy, aby ptak podpłynął bliżej. Chciał go dokładnie obejrzeć.

Senność owiała mu zmęczoną głowę, członki bezwładniały. Usuwał się wolno na murawę, mrużąc ciężkie powieki. Już miał usnąć, gdy żądza czynu owładnęła nim znowu. Zerwał się, przeciągnął rozkosznie, leniwie, ziewnął szeroko od ucha do ucha.

– Aaaa! Do licha! Wolałbym teraz spać.

Ujrzał w mętnym marzeniu swój pokój sypialny, przyćmiony, i wygodne łóżko, ale to go tylko więcej otrzeźwiło.

Skoczył do płotu, próbując nań się wspiąć. Zaczepił nogą o zrąb najniższy, uniósł w górę ciężar własnego ciała, ale ręce ślizgały się po gładkim drzewie.

Spojrzał na szczyt.

Niepodobieństwo!

Po krótkim namyśle zerwał z siebie sukienny kubrak, zdjął marynarkę, kamizelkę i szelki. Kubrak nałożył na samą koszulę, marynarkę związał jednym rękawem z kamizelką. Gdy zaciągnął mocny supeł, wówczas skręcił ubranie w sznur, z szelek zrobił pętlę szeroką, zaczepił się o wydłubane zręby ręką i gwałtownie jął zarzucać pętlę na wystający zza parkanu gruby sęk drzewa. Zmęczył się bez skutku, spotniał, ale nie ustawał. Klął przez zęby; oczy gorzały mu dzikością; miotał się jak szalony. Spadał na ziemię, znowu lazł na płot i ogniście machał pętlą na oślep, niemal z zajadłością. Nareszcie improwizowany arkan, trafnie rzucony, wpadł na sęk, zahaczył się głęboko i wyrwał się z rąk Bohdana, zwisając na płocie. Chłopak krzyknął radośnie. Zeskoczył i jął rozcierać zdrętwiałe ramiona. Patrzył na sznur, kołyszący się lekko, z taką uciechą, jakby na jakieś przepotężne i sławne dzieło wszechświata. Rozpromieniony szczęściem chwycił się znowu za rąb, podważył i złapał linę w dłonie, mocno, z całej siły. Teraz już szło mu dobrze. Łapał za sznur coraz wyżej, nogi opierał o świeże rany parkanu i piął się zupełnie prawidłowo.

Był dumny i pewny siebie.

Gdy wydłubane schody skończyły się wreszcie, Bodzio stropił się na chwilę, lecz zaraz energicznym ruchem począł pełzać w górę tylko po linie, wisząc ciałem w powietrzu i bijąc butami w parkan. Wtem usłyszał trzask, zrobiło mu się gorąco, włosy powstały na głowie. Odruchowo spojrzał w dół i zdrętwiał. Był już bardzo wysoko: zląkł się, żeby nie upaść.

Drugi trzask, silniejszy od poprzedniego, przeszył mu ciało jak bagnetem.

Rozpacz i gniew zawrzały w nim.

– Zjesz diabła! - syknął nienawistnie, patrząc złymi oczyma na łamiący się sęk. Z pasją zrobił kilka gwałtownych ruchów w górę i... ukląkł na szczycie płotu.

– Eureka! - krzyknął z niesłychaną brawurą.

Usiadł wygodnie na szerokim palu, nogi spuścił na dół w stronę zwierzyńca i śmiejąc się wycierał pot z twarzy. Z ironiczną miną obejrzał nadłamany sęk, i próbując jego mocy rzekł głośno:

– Musisz mi jeszcze służyć, kochaneczku.

Zwiesił sznur na drugą stronę płotu, i uczepiony silnie zaczął spuszczać się w dół. Ale sęk ułamał się w połowie drogi. Bodzio upadł na ziemię, jak długi. Na głowę zleciała mu pętla wraz z grubym odłamem drzewa.

Młodzieniec odrzucił precz od siebie sęk razem ze sznurem i zawołał szyderczo:

– Pękłeś! Ale za późno.

Zerwał się - i ruszył szerokimi krokami naprzód, gwiżdżąc kuplety z operetki.

Blisko przystani spotkał strzelca, który na jego widok oniemiał ze zdziwienia.

Bohdan spojrzał w zaspane oczy dyżurnego i rzekł ostrym tonem:

– Śpisz jak suseł, dowołać się ciebie nie można! Całą zwierzynę wystrzelałbym, ani byś wiedział kiedy.

Strzelec patrzył zdumiony.

– A jaśnie panicz którędy wszedł do zwierzyńca?... Ja mam klucze od bramy.

– Którędy mi się podobało; słyszysz?! Podawaj łódź.

Strzelec spełnił rozkaz, będąc najmocniej przekonanym, że młody pan nie zginął, jak mówili w zamku, ale nocował w zwierzyńcu, żeby go kontrolować.

Bohdan miał minę nie wzbudzającą podejrzeń, jedynie przez czoło szła rysa długa od ostatniego upadku, zakryta zresztą szczelnie czapeczką angielską.

## XXV.

Dokąd w nocy jeździłeś? - spytał ordynat Bohdana.

– Marzyłem, walczyłem...

– Spadłem z konia - dodał Waldemar tym samym tonem.

– A tak! Zwaliła mnie bestia! No, ale nie żałuję. Wuj mi pozwoli tego konia?

– Na kiedy?

– Dziś, zaraz. Pojadę do kartoflarek.

– Nie będziesz spał?

– Ani myślę! Upiłem się nocą i oparami, teraz zaś... obowiązek.

Waldemar uśmiechnął się.

– Jak chcesz! Ale Ramzes za ostry.

– Już ja go ugłaskam.

– Tak; ale go nie dostaniesz.

Bodzio się zmieszał.

– Dlaczego?

– Bo nie jesteś gościem w Głębowiczach, lecz praktykantem, więc na warunkach praktykantów. Masz swego wierzchowca, jak każdy z tych panów, wyjątków dla ciebie robić nie mogę.

– Przecie konia nie zmarnuję - burknął Bohdan zły.

– Nie o to chodzi.

Młodzieniec stanął przed ordynatem, usta mu drżały. Zawołał gniewnie:

– Czy ja jestem kuzynem wuja, czy nie?!

– Owszem, jesteś nawet Michorowskim.

– Ach! Więc sądzę, że pewne prawa dla mnie powinny być... uwzględnione.

– Nie, mój drogi. Jesteś moim kuzynem, lecz i pracownikiem. Zatem wyróżniać cię od innych dla nazwiska nie będę.

Waldemar mówił spokojnie, ale chłopak się gorączkował. Oczy jego ciskały gniewem.

– Ba! pewno... Gdybym jednak miał miliony...

– To byś mnie nie interesował. Rozumiesz?

– Cóż to? Łaska?! krzyknął Bodzio, nie panując już nad sobą.

Waldemar spojrzał na niego wzrokiem trochę rozbawionym.

– Mój chłopcze, idź spać, radzę ci z duszy.

Bohdan postał chwilę, oddychał prędko, jakby wyładowując gniew, potem wybiegł z pokoju bez słowa.

Po jakimś czasie niespodziewanie wrócił. Minę miał uroczystą.

– Wuju - rzekł głosem zabawnie smętnym - proszę cię, abyś zapowiedział całej swej służbie, żeby mnie nie nazywali jasnym panem. Jestem płatnym praktykantem, służę, jak oni wszyscy: tytuły zbyteczne.

Waldemar z trudnością powstrzymał śmiech.

– Masz słuszność; zupełnie zbyteczne. Ale to załatw sam, ja na takie rzeczy uwagi nie zwracam. Dla ciebie istotnie nie jest to właściwe, możesz ich przykrócić.

Bohdan zawahał się.

– To będzie dla mnie... trudne, wuju.

– Przeciwnie! Zabronisz z własnej inicjatywy: tak lepiej.

Bodzio wyszedł zamyślony.

Tegoż dnia każdemu, który go tytułował, odpowiadał krótko i szorstko:

– Nie jestem żadnym jasnym panem, lecz paniczem; ostrzegam ostatni raz!

Służba, słysząc to wprawdzie pierwszy raz, zdumiewała się niesłychanie. Szeptali pomiędzy sobą:

– Zaraz widać, że to taki sam pan, jak nasz ordynat.

Bohdan stał się pilniejszym, interesowały go więcej powierzone mu sprawy. Często miewał poważne rozmowy z ordynatem o rolnictwie i o kwestiach administracyjnych. Widoczne było, że się do nich zmuszał, lecz robił to umiejętnie. Czytywał bardzo wiele, pochłaniał wprost bibliotekę głębowicką. Całe noce spędzał na czytaniu, a potem marzył i fantazjował. Musiał jednak czytywać dzieła ekonomiczne i rolnicze, choć się przy nich zanudzał, bo Waldemar był nieubłagany. Bodzio towarzyszył ordynatowi na odczytach odbywanych dla służby i włościan; pod swój wyłączny zarząd dostał czytelnię ludową i kasę oszczędności. Waldemar kontrolował go w tych zajęciach bardzo skrupulatnie. Pozwalał mu natomiast z zupełną swobodą zaprzyjaźnić się i przebywać z członkami administracji, z kim chciał. Bodzio zyskiwał pełno przyjaciół. Lecz za swoją prawdomówność miał i wrogów. Na hrabiego Herbskiego patrzył niechętnie, odczuwał w nim nieufność względem

siebie. Narażał się wszystkim, zupełnie o to nie dbając. Do pana Macieja, który narzekał raz przy nim na starość swą i skołatane siły, Bohdan rzekł bez namysłu:

– No, najlepiej nie czekać, aż starość nadejdzie: łupnąć sobie w mózg ołowiem - i skończone. Ja, gdybym ustanawiał prawa, to bym takie nadał: wszystkich po siedemdziesiątce słać na spacer na pola elizejskie.

Pan Maciej zgorszył się i spojrzał na chłopca z wyrzutem:

– Błazen jesteś - rzekł cierpko.

– No, przecie dziadzio nie ma się czym martwić: jeszcze prawodawcą nie jestem.

Herbskiemu tłumaczył z zapałem, że tytuły to największe głupstwo, a główna rzecz to jest pieniądz. Bez pieniędzy nie ma ani tytułu, ani brzucha. I tą aluzją do potężnej tuszy hrabiego gniewał go niesłychanie.

– Więc pan sądzi, że każdy tytuł jest kupiony? - pytał hrabia Dominik.

– Każdy nie każdy, ale dużo. Wierzę w tytuł księcia, bo to polski i stary. Ale hrabia? Baron?... Jak go sobie bogaty szlachcic nie kupi sam za granicą, to mu go dadzą dlatego, że bogaty. Jeszcze nie słyszałem, aby ktoś zupełnie biedny otrzymał tytuł hrabiego lub barona.

– Ach! Pan jeszcze wielu rzeczy nie słyszał - odrzekł Herbski, składając poczciwie ręce na szykanowanej przez Bodzia, obfitej części ciała.

– Może być - odparł Bohdan. - Nie słyszałem, na przykład, aby któryś z właścicieli kupionego tytułu przyznał się do tego.

Hrabia umilkł urażony, Bohdan zaś spojrzawszy na niego, wykrzywił usta i rzekł protekcjonalnie:

– No, ale są i porządni hrabiowie. Ojej! Na przykład Herbski i inni. A że mają pieniądze, to nie jest zbrodnią.

Pewnego dnia po podwieczorku ordynat z hrabią Dominikiem siedzieli na tarasie, paląc cygara. Nagle zwrócił ich uwagę wesoły śmiech kobiecy, dochodzący z parku, jakieś piskliwe chichoty i łomot nóg wśród klombów różanych. Pomiędzy krzewami, w oddali, mignęła jasna postać Bohdana.

– Erotyczne manewry - zaśmiał się dyskretnie Herbski.

Waldemar zszedł do parku. Idąc w stronę rzeki, rozglądał się ciekawie po klombach, szukając sprawców hałasu. Natknął się na zaczajonego pod krzewem róży Bohdana. Chłopak powstał zły i zawołał:

– Ee! Pomieszał mi wuj wszystkie szyki! Już teraz ucieknie na pewno.

– Kto?...

– Moja driada.

– Bohdan, co ty wyprawiasz?! - zgromił go ordynat - co to za wrzaski?...

– Cóż tam takiego? Zamieniłem się w fauna i gonię leśne driady... Co mówię: kredensowe! Ależ piękne! Niech ich wszystkie bogi! A najwięcej ta Haneczka. Łydki ma, powiadam wujowi... Ojej, jak żyję, takich nie widziałem. Fidiasz miałby model. Niech się Diana łowczyni schowa ze swymi chudymi piszczelami.

– Słuchaj. Ja nie pozwolę urządzać tu bachanalii - rzekł ordynat.

Bodzio wzruszył ramionami.

– Oh! Nie bądź taki święty, wuju! Co za bachanalie?! Jeszcze ci przecież nie wprowadziłem się na taras ze swoją driadą; ale na gaj różany możesz pozwolić. Tego – to nawet Zeus nie zastrzegał faunom. Twój fraucymer się nudzi, wuju; muszę pocieszać płeć piękną. Do widzenia!

– Zaczekaj. Powiedz mi, czy ty wiesz, czym to pachnie?

– Dobrze! Dobrze, wuju: To potem, a tymczasem ja... muszę mieć Haneczkę, bo to żywy posąg. Ojej! żebyś ty widział, wuju, jak się kąpała!... osaczam ją zaledwie. Do widzenia!

Ukłonił się ordynatowi z gracją, z wielką werwą machnął kapeluszem w stronę Herbskiego i zniknął za różami. Dolatywał tylko stamtąd filuterny jego głos, śpiewający jakąś burleskę niemiecką.

# XXVI.

W połowie października przyjechała do Słodkowic pani Idalia Elzonowska. Ciche życie dziadka z wnuczką zmieniło się w ciągłe i burzliwe sceny.

Baronowa chciała zabrać Lucię za granicę, dziewczyna oparła się stanowczo. Żadne namowy nie miały wpływu. Pan Maciej prosił od siebie, ale nieszczerze. Wolał, żeby Lucia była bliżej ordynata. Starzec kochał wnuczkę całą duszą i pragnął połączyć ją z Waldemarem. Ale przed panią Idalią nie zdradził swych marzeń.

Po długich sporach wyjechali wszyscy do Warszawy. Bodzio uprosił u ordynata urlop na miesiąc i wyjechał razem z nimi.

W Warszawie Lucia spotkała Brochwicza. Zaczęły się dla niej nowe dni udręczeń duchowych. Młody hrabia kochał ją bez zmiany i widocznie nadziei nie tracił. Bolała ją najwięcej świadomość, że Waldemar popiera sprawę Brochwicza. Nie mogła mu tego wybaczyć.

Wszyscy byli po stronie hrabiego, prócz pana Macieja i Bohdana. To spowodowało, że Lucia życzliwiej spoglądała na mniej lubianego dawniej Bodzia.

Pani Idalia otworzyła szeroko gościnne drzwi swych salonów, przyjmowała mnóstwo osób ze sfer najwyższych, starannie dobierając młodzież, reklamowaną jako świetne partie. Lucię koniecznie chciała wydać za mąż. Główny nacisk kładła w tych wyborach na tytuły i majątki. Lucia jednak nie miała powodzenia: w towarzystwie nie była sympatyczną. Zawsze poważna, zimna, ignorowała młodzież, jakby umyślnie stopniując swą obojętność względem bogatszych i bardziej utytułowanych. Największe zabiegi wytrawnych zdobywców salonowych nie zdołały nigdy wywołać w jej oczach zalotnego błysku. Patrzyła śmiało w oczy męskie - często surowo, nawet ironicznie, nigdy kokieteryjnie. A że była istotnie ładna, naturalnie wdzięczna i posągowo poważna w tonie, więc złota młodzież przezwała ją westalką, i nazwa ta ustaliła się w salonach. Westalka uśmiechała się tylko wtedy

promiennie, gdy jej nikt nie widział i gdy mogła swobodnie bujać z marzeniami, zapatrzona w fotografię ordynata. Często klęcząc przy kolanach dziadka, gdy mówił o Waldym, uśmiech ten zjawiał się na jej różowych ustach, czyniąc ją piękną.

Ale o tym, kto jest bożyszczem westalki, wiedziało zaledwie kilka osób.

Przed wielkim rautem w listopadzie Lucia, już ubrana, stojąc w swoim pokoju, odwróciła się gwałtownie do drzwi. - Ktoś energicznie zastukał.

– Proszę.

Wpadł zdyszany Bodzio. Porwał Lucię za ręce i zawołał:

– Winszuję! Winszuję! Księżnej pani!

– Czy kuzyn zwariował?

Bohdan przysunął usta do jej ucha.

– Ostrzegam kuzynkę: dziś, zaraz, ma się jej oświadczyć książę Zygfryd, ten wdowiec, milioner.

Lucia szarpnęła się.

– Skąd... ta wiadomość...

– Podsłuchałem. Oświadczył się baronowej, przyjęty z rozczuleniem. Ordynat...

– Co... ordynat?...

– Był także obecny.

Lucia nabrała powietrza w ściśnięte piersi.

– I co?...

– No, i może także rozczulony? Już tego nie wiem; słyszałem tylko rzewny głos ciotki. Spisek, kuzyneczko.

Policzki Luci pałały. Szybko podała mu rękę.

– Dziękuję, kuzynie. Wiem, co zrobię.

Szyderczy uśmiech mignął na jej ustach. Bohdan inaczej go zrozumiał. Rzucił się z zacietrzewioną miną.

– Jak to? Przyjmiesz księcia, kochając ordynata?!

Lucia spojrzała na niego groźnie.

– Dość już! Proszę iść, kuzynie.

W drugim pokoju rozległy się prędkie kroki. Bodzio skoczył przestraszony.

– Ojej! Pewno ciotka! Kuzynko, ratuj, żeby mnie tu nie widziała: odgadnie!

Rozejrzał się dookoła, i nie widząc innych drzwi, przykucnął za chińskim parawanem.

Wszedł lokaj.

– Jaśnie pani baronowa prosi do sali.

– Te voila! - szepnął Bodzio dość głośno.

Lucia milczała.

– Co mam odpowiedzieć pani baronowej? - spytał lokaj.

– Że spełniłeś polecenie. Idź.

Gdy drzwi się zamknęły i ucichły kroki, Bodzio wyjrzał zza parawanu.

– Co zamierzasz, kuzynko?...

– Jestem niezdrowa; proszę wyjść.

– Aha!

Bohdan zaśmiał się subtelnie i ulotnił się.

Lucia podeszła do lustra. Uśmieszek ironiczny powrócił na wargi. Była blada i podniecona. Wolnym ruchem zaczęła zdejmować suknię, rozplatać włosy. Ubrała się w biały negliż i ułożyła wygodnie na aksamitnym szezlongu. Do zdumionej panny służącej, która weszła, baronówna rzekła krótko:

– Jestem chora. Nie przyjmuję nikogo.

W kwadrans potem zaszumiało jedwabiami i wbiegła baronowa.

– Niesłychane zdziwienie odbiło się na jej twarzy.

– Co to?! Jakaś... nowa szopka?

Lucia podłożyła ręce pod głowę i patrzyła na matkę spokojnie.

– Luciu: co to znaczy?...

– Jestem nie ubrana, widzi mama.

– Ale raut... Już się zjeżdżają.

– Nie wyjdę.

– Co?!

– Nie wyjdę dziś.

Baronowa wybuchnęła:

– Histeryzujesz! Wieczne skandale! Co ty wyrabiasz?...

Tu est folle!

Potok słów, pełny oburzenia i złości, przeplatanych francuszczyzną, wyrwał się z ust pani Idalii. Ale Lucia była jakby głucha. Patrzyła w okno z zimną krwią, tylko wargi ust drżały uśmiechem nienaturalnym.

Baronowa po wybuchu gniewu zaczęła prosić, zaklinać. Nic nie pomogło. Lucia odpowiadała na wszystko bezwzględnie.

– Dziś nie wyjdę.

– Pięknie się zachowujesz!... Oświadczył mi się o ciebie książę Zygfryd. Posłałam cię prosić; wie, żeś zdrowa. On czeka w sali, a ty...

Wzruszyła ramionami wściekle.

– Histeryczka - syknęła zjadliwie.

Lucia podniosła się.

– Od tego trzeba było zacząć, mamo - rzekła spokojnie. Wiedziałam o waszym spisku. Moją odpowiedź księciu daję swoim postępowaniem. Nie chcę go widzieć i znać.

Baronowa zatrzęsła się.

– Malheureuse fille! Zastanów się, co robisz. Obrazisz go raz na zawsze! Taka partia niebywała, taki gentelman!

– Nie chcę go widzieć i znać - powtórzyła westalka.

– Dlaczego? Jaki powód?

Lucia nic nie odrzekła.

Baronowa zaśmiała się rubasznie.

– A! Pewno stara śpiewka „nie kocham go”.

Milczenie.

Pani Idalia wybiegła z pokoju.

Zanim doszła do sali, uspokoiła swój głos i wyraz twarzy. Do oczekującego w małym buduarku księcia rzekła z uprzejmym uśmiechem, prawie zachwycającym.

– Cierpliwości, cher prince. Moja córka jest trochę... niezdrowa... Zupełnie niespodziewanie... migrena... un peu de nerves. Vous comprenez?...

Książę elegancko pochylony naprzód, trzymając duży palec lewej ręki w kieszonce kamizelki, błysnął binoklami i prawą dłonią musnął sporą łysinę świecocą z pomiędzy utrefionych włosów.

– Spodziewam się jednak...

zaczął nosowym głosem.

Lecz baronowa żywo mu przerwała:

– O! Naturalnie! Jednak dziś nawet nie mówiłam córce... de dette chance - dodała ciszej i z umizgiem. Trzeba ją oswoić.

– Więc baronówna nie wyjdzie do nas...

Pani Idalia zrobiła rozpłakaną minę.

– Może potem da się namówić. Teraz... elle est indis poee.

– Hm! mruknął książę powątpiewająco.

Bohdan słyszał rozmowę i śmiał się.

# XXVII.

Pierwszy, niepokalanie biały śnieg spadł obficie na ulice Warszawy. Miasto wyglądało odświętnie i zacisznie. Białe aksamity powlokły dachy, drapowały się pod oknami, zwisały z nagich gałęzi, drzew, słały swe zbrudzone już kobierce na brukach ulic. Mróz był tęgi i rozsiał w powietrzu mnóstwo skrzących pyłów, niby iskierek po roztrzaskanym brylancie. W świetle lamp elektrycznych szlkiste tumany mrozu skupiały się gęsto, tworząc powietrzną kopalnię drogocennych igieł.

Rozdzwoniły się janczary sanek na ulicach. Zgrabne płozy migały tu i tam w szybkim, śliskim biegu. Dumnie jakoś kłusowały konie, pokryte cennymi siatkami, ustrojnone w pióra i kity.

Wieczorem ruch jakby się wzmagał. Środkiem ulic gnały sanki prywatne i dorożkarskie, wioząc zakapturzone panie do teatru. Sunęły gęsto karety, poprzedzane klasycznym tupotem spasionych koni; wlokły się drobnym truchtem pospolite dryndy z przygarbioną postacią dryndziarza na koźle. Piesza publika spacerowała wolniej, gwarząc wesoło i przypatrując się jeżdżącym saniami. Długie słupy pary przeplatały ciemne postacie osób. Rzęsiste światła lały się na chodniki z wystaw sklepowych i wielkich lampionów, oświetlających pewne cukiernie lub większe sklepy. Tu i tam mrugały niezliczoną ilością źrenic lampki różnobarwne teatrów złudzeń.

W Alejach Ujazdowskich, wśród publiczności nieco rzadszej, szedł Waldemar Michorowski. Przed jego oczami jaskrawym zygzakiem rysowały się słowa:

„Lucia mnie kocha”.

Nie mógł odpędzić z myśli tej pewności, która już występowała zbyt wyraźnie.

Po odmowie, danej księciu Zygfrydowi, Lucia strzegła troskliwie swych uczuć. Wieść głucha rozeszła się prędko, pochłaniana i komentowana.

Oczekiwano następstw. Ordynat widział zwrócone na siebie oczy tłumu salonowego, ale co gorsze, czuł wśród nich nieśmiałe, błagające źrenice Luci. Prześladowały go one, wpijały mu się uparcie do duszy, oplatając spojrzeniem niby pajęczą nitką, niby jakimś mrokiem, co zwolna, ale silnie opanowuje zastygły po zorzach dzień. Czuł, że nie ogarniają go miłosne pęta, że brak im słodyczy, ale że jednak są to - pęta, niewolnicze, jakby obowiązujące, które spadły na niego prosto z życia, bez poprzedniej wibracji duszy. Wsączało się to despotycznie w istotę jego ducha, bez cichego fletu grającego cudne melodie zachwytów i szalonych upojeń. Zamarłe pieśni przebrzmiałych nokturnów nie ocknęły się, ani jeden dźwięk nie drgnął rzewną tęsknotą na omdlałych tonach harf, kiedyś dzwoniących epopeją. Struny, rozkołysane dawniej w hejnał rozkoszy, nie pordzewiały, lecz zwinęły się szczelnie w zazdrosny krąg, wskroś którego przepływał chłód pustkowia.

Jakieś nowe, niesłychane misterium, upojne, na uroczych pasmach światłości spływające do duszy, mogłoby rozbudzić z odrętwienia te struny czarodziejskie, śpiące w bolesnym letargu. Jeśli nie były zabite huraganem, co zagłuszyło ich śpiew? Jeśli nie uległy wiekuistemu snu?!

Dotąd trwały w swym zaniku.

Pajęcze pęta świadomości uczuć Luci nie były twórczą pobudką: Niepokoiły - nie budząc. Zamknięta w duszy ordynata świętość nie skalała swej boskości. Dogmat, zawarty w niej, palił się tym samym ogniem ofiarnym na stosie świętych kwiatów przeszłości. I pachniały lilie przeżywanych uczuć. I dym wonnych kadzideł przyśnionych zjawisk nie rozpłynął się w zapomnieniu.

Ekstaza przeszła w nieziemską wizję i pałała jasnością. Żadna iskra nie struchlała, nie było popiołów. W świątyni jego miłości szemrał ten sam szept modlitewny drogich ust kapłanki, i w tajemniczych półcieniach jaśniała zawsze jej postać.

Nawała nowych wrażeń nie potrafiła zwiać tego jedynego obrazu, którego czas wżłabiał się tylko głębiej w skrwawione serce.

Waldemar nie mógł i nie starał się odczuć egzaltowanej miłości Luci. Samo pragnienie uważałby za świętokradztwo.

Ale czuł do Luci głęboką litość, współczuł jej jak zranionej siostrze. Chciał ją ratować, lecz widział, że wszelkie usiłowania na nic. Męczyło go to

niewymownie. Odgadywał skryte zamiary dziadka i oburzały go. Gniótł w sobie niechęć, która często z dziką pasją występowała przeciwko Luci. Bunt obrażonej duszy, gniew i szyderstwo stawało się coraz jawniejsze. Szaloną wolą opanowywał zgrzyt wewnętrzny, ale przeczuwał, że pomimo wysiłków może brutalnie wybuchnąć.

Podniecając się przykrą duchową rozterką, szedł ociężale przez ciche, zaśnieżone Aleje Ujazdowskie, schowany prawie w cienie drzew. Gdzieś, w pobliżu Łazienek, usiadł zamyślony na ławce. Wspomnienie nagle uderzyło go złotym i bolesnym biczem.

Zadrżał. W przymkniętych oczach rozsunął się śnieżny, lecz ciepły wieczór marcowy. Blask latarni migotał wśród drzew. Jest jakoś dziwnie słodko i muzykalnie. Drobne płatki śniegu sypią sennie i topnieją na futrzanym kołpaczku siedzącej na wprost niego kobiety. Jadą razem środkiem Alei w odkrytym landzie. Obok niej staruszka, matrona, patrzy na ulicę, a oni oboje utopili wzrok w swych rozmiłowanych źrenicach i piją, piją bezdenny czar, piją zachwyt własnych serc, piją, aż do zawrotu głowy. Powóz niesie, lekko, jakby na puchu łabędzim, słychać jedynie rytmiczne stukanie koni na drewnianym bruku, lecz i to ma swoją wyłączną melodię. Jadą, wydaje się, w nieskończoność. On w swoich dłoniach ma jej ręce, które sam obnażył z rękawiczek i tuli pieszczotliwie. Postać jej widzi w blaskach lamp, taką ukochaną, taką oddaną mu, jedyną.

Czasami jakieś słowo, ciche a potężne w swym znaczeniu, przefrunie z jego ust na jej wargi, one zaś uśmiechają się, jak stokrotki pod dotknięciem słońca, i kwitną, pachną - dla niego!

Jadą tak długo w tej ciszy anielskiej, w tej niezgłębionej rozmowie serc, w tym zapatrzeniu się w sobie. A śnieg sypie jakby okruchy gwiazd i topnieje na tej postaci. Więc ona wchłania w siebie gwiazdy? Z tylu drobniutkich promieni tworzy się jedna gwiazda, przejasna, złotolita gwieździca: jest nią - ona sama. I promieniuje, sieje oślepiające strumienie blasków. Na niego spada najdrogocenniejszy, niewysłowiony, piękny - i odurza go.

O, wspomnienie niebiańskie! O śnie, bez powrotu!

Ordynat podniósł powieki. Śnieg sypie, sypie, jak w marzeniu, co uleciało w mroźne przestworza. Błyszczą latarnie. Jęczą dzwonki rozpędzonych sanek. Wszystko tak, jak wtedy, tylko smutek czarny łazi tu bezkarnie, depcze po duszy, naigrawa się z marzeń. Podły twór! Nie zamknie szyderczej paszczy, nie odwróci urągliwych oczu. Żyje i mnoży swe plugawe potomstwo i karmi je ludzką żałobą. Wszędzie go tu pełno. Ławy swe rozciąga od brzegu do brzegu i zieje z pyska nędzą na tych, co tu... chcą wspominać.

Podły twór!

Ordynat drgnął. Wstał i zgarbiony, jakby cały ogrom smutku dźwigał na swych barkach, poszedł wolno w stronę miasta. Rękę schował do kieszeni futra i zacisnął ze strasznym bólem. I oni chcą mnie?!... warknęły jego usta równie wściekle, jak żałośnie.

Pogarda drgnęła mu w źrenicach.

# XXVIII.

Na Placu Trzech Krzyży ordynat nagle stanął. W jadących obok strojnych sankach ujrzał Bohdana z bardzo piękną damą. Była to znana primabalerina.

Bodzio w czapeczce fokowej na zgrabnej głowie, pochylony do swej towarzyszki, mówił coś ogniście gestykulując. Oczy mu błyszczały namiętnym płomieniem. Tak był zapatrzony w swoje cudo baletowe, że nie spostrzegł wcale ordynata.

Sanki z chrzęstem, z brzękiem sutych janczarów, z parskaniem pysznych koni, przemknęły pędem, wlokąc po bokach końce bogatej siatki, która obficie spadała z koni, aż na śnieg. Zadzwoniły o bruk podkowy, trysnęły iskry, zaszumiały pióropusze i zaprzęg pomknął szumnie ku Nowemu Światu.

– Używa stolicy - uśmiechnął się ordynat.

Własna młodość stanęła mu w myślach, tak samo rozpalona i bujna.

– Dokąd ją wiezie? - zaniepokoił się.

Skinął na sanki i kazał ostro jechać.

Wychylony lekko zza pleców dorożkarza, widział w oddali jadącą parę. Świetny kapelusz damy i czapka Bodzia pochylały się ku sobie. Nareszcie stanęli przed domem, gdzie mieścił się znany kabaret. Ordynat kazał zwolnić. Mijał Bodzia, sunąc po świetlistym szlaku lamp elektrycznych.

Bodzio z wdziękiem pomógł wysiąść swej damie i razem weszli do środka gmachu, powitani głębokim ukłonem Szwajcara. Sanki, nie opłacone, w oczekiwaniu stanęły opodal.

Waldemar usłyszał jeszcze raźny głos stangreta remizowego do stojących dorożkarzy.

– Będę czekał do rana, nim się oni nacieszą; dadzą się człowiekowi wyspać.

Zaczął się pakować do środka sań, okrywając nogi futrem.

Ordynat pojechał dalej.

Na estradzie, w rzęsiście oświetlonej sali, śpiewała drastyczne kuplety młoda Niemeczka. Obcisła suknia, naszyta świecidełkami, okrywała ją prawie od pasa do kolan, przy których burzyły się falbany gazowe. Ruchy i wyraz twarzy miała cyniczne.

Bohdan ze swą towarzyszką usiedli przy stoliku blisko estrady. Przysunęło się do nich dwóch znajomych młodzieńców, sławnych turystów zakulisowych. Bohdan zaprosił ich na kolację. Rozpoczęła się zabawa.

Z bocznej loży, ukryty za firanką, Waldemar Michorowski z daleka przyglądał się kuzynowi. Prawie tuż obok loży, na sali, przy stoliku, siedziało dwóch mężczyzn, rozmawiając z sobą dość głośno.

Ordynat widział rozbawioną twarz Bodzia, patrzył na zalotne uśmieszki primabaleriny, ale nie słyszał słów. Od czasu do czasu jakiś dowcip

wywoływał tam burzę śmiechu, piękna dama ogniściej błysnęła oczami lub też zrobiła skromną, niewinną minkę, a Bodzio zuchwale zaglądał jej w twarz.

Na estradę weszło pięć dziewcząt, rozpoczął się śpiew i tańce.

– Patrz pan! Wystawa kobieciny!

– Co za „kobieciny”?

– No: ciała. Ekspertów nie brakuje. Niech pan spojrzy na Michorowskiego.

Ordynat drgnął.

Panowie patrzyli na Bohdana, który pożerał oczami szansonistki.

– Uważa pan, jaki łakomy? Jedną sobie zaangażował, i to dobry kąsek, a na te się oblizuje. Jak tak długo potrwa na tych ziółeczkach, to mu skrzydełka opadną.

– Nic mu, panie, nie będzie! Rasa wypróbowana! A ordynat głębowicki mało używał? Jednak zawsze zuch.

– No, niezbyt. Jakoś się nie żeni.

– To z innych powodów. Zresztą podobno żeni się z jakąś kuzynką. Ten młodzik gotów mu pół fortuny przeputać.

Waldemar za swoją firanką był pod przykrym uczuciem obawy, by go nie dostrzeżono. Cofnął się głębiej.

Na estradzie zmieniały się śpiewy na tańce, na monologii swobodnych błazeństw. Jakiś Murzyn wykrzykiwał głosem koguta, przedstawiając sztuki magiczne.

Sala wypełniła się chmurą dymu. Panował gwar ożywionych rozmów, strzelały śmiechy, dowcipy i szampan. Śpiewaczki i tancerki weszły na salę, zmieszały się z publiką. Jakiś chłopak obnosił w wielkim słoju cięte kwiaty i sprytnie trafiał tam, gdzie najwięcej płacono. Bodzio ogromny pęk róż ładnym ruchem złożył na talerzu swej towarzyszki. Tu i tam odzywały się podniecone alkoholem gardłowe głosy męskie. Zabawa toczyła się.

Waldemar myślał:

– To jednak konieczne. W naturze ludzkiej znajduje się zawsze gruczołek, zawierający zakaźny element rozpusty. Tylko u jednych jest on odległy od ostrego zęba pokusy i trwa w swoim zamknięciu. Nie trącony, nie pęka i nie zatruwa. U innych jest w bardzo mocnym pęcherzyku, nasyconym przez etykę lub flegmatyczność krwi. Ale jest - rozdarty mniejszą czy większą siłą, wypływa i drażni. Trzeba posiadać olbrzymią twórczą moc, aby bezkarnie wypluć go z siebie, gdy już rozciąga nad nim władanie.

Więc zabawa to trucizna? Czy też tylko pulsowanie duchowej istoty ludzkiej, podjudzonej przez żądzę ciała. Woda nagazowana burzy się, lecz z chwilą, gdy ostatni balonik gazu uleci, pozostaje zimną i mdłą.

Piana jest igraszką fal. Im większy temperament wewnętrzny kipi i żyje, tym piana wyżej bucha i staje się zaborczą. I ogarnia skały, niedostępne brzegi dla najgłębszych, lecz poważnych nurtów.

To temperament, nie zabawa.

To raczej twórczość.

Wyrywa się z głębin i szalenie unosi w górę atomy, zrodzone duchową potęgą wewnętrzną, by objąć nowe horyzonty lub zatracić swą lotność na nędznych rozpryskach, po gołoledzi niebezpiecznych raf.

To nie zabawa.

Większość ludzi nie zdoła oprzeć się szeptom chochlika, który każdemu trafi w zanadrze, a nic łatwiejszego jak popełnić fałszywy krok pod kierunkiem tego malca. Śmiech jego nęci, widok oślepia, i - powrót już trudny.

Więc się brnie.

Dla umysłu zabawa jest niemal konieczna, uspokaja niby kroplisty szmer fontanny po monotonnym turkocie pracy. I orzeźwia bystrym strumieniem duszy zapalony ił powszedniości.

Brać zabawę i rozkosz życia, pić ją pełnym haustem, tylko trzeba umieć trzymać, by się jej czara nie chybnęła. Rozleje się albo pokaże bezecne dno. Trzeba umieć oddzielić od źródeł zabawy żyły rozpustonośne, bo one toczą zgniłą materię. Najpierw nacierają na ciało, potem wraz z nim spodlają ducha.

Waldemar ocknął się. Przyciszony głos i słowa przy stoliku zwróciły jego uwagę.

– Oho! Krew Michorowskich! Ciska się kogucik. Patrz pan, patrz pan - awantura!

– Jakaś sprzeczka. Magnaciątko rzuca się - szepnął drugi głos.

Przy stoliku z primabaleriną wrzało. Bohdan i jeden z obcych młodzieńców zamieniali ze sobą jakieś popędliwe słowa. Twarz Bodzia pałała ogniem gniewu i ironii. Strojna dama miała minę zmieszaną i chęć do ucieczki. Kilku lokajów podsunęło się bliżej stolika. Z innych miejsc patrzono ciekawie, ale gwar nie ustawał.

Waldemar dojrzał, iż Bodzio rzucił przeciwnikowi kartę. Baletnica zerwała się z miejsca. On zatrzymał ją energicznie i wymienił bardzo uprzejmy ukłon z młodzieńcami, którzy opuścili stolik. Zgromił wzrokiem gapiących się kelnerów, tak że usunęli się prędko przestraszeni, wstał z miną udzielnego księcia i z wielką dystynkcją, puszczając przodem swą damę, wyszedł z sali. Waldemar dostrzegł, że zniknęli oboje w drzwiach jednego z dalszych gabinetów.

– Nie darował swego! - mruknął głos obok z loży.

– Ponieśli tam szampana. Orgia przed pojedynkiem. Zuch! Pewno o nią się poczubili.

– Jak jelenie. Michorowski zaimponował swą kartą, i zwycięża.

– Awantura, panie, arabsko-kabaretowa. Ale ten młodzik i lufy się nie zlęknie.

Waldemar słyszał te słowa. Przeniknął go niemiły dreszcz.

## XXIX.

Przeciwnicy skierowali na siebie gardła pistoletów. Bohdan przed komendą rzekł do swego sekundanta, Stalskiego, przyjaciela z Nicei:

– Ja wolę w powietrze, a on, jak chce.

Raz, dwa...

Huknęły strzały.

Bodzio skrzywił się, pistolet wypadł mu z dłoni. Lewą ręką schwycił się za mięśnie prawej.

Podbiegli do niego.

Przez rękaw sączyła się krew. Bodzio pobrudził nią palce. Patrząc na czerwone plamy, rzekł z pozornym spokojem, chociaż zęby mu szczękały:

– No, to się pierwszemu Michorowskiemu zdarzył taki cacus. Ojej! Moi przodkowie w grobie się przewrócą.

Lekarz obejrzał ranę. Ciało prawej ręki było przestrzelone na wylot, ale kość nie ruszona.

Bodzio wyciągnął drżącą z bólu dłoń do swego przeciwnika.

– Wybaczymy sobie, prawda? Swoją drogą - może to nie wypada, ale powiem: oto żałuję, że panu nie odtrąciłem małego paluszka u nogi. Co?! To dopiero byłby strzał! Na drugi raz się poprawię.

W karecie Bohdan osłabł.

– Nie tyle z bólu, ile pewno z wrażenia - uspokajająco rzekł lekarz do Waldemara.

– Pierwszy pojedynek - to emocja.

Bohdan coś szeptał zbielałymi wargami. Ordynat podtrzymał go.

– Co mówisz, Bodziu? - spytał troskliwie.

– Ee! Nic. Ale to nie koniec. Wyzwę kiedyś jakiegoś tam... i... kropnę aż miło. Drugi raz taki głupi nie będę.

Syknął z lekka i szepnął jeszcze.

– Ojej! Żeby choć było o co?...

Przez kilka dni ordynat nie mógł się dowiedzieć przyczyny pojedynku.

Bohdan zaciął się w milczeniu.

Nareszcie sam zaczepił Waldemara.

– Wuju, czy kobieta warta jest, żeby za nią umrzeć?...

– Nie wiem, o jakiej kategorii kobiet mówisz?

– Kategorie! Kategorie! Mówię kobieta i kwita. Każda ma nos do wąchania, oczy do kokietowania, usta do całowania i cnotę do sprzedania.

– Bluźnisz i sądzisz stronnie, podług własnych ideałów z półświatka. To nie racja - rzekł surowo ordynat.

Bohdan umilkł, chodził zdenerwowany po pokoju. Nagle stanął obok Waldemara w wyzywającej pozie.

– A ja mówię wujowi, że świat składa się przeważnie z takich właśnie fatałachów babskich. Zawiercą człowiekowi w nozdrzach, aż się zakicha, ale każdy lezie na ten miód. Kobiety porządne, wielkiej wartości, nie wywołują pojedynków, zabójstw, bo są może jak święte, którym się całuje szaty. Ale

zanim się do takiej człowiek dochrapie, to go mogą sto razy diabli wziąć przez łachman.

– Skąd ty to wiesz? - zdziwił się ordynat.

– Wiem.

– Nabyłeś już praktyki; nie będziesz narażał życia dla głupstwa.

– Ojej, czy raz jeszcze!... Albo to wuj mało napłatał łbów dla gamratek?... Różnych gatunków one są: takie, siakie i owakie. I w rozmaite skóry odziewają się. Często trudno poznać, co kryje nawet gronostaj.

Bohdan ciągle ironizował, rozumował, ale nie mówił nic więcej. Waldemar był niespokojny. Tym bardziej, że Bodzio zmizerniał i chodził osowiały. Ręka mu się zgoiła, lecz dokuczało mu widocznie jakieś cierpienie moralne. Ordynat odgadywał, lecz milczał.

Sam był zresztą pochłonięty ciągłą rozterką z własną duszą, co spowodowała Lucia.

Przytłumiona wieść o ich małżeństwie rozpłynęła się po salonach niepowstrzymanie. Spoglądano na nich, jak na narzeczonych.

Lucia promieniała.

Unikał jej starannie. Widywali się tylko na większych zebraniach. Ten dziwny stosunek nie uszedł wzroku pani Idalii. Nie mówiła nic, udawała zręcznie, że nie widzi nic i nie słyszy pogłosek. Może i ona pragnęła tego, lecz... w możliwość nie wierzyła.

A tymczasem urządzała coraz to nowe zabawy, wciągając w nie Lucię i ordynata. I udawało się jej.

Lucia zmieniła swój system. Dawniej poważna, westalka nawet wobec Waldemara, teraz wpadała niekiedy w szał zabawy. Czarowała mężczyzn bezwiednie jeszcze samym urokiem nagłej zmiany. Wszystko, co w niej było zalotnością i chęcią podobania się, skierowała na ordynata. Z zimnej, sztywnej, stała się kipiąca warem wewnętrznym. Oczy jej paliły żywym płomieniem, usta rozchylały się, żądne pocałunków. Cała postać gięła się do Waldemara z żywiołową mocą miłości.

– Jestem twoja! - mówił mu każdy jej ruch.

I pewien wyłom się w nim zaczynał.

Wrażenie tak wiotkie, jak cień śmigającej jaskółki, ale pachnące słodką wonią, niby powiew rozkwitłej gałęzi akacji, wsiąkało mu w nerwy - i kropla po kropli - padało na obudzony prąd krwi. Każda kropla czyniła ją czerwieńszą, bardziej gorącą. Coś się poczynało w nim, ale słabo, nieuchwytnie, jak obudzone echo górskie, dawno zatracone i śpiące w upłazach. Na wierchach już się odzywa, ale turnie śpią jeszcze. Ogarniało go zdziwienie i przestrach. Jednak nie szukał ratunku.

W tym czasie Bohdan znikł z Warszawy. Po kilku dniach niepewności ordynat otrzymał list z Głębowicz.

List brzmiał:

„Uciekłem tu, bo Warszawa mnie chłonie. Wierzyłem w swoją baletniczkę,

myśląc, że unikat i ofiara zakulisowa. Za brutalny żart, skierowany do niej, wyzwałem tamtego, ale nawet śmierć naśmiała się ze mnie i pokazała figę, za co ma moją dozgonną wdzięczność. Owa uciśniona niewinność jest już w dziesiątych rękach, jeśli w równie naiwnych jak moje, niech im idzie na zdrowie. Niech wujek spłaci moje nowe długi - już ostatnie, mam nadzieję (adresy podaję poniżej), i wraca do Głębowicz. Tu bezpieczniej. Haneczka moja, szampanik! I mam pewność, że tylko moja.

Bohdan”

Ordynatowi z całego listu najwięcej przemówiło do przekonania, że tam - bezpieczniej. Opłacił długi Bodzia, z zamiarem natarcia mu uszu, wymówił się koniecznością i wyjechał. Lucia czuła, że ten wyjazd to trochę ucieczka. W duszy swej słyszała hejnał nadziei.

# XXX.

W ostatnich dniach karnawału ordynat i Bohdan byli u Sartaskich w Pozierzu. Wieczór zapowiadał się dla Bodzia wesoło. Panien było mnóstwo, a oprócz młodych Sartaskich, jeszcze nie dorosłych, żadnego obcego mężczyzny, prócz Bohdana. On i Waldemar mieli powodzenie. Ale Bodzio kręcił się niespokojnie. Coś knuł.

Nareszcie znikł z salonu. Nikt nie wiedział, gdzie się podział.

Panny zgorszyły się niesłychanie, ordynat był zły, tylko pan Sartaski uspokajał wszystkich.

– Ho! ho! nie obawiajcie się państwo, on tu jeszcze wróci - mówił przekonywująco. Poznałem już tego młodzieńca: nie robi sobie nic z nikogo i z każdej biedy wypłynie.

Ale panny nie dały się przekonać.

Ucieczka Bodzia zrobiła złe wrażenie.

– Magnat!... Nudzi się wśród nas... Niedelikatny... Wielki pan - chodziły szepty.

– To już nie ordynat. Ten widać gardzi szlachtą - mówili młodzi Sartascy.

Bohdan stracił popularność.

Nawet nie domyślając się tego, Bodzio pędził w małych saneczkach, chwyconych z Pozierza, przez zaśnieżony bór do Głębowicz. Radość miał w sobie i figlarny dreszcz w młodej krwi.

Dwa konie głębowickie, zaprzężone w szpic, gnały prawie cwałem. Bodzio stał w sankach sam powożąc, i pokrzykiwał głośno na cały bór. Od pędu sań i okrzyków, śnieg zdawał się spadać z przydrożnych jodeł. Blady księżyc wyjrzał zza drzew, omaścił matową powłoką białą drogę, sypnął skąpe, wątłe iskierki na płaty śnieżne, niby lustrem pogładził lśniące ciała koni. Rozweselone światłem spasione araby rwały z kopyta chrapiąc, i dziarskim pędem unosiły drobne saneczki. Bohdan aż śmiał się z radości.

Odczuł w sobie moc przeogromną, swobodę. Był oto teraz jakby panem i władcą, dziedzicem nieprzejrzanych, białych włości, stężałych rozłogów. Sam w swych saneczkach wśród pustyni mroźnej.

Mróz przemożny, biel przemożna.

Powietrze jarzy się białym ogniem. Chłód bijący z tej huty styczniowej, zimnej aż do sparzenia, przenika do kości, ssie szpik z ich wnętrza. I orzeźwia, i młodość wlewa do duszy, porywa instynktownym rzutem, do czynu gna.

Mróz nabiera rozpędu, tęgość swą wzmacnia. Rozwiał mleczną brodę, włosy puścił na wiatr, i sieje hojną dłonią zielone iskry, mroźne kamyczki czerpane z zanadrza lodowego.

Sieje piękno i potęgę.

Sieje chłód i obojętność.

Sieje nędzę i głód.

Śmierć dla skostniałych ciał, rozkosz i życie dla ciepłych, otulonych w futra. Z oczu sypie szmaragdy, z dłoni opale z zielonymi błyskami.

Pod stopami w srebrnych sandałach rosną mu martwe, lecz błyszczące gwiazdy, z płaszcza kruszy się cienkie jak pajęczyna szkliwo igiełek mroźnych, które przebija się aż do serca.

Wpadli na gładką równinę pola. Niby morze śnieżne otworzyło się przed nimi szeroko. Na stokach odległego horyzontu tumanił się mglisty pył. Stulał razem ziemię z niebem, zacierał ich kontury, tak że nie było końca tej bieli cudownej, co niosła sama w dal siłą ciągnienia. Góry, fale śniegu, mieniły się, jakby posypane żużlami z kryształu, wyraźne zręby zasp zamarzłych były ostre, niby piły. Świeżo nadmuchane przez wiatr gromady, miały matowość kłębów wełnianych wśród atłasów i srebrnej lamy. Wielka, uroczysta cisza wędrowała, zda się, z ziemi do nieba i znowu spływając z miesięcznej tarczy, łagodnie zasypiała na majestatycznym łonie zimy.

Janczary arabów rozniosły swój podzwon głośny, ale niknący prędko, bo wsiąkał w tę białą pustynię, nieskończoną jak Sahara. Jednak dźwięczał i straszył. Tu i tam przemykały zające z nastawionymi uszami, przypominając z daleka wydłużoną strzałę.

Bohdan wołał na zmykające szaraki i trzaskał z bata. Gdy spostrzegł rudą plamę lisa, krzyknął głośniej i zawrócił konie za nim. Ale od razu wpadł w zaspę. Tęgie araby zaczęły kopać dzielnie, biorąc kopytami śnieg pod siebie. Szorowały brzuchem śnieżne zwały, parły zawzięcie naprzód, dymiąc z nozdrzy jak z kominów. Czarne ich grzbiety tonęły w zimnych pianach i rozpylały je na chmurę białego pierza. Zawieja roztaszczonych z impetem zasp, otaczała podniesione łby końskie i rozwarte na wiatr chrapy. Wierzchnią, lśniącą skorupę śniegu, piersi rumaków gniotły na miał, darły się niestrudzenie wskroś stężałych mas. Niosły się górnie i szumnie.

Zziajane, buchające gęstą parą konie Bohdan wywiódł na ubitą drogę i podwoił pęd. Sam na równi z końmi zmęczony był walką ze śniegiem i upojony. Powietrze uciekające gwałtownie świstało mu w uszach jak grad

śmigających kul; rozpaloną twarz owiewał mu chłodny pocałunek nocy.

Jak orkan szału wpadł na dziedziniec czworoboku zamkowego w Głębowiczach. Powstał tam zaraz ruch niezwykły.

Po paru godzinach męczącego oczekiwania w Pozierzu, kiedy już nawet pan Sartaski stracił nadzieję powrotu Bodzia, Waldemar zaś był mocno zirytowany, nagle uciekinier się zjawił. Wszedł do salonu zgrzany, ale raźny, podszedł do ordynata i rzekł z miną nieco skruszoną:

– Wuju, możesz mnie powiesić w Głębowiczach. Teraz wybacz.

– Cóż tam nowego zwojowałeś?

– No, nie zbrodnię, ale zawsze, ojej! Przestępstwo! Przywiozłem tu orkiestrę zamkową i wszystkich praktykantów głębowickich. Jak karnawał, to się bawmy! - zawołał z zapałem.

Widząc zdziwioną minę ordynata, rzekł przymilnie:

– Wuju, ja im tam skłamałem, że to z twego polecenia robię taki szum.

– Nie kompromituj mnie! To czyn pro publico bono.

Waldemar zaśmiał się, podnosząc wysoko brwi. Widział zachwycone twarze panien, rozbawioną minę Sartaskiego i odczuł nastrój oczekiwania.

Rzekł wesoło:

– Skoro już wariujesz, miejże odwagę do końca. Gdzież są nasi panowie? Ale nie pamiętasz nawet, czy się państwo Sartascy zgadzają.

Bodzio ze zgrozą spojrzał dokoła.

– No! Czyżby?! - wykrzyknął.

Lecz otrzymał bardzo skwapliwą i przychylną odpowiedź. Bal się rozpoczął. Bodzio odzyskał utraconą chwilowo opinię.

Sam ruszył do mazura w pierwszą parę z panną Sartaską. Tańczył zamaszyście. Przesadzał trochę w udawaniu Bartka, był nieco rubaszny. Ale jego młoda twarz ognista i oczy, patrzące z wdziękiem kokieteryjnym, łagodziły zbytnią żywość ruchów. Dopiero w walcu zmienił się, płynął z tancerką wytwornie, z pewnym rozmarzeniem.

Ordynat kilka razy doznał przykrego uczucia. Czasem drobnostka była powodem. Jakiś znajomy ton w orkiestrze, zapamiętany w przeszłości, jakiś szum sukni kobiecej w zawrocie tańca, jakaś figura mazurowa budziła nagle dawne echa, a te, uderzając brutalnie w duszę - bolały.

Lecz Waldemar panował nad sobą. Wspomnień nie wypuszczał z ukrycia; bał się ich i miejsce było nieodpowiednie.

Jednak, gdy się coś trzyma w napiętej obawie, jak ptaka, by nie wyfrunął, nie można być swobodnym. Niepokój drży w sercu, oddycha się nim i widzi się go niemal oczyma. Waldemar czuł lęk podwójny: nieokazania obecnym swego wrażenia, bo mogłoby być zrozumianym inaczej, i zwalczania w sobie uczuć żałosnych, zbyt ostro trąconych.

A zabawa kipiała życiem.

Bohdan i praktykanci głębowiccy zmieniali tancerki i unosili je wichrowym lotem. Zadowolony Sartaski częstował winem swoich gości, ale prawie równie szczodrze darzył butelkami muzykantów. Na Bodzia patrzył

rozpromieniony. Z demokratyzmem ordynata zżył się, ale w Bohdana pod tym względem nie wierzył. Wiedział, że jest bystry i energiczny, lecz posądzał go o bardziej arystokratyczne cechy. Przekonał się obecnie, że jest inaczej. Młodziutki Michorowski nie różnił się postępowaniem ani od praktykantów, ani od synów Sartaskiego. Nie wybierał panien z lepszymi nazwiskami, jedynie to, co go porywało, to chyba uroda. Ale tańczył ze wszystkimi bez wyjątku. Wyciągał z kątów skromne panienki, domowniczki, co nawet wywołało pewien grymas na ustach wyżej urodzonych. Sartaski cieszył się. Patrząc na ordynata i Bohdana myślał:

– Czy to tylko jest w ich rodzie, czy w ogóle pleśń magnacka się przeciera!?

Lecz co do ogółu, miał jeszcze wątpliwości.

## XXXI.

Bohdan na wiosnę był na posadzie w dobrach rusłockich na Wołyniu. Właściciel, książę Poniecki, mieszkał w głównym kluczu, prawie Bohdana nie widywał, gdyż ten, jako jeden z pomocników zarządzającego, przebywał stale w odległym folwarku, Jary. Michorowski pracował od świtu do nocy. Nie czytywał, nawet ulubionych rysunków zaniechał. Wieczorem, upadając ze zmęczenia, zasypiał snem twardym i doznawał wrażeń, że ktoś wali nań ogromne złomy kamieni. Budzono go przed wschodem słońca bez żadnych względów.

Praca i obowiązek wzięły go w swój gniotący tryb mozołu. W duszy młodzieńca powstawał bunt, lecz nieubłagana konieczność miażdżyła go.

Gdy maj rozkwitł w całej swej świetności, gdy natura wrzała życiem i pożądaniem, oceany białych kwiatów pokryły sady, lasy tryskały kwieciem, łąki wieńczyły swe czoła, Bohdan rwał się jak na łańcuchu. Wściekła przemoc tęsknoty za swobodą szarpała go, niby obcęgami. Biec chciał na przepadłe, byle otrząsnąć się z tego jarzma, byle dalej.

Zamierał z szumnych porywów życia.

Stał na polu buraczanym, dozorując pielenia, ale patrzył jak błędny na gromady kobiet, schylonych nad pracą. Często nie pojmował, co mówili do niego ekonomowie lub zarządzający, który sprawdzał pomocników. Wolał już ślęczenie przy biurku w kancelarii administracyjnej, snując niezliczoną ilość cyfr lub pisząc raporty. Wtedy nie widział przestrzeni, nie wciągał w nozdrza zapachu rozprażonej ziemi; mniej tęsknił. Zanurzał się w liczbach i nabierał humoru. Powierzone sobie księgi, rachunki, prowadził tak sumiennie, że zarządzający obiecywał mu wyrobić posadę sekretarza. Bodzio uśmiechał się ironicznie, trochę boleśnie.

Za to na polu zawsze irytował zwierzchnika, im ostrzejsze otrzymywał wymówki, tym bardziej stawał się niepoprawnym.

Stał raz na rozległym polu,

pilnując fornali orzących zagony kartofli. Nudził się i ziewał.

W przejrzystym powietrzu cudnego poranka oddalone pola, jary obrosłe rozkwitłą tarniną, ciemne lasy - nabierały plastyki niesłychanej. Zdawało się, że horyzont, rozjaśniony do najdalszych krańców, skupia się i kładzie jak na dłoni najdrobniejsze szczegóły. Siny pasek źródła płynącego pod tarninami był tak wypukły, że Bohdan widział na nim z daleka nawet drobne falki. Pojedyncze kiście kwiatów białych chwiały się lekkim oddechem, gromada pszczół obsiadła krzewy, rywalizując z motylami, które wyglądały, jak rozwiane piórka rajskiego ptaka.

Bohdan szedł wolno środkiem pola, bruzdami przemykał się do nęcących go tarnin. Głowę podniósł w górę i wisiał cały wśród błękitu, chwytał wzrokiem pajęczynki obłoczków; rozmarzone źrenice ścigały lot ptaków, tnących z impetem lub łagodnie ogrom powietrzny. Gdy skowronek wbijał się w błękit pyłkiem coraz drobniejszym, Bohdan szeptał z głębi swej duszy utęsknionej:

– Geniuszu swobody, potężny znawco lotu, ptaszyno, unieś mnie tam, unieś...

– I coś go brało za gardło - rzewnie, ale dusząco, aż uczuł ból od napływających do oczu łez.

A w przestworzach było tyle pędu życiowego, taki szalony żyzny wicher miłości i żądz namiętnych gnał wskroś pól rozkwitłych, wskroś szafirowych baldachimów leśnych i wirował rozkosznie i targał sokami ziemi, i upijał odurzającym swym nektarem wszystko, co żyło.

Bohdan w kilku susach dopadł do gaju strojnych tarnin i rzucił się w nie, jak młody zając w sałatę. Kolczaste gałęzie darły mu ubranie, kaleczyły ręce, do twarzy sięgały, ale Bodzio sam zanurzał głowę w najobfitszych splotach kwiecia i zdawał się połykać je pragnieniem gorących uczuć. Biegał wśród krzewów, ogarniał je ramionami.

Spłoszone ptaki wylatywały z gniazd z kwileniem głośnym. Kuropatwy furknęły mu spod nóg. Wówczas zatrzymał się.

Cicho usiadł pod najpyszniejszym krzewem, zmartwiony, że zmącił swobodę ptakom. Uspokojone ciszą powracały, on zaś przemawiał do nich jak do ludzi. I znowu biegł dalej łąkami, napawał się widokiem źródła, aż wszedł do lasu i stanął nad brzegiem dużego jaru. Prostopadle spod stóp Bohdana spadały ściany, porosłe odłamami skał. Kamienie pokryte mchem zielonym i siwym tworzyły tu piramidy i groty, jakby ręką ludzką ułożone. Rosły brzozy płaczące, wieczną melancholią owiane, jakby i z maja i z życia nie rade. Młode dębczaki panoszyły się butnie, buki, klony i sosny pokręcone fantastycznie. Leszczyna rozwijała się szeroko, a tu i tam bieliły się śniegiem kwiecia rozkwitłe czeremchy. Na samym dnie jaru z hukiem toczyła się wąska rzeczułka, poprzerzynana porostami kamiennymi, na których woda pięła się w wirach i skrętach.

Naprzeciw Bohdana, w perspektywie utworzonej pomiędzy drzewami, widać było frontowy szczyt pałacu w Rusłocku. Słońce grało ogniście na

blaszanym dachu, migotliwie krzesało płomyki w oknach szczytowych. Bohdan patrzył, patrzył i smutek okrył go niby płachtą żałobną. Twarz mu zmierzchła, chłód powiał od rzeczułki i wilgocią przejął aż do kości. Pałac ten przypomniał mu Czerczyn, ale przede wszystkim Głębowicze. Rok, spędzony w ordynackim zamku, pozostawił w duszy Bohdana niezatarty, żywy blask. Wspomnienie dzieciństwa w Czerczynie, nauki, zabawy po świecie, były jakby odległą nutą, poprzedzającą tylko pyszny akord końcowy. Bohdan kochał Głębowicze i kochał ordynata, chociaż od czasu podjęcia posady w Rusłocku czuł do Waldemara w duszy swej jakiś drobny, nie dający się określić żal, żal ten wzmagał się, gdy mu było bardzo źle, nikł prawie bez śladu, gdy jakieś przelotne wrażenie natchnęło go otuchą. W marzeniach swych widywał Waldemara z Lucią, skojarzonych już, i tęsknił nie tylko za nimi, Ramzesem i Haneczką, lecz i za pluskiem rzeki głębowickiej i za gwarą drzew parkowych. Z rozrzewnieniem przypomniał sobie swój pokój, gdzie usługiwał mu wyproszony u ordynata Murzyn, dozorca sal myśliwskich. Rozczulał się na wspomnienie robotników, którym dawał książki do czytania, strzelców zwierzynieckich, nawet ogrodów i buldogów z psiarni. Czerczyn oddalił się od jego myśli i uczuć, jak obrazek zapamiętany z dziecinnej książki. Obojętność matki i brata były jedną więcej kartą, jaka go przesłaniała.

Rusłocka Bohdan nie lubił, do książąt Ponieckich nie mógł się przekonać. Patrzył teraz na ich błyszczący pałac i myślą leciał do Głębowicz. Zadrżał, usłyszawszy głośny tętent. Tuż przy sobie ujrzał nagle zarządzającego Holewicza, który osadził konia prawie na plecach Bohdana.

– A! Tak! Spodziewałem się tego! Pan tu patrzy, a tam groch z kapustą porobili! - krzyknął Holewicz.

Bodzio się zmieszał.

– Z pługami?... Co takiego?...

– Idź pan, zobacz, to się dowiesz! Parobcy pospali się na zagonach, tymczasem konie po kartoflach tratują. Do stu diabłów! Postawili pana tam, to pilnuj!

W Bohdanie ocknął się arystokrata. Wyprostowany, obrzucił dumnym wzrokiem Holewicza i rzekł z naciskiem:

– Niech pan raczy odzywać się uprzejmiej. Proszę!

Zarządzający zdumiał się. Ale postawa Bodzia jego z kolei zmieszała.

– Cóż to, może pan tu nie winien?... - rzekł spokojniej.

– Tak, po części jestem winien... lecz wymagam innego tonu; takiego jak pański nie zniosę. Do dozoru zaś nad parobkami niech pan stawia ekonomów. Ja odmawiam stanowczo.

– Pan jesteś przez księcia naznaczony na mego pomocnika, i ode mnie zależy, gdzie pana stawiać będę.

– Ale do księcia jestem przysłany przez mego wuja, który nawet księciu nie pozwoliłby na ubliżanie mi, tym bardziej panu – odparł Bodzio.

Zawrócił i poszedł w las, nie zważając na Holewicza.

Bohdan od tej pory przeważnie zajmował się sprawami administracyjnymi. W pole wyruszał w chwilach wolnych lub w święta; wówczas swobodnie puszczał myśli w lot bezkresny.

# XXXII.

Z kancelarii Holewicza Bohdan wyszedł uśmiechnięty. Zręcznie wskoczył do bryczki i ruszył w drogę. Jechał do sąsiedniego majątku, Hulanki, do obywatela Wyroczyńskiego. Wiózł tam jakieś rachunki, pieniądze i list od Holewicza.

Bodzio cieszył się podróżą kilkumilową, po pięknych okolicach wołyńskich, a wraz z nią - swobodą.

Gdy bryczka wytoczyła się z folwarku na drogę wśród dojrzałych zbóż, Bohdan zaczął gwizdać. Radośnie biegał wzrokiem po falistych rozłogach, strojnych w perskie dywany ozimin i jarzyn. Uczuł zadowolenie i błogi spokój. Te kilka godzin, które miał przed sobą, wydawały mu się nową erą jego obecnego życia. Puścił wodze fantazji i wpadł w zadumę, chwilami tęskną, chwilami graniczącą z szałem.

Zły był, gdy w samo południe bryczka stanęła przed gankiem w Hulance.

Młody Michorowski wszedł do sieni.

Ukazał się lokaj w błyszczącej liberii, na której złote guzy biły się z lampasami, lampasy z mniejszymi guzikami i lampasikami. Wszystko razem oślepiało i zarazem drażniło.

Bohdan patrzył na jaśniejącego lokaja, niby na błazna z lichego cyrku. Usta złożyły mu się do uśmiechu.

– Czy jest pan?

Lokaj nic nie odpowiedział; otworzył drzwi i wpuścił Bohdana do dużego gabinetu.

Michorowski rozejrzał się. Był sam.

Rzucił kapelusz na krzesło i przechadzał się wzdłuż pokoju, rozprostowując nogi po podróży. Z ciekawością oczekiwał Wyroczyńskiego. Wiedział o nim, że jest bogaty, że się „jakoś tam tego” dorobił majątku, że jest bardzo sprytny i dumny.

Przepych gabinetu w tym samym stylu, co liberia lokaja, nasuwał pytanie, w jakim „rynsztunku” wystąpi właściciel.

Bohdan czekał długo, chodził, chrząkał, kaszlał.

Drzwi skrzypnęły. Wszedł Wyroczyński.

Jego okrągła figura zarysowała się w gabinecie okazale. Upierścienione palce zanurzył lekko w kieszeniach ubrania i spojrzał na Bohdana spod brwi, schylając głowę, jakby patrzył pod światło.

Michorowski skłonił się uprzejmie i podszedł bliżej w celu powitania. Miał już wypowiedzieć swe nazwisko, gdy osadził go na miejscu sztywny bas Wyroczyńskiego.

– Czy to z Jarów?...

Bohdan zaciął wargi. Doznał jakby uderzenia w twarz.

– Z Jarów.

– Jak godność... - indagował dalej Wyroczyński, nie zbliżając się i nie wyjmując rąk z kieszeni.

– Mi...o...ski - wykształcił Bodzio, dusząc się z gniewu.

– Czy z rachunkami od Holewicza?

– Tak.

Wyroczyński wyciągnął rękę po papiery.

Michoroski rachunków szukał długo, trzęsąc się z oburzenia, palce latały mu niesfornie, krew opływała go burzą płomieni.

– Proszę prędzej, prędzej! - nalegał obywatel.

Bohdan wydobył papiery z portfela i chciał rzucić je Wyroczyńskiemu, plunąć i natychmiast wyjechać. Ale zadziwiającą siłą woli opanował się. Wzgarda mu dopomogła. Spokojnie wręczył paczkę wraz z listem tłustemu jegomościowi, tylko rękę cofnął prędko, jakby jej nie ufając.

Wyroczyński dostrzegł gwałtowny ruch, spojrzał przelotnie na wzburzoną twarz młodzieńca.

– Proszę poczekać tu - rzekł wyniośle.

Zrobił dłonią ruch, wyraźnie wskazujący miejsce przy drzwiach w progu.

Bohdan jak ryś, rzucił się całą figurą naprzód, lecz się powstrzymał. Zacisnął zęby, aż zgrzytnęły.

Wyroczyński już tego nie widział, szedł do biurka odwrócony plecami. Usiadł na wspaniałym fotelu, rozparł się, założył grube nogi jedną na drugą i bogatym nożem wolno rozcinał kopertę.

Bohdan został przy drzwiach zupełnie zapomniany.

Wrzało w nim. Nerwy waliły w pulsach, niby huk raz po raz padających piorunów. Przechodził piekielne katusze zniewagi, mękę zduszonej w sobie dumy. Ale krzepił się ironią, ona była mu teraz siostrą miłosierdzia. Stał ogłuszony przez krótki moment. Potem podniósł głowę śmiało i wyzywająco patrzył na pękatą postać rozwaloną przy biurku. Lewą ręką zaczepił o guzik od kamizelki, w prawej miętosił rękawiczki, rwąc ich skórę z pasją.

Trzymał się na wodzy, drżał, ale czekał.

Nagle Wyroczyński zdjął jedną nogę z drugiej i ociężale, jednak prędko, powstał. List trzymał otwarty, twarz wielka, lśniąca, rozszerzyła się zakłopotanym, lecz bardzo uprzejmym, niemal pokornym uśmiechem. Szedł do Bohdana, rozłożywszy ręce.

– Ach! Czego się dowiaduję! Mam honor... pana Michorowskiego?! Bardzo, bardzo uniżenie witam! Wprawdzie fama niosła nam, że Rusłock posiada... tak znakomite... nazwisko, ale któż przypuszczał?! Witam szanownego...

Wyciągnął obie dłonie z miną rozkoszną. List spadł na podłogę.

Bohdan cofnął się o krok, nie zmieniając pozycji. Patrzył, jak przez szybę lodu.

Ramiona Wyroczyńskiego chwiały się gościnnie do rąk Bohdana. Lecz ten ich nie podał. Stał bez ruchu i głosu.

Wyroczyński zrozumiał.

Dłonie mu opadły, twarz zrobiła się aż fioletowa od krwi. Wybełkotał w okropnym pomieszaniu, nie wiedząc, co mówi:

– Wszak pan... kuzyn ordynata Michorowskiego?... Nie wiedziałem... Chociaż fama niosła...

– Żałuję, że ta fama - odpowiedział Bohdan - nie ostrzegła mnie, że Hulanka posiada taki okaz, jakim pan jesteś, gardzący ludźmi pracy. Teraz wiem i wszelkie kwestie z panem załatwiać będziemy przez pocztę, bo nawet pastucha nie chciałbym tu przysłać. Żegnam.

Słowa te padały jak szpicrózgi.

Bohdan wyszedł z gabinetu.

Uspokoił się dopiero w polu. Długo klął w myśli, czasem głośno, wreszcie machnął ręką.

# XXXIII.

W związku z imieninami księcia Ponieckiego cała wyższa administracja Rusłocka i przyległych folwarków zaproszona została na przedwieczorną herbatę. Zastrzeżenie „przed” było wyraźne. Potem miał być zjazd i bal dla arystokracji. Należało z administracją załatwić się wcześniej. Bohdan otrzymał wyłączną kartę od księżnej, zapraszającą nader uprzejmie już na obiad i na bal. Ale Bodzio od czasu swej bytności w Hulance solidaryzował się więcej z kolegami. Stał się ich szczerym przyjacielem. Własne porywy dumy magnackiej powstrzymywał umiejętnie, mając zawsze w pamięci brutalność Wyroczyńskiego. Odpisał księżnej, że zjawi się razem z kolegami przed wieczorem.

Przy herbacie Bodzio został umieszczony w bliskim sąsiedztwie księżnej, która siedziała przy stole. Książę natomiast wciąż spacerował. To zapalał cygaro, to zaglądał w okno. Przysiadał obok żony rzadko i na krótko. Odzywał się mało, rzucając przeważnie pytania. Panowie z administracji odpowiadali z mniejszym lub większym pośpiechem i w uroczystym skupieniu. Poniecki słuchał ich z uśmieszkiem pobłażliwo-apatycznym. Często także przemówił coś do żony, w obcym języku, wprawdzie przyciszonym uprzejmie głosem, lecz przez to pogarszając tylko wrażenie. Bodzio się zdumiewał. Jakoś do innych porządków przywykł w Głębowiczach, a może już miał w swych żyłach krople innej krwi, niż Ponieccy. Jednak bogata sala jadalna, rój lokajów wyfrakowanych, ogólna atmosfera magnacka trochę na niego podziałały. Mimo woli wchłaniał w siebie hojnie tu rozsypaną wielkość. Ożywił się, nabrał kolorów. W źrenicach miał wyraz już przyćmiony, trochę butny. Prostował smukłe plecy, głowę podnosząc wyżej ruchem arystokratycznym.

Gawędził wesoło z księżną, ale po polsku. Księcia subtelnie ignorował. Pomimo bowiem wsiąkania w swe właściwe ramy, odczuwał nietakt Ponieckiego. W poczuciu swej wyższości był uprzedzająco grzeczny dla kolegów, zarazem wyróżniając siebie od nich, lecz bez objawów zewnętrznych. Bodzio obiecywał sobie zostać na wieczór i bawić się dobrze w tych swojskich warunkach. Oboje księstwo wyróżniali go wyraźnie. Bohdan czuł, że mu się to należy, ale rozkosz tego wrażenia psuł mu pewien niesmak. Chcąc go złagodzić, zwracał się z serdecznym słowem lub z dowcipem filuternym do kolegów i cieszyło go ich zadowolenie. Książę krzywił się na to nieznacznie, w duchu myślał: - „natura Michorowskich" – i wielce był dumnym, że się zwie Poniecki.

Zanim skończyła się proszona herbata, nadjechało kilka osób z sąsiedztwa, oczekiwanych na godziny późniejsze.

Księstwu powarzyły się humory.

Jednym z przyjezdnych był hrabia zamieszkały w okolicy. Mówił powoli, łaskawie, patrząc w ziemię. Nad wyraz wstrzemięźliwie witał zebranych oficjalistów. Zdziwienie na ich widok osiadło w jego podniesionych brwiach, kręcił głową. Książę stał się jeszcze bardziej roztargniony. Miał już odpowiedniego partnera do rozmowy, ale dawał lekkie znaki księżnej, aby skróciła posiedzenie przy stole.

Do przedstawionego Bohdana hrabia poufale wyciągnął rękę.

– A! Z przyjemnością witam przedstawiciela rodu Michorowskich - rzekł z emfazą. Wszak głębowicka linia?...

– Nie, hrabio, tylko Czerczyńska - odrzekł bodzio.

– To, to samo, to samo. Znam, znam ordynata! Działacz, społecznik! A pan tu zapewne lekko praktykuje? - dodał hrabia z figlarnym grymasem porozumiewawczym.

– O tak! Naturalnie! - wyręczył Bodzia w odpowiedzi sam książę Poniecki.

Bohdan się zmieszał. Może nie przyznałby, że właściwie jest oficjalistą, lecz interwencja księcia i jego uśmiech pobłażliwy zirytował go. Odparł dość szorstko.

– Przeciwnie, hrabio, pracuję na chleb bo... muszę. Praktykantem nie jestem.

Księstwo i hrabia stropili się nieco, ale koledzy Bodzia spojrzeli na niego z uznaniem i to było mu nagrodą za dużą przykrość.

Wszedł nowy gość, zamożny obywatel. Witał zebranych z uprzejmą serdecznością bez wyjątków. Przemawiał tak samo do księcia, jak i do Holewicza. Jedynie z uwzględnieniem dla tytułu Ponieckiego. Hrabiemu radośnie podał prawicę.

– A! Kochany sąsiad! Moje uszanowanie.

– Witam mego plan...ta...tora – wycedził hrabia mniej gorąco oraz mniej żarliwie potrząsnął ręką obywatela.

– Cóż to za tytuł? - spytał cicho Holewicza Bohdan.

– A to widzi pan, ten obywatel plantuje buraki do cukierni hrabiego, hrabia

zaś, korzystając z sytuacji, nigdy go inaczej nie nazywa, jak tylko plantatorem. To także rodzaj wyższości.

Bodzio odczuł ironię w głosie Holewicza, ale i sam skrzywił nos.

Przez cały czas rozmowy hrabia istotnie przemawiał do obywatela zawsze go tak samo tytułując. Obywatel marszczył się, było mu przykro, ale na tym poprzestawał.

Panowie z administracji prędko sami zrozumieli, że czas się wycofać, zaczęli się żegnać. Księżna wobec wszystkich zwróciła się nagle do Holewicza. Minę miała nieobiecującą:

– Czy pan pisał do hrabiego Borelskiego, mego ojca, list w kwestii gorzelni?

– Tak, proszę księżnej pani.

– A to szczególne! Wie pan, że podziwialiśmy w Bełcinach ten list. To list wprost koncertowy, niesłychany.

Holewicz odczuł niewyraźną jeszcze kompromitację.

– Dlaczego, proszę księżnej pani? - spytał głosem niepewnym.

Księżna mówiła teraz wyłącznie do obecnego hrabiego:

– To był bajeczny list. Proszę sobie wyobrazić nagłówek: Szanowny panie!... Do mego ojca!... Ha! ha! I poza tym w całym liście, dość długim, ani wzmianki żadnego więcej tytułu. To specjalna umiejętność: prawda?...

– Hm! Istotnie - mruknął hrabia, pilnie patrząc w ziemię. Nawet jemu było nieswojo.

Książę chodził tylko po pokoju, na ustach błąkał się niby uśmiech zakłopotania, niby oburzenia.

Księżna ciągnęła dalej ubawionym tonem:

– Ten list ojciec mój schował do archiwum. W zbiorze wszelkich osobliwości hrabiów Borelskich będzie unikatem. „Szanowny panie”, i nic nadto?!...

Zaśmiała się nerwowo, niemal ze spazmem.

Holewicz stał ogłuszony, jak obity szyderstwem.

Wszyscy byli niewymownie zmieszani.

Księżna, nie zwracając już uwagi na obecność administracji, odwróciła się do męża i hrabiego. Lecz spostrzegłszy, że Holewicz złożył głęboki ukłon i odchodzi wraz z innymi, prędko podeszła do Michorowskiego.

– Panie Bohdanie, pan zostaje z nami, tylko przebierze się pan, naturalnie. To jeszcze potem, jak zbiorą się damy.

– Prosimy bardzo. Ale nawet już prosiliśmy! - dodał książę.

Bodzio oprzytomniał. Otrząsnął się z osłupienia i z szalonego gniewu.

– Dziękuję jaśnie oświeconej księżnej pani za łaskawość, lecz odchodzę z kolegami - odrzekł, mocno akcentując słowa, zwłaszcza tytuł.

Skłonił się i wyszedł razem z Holewiczem.

W sieniach podał rękę zarządzającemu. Usta Bodzia trzęsły się, twarz była wzburzona. Nie rzekł nic, uścisnął przyjacielsko dłoń zwierzchnika z serdecznym spojrzeniem, które tamten odczuł i ocenił.

Bodzio w wyobraźni ujrzał się w przyszłości w położeniu Holewicza. Pochlebiał sobie tylko, że lepiej zna wymagania arystokratyczne i formy, wobec nich obowiązujące.

# XXXIV.

Pani Kornelia Michorowska w jesieni znowu przyjechała do Głębowicz. Zarzuciła ordynata mnóstwem wyrzutów z powodu, że Bodzia zrobił ekonomem.

– Nigdy nie sądziłam, aby kuzyn tak źle z nim postąpił. Taki delikatny chłopiec, taki wątły, i on - do takiej pracy?!...

Ordynat tłumaczył, jak umiał, że Bodzio nie jest ekonomem, że pisze listy, z których widać, że jest zadowolony i cieszy się z rezultatów swej pracy. Ale pani Kornelia nie dała się przekonać.

– To nie zajęcie dla Michorowskiego! Ach, mój Boże, gdybyż to mój mąż widział?!... – wzdychała dama przesadnie.

– Gdyby żył ojciec, Bohdan nie zostałby zrujnowanym - wybuchnął ordynat. - Teraz musi pracować, bo w przeciwnym razie nie będzie miał z czego żyć. U mnie na łasce nie zostanie - za dużo ma ambicji i za to nie wolno go ganić.

Waldemar przypomniał pani Kornelii jej własne słowa, jakie skierowała do Bodzia na temat tracenia pieniędzy ordynackich.

– Wobec tego nie pojmuję dzisiejszej niekonsekwencji. Kuzynka wyrzekła się go, a teraz chce mu zabronić pracy? - dodał podrażniony.

Pani Michorowska poczuła się jakby przyłapana. Sama nie wiedziała, czego chce, jadąc tu i odjechała z niczym.

– Bodzio wyrabia się i będzie człowiekiem; ale chcąc nim zostać, musi poznać wiele spraw – rzekł jej ordynat na pożegnanie.

Sam jednak postanowił odwiedzić Bodzia. Ale najpierw był w Słodkowcach. Pani Idalia, przebywszy lato z córką i ojcem, znowu wyjechała za granicę i połączyła się z Barskimi.

W kołach arystokratycznych mówiono nawet, że baronowa wychodzi za hrabiego Barskiego.

Ordynat wzruszył ramionami. Pan Maciej smutnie kiwał głową. A Lucia rzekła tylko:

– Możebne i to.

Patrzyła na Waldemara z niemym błaganiem, jakby u niego szukając pociechy w swym sieroctwie. A on przyjeżdżał często, mówił do niej dobre, miłe słowa i Lucia była szczęśliwa.

Gdy Waldemar przyjechał do Słodkowic przed podróżą do Rusłocka, pan Maciej spał. Lucia malowała na tarasie. Przywitali się serdecznie i siedli oboje przy sztalugach, w cieniu drzewa pomarańczowego. Waldemar zapalił cygaro, Lucia rozcierała farby na palecie. Na sukni miała obszerny fartuch

malarski z czarnej satyny, warkocze spuszczone na plecy.

Waldemar patrzył na jej profil owalny, obrzucał ją całą miękkim wzrokiem.

– Czemu ty, Luciu, ubierasz się zawsze tak żałobnie? - spytał.

Milczała chwilę.

– Taki już mam gust. Zresztą...

– Dokończ.

– Zresztą to mimowolne. Wewnętrzny stan duszy odbija się na formie zewnętrznej.

– Więc zawsze tak ci smutno?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem i z wymówką.

– Zawsze.

– I... dlaczego?...

– Żartujesz ze mnie, Waldy? - odrzekła sucho.

On rzucił cygaro.

– Nie żartuję, lecz uważam, że Słodkowce są dla ciebie zabójcze. Powinnaś wyjechać.

Spojrzała na niego wystraszonym wzrokiem.

– Dokąd?

– Aby z Słodkowic! Ja zaopiekuję się dziadkiem, ty zaś pojedziesz z babką Podhorecką do Paryża. Lubisz ją, prawda? Ona bardzo tego pragnie. Wyjeżdża na całą zimę.

– Ja nie pojadę - stanowczo rzekła Lucia.

– Nawet gdyby cię o to prosił dziadzio?...

– Nawet wtedy. Dziadzio mnie przed rokiem z mamą wysyłał za granicę, jednak nie pojechałam.

– A gdybym... ja cię o to prosił?...

Lucia przybladła. Zaczęła prędko mrugać powiekami, ale łzy nie dały się zatamować. Zaszkliły na rzęsach bujnymi kroplami.

Waldemar pochylił się do niej, delikatnie otoczył ją ramieniem i trochę przygarnął do siebie. Lucia omdlewała.

– Czy wtedy pojechałabyś?... - spytał szeptem.

– Chcesz się mnie pozbyć?... jęknęła, i łzy spadły na farby.

– Ale pojechałabyś?

– Tak...

Paleta z brzękiem upadła na posadzkę tarasu. Lucia siedziała sztywna, z oczami przymkniętymi i ze zwieszoną głową.

Niewypowiedziane uczucie radości i słodyczy ogarnęło Waldemara. Przyciągnął ją bliżej, przechylił jej głowę na swe ramię i wpił się ustami w jej zapłakane oczy. Upojenie, równe chyba nieziemskim wizjom, wzięło Lucię w swój szlak promienny. Zamierała w cudnym pół-śnie, pół-jawie. Rzęsiste, a palące iskierki szczęścia obsypały ją całą. Zachwyt sięgał zenitu, gdy usta Waldemara przycisnęły rozchylone wargi Luci.

Błogość i szał runęły na nią potężnie, zatracając ją w niepamięci, w

ekstazie bez wyjścia. Tylko te gorące usta ukochanego były dla niej wszystkim. Cały świat wokół niej przestał istnieć. Czuła w sobie boskość.

Gwałtowna, niepojęta siła oderwała nagle Waldemara od ust Luci. Zatrząsł się i blady, nienaturalny, ucałował jej rękę, nie patrząc w oczy.

– Wybacz mi! - szepnął niespodziewanie.

Lucia rozjaśniona, jak majowe słońce, przytuliła się do niego z ufnością dziecka. Głowę swą jasną złożyła na jego piersiach i spytała:

– Waldy... Dlaczego ty mi każesz jechać?

Waldemar pogładził dłonią jej lśniące włosy. Był zmieniony na twarzy.

– Zapomnij o tym i... zostań - wyszeptał.

Ona rozkosznie objęła ramionami jego szyję.

– Dobry, jedyny... ukochany! - mówiła bezpamiętnie, z głębi kipiącej miłością duszy.

Ucałował ją w czoło, ale już inaczej, po dawnemu. Chwila minęła, szał uleciał w poszumie nieprzyjaznej fali myśli.

Łagodnie odsunął ją od siebie i powstał. Brwi miał zmarszczone, w oczach niepewność i jakby żal.

– Może się przejdziesz - zaproponował Luci.

– Odpowiedziała mu rozmiłowanym spojrzeniem.

Długo chodzili po parku, rozmawiając niby poufnie, ale z trudem, o rzeczach zwykłych.

I męczyli się oboje.

## XXXV.

Ordynat jechał do Rusłocka. Na jednej ze stacji centralnych spotkał książąt Ponieckich. Wiedział, że ich nie ma w Rusłocku, dokąd dążył, ale też spotkania nie pragnął. Księstwo natomiast witali go z pietyzmem.

Waldemar pytał o Bodzia, księżna wystąpiła ze skargą, niby to utrzymaną w tonie żartobliwym, lecz tak, by ordynat mógł odczuć w jej słowach jad i ironię.

– Ach! Pan Bohdan? To skończony socjalista.

– Czyżby?... - zdziwił się Michorowski.

– Ależ tak! Ordynat pojęcia nie ma, jakie on w Rusłocku głosi idee, jakie podsuwa nam projekty... Zakrawa trochę na chłopomana.

– Doprawdy? Przestrasza mnie księżna! Cóż on tam robi?

Książę pobłażliwie mrugnął oczami.

– No, nic złego, nic złego...

Poniecka się gorączkowała.

– Niech ordynat sobie wyobrazi, że pan Bohdan inicjuje u nas coraz nowe instytucje. Jakieś tam szkoły, jakieś kolejki wąskotorowe z lasów, aby się chłopi nie męczyli pracą. Słyszane rzeczy.

– No, no! Rzeczywiście!... Bajeczny!... potakiwał Waldemar dusząc się ze

śmiechu, czego jednak księstwo nie spostrzegli.

– Albo jego filantropia? Wprost skandaliczna!... Rozbałamuca nawet służbę.

– Ale z administracją jest w zgodzie, o ile słyszałem?

– Zapewne! Bo ich także psuje swym liberalizmem. Mają w nim poplecznika. Do tego dochodzi, że się z niektórymi przyjaźni!

– Książę wciąż uśmiechał się uprzejmie.

– Tak, to jest młodzieniec nie rokujący wielkich nadziei - mówił sylabizując słowa. Jego pochłoną niskie wartości społeczne. To nie jest karmazyn, chociaż z nich pochodzi.

Usta ordynata zaczęły się przeciągać w krzywą linię szyderstwa, ale milczał.

Księżna trzepała dalej. Oczy jej duże, czarne, nazbyt wypukłe, błyszczały chęcią zemsty.

– Niech ordynat wyobrazi sobie, co on mnie zrobił:

Jechałam raz do kościoła, z boną i dziećmi. Dzieci lokaj wiózł kucami, pana Bohdana zaprosiłam do powozu obok siebie. Bona naturalnie usiadła na przedzie. Tymczasem ten dziwoląg sam usiadł na przedzie, a tej starej babie wskazał miejsce przy mnie.

Ordynat zaśmiał się serdecznie. Wyobraził sobie wyłączną elegancję Bodzia i oburzenie księżnej. Najzabawniejszą jednak musiała być mina bony, nie przyzwyczajonej w Rusłocku do takiej uprzejmości.

– Pan się śmieje? - zdziwiła się księżna.

– A to smarkacz ten Bodzio! I jakże się ta historia skończyła? – pytał ordynat zdławiwszy śmiech.

– Kazałam bonie zająć właściwe miejsce, jemu zaś zwróciłam uwagę. Ale... to na nic!

– Znowu babę przetransportował na siedzenie?

– Nie! Wysiadł z powozu, podziękował mi za towarzystwo i do kościoła pojechał z rządcą prostą bryczką.

– Fenomenalny Bodzio! No, no - lekko kpił ordynat.

– Albo jeszcze: namawia nas, żeby pobudować letniska nad jakimś tam ukochanym jarem, a wie pan dla kogo? Oto, dla biednych suchotników, którzy nie mają na inne kurorty. Cały plan takich domków przedstawił nam i twierdzi, że mieszkanie i utrzymanie dla tych... miłych gości powinniśmy dawać bezpłatnie, bo nas stać na to. Vyoez vous? On rozporządza naszym majątkiem.

– To dopiero śmiały! Oburza mnie niesłychanie!

Książę zauważył wreszcie, że ordynat odzywa się jakimś szczególnym tonem. Dotknięty przykro książę przypomniał sobie nagle, że ma przed sobą również Michorowskiego, którego opinia mniej więcej się zgadza z opinią Bodzia. Poniecki mrugnął dyskretnie na żonę. I ona się zmieszała. Zaczęła zagadywać o czym innym i prędko pożegnali ordynata. Gdy znikli w drzwiach sali pierwszej klasy, Waldemar zaśmiał się swobodnie.

– Tableau! - zawołał prawie głośno.

Michorowski zmienił zamiar; zamiast do Rusłocka, wstąpił naprzód do Biało-Czerkas. Tam, błądząc po lasach, snując się po staroświeckich komnatach pałacu, rozmyślał o Bodziu. Chwilami ogarniał ordynata gniew głuchy, że Bohdan zajmuje posadę u takich ludzi, jak Ponieccy. Jakiż wpływ oni mogą wywierać na jego młody i wrażliwy umysł? Najgorszy! A jednak Bodzio widocznie się nie poddaje. Wygłasza śmiało swoje idee i może one zahartują się w warunkach przeciwnych.

Waldemara gnębiły obawy, aby pobyt w Rusłocku nie spaczył dobrych poglądów Bohdana. Uspokajał się jedynie tym, że oboje księstwo, zwłaszcza księżna, byli krańcowymi fanatykami swych pojęć, zacofanych zatem, jak każda krańcowość, i nie mogli być niebezpieczni.

Ordynat rozmyślając, zanurzał się w niezgłębione cienie parku biało-czerkaskiego, w którym stuletnie drzewa tworzyły bezdenne otchłanie, pociągające ku sobie urokiem dziwnej tajemniczości. Mnóstwo drzew otaczało pałac, ramiona ich rozłożyste, poufale upierały się na szarych murach, muskając wyniosłe okna.

Stare dworzysko tonęło w masie drzew, zlewając się z nimi w całość jednolitą i potężną. Sprawiało to wrażenie, że pałac i drzewa otaczające go, wyrosły razem i chyba razem przetrwają wieki.

Sztuki w Biało_Czerkasach nie było wiele, natomiast natura niesłychanie bujna, trochę dzika, lecz piękna. Splątane gąszczem róż polnych, kaliny i krzewy kolące leśnej azalii, która na wiosnę rozkwita jaskrawo-żółtymi kielichami, odurza słodką, lecz mocną wonią i wzrostem dosięga człowieka, zwabiały do parku biało-czerkaskiego całe legiony ptaków. Niezliczone stada ich roznosiły jednolity krzyk, prawie nie milknący. Spotykało się tu pyszne okazy ptaków. Dziwnie były łaskawe, nie obawiały się ludzi, gospodarując śmiało wśród drzew, jak we własnym państwie.

Gdy na jesieni opadły liście, drzewa i krzewy wyglądały niby oblepione olbrzymimi owocami, były to gniazda przeróżnych kształtów i wielkości.

– Do tej natury wspaniałej i do tych rojów ptasich potrzeba tylko Bodzia; ten by się cieszył – myślał ordynat.

Napotykając pierzaste kępy paproci, Waldemar zatrzymał się w swej przechadzce i myślą sięgał w przeszłość.

– Miałem tu przyjechać... ze Stefcią, i ona kochała naturę, lubiła paprocie, świętojańskie robaczki; takie mnóstwo ich świeci po nocach tu, w tym parku. Nikt przy ich światełkach nie marzy, nikt nie kocha wśród tęsknych wieczorów. Natura tu żyje sama ze sobą i tworzy coraz to nowe cuda. Dla kogo? Czy zawsze tylko dla siebie?

Czy istotnie bywają takie miejsca, przeznaczone na wieczną pustkę? Tak jak i między ludźmi są osobniki, z tęsknotą w sercu nigdy nie zaspokojoną, z pustką w duszy nigdy nie wypełnioną. Ale zawsze pragnącą, chociaż beznadziejnie.

Ordynat zamyślił się smutnie.

– A ten park? On żyje sam w sobie, ale tęskni i pragnie jeszcze żyć dla kogoś.

# XXXVI.

Bohdan i Holewicz stali na polu, gdzie kopano kartofle. Szeregi czerwonych spódnic i koszul białych, wyszywanych na ramionach, rozciągały się wzdłuż zagonów. Motyki śmigały żwawo. Gwar rozmów gromadnych rozbrzmiewał po polach, cichnąc, lub nagle rwąc w górę z żywiołową siłą. Wrzaski dozorców wpadały jak baty w to mrowie kobiecych głosów.

Obok pola przechodził trakt, poza nim żółciły się i szarzały smutne rżyska, na których już babie lato przewiało swe miękkie włókna. Spokój jesienny szedł od czarnych borów, układał się wygodnie w miedzach i oddychał, syty jakiś, ospały. Gęsto rozsiewały się w perspektywie pól długie, ogromne sterty ze zbożem, jak pomniki po minionym lecie. Powietrze przecinało chwilami głośne pożegalne gęganie odlatujących dzikich gęsi. Żurawie sunęły na południe krzywą linią, jak wąż piorunowy. Pustką i zarazem dobrobytem tchnęły łany, oswobodzone z ciężarów płodu.

Wiatr ochładzał im czoła, zimnym oddechem przygotowywał do nadciągających z daleka jeszcze mrozów.

I gładził wiatr obnażone ciała pól. Odkryte łona pszeniczne pieścił delikatnie, twarde szczeciniaste żytniska targał zawzięcie, świszcząc w krótkich źdźbłach.

Smętne uśmiechy słoneczne spadały na odpoczywającą ziemię.

Ostatnie płody wydzierano glebie.

Na trakcie, równolegle z polem, pełnym kopaczów, jechał kłusem długi, strojny zaprzęg. Ludzie spoglądali ciekawie.

– Ho! sie z daleka! To nie tutejsze - mówili do siebie kopacze gwarą miejscową.

– To konie biało-czerkaskie - rzekł Holewicz zdziwiony. Znam te konie. Ale czyżby naprawdę?... Trochę za daleko.

Bohdan się zdumiał.

– Z Biało-Czerkas? Co znowu? Tyle mil?...

Holewicz przypatrywał się uważnie.

Lando zaprzężone w czwórkę koni zatrzymało się nagle.

– Ano tak! To pewno ordynat? - potwierdził Holewicz.

Bodzio pędem puścił się przez zagony. Krzyknął radośnie, ujrzawszy wychyloną z landa postać Waldemara.

Powitali się z pewnym rozczuleniem.

– Siadaj i pojedziemy - rzekł ordynat.

– Do Rusłocka? Ponieccy wyjechali.

– Wiem. Przyjechałem do ciebie, nie do nich.

Bohdan serdecznie uścisnął mu rękę.

– Dziękuję ci, wuju. Nawet nie myślałem, że dla mnie... zechcesz tyle mil...

– Jechałem rozstawnymi końmi. Ale cóż ci to, Bodziu? Czemuś taki przejęty?

Bohdan smutno spojrzał mu w oczy.

– Bo myślałem, że już wszyscy... zapomnieli o mnie.

W głosie jego zadrgał bezmierny żal.

Waldemar się wzruszył.

– Słuchaj, chłopcze, listy piszesz swobodne, jednak nie wydajesz mi się zadowolonym. Źle ci jest? Mów.

Bohdan ściął wargi. Walczył ze sobą, i Waldemar to widział. Ale młodzieniec odparł spokojnie, nawet z uśmiechem:

– Ha! Wuju: pracuję, to trudno. Minęły dla mnie czasy różane.

– Więc wytrwasz; prawda?

– Tak, do roku. W Rusłocku dłużej nie zostanę.

– Ale wiesz?... była u mnie twoja matka.

– Pewno z pretensjami? I do mnie pisała, oburzona, że pracuję. Chce, abyś wrócił do Czerczyna i był administratorem Wiktora.

Bohdan z fantazją poprawił czapkę.

– Tego się nie da zrobić - zawołał rezolutnie.

– Wiktora nie ma w Czerczynie.

– A gdzież jest?

– W świecie, jak ty dawniej! - rzekł ordynat, badając wrażenie.

– Jak to?... Traci!...

– Nawet bardzo. Hula, awanturuje się, gra...

Bohdan zbladł, w oczach mignęła mu rozpacz, coś w nich błysnęło wilgotnego.

– Biedna, biedna mama! Dwóch nas ma, i obaj... łotry! - szepnął drżącymi ustami.

Waldemar, wzruszony do głębi, objął go i pocałował.

– Jesteś dobry, chłopcze. Nie nazywaj się łotrem; właściwie nigdy nie byłeś nim.

– Wyratowałem się, wuju, przez ciebie. Ale cóż z mamą?

Ruchem zbolałym i tragicznym splótł palce u rąk.

– Ojej! jak ja muszę wziąć się w kupę i pracować, żeby mamie... Bo Wiktor zatraci ją: on bez serca.

– I bez sumienia, dodaj - rzekł Waldemar. - Jego nikt i nic nie poprawi.

Jechali, milcząc; nagle Bodzio wziął Waldemara za rękę. Przemówił, wahając się, niepewnie:

– Wuju, a co z Lucią?... Czy już... mogę wam... powinszować i cieszyć się?

Waldemar poczerwieniał. Zsunął brwi. Zakłopotanie drgało mu na twarzy.

– Czy... chciałbyś tego? - spytał trochę badawczo.

Bodzio gwałtownie ścisnął jego dłoń.

– Bardzo, bardzo, wuju! Ona godna być twoją żoną i ordynatową

głębowicką. Ona cię kocha!...

– No dobrze. To są rzeczy dalsze. Mówmy o twej pracy i projektach.

Bodzio odczuł w samym tonie Waldemara, że to są rzeczy bardzo bliskie, ale delikatnie zmienił temat. Był szczerze zadowolony.

# XXXVII.

W zamku głębowickim uroczyście obchodzono wilię Bożego Narodzenia. Stary pan Maciej, otulony troskliwie przez wnuczkę, przyjechał razem z nią.

Po wieczerzy, w wielkiej sali przyjęć tłum dzieci ze szkoły i z ochronek głębowickiej i słodkowickiej, który przyjechał na kilku saniach, otaczał przepyszną choinkę. Właściwie była to jodła, sięgająca pod sufit wysokiej sali, zatopiona w powodzi światła, lśniąca jak skarbiec z klejnotami. Lucia rozdawała podarki, chodząc wśród gromady dzieci niby ich wieszczka. W gładkiej, czarnej, aksamitnej sukni, ozdobionej tylko sznurem pereł, smukła i wiotka, robiła wrażenie cichej kapłanki. Jej popielate włosy w kontraście z czernią aksamitu mieniły się bogatą masą, żywe i nęcące. Waldemar patrzył na nią uparcie. Przypominała mu się nazwa dana przed rokiem w Warszawie: westalka.

– Tak, ona istotnie ma w sobie coś z westalki: powagę i wdzięk... - pomyślał.

Bohdan, który przyjechał na święta z Rusłocka, widocznie zauważył to samo. Szepnął do ordynata:

– Wie wuj, że ta Lucia robi wrażenie... mistyczne. Ma w sobie coś tajemniczego...

Przypatrywał się jej jak psycholog, wreszcie rzekł prędko, z akcentem dziwnej pewności i zarazem obawy:

– Tak, takie kobiety bywają albo bardzo szczęśliwe, albo... bardzo nieszczęśliwe. Tragiczne! Połowiczność nie dla nich...

Ordynat przykro dotknięty odszedł w inną stronę.

Bohdan nie spuszczał oczu z Luci.

Dzieci po otrzymaniu podarków śpiewały chórem kolędy, potem orkiestra miejscowa zaczęła grać, i rozpoczęły się zabawy. Marszałek dworu i ochmistrzyni czuwali nad porządkiem.

Późno w nocy, przed rozpoczęciem w kaplicy zamkowej Pasterki, Waldemar, Lucia i Bohdan wyszli na najwyższy taras od strony rzeki.

Noc zimowa była i ciepła, i cicha, ale szara. Chmury popielate rozmazały się po niebie, grożąc zapowiedzią nowych śniegów. Park, obficie zasypany bielą, spał spokojnie. Na jodłach leżały śnieżne kapy, wielkie błamy, niby skóry białego niedźwiedzia, okrywały, hojnie zbite, mnóstwo ciemnych, nagich drzew. Słał się puszysty, śnieżny pokrowiec na marmurowych schodach przystani i wałem białego alabastru otaczał zielonkawy lód na rzece, wymieciony czysto, jak lustrzana posadzka.

Oszroniony zwierzyniec widniał z daleka, niby sędziwy starzec w bujnej grzywie siwych włosów i gęstej, długiej brodzie. Szarość i biel zlewały się harmonijnie. Ponad inne wrażenia górowała senność, obumarłość niezgłębiona.

Waldemar z Lucią stali oparci o balustradę i patrzyli w głębiny parku. Coś stamtąd wołało na nich głosami misteriów uroczych, duchy snuły się w czeluściach gąszczów.

Dobrze było im obojgu, nie przerywali chwili.

Lucia zarzuciła na głowę bladoniebieski gazowy welon, w którym twarz jej nikła prawie, tylko oczy gorzały. Były jak gwiazdy w rozwianym tumanie obłoku.

A oni stali, stali bez słów.

Lucia pierwsza szepnęła, jakby lękając się zbudzić śpiącą noc:

– Waldy... ładnie tu; prawda?...

– Lubię park w tym stroju. I ten taras - odrzekł.

– Marzysz tu często?... Zawsze sam!...

– Nie, z myślami i... z wspomnieniami.

Lucia zadrżała.

– Zimno ci? Poczekaj.

Wyszedł prędko. Wkrótce powrócił, niosąc futrzany płaszcz.

Otulił nim Lucię. Ona pochyliła się ku niemu całą postacią. Uczuł jej ciężar na swym ramieniu. Błysk jej oczu gorejących przeniknął go dreszczem; ciepło ciała kobiecego zawieją rozkoszną musnęło nerwy. Wstrzymał się, aby nie porwać jej w objęcia. Stanął obok niej przy balustradzie, siląc się na spokój. Lucia przysunęła się bliziutko.

– Waldy.

Waldemar ścierpł. Szept jej był dziwny, jakby pochodził nie z jej własnych ust, jakby mówiła najgłębsza tajnia jej istoty, jakby samo serce bez pomocy warg.

Ordynat się przeraził.

Miało nastąpić wyjaśnienie. Czuł, że to już konieczne. Mgła Luci rozpadła się; ukazuje swój ukryty cud. Świadomość o nim błądziła w dotychczasowej mgle, ale nie objawiona.

Teraz zapada wyrok.

Waldemar nie śmiał odetchnąć.

– Waldy... - powtórzyła dziewczyna niby we śnie, czy w malignie, lecz wyczekująco.

Targnęła nim rozpacz.

Nie ma, nie ma sił! A każdym momentem łudzi ją, każdą chwilą staje się winniejszym, bezczelniejszym - wobec niej!...

Zerwać ułudę! Brutalnie rozwiać miraż.

Rozniecić prawdę! Ale prawda schłoszcze ich oboje.

Być szczerym - jak światło.

Odważnym - jak zbrodnia.

Więc popełnić zbrodnię? Zabić tę kobietę nagą prawdą, ratować zaś własną, by nie spadła w odmęt obłudy, popełnić obowiązujące kłamstwo i zaprzeć się duszy nieskażonej.

Dla litości?...

Dla przeogromnego współczucia, które wszakże nie jest nawet podnóżkiem uczuć miłosnych?...

Dla kilku roznieconych pożarów we krwi, która zgoła nie płonie?...

Dla nędznych podniet ciała?...

Nie, nie! Przenigdy nie!

Waldemar zdusił w sobie wzruszenie, siłę zamknął w swym postanowieniu.

Aby odważnie.

Lucia, nie słysząc jego głosu, wyczuwała drżenie jego ramienia. Pochylając głowę, włosami dotknęła jego twarzy.

Waldemar stał chłodny, otworzył usta, ale słowa ciężkie z trudnością mógł wydobywać z piersi.

– Luciu moja... Dawno już widzę... czuję... że... ty...

Słuchała, bez tchu, nie dziwiąc się nawet brzmieniu tych słów. Były ciche, łagodne, a złowrogie. Może straszne?...

Wtem trzask, światło lampy.

Wszedł na taras hrabia Trestka i lokaj.

Waldemar i Lucia odskoczyli od siebie. Ona wściekła, on - jeszcze uratowany.

– Co się stało?...

Trestka przywitał ich w milczeniu.

– Nie dziwi was tak późna moja wizyta? - spytał, patrząc na nich ciekawie.

Waldemar oprzytomniał.

– Żona pańska?... - zawołał.

– Dziękuję, zdrowa. Mamy syna. Ale właśnie dlatego nie mogłem żony wzruszać. Chłopak urodził się nam rano; w południe otrzymałem depeszę. Oto ona.

Ordynat i Lucia przeczytali razem.

– Z Paryża, od babki. Ciężko chora - rzekł Waldemar, jakby do kogoś jeszcze.

Weszli do salonu. Trestka mówił:

– Przyjechałem z tym do was. Rycia nic nie wie i oczywiście nie pojedzie. To zaś jest niezbędne.

– Więc ja pojadę - rzekł ordynat.

– No, nie! Tam potrzeba opieki kobiecej. Dobrzysia poczciwa nie wystarczy, to jest rola...

Trestka umilkł, nie wiedząc, jak to przyjmą.

– Moja! - podchwyciła Lucia.

– Tak.

Wszyscy troje umilkli. Lucia była podniecona. Wypieki ostre, nagłe,

wybuchły jej na policzkach.

Spojrzała na Waldemara. On unikał jej wzroku.

Trestka uścisnął rękę dziewczyny.

– Panno Luciu, w pani cały ratunek. Księżnej zostawić tak wśród obcych nie można. Oboje z Rycią będziemy niezmiernie wdzięczni - mówił serdecznie.

Lucia z rozdrażnieniem wysunęła dłoń z jego uścisku. Rzekła śpiesznie:

– Zbyteczne prośby. Muszę i pojadę pielęgnować księżną dziś zaraz. Ona jest babką... Waldemara - dodała ciszej.

Popatrzyła pytająco i nagląco w jego oczy, jakby oczekując protestu czy jakiegoś rozwiązania.

Ale on, tak jak i Trestka, pocałował ją w rękę, za całą zaś odpowiedź rzekł tylko:

– O dziadka bądź spokojna; pozostanie u mnie.

# XXXVIII.

Na wiosnę Bohdan opuścił Rusłock. Administracja żegnała go z żalem. I Bodzio był wzruszony, zżył się z kolegami, jedynie nie żałował Ponieckich.

Przybył na krótko do Głębowicz i z listami polecającymi od ordynata wyjechał zwiedzić kulturalniejsze majątki w kraju.

Najdłużej przebywał u książąt Giersztorfów, gdzie pod kierunkiem starego księcia odbył paromiesięczną praktykę.

List księcia do Waldemara, po wyjeździe Bohdana, pełny był uznania dla młodzieńca. Między innymi zawierał słowa: „Twoja krew, panie ordynacie, płynie w żyłach twego kuzyna. Wyda kiedyś rezultaty wyborne. Umiejętnie wydźwignąłeś go z czerczyńskich tradycji, i to jedna z twych zasług najpierwszych”.

Waldemar cieszył się niewymownie.

Bohdan nie poprzestał na kraju. Wyjechał do Galicji, do Węgier. Potem zwiedzał gospodarstwa czeskie, poznańskie. Jako wolny słuchacz uczęszczał jakiś czas na wykłady agronomiczne w Taborze. Bywał na różnych próbach w stacjach doświadczalnych.

Ordynat otrzymywał od niego listy, zawierające moc projektów. Listy, tchnące zapałem młodzieńczym. Przemawiała w nich dusza, obudzona już do życia i czynu, rwąca się naprzód, żądna działania. Dawna rozterka wewnętrzna przeistoczyła się w pewne zamiłowanie do walki z losem. Smutek, żal - pierzchły, zabite wrodzoną, lecz śpiącą dawniej, energią. Skłonność do marzeń została niezmienna, jednak zbyt szeroki jej wzrost hamował pozytywizm, nabyty wśród ludzi. Bodzio był idealistą, lecz trzeźwość miał zawsze w pogotowiu. Używał jej w warunkach wyłącznych. Szeroka i hojna jego natura szarpała się jeszcze gwałtownie w ciasnym zakresie swego lotu. Pomimo to Bohdan umiał się ścieśnić, bodaj

okrwawiając połamane skrzydła. Znalazł w swej duszy pęta na nią właśnie i używał ich czasem bezwzględnie.

Dojrzewał duchowo i umysłowo.

Cenił ordynata nade wszystko, idąc jego śladem. Waldemar był czynnikiem i twórcą jego odrodzenia. Ale sytuacja matki, przykra z powodu prawie już zrujnowanego przez Wiktora Czerczyna, stała się dla Bohdana równie silną pobudką, jak i pędem ambicji. Zawziętość ogarnęła go, wielkie pragnienie osiągnięcia pracy owocnej, która postawiłaby go na nieprzewidzianych, lecz trwałych podstawach bytu.

Tak przeszło pół roku.

Księżna Podhorecka po ciężkiej chorobie wyzdrowiała, lecz nie powróciła do kraju. Lucia pozostała przy niej z własnej chęci. Obie mieszkały w Szwajcarii.

Hrabina Trestkowa, która odwiedziła księżnę, mówiła potem Waldemarowi, że Lucia jest stworzona na pielęgniarkę chorych, że księżna bardzo wiele zawdzięcza jej troskliwości i że pokochała ją jak rodzoną wnuczkę.

Zapytana przez Macieja, czy Lucia prędko powróci do Słodkowic, pani Rita odrzekła, patrząc nieznacznie na Waldemara:

– Obecnie o tym nie myśli; jest jednak niewyraźna. Tęskni widocznie, ale... mówi, że jest tu zbyteczna.

Pan Maciej westchnął.

– Przeciwnie! Jest tu niezbędna!

– Gdyby o tym wiedziała, może zmieniłaby zdanie?... - rzekła Rita bez przekonania.

– Tak... gdyby jej tylko o mnie chodziło - szepnął staruszek.

Waldemar udał, że nie słyszy.

On rozumiał Lucię i jej uczucia. Po owej scenie na tarasie wyjechała z nadzieją, że on pośpieszy do niej lub wreszcie jakimś sposobem, choćby listownie, zakończy trapiącą ich wspólnie mękę niepewności. Ale słowa, niedopowiedziane, wsiąkły wraz ze śniegiem w zaśnieżony park i stopniały. Lucia, nie widząc wówczas twarzy Waldemara i nie odgadując należycie zmiany w jego głosie, nie przeczuła, jaki miał być dalszy ciąg jego słów.

Pozostała w złudzeniu.

Minęła zima, wiosna i lato.

Waldemar nie przyjechał.

Lucia zacięła się w zranionej dumie; nie chciała wracać.

Przeszło już pięć lat od śmierci Stefci Rudeckiej, narzeczonej Waldemara, i pięć lat od czasu rozbudzonej po raz pierwszy w sercu Luci miłości do niego.

Pięć lat nadziei, walk, cierpień potęgujących się stale; chwilowych ułud, pryskających prędko; zwątpień i niepewności.

Prawda zbyt widoczna się stała.

Lucia, w przystępie krańcowego tragizmu, postanowiła wyjść za Brochwicza.

# XXXIX.

Księżna Podhorecka patrzyła z żalem na żałobną twarz Luci. Staruszka rozumiała wszystko. Nie uszło jej uwagi wzruszenie baronówny przy odczytywaniu każdego listu od Waldemara, przy każdej o nim wzmiance. Milczały obie; jedna nie wyjawiała swych uczuć, druga swych pragnień. Księżna życzyła sobie małżeństwa wnuka z Lucią, lecz nie dla partii, lecz chcąc nareszcie widzieć go szczęśliwym. Dawne marzenia świetnego ożenku dla ordynata przestały już nurtować staruszkę.

Ale teraz Lucia niepokoiła księżną. Smutek osiadł na rysach dziewczyny, lecz zbudziła się w niej ironia i jakaś zawziętość względem Waldemara. Nie chciała teraz o nim słuchać, nie czytała jego listów. W błękitnych oczach dziewczyny błyszczał chłód metaliczny, stała się sztywną, dumną.

Księżna pewnego dnia wrześniowego zlękła się, gdy oznajmiono Luci, że w salonie czeka Brochwicz. Baronówna złożyła książkę, którą głośno czytała, zaśmiała się przykrym chichotem i rzekła nerwowo:

– Prosiłabym babcię o błogosławieństwo, gdyby... gdyby nie było to szczytem komedii.

Wybiegła z pokoju.

Rozmowa z Jerzym ułożyła się od razu, bez wstępów.

– Pan chciał się ze mną pożegnać, więc pan wyjeżdża? - spytała Lucia po przywitaniu.

Brochwicz był jak martwy, obszyty w sztuczną obojętność.

– Tak, jadę jutro rano.

– Dokąd?

– To mniejsza...

– No, przecież nie na zdobycie bieguna?

Zmarszczył się, usta mu drgnęły.

– Czy nic lepszego nie ma mi pani do powiedzenia?

– Owszem... jeszcze coś - odrzekła Lucia innym tonem i usiadła na pluszowej kanapce.

Hrabia stał przy oknie, złożył ramiona na piersiach i patrzył na nią takim wzrokiem, jakby oczekując nowego szyderstwa.

Baronówna chwilę zmagała się ze sobą, po czym śmiało podniosła głowę.

– Czy pan mnie... stale kocha? – wypłynął cichy szept z jej ust.

Jerzy oburzył się.

– Pani wie o tym najlepiej!

– No, a ta... wenecjanka?... Ta, która usidliła pana na lagunach?

Głos Luci trochę syczał.

Brochwicz nie poruszył się, tylko ogień czerwony przefrunął przez jego twarz.

– Więc pani o tym wie? Więc panią to interesowało, może niepokoiło?

Ożywił się nagle; głos jego stał się cieplejszy.

Lucia odparła obojętnie.

– Wiedziałam, bo zbyt głośno szeptano o tym w buduarach, interesowałam się zaś o tyle, że sądziłam, że pan uleczony.

– A czy pani wie, dlaczego tamta mnie porywała? Dlaczego mdlałem w jej uścisku, dlaczego... szalałem?

– Ach! Nie badam psychologii pańskich namiętności.

– Więc ja pani to wytłumaczę. Ta piękność wenecka miała kolor włosów pani, kolor jej oczu i imię miała Lucji „Luci”... Teraz pani rozumie? Kocham nad życie i bez wzajemności. Dlatego właśnie oszalałem chwilowo dla tamtej...

– Szkoda, że - tamta nie nazywała się Julia Capuletti i że się to nie działo w Weronie. Na Romea ma pan duże zdolności - szydziła Lucia.

Brochwicz stał jak biczowany, bez słowa, niemal z rozkoszą bolesną.

Baronówna powstała z kanapki.

– Niechże pan nareszcie nie pozwoli na szyderstwa. Niech pan zabroni mi tego! Niech pan nie będzie tak tragicznie zgnębiony i... i... taki pokorny. Nie znoszę tego! Brzydzę się pokorą! - wybuchnęła z irytacją.

Hrabia podszedł do niej i wyciągnął ręce.

– Żegnam panią! Odchodzę. Ironia kobiety ukochanej może w mężczyźnie wywołać nawet brutalność, ale tylko wtedy, gdy on posiada jej miłość. Gdy jest przeciwnie, ona jest panią położenia, jemu zaś pozostaje jako jedyna obrona... cierpliwość.

Ucałował ręce Luci z uczuciem. Dwie łzy zaszkliły mu się na rzęsach.

– Żegnam panią i... proszę...

– Panie Jerzy... A gdybym ja... pomimo wszystko... chciała być pańską żoną?... Czy... pan by mnie zechciał - rzekła Lucia, poruszona do głębi.

– Czy to nowe szyderstwo? - spytał, patrząc jej w oczy.

– Nie: Mówię szczerze.

– Panno Luciu!... Więc pani?...

– Niestety, nie kocham pana, pan wie o tym, ale... męczę się i ja strasznie. Jeśli mnie pan zechce taką, to... może będziemy... uspokojeni...

Jerzy tulił jej ręce do piersi. Szeptem ledwo słyszalnym zapytał:

– A... tamte nadzieje... pani już pogrzebała!

Lucia wzdrygnęła się.

– Prawie.

– Jednak... pani jest niepewna?...

Baronówna spojrzała błagalnie.

– Proszę, nie mówmy o tym. Chce mnie pan, czy nie?

– Pragnę cię, wielbię i chciałbym cię ukoić, upieścić, abyś zapomniała o swej niedoli. Jednak... daj mi trochę nadziei, że... z czasem pokochasz mnie, Luciu!... Luciu moja!

Jerzy mówił z przejmującym uczuciem, ustami pełnymi płomieni.

– Nadzieja? - odszepnęła Lucia. Ha! Niech ją pan ma. Miejmy ją oboje! Ale nadzieja to ślepy magnes, wciągający ludzi na kolce życia, na jego ostrza.

Lecz miejmy ją: może ujarzmimy ten zły magnes? Może złagodzą się nasze dramaty, nasze bóle? Jeśli pan chce, jestem jego...

Brochwicz uścisnął jej dłonie. Rzekł smutno:

– Nie dziękuję ci, bo za ofiarę dziękować nie można. Do uczuć moich dodałaś jeszcze trwogę, by cię nie stracić, Luciu, ale mam wiarę.

– I pan się nie boi? - spytała z podziwem.

– Nie. Zdaje mi się, że oboje nie mamy nic do stracenia - rzekł z mocą. I jeszcze, upoważniam cię, jedyna, do zerwania ze mną, gdyby... tamte nadzieje ożyły.

Twarz mu się skurczyła cierpieniem, oczy zaszły ponurą mgłą. Szarpał własną duszę, ale chciał ją mieć czystą.

Lucia spuściła oczy.

– Ty jesteś szlachetny, ja zaś... podła!

Objął ją ramieniem delikatnie jak dziecko, wyszeptał łagodnie, schylony nad jej jasną głową:

– Nie, ty jesteś prawa i szczera, tylko bardzo biedna, i masz bardzo starganą duszę.

Wieść o ich zaręczynach doszła do Głębowicz w jesieni. Zgnębiła pana Macieja boleśnie, Waldemara zaś przestraszyła.

– Ona zabija się - jęknął Michorowski, łamiąc ręce nad głową.

Tego samego dnia ordynat otrzymał list od hrabiego Herbskiego z Wiednia, donoszący mu, że w Jockey-Clubie spotkał Bohdana.

Waldemar natychmiast wyjechał za granicę.

## XL.

Ostatnie piękne dni jesienne rzucały na Prater wiedeński mnóstwo rozświetlonych plam powietrznych. Drzewa okryła purpura królewska oraz chińska barwa gorąco-żółta. Jeszcze szaty kolorowe otulały grube korony drzew, a różnorodność ich pociągała oczy.

Park kipiał życiem. Używano resztek pogody. Powozy prywatne, zaprzęgi dworskie, częstokroć niczym kosze, bogate w kwiaty pięknych kobiet, lśniły swym przepychem w przepychu słonecznym. Aleje dla jeźdźców gęsto zdobiły zręczne amazonki, otoczone sportsmenami pierwszej mody. Szyk wiedeński rozlał się tu szeroką, bujną falą, oślepiał swą świetnością, łagodnie pieścił umiłowanie piękna, budził wytworność.

Wśród grona jeźdźców malał cokolwiek, ale nie znikał Bohdan Michorowski. Jeździł na ślicznej klaczy angielskiej, pochodzącej ze stajen hrabiego Elemera Szotenyi, Węgra, byłego partnera ordynata Michorowskiego z zabaw klubowych. Teraz towarzyszył Bodziowi.

Hrabia Elemer, śniady brunet, wrzący temperamentem, młodszy od ordynata i również kawaler, wciągał Bohdana w niebezpieczne dla niego kółka hulackie. Zabrał go do Wiednia ze swego majątku, który Bodzio

zwiedzał, i trzymał młodzieńczyka w ciągłym podnieceniu nerwów.

Bohdan zanurzył się w rozkosznej kąpieli życia stołecznego, już trochę zasnutego w jego pamięci. Czuł za plecami obowiązek szepczący morały, ale udawał, że ich nie słyszy. Jedynie, co go kłuło aż do utraty zmysłów, to obawa pożyczki. Lękał się stracić pieniądze, które posiadał, drżał na myśl przegrania grubszej sumy, i ciągnięty przez Szotenyiego siadał do stolika z miną miliardera, ale z duszą pełną strachu. Trzymał się jednak na wodzy i bronił, jak umiał, swej kieszeni. Chwilami, gdy niebezpieczeństwo już, już zaglądało do niej, Bodzio w nagłej rozpaczy pragnął trzęsienia ziemi albo pożaru, byle tylko móc zemknąć z tego piekielnego klubu. Kiedy raz przeczuł, że będzie musiał postawić grubszą stawkę, uległ zwykłej szczerości i rzekł do Elemera - tonem opryskliwym.

– Hrabia myśli pewno, że każdy Michorowski jest Rotszyldem i może złotem pokrywać dachy. Ja jestem z tych... miedzianych Michorowskich i radzę wam, dajcie mi spokój, bo będzie kłopot, jak się udławię tymi kartami.

– Och! Głębowicze to krezusowa fortuna! Nie ma obawy - wnioskował paniczyk galicyjski, przerobiony na wiedeńskiego barona.

Bodzio się rozgniewał.

– Ja mam takie same prawa do fortuny głębowickiej, jak do hiszpańskiego tronu. Nawet gdybym zaczął bardzo szperać, to... kto wie! Może zostałbym kandydatem do korony Bourbonów, ale do eksploatowania kasy głębowickiej nie mogę mieć pretensji.

Od tej pory przestał grać.

Hrabia Elmer, ujęty jego szczerością, nie nalegał. W inny sposób zabawiał umysł młodzieńca. Wprowadzał go do salonów arystokratycznych i do ukraszonych buduarów sezonowych piękności. Anny nicejskiej Bodzio nie spotkał, ale zawarł parę innych, równie ryzykownych znajomości. Jeżdżąc w Praterze, Szotenyi wskazywał mu oczami pierwszorzędne meteory półświatka i damy wysokich sfer. Bohdan, zależnie od humoru, albo gapił się, albo ziewał, objawiając tę czynność lekkim krzywieniem nosa.

Ujrzał raz w powozie dworskim młodą osobę w ciemnym kostiumie i w dużym czarnym kapeluszu. Zrobiła na nim dziwnie miłe wrażenie; przypomniała dobre chwile, ściśle spojone z Głębowiczami.

– Ach, tak! Lucia! Bajecznie do Luci podobna - rzekł głośno z uśmiechem.

Wskazał powóz Szotenyiemu, pytając, kto w nim jedzie.

– Arcyksiężna Maria Beatrycza – odrzekł hrabia.

– Jaka ona śliczna!

Elemer się uśmiechnął.

– Aż śliczna?! To za wiele. Jest przystojna i bardzo wdzięczna. Zawsze poważna, trochę posągowa.

Bodzio się zamyślił. Wreszcie rzekł:

– Mam kuzynkę, podobną do niej, która będzie prędko...

Zaciął, się i umilkł. Hrabia Elemer zauważył jego zmieszanie.

Podchwycił skwapliwie.

– Która będzie pańską żoną?

– Bohdan poczerwieniał, aż skoczył na siodle. Spojrzał podejrzliwie na hrabiego i wybuchnął.

– Ach nie!... Co znowu. Żoną ordynata Michorowskiego.

– Aa!

Bodzio się zląkł. Uczuł palący wstyd.

– Hrabio, ale... proszę o dyskrecję.

– Ależ... naturalnie. Cieszę się, że już o tamtej zapomniał. O tej - wie pan... szlachciance, która umarła. Dziwiliśmy się w naszym świecie, że ordynat zszedł po żonę, zamiast wspiąć się po nią, do czego miał prawo. Bo też to był szczególny pomysł. Magnat - i szlachcianeczka!

Bohdan uczuł nagłą złość do Szotenyiego, do Luci - nie wiadomo za co, i nawet do ordynata. Zmarłej Stefci współczuł serdecznie, kochał ją. Wydała mu się jakby łąką polską, po której tratują kopyta austriacko_węgierskie. Złość swą skierował na hrabiego. Rzekł trochę ironicznie:

– Już kto jak kto, ale wy tu, wiedeńczycy, nie powinniście urągać na nierówne małżeństwa. Wasi arcyksiążęta mogli was do tego przyzwyczaić; są bowiem swobodni w dobieraniu partii i niewybredni.

– Ja nie jestem arcyksięciem, lecz magnatem węgierskim i cenię wysoko starożytne rody - rzekł sucho Szotenyi.

Bodzio się uspokoił.

– Prawda! Węgierscy magnaci sami żenią się z arcyksiężniczkami. Zapomniałem! Zresztą... mało mnie to obchodzi – dodał szeptem.

Od tego dnia Bohdan bywał często w Praterze tylko w celu ujrzenia Marii Beatryczy. Jeździł w ślad za jej powozem; gdy była konno, trzymał się opodal i zjadał ją oczami.

Szotenyi nie mógł zrozumieć, czy młodzieniec zakochał się w arcyksiężniczce dla niej samej, czy dla wspomnienia kuzynki.

Ale i Bodzio z pewnością odpowiedzieć na to nie umiał.

Hrabia Elemer polubił młodego towarzysza, bawił się doskonale jego dowcipem i zabawną nieraz otwartością.

Wybierali się obaj na bal do Burgu. Bohdan promieniał. Uczył się od Szotenyiego pewnych form ceremoniału dworskiego i coraz ogniściej wzdychał do arcyksiężniczki.

Gdy wreszcie kareta węgierskiego magnata wjechała na dziedziniec Burgu, serce Bohdana tłukło się, jak u panny przed pierwszym występem w świat. Rozpalone rzęsiście okna cesarskiej siedziby, wielka ich moc i ciężkie mury dokoła przygniotły trochę swobodę Michorowskiego. Na jeden moment stanął mu w myśli zamek głębowicki, lecz nagle zapadł się z łoskotem, jak gdyby pokonany, i w umyśle Bohdana zapanował wyłącznie starożytny gmach Habsburgów.

– Tam jest arcyksiężniczka Maria Beatrycza... Beatrycza... – powtarzał w myśli młodzieniec, lubując się tym imieniem.

Wspaniałe przedsionki, zastępy służby strojnej, schody ubrane palmami i

cyprysami, mnóstwo potoków białego światła, szum materii drogocennych, poważny szept rozmów: wszystko to nieco Bodzia odurzyło. Do głowy buchnął mu niby mus szampana rozkoszy, targnął nerwami, roziskrzył ciemne źrenice. Bohdan uczuł w sobie bezmiar zdobywczej werwy, taki niesłychany prąd radości i szczęścia, że chciał głośno krzyczeć. Gdyby mu się teraz Maria Beatrycza rzuciła na szyję, wcale by się nie zdziwił.

W sali balowej znalazł już znajomych. Szotenyi zaś jeszcze go przedstawiał magnaterii węgierskiej i austriackiej. Bodzio wirował swobodnie wśród utytułowanych grup męskich, zręcznie wymijał dworskie treny dam, mówił dobrze i z zapałem. Wspomnienie ordynata Waldemara żyło jeszcze w tych towarzystwach, więc to samo nazwisko znakomicie torowało drogę młodzieńcowi. Wpadł w otchłań przepychu i chciwie zgarniał do swej piersi skarby życia zewnętrznego.

Spoglądał wyczekująco na drzwi, skąd miał wejść dwór.

Silne wrażenie zrobiło na nim ukazanie się starczej postaci cesarza. Prosty, w swym wojskowym uniformie, głowę tylko pochylał nieco naprzód i witał uprzejmie zebranych, których mu przedstawiali dworacy. Mało było takich; przeważnie salę zapełniał wielki świat, stale tu uczestniczący.

Bohdan, przedstawiony cesarzowi, złożył dworski ukłon. Usłyszał parę miłych słów monarchy, skierowanych do siebie, ale tyczących się raczej nazwiska, które nosił. Rozmawiał z dworzanami, na ich wyraźne wzmianki o ordynacie, Bohdan odpowiadał co należało, ale jednocześnie doznawał uczucia przykrej niechęci.

– Cóż oni wszyscy tylko o ordynacie?... - pomyślał.

W podnieceniu swym zapomniał na razie, że jest jakiś Michorowski więcej znany od niego.

Złe wrażenie minęło prędko pod wpływem siwych oczu Franciszka Józefa. Cesarz rozmawiał z innymi, Bodzio zaś stał bez ruchu, patrząc na łagodne, głębokie źrenice starca, wyblakłe już, ocienione brwią siwą, trochę apatyczne. Te oczy, bruzdy na czole i fałdy twarzy, wchłonęły w siebie dużo smutków i tragedii. Bohdan czytał w nich jakby historię nieszczęść Habsburgów, z dominującym krwawym dramatem następcy tronu Rudolfa, z zabójstwem cesarzowej Elżbiety. Przypomniał sobie, że jest w murach, nasiąkłych fatalizmem, że grasuje tu legenda o szarym człowieku, który ukazaniem się poprzedza nieszczęścia. Bodzio wzdrygnął się. Odwrócił oczy od cesarza i zobaczył ponad sobą arcyksiężniczkę Beatryczę.

Na jego ukłon odpowiedziała łagodnym uśmiechem i pochyleniem głowy. Odeszła w gronie dam, poważna, niepokalana w swej białej sukni. Bodzio zobaczył dziewiczy kark, otoczony perłami, falę lśniących włosów i wśród nich migotliwy brylant. Posunął się za nią, lecz odgrodziły go złociste mundury orszaku cesarskiego, fraki ministrów, sążniste treny pań. Arcyksiężniczka znikła w świetnym tłumie.

Bohdan był zły. Musiał słuchać ciągłej gadaniny młodego galicjanina - barona, który dzielił się z nim wrażeniami.

– Niech pan spojrzy na tę damę w złotej gazie. Stylowa, co? Jaka koafiura! To księżna Montano. Szalałbym za nią, ale musiałaby zmienić uczesanie: nie lubię takich gruszek perłowych na czole. A ta, w tych sznurach pereł, to księżna Furtzberg. Strasznie dumna. A teraz idą dwie Grunendorfki, hrabianki. Jedna taka sobie, uszłaby na szarym końcu przy stole, ale ta druga... Właściwsza byłaby w jej ręku warząchew, niż wachlarz. Co? Prawda? Zupełnie nie dla sali w Burgu. Cóż za policzki!

Bodzio patrzył bez zajęcia. Szukał migotliwego brylantu we włosach.

Baron dotknął jego ręki.

– Niech się pan lekko obejrzy. Widzi pan tę oryginalną twarz w lokach? To hrabina Matylda! Wiecznie pozuje na prababkę z portretu. Kocha się w niej podobno jakiś arcyksiążę. A ta, która rozmawia z arcyksięciem D.Este, co ma takie ukośne brwi, a la gejsza, to hrabina Gizela Wichy. Cudne ma ramiona. Szaleje za nią pół Pesztu.

Baron mówił z miną niedbałą i z dumą, że zna wszystkie damy, jak gdyby chciał Michorowskiemu zaimponować. Ale ten odrzekł bez zachwytu:

– Z pana, widzę, niezły ekspert salonowy. Ocenia pan jak padyszach szeregi dziewic, przeznaczonych do haremu.

Galicjanin zabawnie stulił usta.

– Ja je wszystkie znam! Muszę jeszcze pokazać panu hrabinę Dalmy. Oczy - bajeczne! Szyja - jak to mówią - łabędzia... Chociaż, długa szyja u kobiety jest wstrętna. Nogę Dalmy ma piękną, bo te inne, to co do nóg stoją niżej. No, wiedenki zawsze górą. Pokażę panu i hrabinę Szatek. Biust ma jak świątynia Wenery, biały, wypukły!...

Bodzio uczuł gniew.

– Co mnie tam Niemki obchodzą? Widziałem piękniejsze.

Baronik się obraził.

– Nie zna pan nazwisk, bo są tu i Węgierki.

– Wszystko jedno!

Panicz odszedł. Bohdan mógł swobodnie szukać arcyksiężniczki.

Rozpoczęły się tańce. Michorowski mile został zdziwiony widokiem par, płynących przy dźwiękach poloneza. Widział tańczących Polaków, którzy wyróżniali się majestatycznością ruchów i panie polskie, wdzięczne, jak prawdziwe księżne. Wkrótce ujrzał i arcyksiężniczkę. Tańczyła z jednym z dygnitarzy. Oczy jej duże, szczere, jakby trochę smutne i zdziwione, oczy dziewczynki w magazynie pięknych lalek, zatrzymały się na twarzy Bohdana. Jego zachwycony wzrok wywołał słaby uśmiech na ustach Beatryczy.

Minęła go powiewnie, uniesiona tańcem, jak pasemko białe piany na fali rzecznej.

Przemknął koło niego Szetenyi.

– Pan nie tańczy? - spytał.

Pochylił się do swej damy i znikł.

Michorowski ruszył wytrwale w stronę arcyksiężniczki. Migały mu przed oczami cudne twarze, skrzyły się klejnoty. Pomimo gwaru, w sali był dziwny

stygmat uroczysty. Etykieta królowała, i ona właśnie, wzięła salę w swe zaklęte państwo, nadając jej tonu. Pachniał, szeleścił, błyszczał długi wąż tancerzy. Mnóstwo rozmaitych figur ludzkich, jak gdyby zaszytych w złociste pokrowce, tworzyło jaskrawe grupy przy wejściach i pod ścianami. Kwiaty sypały się wszędzie.

Bodzio znowu dojrzał z daleka Marię Beatryczę z jakimś magnatem węgierskim, ubranym w przepyszny strój narodowy. Gdy już byli blisko, Bohdan szybko oderwał z krzewu tuberozy smukłą gałązkę, oblepioną białymi kieliszkami kwiatów. Serce biło mu gwałtownie; zabrakło mu tchu.

Beatrycze i jej tancerz zrównali się z nim. Magnat spojrzał na Bodzia obojętnie, ona lekko rozchyliła usta. Michorowski ślicznym, łagodnym ruchem rzucił kwiecistą gałązkę pod stopy księżniczki.

Ona nie spostrzegła tego. Pantofelkiem zgniotła tuberozę, i pociągnięta przez tancerza znowu znikła.

Tren sukni odrzucił gałązkę na środek sali.

Zakochany skoczył, porwał zmięte kwiaty i nieznacznie przycisnął je do ust.

Po czym schował pod klapę fraka.

Jeszcze coś słyszał dokoła siebie. Coś szumiało, grało, płynęło, ale to wszystko przestało już Bodzia zajmować.

– Dwór odchodzi - rzekł ktoś w pobliżu.

Bohdan nie zobaczył już arcyksiężniczki.

## XLI.

Zamglony poranek jesienny osnuł wilgotnym pyłem ulice Wiednia. Nad Burgiem zwisały pajęczyny mgiełek. Mury cesarskiej rezydencji wznosiły się ciężkie, wiekowe i jakieś groźne. Dokoła osiadła mokra ociężałość.

Michorowski chodził wolno w bliskości pałacu, oczyma przebijał okna.

Tęsknił i marzył.

Pragnął odgadnąć, za którym oknem jest ona. Imaginacją rozwalał mury pałacowe i widział arcyksiężniczkę taką, jak na balu: białą, poważną, z rozchylonymi ustami, depczącą jego tuberozę.

W duszy swej czuł zgrzyt, jakby się w niej coś ścierało. Niesmak ogarniał go uparty, przykry.

– Co ja tu robię pod tymi murami? - myślał.

Ale coś go trzymało.

Zobaczył małego chłopca, roznosiciela gazet. Obdartusek stał z plikiem pism pod pachą i gapił się z otwartą gębą na pałac. Od czasu do czasu drapał się w kolano, poprawiał wypłowiałą czapkę i patrzył, patrzył. Bohdan zauważył straszną ironię w porównaniu wspaniałości gmachu i otoczenia z tym biedakiem ulicznym. Chłopczyna spoglądał na Burg jak na cud świata, jak na rzecz niedostępną dla niego całkowicie. A patrzył chciwie, z widoczną

rozkoszą, z zachwytem, niemal z pobożnością.

Bohdana myśl nagła tchnęła niemile.

– Ten obdartus... to ja!

Wybuchnął złym śmiechem - i odszedł.

Niesmak potęgował się. Myśl buntowała uczucia. Słyszał wewnętrzny jej szept.

– Po co ty łazisz, biedaku zrujnowany? To już dla ciebie tylko świat snów. Po coś był na balu?... Ty - oficjalista! Pożegnaj się z wielkim światem, miej dumę... Nie bądź nędzarzem, szukającym zmiłowania pod pańskim progiem...

– Porzuć złudzenia. Idź w swój istotny świat, o dawnym środowisku zapomnij.

– Młodzieniec wstrząsnął się, jak pod zimnym prysznicem. Duma wezbrana złością ugryzła go boleśnie.

– Prawda! Prawda! Po co ja tu?!

Żal niesłychany błagał o litość, ale trzeźwa rzeczywistość chłostała. Obowiązek zaczął go coraz ostrzej tyranizować swą mową.

– Przyjechałeś uczyć się, korzystać; płacą za ciebie, a ty – hulasz?!...

Serce zalała mu krew.

Duma cisnęła mu do oczu straszny widok zrujnowanego Czerczyna, matkę opuszczoną, biedną, bankrutkę po dwóch synach i jego samego pod zgiętym karkiem pod drzwiami magnackiego zamku. Cisnęła mu nędzę przyszłych upokorzeń, wiecznej żebraniny i pukania do łaskawości milionowego wuja, ordynata. Cisnęła mu wzgardę i niechęć.

Pokusa dawała mu słodkie nadzieje.

Duma rzucała obelgę.

Bohdan snuł się obok Burgu niby pijany. Chciał wyrwać pokusę z piersi, ale i dumę chciał odrzucić precz.

Obie mu dokuczały.

Zjawa upadłego Czerczyna zwyciężyła.

Michorowski stanowczym krokiem ruszył przed siebie, mijając pałac.

Wtem zobaczył, że chłopak z gazetami ucieka, ile sił starczy. Papiery rozpadały się po drodze.

Bodzio się obejrzał.

Szyldwach w bramie pałacu stał przed swą budką i prezentował broń.

Ukazał się odkryty powóz, w nim zaś cesarz i arcyksiężniczka Maria Beatrycza.

Młodzieniec stanął jak zdrętwiały.

Paru przechodzących mężczyzn odkryło głowy w ukłonach.

Bohdanem szarpnął nagły wstyd. Wtem spotkał wzrok arcyksiężniczki. Wzrok chłodny, obojętny, matowy, taki sam, jakim patrzyła na szyldwacha w bramie. Zanim ochłonął, zobaczył już daleko lśniący powóz i duży kapelusz Beatryczy.

– Nie poznała mnie.

Śmiech szyderczy, wściekły, śmiech zwyciężonej dumy zatargał jego piersią.

– Dobrze ci tak, ośle!... - wyrzucił Bodzio przez zwarte zęby.

Jednocześnie uczuł ulgę niezmierną, jakby przebudzenie po śnie, w którym się topił. Odrodzony na nowo, z obrazem miłowanej idei w duszy, opuścił Burg. Wracał do realności.

# XLII.

W Wiedniu ordynat Waldemar Michorowski udał się przede wszystkim do hrabiego Dominika. Ten go uspokoił.

– Zaalarmowałem ordynata niepotrzebnie. Bohdan bywa wprawdzie wśród klubowców, ale się nie hazarduje. Węgierscy magnaci wciągają go w grę w karty, lecz daremnie, bo on zbyt powściągliwy.

Herbski opowiedział Waldemarowi parę faktów, rzucających dobre światło na Bodzia. Młodzieniec umiał się zwalczyć.

Hrabia prawie przekonany do niego, nie mógł się dość nadziwić zmianie, zaszłej w jego naturze. Mówił zdumiony, składając zwykłym ruchem splecione ręce na żołądku.

– Był urwis, teraz jest zuch. O! Inaczej określić go nie można. Ordynat dobrze mu przepowiedział: będzie z niego człowiek.

– A widzi hrabia! - odrzekł Michorowski z niezwykłym ożywieniem. Ja go wcześniej przeczułem.

– No, narowy jeszcze ma - poprawił się Herbski - ale już mniej szkodliwe. Takie narowy...

– Michorowskich - dodał Waldemar.

Hrabia się skrzywił.

– Niezupełnie; mniej kulturalne. Ale może, może... Bohdanem kieruje jakaś idea, tylko trudno ją zbadać. Może miłość?...

Waldemar spoważniał.

– Co pan mówi?... E, nie! Chyba coś nowego?

– W każdym razie jakiś ideał ma w duszy - potwierdził Herbski.

Z ulubieńcem swoim ordynat zobaczył się w mieszkaniu hrabiego. Chłopak był uszczęśliwiony tym spotkaniem. Opowiedział Waldemarowi przebieg swej podróży, odniesione z niej korzyści; wykładał śmiało i ze znajomością.

– Jakie masz zamiary - spytał ordynat.

Bodzio nagle poczerwieniał.

– Bardzo szerokie, wuju!... - rzekł trochę nieśmiało.

Waldemar zdziwił się, nie z powodu słów, lecz wyrazem jego twarzy.

– Na przykład jakie?...

– Widzi wuj, to może śmieszne w moim położeniu, ale zdaje mi się, że nie głupie. Chcę bardzo pracować. Intensywnie. Być popychadłem, jak w Rusłocku, nie potrafię. Myślę o objęciu posady rozległych zakresów, dającej

duże poloty i korzyści materialne.

– Czy pan wydoła? - spytał Herbski.

– Chcę i muszę. Lecz pierwsze jest dla mnie ważniejsze. Musem nie wszędzie dam się zaprowadzić, ale własna wola poniesie mnie daleko.

Bohdan mówił z przejęciem. Stał prosty, z zapałem w piwnych oczach. Młodzieńcza pierś jego gromadziła w sobie jakby siłę przemożną, która zdawała się ją rozszerzać. Szlachetna egzaltacja zdobiła jego bladawą twarz.

– Hrabia pyta, czy podołam? Już zrobiłem wiele z siebie samego; zrobię więcej. Czuję młodość; coś we mnie rwie, ale... brak mi rozpędu!

Nerwowo zatrząsł dłońmi.

– Jednak wynajdę dla siebie dalszy widnokrąg. Pragnienie mam ogromne. Ale znowu myślę, że gdybym celu dosięgnął, może straciłbym już werwę... Tego się boję. Mam wrażenie, że człowiek, zdobywszy jakąś placówkę wymarzoną, choćby szedł do niej z poszarpanymi od trudu stopami, gdy już ją ma, jest... jakby to powiedzieć?... Jakiś skończony, czyli ma świadomość, że nic już nad to nie zrobi. To smutne! Bo wtedy się pewno gnuśnieje?

– Dlaczego? Można iść stale wzwyż - rzekł Waldemar.

Bohdan skrzywił usta z powątpiewaniem.

– To rzadko! Przeważnie w takich razach oczekuje się tylko... oklasków, jeśli nawet nie pomnika. Sytość duchowa to to samo, co pełność żołądka - napawa sennością i zatraca czyn.

– Nagle roześmiał się szczerze, swawolnie i błysnął oczyma.

– Ha! Ha! Przedwcześnie się martwię. Ja i... oklaski? Ja i... pomnik?... Sytość duchowa i zbytki tym podobne. Ha! To nie dla ciebie, Bodziu, ty tego nie osiągniesz.

Śmiał się trochę boleśnie i znowu rzekł, zaciskając dłonie.

– A jednak będę lazł do swego celu, zapatrzony w swą ideę, i dolezę. Choć, być może, całe życie na to poświęcę.

Ordynat i Herbski zamienili ze sobą spojrzenia. Ordynat rzekł:

– Wybacz mi, Bohdanie, niedyskrecję, lecz... powiedz mi... Mam pewne prawa zapytać się o to.

– Pytaj wuju.

– Powiedz mi jaki jest twój główny cel, i co jest ową ideą?

Bodzio zmarszczył brwi. Trochę się wahał, ociągał. Wreszcie rzekł odmiennym tonem:

– Chcę, wuju, z czasem naturalnie, wyratować i odzyskać Czerczyn; oddać mamie jej sumę, wchłoniętą przez majątek, i Wiktora może... własnym przykładem ocalić. Chcę, aby Czerczyn stał się podobny do Głębowicz.

– I aby był pańską własnością?... - spytał ciekawie hrabia Dominik.

Bohdan zapłonął gniewem.

– Nie, zaborcą nie będę. To dziedzictwo Wiktora. Ja chcę ich ratować, ale nie okradać podstępnie. Swoje wybrałem.

Waldemar rozpromieniony spojrzał na przyjaciela.

– Oto jest idea i jego cel - rzekł ze wzruszeniem.

Bohdan spuścił oczy, trochę się zmieszał. Ordynat to zauważył.

– On jeszcze coś ukrywa - pomyślał niespokojnie.

Herbski zdumiewał się, winszował młodzieńcowi zapału i szczerze życzył powodzenia.

Bodzio odpowiedział ze śmiechem:

– Panie hrabio. Dopiero zaczynam piąć się, jak niegdyś na zwierzyniecki płot w Głębowiczach. Ale mnie krzepi wiara, że cel opanuję. To duża siła.

– Tak, i twórcza - dodał Waldemar.

# XLIII.

Bohdan bez żalu żegnał Wiedeń. Na zaproszenie Szotenyiego odpowiedział szczerze, że nie prędko znowu odwiedzi stolicę naddunajską. Ale gdy pociąg ruszał, Bodzio patrzył w stronę Burgu z jakąś smętną tęsknotą, której nawet nie rozumiał. Zostawiał tu swoje dni zapomnienia, dni upojeń i swobody. Cieszył się, że opuszcza rozpustne zabawy, bo po nich pozostał mu jedynie niesmak. Burg zaś i arcyksiężniczka byli jak gdyby symbolem nadziemskiego świata, żegnanego może na zawsze.

Ordynat, widząc dziwny stan młodzieńca, nie pytał o nic, lecz starał się wybadać, co mu jest. I Bodzio wyznał, co miał na duszy. Lecz o arcyksiężniczce zamilkł. Wstydził się swych zapałów. Bohdan nie skarżył się przed Waldemarem na los: jedynie mówił ze smutkiem, przez który przebijała ironia, skierowana do samego siebie. Ordynat jednakże odgadł, że uczucia chłopca były dotknięte, z paru zaś słów jego przeczuł bohaterkę. Może dostrzegł fotografię Marii Beatryczy w portfelu kuzyna?

Waldemar nie czuł obawy; wydało mu się to dzieciństwem i zarazem niegroźnym, bo obudzeniem się marzeń idealnych, poczętych niby w ślicznej woni konwalii wiosennych. Wolał dla Bodzia to, niż Annę nicejską lub primabalerinę warszawską.

Wśród jednej z takich rozmów Bodzio spytał:

– Dlaczego ty, wuju, tak mało teraz uczęszczasz w świecie. Na przykład w Burgu wiele osób o ciebie pytało, nawet cesarz.

– Cóż im odpowiedziałeś?

– Rozmaicie. Jak komu. Cesarzowi powiedziałem, że pracujesz w kraju, Szotenyiemu szepnąłem w sekrecie, że zubożałeś, wuju, bo on ma zamiary na twoją kieszeń, chce pożyczyć grubą sumę. Spojrzał tylko na mnie powątpiewająco. Paniom zaś mówiłem, żeś stetryczał, i wyobraź sobie, wuju, nie chciały wierzyć!

– Wcale dobrą wyrabiałeś mi opinię - uśmiechnął się Waldemar.

Gdy mijali cudowne okolice Styrii Bohdan, przylepiony do szyby wagonu, cicho marzył. Ordynat usłyszał raz jego śpiew. W tęsknej, rozwlekłej melodii Bodzio zamykał jakieś słowa. Brzmienie ich zastanowiło Waldemara. Wsłuchał się uważnie.

Młodzieniec śpiewał:

„Za Wołyniom skuczaju i w deń i w noczy,
bo wołyńskaja zemla każdoho zauroczy,
kto na Wołyń pryide, toho oczaruje;
lisami i ćwitami swoimi zwojuje.
Oj, Wołyniu ridnieńkij, tebe ne zabudu,
aż do samoj smerti wspomynaty budu".

„Na Wołyniu, hde ne hlanesz, tam zemla czornaja,
złotuju przenyciu ciła usianaja.
Tam: koły wesna nastane, to wrze taka krasna,
taka harna, zelenaja, myłeńka i jasna!
Oj, Wołyniu, Wołyniu, tebe ne zabudu
aż do samoj smerti wspomynaty budu..."

Ordynat zwrócił się z pytaniem:

– Bodziu, co to za śpiew? Nie znam go.

Chłopak się zaczerwienił.

– Sam go sobie ułożyłem, wuju.

– Ty?! No, i tu w Styrii tak czule wspominasz Wołyń.

– Bo ja te kraje tu znam i podziwiam, lecz przeniosłem się myślą nad taki boski parów w Rusłocku, gdzie marzyłem. Żebyś ty go znał, wuju! Wiesz? Zawsze sobie wyobrażałem, że ten głęboki jar, przepastny, wykopało piekło na zgubę ludzi, a niebo usiało go cudną roślinnością, ubrało skałami pysznymi, ocieniło dziewiczą puszczą drzew, aby ludziom, ot takim, jak ja wariatom, dać trochę przyjemności.

– Więc kochasz Wołyń? A jednak Rusłocka nie lubiłeś...

– Nawet nie cierpiałem. Ale samej rezydencji i Ponieckich. Kraj kocham i lud kocham. Wszystko to harmonijnie dostraja się do mej natury; to tak, jakby kto buńczuk omotał w pajęczynę melancholii. Cudny kraj!

Ordynat spoglądał na sylwetkę profilu kuzyna na tle szyby i myślał nie bez wzruszenia:

– To porównanie, jakie zrobił do Wołynia, stosuje się do niego... Buńczuk, owiany melancholią, i poezją, i zapałem, lecz... złamany!... Jednak takiego warto ratować... To jeden z tych Michorowskich, którzy nie umieją słuchać, ale potrafią przewodzić.

Ordynat czuł, że w sercu wzbiera mu uczucie dla Bodzia - niemal ojcowskie.

Sam nad sobą zamyślił się poważnie, gdy byli już blisko Szwajcarii.

I oto na granicy pierwszego kantonu Waldemar zmienił nagle swój projekt.

– Wracamy do Głębowicz - rzekł do Bohdana.

– Jak to, wuju?!... Myślałem, że teraz wahać się już nie będziesz co do Luci i że po to jedziesz...

– Ona jest narzeczoną Brochwicza.

– Ach! - skrzywił się Bodzio. Wuj w to wierzy? Sam fakt niczego nie dowodzi. Ona Jerzego nie kocha.

Waldemar się wstrząsnął.

– Tym bardziej jestem tam zbyteczny.

Bohdan wpadł w ponure zamyślenie. Nie rozmawiał więcej z ordynatem o Luci. Przeczuwał zbliżający się ostateczny przełom, ale niepojęty stan ordynata tłumaczył uporem.

Bodzio w Głębowiczach przyznał się Waldemarowi, że porobił starania o posadę administratora.

– Czy czujesz się na siłach? - spytał ordynat.

– Najzupełniej. Zacznę od małego zakresu, ale tam, gdzie będą perspektywy.

Waldemar zaproponował mu stanowisko takie w Biało-Czerkasach. Bohdan zamiast się ucieszyć, był zmieszany.

– Ufasz mi, wuju? - bąknął niewyraźnie.

– Tak.

Młodzieniec milczał.

– Nie jesteś, widzę, zadowolony - rzekł starszy Michorowski. – Zostawiam ci zatem swobodę.

Bodzio z nagłą szczerością wyznał swą myśl.

– Nie. Wuju, to nie to. Jestem ci bardzo obowiązany za zaufanie, ale ja w Biało-Czerkasach byłbym zawsze na sznureczku... owszem, wpływ uznaję do pewnego stopnia, lecz wędzidła nawet z twej ręki nie ścierpię.

– A jak będzie u obcych?

– U obcych działalność swą tak bym unormował, że wszelkie pęta dla mnie byłyby zbyteczne.

Waldemar zaśmiał się wesoło.

– Dobrze. Podobasz mi się! Wiedz o tym, że żaden Michorowski nigdy wędzidła nie znosił i nigdy go nikomu nie nakładał. Despotyzmem się brzydzę; miałeś chyba czas to poznać. Będziesz w Biało-Czerkasach administratorem z całkowitą plenipotencją. Posadę obejmiesz na wiosnę. Przez zimę będziesz się jeszcze kształcił. Zgoda?

– A. Jeżeli tak...

Uścisnęli się jak bracia.

## XLIV.

Księżna Podhorecka powróciła ze Szwajcarii. W listopadzie cała rodzina zgromadziła się w Głębowiczach, gdzie od pewnego czasu zamieszkiwał i pan Maciej z niedostępnym panem Ksawerym.

Brakło tylko baronowej Elzonowskiej. Mówiono powszechnie, że małżeństwo jej z Barskim jest już postanowione.

Razem z Lucią przyjechał Brochwicz.

Stosunek jego do ordynata stał się znamienny.

Brochwicz kochał narzeczoną i bał się jej utracić. Do Głębowicz jechał niechętnie przeczuwając, że będą one dla Luci powodem nowych walk, odświeżeniem niezaschłej zresztą męki uczuć. Młody hrabia nieufnie patrzył na ordynata, wstydził się tego wrażenia sam przed sobą i był skrępowany.

Lucia pod pozorną odwagą, nawet brawurą, drżała wewnętrznie.

Chciała wyjaśnień od Waldemara i szukała odpowiedniej chwili.

Gdy cały zamek zapadł w głuchą ciszę nocy, Lucia śmiało weszła do gabinetu Waldemara. Była blada, lecz spokojna.

On powstał na jej widok. Serce biło mu żalem, dramat miał w piersi.

Stanęła tuż przy nim. W ostatniej chwili zabrakło jej odwagi. Słowa przemówić nie mogła. Przestrach mignął w jej oczach. Trzęsła się okropnie.

Waldemar wziął jej dłonie, zimne jak umarłej.

– Luciu... Droga, dziecko, więcej... spokoju... - szepnął.

– Waldy... Ty wiedz, że... idę za Jerzego.

– Wiem - odparł zdziwiony.

– Ja jego... nie kocham! - wybuchnęła.

Ostatnia kropla krwi uciekła z serca Waldemara.

– Nie kocham, i ty wiesz o tym! Waldy!

Szalonym ruchem załamała ręce, zakrywając nimi oczy. Z ust jej wybiegł straszliwy krzyk.

– Ciebie jednego kocham! Miłuję! Tylko ciebie! Słyszysz?! Tyś mój, w duszy zaryty! Za tamtego... jedynie z rozpaczy... Waldy! Czyś ty bez serca?!

Spazm okrutnego płaczu targnął nią przeraźliwie.

Waldemar czuł, że leci w otchłań.

– Luciu! Na miłość Boga!...

Załamał mu się głos bezradnie.

Upadł na fotel i schował twarz w dłoniach. Ona płakała.

Ponura cisza smutnych przeznaczeń omotała ich tragicznie.

On pierwszy ocknął się z bolesnej wrzawy duchowej.

Wstał i ręce jej przytulił do piersi.

– Cicho, dziecko... nie płacz. Wiedziałem... o twych uczuciach i... walczyłem. Na tarasie wówczas postanowiłem cię ostrzec. Pamiętasz?...

Lucia wyrwała rękę z jego uścisku i zakryła mu usta.

– Nie mów! Nie mów więcej. Niech ta złuda zostanie, ten jedyny błysk.

– Luciu, źle mnie wtedy zrozumiałaś.

– Milcz, milcz Waldy! Powiedz: Tyś mnie nigdy nie kochał? Och! Nie miłością braterską! Ale tą inną, tą... dawną swoją... Czy nigdy?...

Starli się wzrokiem. Jej był drapieżny, jego zbolały, lecz stanowczy.

– Nie, Luciu.

– Boże mój! A ja myślałam, a ja!... Tak cię strasznie kochałam!

Rzuciła się znowu do niego.

– Waldy... Były chwile... Pamiętasz?...

– Wiem. I przepraszam cię za nie, Luciu. Byłem nieuważny, może - bezczelny, ale nie mogę być niesumiennym. Tamto były chwile krótkiego szału... nerwów. Jestem mężczyzną... działałaś na mnie, przyznaję. Jednak to nie... miłość.

Więc nic dla mnie w twym sercu nie ma, nic?!...

– Jest głęboka miłość braterska, i żal, i boleść, i współczucie, i wielkie pragnienie, abyś była szczęśliwa, Luciu. I dlatego...

– Odradzasz mi pewno iść za Jurka? - syknęła ze strasznym śmiechem.

– Nie, tylko lękam się o ciebie.

– Więc uratuj! Zechciej, żądaj, rozkaż, abym była twoją żoną! Zostanę. Bądź pewny: niewolnicą będę!

Waldemar milczał.

– Nie powiesz tego - prawda?

Nie dał odpowiedzi.

Lucia po chwili znów zbliżyła się do ordynata. Ręce oparła na biurku i pochylona całą postacią naprzód, mówiła urywanie:

– Wybrałam Jurka... bo on mnie kocha. Wie wszystko, co ja cierpię, i chce mi dać ukojenie. Matki nie mam! Ona już Barska. Przy dziadziu, obok ciebie, nie będę!... Cóż pocznę?... A Jurek mnie kocha. Będę żyła dla innych... Może wytrzymam...

Łzy spadły jej z oczu.

– Czemu nie mogę dać ci szczęścia, czemu?! - zawołał Waldemar głosem tak wzruszonym i tak szczerze żałosnym, że Lucia rozrzewniła się, ale smutno.

W milczeniu podała mu rękę.

– Roz...chodzimy się... bo los... - szepnęła i nie mogła dokończyć. Płacz zdusił ją znowu.

Ordynat dłoń jej ucałował gorąco.

Dziewczyna wolno wyszła z pokoju.

Przebiegła szeregi salonów i korytarzy, błądząc trochę po ciemku. Łkanie jej budziło żałosne skargi w głuchych komnatach.

W sali portretowej rozjaśniła elektryczne światło.

Stanęła przed portretem narzeczonej ordynata. Nienawistny wzrok wpiła w jej twarzy.

– To przez ciebie - wyrzuciły zsiniałe usta dziewczyny.

Patrzyła długo... Ostre źrenice miały w sobie jad, piołun i bojaźń.

Patrzyła z zapartym tchem, czując w sercu napływ czarnej krwi.

Patrzyła jak obłąkana, bo wzrok jej gasł, tępiał, łagodniał.

Podsunęła się bliżej obrazu. Oczy jej zmiękły w wyrazie. Pozostał w nich tylko smutek bezdenny.

Szept jej warg wionął cichutko.

– On twój... Zawsze twój!

I Lucia zwiesiła głowę.

Światło ją opromieniało. Z portretu spływała na nią słodycz – tamtej.

Postać schodziła do niej ze smugą gwiazd w oczach.

Wtem Lucia uczuła przerażenie. Do sali zmierzały kroki męskie. Poznała je.

Ukryć się nie było sposobu.

Baronówna, wyprostowana, odważnie podeszła do drzwi.

Otworzyła. Na wprost niej stał Waldemar.

Zmierzyli się oczami. Zawstydzona, spuściła powieki. Minęli się w milczeniu. Waldemar wszedł do sali. Lucia wpadła w ciemną głębię korytarza.

Gdy dobiegła już do przeciwległego wyjścia, cichutko, na palcach powróciła i lekko uchyliła drzwi od sali, ocienione aksamitną kotarą.

Waldemar na portret zmarłej Stefci patrzył z takim wyrazem w oczach, jak gdyby oddawał jej całą swą przyszłość lub składał przysięgę wierności.

Lucia zatamowała jęk w piersiach i znikła bez szmeru w przestrzeni korytarza.

## XLV.

Ślub Luci z Brochwiczem miał się odbyć w Paryżu w połowie stycznia.

Księżna Podhorecka stała się jedyną opiekunką osamotnionej dziewczyny. Mieszkała z nią razem we Francji, gdyż Lucia po ostatecznej rozmowie z ordynatem wyjechała natychmiast za granicę i nie chciała wracać do kraju.

Zbliżała się chwila stanowcza. Baronówna żyła jak w letargu. Rozpacz i obawa przed przyszłością zabiły w niej duszę. Chwilami budziła się z tego snu strasznego, budziła się dotknięciem rzeczywistości, która porywała ją w wir szalony niezgłębionych rozpadlin. Rosła w niej bezbrzeżna niechęć do Brochwicza, i pogarda, i żal i wstręt do siebie. Jerzego czyniła winnym, że chce ją mieć za żonę, siebie - że się na to zgadza, wreszcie Waldemara - że był demonem, rzucającym ją w bezdeń.

Miłość do Waldemara, wszystkie walki i cierpienia zmalały wobec grozy przyszłości, idącej nieubłaganie, z demoniczną siłą.

Nic jej nie wstrzyma. Oboje z Jerzym brną na oślep, nad przepaść, nad krawędź niedoli, widzą ją niemal przed sobą, nędzną, urągliwą, lecz kuszącą jak grzech. Oboje zamknęli oczy, odrzucili precz od siebie wszelkie podszepty sumienia. Mocą stała się dla nich jakaś konieczność i rezygnacja. Co będzie - to będzie, byle prędzej. Bez analizy, bez uwag szli do swego celu, jak pijani. Gdyby siła nieznana, a wielka otworzyła im oczy, wzywaliby ratunku. Taka siła mogłaby ich ocalić... lecz jej nie było.

Własny rozsądek i zastanowienie uśpili narkotykiem uczuć osobistych, starganych doszczętnie i boleśnie.

Lucia w chwilach przebudzenia zrywała pierścionek z palca, pisała do Jerzego listy, zwracając mu słowo, lecz potem – darła papier na strzępy i znowu poddawała się bezczuciu letargicznemu. Teraz już tylko smutny obraz

przyszłego życia rysował się w jej duszy; osnuty był paniczną obawą.

Strach ogarniał ją coraz silniejszy, strach dławił, systematycznie truł i ciągnął zarazem w toń.

Lucia przeistoczyła się w bryłę bezwolną i jakby zmiętą.

Czasem przeciwnie, bunt w niej powstawał przeogromny, krzyk protestu wydzierał się z serca, które dobrowolnie okuwała w blachy zimne nieszczęścia. Wówczas Brochwicz ginął, jak drobny liść zmiażdżony nawałnicą wichru. Ordynat zapadał się w ciemnię. Wszystko malało. Na serce zaś cierpiące spływał ciepły promyk przeczucia niesłychanego, nieuchwytnej halucynacji ocalenia, i złagodzone tą pieszczotą serce uciszało się, jak po haszyszu.

W takich łagodnych jaśniach niby w błyskawicach wśród chmur, ukazywała się w zmęczonej wyobraźni Luci postać Bohdana Michorowskiego. Jego oczy ciemne i twarz szczupła, nerwowa, jego uśmiech szczery, dziwnie pociągający, napawał dziewczynę otuchą niezrozumiałą. Baronówna wzruszała się wspominając jego dobre chęci i dążenia w celu uratowania jej od uczuć nieodwzajemnionych lub też rzucenia w ramiona ordynata.

Wszystko zawiodło.

Pozostał niebezpieczny szlak, idący w głąb życia, albo pozbawienie się go przez samobójstwo.

Śmierć własna przedstawiała się baronównie bez właściwej grozy, lecz jakby symboliczna Marzanna.

Niech nadejdzie, niech się spełni.

Myśl samobójstwa nawiedzała Lucię, lecz na krótko i niezbyt silnie. Bywała raczej wykwitem wybujałej fantazji i pewnego lubowania się własnym dramatem. Nie przychodziły te myśli bezpośrednio, aby zniewolić ducha, lecz snuły się śladem wyobraźni, zarazem przejaskrawiając ją.

Umrzeć - nie było dla Luci koniecznością duszy, odtworzoną jasno i wyraźnie, ale najwłaściwszym zakończeniem, do czego jednakże brakowało jej postanowienia.

Lucia na dnie swej jaźni pragnęła żyć, tylko obawiała się rozpocząć walkę z życiem i biernie poddawała się prawom krańcowej apatii.

Pani Idalia Elzonowska, już jako narzeczona hrabiego Barskiego, przyjechała do Paryża, lecz przyjęcie, jakie doznała od córki, zniechęciło ją do pozostania na jej ślubie.

Lucia nie chciała widzieć matki przy tej uroczystości. Z rodziny mieli być tylko księżna Podhorecka i hrabiostwo Trestkowie.

Baronówna oczekiwała jeszcze dziadka Macieja, ale on dla braku zdrowia nie obiecywał przyjazdu.

Księżna, z pomocą hrabiny Rity, zajęła się wyprawą Luci, ona sama do niczego nie chciała się bowiem wtrącać.

Do ślubu pozostało tylko kilka ostatnich dni.

Lucia zachowywała się tak, jakby ją miano żywcem zamurować. Jej

niepokój, jej lęk okrutny dosięgnął największego napięcia. Lucia była prawie niepoczytalna i trawiona przez gorączkę. Myślała o chwili ślubu jak suchotnica o śmierci przewidzianej niemal co do godziny. Czuła, że ginie, i czuła, że od niej samej zależy ocalenie własne, ale śmiech nieludzki, jakiś śmiech targający nerwy wybuchał z jej piersi i tłumił akcję ratunkową. Przeraźliwie jasno widziała swój grób otwarty i zbliżała się doń z całą świadomością, ale zarazem z szarpaniną wewnętrzną, która pozornie wydawała się brakiem przytomności i lekceważeniem.

Gdy pewnego dnia Brochwicz ujrzał ją w podnieceniu niebywale drażliwym, zląkł się. Po raz pierwszy od czasu zaręczyn zadał sobie pytanie, co on robi.

Upiór nieszczęścia ukazał mu się groźny, szyderczy i bezlitosny. Jerzy ścierpł. Sumienie i etyka wzburzyły całą jego istotę, ale zamknąć tej ciemnej pieczary złej przyszłości, usunąć jej - nie miał sił. Grzązł i pociągał Lucię nieszczęsną, będącą jak w agonii.

Brochwicz odszedł zraniony moralnie, Lucia zaś powróciła do swego półżycia, wkraczającego w newrozę.

Siedziała w buduarze skurczona, z głową wtuloną w poręcz wysokiego fotela. Oczy smutne, o niezmierzonej głębinie, wpatrywały się w wysokie szyby okien, poza którymi jaśniał dzień styczniowy, kipiało wrzątkiem bujne życie Paryża. I oto nagle spadło na Lucię jasne przeczucie. Ujrzała w przestrzeni genialną moc swych przeznaczeń, dalekich od otwartego grobu, skąd wiało na nią pustką i chłodem. Ukazanie się tej zjawy niespodziewanej było silne i plastyczne; wrażenie olbrzymie.

Mara, gniotąca ją niemiłosiernie zginęła na sekundę, oślepiona piorunowym zygzakiem cudownego objawienia, co w glorię swą potężną porwało umysł Luci.

Wtem zamarła ze zdumienia, podnosząc się szybko.

Naprzeciw niej, w drzwiach, stał Bohdan Michorowski.

Poważny, spokojny, inny niż zwykle.

W oczach miał stanowczość, usta lekko uśmiechnięte, pewne siebie.

Tchnął zuchwałością, i dziwną siłą.

Lucia pozostała bez ruchu. On podszedł i wziął jej ręce.

– Bodziu! Skąd ty... tu!... - spytała z przerażeniem.

– Przyjechałem, aby ratować ciebie, kuzynko...

– Mnie... ratować?...

– Tak.

Lucia patrzyła, jakby nie rozumiejąc.

Przerażenie jej rosło.

Spazmatyczny śmiech runął jej z piersi.

– Mnie ratować?! Ha! ha! Za późno! Mój ślub za kilka dni.

– Otrzymałem zaproszenie i na szczęście zdążyłem, aby zerwać to małżeństwo. Nie wierzyłem do ostatniej chwili, że popełnisz taką... niegodziwość.

– Bohdanie!

– Tak, niegodziwość. Ale ja na ślub nie pozwalam! Ślub wasz się nie odbędzie, bo to byłoby zbrodnią.

Baronówna wyrwała ręce z jego uścisku. Brwi jej się zbiegły.

– Jakim prawem to robisz?! Kto cię upoważnił? - zawołała wzburzona.

Bodzio zapłonął.

– Prawem jest mi moja własna pewność, że czynię dobrze, że cię zatrzymuję w tym szalonym, nieprzytomnym pędzie do zatraty, że pragnę twojego szczęścia. A na twą zgubę nie pozwolę!

– Jeśli chcę jednak zatracenia?

– Kłamiesz!

– Chcę! I dopnę celu.

– To nie cel, to upór, to kaprys... To... zemsta.

– Bodziu! Jak śmiesz?!...

Michorowski delikatnie objął palcami jej dłonie, zajrzał głęboko w oczy dziewczyny. Ona znieruchomiała. Usiadła na fotelu, Bohdan zajął sąsiednie miejsce.

Oboje milczeli.

W duszy Luci rozsnuwał się niepokój, owładnęła nią nagle trwoga, jakby chęć do ucieczki. Bała się spojrzeć na Bohdana, by w oczach jego nie doczytać wyroku na siebie. Ten Bodzio, wesoły kuzynek, od razu w umyśle jej spotężniał, stał się nowym i ciekawym.

Nawet zastraszającym.

– Po co on przyjechał... Co znaczą jego słowa?...

Pytania wirowały w mózgu baronówny, uparte, domagające się wyjawienia prawdy.

Bohdan ją zainteresował, lecz jednocześnie jakby ogłuszył. Wrażenia, wręcz przeciwne sobie, gromadziły się natarczywie. Serce Luci uderzyło parę razy wdzięcznością dla Bohdana, aż oto znowu Brochwicz wypłynął na serdecznych falach jej uczuć. Obudziła się śpiąca etyka i myśl głęboka, owiana apatią, lenistwem, bezczynna, szarpnęła się; oburzona za spokój zmącony do dna. Senne majaki moralności zostały przez Bodzia targnięte zbyt gwałtownie. Więc dominowała niechęć.

– Po co on mnie otrzeźwia? Chcę spać, nawet w udręce snów tragicznych.

Idąc na przepadłe, nie chcę otwierać oczu. Po co on mi je otwiera?

Czy dlatego, aby ból uczynił nieznośniejszym?

Czy dlatego, aby zeń drwić?

Wtem, jak meteor, wpadł do duszy Luci błysk nadziei:

Bodzio chce zerwać małżeństwo, upoważniony przez ordynata.

Myśl ta wydała się Luci jedynie motywującą postępowanie Bodzia. Nie śmiała wyjawić jej głośno, tchu zabrakło piersiom dziewczyny. Bohdan, odgadnięty już, malał w pojęciu baronówny. Stał się nędznym pośrednikiem ordynata; ordynat - tchórzem, ukrywającym się za plecami kuzyna.

Obaj spodleli w wyobraźni Luci, a ponad nimi wykwitła delikatna błonka

współczucia dla Brochwicza. On posiadł chwilowo wszystkie uderzenia serca Luci, całą jej dobroć i uznanie. On był ofiarą spisku Michorowskich.

Narzeczona zapragnęła być mu wierną. Szyderstwem chciała zasypać Bohdana. Dać mu odczuć swą pogardę. Śmiech pełzał po nerwach, drażnił dziewczynę. Za chwilę wybuchnie okropny, zły... i nieszczery.

Bodzio uprzedził go; ściskając Luci ręce, rzekł głosem miękkim, ale stanowczo, jak gdyby stwierdzał fakt.

– Nie kochasz Brochwicza...

– Nie kocham! - odrzekła jak echo.

– Więc popełniasz... niegodziwość. I to z powodu zranionej ambicji; przez upór i znęcanie się nad sobą; rozmyślne, bezlitosne znęcanie się.

Milczała, cała drżąca. Sugestionował ją władzą niepojętą, niweczył jej wolę.

Bohdan mówił nieubłaganie:

– Z rozpaczy można się zabić, ale nie wychodzić za mąż. To nie zabójstwo, to tylko kalectwo na całe życie. Luciu, ty ordynata nie kochasz.

Wstrząsnęła się.

W jej głosie zabrzmiał gniew, zdumienie niesłychane nad zuchwałością Bohdana.

Okropny wir zapanował we wszystkich uczuciach Luci. Usłyszane słowa były dla niej obelgą, raniły ją pręgierzem barbarzyńskim. Ale w swym jestestwie dziewczyna odczuwała najmocniej zawód z powodu, że upadły jej domysły o spisku. Ordynat nie mógł ukrywać się za Bodziem, skoro ten ośmiela się profanować jej uczucia dla Waldemara przez rzucenie co do nich wątpliwości.

– Jaki ma w tym cel? - pomyślała. - Co to wszystko znaczy? Czego oni od niej chcą?

Niepewność i lęk wewnętrzny odmalowały się na twarzy Luci. Chłód wystąpił z równą siłą. Popatrzyła prosto w oczy Bohdana i rzekła bezdźwięcznie:

– Nie rozumiem ciebie! Czyś ty nieprzytomny, czy ja?

– Luciu, posłuchaj mnie...

– Powiedz, co twoje słowa znaczyły! - przerwała mu nerwowo.

– Moje słowa?... Mówiły prawdę: ordynata nie kochałaś i nie kochasz.

Baronówna wstała z fotela.

– Dosyć! - przerwała. - Żegnam ciebie. Jesteś dziecinny... i śmieszny.

Prędko wyszła z pokoju.

Bohdan słyszał jej śmiech, nienaturalny, krztuszący się nienawiścią do niego, drapieżny, i pełen żalu.

Jad, wszczepiony słowami Bodzia, wsiąkał w duszę Luci i zaczynał powoli działać.

## XLVI.

Lucia całą noc przemęczyła się rozterką duchową. Trapiła ją walka z porywami wewnętrznych zagadnień, z szeptem buntowniczym sumienia. Gwałt, zadany sercu, mścił się już w przededniu spełnionego faktu. Małżeństwo swe widziała jako rzecz konieczną, ale pragnienie zerwania go świtało w tajemnicy nawet przed tą cząstką duszy, z której się poczęło. Ogarnęła Lucię mętna abstrakcja, i pytania, obłędne pytania:

– Co robić?...

Jak pozbyć się ciasnych pęt, będących dotychczas tylko nieprzyjaznymi, dziś już nienawistnymi?

Jeśli się zaś ich pozbędzie: gdzież ratunek i jaki?

Pozostać z dawnym ciężarem w duszy, ale już bez nowego i stokroć cięższego.

Brzemienia niedoli nie zwiększać, dźwigać nędzę moralną, ale bez gorzkich wyrzutów, bez grzechu samobójstwa.

Bohdan - to duch opatrznościowy, który jej podaje rękę, aby wynieść z odmętu. Nie odtrącać jej! Dobrowolnie usunąć zaporę, jak się ją dobrowolnie nasunęło. Zamknąć otwarty grób, bez siebie.

Ale czy można zabijać tamtego człowieka dla pobudek egoistycznych?... Czy ta bezwzględność popełniona nad Brochwiczem nie byłaby większa od zadania kłamu własnym uczuciom?

Czy uczciwość pozwala na wydzieranie szczęścia z serca, które kocha? Gdzież wreszcie jest uczciwość: czy w szczerej prawdzie, wypowiedzianej bez obłudy, czy we współczuciu dla czyjejś miłości?...

Lucia pragnęła rozcząstkować swe serce, aby ujrzeć zagadkę wyjaśnioną i prawą drogę do czynu.

Dusiła się w atmosferze zwątpień.

Przed Bodziem czuła lęk, ale go nie unikała. On był natarczywy. Rozmawiali ze sobą całymi godzinami. On ją przekonywał, ona się broniła.

Jej dziwny stan, gorączkowy, niepokoił księżną, zastanawiał Brochwicza i drażnił go. Knuło się w jego duszy podejrzenie mętne, że Bohdan jest początkiem jego epilogu.

Po paru dniach Lucia szukała rozmów z Bodziem. Jego szczerość i sąd bezwzględny napawały baronównę otuchą. Gniewał ją, męczył, ale przekonywał każdym słowem. Nie przyznawała się do tego nawet przed sobą, ale Bohdan czynił w niej wyłom wyraźny. Przejrzała, że poświęcić siebie Brochwiczowi nie potrafi. Miała wrażenie, jakby wróg, czyhający na nią od dawna, stracił jej ślad, bo się już ukrywała za niezwalczoną moc wahania, które przeważało na jej stronę i było groźniejsze od wielu skrystalizowanych postanowień. Znalazła się w przestrzeni, brzemiennej w najważniejsze wypadki swego życia. Czuła to i drżała z lęku, z egzaltacji, unoszącej ją na rozdroża. Ordynat majaczył z oddali, jak oaza ginąca wśród nowych wód, Brochwicz rysował się nikłym wzorem, chociaż go co dzień widywała. Tonął w chaosie nowych pojęć, które osnuły Lucię z władzą hipnotyczną.

Wypukło odbitym w jej wyobraźni był tylko Bohdan. Działał na nią tyranicznie, denerwował często swoją argumentacją, miażdżył jej wolę, stawiał motywy miarodajne.

Lucia, podniecona bardzo już bliskim dniem ślubu, pełna kolizji, chwytała się rozpaczliwie dowodzeń Bohdana i łaknęła rozwiązania zagadki, bez uwagi na to wszystko, co ją przedtem wstrzymywało. Michorowski mówił do niej coraz śmielej, odczuwał swoją przewagę, stał się arbitralny. Lucia błądziła w domysłach, co Bohdanem powoduje. Głównie tłumaczył jej, że ona nie może wychodzić za Brochwicza, ponieważ go nie kocha i nie kochała również ordynata miłością wyłączną kobiety do mężczyzny, jedynie czciła go i wielbiła w nim ideał wymarzony.

Lucia zdumiewała się często trafnością spostrzeżeń Bodzia i w skrytości duszy przyznawała mu słuszność. Wpadła w rebus z własnym sumieniem. Rozmawiali raz szczególnie gorączkowo. Lucia była zdecydowana co do Brochwicza, ale wyrzucała Bohdanowi krzywdę, jaką czynił, niwecząc jej wiarę w miłość do Waldemara.

– Nie znasz mojej psychologii – rzekła z pasją.

– Owszem, Luciu. Twoją psychologię poznałem - i powtarzam: nie kochałaś go miłością prawdziwą, głęboką i tą jedyną, tą wielką! Szalałaś za nim od lat dziecinnych, potęgowałaś w sobie ten szał z lubością, żyłaś w sferze egzaltacji i uwielbienia dla ordynata. Wieńczyłaś go, jako człowieka szerokich idei społecznych, jako wzór człowieka, godnego najwyższego szacunku i miłowania. Lecz to jeszcze nie miłość pełna i święta.

– Bohdanie! Zmiłuj się, nie profanuj ołtarza, na którym tyle lat... składam ofiary z mego serca, z duszy...

– A teraz sama ten ołtarz burzysz - przerwał Bodzio z goryczą. - Ach! Luciu, czy ty rozumiesz, co popełniasz? Kilka lat marzyłaś o Waldemarze.

– Kochałam go.

– Nie, marzyłaś tylko. W marzeniach dziecinnych, potem w dziewiczych, idealizowałaś go stale, aż stał się geniuszem twym. Zaręczyłaś się z Brochwiczem dlatego, aby pobudzić ordynata do stanowczych czynów.

Lucia spuściła oczy, usta jej drżały.

– Co i kiedy między wami zaszło, nie wiem, ale sądzę, że w Głębowiczach na jesieni przekonałaś się, że ordynat... nigdy ciebie nie kochał. Odgadłem to po tobie i po wuju. Cierpiałem, bo chciałem dla was szczęścia. Ale cierpiałem stokroć więcej po otrzymaniu zawiadomienia o twym fatalnym ślubie. To mnie zdecydowało: moje zamiary stały się już niewzruszone. Jestem - i nie pozwalam! Brochwicza nie zaślubisz.

– Drażnisz mnie, mój drogi! Proszę, abyś nie interesował się mną. Co robię, to robię z rozmysłem.

– Ale ratunku pragniesz - rzekł Bodzio.

Lucia zrozumiała, że się wikła niepotrzebnie. Lęk się wzmógł.

– Czekałaś ocalenia. Lecz kto cię miał ratować?

– Nikt do tego nie ma prawa! - wybuchnęła nieszczerze, ale z rozpaczą.

Bohdan chwycił ją za dłonie, rozpalone jak płomienie.

– Ja mam prawo i wyzyskam je - rzekł z energią.

– Jakie... prawo?

– Bo cię kocham!

– Ty... mnie?!

– Tak.

Patrzyli na siebie prawie bez tchu. Bodzio był zmieszany i wzruszony. Fale uczuć przelatywały przez jego szczupłą ale męską twarz.

– Czy to litość, czy sposób na zatrzymanie mnie od fałszywego kroku? - spytała Lucia, cała drżąca.

Michorowski ręce jej ucałował. Głos mu się giął, gdy zaczął mówić:

– Luciu, wybacz mi nagłość wyznania. Kochałem cię od dawna, lecz nie było to jeszcze uczucie uwypuklone; nie pojmowałem sam siebie. Szczęście, które widziałaś w małżeństwie z ordynatem, chciałem ci uczynić realnym. Cierpiałem, że się łudzisz, ubolewałem nad tobą i nad nim. Bo widzisz - Waldemar Stefcię kochał prawdziwie, to była miłość wyjątkowa i trwała. Pozostała świętą. Ty tak nie kochałaś, prawda?

Lucia zaczęła mrugać powiekami.

W duszy jej coś się łamało, coś zapadło w przestrzeń, z której spływał ciepły strumień ukojenia. Otucha wielka, nadzieja wszechwładna zakwitła nagle, owiała ją przepięknym ogniem szczęścia, niepojętego jeszcze, lecz już świtającego.

Szczęścia, że ocalenie przyszło.

Szczęścia, że kwiat życia nie zwiądł, ale może się rozwinąć.

Szczęścia, że przestraszająca ją mara nędzy przyszłego bytowania nicości moralnej runęła zabita odwagą Bohdana.

Bodzio Luci zaimponował. Poddawała się pod jego władzę, w jej sercu wdzięczność dla niego rosła w uwielbienie.

On ją zaprowadził na kanapkę pod kwitnący rododendron, siedział obok niej i milczał. Odczuwał chwilę przełomową, której się w niej domyślał. Może i sam siebie badał do głębi, ale wyznania nie żałował.

Minęła długa godzina, zanim Lucia ocknęła się z oszołomienia, z burzy wzruszeń zwichrzonych, słodkich i niepokojących, z targaniny wahań, nadziei promiennych, z odmętu poróżnionych ze sobą wyrzutów gorzkich i pragnień jaśniejszego istnienia.

Bohdan zbudził ją zapytaniem:

– Luciu, nie dałaś mi odpowiedzi. Powiedz: czy nie odnajdujesz różnicy pomiędzy miłością Waldemara dla Stefci a swoim do niego uczuciem.

Lucia spojrzała mu śmiało w oczy.

– Tak, on kochał inaczej. Ale i ja kochałam! Nie mówmy już o tym. Ty, Bodziu, również nie wyjaśniłeś mi... swego wyznania.

Bohdan się zarumienił.

– Przysięgam ci, że jechałem tu, powodowany tylko uczuciem brata, dążącego na ratunek siostry. Gdy ujrzałem ciebie, przemówiła w mym sercu

miłość, tłumiona dotychczas usilnie i... nie rozwijana. Kocham cię, Luciu, ale chcę ciebie ocalić nie z powodu osobistych pragnień. Bądź rozumną i z Brochwiczem zerwij. Szkoda i ciebie, i jego.

Lucia załamała dłonie.

– Jak on to zniesie, jak mu to powiem! Jednak już to... konieczne.

# XLVII.

Hrabia Brochwicz oczekiwał ślubu z niecierpliwością.

Pewnego dnia do jego gabinetu, gdy hrabia wybierał się odwiedzić narzeczoną, wszedł niespodziewanie kamerdyner księżnej Podhoreckiej i wręczył mu list wraz z paczką. Szepnął tajemniczo:

– Jaśnie panie hrabio, u nas stało się jakieś nieszczęście.

– Co się stało? Mów.

– Coś jest źle z naszą panienką, i to od przyjazdu młodego pana Michorowskiego.

Brochwiczem wstrząsnął nieprzyjemny dreszcz. On wiedział najlepiej, że z Lucią dzieje się coś, co mu rozwieje szczęście.

Kamerdyner mówił dalej.

– Baronówna często rozmawia z panem Bohdanem, a potem płacze i po całych nocach nie sypia.

– Dobrze, dobrze; dosyć! - z niesłychanym rozdrażnieniem rzekł Brochwicz.

Po wyjściu służącego Jerzy przeczytał list. Z dołączonego pudełeczka wypadł zaręczynowy pierścionek Luci. Brochwicz spodziewał się tego; jednakże wrażenie, jakiego doznał, było ogromne i rujnujące jego istotę. Dusza jego żałosna, zmordowana tyloletnią męką, została ostatecznie zmiażdżona nieszczęściem.

Jerzy patrzył na pierścionek i powoli zgnębienie mijało, ustępując miejsca nienawiści. Pytania skłębiły się, ale nie umiał na nie odpowiadać.

Dlaczego Lucia zrywa w prawie ostatniej chwili? Skąd wyłoniła się w niej ta walka, która zmogła jej postanowienie?!...

Już była zdecydowana na życie z nim, wierzyła w przyszłość i jemu pozwalała mieć nadzieję. A teraz suche słowa:

„Musimy się rozstać, bo szczęście nie dla nas. Przejrzałam, i brak mi odwagi do zaślubienia pana. Lepiej, że przecierpimy wspólnie, niż gdybym pana i siebie oszukiwała. Chcę być uczciwa”.

Brochwicz zrozumiał, co przyczyniło się do zerwania.

To obecność Bohdana.

Wściekłość ogarnęła duszę Jerzego.

Uczuł się zdeptanym, upokorzonym. Gdybyż tylko przez Lucię, ale tu

winnym był głównie Bohdan! On, jak szatan_kusiciel, zjawił się tu niespodziewanie i siłą jakąś niezwykłą wywarł na niej wpływ, wydzierając mu szczęście.

Brochwiczowi, tak samo jak Luci, przyszedł na myśl ordynat, działający przez Bohdana. Ten podstęp, niegodny Waldemara, rozgoryczył Jerzego, zbudził w nim szalony gniew. Ale Brochwicz miał świadomość, że Luci już nie odzyska. Na razie egoizm przeważył, hrabia myślał o zemście za swoją porażkę, nie troszczył się o psychologię Luci i o jej los, siebie tylko widział, swoją odczuwał nędzę. Luci złorzeczył. Lecz przede wszystkim chciał prawdy. Co zaszło?

Jerzy, jak konający, ujrzał w wyobraźni cały szereg lat, zawierających w sobie miłość nieszczęsną dla Luci. Tyle starań daremnych, tyle walk i udręki wewnętrznej, tyle rojeń słodkich, które oto już spełnić się miały. Wszystko zostało mirażem...

Marzenie, doprowadzone do progu szczęśliwości bezmiernej, okazało się złudą okropną. Gorzki fakt zajął miejsce nadziei, pielęgnowanej troskliwie. Ironia szydziła i nasuwała potworne myśli, ukazując zdarzenia minione w całej ich nagości. To, co wydawało się dawniej w barwach pastelowych, dziś było bezczelnie kolorowe. Brochwicz widział swe uczucia bez osłon. Zdawało mu się, że kocha Lucię miłością bardziej duchową, że przede wszystkim pragnie jej szczęścia. Uczucie to się wzmogło, gdy została jego narzeczoną. Bliskość małżeństwa pobudziła altruizm duchowy, widzenie własnego szczęścia spowodowało hojność niesłychaną, lecz bez określonych granic.

A teraz wszystko to umarło! Pozostała zawiść, że ukochana kobieta jest mu odebrana, że posiądzie ją ktoś inny. Instynkt zwierzęcy pędził do zemsty.

Zemsta powinna być wywarta na tym, kto go Luci pozbawił.

– Ale kto nim jest?...

Pozornie Bohdan, i on będzie odpowiadał. Jeśli poza nim jest zręcznie ukryty ordynat, to i on powinien ponieść karę.

Brochwicz zdławił rozpacz i postanowił działać.

Zaczął szukać sposobności zobaczenia się z Bohdanem na gruncie neutralnym. Wiedział, gdzie szukać Michorowskiego, i tegoż dnia spotkał go w jednej z sal Louwru.

Bohdan, ujrzawszy Brochwicza, zdziwił się, ale podszedł i wyciągnął rękę z powitaniem.

Hrabia cofnął swoją dłoń.

Michorowski zapłonął.

– Chce ze mną awantury - pomyślał.

Patrzyli na siebie przez chwilę.

Wreszcie Bodzio przemówił:

– Wiem, jaki jest powód pańskiego zachowania się, i dlatego wybaczam je hrabiemu. Gorycz bywa tak silna, że skłania nawet do niegrzeczności.

– Więc pan sądzi, że ja popełniłem tylko niegrzeczność i że nie podaję panu

ręki bez powodu? - spytał Brochwicz głosem wprost policzkującym.

– Tak. Hrabia powinien być trzeźwiejszym i nie szafować obelgą bez racji.

Jerzy się zdumiał. Pewność siebie Bohdana zaniepokoiła go.

– Pan intrygami swymi zerwał moje małżeństwo!

– Owszem, skłoniłem do tego baronównę. Przekonałem ją, że popełnia czyn bardzo ryzykowny i nierozważny.

– Jakie pan miał do tego prawo?! - w uniesieniu zawołał Brochwicz.

– Prawo uczciwości.

– Czy pan działał za siebie... czy za kogoś?

– Wyłącznie z własnej inicjatywy.

– Więc jak mam pana nazwać?... – wybuchnął Jerzy.

– Hrabio, proszę się uspokoić. Ja was oboje ocaliłem. Wchodziliście w nieszczęście bez zastanowienia. Lucia pana nigdy nie kochała i nie kocha. Nie mogło się stać to, do czegoście dążyli.

– I pan zostałeś aniołem stróżem Luci, pasterzem jej i mojej moralności. Zbytek łaski! Interwencja pańska jest nikczemna i śmieszna.

Bodzio panował nad sobą, ale czuł, że się wyczerpuje.

– Jesteś, hrabio, niesprawiedliwy i nadużywasz mej pobłażliwości dla swego rozdrażnienia. Powtarzam, że wasze małżeństwo dojść do skutku nie mogło. Chciałem ratować kuzynkę od tej toni, i celu dopiąłem. Czuję się w zupełnej zgodzie z własnym honorem i sumieniem. Hrabia wiedział, że narzeczona nie kocha go, i pomimo to nie wahał się zakuwać ją w związek dla niej tragiczny. A zatem, kto z nas więcej pragnął szczęścia dla Luci?...

Brochwicz miał w sercu przerażenie, zgrozę. Ale gniew przemógł wszelkie inne uczucia.

– Pomimo pańskich wykrętów, czyn jego jest podły i podstępny. Gardzę panem!

– Hrabio, proszę się liczyć ze słowami! - wykrztusił Bodzio nieswoim głosem.

– Nie liczę się z panem wcale! Cofam panu swoją dłoń i brzydzę się panem. Jesteś bezczelny! Plugawisz nazwisko, które nosisz! - krzyczał Brochwicz bez opamiętania.

Bohdan pobladł straszliwie. Zrobiło mu się ciemno w oczach. Spadł na niego cios niespodziewany, bolesny, pierwszy w życiu, i ogłuszył do chwilowego zaniku myśli.

Gdy się ocknął, Brochwicza już nie było.

Zdrój krwi gorącej buchnął do mózgu Bohdana. Obrażona duma zażądała odwetu.

Bodzio wyszedł z Louwru z gotowym postanowieniem.

Cierpliwie znosił obelgi dla miłości Luci, lecz już nawet dla niej poświęcenie okazało się zbyt hańbiące.

Szedł do swego mieszkania uspokojony, prawie wesół. Przypomniał sobie pierwszy pojedynek w Warszawie, i to go znowu rozdrażniło.

– Jaka różnica między tamtym a tym, który nastąpi! - myślał.

Żałował Luci i z nią razem życia. Bardzo jasno i wyraźnie odczuł teraz miłość do niej, i cześć, i uwielbienie i współczucie nad losem jej nieszczęsnym.

– Co się z nią stanie? - pytał siebie Bodzio.

Pojedynek zmalał wobec tego pytania, które pochłaniało całą istotę młodzieńca.

– Co się stanie z Lucią?

I bez odpowiedzi, mogącej go uspokoić, Bohdan męczył się całą noc.

# XLVIII.

Brochwicz chciał wyrwać z siebie tę prawdę okrutną, którą mu rzucił Michorowski. Lecz nie mógł. Gorzka wstrętna prawda rozrosła się w jego duszy i unicestwiła ją. Następowały myśli bardzo trzeźwe i bardzo bolesne.

– Bohdan ma słuszność! Ona by mnie znienawidziła. Ona mną gardzi, tamtego ceni jako swego wybawiciela. Bohdan postąpił z Lucią uczciwie, tylko ja chciałem ją poświęcić dla własnego egoizmu.

Jerzy poczuł w duszy ciężar, niebywały dotychczas. Wątpliwość co do siebie rosła; szacunek dla Luci i Bohdana wykwitł nagle i potężnie. Hrabia myślał i walczył ze sobą. Odbył spowiedź przed własną duszą, najtajniejszą myśl swoją wydobył z ukrycia i przyjrzał się jej w świetle trzeźwej analizy. Zbadał uczucia i to było przesilenie rozpaczliwego gniewu. Tylko jawa nieszczęścia pozostała wciąż tak samo straszna.

Brochwicz ujrzał pustkę przed sobą, pustkę życiową, niby marę, włóczącą się za nim bezlitośnie. I zatrząsł nim dreszcz przerażenia, bo oto zrozumiał, że w tę pustynię bez oazy iść musi samotny, z duszą zranioną, z sercem krwawiącym.

Hrabia odczuwał płacz wewnętrzny, rozrywający mu klatkę piersiową, lecz łzami nie płakał. Oczy były suche, ponure.

– Bohdan zwyciężył! - myślał hrabia bez przerwy.

Jaką tamten ma przewagę w pojęciu Luci, o ile wyżej ona go cenić może od tego, który ciągnął ją na bezdroża! Jerzy porównywał siebie z Bohdanem, ale od razu sam sobie wydał się karykaturą.

Tamten działał na chłodno, on głównie dążył do zadowolenia swych pragnień. Ale... czy Bodzio był zupełnie obojętnym w swych uczuciach, gdy zrywał ich małżeństwo? Działał bez wiadomości ordynata - to widoczne! Czy tylko powodowany szlachetnością, czy też z powodów osobistych?

Hrabia zastanawiał się, dlaczego Bohdan, taki zapalczywy, tym razem był spokojny. Pierwszą obelgę, gdy mu cofnięto dłoń, wytłumaczył pobłażliwie; na słowa wyzywające odpowiadał bez wybuchów, mocował się ze sobą, ale potrafił utrzymać takt, którego się w nim Brochwicz nie domyślał.

Co go tak zmieniło...

Jaka siła wstrzymała go od gwałtowności, znanej u niego powszechnie?

– Jedna jest jedynie możliwa: On kocha Lucię.

Ta myśl zarysowała się od razu jako pewnik. Zgnębiła ostatecznie Brochwicza, bo na tle swego nieszczęścia ujrzał on znowu - rywala.

A jednak żałował, że obraził Bodzia. Niepokoił się, podziwiał zimną krew młodzieńca, czynił sobie wyrzuty. Zamknięty w swym gabinecie męczył się i cierpiał, nie widząc ratunku.

Zrozumiał, że nie dość jest kobietę kochać szalenie i okazywać jej głąb swych uczuć, nie dość jest miłować duchem i pożądać zmysłami, ale trzeba posiadać tę moc wyłączną, odrębną siłę psychologiczną, która zniewala kobietę do wzajemności. Trzeba umieć otoczyć ukochaną siecią swej przewagi, delikatną i subtelną, ale trwałą, nie ulegającą zniszczeniu. Trzeba z ostrożnością niesłychaną odróżnić despotyzm od tej odmiennej formy despotycznej, mającej władzę bóstwa, a wytworność i barwę storczyka.

Nie żebrać miłości, ale brać ją stanowczo jak swoją własność.

Iść do celu bez wahań, bez skrupułów, lecz krokiem śmiałym, druzgocącym wszystko po drodze.

Michorowski szedł z taką właśnie zuchwałością życiową, wszystko rzucił na szalę jednym zamachem i... wygrał.

Lucia odczuwała przewagę Bohdana, łamiącą bezwzględnie jej niepewność.

Brochwicz rozmyślał, czasem ze spokojem dziwnym, czasem - do głębi wzburzony.

Powtarzał sobie, że świat i życie ludzkie to blaga, obłuda i wielka fatamorgana. Optymizm, zwykły towarzysz młodości, gdy zanika, zostawia po sobie w istocie człowieka martwotę i niechęć zupełną. Wszystko jest fałszem, to podstawa świata.

Świat jest jak teatr, odgrywają się w nim tragedie, dramaty, najczęściej i komedie, zmieniają się aktorzy, dekoracje, lecz treść główna i scena pozostają te same. Treść oparta na wiecznym, subtelnym ordynarnym oszukiwaniu siebie.

– Mówią: kochać - to żyć! Paradoks.

Kochać - to morfina; bez niej zamiera się, a nią się zatruwa.

Kochać z wzajemnością, to szczęście wielkie, to odurzenie narkotyczne.

Kochać bez wzajemności, to trąd, śmierć, to gorsze od śmierci.

Ale kochać i bez wzajemności i bez jednego atomu nadziei, to powolna, okrutna agonia.

Zazdrość szarpała Brochwiczem. Zabiorą mu Lucię... I kto ją zabierze? Gdybyż umarła... Gdybyż nikt nie miał do niej prawa!

Egoizm i mściwość podniecały się w duszy Jerzego. Ale zastanowienie przemawiało ciszej wprawdzie, lecz samowolniej.

Brochwicz zmagał się ze sobą.

Wieczorem oznajmiono mu nadejście dwóch panów. Nazwiska ich objaśniły Jerzego.

Sekundanci Bohdana - pomyślał.

Odetchnął spokojnie, lecz zanim wyszedł do salonu, gdzie go oczekiwano, przebył ze sobą krótką, ale straszną walkę. To, co miał uczynić, pruło mu żyły. Zatamował krzyk protestu, wyrywający się z wyżyn ambicji, i wyszedł do sekundantów zimny, poważny. Był zwycięzcą - samego siebie.

Przyjaciele Bohdana zrozumieli inaczej. Postawa Brochwicza wydała się im groźna.

Podyktuje ostre warunki - pomyśleli jednocześnie.

Po wymianie ukłonów starszy z panów wyjawił cel ich wizyty.

Hrabia słuchał bez wrażenia i milczał.

Sekundanci spoglądali na siebie porozumiewawczo, nie pojmując zachowania się wyzwanego.

Nagle Brochwicz rzekł głosem stanowczym, ale zupełnie odmiennym niż zwykle.

– Ja z panem Michorowskim pojedynkować się nie będę.

Sekundanci się zdziwili.

– Jak to?! Hrabia odmawia pojedynku, będąc wyzwanym? - spytał jeden ze świadków Bohdana.

– Tak, odmawiam zadośćuczynienia z bronią w ręku.

– Hrabio! Jaki pan ma powód?!...

Brochwicz spojrzał im śmiało w oczy, wzrokiem jasnym, prawym.

– Panowie! - przemówił dobitnie. - Obraziłem pana Michorowskiego bardzo poważnie i z rozmysłem. On był wyrozumiały, ja zaś niesprawiedliwy. Cisnąłem mu obelgę niesłusznie, prawda jest po jego stronie.

Świadkowie mieli miny niesłychanie zdumione.

Jerzy, głosem załamanym, ciągnął dalej.

– Proszę panów zawiadomić pana Michorowskiego, że gotów jestem przeprosić go, gdyż uznaję się winnym. Jeśli wówczas zechce on pojedynku, będę do usług. Żegnam panów.

Hrabia cofnął się do gabinetu.

Miał wrażenie, że zdmuchnął ostatni płomyk w świątyni, w której królowała Lucia, owiana dymem tajemniczym ułudy.

Buchały mu w mózgu wulkany, ziejąc ogniem i lawą rozpaloną. Coraz więcej ich przybywało i coraz wściekleiszych. Jerzy pragnął śmierci, lecz nie z ręki Bohdana, nie w pojedynkę o Lucię. Tęsknił za czymś, co mu dać może zapomnienie.

W parę godzin potem, kiedy Brochwicz drażnił się już brakiem wiadomości od Michorowskiego i miał do niego jechać, nagle sam Bohdan zjawił się przed zdumionym hrabią.

Jerzy, niezmiernie ujęty, ręce wyciągnął do Bodzia szczerze i serdecznie.

– Więc mi pan wybacza? - spytał.

– Tak, chcę, abyśmy się rozstali w zgodzie bez przykrych wspomnień. Zatuszujmy je. Chciałem pana zabić, teraz pragnę zgody.

Uścisnęli się przyjaźnie.

Brochwicz chciał wyczerpać sprawę. Rzekł ze wzruszeniem:

– Drogi nasze rozchodzą się, może na zawsze - kto wie? proszę pana pożegnać ode mnie baronównę i księżną. Nie mogę spełnić tego osobiście. Ale... pan mi nie odmówi ostatniego pytania. Jestem w prawie zadać je panu.

Bodzio przeczuł dalszy ciąg.

– Proszę!

– Pan... kocha ją. Czy tak?!

– Kocham! - odrzekł Bodzio śmiało i dumnie.

Brochwicz zzieleniał. Żółć zalała mu krew w sercu. Rzekł cicho:

– Tylko to chciałem wiedzieć.

Pożegnali się w milczeniu.

## XLIX.

Księżna Podhorecka z Lucią wracały do kraju, Bohdan im towarzyszył.

Baronówna pragnęła ciszy, zaczęła marzyć o wstąpieniu do klasztoru. Ale myśl ta była jedynie przywłaszczoną, nie zaś istotną.

Lucia chciała od razu w Belgii pozostać w klasztorze, w którym przebywała po śmierci Stefci Rudeckiej. Lecz oparł się temu Bodzio, i ona znowu mu uległa.

Gdy jechali we troje na dworzec kolejowy, Lucia w nerwowym podnieceniu spoglądała przez okno karety na zaśnieżone ulice Paryża.

Nareszcie rzekła:

– Pozostawiam tu swoją przeszłość.

– Tak, i zapomnij o niej - odrzekł Bohdan. - Byłaś, kuzynko, pogrążona we śnie przez szereg lat. Dopiero teraz otwiera się przed tobą...

– Furta klasztorna. Powinnam była dawno ją przekroczyć - wybuchnęła Lucia ze spazmatycznym dreszczem.

Księżna położyła swą miękką dłoń na ręku dziewczyny.

– Wierz mi, dziecko, są nieszczęśliwsi od ciebie. Są tacy, których nikt nie kocha, a jednak idą w świat samotni i dążą do czegoś, i zawsze pragną.

– I w końcu rozbijają głowę o bramę, za którą jest tylko utopia - odparła baronówna.

– Nie, bywa za nią czasem nowy horyzont i taka ogromna perspektywa, że przeszłość wydaje się malutką łączką wobec tego obszaru.

Dziewczyna uważnie sięgnęła wzrokiem do oczu księżnej, jakby chcąc wywlec z niej duszę.

– Mnie już taka... niespodzianka nie czeka - rzekła ponuro.

– Ach, dziecko moje! Jesteś tylko widzem swego życia i jego krytykiem, ale nie autorem. Możesz się domyślać epilogu, lecz go nie znasz. Los, to twórca genialny, dowcipny! I... Często złośliwy. A ja ci mówię, że bywają epilogi o większej wartości, niż najpiękniejszy prolog. Ostatnie słowo w danym dziele czasem się staje pierwsze w nieznanej nam sztuce, będącej w przestrzeni. Tylko nikt się tego nie domyśla.

– Więc babcia sądzi, że ja...

Lucia spotkała palący wzrok Bohdana i zająknęła się.

– Sądzę - odrzekła księżna - że to wszystko, coś przeżyła, jest pierwszą i małą częścią dużego tomu. I jeszcze nie byłaś dotychczas w pełnym świetle. Otaczały cię roje świetlików, chodziłaś w ich smudze tęczowej, ale migocącej, nie umiejscowionej. One zagasły; przed tobą wschód słońca! Zaślepiona ułudnymi błyskami, nie od razu ujrzysz tę nową, odmienną i prawdziwą jasność. Gdy ją zobaczysz, wówczas odczujesz moc ducha i powiesz sobie: Idę w życie. To będzie dopiero twoim odrodzeniem...

Lucia zamyślona, zasłuchana, nie spostrzegła się, że łzy wielkie spadły jej z oczu, i że Bohdan patrzył na nie chciwie a łagodnie, jak słońce na rosę kwiatu. Rzewność miał w źrenicach i powagę, i myśl głęboką. Lucia wiedziona czułością, rzadką u niej, pochyliła się i ucałowała rękę księżnej; jednocześnie Bohdan zrobił to samo. Głowy ich się zetknęły, w ślad za tym spotkały się oczy.

Lucia ujrzała w nich tyle uczuć, tyle promieni, sypiących się kaskadą, że z dreszczem trwogi spuściła powieki. Oczy Bohdana były dopełnieniem słów księżnej.

– Oto wschód! - mignęła myśl nagła.

Lucia przestraszyła się jej, jakby objawienia nieziemskiego.

Dojechali do dworca.

Baronówna zmierzała już do wagonu, gdy wtem stanęła. Ukrop krwi wartkiej oblał ją całą.

Ujrzała Brochwicza tuż przed sobą.

Patrzył na nią prawie przerażony.

Żal, współczucie, odezwały się w niej.

Wyciągnęła rękę do hrabiego.

– Żegnamy się. Wszak prawda? - szepnęła z uczuciem.

Uścisnął jej dłoń w milczeniu.

– Czy i pan wyjeżdża?

– Tak.

– Dokąd?

Jerzym zatrząsł gniew. Chciał odejść, ale przemógł się i odparł spokojnie:

– W przestrzeń nieznaną.

Lucia rozjaśniła się, jakby po cieniu padła na nią smuga świetlista.

– Ja także! Więc może i pan znajdzie... wschód?! Nowy, odmienny, prawdziwy wschód!

Mocno ścisnęła palce Brochwicza i prędko wbiegła do wagonu.

Hrabia ścigał oczyma znikający pociąg, który unosił Lucię, wytężał wzrok, by do ostatka nie stracić ani jednego szczegółu, ani jednego ruchu uciekającej masy wagonów. Krwawa łuna rozlała się w źrenicach Jerzego i przez nią widział szczątki swego snu.

Gdyby nie przytomność umysłu, Jerzy rozdarłby piersi swoje i pokazał pustkę w nich - czarną jamę, wyżłobioną przez gorycz, przez rozpacz, przez

zawód bolesny.

Ona mi na końcu o wschodzie mówiła - myślał błędnie.

– Jaki wschód? Czy dla niej świta?...

– Wschód dla mnie... Ha, ha!

Brochwicz zapragnął nagle ruchu, gwaru. Ujrzał w wyobraźni morza, oceany, góry lodowe, skały nieprzebyte. Usłyszał krok bałwanów, zgrzyt wichru o maszty, trzask, łomot lodowców.

W podróż! W podróż!

Uczuł szaloną wolę, konieczność podróżowania...

W przestrzeń! Do...

– Wschodu - szepnął głos Luci.

– Nie! W przestrzeń do ukojenia.

## L.

Matka-ziemia, odmłodzona i pachnąca, wyszła już z kąpieli wiosennej. Spłynęły z niej brudne strugi wód, znikły kałuże i zwinne potoki. Przyroda wychlustuje ze swej wanny resztki zapienionych mydlin. Czystą, ożywczą wodą deszczów płucze ziemię i namaszcza ją wonnościami.

Są cudne.

Pachną żywiczne soki sosen i świerków. Brzozy rozmarzone ronią woń subtelną, lecz odurzającą. Już i źródła okadzają się pachnidłami i leśne grzęzawiska-moczary. Rozkołysany zew ziemi, twórczy podzwon rodzicielki wzmaga się i gotuje wszystko do uroczystości kwitnienia.

Zaczęły się próby. Wytworne zapachy uderzyły w powietrze.

Sypią się kwiaty białe, modre i żółte.

Pękają pączki drzew.

Radość urodziła się słoneczna i pływa w przestrzeni.

Niebo i ziemia wznoszą hymn.

Ono lazurowe jak toń Adriatyku, ona cała kwiecista. Niebo żeni się z ziemią; odprawia swe gody hucznie ze śpiewaniem chórów ptasich, z dzwonieniem owadów, z kipiącą potęgą rozrostu.

Poróżowiały nasiąknięte sokiem lipy. Tu i tam buja biały motyl.

Poranek roku zaświtał przecudny.

Uczucia nagromadzone szczodrze rosły z każdą chwilą. Uczucia, duchem poczęte, więc przeogromne, trawiące wszystko.

Zda się, że na ziemię zstąpiło serce. Wielkie serce miłowania. I tuli ziemię, i pieści, jak ojciec stęsknione dziecię. Serce przygarnia do siebie wszeistność, łączy twory ziemi w rodzinę jedną, zespoloną szczęściem. Wchodzi do dusz roślin, stworzeń wszelakich i do dusz ludzkich.

A gdzie wstąpi - rosną skrzydła.

A gdzie zajrzy - promień się budzi.

I śpiew upojny, wyrwany rozkoszą z piersi brzmi dziękczynieniem.

Nadzieja wzbogaca się, otucha stroi w złotolite szaty. Rany goją się łatwiej; cierpienia przekwitają lub schną.

Bo serce wszechbytu, serce rozpalone miłością, serce z wiosną nadeszłe, balsam kojący kładzie do duszy, kropi płynem czarodziejskim wiary i natchnienia.

Wszystko głębiej czuje, bujniej myśli.

Wszystko się kocha. Tylko jeszcze nie staje na ślubnym kobiercu, jeszcze nie dosięga najwyższej ekstazy. Zaledwie początek niezmiernego piękna - a już zachwyca.

Idzie rozkosz, idzie! Podwaja swój pęd, rozkosz dla ducha, dla serc upojenie.

Lucia Elzonowska witała wiosnę w Obronnem. Mieszkała tu od powrotu z Paryża, będąc pod opieką księżnej Podhoreckiej.

Trzy miesiące, przebyte w cichym pałacu, pozostawiły na Luci ślad wybitny. Uspokoiła się pozornie, w rzeczywistości jednak walki wewnętrzne nie ustały, tylko były już inne niż przedtem.

Lucia w pierwszych czasach powrotu z zagranicy spotykała ordynata z pewnym wstydem. Ale widząc jego zadowolenie z powodu zerwania małżeństwa, odczuwając jego serdeczność dla siebie, pozbyła się fałszywego uczucia. Wróciła jej dawno zaginiona swoboda w obcowaniu z Waldemarem; była mu siostrą i spostrzegała z ulgą niezmierną, że gwałtowne przejścia duchowe w Paryżu unicestwiły jej miłość. Uwielbienie, cześć dla ordynata nie uległy zmianie, ale teraz dziewczyna już umiała nazwać te uczucia po imieniu.

Widywali się dość często, stosunek ich z dniem każdym stawał się naturalniejszy. Częściej jednak Lucia przebywała z Bohdanem, który kończył praktykę w Głębowiczach przed wyjazdem na posadę do Biało-Czerkas.

Rozmowy Luci z Bodziem były wyczerpujące dla niej, ale ich pragnęła. Jego śmiałość poglądów brała Lucię w swe jarzmo, nakazując jej mimowolne poddaństwo.

Bohdan humorem swoim rozbawił ją, nadał inny kierunek jej myślom, łagodził jej duszę, powracającą do zdrowia. O miłości swej nie mówił.

Bawili się ze sobą jak dzieci, razem odbywali spacery, razem czytali i grali w bilard. Szukali się wzajemnie.

Gdy śniegi stopniały, Lucia i Bohdan lubili zrywać pierwiosnki po mokrych gajach w Obronnem.

On opowiadał jej wiele ciekawych szczegółów ze swego życia przed poznaniem ordynata. Drażnił ją wybrykami dowcipów i czasem łobuzerską brawurą w obejściu. Sprzeczki ich bywały częste i nie raz w tonie ostrym. Oburzenie Luci chłopak dowcipnie wyśmiewał, krytykował pewne jej poglądy, był albo subtelny jak rzeźbiarz kamei, albo też nawet szorstki. Lucia nigdy nie mogła być pewna jak skończy się ich rozmowa, jak go pożegna po najlepszym powitaniu. Nie zdołała zgłębić jego natury. Zaciekawiała się, gorączkowała i wciąż spotykały ją niespodzianki.

Bohdan opowiedział Luci epizod z Burgu wiedeńskiego; swój zapał do arcyksiężniczki odmalował szczerze, ale go trochę mocniej oświetlił.

Lucię to wyznanie rozgniewało. Nadąsała się, nie chciała słuchać poetycznych opisów o arcyksiężniczce, która w słowach Bohdana wyrosła na zaczarowaną królewnę z bajki. Gdy Bodzio spytał Lucię, co ją tak gniewa, odrzekła chmurnie:

– Sądziłam, że Don Juanem nigdy nie byłeś.

– Owszem! Ojej! I jakim jeszcze! Maria Beatrycza to taka duchowa słabostka... Miewałem szały innego rodzaju. Pamiętasz w Warszawie mój pojedynek o jakąś tam diwę z baletu? No, przedtem była słodka Anni. Z jej objęć wpadłem w uścisk rulety. Maluczko - a nie ujrzelibyście mnie, ale, wedle pojęć księżnej-babki, ten mój pozorny finał był właśnie uwerturą mego życia.

Baronówna nie lubiła takich zwierzeń.

Księżna cieszyła się, patrząc na Lucię jakby odmłodzoną. Staruszka przeczuła, co się dzieje w sercu dziewczyny, ale była dyskretna. Bohdana księżna lubiła, ujął ją sobie ocaleniem Luci od związku z Brochwiczem. Ceniła młodzieńca, że potrafił złamać jej upór, że umiejętnie leczył ją od przebytych cierpień, że miał na nią wpływ dobroczynny.

Oni się zaś oboje dopełniali. Wyskoki Bodzia Lucia umiejętnie normowała; jej kaprysy Bodzio zręcznie obracał w żart; jej smutki rozpraszał, narzucał jej siebie łagodnie, lecz uparcie tak, że w końcu ciągle był w jej myślach. Lucia staczała ze sobą utarczki wewnętrzne. Nic nie pomogło: Bohdan porywał ją i podziwem karmił duszę dziewczyny.

Zaczynała się w niej budzić trwoga przed nim. Lucię ogarniał szał niepokojący, bo odczuwała w sobie nowe prądy. Nowe - a inne.

Baronówna chciała się ratować.

Wmawiała w siebie, że kocha jeszcze Waldemara. Umyślnie jeździła często do Głębowicz; gdzie mieszkał i pan Maciej; wspominała przeszłość hipnotyzując się nią uporczywie.

Lecz wszystkie te zabiegi były tylko złudzeniem ratunku. Postać Bohdana prześladowała Lucię.

Pochłaniał ją całą.

Ordynat odgadł w kuzynie miłość dla Luci i wiedział, że pozyska jej wzajemność. Nie dziwił się niczemu, tylko rozmyślał nad psychologią dziewczyny, gdyż była dla niego ciekawą.

Waldemar śledził Lucię badawczo, chociaż z ostrożnością. Jej skłonność do Bohdana, wzrastająca niesłychanie szybko, zaczynała go trochę drażnić. Nie mógł sobie uświadomić plastycznie skojarzenia różnych wrażeń, które mu się nasuwały. Czuł jednorazowo: radość z powodu, że Lucia wyzwoliła się ze swej nieszczęśliwej miłości dla niego, że nowe uczucie dla Bohdana już w niej kiełkuje, że teraz może być szczęśliwa i... leciuchny cień zawodu, żalu nieuchwytnego jak mgiełka, że jednak Bohdan wziął ją całą, i że ta dawna ubóstwiająca go kobieta jest już pod wpływem innego. Były to wrażenia

przykre, ale lekkie i wątłe, rozpływające się w ogromie dobrych, radosnych uczuć, jak niemiła woń kantarydy w bujnie rozkwitłym gaju bzów. Ordynata przerażało małżeństwo Luci z Brochwiczem, ale nie stawiał energicznych przeszkód, ponieważ brakło mu w duszy tego, co posiadał Bohdan względem Luci. Nie mając ściśle określonej metody działania, nie mógł działać. Jej zwrot do Bohdana nie był dla ordynata nawet chwilową podnietą do zatrzymania jej przy sobie. Nigdy nie zmieniłby swej idei przewodniej, która przyczyniła się do odepchnięcia Luci, jednakże denerwowało go nieco jej odejście. Objaw ten Waldemar tłumaczył niezmiennością swoich uczuć, w przeciwstawieniu do wrażliwej natury Luci, potrzebującej oparcia. Usposobienie jej poważne, ale namiętne, śmiałe, lecz melancholijne, musiało harmonizować z gorącą i poetyczną naturą Bohdana jak również musiało ulec jego woli i stanowczości, przewyższającej jej wolę i stanowczość.

Brochwicz utracił ją dlatego, że był pod jej władzą, Bohdan ją pozyskał, gdyż umiał wyłącznie nad nią zapanować.

Pomimo wszystkiego Waldemar obawiał się rozwiązania tej sprawy. Nowe zawody Luci byłyby dla niego ciosem, nie przewidywał ich, ale przeczuleniem nerwowym lękał się nawet myśli o nich. Lucię miał zawsze trochę na sumieniu. Niepewna jej przyszłość dręczyła go.

Ten sam powód smutkiem przenikał starczą duszę pana Macieja.

## LI.

Na rzece głębowickiej burzyły się fale wiosenne, roznosząc dokoła huk i zapach wilgotnej piany. Woda błękitno-zielona, trochę mętna, najeżona białymi grzywami bałwanów, waliła szerokim korytem w wirach i skrętach rycząc, jakby się w jej głębinach odbywały orgie wodników z najadami. Gdy fale płynęły spokojnie, z szumem i bełkotem jednostajnym a melodyjnym, z toni wydobywały się jakieś głosy przedziwne, niby szepty miłosne, niby westchnienia i zaklęcia. I niby śpiew syreny biegły wówczas po nurtach pełen słodyczy, ponętnych obietnic.

Najpiękniejsze załomy i najgłębsza toń na rzece były pomiędzy parkiem i zwierzyńcem głębowickim. Tam zdobiły wodę z obydwu stron olbrzymie masy drzew, które daleko rzucały swój cień głęboki, drgający. Gdy ściany te niebotycznie zazieleniły się, rzeka płynęła jak w przepaścistym parowie wśród boru. Ptactwo wodne zaczynało się już gromadzić i kwilić. Zjawiły się białoskrzydłe mewy i dumne ze swej urody perkozy.

Bohdan Michorowski nie straszył ptaków płynąc w wąskiej łodzi i prawie nie poruszając wiosłami. Codziennie, o ile nie był w Obronnem, zjawiał się na rzece. Tu marzył, snuł zdobywcze projekty, i często głośno je wypowiadał, jakby mówiąc do fal. Zebrało się w jego duszy mnóstwo zapytań i zagadnień, odpowiadał na nie śmiało, bez wahania, lecz one wciąż nasuwały się uparcie zawsze te same. Pragnął Luci i wiedział, że już ją zdobył. Ale chciał, aby

myśli jej należały do niego i uczucia, i każde drgnienie serca. Pragnął ze swej strony ofiarować jej to samo, i był pewny siebie. Nie miał żadnych wątpliwości, że Lucię kocha i że zabezpieczy jej szczęście, gdyż znał dokładnie stan swojej jaźni duchowej. Odczuwał w sobie wiele porywów uspokajających go. Brzydził się istnieniem pospolitego światowca, gogusia, żyjącego zmysłami, dobrym śniadaniem i zabawą, który dba jedynie o poprawny krawat, jeszcze poprawniejszy smoking, najpoprawniejszy kapelusz. Bohdan chciał dążyć do poznania prawd głębokich, do ujarzmienia swych namiętności i osiągnięcia ideału życiowego. Chciał zdobyć szczęście, uważał je jeśli nie jawnym, to utajonym celem każdego człowieka. Ale on chciał szczęścia zdobytego mocą ideału. Rozumiał, że z brudnej kopalni przeróżnych pokładów, jaką jest istota ludzka, wydobyć czysty kryształ to praca żmudna; chcąc ją spełnić, nie należy opuszczać rąk, lecz pracować ze wzrokiem zapatrzonym wzwyż. Pić ten prąd ożywczy, który nie każdy zdoła uchwycić w porę, by wchłonąć go do duszy skurczonej ziemskością.

Młody Michorowski, jakkolwiek liczył zaledwie dwadzieścia pięć lat, przeżył już dużo walk, rozterek, zawodów i życiowych goryczy. W tym odmęcie nie zatracił duszy, nie zohydził serca. Teraz, gdy owładnęło nim uczucie szczere i czyste, żałował, że w jego krótkiej przeszłości były męty... były i błyskawice. Ale każdy mniej więcej przechodzi w życiu przez szlak błyskawic, zanim dosięgnie istotnego i trwałego światła szczęścia. Bagienko pustoty i nędzy moralnej, każdemu choć chwilowo zachlupie pod stopami, tylko jeden grzęźnie bez wyjścia, drugiego zaś jakaś twórcza potęga wyniesie na suchy, ale żyzny grunt. Ta moc zbawcza znajduje się w duszy ludzkiej, tylko trzeba ją poznać w sobie i pobudzić niezłomną wolą. Słabość usypia ją, bierność - niweczy zupełnie.

Bohdan w Rusłocku pierwszy raz odczuł w sobie tę siłę, długo z nią walczył, zanim popchnął do czynu. Dźwignią była przemożna wola i miłość do Luci, również w Rusłocku poczęta. Poprzedziła ją tęsknota, której Bodzio wyraźnie nie pojmował. Dopiero w Głębowiczach, podczas świąt Bożego Narodzenia, przed wyjazdem Luci do Paryża przekonał się, że ją kocha. Pomimo to zgodziłby się, aby została żoną Waldemara, ale znając stan uczuć Waldemara, lękał się o szczęście Luci. Przeczuwał, że u niej to neurastenia, ale nie miłość.

Zaręczyny baronówny z Brochwiczem upewniły Bodzia w jego uczuciach, i zarazem stały się zachętą do ryzykownej walki. Podjęta w celu ratowania Luci od zguby, z głęboko ukrytą w sercu młodzieńczą samolubną myślą, walka skończyła się dla niego zwycięstwem.

Teraz marzył o szerokich zakresach w życiu dla siebie i dla Luci. Posada administratora w Biało_Czerkasach była dla Michorowskiego na razie wystarczająca; dobra wołyńskie, bardzo rozległe, ale mniej kulturalne niż Głębowicze, przedstawiały duży teren pracy.

Bodzio tworzył obszerne widoki swej działalności, pragnął iść w ślady Waldemara i ufał w swoje siły. Lecz jego bujna fantazja sięgając w

przyszłość, unosiła go ponad Biało_Czerkasy; sokolim lotem rwał się do nieznanych jeszcze obszarów marzeń. Odczuwszy w sobie hart i wolę, doznawał gorączkowych żądz, aby je uczynić niezłomnymi.

Szczupła twarz młodziana i wydatne rysy odtwarzały wiernie prądy wirujące w jego duszy. Ciemne oczy gorzały zapałem i myślą, cała postać odznaczała się czystością linii odrębnych, śmiałych, nie tracąc wytworności. Ruchy były zdecydowane, głos dźwięczny nabrał tonów niskich i brzmiał swobodnie, wyrzucany z piersi bogatą skalą.

Bohdan kipiał niezmiernie żywym temperamentem.

Ordynat wyczuwał przełomy wewnętrzne swego ulubieńca, sprawiały mu one wielkie zadowolenie. Mimo woli nasuwały się mu pytania, co by się stało z Bodziem, gdyby go nie spotkał w Nicei.

I Waldemar doszedł do wniosku, że tą, czy inną drogą, Bohdan zawsze by się wydźwignął, bo nosił w swej istocie zarodek męstwa, nie mogący być zdławiony przez nędzę bytu, i nawet brnąc po nizinach moralnych, wspiąłby się z czasem na ich wyżyny. Waldemar nie czuł się dumnym, jedynie szczęśliwym, że odrodzenie kuzyna stało się za jego pośrednictwem.

Już teraz ordynat nie obawiał się o przyszłość młodzieńca. Wierzył w jego siły do zdobywania życia.

Zbliżał się termin wyjazdu Bohdana do Biało_Czerkas.

Baronówna sposępniała.

Ogarnął ją przestrach, co pocznie bez niego. Stał się dla niej koniecznym. Już umiała sobie zdać sprawę z uczuć, nurtujących ją, chciała Bohdana zatrzymać bezwarunkowo.

Kilka tygodni żyła nadzieją, że on nie wyjedzie. Nieznacznie nadmieniła o tym ordynatowi, że Bohdan powinien dłużej być praktykantem w Głębowiczach. Mówiła to samo Bodziowi, jednocześnie karcąc się za swój egoizm.

Chłopak odkładał wyjazd z dnia na dzień. Ale Waldemar, pomijając wszystko, był stanowczy. Oznajmił swemu faworytowi, że powinien jechać zaraz, albo wcale.

W przeddzień wyjazdu młodzieniec zjawił się w Obronnem późnym wieczorem. Po kolacji pożegnał się oficjalnie z księżną i z Lucią. Ściskając rękę dziewczyny popatrzył jej w oczy z taką siłą i wymową, że zarumieniła się gwałtownie, ale zrozumiała.

Odrzekła szeptem:

– Czekaj na mnie: będę.

Bohdan pochwycił obie jej dłonie.

Gdy pałac pogrążył się w ciszy nocnej, młody człowiek zgasił światło, otworzył okno w swoim pokoju i czekał z drżeniem w sercu.

– Tylko tu przyjść może, skoro zrozumiała - myślał.

Niepokój szarpał mu nerwy.

Przez okno wpływały szumy wiosennej nocy i zapachy wilgotne a delikatne z krzewów i sypiących się traw. Gdzieś, w oddali, rechotały żaby, księżyc

majaczył słabo, blady, jakby powleczony srebrem. Cisza trwała poetyczna, rozpinająca na swych krosnach pajęczyny marzeń, tajemne westchnienia tęsknoty.

Rzewność sączyła się z mętnej pomroki nocnej, okadzonej wonią świeżej ziemi.

Przed północą zaszemrały w pokoju ciche kroki Luci.

Bohdan przyciągnął ją do otwartego okna.

– Przyszłaś?... Jesteś u mnie! Jakaś ty dobra! - szeptał, szczęśliwy, i całował jej ręce.

Lucia zawisła mu na ramieniu.

Bodzio, pomimo szarości w pokoju, ujrzał blisko siebie duże oczy dziewczyny, pałające i smutne.

– Luciu, ja wyjadę do Biało-Czerkas, ale... z tobą - szepnął, poruszony do głębi.

Ona potrząsnęła głową.

– To niemożliwe.

Teraz będziesz ze mną duchem, w sercu cię powiozę, ale... ja przyjadę, by zabrać ciebie całą, swoją własność, już na zawsze. Boś ty moja. Wiódł nas do siebie taki bożek, którego nikt nie spostrzegał. Dotyk jego skrzydełek czułem dawno, teraz już i ty odczuwasz ten urok wszechpotężny. Bożek naszego przeznaczenia złączył nas i odkrywa przed nami szerokie horoskopy. Idźmy, Luciu, w ten wszechświat! Tyś moja, więc pójdziesz, iść musisz! Pragniemy tego wspólnie.

Lucia, drżąca, nie przeczyła. Cisza nieznana a poważna zapełniła całą jej istotę, unosząc w przestworza dobre i melodyjne. Z ustami blisko ust Bodzia przemówiła cichutko:

– Więc babcia nam wywróżyła: Zaczynamy żyć; przeszłość była tylko prologiem. Więc my we dwoje...

– Będziemy wreszcie szczęśliwi – dokończył Bodzio. - Tobie ukochana, chcę ofiarować to, czegoś w życiu nie zaznała. Idziesz ze mną: czy tak?

– Na całe życie! - odrzekła Lucia ze szczerą, spokojną pewnością siebie.

Bohdan z uczuciem przedziwnej rzewności ogarnął ją ramionami. Rozpalone jego usta sparzyły jej szyję mocnym pocałunkiem. Przysunęli się do okna i pili razem upojenie serc własnych, pili nektar nocy wiosennej. Dobrze im było ze sobą i zacisznie. Szmer słów miłosnych potwierdzał tę przeuroczystą chwilę najistotniejszych i najtrwalszych zaślubin.

Pieszczota spojrzeń płomiennych wystarczyła im. Byli spleceni ze sobą duchem, serca ich pulsowały razem, myśl łączyła się w jedną smugę świetlistą.

Czynili sobie szczere wyznania początku swej miłości, rozwój tych uczuć analizowali wspólnie. Upojeni czarem, widzieli przed sobą łąki, usiane kwiatami lotosu.

– Lucia - szepnął Bohdan - patrz! Świta na niebie! Wstaje ranek.

– To jest nasz wschód - odszepnęła przytulona do narzeczonego, pełna

ufności, że szczęście obecne nie jest złudą.

Różowe źrenice jutrzenki spoczęły łagodnie na twarzach zakochanych i zabarwiły je kolorem delikatnym, jak pączki kwiatu jabłoni.

Świergot ptaków zadzwonił perliście, szepty poranne rozniosły się w parku, budząc wszystko, co jeszcze spało.

Jaskółka w szybkim locie frunęła do otwartego okna i zatrzepotała z kwileniem radosnym nad pochylonymi ku sobie głowami narzeczonych.

– To nasze pierwsze błogosławieństwo - rzekł Bohdan.

A ptaszyna śpiewała nad nimi hymn weselny. Po czym uniosła się w powietrze, lecąc wprost na łono jutrzenki.

Bohdan i Lucia zamienili ze sobą słowa pożegnalne.

## LII.

Pan Maciej Michorowski po drażliwej rozmowie z Waldemarem, w której raz jeszcze powracał do nieszczęsnej sprawy małżeństwa ordynata, uczuł się zrozpaczonym.

Starzec trząsł się konwulsyjnie. Suche ręce oderwał od fotelowego oparcia i drżące wyciągnął do Waldemara.

– Co będzie... Co będzie, na Boga?!

Ordynat utkwił w nim spokojne oczy.

– Ze mną, dziadziu, czy z ordynacją?...

– Ach! - krzyknął pan Maciej.

Rozwarte jego palce skuliły się, ramiona opadły.

– Ten twój wieczny spokój! Ta ironia!... - wołał z drażliwym smutkiem.

Waldemar wziął go za rękę i przemówił łagodnie. Jakieś wesele drgało w jego głosie.

– Nie, dziadziu, to nie ironia, to tylko odróżnienie pytań. Bo widzisz: ja pozostanę już i nadal, tak jak dziś, bez zmiany.

Mówiąc to, zadzwonił.

– Proś młodego pana - rzekł do kamerdynera.

Starzec patrzył na niego nieprzytomnie, z obwisłą dolną wargą.

Wszedł Bohdan.

– Wzywałeś mnie, wuju?...

Waldemar serdecznie spojrzał w poważną twarz kuzyna, wziął go za rękę i przyciągnął ku sobie:

– Zwrócił się do starca.

– Oto jest mój następca, przyszły ordynat Michorowski na Głębowiczach, obecny właściciel dóbr Biało-Czerkaskich. O ordynację, dziadziu, bądźmy więc spokojni.

W wielkiej ciszy, jaka zapadła po tych słowach niespodziewanych, rozległ się okrzyk Bohdana:

– Wuju?!...

Waldemar uścisnął młodzieńca i rzekł z uśmiechem dziwnie promiennym:

– No, chłopcze, nie miejże miny tak zdumionej. Do Biało-Czerkas pojedziesz nie jako administrator, ale jako właściciel. Biało-Czerkasy będą szkołą dla ciebie; dopiero tu rozpocznie się twa praca prawdziwa.

Bodzio przypadł do ramienia ordynata, ucałował je z uczuciem, z wybuchem szału.

Tchnął uczuciem szczęścia i porywem młodości.

Tego, co nań spadło, nie przewidywał w naśmielszych swych rojeniach.

Niespodzianka była zupełna i olbrzymia.

Ordynat odsunął go lekko od siebie, przyjrzał się jego twarzy rozjaśnionej.

– Bodziu, co tobie?!

– Drogi wuju! Twoja hojność jest bardzo cennym dopełnieniem mego szczęścia... innego, o którym jeszcze nie wiesz. Jestem narzeczonym Luci Elzonowskiej - rzekł młody człowiek, z oczyma błyszczącymi radością.

Wrażenie było ogromne, na razie nieoczekiwane.

Pan Maciej powstał ciężko z fotela i drżący oparł dłonie o poręcz rzeźbioną. Oczy skierował na Bohdana, oczy starcze, może już ostatni raz do głębi wzruszone.

Waldemar nie zdziwił się samym faktem, ile jego nagłością. Uczuł wielki ciężar na duszy kruszący się w pył. Wyrzuty, które czynił sobie co do Luci, miały więc umilknąć na zawsze. Był już o nią spokojny.

Uścisnąwszy młodzieńca rzekł serdecznie:

– Wierzę w szczęście wasze, które was szukało i na któreście zasłużyli. Ufam tobie, chłopcze, przekonałem się, że potrafisz chcieć. Czego pragniesz, zawsze to zdobędziesz. Przeciwności zwyciężasz. Pozostań takim i nadal.

Gdy pan Maciej całował czoło Bohdana powierzając mu wnuczkę, Waldemar rzekł z zapałem.

– Przyznaj, dziadziu, że mam następcę, godnego rodu Michorowskich.

W dniu zaręczyn młodej pary zamek głębowicki, głuchy i jakby ciemniejszy od zgonu narzeczonej Waldemara, zajaśniał dawnym przepychem i życiem. Wielka chorągiew na baszcie rozwinęła swe błękitne skrzydło. Igrał z nim wiatr majowy, pieściło słońce.

Bohdan szczupłemu gronu zebranej rodziny, sąsiadom, administracji i tłumowi służby miejscowej, przedstawiony został jako przyszły ordynat głębowicki.

Ponieważ był ogólnie lubiany, więc świadomość przyjęto serdecznie, chociaż ze zdumieniem. Ale na Waldemara spoglądano smutnie.

On zaś po dniu skończonym, przy zorzach wieczornych, myśli swe tęskne z promiennej przeszłości, w której się nurzały, skierował na przyszłość.

Pozostała mu już tylko akcja czynów społecznych, z jej hasłem pójdzie dalej, ona mu będzie wskazówką przewodnią bytu.

Ordynat stojąc na marmurowych schodach przystani, patrzył na szumiącą rzekę, przetkaną zachodem słońca, patrzył na skłon nieba i na świetlne korony drzew zwierzyńca, patrzył i myślą łowił minione Ikarie swej szczęśliwości.

Radość miał w duszy, że oto najdroższych obrazów swego życia nie zatarł, że utopia urocza, ideału pełna, pozostanie z nim na zawsze.

Zaślubił ją mocą uczuć swych i wiernym jej pozostanie, stopi się z nią, zjednoczy nierozdzielnie.

Źrenice ordynata uchwyciły na obłokach cudną wizję spływającą ku niemu. Wiotka, śliczna, sunęła niby ptak mistyczny, w przelocie muskając wierchy drzew, że pod dotknięciem jej stóp szemrały śpiewnie. Sfrunęła na białą pianę wód i szła cicho, urokiem natchniona, zda się anielska. Niosła do duszy ukochanego miłość nieskończoną, niezmierne otchłanie tęsknot i marzący szept wdzięczności, i ukojenie, i otuchę na pracę życia.

Niosła mu wszystkie skarby, które on czcił i w sercu swym ukrywał, które wielbił stale i pieścił wyobraźnią wzmocnionego uczuciem ducha. Szła po fali rozświetlonej - jego wieszczka, bóstwo uświęcone w jego jestestwie, ta jedyna, jasna postać, która odleciała od niego... by trwać wiecznie. Duch jego był tam, z nią, i teraz gdy ona idzie po szeleszczących wodach, jest jakby odbiciem wnętrza jego ducha. Serce, nerwy witały ją jak swoją mieszkankę stałą, jak dziecko najdroższe, wzrok pochłaniał ją z uszczęśliwieniem, z religijną czcią.

Już jest blisko. Waldemar czuje ją przy sobie; jakiś delikatny wiew słów, nieziemski pocałunek, jej tchnienie.

Usta ordynata szepcą z zachwytem:

– Ty... moja!...

Patrzy na nią w ekstazie bezpamiętnej, złocony ogniskami zorzy.

# Spis treści

Okładka
Strona tytułowa
Strona redakcyjna
Trędowata. Tom pierwszy
Trędowata. Tom drugi
Ordynat Michorowski